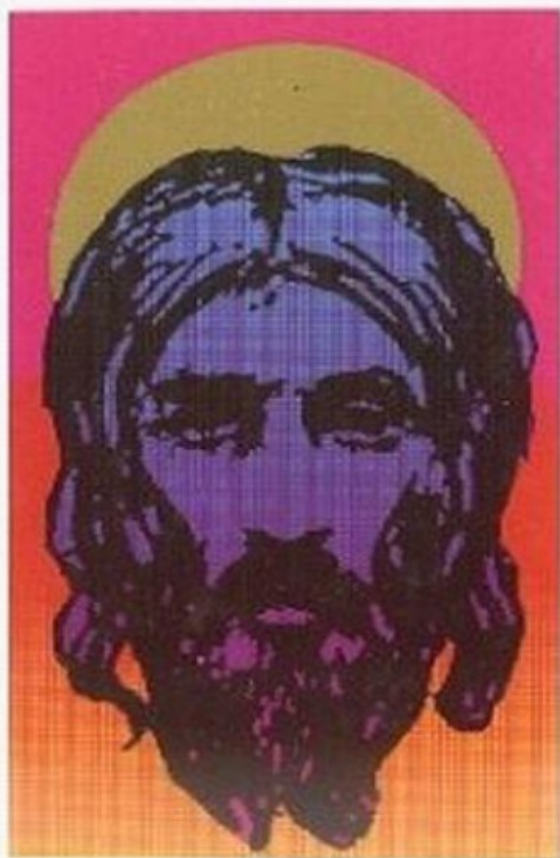


JEZUS z Nazarethu



Roman Brandstaetter



Roman Brandstaetter

Jezus z Nazarethu



Część I

Czas milczenia

Za czasów Heroda, króla Judei

Herod obudził się o świcie i wezwał do siebie balwierza Tryfona, który usługiwał mu od wielu lat i znając kapryśny sposób życia swojego pana, zawsze był gotów, niezależnie od pory dnia i nocy, na każde jego wezwanie, a nawet umiał naturę swoją tak dostosować do wymogów wiernej i nieustannej czujności, że zbudzony ze snu – a nie był to właściwie sen, lecz senne czuwanie – mógł natychmiast przytomnie i rześko spełnić każde królewskie polecenie. Więc upłynęło zaledwie kilka chwil, gdy balwierz się zjawił i począł oliwą nacierać policzki króla, który pogrążony w myślach, zamknął po źle przespanej nocy znużone powieki i odchyliwszy głowę ku tyłowi, ufnie poddawał obnażoną szyję dłoniom i brzytwie wiernego sługi. Herod zwykł podczas golenia rozważać osobiste sprawy, gdyż monotonne ruchy pędzla i zapach oliwy zaprawionej nardem pobudzały jego wyobraźnię, czułą na wszelkie bodźce zewnętrzne. Tym razem z niezwykłą uwagą rozmyślał o śnie, który go znowu, po wielu latach, nawiedził tej nocy.

Stał nad morzem i widział przepaść wypełnioną wezbranymi falami martwych głów, bijącymi w gwałtownym przyptywie o płaski brzeg. Gdy pochylił się nad nimi, rozpoznał w tej ławicy czaszek obciągniętych żółtą, pergaminową skórą głowy arcykapłana Arystobula, żony Mariamne, świekry Aleksandry, pomordowanych dworzan, zauszników i sług. Morze ciągnące się aż po daleki horyzont kołysało się, szumiało, przelewało się wysokimi falami, niespokojne i gniewne. Zanurzył dłonie w tym żywiole i wyłowił jedną głowę, potem drugą, trzecią, czwartą, ułożył je na piasku i począł im się uważnie przyglądać, a im dłużej wpatrywał się w ich puste oczodoły, tym większe ogarniało go przerażenie, gdyż wprawdzie każda z nich miała swoje własne rysy, ale równocześnie miała rysy jego twarzy, więc nie wiedział, czy patrzy w cudzą twarz, czy we własną. Krzycząc, wrzucał czaszki z powrotem do morza. A one, odpływając, śpiewały uroczystą pieśń, której słów mimo wytężonego słuchu i nasilonej uwagi nie mógł zrozumieć, i wiedział tylko, że w owych słodkich

i nęcących słowach kryje się całe przeznaczenie jego życia, i dlatego wabiony ich niezrozumiała i syrenią wymową szedł za nimi w morze, coraz głębsze i burzliwsze.

Obudził się z krzykiem.

Ten sen trapił króla od bardzo wielu lat, w nierównych odstępach czasu. Z początku chciał owo senne widzenie zataić przed swoim wykładcą snów, ale po namyśle przeważyła rozsądna chęć dowiedzenia się, o czym śpiewały niesamowite czaszki. Przypuszczał bowiem, że w ich niewyraźnym śpiewie kryła się jakaś groźba, czego zresztą nietrudno było się domyślić, gdyż sens tego snu, poza samą pieśnią, był zawstydzająco jasny. Wykładowca, zapoznawszy się z jego treścią, wyjawiał królowi, że czaszki śpiewały wróżebną pieśń o niebezpieczeństwie grożącym mu ze strony synów, którzy kiedyś w przyszłości, gdy staną się młodzieńcami, godzić będą na jego życie. Niestety wykładowca nie mógł ustalić, których spośród licznych synów króla miały na myśli śpiewające czaszki. Herod z rozbijającą szczerością opowiedział chłopcom swój sen, ale pewne jego szczegóły zataił, jedne dodał, inne ujął, i dzięki tym przezornym zabiegom zmieniając nieco jego znaczenie, starał się wzbudzić w ich świadomości lęk przed losem tych, którzy kiedyś w przyszłości poniosą zasłużoną karę za wiarołomne knowania i spiski. I tak strasząc chłopców od dzieciństwa swoją senną zmorą, wierzył, że uda mu się wpoić w ich serca uległość, ślepe posłuszeństwo i podziw dla wszystkich jego czynów, przedsięwzięć i działań. Chłopcy, słuchając ojcowskiego opowiadania, wprawdzie drżeli ze strachu, ale okazało się, że te pedagogiczne środki nie zapobiegły tragedii. Przed kilkoma laty Herod, snując urojone – a może prawdziwe – podejrzenia, zgładził dwóch spośród swoich synów, urodzonych z nieszczęśliwej i rzewnie oplakiwanej Mariamne. Od tej pory sen o śpiewających czaszkach przez wiele lat nie powracał. Aż nagle tej nocy znowu go nawiedził w całej swej grozie i dręczącej wspaniałości. Król zrozumiał jego mądrą wymowę. Czaszki niewątpliwie tym razem śpiewały pieśń o pierworodnym Antypatrze, zrodzonym z Doris, Idumejki, ambitnym i nie przebierającym w środkach młodzieńcu, na którym od dłuższego czasu niecierpliwie spoczywał jego podejrzliwy wzrok.

Tymczasem brzytwa sprawnego Tryfona spłynęła na podgardle króla. Stary balwierz, wygalając królewski podbródek, czuł się jak drwal, który przykładając topór do korzeni dębu. Wiedział, że w jego rękach spoczywa teraz los królestwa i wystarczy jeden sprawny ruch brzytwą, a głowa królewska odcięta od tułowia skakać będzie po ziemi w konwulsyjnych drgawkach. Przerażony tą wizją – sam fakt, że się ośmielił wywołać ją w sobie w tak poufalej bliskości władcy, napętnił go drżeniem i strachem – szybko odjął brzytwę od gardła Heroda, który wycierając rącznikiem gładkie policzki, rzekł z uznaniem: – Dziś mnie nie zaciąłeś, kochany

Tryfonie.

Zdarzenie przed Ołtarzem Kadzielny

O tej samej porze, gdy Herod wycierał ręcznikiem twarz, Zecharia, kapłan ze zmiany Abijama, po kilkugodzinnej podróży, którą odbył na swej wiernej oślicy Midbar, przybył do Jerozolimy. Z domu swojego w Ejn Karem wyjechał o północy, gdyż chciał jeszcze o świcie zdążyć na otwarcie bram Świątyni Pańskiej – zawsze podniośle przeżywał nawoływania lewitów, zapowiadających z wież świątynnych wschód słońca – gdzie następnego dnia miał rozpocząć służbę Bożą ku chwale Niewidzialnego. Czuł się rześko i krzepko. Przed miastem zsiadł z oślicy i na dowód swojej głębokiej czci dla Jerozolimy drogę prowadzącą z doliny ku wysoko położonemu miastu odbył piechotą, mimo podeszłego wieku bez zbytniego zmęczenia. Przez Bramę Ogrodową wjechał do śródmieścia, na Xystos pozostawił Midbar pod opieką dozorczy i udał się na Dziedziniec Pogan, szeroki plac, będący miejscem handlu, spotkań i przechadzek jerozolimskich mieszkańców i przybyszów z całego kraju.

Tutaj o wczesnej porze gromadzili się wierni, którzy czekali na rozpoczęcie modlitw i składanie ofiar. Tutaj, na samym dziedzińcu i pod sąsiednimi portykami, wśród zgietku, wrzawy, rozmów, targów i nawoływań uwijali się handlarze kozłów, owiec, gołębi i synogarlic, sprzedawcy kadzideł, mirry i aloesu – nawoływali się wzajemnie bez potrzeby, jedynie dla pomnożenia powszechnej wrzawy, gdyż czuli się w niej jak ryby w szumiącym żywiole – oraz pieniądze, którzy nie tylko wymieniali greckie, rzymskie i egipskie pieniądze na świątynne sykle – tylko w syklach można było składać datki do skarbon – ale również zawierali zyskowe dla siebie umowy z ofiarnikami, udzielali im pożyczek, często na wysokie odsetki, chociaż Tora wielokrotnie potępiała lichwę – ribith – a lichwiarzom pobierającym wysoki procent groziła surowymi karami.

Środkiem dziedzińca szedł chłopiec i prowadził na postronku jednoroczne jagnię, które szarpiąc się i becząc, ciągnęło go w przeciwnym kierunku, ku bramie, mimo żywych, lecz czułych i łagodnych perswazji zakłopotanego wyrostka. Zecharia poklepał jagnię po karku, a potem z równą tkliwością pogładził czarną, kędzierzawą czuprynę chłopca i smutnie się zadumał, albowiem lubił dzieci, ale Elohim nie obdarzył go potomstwem. Natychmiast jednak z powodu żony swojej Eliszeby, którą bardzo kochał, chociaż była bezpłodna, pożałował swojego smutku i zamyślenia. Głęboko westchnąwszy – było to westchnienie niezwykle wzruszające i niewinne, gdyż nie było w nim skargi ani goryczy, ani tym bardziej wyrzutu, lecz pokorne

pogodzenie się ze Sprawiedliwością – wszedł do domu kapłańskiego i udał się do oczyszczającej kąpieli, w której życiodajna woda obmyła jego ciało z brudu ziemi, a jego duszę z wszelkich westchnień, nawet owych najbardziej wzruszających i niewinnych. Cały dzień i noc spędził na modłach. Następnego dnia o wczesnym świcie, gdy otwarły się bramy Świątyni, a lewici uderzając w cytry i harfy śpiewali psalmy, a lud leżąc pokotem na ziemi głośnym jękiem przywoływał Boga i wraz z chórem kapłanów zmagiał Szema Israel, Zecharia, odziany w białą tunikę o długich rękawach i przepasany haftowanym pasem, ciągnął losy w Komnacie Białych i Czarnych Kostek. Tym razem los wyznaczył go do spełnienia obowiązków kapłańskich przed Ołtarzem Kadzielnym.

Długim orszakiem wracali kapłani przez Dziedziniec Kapłanów obok Ołtarza Całopalenia do Świątyni, każdy na wyznaczone losem stanowisko, a wchodząc w progi cedrowe, prowadzące do Świętego Przybytku, nad którego bramą zwisała rzeźbiona w złocie kiść winogronowa, symbol mądrości Elohim i dzieła Stworzenia, pochylili nisko głowy, a oblicza ich były ożywione podziwem i czią dla ważności i powagi tego miejsca.

Zecharia czuł w sercu dojmujący niepokój. Zdawało mu się, że jego modlitwy zmówione o świcie były chłodne i puste i dlatego na pewno nie znalazły łaski przed obliczem Pana. Często, mimo swej głębokiej i żarliwej wiary, przeżywał takie nastroje. Nie mogąc czy nie umiając ich przewalczyć, gdy czuł, że jego umiejętność modlitwy staje się coraz uboższa, przestawał oblekać w słowa kipiące w nim uczucia i tylko milczącym wnętrzem starał się okazać Przedwiecznemu miłość i przywiązanie, ale nigdy nie był pewny, czy mu się to udaje, zwłaszcza że owa swoista kontemplacja była raczej owocem gorzkiej bezsilności ducha niż świadomym dążeniem do jedności z Panem Zastępów. Teraz znowu nasza go taka trudna chwila. Stał przed Ołtarzem Całopalenia, ujął w szczypcy rozżarzone węgle i wrzucił je do kadzielnicy, po czym wraz z młodym lewitą, który sypnął na żar garść bursztynu, sproszkowanej mirry i aloesu, udał się przed Ołtarz Kadzenia, zbudowany z akacyjowego drzewa, obitego złotymi blachami. Jego cztery kąty ozdobione były złotymi rogami, symbolami Pańskiej wszechmocy. Zecharia przystawał przed każdym z rogów Ołtarza i wahadłowym ruchem kołysał kadzidłem, które buchało srebrnym dymem i wypełniało nim świątynne wnętrze, a starcowi zdawało się, że kadzidlane kłęby układają się w kształt ludzkiej postaci. Z początku sądził, że jest to złudzenie, ale gdy zjawisko stawało się coraz bardziej wyraziste – zarysowywał się kształt głowy, tułowia, rąk i nóg, wprawdzie nieco zamazany i poruszony, jakby był odbiciem człowieka w falującej wodzie, ale mimo to o tyle wyraźny, że można było go określić mianem ludzkiej postaci – kapłan

zrozumiał, że staje się świadkiem niezrozumiałego dlań misterium, i dlatego zadrżał wielkim drżeniem. A gdy wreszcie usłyszał głos, tak był nim zaskoczony, że nie był pewny, czy mówił on z obłoku ustami kadzidlanej postaci, czy też doszedł go z dalekiej przestrzeni, a owa postać z falującego przed nim dymu była tylko stróżem tego głosu, a może nie stróżem głosu, bo po cóż El Szaddajowi – od pierwszej chwili był pewny, że to był głos El Szaddaja – potrzebny był stróż głosu, więc może była raczej stróżem jego, biednego starca Zecharii, pilnującym, aby wszystko jednoznacznie i wyraźnie zrozumiał. Ale tak był przerażony tym wszystkim, co słyszał i co się na jego oczach działo, że z trudem pojął sens wypowiedzianych słów.

– Nie lękaj się, Zechario – mówił Głos. – Modlitwa twoja została wysłuchana. Żona twoja, Eliszeba, porodzi syna, a ty dasz mu imię Johanan, co znaczy: Jahwe się zmiłował. On będzie twoją radością i weselem, a wielu z powodu jego narodzenia radować się będzie. Albowiem wielki będzie przed Elohim, wina i innych napojów upajających pić nie będzie i już w łonie swej matki napełniony będzie Duchem Świętym. Wielu spośród synów Izraela nawróci do Elohim, do ich Boga. On to poprzedzać Go będzie w duchu i mocy proroka Elijahu i sprawi, że serca ojców skłonią się ku synom, a zbuntowani powrócą do prawego usposobienia, i w ten sposób przygotuje Panu lud uległy – tak mówił Głos, a Zecharia przypomniał sobie, że dzisiaj nie modlił się o płodność Eliszeby, ale natychmiast zmiarkował, że przed obliczem Elohim nie wszystko jest modlitwą, co jest modlitwą, a modlitwą nie musi być modlitwa, a może nią być błagalny wzrok wzniesiony do nieba albo płacz, albo po prostu głębokie westchnienie. A ponieważ wchodząc do Świątyni Pańskiej westchnął głaszcząc kędzierzawą głowę chłopca i pomyślał wtedy o smutnej bezpłodności swojej żony, więc Pan przyjął jego westchnienie za modlitwę, albowiem wszystko jest w Jego mocy, a każdy krok człowieka odmierzany jest Jego wolą. I to Zecharia zrozumiał. Ale z powodu starości swojej i swojej żony nie mógł zrozumieć innej sprawy, i dlatego stał nieruchomo jak słup soli, i tylko głową wykonywał przeczące ruchy, które były zapewne refleksem wahadłowego ruchu kadzielnicy, a wtedy Głos, który poznał niedowiarstwo i słabość starca, obwieścił mu, że Pan za owo zwątpienie ukarze go niemotą do czasu, aż się wypełni Jego wola.

Dym kadzidlany rozpląnął się w powietrzu.

Zecharia, który był z natury rozważny i trzeźwy i jak każdy syn Izraela wierzył przede wszystkim w to, czego nie widział – wierzył przecież w Niewidzialnego – ujrawszy przed sobą młodego lewitę, usługującego mu podczas obrządku kadzenia, już był skłonny przypuścić, że ów sługa świątynny i postać z falującego dymu były jedną i tą samą postacią, gdyby nie pewien drobny, ale bardzo niepokojący szczegół, potwierdzający w pełni prawdę tego, co słyszał i widział. Otóż bowiem, gdy

wyszedłszy na dziedziniec świątynny, gdzie zgromadzone tłumy czekały na jego błogosławieństwo, chciał zaśpiewać hymn na chwałę Pana i Jego zastępów, zamiast słów wydobył się z jego ust niezrozumiały bełkot. Wyrzucił przed siebie ręce i za pomocą ich gwałtownych ruchów chciał przekazać ludowi swoją radość, szczęście i błogosławieństwo, ale ponieważ były to gesty nieczytelne, zagmatwane i ciemne, lud nie rozumiał ich sensu i tylko się domyślił, że Zecharia, kapłan ze zmiany Abijama, miał widzenie w Świątyni Pańskiej. A starzec, padłszy na ziemię, zapłakał.

Radość starca

Była księżycowa noc, gdy niemy wracał z Jerozolimy do Ejn Karem. Zstępując w wąwóz między sady oliwne i terebintowe lasy, rosnące na jego zboczach, obejrzał się za siebie – miał zwyczaj, ilekroć opuszczał Jerozolimę, przystawać w tym miejscu i ogarniać panoramę miasta skupionym i błogosławiącym spojrzeniem – i ujrzał w górze, w świetle miesiąca, spiętrzone domy Syjonu i Akry, a nad nimi złotopłowy masyw Świątyni, którą dotychczas zawsze żegnał z żalem, tym razem jednak z zawstydzającą ulgą i z większym niż zazwyczaj pośpiechem. Ale im bliżej był domu, tym większe było jego podniecenie i dlatego ku wielkiemu niezadowoleniu mądrej Midbar, śpieszącej do smacznego obroku i zasłużonego spoczynku, raz po raz ściągał jej uzdę i przymuszał ją do stawiania powolnych kroków, co wprawdzie pod pewnym względem odpowiadało refleksyjnemu charakterowi oślicy, ale teraz sprzeczne było z wymaganiami jej pustego żołądka. Siedział wygodnie w czerwonym siodle i jadąc krok za krokiem rozważał, jak ma opowiedzieć żonie – był przecież niemy – swoje widzenie, które by może nawet przezornie przed nią zataił, gdyby nie dojmująca świadomość, że ono w równej mierze, a może i przede wszystkim, i jej dotyczyło. Gdy wreszcie oślica zaczęła piąć się pod górę po ciemnym zboczu wąwozu – znał świetnie tę drogę, albowiem przemierzał ją niezliczoną ilość razy – przed jego oczami roztoczył się widok na leżący na tarasach Ejn Karem, wprawdzie jeszcze odległy, ale wyraźny, i wtedy Zecharia poczuł się tak, jakby przed czymś uciekał, więc bronił się przed tym uczuciem, gdyż w żadnym wypadku swojego wyjazdu z Jerozolimy – wyjechał w przepisany czas, po wykonaniu wszystkich obowiązków kapłańskich – nie uważał za ucieczkę. Niewątpliwie wracał do domu z wielką, szczęśliwą i dobrą nowiną. Jeżeli był niespokojny, to chyba tylko z powodu przepowiedzianej przyszłości dziecka, gdyż wiedział, że czeka je los wprawdzie błogosławiony, lecz ciężki, jak każdego człowieka, na którym spoczęło oko Elohim.

Zecharia starał się, najściślej jak mógł, odtworzyć to wszystko, co widział i słyszał

w Przybytku. Nigdy dotychczas nie widział anioła. Trudno byłoby mu opisać owego męża, który ukształtował się na jego oczach z kadzidlanego dymu. To nie była postać ludzka, chociaż miała wszelkie cechy ludzkiej postaci. Zresztą trudno mówić o kształcie, gdyż nawet słowa, które wypowiedział tajemniczy posłaniec, nie były właściwie słowami, lecz czystymi pojęciami, działającymi bez pośrednictwa jakichkolwiek dźwięków, a jeżeli nazywał je Głosem, to tylko dlatego, że nie znał innego słowa na określenie zjawiska, za pomocą którego Elohim przekazał mu radosną wieść. Zecharia wiedział, że owego anioła, jak i to wszystko, co mu on opowiedział, należy dopiero na język ludzki przetłumaczyć, a nie było to łatwe ani proste, zwłaszcza dla niemego, który wprowadzie, jako człowiek Wschodu, umiał wyrazić gestami stany swojej duszy, ale mimo to nie umiałby opowiedzieć dziejów owej chwili przed Ołtarzem Kadzielnym nawet za pomocą bogatej ilości gestów i najbardziej wyrazistej mimiki twarzy. Zatem pogodził się z myślą, że Eliszeba do czasu nic nie dowie się o jego rozmowie z Głosem, ale na myśl, że biedna kobieta rozpaczać będzie z powodu jego kalectwa, wielce się zasmucił i dlatego miał nieco żalu do Głosu, że uciekł się do tak złożonego działania, zamiast po prostu zobowiązać go solenną przysięgą do zachowania tajemnicy o zdarzeniu w Przybytku. Do wyraźnego oświadczenia Głosu, który mu zapowiedział, że jego niemota będzie karą za dobrotliwe niedowiarstwo, nie przykładał wielkiego znaczenia, gdyż całe to działanie uważał tylko za święty pretekst, którym posłużył się Elohim. Wprowadzie błogosławioną zapowiedź przyjął z odrobiną niepewności i zrozumiałego w jego wieku zakłopotania – niezbyt szczęśliwy był tylko ów przeczący ruch głową, przypominający wahadłowy ruch kadzielnicy – ale w jego niepewności i zakłopotaniu nie było ani nieposłuszeństwa, ani sprzeciwu. Ponieważ jednak nie był pewien, czy naprawdę ani przez chwilę nie wątpił o tym, co słyszał, począł modlić się do El Szaddaja i błagać Go o odpuszczenie grzechu niedowiarstwa, i patrząc swoimi starczymi, ale jasnymi oczami w szarzejące na wschodzie niebo, przyznawał się przed uśmiechnięto-surowym obliczem Pana do chęci zbyt łatwego usprawiedliwienia się z niewdzięcznych uczuć, którymi przywitał w Przybytku Jego mówiący Głos.

Słońce już wschodziło, gdy Zecharia kołysząc się na mądrej oślicy Midbar przybył do domu i wyciągnął bezradne ręce do stojącej w progu Eliszeby. Minęła dłuższa chwila, zanim niewiasta zmiarkowała, że Zecharia zaniemówił.

Spojrzała na męża z przerażeniem.

Wiedziona przecuciem – jak przez mgłę słyszała głos swojego zmarłego ojca, również kapłana, który zwykł mawiać, że wielkie są sprawy biorące swój początek z milczenia – poczęła szybko kojarzyć nagle kalectwo męża ze swoim własnym

stanem, o którym jeszcze nie zdążyła mu powiedzieć, albowiem podczas jego nieobecności stwierdziła ku swojemu radosnemu zdumieniu, że jest w stanie błogosławionym. Wstrząśnięta tym odkryciem, nie mogła doczekać się powrotu męża, podczas pracy naczynia wypadały z jej rąk, bez celu snuła się po domu z kąta w kąt i modliła się żarliwie, i dziękowała Elohim za to, że podniósł nad nią swój róg i okazał jej łaskę, i uczynił cud w jej łonie. Ale mijając sąsiadki, nie podnosiła głowy; była tak samo cicha i skromna i tak samo zawstydzona jak przedtem, tylko teraz już nie gorzkim zawstydzeniem bezpłodności, ale słodkim zawstydzeniem brzemia.

Patrząc na Zecharię, postanowiła być ostrożna w swoich przeczuciach i skojarzeniach i z zimną rozważą wsłuchiwała się w swój głos wewnętrzny, starając się przezornie wy badać jego źródło. Gdyby bowiem istniał rzeczywiście jakiś związek pomiędzy milczeniem Zecharii a głosem jej łona, dziecko, które miało się narodzić, byłoby przeznaczone do wyższych celów, o czym jednak Eliszeba w pokorze swojej bała się myśleć. Nie chcąc zgrzeszyć pychą, raczej była skłonna przyznać, że ją myli przecucie, niż upatrywać Bożego znaku w nagłej niemocie męża. Rozważając wszystkie te sprawy, wątpliwości, przypuszczenia, zagadkowość, niepewność i lęki, po krótkim namyśle doszła do przeświadczenia, że dobrze się stało, tak jak się stało, a miała na myśli tajemnicze i niespodziewane kalectwo męża, gdyż biedny Zecharia nie zawsze umiał milczeć i, jak przystało na dobrego człowieka, lubił się dzielić z sąsiadami każdą radosną nowiną, ale teraz dzięki swojemu kalectwu uleczony jest ze swojej dobrotliwej wielomówności i zachowa w tajemnicy to, co z jej ust usłyszy. Eliszeba stojąc naprzeciw męża objęła tkliwym spojrzeniem jego starą, pomarszczoną twarz i była rada, że oniemiał, podczas gdy Zecharia, z równą tkliwością patrząc na zmęczoną twarz swej starzejącej się żony, biadał w głębi ducha, że nie może wszystkiego jej opowiedzieć, i tak przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie, i radowali się tą samą myślą, i miłującą kryli ją w sobie, aż wreszcie Eliszeba nachyliła się nad mężem i ufnie wyszeptła do jego ucha kilka słów. Zecharia do głębi poruszony uległ nagłemu zachwyceniu, odchylił głowę i wspomniawszy w myślach króla Dawida, który tańczył przed Arką Przymierza na ulicach Jeruzalajim Hakodesz i skakał, i klaskał w dłonie w obecności Elohim, począł również tańczyć i skakać, i klaskać dokoła osłupiałej Eliszeby, albowiem zdawało mu się, w mglistym i odległym wyobrażeniu, że owoc, który jego stara żona dźwiga w swoim łonie, jest głosem zagubionej Arki Bożej. I nie mogąc głośno śpiewać, ponieważ usta jego były nieme, śpiewał milcząco psalm: „Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniu swojemu daj chwałę”, a Eliszeba poznała po ruchu warg, że tanecznym ruchom jego ciała towarzyszą słowa wielbiące El Szaddaja, Boga Wszechmocnego.

Poranek Josefa cieśli

Cieśla Josef ben Jaakow, obudziwszy się wczesnym rankiem, z trudem wstał z trzcinowej maty, przeciągnął się i potykając się o narzędzia ciesielskie rozrzucone po ziemi wyszedł przed dom – odziedziczył go po zmarłych rodzicach, starsza od niego o kilka lat siostra mieszkała z mężem na drugim końcu miasteczka – gdyż pragnął nie tylko pozbyć się resztek sennego bezwładu, którym wypełnione było jego ciało, lecz także nasycić oczy widokiem wiosennego krajobrazu, stanowiącego żywe przeciwieństwo smutnego i szarego wnętrza jego lepianki, stojącej na samotnym wzgórzu. Roztaczał się stąd widok na góry Naftali, Tabor i Gilboa, dolinę Jezreel, wylotem swoim opadającą ku morzu, na Seforis, rojne pogańskie miasto, niechętnie odwiedzane przez Galilejczyków, na gaje oliwne i figowe, otaczające pierścieniem maleńkie Nazareth, położone w dole amfiteatralnie na kilku wzgórzach i stanowiące wraz z krajobrazem jedną barwną pastelową całość. Domy i lepianki, a nawet duma miasteczka, synagoga, zlewały się tak niepodzielnie ze wzgórzami i polami, że z pewnego oddalenia trudno było odróżnić domy od wzgórz, a synagogę od łąnu złotego jęczmienia. Był to krajobraz cichy, spokojny, nieomal nieruchomy w swoim patriarchalnym dostojństwie, i tylko gromada białych owiec i jagniąt, zbiegających beztrąsko ku dolinie, i widoczna na zachodzie, u stoków Karmelu, migocąca w słońcu wąska smuga morza działały ożywiająco na poważne i skupione lico tej ziemi. Ale Josef nie wychodził rano przed swoją lepiankę jedynie dla samej piękności krajobrazu. Widok był wprawdzie godny zachwyty, niezależnie jednak od swojego uroku posiadał przede wszystkim jedną wartość, bezcenną dla cieśli, a mianowicie był godną oprawą małego domku wykutego w skale, tam, na samym dnie doliny – właśnie wzrok utkwiał w tym miejscu – gdzie mieszkała z rodzicami jego mała Miriam, której piękność porównywał często do owych winnic, cyprysów i oliwek, chociaż wiedział w głębi serca – i to jest ów niezbadany paradoks wszystkich porównań – że jego Miriam jest piękniejsza od najpiękniejszych winnic, cyprysów i gajów oliwnych.

Josef wszedł do wnętrza lepianki i po chwili powrócił z chustą modlitewną i tefilin, które w skupieniu ucałował, chustę narzucił na głowę, zakasał rękaw na lewej ręce i chwając Pana, zwrócony twarzą na południe, ku Jerozolimie, królującej stąd daleko za ciemnymi górami Samarii, powoli owijał dłoń i nagie ramię czarnymi rzemykami, umieściwszy uprzednio na czole skórzaną puszczykę, zawierającą święte wersety Pięcioksięgu, spisane na pergaminie; modląc się, umocował ją na czole za pomocą rzemyków, które jak pęd winnej latorośli wiły się dokoła jego palców, ramienia i głowy i rozprowadzały po całym ciele życiodajny sok Słowa

Bożego. Gdy poczuł w żyłach ciepło wzbierającej w nim modlitwy, naciągnął na oczy błękitno-białą chustę i lekko kiwając się w biodrach, błogosławił Pana i Jego aniołów, ludzi, zwierzęta i rośliny, ziemię Izraela i Jerozolimę, Świątynię i Bethlehem, miasto Dawidowe i kolebkę swoją, i Nazareth, miasto małej Miriam. Po czym wyprostował się i upewniwszy się, że jego głowa jest szczelnie nakryta chustą, wciągnął głęboki oddech w płuca i zaintonował Szema Israel, Adonaj Elohenu, Adonaj Echad, wyznanie, które wprawdzie brzmiało w jego ustach jak szum palm i jak tryumfalna fanfara trąb, ale równocześnie było pokornym łkaniem i błagalną prośbą, i dzięki temu właśnie połączeniu tryumfu z pokorą i błaganiem brzmiało tak bardzo prawdziwie i wzruszająco. Znowu odszukał wzrokiem wykuty w skale dom małej Miriam i głęboko się wzruszył, albowiem pomyślał, że już wkrótce wśród weselnych śpiewów wprowadzi ją do swojego domu, a Niewidzialny – błogosławione niech będzie Jego Imię – poruszy łono jego żony, z której przyjdzie na świat jego syn, a syn ten powoła do życia swoich synów, a ci znowu spłodzą synów swoich, i tak jak on dzisiaj, tak jego syn i synowie jego syna, i synowie ich synów po najdalsze pokolenia żyć będą na tym wzgórzu i w porannej ciszy błogosławić będą Pana Cebaoth.

I Josef ben Jaakow, dając upust swej wyobraźni, w wielkiej radości i uniesieniu ducha zastanawiał się, jakie imię nada swojemu pierworodnemu, albowiem wiedział, że imię jest niepodzielną częścią człowieka i kształtuje według swojego znaczenia jego życie i los, ale niestety, mimo pobożnego zapału nie umiał wymyślić imienia wyrażającego doskonałą pełnię tych zalet, którymi powinien błyszczeć jego syn.

Wrócił do lepianki, zdjął tefilin i chustę, i ucałowawszy je, schował do skrzyni. Włożył na nogi sandały i pędem zbiegł ze wzgórza.

Zwiastowanie

Świat Nazarethu, w którym żyła mała Miriam – lepianki, pieczary, miejska studnia i synagoga na wzgórzu – był bardzo mały, nawet jeżeli go rozszerzymy o kilkanaście lepianek i pieczar, położonych w nieco dalszej okolicy. Wyobraźnia jego mieszkańców, chociaż żywa i zapalna, nie wybiegała daleko poza izby, pagórki i ogrody, poza ubóstwo, a nawet i nędzę, gdyż niekiedy tylko garść bobu i jęczmiennej kaszy była owocem ich pracy i przedmiotem głębokich pragnień. Cały rok żyli marzeniami o pielgrzymce do Jerozolimy na uroczystości Wielkich Świąt i w tym celu skrzętnie oszczędzali pieniądze, siedzieli wieczorami w dni powszednie w ciemnych, nieoświetlonych izbach, spożywali suszoną szarańczę, odmawiali sobie wina, byleby tylko zaoszczędzić trochę grosza na Pesach, Rosz Haszana i Jom Kippur w dalekim Świętym Mieście. Nie wyobrażali sobie tych świąt bez swej obecności

w Świątyni Pańskiej, u stóp Szechiny, która w podniosłe dni równała przed swoim niewidzialnym obliczem wszystkich synów Izraela, niezależnie od tego, czy byli bogaczami, czy nędzarzami, mędrkami czy am haarecami. Te pielgrzymki były ich świętym pragnieniem. Przedsiębrali je dla Elohim i dla poczucia swojej równości.

Inaczej jednak układało się życie małej Miriam, dwunastoletniej dziewczynki, żywej, wesołej i uśmiechniętej, chociaż ubóstwo było również udziałem i jej rodziców, ciężko pracujących na chleb codzienny, a miasteczko, w którym żyła, nie było dla niej ani o cal większe niż dla jej sąsiadów.

Tego dnia, gdy Jehojakim i Hana udali się do pracy – pracowali w winnicy nazarethańskiego bogacza, którego dom i ogrody leżały w pobliskiej dolinie, za dębowym lasem – Miriam, jak codziennie, krzątała się po izbie, wprawdzie ciemnej i zadymionej, ale schludnej, co było tym godniejsze pochwały, że tylko z trudem można było w tym wykutym w skale pomieszczeniu – była to raczej pieczara niż izba – utrzymać porządek i ład. Sprzętów nie było wiele: trzy barłogi, stół, krzesła, piec z piekarnikiem, kilka noży, gliniane dzbany na wodę i mąkę i skrzynia na ubogie szaty. Miriam, ilekroć zostawała sama, a zdarzało się to codziennie prócz Szabatów, czuła się w tej ciasnej izbie jak w udzielnym i nieskończonym królestwie, gdyż zaludniała ją myślami, krążącymi z równą troską dokoła codziennych zajęć i obowiązków domowych, jak i spraw odległych, nieuchwytnych, niedosięgalnych dłonią i okiem, a będących może echem barwnych i żywych opowiadań jej ojca Jehojakima o Pramađrości, która unosiła się jak mgła z ust Wiekuistego, mieszkała na słupach z obłoków i przechadzała się po niebie i przepaściach. Krewni, sąsiedzi i znajomi uważali Miriam za dziewczynę nieco dziwną. Wiedzieli o niej, że jest zaręczona z Josefem cieślą, że ich wesele powinno się odbyć za rok, że jest silna i gospodarna, że ma serce dobre i czułe i że dzięki tym zaletom na pewno będzie dobrą żoną i matką. Bardzo możliwe, że tę dziwność upatrywali mieszkańcy Nazarethu w jej skłonnościach do śpiewu i układania pieśni. Gdy zapadał wieczór, Miriam siadała na podwiniętych nogach u wejścia do izby i w gronie uważnie słuchających rodziców, krewnych i sąsiadów śpiewała pieśni własnego układu, w których mieszały się słowa zapożyczone z psalmów i modlitw, uroczyście zmawianych przez Jehojakima w dni świąteczne i w Szabat, z jej własnymi pomysłami, parabolami, porównaniami i metaforami, wskutek czego można je było śmiało określić mianem natchnionych wariacji na obrany temat. Nikt w Nazarecie nie układał psalmów i melodii. Więc krewni i znajomi, przywołując z biblijnej pamięci postacie kobiet układających pieśni – Miriam, siostry Mojżesza, i Hany, matki męża Bożego, przez Pana umiłowanego Szemuela, i Judyty, błogosławionej wdowy – kiwali głowami, z czego jednak trudno było wnosić, czy chwałą, czy ganią

poetyckie umiejętności córki Jehojakima, biednego najemnego robotnika.

Tego dnia – jak już o tym wspomnieliśmy – gdy Jehojakim i Hana udali się do pracy, Miriam od wczesnego ranka krzątała się po izbie, trzepała maty na dworze, przyniosła wodę ze studni, zmyła naczynia, po czym wyszła przed dom, uklękła na ziemi i śpiewając dla Elohim i dla rytmu swoich rąk, schylona nad pożyczonymi od sąsiadki żarnami meła pszeniczne ziarno, które ojciec otrzymał w podarunku od swojego chlebowodawcy. Pracę swoją wykonywała spokojnie, bez pośpiechu i z ową monotonną cierpliwością, tak znamioną dla pracujących fizycznie córek Izraela. Lewą ręką powoli, ale bez trudu obracała górny kamień, a prawą wsypywała pszenicę do otworu. Potem potrząsała przetakiem, oddzielając otręby od mąki, która od czasu do czasu, ku uciesze dziewczynki, wlatywała ku górze i białym pyłem okrywała jej dłonie. Patrząc na umączone palce, przypomniwała sobie opowiadanie ojca o dalekim Hermonie, pokrytym przez cały rok śniegiem, a chociaż dotychczas знаła śnieg tylko z opowiadania, jednak wyobrażała sobie, że musi być bardzo piękny i bardzo biały, skoro jest darem Wiekuistego i służył w jednym z psalmów, który Jehojakim szczególnie ukochał, do porównania z niepokalaną bielą. Tu uśmiechnęła się, gdyż przypomniwała sobie słowa ojca, który zwykł mawiać: – A córka moja, Miriam, wprawdzie jest smagła, albowiem spaliło ją słońce, ale mimo to jest bielsza nad śnieg. – Miriam zastanawiając się nad trudnym do rozstrzygnięcia zagadnieniem, jak można być bielszą nad śnieg, skoro się jest smagłą i spaloną od słońca, podniosła się z kolan i weszła do izby po gliniany dzban na mąkę. Przetarła oczy palcami. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Poczowała się nieswojo. Ciało jej przebiegł zimny dreszcz. Odwróciła się ku drzwiom i chciała wybiec przed dom, ale nie mogła uczynić kroku. Stała nieruchoma, osłupiała i nagle ujrzała w sobie jakieś światło, ale nie było to światło słoneczne ani światło księżycowe, ani światło lampy oliwnej, ani w ogóle nie było żadnym światłem, gdyż nie było podobne do żadnego światła, i było tylko tym, czym nie było, i tym, czym nie będzie, lecz tym, czym Jest. Więc widziała w sobie, jak Ten, który Jest, szedł ku niej z odległo-bliskiej przestrzeni, nie ograniczony żadną granicą i wymykający się spod wszelkiego określenia, albowiem sam w sobie był granicą i sam w sobie określeniem, i tak idąc ku niej właściwie nie szedł, albowiem był poza wszelkim czasem – stawał się na jej oczach – właściwie nie stawał się, gdyż Ten, który Jest, nie może się stawać i tylko, aby ułatwić małej Miriam zrozumienie tego, co się dzieje, upodabniał i naginał swoje działanie nie tyle do pewnych ziemskich pojęć, ile do form człowieczego języka – i tak stojąc w jej wnętrzu równocześnie kształtował się przed jej oczami jako Wysłannik w białej lnianej tunice, przepasanej jedwabnym pasem, przetykanym złotymi nićmi i ozdobionym szafirami, i był potwierdzeniem tego, co się w niej

działo, i tego, co widziała w swoim wewnętrznym zachwycie. Była to ostrożność typowa dla Elohim, który znając upodobanie człowieka do plastycznego widzenia i chcąc małej Miriam ułatwić zrozumienie niezwykłego Posłannictwa, nie ograniczył się tylko do działania wewnętrznego, lecz równocześnie przemówił do niej realnym widzeniem. I w tym celu łaskawie pomnożył swoją obecność, czyniąc się przed oczami Miriam Wysłannikiem samego siebie, czyli sobą samym, albowiem wiadomo, że poseł przynoszący wieść jest zawsze tym, który go posyła. Miriam patrząc więc na Wysłannika, którego nieco ociążałe ruchy, tak znamienne dla aniołów odzianych w ciało człowiecze, świadczyły o trudnościach, jakich mu przysparzało poruszanie się po ziemi, z uwagą i pokorą słuchała jego pozdrowienia, albowiem Mąż otworzywszy usta począł mówić człowieczą mową, tłumacząc na ludzki język to wszystko, co słyszała w sobie wypowiedziane bezmową mową w sposób zawile-prosty. Wysłannik pozdrowił ją w Imię Łaski, którą jest wypełniona, i w Imię Elohim, który pobłogosławił ją między niewiastami. Miriam, skupiona i napięta, z lękiem rozważała każde słowo z osobna, połączyła je w zdanie, które wprawdzie pięknie brzmiało, ale niestety nie mogła zrozumieć, dlaczego ona, mała, nic nie znacząca dziewczyna, córka zmęczonych wyrobników, narzeczona cieśli Josefa, ma być wypełniona Łaską Elohim i błogosławiona między niewiastami. Wysłannik, niewątpliwie odgadując jej myśli, znowu do niej przemówił i prosząc ją, by się nie lękała, zwiastował jej, że pocznie i porodzi Syna, i da Mu na Imię Jezua, co znaczy: Pan jest zbawieniem, a On będzie wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Elohim da Mu tron Dawida, ojca Jego, i będzie królował nad rodem Jaakowa na wieki, a królestwo Jego będzie nieskończone. Wysłannik wypowiedział to wszystko prosto i składnie, tonem śpiewnym, podkreślając znaczenie pewnych słów przeciągłą intonacją, ale ani razu nie popadł w przesadny patos, co dobrze świadczyło o jego umiarze w sztuce tłumaczenia rozkazów Elohim na język człowieczy. Owa uroczysta i skromna śpiewność była niezwykle precyzyjnie odmierzona i dzięki temu wiązała w jedną niepodzielną całość prawdę nieba z prawdą ziemi, co w tym wypadku było bardzo ważne, gdyż najgłębszy sens tego misterium polegał właśnie na owym trudnym przymierzu.

Miriam spokojnie wysłuchiwała Wysłannika. Na jej ciemnej, uciszanej twarzy nie drgnął ani jeden muskuł i już chciała wyrazić swoją uległość przed Panem, ale nie mogła oprzeć się jednemu wstydliwemu pytaniu – czuła, że powinna je zadać, gdyż wymagała tego jej godność dziewczęca – i poczęła się zastanawiać, jak ma je oszczędnie wyrazić za pomocą najmniejszej ilości słów, aby jak najszybciej i najzwężlej zrzucić z siebie jego ciężar. Chętnie użyłaby do tego celu jakiegoś symbolu, ale trudno było stworzyć w pośpiechu zastępczy obraz, który by w pełni

oddawał jej myśl. Zrezygnowana, spytała po prostu, jak to się stanie, skoro męża nie zna. Wysłannik odparł, że Duch Święty zstąpi na nią i moc Najwyższego ogarnie ją niby cień. Dlatego Dziecko, które się z niej narodzi, będzie święte i będzie nazwane Synem Bożym. Tu urwał. Miriam opuściła głowę. Dwa krótkie czarne warkocze, splecione nad karkiem w ciasny węzeł, wskutek nagłego ruchu głową rozluźniły się i opadły na jej ramiona. Wysłannik zmiarkowawszy, że dziewczyna pragnie jeszcze zadać dalsze pytania – niewątpliwie przewidział ich sens – uprzedził ją i szybko wyjaśnił, że także Eliszeba, jej krewna, mimo swojej starości poczęła syna, i ta, która w mniemaniu ludzi uchodzi za bezpłodną, jest już w szóstym miesiącu, albowiem nie ma nic niemożliwego u Elohim. Miriam podniosła głowę. Poddana woli Bożej zrozumiała, że powinna teraz głośno wyrazić zgodę na to, co się stanie, i już chciała wypowiedzieć ją za pomocą najpiękniejszych słów i najśłodszej melodii, ale zabrakło jej pięknych słów i zabrakło słodkiej melodii, i tylko z wielkim trudem przez zaciśnięte gardło zdołała wyszeptać:

– Jestem służebnicą Elohim, przeto niechaj się stanie według słowa Jego.

Wysłannik rozplynął się bez śladu, oddalił się od niej i w niej, a Miriam powracała ze swojego utajonego wnętrza do rzeczywistości biednej izby, dzbanów na wodę i mąkę, i przetaka leżącego na progu, i tylko niebieskie oczy, gorączkowo i niespokojnie błyszczące pod czarnymi łukami brwi, pełne radosnej troski świadczyły, że uderzył w nią łagodny grom Pana najwyższych gór, El Szaddaja.

Wyszła przed dom. Usiadła przy drodze na ziemi, w pełnym słońcu, na podwiniętych nogach, spojrzała w czyste niebo, błękitne, bez jednej chmury, rozciągnięte jak jedwabna opona namiotu od Ezdrelonu po Karmel i góry Naftali, i zamknawszy powieki, zmęczona, trwała w bezruchu, rozkoszując się spokojem i ciszą, płynącą od pól i dolin, nasyconych zapachem świeżych ziół. Nagle poczuła na sobie cień, który ją coraz szczelniej otulał. Otworzyła oczy i spostrzegła, że pada na nią cienista smuga, chociaż na rozżarzoną niebie nie było ani jednego obłoku, ale mimo to cień padał od obłoku, gdyż cień był obłokiem, a obłok cieniem, a razem byli Szechiną, obecnością Jahwe, Jego mieszkaniem i objawieniem, cienistoobłocznym JESTEM, który wpłynął w krew Miriam i wraz z krwią wypełnił wszystkie komórki jej ciała, aż do ostatnich granic jej jestestwa. Opuściła powieki. Wtedy właśnie zbiegł ze wzgórza zdyszany Josef, stanął przed Miriam i wyciągnawszy do niej ramiona, chciał ją przywołać ku sobie miłującym słowem, ale spostrzegłszy smugę cienia, która ocieniała jej postać, zatrwożony, szybko cofnął wyciągniętą dłoń i szepnął:

– Co ci jest, Miriam?

Ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi i tylko widział, jak po jej wargach i zamkniętych powiekach powoli przesuwa się fioletowy cień.

Miriam u studni

Miriam z dzbanem na ramieniu szła do źródła po wodę. Jej twarz i ruchy były opanowane, ale pod owym pozornym spokojem kryło się gorączkowe wzruszenie, albowiem wyrzucała sobie, że nie spytała Wysłannika, jak ma się zachować wobec rodziców i Josefa, czy ma im powiedzieć o radosnej nowinie, czy też ma ją zataić. Bała się, że ta jej opieszałość może się stać powodem wielu trudnych i bolesnych nieporozumień, a przede wszystkim poczynań, sprzecznych z wolą Elohim. Przypomniała sobie, że podczas rozmowy z Wysłannikiem miała już na ustach kilka roztropnych słów, ale zaskoczona nowiną, w gwałtownym przepływie niespodziewanych wrażeń nie ośmieliła się zasypywać Go zbyt natarczywymi pytaniami. I oto z powodu przesadnej nieśmiałości biedna Miriam była teraz bezradna, smutnie uśmiechała się do rodziców, patrzyła z zakłopotaniem na kochanego Josefa, nie mogąc rodzicom wytłumaczyć swojego smutnego uśmiechu, a Josefowi swojego zakłopotania. Co ma zrobić? Jak ma się zachować? Jak ma powiedzieć Josefowi, że jest niepodzielną i nienaruszalną własnością El Haj – Boga Żywego, że ręka mężczyzny po nią wyciągnięta będzie musiała się cofnąć, jeżeli nie będzie chciała uschnąć, że cofną się wargi mężczyzny, jeżeli nie będą chciały zaniemówić na wieki, i cofnie się spojrzenie mężczyzny, jeżeli nie będzie chciało na wieki zagasnąć. Jak ma to wszystko powiedzieć Josefowi? Jak ma to wszystko powiedzieć rodzicom? Czy Josef uwierzy? Czy rodzice uwierzą?



Jehojakim i Hana wracali do domu zmęczeni po całodziennej pracy i nie mieli czasu ani sposobności zastanawiać się nad przyczyną smutnego uśmiechu córki, ale zakłopotanie Miriam nie uszło bacznej uwagi Josefa, który z początku nie przykładał do niego większego znaczenia, ale potem, gdy nie tylko nie uległo upragnionej odmianie, ale raczej coraz bardziej się pogłębiało – wyrażało się ono we współczującym spojrzeniu, którym Miriam nieśmiało odpowiadała na jego marzące rozważania o wspólnej przyszłości – na dobre się zaniepokoił, a ponieważ nie umiał znaleźć jego źródła, milczał, milczał cierpliwie, a oblubienica ledwo dostrzegalnym gestem dłoni lub tkliwym spojrzeniem dawała mu do zrozumienia, jak bardzo mu

jest wdzięczna za tę łagodną i milczącą cierpliwość.

Ale cierpliwość Josefa i wdzięczność Miriam nie rozwiązywały trudnego zagadnienia ich przyszłości.

Minęło kilka dni, a potem kilka tygodni i nic się między nimi nie zmieniło, gdyż oblubienica zachowała tajemnicę w swoim sercu, a oblubieniec wciąż okazywał zrozumienie dla spraw całkowicie przed nim zakrytych, chociaż po pewnym czasie z bólem uświadomił sobie, że wbrew jego najlepszej woli tworzy się między nimi przedział; byłby więc może wreszcie zdobył się na odwagę i spytał ją o powód wahania – cóż za niefortunne określenie! – ale po wielu nie przespanych nocach i rozmyślaniach nad sensem miłości, przywiązania i przedziału doszedł do przekonania, że ten przedział, który ich teraz dzieli, nie jest wcale przedziałem, albowiem ich właściwie nie dzieli, ale przeciwnie, łączy z sobą, zatem nie jest przedziałem, lecz mostem. Gdy wreszcie stwierdził sens i słuszność takiego spostrzeżenia na przykładzie dwóch sąsiadujących ze sobą szczytów górskich połączonych oddzielającą je doliną, olśniony i uradowany tym odkryciem pobiegł wieczorem do Miriam i siedząc u jej stóp na progu domu mówił o głębokościach łączących szczyty górskie, o głębokościach, z których ufnie woła głos człowieka do Pana, o głębokościach błogosławionych, pełnych nadziei i tęsknoty, a ona słuchała go uważnie i radowała się jego radością, albowiem mówił słusznie, mimo że mówił o sprawach całkowicie przed nim zakrytych.

A teraz stała przy źródle i powtórnie to wszystko rozważała. Woda ściekała do glinianego dzbana. Ostrożnym, lecz zgrabnym ruchem dłoni umieściła pełny dzban na ramieniu i podpierając go dłonią, szła wyprostowana i pokorna, i zdawało się jej, że dźwiga na ramieniu swojego Pierworodnego – żywą wodę życia – a im wyrazistsze było to złudzenie, tym szybsze i lżejsze były jej kroki, albowiem nie czuła ciężaru dzbana i wody.

Udała się pospiesznie w góry Judei

Miriam obudziła się. Była bezksiężycowa noc. Od pustyni dał chamsin i pędząc przed sobą gęste tumany piasku zatarł kontury nieba, domów, sadów i ogrodów, które zlały się w gęstą, lepka, czarną maź. Skwarny wiatr, nieustannie zmieniając głos, raz wył w drzewach migdałowych i zaroślach, to znów płakał i skowyczał jak szakał, z jękiem przywierał do ziemi, uciszał się i zamierał, aby po chwili rozpocząć od nowa swoje pustynne szaleństwo. Nagle od zachodu, od morza dał się słyszeć lekki szum, który nieśmiało zbliżał się, rósł na sile i dotarłszy w głąb rozpalonego ładu, rozlał się chłodnym, orzeźwiającym podmuchem po dolinach i górach, ale na

ten znak wiatr pustynny poderwał się ze zdwojoną siłą – chmury piasku runęły na rozczarowane sady, oliwki i winnice – znowu wył i szczekał szakalim głosem, szarpał ciemności i rzucał się w opętanych podrygach, aż wreszcie, zmęczony, umilkł. I znowu odezwał się cichy szum od morza. Ale tym razem silniejszy. Fale słonego powietrza wdzierały się do dolin, wpływały jak zastępy dobroczynnych aniołów w ogrody i w winnice, które, jeszcze skulone, ale już uśmiechnięte, z zaufaniem otwierały się na przyjęcie morskiego wiatru, zdobywającego pokorą i dobrocią coraz większą przewagę nad nieokiełznanym chamsinem, dzikim bratem Jiszmaelem, żyjącym na pustyni.

Miriam nie mogła spać. Wyszła przed dom. Usiadła na progu i powróciła do swoich nocnych myśli, które krążyły dokoła krewnej Eliszeby, żony kapłana Zecharii. Nigdy jej nie widziała. Od swoich rodziców słyszała o niej i jej mężu, o ich samotnym życiu i bezdzietności, która była źródłem ich smutku. Wieść o jej poczęciu sprawiła małej Miriam wielką radość. Ale czy tylko dla owej radości wspomniał Wyśłannik o błogosławieństwie Bożym, którym wypełniło się bezpłodne łono staruszki? Przecież chyba nie po to o tym mówił, by dać dowód Wszechmocy Niewidzialnego, albowiem i bez tego dowodu Miriam nigdy nie wątpiła o Jego potędze. Więc jak rozumieć słowa Elohim? Co one oznaczają? Czy są tylko tym, co oznaczają? Przecież często się zdarza, że są także tym, czego nie oznaczają – nie dzieje się to dlatego, że Elohim działa na opak, gdyż działa On zawsze prosto i celnie w sposób jawno-zakryty i złożono-prosty – a wówczas jak zrozumieć smutek, który jest radością, lub radość, która jest smutkiem, gorycz, która jest słodyczą, lub słodycz, która jest goryczą, jak zrozumieć szczyt, który jest dnem, i dno, które jest szczytem? Czy Wyśłannik, mówiąc o brzemienności podeszłej w latach Eliszeby, chciał wskazać na nią jako na jedyną zaufaną osobę, której Miriam może się zwierzyć ze swoich trosk i zmartwień i szukać u niej odpowiedzi na dręczące ją pytania? A może poczęcie Eliszeby stoi w jakimś tajemniczym związku z jej własnym Poczęciem? Z początku zagubiona w tym gąszczu świętych niedomowień kluczyła wśród nieczytelnych znaków i śladów, ale im bardziej gubiła się w zawitych domysłach i trudnych przypuszczeniach, tym silniej upewniała się w przekonaniu, że powinna się udać do Eliszeby, zamieszkałej w Ejn Karem, w dalekich górach Judei, i pozdrowić tę, której imieniem posłużył się Wyśłannik na dowód Wszechmocy Pańskiej.

Podniosła się z ziemi. W powietrzu panowała cisza. Od morza wciąż ciągnął lekki, chłodny powiew. Powietrze, przez całą noc nagrzewane pustynnym wiatrem i drżące od skwaru, teraz uspokojone i czyste, pachniało wonią gorzkich ziół płynącą od doliny Ezdrelon. Dla Miriam stało się jasne, że tylko Eliszebie może powierzyć

swoją tajemnicę i prosić ją o radę, albowiem tajemnica Eliszeby została jej powierzona, więc postanowiła udać się do Ejn Karem, by u boku tej, która uczestniczyła w niezbadany sposób w jej Zwiastowaniu, spędzić kilka spokojnych miesięcy. Troska i dręczące ją dotychczas pytania wydały się jej teraz tylko przewidującym wybiegiem, przynaglającym ją do drogi, gdyż naprawdę już o nic się nie troszczyła ani nie gnębiły jej żadne zmartwienia i nie dręczyły żadne pytania. Była szczęśliwa i spokojna. Świtało. Wróciła do izby. Zawiązała rzemyki u swoich sandałów, a do zawiniątka włożyła pół jęczmiennego placka. Zbudziła Jehojakima i Hanę i powiedziała im, że idzie do ciotki Eliszeby, i zanim rodzice zdali sobie sprawę z tego, co zaszło, wybiegła z domu i znikła za zakrętem drogi.

Udała się pospiesznie w góry Judei.

Miriam śpiewa

Słońce już zachodziło, gdy Miriam, zmęczona i okryta kurzem po trzydniowej podróży, odbytej częściowo na osle, którego jej po drodze użyczył wędrujący do Jerozolimy znajomy Jehojakima, pobożny garncarz, wreszcie weszła między wąskie uliczki Ejn Karem, położonego na zboczach wąwozu wśród rozkwitających o tej porze drzew migdałowych i oliwek. Dziewczęta czerpiące wodę u źródła wskazały jej dom Zecharii i Eliszeby. Odprowadzona wzrokiem gapiących się na nią mieszkańców miasteczka, poszła pod górę w zapadających szybko ciemnościach, krętą ścieżką, obrośniętą drzewami figowymi, do białego domu, stojącego na uboczu pod koronami wiekowych terebintów. Stała w drzwiach izby oświetlonej wątlym płomykiem oliwnej lampki. Za stołem siedział stary mężczyzna o ostrych rysach twarzy. Powieki miał zamknięte. Pograżony w półmroku, kołysał się rytmicznie i poruszał wargami, a swoim zewnętrznym wyglądem przypominał praojca Abrahama, przyjaciela Boga, zwłaszcza na tle krajobrazu, który był podobny do tamtego w Mamre. Miriam nie wiedziała, jak wyglądał Abraham i jaki był krajobraz w Mamre, jeżeli więc stwierdziła pewne podobieństwo między Abrahamem a Zecharią i dwoma krajobrazami, było ono raczej jej życzeniem, i to w odwróconej kolejności zdarzeń, czyli że Zecharia powinien wyglądać tak jak Abraham, a krajobraz w Ejn Karem jak krajobraz w Mamre, ale i w ten sposób sformułowane podobieństwo miało swoją głęboką wartość i wymowę, gdyż świadczyło o tchnieniu dostojności, które wypełniło postać Zecharii, a w tych wymiarach obojętne jest, czy życzenie nakładamy na rzeczywistość, czy rzeczywistość na życzenie.

W głębi, w kuchni przylegającej do izby krzątała się wysoka, szczupła niewiasta, która właśnie odwróciła się ku światłu, a wtedy Miriam ujrzała jej wydatną ciążę,

rysującą się pod fałdami luźnej tuniki. Na ten widok dziewczynę ogarnęło wzruszenie i poczuła w sercu wdzięczność dla tej kobiety, która swoim stanem wyprzedzała jej własne przeznaczenie. Pobożnie dotknęła palcami mezuzy – małego pudełeczka przytwierdzonego do drzwi, a zawierającego wypisane na skrawku pergaminu przykazania Boże – i przyłożyła palce do ust.

Stary mąż otworzył oczy, podniósł się z zydła i gestem ręki zaprosił ją do wnętrza izby, ale po jego spojrzeniu, w którym zakłopotanie mieszało się z resztkami zadumy pozostałej po modlitwie, łatwo można było poznać, że nie wie, kim jest owa dziewczyna stojąca w progu jego domu. Przypatrywał się jej coraz uważniej, a matowy blask jego oczu był dowodem, że pamięć starca, chociaż pracowała sprawnie i szybko, nadaremnie szukała w przeszłości twarzy nieznajomej dziewczyny. Dał więc spokój poszukiwaniom i tylko powtórnym gestem dłoni wskazał jej drogę do wnętrza izby, a ten gest, tym razem nieco głębszy, miał ukryć przed ewentualną wnikliwością gościa – co zawsze należało brać pod uwagę – chwiejną pamięć gospodarza. Tymczasem Eliszeba podeszła bliżej i przyglądała się uważnie dziewczynie. Ale mrok już zupełnie zatarł wyrazistość jej rysów, a światło lampki oliwnej podkreślało jedynie błysk niebieskich i sennych oczu pod równymi czarnymi łukami brwi. Nie wiadomo, jak długo trwałoby to kurtuazyjne oczekiwanie, gdyby nie Miriam, która pozdrowiła Eliszebę pozdrowieniem pokoju, a słowa jej, zwyczajne i proste, okazały się w skutkach wydarzeniem niezwykłym, wybiegającym daleko poza powszedni zwyczaj powitania. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że cudem jest nie tylko wskrzeszenie zmarłego czy uleczenie ślepego od urodzenia, ale może nim być również proste, codzienne zdarzenie, które z przyczyn głębokich, lecz niedostrzegalnych dla ludzkiego umysłu otwiera przed człowiekiem widok w głąb spraw niedocieczonych. Gdy więc ciężarna niewiasta usłyszała powitanie, wypowiedziane przez Miriam – było nim prawdopodobnie jedno z utartych powitań, jak na przykład „Bądź pozdrowiona, Eliszebo” lub „Pokój tobie, Eliszebo” – nagle poczuła w swoim łonie ruch płodu, co nie byłoby zjawiskiem nadzwyczajnym i nie należałoby przykładać do niego miary zdarzenia cudownego, gdyby nie towarzyszące tym ruchom olśnienie Eliszeby, która w przybyłej – nigdy jej dotychczas nie widziała – poznała córkę swojej stryjecznej siostry Hany, żony Jehojakima, wyrobnika z Nazarethu, i równocześnie przeczuła, że dźwiga ona Dziecko pod sercem.

– Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony Owoc żywota twojego. A skądże mi to, że przysła matka Pana mego do mnie? – rzekła.

Gdy po chwili rozważała swoje pytanie, niepokojące i zarazem pełne ufności, niezrozumiałe i zarazem jasne, nie mogła w sobie odnaleźć źródeł swoich nagłych

przeczuć ani tym bardziej logicznych przesłanek, które naprowadziły ją na myśl o macierzyństwie Miriam. Przecież źródłem tych niezwykłych powiązań nie mogło być prawo o skojarzeniu wyobrażeń, albowiem postać Miriam w świadomości Eliszeby kojarzyła się z ubóstwem, z ciężką pracą i z szarym życiem jej rodziców, a nigdy z królewską godnością matki błogosławionej między niewiastami, a przecież właśnie tak określiła Eliszeba swój stosunek do dziewczyny, dodając jeszcze takie zdanie: – Błogosławionaś, która uwierzyłaś, że wypełni się to, co ci oznajmiono.

Oznajmiono? Skąd o tym wiedziała Eliszeba? Nie umiając wytłumaczyć sobie sensu wypowiedzianych słów – po prostu słowo wyprzedziło myśl – Eliszeba dopiero po krótkim milczeniu rozumiała niezgłębioną mądrość tego, co powiedziała – właściwie tylko zdawało się jej, że rozumiała – i olśniona swoimi przewidywaniami i świadomością, że to wszystko, co mówi, przerasta ją i wywyższa, a wywyższając, czyni z niej pokorne naczynie Pańskich przeznaczeń, ze wzrastającym napięciem wpatrywała się w Miriam; a ponieważ Miriam z równym napięciem wpatrywała się w Eliszebę, obie kobiety patrzyły na siebie zdumione i własnym uszom nie wierzyły – Eliszeba temu, co mówi, a Miriam temu, co słyszy.

Usiedli, Zecharia i Eliszeba w głębi, do połowy w świetle, do połowy w mroku, pochyleni ku sobie. Miriam natomiast bliżej światła, wpatrzona w pełganie oliwnego płomienia. Chociaż myśleli o tym samym, jednak sens owych rozmyślań był bardzo różny. Podczas gdy Zecharia bolał nad swoim uciążliwym kalectwem i niemożnością porozumienia się z dziewczyną, którą Eliszeba pozdrowiła w tak niezwykły sposób, Eliszeba, przyczojona, wsłuchiwała się w ruch płodu – zdawało się jej, że płód jeszcze się porusza – ale nasłuchiwanie było daremne, gdyż uspokojone jej łono milczało, a Miriam, czując w sobie nieprzeparte pragnienie śpiewu, wyszła z izby, usiadła na progu i podniosła głowę, poczęła nucić melodię, ale bez słów, gdyż jeszcze ich nie znalazła, chociaż już wiedziała, o czym będzie śpiewać. I jak to zwykła czynić, ilekroć ogarniało ją natchnienie, cofnęła się myślą do zamierzchłej przeszłości i szukała w niej źródła swojego śpiewu, i odnalazła je w radosnym psalmie Hany, matki proroka Szemuela, w której była nawet skłonna widzieć swą własną matkę – wiadomo przecież, że wspólne imiona świadczą o powinowactwie losu i dusz, a matka proroka nosiła to samo imię co matka małej Miriam – gdyż psalm przed wiekami w uniesieniu śpiewany przez pobożną niewiastę był tak piękny i bliski sercu dziewczynki, że uważała go za swoją dziedziczną własność. Ale nie miała zamiaru go powtarzać, pragnęła tylko nawiązać do pewnych jego motywów, aby zaświadczyć ścisły związek między tym, co było w odległej przeszłości śpiewane przez jej matkę z psalmicznego wyboru, a tym, co dzisiaj sama zaśpiewa.

Zaśpiewała.

Jej dusza uwielbiła Elohim, a duch jej rozradował się w Panu, ponieważ spoczął na niej, poddanej służebnicy, Jego nieprzenikniony cień. Narody zwać ją będą błogosławioną – był to mimowolny oddźwięk pozdrowienia Eliszeby, ale wypowiedziany z tak wielką pokorą i ślepym zaufaniem, że brzmiał jak posłuszne echo dawno ustanowionych i dokonanych wyroków, których była tylko powolnym naczyniem – albowiem Niewidzialny uczynił jej wielkie i tajemnicze dzieło, dlatego święte jest Jego Imię, a nad tymi, którzy Go się trwożą, spocznie Jego miłosierdzie po wszystkie pokolenia. Tu Miriam ujrzała gniew Jahwe w postaci wyciągniętego ramienia, tym groźniejszego, że nie było ono ramieniem, ale jego znakiem, rozpostartym na całe niebiosa i miażdżącym w swej doskonałej nieodwołalności ludzi pysznych i knowania ich serc, i mocarzy strąconych z ich cedrowych tronów w otchłań szeolu. W żyłach Miriam wzburzyła się krew ubogich, krew anawim Jahwe, przeciw bogaczom i sytym, przeciw tym, którzy gromadzą złoto, krzywdę i bezbożność, i syci złota, krzywdy i bezbożności sprzedają sprawiedliwych za srebro, a biednych za parę sandałów i jak wszyscy ludzie syci, zapominają o potrzebujących, zatwardzają swoje serca i oddzielają je od Elohim obojętnością, nudą i ziewaniem. Ale krew ubogich płynąca w żyłach Miriam podniosła się ku Elohim nie tylko dlatego, że była krwią ludzi pracujących w pocie czoła na chleb powszedni, ale również i dlatego, że była krwią człowieka łaknącego miłosierdzia Pańskiego, a nędzarzem i żebrakiem według ducha, ciała i majątności jest każdy, który łaknie obecności El Szaddaja. Bogacz powinien wiedzieć, że jego bogactwo jest nic nie znaczącym tchnieniem wiatru, a mędrzec, że jego mądrość jest nic nie znaczącym pyłem, a syty, że jego sytość jest sytością bydłęcia, i dlatego ci, którzy posiadli prawdziwą mądrość, uważają się w swej pokorze za ubogich według ducha i są nieustannie głodni Słowa Pańskiego. Dlatego zaśpiewała teraz o pokornym wywyższeniu pokornych, anawim Jahwe, o głodnych, karmionych dobrami Pańskimi, i o bogaczach, odprawianych z niczym, i uczyniwszy krótką przerwę – czuło się, że teraz uderzy w ton uroczysty i najwyższy, który będzie podniosłym zakończeniem śpiewu – otworzyła usta, jej pierś wysoko się podniosła, jakby chciała wciągnąć w płuca cały bezmiar wieczoru, i zaśpiewała o swoim ludzie, o ludzie Izraela, którego Jahwe pomny na swoje miłosierdzie przygarnie do siebie – znamienne jest, że po raz drugi wspomniała o miłosierdziu Pańskim, raz śpiewając o trwających w bojaźni, a obecnie o Izraelu – gdyż jest wierny przyrzeczeniu danemu jej ojcom, Abrahamowi i jego potomstwu na całą wieczność. Te ostatnie słowa o niezniszczalności Przymierza i obietnicy wprowadzie wyśpiewała, jak przystało na finał, tryumfalnie, ale zawiesiła je w powietrzu za pomocą przeciągłego akcentowania ostatnich zgłosek, co czyniło wrażenie, że słowa wciąż brzmią i trwają,

i wypełniają sobą całą przestrzeń.

Wstała i wróciła do izby. Z dworu dochodziło cykanie świerszczy i szum terebintów, w których szeleścił zachodni wiatr, przesycony zapachem soli i świeżej zieleni. Zecharia spojrzął z podziwem na Miriam.

– Pragnę, aby córka mojej siostry została u nas do dnia narodzin dziecka mojego – rzekła Eliszeba. Zecharia potakiwał głową.

– Spełnię życzenie mojej pani i mojego pana – odparła Miriam i pomyślała z radością, że Zecharia jest naprawdę bardzo podobny do przyjaciela Boga, praojca Abrahama, którego wreszcie ujrzała w swoim wielbiącym uniesieniu.

Rozmyślania nocne

Gdy Miriam przed udaniem się na spoczynek podeszła do Zecharii – przedtem już dziwiło ją uparte jego milczenie – i spytała go o zdrowie, z ust starca zamiast słów wydobyło się mamrotanie, którego nie mogła zrozumieć, przy czym wykonywał kanciaste, nieudolne ruchy palcami, ale wysiłek jego był bezskuteczny. Im gwałtowniej gestykulował, tym ciemniejszy był sens tego, co chciał powiedzieć.

A teraz Miriam, leżąc na pościeli, zastanawiała się nad kalectwem Zecharii. Nigdy dotychczas nie słyszała od swoich rodziców, aby był niemy. Przypomniała sobie, jak Jehojakim, powróciwszy raz z Jerozolimy, opowiadał o swojej rozmowie z Zecharią i przytaczał jego celne powiedzenia i głębokie myśli, które słusznie zjednały mu w całej rodzinie w Ejn Karem i Nazarecie i wśród kapłanów w Jerozolimie szacunek i miano mędrca. Poza tym wiedziała, że według przepisów rytualnych kapłanem, hakohen, nie może zostać człowiek ułomny, jak więc mógłby Zecharia, niemowa, spełniać obowiązki kapłańskie i udzielać błogosławieństwa w Świątyni Pańskiej? Nie umiała wytłumaczyć sobie tych sprzeczności, ale nie chciała o to pytać Eliszeby, gdyż o pewne sprawy nigdy nie należy pytać, a do tych spraw zaliczyła teraz ułomność Zecharii. Świadczyło to nie tylko o delikatności jej uczuć, ale również o umiejętnej i przenikliwej ocenie zjawisk, które zawsze starała się badać nie od strony ich widzialnej powierzchni, ale od ich ukrytego wnętrza i nieprzeniknionej głębokości.

Gdy tak rozmyślała na swoim pościeli, usłyszała kroki i ujrzała Eliszebę, która ciężko oddychając, z trudem uklękła u jej wezgłowia i szepnęła do ucha:

– Córka mojej siostry zapewne się dziwi, że Zecharia oniemiał – tu westchnęła. – Tak, oniemiał, ale nikt nie wie dlaczego, nikt.

Podniosła się z kolan i stąpając na palcach, wróciła do swojej izby. I Miriam spokojnie usnęła.

Wypiek chleba

Powiał świeży wiatr. Wysoko na niebie przeleciał spóźniony klucz bocianów. Gaje oliwne, czerwone od wieczornej zorzy, zasnute smugami liliowej mgły, wyglądały jak dopalające się kadzielnice. Od strony Jerozolimy potężniał w popielatym powietrzu surowy łańcuch gór, które opadając ku zachodowi traciły swoją zapalczliwość i gwałtowność i tworzyły w Ejn Karem, w przeciwieństwie do dzikich i samotnych pastwisk Judei, cichą i pogodną dolinę. Ludzie wracali z pola.

Podczas gdy Zecharia pracował jeszcze w oliwnym gaju, położonym na dnie doliny, Eliszeba pochylona nad kamienną miską przyrządzała mężowi jego ulubioną potrawę z soczewicy. Zalała ją oliwą, pokrajała cebulę w plasterki, dorzuciła ząbek drobno posiekanego czosnku i zmieszawszy to wszystko, wrzuciła całą zawartość miski na gorącą patelnię. Zapach skwierczącej oliwy i przysmażonej cebuli wypełnił kuchnię. Tymczasem Miriam wyjmowała z dzieży pulchne ciasto, które fermentowało przez całą noc pod działaniem żywnego kwasu, ugniatała je na stole, dzieliła na małe części, nadając im kształt kolisty, po czym ubijała je na płasko dłońią i posypawszy mąką, wsuwała do piekarnika.

W kuchni panowała cisza, przerywana tylko klaskaniem dziewczęcych dłoni, uderzających w ciasto, a była w tym klaskaniu nie tylko gospodarska troska o kształt chleba, ale również głęboka wola przekazania ciastu za pomocą rytmicznych ruchów dłoni tętna żywego życia, owej wewnętrznej, świetlicie wibrującej muzyki, którą każdy człowiek w sobie dźwiga, a jeżeli nie przenosi jej na dzieła swoich rąk, wychodzą spod nich rzeczy martwe, bezużyteczne, a może nawet i złe. I właśnie w palcach Miriam była owa życiodajna muzyka, i dlatego owo klaskanie przywiodło Eliszebie na myśl wolę Bożą, która spoczęła na jej siostrzenicy. Przerwała pracę i nie patrząc na dziewczynę, obracającą chleb w piecu, skąd dochodził ciepły zapach przyrumienionego ciasta, spytała jakby od niechcienia:

– Czy Josef ben Jaakow wie o Łasce, która spłynęła na ciebie, córko moja?

– Nie wie – odrzekła Miriam. Na jej ciemnej twarzy wystąpiły rumieńce, prawdopodobnie od żarzącego się w piecu węgla drzewnego.

– Więc kto mu oznajmi ową radosną nowinę?

– Nie wiem – odparła Miriam.

Eliszeba wrzuciła zawartość patelni na miskę i postawiła ją na stole. Przyniosła dzban wina, kubek i sól. Miriam wyjęła z pieca gorący placek i położyła go obok dymiącej miski.

– Czy siostra mojej matki sądzi, że powinnam z nim o tym pomówić? – spytała Miriam niepewnym głosem.

Eliszeba otwierała już usta, aby jej odpowiedzieć, gdy właśnie wszedł do izby Zecharia. Umył ręce i usiadł przy stole. Przełamał chleb, po czym jego kęs zanurzył w soli i trzymając go w dłoni na wysokości ust, bezgłośnie poruszał wargami. Eliszeba i Miriam poznały po wymownym ruchu jego niemych warg, że zmawia błogosławieństwo przed jedzeniem: – Baruch atah Adonaj, elohenu melech haolam hamocija lehem min haarec – Błogosławiony bądź, Panie Boże nasz, Królu Wszechświata, który wyprowadzasz chleb z ziemi.

Zecharia podniósł do ust kęs chleba i żuł go powoli, uśmiechając się do Miriam, albowiem smakował mu chleb wypiekany jej rękami.

Narodziny syna Zecharii

Był początek lata, gdy Eliszeba porodziła syna. Zecharię, który wtedy pracował w ogrodzie, sąsiedzi radosnymi okrzykami przywołali do domu. Obejmowali go, całowali w ramię, wypowiadając słowa błogosławieństwa dla dziecka i rodziców, przy czym nie omieszkali już na zapas błogosławić synów jego syna, dzięki czemu Zecharia dowiedział się, że dziecko jest płci męskiej, co wprawdzie zapowiedział mu anioł w Świątyni Pańskiej, więc nie było to dla niego niespodzianką, ale przyjemnie mu było już po drodze do domu usłyszeć z ust sąsiadów potwierdzenie Bożych przyrzeczeń. Biegł, potykając się o kamienie, odwzajemniał uściski na prawo i lewo, a chociaż sprawiały mu one wielką radość, jednak z wrodzoną dobrotliwością uwalniał się od nich, chciał bowiem jak najszybciej stanąć u łóża swojej żony. Wymachiwał rękami i klepiąc po plecach biegnących obok niego sąsiadów, sapał i sadził pod górę, i nadmiernie odczuwał ciężar swojego kalectwa, gdyż wszystko w nim śpiewało, wołało i krzyczało z radości, i domagało się głośnego wypowiedzenia wzruszeń. Wpadł do izby, ale zaraz na progu przystanął. Kobiety, które zbiegły się z sąsiednich domów, by służyć radą i pomocą Eliszebie, siedziały teraz na ziemi i płaczliwym śpiewem błagały proroka Elijahu, opiekuna rodzących matek, aby odpędził od łóża położnicy nieczystego ducha, przewrotną Lilith, która czyha na życie, szpik i krew niemowlęcia. Żarliwie się kołysały i gwałtownie wyrzucały przed siebie ręce, odganiając nacierającą upiorzycę. Ich lamentujący głos przeszedł w gniewną groźbę, ale wkrótce zabrzmiał słodczą psalmiczną pieśnią, pełnej ufności i spokoju. „Słońce – śpiewały – nie będzie cię razić za dnia, a księżyc w porę nocną. Bóg strzec ciebie będzie i duszy twojej od wszelkiego zła. Bóg strzec cię będzie, gdy będziesz wychodził i gdy będziesz powracał, teraz i na wieki wieków.” Przewrotna Lilith oddaliła się bez łupu, a zmęczone kobiety wciąż jeszcze nagłymi ruchami wyrzucały przed siebie zmęczone ręce, ale czyniły to już

w zwolnionym tempie i raczej z przesadnej ostrożności niż z potrzeby, co było szlachetnym dowodem ich troski o los położnicy i dziecka. Wprawdzie jeszcze tu i ówdzie podnosiły się w nagłym zrywie oderwane okrzyki, ale szybko gasły i wkrótce cisza zaległa izbę. Zecharia cofnął się od progu. Wszedł przed dom i czekał na dworze w otoczeniu najbliższych krewnych i przyjaciół, którzy na wiadomość o porodzie Eliszeby przybyli w pośpiechu do szczęśliwego ojca, aby uczestniczyć w jego radości. Tymczasem kobiety umyły noworodka, natarły go solą, owinęły w pieluszki, położyły obok matki i szybko się oddaliły do swoich domów, wiedziały bowiem, że Zecharia niecierpliwie czeka na ich odejście, gdyż pragnie oczy swoje do syta nacieszyć widokiem pierworodnego. Wszedł do izby. Zbliżył się do łoża, spojrział ze stropioną miną na żonę, potem na dziecko, ostrożnie wziął je na rękę, wszedł przed dom, usiadł na ławie i na oczach krewnych i przyjaciół położył niemowlę na swoich kolanach na znak, że je wobec wszystkich uznaje za swoje dziecko.

– Widzimy i przyświadczamy! – krzyknęli chórem. Wrócił do izby, jeszcze przez chwilę ze wzruszeniem przyglądał się synowi, po czym oddał go matce. Pomarszczona dłoń starca powoli spłynęła na pomarszczoną twarzyczkę noworodka i objęła opiekuńczym gestem jego głowę. Niemowlę zniecierpliwione przeciągającymi się czułościami zaczęło kwilić i chcąc się wyswobodzić spod troskliwej opieki ojcowskiej dłoni, nieufnie cofnęło główkę. Zecharia, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie teraz czerwony owoc granatu, który tuż obok niego spadł wczoraj z drzewa. Podniósł go z ziemi i długo medytował nad sensem spadającego owocu. Ale teraz nie mogąc sobie wytłumaczyć, co ma wspólnego główka jego dziecka ze spadającym z drzewa owocem granatu – właściwie był nieco dotknięty nieufnością dziecka – zatrzymał wzrok na Eliszebie, gdyż spodziewał się, że znajdzie u żony pełnię zrozumienia i zgody dla swej troskliwości. Nie mylił się. Spojrzenie jej ciemnych, płonących oczu – spadek po rodzie Aarona – spoczęło z uznaniem na Zecharii. Jej kasztanowe włosy gęstymi splotami opadły na poduszki. Była teraz tak młoda jak przed czterdziestoma laty, gdy ją wprowadził pod dach swojego domu wśród dźwięków harfy i fletu, i śpiewu o oblubienicy, pięknej jak wieża Dawida i świeżej jak róża dolin. Zecharia nieomal przeraził się z powodu jej piękności i patrząc z zachwytem na żonę, uprzytomnił sobie z lękiem swój podeszły wiek, swoje zmarszczki i szpakowatą brodę. Nie wiadomo, czy Eliszeba wiedziona kobiecą intuicją rozumiała jego lęk, czy też będąc u szczytu szczęścia wyczytała z twarzy męża to samo, co on wyczytał z jej twarzy, w każdym razie padły z jej ust słowa, które przywróciły w biednym Zecharii harmonię pomiędzy nim a czasem. Eliszeba rzekła:

– Jesteś piękny jak cedr Libanu.

Na te słowa Zecharia ukląkł i chciał Eliszebę pocałować w czoło, ale cofnął się, gdyż w porę przypomniał sobie, że żona jego nie poddała się oczyszczeniu, co miało nastąpić dopiero za dni czterdzieści.

Johanán

Przez cały dzień trwały przygotowania do uroczystości obrzezania. Zecharia kazał zarznąć tuczego cielca, Miriam i sąsiadki krzątały się po kuchni, piekły placki na miodzie z rodzynkami i daktylami, gotowały soczewicę i bób i smażyły ryby. W dniu radosnego święta już od samego rana poczęli gromadzić się krewni i sąsiedzi. Zecharia w odświętnej nowej tunice i pięknych sandałach witał gości – niestety milcząco – wskazywał im miejsce według starszeństwa przy stole, częstował, nalewał wino, ścisnął, wychodził przed dom i zapraszał – niestety milcząco – do wnętrza izby nieznanymi przechodniów, gdyż wierzył, że jednym spośród nich będzie prorok Elijahu, który zawsze uczestniczył w uroczystościach obrzezania w postaci niby przypadkowo przybyłego wędrowca. Wreszcie zjawił się mohel. Zecharia wprowadził go uroczysto do domu i posadził na honorowym miejscu, i z trudem precyzyjnie się na środek izby – goście roześmiani i rozgadani siedzieli za stołem, inni, mniej szacowni, stali w przejściu i pod ścianami, a młodzież tłoczyła się w sieni prowadzącej do kuchni i ogrodu – i klasnął w dłonie, a wówczas zaległa śmiertelna cisza, taka, że słychać było senny szum terebintów, szeleszczących na dworze. Oczy wszystkich skierowały się na kotarę z trzciny łodyg, przetykaną różnokolorowymi koralikami i muszelkami, zasłaniającą wejście do sąsiedniej izby, w której leżała Eliszeba. Czyjeś usługane ręce rozchyliły od wewnątrz zasłonę i w progu stanęła Miriam niosąc pierworodnego, odzianego w jedwabną koszulkę, i wręczyła go kumowi, młodszemu bratu Zecharii. Mężczyźni nałożyli chusty modlitewne. Kum, wysoki, pleczysty mężczyzna, stał na środku izby, do głębi przejęty swoją rolą, zatem bardzo sztywny i uroczysty. Miriam wróciła za kotarę, do Eliszeby. Zaszleściła zasłona, tłumiąc dyskretnie szepty, które dochodziły z niewieściej izby. Mohel utkwiał gniewny i wyczekujący wzrok w rozkołysanych trzciny łodygach zasłony, jakby chciał spojrzeniem uciszyć jej niesforny szelest i płynące spoza niej szmery. Gdy wreszcie wszystko umilkło, zbliżył się do dziecka. Stojący obok chłopiec o filuternych, rozbieganych oczach wyjął z futerału kamienny nóż i wręczył go mohelowi, który trzymając go w prawej dłoni, lewą wznosił do góry i zaintonował jasnym i czystym głosem: – Niech będzie błogosławiony Pan, który zawarł z Izraelem Przymierze i nakazał obrzezanie.

Wypowiedziawszy te słowa, zbliżył się do dziecka, a wówczas obecni, dumni, lecz nieco zawstydzeni, dyskretnie odwrócili głowy, wsłuchani w kwilenie niemowlęcia, które właśnie wchodziło w Przymierze z Elohim, z Bogiem Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, i witało Pana Zastępów pierwszym cierpieniem i pierwszą krwią. Ponieważ Zecharia był niemy, brat jego, kum, w jego zastępstwie wypowiedział głośno błogosławieństwo: – Bądź błogosławiony, Wiekuisty, Boże nasz, Królu Wszechświata, który uświęciłeś nas przez swoje przykazania i nakazałeś to niemowlę wprowadzić w Przymierze zawarte z Tobą przez naszego praojca Abrahama. – Mohel odpowiedział: – Niechaj niemowlę, które zawarło Przymierze z Panem Zastępów, żyje w duchu Tory i na chwałę Tory i niechaj w życiu swoim zawsze spełnia dobre uczynki. – Goście chórem odpowiedzieli: – Amen. – Po czym mohel spytał:

– Jakie imię nadasz chłopcu, Zechario, kapłanie?

Pytanie to, skierowane do szczęśliwego ojca, miało charakter tylko grzecznościowy, albowiem stary kapłan nie mógł odpowiedzieć. Dlatego oczy gości skierowały się na pleczystego brata, który wyręczając Zecharię rzekł:

– Ponieważ brat mój, Zecharia, jest najstarszym z rodu, a Elohim pobłogosławił go potomkiem na starość dni jego, dobrze będzie, jeżeli pierworodny otrzyma imię ojca, aby był po najdłuższe swoje lata zwany Zecharia ben Zecharia.

Na te słowa kapłan począł przecząco wymachiwać rękami, a tej gwałtownej gestykulacji towarzyszyło nerwowe bełkotanie, które było oczywistym dowodem protestu przeciw wywodom brata. Zapanowało powszechne zakłopotanie. Goście zbici w małe gromadki szeptali między sobą, żywo komentując rodzinny spór, i nie wiadomo, jak długo jeszcze trwałby ów zamęt, gdyby nie mohel, który wywoławszy Miriam z sąsiedniego pokoju, w krótkich i rzeczowych słowach polecił jej spytać Eliszabę o zdanie. Mijały chwile, Miriam nie wracała. Równocześnie – ta równoczesność obu wydarzeń uczyniła potem głębokie wrażenie na gościach i była przedmiotem wielu rozważań i wnikliwych uwag – ktoś z obecnych, zdaje się ów chłopiec o filuternych, rozbieganych oczkach – trudno było w ścisłości i zamieszaniu stwierdzić z całą pewnością, kto pierwszy wpadł na ten jedyny rozsądny pomysł rozstrzygnięcia rodzinnego sporu, a niektórzy zaklinali się, że sam Zecharia wymownym ruchem dłoni dał do zrozumienia gościom, iż chce napisać imię syna – podał rylec i tabliczkę, na której kapłan drżącą ze wzruszenia ręką wykaligrafował: Johanan imię jego. Właśnie w tej samej chwili Miriam wróciła do izby i wśród ogólnego rozgardiaszu przekazała mohelowi szeptem, na ucho, wolę matki, aby dziecko imieniem Johanan było nazwane. Zdumiony mohel obracał w dłoniach tabliczkę z wypisanym na niej przez Zecharię imieniem dziecka i nachyliwszy ucho

ku Miriam, zapytał:

– Jakie imię? Jakie?

– Johanan – powtórzyła Miriam.

– Johanan ben Zecharia będzie imię jego – zawołał podniosłym głosem mohel, a wszyscy, chociaż zawiedzeni byli zbyt szybkim rozstrzygnięciem rodzinnego sporu, i dziwiąc się z powodu tego imienia – nikogo w rodzie Zecharii i Eliszeby Johananem nie nazywano – jak przystało na wdzięcznych i dobrze wychowanych gości, wznosili gromkie okrzyki: – Na szczęście, na szczęście!

Zecharii zrobiło się duszno. Wyszedł na próg zaczerpnąć świeżego powietrza i wrócił do izby. Rad był, że wśród powszechnej zabawy, która teraz na dobre się rozszalała, może nie zauważony oddać się rozmyślaniom. Rozejrzył się dokoła. Widział, jak Miriam wnosi dziecko do sąsiedniej izby. Goście suto raczyli się jadłem i winem. Młodzież tańczyła i śpiewała. Zecharia ze smutkiem pomyślał, że wszystkie przyszłe sprawy wypełnią się już bez jego udziału, albowiem jest stary i zmęczony, więc na pewno nie doczeka owych lat, gdy według otrzymanej obietnicy jego syn będzie wielki przed Elohim, a stroniąc od wina i sycery i zapuściwszy długie włosy, będzie nazirem, poświęconym Panu Cebaoth, a włosy jego będą święte jak włosy Samsona, albowiem włosy jego będą stolicą życia, stolicą siły, koroną Bożą, a owa korona, owa stolica życia, owa stolica siły nigdy nie spadnie z głowy Johana nazira, chyba że sama jego głowa odpadnie od tułowia, co się nigdy nie stanie, gdyż Elohim mieć go będzie w swojej opiece i otoczy aniołami, i dzięki temu po najdłuższym życiu – w którym wielu synów izraelskich nawróci do Przedwiecznego i wyprzedzi Tego, który ma przyjść, i przygotowuje dla Niego drogę – poniesie do grobu na swojej głowie nigdy nie strzyżone włosy, stolicę życia i stolicę siły, koronę Bożą.

Wprawdzie wszystko ułożyło się szczęśliwie, ale smutek nie opuszczał Zecharii. Nieustannie myślał o przyszłości dziecka. Gdy podrośnie, odeśle je na pustynię, do samotnych braci w pustelni w Qumran, których považał dla ich pobożności i bogobojności, dla nie skażonego obłudą ducha pokory i umiłowania Tory, do braci milczenia, aby życiem swym przyświadczał Panu i sprawiedliwemu milczeniu ojca, milczeniu, które towarzyszyło zapowiedziom jego urodzin i jego narodzinom, aby połączył milczenie ojca ze swoim milczeniem, ciszę ust ojcowskich, pokaranych przez anioła, z ciszą ust swoich, błogosławionych przez wszystkie chóry anielskie. Ciemności okryły ziemię. Niechaj jego syn pierworodny stanie w szeregach synów Światłości przeciw wojskom Kittim i synom Beliala.

I wciąż trwał smutek starego kapłana, ale mimo tego smutku nawiedzającego często człowieka w chwilach najradośniejszych – ten smutek radości jest chyba tylko

udziałem mędrców i dlatego na pewno dany jest od Boga – Zecharię wypełniła gorliwa wdzięczność dla Pana i uderzyły w niego fale ekstatycznej radości, były coraz silniejsze, silniejsze, silniejsze, i ogarnęła go niepokromiona miłość dla Pana, który wszystko wypełnił aż do ostatniej litery swojej obietnicy, do ostatniej... Czy ostatniej? Zecharia zbladł. Zdawało mu się, że płomienie buchają z jego gardła. W ustach poczuł ogień, jakby były wypełnione żarzącymi się węglami. Nieprzytomny z bólu rozchylił wargi, tak jak otwiera się bramy płonącego domu, i chcąc wyrzucić z siebie ukrop lawy, żużlu i płomieni, ryknął:

– Baruch Adonaj, Elohaj Israel min haolam wead haolam! – Błogosławiony Bóg, Pan Izraela po wieki wieków!

Goście, słysząc ten krzyk, zamarli w przerażeniu i szeroko otwartymi oczami patrzyli na Zecharię, który wyrzuciwszy z siebie błogosławieństwo, podniósł oczy do nieba i z ulgą wyśpiewał pieśń na chwałę Pana, a pieśń owa brzmiała w jego ustach, jakby ją śpiewał nie skromny kapłan Świątyni Pańskiej, ale sam król Dawid. Eliszeba, oparta na ramieniu małej Miriam, w otoczeniu krewnych i sąsiadek przystanęła w progu izby, z trudem dając wiarę uszom i oczom. A Zecharia, oczy zwróciwszy ku niebu, wciąż śpiewał w zachwyceniu, jakby nie widział żony, małej Miriam i kobiet stojących w progu izby, jakby nie widział krewnych, sąsiadów i mohela, jakby sam jeden był w izbie, sam na sam z Elohim, śpiewał na chwałę Elohim, który nawiedził i odkupił swój lud i wzbudził w rodzie Dawida potęgę zbawienia, jak to zapowiedział przez usta proroków i według przysięgi danej Abrahamowi, że wybawi Izraela od nieprzyjaciół i z rąk tych, którzy go nienawidzą, aby Izrael mógł Mu służyć bez trwogi. A wyśpiewawszy pieśń o Niewidzialnym, zaśpiewał teraz na chwałę swojego pierworodnego, gdyż ujrzał go prorokiem Najwyższego, gotującym drogi dla zbawienia Jeszuruna i dla odpuszczenia jego grzechów przez Światłość niebiańską, która oświeci będących w ciemnościach, czyli w mroku śmierci, a śpiewając o Światłości i ciemnościach, dobitnie akcentował te dwa słowa, pierwsze wypowiadając jasnym i radosnym głosem, drugie – stłumionym i ciemnym.

Gdy skończył, goście radowali się jego odzyskanym głosem, a potem jedli i pili, i śpiewali do rana, a wraz z nimi jadł i pił, i śpiewał, i radował się starzec Zecharia, kapłan ze zmiany Abijama.

Nocna rozmowa

Podczas gdy Miriam spokojnie spała, uśmiechając się do swoich pokornych snów – a działo się to właśnie po dniu, w którym przybył znajomy garncarz,

przypadkowy opiekun i towarzysz jej podróży z Nazarethu do Ejn Karem, i przywiózł pozdrowienie od rodziców i Josefa wraz z ich gorącą prośbą, by wreszcie wróciła do domu – Eliszeba długo w nocy rozmawiała z Zecharią, który wspierając głowę na dłoni, uważnie się przyglądał powierzchni dębowego stołu, jakby chciał z jej powikłanych słojów wyczytać odpowiedź na trudne pytania żony. W istocie niewiele obchodziły go dębowe słoje stołu, a jeżeli wlepił w nie uparte spojrzenie, to tylko dlatego, że miał zwyczaj – ilekroć zastanawiał się nad ważnymi sprawami – uwagę swoją kierować na przedmioty, których zimna obojętność pozwalała mu skupić się i uporządkować rozproszone myśli.

– Jeżeli moja żona uważa – ciągnął z namysłem Zecharia – że powinienem iść, to pójdę, ale Elohim jest mi świadkiem – niech będzie błogosławione święte Imię Jego – że nie wiem, czy potrafię wywiązać się z powierzonego mi zadania, tym bardziej iż nie wydaje mi się, bym był godny, uprawniony i przeznaczony do załatwienia spraw dziejących się między Niewidzialnym a Miriam. Wprawdzie żona moja zawsze umie za pomocą mądrych i kunsztownych dowodzeń rozpraszać moje wątpliwości, ale tym razem wiele z nich jeszcze we mnie pozostało, a te, które pozostały, są nie mniej ważne od tych, które zostały rozproszone. Przede wszystkim – a to może jest najważniejsze – nie wiem, czy Wiekuisty życzy sobie, abym właśnie ja wtajemniczał Josefa w niezbadane wyroki i zamiary niebiosów, i czy w ogóle wolno mi przed Josefem ujawnić to, co może powinno być zakryte do czasu, aż Pan Cebaoth widomym znakiem zażąda od nas, abyśmy oblubieńcowi ujawnili błogosławioną prawdę. Poza tym obawiam się, że mój sposób myślenia i mówienia, zmierzający prosto do celu – a żona moja wie, że nie posiadam daru kluczenia wśród słów i porównań – może stać się przyczyną wielu nieporozumień, które – niechaj nas Pan od tego uchwata – mogą wbrew naszej woli zagmatwać trudno-łatwe położenie, w jakim z woli Wiekuistego znaleźli się Miriam i Josef. Mój sposób mówienia nie jest tym sposobem, który należy stosować w rozmowie z Josefem. Już raz z własnej winy, z powodu zbyt natarczywych pytań i pewnych zwątpień, wynikających moim zdaniem tylko z pokory i poczucia własnej znikomości, naraziłem się Panu – niechaj będzie błogosławione święte Imię Jego – i przez długie miesiące byłem porażony niemotą. Świadczy to, że Panu niezbyt podobają się moje pytania.

Eliszeba wstała od stołu i rozsunęła trzcinową zasłonę, zawieszoną w drzwiach prowadzących na dziedziniec. Od gór spalonych lipcowym skwarem powiało nocnym wiatrem. Niebo, równie jak ziemia zmęczone całodzienną spieką, teraz wypoczywało w cieniu gwiazd, mrugające i ogromne, zamknięte na wschodzie grzebieniem gór, za którymi spała stolica Pana Niebieskiego Ładu, Jeruzalajim Hakodesz. Kobieta spojrzała w kierunku niewidocznego miasta, którego wieczną

obecność poprzez góry, doliny i rzeki wyczuwał każdy syn i wyczuwała każda córka Izraela, i bez słowa wróciła do izby. Nachyliła nad półotwartymi ustami dzban i chciwie piła chłodną wodę o zapachu ziemi. Usiadła.

– Mój pan wprawdzie zawsze ma słuszość – mówiła powoli, z namysłem – ale niekiedy w życiu się zdarza, że dopiero z dwóch słuszości powstaje jedna prawda. Dlatego proszę, aby mój pan zechciał cierpliwie wysłuchać swojej służebnej i jej słowo dołożył do swojego słowa, i razem je zważywszy na sprawiedliwej wadze, wypowiedział swój mądry sąd. Elohim dał znak Miriam, że pomiędzy Owocem jej żywota a Johananem zadzierzgnięty jest tajemniczy węzeł. Nikt o tym nie wie poza nią, mną, a teraz mężem moim. Jesteśmy zatem jedynymi ludźmi, którzy znają tajemnicę małej Miriam, albowiem nie znają jej nawet Jehojakim i Hana, co jest oczywistym dowodem, że Pan właśnie nas uczynił swoimi powiernikami i narzędziem swoich zamierzeń, czego powinniśmy być w pełni świadomi. Dobrze świadczy o moim mężu, że w pokorze swojej uważa się za niegodnego załatwienia spraw dziejących się między Wiekuistym a Miriam, ale powinniśmy pamiętać, że chęć zrzucenia z siebie obowiązków względem Elohim, nawet w imię pokory i własnej znikomości, może być poczytana za tchórzostwo, o które nigdy bym się nie ośmieliła oskarżyć mojego pana. Szczęśliwa będę, jeżeli mój pan, oddaliwszy od siebie wahanie i troskę, wczesnym rankiem uda się z małą Miriam do Nazarethu, aby przygotować Josefa oblubieńca na przyjęcie błogosławionej Nowiny. Co sądzi mój pan o słowach moich? Zecharia pochylił głowę i rzekł:

– Słusznie mówi żona moja, pójdę do Nazarethu. Eliszeba wstała od stołu.

– Niech Elohim czuwa nad snem mojego pana – rzekła z ulgą.

– I nad snem mojej żony – szepnął Zecharia, zzuwając z nóg sandały. Niewiasta przystanęła i jakby sobie coś przypomniała, rzekła:

– Niechaj mój pan, gdy będzie rozmawiał z Josefem oblubieńcem, używa według swego zwyczaju słów prostych, ale niech nie stawia mu żadnych pytań.

– Usłucham rady żony mojej – odparł z ciężkim sercem Zecharia. I udali się na spoczynek.

Droga do Nazarethu

O świcie wyruszyli w drogę. Eliszeba dała im dwa koszyki; w jednym były daktyle, ser i placki, przeznaczone na drogę, w drugim chusta modlitewna i tefilin Zecharii oraz podarunki dla Hany i Jehojakima: sandały, płótno lniane na letnią tunikę i skórzany pas. Zecharia umocował wór z wodą u siodła oślicy, wprawdzie młodej, ale spokojnej i rozważnej. Długo zastanawiał się, które ze zwierząt ma

wybrać, i po głębokim namyśle wybór jego padł na młodą Midbar („Mąż sprawiedliwy zna duszę swojego zwierzęcia” – napisał król Salomon), zwierzę może trochę powolne, ale mocne w pęcinach i stąpające ostrożnie, co było przede wszystkim ważne, gdyż przeznaczył je dla Miriam, a sam wbrew zwyczajowi postanowił iść piechotą obok oślicy. Wprawdzie Eliszeba radziła mu, aby wziął pod wierzch drugiego osła, ale Zecharia wytłumaczył jej, że w drodze powrotnej, gdy będzie wracał sam do Ejn Karem, drugi osioł, idący luzem, będzie dla niego tylko zbędnym ciężarem i zawadą. Eliszeba nie nalegała, gdyż wiedziała, co Zecharia ma na myśli, mówiąc o zbędnym ciężarze i zawadzie. Lubił podczas podróży zapominać o całym świecie, śpiewać i medytować i dlatego wołał nie zaprzętać sobie głowy pilnowaniem idącego obok osła, który podobnie jak człowiek, dzięki skłonnościom do filozoficznych rozmyślań, jest stworzeniem roztargnionym, więc uciążliwym.

Zecharia ucałował mezuzę, pobłogosławił Eliszebę, Johanana, dom, zwierzęta w stajni i studnię w ogrodzie, a wreszcie małą Miriam, gdy dosiadała oślicy Midbar.

Ruszyli w drogę. Ominęli Samarię, pod Jerychem przeprawili się przez bród na wschodni brzeg Jordanu i przez Pereę i Dekapol skierowali się na drogę prowadzącą do Galilei. Ponieważ pora była gorąca, podróżni wypoczywali w południe pod rozłożystymi koronami dębów i figowców, a dłużej wędrowali nocą, gdy upał ostygł. Na południowy wypoczynek obierali najczęściej miejsca w pobliżu źródeł, gdzie zmieniali wodę w skórzanym worze. Zecharia rozpościwał na ziemi wielbłądzia chustę, na której wypoczywała Miriam, a sam siadał opodal na kamieniu i rozkoszując się odzyskaną mową, nieustannie mówił do dziewczyny, która z początku uważnie słuchała, ale potem, kołysana śpiewną wymową starca, drzemała; lecz on tego nie zauważał, gdyż Miriam kiwała potakująco przez sen głową, co utrzymywało starca, zapatrzonego przed siebie, w przekonaniu, że pilnie i z uwagą słucha jego opowieści.

Podróżowali już trzeci dzień, a byli dopiero w połowie drogi. W zajeździe w Salem Zecharia spotkał znajomych kupców z Jerozolimy, z którymi prawie całą noc przegadał. Mówili szeptem, często wymownym spojrzeniem, niekiedy posługiwali się przypowieściami, w których starali się wypowiedzieć to, co nie powinno być jasno wypowiedziane, gdyż w owym czasie roило się od herodianów i donosicieli, a chociaż nie spostrzegli w pobliżu nikogo podejrzanego – uprzednio przezornie rozejrzeli się po izbie – woleli jednak zachować możliwie największą ostrożność. Żyli za dni Heroda, a znając Pismo Święte, w pamięci mieli mądre słowa Koheleta: „Ale nawet w myśli nie złorzecz królowi, a w swej komnacie sypialnej nie bluźnij przeciw bogaczom, bo ptactwo pod niebem wieści rozniesie, a skrzydlaty donosiciel rozgłosi twoje słowa”. Rozprawiali z Zecharią o królu Herodzie,

o zbrodniach idumejskiego tyrana – tu jeszcze bardziej zniżyli głos – o jego pomordowanych synach, żonie ściętej toporem, o obrabowanym grobowcu króla Dawida, cofali się pamięcią do arcykapłana Arystobula, którego królewscy siepacze pod pozorem zabawy utopili w sadzawce, i znów ten i ów wracał do teraźniejszości, wzdychał, przeplatał swoją opowieść biadoleniem nad obniżką cen zboża, owiec i indyjskich korzeni, i nagle wybiegał myślą w przyszłość, i cytując tajemnicze słowa proroków, w jednym wielkim opowiadaniu zamykał bezmiar różnych tematów i wartości, zboże i krew, psalmy i indyjskie korzenie, Mesjasza i cenę owiec, co właściwie było całkowicie zrozumiałe, gdyż rozmawiający należeli do narodu, dla którego Bóg był zjawiskiem tak powszednim jak zboże, indyjskie korzenie i krew.

Wreszcie w czwartym dniu podróży, po licznych i długich postojach, stanęli na ziemi galilejskiej. Zecharia, podpierając się kijem, siedł obok Miriam jadącej na oślicy, rozglądał się dokoła i z głośnym zapałem wypowiadał swój podziw dla piękna tej ziemi o miękkich, ciepłych kolorach, dla jej płodności, dla jej gęsto ulistnionych figowców, rzucających szeroki, kolisty cień, dla dorodnych zbóż, dla kwiatów i ziół, i zerkając kątem oka na Miriam zauważył w myśli, że jej ciemny profil, prosty i skupiony, świetnie harmonizował z obliczem galilejskiego krajobrazu, którego błękitna przejrzystość była jak gdyby posłusznym odbiciem jej postaci, równie błękitnej i przejrzystej jak to niebo i wzgórza, doliny i potoki.

Święto księżycowego nowiu

Już było ciemno, gdy zbliżali się do Nazarethu. Po prawej ręce pozostawili Tabor, po lewej dolinę Jezreel i posuwali się ostrożnie płaską wyżyną, pnącą się łagodnymi tarasami ku górze. Po obu stronach ścieżki czerniły się kępy chwastów, a wyżej winnice, granatowce i drzewa migdałowe. Wprawne oko Zecharii dostrzegło hen, daleko na widnokręgu migocące na wzgórzach ognie. Starzec przystanął, a wraz z nim przystanąła oślica, a wraz z oślicą zamarły w bezruchu i oczekiwaniu wszystkie gwiazdy na niebie. Chłopiec z wiązką płonących cedrowych żerdzi i smolaków w ręce, owiniętych pakułami i mocno związanych sznurem, biegł na przelaj polami i minął ich pędem. Światło od płonących żerdzi padło na twarze Zecharii i Miriam, i cierpliwie pochyłony łeb wiernej oślicy. Starzec dostrzegł w jej wilgotnych oczach tę samą radość, która wypełniała serce jego, Miriam i chłopca, sadzącego teraz jak młody jeleni po stoku wzgórze i wymachującego zawzięcie pochodnią. Po wschodniej stronie nieba, może tam, gdzie Jordan wypływa z Morza Galilejskiego, zamajaczył łuk księżyca, cienki jak blaszka, ledwo ukształtowany, tak wątki, że wystarczyłoby tylko lekko dmuchnąć, aby go spłoszyć. W tej samej chwili

zabłyły na wszystkich wyżynach, wzgórzach i szczytach pochodnie i smolaki i kołysały się ruchem wahadłowym, w górę i w dół. Były to świetlne sygnały przekazujące wszystkim miastom, wsiom i osiedlom ziemi Izraela radosną wiadomość o zapadającym Rosz Hakodesz, Święcie Księżycowego Nowiu, od którego Izrael na całym świecie rozpoczynał rachubę nowego miesiąca. Płonęły ognie na szczytach Judei, gór Naftali i gór Gilboa, na Karmelu i na Taborze, i wybiegały ku morzu, ku jezioru Hule, ku pastwiskom Basanu, ku Hermonowi. Na ten widok wezbrała w Zecharii żywiołowa miłość do Niewidzialnego i do tej ziemi, płonącej jak wielki ogień na ołtarzu ku chwale Elohim, ku chwale Jedyne, ku chwale Jego aniołów, Jego serafim i cherubim. Gorączkowo, ale sprawnie narzucił na siebie modlitewną chustę, padł na kolana, ucałował ziemię i zwrócony twarzą w stronę Świętego Miasta dziękował Panu Cebaot, że stworzył słońce, księżyc i gwiazdy, niebo, ziemię i morza, i błagał Go, aby to piękno, które jest dziełem Jego dłoni, nie było dla niego, robaka i nędzara, zasadzką i sidłem, mamidłem i pustką, aby jego myśli nie były wątle, nędzne i kruche, aby przemijające ciało nie obciążało jego duszy i aby był ocalony przez Mądrość.

– Błogosławiony bądź, Panie – śpiewał Zecharia – który odnowiłeś księżyc. Pamiętaj o nas dla dobra naszego na progu miesiąca. Jesteś bardzo wielki, Panie, Boże mój, odziałeś się w przepych i piękno i narzuciłeś na siebie światło jak płaszcz. Rozpiąłeś niebo jak kobierzec namiotu, a nad wodami zbudowałeś swój dom. Obłoki są Twoim rydwanem, płyniesz na skrzydłach wiatrów, a wiatry są Twoimi posłańcami, a płonący ogień jest Twoim sługą. – Teraz Zecharia wyprostował się i wyciągnął ręce ku księżycowi. – Uczyniłeś księżyc dla oznaczenia czasu, a słońce zna swój zachód. O, jak liczne są Twoje dzieła, o Panie!

Miriam zsiadła z osłicy. Uklękała, ucałowała ziemię i patrząc ku Jerozolimie, wyciągnęła ręce do nieba i modliła się o szczęśliwy czas dla Owocu, który w sobie dźwiga, o dobry los dla rodziców i dla Josefa, i dla Zecharii i Eliszeby, o światło Boże dla swojego oblubieńca, gdy usłyszy z ust starca dobrą Nowinę, o ciszę dla ludu Izraela, dla latorośli Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, i prawdopodobnie modliłaby się jeszcze długo swoimi słowami, gdyby nie Zecharia, który zaintonował uroczystym głosem:

– Jak długo żyć będę, śpiewać będę Panu, jak długo będę mógł, grać będę mojemu Bogu. Niechaj będą Mu miłe moje pieśni, a radość moja będzie w Panu.

Miriam cicho wtórowała jego śpiewowi i w każdym słowie tego psalmu odnajdywała ku swojemu wielkiemu zadowoleniu to wszystko, co chciała przedtem własnymi słowami wyrazić.

Oślica przejęta powagą chwili stała w ciemnościach, nieruchoma jak posąg, i tylko

w mroku nocy błyskała jej popielata sierść, a chociaż czuła smakowitą woń kopru i macierzanki, nie tknęła ziół i trawy, aby przyziemnym szczypaniem nie zamącić Święta Księżycowego Nowiu.

Łzy Josefa

Zecharia szedł do lepianki Josefa, jednak zamiast iść prosto pod górę obrał drogę okrężną – nie po to, by ułatwić sobie wejście na łagodny stok wzgórza, gdyż nie należał do ludzi ułatwiających sobie drogę i życie – lecz chciał nieco zyskać na czasie i jeszcze raz przemyśleć argumenty, których zamierzał użyć w rozmowie z Josefem. Wprawdzie jeszcze niczego nie dokonał i nie wiedział, jaki będzie wynik jego rozmowy z oblubieńcem, ale już teraz układał w głowie sprawozdanie, które złoży Eliszebie po powrocie do domu. I dając upust wyobraźni, przed oczami zachwyconej żony malował wspaniałe wyniki swojego poselstwa, a owe niewinne marzenia miały ten dobry skutek, że dodawały mu otuchy i oswajały z trudnym zadaniem, które nań Eliszeba – czy Eliszeba? – nałożyła. Gdy stanął, wreszcie na szczycie wzgórza, uwierzył, że zadanie swoje już pomyślnie spełnił, a to, co teraz nastąpi, jest tylko powtórzeniem tego, co już spełnione zostało.

W dobrym nastroju zatrzymał się przed lepianką Josefa, który zwabiony jego krokami wyszedł na próg – w ręce trzymał hebel – i ujrzawszy Zecharię nisko mu się pokłonił, i powitał go słowami psalmu: – Baruch habaa beszem Adonaj – Błogosławiony, który przychodzi w Imię Pana – na co Zecharia, chcąc okazać Josefowi serdeczność i przychylność, odpowiedział słowami tego samego psalmu: – Ana Adonaj hacliha na – Racz, Boże, dać szczęście – ale była w tej pozdrawiającej odpowiedzi również głębsza intencja, gdyż starzec, łącząc w jedną całość dwa człony tego samego psalmu, z jego słów stworzył rodzaj niewidzialnego, ale uroczystego baldachimu pogodnie rozpiętego nad ich głowami.

– Amen – odparł Josef i dodał: – Usiądźmy przed domem, bo wewnątrz jest nieład. Otrzymałem zamówienie na pług, więc cała izba pełna jest drewna i trocin.

To powiedziawszy, wyniósł dwa zydle, dzban i dwa kubki. Usiedli w cieniu drzewa figowego, zmówili błogosławieństwo nad winem, a Josef rozlał je do kubków. Dzban postawił na ziemi. Wiedział, że nastąpi teraz między nimi ważna rozmowa i wreszcie będzie wyjaśniona tajemnica podróży Miriam do Ejn Karem, która tyle niepokoju, zgryzoty i troski przysporzyła jemu i rodzicom. Pochylił więc głowę i cały zamieniony w słuch niecierpliwie czekał na pierwsze słowa starca. Mijały chwile. Wciąż pili w milczeniu, niby smakując wino – smakowanie wina należało do dobrych zwyczajów, obowiązujących zarówno gościa, jak i gospodarza –

a ta pauza bardzo dogadzała Zecharii, układającemu w myślach pierwsze zdanie, które miał wypowiedzieć. Zmieniał jego szyk, dobierał barwnych słów, z początku nawet chciał się posłużyć pewną myślą zaczerpniętą z psalmów i za pomocą długich refrenów, powtarzanych z pozorną monotonią, rozbudować ją w kunsztowny obraz, który by natychmiast wrył się w pamięć Josefa i opanował wabiąco jego wyobraźnię – ale po namyśle dał spokój wyszukiwaniu zbyt ozdobnych figur oratorskich i postanowił wszystko prosto wypowiedzieć głosem spokojnym, nawet sprawozdawczym, wyzbytym wszelkiego patosu, a mimo to nie pozbawionym pewnego uroczego namaszczenia, z którego pod żadnym pozorem nie chciał zrezygnować w tak podniosłej chwili.

– Miriam, twoja oblubienica – rzekł, i tu głos jego nieco zadrżał – znalazła się w stanie błogosławionym za sprawą Elohim.

Dłoń Josefa, który właśnie podnosił kubek do ust, poczęła z wolna opadać. Z nachylonego naczynia, nad którym już nie panowały jego palce, wyciekła złota smuga wina i natychmiast wsiąkła w spragnioną ziemię. Kubek wypadł z jego dłoni i potoczył się do stóp Zecharii, lecz on, niby nie zwracając uwagi na wrażenie, jakie uczyniła na Josefie nowina, opowiedział mu historię macierzyństwa żony swojej, starej Eliszeby, podkreślając dobitnie sens tajemniczych znaków, towarzyszących jej poczęciu, a zwłaszcza owego ruchu płodu, dzięki któremu Eliszeba ujrzała w Miriam niewiastę błogosławioną między wszystkimi niewiastami. Dopiero teraz, gdy wyjawiał Josefowi, który nie mógł otrząsnąć się z wrażenia i wciąż wpatrywał się martwym wzrokiem w kubek leżący na ziemi, związki łączące Johanana z błogosławionym losem Miriam, począł delikatnie, ale plastycznie – kładł przy tym nacisk na pewne momenty, przejmujące go strachem, ilekroć sobie o nich przypominał – opowiadać o przyczynie swojej długomiesięcznej niemoty, przy czym tak zbudował swoją opowieść, że wprawdzie miała ona charakter sakralnej relacji, ale równocześnie była dla oblubieńca ostrzeżeniem przed nieufnością i zbyt natarczywym wdzieraniem się w głąb Bożych tajemnic. Zecharia – jak wiadomo – był człowiekiem dobrym. Ze swoimi bliźnimi dzielił się chlebem i doświadczeniem. Wprawdzie ostrzeżenie udzielone Josefowi nie było dosłownym ostrzeżeniem, gdyż Zecharia wiedział, że oblubieniec jest człowiekiem głęboko wierzącym, więc niepotrzebne mu są napomnienia, ale z drugiej strony miał przykład na sobie samym, starym, siwym kapłanie Świątyni Pańskiej, jak łatwo może nawet najbardziej niewinny człowiek paść ofiarą nagłych wątpliwości. A czym jest zapowiedź, którą on otrzymał, w porównaniu z nowiną, którą otrzymała mała Miriam? Zecharia ze współczuciem i podziwem spojrział na Josefa, który rzekł:

– Przyjdę jutro do pana mojego i powiem mu, jakie powzięłem postanowienie.

Zecharia ucałował go w ramię. Josef odwrócił się, a wtedy starzec poznał po ruchu jego pleców, że cieśla zaniósł się wielkim łkaniem.

Elohim nawiedza Josefa

Josef położył się na barłogu, zdusił palcami knot oliwnej lampy i od nowa rozpamiętywał trudności, w jakich się znalazł z powodu Bożego uczestnictwa w życiu Miriam, w której nieskalaną czystość wprawdzie natychmiast uwierzył, albowiem wierzył we Wszechmożliwość i Wszechmoc Pańską, ale niemniej – a może właśnie dlatego – dygotał z trwogi na samą myśl o bliskiej, nieomal dotykanej bliskości Elohim. Tu należy wspomnieć dla pełniejszego zrozumienia uczuć biednego Josefa, że lęk przed Elohim nie wywoływał w jego duszy uczucia zagrożenia, niepewności, braku zaufania i chęci ucieczki, gdyż Pan nie był dla niego, podobnie jak dla całego Izraela, niebezpieczeństwem, zasadzką, sidłem i złą przygodą, lecz miłosierdziem i miarą wszystkich rzeczy i spraw. I dlatego Josef, ufnie lękając się Niewidzialności, nie bronił się przed Nią, lecz wychodził Jej z radością naprzeciw i pożywał Jej pokornym i drżącym pragnieniem, gdyż jego trwoga była czystą miłością i czystą czcią, i czystym pragnieniem prawdy, i te trzy pojęcia związały się z sobą w sercu cieśli nierozzerwalnym związkiem przyczyn i skutków, dzięki czemu świadomość jego ogarniała Nieogarnionego i drżąc z trwogi drżała z miłości, czci i pragnienia prawdy. I właśnie dla owego pragnienia Josef nie mógł zrozumieć własnej roli prostego, biednego cieśli w tym nieprzeniknionym misterium, i jak każdy człowiek z krwi i ciała, który w pewnych wypadkach nie umie określić swojego celu życiowego, niecierpliwie szukał wyjścia z labiryntu, zasłaniając się niewątpliwie słusznym argumentem, że Elohim dotychczas nie wyznaczył mu żadnej roli w nowym układzie zdarzeń. Wobec czego poczuł się człowiekiem niepotrzebnym, w każdym razie u boku błogosławionej Miriam, którą gorąco kochał, ale równocześnie wiedział, że ją bezpowrotnie utracił dla Boskich, a nie ludzkich powodów. Bóg przyszedł i zabrał mu ją. Czy zabrał? Olśniła go nagła myśl, że mógłby przecież pozostać u jej boku, być towarzyszem jej życia, opiekować się nią i jej Dzieckiem, pracować i zarabiać na życie, w niczym nie uszczuplając obecności Boga w jej duszy, sercu i ciele. Ta myśl sprawiłaby mu wielką ulgę, gdyby nie wyłoniły się w nim natychmiast nowe wątpliwości, które zamknęły tę ostatnią szczelinę nadziei. Ludzie. Co powiedzą ludzie? Dziecko, które miało się narodzić z Miriam, było Dzieckiem Niewidzialnego i jako Dziecko Niewidzialnego przeznaczone było do wielkich i niezbadanych celów. Czy ludzie zatem uwierzą w Jego Boskie pochodzenie, gdy on, Josef, będzie prawowitym małżonkiem Miriam?

Jakże więc może swoim istnieniem u boku Miriam tworzyć świętokradcze pozory, że jest ojcem Tego, którego ojcem jest Niewidzialny, Pan Cebaoth, Elohim, El Szaddaj, El, El Olam, El Haj, El Elion, Kodesz Israel, Elohe Haszamajim, Jeden i Nieskończonoimienny?! Josef podniósł głos i wielkim głosem wzywał Pana na szczycie swojej boleści, wzywał Go zastępczym Imieniem, uciszonym i ostudzonym Imieniem, albowiem gdyby człowiek wzywał Pana ognistą pełnią Jego Nieskończonoimienności, krucha człowiecza świadomość nie mogłaby jej udźwignąć ani nie mogłaby jej sprostać i musiałaby nieodwołalnie spłonąć na mialki popiół. Czy jest zatem miejsce dla Josefa w sąsiedztwie Imion, od których wszechświat drży i płoną wszystkie żywyoty? W sąsiedztwie Nieskończonoimiennego, który bezmiarem wszystkich swoich Imion, znanych i nieznanym, słyszalnych i niesłyszalnych, na całą wieczność pobłogosławił małą oblubienicę? Nie, nie ma dla Josefa miejsca u boku Miriam. Pan mu ją zabrał. Wyciągnął rękę po Miriam i zabrał mu ją, i ból zadał jego sercu, i ból zadał jego ciału, i płacz wycisnął z jego oczu, i nie ma już więcej Miriam, nie ma jej błękitnych oczu i czarnych włosów i nie ma jej uśmiechu! Jej oczy i włosy, i uśmiech należą do Elohim! Do Elohim! Do Elohim! Niech będzie błogosławione święte Imię Jego – wołał w rozpaczy – i niech będą błogosławione Jego święte i zakryte zamiary, i niech będzie błogosławione łono Miriam! – Josef, będąc mężem sprawiedliwym i nie chcąc za pomocą fałszywych pozorów zniesławić jej, postanowił potajemnie ją opuścić i wyzwolić od swej uciążliwej obecności, gdyż nie wątpił o tym, że jest dla niej ciężarem, a ta ucieczka, którą postanowił, miała być ucieczką przed Elohim i przed Miriam, i przed ludźmi, i przed własnym niepokojem, i przed niezrozumieniem tego, czego nie mógł zrozumieć, chociaż wierzył w to, czego nie mógł zrozumieć. Sądził więc, że będzie najlepiej, jeżeli o świcie bez pożegnania i bez wyjaśnień opuści Nazareth i powróci do Bethlehem, do swojego rodzinnego miasta, skąd wraz z rodzicami przed kilkoma laty wywędrował na północ w poszukiwaniu zajęcia i chleba. Przywrócona będzie wówczas równowaga między Panem a człowiekiem, a o to przecież chodziło Josefowi, który, patrząc ze swojego barłogu na krążek księżyca i gwiazdy zawieszane w ciemnej przestrzeni nieba, z ulgą dostrzegł w mądrym porządku kosmosu potwierdzenie dla swej decyzji, będącej jego zdaniem w całkowitej zgodzie i harmonii z wolą Wiekuistego.

Ale spokój, który zdawał się nim owładać, nie trwał długo. Poczęły napływać wspomnienia, a za wspomnieniami bezpowrotnie minione marzenie o szczęściu, o wspólnym domu i życiu, uczucia, które jeszcze wczoraj nie były zdrożne i niepokojące, ale dzisiaj wydawały mu się bluźnierstwem wymierzonym w świętość Elohim. I znowu drżąc z trwogi, odpędzał je od siebie lub tłumił je w sobie, zabijał,

lecz one nadlatywały coraz to nowymi chmarami, obsiadały go jak rój brzęczących komarów i kłuły natrętnie i boleśnie. Rzucił się nieprzytomnie na barłogu i szeptał suchymi wargami: – Szema Israel, Adonaj Elohenu, Adonaj Echad – Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jest Jeden. I będziesz miłował Wiekuistego, Boga twojego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej siły twojej. – I znów rozpoczynał modlitwę od początku, wciąż od początku do końca, wciąż od nowa, wciąż od nowa, chcąc w nerwowym zapamiętaniu za pomocą tego jednego wersetu, powtarzanego z coraz większą szybkością niezliczoną ilość razy, stworzyć dokoła siebie obronny pierścień przed oblegającymi go uczuciami. Nagle ujrzał, jak ów werset poczyną wirować, rozpada się na pojedyncze słowa, potem na litery, i krążąc dokoła niewidzialnej osi, układa się w postać ludzką, która jednak równocześnie zachowała sens i kształt świętego zdania. Postać owa dotknęła palcem czoła Josefa, który leżąc skurczony, oblany potem, ale nieruchomy jak głaz, bał się otworzyć oczy i wolał udawać śpiącego, chociaż z równym prawdopodobieństwem mógł przypuszczać, że to, co widzi, jest naprawdę snem. W każdym razie niezależnie od tego, jak nazwiemy stan, w którym się właśnie Josef znajdował – jawą, snem, snem na jawie czy jawą we śnie – anioł ów – przecież każda postać stworzona ze świętych słów jest aniołem – dotknąwszy palcem jego czoła, tak do niego przemówił:

– Josefie, synu Dawidowy, dlaczego boisz się przyjąć Miriam, małżonkę swoją? Nie trwóż się. To, co się w niej poczęło, jest z Ducha Świętego, więc jest silniejsze nade wszystko, co ludzkie. Miriam porodzi Syna, a ty nadasz Mu imię Jezua, albowiem On wybawi Izraela od jego grzechów i wypełnione będzie słowo, które Pan wypowiedział przez swojego proroka, że Panna pocznie i porodzi Syna, i nadadzą Mu imię Emmanuel, co znaczy: Elohim z nami.

Anioł, wypowiedziawszy te słowa, począł krążyć dokoła Josefa, potem rozpadł się na pojedyncze litery i znów ukształtował się w słowa, wrócił w postaci świętego wersetu na poruszające się wargi oblubieńca, powtarzającego coraz ciszej i spokojniej, lecz w głębokim skupieniu: – Szema Israel...

Na dworze już dniało. Josef wstał, wyszedł przed dom, umył się, zmówił poranną modlitwę i udał się do miasteczka, do zajazdu, w którym zatrzymał się Zecharia.

– Mój pan miał słusność. Stanie się według woli Elohim – rzekł, stanąwszy przed Zecharią.

Starzec objął cieśnię, ucałował go w ramię i dosiadł cierplivej Midbar. Lekko uderzył ją kolanami po obłych bokach. Oślica niechętnie, ale posłusznie ruszyła w drogę, a Zecharia odwrócił się i podniósł dłoń na dowód, że odjeżdżając, pamięta o Josefie cieśli. Josef przez chwilę biegł za nim, aby mu okazać swoją wdzięczność i czołobitność. Starzec zjechał na boczną drogę i skierował się na wschód; znalazłszy

się w oślepiających promieniach słonecznych, padających z góry Tabor, wkrótce znikł w smugach gęstego pyłu wzbijającego się spod kopyt oślicy.

Nie zobaczymy już więcej Zecharii. Nie powróci już do naszej opowieści, poza jednym drobnym wspomnieniem, albowiem będąc mężem umiaru, skromności i – wbrew pozorom – milczenia, wiedział, że człowiek, spełniwszy swój obowiązek i nie wzywany przez Elohim, nigdy sam nie powinien narzucać swojej obecności niebu i ludziom. Łatwo mógłby ten i ów niedowiarek wysnuć z tego wniosek, że Pan zapomniał o Zecharii, czemu jednak przeczy dalsza historia o synu jego, pustynnym młodzieńcu Johananie, albowiem często dzieje się tak, iż Pan pamięta o ojcach w ich dzieciach z ciała lub z ducha.

Zaślubiny Josefa i Miriam

Gdy orszak oblubieńca złożony z czterech jego krewnych i przyjaciół zbliżał się do domu oblubienicy, jedynym zbytkiem i przepychem tych nader skromnych uroczystości weselnych był księżyc w pełni, który jak czerwony owoc granatu stał nad widnokrzem.

Na czele pochodu kroczyło dwóch kuzynów Josefa i trzymało w dłoniach płonące kaganki, które stanowiły wzruszający kontrast ze świecącą na niebie księżycową pełnią, i gdyby nie ona, owe dwa płomyczki, drżące na wietrze, nie dałyby na pewno tyle światła, ile go potrzeba oczom ludzkim dla rozpoznania drogi w ciemnościach nocnych wśród kamienistych galilejskich wybojów. Ale nie można było pod żadnym warunkiem zrezygnować z tych kaganków, gdyż każdy mąż, nawet najmędrszy, lubuje się w znakach mających wyobrażać jego męską godność, a owe dwa kaganki miały być właśnie jej symbolem, chociaż ten wąty symbol w zestawieniu z wspaniałym księżycowym archetypem był śmieszny i bez znaczenia.

Za kuzynami powolnym krokiem postępował Josef z wieńcem na głowie, u jego boku kroczył przyjaciel, rybak z Kfar Nahum, a pochód zamykał muzyk i śpiewak synagogalny w jednej osobie i grał na lirze melodie, z których, dzięki wręcz nieuchwytniej umiejętności łączenia odległych od siebie dźwięków, wydobywał rzewne i wzruszające nastroje – ale zawsze w granicach uczuciowości określonej dobrym smakiem – i wywoływał w słuchaczach obrazy szczęścia, łagodnych zwierząt i cienistych drzew, to znów naśladował monotony szelest sitowia, liści i szum wody źródlanej. Drgająca pod jego palcem struna właśnie naśladowała powiew wiatru, ale określenie to nie jest ścisłe, gdyż wiatr mógł z równym prawdopodobieństwem naśladować drganie struny, a ich obie melodie były tak piękne i z sobą zgodne, że nawet najwytrawniejsze ucho nie mogłoby – gdyby wiatr

i struna poszły w śpiewacze zawody – wydać wyroku, któremu z nich należy się laur pierwszeństwa. Nagle muzyk przyłożył płasko dłoń do strun i stłumił ich dźwięk, ale natychmiast znowu uderzył palcami w lirę, jakby chciał zatrzeć wrażenie krótkiej, ale nieprzewidzianej pauzy, i zaśpiewał pieśń pachnącą mirrą, aloesem i kasją, a słowa jego krążyły nad orszakiem i spływały jak błogosławieństwo na głowę Josefa, który wprawdzie był odziany w ubogą szatę, przepasaną pasem z cieleją skóry, jednak pod deszczem owej pieśni wydawał się podobny do króla krocącego w otoczeniu dziewcząt, najpiękniejszych z ludu.

– Wstań, przyjaciółko moja, pójdź, piękna moja – śpiewał muzyk i śpiewak synagogalny w jednej osobie – bo oto już minęła zima, a deszcze odeszły swoimi drogami, na ziemi ukazały się kwiaty i nastał czas obcinania winnych krzewów, i głos synogarlicy rozlega się dokoła. Już z drzew figowych opadły owoce, a kwitnące winnice wydały swoje wonie. Wstań, przyjaciółko moja, pójdź, piękna moja. O, wyleć, gołębico, ze skalistych otchłani i z ukrytych szczelin i pozwól mi oglądać twoje oblicze, i pozwól mi usłyszeć twój głos, albowiem twój głos jest słodki, a oblicze twoje jest miłe.

Ludzie zwabieni muzyką i śpiewem wychodzili z domów i z zachwytem przypatrując się oblubieńcowi, nie umieli wytłumaczyć sobie owej odmiany, gdyż wprawdzie był to ten sam Josef cieśla, którego spotykali codziennie na ulicach miasteczka, a jednak był inny, piękny królewską pięknnością, promieniujący słonecznym promieniem, był jasny i miedziany i górował nad dziesięcioma tysiącami mężów postacią równą wybranym cedrom Libanu. Dopiero teraz okazało się, jak ważne były owe dwa kaganki, o których znaczeniu i wartości wyraziliśmy się przed chwilą jeżeli nie z lekceważeniem, to z drwiącym pobłażaniem, gdyż w wyobraźni mieszkańców Nazarethu stały się one źrenicami królewskiego lwa, co mogło przecież być bliskie prawdy, gdyż Josef wywodzący swój ród z Dawidowego korzenia miał prawo korzystać z poetyckich metafor, porównujących jego i jego synów, i synów jego synów do pustynnego lwa Jehudy. Nawet idący w pochodzie kuzyni, muzykant i krocący u boku Josefa jego przyjaciel, rybak z Kfar Nahum, wypełnieni byli hieratycznym majestatem, o którym nie wiadomo, czy był stałym przywilejem ich postaci, nie zauważonym dotychczas przez otoczenie, czy też promieniował z muzyki i z drżących na wietrze kaganków i spływał na nich jak płaszcz utkany ze złotogłowiu. Jakkolwiek by było, mieszkańcy miasteczka przecierali ze zdumienia oczy. A tymczasem orszak sunął dostojnie drogą ku domowi oblubienicy. Już znacznie, znacznie później, po wielu dziesiątkach lat, świadkowie tej uroczystości, dzisiejsi młodzieńcy i panny, a wtedy już starcy i staruszki, opowiadali z przejęciem, że podczas zaślubin nad głową Josefa krążyli

aniołowie, a nad głową Miriam unosiła się księżycowa aureola. Te relacje wydają się nam mocno przesadzone i niewątpliwie były owocem przewrażliwionej wyobraźni tych, którzy nie wiedzieli, że największym cudem tego wieczoru było to, iż wybrany Josef był biednym cieślą, a wybrana Miriam skromną i prawie nikomu nie znaną dziewczyną, córką wyrobników Jehojakima i Hany. Zatem nad głową Josefa w ten uroczysty wieczór nie krążyli aniołowie – w każdym razie widzialni dla ludzkiego oka – a nad głową Miriam, gdy zbliżył się do niej oblubieniec, nie unosiła się księżycowa aureola – w każdym razie widzialna dla ludzkiego oka. Dziewczyna stała w progu domu z wieńcem na głowie, w towarzystwie rodziców, krewnych i przyjaciółek, trzymających w dłoniach zapalone lampki, i nogi pod nią drżały ze zbyt dużego wzruszenia, i na pewno gorące ożywienie malowało się na jej smagłej twarzy, ale tego nikt z obecnych nie dostrzegł, gdyż miała głowę zakrytą welonem na znak poddaństwa. Nawet Josef, który uważnie się wpatrywał w oblubienicę, nie mógł dojrzeć poza gęstą zasłoną, opadającą na jej ramiona, spojrzenia jej niebieskich oczu, tak pełnych zazwyczaj ściszonej zadumy. Błądząc wzrokiem po jej postaci, od której bił lekki zapach aloesu, zatrzymał spojrzenie na jej dłoniach – prawą dłonią podtrzymywała koniec zasłony na wysokości łona, lewą zaś lekko uniosła ku górze, jakby chciała tym łagodnym gestem uspokoić serce oblubieńca. W jej długich, cienkich, ciemnych palcach zogniskowała się teraz cała piękność i mądrość dziewczyny, zakrytej welonem, i Josef poczuł, że była ona własnością Elohim pierwej, niż On dzieło swoje uczynił, pierwej, niż ziemia powstała, zanim istniały otchłanie i góry i były obfite źródła; zrozumiał, że spoza gęstego welonu patrzą na niego oczy tej Mądrości, która istniała wówczas, gdy Elohim budował niebiosy na podobieństwo jej postaci i zakreślał łuk niebios nad przepaściami na podobieństwo łuków jej brwi, gdy chmury umacniał w górze na podobieństwo jej granatowych włosów i tworzył głębokie źródła na podobieństwo jej niebieskich oczu. Elohim stworzył człowieka na swoje podobieństwo, ale świat stworzył na podobieństwo smagłej Miriam. To wszystko natychmiast pojął sprawiedliwy Josef, patrząc na cienkie i ciemne palce oblubienicy zakrytej gęstym welonem, a pragnąc potwierdzić swoje przekonanie jawnym aktem pokory, już pochylił się do jej kolan, ale nagle zastygł w postawie półzgiętej, gdyż przypomniał sobie, że zwyczaj nie pozwala oblubieńcowi na oczach weselnych gości i gapiów okazywać nadmiernego wzruszenia i czułości, a przede wszystkim czołobitności izraelskiej niewieście. Chcąc być zatem wierny tradycji i obyczajom swojego narodu, nie złożył małej Miriam jawnego hołdu, lecz tylko zakłopotaną twarzą wyraził przed jej zakrytym obliczem swoje nieogarnione oddanie i miłość, co oblubienica natychmiast zrozumiała, i rada, że sprawiedliwy mąż w niczym dla jej chwały panińskiej nie uchybił zwyczajom

Izraela, uczyniła lewą dłonią nieznaczny gest, który był gestem potwierdzenia i zgody na jego zachowanie.

– O, jakże jesteś piękna, przyjaciółko moja – zaintonował muzyk i śpiewak synagogalny w jednej osobie, a goście weselni natychmiast podchwycili jego słowa i wraz z nim zgodnym chórem śpiewali pochwalną pieśń: – O, jakże jesteś piękna. Twe oczy, które patrzą na mnie spoza zasłony, są gołębicami, twe włosy są jak stada kóz, które zstępują z gór Gilead. Twoje zęby są jak trzoda świeżo strzyżonych owiec, które wyszły z kąpieli. Jak nić purpurowa są twoje wargi, a usta twoje są wdzięczne, a skronie twoje okryte zasłoną są jak płatki granatu. Twoja szyja jest jak wieża Dawida, jak smukła baszta, obwieszona niezliczoną ilością tarcz i bohaterskich puklerzy.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, przyjaciółki Miriam, z którymi bawiła się w dzieciństwie, a potem czerpała wodę u studni i mełła na żarnach mąkę jęczmienną, poczęły miarowo poruszać płonącymi lampkami oliwnymi – blaski i cienie kładły się na przemian na roześmianych twarzach nazarethańskich dziewcząt – i odpowiedziały chóralnym śpiewem: – Przyłóż mnie jak pieczęć do twojego serca, przyłóż mnie jak sygnet do twojego ramienia. Albowiem miłość mocna jest jak śmierć. Zabierz mnie z sobą, miły mój, i bądź podobny do jelenia lub do młodej gazeli na balsamicznych wzgórzach.

Gdy skończyły, Josef podniósł głowę i wskazując palcem na Miriam, rzekł:

– Pragnę tę oto dziewczynę uczynić żoną moją i wprowadzić ją pod dach domu mojego na dobrą i złą dołę, jaką Elohim przeznaczył nam w mądrości swojej i w niezbadanych wyrokach swoich. Czy pragniesz zostać żoną moją według Prawa Mojżesza i Izraela, Miriam, córko Jehojakima?

– Pragnę tego, panie mój – odrzekła.

– Niech się dzieje według woli Elohim – szepnął Josef i spojrzał na Jehojakima i Hanę stojących w progu izby, i na siostrę swoją, i na szwagra, i na krewnych, i przyjaciół, i przygodnych gości, którzy chórem odpowiedzieli: – Amen – i tym jednym słowem przypieczętowali zawarte małżeństwo.

I ruszyli do domu Josefa na wzgórzu.

Pochód otwierało dwóch kuzynów z oliwnymi kagankami, za nimi kroczył muzykant i śpiewak w jednej osobie, wygrywający na lirze melodie weselne, potem szedł Josef w towarzystwie rybaka z Kfar Nahum, za nim zaś Miriam, a u jej boku odświętnie ubrani rodzice, krewni i znajomi, i dziewczęta nazarethańskie z płonącymi lampkami. Szli powolnym krokiem, uroczyście, w blasku księżycowej pełni, wspinali się po łagodnym stoku wzgórza, na którego płaskim szczycie wznosiła się lepianka cieśli. A gdy wreszcie stanęli w progu domu oblubieńca,

poczęli rozglądać się dokoła urzeczeni nocnym krajobrazem, który przy dźwiękach liry, szumiącej cicho i jednostajnie pod palcami wytrawnego muzyka, wydał się rajem odzyskanym, i szczęśliwi byli, że Elohim pozwolił im na tej ziemi się rodzić, żyć i umierać, wśród wzgórz i ptactwa niebieskiego, winnic i oliwek, i cyprysów, wśród barwnych łąk, pokrytych anemonami i dzikimi liliami, u stóp gór Naftali, Megido, Gilboa i Tabor, na ziemi myślącej ich myślami i czującej ich uczuciami, i związanej z nimi związkiem nierozzerwalnym, zaprzysiężonym na wieczny czas przez Pana. Gdy więc muzyk gwałtowniej uderzył w struny liry i zaśpiewał pieśń o miłości słodszej nad wino i o imieniu dziewczęcym rozlanym jak różany olejek, oni podchwycili jego słowa i dziękowali Panu za piękno winnic i oliwek, za zapachy łąk, za góry i doliny, za źródła i łąki, i nawet nie wiedzieli, że chwając i sławiąc, i wielbiąc tę ziemię, chwała, sławią i wielbią Miriam, albowiem Pan tajemnie utożsamiał ją w tę noc z pięknem galilejskiej ziemi i uczynił z piękności ziemi i z piękności Miriam wspólną i doskonałą jedność, a uczynił to dlatego, bo znając naturę ludzką, wiedział, iż tylko w ten sposób goście i znajomi potrafią w pełni uwielbić – mniej ważne jest, że czynili to nieświadomie – małą, biedną, a w ich oczach prawie nic nie znaczącą dziewczynę w dniu jej skromnego wesela. Był to dostojny podstęp Elohim, nad wyraz przemyślny, usprawiedliwiony znajomością ludzi, którym Boską prawdę, prowadzącą do blisko-odległych celów, trzeba często podawać w kształtach uproszczonych, przeobrażonych, albowiem tylko w uproszczeniu i przeobrażeniu potrafią ją przyjąć i zrozumieć.

Gdyby Miriam i Josef byli bogaczami, ich uroczystości weselne według przyjętego zwyczaju trwałyby dwa dni wśród hucznej uczyty i zabawy, podczas której młodzież ubiegałaby się o palmę pierwszeństwa w skokach i rzucaniu oszczepem, ale ponieważ było to wesele biedaków – Josef nawet dla tej skromnej uroczystości musiał zapożyczyć się u swoich krewnych – jeszcze tego samego wieczoru po przybyciu do domu odbył się tradycyjny ceremoniał pod baldachimem, symbolizującym niebo i wspólny dom nowożeńców. Miriam i Josef stali więc pod baldachimem, a goście, śpiewając, rzucali o ziemię owoce granatu i rozgniatali je nogami, a Jehojakim przy towarzyszeniu radosnych okrzyków z hukiem rozbił naczynie napełnione nardem, które otrzymał w hojnym darze od bogacza, swojego chlebobdawcy, po czym pobłogosławił nowożeńców. Wtedy goście usiedli przed domem według starszeństwa na matach i zydlach i raczyli się rybami, figami, miodem, daktylami i plackami, i zapijali je winem, które wlewali do kubków z glinianych dzbanów stojących pod ścianą domu. Ale wkrótce wyczerpał się młody moszcz ku żalowi biesiadników, którzy jednak nie okazali gospodarzom swojego rozczarowania.

Coraz cichsze rozmowy i śpiewy wyrwały z zadumy Miriam, która widząc puste dzbany i kubki, zwróciła się do Josefa i już chciała powiedzieć: – Wina nie mają, mężu – ale w porę uprzytomniła sobie, że biednemu oblubieńcowi nie starczyło już pieniędzy na kupno większej ilości błogosławionego napoju, więc wypowiedziawszy tylko pierwsze słowo, resztę zdania stłumiła w sobie, i tylko rumieniec na jej twarzy świadczył, że chciała wypowiedzieć coś, czego nie wypowiedziała.

Marzenia Symeona

Słońce szybko weszło spoza Góry Oliwnej i stanęło nad doliną Cedronu, trzynastobramną Świątynią i Jerozolimą, a w odpowiedzi na słoneczne hasło rozległ się zgrzyt zawiasów Bramy Nikanora, z trudem otwieranej przez trzydziestu lewitów – brama owa była dziękczynnym darem aleksandryjskiego bogacza, Izraelity, za szczęśliwe ocalenie z morskiej przygody – i zabrzmiały dźwięki trąb, harf i modlitwa Szema Israel, która krążąc w chwalebnym uniesieniu nad potężnymi blokami świętej budowli, przypominała stolicy i całemu ludowi Izraela, że w Świątyni Pańskiej rozpoczęło się codzienne uwielbienie Elohim. Kapłani złożyli ofiary przepisane liturgią dnia, przede wszystkim więc dziękczynną ofiarę dla Pana, a potem za cesarza Augusta i naród rzymski, a wówczas zeloci i sykaryjczycy odwracali od Ołtarza Całopalenia kamienne twarze, ścięte gniewem i dumą, a tłum milczał nieustępliwym milczeniem i milczały jego usta, i milczała jego dusza, i ani jeden ruch dłoni, ani jedno drgnienie powieki, ani jeden gest wewnętrzny nie towarzyszyły dymowi unoszącemu się do Boga. A potem chór lewitów zaintonował psalm pochwalny i rozpoczęło czynić przygotowania do składania ofiar.

– Chwalcie Pana – śpiewali lewici – albowiem jest dobry, śpiewajcie Panu naszemu, albowiem On jest słodyczą i przystoi Mu chwała. Pan buduje Jerozolimę, gromadzi rozproszonych Izraela, przywraca zdrowie zdruzgotanym sercom i zawiązuje ich rany.

Ofiarnicy śpiewali leżąc na ziemi, a ciała ich falowały w rytm melodii zmieszanej z gruchaniem gołębi i synogarlic i z beczaniem i porykiem zwierząt ofiarnych, węszących zapach krwi. Bili się w piersi i głośno wyznawali swoje grzechy, i wyznawali głęboki swój żal, i przyrzekali, że naprawią krzywdy wyrządzone bliźnim, i okradzionym oddadzą ich własność, i wyjawią prawdę przed okłamanymi, i coraz silniej i szybciej bili się w piersi, jakby od siły i szybkości uderzeń uzależniali swoje oczyszczenie, bez którego nie wolno im było złożyć przebłagalnej ofiary.

Starzec Symeon podniósł się z ziemi i ciągnąc za sobą na postronku jednoroczne jagnię ruszył wraz z tłumem przez Bramę Nikanora, a jego serce zabiło gwałtownie,

gdy poczuł zapach palonego tłuszczu, zmieszany z zapachem kadzidła, i ujrzał przed sobą Ołtarz Całopalenia, a w głębi złotą kiść winogronową nad bramą Przybytku, Siedmioramienny Świecznik, uświęcony dotknięciem Mojżeszowych palców, Stół Dwunastu Chlebów – symbol dwunastu pokoleń – Ołtarz Kadzielnny, a za nim cedrową ścianę i podwójne drzwi z oliwnego drzewa, wprawdzie otwarte, ale zasłonięte ciężką czterobarwną zasłoną, pokrytą malowidłami wyobrażającymi purpurowe kwiaty i przetykaną złotem, perłami i rubinami. Za zasłoną była druga zasłona, a za nią było Święte Świętych, dom Elohim, stolica Niewidzialnego, Nieskończoność i Wieczność, zamknięte czterema ścianami zbudowanymi z libańskich cedrów. Tłum ofiarników stąpił niemal na palcach i był tak skupiony i pokorny jak krew, która bezszelestnie spływała spod ofiarnych noży do ciężkich miedzianych mis.

Symeon zamknął oczy i odmawiając modlitwę położył żyłastą dłoń na białej głowie jagnięcia na znak, że je ofiarowuje nie tylko zamiast siebie i za siebie, bo to byłoby zbyt łatwe, niekłopotliwe i wręcz wygodne, ale jako swoje ja, najpełniejsze i najistotniejsze ja, jako swoje niepodzielne, całkowite i dosłowne istnienie, i poczuł, jak jego grzeszne jestestwo – ludzie twierdzili, że jest człowiekiem sprawiedliwym i bogobożnym, ale on wiedział, że jest tylko błądzącym nędzarzem – spływa poprzez dłoń w krew jagnięcia, zespała się z nią, sprzymierza i jednoczy, i jak on, Symeon, siwy starzec, który boso przybył do Przybytku, by złożyć Elohim dziękczynną ofiarę za przeżytych siedemdziesiąt lat życia, jest już tylko ciepłym strumieniem jagnięcej krwi, tryskającej na Ołtarz Całopalenia, i jak istnieje tylko w jej uchodzącym życiu i w nadciągającej śmierci. I Symeon skonał wraz z jagnięciem, i równocześnie z tą jagnięcą śmiercią oddalał się od siebie, a chociaż się oddalał, był jednak w pełni sobą i świadomy był swojej odrębności i swojego imienia, tak bardzo świadomy, że nawet był gotów na każde zawołanie Pana: – Gdzie jesteś, Symeonie? – odpowiedzieć pokornie: – Tu jestem, Panie. – Ale mimo to wiedział, że już dawno przestał być sobą, że jest tylko drobną, niewidzialno-widzialną częścią oddechu Eliona, jednak tak ważną, iż nie może się rozpuścić bez śladu, w pustkę, w nicość, a ta ważność była jego radością i słodyczą, gdyż na tej ważności – to było nawet trochę śmieszne i wręcz nieprawdopodobne – spoczywała równowaga całego Bytu i – o ironio! – równowaga Bytu spoczywała na wieczności jego marnego i znikomego istnienia, na jego kruchym imieniu, na pyłe. Symeon był szczęśliwy, że umarł. Krążąc w oddechu Pańskim, wyzwolony z ciała i równocześnie tkwiący w odcieleśnionym ciele, obwiedzionym Nieskończonością i Wiecznością, rozumiał niezniszczalną wartość swojego istnienia, a to uczucie napępniało go pokorną dumą i wdzięcznością dla Elohim, który zamknął go miłosiernie w swojej pamięci i nie wyrzucił na brzeg

niepamięci, co równałoby się piekłu i zagładzie, a więc doszczętnemu wymazaniu z oddechu Pańskiego.

A gdy Symeon otworzył oczy, w jego wnętrzu, pod ciemną i pomarszczoną skórą, jak pod królewskim namiotem, śpiewały chóry aniołów i błogosławiły wszystkie dzieła Pana na wszystkich miejscach Jego królestwa. Starzec padł na twarz przed świętą zasłoną i wyszedł z Przybytku. Był szczęśliwy, gdyż czuł, że Elohim przyjął jego ofiarę, i byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby go Pan zachował w swoim oddechu i nie pozwolił mu wrócić z dalekiej drogi na ziemię, wprawdzie piękną, bo pochodzącą z zaprzysiężonej i dotrzymanej obietnicy, ale mimo to ziemię przyziemną i cielesną.

Na Dziedzińcu Pogan, na tym zaiste rynku miejskim, wciąż jeszcze wrzało i huczało. Ludzie plotkowali, szeptali między sobą, handlowali, wymieniali pieniądze, wrywali sobie z rąk towary, obliczali zyski i straty, a tu i tam raz po raz sprzedawcy i kupujący wszczynali pomiędzy sobą gwałtowne kłótnie, które gasły tak samo nagle, jak wybuchały, zwłaszcza gdy pomiędzy straganami wyrastały niepokojące postacie, tajni agenci Heroda, ludzie o stu uszach i stu oczach, i węchu dzikich psów, zawsze nieomylni w tropieniu ludzi podejrzanych. Tę nieomyślność ułatwiało im królewskie zalecenie, w myśl którego potencjalnym przestępcą był każdy syn Izraela, każdy człowiek szepczący i milczący, każdy patrzący zuchwale w oczy i każdy trwożliwie opuszczający powieki.

Z nieba lał się żywy ogień. Dziedziniec powoli się wyludniał. Sprzedawcy zwierząt i pieniądze zwijali swoje stragany i wracali do domów. Pieniążki w Świątyni ustały. Skończyła się godzina ofiarna.

Symeon usiadł w cieniu trzech rzędów kolumn w południowo-wschodnim narożniku Dziedzińca, tam gdzie Portyk króla Salomona zbiega się z Portykiem Królewskim nad głęboką przepaścią opadającą prostopadłą ścianą ku dolinie Cedronu. Plecami oparł się o jedną z kolumn i nogi wyciągnął przed siebie. Za sobą miał zamek Antonię, gmach Sanhedrynu, pałac Hasmonejczyków i Górne Miasto, przed sobą Górę Oliwną, całą pokrytą oliwnymi gajami, wśród których bieleł się dom właściciela tłoczni Gethsemani, i sadzawkę Siloa, gdzie w blasku słonecznym jak mozaika migotała różnokolorowa woda. Nieco z boku wznosiło się Wzgórze Zgorszenia, na którym król Salomon składał ofiary obcym i nieczystym bogom, a dalej na południe ciągnęła się dolina Ge Hinom, przeklęta po wieczny czas ustami proroka Jeremijahu. Symeon mrużąc oczy zwrócił głowę ku wschodowi, gdyż wolał rozkoszować się widokiem Góry Oliwnej i kojącą ciszą jej gajów niż wzgórzami i dolinami grzechu, zalatującymi fetorem Baala.

Dzisiejsza ofiara kosztowała go wiele duchowego wysiłku. Był zmęczony

zmęczeniem człowieka, który po dokonaniu trudnej, lecz owocnej pracy ma poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Ile razy będzie mu jeszcze dana możliwość umierania w jednorocznym jagnięciu i w zjednoczeniu z jego krwią? Ile razy wcielić się będzie w jego niewinną krew? Ile razy jeszcze będzie wypoczywać pod tym Portykiem, zmartwychwstały i odrodzony? Zmrużył oczy zmęczone upałem i nie poruszył się nawet na odgłos zbliżających się kroków, i tylko domyślił się, że to stara Hana, niewiasta widząca przyszłość, opuszcza jedna z ostatnich dziedziniec Świątyni. Pograżony w błogostanie rozmyślał o księdze umiłowanego Henocha. Czytał ją niezliczoną ilość razy i nieustannie rozkoszował się słowami mędrca, gdyż były one zwierciadłem jego myśli i marzeń o Synu Człowieczym, opoce sprawiedliwych, którzy oprą się na Nim i nigdy nie upadną, ponieważ nie można upaść, trzymając się niewzruszonej skały. Wierzył więc, że ów Pomazaniec będzie światłością narodów i nadzieją łaknących serc, a wszyscy mieszkańcy ziemi upadną przed Nim na twarz i złożą Mu pokłon, i będą błogosławić, chwalić i wielbić Pana Duchów aż do granic ziemi, i dlatego Elohim – Symeon przypomniał sobie przypowieść jednego z mądrych i uczonych synów Izraela – nie objawił Tory swojej w kraju Izraela, bo Izrael mógłby powiedzieć: – Ona jest moją wyłączną własnością – lecz objawił ją na pustyni, albowiem pustynia jest ziemią pustą i niczyją, a będąc niczyją i pustą, nie należy do nikogo, przeto każdy, jeżeli zechce, może Torę przyjąć i posiadać, i posiadać na wieki. Symeon przypomniał sobie również jedną z dysput na Dziedzińcu Pogan, podczas której uczeni, podnieceni jego słowami o Mesjaszu, poczęli sobie nawzajem skakać do oczu – każdy z nich inaczej wyobrażał sobie Mesjasza i Jego przyjście na świat – a jeden z mówców w kaznodziejskim zapale wlaźł na stragan i wskazując patetycznie wyciągniętym palcem na wyryty na kamieniu napis, który głosił po grecku, że każdy poganin wchodzący do Przybytku będzie karany śmiercią, krzychał wielkim głosem: – Elohim jest Bogiem tylko Izraela, i tylko Izraela, i tylko Izraela! – Dysputę przerwało nagłe zjawienie się tajnych agentów Heroda, ludzi o stu uszach i stu oczach, przechadzających się niby obojętnie po Dziedzińcu, ale zawsze czujnych i obecnych tam, gdzie są najmniej pożądanymi. Uczni pośpiesznie się rozeszli, albowiem każdy z nich wiedział, niezależnie od swoich przekonań, że dyskusje o Mesjaszu wzbudzają nieposkromione podejrzania w Herodzie, który uważał myśl mesjanistyczną – chociaż tego nigdzie publicznie nie ujawnił – za akt karygodnej niełojalności wobec majestatu królewskiego.

Symeon przetarł załzawione oczy, spojrzął z zadowoleniem ku Górze Oliwnej, a potem zatrzymał wzrok na gołębiczy, która właśnie wleciała pod strop kolumnady i trzepocząc skrzydłami, usiadła tuż obok niego na schodach, wśród potężnych kolumn. Starzec, naśladując nader udatnie ruchami wyciągniętej dłoni rzucanie

ziaren, starał się tym zwodniczym sposobem przywabić ją do siebie. Gołębica zrozumiałszy, że istotą tej naiwnej i niezbyt wybrednej zmyślności nie jest płocho zabawa i pusta chęć przekomarzenia się, lecz nieklamana serdeczność, udała, ku radości starca, iż szuka dziobem po marmurowej posadzce ziaren rzucanych jego ręką i skacząc zbliżyła się do niego, i ufnie pozwoliła się ująć jego drżącym dłońmi. Niewątpliwie zapoznanie się Symeona z gołębicą mogło się odbyć w sposób prostszy. Ale igranie i zabawa są przecież również środkami przewidzianymi w Bożym planie, zwłaszcza jeżeli zważymy, że owa gołębica była ucieleśnieniem Pojęć Niepojętych – o czym wkrótce Symeon miał się naocznie przekonać – i jak każde ucieleśnione Pojęcie Niepojęte miała prawo do pewnych przywilejów wynikających z jej cielesności, a więc i do igrania i beztroskiej zabawy. Gołębica zwróciła zatem na Symeona swoje rubinowe oczy, a Symeon utkwiał w nich swoje starcze spojrzenie i rzekł nieco filuternie:

– Cóż widziała gołębica, pani powietrza, patrząc z niebieskiej wysokości na dziedzictwo Izraela?

Mówiąc to, głaskał ją po białej główce i dawał jej tą czułością do poznania, że nie oczekuje od niej odpowiedzi, a postawione przez niego pytanie jest tylko dalszym ciągiem, a może zakończeniem wewnętrznego monologu, który z samym sobą prowadził pod Portykiem króla Salomona. Ale jak wielkie było jego przerażenie – włosy zjeżyły się na głowie jego, a mróz przeszedł przez jego ciało – gdy z lekko zakrzywionego dzioba gołębicy wysączyły się dźwięki, które z początku brzmiały jak zwyczajne gruchanie, ale nagle przeobraziły się w słowa, wypowiedziane wprawdzie wyraźnie, lecz dochodzące jakby z dalekiej komnaty, gdyż towarzyszył im głuchy pogłos, tak znamieny dla słów wypowiedzianych w pustej i zamkniętej przestrzeni:

– Już wkrótce – mówiła gołębica – trzymać będziesz Mesjasza na swoich dłoniach, tak jak mnie teraz trzymasz, Symeonie, mężu sprawiedliwy i bojący się Pana, trzymać Go będziesz i patrzeć na Niego, i radować się Jego widokiem, i dopiero potem, po owej radości, umrzesz spokojną śmiercią i staniesz się oddechem Pana.

Symeon zadrżał, rozłożył dłonie, ale w jego dłoniach nie było nic poza bezcielesnym, słonecznym blaskiem. Zerwał się na równe nogi, podniósł wzrok ku górze, wodził nim od wschodu na zachód, od północy na południe, ale nigdzie nie dojrzał odlatującej gołębicy. Nie chcąc niczego dotknąć dłońmi, w których trzymał mówiącego ptaka, wznosił je do góry i tak z podniesionymi rękami, jeszcze ciepłymi od ptaszcęgo ciała, szedł przed siebie, szczęśliwy i wstrząśnięty, wśród trzech rzędów marmurowych kolumn podtrzymujących strop Portyku króla Salomona.

Marzenia magów

Na piasku pod daktylowymi palmami siedzieli trzej magowie, poszukiwacze Boga, a jeden z nich, najstarszy, o ostrym profilu i dolnej wardze nieco wysuniętej, co nadawało jego twarzy wyraz władczego uporu, złagodzonego wysoko podniesionymi brwiami, świadczącymi o jego trosce i nieustannym oczekiwaniu, mówił powoli i z namysłem, a słowa jego podobne były do płynących opodal głębokich wód Eufratu:

– Oto jeszcze raz pragnę mówić do was o sprawach, o których już niejednokrotnie mówiłem. A wy mnie słuchajcie, albowiem wasze uważne słuchanie przyniesie nie tylko ulgę mojemu sercu, ale może być również jak woda mądrości, która ożywi różane ogrody Iranu. Proszę was, abyście mnie słuchali, i jasnym umysłem ocenili to, co mówię. Na górach i wyżynach Iranu zgasły dobre ognie Ahura Mazdy, który stworzył niebo, ziemię i ludzi, prawo, sprawiedliwość, prawdę i łagodność, a Ahra Manyu, bóg zła, bezprawia, krzywdy i kłamstwa, zawładnął światem i szalejąc, pustoszy dusze ludzkie, więc zasepione są łuki moich brwi i spustoszona jest moja cierpliwość. I dlatego pragnę jeszcze raz do was mówić o sprawach, o których już niejednokrotnie mówiłem, a wy mnie słuchajcie, albowiem wasze uważne słuchanie przyniesie ulgę mojemu sercu i ożywi różane ogrody Iranu. Zaratustra, prorok Ahura Mazdy, powiedział swoimi błękitnymi ustami, że Prawda odniesie zwycięstwo nad Kłamstwem, Dobro nad Złem, a Miłość nad Nienawiścią, i zapowiedział światu, że gdy wypełni się Czas, przyjdzie na świat wysłannik Ahura Mazdy, bezcielesnej Mądrości, Saoszjant, który stoczy walkę z wojskami ciemności i rozproszy siły Zła, zwycięży śmierć i przywróci światu wiarę w Sprawiedliwość i Prawdę. A my, głusi na słowa wypowiedziane błękitnymi ustami Zaratustry, siedzimy beczynnie nad wodami Eufratu, leniwi i opieszali poszukiwacze Boga, podczas gdy na Zachodzie wypełnił się Czas zapowiedziany. Pusto jest na górach i wyżynach Iranu, i na miejscach zgaszonych ogni, i nieczyste są wszystkie rzeki i jeziora, w których się kąpie rozpustna Anahira, i nieczyste jest światło bijące od Mitry, i nieczysta jest nasza beczynność nad brzegami Eufratu, głębokiej rzeki płynącej opodal. Dlatego chcę wam przypomnieć tajemne pisma Hebirów, zwoje Jesai, Henocha i Daniela – trzymaliśmy je w dłoniach, a świadkami tego są nasze dłonie, oczy i usta, i czoła – i przypomnieć wam słowa o mającym narodzić się królu w ziemi judejskiej, gdyż będzie to ów Wysłannik, o którym na wzgórzach Iranu błękitnymi ustami śpiewał Zaratustra. Śpiewały o nim zwoje Jesai, Henocha i Daniela, i śpiewały usta Zaratustry, i śpiewały usta gwiazdźdźarzy w Sippar, śpiewały o Wysłanniku, który zstąpi na ziemię podczas cudownego połączenia

Jowisza i Saturna w gwiazdozbiornie Ryb, albowiem Jowisz jest planetą radości i szczęścia, a Saturn otoczony pierścieniami jest tarczą i obroną Izraela, a Ryby są znakiem Wysłannika. Dlatego radzę sobie i wam, abyśmy tej nocy poszli na zachód drogą odmierzoną gwiazdami i niechaj rozpocznie się szukanie Wysłannika, a wtedy rozpogodzą się łuki moich brwi i ucichnie moja niecierpliwość.

I tak uczynili.

Wziąwszy złoto, mirrę i kadzidło i wpatrzeni w swą gwiazdzistą wolę – była ona odbiciem woli nieomylnych gwiazd – którą obrali sobie za przewodniczkę, ruszyli w drogę i jechali możliwie najszybciej, aby zdążyć do Judei przed nastaniem pory deszczowej. A na przedzie na śniadym wielbłądzie kołysał się najstarszy mag o ostrym profilu i dolnej wardze nieco wysuniętej, co nadawało jego twarzy wyraz władczego uporu, złagodzonego wysoko podniesionymi brwiami, świadczącymi o jego trosce i nieustannym oczekiwaniu.

Marzenia cesarza Augusta

Cesarz August kreślił notatki potrzebne mu w dniu jutrzejszym do rozmów z senatorami – nigdy z nikim nie mówił bez przygotowania, nawet z żoną Liwią, gdyż bał się, że powie za dużo lub za mało, nie chcąc więc obciążać pamięci, której zbyt mało dowierzał, zwykł nawet swoje rozmowy prywatne przygotowywać na piśmie – gdy nagle zmuszony był przerwać pracę z powodu tępego ucisku po prawej stronie lędźwi.

Była noc.

Czyżby znowu atak kamieni nerkowych? – pomyślał cesarz. Nie zbudzi Liwii, nie wezwie lekarza. Zaczeka. Może ból minie. Nerwowo odsunął notatki. Sięgnął po przygotowany dekret o spisie ludności i złożył pod nim podpis, po czym ostrożnie wstał od stołu i przeszedł do peristilium, otoczonego portykiem korynckich kolumn.

Upalna noc stała nad miastem. Na środku ogrodu biła śnieżnobiała fontanna i rozpryskiwała się u góry szeroką i płaską koroną podobną do pinii. Cesarz usiadł w fotelu. Orzeźwił go chłód bijący od fontanny. Ucisk w lędźwiach nieco zelżał. Żałował, że przerwał rozpoczętą pracę, ale nie wrócił do biblioteki. Owładnęło nim zniechęcenie. Starał się przypomnieć sobie te wszystkie sprawy, których nie zdążył na jutro przygotować, i te, które załatwił. Zatrzymał się myślą przy podpisanym dekrete. Już od dwóch lat zamierzał wydać zarządzenie o powszechnym spisie ludności, ale za każdym razem cofał się, gdyż właściwie nie umiał wytłumaczyć sobie jego sensu i potrzeby. Z czasem przytłoczony nagłymi pracami w ogóle o nim zapomniał, aż pewnego dnia myśl ta znowu niespodziewanie wypłynęła na

powierzchnię jego zainteresowań i od tej pory, drażąc go, stała się jego obsesją; chcąc się jej pozbyć, polecił swojej kancelarii przygotować dekret – właśnie go podpisał – i wprawdzie uwolnił się od natrętnej myśli, ale z kolei poczęła go drażnić niepokromiona chęć zbadania, co się kryło poza obsesją, która go od tyłu lat gnębiła. Cóż zyska tym spisem? Informację, nad iloma milionami ludzi panuje? Jeszcze jedną liczbę, świadczącą o jego potędze? A przecież ta liczba, choćby była najbardziej prawdziwa i poparta autorytetem najsprawniejszych urzędników państwowej administracji, będzie i tak tylko mglistym wyobrażeniem o wartościach, o których istnieniu nic nie wie i nic prawdopodobnie nigdy wiedzieć nie będzie. Imperator nie łudził się. Znał tę smutną prawdę, że władza jest sumą fikcji, za pomocą których buduje się pochodne fikcje, i w ten sposób powstaje historia urojeń, wstrząsających wprawdzie światem, ale nie dających człowiekowi tego, czego najbardziej pragnie: szczęścia. Ale ta fikcja musi istnieć, aby świat mógł istnieć. Przypomniał sobie, jak przed pięcioma laty zarządził zamknięcie bram w świątyni Janusa na Forum Romanum na znak, że pokój zapanował w całym imperium, chociaż obficie lała się krew w Galii – i dalej się leje – a w północnej Hiszpanii toczyły się uporczywe walki – i dalej się toczą – a przecież te wydarzenia były zaprzeczeniem jego urzędowych oświadczeń, tak uroczyście przypieczętowanych zamknięciem Janusowego przybytku. Była to znowu jedna z kolejnych fikcji, której skwapliwie użył jako argumentu o nastaniu nowej ery. Miała ona zapoczątkować złoty wiek powszechnego szczęścia, albowiem gorąco wierzył w nadejście błogosławionego wieku ludzkości i chciał być twórcą państwa bożego na ziemi, nieco maniacko upatrując jeśli nie jego urzeczywistnienie, to w każdym razie jego źródło w swoim panowaniu. W związku z tymi marzeniami August wielokrotnie zastanawiał się nad zagadnieniem, kogo miał na myśli plujący krwią Wergiliusz – nie mógł sobie przypomnieć, ile dokładnie lat minęło od jego śmierci – gdy pisał swoją Czwartą Eklogę o dziecku, które cudownie się narodzi z dziewicy, światu przyniesie pokój i czas sprawiedliwy i każe winnicom samorzutnie rodzić, lwu łagodnie odpoczywać wśród stada owiec, kozim wymionom da nadmiar mleka, a drzewom nadmiar owoców. Wielokrotnie prosił poetę o wytłumaczenie mu tajemniczej wróżby, spodziewając się w skrytości ducha, że ten mrukliwy chłop spod Mantui wskaże na niego jako na owo dziecko, które zrodzone z dziewicy zasiadło na tronie Cezarów, by wypełnić czas naznaczony przez bogów. Wprawdzie chronologia się nie zgadzała, ale wiadomo, że czasy historyczne wzajemnie się przenikają, tworząc jedno bezkształtne grzęzawisko, w którym niemożliwością jest odróżnić czas od bezczasu, a wszelki czas wiadomy od czasu niewiadomego. A zresztą dziecko, o którym pisał Wergiliusz w swojej Czwartej Eklodzie, nie musi być dzieckiem z krwi

i ciała, ale może być obrazem nowych wartości – każda nowa wartość jest dzieckiem tego, który ją stworzył, i nic nie istnieje, co by nie powstało z ojca i z matki i nie było czymś dzieckiem – i może być odbiciem boskiej idei, może być umownym znakiem, figurą, świętą datą, sakralnym zaklęciem, myślą, z której wyłaniają się błogosławione dla ludzkości skutki. I może być zresztą człowiekiem, niezależnie od płci i od wieku, mężczyzną lub kobietą, młodzieńcem lub starcem, a młodzieńcem był August przed czterdziestoma laty, gdy poeta tę eklogę tworzył, zatem po co szukać klucza do postaci dziecka, skoro dziecko jest na pewno tylko kluczem; i cóż łatwiejszego byłoby dla Wergiliusza niż wyznać, że ten klucz ma rysy twarzy cesarza Augusta, zwłaszcza że w samym utworze są pewne sprzeczności co do wieku dziecka i pewne związane z tym sformułowania bardzo mgliste i niejasne niejasnością owocną i zapładniającą, jak ów finał eklogi o dorastającym dziecku, które jeszcze się nie urodziło. Właściwie wszystko by się zgadzało i czas niewiadomy byłby czasem wiadomym, gdyby nie upór poety. Wprawdzie August według urzędowej metryki był synem Atii i Oktawiusza, ale jeszcze za czasów młodości słyszał opowiadanie z ust swojego nauczyciela, potwierdzone potem przez pobożną i cnotliwą matkę, że ojcem jego nie był wcale dzielny Oktawiusz, lecz bóg Apollo, który podczas nieobecności jej małżonka – przebywającego wówczas z dala od domu, na wojennej wyprawie wśród puszczy i kniei dalekiej Tracji – wpłynął w postaci węża w sen śpiącej Atii, a niewiasta po kilku tygodniach poczuła się brzemienna. Poza tym przed narodzeniem Augusta, o czym on sam potem czytał w kronikach, ukazały się w Rzymie na oczach całej ludzkości tajemnicze zjawiska, które wieszczkowie wytłumaczyli jako zapowiedź przyścia na świat wybranego Władcy, Królewskiego Żywiciela Rzymu. Senat drżący z przerażenia o los republiki powziął wówczas pośpiesznie uchwałę, w myśl której każdy w tym roku nowo narodzony chłopiec musi być natychmiast uśmiercony, ale dzięki mądrej i przewidującej interwencji wielu osób szlchetnego pochodzenia, mężów żon będących wówczas w stanie błogosławionym, uchwała ta nie została wykonana. August głęboko wierzył, że Atia była dziewicą, gdyż jej świadomość w czas poczęcia była czysta i niewinna, i wywyższona ponad wszystko, co ludzkie i ziemskie. Prawdopodobnie tak samo pojmował dziewiczość Apollo, skoro w postaci węża zbliżył się do niej we śnie, właśnie we śnie, który oczyszcza człowieka z wszelkiej świadomości grzechu, gdyż odbiera mu moc decydowania o sobie i czyni go narzędziem sił boskich. Atia we śnie była czystą, nieskazitelną dziewicą, nieświadomą tego, co się z nią dzieje, a ta nieświadomość była niewinna, czysta i nieskalana. Przez długie lata August czekał cierpliwie na słowo Wergiliusza, które by potwierdziło jego słuszne domysły o Czwartej Eklodzie, jako wieszczym hołdzie złożonym przez poetę niebiańskiej Atii

i jej boskiemu synowi, ale mantuański chłop nie spełnił życzenia cesarza, a jego liczne, okrężne i natrętne pytania zbywał milczeniem pełnym jawnej czolobitności, podszytej dobrze ukrytym pogardliwym współczuciem. A gdy wreszcie zniecierpliwiony cesarz pewnego razu wręcz postawił poecie kłopotliwe pytanie, Wergiliusz skorzystał z przywileju swej śmiertelnej już wówczas choroby i dość opryskliwie dał mu do zrozumienia, że pisząc o dziewicy i jej wybranym synu nie miał na myśli ani niebiańskiej Atii, ani jej boskiego syna. – Więc kogo widziałeś pod postacią dziewicy? – spytał cesarz, a w jego zielonych oczach zabłyśły złe i jadowite ogniki, które były prawdopodobnie dziedzictwem po ojcu, po apollińskim wężu, pokrytym seledynową łuską. – Prawo – odparł Wergiliusz i zakasłał. – Jesteś niewdzięczny – rzekł August i wyszedł. To była ich ostatnia rozmowa, prowadzona w Brundisium, na kilka godzin przed śmiercią poety, do którego cesarz zawsze czuł głęboką niechęć, zmieszaną z nie mniej głębokim uwielbieniem.

Fontanna rytmicznie biła pod niebo. Z dala dochodził szum drzew z cesarskich ogrodów. August znowu pomyślał o spisie ludności, ale nie rozumiał, dlaczego kojarzy myśl o dziewicy i jej synu z dopiero co podpisanym dekretem, i może by jeszcze długo zastanawiał się nad tym dziwnym dlań skojarzeniem i drażył je swoim zwyczajem w wielu kierunkach na podobieństwo kornika toczącego drzewo, gdyby nie gorycz, którą poczuł w ustach. Zwilżył językiem wargi. Były suche i rozpalone. W łędźwiach odezwały się silne bóle. Zgiął się we dwoje. Pot ściekał mu po twarzy. Mdłości rozsadzały żołądek i gorącą falą napłynęły ku ustom. Zmagając się z narastającym cierpieniem, uśmiechnął się ironicznie na myśl o swojej kruchej i bezużytecznej boskości.

Piątkowy wieczór

Miriam przez cały dzień pracowała. Posprzątała izbę i warsztat Josefa, przyrządziła zimne jadlo na Szabat, zakupiła najczystsza oliwę, przyniosła słomę i ściernie na podpałkę w piecu kuchennym, wystarała się u życzliwych sąsiadów o trochę węgla drzewnego i spieszenie – za chwilę zapadało już święto – rozpałała go w garnku na środku izby, aby mąż po powrocie z synagogi mógł dłonie ogrzać nad żarem. Był to już bowiem marcheszwan, miesiąc rozpoczynających się deszczów – noce były chłodne – a wiatr wiejący od zachodu napędzał gęste chmury, które wprawdzie szybko się rozprasały, ustępując miejsca słońcu, ale mimo to nieprzyjemnie było siedzieć, zwłaszcza w górach, w piątkowy wieczór w nie opalanej izbie.

Miriam spojrzała na niebo, które było teraz równie jak ona odświeżone i pełne

oczekiwania. Ale podczas gdy niebo tonęło w seledynowych i purpurowych blaskach, jaskrawych i krzykliwych – była to zapowiedź wietrznej pogody – kolory, które młoda niewiasta wybrała dla siebie, były bardzo spokojne i skromne. Przeważał w jej stroju kolor błękitny – w tym kolorze była jej wełniana tunika, długa do kostek, luźno opadająca – a ponieważ błękit dobrze harmonizuje z czernią, na głowę nałożyła czarną chustę, która wyraźnie podkreślała oliwkowy odcień jej twarzy. Na nogach miała miękkie sandały z wielbłądziej skóry, a na przegubie prawej dłoni bransoletę z kości słoniowej, ofiarowaną jej w dniu zaślubin przez Josefa, który jeszcze przed laty w Bethlehem otrzymał ją w darze od judejskiego sprzedawcy balsamu, wracającego z towarami do Micraim, do Matarii, gdzie od wielu lat mieszkał i posiadał piękne plantacje ziołowe. Kupiec ów nagle w drodze zaniemógł i wzruszony dobrocią Josefa, który się nim opiekował, podarował mu ową bransoletę. Chłopiec zachował ją na pamiątkę, jedyny zresztą wartościowy przedmiot, jaki posiadał, i wdzięcznie wspominał hojnego ofiarodawcę, który odjeżdżając powiedział do niego z wysokości wielbłąda: – Gdy będziesz kiedyś, Josefie ben Jaakow, w Micraim, pamiętaj o mnie, a zawsze otrzymasz w moim domu posłanie i placek miodowy. – Teraz owa bransoleta z kości słoniowej była częścią uroczystego stroju, który Miriam nakładała na każde powitanie Szabatu, królowej tygodnia.

Wróciła do izby, gdzie na stole nakrytym białym obrusem stały półmiski z jadem – upieczona na miodzie szarańcza, oliwki, suszona ryba, figi i daktyle, dwa plecione chleby, sól, a obok dzban z winem i dwa kubki. Na środku stał świecznik mosiężny, dwuramienny, napełniony świeżą oliwą. Wszystko to już przygotowała uprzednio, a teraz tylko baczynym okiem gospodyni obrzuciła półmiski i jadło, wygładziła obrus na stole, zajrzała do garnka z węglem i kilkakrotnie weń dmuchnęła, by utrzymać upragniony żar aż do przyjścia Josefa.

Spojrzała w okno. Z płaskiego dachu synagogi chazan gromkim dźwiękiem rogu, rozbrzmiewającym w trzech równych, dokładnie odmierzonych odstępach, obwieszczał wszystkim mieszkańcom Nazarethu nastanie święta Szabatu. Pierwszym dźwiękiem, ostrym i upominającym, wzywał spóźnionych robotników rolnych do przerwania pracy w polu i powrotu do domu, drugim, zapalczywym i nieomal gwałtownym, nakazywał kupcom, kramarzom i przekupniom zamykanie sklepów, kramów i straganów, trzecim natomiast, ogładzonym, miękkim, ale kategorycznym, przypominał wszystkim zamężnym niewiastom Izraela, że jest już pora zapalania świętych lamp szabatowych.

Dźwięk rogu uradował niewiastę, albowiem głęboką czcią obdarzała Szabat, królowę ukoronowaną osobiście przez Elohim, który dzięki temu, że w ten dzień

sam odpoczywał po trudach Stworzenia – trud Jego był tylko obrazem trudu, a wypoczynek Jego tylko obrazem wypoczynku, gdyż Pan nigdy nie odczuwał trudu i nigdy nie wypoczywał – wyniósł go dla dobra człowieka do godności Święta Święt, matki całego tygodnia, śpiewającej Mądrości, z której szczytu roztaczał się widok na czas minionej pracy i jej owoców.

Na dalekim siwym horyzoncie ukazała się trzecia gwiazda. Miriam wyprostowała się, z nabożną ostrożnością wzięła z pieca płonącą szczapkę, zapaliła nią dwa knoty w świeczniku, podniosła do nieba niebieskie oczy, a w ślad za nimi obie ręce, które trwały nieruchomo w powietrzu, pełne ciszy, namaszczenia i bojaźni Bożej. Opuszczając powoli dłonie, zatrzymała je po obu stronach płonącego świecznika, jakby chciała go zamknąć w swoich ramionach, i zasłoniwszy oczy palcami złotymi od płomieni, skupiona i cała zasłuchana w muzykę swoich słów, wzorem swej matki i babki, i wszystkich zameżnych niewiast w jej rodzie błogosławiła nadchodzący Szabat:

– Baruch atah Adonaj, melech haolam... – Błogosławiony bądź, Wiekuisty, Boże nasz, Królu Wszechświata, który uświęciłeś nas swoimi przykazaniami i kazałeś nam zapalić światło szabatowe. Amen.

– Amen – Miriam usłyszała za sobą głos Josefa, który właśnie wszedł do izby. Wrócił z synagogi. Prawdopodobnie biegł szybko pod górę, bo był zdyszany, i dlatego owo „amen” wypowiedziane było bezdźwięcznie – tak się przynajmniej niewieście zdawało – ale odsapnąwszy uśmiechnął się do niej, a potem do świecznika, którego dwa knoty spokojnymi płomieniami chwaliły niewzruszoną świętość Szabatu.

– Moja żona, kapłanka domu, jest jego najpiękniejszym światłem – rzekł Josef, patrząc na Miriam, w jej niebieskie oczy, na prosty, kształtny nos, na lekko ku górze podniesione kąciki dość pełnych warg, co nadawało jej poważnej twarzy wyraz dziecięcej naiwności. Szła ku niemu nieco ociężała, ale mimo to jej krok był wdzięczny i rytmiczny, a rytm ten wyrażał się przede wszystkim w miękkim unoszeniu stóp, odziedziczonym prawdopodobnie po przodkach, którzy krążąc po pustyni, posiadli sztukę lekkiego stąpania po jej lotnych i grząskich piaskach. Spojrzeli sobie w oczy. Miriam poznała, że mężowi mimo radosnego zachwytu, jaki jej okazał, doskwiera jakaś troska – już mocno ją zastanowiło stłumione „amen”, wypowiedziane przez niego na progu domu – ale nie chcąc drażniącymi pytaniami mącić wieczerzy, postanowiła rozmowę odłożyć na później, do czasu, aż sam zacznie mówić.

Josef umył ręce i usiadł do stołu. Miriam podsunęła mu kubek i dzban z winem i przystanęła obok, albowiem było w zwyczaju, że niewiasta służy mężczyźnie,

ale nie siedzi z nim przy jednym stole. Josef rozłożył dłonie i rzekł:

– Już niejednokrotnie prosiłem żonę moją, Miriam, aby nie tylko mi usługiwała, jak jest obowiązkiem dobrych żon izraelskich, ale także wspólnie spożywała ze mną przy jednym stole chleb Boży, albowiem taka jest potrzeba i wola mojego serca.

Na te słowa Miriam nieśmiało usiadła za stołem, dając mu swoją nieśmiałością do zrozumienia, że wprawdzie jest mu posłuszna, ale swoim posłuszeństwem uchybia starym zwyczajom uświęconym przez pokolenia.

Siedzieli więc naprzeciw siebie, po obu stronach stołu, a Josef śpiewał hymn na chwałę cnotliwej niewiasty, napisany przed wiekami przez króla Salomona:

– Kto znajdzie cnotliwą niewiastę? – śpiewał Josef, kołysząc się w takt melodii, przy czym ręce jego kołysały się równocześnie z jego ciałem, a wzniesione dłonie okrągłymi gestami podkreślały bardziej liryczne części pieśni. – Jej wartość jest cenniejsza niż korale. Serce męża darzy ją zaufaniem, a majątność jego nie uszczupli się. Czyni mu dobro, a nie zło, po wszystkie dni swojego żywota. Wdzięk jest złudzeniem, a piękność przemija. Niech będzie błogosławiona niewiasta bojąca się Boga. Niech ją sławią owoce jej rąk, a jej własne uczynki niechaj jej złożą pokłon w bramie miejskiej.

Ostatnie dwa słowa rozciągnął Josef ponad przepisaną miarę wiersza, ale pragnął za pomocą drobnej wokalne licencji ową bramę miejską poszerzyć do rozmiarów niebios i ziemi i okazać żonie swojej, że jeżeli chodzi o jej uczynki – a przecież ją miał na myśli, śpiewając pieśń królewską o cnotliwej niewieście – to złożą jej one pokłon nie pod łukiem bramy miejskiej, lecz pod sklepieniem nieogarnionego nieba na oczach wszystkich ludów.

Urwana melodia jeszcze trwała w powietrzu, gdy Miriam i Josef podnieśli się z miejsc, a mąż, sięgnąwszy po dzban, napełnił winem swój kubek i położywszy na nim dłonie zaintonował:

– Wajhi erew wajhi boker, jom haszishi... – I nastał wieczór, i nastał poranek dnia szóstego. I tak ukończone zostały niebiosa i ziemia, i wszystkie ich zastępy. I ukończył Bóg w szóstym dniu dzieło, którego dokonał, i wypoczął w dniu siódmym od wszelkiego dzieła, którego dokonał. I pobłogosławił Bóg siódmemu dniowi, i uświęcił go, albowiem w tym dniu przestał Bóg czynić wszelkie dzieło, które stworzył. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Panie nasz, Królu Wszechświata, który stworzyłeś owoc winogrodu. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Panie nasz, który uświęciłeś nas przez swoje przykazania i okazałeś nam łaskę, i uczyniłeś dla wierności i miłości święty Szabat naszym dziedzictwem na pamiątkę dzieła stworzenia. Albowiem jest to dzień, który stoi na początku Bogu poświęconych dni i przywodzi nam na pamięć wyjście z Micraim. Wybrałeś nas i uświęciłeś spośród

narodów, i dla wierności i miłości uczyniłeś Szabat naszym dziedzictwem. Bądź pochwalony, Boże, który uświęciłeś Szabat.

Josef podniósł kubek do ust, wypił łyk wina i podał go Miriam. Pili wino, sok winogrodu, jednego z najpiękniejszych dzieł Elohim, a mąż znowu umywszy dłonie – Miriam podała mu miednicę i ręcznik – przełamał pleciony chleb, kęs zanurzył w soli i odmówił błogosławieństwo nad chlebem. I dopiero teraz poczęli spożywać wieczerzę. W milczeniu jedli szarańczę pieczoną na miodzie, chleb, suszoną rybę, figi i daktyle i popijali cierpkim i młodym winem, albowiem na stare i słodkie nie starczyło im pieniędzy. Gdy zjedli ostatniego daktyla, a półmiski były już puste, Josef zaśpiewał psalm o łaskawości Pana Zastępów i o Jeszurunie, narodzie wybranym, który dzisiaj siejąc łązy, jutro zbierać będzie radość, ale śpiewał ten psalm inaczej niż zazwyczaj, wprowadzie z tą samą żarliwością, ale słowa akcentował wyraźniej, jakby chciał za pomocą dokładnej wymowy i mocno wybijanego rytmu wypowiedzieć przed Panem żywą obecność tego hymnu. Miriam słuchała uważnie i zastanawiała się, czy już teraz ma zagadnąć Josefa o zmartwienie, które go gryzie, a może w ogóle nie powinna go pytać, lecz czekać, aż sam otworzy przed nią swoje serce, co wydawało się jej najrozsądniejsze, bo zgodne z niewieścim posłuszeństwem i cierpliwością. Ponieważ jednak cierpliwość niekiedy przeczy sercu, Miriam, skłoniwszy głowę na znak uległości, spytała:

– Co jest mojemu panu?

Trudno określić, czy Josef rad był, słysząc to pytanie, wymagające natychmiastowej odpowiedzi, która na pewno zmaćmi spokój i radość świątecznego wieczoru. Ale z drugiej strony, pragnąc zrzucić z siebie gniotący go ciężar, pomyślał, że może dobrze będzie, jeżeli już teraz wszystko żonie opowie i zasięgnie jej rady, więc po krótkim wahaniu rzekł:

– Opowiadano w synagodze, że cesarz rzymski wydał dekret o powszechnym spisie ludności. Z tego powodu Jeszurun oburzył się wielkim oburzeniem, które i ja podzielam, albowiem nie wolno liczyć Izraela na podobieństwo bydła wypasanego przez pasterzy na pastwiskach, a ponieważ Izrael nie jest własnością cesarza, lecz Elohim, i do Niego należy, i On jest jego Panem i Królem, przeto niechaj nikt z ludzi żyjących nie ośmiela się spisywać własności Boga, albowiem ten, który spisuje Bożą majątność, wchodzi w jej tajemnice i jak złoczyńca rękę po nią wyciąga – tu w oczach Josefa zapłonęły gniewne błyski i czuło się w jego spojrzeniu, że jest niepodzielną własnością Elohim i że nie ma na całej ziemi takiej mocy ludzkiej, która by go zdołała pozbawić przywileju Bożej własności i pokornego poddaństwa przed obliczem Niewidzialnego. Dłoń Josefa zaciśnięta w pięść była nie tylko potwierdzeniem jego słów i dumnej woli, ale – świadczył o tym dumny gest podniesionej ręki – figurą

przeznaczenia tego narodu, który wprawdzie wielokrotnie buntował się przeciw swojemu losowi, ale zawsze przez gniew swoich najszlachetniejszych wracał z powrotem przed tron Elohim. Pięść Josefa po tym gwałtownym wybuchu opadła powoli na stół, rozluźniła się, otwarła i była znowu łagodną dłonią cieśli miłującego pokój. Mąż sprawiedliwy lewą ręką pogładził rzadką brodę i gestykulował teraz szeroko rozwartymi palcami prawej dłoni. Zbliżył koniec wskazującego palca do końca kciuka, tak że oba palce przypominały swoim kształtem ptasi dziób, i kołysząc nimi w powietrzu, miarowym ich ruchem potwierdzał to wszystko, co mówiły jego usta.

– Trapi mnie niepokój o ciebie, korono moja – ciągnął roztropnie Josef – bo będziemy musieli udać się z Nazarethu do Bethlehem, ponieważ jesteśmy z domu i pokolenia Dawidowego, a tylko w beth aboth, w domu ojców, możemy być wpisani do ksiąg ludności. Zbliża się czas rozwiązania żony mojej, różdżki z pnia Iszaja. Droga będzie trudna i męcząca nie tylko dla samych niewygód podróżowania, ale jak zwykle, gdy sprawy powszechne każą ludziom wędrować z miasta do miasta, gospody będą pełne podróżnych, a i po drogach może być niebezpiecznie, bo Izrael, kochając wolność, pomny przykładu swoich przodków, może podnieść oręż przeciw znienawidzonym najeźdźcom, ośmielającym się spisywać własność Elohim. Jak ochronię przed niebezpieczeństwem koronę moją na obcej drodze? Takie są moje obawy, więc nie wiedząc, co mam począć, proszę moją żonę o słowo i radę.

– Niechaj Josef ben Jaakow, mąż mój, nie trapi się o moje bezpieczeństwo i niechaj ze swojego serca wyrzuci troskę, która go gryzie, gdyż Elohim wskaże nam właściwą drogę i właściwą gospodę, i tak wszystko uczyni, jak to postanowił w swoich zamiarach. Już nastał dziewiąty miesiąc mojego błogosławionego brzemia, a nie odczuwam żadnych dolegliwości, które w czasie swoim odczuwa niewiasta, co jest dowodem, że ręka Niewidzialnego spoczęła na moim łonie – tu Miriam podniosła na Josefa niebieskie oczy i poprawiwszy chustę, która się obsunęła z jej głowy i odsłoniła gładko zaczesane granatowe włosy, ciągnęła dalej, a jej głos był coraz miękniejszy i cichszy: – Niechaj Josef, mąż mój, nie trapi się o spis ludności, gdyż Jeszurun nie jest wprawdzie bydlęciem wypasany przez pasterzy na pastwiskach i nie wolno go liczyć na podobieństwo rogatego i nierogatego bydła, ale Elohim – niech będzie błogosławione po wieczny czas Jego święte Imię – przemawia również niekiedy przez pogan, chociaż oni nic o tym nie wiedzą, i dlatego cesarz, zarządzając spis ludności, nie wie, że jest może narzędziem w rękach Pana Cebaoth, który zamierzył to wszystko według swojej myśli i woli, i dlatego Jeszurun nie powinien wierzgać przeciw spisowi ludności, lecz powinien mu się poddać i iść do miejsc swojego pochodzenia. Niechaj mój pan rozpogodzi swoje czoło i nie trapi się ani

o swoją żonę, ani o spis ludności, ani o drogę do Bethlehem.

– Miód mądrości jest pod językiem żony mojej – szepnął Josef i poczuł podziw dla mądrości niewiasty, i odetchnął z ulgą.

I śpiewał pieśń na chwałę Szabatu, królowej wszystkich dni, i radowali się wypoczynkiem i ciszą wieczoru.

Spokojnie płonęły szabatowe światła w dwuramiennym świeczniku.

Bethlehem

Gdy późnym popołudniem przybyli do Bethlehem położonego na dwóch wzgórzach, przypominających swoim kształtem dwugarbnego wielbłąda, Josef ze wzruszeniem patrzył na dobrze mu znane z czasów dzieciństwa winnice, ogrody i sady oliwne i zachwycał się widokiem lepianek, naocznych świadków jego dziecinnych zabaw i przygód. W rzeczywistości była to nic nie znacząca maleńka miejscina, położona na granicy pustyni i urodzajnych pastwisk, zapadła prowincjonalna dziura, żyjąca już tylko wspomnieniami o bogactwach Boaza i o kłosach Ruth Moabitki, o królewskim pasterzu, wypasającym stada kóz i owiec, a przede wszystkim nieustannie żywą pamięcią o Racheli, przed której grobem o płaskim dachu pobielanym wapnem zatrzymali się po drodze. Wprawdzie ilekroć Jeszurun wybiegał marzeniami i myślami ku przyszłym dniom Mesjasza, zawsze łączył, dzięki przepowiedniom proroków, Jego przyjście i postać z małym miasteczkiem Bethlehem, lecz gdyby kogokolwiek z ludu Izraela spytano, jak sobie wyobraża przyjście na świat Bożego Pomazańca wśród brudnych lepianek, błota i odoru zjełczałych owczych serów, warzonych przez niechlujnych pastuchów, na pewno nie umiałby udzielić jasnej odpowiedzi i byłby raczej skłonny za pomocą bardzo kunsztownej i subtelnej argumentacji upatrywać w ziemskim Bethlehem odległe niebieskie Bethlehem, zawieszone w gwiazdach, niż otwarcie przyznać, że to brzydkie, zaniedbane miasteczko ma być kolebką świętego Pomazańca. Ale Josef, kochający swoje rodzinne strony, jak każdy człowiek zakochany nie chciał widzieć, a może nawet naprawdę nie widział ich szpetoty i z głośnym zachwytem objaśniał niewieście osobliwości miasteczka.

Miriam nie podzielała przesadnego podziwu męża, jednak nie chcąc odbierać mu złudzeń, milczała i tylko od czasu do czasu uśmiechała się, ale nie wiadomo, czy ów uśmiech był odpowiedzią na entuzjazm cieśli, czy też może był odbiciem spokoju, jakiego doznała, gdy leżąc pokornie przed grobowcem Racheli błagała ją o łaskę szczęśliwego porodu i polecała troskliwej opiece pramatki Owoc swojego żywota, który lada dzień, a może nawet lada godzina miał ujrzeć światło człowieczego życia.

Podniosła się z ziemi spłakana i okryta pyłem i wypełniona była mglistą, ale głęboką wspólnotą z Rachelą, a gdy poczęła szukać w sobie przyczyny owego związku i starała się znaleźć jego niewidzialne kielki, po dłuższej medytacji nad dziejami Jakubowych dni uwagę jej przykuła historia Josefa, który sprzedany przez swoich zuchwałych braci za dwadzieścia srebrników kupcom ismaelskim, nie tylko przebaczył swoim winowajcom, ale potem przygarnął ich do siebie wraz z całym szczeniem Jaakowa i ocalił od głodu i cierpienia, dobrem płacąc za okazane mu zło. Wspomnienie o cierpiącym i bezdomnym synu Racheli, tułającym się po świecie, uparcie zespałało się w jej myślach z Mającym Się Narodzić, ale mimo to była spokojna, gdyż w tej nieco zawilej, a przede wszystkim dla niej samej niezrozumiałej paraleli, snutej z radosną melancholią między odległym życiem patriarchy a przyszłym życiem jej Pierworodnego, pociechą były dla niej dalsze dzieje Josefa niewolnika, który po wielu bolesnych doświadczeniach wyniesiony został wysoko przed obliczem Przedwiecznego i szczęśliwie dożył sędziwego wieku. Ten spokój towarzyszył jej nawet obecnie mimo zgiełku, wrzasku i krzyków, które panowały w miasteczku goszczącym niezliczoną ilość podróżnych przybyłych ze wszystkich stron Izraela.

Josef szybko przestał się zachwycać pięknem rodzinnych stron, gdyż w przyływie troski o zdrowie i bezpieczeństwo Miriam zmiarkował, że niełatwo znajdzie dla niej dogodne miejsce w zajeździe. Z trudem, krok po kroku posuwali się naprzód. Miriam siedziała na osle, a Josef szedł obok, trzymając go silnie za uzdę, ale zwierzę, czy to będąc z natury znarowione, czy też przestraszone ścisaniem i wrzawą – a może Josef po prostu, nie znając natury osła, nie wiedział, jak z nim postępować, pożyczyl go bowiem od swoich sąsiadów w Nazarecie – nieustannie przystawało, to znów w nagłym podrywie gnało przed siebie, wśród przekleństw i złorzeczeń potracanych ludzi, i ciągnęło za sobą Josefa, który uczepiony u uzdy, starał się bezskutecznie okiełznać upartego kłapoucha i krokom jego nadać spokojny bieg. Miriam zmuszona była zsiść z osła. Przyparci do ściany jakiejś lepianki, bezradnie patrzyli na przewalające się przed nimi kotłowisko ludzi, osłów i mułów objuczonych owocami i na smukłe wielbłądy z pustynną dumą dźwigające na sobie kupców i towary, na stragany pełne warzyw, ryb i klatek z różnobarwnym ptactwem. Krzyki poganiaczy wielbłądów mieszały się z zawodzeniem żebraków i wrzaskliwymi łajaniem straży miejskiej, która pragnąc zaprowadzić ład, swoją nieudolnością jeszcze bardziej pomnażała chaos i zamieszanie. Oceniając obiektywnie jej sprawność administracyjną, musimy stwierdzić, że może umiała ona jako tako dać sobie radę z napływem ludności w zwyczajne dni targowe, ale w wyjątkowych okolicznościach, jak na przykład obecne, gdy z dniem targowym

zbiegł się spis ludności – należy tu jeszcze dodać codzienny ruch podróźnych na drodze karawanowej prowadzącej z Jerozolimy przez Bethlehem do Micraim – wykazała karygodną niezaradność.

Josef i Miriam, posuwając się powoli wzdłuż opatrnościowej ściany, która chroniła ich jak kamienny wał przed zalewem ciżby, dowlekli się wreszcie do zamkniętej bramy jakiegoś domu. Josef zapukał. W zakratowanym oknie ukazały się czyjeś oczy, ale opryskliwe słowa, które usłyszeli, nie były zbyt pocieszające. Wlekli się więc od jednej bramy do drugiej i prosili o nocleg, ale ponieważ wszędzie odprawiano ich z niczym, a niekiedy nawet ten i ów gospodarz, zniecierpliwiony nieustannym nagabywaniem go przez różnych natrętnych podróźnych, dorzucał kilka barwnych przekleństw, Josef wkrótce stracił wszelką nadzieję na bezpieczny nocleg pod dachem. Wprawdzie miał w Bethlehem bliskich i dobrych znajomych, mieszkających po drugiej stronie miasteczka, ale nie mógł się do nich dostać z powodu wciąż rosnącego natłoku, zwłaszcza że biedna Miriam, zmęczona drogą, opadając z sił, już z trudem trzymała się na nogach. Zrezygnowali więc z dalszego szukania noclegu i poddali się bezwolnie fali napierającego tłumu, który ich zaniósł na szeroki plac u wylotu nie znanej im drogi. Było już zupełnie ciemno. Stanęli przed zajazdem.

– Nie ma po co wchodzić do środka – pomyślał Josef. – Na pewno nie będzie w nim ani jednego wolnego miejsca.

Tymczasem ludzie układali się do snu, gdzie kto mógł, na dziedzińcach, na placach, pod ścianami domów, pod drzewami, w ogrodach i sadach. Mąż sprawiedliwy słusznie upierał się, że nie pozwoli brzemiennej niewieście spocząć na nagiej, wilgotnej ziemi w deszczowym miesiącu marcheszwan, a zresztą lada chwila mogły się wypełnić jej dni, a rozwiązanie Owocu nie mogło przecież nastąpić na oczach gapiów, mężczyzn i młodzieży.

– Wejźmy – rzekł Josef bezradnym głosem.

Weszli do gospody. Na dziedzińcu pełnym osłów, mułów i wielbłądów było duszno i ciemno. Pod arkadami zamykającymi w kształcie kwadratu dziedziniec spali na ziemi ludzie otuleni w płaszcze, z głowami na siodłach, które im służyły za wezglowie. Ciężka woń przepoconych płaszczy i tunik unosiła się w powietrzu. Nocną ciszę mąciło chrapanie śpiących. Ten i ów mówił przez sen, to znów niespokojnie przewracał się z boku na bok. Wiał północno-wschodni wiatr. Od gór ciągnął przejmujący chłód. Spod arkad z głębi ciemności wysunęła się jakaś postać w długim pasterskim płaszczu, z kagankiem w ręce, i szła ku przybyłym.

– Pokój temu domowi – szepnął Josef.

– I wam – odpowiedział stojący przed nimi mąż i podniósłszy w górę ledwo

pełgającą lampkę oliwną przyjrzał się uważnie przybyłym nie wyłączając osła, który opuścił wstydliwie głowę i poddał się cierpliwie jego badawczym spojrzeniom.

– Skąd jesteś? – spytał.

– Z Galilei, z Nazarethu – odparł Josef.

– Przyszedłeś się wpisać do ksiąg ludności?

– Tak.

– A ta niewiasta?

– To moja żona – Josef spojrział błagalnym wzrokiem na męża i wyrzucił z siebie słowa, w których były równocześnie skarga, szloch i niewzruszona wiara w dobroć ludzką:

– Moja żona jest brzemienna...

Patrząc na nieruchomą twarz nieznanego, można by było przypuszczać, że słowa te nie wywarły na nim żadnego wrażenia, ale gest, jakim zgasił lampkę oliwną, świadczył o jego dyskretnej subtelności, albowiem usłyszawszy to, co usłyszał, i ujrawszy to, co ujrzał, nie chciał dać poznać Josefowi, że widzi łzy na jego policzkach, a niewieście, że widzi jej brzemiennność.

Dobry człowiek – pomyślał Josef, mając w oczach miłosierny ruch jego palców, które życzliwie zamknęły się nad knotem lampy oliwnej.

– Tu, między ludźmi, nie może rodzić – stwierdził rzeczowo mąż.

– Nie może – szepnął jak echo Josef i rozłożył ręce.

– Chodźcie – rzekł.

Wyszli za nim na drogę. Poprowadził ich na przełaj przez ściernisko, przez gaj figowy ku jaskini wykutej w skale. Wykrzesał z krzesiwa iskrę i zapalił lampkę, i postawił ją w głębi grotu, na żłobie wmurowanym w skalną ścianę.

– Tu jest słoma. Zróbcie sobie z niej podściółkę. Tu jest nawet jęczmień dla osła. A tutaj – zjrzał do dzbanka stojącego w kącie – jest mleko. Pokój wam.

Wyszedł. Josef wybiegł za nim i chciał mu dziękować, ale nieznanomy zniknął w ciemnościach. Josef krzyknął:

– Kim jesteś, panie? Jakie imię twoje?

– Pasterz jestem – usłyszał oddalający się w ciemnościach głos.

Josef wrócił do jaskini i już otworzył usta, by głośno chwalić dobry uczynek nieznanego pasterza, gdy spostrzegł, że Miriam słańia się i powoli osuwa na ziemię. Pospiesznie, nerwowymi ruchami dłoni zgarnął słomę, ściągnął z siebie płaszcz i przykrył niewiastę, po czym pobiegł w głąb jaskini, zakrył twarz dłońmi i odwrócony plecami do rodzącej, drząc ze strachu i wzruszenia, czekał.

Gdy usłyszał ciche kwilenie Dziecka, runął na ziemię i krzyczał:

– Bądź błogosławiony, Panie, Boże Abrahama, Jicchaka i Jaakowa. Boże Izraela!

Kodesz! Kodesz! Kodesz! Święty! Święty! Święty!

Pasterze

Była chłodna noc. Na niebie świeciła droga mleczna. Pasterze szczelnie owinięci w opończe siedzieli przy ogniskach, gdy jeden spośród nich – leżał wyciągnięty na ziemi, na baranim błamie – mężczyzna o wysokim, pomarszczonym czole, wydatnym nosie, grubych, szerokich wargach i zapadłych policzkach, zarośniętych szczeciniastą, szpakowatą brodą, sterczącą wyzywająco ku przodowi nad żylastą grdyką, tymi słowami przemówił do swoich towarzyszy:

– Za kilka dni zejdziemy w doliny i zapędzimy owce do ciepłych owczarni, albowiem jest już druga połowa miesiąca marcheszwan i lada dzień, skoro tylko wiatr zmieni swój kierunek z północno-wschodniego na zachodni, należy się spodziewać pierwszych błogosławionych deszczów.

Pasterze na znak zgody obojętnie kiwali głowami, jeden z nich żuł z namysłem kawał twardego sera, drugi sprawnymi palcami przyszywał rzemyk do sandała, trzeci, siedzący obok niego, majstrował przy swoim flecie, a tamten, mały i krępy, o chytrej, zamkniętej twarzy, stał oparty na lasce przy ogrodzeniu, za którym spoczywała gromada zbitych z sobą owiec i jagniąt. Przy ognisku leżały dwa kudłate psy i położywszy pyski na wysuniętych przed siebie łapach, udawały, że śpią, ale drżenie ich nozdrzy i niespokojny ruch małżowin zdradzały nieustanną i natężoną czujność. Ów pasterz o szczeciniastej brodzie podniósł się z ziemi, dorzucił kilka gałęzi do ogniska, po czym mrużąc modlitwę uczynił palcem w powietrzu władczy gest, a pasterze w mig zrozumieli jego wymowę, gdyż przerwawszy swoje zajęcia – nawet żujący przestał poruszać szczękami – jeden po drugim, wybierając najdogodniejsze dla siebie miejsca, układali się do snu przy akompaniamencie modlitewnych pomruków, w których dziękowali Elohim za dzień spokojnie przeżyty i błagali Go o cichą i bezpieczną noc dla siebie, owiec i psów. Na straży pozostał Szczeciniasty, opierając się na lasce o żelaznym zakończeniu i grubych sękach. Ponieważ ognisko znów poczęło przygasać, dorzucił do ognia kilka suchych gałęzi, które sycząc szybko się zajęły i wystrzeliły rudym płomieniem. Przykucnął i wyciągnął zziębnięte dłonie nad ogniskiem, ale ruch ten wykonał w sposób tak skupiony, że wydawało się, iż raczej błogosławi ogień, niż ogrzewa nad nim ręce, a może ogrzewał i błogosławił równocześnie, albowiem błogosławiący nie tylko przenosi żar swojego serca na błogosławionego, ale i sam ogrzewa się nad tym, którego błogosławi. W zamierzeniach Pańskich różność środków często prowadzi do jedności skutków. Szczeciniasty podniósł się i zamierzał udać się na obchód zagrody,

gdy wtem usłyszał w ciemnościach czyjeś kroki i ujrzał, jak dwa kudłate psy, zamiast z wściekłym ujadaniem rzucić się w kierunku, skąd dochodził odgłos kroków, potulnie czołgały się po ziemi, służalczo wpatrzone fosforyzującymi ślepiami w gęsty mrok nocy.

– Niech będzie błogosławiony Elohim, Pan Zastępów – Szczeciniasty usłyszał głos i ujrzał obok siebie postać pasterza, odzianego jak on w długi płaszcz, w sandałach na nogach, z sękatym kijem w ręce, i gdyby nie wyraz jego przezroczystej twarzy, świadczącej o oddawaniu się zajęciom bardziej uduchowionym niż uganie się za szakalami i wyrób owczego sera, byłby przekonany, że jest to pasterz z jakiejś bliższej lub dalszej okolicy, wypasający owce na sąsiednich pastwiskach. Blask od ogniska padł na twarz nieznanego. Szczeciniasty nie znał go, chociaż wszyscy pasterze z gór judejskich znali się wzajemnie, więc był już skłonny przypuścić, że mąż ów z niewiadomych powodów przebrał się za pasterza – należało zatem działać ostrożnie i zająć wobec niego postawę obronno-wyczekującą – ale tej rzekomej maskaradzie przeczyło typowe dla pasterzy zachowanie się gościa, jego szerokie gesty, długie kroki, strój doskonale przylegający do jego postaci i bijący od niego ostry zapach owczej wełny – to było chyba najbardziej uspokajające – który świadczył o pasterskim zawodzie przybysza.

– Pan z tobą – odrzekł ostrożnie Szczeciniasty, który ku swej wielkiej zazdrości zauważył, że psy z jawną czułością i swobodą łaszą się do obcego męża.

– Skąd znasz nasze psy? – spytał zaczepnie, a ponieważ postanowił szybko rozprawić się z nieznanym, dodał: – Skąd się tu wzięłeś? – Czego szukasz?

– Ciebie szukam i twoich towarzyszy – odrzekł spokojnie przybysz.

– Czego chcesz?

– Obudź towarzyszy – odrzekł łagodnie.

– Czy ty jesteś panem moim, że mi rozkazujesz?

– Obudź towarzyszy – powtórzył nieznanomy, ale tym razem tonem rozkazującym.

Szczeciniasty silniej ścisnął kij w garści, ale opanował swoją porywczosć, gdyż zwyciężyło w nim poczucie gościnności, więc zrezygnował z dalszych pytań i począł budzić pasterzy. Przecierali oczy, ziewali, niechętnie podnosili się z ziemi i przerzucali wzrok z nieznanego na Szczeciniastego, to znów ze Szczeciniastego na nieznanego, i byli już gotowi łajać natręta, gdy nagle usłyszeli muzykę tak piękną i przejmującą, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie słyszeli, chociaż sami grali na fletach i śpiewali psalmy na chwałę Elohim i pieśni na chwałę życia pasterskiego. Zdawało się im, że z ich wnętrza, z kamieni i drzew, psów i owiec wychodzi pobożna melodia i wypełnia sobą cały świat. Odróżniali z niezwykłą dokładnością każdą

melodię z osobna, melodię kamieni i melodię drzew, i melodię owiec, psów i gór, a przede wszystkim melodię, której źródłem byli oni sami. Wprawdzie dokładnie nie rozumieli jej sensu i przeznaczenia, czuli jednak, że jest ona zapowiedzią owiec, na których będzie rosła wełna, o podwójnej długości, i mleka, z którego wyrabiać będą potrójną ilość sera, zwłaszcza że przez wzrastającą nawałnicę muzyki dochodził do nich śpiew o chwale Elohim na wysokościach i o błogosławionym pokoju na ziemi. A ponieważ wbrew pozorom i powszechnej opinii byli bogobojni i uważali się za ludzi dobrej woli, uwierzyli, że będą w pełni korzystać z dobrodziejstw Bożej zapowiedzi. Ale gdyby mieli własnymi słowami opowiedzieć wszystko, co słyszeli w owej muzyce – szybko nabrali przekonania, że powinni o owym zdarzeniu opowiadać ludziom – przyszłoby im to z wielkim trudem i na pewno nie umieliby tego jasno sformułować. Składało się na to wiele przyczyn. Byli ludźmi nieuczonymi, synami ziemi, am haarecami, prostakami. Ale to nie była jedyna trudność. Nawet gdyby umieli opowiedzieć sens usłyszanej muzyki, ich świadectwo nie miałoby wielkiego znaczenia, gdyż większość spośród Izraela uważała ich za złodziei, za ludzi gwałtownych, nieokrzesanych, skorych do burd i bijatyk. Ta opinia, może krzywdząca, a może słuszna – trudno to dzisiaj ustalić – miała swoje źródło w szczególnym sposobie ich życia. Żyjąc wśród dzikich gór, w ciągłych utarczkach z hienami, szakalami i wilkami, i ze złodziejami bydła, wyrobili w sobie twardość charakteru i zachowanie niezbyt gładkie, czupurność, zawadiactwo i nadmierne poczucie nieokiełznanej swobody. Ludzie ich się bali. Dlatego niektórzy mędrcy doradzali czcigodnym ojcom rodzin, aby synów nie wychowywali na pasterzy, bo – jak twierdzili – pasterstwo jest zawodem bandyckim, aby w sądach nie powoływali się na ich świadectwo, gdyż zawsze rozmija się ono z prawdą, aby nie kupowali u nich wełny i mleka, gdyż nie wiadomo, czy nie są kradzione. Z drugiej jednak strony pasterz był w świętych księgach symbolem wzniosłości, a król Dawid, który za czasów dzieciństwa wypasał bydło swojego ojca, Iszai Bethlehemity, wyśpiewał natchniony psalm na chwałę tego zawodu i nawet samego Elohim uczynił pasterzem wypasającym sprawiedliwego człowieka na zielonych pastwiskach i prowadzącym go do spokojnej wody. Jak pogodzić te dwa sprzeczne wyobrażenia o pasterskim zawodzie? Może mostem łączącym te sprzeczności była kontemplacja, tak znamienna dla zawodu pasterskiego, ów bezcenny dar, dzięki któremu nawet w najdzikszym i najbardziej nieokrzesanym sercu następuje mądre wyrównanie wartości i ubytków w obliczu Boga, ludzi, gór i dolin.

Gdy muzyka umilkła, pasterze obrzucali się nawzajem pytającymi spojrzeniami, ale pytać głośno nie śmieli. Nieznajomy znikł. Znikł ten, który ich obudził. A on jeden mógłby im udzielić wyjaśnień, co oznaczała muzyka, gdyż każdy z nich po

swojemu słyszał ją i rozumiał, więc tym bardziej pragnęli skonfrontować i uzgodnić swoje wrażenia z miarodajną wypowiedzią Budziciela. Zdani na własny rozum starali się odcyfrować jej myśli i po długich wewnętrznych roztrząsaniach, nie wolnych od wahań, powątpiewań i niepewności, zrozumieli, że muszą pozostawić owce na łasce losu i psów, co w skrytości ducha uważali za dużą lekkomyślność, i iść przed siebie, iść, nieustannie iść. Ale nie wiedzieli, dokąd mają iść. Wprawdzie majaczyła im się mglista wizja Miasta Dawidowego – skąd się ona wzięła? Z gestu Budziciela? Z jego spojrzenia? A może z muzyki? – ale Izrael mianem Miasta Dawidowego obdarzał zarówno Jeruszałajim Hakodesz, jak i Bethlehem, więc bezradnie rozglądali się dokoła, nie wiedząc, jaki obrać kierunek drogi, na północ czy na południe. Uwikłani w niepewność, poddali się jednak ufnie swojej niewiedzy i tą niewiedzą kierowani przypuszczali, że dojdą do celu, a ponieważ celem wędrówki w dzikich górach Judei musi być bezpieczna jaskinia, spodziewali się, że dojdą do owej jaskini, do granicy swojej wędrówki, i u tej granicy ujrzą chwałę Elohim w postaci takiej, w jakiej Elohim raczy ją objawić, może w postaci Początku, Założka, Istoty bezradnej, dopiero co ukształtowanej, która będzie celem i kresem ich wędrówki i niewiedzy. Padli na ziemię, głowy nakryli rękami i kiwając się nierównomiernie, chaotycznie, jeden przez drugiego zmagali Hallel, psalm radości, i błogosławili Budzicielowi, który ich zbudził, a zbudził ich przecież po to, aby usłyszeli własnymi uszami muzykę Elohim, a wprawdzie mogli ją równie wyraźnie usłyszeć we śnie, ale na pewno Pan pragnął, aby ją usłyszeli na jawie, albowiem sprawując straż nad owcami nie byli ludźmi snu, ale jawy, byli strażnikami o szeroko otwartych oczach i czujnych uszach, byli ludźmi czuwającymi i czekającymi i dlatego zostali gwałtownie obudzeni przez Budziciela i wyrwani z głębokiego snu, aby usłyszeli na jawie to, co powinni byli usłyszeć ludzie czuwający.

Gdy Szczeciniasty podniósł głowę, a za nim podniosła głowy reszta pasterzy, wkoło panowała zupełna cisza. Byli jak odmienieni. Nic ich nie obchodziły owce ani nie dziwiła postać Budziciela, ani nie zdumiewało ich jego nagłe zniknięcie. Wszystko było jasne, rzeczywiste, zwyczajne, tak jasne i rzeczywiste, że skłonni byli uwierzyć, iż na tę nocną godzinę czekali od początku swojego życia. Bez słowa napełnili dzbany mlekiem, a torby owczym serem i szli w zupełnym milczeniu ku jaskini, która wielokrotnie służyła im za schronienie przed burzą i wiatrem, szli, szli, szli, i już nie zastanawiali się nad pochodzeniem tych znaków, ale przyjmowali je tak, jak je widzieli i słyszeli, albowiem jeżeli zjawienie się Budziciela, zachowanie się psów i cudowna muzyka były złudzeniami, urojeniami i majakami, były to złudzenia, urojenia i majaki błogosławione, nad wyraz cudowne i niezwykle celowe, bo umożliwiały im słuszne i właściwe działanie – pasterze szli, szli, szli – gdyż

wskazywały im drogę do jaskini, a złudzenia, urojenia i majaki prowadzące do Prawdy należy traktować nie tylko z pełnym szacunkiem, ale również z pełnym zaufaniem dla ich służebnego sensu, i wówczas trzeba je przyjmować tak, jakby nie były złudzeniami, ale pewnego rodzaju rzeczywistością, rzeczywistością wtórną, a może zastępczą, a może tylko spełniającą funkcję rzeczywistości lub może nawet inną rzeczywistością, po prostu rzeczywistością złudzeń, o której pochodzeniu i istocie – a pasterze szli, szli, szli – mimo wielu badań, wciąż jeszcze niewiele wiemy, nawet wówczas, gdy wiadome są nam wszystkie działające bodźce.

Na niebie świtało. Josef właśnie krzątał się po jaskini, gdy pasterze weszli do wnętrza i pokłoniwszy się nisko Pierworodnemu, Miriam i Josefowi, postawili w kącie dzbany z mlekiem i sery. Podczas gdy Miriam i Josef serdecznie im dziękowali, jeden z pasterzy począł grać na flecie, a towarzysze uśmiechali się, gdyż była to owa melodia, którą słyszeli w górach po obudzeniu się ze snu. A Josef wraz z nimi śpiewał i klaskał w dłonie, i martwił się, że nie może poczęstować gości plecionym chlebem, oliwkami i winem, gdyż nie posiadał ani chleba, ani oliwek, ani wina.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy pasterze znów nisko pokłonili się Pierworodnemu, Miriam i Josefowi i opuścili jaskinię.

Wracając w góry, opowiadali napotkanym przechodniom o tym, co im się przydarzyło tej nocy, ale nikt im nie wierzył, albowiem byli synami ziemi, prostakami, am haarecami.

Jezua

Miriam i Josef wpisali się na listę ludności, a ponieważ z Bethlehem szybko odpływali przybysze – któż z obcych po wypełnieniu obowiązku spisu chciałby się bez potrzeby zatrzymywać w tak nędznej dziurze? – mąż sprawiedliwy swobodniej rozejrzał się po miasteczku i wkrótce spotkał kilku znajomych swoich i ojca – niechaj dusza jego spokojnie spoczywa na łonie Elohim – i korzystając z gościnnego zaproszenia jednego z nich, sandalnika Eliezera, zamieszkał u niego wraz z Miriam i Niemowlęciem w małej izdebce na dachu, z którego rozciągał się rozległy widok na bethlehemska dolinę. Wieczorem Josef schodził do gospodarza, u którego o tej porze gromadzili się sąsiedzi. I tam gwarzyli o dawnych czasach, żywo wspominali zmarłych krewnych i znajomych i wspominali również matkę i ojca Josefa, zachwycali się zaletami ich charakteru, ich dobrocią i gościnnością, a jeden z rozmówców wyraził nawet sąd o moralności obecnego czasu, który nie wydaje ludzi bogobojnych i mądrych, a jeżeli nawet wydaje, to nie można ich zalet

porównać z zaletami minionego pokolenia, gdyż cnoty praocjów były cnotami prawdziwymi, a cnoty dzisiejszych ludzi – zresztą coraz rzadsze – są tylko cnotami pozornymi. Tu zaczęli się między sobą sprzeczać, albowiem sandalnik Eliezer, człowiek uczony, zacytował werset z Księgi Koheleta, gdzie jest wyraźnie napisane, że człowiek rozsądny nie powinien się zastanawiać nad tym, które czasy były lepsze, dawne czy dzisiejsze, ponieważ wszystkie czasy są jednakowe i każdy czas jest zarówno dobry i zły, i w każdym czasie żyją ludzie cnotliwi i bezbożni. Gospodarz mówił powoli, przekonywająco, kręcąc przy tym kosmyki włosów przy skroniach, co przydawało jego wywodom jeszcze więcej powagi. Do Josefa przemówiły argumenty gospodarza, więc poparł je w dłuższym wykładzie. Z kolei odpowiedział Josefowi dawny jego kolega z beth hasefer, Baruch, i gwałtownie przeciwstawił czasy minione czasom dzisiejszym, wywiązała się zatem długa dysputa, trwająca do rana, gdyż obok głównego tematu poruszali również zagadnienia Mesjasza, zelotów, miłości ojczyzny, Hasmonejczyków, Rzymian, męczeńskiej śmierci Mariamne, rzezi dokonanej przez Heroda na faryzeuszach, cesarza Augusta, Świątyni Pańskiej, pustelników z Qumran i saduceuszów – mówiąc o Herodzie i Auguście, dyskretnie spluwali przed siebie i za siebie, aby uchronić się przed złym działaniem ich imion – i tak gwarząc, rozważali wszystkie cierpienia i troski, którymi żył w owych czasach umiłowany przez Pana Jeszurun.

Pewnego wieczoru gospodarz, wiedziony godną pochwałą troską o niepewną przyszłość Josefa, począł go namawiać, aby zamieszkał z rodziną na stałe w Bethlehem i otworzył tutaj warsztat ciesielski, który mu na pewno przyniesie dobre dochody, gdyż w miasteczku nie ma zdolnego i uczciwego cieśli.

– Uczynię to, co zechce Elohim – odpowiedział po namyśle Josef.

– Elohim chce, aby ludzie dobrze zarabiali. Czy nie mówię rozsądnie? – rzekł sandalnik Eliezer, kręcąc zawzięcie loki przy skroniach.

Josef, nie chcąc urazić gościnnego i życzliwego gospodarza, głośno przyznał mu słuszność, ale roztrząsając w sobie jego radę doszedł do przekonania, że istnieje rozsądek ziemski i rozsądek niebieski, a rozsądek ziemski tylko wtedy działa mądrze, gdy go przenika rozsądek niebieski, więc począł się modlić do Pana o łaskę znaku, który by go nauczył odnajdywać w radzie ludzkiej radę Bożą, a w ludzkich zachętach palec Boży i wyjaśnił mu, i ustalił, czy Pan naprawdę życzy sobie, aby Josef ben Jaakow, biedny cieśla, pracujący w znoju rąk i czoła na chleb codzienny i szabatową oliwę, począł zarabiać, obrósł w tłuszcz i dostatek i stał się właścicielem domu, osłów, owiec, wielu szat i wielu pięknie plecionych sandałów.

I tak na rozmowach ze znajomymi i na wewnętrznych rozpamiętywaniach o niebieskim i ziemskim rozsądku płynął czas, a w owym czasie upłynęło siedem

dni, a w siódmym dniu przybył mohel i obrzezał Dziecię, i nadano Mu imię Jezua – co znaczy: Jahwe jest zbawieniem – a po grecku imię to brzmi: Jezus, i tym imieniem nazywają Go ludzie po dzień dzisiejszy, i nazywać Go będą po nieskończoność czasu.

A uczta była bardzo skromna.

Oczyszczenie i ofiarowanie w Świątyni

Miriam trzymała dziecko na rękach, owinięte w wełnianą chustę, a Josef jak zwykle szedł obok, prowadząc osła za uzdę. Minęli ogrody królewskie i marmurowe fontanny, pałac Heroda, potężne wieże: Mariamne, Hippikos i Fazael, i w miejscu, gdzie droga z Jaffy zbiega się z drogą prowadzącą z Bethlehem, skręcili na północny wschód ku Antonii. Ponieważ pogoda była piękna – właśnie po kilku deszczowych dniach słońce wyjrzało zza chmur i nad miastem rozpostarło się błękitne niebo – Miriam odchyliła nieco chustę, aby Dziecko mogło swobodnie oddychać. Jezus, przytulony do matki, spał spokojnie. Jego maleńkie palce poruszały się bezwolnie, a spod czepka sterczało kilka ciemnych włosków. Gdy zbliżyli się ku stokom góry o dziwnym kształcie, Jezus czy to pod wpływem krzyków i nawoływań mijających ich przekupniów, czy po prostu dlatego, że osioł nagle przystanął, wskutek czego ustało monotonne kołysanie, obudził się i otworzył oczy. Miriam uniosła nieco Dziecko w ramionach, a Ono spojrzawszy w niebo, a potem na stok górski o dziwnym kształcie, pokryty pięknymi ogrodami, uśmiechnęło się i poczęło wodzić paluszkami po matczynej twarzy. Nagle wielkie czarne oczy zamieniły się w dwie wąskie szparki, twarzyczka skurczyła się, kąciki warg obsunęły się ku dołowi i Jezus zaniósł się płaczem. Miriam przytuliła Pierworodnego do piersi i może jeszcze długo trwałby Jego płacz, gdyby nie osioł, który łagodnie popędzany przez Josefa liściastą gałęzią, wreszcie ruszył przed siebie.

Wjechali do miasta przez Bramę Efraima.

Miriam nigdy dotychczas nie była w Jerozolimie. Przed kilkoma tygodniami, gdy pospiesznie zdążali na spis ludności do Bethlehem, ominęli Jerozolimę i tylko z dala podziwiali jej mury, ich rozległość, potęgę warownych wież, piękno pałaców i spiętrzonej nad nimi Świątyni. Wprawdzie Jehojakim i Hana co roku na Pesach pielgrzymowali do Świętego Miasta, ale Miriam zostawała w domu, gdyż musiała pilnować gospodarstwa. Teraz, jadąc rojnymi ulicami pomiędzy wysokimi kamiennymi domami – takich domów nigdy nie widziała w Nazarecie ani w Ejn Karem, ani w Bethlehem – przyglądała się z rosnącym zaciekawieniem złotym murom Świątyni, a potem ludziom, bramom, towarom rozłożonym na ziemi, na

straganach i w kramach, chustom kolorowym, lnianym tunikom, białym płótnom, malowanym sandałom, naramiennikom, pierścionkom, kolcom do uszu, zapinkom i bransoletom. Josef, zajęty pilnowaniem znarowionego osła, dzielnie torował rodzinie drogę wśród gęstniejącej cizby i równocześnie zwracał pilną uwagę na ocierających się o niego w tłumie przechodniów, i wciąż przezornie ręką dotykał biodra, gdzie miał za pasem zatknętą sakiewkę z dziesięcioma syklami, które według z góry ułożonego planu przeznaczone były na wykupienie w Świątyni Pierworodnego i kupno dwóch synogarlic – Miriam miała je złożyć jako ofiarę oczyszczenia – a pozostałe pieniądze, prawdopodobnie cztery sykle, stanowiły żelazny kapitał rodziny, podstawę jej utrzymania na okres nie wiadomo jak długi, zwłaszcza że mąż sprawiedliwy zwlekał z powrotem do Nazarethu. Dlaczego zwlekał? Czy może we wnętrzu swojego serca sprzyjał kuszącym propozycjom Eliezera? Czuł żywiołową niechęć do pomnażania majątku, do wszelkiego dobrobytu, do wyjścia poza granicę ubóstwa. A jednak chciał jeszcze pozostać w Bethlehem. Po co? Tego Josef nie wiedział, a nie wiedząc, był głęboko przekonany, że na coś czeka.

Tymczasem upewniwszy się, że sakiewka tkwi bezpiecznie za pasem, skierował osła ku Bramie Beniamina, albowiem chciał z Miriam i Dzieckiem wejść na teren Świątyni nie przez jedną z mniejszych bram, ale przez słynną, o wzniosłym wyglądzie Złotą Bramę, skąd rozpościerał się podnoszący na duchu widok na dolinę Cedronu i Górę Oliwną. Więc nałożywszy drogi, kołując, jechali obok Bethesdy, pięknej sadzawki o pięciu krużgankach, gdzie mimo chłodnej pory roku leżeli chorzy, ślepcy, paralitycy w oczekiwaniu na poruszenie wody niewidzialnym skrzydłem anioła, i tak jadąc wąską ścieżką wzdłuż zewnętrznej strony murów, stanęli przed Złotą Bramą. Tutaj Miriam zsiadła z osła, którego Josef przywiązał do słupa i pozostawił pod opieką sług miejskich, sprawujących nadzór nad zwierzętami podróżnych, przybyłych z prowincji do Jerozolimy. Szli na Dziedziniec Pogan. Miriam, zachwycona pięknnością świątynnej architektury, nie mogła oderwać oczu od jej olbrzymich kamiennych bloków, o barwie starej kości słoniowej, od zdobytych na barbarzyńcach zbroi i hełmów wiszących na murach Przybytku, od portyków i spiętrzonych piramidalnie budowli, zakończonych u samego szczytu strzelistym Świętym Świętych, i najchętniej usiadłaby teraz pod jedną z kolumn i poczęła śpiewać na chwałę Niewidzialnego – czuła, jak wzbiera w niej muzyka, rozpięra piersi i wypełnia sobą całe jej ciało aż po końce palców i brzegi warg – ale wiedziała, że musi się śpieszyć, więc cała drżąca od nie wyśpiewanej melodii, zdyszana, z Dzieckiem na ręku, nieomal biegła za Josefem.

Na Dziedzińcu Pogan panowała jak codziennie nerwowa krzątanina. Krzyki,

nawoływania przekupniów i kupujących, wrzaskliwe zachwalanie towarów, ryk cieląt, bek owiec, gruchanie gołębi tak szczerze wypełniały cały plac, że trudno było odróżnić poszczególne dźwięki i głosy. Mieszały się one z sobą i łączyły w jeden zgodno-niezgodny strumień, aby po chwili rozpaść się na oderwane dźwięki, ale jakby bojąc się, że w oderwaniu stracą swoją siłę i niepowtarzalną wymowę, znowu się z sobą łączyły, wzajemnie uzupełniały i spiętrzone w kakofoniczną harmonię przelewały się burzliwą kaskadą poza mury Świątyni, w głąb okolicznych dolin i kotlin. Pierworodny obudzony wrzaskiem i krzykami począł płakać, a Miriam, kołysząc Dziecko na rękach, starała się Je uspokoić, ale bezskutecznie. Mały krzyczał coraz głośniej, jakby chciał przekrzywić krzyk tłumu, i wymachiwał małymi rączkami, zaróżowiony od wewnętrznej emocji. Miriam nachyliła się nad Niemowlęciem i chcąc Je uspokoić, przybliżyła swoją uśmiechniętą twarz do Jego drobnej twarzyczki, i chciała powiedzieć coś w tym rodzaju: – Niech mały Jezua nie robi mi wstydu – albo: – To nieładnie tak krzyczeć – gdy nagle ku swojemu przerażeniu dostrzegła zmarszczkę pomiędzy czarnymi oczami Dziecka, a w nich ostry błysk, którego w mowie ludzkiej inaczej nie można nazwać jak tylko błyskiem zapalczywości i gniewu. – Przecież to niemożliwe. Zapewne tylko mi się zdawało – pomyślała Miriam, gdy Niemowlę, wreszcie się uspokoiwszy, znów patrzyło na nią głębokimi, łagodnymi oczami jagnięcia.

Tymczasem przekupnie, zmiarkowawszy, że Miriam i Josef przybyli celem złożenia ofiary oczyszczającej, otoczyli ich zwartym kołem i każdy z nich na inną nutę zalecał swój towar. Gdy Josef gromkim głosem powiadomił nacierającą na nich gromadę przekupniów, że Miriam nie zamierza złożyć ofiary bogaczy, lecz ofiarę ubogich, parę synogarlic lub parę gołębi, część przekupniów, nie zainteresowana tak skromną sprzedażą, szybko się ulotniła, a na placu pozostało tylko kilku gołębiarzy, którzy wyciągając do Miriam klatki, w patetycznych słowach zalecali piękno swoich ptaków, prześcigając się wzajemnie w zachwalaniu ich kolorystycznych zalet. Josef upatrzył sobie parę synogarlic różowego koloru z błękitną obrączką na szyi. Rozpoczął się targ. Wprawdzie ceny rynkowe zwierząt ofiarnych były ustalone przez arcykapłana, ale przekupnie nigdy ich nie przestrzegali, zwłaszcza wobec nabywców przybyłych z dalekiej prowincji, licząc na ich naiwność i nieznamość cenników obowiązujących w Świętym Mieście. Dlatego przekupień zażądał od Josefa jednego sykla za parę synogarlic. Mąż sprawiedliwy, usłyszawszy cenę, uczynił przeczący ruch głową, ale obrotny przekupień skakał dokoła niego jak piłka, przytrzymał go za poję płaszcza, wreszcie począł mu udowadniać, ile traci pieniędzy ofiarując mu po tak przystępnej cenie parę cudownych ptaków (cudownych – powtórzył z naciskiem), które dzięki jego wylewnej wymowie i ognistej wyobraźni w mgnienu

oka urosły do rozmiarów mitycznych feniksów. Ale gdy inni przekupnie natarli z kolei na Josefa, który począł wykazywać pewne zainteresowanie – prawdopodobnie udane – dla pary białych gołębi, wtykanych mu do rąk przez garbusa o siwej brodzie, przekupień skaczący jak piłka, zaniepokojony wzmożonym ożywieniem konkurentów, stopniowo, lecz pośpiesznie obniżał cenę swoich synogarlic, aż wreszcie, wyczerpany nieustępliwością Josefa, z bólem zgodził się na cenę ustaloną przez męża sprawiedliwego. Josef kupił synogarlice, wziął na ręce Niemowlę i poszedł wraz z Miriam na Dziedziniec Niewiast. Tutaj niewiasta stanęła twarzą do Świętego Świętych i trzymając skrzydlatą parę, zwróconą łebkami ku drzwiom Świątyni, zmawiała po cichu modlitwę, po czym zbliżywszy się do kapłana podała mu ofiarne ptaki. Położyła na nich dłonie, a kapłan, pobłogosławiwszy niewiastę, udał się do Ołtarza Całopalenia i podczas gdy składał ofiarę z jej synogarlic i ich krwią skraplał rogi i ściany Ołtarza, dusza Miriam tęskniła i wyrywała się do progów Elohim, a jej serce i ciało wznosiły się do Boga Żywego. Wiedziała, że powinna teraz zmówić psalm na chwałę miłych przybytków Pana Zastępów, i rzeczywiście, pochyliwszy głowę, w milczeniu zmawiała jego złote słowa o szczęśliwych ludziach, którzy mieszkając w domu Bożym czerpią siłę z Niewidzialnego i idąc przez bezwodną dolinę zamieniają ją w ziemię źródeł, ale pogrążona w zachwyceniu poczęła w wątek Dawidowych wersetów wplatać własne słowa i porównania, a wówczas z korzenia królewskiego psalmu wyrosła jej samodzielna, dziewczęco-matczyna modlitwa, jedyna i osobliwa. To wszystko uświadomiła sobie dopiero, gdy ujrzała przed sobą kapłana trzymającego na rękach jej Niemowlę. Zmieszana swoją pobożną opieszałością chciała powrócić do słów Dawidowego psalmu i zmówić jego końcowy werset o szczęśliwym człowieku, który ufa Panu, ale już było za późno, albowiem usłyszała nad sobą głos kapłana:

– Czy to jest twój syn pierworodny, niewiasto?

– Tak – odpowiedziała Miriam, myślami wciąż jeszcze obecna w swym niewinnym zmieszaniu.

– Moja żona, córka Izraela, urodziła syna pierworodnego, którego ci teraz oddaję – powiedział Josef.

– Czy pragniesz zachować dla siebie syna, czy pięć sykli, Josefie ben Jaakow, które według swej woli możesz mi wręczyć w zamian za dziecko? – spytał kapłan.

– Syna pragnę dla siebie zachować. Weź w zamian pięć sykli, kapłanie – odparł Josef i wręczył mu pieniądze.

Kapłan podniósł dłonie i zaintonował:

– Błogosławiony niech będzie Bóg Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Pan Wszechświata, który nakazał wykup synów pierworodnych.

Po czym wykonał podniesionymi rękami ruch, jakby w swoje dłonie zgarniał całe niebo, i dotknąwszy główki Niemowlęcia, zaśpiewał:

– Błogosławiony niech będzie syn pierworodny i niechaj służy Panu w kole sprawiedliwych. Niechaj Bóg Izraela opiekuje się tym dzieckiem i niechaj ono żyje na chwałę mądrości i dobrych uczynków. Amen.

– Amen – powtórzyli Miriam i Josef.

Właśnie starzec Symeon po złożeniu ofiary zstępował po schodach wiodących z Bramy Nikanora i już zamierzał skręcić ku Złotej Bramie, gdy wtem przystanął i obejrzał się, gdyż mu się zdawało, że ktoś dotknął jego ramienia. Stwierdziwszy, że było to tylko przywidzenie, postanowił iść dalej, ale znów poczuł to samo dotknięcie, tym razem już zupełnie wyraźnie. Obejrzał się. Za nim szli mąż i niewiasta z Dzieckiem na ręku w odległości kilkunastu kroków, więc nie było możliwe, aby ów mąż mógł dłonią dosięgnąć jego ramienia. Symeon wiedział jednak, że pomiędzy nim a nimi było jeszcze powietrze, a przestrzeń ta mogła być zaludniona niezliczoną ilością dobrych i złych aniołów, które bardzo często dają znać człowiekowi o swoim istnieniu za pomocą niewidzialnych dotknięć i muśnień, łagodnych i lekkich, jeżeli pochodzą od duchów jasnych i czystych, ale palących i brutalnych szarpnięć, jeżeli pochodzą od żywiołów złych i ciemnych. Ponieważ Symeon nie wątpił o charakterze owego dotknięcia, które było lekkie jak uderzenie ptaszęcych skrzydeł, przystanął i przyglądał się bacznie mężowi i niewieście z Niemowlęciem na rękach. Wprawdzie na pierwsze wejrzenie nie różnili się oni niczym od innych ojców i matek, przybyłych z niemowlętami do Świątyni Pańskiej, ale mimo to wygląd ich przykuł uwagę starca. Gdy go mijali, podszedł do nich, pozdrowił ich słowem pokoju i spojrzawszy na Niemowlę, niespodziewanie poczuł, jak Ono – Symeon nie umiał tego inaczej określić – wstępuje w niego swoją prawniczą mądrością, ale wbrew duchowemu uniesieniu, w jakim się teraz znajdował, nie mógł w swoim ludzkim umyśle pogodzić dwóch nawzajem wyłączających się sprzeczności: Niemowlęcia i prawniczej mądrości. Ale na przekór logice poddał się całkowicie niewidzialnemu światłu bijącemu od Dziecka i działając jak we śnie, wziął Je z rąk zdumionej matki i wówczas uświadomił sobie, że wreszcie wypełnił się cel jego życia. Zobaczył niebo zstępujące na ziemię i ziemię szczęśliwą, która sama rodzi owoce, i stąpających po niej ludzi, którzy nigdy nie doznają śmierci. Uwierzył całym swoim jestestwem, że tak będzie i że Niemowlę, które trzyma teraz na rękach, jest Przyczyną i Celem tej wielkiej przemiany.

Uniesiony natchnieniem wielbił Boga:

– Oto będę już mógł umrzeć w spokoju, o Elohim – szeptał – albowiem moje stare oczy ujrzały zbawienie Twoje, które przygotowałeś dla wszystkich narodów, ujrzały

światłość na chwałę ludu Twojego, Izraela, i światłość na oświecenie pogan.

I zaledwie skończył te słowa, on, biedny, zmęczony starzec, zrównany został z prorokami, gdyż doznał osobliwej łaski widzenia całego życia Niemowlęcia, odpływu zła i przyływu dobra, i miecza przeszywającego duszę matczyną. Oddał Niemowlę niewieście i wyciągnąwszy trzęsące się ze wzruszenia ręce nad głowami jej i Josefa, błogosławił im, a potem rzekł do matki:

– Syn twój przeznaczony jest na to, by stać się przyczyną upadku i powstania wielu ludzi w Izraelu, i będzie znakiem, któremu będą się sprzeciwiać. A duszę twoją przeszyje miecz. Tym sposobem wyjdą na jaw zamiary wielu serc...

I poszedł, aby spokojnie umrzeć.

– Co on powiedział – spytała Miriam. – Będzie znakiem, któremu będą się sprzeciwiać? Duszę moją przeszyje miecz? Dlaczego będą Mu się sprzeciwiać? Dlaczego duszę moją przeszyje miecz?

Szła przed siebie ku Złotej Bramie i jak przez mgłę widziała jakąś staruszkę, zgrzybiałą i kościstą, która chwaliła Boga i opowiadała o jakimś Dziecięciu mającym zbawić Jerozolimę, i słuchając jej oderwanych i nieskładnych słów nie rozumiała, o jakim Dziecięciu staruszka prorokuje i o jakim zbawieniu mówi, i tylko pragnęła jak najszybciej wydostać się z tego miasta, spod czarnej i złowróżbnej chmury dostojnego starca, który wprawdzie coś mówił o światłości Izraela i pogan, ale jej świadomość, natrętnie ucepiona wizji miecza przebijającego jej serce, wciąż wracała do tego obrazu i nie wiadomo dlaczego łączyła ten obraz z obrazem Świątyni, kapłanów, Jerozolimy i jej wąskich i krzykliwych uliczek. Poczwała trwogę przed tym miastem.

– Jedźmy już, jedźmy, panie mój – szepnęła do Josefa.

Przy Złotej Bramie dosiadła osła, mocno przycisnęła Dziecko do piersi i otuliła je opończę. Ruszyli w drogę powrotną.

Gdy wyjechali za miasto i mijali stok góry o dziwnym kształcie, pokryty ogrodami, Miriam odchyliła opończę i z lękiem spojrzała na Niemowlę. Ale Jezus spał spokojnie.

– Śpi? – spytał Josef.

– Śpi – odrzekła z ulgą Miriam.

Przed nimi ciągnęła się prosta droga do Bethlehem. Słońce stało jeszcze wysoko. W powietrzu pachniało świeżą ziemią. Gdy ujechali kawał drogi, a poza nimi pozostały już daleko mury Jerozolimy i błogosławiony, lecz złowrogi cień Symeona, Josef zatrzymał osła, wyjął z worka placek i podając go niewieście, rzekł:

– Niechaj żona moja, Miriam, posili się, albowiem nic od rana nie jadła.

Kapłani u Heroda

Gdy Miriam z Dzieckiem i Josefem opuszczali Jerozolimę i zdążali na południe, do Bethlehem, o tej samej porze magowie wjeżdżali od wschodu przez Bramę Siloah do Świętego Miasta. Ponieważ więcej wiedzieli o niebie i gwiazdach niż o ziemi i lepiej byli obeznani z prawami rządzącymi systemem planetarnym niż z systemem politycznym kraju, do którego przybyli – nie znali położenia, w jakim się znalazła Judea pod panowaniem Heroda, świetnego organizatora, mądrego i przebiegłego dyplomaty, ale równocześnie okrutnego i krwawego tyrana – już na samym początku swojego pobytu w Jerozolimie zachowywali się niezbyt ostrożnie, a skutki tej nieostrożności nie dały na siebie długo czekać. Jadąc na wielbłądach ulicami Dolnego Miasta, rozglądali się dokoła i swoim cudzoziemskim wyglądem zwracali na siebie uwagę przechodniów, a przede wszystkim straży herodiańskiej, która zresztą zawsze podejrzliwym okiem patrzyła na obcokrajowców przybywających do Judei. Gdy stanęli na Xystos wśród rojnego tłumu przekupniów i gapiów, a najstarszy mag, ów o ostrym profilu i dolnej wardze nieco wysuniętej, co nadawało jego twarzy wyraz władczego uporu, począł głośno i z przesadnym podnieceniem wypytywać o nowo narodzonego króla Izraela, szybko rozniosła się wieść po całym placu targowym, po Dziedzińcu Pogan, po Górnym i Dolnym Mieście, po przedmieściach, że trzech cudzoziemcy przybyli znad Eufratu szukają jakiegoś królewskiego noworodka, któremu pragną złożyć hołd. Ludzie, zwłaszcza ci, których wyobraźnia i gadulstwo nie znały umiaru, dodawali zmyślenie do prawdy, tak że wkrótce wieść o przybyciu magów do Jerozolimy, pomnożona przez plotki i fantastyczne komentarze, tak znamienne dla charakteru wschodnich ludzi kochających się w przesadzie, urosła do rozmiarów najważniejszego wydarzenia dnia. W kilka godzin później dowódca straży herodiańskiej doniósł choremu królowi – król już od dłuższego czasu nie opuszczał łoża z powodu licznych dolegliwości, które trapiły jego ciało, ale mimo wewnętrznej gorączki, wrzodów i bólów w jelitach, trudności w oddychaniu i nadmiernych potów, żelazną ręką kierował losami państwa – o przybyciu magów do Jerozolimy i położył, jak było do przewidzenia, główny nacisk na tajemniczy cel owej wizyty, i nie omieszkał dodać relacji o plotkach, w których nierozumni bazarze, wyżywający się w pustym gadulstwie i kąśliwym paplaniu na Xystos i Dziedzińcu Pogan, łączyli jakieś nowo narodzone niemowlę z postacią Mesjasza. Herod, usłyszawszy wzmiankę o Mesjaszu, podniósł powieki – dotychczas słuchał z zamkniętymi oczami, z trudem oddychając – i kazał ją sobie jeszcze raz powtórzyć. Wysłuchał jej uważnie. Zmarszczka pomiędzy brwiami pogłębiła się, a jego brązowe o żółtym odcieniu

pustynne oczy błędziły po cedrowej powale komnaty, potem po jej ścianach obwieszonych kobiercami, wreszcie zatrzymały się na dowódcy straży, który cały zamienił się w słuch, gdyż przypuszczał, że otrzyma teraz rozkaz uwięzienia magów, lecz ku swojemu zdziwieniu ujrzał na twarzy króla dobroduszny uśmiech i usłyszał słowa wypowiedziane tonem pobbłazająco-drwiącym:

– Niemowlę w roli Mesjasza? Cóż to za nowość? A po chwili dodał:

– Możesz odejść.

Po wyjściu dowódcy Herod począł się zastanawiać nad otrzymanym raportem. Nie czuł już teraz badawczego spojrzenia oficera na swojej twarzy, a nie lubił roztrząsać i rozważać w sobie trudnych spraw w obecności obcych czy nawet bliskich osób, gdyż jego żywa i ruchliwa fizjonomia – była ona największym mankamentem osobowości króla – niezwykle plastycznie odnotowywała każde poruszenie jego wnętrza. Dlatego wobec ludzi nakładał na twarz maskę ironii i pogardy, gdyż ironią i pogardą zwykł był pokrywać uczucie strachu, zakłopotania i niepewności. Mesjasz? Mesjasz? Herod miał mgliste wyobrażenie o wierze w Mesjasza. Nie znał dobrze ksiąg świętych. Czytał je zawsze szybko, nieuważnie, pobieżnie, bez należytego skupienia i przygotowania, zwracając jedynie uwagę na te ich fragmenty, których znajomość potrzebna mu była dla bieżących spraw politycznych, ale wiedza ta była tylko powierzchowna i szybko wietrzała mu z pamięci. Poczuł dotkliwy ból w podbrzuszu. Nie przerwał jednak swoich rozmyślań, gdyż chciał powziąć jakieś jasne i wyraźne postanowienie. Mesjasz... Mesjasz... Herod doznawał zawsze uczucia niepokonionego strachu, ilekroć rozmyślał o Mesjaszu, zwłaszcza że było to pojęcie z mgły i powietrza, bezkształtne i nieuchwytnie. Można było zabić podstępnych arcykapłanów, niewierne żony, spiskujących synów, zdradzających dworzan, ale jak zabić wiarę w Mesjasza, którego nie można wtrącić do więzienia ani uchwycić rękami za gardło? Skąd ma przyjść owa nieokreślona postać? Czy przyjdzie na świat jako dziecko, normalnie się rozwijające? A może przybędzie z jakiejś dalekiej krainy – z jakiej krainy? – jako mąż dojrzały? Po czym będzie go można rozpoznać? Po jakich cechach ciała i ducha? Herod nie wierzył w zjawienie się Mesjasza, ale niepokoiła go wiara w jego przyjście. Jeżeli zatem zastanawiał się nad owym przyjściem, czynił to tylko dlatego, że chciał wczuć się w głupotę pospółstwa, w jego ciemną, burzliwą i gwałtowną wiarę i w pełni uzmysłwić sobie jej możliwości, które niezależnie, z jakiego wyrastają podglebia, zawsze mogą się okazać niebezpieczne, a nawet groźne dla władzy królewskiej i losów dynastii. Dlatego nie wierząc w przyjście Mesjasza, zastanawiał się nad tym, jakim sposobem on przyjdzie na świat, i nie wierząc w możliwość jego istnienia, rozmyślał nad tym, jak będzie wyglądał, jaka będzie jego postać, jego szata

i jakie będzie jego działanie w gorączkowej wyobraźni Izraela. O tę wyobraźnię przede wszystkim mu chodziło. Jak ją wyrwać z duszy Izraela, jak ją oślepić, ogłuszyć, zabić? Jak wykarczować z serc tego wierzgającego ludu śmieszna wizję Męża Bożego, Wysłannika i Zbawiciela? Jak zniszczyć urojenia o szczęśliwym czasie mesjańskim? Ręce jego poczęły drżeć. Odległe urojenie jest niebezpieczniejsze od bliskiej prawdy, bo bliską prawdę można łatwo ująć, związać i zabić, a odległe urojenie trudno chwycić za gardło i niełatwo zniszczyć. Prawda jest cielesna, urojenie bezcielesne. Prawda jest dotykalna, urojenie – niewidzialnym powietrzem. Jak zabić powietrze? I tak zatoczywszy szerokie koło medytacji, powrócił do punktu wyjścia swoich rozważań, którym był strach przed Mesjaszem.

Ponieważ nie umiał udzielić sobie odpowiedzi na te wszystkie pytania, jeszcze tego samego dnia wezwał do siebie kapłanów, do których wprowadzie zawsze czuł żywiołową niechęć – złożyło się na to wiele powodów – ale wiedział, że bez ich pomocy i wyjaśnień nie zdoła rozwiązać tajemnicy magów. Był głęboko przekonany – jak każdy Idumejczyk posiadał silnie rozwinięty instynkt myśliwski i dzięki niemu na odległość wyczuwał skradającego się drapieżnika – że przybycie magów do Jerozolimy stanowi dla niego i dla jego królestwa niebezpieczeństwo, które musi wszelkimi sposobami zażegnać. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że nie zdawał sobie sprawy z niedorzeczności swoich podejrzeń, bo przecież trzech bezbronnych poszukiwaczy Boga nie może stanowić niebezpieczeństwa dla państwa rozporządzającego armią i świetnie zorganizowaną policją. Herod w rzeczywistości w głębi duszy tę niedorzeczność dostrzegał i był jej w pełni świadomy, co zresztą później się potwierdziło, ale tłumił ją w sobie, gdyż bał się, że nie tłumiąc jej staje się mniej czujny i mniej przezorny, i wskutek tego jeszcze bardziej naraża się na niebezpieczeństwo. Mógł wprowadzie kazać natychmiast uwięzić magów, ale chciał działać roztropnie i ostrożnie, i słusznie przewidywał, że taka decyzja spowoduje tylko nową falę plotek i zbędnego gadulstwa, zwłaszcza iż stugębna fama zwykła opacznie tłumaczyć wszystkie jego postanowienia.

Kapłani przybyli wieczorem do królewskiego pałacu.

Herod leżał w łóżu. Jego zmęczona, gładko wygolona twarz, oświetlona wysokimi lampami oliwnymi, odbijała ciemną plamą od śnieżnej bieli poduszek. W powietrzu czuć było zapach nardu i kadzidła. Przyjął ich niezwykle serdecznie, w wylewnych słowach malował swoje uczucia i szacunek dla Świątyni i kapłanów, a im więcej prawił im uprzejmości i im bardziej wynosił pod niebo ich mądrość, tym większa rosła w nich trwoga, a ponieważ Herod wiedział, że jego słowa właśnie ten skutek wywołują – skutek zresztą celowo zamierzony – do serdecznych słów jeszcze serdeczniejsze dodawał i w ten sposób starał się psychicznie ich rozbroić. Rzymskim

zwyczajem klasnął w dłonie. Otworzyły się podwoje i niewolnicy wnieśli na tacach wieczerzę. Na złotym półmisku piętrzył się stos wołowiny, obok leżała dziczyzna, przyprawiona ostrymi korzeniami, tłuszcz z ogona baraniego i rozmaite ryby w kolorowych sosach. Niewolnicy nalewali wino i wodę, a Herod czułymi słowami zapraszał kapłanów do spożywania smacznego jadła, solennie ich zapewniając o koszernej czystości tych wszystkich darów Bożych, sporządzonych ściśle według Mojżeszowych przepisów. Ale kapłani, czy nie dając wiary jego zapewnieniom, czy też z powodu niepokoju, który odbierał im apetyt, prawie nic nie jedli, i tylko jeden z nich z trudem przełknął mały kawałek ryby i pociągnął łyk wina. Gdy niewolnicy podali owoce, król podniósłszy się nieco na łożu, spytał nagle cichym i łagodnym głosem, w którym jednak kapłani, ludzie o dobrym słuchu, usłyszeli szelest skradającej się pantery:

– Co sądzą kapłani o Mesjaszu?

Spojrzeni po sobie i natychmiast skojarzyli w swoich myślach królewskie pytanie z przybyciem nieszczęsnych magów do Jerozolimy. Jeden z kapłanów, mąż w sile wieku, o przygarbionych plecach i czerwonych powiekach, które świadczyły o nocnych wytężonych studiach nad zwojami, widząc, na co się zanoszą, i chcąc zrzucić z siebie i towarzyszy odpowiedzialność za to wszystko, co się może teraz zdarzyć, odparł:

– Cóż my możemy wiedzieć o Mesjaszu? Wiemy to, co jest napisane w świętych księgach.

– Chyba wierzycie w święte księgi? – spytał drwiąco Herod.

– Wierzymy – wycedził kapłan o przygarbionych plecach.

– Zatem co jest napisane w Piśmie o Mesjaszu? – głos Heroda zadrżał niecierpliwie.

– Trudno ustalić, czy w świętych zwojach jest mowa o Mesjaszu – wtrącił się do rozmowy szczupły kapłan o krótko strzyżonej brodzie i długich, pielęgnowanych kędziorach, spływających po obu stronach jego ascetycznej twarzy.

– Komu trudno jest ustalić? – naciskał Herod.

– Uczonym w Piśmie...

– Wy nigdy nie powiecie całej prawdy – Herod z trudem panował nad nerwami.

– Cała prawda znana jest tylko Elohim. My znamy jedynie jej okruchy – dorzucił skromnie trzeci kapłan, krępy, niski, o tłustych, nalanych policzkach.

Herod udawał, że się uśmiecha. Ale ten uśmiech – raczej grymas niż uśmiech – przestrzegł kapłanów przed dalszym igraniem z ogniem. Dlatego szczupły, o krótko strzyżonej brodzie, chcąc rozładować napięcie, przemówił:

– Wprawdzie w Pismach Świętych można znaleźć wiele wypowiedzi o mężach

opatrznościowych, którzy zbawią Izraela, ale...

– Od czego zbawią? – przerwał Herod.

– Od czego? – pytaniem na pytanie odpowiedział kapłan i natychmiast dodał: – Zbawią od zła.

– Od jakiego zła? – Herod był nieustępliwy.

– Od wojen, od zarazy, od chorób, od ognia, od wody – powoli cedził kapłan, jakby chciał zyskać na czasie, a gdy Herod milczał, nawiązał do poprzedniej swojej myśli, którą przerwały dociekliwe pytania króla.

– Wiara w Mesjasza – ciągnął kapłan – jest wiarą ludową, a jego osoba i atrybuty są pojęciami dotychczas nie sprecyzowanymi. Zresztą opinie uczonych w Piśmie są w tej dziedzinie, jak i w wielu innych, podzielone, tak że nie można z bezwzględną pewnością opierać się na ich wypowiedziach i twierdzić, iż dany tekst mówi o Mesjaszu. Poza tym należy mieć zawsze na uwadze, że Elohim nie wszystkie swoje tajemnice ujawnił przed Izraelem. Bardzo tajemnicze jest proroctwo Jesai o mężu opatrznościowym – ale mąż opatrznościowy i Mesjasz to nie jedno i to samo – którego pocznie dziewica...

– Przecież to brednia – przerwał Herod.

Szczupły, o krótko strzyżonej brodzie, patrząc spode łba na króla, rzekł:

– Dlaczego brednia, panie? U Elohim jest wszystko możliwe.

To rzekłszy, przyłożył palec do warg i zwilżywszy go śliną, nerwowo owijał dokoła niego pięknie trefione kędziory.

– Dziewica porodzi dziecko? To są kpiny ze zdrowego rozsądku – Herod podniósł się na łożu i uderzył pięścią o kant łóżka.

Kapłani oniemieli, Szczupły zmarszczył brwi, podniósł dumnie głowę i patrzył ponad Herodem, przed siebie, w kąt komnaty, gdzie spokojnym płomieniem paliła się lampa oliwna. Krępy wyprostował się, wydał pogardliwie wargi, zmrużył oczy, a jego nalana, tłusta twarz zeszywniała w nieruchomą, groźną maskę. Kapłan o czerwonych powiekach i przygarbionych plecach jeszcze bardziej się pochylił, jakby gotował się do skoku, a ledwo widoczny ruch mięśni dolnej szczęki świadczył, że zacisnął kurczowo zęby. Siedzieli sztywni, milczący, ale zaczajeni, a chociaż każdy z nich miał swoją własną duszę i swoją własną twarz, i swój własny wzrost, i swoje własne ruchy, mimo to z sekundy na sekundę coraz bardziej upodobniali się do siebie i po chwili byli już tylko jedną duszą, jednym ciałem, jedną twarzą, jednym ruchem, a nie trzema różnymi, zalęknionymi kapłanami, starającymi się za pomocą sofistycznych kruczków wymknąć z zastawionej sieci. Byli jedną całością, świętą, niezłomną całością, nie znającą ustępstw, wybiegów, trwogi, kluczenia i chytrych, po prostu byli wybranym Izraelem, dumnym Jeszurunem,

własnością Pana Mocy, Elohim Gibor.

Kapłan o czerwonych powiekach podniósł się z miejsca. Na jego policzkach wystąpiły rumieńce, a na czole żyły. Z jego zaciśniętych warg poczęły padać słowa o wadze kamieni:

– Nic nie jest brednią i kpiną ze zdrowego rozsądku, co wychodzi z ust Elohim. Jeżeli On chce, wszystko się stanie i wszystko się stanie, cokolwiek zechce, a jeżeli zechce, to nawet dziewica porodzi dziecko, a z kamieni wytryśnie woda, a laska zamieni się w węża, a oślica przemówi. Albowiem u Przedwiecznego i Niewidzialnego wykonalna jest każda niewykonalność i każde „nie” stanie się „tak”, i każde „tak” stanie się „nie”, a każde nieistnienie będzie istnieniem, każde istnienie nieistnieniem, a każda śmierć życiem, a każde życie śmiercią, i dlatego niechaj będzie błogosławiona Jego Wszechmoc, a łaska Jego niechaj czuwa przez wieczny czas nad Izraelem. Prorok Micha powiedział, że z Bethlehem Efraty, chociaż jest ono najmniejsze spośród wszystkich miast judejskich – tu kapłan o czerwonych powiekach podniósł głos, który stawał się coraz gwałtowniejszy i żarliwszy – wyjdzie Ten, który będzie władcą w Izraelu. Ród Jego wywodzi się z przeszłości, od dni zamierzchłych, a Pan opuścił Izraela tylko do czasu, gdy Panna, mająca urodzić, urodzi. Wtedy wstanie On i będzie Pasterzem Mocy Wiekuistego, w sławie Imienia Pańskiego, Boga swojego. A ludzie będą mieszkać i żyć bezpiecznie, albowiem będzie On wielki aż do granic ziemi. A On będzie pokojem. Tak powiedział prorok Micha – tu kapłan o czerwonych powiekach urwał swoją gniewną mowę i cisza zapadła w komnacie.

Herod sięgnął po jabłko i począł je obierać złotym nożykiem, wysadzonym perłami, a czynił to dlatego, by ukryć swą radość. Za dobrze znał kapłanów, by nie wiedzieć, że to wszystko, co mówił kapłan o czerwonych powiekach, skierowane było ostrzem przeciw niemu, o czym zresztą świadczyła nie tylko sama przepowiednia o prawdziwym władcy Izraela, ale również owa z trudem poskromiona gwałtowna żarliwość i duma, z jaką była wypowiedziana. Herod uśmiechnął się. A jednak wydobył z tego podstępного i kłamliwego kapłana wiadomość o miejscu urodzenia męża opatrznościowego, króla Izraela, mającego się narodzić czy nawet już narodzonego z dziewicy! Z dziewicy! Chętnie zaniósłby się głośnym śmiechem nad naiwnością i umysłową nędzą tych świątynnych osłów – z rozkoszą splunąłby im w twarz – ale ponieważ nie chciał im jawnie okazać swej radości i pogardy, sięgnął po jabłko i nożyk, i udawał, że zajęty obieraniem owocu z cienkiej skórki, obojętnie mimo uszu puszcza opowieść. Niby od niechcienia spytał pełnymi ustami:

– W Bethlehem ów mąż się narodzi?

– W Bethlehem – odrzekli zgodnym chórem kapłani, a to Bethlehem brzmiało w ich ustach jak łoskot siarczanego deszczu spadającego na grzeszną ziemię.

– Możecie odejść – rzekł Herod bezdźwięcznym głosem. Pokłonili się i wyszli.

Król wytarł usta rękawem i odłożył na stół złoty nożyk wysadzany perłami.

Herod i Magowie

Wczesnym rankiem do gospody, w której zatrzymali się trzej magowie, przybył zaufany dworzanin Heroda – celem odwrócenia uwagi właściciela gospody i gawiedzi nałożył na siebie strój średnio zamożnego kupca, gdyż król polecił mu traktować misję poufnie i tajnie – i w unizonych i kwiecistych słowach zaprosił ich na przechadzkę po Jerozolimie. Magowie wprawdzie zaskoczeni byli nagłymi odwiedzinami i uprzejmością Judejczyka, ale skwapliwie skorzystali z jego zaproszenia, gdyż czuli się w mieście obco i nieswojo. Od chwili bowiem, gdy zaczęli wypytywać ludzi o nowo narodzonego króla Izraela, wszyscy, jak na dany znak, odsunęli się od nich, a na ich zapytania, nawet najbardziej obojętne, odpowiadali niechętnie, ostrożnie, skąpymi półsłówkami.

Gdy wyszli z gospody i skierowali swe kroki na Xystos, Judejczyk zaproponował im zwiedzenie ogrodów Heroda, na co magowie chętnie wyrazili zgodę, i uradowani, że ujrzą na własne oczy cuda, o których tyle słyszeli, rażno ruszyli do Górnego Miasta – po drodze zachwycali się gmachem Sanhedrynu i Pałacem Hasmonejczyków – i wkrótce znaleźli się wśród wspaniałych alei, tarasów i portyków, wodotrysków i pomników, wyobrażających rzymskich i greckich herosów. Dopiero teraz uprzytomnili sobie, że straż herodiańska bez żadnych trudności wpuściła ich do królewskich ogrodów. Ale długo nie zastanawiali się nad tym błahym szczegółem, gdyż uważali, że dostojność ich postaci jest wystarczającą rekomendacją dla służby pałacowej. Wprawdzie nigdy nie grzeszyli pychą, mieli jednak właściwe i słuszne wyobrażenie nie tylko o swojej wiedzy i mądrości, lecz również o swoim zewnętrznym wyglądzie, pełnym wyniosłej skromności i szlachetnego patosu. Gdy szli długą aleją platanów, oszołomieni pięknem umiejętnie ufryzowanej przyrody, Judejczyk przystanął i podniósłszy dłoń, co miało być znakiem, że chce coś ważnego powiedzieć, tak do nich przemówił:

– Nie jestem kupcem, lecz dworzaninem króla Heroda, który ceniąc waszą mądrość i wiedzę – a wiele o niej słyszał – posłał mnie po was, gdyż pragnie z wami poufnie pomówić. Podkreślam z naciskiem poufny charakter tej rozmowy, a to powinno wam nie tylko wyjaśnić, dlaczego zjawilem się w waszej gospodzie w stroju jerozolimskiego kupca, ale również powinno być myślą przewodnią przyszłego

waszego działania, które tylko wtedy znajdzie łaskę w królewskich oczach, gdy będzie okryte ścisłą tajemnicą. Jesteście mędrkami, więc wiecie, że nadmiar słów jest hańbą mędrca, a milczenie jego klejnotem.

I nie czekając na ich odpowiedź, ruszył przed siebie marmurowymi schodami ku białej terasie, a oni szli za nim posłusznie, zdumieni, lecz uradowani, gdyż czuli, że wreszcie dowiedzą się czegoś o Wysłanniku.

Król przyjął ich w Komnacie Wielkich Polowań, zwanej tak od kolorowych mozaik, przedstawiających sceny z życia myśliwych. Odprawił dworzanina, który przed wyjściem rozgarnął długim pogrzebaczem żarzący się w mosiężnym piecyku drzewny węgiel. Wprawdzie wciąż czuł się źle – nieustannie dolegały mu bóle w podbrzuszu, a gorączka trawiła jego jelita – jednak starał się nie okazywać mędrcom swojego wyczerpania wielomiesięczną chorobą i uśmiechnąwszy się – ten uśmiech był wymuszony i nieszczerzy, ale tego magowie nie mogli stwierdzić – kazał im obok siebie usiąść i udając, że interesuje się gwiazdźdarstwem, prosił ich, by mu opowiedzieli o planetach, ich ruchach i tajemnym wpływie na losy ludzkie. Herod zamierzał z początku krążyć niedostrzegalnie dokoła sprawy, która miała być tematem ich rozmowy, naprzód zdobyć zaufanie magów udanym zainteresowaniem dla wiedzy tajemnej i dopiero wtedy tak przygotowane ofiary silnie ścisnąć za gardło. Ale magowie okazali się naiwniejsi, niż to sobie król wyobrażał. I to było ich szczęściem. Albowiem właśnie ta szczerza i dobrodusznna naiwność – mądra naiwność uchroniła już niejednego mędrca przed podstępny złem – stała się sidłem, w które sam król miał wpaść i dzięki której udało się magom, nieświadomym zresztą ani niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli, ani tego, że mieli być narzędziem w rękach władcy Judei, ujść cało pomiędzy okami sprytnie nastawionej sieci. Otóż magowie, widząc zainteresowanie uśmiechniętego władcy dla wiedzy gwiazdźdarskiej, natychmiast opowiedzieli mu wszystko, co wiedzieli o Jowiszu i Saturnie cudownie z sobą połączonych w gwiazdozbiornie Ryb, i nie omieszkali mu wyjaśnić, że Jowisz jest planetą radości i szczęścia, a Saturn otoczony pierścieniami jest tarczą i obroną Izraela, a Ryby są znakiem Wysłannika, którego szukają w Judei, gdzie musiał się teraz narodzić, jak na to wskazują cudownie połączone planety.

Herod podniósł dłoń. Magowie umilkli. Król pochylił się w krześle – jego nie farbowane od długich miesięcy włosy, teraz siwo-rude, w nieładzie opadły na skronie i czoło – i rzekł, znizywszy głos:

– Podniesiony na duchu waszą wiarą i wiedzą, i umiłowanie osoby Wysłannika, którego i ja jestem głębokim czcicielem, skieruję was na ślad, który was zaprowadzi do jego kołyski.

Magowie uważnie słuchali, a Herod ciągnął dalej:

– Idźcie do Bethlehem Efraty, małego miasteczka położonego na południe od Jerozolimy, i tam odszukajcie nowo narodzonego – albowiem tam miał się narodzić według świętego proroctwa proroka Michy – i odszukawszy go, powróćcie zaraz do Jerozolimy i dajcie mi znać o radosnej nowinie, ale nikomu o niej nie opowiadajcie, dopóki sam pierwszy nie złożę dziecku królewskiego hołdu. Dla tego mojego pierwszeństwa wezwałem was tutaj tajnie i poufnie, aby nikt z Sanhedrynu ani uczonych w Piśmie, ani ze starszych ludu, ani z samego ludu nie uprzedził mnie w pokłonach u stóp Wybawcy Izraela. Zrozumieliście?

– Tak – odpowiedział najstarszy mag.

– Tak – odpowiedzieli równocześnie jego towarzysze.

Wówczas król wstał – kosztowało go to wiele wysiłku – i objąwszy magów, serdecznie ich uścisnął i ucałował w ramię, a wzruszeni mędrcy złożyli przed nim niski pokłon.

I odeszli.

Herod opadł bezwładnie na krzesło. Gdy napięcie minęło, nie mógł nawet podźwignąć się o własnych siłach. Radość z dobrze rozegranej partii walczyła w nim z coraz bardziej opanowującym go znużeniem. Chciał zawołać na służbę, aby mu pomógł udać się do łoża, ale po namyśle zrezygnował z tego zamiaru, gdyż wolał zostać teraz sam i bez świadków napawać się odniesionym zwycięstwem. Magowie połknęli haczyk. To dobrze. Czy ma posłać za nimi zaufanego człowieka, by ich śledził i doniósł mu o wyniku ich poszukiwań? To byłoby rozsądne i słuszne, ale czy można mieć zaufanie nawet do najbardziej zaufanego sługi? Wiedział, że otacza go zgraja przekupnych donosicieli, którzy wprawdzie biorą od niego pieniądze, ale równocześnie biorą pieniądze od Sanhedrynu, od arcykapłana, od saduceuszów, od faryzeuszów, służąc wszystkim równocześnie z jednaką wiernością. Nawet dworzanin Menasse, który tak sprytnie przywiódł magów do pałacu, na pewno teraz sprzedaje tę wiadomość faryzeuszom za trzydzieści srebrników. Za ile bracia sprzedali Josefa? Za dwadzieścia srebrników. Za tanio. Za tanio. Magowie okazali się naiwni i głupi. Sami przyniosą rybę w sieci. Na pewno przyniosą... Na pewno... Ale Sanhedryn nie powinien się dowiedzieć o jego obawach przed nowo narodzonym dzieckiem. Po cóż ma się ośmieszać w oczach uczonych w Piśmie i całego ludu? Ten małpi arcykapłan na pewno skorzystałby wówczas ze sposobności i natychmiast doniósł Rzymianom, i rozpowszechnił wieści wśród ludu, że stary król popadł w szaleństwo i posłał magów do Bethlehem, gdyż lęka się osesków. Ale czy stary król naprawdę lęka się osesków? Czy stary król naprawdę lęka się nowo narodzonego dziecka? Przecież stary król lęka się tylko urojeń opętanego wybraństwu ludu Izraela, boi się snu kilku obłąkanych proroków, boi się chorej

wyobraźni wiecznie czekającego na coś pospólstwa. Więc po co sprowadził magów do swojego pałacu? Po co ich posłał do Bethlehem? Co oni tam znajdują? Nic... urojenia... sen'... powietrze... pustkę... Mędrcy wrócą i powiedzą: – Nic nie znaleźliśmy, królu, nic. Gwiazdy kłamały i prorocy kłamali. Wszystko jest kłamstwem... Prawdą jest tylko pustka.

Herod pomyślał, że właśnie po to posłał magów do Bethlehem, by znaleźli tam tylko pustkę i przywieźli mu radosną nowinę o pustce, a wtedy owa nowina o pustce będzie jego zwycięstwem nad wyobraźnią niegodziwego Izraela i zemstą na niewdzięcznym narodzie, który nienawidzi go za wszelkie i bogate dobro wielkodusznie mu ofiarowane królewską dłonią.

Na myśl o tej zemście Herod uradował się wielką radością, ale zmęczenie wzięło nad nią górę i król, wyczerpany kojącym widzeniem bethlehemskiej pustki, klasnął na sługę.

Wszedł dworzanin.

Pokłon trzech Magów

Jak słusznie przewidział Herod, wieść o odwiedzinach magów lotem błyskawicy rozniosła się po całej Jerozolimie, ale niemożliwością jest ustalić, który z dworzan wyniósł tę wiadomość z królewskiego pałacu i rozpowszechnił ją po mieście, a już zupełnie nie można odgadnąć, jak to się stało, że wyprzedziła ona powrót magów do gospody. W każdym razie jest pewne, że magów natychmiast po powrocie do zajazdu obsiedli podróżni i przygodni znajomi, którzy jeszcze rano bali się z nimi rozmawiać i unikali ich jak trędowatych, ale teraz, czując spoczywającą na nich łaskę królewską, okazowali im swoją rozbrajającą serdeczność. Prosilili, by z nimi usiedli, wypili kubek wina, a ponieważ nie chcieli bezpośrednio i natarczywie wypytywać o przebieg rozmowy z Herodem, udawali, że ich przede wszystkim ciekawi, co widzieli w pałacu i co jedli i pili. Ale magowie, zmiarkowawszy, że te pytania są tylko źle maskowanym podstępem, milczeli i tym swoim milczeniem, zamiast gasić, jeszcze bardziej rozpalali ciekawość Judejczyków, którzy widząc, iż niczego nie wyduszą z dyskretnych cudzoziemców, sami pomiędzy sobą rozpoczęli ożywioną dyskusję o tym, co mogło być tematem rozmów babilońskich mędrców z królem Herodem. I tak zajęci byli swoimi dociekaniem i domysłami, że nawet nie zauważyli, jak podróżni dosiedli wielbłądów i oddalili się we wschodnim kierunku.

Już miało się ku wieczorowi. Szybko zapadły ciemności. Magowie pozostawili za sobą Pałac Hasmonejczyków, lecz zamiast skierować się do Górnego Miasta i wjechać na trakt prowadzący do Bethlehem, najstarszy mag o ostrym profilu

i dolnej wardze nieco wysuniętej, skierował wielbłąda ku wschodowi, a za nim posłusznie poczłapały wielbłądy jego towarzyszy.

– Dokąd jedziemy? – spytał młodszy, widząc, że jadą przez Dolne Miasto i kierują się ku Bramie Siloah.

– Pojedziemy okrężną drogą do Bethlehem, aby zmylić czujność Judejczyków, którzy, jak to mogliście łatwo stwierdzić, są tak ciekawi, że mogą nas śledzić, a przecież według królewskiego rozkazu powinniśmy podróżować tajnie i tajnie powrócić do Jerozolimy.

Przy Bramie Gnojnej skręcili ku zachodowi i jechali na przełaj przez Ge Hinom, całkowicie zdani na nieomylny instynkt wielbłądów, stawiających pewnie nogi w gęstych ciemnościach nocy. W miejscu, gdzie się załamuje prosta linia miejskich murów i tworząc wnękę pnie się stromo ku górze, ujrzeli majaczący z dala marmurowy Pałac Heroda, a na jego widok wbili się w dumę, gdyż przypomnieli sobie, że właśnie oni będą pierwszymi ludźmi, którzy złożą hołd Wysłannikowi, a dopiero po nich pokłoni się król, a po królu dopiero arcykapłan i kapłani, a po kapłanach uczeni w Piśmie i lud. Wdzięczni byli Herodowi za jego łaskawą życzliwość, bo mógł przecież z równym prawdopodobieństwem nie zgodzić się na ich podróż do Betlehem i sam udać się w drogę, i pierwszy złożyć hołd Nowonarodzonemu, ale to, że tego nie uczynił, świadczy o jego szacunku dla cudzoziemskich mędrców, których wyniósł ponad królów, chociaż sam jest królem. Uśmiechali się do tego odkrycia, i spojrzawszy w wygwieżdżone niebo, ujrzeli nad głowami swoich dawnych dobrych znajomych, Jowisza i Saturna, cudownie z sobą połączonych w gwiazdozbiornie Ryb. Ponieważ Ryby były widomym dowodem narodzin Nowonarodzonego, Saturn przemienionym obliczem El Szaddaja, pochylającego się opiekuńczo nad Izraelem, a Jowisz szczęśliwym znakiem ich podróży, magowie niezawodnie zdążali przed siebie, do obranego celu, gdyż czas powstały z tego przychylnego połączenia i wzajemnego przenikania planet, czas wielkiej Wszechświętości, czas Przyjścia, czas Ucieleśnienia, wcielił się w ich niezachwianą wiarę, która wypełniając ich jestestwo, równocześnie ich wyprzedzała, szła przed nimi i wskazywała im właściwą drogę. Jadąc na wielbłądach, pewnie zdążali przed siebie i mieli głębokie przekonanie, że nie mogą zdążyć inną drogą, ponieważ tylko jedna prowadzi do Nowonarodzonego, a jest nią droga przez wąskie i brudne uliczki miasteczka, obok nędznych lepianek i kamiennych przymurków. Nie mogli zbłądzić. Ich wiara, wola i nadzieja, cudownie z sobą połączone, tak się z sobą zmieszały i stopiły, że zatarła się wszelka między nimi granica, a potem różnica. Przestały istnieć jako odrębne pojęcia. Wiara była wolą, a wola nadzieją, a nadzieja wiarą. Stały się jednym Pojęciem o nowej i nie znanej dotychczas treści

i mocy, niezmaconą Pewnością, bezcielesnym Palcem, nieomylnie wskazującym w nocnych ciemnościach – była już wtedy druga straż nocna – dom, mały dom, położony na krańcu miasteczka, a w tym domu izbę na dachu, skąpo oświetloną płomykiem oliwnej lampy.

Zsiedli z wielbłądów i weszli na piętro.

Zastali Josefa zajętego struganiem kija i ujrzeli Niemowlę śpiące na podwójnie złożonej macie i matkę cerującą mężową tunikę. Nie było w tej scenie nic nadzwyczajnego – był to po prostu obraz wieczornej ciszy, poprzedzającej udanie się rodziny na nocny spoczynek – ale dla magów stało się natychmiast jasne, że tych troje, znajdujących się w czterech ścianach jednej izby, pod jednym dachem, jest początkiem nowego czasu. A ponieważ czas jest odległością człowieka od Elohim, a odległość ta zmniejszyła się teraz do rozmiarów dwóch łokci, dzielących babilońskich przybyszów od Jezusa leżącego na podwójnie złożonej macie, magowie bez słowa uklękli przed Dzieckiem – obudziło się i patrzyło na nich czarnymi, ufnyimi oczami – pochylili nisko głowy, a najstarszy z nich podniósł oczy ku niebiosom i począł w duszy chwalić Elohim, i ani Miriam, ani Josef nie odgadli, że ów poganin, mędrzec znad Eufratu, nie wtajemniczony w świętość Abrahamowego Przymierza, mąż nie obrzezany, w uwielbieniu i pobożności błogosławi Boga Izraela. Po czym młodszy mag, rozwiązawszy tłumok, wyjął z niego dary: kilka sztuk złota, woreczki z mirrą i kadzidłem roztartym na proszek, i ułożył je obok Jezusa.

Miriam i Josef nie mogli zrozumieć, po co nieznani podróżni przybyli do ich domu, kto ich do niego skierował, ani powodu ich iście królewskiej hojności – chcieli zasypać ich pytaniami i ugościć jadłem, napojem i noclegiem, a mąż sprawiedliwy już szukał w myślach kwiecistego porównania, które by było choć cieniem wdzięczności za otrzymane dary, gdy magowie, uprzedzając słowa gospodarza, przyłożyli palce do warg na znak milczenia, po czym uklękli przed Dzieckiem, pokłonili się Miriam, Josefa ucałowali w ramię i szybko wyszli. Wtedy dopiero Miriam i Josef uświadomili sobie, że odwiedziny trzech króli – tak ich bowiem nazwali w myślach z powodu ich królewskiej hojności – odbyły się w całkowitym milczeniu, gdyż z ust gości i gospodarzy nie padło ani jedno słowo, i gdyby nie dary, które leżały koło maty, na ziemi, u stóp Dziecka, na pewno by przypuszczali, iż to wszystko, co się wydarzyło w ich izbie, było raczej snem niż rzeczywistością. Dlatego Josef, chcąc się upewnić, że nie śni, dotknął palcami darów leżących na ziemi i przekonał się, że złoto jest złotem, mirra jest mirrą, a kadzidło kadzidłem. I rozłożył ręce, co miało oznaczać, że nie umie wytłumaczyć sobie sensu tych odwiedzin i celu tych hojnych darów.

A tymczasem magowie ruszyli na północ tym samym traktem, którym przybyli

do Bethlehem. Ponieważ o poranku zamierzali stanąć z powrotem w Jerozolimie, aby jak najszybciej przynieść Herodowi radosną nowinę o Pożądanym i Znalezionym, coraz gwałtowniej poganiali wielbłądy, jakby się bali, że ktoś ich w tym poselstwie wyprzedzi. Ale im dłużej jechali, tym dłuższa wydawała im się droga. Poczuli się niepokoić. Czyżby zbłądzili? Już powinni dawno dostrzec z dala mury Świętego Miasta, a wciąż jechali wśród pustych wzgórz. Wielbłądy biegły truchtem, a jednak biegły powoli, a biegnąc, jakby stały w miejscu. Ta w nieskończoność ciągnąca się droga głęboko ich zastanowiła, więc szukali przyczyn tego zjawiska z początku w opieszałości wielbłądów, a ponieważ wielbłądy biegły szybko i żwawo, trzej magowie poczuli uważnie śledzić samych siebie, a potem wypadki ostatnich dni i doszli do przekonania, że źródło tej niezwyklej szybko-powolnej podróży kryje się głęboko pod powierzchnią zdarzeń, których byli ostatnio współuczestnikami. Badając je, a zwłaszcza przebieg odwiedzin w królewskim pałacu, poczuli dostrzegać w postępowaniu Heroda, w sposobie jego mówienia, a zwłaszcza w formułowaniu pewnych wypowiedzi skazy i chropowatości, których przedtem nie umieli dostrzec, wsłuchani w jego gładkie i przymilne słowa. Podejrzane również wydawało im się teraz trwożne zachowanie się Judejczyków. Wątpliwości magów pogłębiły się jeszcze bardziej, gdy wymieniwszy między sobą kilka słów, zmiarkowali, że są zgodni w swoich podejrzeniach co do szczerości zamiarów Heroda. Nie mogli zrozumieć swojego lekkomyślnego – tak je teraz określali – postępowania, które kazało im w Jerozolimie ujawnić przed gadatliwymi mieszkańcami cel swej dalekiej podróży i głośno dopytywać się o miejsce narodzin Nowonarodzonego. Swoją niewybaczalną nieostrożnością narazili Go na niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo? Słowo to spadło na nich jak piorun. Dlaczego, chcąc działać dobrze, działali źle? Dlaczego, idąc do Wybranego, musieli obrać okreśną drogę, prowadzącą właśnie przez Pałac Potępionych? Przecież gwiazdny czas, który szedł przed nimi z Jerozolimy do Bethlehem i wskazał im dom Nowonarodzonego, mógł równie dobrze być ich przewodnikiem podczas całej drogi i ochronić ich lub choćby ostrzec przed zetknięciem z Herodem. Na te pytania i sprzeczności nie umieli sobie udzielić jasnej odpowiedzi, ale ponieważ uważali, że w każdym pytaniu znajdują się kiełki odpowiedzi, a w każdej sprzeczności kiełki zgodności, doszli do zgodnego wniosku, który był raczej pociechą niż wnioskiem, że było zrządzeniem nieba, aby Potępiony wskazał im drogę do Wybranego, aby Zło wskazywało im drogę do Dobra, a Nienawiść do Miłości, jak to często w życiu się dzieje ku nieopanowanemu zdumieniu człowieka. Poczuli więc modlić się i w modlitwie swojej polecali Niemowlę Bożej opiece, i im dłużej się modlili, tym większy był ich spokój i tym większa była ich pociecha, i tą pociechą ukołysani, kiwali się na stąpających godnie

wielbłądach, i usnęli, a gdy się obudzili, byli już daleko od Jerozolimy, po drugiej stronie Morza Soli, w czarnych górach Moabu.

A jadąc radowali się, że byli wykonawcami woli Pana, który postanowił dla zbudowania Izraela pokazać mu trzech pogańskich poszukiwaczy Prawdy i dlatego ukształtował ich wyprawę i przygodę na modłę żywej hagady, mądrego i wdzięcznego opowiadania z głębokim morałem, i wpisał ją swą niewidzialną ręką w krwawe dzieje Heroda i błogosławione dzieje Dziecka.

Gniew Heroda

Król czekał cierpliwie na powrót magów, ale gdy minęło kilka dni, a mędrcy nie zjawili się w pałacu, zrozumiał, że został wyprowadzony w pole. Czuł się oszukany, a uczucie to było dla niego tym przykrzejsze, gdyż zdawało mu się, że starzejąc się, traci dar czujności, dawną bystrość w ocenie ludzi i umiejętność odgadywania ich utajonych zamiarów. Zamknął się w swojej komnacie i nikogo do siebie nie dopuszczał. Rozwahał położenie. Jasne było, że magowie uciekli, najprawdopodobniej do Babilonii, nad brzegi Eufratu, więc są poza zasięgiem jego władzy i jurysdykcji. Jakże rozkoszowałby się widokiem magów jęczących z głodu i pragnienia na dnie pustej cysterny w Macheroncie. Z ich ucieczką sprawa Nowonarodzonego przybrała inny, bardziej złożony charakter, gdyż uciekając, swoją ucieczką dali mu mimo woli do poznania, że w Bethlehem dzieje się coś, co może zachwiać równowagą królestwa. Wyszło więc na jaw, że przepowiednie o Mesjaszu, mającym się narodzić w Bethlehem z rodu Dawidowego, nie były urojeniem chorej wyobraźni proroków, ale wyraźną, dokładną i wiarogodną zapowiedzią, spełniającą się na jego oczach. Kto ostrzegł chytrych magów przed jego zamiarami? Kto mógł o tych zamiarach coś wiedzieć? Jest pewne, że nie wrócili do Jerozolimy i pozostawili go na łasce mniej lub więcej mglistych domysłów. Czekał na radosną nowinę o wielkiej pustce, o kłamstwie gwiazd, o nędznym bełkocie proroków, a okazało się, że kłamstwo nie było kłamstwem, że bełkot nie był bełkotem, że urojenie nie było urojeniem. Przepowiednie stały się Prawdą, cielesną Prawdą, po prostu ciałem, które na szczęście, jak każde ciało z krwi i kości, można zabić. Zabić? Jak zabić? Jak zabić Mesjasza, ukrywającego się w ciele nieznanego niemowlęcia? Jak walczyć z niemowlętami? Żaden król, jak długo istnieje świat, nie wyruszał na wyprawę wojenną przeciw niemowlętom. Zamknął oczy i począł szukać w pamięci analogicznych wypadków w historii, o które mógł wprawdzie spytać nadwornego kronikarza, Mikołaja z Damaszku, ale nie chciał go wtajemniczać w swoje mesjańskie niepokoje, więc siedząc z zamkniętymi powiekami i wyciągnawszy zziębnięte nogi

w kierunku rozżarzonego piecyka, po omacku błdził myślą po zaułkach historii, gdyż pragnął w niej znaleźć zręczne sposoby i celowe środki działania przeciw śmiertelnemu wrogowi, ukrytemu w jednym Dziecku, nie znanym mu z imienia i oblicza. Ale nie tylko o to chodziło. Nie mniej ważne było zalegalizowanie za pomocą jakiegoś historycznego precedensu zarówno przed Izraelem, jak i Rzymianami zamierzonej gwałtownej i krwawej rozprawy z Noworodkiem. Herod nigdy nie wydawał wyroków bez dowodów winy. Nawet gdy dowody były fikcyjne, musiały posiadać pozory prawdopodobieństwa. Stosując tę metodę, skazał na śmierć krewnych swojej ukochanej Mariamne, a potem samą Mariamne i jej matkę, i swoich zbuntowanych synów, i nie byłoby nic łatwiejszego, jak i tym razem zastosować te same środki działania, gdyby nie trudność, że ów Nowonarodzony i Niebezpieczny był zarazem Nieznany i Nieuchwytny, w pewnym sensie Niewidzialny, więc chcąc Go uśmiercić, należało Go przede wszystkim znaleźć i ujrzyć, a ta próba nie powiodła się z powodu chytrości magów. Cóż zatem miał uczynić? Mógł dokonać zbiorowej rzezi niemowląt w Bethlehem i wśród kilkunastu ryb złowić tę najbardziej pożądaną, ale przeląkł się tego pomysłu, gdyż przypominał on zbyt żywo rozkaz egipskiego faraona, który przed wiekami kazał wrzucić do Nilu wszystkich nowo narodzonych chłopców Hebirów, wskutek czego Izrael zachował go po dzień dzisiejszy w nienawistnej pamięci. Tej analogii z przeklętym przez lud faraonem pragnął Herod przezornie uniknąć. A Rzymianie? Co powiedzą Rzymianie? Co powie cesarz?

Król cofnął się w głąb minionych zdarzeń.

W głębi jego pamięci podnosiły się zasłony, jedna po drugiej, i odsłaniały kolejno analogiczne zdarzenia, które się działy w różnych czasach, dalszych i bliższych. Za jedną z podniesionych zasłon ujrzał Rzym, ogrody, gaje piniowe, żółty Tyber, łuki tryumfalne, Forum Romanum i siebie wchodzącego do gmachu senatu. Tutaj dowiedział się od jednego z senatorów, że ongi, przed wielu, wielu laty, narodziny Augusta poprzedzone były tajemniczymi zjawiskami na niebie i ziemi, a wieszczkowie wytłumaczyli je jako zapowiedź narodzin rzymskiego króla. Wówczas senat, stojący na straży republikańskiego ustroju, uchwalił, że każde niemowlę płci męskiej urodzone w tym roku musi być natychmiast zabite. Ustawa ta jednak nigdy nie została wprowadzona w życie dzięki wstawiennictwu wielu mężów wysokiego pochodzenia, których żony spodziewały się potomstwa.

Przeszłość odplynęła. Rozdwojony czas wrócił posłusznie do swojego koryta.

Przypomnienie tych wypadków z niedawnej historii Rzymu sprawiło Herodowi wielkie zadowolenie, zwłaszcza że były one związane z losami cesarza Augusta. Wprawdzie na szczęście dla Augusta uchwała senatu nie została wykonana, ale o to

mniejsza. Nie o to chodzi. Cesarz na pewno, gdy podrośł, zrozumiał jej głęboki sens, gdyż niezależnie od tego, czy godziła, czy nie godziła w jego istnienie, była przecież podyktowana troską o bezpieczeństwo państwa i ustroju. I to jest najważniejsze. Herod potarł ręką czoło. Wszystkie okoliczności towarzyszące uchwale przypominały do złudzenia uciążliwe położenie, w którym się sam obecnie znajdował. Tam rzymscy wróżbici, tu judejscy prorocy. Wróżbici rzymscy przepowiedzieli prawdę. Późniejsze losy Augusta były jej potwierdzeniem. Dlaczego by izraelscy prorocy mieli kłamać? Tak. W Bethlehem urodził się Mesjasz. Trudno. Królowi nie wolno siedzieć z założonymi rękami. Bezczytność jest lekkomyślnością. Przed Rzymem będzie wytłumaczony i usprawiedliwiony. W razie potrzeby zawsze będzie mógł się powołać na uchwałę senatu, jako historyczny i prawny precedens. A zresztą czy sam August w dziewiętnastym roku swojego życia nie wciągnął na listy proskrypcyjne trzystu senatorów i dwóch tysięcy rycerzy rzymskich, którzy zostali natychmiast uwięzieni i ścięci? Dwa tysiące trzysta senatorskich i rycerskich żywotów! Nie lada rzeź! A tu? Kilka nędznych noworodków. Na pewno nie będzie wielkiego krzyku. A jeżeli nawet Izrael podniesie wrzask, to niech wrzeszczy! Niech go przeklnie! Mało to razy go przeklinał? I miotał na niego obelgi? I zbrojnie opierał się jego zarządzeniom? Herod dla swojej racji stanu poświęcił życie własnych synów. Dlaczego by zatem miał oszczędzać kilka izraelskich niemowląt, urodzonych w jakimś brudnym i zapadłym Bethlehem? Czym jest ich śmierć w porównaniu z niebezpieczeństwem, grożącym królestwu Judei?

Herod zadrżał. Kłujący ból wypełnił jego piersi, brzuch i promieniował ku drętwiejącym nogom i rękom.

Zamknął oczy. Znów rozdziwił się czas.

Wysłuchany w szczękaniu własnych zębów, ujrzał brzeg morski i siebie stojącego nad przepaścią, wypełnioną wezbranymi falami martwych głów, bijącymi o skalisty brzeg. Gdy pochylił się nad nimi, rozpoznał w tej ławicy czaszek obciążonych poźółkłą skórą małe czaszki niemowląt z Bethlehem.

Podniósł ciężkie powieki i wyciągnął zziębnięte dłonie nad rozpalonym do czerwoności piecykiem.

Ucieczka do Micraim

Wypadki potoczyły się teraz szybko i rozgrywały się we śnie i na jawie, a sen i jawa z osobna i razem były na równi rzeczywiste i przekonywające. Zaraz następnego ranka, po niespodziewanych odwiedzinach magów i po nie mniej niespodziewanym ich odjeździe, Josef tak rzekł do Miriam:

– Niechaj żona moja nachyli uszu i uważnie słucha, co powiem. Wydaje mi się, że złoto, mirrę i kadzidło, otrzymane w darze od trzech nieznanym mężów, którzy równie dobrze mogli być ludźmi, jak aniołami, ale na pewno byli wysłannikami Pana – powinienem sprzedać, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kupić Dziecku pieluchy i ciepłą chustę, a niewieście skórzane sandały, piękną suknię i płaszcz gruby z sierści wielbłądziej, gdyż zima jest dżdżysta i chłodna. Poza tym powinienem odesłać naszym sąsiadom do Nazarethu pożyczonego od nich osła. Weźmie go z sobą sandalnik Eliezer, który przed nowiem wyrusza z towarem z Bethlehem do Galilei i chętnie podejmie się tego niewdzięcznego zadania. Podkreślam, niewdzięcznego, gdyż pożyczony osioł jest zwierzęciem upartym, samowolnym i kapryśnym, i dlatego na pewno będzie w drodze dla sandalnika powodem wielu zmartwień i niewygód, więc z tym większą wdzięcznością należy ocenić jego dobroć i uprzejmość. Kupimy więc na własność dwa spokojne i rozważne osły, jednego dla ciebie, niewiasto, drugiego dla mnie, abyśmy już więcej nie musieli jeździć na pożyczonych, kapryśnych i samowolnych osłach, których charakteru i nawyków nie znamy. A na to odrzekła Miriam:

– Mój pan mówi rozsądnie, przeto niechaj wykona swój zamiar, ale wykonując go, niechaj pamięta o sandałach dla siebie, o płaszczu i o nowej tunice, może białej, albowiem jest młody i wysoki, a młodym i wysokim jest do twarzy w białych tunikach ze lśniącego lnu.

Tu Miriam uśmiechnęła się, a ponieważ Josef kochał uśmiech swojej żony, przytwierdził jej słowom, ale wolałby, zamiast kupować dla siebie sandały i tunikę ze lśniącego lnu, zachować pieniądze w mieszkaniu za pasem, nie przez skąpstwo – nigdy skąpy nie był – lecz z rozsądku, który mu mówił, że w niespokojnych czasach dobrze jest mieć nieco pieniędzy odłożonych na czarną godzinę, co zresztą wkrótce okazało się nader przewidujące i mądre – zwłaszcza jeżeli jest się głową rodziny i odpowiedzialnym za los Dziecka i niewiasty. Poza tym jak długo nosił pieniądze za pasem, uważał, że należą one do Dziecka i Miriam, a on jest tylko zawiadowcą ich majątku, ale jeżeli za te same pieniądze zakupi dla siebie sandały, płaszcz i tunikę, pomnożą one jego osobiste posiadanie, co mu się wydawało, jako mężowi sprawiedliwemu, bardzo niesprawiedliwe i prawie grzeszne. Dlatego gdy poszli na targ i kupili parę dorodnych osłów o popielatej sierści ze srebrnym odcieniem, pieluchy i chustę dla Dziecka, a sandały, szmaragdową suknię i gruby płaszcz dla Miriam, i rozglądając się po straganach szukali męskiej tuniki z lśniącego lnu, Josef niby od niechcienia zaproponował odłożenie do jutra kupna przeznaczonych dla siebie rzeczy i był bardzo zadowolony, że niewiasta, nie domyślając się niewinnego podstępku, przystała na jego propozycję i wróciła wraz z nim do domu. Josef

wprawdzie był pewien, że Miriam nie zapomni o jego sandałach, płaszczu i białej tunice i jutro wczesnym rankiem znowu wyruszą na targ, i tym razem na pewno mąż sprawiedliwy wbrew swej woli wzbogaci się o jedną parę sandałów i jedną szatę – w sumie będzie więc właścicielem dwóch par sandałów i dwóch tunik – ale obecnie, gdy kładł się spać i wysoko na głowę naciągnął swą wiatrem podszytą opończę, pocieszał się myślą, że to grzeszne pomnożenie jego dóbr doczesnych zostało szczęśliwie odłożone o jeden dzień, a zwłoka ta była dla jego stroskanego serca nie lada pocieszeniem.

Usnął. Obudziły go zmieszane głosy. Leżał z otwartymi oczami, nie wiedząc, skąd dochodzi owa wrzawa, czy z sąsiedniego domu, czy z dziedzińca, czy z ulicy. Z początku wydawało mu się, że jest to tylko kłótnia spóźnionych przechodniów lub awanturujących się włóczęgów, ustokrotniona przez nocną ciszę, która, jak wiadomo, pogłębia każdy głos, rozbija go na poszczególne dźwięki, i to, co za dnia brzmi jak miauczenie kota, wydaje się w nocy rykiem lwa. Ale szybko zmiarkował, że głosy, które słyszy, są głosami lamentu i rozpaczy. Zerwał się, wybiegł na taras domu i ujrzał w dole uciekające kobiety z niemowlętami na rękach i uganiających za nimi herodiańskich pachołków. Było to istne polowanie, odbywające się według wzorowych zasad nagonki i osaczenia. Gdy matki pędzone pięściami, przekleństwami i wyzwiskami gorliwych naganiaczy w szaleńczym kluczeniu wśród uliczek miasteczka wpadały w popłochu na plac targowy, zza domów wyskakiwali zbrojni siepacze i z rąk krzyczących niewiast wrywali niemowlęta, i uśmiercali je włócznią lub uderzeniem główki o kamień, lub jednym sprawnym cięciem krótkiego noża podrzynali im gardła jak ofiarnym jagniętom. Josef chciał zbiec na ulicę i krzyczeć o pomoc, ale jego nogi wrosły w ziemię, a głos zamarł w gardle. Nie mogąc poruszyć się ani wydać z siebie głosu, stał niemy i bezradny i nie dając wiary temu, co widzi, z przerażeniem patrzył na obłąkane boleścią matki i martwe ciała niemowląt o przebitych piersiach, poderżniętych gardłach i roztrzaskanych czaszkach. Krew płynąca drogą, nieustannie przybierając, szumiała jak strumień, rwała jak potok i wreszcie rozlała się szeroką rzeką. Spiętrzona i zbałwaniona pochłaniała w swoich spienionych nurtach zbrodniarzy i ich ofiary i tylko na jej powierzchni sprawne oko mogło dostrzec – była księżycowa noc – wyciągnięte dłonie matek i martwe ciała niemowląt, niesione wartkim prądem krwi. Powierzchnia rzeki wciąż się podnosząc (skąd tyle krwi bierze się w kilkunastu niewiniątkach? – pomyślał Josef) sięgała już do połowy wysokości domów i wznosiła się coraz wyżej i wyżej, ku terasie, na której stał mąż sprawiedliwy. Cofnął się. Jego uwagę przykuło niezwykle zjawisko. Rzeką, osiągnąwszy wysokość terasy, nie tylko nie zalatywała mdłym zapachem, tak znamionym dla rozlanej krwi, ale uspokoiła

się, a jej fale o kolorze i woni dojrzałych róż łagodnie podpłynęły do jego stóp i Josef usłyszał głos, dobywający się z głębi krwi, który zawodząc mówił:

– Wstań i weź Dziecię i matkę Jego, i uchodź do Micraim, a pozostań tam, aż ci oznajmię, albowiem stanie się, że Herod szukać będzie Dziecięcia, aby Je zgładzić.

Tak mówiła krew, a Josef, obudziwszy się, zrozumiał, że to nie była ślepa jawa, ale widzący sen. Zerwawszy się na równe nogi – była jeszcze noc – potracając sprzęty i potykając się o nie, po omacku dopadł maty, na której spała Miriam z Dzieckiem, i gwałtownie potrząsnął śpiącą, i stłumionym głosem szeptał jej do ucha:

– Miriam... Miriam... zbudź się... zbudź się... Wstań... Musimy uciekać... uciekać...

Niewiasta z trudem otworzyła zaspane oczy i jeszcze cała obezwładniona snem, nieświadoma tego, co się dokoła niej dzieje, już chciała obrócić się na drugi bok, aby dalej spać, gdy błagalny i coraz donośniejszy szept męża począł wreszcie przenikać do jej świadomości. Znow otworzyła oczy i zaniepokojona jego wzburzeniem i nieskładną mową, zerwała się z maty i szeptem odpowiadając na szept spytała:

– Uciekać?... Dlaczego?... Przed kim?... Co się stało, panie mój?

– Niech żona moja nie pyta – Josef z trudem dyszał – ale niechaj natychmiast owinie Jezusę w chusty, spakuje odzież w tobołek, a ja osiodłam osły, wory napełnię wodą zmieszaną z octem, wezmę jęczmień dla zwierząt, kij do ręki i wyjedziemy z Bethlehem.

– Dokąd? – spytała Miriam.

Josef po krótkim namyśle wskazał ręką na zachód.

I tak się stało. Już świtało, gdy Miriam z Dzieckiem na rękach i Josef potajemnie opuścili Bethlehem i skierowali się na południe, ku wybrzeżu morskemu, którądy biegła droga karawanowa, wprawdzie okrężna, ale bezpieczna, do Micraim, gdzie postanowili szukać schronienia przed szaleństwem żołnierzy Heroda. Osły o popielato-srebrnej sierści kroczyły spokojnie i pewnie, a Josef jadąc w tyle modlił się i wciąż wspominał w myślach praojców Abrahama, Jaakowa i jego umiłowanego syna Josefa, którzy przed wiekami tą samą drogą wędrowali do Micraim, i błagał Pana Cebaoth, aby swoje miłosierne spojrzenie utwierdził nad jego rodziną i był jej przewodnikiem wśród piasków pustyni, jak był nim ongi dla wędrujących tą drogą patriarchów. Ponieważ była to droga wydeptana nogami jego przodków, więc chociaż zdążał nią po raz pierwszy, nie wydawała mu się ani obca, ani nie napełniała go lękiem, bo wiedział, że idzie śladami ojców, a przecież na ścieżkach ubitych ich stopami żadnego zła nie może doświadczyć. I niewątpliwie pod natchnieniem patriarchów, których duchową i cielesną obecność czuł obok siebie, przypomniał sobie kupca judejskiego, właściciela plantacji ziołowych, zamieszkałego w Matarii, którym ongi zaopiekował się w Bethlehem podczas jego choroby. Jak wiemy, kupiec

ów podarował cieśli bransoletę z kości słoniowej i zapewnił go o swojej wdzięczności, i dodał, że bramy jego domu zawsze stoją przed Josefem otworem. To przypomnienie odległego w czasie zdarzenia podniosło Josefa na duchu i dlatego popędził osła, i zrównawszy jego krok z krokiem osła, na którym jechała Miriam, ukradkiem zerknął na przegub jej dłoni i z zadowoleniem stwierdził, że nie zapomniła w pośpiechu o bransolecie z kości słoniowej. W myśli pochwalił zapobiegliwość i przytomność umysłu niewiasty i już widział swoją rodzinę i siebie w gościnnym domu egipskiego Judejczyka, w nieznannej i tajemniczej krainie, która wielokrotnie budząc zmienne uczucia, dobre i złe, uczestniczyła w dziejach jego ludu, a teraz wstępowała w jego życie zapachem ogrodów ziołowych w Matarii. Jak długo pozostaną w Micraim? Głos przelanej niemowlęcej krwi zapowiedział Josefowi, że oznajmi mu czas, w którym będzie mógł powrócić wraz z rodziną do swojej ziemi, ale jego własny głos wewnętrzny utwierdzał go w przekonaniu, że jak długo żyje Herod, tak długo będą musieli pozostać w kraju wygnania.

Ponieważ dotychczas nie miał czasu opowiedzieć niewieście o swoim krwawym śnie, postanowił teraz wtajemniczyć ją w owo widzenie, nie chciał bowiem, aby go podejrzewała o pochopne i nierozważne działanie, przy czym postanowił również w zakończeniu swojego opowiadania wyjawić jej prawdę o niewinnym podstępie i wyrazić zadowolenie, że nie kupił dla siebie sandałów, płaszcza i tuniki, i że dzięki temu przeznaczone na ten cel pieniądze, jakże potrzebne na podróż – i chyba tylko jeden Elohim wie, na jak długi pobyt w Micraim – spoczywają w jego mieszkaniu za pasem.

Uniósł się nieco w siodle i już miał rozpocząć spowiedź i opowiadanie, gdy z dala ujrzał morze i zatrwożył się z powodu jego wielkości, albowiem wielkie wody są ojczyzną Lewiatana, trzydniowego grobu proroka Jony, i ojczyzną Bożego Pomazańca, który wyjdzie z wody. Urzeczony ogromem żywiołu zapomniał o swoim niewinnym podstępie i zamierzonym opowiadaniu i począł w uniesieniu błogosławić Pana, i wołać do Niego, i błagać, aby wybawił ich z niedoli i utrapienia i poprowadził prostą drogą do bezpiecznego domu.

Sęp nad pałacem w Jerycho

Jerycho leży wśród bujnej zieleni, jakby czarodziejskim sposobem przeniesionej z podzwrotnikowych krajów w dolinę Jordanu, która chroniona górami od suchych i porywistych wiatrów i bogata w obfite źródła, i błogosławiona bliskością świętej rzeki, była o tej porze roku – a była właśnie wiosna – jednym kwitnącym ogrodem. Działo się to dnia czternastego miesiąca nisan, w pierwszym dniu święta Pesach,

obchodzonego uroczyscie przez cały lud Izraela na pamiątkę wyjścia z Micraim, kraju wylewających wód i zwierzęcych bogów.

Nad pałacem Heroda, położonym w środku tej tropikalnej roślinności, wśród plantacji balsamowych krzewów, gajów figowych o gęstym ulistnieniu, sadów, palm i fontann, szybował wysoko na tle szafirowego nieba ogromny sęp, a wróżbita, który go właśnie śledził na jednym z pałacowych dziedzińców, odczytał z jego zachłannego, zygzakowatego lotu zbliżającą się godzinę śmierci króla. Ptak krążył nad pałacem. Wróżbita zachowując zupełny spokój rozejrzał się dokoła i stwierdziwszy, że nikt z dostojników dworskich nie zauważył jego obserwacji, szybko wyszedł z pałacu i ukrył się w podmiejskiej winnicy. Uważał bowiem, że bezpieczniej jest dzisiaj nie przebywać na królewskim dworze.

Wszyscy wiedzieli o zbliżającej się katastrofie, ale w jawnych i głośno prowadzonych rozmowach udawali, że wierzą w rychłe wyzdrowienie króla. Czy król wiedział, że umiera? Gdy przed kilkoma dniami syn Heroda, Antypater, przebywający w więzieniu, zdradził się nieopatrznie przed godnym pogardy strażnikiem, że wierzy w swoje rychłe ocalenie po śmierci ojca, został na rozkaz królewski natychmiast ścięty, co wywołało powszechny popłoch na dworze. Zapytani o zdanie astrologowie stawiali najpomyślniejsze horoskopy, a wróżbici wróżący z wnętrzości zabitych zwierząt jednomyślnie wyrażali głęboką wiarę w szybkie i całkowite wyzdrowienie władcy. Woleli kłamać niż zginać.

W komnacie przy umierającym Herodzie zebrali się jego synowie, ostatni, którzy pozostali przy życiu: Herod Antypas, młodzieniec średniego wzrostu, otyły i ociężały, stał obok łoża, obojętny i nieczuły, zajęty własnymi myślami, dalekimi jednak od tych wzruszeń, jakie powinien okazywać syn umierającemu ojcu. Z zimnym namysłem wodził grubymi palcami po pełnych wargach i tłustych, gładko wygolonych policzkach, okolonych ciemnobłękitnymi smugami, świadczącymi o twardym zaroście. Po drugiej stronie łoża stał Archelaus, wysoki i chudy, o nerwowych ruchach, ciemnej cerze Beduina, wąskich, niespokojnych oczach i wydatnym nosie, opadającym na cienkie wargi. Pochylony nieco ku przodowi, wpatrywał się uważnie w twarz ojca; czynił wrażenie człowieka pragnącego ukryć zniecierpliwienie z powodu przedłużającej się agonii, ale głęboko przekonanego, że tym razem dokona się to, na co od długich lat czeka cała dynastia, zmęczona nieustannym napięciem i trwogą. Z boku, odwrócony plecami do łoża, siedział Filip, zrodzony z małżeństwa z Kleopatry Jerozolimską, szczupły młodzieniec o delikatnych rysach twarzy, jedyny z synów, w którego oczach malowało się współczucie dla umierającego ojca. Ale w tym współczuciu było więcej gorzkiej odrazy niż żalu, więcej chłodnego, refleksyjnego zamyślenia nad nędznym losem

władcy i człowieka niż synowskiej boleści. Należy jednak stwierdzić, że to refleksyjne zamyślenie Filipa nad konającym ojcem było jedynym ludzkim uczuciem, okazywanym mu teraz nie tylko przez najbliższą rodzinę, ale i cały naród, który z godziny na godzinę, z zapartym tchem oczekiwał radosnej wieści o śmierci znienawidzonego tyrana. W każdym razie jasne było, gdy się patrzyło na trzech synów czuwających u łoża konającego ojca, że król umiera samotnie i że żaden z nich sercem nie uczestniczy w jego przedśmiertnych zmaganiach. Król otworzył oczy.

– Gdzie jest siostra moja, Salome? – spytał cichym głosem, tak łagodnym, że dreszcz przeszedł trzech synów.

– Nie ma jej tutaj, panie – odrzekł Archelaus.

– Czy mam ją przywołać? – spytał nieswoim głosem Filip, który wstał i podszedł do ojca. Herod nic nie odrzekł.

Synowie nie śmieli więcej pytać.

Filip wrócił na swoje miejsce i wyrzucał sobie, że niepotrzebnie spytał ojca, czy ma wezwać do łoża ukochaną siostrę jego, Salome. Czy ukochaną? Czy ten nieszczęśliwy potwór umiał w ogóle kochać? Na pewno kochał żonę swoją Mariamne Hasmonejkę, którą skazał na śmierć. Czy wszystkich, których kochał, skazywał na śmierć? Właściwie nie był wcale gorszy ani lepszy od Cezara, Antoniusza, Augusta i tej całej czeredy rzymskich barbarzyńców, udających na zewnątrz gładkich i szlachetnych panów, ale w działaniu swoim posługujących się bronią zdrady, podstępów, kłamstwa i najokrutniejszej zbrodni. A Herod był przecież niewątpliwie człowiekiem genialnym, o szerokich horyzontach przewidującego władcy, zręcznego dyplomaty, który umiał za pomocą prostych środków urzeczywistniać najśmielsze swoje zamierzenia. Ale czy był naprawdę zręczny i sprytny w działaniu? Jeżeli tak, to po co zraził sobie faryzeuszy, cieszących się w całym kraju szacunkiem i popularnością? Dlaczego kazał przybić złotego orła rzymskiego na jednym z wewnętrznych dziedzińców Świątyni Pańskiej – czy po to, aby potem spalić żywcem bohaterskich przywódców faryzeuszy, buntujących się przeciw temu zarządzeniu? Po co prowokował lud Izraela? Filip często nie rozumiał postępowania swojego ojca. Czego chce teraz od Salome? Ta chęć ujrzenia siostry w ostatniej godzinie życia była niezwykle niepokojąca. Więc po co go spytał, czy ma ją przywołać? Po co? Głupie, nieostrożne, lekkomyślne pytanie. Herod umiał zawsze gotować niespodzianki najbliższemu otoczeniu, czego dowodem był wyrok śmierci wydany na Antypatra, a wykonany przed kilkoma dniami, a wiadomo było, że ilekroć starzec wzywał do siebie Salome – ludzie mówili, że jest jego złym duchem – zawsze spadały czyjeś głowy, albowiem kobieta ta kilkakrotnie przyczyniła się do zguby wielu judejskich patrycjuszów i wpływowych dworzan, oskarżając ich

o knowania przeciw bratu. A teraz król zapisał jej w testamencie – synowie znali treść tego testamentu od królewskiego sekretarza, który już teraz, chcąc zdobyć łaskę przyszłych spadkobierców, ujawnił im w tajemnicy jego tekst – Jamucję, Azoth, Fazaelis i dodał jeszcze pięć tysięcy srebrników, to niemało. To wcale niemało. Niedyskretny urzędnik skomentował ten hojny zapis, cytując słowa samego Heroda: – Najhojniej obdarzę siostrę moją Salome, ponieważ zawsze była mi wierna, okazywała szczerą życzliwość i nigdy nie knuła przeciw mnie spisków. – Właściwie najbardziej pokrzywdzony został w testamencie Filip, syn Kleopatry Jerozolimskiej. Jako tetrarcha otrzymał we władanie Gaulanitis, Trachon, Batanaję i Panias. Natomiast synów Maltake, pogańskiej Samarytanki, opasłego Heroda Antypasa i krętacza Archelausa, Herod uczynił władcami najpiękniejszych i najżyźniejszych ziem, jednego tetrarchą Galilei i Perei, drugiego spadkobiercą swojego królewskiego tronu w Jerozolimie. Zobaczymy – medytował Filip – czy cesarz zatwierdzi testament starego tyrana. Na pewno zatwierdzi, albowiem Herod umiał nawet po śmierci zabezpieczyć swoje interesy. Znając skąpstwo Augusta i jego zachłanną chęć zysku, zapisał mu tysiąc talentów w złocie, a żonie jego Liwii i synom jego, przyjacielom i wyzwolenciom po pięćset talentów, a zapis ten należy rozumieć jako sutą łapówkę, wręczoną cesarzowi, jego rodzinie i najbliższym współpracownikom za zatwierdzenie testamentu. Czy cesarz przynajmniej zwróci łapówkę spadkobiercom Heroda, gdy zechce według swej własnej woli dokonać zmian politycznych na Wschodzie? Ale mniejsza teraz o Augusta. Czego właściwie chce Herod od Salome? Filip nigdy nie miał do niej zbyt wielkiego zaufania. Zeznania podłego Antypatra złożone podczas procesu bardzo obciążyły jego, Filipa, i Archelausa. Niczego nie można przewidzieć. Trzeba być na wszystko przygotowanym. Spojrzał na braci. Podczas gdy Herod Antypas wycierał dłonią spoconą twarz, Archelaus wycierał dłoń o aksamitną tunikę. Pocili się. Filip przeniósł wzrok na ojca. Starzec leżał spokojnie na łożu i tylko ręce jego spoczywające na jedwabnej kołdrze lekko się poruszały, wyrażając swoimi ruchami jakby głaskanie niewidzialnej postaci. Czyją głowę głaskały ojcowskie palce? O czym myślał umierający? Co się działo w jego gasnącym mózgu? W jego sercu bijącym coraz wolniej?

Herod nie łudził się. Wiedział, że synowie i cały lud Izraela czekają na jego śmierć. Synów nie lubił. Ale dla narodu czuł niekłamaną słabość i przez całe swoje życie pragnął być jego ulubieńcem. Niewdzięczny, swarliwy Izrael, który zawsze zamęczał swoich dobroczyńców. O! ileż dobrego uczynił dla tego ludu. Herod nie miał już sił prawować się w sumieniu ze swoim narodem, ale nie mógł odmówić sobie tej gorzkiej satysfakcji wypomnienia ślepoty Izraelowi, który nie widział albo może nie

chciał widzieć, że król, zabijając swoich przeciwników i wrogów, nie zabijał ich tylko dla siebie, ale czynił to także dla potęgi Jerozolimy i Izraela, trwającego bezmyślnie w swoim oporze przeciw każdej władzy nie pochodzącej od Boga. A czy przeciw Bogu nie buntował się lud cuchnących pastuchów i wrzeszczących proroków? Ale wracał do Niego, wracał. Zawsze wracał. A od niego, Heroda, Izrael się odwrócił i nie chciał mu okazać swej radosnej twarzy, mimo że król czynił wszystko, aby go pozyskać dla siebie, przypocholebić mu się, kupić przebudową Świątyni, potężnymi budowlami, wielką myślą państwową, królewskim przepychem, przypominającym przepych Salomonowy, ale na nic zdały się podarunki i ofiary, budowle i potężna Świątynia, na nic zdały się gesty i uśmiechy. Izrael przyjmował łaski i dobrodziejstwa jak należną mu ofiarę, a na groźby i kary odpowiadał sarkastycznym szyderstwem lub dumnym oporem. Pomiedzy królem a Izraelem była przepaść i nic tej przepaści zasypać nie mogło. Przepaści? A może to nie była przepaść, lecz Bóg? A może Bóg nad bogami, El Szaddaj, nie jest Panem górskich szczytów, lecz Panem otchłani? Jeżeli tak, to otchłań między nim a Izraelem jest Bogiem! I Herod, który nawet nie wiedział, czy wierzył w Jedyne i Wszechmocnego, żywiłowo Go nienawdził, gdyż wiedział, że w Jedyne i Wszechmocnego wierzy Izrael i dlatego jemu, królowi Judei, nie stawiał posągów ani nie poświęcał świątyń, ani nie okazywał boskiej czci. Palce Heroda zacisnęły się kurczowo. Król był zazdrosny o Elohim. Czyżby chciał zabić Boga, podobnie jak zabił Arystobula, Mariamne, rodzonych synów i kilka niemowląt bethlehemskich? – Ten skurcz palców zauważyli synowie i równocześnie pomyśleli, że starzec wreszcie umiera. Podeszli bliżej łoża. A ponieważ Herod, popadłszy w półprzytomność, ostatkiem zamierających zmysłów błędził po przeszłym życiu, synowie, słysząc z jego ust oderwane słowa i imiona, orientowali się według nich, które wypadki wywoływał z mrocznej przeszłości, i przejęci zgrozą towarzyszyli królowi w tej ostatniej wędrówce po drogach i bezdrożach jego miłości, krwi i zbrodni. Herod Antypas, który stał najbliżej łoża, słysząc bełkot Heroda o obciętych głowach – bracia dobrze znali treść tego snu – z trudem trzymał się na nogach. Starzec otworzył oczy i może pod działaniem maligny, a może powracającej świadomości, chwyciwszy Antypasa za rękę, szarpnął nią i przyciągnął go ku sobie, i przenikliwym szeptem zażądał od niego, by szedł śladem jego życia. W ten sposób uczynił go, jedyne spośród wszystkich synów, spadkobiercą i wykonawcą snu o obciętych głowach. Ale dlaczego właśnie jego, a nie Archelausa, któremu pozostawił w dziedzictwie tron judejski? Bo jeżeli któryś z synów miał być spadkobiercą snu o obciętych głowach, to powinien nim być nie mały tetrarcha Galilei i Perei, ale przede wszystkim król zasiadający na potężnym tronie w Jerozolimie. A może przekazał mu tę myśl tylko

dlatego, że stał on najbliżej łoża? Wydaje się jednak, że przekazanie przez Heroda Antypasowi myśli o obciętych głowach nie miało nic wspólnego z dziedzictwem królewskiego tronu i było przywilejem związanym z osobą, a nie z urzędem. Akt ten bowiem był pewnego rodzaju przypieczętowaniem poufnych i dotychczas nie ujawnionych związków, mających może swe źródło w niezbadanej wspólnotocie losów i krwi, we wspólnotocie, która olśniła Heroda na łożu śmierci w nagłym błysku powracającej świadomości lub na dnie przybierającej maligny. Szept Heroda głęboko wstrząsnął Antypasem. Filip i Archelaus, którzy stali po drugiej stronie łoża, ale w pewnym oddaleniu, dokładnie nie dosłyszeli, o czym szeptał Herod, tylko zauważyli, że palce ojca i Antypasa – Herod trzymał syna za rękę – są do siebie podobne, co wzbudziło w nich nieprzyjemne skojarzenia i zdecydowało o tym, że mimo woli jeszcze bardziej odsunęli się od łoża i zbliżyli ku sobie. Dłonie Heroda opadły na koldrę i stały się przeraźliwie białe, delikatne, prawie przezroczyste, jakby uchodziła z nich, pod naporem zbliżającej się wieczności, ponura drapieżność. Ale synowie wciąż mieli się na baczności i nie dowierzali delikatnym palcom ojca. Przypomnieli sobie, że miały one taki sam uduchowiony, miękki odcień, gdy starzec przed kilkoma dniami, podniósłszy rękę do góry, raczej ruchem pochylonego kciuka niż wypowiedzianymi słowami, które były tylko odległą i mglistą ilustracją gestu, nakazał wykonanie wyroku śmierci na swoim synu, Antypatrze.

– Odejdźcie... Salome... zawołajcie Salome – z trudem wykrztusił, dusząc się. Wyszli pośpiesznie.

Siostra królewska, Salome, siedziała właśnie przed lustrem i czesała włosy, gdy przybiegł niewolnik z wiadomością, że umierający król wzywa ją do swojego łoża. W oczach sługi malował się niekłamanym podziw dla tej śmierci, która nie wołana ośmieliła się wejść do sypialni z sandałowego drzewa. Księżniczka w pośpiechu upuściła na podłogę grzebień i pobiegła boso do sypialni Heroda, który ujrawszy swoją siostrę, uniósł się z trudem na poduszkach, kazał jej uklęknąć przy łożu i rzekł:

– Słuchaj, siostro moja umiłowana, siostro zawsze wierna, słuchaj, Salome. Mężczy mnie myśl, że zejść z tego świata nie opłakany, albowiem nawet ty, którą tak bardzo kocham, ani jednej nie uronisz łzy po mojej śmierci. Nie przerywaj... Nie przecz... Wiem lepiej... Posłuchaj, siostro moja, Salome. Chcę, aby ludzie po mojej śmierci płakali, aby gorzko i boleśnie płakali, aby płakała cała Jerozolima, aby płakał po mnie cały lud, cały lud Izraela od Giskali i Jeziora Galilejskiego po Berszebę i Morze Soli. Dlatego przewidując zbliżającą się śmierć rozkazałem przed niedawnym czasem przywódcy mej przybocznej gwardii spędzić do Jerozolimy ojców szlachtetnych rodów judejskich i zamknąć ich w hipodromie pod strażą, gdyż umyśliłem ich zgładzić w godzinę mojej śmierci, aby opłakana była godzina mojej śmierci oczami

ich rodzin, kobiet, starców i dzieci, aby poczuli się osieroceni wszyscy płaczący w obliczu mojej śmierci. Dlatego zaklinam cię, siostró moja, Salome, siostró moja umiłowana, zaklinam cię na świętość idumejskiej pustyni, którą oboje kochamy, abyś natychmiast, gdy zamknę oczy, spełniła moją wolę i rozkazała łucznikom wybić do nogi więźniów w hipodromie, gdyż chcę, aby cień sieroctwa padł na wszystkie rodziny Izraela, na cały niewdzięczny lud Izraela w godzinę mojej śmierci, i aby naród płakał, albowiem potrzebne mi są jego łzy i potrzebna mi jest jego głęboka boleść, i potrzebny mi jest jego nieklamany żal. I niechaj tym płaczem opłakana będzie godzina śmierci mojej. Przysięgnij, dobra moja siostró, Salome.

– Przysięgam, panie, że spełnię twoją wolę – rzekła Salome. A król zamknął oczy i umarł.

Salome podniosła się z kolan i otworzyła drzwi.

Weszli synowie.

Księżniczka, przywoławszy do siebie dowódcę straży, kazała mu otworzyć bramy hipodromu i wypuścić na wolność izraelskich mężów, po czym wróciła do komnaty, podniosła z ziemi szylkretowy grzebień i kończyła przed lustrem upinanie włosów nad zamyślnym czołem.

Wróżbita ukryty w winnicy u podnóża góry, ujrawszy odlatującego sępa, wrócił do pałacu.

A tego samego dnia wieczorem Izrael, rozmyślając podczas uczty świątecznej o swoim szczęśliwym wyjściu z Micraim, radował się z powodu śmierci Heroda i upatrywał w niej działanie Oka Bożego, tego samego, które ongi spoczęło na Jeszurunie podczas niezapomnianego czasu Ocalenia i Wędrówki.

Wyjście z Micraim

Od dwóch lat Josef wraz z rodziną przebywał w Micraim, w Matarii, w plantacjach ziół balsamicznych w majątku owego judejskiego kupca, którego pielęgnował w Bethlehem. Kupiec okazał się człowiekiem prawym i udzielił uchodźcom pomocy i opieki, dał im dach nad głową, a Josefa, który nie chciał jeść darmo chleba, zatrudnił przy pracy w ogrodzie, przy uprawie opobalsamu, żywnych krzewów, przywiezionych ongi przez Kleopatę z Jerycha do świętego okręgu Heliopolis, gdzie hodowane przez doświadczonych ogrodników, sprowadzonych z ziemi Izraela, były nie tylko ozdobą i dumą Micraim, ale również źródłem wielkich dochodów dla ich hodowców. Josef nauczył się ogrodnictwa i ciężko pracował przez cały dzień na plantacjach, pod rozżarzonym słońcem, i w zależności od pory roku okopywał krzewy, pogłębiał rowy nawadniające, nacinał

kamiennym nożem łydgi i zbierał pachnący sok do miseczek, dwoił się i troił, wykonując często pracę za słabszych i starszych robotników. Był mężczyzną o dużej sile mięśni i wielkiej wytrwałości i dlatego ten i ów najemnik nadużywał jego naiwności – tym mianem określano jego dobroć – i udawał niekiedy nadmierne wyczerpanie, albowiem wiedział, że Josef, współczując mu, wykona za niego robotę. Z czasem mąż sprawiedliwy poznał się na tych chytrych fortelach, ale nie dając tego po sobie poznać, w najlepszej wierze pomagał nieuczciwym towarzyszom, dając im swoją dobrocią lekcję cierpliwości, aż zawstydzeni pewnego dnia zrozumieli, że to, co uważali za naiwność, było najpiękniejszym darem serca. Od tej pory nazywali go dobrym Josefem.

Spokojnie upływał czas w Matarii, pod sykomorą, pod którą o zachodzie słońca siadywała Miriam, a mały Jezus, podtrzymywany przez Josefa, stawiał pierwsze kroki i szeroko otwartymi oczami poznawał otaczający Go świat, złożony z małego domku, z palm daktylowych, z ogrodów i z Nilu, połyskującego na horyzoncie w świetle zachodzącego dnia.

Zmierzchało.

Miriam odłożyła robotę – cerowała właśnie tunikę Josefa – wzięła na ręce Jezusa i zaniósła Dziecko, bardzo niezadowolone z nagłej interwencji matki, do wnętrza domu, nakarmiła Je i ułożyła do snu, po czym, zaświeciwszy lampkę oliwną, przyrzędziła wieczerzę.

Josef po spożyciu posiłku usiadł pod sykomorą i rad, że może pograć się w spokojnej medytacji, westchnąwszy, rozmyślał o losie rodziny i swoim. Od dwóch lat żył w nieustannym oczekiwaniu na zdarzenie, które musi się zdarzyć, a jeszcze się nie zdarzyło i nie wiadomo, kiedy się zdarzy. Nie buntował się przeciw owemu czekaniu. Czekał cierpliwie, gdyż czekanie było jednym z celów jego życia, wyznaczonych mu przez Elohim, a jeżeli niekiedy nachodził go smutek, to tylko dlatego, że czekał na wygnaniu, a nie w ojczyźnie, z dala od ukochanego krajobrazu, który przedziwnie uczestniczył w jego życiu i żył wraz z jego życiem, uzupełniał je i poniekąd łagodził jego lekko-ciężkie brzemię. Pocieszał się, że uciekł do Micraim z woli Elohim. Rozumiał w pełni błogosławiony sens tej ucieczki. Gdy przed półtora rokiem wędrowni kupcy przynieśli do Matarii wiadomość o wymordowaniu w Bethlehem niemowląt płci męskiej, poszedł do Leontopolis, do świątyni Pana Cebaoth, i tam, zwrócony twarzą ku wschodowi, modlił się długo i żarliwie, dziękując Niewidzialnemu za proroczy sen. Ale od tej pory, od czasu krwawego snu, nie otrzymał od Elohim żadnych znaków i nie wiedział, co ma dalej począć. A najgorsze było to, że szukając znaków Bożych na niebie i ziemi, lękał się, że może one dzieją się dokoła niego, a on ich nie dostrzega, że ociera się o nie, że podchodzą

do jego rąk, oczu i uszu, a on ich nie czuje, nie widzi i nie słyszy. Niepokoje, które przeżywał, miały ten skutek, że każdy, nawet najcichszy szelest gałązki, trzepotanie ptaka w krzaku lub krzyk sowy wzbudzały w nim dreszcz trwogi, i tak zewsząd obłączony przez szelesty, trzepotania i krzyki, w ciągłej gonitwie za cieniem Bożego palca, nie rozeznawał się już więcej w rodzaju zjawisk i mieszał ich sens i znaczenie. Od wielu, wielu miesięcy nie miał żadnych widzeń sennych. Spał spokojnie, lewe ramię podłożywszy pod głowę, a w jego snach nie zjawiali się aniołowie ani ludzie, ani czworonożne zwierzęta, ani ptaki, nie było w nich żadnych miast ani wsi, ani drzew, ani pałaców, ani niczego takiego, co mogłoby posłużyć za pretekst do snucia rozważań o Bożej ingerencji w sprawy ludzkie. Gdy pewnego dnia mąż sprawiedliwy zwierzył się ze swoich zmartwień niewieście, ta spytała go nieomal wesoło:

– Dlaczego mój pan zaprzęta sobie głowę troskami, skoro dobrze jest tak, jak jest?

Josef musiał przyznać słuszność argumentom swojej żony. Od tej pory zaprzestał gwałtownego szukania znaków Pańskich i czekał czekaniem coraz bardziej cierpliwym, nie mógł jednak zdusić w sobie uczucia tęsknoty za krajem ojczystym, za Galileą, za Judeą, za lasami terebintów i czerwoną ziemią winnic, za Świątynią Pańską w Jerozolimie, zwłaszcza w okresie święta Pesach, kiedy to z tłumami psalmujących Galilejczyków wędrował do Świętego Miasta. Nie lubił Kraju Przybierających Wód. Egipski krajobraz, Nil, piramidy i miasta przywodziły mu na myśl cierpienia jego ludu w niewoli faraonów. Nie mógł więc zrozumieć, po co synowie Izraela żyją dzisiaj w Micraim, w krainie wyznawców szakali i krokodyli, i piją wodę ze źródeł poświęconych baranim bogom.

W krzakach balsamu zaszumił nocny wiatr i poruszył rozłożystymi koronami palm i gęstym listowiem sykomory, a Josefa, siedzącego pod drzewem, zastanowiło, że wprawdzie podmuch wiatru już dawno ustał, ale liście sykomory i palm wciąż szumiały, jakby były ożywione obecnością niewidzialnego ducha. Josef przeląkł się tego szumu, poczuł w sobie bezwład i drżenie. Zsunął się z ławy na kolana i tak pochylony ku ziemi modlił się, albowiem modlitwą chciał ugłaskać grozę drzew ożywionych niewidzialnym duchem. Szum wzmagął się, łagodnie opływał klęczącego Josefa, oswajał go ze swoją obecnością; a mąż sprawiedliwy, cały zamieniony w pokorny i uniżony słuch, wreszcie usłyszał dawno upragniony Głos, który nie był głosem, i usłyszał słowa, które nie były słowami: – Wstań i weź Dziecko i matkę Jego, i wróć do ziemi Izraela, do ziemi twoich ojców, albowiem pomarli ci, którzy czyhali na życie Dziecka.

Już świtało, gdy Josef podniósł się z ziemi i rozważał usłyszane słowa, i pragnąc je najdokładniej zapamiętać, powtarzał je w duchu. Wówczas, gdy miał w jakiejś

sprawie całkowitą pewnością, zwykł ją pomnażać przez uważne śledzenie każdej cząstki owego zdarzenia, zwłaszcza tak niezwykłego, jak widzenie Pana w sennym szumie drzew. Był wdzięczny Panu, że właśnie do niego, do cieśli, przemówił przez szum zielonych drzew, co świadczyło o przychylności Bożej dla jego pracy i dla owoców jego pracy, dla pługów, stołów, krzeseł, dachów, schodów i progów, które sporządzał z dębów, orzechów, cyprysów i cedrów. Poza tym sposób Pańskiego zjawienia się mógł być niejako zapowiedzią dalszych podobnych zjawień – przecież do rogatego proroka Elohim przemówił z gorejącego krzaka – więc może także głosem drzewa przemówi i do Jezusy, który w przyszłości pracować będzie również w ciesielskim zawodzie i ukocha drzewne rzemiosło, i ukocha drzewo, i uczyni je źródłem swojego życia. Tak rozmyślając o zielonych drzewach i o drzewach mówiących głosem Pana, wszedł do chaty i widząc, że Dziecko i Miriam jeszcze śpią, wyjął ze skrzyni, jak mógł najciszej, chustę modlitewną i tefilin, nałożył je na siebie, wyszedł na dwór i dziękował Niewidzialnemu, który tej nocy objawił mu się w błogosławionych drzewach. Wrócił do izby. Miriam już wstała. Josef wyprostował się i rzekł:

– Herod umarł, niewiasto.

– Skąd wie o tym pan mój? – spytała.

Josef pokiwał głową, a w ruchu tym było głębokie uciszenie i świadomość ważności chwili, i równoczesna prośba, by nie stawiała dalszych pytań. Miriam domyśliła się, że Josef miał widzenie Pana we śnie.

– Niechaj się dzieje wola Elohim i niechaj Imię Jego będzie błogosławione – rzekła.

Tego samego dnia mieszkańcy Matarii dowiedzieli się od przybyłych zza Nilu kupców o śmierci króla Heroda, o wstąpieniu na tron jerozolimski jego syna Archelausa i powszechnej radości ludu izraelskiego. Josef udał się do swojego dobroczyńcy i wyraził mu swoją wdzięczność, i powiadomił go o zamiarze opuszczenia Matarii i powrotu do ziemi ojców. Kupiec nie pytał go o powód tak nagłej decyzji, podobnie jak ongi nie pytał go o powód przybycia do Micraim, ale serdecznie go objawszy, radził z życzliwości i doświadczenia, żeby jeszcze pozostał do wczesnej jesieni, a ruszył w trudną drogę przez pustynię, gdy minie letnia kanikuła, tak bardzo dokuczliwa nie tylko dla słabej niewiasty i małego dziecka, ale nawet dla silnego mężczyzny. Josef posłuchał kupca i uczynił tak, jak mu radził. W miesiącu tiszri, po święcie Sukot, gdy noce są już chłodniejsze, Josef przepasał biodra i podkasawszy tunikę, osiodłał osły, nappełnił sakwy wodą, do siodła przytroczył czerpak na wodę z wydrążonej dyni, obciążony kamieniem, i wraz z Miriam i Jezusem, okazującym żywo radosne zainteresowanie przygotowaniami do podróży, udał się do swojego dobrodzieja, aby się pożegnać. Na dziedzińcu domu

stał kupiec w otoczeniu rodziny, czeladzi i robotników, współtowarzyszy Josefa, wręczył mu dwa słoiki z bezcennym balsamem i kazał dwom ludziom z czeladzi załadować na osły żywność w takiej ilości, aby starczyła do Jerozolimy, po czym otarłszy łzę, pobłogosławił jego i jego rodzinę, życząc im długich lat abrahamowego żywota. Wtedy podeszli do Josefa robotnicy, ściskali go, a kilku spośród nich, właśnie ci, którzy udanym zmęczeniem i wyczerpaniem nadużywali jego dobroci, prosiło go o wybaczenie i każdy z nich wsunął mu jakiś podarek do ręki. Josef dziękował im za hojne dary, przeproszał ich za swoje nieopatrzone postępowanie, gdy pomagając im podczas pracy, dawał może po sobie poznać, że wie o ich udanym zmęczeniu. Zapewniał ich jednak, że niezależnie od ich prawdziwego czy udanego zmęczenia zawsze chętnie im pomagał i pracował za nich, albowiem jest mężczyzną od nich silniejszym, a silniejszy powinien słabszemu pomagać.

Ruszyli w drogę. Na czele jechał Josef, obładowany podarunkami, za nim Miriam, trzymając w objęciach Jezusa.

Pył podniósł się spod oślich kopyt.

– Dobry Josef – szepnął kupiec patrząc za odjeżdżającymi.

– Dobry Josef – powtórzyli robotnicy.

– Dobry Josef – myślała Miriam, patrząc na smukłą postać męża sprawiedliwego, siedzącego nieruchomo w siodle, w czerwonych promieniach słońca zachodzącego nad smutną ziemią Micraim.

Powrót

Z powodu żaru, który mimo jesieni wciąż jeszcze bardzo dokuczał, podróżowali nocą, a za dnia wypoczywali. Pewnego dnia o świcie przybyli do nadgranicznej oazy Rinokorura, składającej się z kilku lepianek, źródła i lasku palmowego. Tutaj Josef postanowił zasięgnąć języka o tym, co się dzieje w Judei, uważał bowiem, że śmierć Heroda w skutkach swoich musi spowodować wydarzenia niezwykle ważne dla całego ludu Izraela.

Gdy zsiadli z osłów, pierwszym człowiekiem, który ich przywitał, był młody poganiacz wielbłądów, młodzieniec o pociągającej powierzchowności, białych zębach i wzbudzającym sympatię uśmiechu; dowiedziawszy się, że Josef od dwóch lat przebywał poza krajem, wyraził chęć poinformowania go o ostatnich wydarzeniach w Judei. Usiedli na macie pod palmą i popijali wino zmieszane z wodą – Miriam z Dzieckiem usiadła opodal, w słusznym oddaleniu od mężczyzn – a Josef słuchał uważnie opowiadanych ze swadą nowin. Dowiedział się, że natychmiast po zgonie Heroda wybuchły w całym kraju zamieszki, a Symeon, jeden

z przywódców buntu, puścił z dymem pałac królewski w Jerycho, a Archelaus, następca tyrana, poczyną sobie tak samo jak jego ojciec, mordując i łupiąc lud Izraela. Ze zgrozą i oburzeniem słuchał opowiadania o ukrzyżowaniu przez legata syryjskiego Kwintusa Warusa za bramami Jerozolimy dwóch tysięcy judejskich powstańców i o wymordowaniu w jednym dniu na dziedzińcu Świątyni Pańskiej przez żołdaków Archelausa trzech tysięcy bohaterskich faryzeuszy, którzy domagali się w imieniu całego ludu zadośćuczynienia za spalonych żywcem przez Heroda dwóch uczonych w Piśmie, Jehudy ben Saryfeusza i Matijahu ben Margolotosa. Powstanie ogarnęło całą Judeę. Archelaus i Herod Antypas udali się do Rzymu, do cesarza, z prośbą o zatwierdzenie testamentu ojca. Równocześnie wsiadła w Haifie na okręt odpływający do Brundisium delegacja Starszych, którzy w imieniu całego Izraela mieli domagać się od Augusta detronizacji Archelausa i wyzwolenia Judei spod panowania tego godnego spadkobiercy dzikiego Idumejczyka. Ale wśród tych wszystkich okropności pocieszająca była wiadomość, że ludzie po śmierci Heroda, mimo wciąż jeszcze trwającego ucisku, nieco odetchnęli, a nawet ci, którzy za jego życia w obawie przed prześladowaniami opuścili kraj, aby za granicą szukać schronienia, teraz tłumnie wracali do Judei.

Josef, chociaż słuchał ze zgrozą opowiadań poganiacza wielbłądów, wątpił jednak nieco o jego prawdomówności – poganiacze znani byli ze swojego nadmiernego zamiłowania do barwnych opisów, często niezgodnych z rzeczywistością – i sądził, że młodzieniec, dla dramatycznej sprawności swojego opowiadania i wzbudzenia podziwu w chętnym słuchaczu, przeplata prawdę przesadnym zmyśleniem. Ale przygodni kupcy, którzy przyłączyli się do rozmowy, niestety potwierdzili te wiadomości i dodali od siebie jeszcze wiele innych nie mniej przerażających szczegółów. Josefowi zrobiło się przykro z powodu utajonej nieufności, którą okazał młodemu rozmówcy. A może młodzieniec zauważył tę jego nieufność? Cóż łatwiejszego niż zdradzić się ze swoich uczuć ironicznym półuśmiechem lub niedowierzającym spojrzeniem? Więc Josef tym goręcej głośno mu dziękował i wdzięcznymi słowami starał się zatrzeć krzywdę, którą mimo woli wyrządził w swoim sercu prawdomównemu poganiaczowi.

Serdecznie się pożegnali.

Stroskany Josef przysiadł się do Miriam, która spytała:

– Dlaczego pomarszczone jest czoło mojego męża, a spojrzenie jego jest smutne? Na to odrzekł Josef:

– Niedobre słyszałem wieści od poganiacza wielbłądów – i spojrzawszy na Jezusa bawiącego się u kolan Miriam umilkł, albowiem nie chciał przerażać serca niewiasty opowiadaniem o okrucieństwach Archelausa.

– Więc co uczynimy? – ufnie spoczęło na Josefie spojrzenie Miriam.

– Zobaczymy. Przede wszystkim pojedziemy do Bethlehem i tam zasięgniemy jeszcze raz języka o tym wszystkim, co się dzieje w Judei. Niech się żona moja nie martwi. Niech się ułoży do snu i niech do snu ułoży Jezusę, albowiem czeka nas jeszcze długa i żmudna droga – to powiedziawszy wygodnie się wyciągnął i lewą rękę podłożył pod głowę, i zaraz zasnął.

Już było późne popołudnie, gdy Josef się obudził. Miriam stała właśnie u studni i czerpała wodę, a Jezus bawił się w piasku kamieniami, usiłując ułożyć je w jakiś symetryczny kształt tylko dla Niego zrozumiały. Mąż otworzył oczy i wciąż jeszcze zaszczepiony snem, jak przez mgłę śledził wysiłek Dziecka. Co mu się śniło? Z trudem przywołał ze snu jakieś bezkształtne mgławice i bezimienne żywioły, przepływające przez puste przestrzenie, i Postać, która górując nad wszelkim bezkształtem i wszelką bezimiennością, upodabniała się do kogoś mu znanego i bliskiego, a w swej znajomości nieznanego i w swej bliskości dalekiego, do kogoś, kto był rozdawcą podobieństw i tworzył na swoje podobieństwo, ale sam nie był do nikogo podobny i nikt nie mógł być do Niego podobny. Josef zerwał się z posłania. Chwył Dziecko w ramiona i długo wpatrywał się w Jego czarne oczy i rozwichrzoną granatową czuprynę, i mamrotał nieskładnie:

– Jeszua... Jeszua... Czy to ty byłeś?

Malec wodził palcem po jego spoconej twarzy i powtarzał rozbawiony:

– Abba... abba...

Josef postawił Chłopca na ziemi i z trudem opanowawszy się powiedział do Miriam:

– Wrócimy do Nazarethu.

To powiedziawszy, osiodłał osły, a Miriam o nic już nie pytała, albowiem poznała po ruchach Josefa i jego pochylonym czole, że znowu nawiedził go Elohim we śnie, a chociaż pragnęła wiedzieć, co oznaczało pytanie: – Jeszua... Jeszua... Czy to ty byłeś? – nie śmiała jednak zagadnąć o to męża, gdyż nigdy go nie pytała o życie jego snów, których treść, dobrą lub złą, radosną lub smutną, wyczuwała tak, jak ptaki wyczuwają zbliżającą się porę odlotu. Tym razem zrozumiała, że we śnie Josefa działy się sprawy ważne, związane z ich przyszłością i z losem ich ludu, i w oczach jej stanęła Jerozolima i nieposkromiona ziemia judejska o twarzy krzyżującej prorokini, niewiasty najniezwyklejszej spośród wszystkich niewiast, i serce jej poczęło silnie bić, jak wówczas, gdy jadąc do Świątyni na Dzień Oczyszczenia i Wykupu, mijiała stok góry o dziwnym kształcie, pokrytej gęstymi ogrodami.

Ruszyli w drogę. Granicę w Rinokorurze przekroczyli piechotą. Miriam trzymała Jezusa za rękę, a Josef szedł przodem i prowadził osły za uzdę. Gdy stanęli na

ojczystej ziemi, mąż sprawiedliwy zatrzymał się, obejrzał się, a gdy niewiasta z Dzieckiem podeszła bliżej, ukląkł, pochylił głowę i oparty na szeroko rozłożonych rękach, ucałował trzykrotnie Erec Jahwe, Erec Hakodesz – Ziemię Pana, Ziemię Świętą – po czym zaintonował psalm ku chwale Izraela wychodzącego z Micraim i domu Jaakowego wychodzącego od ludu nieskładnej mowy: – Juda jest świętością Elohim – śpiewał Josef ben Jaakow, a wtórowała mu Miriam, klęcząc wraz z Jezusem w gorącym piasku pustynnym – a Izrael Jego narodem. Morze to wszystko widziało i uciekło, a Jordan począł płynąć do źródła. Góry podskakiwały jak barany, a pagórki jak białe jagnięta. Dlaczego uciekasz, o morze, a ty, Jordanie, płyniesz do źródła? Dlaczego skaczeć, o góry, jak barany, a wy, pagórki, jak białe jagnięta? Drżysz, ziemio, przed obliczem Elohim, przed Panem Jaakowa! Albowiem Pan zmienia skałę w jezioro, a krzemień w źródło żywej wody!

Głosy męski i niewieści, zespolone z sobą tym samym uczuciem i pragnieniem, w jednym zgodnym dwuśpiewie płynęły przez pustynię ku dalekiemu horyzontowi. Gorący liliowy blask pozostały po zachodzie słońca, szybko ostygając, zamienił się w szarą smugę, a i ta rozplynęła się w popielatym mroku, w którym trwały bez ruchu trzy postacie z rękoma w zachwycie wzniesionymi do nieba, gdyż również Jezusowi udzieliło się wzruszenie modlących się rodziców.

Na niebie zapłonęły gwiazdy. Z głębi pustynnej nocy ciągnął chłód. Josef i Miriam podnieśli się z kolan, a mąż, widząc, że niewiasta jest zmęczona, wziął na ręce Jezusa. Dosiadłszy osła, usadowił Dziecko przed sobą, przytrzymując Je silnie lewą ręką, a prawą poklepał zwierzę po łopatce.

Ruszyli prosto na północ. Ominęli Judeę i posuwali się brzegiem morza, przez Gazę i Jamnię, i zatoczywszy szeroki łuk – nie chcieli bowiem podróżować przez nieczystą Samarię – przekroczyli Jordan przy ujściu Jaboku, a potem zmierzali już dobrze znanym sobie traktem, aż w trzydziestym dniu podróży, licząc od wyjścia z Matarii, wjechali w dolinę Ezdrelon i ujrzeni z dala lepianki Nazarethu.

– Jesteśmy w domu – rzekł Josef ben Jaakow. – Niechaj Elohim będzie nam miłościwy i błogosławi nam, i rozjaśni nad nami swoje oblicze. Amen.

– Amen – powtórzyła Miriam.

Jezus uniósł się w ramionach Josefa, wyprostował się i patrząc przed siebie, ujrzał po raz pierwszy w życiu miasteczko, według którego miał być nazwany.

Ptaki niebieskie i lilie

Minęły trzy lata od powrotu rodziny do Nazarethu. Czas płynął na przemian spokojnie i niespokojnie. W domu nie zastali już przy życiu Jehojakima i Hany,

którzy zmarli podczas ich pobytu w Micraim. Życie było szare i trudne. Jezus podraślał, Miriam zajmowała się domem, a Josef ciężko pracował, ale niewiele zarabiał na życie; w poszukiwaniu pracy, wetknąwszy wiór za ucho – była to oznaka jego ciesielskiego zawodu – obładowany narzędziami, toporem, piłą, heblem, młotkiem, świdrem i gwoździami, codziennie wczesnym rankiem obchodził miasteczko, a potem wędrował po okolicy, po wsiach i osiedlach, zaglądając nawet niekiedy do Seforis, greckiego miasteczka, położonego w sąsiedztwie Nazarethu. Podczas tych wędrówek, gdy nie znajdował roboty ciesielskiej i stolarskiej – Josef umiał sporządzać jeszcze i pługi, stoły i skrzynie, naprawiać dyszle i ścinać drzewo w lesie – imiał się każdego zajęcia, jakie mu ofiarowano, byleby nie wracać do domu z pustymi rękami, więc jednemu naprawił miedziany garnek, u drugiego popracował kilka godzin w winnicy, u innego przy młóceniu zboża lub w ogrodzie.

Nazareth było miasteczkiem biednym. Wprawdzie otoczone było rozległymi winnicami i sadami, należącymi do bogaczy mieszkających w okolicy, ci jednak posiadali własną służbę, dobrze obznajmioną z różnymi rzemiosłami. W tych warunkach Josef, chociaż był poważany dla dobroci swojego serca, a jako rzemieślnik dla swojej uczciwej pracy, miał nader skromne możliwości zarobkowania i mizerne widoki na przyszłość, o czym dobrze wiedział, lecz nie tracił pogody ducha, gdyż wierzył, że Elohim wprawdzie nie pobłogosławił go majątkiem i dał mu życie trudne i ciężkie, ale mimo to nie pozwoli mu zginąć. I rzeczywiście, zawsze w ostatniej chwili, gdy zdawało się, że w piątkowy wieczór nie będą mieli wina na kidusz i oliwy do szabatowej lampki, zjawiał się ktoś z sąsiadów i prosił go o szybką naprawę stołu lub krzesła, lub skrzyni, za co mąż sprawiedliwy otrzymywał zapłatę, dzięki której mógł odmówić błogosławieństwo nad pełnym kielichem cierpkiego wina w izbie oświetlonej lampką napełnioną po brzegi świeżą oliwą.

Cieśla, który wielokrotnie zastanawiał się wdzięcznym sercem nad tymi drobnymi zdarzeniami – same w sobie nie miały one nic z cudowności, ale niewątpliwie można było w nich znaleźć ślad Bożego rządzenia – nigdy nie łaknął wygód, majątku, bogactw, przepychu, złota, pieniędzy, pereł i winnic. Gdyby je nawet posiadał, nie umiałby powiedzieć, co z nimi zrobi, i chyba rozdałby je biedniejszym od siebie, albowiem wiedział, że są na świecie biedniejsi od niego, a od tych biedniejszych są jeszcze biedniejsi. Ponieważ wierzył, że Elohim, który we wszystkim, co stworzył, zawarł mądrą myśl, stwarzając go na miarę biedaka, chciał go właśnie mieć biednym, więc Josef nie miał zamiaru wzdychać do bogactwa lub choćby do dobrobytu. Tak jak wielu bogaczy Pan obdarzył łaską majątku, tak jego obdarzył łaską biedy, i Josef nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Niewidzialny właśnie jego hojnie

pobłogosławił nadmiarem ubóstwa. Bojąc się grzeszyć zarozumiałością i wynoszeniem nad innych, wolał o pewnych rzeczach nie myśleć i nie wnikać natarczywie w tajemnice Wiekuistego, albowiem wiedział, że pycha biedy jest równie niebezpieczna jak pycha bogactwa. Josef był zawsze głęboko przekonany o potrzebie cierpliwego dźwigania ciężaru życia, ale świadomość ta wzmogła się w nim jeszcze bardziej od czasu przyjścia na świat Jezusa, gdy poczuł się odpowiedzialny wobec nieba i ludzi za Jego los.

O tajemnicy Macierzyństwa nigdy nie ośmielił się rozmawiać z Miriam, a nawet podczas nocnych dumań nie medytował nad tym zdarzeniem, które tak wtopiło się w jego życie i stało się jego niepodzielną częścią, że nieomal uważał je za zjawisko normalne, całkowicie zrozumiałe i nie wymagające żadnych wyjaśnień. Niepokój, który ongi przeżył, wydawał mu się teraz niezrozumiały, a na samą myśl o doznanym wstrząsie rumienił się ze wstydu i codziennie rano i wieczór błagał Pana o przebaczenie mu tej skazy niedomyślności. Nie umiałby dzisiaj nawet wytłumaczyć sobie powodu tego niepokoju, zwłaszcza że Dziecko jeszcze w łonie Miriam wzbudziło w nim samowiedzę ojcowską, która była darem i łaską Wszechpotężnego i Wszechmocnego Elohim. Bóg dał Josefowi trudne życie i dał mu najpiękniejsze niebo nad Galileą, i ziemię rodzącą winnice i zboża, dał mu wschody i zachody słońca, i żywą wodę ze źródła, i dał mu swojego Syna, i kazał zarabiać na chleb codzienny dla Niego i wychować Go, i opiekować się Nim do dnia Jego pełnoletności. Więc Josef czuł się ojcem i strażnikiem Jezusa, jak winogrodnik czuje się ojcem i strażnikiem swojej winnicy, i w każdej modlitwie dziękował Bogu za samowiedzę ojcostwa, ów dar – jego zdaniem – niezasłużony, dzięki któremu był ojcem Jezusa, chociaż nim nie był, i mówił do Niego: – Synu mój – chociaż Dziecko nie było jego synem, i szczyił się przed ludźmi Jego podobieństwem do siebie, chociaż Dziecko nie było do niego podobne, a co najważniejsze, nazywał Je bez uszczerbku dla prawdy potomkiem Dawidowego rodu, albowiem samowiedza ojcostwa jest tak silna i prawomocna jak samo ojcostwo, ojcu daje niezaprzeczone prawo ojcowskie, a syna czyni spadkobiercą rodu i jego praw.

A Dziecko podraastało. Było szczupłe, miało twarz pociągłą i ciemną, włosy czarne, aż prawie granatowe, nieco się wijące, i głębokie oczy, które niekiedy przeczyły dziecięcej twarzyczce i jej uśmiechowi, gdyż były smutne i zamyślane, ale znów innym razem były wesole i beztroskie i dlatego, mimo swej ognistej czerni, w chwilach radości miały w sobie błękit nieba, z czego nie wynika, że były wtedy w istocie błękitne. Ów błękit w Jego oczach widzieli ci, którzy nie umieli pogodzić ich czarnej i zamyślonej głębi z beztroską i radością dziecięcej twarzyczki. Ale jeszcze bardziej zastanawiały ruchy Jezusa. Mamy na myśli spostrzeżenia tych ludzi, którzy

bacznie z dnia na dzień śledzili rozwój Dziecka, zatem Miriam i Josefa, albowiem krewni, sąsiedzi i znajomi niewiele przywiązywali uwagi do zachowania się tego niezwykle żywego Chłopczyka, który jak wszyscy Jego rówieśnicy uganiał po drogach i łąkach, wdrapywał się na drzewa i mury, bawił się w chowanego lub w „kto mnie uderzył” i często wracał do domu z pokrwawionym kolaniem. Otóż gesty i ruchy tego Dziecka były wyjątkowe i inne niż ruchy i gesty dzieci z Jego otoczenia, i należy się jedynie dziwić, że ich wyjątkowość i odrębność nie zostały natychmiast zauważone przez krewnych, sąsiadów i znajomych, a ponieważ oni rzeczywiście nic szczególnego nie dostrzegli w zachowaniu się Jezusa, ten brak spostrzegawczości należy tłumaczyć zrządzeniem Elohim, który prawdopodobnie nie chciał, aby Syn cieśli był zauważony w czasie milczącym. Ruchy i gesty małego Jezusa były niezwykle łagodne i delikatne i posiadały swoją wewnętrzną melodię, niezależnie od tego, czy szedł, czy biegł, stał, bawił się czy usiłował wdrapać się na mur okalający ogród sąsiada, i wykonywane były bez przewycięzania jakiegokolwiek oporu, mimo że Dziecko podlegało tym samym prawom fizycznym co wszystkie dzieci, a więc męczyło się zbytnim uganiem po polach i łąkach, wracało do domu zdyszane i spocone i z radością zażywało spoczynku w cieniu rozłożystego figowca. Jezus, jak wszystkie dzieci w Jego wieku, stawiał drobne kroki, to znów niecierpliwie podskakiwał lub puszczał się przez drogę nagłym biegiem, ale w rytmie Jego kroków była nieuchwytna celowość, jakiś motyw przewodni, i Miriam i Josef, patrząc na królewski krok swojego Syna, odbierali wrażenie, że Malec dokądś uparcie zmierza, nieustannie zmierza, zmierza ku jasno określönemu celowi, który znajduje się u samego końca Jego drogi, poza granicą dostrzegalną okiem i myślą człowieka. Ten dwoisty charakter Jego ruchów i gestów widoczny był zwłaszcza podczas spożywania posiłków, gdy brał do ręki chleb lub kubek z wodą; wydawało się wówczas, że Dziecko, jedząc i pijąc, spełnia tylko funkcję jedzenia i picia, gdyż w ruchach Jego palców przełamujących chleb i w ruchach Jego ust nie było żadnego łaknienia, chęci posiadania jadła, gwałtownego zaspokojenia głodu, z czego nie wynika, by Dziecko nie było głodne i spragnione, bo naprawdę było głodne i spragnione i tylko zespół wysublimowanych ruchów, towarzyszących jedzeniu i picciu, odbierał tym funkcjom ich fizjologiczny charakter.

I tak żyli razem pod jednym dachem w dniach szczęścia i biedy.

Josef każdą wolną chwilę poświęcał Dziecku, mimo że Malec, jak wszystkie dzieci w Izraelu, pozostawał do pięciu lat pod opieką matki, która nauczyła Go Dziesięciorga Przykazań, Szema, Szemone Esre – zmałwał je rano i wieczór pod jej czujnym okiem – opowiadała Mu burzliwe i natchnione dzieje Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, udzielała Mu pierwszych nauk o Elohim i świecie, a gdy ukończył trzy

lata, przyszyła Mu według przepisów Tory do końców Jego tuniki cztery cicith, wełniane frędzle, symbole Bożych przykazań. Zarobiona po łokcie w ciężkiej, codziennej pracy, była opiekunką Dziecka, Jego wychowawczynią i nauczycielką, przygotowywała Mu jedzenie, cerowała dziury w tunice, opatrywała Mu palce, gdy się skaleczył, gotowała, prała i przynosiła wodę, i była dla Jezusa symbolem bezpieczeństwa i domu, który jak każdy dom, biedny czy bogaty, ograniczony jest czterema dobrze znanymi ścianami, tym samym niezmiennym horyzontem i monotonnym trybem życia.

Inaczej zupełnie ułożył się stosunek między Jezusem a ojcem, wędrującym cieślą, który był dla Malca wyobrazicielem szerokiego świata, odległych wsi galilejskich, tajemniczego miasta Seforis, zamieszkanego przez pogan, doliny Ezdrelon i łysych gór Gilboa. Dziecko patrzyło na ojca z podziwem i zaciekawieniem, zwłaszcza gdy wracając do domu z wędrowni przynosił wieści ze świata, nasyczone urokiem dalekiej przygody. Dzięki temu między ojcem a Synem zadzierzgnęła się serdeczna i ścisła więź, mimo pełnej wdzięku nieśmiałości, wzruszającej nieśmiałości, z jaką Josef zawsze odnosił się do Dziecka.

Była wiosna, piękny miesiąc adar. O wschodzie słońca Josef udał się do pobliskiej wsi, gdzie u jednego z bogaczy budował drewniany szałas w winnicy, przeznaczony dla nocnych strażników, a chcąc sprawić przyjemność Jezusowi, wziął Go z sobą i pozwolił Mu, ku wielkiej Jego radości, nieść młotek i gwoździe, i tak szli obładowani narzędziami ścieżką polną, każdy pogrążony w swoich myślach. Chłopiec przejęty ważnością roli, jaką spełniał u boku ojca, ojciec obliczający w milczeniu przysły zarobek, który według jego powierzchownych, ale skromnych obliczeń powinien starczyć na sandały dla Chłopca, przeznaczone na Szabat i święta, i na chustę dla Miriam, a może nawet jeszcze na nową dzieżę do mieszenia ciasta. Po całodzienniej robocie, gdy szałas był już gotowy, właściciel, człowiek bardzo pobożny – a o pobożności jego świadczyły tefilin, które stale nosił na ręce i czole – obliczył zarobek Josefa i wypłacił mu dwa srebrne denary. Było to wynagrodzenie niesprawiedliwe, gdyż należało się cieśli osiem, co wykazał on w dokładnym rachunku nieuczciwemu bogaczowi. Ten jednak, na potwierdzenie swojej słuszności zamasyście gestykulując rękami, tłumaczył cieśli, że praca jego była bardzo niewydajna, gdyż zamiast sklecić szałas z kilku desek przez dzień, ślęczał nad tą robotą przez pięć długich dni. A poza tym – oświadczenie to złożył z miną współczującego dobroczyńcy – nigdy w życiu nie zamyślał budować szałasu, albowiem strażnicy są młodzi, więc mogą spać na gołej ziemi, ale uczynił to jedynie dla dobra Josefa i jego rodziny cierpiącej głód i nędzę – tu położył dłoń na głowie Jezusa, co miało być oznaką serdecznego współczucia i skromnego

błogosławieństwa – i na zakończenie swojej perory uderzył jak gromem argumentem dla cieśli najboleśniej: robota jego była partacka i na pewno nie jest więcej warta niż dwa srebrne denary. Na to Josef, odpowiadając bogaczowi, rzekł:

– Czy Mojżesz – niech imię jego będzie błogosławione – nie powiedział: Nie będziesz niesprawiedliwie gnębił najemnika uciśnionego, czy to będzie brat twój, czy obcy?

I nie czekając na odpowiedź, wziął pieniądze, podziękował, pokłonił się i poszedł.

Było już późne popołudnie. Szli na przełaj polami, przez łąki pełne gladioli i dzikich żółtych lili, i zabłąkanych wśród nich krwawiących sierocych anemonów, potem skręcili na drogę wysadzaną dwoma rzędami strzelistych cyprysów, które wprawdzie niewiele dawały cienia, ale były miłe dla oka. Na z lekka pofalowanych wzgórzach rosły gaje migdałowe. Po drugiej stronie drogi cały stok pokryty był gęsto hiacyntami, które kołysane zachodnim wiatrem przypominały zmęczonemu upałem cieśli rwące, spienione wody waadi. Otarł rękawem spoconą twarz, podkasał tunikę, która obsunęła mu się podczas drogi, poprawił pas i ujawszy Jezusa za rękę piął się po łagodnym zboczu ku oliwnemu gajowi. Gdy osiągnęli szczyt pagórka, z którego już było widać domy Nazarethu, usiedli pod drzewem, cieśla wyjął z torby placek, ułamał z niego mały kawałek, a resztę dał Chłopcu.

– Niech się pożywi syn mój, Jezua – rzekł. I westchnął. Jedli w milczeniu.

– Oszukał mnie – rzekł Josef, który obliczył, że będzie musiał zrezygnować z kupna sandałów dla Jezusa i chusty dla Miriam, i dzieży do mieszenia ciasta.

– A może nie oszukał – dodał przezornie po namyśle – może moja praca była rzeczywiście partacka.

Jezus przestał jeść i spojrział na cieślę. Oczy Chłopca były teraz błękitne jak kwitnące łąny lnu.

– Jeżeli mnie oszukał, niech mu Elohim wybaczy, a mnie niech wybaczy, jeżeli moja praca była partacka. Wydaje mi się, że to, co mówię, jest słuszne i chyba za pomocą tej słuszności znowu będzie ustanowiona równowaga uczuć między mną a bogaczem. Co sądzisz o tym, Jezua?

Pytanie to było skierowane równocześnie do Chłopca i nie do Chłopca, gdyż Josef wypowiedział je przed siebie, z głową nieco podniesioną ku niebu.

– Tylko za co ci kupię nowe sandały na Szabat i Pesach, który już się zbliża i wkrótce radością napelni nasze serca?

Z oczu Jezusa zniknął błękit.

Słońce zachodziło. Od zachodu powiał chłodny wiatr. Nieruchome dzikie lilie, rosące opodal, ożywiły się i zaszumiały pod jego podmuchem, a ptactwo, które zmęczone całodziennym upałem drzemało w gałęziach figowców, drzew

migdałowych i w wysokich łąkach jęczmienia, teraz z nagłym trzepotem poderwało się i ćwierkając krążyło nad ziemią, i ćwierkaniem swoim wielbiło chłód i ciszę wieczoru.

– Nie smuć się, abba – rzekł Jezus. – Czy widzisz ptaki niebieskie latające nad ziemią i lilie dziko rosnące w dolinie?

– Cóż z tego, Jezu, synu mój? – spytał Josef. – Czy potrafię z lilii i ptaków uszyć dla ciebie sandały na Szabat i Pesach?

Jezus nie odpowiedział. Cieśla ujął Go za rękę i chciał posadzić na swoich kolanach, ale spojrzawszy na Chłopca, ujrzał w Jego oczach niezgłębioną głębię.

I wypuścił ze swej dłoni dłoń Syna, albowiem uląkł się tej głębi.

Wielki egzamin

Jezus powoli odkrywał ludzi i świat, który stawał się dla Niego coraz większy, szerszy i głębszy, i wypełniając się Jego dziecięcymi pragnieniami, niepokojami, tęsknotami, zadziwiał Chłopca swoim pięknem, radością, smutkiem i troską. Ale owa podróż odkrywczą, odbywającą się w głąb otaczającego Go życia, zamkniętego wzgórzami Galilei i błękitnym niebem, nie była w pełni wyprawą w nieznaną, albowiem Chłopiec w rzeczywistości odkrywał świat już dobrze sobie znany od prapoczątku jego istnienia. Tym razem poznawał go od strony swojego człowieczeństwa, co samo w sobie nawet dla takiej psychiki jak Jezusa było przeżyciem niezwykle emocjonującym, gdyż wprowadzie wszechobecność jest równoznaczna z wszechpoznaniem, jednak inne jest spojrzenie z wysokości do głębin, a inne spojrzenie z głębin do wysokości, zwłaszcza jeżeli pierwsze jest spojrzeniem Elohim, a drugie spojrzeniem Człowieka, a razem są jednym i tym samym spojrzeniem. Mały Jezus, patrząc zatem na świat, poznawał go swoim wszechpoznaniem i odkrywał go swoją wszechobecnością, albowiem ograniczył się, czyli rozprzestrzenił do rozmiarów człowieczego wcielenia, dzięki czemu był małym nazarethańskim chłopcem, nie wtajemniczonym jeszcze w święte Prawo i uganiającym po rynku ze swoimi rówieśnikami, i bawiącym się z nimi w klasy lub w wesele i pogrzeb, która to zabawa cieszyła się wielkim powodzeniem w świecie izraelskich dzieci, wiedzących już od dzieciństwa, że całe życie ludzkie jest żmudnym krążeniem między radością a żałobą.

Pewnego piątkowego wieczoru deszczowego miesiąca marcheszwan, gdy ziemia i ludzie po upalnym lecie z ulgą wchłaniali w siebie orzeźwiający powiew płynący od morza, a dostojna królowa Szabat zasiadła w otoczeniu Ciszy i Spokoju przy stołach w domach Izraela – była to królowa piękniejsza od Bathszeby i Sulamith, cała

w szmaragdach i złocie, w perłach i brylantach – Josef, po odśpiewaniu pieśni wielbiących jej urodę i wdzięk, kręcąc z namysłem dokoła palca koniec swojej brody, co oznaczało, że wypowie za chwilę słowa wielkiej wagi, tak przemówił do Miriam i Jezusa:

– Syn mój, Jeszua – oby dożył wieku Abrahama – kończy piąty rok życia i powinien, wzorem swoich praojców, rozpocząć naukę Tory, którą Elohim nadał narodowi wybranemu ku Jego wiecznej chwale. Wydaje mi się, że nastał czas nauki i poznania świętej Mądrości, która wypowiadając słowa słuszne i sprawiedliwe, odrzuca wszystko, co jest obłudne i przewrotne, a jej poznanie i przestrogi są cenniejsze niż srebro, niż korale, i żadnych klejnotów nie można z nią porównać. Błogosławiony człowiek, który jej słucha i codziennie czuwa u jej drzwi, i strzeże progów jej bram, albowiem kto ją znajdzie – tu Josef spojrział na Miriam – znajdzie żywot i otrzyma łaskę od Pana, a kto jej unika, krzywdzi duszę swoją – teraz skierował spojrzenie na Jezusa i dodał: – Nauka matki twojej jest pięknym wieńcem dla twojej głowy, a dla szyi twojej jest drogocennym łańcuchem.

Wrażenie tego przemówienia było bardzo wielkie. Miriam zrozumiała, że Jezus z dniem dzisiejszym przechodzi pod opiekę ojcowską, a ona, niewiasta cienia, ongi ocieniona przez Pana, musi usunąć się w cień i zrobić miejsce Josefowi, który kierować będzie wychowaniem Chłopca, i nie ma już na to rady, gdyż takie jest błogosławione prawo matki, prawo nieustannego usuwania się w cień i życia w cieniu Syna, we wciąż widocznej nieobecności. Opuściła głowę i znalazła się poza zasięgiem światła padającego z wątlej lampki oliwnej, i była dosłownie i przenośnie tak bardzo pograżona w cieniu, że ani Jezus, ani Josef nie widzieli łez, które spływały po jej młodej, lecz zmęczonej twarzy i kapały na dłonie splecione bezradnie na kolanach.

Josef, zwróciwszy się do Chłopca, rzekł:

– Zanim jednak zaprowadzę syna mojego, Jeszue, do beth hasefer, w którym zapozna się z nauką Tory i nauczy się czytać i rozumieć Pięcioksiąg i Księgi Proroków, chciałbym z jego ust usłyszeć to, czego nauczyła go jego matka. Więc niech mi opowie, rozumie się w dużym skrócie, dzieje Abrahama, a potem odmówi Szema, Dziesięcioro Przykazań i Szemone Esre, które wprowadzie z ust jego już wielokrotnie słyszałem, ale chciałbym jeszcze raz usłyszeć uchem wyczulonym na słyszenie każdego słowa z osobna i wszystkich słów razem, aby się przekonać, czy pamięć ma dobrą, czy nie opuszcza słów i zdań i czy umie mądrość zawartą w świętych wyrazach oddać stosownym głosem, śpiewnym i błagalnym, nie za miękkim, bo miękki głos jest jak puste zawodzenie, i nie za twardym, bo twardy brzmi jak uderzenie żelaza o żelazo, a z ust modlących się do Elohim powinny

płynąć słowa jasne i czyste jak złoto trzykroć pławione.

To powiedziawszy Josef zerknął w stronę Miriam, ale ponieważ siedziała w cieniu z wciąż opuszczoną głową, nie mógł stwierdzić, jakie wrażenie uczyniło na niej jego przemówienie, które właściwie było wypowiedziane wyłącznie z myślą o niej. Cieśla, widząc bowiem, że decyzja wysłania Chłopca do szkoły i Jego przejście pod opiekę ojcowską głęboko wstrząsnęły niewiastą, postanowił przesłuchać Jezusa, by u progu Jego nowego życia złożyć hołd matce, która mimo zajęć domowych i nieustannego borykania się z biedą umiała Go wychować i nauczyć modlitw i przykazań. Poza tym nie mógł odmówić sobie przyjemności wysłuchania po nie wiadomo który raz modlitw i opowiadania Dziecka, albowiem sposób, w jaki Ono się modliło i opowiadało, niezależnie od treści i kształtu słów, budził w cieśli podniosłość ducha, napępiał go natchnioną tkliwością i przenosił w sfery odległe, skąd z niechęcią, i z trudem wracał na ziemię. Łącząc zatem chęć złożenia czołobitności matce, przebywającej w cieniu, z żarliwą chęcią usłyszenia modlitewnego głosu Syna, zwrócił się zarówno do Niego, jak i do matki i rzekł:

– Niech Jezua, syn mój, zacznie mówić.

Jezus podniósł się z krzesła, stanął na środku izby – płomyk lampy oliwnej padał na Jego szczupłą, śniadą twarz – i począł spokojnym głosem wywoływać z odległej przeszłości pobożne dzieje Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, ale czynił to tak, jakby opowiadał fragment swoich własnych dziejów, sprawiedliwie podzielonych między patriarchów, a wrażenie to wzmogło się przy nieudanym z łaski Elohim ofiarowaniu Jicchaka, gdy syn i ojciec stali się jednością, i to tak ściśłą i nierozzerwalną, że śmiało można rzec, iż ojciec, ofiarowując syna, ofiarowywał samego siebie. Jezus, opowiadając te dzieje, trzymał się wiernie tekstu Księgi Bereszit, niczego od siebie nie wyjaśniał i niczego od siebie nie dodawał, i tylko żarliwością swojej wypowiedzi wywołał wrażenie nierozzerwalnego związku wspólnej ofiary. Potem, po pośrednictwie anielskim, zniżywszy głos, z ulgą opowiedział o drodze powrotnej Abrahama i Jicchaka do domowego namiotu, ale równocześnie dał do zrozumienia obojgu słuchaczom w niewyraźalny słowami sposób – może za pomocą pochylenia głowy, może za pomocą rozkrzyżowania ramion – że niepowodzenie tej ofiary, zresztą z góry przez Elohim przewidziane, jest tylko wstępem do następnej i głównej ofiary, ale już udanej i uwieńczonej tragiczno-błogosławnym skutkiem.

Zapadła cisza.

Miriam wciąż siedziała w cieniu, niewidoczna, a cień począł ogarniać również Josefa i Jezusa, a wraz z tym przybierającym cieniem czuli w sercach swoich rosnącą boleść ukojenia i trwogę przed tą boleścią, i trwogę przed tym ukojeniem, albowiem boleść i ukojenie stały się synonimem tego samego uczucia. Wtedy Jezus

wypowiedział Szema i Dziesięcioro Przykazań i nie czekając na znak Josefa, przeszedł natychmiast do Szemone Esre, a uczynił to prawdopodobnie po to, by związać w jedną całość ofiarę Abrahama, płonące rogi na głowie proroka Mojżesza i życie wieczne, i zwróciwszy twarz ku Jerozolimie, szeptał:

– Bądź pochwalony, Wiekuisty Boże nasz i Boże naszych ojców, Boże Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Panie wielki, potężny i pełen majestatu, Panie najwyższy, który świadczysz zbawienne łaski i władcą jesteś wszystkiego, który pamiętasz o miłości ojców i sprowadzisz Zbawiciela dla dzieci ich dzieci, dla Imienia Twojego w miłości. Królu, Podporo, Zbawicielu i Tarczo. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Tarczo Abrahama. Potężny jesteś po wieczny czas, Panie. Ożywiasz zmarłych i niewyczerpany jesteś w zbawieniu. Żywych darzysz łaską, ożywiasz zmarłych w nieskończonym miłosierdziu, podnosisz upadłych, leczysz chorych, uwalniasz związanych i dotrzymujesz swej wierności śpiącym w prochu. Kto jak Ty jest Panem potężnym i kto Tobie dorównuje, Królu, który uśmiercasz i ożywiasz, i każesz kwitnąć zbawieniu? Kto jak Ty jest Ojcem Miłosierdzia, który w Miłosierdziu pamięta o życiu swoich stworzeń? A sprawiedliwy jesteś, gdyż ożywiasz zmarłych. Bądź pochwalony, Wiekuisty, który ożywiasz zmarłych. Jesteś święty, a Imię Twoje jest święte, a święci chwalą Cię codziennie...

Tu urwał.

Josef, który przez cały czas modlitwy miał zamknięte oczy i rozkoszował się każdym słowem Syna, teraz idąc śladami Abrahama i proroka Mojżesza, Ofiary i Prawa, znalazł się w przedsionku szczęścia, u wrót radosnego szeolu, śmierci przewyciężonej, przy źródle żywej wody, ożywiającej umarłych, gdyż słowa wypowiedziane przez Dziecko zdały mu się kamieniami grobowymi, odwalonymi ręką Elohim.

Łzy obeschły na twarzy Miriam. Wstała i podszedłszy do Jezusa, ujęła dłoń Jego i włożyła ją w otwartą dłoń męża na znak poddańczej zgody na przejście Syna pod opiekę ojca. I wróciła na swoje miejsce w cieniu.

Chleb nad chlebami

Beth hakneseth, dom modlitwy, zbudowany z ciosanego kamienia przez jednego z nieżyjących już bogaczy, wznosił się na samym dnie doliny, w pobliżu źródła, skąd niewiasty nazarethańskie czerpały wodę, i należał do najpiękniejszych budowli w miasteczku, z czego nie wynika, by był naprawdę wzniosłym dziełem architektury. Mówiąc o jego pięknie, chcieliśmy przez to powiedzieć, że na tle lepierek i jaskiń, zamienionych na izby mieszkalne, dom modlitwy na pewno

wyróżniał się godnym wyglądem estetycznym, zwłaszcza że był stawiany z kamienia, i to nie byle jakiego, bo z judejskiego piaskowca. Po śmierci bogacza na biedne miasteczko spadł całkowity obowiązek utrzymania beth hakneseth, a ponieważ datki składane na ten cel nie były duże – przecież nie mogły być duże, skoro mieszkańcy byli biedakami i z trudem wiązali koniec z końcem, a bogacze, właściciele okolicznych winnic, wymawiali się od pieniężnej pomocy, tłumacząc się rosnącym kryzysem rolnym i pomocą udzielaną synagodom w innych miejscowościach – dom modlitwy powoli się rozpadał, a nazarethańcy, patrząc na resztki dawnej jego świetności, kiwali głowami i słusznie mniemali, że gdyby ich dobroczyńca postawił mniej okazały przybytek na chwałę Pana, im, biedakom i nędzarzom, robotnikom i rzemieślnikom, łatwiej byłoby go utrzymać w ubogiej i skromnej wspaniałości. Schody były zniszczone, nadgryzione przez czas i wytarte ludzkimi stopami, rynny uszkodzone, więc potworzyły się na murach zielone i brązowe zacieki, a płaski dach, nieustannie pękający od skwaru i deszczu, również przepuszczał wodę. Wewnątrz, ściany pokryte ongi malowidłami wyobrażającymi kwiaty, palmy i świecznik siedmioramienny, teraz łuszczyły się i opadał z nich tynk. Mieszkańcy miasteczka naprawiali synagogę według swoich niezasobnych możliwości, nakładali tynk, łatali płaski dach i kamienne rynny, Josef sklejał i zbijał krzesła i ławki, a nawet raz, otrzymawszy na ten cel drzewo od jakiegoś dobroczyńcy, pragnącego za trochę drzewa kupić sobie łaskę Pana, sporządził nową balustradę dokoła bimah, trybuny, z której odczytywano Pismo Święte. Ale jakkolwiek synagoga w Nazarecie w swoim obecnym stanie była już tylko cieniem swojej dawnej wspaniałości, mieszkańcy modlili się w niej gorąco i żarliwie, i gdyby spytać nazarethańczyka, jaki jest najpiękniejszy beth hakneseth w całej Galilei, bez zająknięcia odpowiedziałby, że jest nim dom modlitwy w Nazarecie. Często się bowiem zdarza, że dla ludzi piękne nie jest to, co jest piękne, ale to, co chcą, aby było piękne, a mieszkańcy chcieli, żeby ich beth hakneseth był najpiękniejszą synagogą w całej Galilei, i tę ambicję, która nie ma nic wspólnego z pychą czy ślepotą – wiedzieli bowiem dobrze, że tak nie jest – należy jedynie pochwalić, gdyż chodzi przecież o Dom Boży, o Dom Pokoju, Beth Szalom, w którym znajdowała się święta szafa, aron hakodesz, a w niej królowały pod opieką Oka Bożego zwoje Pisma Świętego, owinięte w kosztowne płótna.

W jesienny poranek Josef i Syn wstąpili w progi Domu Pokoju i udali się do dużej, sklepionej sali, gdzie stały ławki i krzesła dla mężczyzn. Balkon przeznaczony był dla modlących się kobiet. W świętej szafie, zasłoniętej kotarą – parochet – pięknie haftowaną w różnokolorowe kwiaty i sześcioramienne gwiazdy – cieśla z nieukrywaną dumą patrzył na tę zasłonę, gdyż była ona dziełem Miriam – mieściły

się zwoje Pisma Świętego. Przed szafą paliła się wieczna lampka oliwna i Josef pomyślał, że i on ma swój ubogi udział w dostarczaniu oliwy do lampki przed przybytkiem Wiekuistego, często nawet kosztem oświetlenia własnej izby, i radował się, że są dnie i noce, gdy lampka wypełniona jego oliwą oświetla święty aron zasłonięty kotarą wykonaną rękami Miriam, a anioł Wiekuistego zanurza się równocześnie w świetle jego oliwy i w kwiatach haftowanych przez jego żonę. Gdy przechodzili obok bimah, mieszczącej się w środku izby, cieśla zwrócił się do Jezusa i powiedział szeptem, aby nie spłoszyć cherubinów i serafinów krążących po beth hakneseth:

– Może Elohim – niech będzie błogosławione Jego Imię na niebie i na ziemi – pozwoli mi dożyć tej chwili, gdy mój syn Jeshua stanie na tej bimah i będzie czytał z ksiąg świętych, i wyjaśniał ich słowa przed obliczem Pana i tych wszystkich uczonych w Piśmie, którzy zasiądą w pierwszych rzędach synagogi, i słuchając słów mojego syna, smakować będą jego słowa, tak jak się smakuje plaster miodu lub najprzedniejsze wino.

Josef i Syn wyszli na dziedziniec i skierowali się na prawo, do przestronnej izby, gdzie na ziemi, na starym, wystrzępionym dywanie, którego kolory już dawno spłówiały, siedziało na podwiniętych nogach kilkanaścioro dzieci w wieku Jezusa dokoła chazana siedzącego w samym środku koła.

– Pokój temu domowi – rzekł Josef.

– Pokój temu domowi – powtórzył Jezus.

– Pokój wam – odpowiedział chazan.

– Pokój wam – powtórzyły chórem dzieci i wlepiły wzrok w Jezusa, który rozpoznał wśród nich swoich przyjaciół i znajomych, i braci ciotecznych, Jaakowa, Josefa, Symeona i Jehudę, współuczestników zabaw i psot na rynku i w ogrodach, a patrząc na ich poważne i skupione twarze, natychmiast wyrobił sobie zdanie o sprężystości chazana i stosowanej przez niego dyscyplinie.

– Oto mój syn – rzekł Josef. I wyszedł.

Chazan, wysoki, chudy mężczyzna o wydatnym nosie i wysokim czole, cienkich wargach i ascetycznej twarzy, okolonej brodą i pieczołowicie trefionymi kędziorami, podniósł się z ziemi, ujął Jezusa za rękę i posadziwszy Go obok Jego krewnych, rzekł:

– Jeshua ben Josef tutaj będzie stale siedział, między swoimi krewnymi, i twarz będzie miał poważną, i uszy mieć będzie ku słuchaniu tego, co mówię, i oczy mieć będzie ku czytaniu tego, co przeczyta, i nie będzie szturchał swojego sąsiada, i nie będzie myślał o zabawach i słodkich figach, o psotach i podskokach, i o niczym innym nie będzie myślał jak tylko o Torze. Czy Jeshua ben Josef zrozumiał, co do

niego powiedziałem?

– Chazan powiedział – odparł Jezus i usiadł na ziemi, nogi podwinąwszy pod siebie. Był bardzo rad, że siedział odwrócony plecami do światła wpadającego przez otwarte drzwi, za którymi widać było błękitne niebo i drzewa figowe, przywodzące Mu na myśl zielono-rumiane soczyste owoce i zabawy, i psoty, i podskoki, z taką pogardą potępiane przez chudego chazana.

Nauczyciel usiadł na ziemi, również podwinął pod siebie nogi i podniósł do góry palec na znak, że rozpoczyna się nauka. Ale po kilku jego słowach Jezus zmiarkował, że nie jest to jeszcze właściwa nauka, lecz tylko wstęp do niej, coś w rodzaju mowy inauguracyjnej. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że było to przemówienie długie, rozwlekłe, od którego łatwo się zasypia. O, nie. W kilku krótkich zdaniach chazan scharakteryzował swój sposób nauczania – zresztą w niczym nie odbiegający od powszechnie przyjętego systemu – a potem rzucił kilka myśli, które wypowiedziane z dużą swadą i umiejętnie modulowanym głosem, uczyniły duże wrażenie na Jezusie. Nie sposób ustalić, czy równie duże wrażenie uczyniły na innych chłopcach, gdyż twarze ich, nie wyłączając Jaakowa i Jehudy, synów Halfiego i Mariamne, krewnej Miriam – chłopców z natury żywych i inteligentnych – były nieruchome i obojętne, co mogło być skutkiem przelotnego zmęczenia lub chwilowej senności. Ale na twarzy Jezusa wyraźnie widać było głęboką i napiętą uwagę i pewien rodzaj serdecznej, ale dyskretnej aprobaty dla wywodów chazana, który natychmiast to zauważył i dlatego mówiąc, zwracał się do Syna cieśli, a nie, jak to czynił na początku swojego przemówienia, do wszystkich uczniów.

– Pamięć jest ważną rzeczą – zaczął chazan i podniósł głowę – a kto z was zapomni, nie jest wart, że się uczy na pamięć, albowiem zapominanie słowa Bożego jest grzechem śmiertelnym, a pamiętanie dobrym uczynkiem i źródłem szczęścia. Walczcie z pokusą zapominania, jak walczycie z pokusą zła, i ćwiczcie pamięć waszą, jak ćwiczycie nogi i ręce. Słowo Boże powinno być w pamięci waszej wypisane jak na kamiennej tablicy, gdyż mądry człowiek mówi słowo Boże z pamięci, a nie sięga za każdym razem do świętych zwojów, bo świętych zwojów nie możecie brać z sobą w drogę i nie możecie ich dźwigać w czasie podróży ani sięgnąć do nich na pustyni, ani czytać ich na osle, ani na wielbłądzie, ani na koniu, ani – nie daj Boże – leżąc w trwodze na dnie pustej przepaści, dlatego pamięć wasza powinna być jak zwój pergaminowy i jak tablica kamienna zapisana rylcem biegłego pisarza. Dobry uczeń jest jak cysterna – tu wykonał palcem ruch, jakby wiercił dziurę w powietrzu, a wymowa tego gestu stała się dopiero jasna, gdy wypowiedział drugą część porównania – jak cysterna, z której nie wycieka ani jedna kropla wody. – Tu odsapnął, a po chwili ciągnął dalej, ale jego głos, przedtem gwałtowny, teraz stał się

umiarkowanie cichy, głęboki, miękki: – Jeżeli posiadziecie wiedzę, posiadziecie wszystko, a jeżeli nie posiadziecie wiedzy, nie posiadziecie niczego. Jesteście tylko tym, co posiadacie w głowie i sercu. Pamiętajcie, że poganin, który zna słowo Pańskie, jest równy arcykapłanowi, a syn Izraela – tu znowu gwałtownie podniósł głos – który nie zna słowa Pańskiego, jest jak zwierzę nieczyste. Natomiast Tora jest jak chleb, a wy powinniście być utuczeni tym chlebem i zawsze nim niesyci, i wciąż powinniście nim się tuczyć, tuczyć nieustannie aż do przesyty, który powinien być znowu początkiem głodu i tuczenia, a ucząc się i tucząc, musicie pamiętać, że między słowem Bożym a chlebem jest wiele wspólnego, jest bardzo wiele wspólnego, a może nawet wszystko jest wspólne i dlatego wciąż można porównywać słowo Boże do chleba, a chleb do słowa Bożego, i że nie ma końca tym pięknym porównaniom, najpiękniejszym ze wszystkich porównań, albowiem słowo Boże jest chlebem nad chlebami.

Umilkł i czekał, mrugając oczami, ale nie wiadomo było, co to mruganie oznacza. I czekał. A czekając utkwiał wzrok w Jezusie, w którym upatrzył sobie swojego wybranego ucznia – zachwycił się Nim, Jego sposobem słuchania i patrzenia i nazwał Go pieszczotliwie w myśli małym rabbim – i tak czekając, dawał czas Chłopcu na przetrwanie tego, co powiedział, a gdy mu się zdawało, że wypowiedziane przez niego słowa głęboko przeniknęły do Jego duszy, podniósł do góry obie ręce, rozłożył je szeroko, zamknął oczy i kołysząc głową, począł recytować słowa Księgi Bereszit:

– Bereszit bara Elohim et haszamajim weet haarec. Wehaarec hajeta tohu wabohu wechoszek al-pne tehom weruach Elohim merachefet al-pne hamajim...

Teraz otworzył oczy, opuścił ręce i przestał kołysać głową, i tonem rzeczowym, powiedzielibyśmy: przedmiotowo-sprawozdawczym, począł tłumaczyć słowo po słowie na język aramejski, który w owym czasie był językiem powszednim synów Izraela. W przekładzie kładł główny nacisk na treść i myśl, jakby z góry rezygnował z możliwości oddania w nieświętej i Nieliturgicznej mowie piękna oryginału, ale mimo to przez oschłą dosłowność i rzeczową ścisłość przebijało jak słońce przez kratę nieskazitelne piękno objawionego słowa.

– Na początku – tłumaczył chazan – Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była chaosem i bezładem, a ciemność była nad wzburzoną przepaścią, a Duch Boży unosił się nad obliczem wód...

I znów chazan począł recytować słowo po słowie po hebrajsku, a potem znów w przekładzie aramejskim, a dzieci powtarzały każde słowo z osobna po hebrajsku i aramejsku, i trwało to monotonne powtarzanie przez kilka godzin, a gdy słońce stało już wysoko na niebie, dzieci wprawdzie znały na pamięć pierwsze wersety

pieśni o stworzeniu świata, ale mimo to wciąż nieustannie je powtarzały, a Jezus, powtarzając słowa hebrajskie i słowa aramejskie, powtarzał to, co zawsze znał, i tłumaczył to, co zawsze rozumiał, albowiem przez nieubłagane powtarzanie i wierne tłumaczenie był małym, pięcioletnim chłopcem, rozwijającym się według praw rządzących naturą, a ten Jego rozwój nie był złudzeniem, lecz prawdą, co pozostanie wieczną tajemnicą dla tych, którzy po to powtarzają, by wiedzieć, i tłumaczą po to, by rozumieć.

Już mrok począł zapadać, gdy chazan pożegnał uczniów i nakazał im pod karą pręgierza, różgi i pozbawienia przez trzy dni możliwości pobierania nauki zjawić się nazajutrz punktualnie w szkole, skoro tylko słońce wzniesie się nad wierzchołkiem Taboru.

Jezus, wróciwszy do domu, chciał się podzielić z rodzicami swoimi wrażeniami z pierwszej lekcji w beth hasefer, ale cieśla był u sąsiadów, a Miriam zajęta była gospodarską pracą. Właśnie rozcierała na drobne okruchy zasuszony zakwas, pozostały z poprzedniego pieczenia, mieszała go w dzieży z jęczmienną mąką i dolewając wody, ugniatała ciasto. Jezus przystanął z boku, a matka, widząc, że ją Syn obserwuje, spytała, nie przerywając pracy:

– Co powie Jezua o beth hasefer? Czy był grzeczny? Czy słuchał uważnie?

Ale Jezus milczał, gdyż patrząc na matczyną pracę, przypomniał sobie słowa chazana o chlebie nad chlebami.

Małe zdarzenia

Czas płynął.

W małej mieścinie galilejskiej czas tak samo płynął jak w Jerozolimie, Tyberiadzie czy Cezarei, różnica polegała jedynie na wymiarach spostrzeżeń i przeżyć, a ich ważność i małoważność ustalał Elohim. Dlatego małe i maleńkie zdarzenia rozgrywające się w owym czasie w małym, biednym domu w Nazarecie, może już nawet ledwo dostrzegalne dla człowieka mieszkającego w sąsiednim domu, okazały się bardziej ważne dla ludzkości niż wielkie wypadki historyczne, dziejące się na szerokim świecie. A jeżeli dzisiaj z baczną uwagą śledzimy ówczesne zmiany na tronie judejskim lub arcykapłańskim, czynimy to przede wszystkim w związku z pozornie mało ważnymi zdarzeniami, dziejącymi się pod dachem owego biednego domu, o którym nic jeszcze nie wiedzą władze rzymskie i nic nie wie arcykapłan w Jerozolimie. I również nic jeszcze nie wiedzą o czasie przybierającym, który wielkim zdarzeniom odbiera ich fałszywą wielkość, małym pozorną małość, wielkie czyni małymi, małe wielkimi, zgubioną drachmę w domu Josefa i Miriam wywyższa

do rozmiarów wiekuistego symbolu, a śmierć króla poniża do nic nie znaczącego epizodu. Dni monotennie płynęły.

Josef pracował, sporządzał jarzma i pługi, karczował las, a gdy pracy nie było w Nazarecie, wędrował swoim zwyczajem po okolicy, wracał zmęczony do domu i po trudnym dniu kładł się wcześniej spać, i spał twardym i dobrze zasłużonym snem. Jego plecy i mięśnie wciąż były mocne. Tylko od czasu do czasu czuł w piersiach duszności, ale lekceważył je, gdyż mijały szybko i bez śladu.

Miriam była piękna i smukła i mimo postępujących powoli lat zachowała swój dziewczęcy wdzięk i lekki krok, i pogodny spokój w niebieskich oczach, w których wprawdzie często malowało się zmęczenie, ale ono jeszcze bardziej pogłębiało piękno jej spojrzenia.

Jezus pilnie uczęszczał do beth hasefer i robił duże postępy w nauce ku wielkiemu zadowoleniu chazana, a zazdrości ciotecznych braci i niektórych przyjaciół – tylko Jaakow i Jehuda patrzyli na Niego z przychylnym podziwem – biegle czytał i pisał po hebrajsku i aramejsku, znał cały Pięcioksiąg i już umiał na pamięć Psalm i Księgi Jesai.

Pewnego dnia przybył do Nazarethu stary farbiarz sukna, który przed wielu laty wywędrował stąd za chlebem, a teraz na starość wrócił do rodzinnego miasta. Starzec ów, uczony w Piśmie Świętym i bogaty w doświadczenie – przez dwadzieścia lat mieszkał w Małej Azji, w Cylicji – zainteresował się Jezusem i poznawszy się na Jego zdolnościach, począł Go uczyć języka greckiego, słusznie uważając, że ten nad wiek duchowo rozwinięty Chłopiec – w przyszłości wyrośnie na pewno na wielkiego uczonego – powinien znać ów język, wprawdzie pogański, ale którym na szerokim świecie mówią wszyscy mędrcy i doktorzy, uczeni i poeci. Jezus i farbiarz siedzieli więc na ziemi, starzec trzcina rysował litery greckie na piasku, głośno i wyraźnie je wymawiał, a Chłopiec je powtarzał, a potem z liter układali słowa, a ze słów zdania, ku wielkiej uciechu Ucznia, którego bawiło, że po grecku, w przeciwieństwie do hebrajskiego i aramejskiego, pisze się od strony lewej ku prawej. Starzec natychmiast wyjaśnił tę nadzwyczajność jednym zdaniem, brzmiącym nieco pogardliwie, mimo niewątpliwego szacunku, jaki okazywał dla piękna mowy greckiej: – Niech Jezua ben Josef pamięta, że jest to język pogan. – Farbiarz w wieczornych rozmowach prowadzonych z Josefem wynosił pod niebiosa zdolności Jezusa i radził cieśli posłać Syna, gdy skończy trzynaście lat, do beth hamidraszu do Jerozolimy, gdzie nauk udziela wielki uczoney Gamaliel – oby dożył wieku Abrahama! – wnuk bogobojnego mędrca, rabbiiego Hillela, starca nieomal stuletniego, umiłowanego przez Pana. Chłopiec – zdaniem farbiarza – powinien się kształcić, kształcić i jeszcze raz kształcić, a jeżeli będzie się kształcił, wyrośnie na

drugiego Hillela lub Gamaliela, a może wyrośnie jeszcze wyżej, gdyż łaska Elohim nie ma granic, a wiadomo, że z najmniejszego ziarenka wyrastają niebotyczne cedry. Josef poszedł po radę do chazana, ale ten z wyraźnym niezadowoleniem przyjął wiadomość o nauce języka greckiego u farbiarza. Kręcąc gwałtownie kędziory i mrugając oczami, tłumaczył Josefowi, że wprawdzie język grecki może się przydać Chłopcowi, ale kto wie, czego ów am haarec – tak nazwał farbiarza – podczas owych lekcji uczy Jezusa. Wprawdzie Chłopiec dzięki swojej mądrości już dziś umie odróżnić ziarno od plew, jednak należy być ostrożnym i dmuchać na zimne. Wreszcie długo klucząc i kołując – Josef wyczuł, że chazan jest zazdrosny o starca, gdyż chciał być wyłącznym nauczycielem Jezusa – wyraził zgodę na wyjazd Chłopca na dalszą naukę do Jerozolimy, a co do nauczyciela języka greckiego, był nawet skłonny przyznać mu pewną wnikliwość umysłu, skoro tak szybko poznał się na zdolnościach Chłopca.

Ale zgoda chazana nie rozwiązywała trudności dalszej edukacji Jezusa. Josef gryzł się i martwił, patrząc na Syna wracającego do domu po całodziennej ciężkiej pracy. Chciał Go posłać do rabiego Gamaliela, ale nie miał na ten cel pieniędzy. Wprawdzie wielu mędrców w Izraelu, a między nimi Hillel i rabbi Szamaj, utrzymywało się przez długi czas z rzemiosła – rzemiosło w Izraelu było zawodem szlachetnym i niejeden z natchnionych myślicieli był drwalem, szewcem, kowalem, garncarzem, piekarzem – więc i Jezus, którego mąż sprawiedliwy nauczył ciesielstwa, mógłby rzemiosłem zarobić na życie w Jerozolimie – ale cóż mógł biedny Josef na to poradzić, że Chłopiec, nie czując powołania do tego pięknego zawodu, wolał pracować przy zbiorach winogron, w ogrodzie, przy żniwach lub wypasać owce. Upodobał sobie zawód najemnika rolnego, który niestety w owym czasie był w powszechnej pogardzie – może właśnie dlatego Jezus wybrał sobie ten zawód – a robotnicy pracujący na roli za dziennym wynagrodzeniem uważani byli przez ogół za am haareców, prostaków i nieuków. Widome znaki owego gorącego zamiłowania Jezusa do pracy na roli i pasterstwa znajdujemy w późniejszych Jego przypowieściach i mowach, w których posługiwał się porównaniami zaczerpniętymi nie z dziedziny ciesielstwa, lecz z życia ogrodników, rolników i pasterzy, co świadczy, że pracował na roli i wypasał owce, albowiem każdy człowiek w swoich wypowiedziach posługuje się sumą doświadczeń nabytych w pracy i kształtuje swoje słownictwo według swojego zawodu. I dlatego potem, ilekroć przemawiał do uczniów, pracę ich porównywał, jak przystało na doświadczonego robotnika rolnego, do pracy robotników rolnych, chociaż mógłby z równą łatwością i celnością, gdyby zajmował się za młodu ciesielstwem, i z tej dziedziny czerpać piękne, głębokie i przekonujące porównania. Fakty te niewątpliwie przeczuwał i widział w swej

czujnej wyobraźni Johanan ben Zecharia, skoro porównał Mocnego do robotnika rolnego z wiejadłem w ręce, oczyszczającego boisko i zbierającego pszenicę do swojego spichrza, i były one na pewno znane najbliższym uczniom i wyznawcom Jezusa, skoro po Jego Zmartwychwstaniu Mariamne z Magdali ujrzała Go w stroju ogrodnika, a nie cieśli z wiórem za uchem. Ale nie wyprzedzajmy wypadków, które jakkolwiek są powszechnie znane, powinny być do czasu zakryte, gdyż powolne odsłanianie prawdy jest przywilejem i prawem każdego narratora.

Jezus więc, od najmłodszych lat swojego życia ucząc się i kształcąc, znajdował jeszcze czas na pracę zarobkową, ale i z równym prawdopodobieństwem można by powiedzieć, że ciężko pracując na chleb, znajdował czas na naukę.

Pracował i pomagał rodzicom. Siał ziarno na polu sąsiada. Widział, jak jedne ziarna padają przy drodze, a drugie padają na kamień, a trzecie pomiędzy ciernie, a inne na ziemię urodzajną i te dopiero wydają plon. Leżąc nocą w domu na macie i porządkując w głowie wrażenia minionego dnia, rozmyślał o ziarnie różnie padającym i o ziarnie, które kiełkuje w ziemi, wypuszcza korzenie, łodygę i ciężki kłos niezależnie od tego, czy siewca czuwa, czy śpi. Potem z bólem przypomniał sobie opowiadanie o chwastach rocznej zycicy – o tym zdarzeniu dowiedział się od jednego ze starych rolników – którą zły człowiek z zemsty wsypał do siewnego ziarna sąsiada, a zycica, łudząco podobna do pszenicznych kłosów, weszła wraz z nimi, zachwaszczając zboże. Potem medytował – nie mógł usnąć, wielki księżyc stał nad górami, a jego światło wpadało do wnętrza izdebki przez zapuszczoną u drzwi nieszczelną zasłonę – nad zagubioną owcą, która zeszłego roku niepostrzeżenie odłączyła się od Jego stada, a On szukał zaginionej przez całą noc w dolinach i na wzgórzach. Już z nóg upadał, ale nie ustawał w poszukiwaniach, aż ją znalazł. Te medytacje o owcy przywiodły Mu na pamięć scenę sprzed kilku tygodni, gdy matka Jego zgubiła drachmę i nie mogąc jej znaleźć zaświeciła świecę i przeszukała wszystkie kąty i zakamarki w domu, aż wreszcie po długich mokołach znalazła pieniądź, ku wielkiej swojej radości, za glinianymi dzbanami stojącymi pod ścianą. Długo zastanawiał się nad zagadnieniem zguby i szukania, albowiem pasjonowały Go rzeczy zagubione i rzeczy poszukiwane, i rzeczy znalezione, i upewnił się w przekonaniu, że człowiek nieustannie coś gubi, a chcąc znaleźć, musi szukać, albowiem ten, który nie szuka, nigdy nie znajdzie, a nie szukają tylko ludzie leniwi i małej wiary, a nie ma prawdziwej wiary bez szukania, zatem ludzie wierzący muszą szukać, muszą być cali w szukaniu i muszą być samym szukaniem, a samo szukanie jest już częścią znalezienia, czyli częścią celu i doskonałości, częścią El Haszamajim, częścią nieba. Rozmyślając nad tymi zdarzeniami i spostrzeżeniami, uogólniał je, wyciągał z nich nauki moralne i tworzył z nich porównania, alegorie

i symbole, i układał z nich przypowieści, i znów powracał myślą do znalezionej owcy i znalezionej drachmy, gdyż czuł w sobie potrzebę szukania i znajdowania wszystkiego, co jest zgubione, wszystkiego, co pragnie być odszukane i znalezione, wszystkiego, co łaknie opieki i chce powrócić do prawowitych rąk, wszystkiego, czego szukają i co znajdują serca bolesne i ręce żebrzące. I tak leżąc bezsennie na macie podwójnie złożonej, porównywał Wiekuistego z pasterzem, a człowieka z owcą, i widział duszę ludzką zagubioną wśród rozpadlin, i ujrzał, jak ją Pan odszukał i odnalazł, i prowadził do spokojnej wody, i orzeźwił ją, i powiodł prawymi ścieżkami do swojego Imienia.

A tymczasem Josef łamał sobie głowę nad tym, jak ma odciągnąć Syna od najemnej pracy na roli i pasterstwa i ratować Go przed zaprzepaszczeniem zdolności, i tak pogrążony w zmartwieniach i zgryzotach nie umiał z nich znaleźć wyjścia, zwłaszcza że nie był pewien, czy Jezus zechce zostawić borykających się z biedą rodziców na łasce losu i pozbawiwszy ich swojej pomocy, przenieść się do Świętego Miasta i poświęcić się nauce i rzemiosłu. Trudne dylematy miał do rozwiązania mąż sprawiedliwy, więc biedził się nad nimi, roztrząsał je po bezsennych nocach, niekiedy zdawało mu się, że już znalazł wyjście, ale wówczas napływały wątpliwości, które wikłały to, co było uprzednio rozwiązane, a we wszystkich tych rozważaniach na jednym ich końcu widział swoją biedę, a na drugim Gamaliela i Jezusa, a im bardziej wpatrywał się w ich postaci, tym ściślej przenikały się one wzajemnie, zspalały się ze sobą, łączyły i scalały, i biedny cieśla widział już tylko jedną postać Jezusa-Gamaliela, szlachetnego mędrca, koronę Izraela – rabbi Gamaliel pochodził również z rodu Dawida – rabbana, mistrza wykładającego świętą Torę i Halachę w jerozolimskiej uczelni, otoczonego tłumem uczniów i cieszącego się powszechnym szacunkiem całego ludu. Ale nagle Jezus-Gamaliel rozpadał się na dwie odrębne postaci, postać Gamaliela odłączała się od postaci Jezusa, i Josef znów osobno widział potężnego męża, żyjącego własnym życiem, i biednego syna cieśli, Jezusa, żyjącego własnym życiem, jednego na wysokiej górze, a drugiego w zapadłej lepiance w Nazarecie. Marzenia te kończyły się zazwyczaj dusznością, którą cieśla czuł w piersiach, więc wychodził na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Siedzieli tego dnia przy wieczerzy. Jezus wrócił z pracy w winnicy, a Josef od rosz hakneseth, przewodniczącego synagogi, w którego domu naprawiał podłogę. Jedli daktyle, placek jęczmienny i oliwki i popijali wino. Po wieczerzy Miriam uprzątnęła resztki chleba i oliwek, zgarnęła ze stołu pestki, pozostawiając kubki i dzban z winem, palcami oczyściła knot z kopciami i usiadła, czekając, co powiedzą Josef i Jezus, albowiem była to chwila, gdy rodzina po całodziennej pracy, siedząc razem przy stole, dzieliła się wrażeniami dnia. Josef spojrział na Miriam i Jezusa, poprawił

się w krzesło i tak przemówił:

– Opowiadał mi dzisiaj znajomy, że jeden najemnik, pracując przed kilkoma tygodniami na roli swojego sąsiada przy kopaniu rowu, natrafił na glinianą urnę, wypełnioną po brzegi srebrnymi monetami. Uradowany odkryciem, sprzedał wszystko, co posiadał, i nabył ową rolę od właściciela, i stał się właścicielem skarbu, a teraz jest bogaczem, postawił sobie piękny dom i kupił winnice, a córkę swoją wydał szczęśliwie za mąż.

Tu Josef umilkł. Miriam opuściła powieki, a Jezus patrzył w kąt izby.

Cieśla rzekł:

– Gdybym znalazł taki skarb, posłałbym syna mojego, Jeszue, do beth hamidraszu, do rabbiego Gamaliela.

I Josef ben Jaakow westchnął, albowiem po raz pierwszy i ostatni w życiu łaknął pieniędzy.

Ale Jezus, słuchając opowiadania cieśli, podkładał pod jego słowa własne pojęcia i wtedy rola sąsiada znaczyła coś innego niż rola sąsiada, skarb znaleziony w urnie był znakiem innego srebra, czystsze i cenniejsze niż prawdziwe srebro, a spryt, którym posłużył się robotnik celem zdobycia skarbu, nie był oszukańczym podstępem i przebiegłą chytrą, lecz cieniem Mądrości ufnie pochylonej nad bezcennym skarbem niebiosów, znalezionym w glinianej urnie, głęboko zakopanej w ziemi.

Jezus uradował się z powodu owej opowieści, gdyż była to opowieść, którą jeszcze przed wiekami stworzył, a teraz, ucieleśnioną w widomym zdarzeniu, mógł użyć dla swoich celów i za pomocą niej przemówić do ludzi o rzeczach dla nich niezrozumiałych w sposób zrozumiały i przystępny.

I tak ukształtowaną przypowieść głęboko zapisał w swojej pamięci.

Jezus wśród doktorów

Jezus dojrzewał. Przechodził z wieku chłopięcego w wiek młodzieńczy. Twarz Jego była smagła i przeźroczyta, co należy rozumieć przenośnie, albowiem to, co jest smagłe, nie może być przeźroczyte. Trzymał się prosto, głowę miał kształtną, owalną, a medytując miał zwyczaj pochylania jej ku prawemu barkowi, co niekiedy nadawało Jego obliczu wyraz frasobliwości. Jego granatowe włosy, w środku głowy rozczesane, opadały gęstymi kosmykami po obu stronach skroni i wraz z równymi brwiami stanowiły obramowanie wysokiego i gładkiego czoła o dwóch lśniących wypukłościach. O Jego czarnych oczach wielokrotnie już pisaliśmy. Czyniły one wrażenie, jakby ich przenikliwość ukształtowała się w całym swym majestacie

i ostrości u samego początku istnienia Niemowlęcia i wyprzedzała cały Jego rozwój fizyczny i wszystkie jego zmiany. Ich niepokojąca głębia była jedyną cechą niezmienną w tej twarzy, która jednak, jak wszystkie twarze ludzkie, ulegała prawom rozwoju i czasu i przechodząc z niemowlęcej w chłopięcą, a z chłopięcą w młodzieńczą, stawała się coraz bardziej wyrazista i czytelna. Szczególną jej właściwością była cierpliwa łagodność, przeobrażająca się jednak niekiedy pod wpływem wewnętrznego wzburzenia w powściągliwą zapalczliwość, która wyrażała się zazwyczaj za pomocą kilku spokojnych, skąpych, ascetycznych słów lub milczenia, ale wówczas tak słowo, jak i milczenie były zawsze groźne, wzbudzały lęki i tworzyły nieprzekraczalny dystans między Nim a otoczeniem. Nos miał prosty o delikatnych nozdrzach, które wzdymały się, ilekroć mówił z przejęciem lub się unosił. Jego wargi były nieco pełne, a głos z lekka matowy, powiedzielibyśmy nawet, że był smagły jak Jego twarz, gdyby charakter głosu można było określić za pomocą konkretnej barwy. Ale największą niespodzianką tej twarzy był jej uśmiech. Wtedy kąty warg unosiły się lekko ku górze – ten uśmiech odziedziczył po matce – i nadawały skupionemu obliczu wyraz dziecięcej pogody i nieomal beztróskiej radości, i co najosobliwsze, przekazywały tę zamyśloną radość czarnym oczom, których głębia nagle się rozjaśniała i błękitniała. Kończąc ten powierzchowny i nader niezdarny opis zewnętrznego wyglądu młodego Jezusa, którego widzimy takim, jakim Go stworzyła w naszej świadomości uboga wyobraźnia – niestety Ewangelia nie przekazała nam wizerunku Jezusa w myśl surowych zakazów Izraela, zabraniających portretowania człowieka pędzlem i dłutem, a co za tym idzie, prawdopodobnie i słowem – chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę na Jego dłonie, wąskie i szczupłe, o czułym dotyku, tak czułym, że z trudem kojarzymy je z fizyczną pracą, jaką Młodzieniec wykonywał. Płynął przez te dłonie ciepły i łagodzący prąd, a jego błogosławioną skuteczność wielokrotnie odczuwali na sobie Miriam i Josef, umiłowany chazan, rówieśnicy i krewni. Jezus, nie zawsze wylewny i skory do mówienia, często korzystał z tego daru i lekkim dotknięciem dłoni udzielał swojemu rozmówcy milczącej, ale jasnej odpowiedzi. Tak zachował się Jezus, gdy Josef, trawiony smutkiem, wyjawiał Synowi swój kłopotliwy zamiar wysłania Go do beth hamidraszu, do Jerozolimy, na naukę do wielkiego Gamaliela, korony ludu izraelskiego. Położył wówczas dłoń na ramieniu cieśli i tym gestem dał mu do zrozumienia, że nie zamierza opuścić Nazarethu. Wymowa tego dotknięcia była tak stanowcza, że więcej do tych spraw w rodzinie nie wracano. W tym postępowaniu Jezusa bliscy Jego nie upatrywali niczego nadziemskiego, a fluid płynący z Jego dłoni był dla nich właściwością cechującą wielu ludzi, których milcząca wymowa rąk często działała na otoczenie bardziej przekonująco i sugestywnie niż najpiękniejsze

słowa wypowiedziane ze swadą i natchnieniem. Ludzie widzieli w Nim tylko młodzieńca bardzo wrażliwego, samotnego i towarzyskiego zarazem, żyjącego wzmocnionym życiem wewnętrznym i żywiołowo wchłaniającego w siebie zdarzenia, dziejące się dokoła Niego, w domu, w beth hasefer, podczas pracy na roli i w winnicy. A ponieważ praca, którą wykonywał Jezus w pocie czoła, była ciężka i trudna, i w niczym nie różniła się od pracy innych najemników, bo była tak samo ciężka i trudna jak ich praca, ludzie nie dostrzegali w niej nic nadzwyczajnego. Jak oni posługiwał się łopatą, jak oni sadił drzewa, jak oni zbierał winne grona, jak oni wypasał owce, po Jego czole jak po ich czole ściekał pot, w Jego gardle jak w ich gardle paliło pragnienie. Ale podczas gdy dla najemników praca na roli była przymusowym obowiązkiem, często wypełnianym wbrew ich woli i zamiłowaniu, była przekleństwem ich nędzy, znamię krzywd i goryczy, dziedzictwem Kaina, Jezus każdą wykonywaną przez siebie robotę obdarzał błogosławioną skutecznością i odbierał jej piętno grzechu pierworodnego, i wprawdzie pracował w pocie czoła, ale pot Jego oblicza i praca Jego dłoni nie były nakazem gniewu, którym Elohim przed tysiącami lat smagał człowieka wypędzonego z raju. Jego praca była modlitwą, a ziemia, na której pracował, była dla Niego ziemią świętą, posiadającą moc oczyszczającą, była pojęciem sakralnym, była ołtarzem Elohim, kamieniem ofiarnym na wzniesieniu, na którym ofiarował siebie przez pracę i w pracy, i dlatego ukochał trudną pracę najemnika rolnego, am haareca, najniższego z najniższych, pochylonego nad krzewem w winnicy lub w ogrodzie. Ale mimo to pot ściekający po Jego czole był potem słonym, a zmęczenie Jego dłoni było okrutnym zmęczeniem. Ludzie, widząc, jak Jezus pracuje, chwalili Jego pilność i uważali ją za objaw niezwykłej uczciwości młodego, lecz już poważnie myślącego człowieka, który cokolwiek robi, chce robić najlepiej, a chcąc robić najlepiej, musi cały ofiarować się wykonywanej pracy. Więc to chwalebne umiłowanie trudu nie było dla nich niczym zaskakującym, niepojętym i nadprzyrodzonym, ale tylko urzeczywistnieniem myśli głoszonej przez uczonych w Piśmie: „Kto rękami swoimi pracuje na chleb codzienny, jest większy od tego, który się leniwie zamyka w swej pobożności”. Zresztą cóż może być zaskakującego w gorzkim wysiłku najemnika, dobywającego z siebie wszystkich sił przez dziesięć znojących godzin, aby zarobić jedną skromną drachmę? Cóż może być niepojętego w pocie człowieka pracującego ponad swe siły w rozżarzoną słońcu południa? Cóż może być nadprzyrodzonego w trudzie pasterza poszukującego przez całą noc owcy zbląkanej wśród pustych i stromych rozpadlin?

Jezus dla krewnych, przyjaciół, sąsiadów i znajomych był zwyczajnym najemnikiem rolnym, jednym z wielu pracujących na wzgórzach i w dolinach Galilei. A dla Miriam? A dla Josefa? Czy Miriam wiedziała, kogo porodziła? Czy Josef

wiedział, kim się opiekował? Miriam wiedziała, że porodziła Syna Bożego, który będzie królował nad domem Izraela, a Elohim da Mu stolicę Dawidową po wieczny czas, a królestwo Jego nie będzie miało końca. Josef wiedział natomiast, że Jezus narodził się z Ducha Świętego i wybawi Izraela od jego grzechów. Ponieważ – jak już o tym wspomnieliśmy – Miriam i Josef nigdy z sobą nie rozmawiali o tajemnicy Jezusowych narodzin, Josef tylko się domyślał treści Zwiastowania, a Miriam domyślała się Josefowego widzenia. Ale oboje, patrząc codziennie na Jezusa i widząc niezwykle cechy Jego duszy i umysłu, nie mogli jednak dostrzec w Jego dotychczasowym życiu żadnych nadzwyczajnych zapowiedzi i zdarzeń, a choćby ich oznak, które w przyszłości miały Go wynieść na tron Dawidowy i uczynić po wieczny czas wybawicielem izraelskiego ludu. – Jakże to się stanie? – mogła Miriam znowu spytać Elohim, zamykając po raz drugi w tym samym pytaniu najgłębszy sens wieczności.

Codziennosc i ziemskosc tych zdarzen podkreślamy po to, by uzmysłowić czytelnikowi niezwykłą trudność i złożoność położenia, w którym się znaleźli Miriam i Josef. Żyjąc u boku Jezusa – już wtedy zdawali sobie sprawę, że mimo Jego młodego wieku nie On u ich boku, ale oni żyją u Jego boku – i śledząc z dnia na dzień Jego rozwój, na pewno wypatrywali jakichś nowych, widomych i wyraźnych znaków, które by świadczyły o zbliżającym się posłannictwie Chłopca. A żadnych znaków nie było. Były tylko piękno ducha, dobroć i ofiarność, spojrzenie niekiedy niezrozumiałe, wzbudzające lęk, była doskonałość charakteru, wielka zdolność do nauki, pobożność i trudne, bardzo trudne życie dwunastoletniego najemnika, który swoją pracą pomagał rodzicom już od dwóch lat. Josefowi się zdawało, że wyjazd Jezusa do Świętego Miasta, do Gamaliela, korony Izraela, będzie tą bramą, którą Pan otworzy swojemu Synowi, ale ku rozczarowaniu cieśli sam Jezus tę bramę zatrasnął.

Ale otworzył inną.

A było to tak:

Dwunastoletni młodzieniec wyruszył w wiosennym miesiącu nisan na święto Pesach do Jerozolimy wraz z rodzicami i z bliższą i dalszą rodziną, wśród której byli również jego bracia stryjeczni, Josef, Symeon, Jehuda i Jaakow. Po drodze przyłączyli się do nich pielgrzymi z innych miast, miasteczek i wsi, więc szli razem wielką gromadą na południe, śpiewając Tehilim i chwając Pana, a Jezus, modląc się, szedł na samym końcu pochodu, gdyż głęboko poruszony swoją pierwszą pielgrzymką do Świętego Miasta, będącą równocześnie Jego pierwszą wędrówką przez ojczysty kraj – nie liczymy Jego podróży w chłopięcych latach z Micraim do Nazarethu – pragnął w samotności rozmawiać z Elohim i swoją ziemią. Gdy po trzech dniach

drogi ujrzał z dala złote mury Jerozolimy – serce Jego żywo zabiło na jej widok – wysunął się na czoło pochodu i wpatrzony w mury i spiętrzone domy, i obramowaną portykami Świątynię, górującą nad miastem, szedł ku niemu jak w transie, ku stolicy Dawidowej, którą przez tyle lat nosił w swoim sercu. Idąc ulicami Jerozolimy, rozglądał się dokoła, przystawał, szedł, znów przystawał, oszołomiony ruchem, krzykami, straganami, sklepami, nawoływaniem kupców i rzemieślników, skrybów i garncarzy, i przepychając się łokciami w tym falującym różnobarwnym i różnojęzycznym tłumie – do Jerozolimy na Wielkie Świąta przybywał dumny Jeszurun nie tylko z wszystkich części ziemi izraelskiej, ale również z wszystkich krajów ościennych, gdziekolwiek żył i mieszkał – zdązał ku Świątyni, instynktownie obierając właściwy kierunek, i nawet nie spostrzegł, że stracił z oczu swoich rodziców i krewnych, którzy pozostali za Nim daleko w tyle. Uwagę Jego zwrócili żołnierze rzymscy, którzy stali w bocznych zaułkach i na mniejszych placach w pełnym uzbrojeniu bojowym. Zdziwiony tym widokiem, zagadnął przygodnego przechodnia, co oznacza tak liczna ich obecność na ulicach miasta. Otrzymał wyjaśnienie, że zawsze w Pesach władze rzymskie w obawie przed rozruchami zwiększają garnizon w Jerozolimie. Przy tych słowach przygodny przechodzień przymrużył porozumiewawczo jedno oko i uśmiechając się, dodał szeptem:

– Boją się wyjścia Izraela z Micraim.

Jezus zrozumiał aluzję, podziękował za wyjaśnienie i minąwszy szybko monumentalne dzieło Heroda, amfiteatr rzymski, prowokacyjnie przez niego zbudowany w pobliżu Świątyni – mijając teatr, tę siedzibę szyderców, moszaw lecim, jak ją pogardliwie nazywano, odwrócił głowę i patrzył w przeciwnym kierunku – wszedł na teren Przybytku, na Dziedziniec Pogan. I stanął zdumiony. Przed Nim wznosiła się Świątynia, po lewej stronie ujrzał Portyk Królewski, po prawej olbrzymie kolumny Portyku Salomona, wznoszące się nad stromym urwiskiem doliny Cedronu, a pomiędzy nimi, u stóp Przybytku, istne morze różnokolorowych straganów i tłumy ludzi handlujących gołębiami, jagniętami, owcami i walutą. Stał jak wryty pod wrażeniem tego widoku. Właśnie rozgrywała się opodal jedna z wielu scen, których widownią był codziennie Dziedziniec: wysoki, chudy mężczyzna, mówiący płynnie po aramejsku, lecz z obcym akcentem – był nim zapewne jeden z owych bogobojnych pielgrzymów, którzy przybyli z Micraim lub z Azji Mniejszej na Pesach do Jerozolimy – targował się z krępym, otyłym pieniądze o wartość świątynnego sykla, którą lichwiarz z niewiadomego powodu samowolnie podwyższył. Targujących się otoczyła gromada handlarzy i pośredników. Jedni stawali po stronie pieniądze, drudzy pielgrzymi, przy czym

natychmiast ofiarowywali mu własne usługi, sprzedaż sykli, synogarlic, jagnięcia lub barana, i wkrótce nie wiadomo było, kto z kim się kłóci i o co toczy się targ, gdyż już nawet nie chodziło teraz o sam przedmiot ofiarny, ale o abstrakcyjne zasady kupna i sprzedaży, o jakąś oderwaną od życia moralność i sprawiedliwość. A gdy wśród ogólnego rozgardiaszu kłócący się wracali w namiętnych wywodach do przedmiotu sporu, był on już tylko bezdusznym znakiem przetargu i strzępem jakiegoś martwego pojęcia, nie mającego nic wspólnego z pobożną ofiarą. Jezus czuł, jak krew napływa Mu do skroni. Zakrył twarz dłońmi. Przypomniał sobie słowa Elohim wypowiedziane ustami umiłowanego proroka Jesai: „Cóż mi po mnóstwie waszych ofiar? Jestem syty całopalenia z baranów i łoju tłustych cieląt. Nie łaknę krwi wołów, jagniąt i kozłów. Gdy przychodzicie przed moje oblicze, któż żąda od was, byście chodzili po świątynnych dziedzińcach? Przestańcie składać kłamliwe ofiary, bo są mi wstrętnym kadzidłem, nie cierpię Święta Księżycowego Nowiu, Szabatu i trąb, zapowiadających zapadanie święta, i waszych świąt, i waszych uroczystości. Nienawidzi moja dusza waszych księżycowych nowi i waszych świąt, one są dla mnie ciężarem i obmierzło mi ich dźwiganie. Gdy wyciągniecie ręce, odwrócę od was oczy, a jeżeli pomnożycie modlitwy, nie będę ich służył, albowiem dłonie wasze są pełne krwi. Obmyjcie się! Oczyszćcie! Usuńcie niegodziwość waszych czynów sprzed oczu moich i przestańcie czynić zło! Nauczcie się czynić dobro, troszczcie się o sprawiedliwość!”

Jezus, roztrącając ludzi, biegł przed siebie środkiem Portyku Salomona i czuł, jak rośnie w Nim miłosierna niechęć do kupców, odziedziczona po praojcach, pasterzach i rolnikach, i do lichwiarzy, wielokrotnie potępianych przez Torę, do czcicieli złota i pieniędzy, wielokrotnie okładanych klątwą przez proroków, i przypomniawszy sobie proroka Elijahu, zabijającego kapłanów Baala w dolinie Kiszon, pomyślał, że powinien teraz w nieposkromionym uniesieniu runąć w środek hałastry, zanieczyszczającej swoją obecnością progi Świątyni, i przepędzić tych ludzi uderzeniami skórzanego pasa, albowiem czy nie baalowym bałwochwalstwem jest żądza czerpania zysku z bogobojnej pobożności, z uczuć będących własnością Pana? Elijahu, owładnięty świętym szałem, mieczem wytepił pogańskich kapłanów. Słowo jest jak miecz. Powinien ostrym słowem wytepić z dusz tych ludzi ich pogańską chciwość, niegodną wybranego Jeszuruna!

Zdyszany zatrzymał się dopiero przed Złotą Bramą, gdzie kolumnada oddziela Świątynię od dzielnicy Bezeta. Usiadł. Pragnąc przeciwstawić się złu panoszącemu się u stóp Świętego Świętych, szarpany niepokojem o los błędzącego, lecz ukochanego przez Elohim narodu, począł modlić się w milczeniu o łaskę oświecającego światła dla skrzywdzonych i krzywdzicieli, dla kupujących

i sprzedających, dla oszukanych i oszukujących, dla pielgrzymów i pieniędzy, dla tego całego tłumu ludzi szalejących na Dziedzińcu Pańskiej Świątyni. Rozejrzał się dokoła. Pod kolumnami Portyku siedziało kilku mężczyzn na marmurowych stopniach. Prowadzili z sobą rozmowę, a Jezus poznał po ich zachowaniu, że dyskutują na ważne tematy, albowiem na ich twarzach malowało się spokojne i skupione ożywienie, a gesty ich rąk były misternie przemyślane, układne i hieratyczne. Ich skromne szaty i tefilin na czole i ręce oraz prostota ich stroju wskazywały, że są to doktorzy Prawa, uczeni, którzy korzystając z pięknego przedświątecznego dnia, prowadzą rozmowy o Panu, Świętej Torze i mądrości Halachy. Ludzie ci, wychowankowie jerozolimskiego beth hamidraszu, uczniowie Hillela i Gamaliela lub ich przeciwnika Szamaja, byli doskonałymi znawcami zagadnień Wiary, Prawa i Tradycji i swą wybitną umysłowością i wnikliwą interpretacją świętych tekstów wyciskali głębokie piętno – zwłaszcza od czasu, gdy weszli do Sanhedrynu – na całym życiu umysłowym kraju. Wielu doktorów było z przekonania faryzeuszami. Ale byli również wśród nich i tacy, którzy zachowali całkowitą niezależność myśli i przekonań i często, gdy zachodziła potrzeba, umieli odważnie przeciwstawić się martwym przepisom religijnym, co zresztą wcale nie było czymś nadzwyczajnym, gdyż faryzeusze, ludzie gorącej wiary, nie byli jednolitą i solidarnie działającą organizacją. W swoich przekonaniach bardzo zróżnicowani, stanowili odłam społeczeństwa, który zasięgiem swoim obejmował z jednej strony ludzi postępowych i światłych, a z drugiej nieustępliwych i zaciekle fanatyków. Podczas gdy arcykapłani i kapłani, należący w olbrzymiej większości do religijnego stronnictwa saduceuszów, zajęci polityką i intrygami, nieustannie schlebiali władzy królewskiej i rzymskiej, a między sobą staczali nieprzerwane walki o jej względy łaska króla czy rzymskiego namiestnika, rezydującego podówczas w Syrii, zawsze była związana z zyskownymi godnościami – doktorzy Prawa, którzy zdobyli sobie miano stróżów czystości wiary, stawiali religię ponad interesami człowieka i państwa, upatrując w kulcie Elohim najwyższy sens istnienia Izraela. Byli oni zawsze gotowi poświęcić doczesny interes człowieka i narodu świętemu i wiecznemu interesowi Elohim, co jednak nie przeszkadzało im odważnie występować przeciw Rzymowi, zwłaszcza w tych momentach, gdy harmonijnie zbiegały się z sobą interesy Elohim z interesami Jeszuruna. Wszystkie te sprawy i spory dochodziły do Nazarethu, do uszu Jezusa, i teraz, gdy znalazł się w pobliżu światłych mężów, zapragnął pomówić z nimi o zdarzeniu na dziedzińcu świątynnym i podzielić się z nimi swą troską. Onieśmielony jednak dostojeństwem doktorów, nie odważył się do nich podejść i wtrącić do ich rozmowy, zwłaszcza że przybrała ona nieco na uprzejmej i pełnej gracji gwałtowności. Do uszu Jezusa

docierały właśnie słowa wypowiedane ze swadą przez jednego z doktorów, męża o krótko strzyżonej czarnej brodzie, mądrych oczach i dobrotliwie smutnym uśmiechu – współuczestnicy rozmowy nazywali go rabbin Nikodemem – a mąż ów mówił: – Nie chełp się, że dajesz ubogim jałmużnę. Cóż im dajesz? Wszystko, co posiadasz, pochodzi od Pana, więc właściwie nie należy do ciebie, lecz jest Jego własnością. Więc chcesz chełpić się tym, co dajesz, a co jest własnością Pana? Wierzcie mi, że ubogi, przyjmując jałmużnę, więcej czyni dla bogacza niż bogacz, gdy ją wręcza ubogiemu, albowiem człowiek, który nie wspomaga nędzarzy, jest bałwochwalcą – tak mówił ów uczony, zwany Nikodemem, a Jezus, stojąc w słusznym oddaleniu od mężów, rozważał posłyszane słowa i zdawało Mu się, że wyszły z Jego własnych ust. I prawdopodobnie długo by jeszcze medytował nad tymi słowami, gdyby nie spostrzegł Miriam, Josefa i kilku znajomych idących przez Dziedziniec. Rozglądali się dokoła, widocznie Go szukając. Więc pobiegł do nich, a potem już razem udali się do dalekich krewnych, do których byli zaproszeni na święta.

Po południu Josef ofiarował w Świątyni baranka paschalnego, kapłan zebrał w czasie krew i wylał ją u stóp Ołtarza Całopalenia, a tłuszcz spalił na Ołtarzu. A wieczorem zasiedli do pesachowej wieczerzy, gospodarz pobłogosławił kielich wina – wszyscy pili z niego stojąc – a potem opowiedział hagadę, a po odśpiewaniu pierwszej części Hallel Hagadol spożywali praśniki i pieczonego baranka, i radowali się, i weselili, i pili wino, i klaskali w dłonie, wielbiąc i chwając Elohim za ocalenie ich ojców z niewoli egipskiej. A Jezus cieszyłby się i radował wraz ze swoimi rodzicami, gospodarzami i krewnymi, gdyby nie odczuwał w sercu smutku z powodu czcicieli Baala, pieniądze i kramarzy, handlujących w Przybytku Niewidzialnego.

Gdy po świętach Miriam i Josef wraz z bliższymi i dalszymi krewnymi wyruszyli w drogę powrotną do Nazarethu, zaraz po wyjściu z miasta zauważyli nieobecność Jezusa, ale byli o Niego spokojni, gdyż przypuszczali, że zatrzymał się po drodze – może spotkał znajomych, może wdał się z kimś w rozmowę i na pewno przyłączy się do innej grupy pielgrzymów wracających na północ. Czekali. Mijały godziny, ale Jezus się nie zjawiał. Wypytywali więc mijających ich pielgrzymów o Chłopca, nikt jednak nie umiał o Nim nic pewnego powiedzieć. Czekali na drodze przez dzień i noc. Drogi opustoszały. Główna fala pielgrzymów odpłynęła z Jerozolimy. Zmęczeni i niespokojni, ruszyli z powrotem do Świętego Miasta, a im dłużej szli, tym większy był ich niepokój. Nie rozumieli, co mogło skłonić Jezusa do zatrzymania się w Jerozolimie. Chłopiec, ilekroć wychodził z domu, zapowiadał, dokąd idzie, a jeżeli wychodził nie opowiedziawszy się, wracał punktualnie, gdyż wiedział, że Jego zbyt

długa nieobecność zawsze niepokoi Miriam i Josefa, u których – jak mawiał z uśmiechem – był w poddaństwie.

Cieśla próbował z początku pocieszać niewiastę, ale ponieważ sam był strapiony, perswazje jego były niezręczne i nieprzekonywające. Trzy dni bezskutecznie szukali Jezusa w Jerozolimie. Pytali o Niego krewnych i znajomych, dowiadywali się w zajazdach, byli w Świątyni, obeszlili całe Górne i Dolne Miasto, ogrody Gethsemani, Bethesdę i dolinę Cedronu. Trzeciego dnia w południe znowu udali się do Świątyni, aby dokładnie przeszukać zewnętrzne i wewnętrzne Dziedzińce, a przede wszystkim Portyki. I tu Go ujrzeli. Ich Syn, Syn nazarethańskich biedaków, siedział pod Portykiem Salomona wśród poważnych doktorów, zadawał im pytania, a oni, dostojni hachamim, mędrcy, odpowiadali Mu, po czym sami zadawali Mu pytania i z uwagą słuchali Jego celnych odpowiedzi, a cytaty z Pisma Świętego padały z obu stron z szybkością kamieni wyrzucanych z procy, a doktorzy coraz bardziej zdumiewali się nad rozumem i wiedzą Jezusa, który właśnie, nawiązując do oskarżeń proroka Jesai przeciw ludowi Izraela, gromił uprawianie handlu zwierzętami ofiarnymi i walutą na dziedzińcu świątynnym. Niektórzy z doktorów starali się bronić tego zwyczaju – jakkolwiek o samym handlu wyrażali się z pogardą – tłumacząc, że jest to tylko Dziedziniec Pogan, do którego nawet poganie mają dostęp – stąd jego nazwa – a nie sama Świątynia, że jest to zatem teren przedświątynny, nie objęty sakralnymi przepisami. Przyciśnięci jednak do muru argumentami Jezusa, który twierdził, że Dziedziniec Pogan jest progiem świątyni, zatem jak każdy próg Pana Zastępów nie może być zbrukany zelżywością handlu, kłótni i krzyków, przyznali Jezusowi słuszność, ale to swoje zdanie wypowiedzieli bardzo ostrożnie, mglisto, a przede wszystkim szybko, jakby chcieli zapuścić na nie zasłonę, zanim jeszcze zostało wypowiedziane. Widoczne było, że nie chcieli się komuś narazić, komuś bardzo potężnemu, jakiemuś wpływowemu kapłanowi, może bogaczowi, a może dworzaninowi z partii herodiańskiej, w każdym razie za ich zupełnie wyraźnym zakłopotaniem kryło się coś, czego bali się otwarcie wyjawic i publicznie poruszyć. Jezusa zastanowiło, że ten, którego zwali rabbim Nikodemem – pamiętał jego piękne słowa o jałmużnie – uparcie milczał i do końca rozmowy nie ujawnił swojego zdania.

W takiej właśnie chwili Miriam i Josef spostrzegli Jezusa. Miriam w przypływie radości już biegła do Niego, by Go uścisnąć, lecz Josef, urzeczony widokiem Chłopca wśród doktorów, przytrzymał niewiastę za ramię i zapomniawszy o niedawnym niepokoju, chłonał w siebie Jego natchnione i mądre słowa. Ale niewiasta, uwolniwszy swoje ramię z mężowej dłoni, pobiegła po stopniach portyku, roztrąciła doktorów i rzuciła się na szyję ukochanemu Synowi, wołając:

– Jeszuo, dziecko moje, czemuś mi to uczynił? Oto ojciec twój i ja szukaliśmy ciebie!

W odpowiedzi padły z ust Jezusa dwa zdania, dwa krótkie zdania wypowiedziane prosto i swobodnie, w których wprawdzie nie było może współczucia dla zmartwienia rodziców, ale na pewno nie brzmiały one twardo i zimno, jak twierdzą niektórzy uczeni. Wypowiedziane tonem łagodnym – nie wyobrażamy sobie, by mogły być wypowiedziane tonem surowym, bo w jakim celu i dlaczego? – brzmiały nie jak nagana, lecz jak mądre pouczenie i były tylko bolesną refleksją nad ludzką niewiedzą, jej stwierdzeniem i zarazem usprawiedliwieniem i w tym znaczeniu były wspaniałomyślną daniną, którą Jezus złożył swoim synowskim obowiązkom wobec rodziców.

Jezus bowiem odpowiadając rzekł:

– Dlaczego szukaliście mnie? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w domu Ojca mojego?

Miriam i Josef usłyszawszy te słowa powinni ulec wewnętrznemu wstrząsowi i w nagłym olśnieniu ujrzeć to wszystko, co się potem, po latach wydarzyło. Ale nie ulegli temu wstrząsowi i niczego nie ujrzeli.

Słowa, w których Jezus podporządkował prawo ziemi nieubłaganemu prawu niebiosów, nie zostały przez Jego rodziców zrozumiane – chociaż Miriam zachowała je w pamięci – albowiem Elohim nie chciał, aby ich oczy otworzone były na to, co jeszcze powinno być przed nimi zakryte i utajone.

I nie wiedząc, co usłyszeli, wrócili wraz z Synem do Nazarethu.

Arcykapłan Hanan

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy Hanan wyszedł z oczyszczającej kąpieli. Dwaj lewici narzucili na niego prześcieradło, sprawnymi ruchami rąk szybko go wytarli, wymasowali, namaścili oliwą i owinąwszy w lnianą opończę, wprowadzili do komnaty przylegającej do Świętego Przybytku, i tutaj poczęli go odziewać w kosztowne szaty. Starzec nie zwracał uwagi na ich garderobiane zabiegi. W tej podniosłej dlań chwili – o wczesnym poranku miała się odbyć jego konsekracja na arcykapłana – dziękował w myślach Panu Cebaoth za wszystkie łaski i dobrodziejstwa, jakie zesłał On na pokornego sługę swojego, najpokorniejszego z pokornych. Tego stylistycznego zwrotu nie omieszkął kilkakrotnie z naciskiem powtórzyć, jakby chciał zwrócić nań szczególną uwagę Wszechmocnego. Stał u szczytu swoich spełnionych pragnień. Przez długie dziesiątki lat marzył o kierowaniu duchowym życiem Izraela i o przekazaniu władzy nad jego duszą

swoim synom i synom swoich synów, i o stworzeniu potężnej dynastii arcykapłańskiej, która by przez wieki sprawowała rząd nad wybranym narodem. Gdy przed niedawnym czasem tetrarcha, głupi Archelaus, z powodu powszechnego niezadowolenia, jakie wywołał wśród synów Izraela, a nawet Samarytan, wyuzdanym sposobem życia i okrucieństwem, przypominającym czyny jego ojca, Heroda, zrezygnował z rozkazu Augusta z tronu jerozolimskiego, opuścił Judeę i udał się na wygnanie do Vienny, położonej w dalekiej Galii, Hanan zrozumiał, że zbliża się czas urzeczywistnienia jego najskrytszych zamiarów. Nie mylił się. Archelausowe dziedzictwo, Judea, Samaria i Idumea wraz z morskim wybrzeżem od Cezarei do Gazy, przechodziło pod władzę nowo mianowanego prokuratora rzymskiego, który lada miesiąc miał przybyć do Cezarei Nadmorskiej. Starzec zmiarkowawszy, że po zniesieniu judejskiej tetrarchii odpada jeden z ważnych czynników, z którym przy staraniach i zabiegach o tron arcykapłański należało się poważnie liczyć – a wiadomo przecież, że o wiele łatwiej jest dogadać się z jednym przeciwnikiem niż z dwoma – zaraz po wygnaniu Archelausa nawiązał stosunki z legatem Syrii, Publiuszem Sulpicjuszem Kwiryniuszem, i po dłuższych, ale rzeczowych naradach, popartych pochlebstwami i złotem, i solennym przyrzeczeniem ścisłej i wiernej współpracy, został przez niego mianowany arcykapłanem, a ponieważ każdorazowy arcykapłan był równocześnie głową Sanhedrynu, Hanan poczuł się duchowym zwierzchnikiem Izraela, wprowadzając z woli Rzymian, co mąciło nieco jego dobre samopoczucie, ale nie znowu na tyle, by mogło zamącić jego sumienie. Pocieszał się, że od czasu Heroda, który mianował arcykapłanami wiernych i oddanych sobie kapłanów, Rzymianie skorzystali z owego bezprawia i zmieniwszy je w obowiązujące prawo, wyznaczyli i usuwali arcykapłanów w zależności od tego, czy byli im wygodni lub niewygodni, posłuszni lub nieposłuszni, ulegli lub krnąbrni. W tym układzie, uprawomocnionym – nazwijmy to oględnie – prawem zwyczajowym, każdy kandydat na arcykapłana, jeżeli chciał otrzymać tę godność, musiał korzystać z łaski i woli Rzymian, więc skorzystał z niej również Hanan. Posiadając umysł praktyczny i trzeźwy, liczył się z rzeczywistością i jej wymogami, a przede wszystkim ze znaczeniem urzędu arcykapłańskiego w Izraelu, który upatrywał w nim najwyższą instancję nie tylko religijną, ale również – z braku niepodległego bytu politycznego – całego życia narodowego.

Hanan, jak każdy wyznawca Elohim, czuł dla Rzymian żywołową pogardę, ale w przeciwieństwie do uczuć ogółu narodu sprzyjał ich polityce i w skrytości uważał ich za narzędzie dla swoich celów, a ponieważ Rzymianie również pogardzali Izraelem, a w arcykapłanie Hananie widzieli jeszcze jedno narzędzie wywierania

wpływu na jego naród, współpraca Rzymian z Hananem i Hanana z Rzymianami zapowiadała się harmonijnie, a jego marzenia o tronie arcykapłańskim, naprzód dla siebie, a potem kolejno dla swoich pięciu synów i przyszłego zięcia – miał jedną córkę – wydawały się bliskie urzeczywistnienia, zwłaszcza że zaborcy dotychczas nie wtrącali się do życia religijnego Izraela i nie należało przypuszczać, by znalazł się tak ograniczony na umyśle prokurator rzymski, który by świadomie chciał prowokować religijne uczucia podbitego, lecz dumnego narodu, skorego zawsze do buntów i rebelii. Olbrzymie bogactwa, którymi Hanan rozporządzał – był właścicielem handlowych faktorii w Egipcie i Syrii, bazarów przyświątynnych, a cały handel zwierzętami ofiarnymi i wszystkie kantory wymiany na Dziedzińcu Pogan znajdowały się w jego rękach – jego mądrość i spryt, zdolność stosowania różnych taktyk, często sprzecznych z sobą, lisia chytryść i umiejętność snucia subtelnych i na zewnątrz niedostrzegalnych intryg były rękojmią powodzenia jego dalekosiężnych zamiarów. Jednym z dowodów jego przysłowiowego sprytu był system, który stosował w swoich przedsiębiorstwach. Wiedząc, że Izrael pogardza kupcami i handlarzami – handlem w Izraelu poza miejską biedotą i ludźmi o złej sławie zajmowali się wówczas prawie wyłącznie poganie, a nazwa „kananejczyk” była synonimem kupca – wszystkie swoje bazyry i kantory wymiany na Dziedzińcu Pogan oddawał w dzierżawę zaufanym ludziom, którzy w jego zastępstwie i pod jego dalekim, ale baczynym okiem kierowali przedsiębiorstwem. Stworzenie wszelkimi sposobami bogatej, wpływowej i potężnej dynastii arcykapłańskiej – oto była granica ambitnych celów Hanana i tej granicy postanowił nie przekraczać, co zresztą nie było trudne, gdyż ponad nią wznosił się już tylko pusty tron królestwa Judei, po który nie zamierzał sięgać.

Ten szczupły, siwy, układny i wytworny arystokrata i saduceusz, zacięty wróg faryzeuszów i ich Halachy, niezwykle pedantyczny w ubiorze, myśleniu i działaniu, o dumnym czole i sarkastycznym uśmiechu – był niskiego wzrostu, a ów sarkastyczny uśmiech w jakiś niewytłumaczalny sposób fizycznie go wywyższał – chcąc schlebiać Rzymianom i zyskać ich poklask, przychylnym okiem patrzył na hellenizację kraju, potępiał każdy odruch narodowego buntu, a pojęcie wolności utożsamiał ze swoimi materialnymi bogactwami, które wciąż pomnażał, natomiast polityczne losy Izraela tylko o tyle go interesowały i niepokoiły, o ile wpływały na bezpieczeństwo, wzrost lub ubytek jego majątku. A starzec wszystko czynił, aby ów majątek powiększyć, i nie tylko uczestniczył w wielkich przedsięwzięciach handlowych – przez jego ręce płynął handel kadzidłem, kasają, aloesem, balsamem i mirrą ze wschodu na zachód – ale również nie cofał się przed spekulacją handlową i walutową na Dziedzińcu Pogan, podbijał z błahych powodów ceny zwierząt

ofiarnych lub powodował sztucznie podwyżkę kursu sykla świątynnego, co wzbudzało niezadowolenie i ostrożne sarkanie wśród pielgrzymów, którzy jednak, bojąc się potężnego saduceusza, bezradnie poddawali się jego wyzyskowi i nieuczciwym grom. Hanan poniósł ostatnio duże straty w handlu balsamem, gdyż plantatorzy egipscy – w większości synowie Izraela zamieszkali w Micraim – eksporterzy balsamu do stolicy imperium chcąc współzawodniczyć z plantatorami z Jerycha i opanować rynek zbytu, obniżali ceny balsamicznych olejków, co było przyczyną dużego zamieszania w handlu płodami rolnymi. Nie istnieje całkowite szczęście. Właśnie w dniu, w którym namiestnik Syrii zamianował Hanana arcykapłanem, starzec otrzymał wiadomość o nieuczciwych spekulacjach egipskich Izraelitów. Właściwie wszystkiemu byli winni jego agenci i tajni informatorzy. Zawiedli. Zawiedli, chociaż posiadał dobrze zorganizowaną armię donosicieli i prowokatorów. Dzięki tej sieci agentów rozsianych po kraju i poza krajem był świetnie poinformowany nie tylko o tym, co się dzieje w domach jerozolimskich patrycjuszów, na rynkach i w faktoriach, ale również o tym, co mówią i knują rzymscy kupcy, a nawet wiedział – tak głosiła powszechna fama, lecz na pewno przesadzała w ocenie jego zdolności przenikania do najbardziej tajnych komórek państwowych – o dyskretnych intrygach na dworze cesarskim, ale wydaje się, że jego wpływy w stolicy imperium ograniczały się jedynie do dziedziny handlowej i pieniężnej, do przekupstwa i łapownictwa, które mu ułatwiały przewidywanie zwyczaj i zniżek wytworów rolnych na rzymskim rynku. A tym razem agenci zawiedli. Hanan długo się wahał. Łatwo mógł pod pozorem złych zbiorów tegorocznych i wzrastającej drożyzny powetować sobie poniesione straty w handlu balsamem za pomocą podwyżki cen zwierząt ofiarnych, a zwłaszcza synogarlic i gołębi, owych ptaków ludzi ubogich, które były przedmiotem masowego zbytu – ubodzy i nędzarze korzystali z prawa składania ofiar z taniego ptactwa – ale z drugiej strony wiedział, że taka podwyżka jeszcze bardziej pogłębi w masach nienawiść ku niemu, a należało przecież obecnie zadbać o popularność w narodzie, zwłaszcza wśród warstw najbiedniejszych. Nienawiść? Popularność? Hanan lekceważył uczucia ludu, niezależnie od tego, czy była to nienawiść, czy przychylna popularność, i do jednego, i do drugiego zjawiska przywiązywał nikłe znaczenie, z tym jedynie zastrzeżeniem, że przychylna popularność jest zawsze kosztowna, podczas gdy nienawiść zawsze w jakiś niezbadany sposób przynosi dochody. Hanan po dłuższej i wnikliwej rozwadze powziął postanowienie o nowej i to dość znacznej podwyżce cen zwierząt ofiarnych. Lud z początku szemrał. A potem milczał.

Lewici krzętałi się dokoła Hanana, zapinali spinki, zawiązywali tasiemki i właśnie nakładali na jego stopy czerwone sandały, wysadzone drogimi kamieniami, gdy

arcykapłan nerwowo założył nogę na nogę, burząc tym nagłym ruchem starannie obmyślany porządek pracy świątynnych sług. Struchleli, nie rozumiejąc, w czym tkwi przyczyna jego niezadowolenia. Po krótkiej pauzie opanowawszy oniesmielenie pochyłili się, aby zawiązać jego sandały, ale odskoczyli, ponieważ starzec znów poruszył stopami i tym niecierpliwym gestem dał im do zrozumienia, aby nie przerywali wątku jego myśli. Więc stali w półzgięci i zmieszani, i dopiero gdy kątami oczu spostrzegli bezgłośnie ruchy warg Hanana, zrozumieli wreszcie, że arcykapłan zmawia dziękczynne psalmy. Cofnęli się i stali w słusznym oddaleniu, czekając na jakiś znak – ruch głowy lub powiek – który by ich ośmielił do kontynuowania przerwanej pracy.

A Hanan zmawiał psalmy. Rzeczywiście zmawiał psalmy. Ale nie dziękczynne, radosne, zakończone śpiewnym refrenem hallali, lecz pokutne, te najbardziej gorzkie, gdyż przypomniawszy sobie o podwyższeniu cen zwierząt ofiarnych, poczuł w sercu wyrzuty sumienia i wstręt do samego siebie z powodu pożądlivosti złota i majątku, brzydkiej i niskiej pożądlivosti, niegodnej bogobojnego człowieka i kapłana. Dlaczego nie umiał poprzestać na małym? Dlaczego nie umiał w porę okiełzać swej żądzności posiadania? Dlaczego brnął coraz głębiej w to bagno chciwości i brudu? Jak przez mgłę ujrzał ogniste słowa króla Salomona, zapisane w Księdze Przysłów: „Nie dawaj mi nędzy ani bogactwa, lecz udziel mi jedynie posiłku koniecznego, albowiem boję się, że gdy będę syty, zaprę się Ciebie i powiem: kto jest Panem? Albo żebym nędzą przyciśnięty nie kradł i nie przysięgał fałszywie w Imię mego Boga”. A Elohim, który te słowa podyktował królewskiemu mędrcom, z pobłażaniem patrzy na grzechy robaka Hanana, na jego chciwość złota i godności i nie tylko go nie karze, ale coraz wyżej wynosi i coraz większych przysparza mu dochodów, i coraz więcej sypie złota do jego skrzyń, więc Hanan ben Sethi, zamiast gorąco dziękować Panu za tę niezасłużoną dobroć i łaskawe pobłażanie, przeraził się Bożej dobroci i Bożej łaskawości, i Bożego pobłażania i począł podejrzewać Pana, że coś przeciw niemu knuje i coś przeciw niemu zamierza w swoich niezbadanych wyrokach. Hanan wiedział, że Wszechmocny jest pamiętliwy i wszytkowiedzący, i myśli w równoczesnej przeszłości, terażniejszości i przyszłości, i jeżeli dzisiaj lub w przyszłości nie wyrze na nim swojego gniewu i swojej zapalczywości, i gwałtowności, to weźmie odwet za jego grzechy na jego synach lub na synach jego synów i będzie ich bił gromami, i doświadczał nieszczęściami po najdalsze pokolenia. A może jednak ta pobłażliwość nie jest zła, skoro Elohim obsypuje go tak hojnie niezliczonymi dobrodziejstwami, których w swej łaskawości nie zna miary? Co to jest zło? Co to jest dobro? Hanan jak każdy prawy saduceusz wierzył, że Pan stworzył świat, ale nie miesza się w sprawy ludzkie. Jeżeli zatem nie miesza się

w sprawy ludzkie, skąd się bierze ów lęk w duszy człowieczej przed karzącym palcem Bożym? Ów palec wbrew wierze i logice zawsze niepokoił potężnego saduceusza, albowiem przywodząc na myśl zagadnienie Bożego współudziału w losach ludzkich, burzył jego wyobrażenia o ograniczonej wszechmocy Niewidzialnego. Wprawdzie każdy człowiek – tak medytował Hanan – posiada własną wolę i działa według niej dobrze lub źle, ale Pan mimo to jest wszechmocny, gdyż sam stłumił swoją wszechmoc dla dobra... Dlaczego ją stłumił? Dla czyjego dobra? Stłumiona wszechmoc nie jest wszechmocą, a jednak jest wszechmocą, skoro sama siebie stłumiła. Tu Hanan począł wikłać się w swoim rozumowaniu, więc dał spokój teologicznym dociekaniom – i błogosławił w myślach doskonałość Litery, która jest wieczna i nieśmiertelna, i nieomylna, i niezmienna w przeciwieństwie do duszy ludzkiej, która posłusznie umiera wraz z ciałem. Jeżeli zatem umiera wraz z ciałem i nie ma życia wiecznego i sądu, czy człowiek nie powinien żyć według tego, co jest dla niego dobre i pożyteczne? Czy zło, które jest dla mnie dobrem, nie jest naprawdę dobrem? Czy zło, które jest dla mnie złem, nie jest naprawdę złem? Zło, które czynię, jest bezwzględny dobrem, jeżeli przynosi mi korzyść, a każde zło, które na mnie spada, jest bezwzględny złem, jeżeli przynosi mi szkodę, a poza tym pragnę, aby dobro, które czynię, przynosiło mi materialną korzyść na równi ze złem, nie będącym właściwie złem, bo nie może być złem to, co przynosi korzyść, a każda korzyść musi być dobra, zatem nigdy nie czynię zła. Kto ośmiela się twierdzić, że czynię zło? Kto?! Kto?! Kto?!

Syk niezadowolenia wysączył się spomiędzy warg arcykapłana. Lewici zamarli w przerażeniu. Przypomnieli sobie uliczną piosenkę śpiewaną przez pospólstwo o węzowym syku Hanana; dotychczas uważali to wyrażenie za przesadną metaforę, wymyśloną przez jakiegoś domorosłego poetę, który pragnął za pomocą prostackiego obrazu plastycznie wyjaskrawić niechęć ludu do potężnego saduceusza, ale teraz, stojąc w świetle oliwnych lamp oko w oko z Hananem i słysząc ów syk własnymi uszami, zrozumieli, że nie był on poetycką figurą ani owocem przewrażliwionej wyobraźni człowieka ulicy. Nie umieli tylko pogodzić owego syku z obrazem modlącego się arcykapłana, więc tym większy był ich wstrząs, gdy skojarzyli w swej myśli syk podrażnionego węża z ekstazą religijnej pieśni.

Na dworze wciąż jeszcze było ciemno. Hanan wyciągnął przed siebie nogę. Lewici oprzytomniawszy rzucili się do przerwanej pracy, chcąc nadrobić stracony czas. Starzec stał teraz na środku komnaty, wciąż daleki od tego, co się wokół niego dzieje, i niewidzącymi oczami śledził sprawne i szybkie ruchy służących. Opasali go różnobarwnym pasem tkanym z bisioru, a potem narzucili na niego ciemno-

fioletową tunikę obramowaną u dołu haftem, wyobrażającym jabłka granatu, między którymi umieszczone były złote dzwoneczki. Nałożyli na niego efod, wykonany ze szkarłatnych i złotych nici, zapięli go na ramionach złotymi spinkami, na których lśniły dwa onyksy z wyrytymi imionami dwunastu pokoleń, i przewiązali go jedwabnym sznurem. Starzec wyprostował się i dotknął dłonią biodra. Służący w lot zrozumieli jego ruch i rozluźniwszy nieco pas, natychmiast ze wszystkich stron dokładnie obciągnęli tunikę, układając ją starannie w luźne fałdy. Teraz z namaszczeniem i w skupieniu zawiesili na jego szyi kwadratowy pektorał, zawierający urim i thumim, święte losy, tajemnicze kostki, symbole spraw niedosiężnych, niezbadanych i nigdy nieujawnionych, i pochyliwszy głowy czekali w milczeniu, aż arcykapłan usiądzie w fotelu. Usiadł. Wówczas nałożyli mu na głowę tiarę, spiętą złotym diademem, na którym wyryte były słowa: Kodesz le-Jahwe – Święte Panu – i jeszcze raz udrapowali w fałdy jego suknię, i jeszcze raz sprawdzili, czy mocno związane są tasiemki podtrzymujące pektorał, i dopiero teraz upewniwszy się, że ubiór starca całkowicie odpowiada jego nowemu dostojeństwu, cofnęli się w głąb komnaty i przystanęli bez ruchu pod ścianą, z zachwytem przypatrując się jego strojowi. Nie mogli oderwać oczu od tych szat zaprawdę wspaniałych, których tkanina, wszystkie barwy i ornamenty były wyrazistymi symbolami świętych praw Tory i tajemnych piękności wszechświata. Ponieważ każda złota nitka w tkaninie była znakiem światła, biała – ziemi, błękitna – powietrza i nieba, purpurowa – morza, a szkarłatna – ognia, cała szata arcykapłana była symbolem czterech żywiołów, ich uzupełnieniem był misterny ornament z granatów, który wyobrażał błyskawice, dźwięk dzwoneczków przyszytych do wierzchniej sukni – dalekie echo błyskawic, a pas szczelnie ją opasujący – ocean opływający ziemię. Lewicy jeszcze niżej pochylili głowy, ale tym razem nie przed Hananem, lecz przed majestatem kosmosu, dziełem Elohim, wcielonym symbolicznie w arcykapłańskie szaty, których dotykali niegodnymi dłońmi.

Na wschodzie poczęło szarzeć. Zabrzmiały srebrne trąby w Portyku Królewskim i Salomona, a z dźwiękiem ich zmieszały się podniosłe śpiewy śpiewane na dziedzińcu świątynnym przez tłumy, oczekujące na otwarcie Przybytku i uroczystość konsekracji.

Do sali weszło dwudziestu kapłanów i lewitów w lnianych szatach, spiętych kolorowymi pasami. Ustawili się w czterech szeregach, kapłani w białych szatach w wewnętrznym szeregu, lewicy w żółtych po bokach, i pokłoniwszy się Hananowi, założyli ręce na piersiach, i czekali, aż według przyjętego zwyczaju zbliży się do nich i również założy ręce na piersiach, i stanie pomiędzy nimi w samym środku, na znak, że jest jednym z nich i niepodzielnie związany jest z nimi świętością kapłańskiego

powołania, a jeśli jest teraz ich głową i koroną, to właśnie dzięki temu, iż jest jednym z nich. Ale Hanan nie ruszył się z miejsca. W szarości świtu wpadającego do komnaty i w dogasającym świetle lamp oliwnych, nad którymi wisiała smuga siwego dymu z kopcących knotów – lewici zajęci ubieraniem Hanana zapomnieli je przyciąć – majaczyła blada, chuda twarz starca, okolona krótką, siwą kwadratową brodą. Pod jego zamyślonymi siwymi oczami, przykrytymi do połowy ciężkimi powiekami, zwisały grube sine torby zmarszczek, podkreślające patriarchalną powagę jego twarzy. Stał, ręką oparty o fotel, wsłuchany w psalmiczne zawrodożenie tłumów, mieszane ze srebrnym dźwiękiem trąb, i im bardziej czuł zapalające się w nim wzruszenie, tym bardziej starał się je opanować, mało tego, za pomocą lodowatego wyrazu swoich oczu wznosił nieprzenikniony mur obcości między sobą a służebnymi kapłanami, a gdy wreszcie stropiony wyraz ich twarzy utwierdził go w przekonaniu, że osiągnął to, co pragnął osiągnąć – dystans i obcość wobec najbliższego otoczenia – dopiero wówczas postąpił kilka kroków naprzód i stanął z rękoma lekko wzniesionymi ku górze, między dwoma rzędami kapłanów, ale w słusznej od nich odległości, i pilnie baczył na to, aby ta odległość nie zmniejszyła się nawet o długość palca. Szedł, dzwoniąc dzwonekami przyszytymi do końców szat, drobny i chudy, zimny i nieprzystępny, ale mimo to wyrastał nad tłum – pochód zmierzał teraz przez Dziedziniec Kapłanów ku Ołtarzowi Całopalenia – panował nad nim, królował, wielki i dostojny, wybrany i opatrnościowy. Lewici uderzyli w cytry i harfy, i bębunki, zadęli w flety, a chóry zaintonowały psalmy dziękczynne. Hanan złożył ofiarę z cielca i dwóch baranów, po czym znów zabrzmiały srebrne trąby, a najstarszy wiekiem kapłan zmieszał krew ofiarowanego zwierzęcia z oliwą, nasyconą balsamem, mirrą i aloesem, i w Imię Elohim, Stworzyciela nieba i ziemi, Pana Niewidzialnego i Wszechmocnego, namaścił prawe ucho starca, duży palec u jego prawej ręki i prawą nogę i położywszy na jego dłoni placek zarobiony oliwą, wielkim głosem obwieścił, że Hanan ben Sethi jest arcykapłanem Izraela, a Izrael, gdziekolwiek żyje i pracuje, o każdej porze dnia i nocy, w miastach i wsiach, w kraju ojców i w krajach cudzoziemskich, wśród swoich i wśród obcych, na nizinach, wyżynach i górach, na wyspach, morzach i na rzekach winien mu zawsze ślepe posłuszeństwo. Tłumy padły na kolana twarzami ku ziemi i dlatego nie ujrzały wzruszenia na twarzy arcykapłana, który w chwili, gdy święta oliwa spłynęła na jego palec, doznał uczucia duchowego zachwycenia i równocześnie lęku przed świętością charyzmatu. Podniósł głowę do nieba. Jego całe jestestwo wypełniła łaska i rogata moc Elohim, i nieprzejednana wola walki z każdym odstępstwem Izraela, i świadom nieomyślności Pańskiej Litery i jej niewzruszonej potęgi gotów był każde odstępstwo karać śmiercią i samemu iść na śmierć za nieomyślność i niewzruszoność

Tory. I stary grzesznik, spalany przez całe życie pożądliwością ziemi, gorącym ojcowskim spojrzeniem objął niezliczone tłumy, leżące u jego stóp, i nie zdołał powstrzymać łez, które spłynęły mu po policzkach.

Dzwoniąc dzwonkami zbliżył się do Ołtarza Całopalenia i spaliwszy na nim placek zarobiony oliwą, pobłogosławił lud Izraela w Imię Boga Abrahama, Jicchaka i Jaakowa.

Wąż uzdrawiający

Było to w pierwszy Szabat deszczowego miesiąca marcheszwan. Wczesnym rankiem Jezus, Miriam i Josef w uroczystym nastroju schodzili ze wzgórza w dolinę, w kierunku synagogi. Jezus miał uczestniczyć w dzisiejszym nabożeństwie jako bar micwe – jako syn obowiązku – i odczytać po raz pierwszy w życiu przed całym zgromadzeniem rozdział – parasza – z Tory, i opatrzeć go własnym komentarzem. Od tego dnia powinnością Jego było nie tylko nakładanie codziennie rano – prócz Szabatu – tefilin, zmawianie trzy razy dziennie Szema Israel, przestrzeganie postów i pielgrzymowanie do Jerozolimy na Wielkie Święta, ale również ściśle wypełnianie niezliczonej ilości przepisów, obwarowanych niezliczoną ilością zakazów, które zresztą o każdej porze dnia i nocy, nawet zbudzony ze snu, umiał gładko wyrecytować z pamięci ku wielkiemu zadowoleniu i dumie swojego nauczyciela, głęboko przekonanego o tym – chazan był prawowiernym faryzeuszem – że kto zna przepisy i zakazy religijne i wypełnia je dokładnie i szczerze, tym samym spełnia w dużej mierze swój obowiązek wobec Boga. W dużej mierze? To niewinne, ale ważkie zastrzeżenie podważa nieco poprzednie nasze twierdzenie o faryzejskiej prawowierności chazana. Wprawdzie nauczyciel nie odbiegał ani o jotę od wyznawanego światopoglądu, ale przeżywał niekiedy duszne niepokoje – dawał im wyraz w swoisty sposób, czasem ironiczny i subtelny, a czasem gwałtowny, w zależności od tego, w jakim był nastroju – gdyż znając duszę ludzką uważał, że posty, opłaty świątynne i ofiary ze zwierząt nie zawsze są wystarczającym dowodem pobożności, albowiem człowiek jest istotą niezwykle złożoną, a jego oczyszczenie z grzechów nie może nastąpić tylko za pomocą środków czysto mechanicznych, lecz dokonuje się dopiero w pełni po głębokich wstrząsach, do których przede wszystkim zaliczał skruchę i pokorę, i umiejętność uniżenia się przed obliczem Pana. Litera i Duch! Te dwa zagadnienia spędzały sen z powiek chazana, który męczył się nad ich powiązaniem, gdyż nie chcąc dopuścić do przewagi Litery nad Duchem i Ducha nad Literą, niezgrabnie balansował pomiędzy tymi pojęciami, raz popadał w płochliwy niepokój w obawie przed zbyt dużym oddaleniem się od Litery, innym razem przed

zbytнім oddaleniem się od Ducha. Dlatego obserwując uważnie swojego Ucznia, dobroduszenie Mu zazdrościł, gdyż On, choć bardzo młody, umiał sprawy te łatwo w sobie rozstrzygać bez niepokoju i wahań. Z czasem chazan szukał oparcia w Jego wypowiedziach i tak się urządzał, że opowiadał Mu jakieś zdarzenie – zwyczajne zdarzenie z życia miasteczka, bezbarwne i mało ważne – i niewinnie, dla swojego dobra i dla rozszerzenia swoich horyzontów prowokując Ucznia do odpowiedzi, czekał niecierpliwie na Jego zdanie i sąd i cieszył się, gdy dzięki Jego uwagom i pod ich owocującym działaniem nic nie znaczące, jałowe zdarzenie rozrastało się do rozmiarów głębokiej przypowieści, w której znajdował ku swojemu zachwytowi ziarno Bożej Prawdy. Jezus, idąc teraz do synagogi, przypomniał sobie opowiadanie chazana o faryzeuszu i celniku – chazan twierdził, że był to wypadek prawdziwy, ale nie wiadomo, czy tak było w istocie, albowiem nauczyciel w swej szlachetnej skłonności do prawdy, chcąc uprawdopodobnić jakąś myśl, często zdarzenie zmyślane przyodziewał w szatę zdarzenia prawdziwego, co zresztą nic nie ujmowało samemu zdarzeniu, gdyż przecież nie chodziło o jego autentyczność, ale o myśl utajoną w opowiadaniu – otóż Jezus przypomniał sobie teraz opowiadanie chazana o faryzeuszu, który stojąc w Świątyni obok celnika modlił się do Boga: – O, Elohim, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, drapieżni i niesprawiedliwi, i cudzołożni, jako i ten celnik, modlący się obok mnie. Poszczę dwa razy w tygodniu i składam opłaty świątynne z majątności domu mojego – tak modlił się faryzeusz, podczas gdy celnik nie śmiał nawet podnieść oczu swoich do nieba i tylko bijąc się w piersi wołał: – O, Elohim, bądź miłostiw mnie, grzesznemu. – Chazan, nie będąc pewien, czyja modlitwa dotarła do stóp Pana – faryzeusza czy celnika – wlepił pytające spojrzenie w Jezusa i czekał na Jego odpowiedź. A Jezus rzekł: – Bardziej usprawiedliwiony wrócił do domu celnik niż faryzeusz, albowiem każdy, kto się wywyższa, będzie unижony, a kto się unija, będzie wywyższony. – Olśniony chazan, kręcąc pięknie trefione kędziory, szeptał z zadowoleniem: – Teraz wszystko jest jasne, Jeszua. Elohim był z celnikiem.

Młodzieniec schodząc teraz z rodzicami ze wzgórze wszystko to rozważał w swoich myślach i zastanawiał się w obliczu swej pełnoletności nad zagadnieniem Pokory, Ofiary i Obowiązku, który jest identyczny z Elohim, z losem wybranego przez Niego Izraela i z wiernością dla Prawa, a te trzy pojęcia tak ściśle zespoliły się w Jego sercu w niepodzielną całość, że stanowiły razem doskonałą jedność. Jezus przystanął, Miriam i Josef przystanąli również i spojrzeli na Młodzieńca, który poczuł w sercu radość z powodu dokonanego odkrycia. Wprawdzie w dniu pełnoletności syna ustawała władza ojca nad synem, lecz syn, stając się pełnoletni, podpadał z kolei pod władzę Obowiązku i znowu stawał się Jego Synem, przeto

znowu przechodził pod władzę Ojca, albowiem cokolwiek Syn myślał i cokolwiek działał, musiał myśleć i działać w Imię Ojca i Syna, i nie tylko w Imię Ojca i Syna, ale również w Imię Ducha Pokory, ożywiającego wszelką Literę, owego Ducha, który wraz z Ojcem i Synem był wszechmocną tożsamością, Trójcą, Świętą Liczbą, jednym i równocześnie potrójnym źródłem Początku, Trwania i Końca Wszechrzeczy.

Tak rozmyślał Jezus, gdy z pochyloną głową o świcie deszczowego miesiąca marcheszwan wstępował w progi synagogi, aby stać się przed obliczem ludzi synem dziedzictwa, widzialnym synem Obowiązku. Usiadł w kącie pod ścianą obok Josefa, a Miriam udała się na piętro, na drewniany balkon przeznaczony dla kobiet, i tam, siedząc za przeźroczystą zasłoną, z tkliwą uwagą patrzyła na Syna, to znów na jedwabną kotarę zasłaniającą aron hakodesz, którą własnoręcznie haftowała, i nie mogła pozbyć się natrętnego wrażenia, że widzi wśród jej różnobarwnych kwiatów i sześcioramiennych gwiazd głowę swojego Syna.

Jezus pograżył się w modlitwie.

Ludzie tłumnie wchodzili do synagogi. Środkiem sali kroczył sztywny jak mumia rosz hakneseth, zwierzchnik synagogi, poprzedzany przez chazana, który torował mu drogę ku honorowemu miejscu, znajdującemu się tuż obok arki.

Josef siedzący obok Jezusa nie mógł się skupić z powodu zbyt wielkiego wzruszenia i zamiast modlić się, przypominał sobie odległą przeszłość, i tak rozważając ten czas, piął się coraz wyżej ku Elohim, ku sferom, gdzie nie ma już ani słów, ani myśli, ani modlitw, ani wzruszeń, lecz jest tylko niezmacona zgoda między człowiekiem a Bogiem. I nic o tym nie wiedząc, stał w obliczu Elohim, oko w oko z absolutną radością, i tylko dzięki tej niewiedzy mógł wytrzymać na sobie spojrzenie Wiekuistych Oczu. Josef podniósł głowę i poczuł na sobie wzrok Jezusa.

A tymczasem obok arki stał rosz hakneseth i nakładając na siebie chustę modlitewną, szczelnie owijał ją dokoła pleców, ramion i bioder, jakby pragnął za pomocą niej odgrodzić się od ludu, do którego czuł – mówiono, że sprzyja saduceuszom – wyraźną niechęć. Ponieważ chusta szczelnie przylegała do jego ciała i krępowała jego ruchy, z trudem usiadł na swoim honorowym miejscu i wciąż jeszcze z pobożną pedanterią poprawiał jej fałdy, jakby się lękał, że przez mimowolną ich luźność i drobną szczelinę przeniknąć może do jego wnętrza gminne tchnienie cieśli, garncarzy, szewców, farbiarzy i rolnych robotników zebranych w synagodze. Dopiero odgrodziwszy się od ludzi, poczuł się bezpiecznie i bliżej Boga i wydawszy policzki, spod gęstych brwi z nie ukrywaną pogardą patrzył na ten ciemny tłum, zabobonnie wierzący w aniołów, w nieśmiertelność duszy i w Boży udział w ich prostackim i nędznym życiu. Wzrok jego spoczął mimo woli na Jezusie i rosz hakneseth dopiero teraz przypomniał sobie, że ten chudy wyrostek, Syn cieśli

Josefa ben Jaakow, będzie dzisiaj bar micwe. Ale nie mógł sobie przypomnieć, kto mu o tym powiedział. Było mu to zresztą zupełnie obojętne, podobnie jak obojętna była mu dzisiejsza uroczystość, która na pewno będzie przydługa i nudna, jak wszystkie uroczystości rodzinno-religijne, suto zaprawione ckliwością, łzami wzruszenia i wylewnymi życzeniami.

Zjawili się wszyscy krewni Josefa i Miriam. Przybyli stryjowie, wujowie i ciotki, na zewnątrz życzliwi i uradowani, ale wewnątrz nieco zazdrośni, gdyż wiedząc o zdolnościach Jezusa, wyobrażali sobie, jak wielkie wrażenie uczyni na obecnych pierwszy Jego występ w synagodze, a przeczuwając Jego powodzenie, z troską myśleli o własnych synach, którzy z pomocą Boga za rok, za dwa, za trzy w tej samej synagodze będą musieli w dniu bar micwe zdać egzamin ze swej wiedzy przed całym zgromadzeniem, ale ich wiedza w porównaniu z wiedzą Jezusa była jak niska trawka wobec libańskiego cedru. Więc się smucili nieprzystojnym smutkiem i starali się go ukryć pod uśmiechami, które ludziom nie wtajemniczonym w rodzinne stosunki wydawały się szczere, i na pewno były poniekąd szczere, bo przecież Jezus był ich krewnym, a więź rodzinna w rodach izraelskich była tak silna, że nawet niekiedy przewyższała osobiste niechęci i zazdrości; ale cokolwiek powiemy o zachowaniu się krewnych, musimy pamiętać, że u korzeni ich uczuć tkwiła zazdrość, a to spostrzeżenie jest dla nas tym cenniejsze, że wyjaśni nam ono pewne zdarzenie z późniejszego życia Jezusa. Nie należy jednak uogólniać zachowania się rodziny. Jaakow i Jehuda, chłopcy zdolni i pobożni, byli do Niego szczerze przywiązani, kochali Go i podziwiali, a uznając Jego duchową wyższość nad sobą, starali się w swoich rodzicach wzbudzać serdeczne uczucie dla ciotecznego Brata. – No, dobrze, dobrze, ale dlaczego chazan więcej kocha Jezusę niż was? – z uporem pytała ich matka, Mariamne, żona Halfiego, dając tym pytaniem dowód nie tylko troski o życiowe powodzenie swoich synów, lecz także wyraz swoim ambitnym uczuciom, które kazały jej upatrywać w synach najmądrzejsze i najpiękniejsze dzieci spośród wszystkich dzieci Nazarethu.

Chazan i śpiewak synagogałny czynili ostatnie przygotowania do nabożeństwa, objaśniali knoty w lampkach oliwnych, płonących przed arką, ostro napominali chłopców zbyt głośno z sobą rozmawiających, wyglądali troskliwie kobierzec leżący na podłodze bimah i pociągając za sznurek próbowali, czy kotara zasłaniająca arkę z rodalami rozsuwa się bez trudu i zgrzytu, aż wreszcie obrzucili troskliwym spojrzeniem zgromadzonych ludzi. Stwierdziwszy, że i oni na równi z lampkami oliwnymi, kobierzcami i zasłoną znajdują się w należyтым porządku – z widocznym lekceważeniem, a może tylko ze źle ukrytym onieśmieleniem zerknęli jeszcze na galerię, przeznaczoną dla kobiet – dopiero teraz wzrok zatrzymali na barczystej

postaci rosz hakneseth, który znużonym ruchem głowy dał znak do rozpoczęcia nabożeństwa.

Chazan wstąpił na bimah, zakrył twarz modlitewną chustą i czekał w napiętym skupieniu, a wraz z nim w zupełnej ciszy czekali wszyscy zgromadzeni, jedni pochyleni przed siebie, drudzy z głowami wzniesionymi ku niebu, tamci z twarzami odsłoniętymi, a inni szczelnie nakrytymi chustą modlitewną, każdy w innej pozie, w zależności od tego, która z nich ułatwiała mu zbliżenie do Elohim i nawiązanie żarliwej rozmowy z Niewidzialnym. Śpiewak stanął przed arką, chustę modlitewną, która w luźnych fałdach opadała ku ziemi, powolnym ruchem podciągnął na ramiona i wzniosł do nieba chude ręce o barwie starej kości słoniowej, i tak trwając, niemym gestem wyciągniętych dłoni hamował w zgromadzonych wybuch ekstazy, ale czynił to świadomie, albowiem wiedział, że gdy tylko wypowie pierwsze słowa modlitwy, zebrani, im dłużej będą trzymeni na wodzy w nerwowym napięciu, tym głośniej potem wybuchną niepowstrzymanym jękiem i krzykiem. Jeszcze wyżej uniósł dłonie, pochylił się na bok i rozcapierzył nad głową drżące palce, jakby zasłaniał się przed spadającymi nań niebiosami, i nie mogąc już dłużej opanować pobożnego napięcia tłumu ani samemu oprzeć się gorejącemu w nim ogniewi, z żarem, w którym była równocześnie i błagalna modlitwa, i ulga człowieka zdejmującego z siebie gniotący go ciężar, zaintonował wibrującym od łkania głosem Szema Israel, i w tej samej chwili runął ku niebu krzyk tłumu i wzniosły się ku niebu wszystkie dłonie, i zatarła się wszelka różnica między dłońmi i ustami, bo nie wiadomo było, czy to krzyczą do Elohim wzniesione w rozpaczy i tryumfie, i ufności ręce, czy też krzyczą zrozpaczone i tryumfujące, i ufne usta. – Słuchaj, Izraelu – krzyczał tłum, wyrzucając z siebie rozpalone słowa. – Pan jest twoim Bogiem, Pan jest jeden. Będziesz miłował Pana Boga swojego ze wszystkiego serca swego i ze wszystkiej duszy swojej. I będą te słowa, które ci dzisiaj przekazuję, w sercu twoim. I będziesz je opowiadał synom swoim, i będziesz o nich rozmyślał, siedząc w domu i idąc drogą, śpiąc i wstając – głosy łkały, krzyczały, w nagłym porywie wznosiły się ku niebu, pękały jak race, rozpryskiwały się w tysiące kolorów i błysków i gasły na wysokościach, pozostawiając po sobie nieprzeniknione ciemności, które znów ustępowały pod naporem nowych i jeszcze gwałtowniejszych wybuchów, zaklęć, rozkazów i przykazań, brzmiających nieomal jak groźba nawet wówczas, gdy wypowiedane były głosem drżącym od płaczu i jęku, albowiem taki był przywilej tych słów, że działały jak palący ogień i łagodząca oliwa, jak ostry miecz i uzdrawiający opatrunek. Nagle zapadło milczenie. Jeszcze tu i ówdzie słychać było westchnienie i oderwany, z wolna zamierający jęk, ale tłum, wyczerpany krzykiem, wyrzuciwszy z siebie święty akt wiary, teraz już zupełnie uległy woli Elohim,

urobiony i ugnieciony przez Niego jak ciasto, pograżył się w cichej i łagodnej kontemplacji i czekał tylko na znak śpiewaka, by zaintonować Szemone Esre, śpiew błogosławieństw ku chwale Niewidzialnego, a gdy wreszcie śpiewak radosnym i jasnym głosem wypowiedział pierwsze słowa modlitwy, zgromadzeni z zachwytem podchwycili jego nutę i stopień po stopniu pokornie pięli się ku jasności, a jakkolwiek słowa, które śpiewali, nasycone były dramatycznym patosem, radość i uśmiech okalały ich wargi, co jest dowodem, że niekiedy patos i uśmiech mogą kroczyć obok siebie w poufalej zgodzie. – Bądź pochwalony, Wiekuisty Boże – śpiewali – Boże ojców naszych. Boże Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Panie wielki, potężny i pełen majestatu. Panie najwyższy, który świadczysz zbawienne łaski i władcą jesteś wszystkiego, który pamiętasz o miłości ojców i sprowadzisz Zbawiciela dla dzieci ich dzieci, dla Imienia Twego w miłości. Królu, Podporo, Zbawicielu i Tarczo! Bądź pochwalony, Wiekuisty, Tarczo Abrahama! Potężny jesteś po wieczny czas, o Panie! Ożywasz zmarłych i niewyczerpany jesteś w zbawieniu. Żywych darzysz łaską, ożywasz zmarłych w nieskończonym miłosierdziu, podnosisz upadających, leczysz chorych, uwalniasz związanych i dotrzymujesz swej wierności śpiącym w prochu. Kto jak Ty jest panem potężnym i kto Tobie dorównuje. Królu, który uśmiercasz i ożywasz, i każesz kwitnąć zbawieniu? Kto jak Ty jest Ojcem Miłosierdzia, który w Miłosierdziu pamięta o życiu swoich stworzeń? A sprawiedliwy jesteś, gdyż ożywasz zmarłych. Bądź pochwalony, Wiekuisty, który ożywasz zmarłych! Jesteś Święty, a Imię Twoje jest święte, a święci chwalą Cię codziennie! – I znów umilkli. Z początku ogarnęło ich łagodne wyczerpanie, gdyż poczuli w sobie nadmiar Bóstwa i błogą świadomość nierozzerwalnych z Nim związków, i pograżeni w miłym odrętwieniu poddawali się błogosławionemu działaniu Elohim, który spoczywał w nich z tym samym zaufaniem, z jakim oni w Nim spoczywali – Bóg i człowiek obficie darzyli się wzajemną obecnością – ale ten stan nie trwał długo i z wolna począł ustępować innym uczuciom. Zstępowali na ziemię. Rozglądali się dokoła, szukając wzrokiem Jezusy ben Josef, o którym wiedzieli, że jest dzisiaj bar micwe, i każdy z tych garncarzy, cieśli, sukienników, farbiarzy, szewców i robotników pałał wzniosłą ciekawością usłyszenia wywodów Młodzieńca, cieszącego się w miasteczku, mimo młodego wieku, sławą znawcy Tory, a wprawdzie ciekawość tych ludzi – byli przecież tylko ludźmi, więc skażeni byli małymi i wielkimi wadami – na pewno była zabarwiona życzliwością dla syna biednego cieśli, ale łatwo można było poznać po ich niedomówionych zdaniach i półuśmiechach, że każdy z nich byłby rad, gdyby fama o mądrości Jezusa była nieco, choć odrobinę przesadzona. Uczucie to niewątpliwie niezbyt harmonizowało z ekstazą, którą dopiero co przeżywali, ale, jak już powiedzieliśmy, byli tylko ludźmi

pełnymi sprzeczności, a wiemy przecież, że słaba natura człowieka, oceniając myśli i czyny bliźniego, zawsze chętnie poddaje się równoczesnemu działaniu podziwu i ironii, zachwytu i potępienia, dumy i zawiści, zwłaszcza gdy chodzi o kogoś z najbliższego kręgu znajomych, przyjaciół i krewnych, o kogoś, kogo się codziennie spotyka na tej samej ulicy, w tym samym domu i w tej samej synagodze. Bliskość jest wrogiem sprawiedliwej oceny. Więc szeptali między sobą i zerkali nie tylko na Młodzieńca, wciąż pogrążonego w modlitwie, i na Josefa, siedzącego z pochyloną głową, ale także na chazana, który drżał z trwogi i podniecenia, mrugał nerwowo powiekami i zwilżał językiem spieczone wargi. Zdawał sobie sprawę z nastroju panującego w synagodze i wiedział, że los nauczyciela i jego przyszłość, i dobra opinia zależne są od tego, czy jego uczeń zdobywa poklask słuchaczy, czy otrzymuje naganę, a w tym wypadku bardzo się zaangażował, może nawet zbyt pochopnie, gdyż pragnąc siebie wywyżżyć, często pysznił się publicznie postęпами Jezusa w nauce i wynosił pod niebiosa Jego wiedzę i zdolności, i jak przystało na ambitnego nauczyciela, własnym talentom pedagogicznym w dużej mierze przypisywał wyniki, jakie syn cieśli osiągnął w nauce Tory. A teraz bał się. Jak wytłumaczy uczniom, w razie klęski Jezusa, że nieomyślność nie jest przywilejem nawet najlepszych nauczycieli i pedagogów? I biedny, trzęsący się ze strachu chazan ledwo trzymał się na nogach, i idąc do arki w towarzystwie kantora i tłumacza, już teraz zastanawiał się nad argumentami, których użyje dla salwowania swojego nauczycielskiego honoru. Ale gdy stanął u stóp aron hakodesz i zaśpiewał Szema Israel, i rozsunął zasłonę, przejęty widokiem zwojów świętej Tory, zawstydził się swojej nieufności i głębiej na oczy naciągnął chustę modlitewną, chcąc ukryć przed Niewidzialnym swą zakłopotaną twarz. Błogosławione promienie bijące od rodaków spływały na zgromadzonych i wymiotły z ich serc zawistne i małoduszne uczucia. Stali pochyleni pod ciężarem majestatu otwartej arki. Chazan wyjął ostrożnie rodąły odziane w drogocenne tkaniny, ucałował je i krocąc środkiem synagogi – synowie Izraela dotykali zwojów końcami palców i przykładali je nabożnie do ust – wszedł na bimah, obiema rękami podniósł rodąły w górę nad głowami tłumu i jasnym głosem, w którym nie było śladu niedawnego strachu i drżenia, zaintonował: – Niech będzie pochwalony Ten, który w swej świętości dał Torę swojemu ludowi, Izraelowi – po czym przy pomocy śpiewaka i tłumacza zdjął tkaninę z rodaków, rozwinął je na płaskim pulpicie, wyszukał rozdział przeznaczony do czytania w dniu dzisiejszym i spojrzawszy przed siebie zawołał śpiewnym głosem: – Niechaj przyjdzie tutaj Jezua ben Josef.

Tłum rozstąpił się. Jezus wszedł na bimah, ucałował białe frędzle swej chusty modlitewnej i podał ją chazanowi. Nauczyciel rozwinął ją i narzucił na głowę

i ramiona Młodzieńca, który sprawnym ruchem dłoni odgarnął ją z czoła, a potem podciągnął ku górze na ramiona, by nie dotykała podłogi. Jego ruchom, tak dojrzałym i doświadczonym, jakby codziennie wykonywały tę czynność, towarzyszyło ciche łkanie kobiece dochodzące z galerii spoza zasłony, a Jezus poznał, że jest to łkanie Jego matki, która łzami witała młodość swojego Pierworodnego. Jezusowi zrobiło się żal Miriam i chętnie rzuciłby jej pocieszające spojrzenie, które by umocniło matkę w przekonaniu, że w tej radosnej chwili jej Syn stoi u jej boku, ale przemógł się i mając do wyboru tkliwe rozrzewnienie lub surową powagę, matkę lub Ojca, wybrał Ojca, więc pokłonił się rodątom, ucałował je i wciąż słysząc za sobą ciche łkanie niewiasty zagłuszył je podniosłym śpiewem: – Chwalcie Elohim godnego chwały. Niech będzie pochwalony Wiekuisty, godny wiecznej chwały. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, Królu wszechświata, który wybrałeś nas spośród wszystkich narodów i dałeś nam swój Zakon. Bądź pochwalony, Elohim, Dawco Zakonu – śpiewając był pewien, że matka pochwała Jego wybór i cieszy się, iż w podniosłej dla Niego chwili nie rozproszył uroczystego nastroju niepotrzebnym zwracaniem uwagi na jej łzy, a pewność ta jeszcze bardziej rozpaliała w Nim uczucie wdzięczności dla tej, która będąc niewiastą Cienia, zawsze umiała pozostać w cieniu. A chociaż nieustannie myślał o matce podczas błogosławieństwa – przypomniał sobie upomnienie chazana, że w czasie modlitwy nie powinien myśleć o niczym innym jak tylko o Niewidzialnym – jej łkająca obecność nie tylko nie mąciła żaru i jasności wypowiedzianych przez Niego zdań, ale jeszcze mocniej wiązała Go z Bogiem.

Zgromadzeni byli zaskoczeni i oszołomieni głębią uczucia, z jakim Jezus wypowiedział błogosławieństwo. Słyszeli je wypowiedziane niezliczoną ilość razy przez sprawiedliwych mężów, ale dzisiaj zabrzmiało ono inaczej, tak bardzo inaczej, że zdawało się im, iż słyszą je po raz pierwszy. I nawet z twarzy rosz hakneseth znikł grymas znudzenia, i nawet czujnym krewnym udzieliło się potakujące podniecenie, a batlanim świetnie obeznani z duchem i stylem synagogalnych nabożeństw – mając czas wolny, obowiązkowo przychodzili na każde zebranie – zgodnie szeptali, że dotychczas nikt tak pięknie nie błogosławił w Nazarecie. Tylko chazan znowu mrugał powiekami, a jego dłoń znowu drżała, gdy srebrnym wskaźnikiem wysadzonym koralami wskazywał Jezusowi wersety przeznaczone do czytania w dniu pierwszego Szabatu deszczowego miesiąca marcheszwan, a na dzień ten przypadają rozdziały z Księgi Bemidbar, z Księgi Liczb, opowieść o Wężu miedzianym podwyższonym na pustyni.

– I ruszyli z góry Hor – czytał Jezus, a głos Jego brzmiał z początku spokojnie, lecz już przy następnym zdaniu spotężniał, stał się surowy i groźny i trwał w swojej

surowości przez cały czas czytania, by wreszcie w zakończeniu zabrzmieć tragiczną melodią, która wszystkich zaskoczyła, gdyż odbiegała od pocieszającego finału wersetu. – I ruszyli z góry Hor – czytał Jezus – drogą, która wiedzie do Morza Sitowia, aby obejść ziemię Edom. I począł sobie lud przykrzyć drogę i trudy i rzekł wyrzekając przeciw Bogu i Mojżeszowi: „Czemuś nas wywiódł z Micraim, abyśmy pomarli na pustyni? Nie masz chleba, nie masz wody, a dusza nasza już się brzydzi tym lichym pokarmem”. Przeto Pan przypuścił na lud węże ogniste; a gdy bardzo wielu było od nich zranionych i umarło, przyszedli do Mojżesza i rzekli: „Zgrzeszyliśmy, żeśmy mówili przeciw Panu i tobie. Proś, by oddalił od nas węże”. I modlił się Mojżesz za ludem. I rzekł Pan do niego: „Uczyń węża miedzianego i postaw go na znak: kto ukąszony wejrzy nań, żyw będzie”. Uczynił tedy Mojżesz węża miedzianego i postawił go na znak, a gdy ukąszeni na niego patrzyli, byli uzdrowieni.

Potem odczytał Jezus przypadający na ten Szabat rozdział z Ksiąg Proroków, a wtedy tłumacz synagogałny podszedł do pulpitu, by według zwyczaju przełożyć hebrajskie wersety na język aramejski, ale Młodzieniec, prawdopodobnie nie dowierając jego zdolnościom, gdyż niekiedy w zbyt pośpiechu nie dość ściśle oddawał sens i muzykę oryginału, powstrzymał go gestem ręki i sam przełożył tekst nie uroniwszy nic z jego sensu i muzyki tak ważnej dla zrozumienia i wczucia się w piękno świętego słowa, napisanego literami, których kształt stworzył sam Elohim.

W synagodze zapanowała śmiertelna cisza, a oczy wszystkich spoczęły na Jezusie, a On – chcąc dać rękóm swobodę ruchów, znów podciągnął na ramiona modlitewną chustę – począł mówić równym, ciemnomatowym, nieco ściszym głosem o miedzianym wężu, którego Mojżesz zawiesił wysoko na drzewie, aby był widziany przez wszystkich łaknących uzdrowienia i łaski Pana, gdyż wąż uzdrawiał każdego chorego na ciele i duszy, który na niego spojrział, a chociaż w wersecie nie było wyraźnie powiedziane, że wąż wisiał na drzewie, jasne jest, że Mojżesz musiał go zawiesić na drzewie lub choćby na słupie, a do tego celu specjalnie nadawał się słup z przybitą doń poprzeczką, aby wąż, wisząc wysoko nad ziemią, był z dala i z bliska wyraźnie widziany przez tłum spragniony uzdrowienia według świętych słów Elohim, że kto z ukąszonych wejrzy nań, żyw będzie. Tu Jezus podniósł do góry prawą dłoń i równocześnie wzmocniwszy głos, który zabrzmiał teraz barwną pełnią, począł mówić o wężu jadowitym i o Wężu uzdrawiającym, przeciwstawiał jednego drugiemu i odmalował ich wzajemną walkę, zakończoną zwycięstwem Węża miłosiernego. Niektórzy spośród słuchaczy, czy to podnieceni swą ognistą wyobraźnią, czy też ulegając wewnętrznej sile Młodzieńca mówiącego z niezwykłą swadą, mimo woli w jadowitym gadzie wydającym przeraźliwy syk odnajdywali

podobieństwo do jednego ze znakomitych mężów jerozolimskich, ale zdławili w sobie natychmiast to błędne wrażenie, zwłaszcza że im nawet przez myśl nie przeszło, aby Mówca mógł świadomie przed całym zgromadzeniem snuć podobne analogie, uwłaczające wysokiej godności arcykapłana. Bezwolnie jednak poddali się niezwykłym wywodom i szli jak we śnie za myślą Jezusa, który z kolei przeszedłszy do Węża uzdrawiającego – nigdy dotychczas nie spotkali się z tak tragiczną koncepcją – mówił o posłannictwie Syna Światła i tak dokładnie opisał wygląd zewnętrzny i duchowe właściwości Węża, korzystając przy tym z tekstu Jesai i niektórych psalmów, że z początku nie mogli ustalić, czy mówi o Wężu, czy o Człowieku, czy też o obu naraz, i dopiero u samego końca Jego wywodów zrozumieli, że podwyższony na pustyni cierpiący, litościwy, miłosierny i przebaczący Wąż, biorący w siebie i na siebie ciężar grzechów i win wszystkich ludzi, był podobieństwem umęczonego Dobra, przyobleczonego w ciało, które wisząc na drzewie, jak gąbka wsysało w siebie całe zło ludzkie i istnieniem swoim uzdrawiało człowieka. Jezus, kończąc swój komentarz, wskazał na duchowy związek łączący bar micwe, synostwo Obowiązku, z pojęciem Węża miedzianego, podwyższonego rękami rogatego proroka, albowiem Wąż miedziany jest również synem Pokory, Ofiary i Obowiązku i wskutek tego musi wziąć na siebie cierpienie bliźnich, i przy tych słowach – należy pamiętać, że stał na bimah, na podwyższeniu, i górował nad całym zgromadzeniem – rozkrzyżował szeroko ręce, lekko pochylił głowę ku prawemu barkowi – ten ruch zwykł często czynić, gdy przeżywał i rozważał sprawy przysparzające Mu troski – i przypominał teraz – wszyscy to zgodnie zauważyli, chociaż ze względu na miejsce uświęcone obecnością Boga nie wymieniali głośno między sobą swoich spostrzeżeń – Węża zmęczonego, wiszącego na drzewie lub słupie wbitym w pustynny piasek. Jezus opuścił dłonie, ucałował święte rodaję, zwinął je i podniósłszy wysoko w górę, zaintonował: – Baruch ata Adonaj, melech haolam... – Bądź pozdrowiony, Wiekuisty, Panie wszechświata, który nam dałeś Zakon prawdziwy i wieczne życie w nas wszczepiłeś, bądź pochwalony, Wiekuisty, Dawco Zakonu.

Zebrani, którzy z napiętą uwagą słuchali wywodów Jezusa, ważąc każde Jego słowo, myśl i obraz, rozmyślali teraz nad sposobem, w jaki wypowiadał On swoje sądy, a szczególnie zastanawiał ich zwrot o wszystkich ludziach, których uzdrowi Wąż podwyższony. Mówił przecież wyraźnie o wszystkich ludziach, a nie tylko o Izraelu, co było sprzeczne z ich pojęciem bliźniego i Mesjasza, Zbawcy Izraela, ale zachwyceni pięknem Jego wywodów i nie chcąc mącić uroczystego nastroju, przejęzyczenie to położyli na karb Jego oratorskiego niedoświadczenia i niepokoju spowodowanego pierwszym występem w synagodze, i po skończonym

nabożeństwie obejmowali Jezusa, życzyli Mu długich lat życia, a nawet rosz hakneseth, wiecznie znudzony, ziewający rosz hakneseth podniósł się ze swojego honorowego miejsca i gratulując Josefowi, tak do niego powiedział: – Oby Elohim był zawsze z mądrością twojego syna i niechaj wyrośnie on na twoją pociechę, niechaj weźmie sobie za żonę najpiękniejszą i najcnotliwszą spośród wszystkich dziewic i obdarzy cię wnukami, radością twojej starości. – Chazanowi kamień spadł z serca. Chętnie objąłby swojego Wychowanka i serdecznie Go uścisnął, ale od pewnego czasu czuł się, nie wiedząc dlaczego, coraz bardziej wobec Niego onieśmielony, więc tylko patrzył z wdzięcznością na Jezusa i byłby, jak nigdy dotychczas, szczęśliwy szczęściem doskonałym, gdyby nie jedna jedyna drzazga, która tkwiła w jego sercu: wprowadzie jednego i drugiego rozmówcę głośno zapewniał, że owa niezbyt udana wzmianka o wszystkich ludziach jest tylko niezręcznym określeniem – bo jakżeż mogło być inaczej? – ale w głębi duszy bał się, że nie była to nieporadna niezręczność, lecz owoc długich rozmyślań, gdyż znając swojego Ucznia, wiedział, iż ważył On każde słowo i nigdy lekkomyślnie nie wypowiedział zdań nie przemyślanych. Biedny chazan. Chcąc wyrwać z serca tę drzazgę, tak długo krążył w sposób sobie właściwy dokoła tego trudnego zagadnienia, analizował je i przesiewał przez sito różnych argumentów – jednym z nich było przekonanie o nieskazitelnej prawomyślności Ucznia, który myśląc zawsze jasno i logicznie, nie mógł przecież utożsamić losu Izraela z losem nieczystego poganina – aż doszedł po dłuższym wahaniu do wniosku, że wbrew temu, co dotychczas o Jezusie wiedział, na pewno było to przejęzyczenie i tylko przejęzyczenie. I upewniając się, i utwierdzając w tym mniemaniu, odpędzał gorzką myśl, że najzdolniejszy spośród jego uczniów, korona nazarethańskiego beth hasefer, wierzy w Mesjasza, który przyniesie zbawienie Izraelowi i poganom. A ponieważ po chwili znów ze wzmożoną siłą wróciła do jego serca dawna niepewność, jedyną pociechą w tej rozterce był aforyzm, który często powtarzał swoim wychowankom – jego autorstwo przypisywano nawet samemu Gamalielowi – że goj znający Torę równy jest arcykapłanowi, a Jezus, mówiąc o wszystkich ludziach – o narodzie wybranym i poganach – na pewno miał na myśli pogan znających święty Zakon, czyli równych arcykapłanowi. I pocieszony chazan począł przepychać się do Jezusa przez tłum krewnych, stryjów i wujów, braci stryjecznych i ciotecznych, którzy przewalczywszy w sobie – jedni naprawdę, drudzy pozornie – zazdrość, otoczyli Jezusa zwartym kołem i rozpływali się w pochwałach nad głębokością i pięknem Jego mowy. Jaakow i Jehuda, synowie Halfiego, dobrzy i życzliwi młodzieńcy, jedyni spośród wszystkich krewnych mieli łzy w oczach i nieustannie ściskali i obejmowali Jezusa, i dotykali Jego ramienia, a gdy wyszli przed synagogę, złożyli czołobitne

życzenia cichej i uśmiechniętej Miriam. Josef, blady, drżącym głosem zaprosił krewnych i znajomych na wieczorną ucztę.

I ruszyli w powrotną drogę do domu. Wiał porywisty wiatr. Josef czuł dojmujący ból w piersiach, ale szedł rażno, nie dając poznać po sobie, że się źle czuje. Tylko raz w drodze przystanął, głęboko odetchnął i rzekł:

– Szczęśliwe są uszy moje, bo słyszały to, co słyszały, synu mój, Jezu.

Mądry ogrodnik

Josef był chory. Pielęgnowała go stroskana Miriam, bezsilna wobec niezbadanych zamiarów Elohim, który niemocą dotknął silne dotychczas ciało cieśli. Gdy leżał na macie bez ruchu, nie odczuwał bólów, ale gdy wstawał lub dokonywał nieznacznego nawet wysiłku fizycznego, chwycił go bolesny skurcz w okolicy obojczyka i w lewym ramieniu i całkowicie go unieruchamiał. Pewnej nocy obudził się zlany potem. Duszności rozsadzały mu klatkę piersiową. Począł się dusić, twarz jego zsiniała i dopiero dzięki pomocy Jezusa i Miriam – właściwie trudno mówić o pomocy, gdyż stali nad nim bezradni i chustą zwilżoną w wodzie wycierali jego zimne i spocone czoło – z trudem, powoli wrócił do równowagi i spokoju. Chazan, który w miasteczku pełnił również obowiązki lekarza, kilkakrotnie go odwiedzał, badał, nasłuchiwał bicia serca, kiwał głową na dowód, że nie wszystko rozumie, i raczej kierując się intuicją, którą posiadał w nadmiarze, niż wiedzą lekarską, którą posiadał tylko w skąpych zaczątkach, nakazał choremu spożywanie miodu i ziarn jęczmiennych moczonych w kwaśnym mleku i zalecił dużo świeżego powietrza, i zabronił wszelkiej pracy i wysiłku. Josef zatem spędzał długie dni wiosenne na rozmyślaniach i modlitwie, raz czując się lepiej, raz gorzej, a w ciepłe popołudnia, gdy słońce przygrzewało, siedział przed domem, w cieniu pod figą i z wdzięcznością patrzył na rozłożyste drzewo. A wdzięczność jego dla drzew jeszcze bardziej wzrastała, ilekroć przypominał sobie głos Pański, który przemówił do niego przed laty w szumie sykomor i palm w dalekiej ziemi zwierzęcych bogów i wylewającej rzeki. Wprawdzie od tej pory głos Pana ani razu nie przemówił do niego przez ukochane drzewa, a Jezus odwrócił się od ciesielstwa, mimo to cieśla zawsze z wierną miłością o nich myślał i był głęboko przekonany, że Elohim w jakiś niezbadany i sobie tylko właściwy sposób przekaże Jezusowi przywiązanie do drzew, do owych niezawodnych towarzyszy ciesielskich snów i uniesień Jego opiekuna. Przekazanie to – tak dumał Josef – będzie wielką łaską Pana, który w swej nieskończonej dobroci pozwoli dziedziczyć Synowi po nie-ojcu część jego życia, i dzięki temu ojcostwo Josefa, chociaż nie było, jak o tym wiemy, ojcostwem,

pomnoży się jednak o jeszcze jedno znamię ojcostwa, a wspólne znamię jest pieczęcią nierozzerwalnej więzi i jawnego podobieństwa.

A był już wówczas wiosenny miesiąc adar. Radosne przejście z zimy w wiosnę odbyło się nagle, według praw rządzących przyrodą i życiem tego kraju, w którym wszystko się działo żywiołowo i gwałtownie, niezależnie od tego, czy było to działanie ludzi, czy przyrody, natchnienie proroka czy rozkwitanie dzikich tulipanów i czerwonych anemonów. Przez jedną noc, chociaż była jeszcze chłodna, wyrosły hiacynty i gladiole, i wiotkie kłosa pszenicy i jęczmienia i zazieleniła się winna latorośl, rozpięta między oliwkami na kształt gęstych sieci, i poczynaly owocować drzewa figowe, pięknie przycięte w kształt baldachimu, użyczającego gęstego cienia znużonym mieszkańcom tej ziemi; i już wnet, bo za dwa miesiące, miały się rozpocząć zbiory pierwszych fig, najsoczystszych i najslodszych fig całego roku.

Jezus, na którym spoczywała teraz troska o utrzymanie rodziców, cały dzień spędzał poza domem. Pracował u pewnego bogacza, właściciela dużego majątku opodal Nazarethu, człowieka o dobrym sercu, lecz nieszczęśliwego z powodu młodszego syna, który otrzymawszy od niego część swojej majątności, niedługo potem zabrał wszystko, co posiadał, i odjechał w daleką krainę i, jak wieść głosiła, roztrwonil wszystkie swoje pieniądze, gdyż żył rozpustnie. Bogacz ów, darząc Jezusa zaufaniem, zwierzył Mu się ze swojego zmartwienia i we współczuciu, które On mu okazywał, znalazł pociechę dla swojego skołatanego serca. Z początku z dnia na dzień oczekiwał powrotu syna, z czasem jednak, gdy mijały miesiące i lata, a syn wciąż przebywał z dala od domu, już nawet nie wiadomo gdzie, stracił nadzieję ujrzenia go kiedykolwiek i pogodzony z losem zachował w spokojnej pamięci wspomnienie o lekkomyślnym.

Pewnego dnia bogacz w towarzystwie Jezusa obchodził swój sad figowy i przyglądał się drzewom i pracy najemnych robotników, a przystanawszy przed jednym z drzew, rzekł do Młodzieńca:

– Oto przez trzy lata codziennie tutaj przychodzę i szukam owocu na tym drzewie figowym, a nie znajduję go, przeto zetnij je, dobry Jeszuo, bo po cóż ma ziemię niepotrzebnie zajmować?

Wówczas Jezus poprosił właściciela, aby zezwolił jeszcze przez jeden rok pozostawić drzewo figowe, albowiem okopie i obłoży je nawozem, a jeżeli przyszlą wiosną nie wyda owoców, zetnie je, po czym jakby mimochodem rzucił kilka myśli o cierpliwości i o nadziei, i umiejętności czekania na wszystko, co się spóźnia, co może jest w drodze, co może już się zbliża, co może już wraca, chociaż nie możemy tego jeszcze dostrzec ludzkimi oczami i usłyszeć ludzkimi uszami z powodu ich

nadmiernej ospałości, a nawet tępoty. Właściciel zrozumiał łagodną przymówkę Jezusa, zgodził się z Jego zdaniem, a Młodzieniec dziękował w myśli Elohim, że Go uczynił ogrodnikiem, a nie cieślą, gdyż chciał ratować, a nie wycinać drzewa marnotrawne.

Gdy wieczorem wrócił zmęczony do domu, zastał Josefa leżącego na matach i jak co dzień usiadł u jego wezgłowa, i opowiadał mu dzieje dnia, szczegółowo i dokładnie malując ludzi, z którymi mówił, i zdarzenia, w których uczestniczył lub o których słyszał, albowiem chory chciał wiedzieć wszystko, co się dzieje w najbliższej okolicy, a poza tym opowiadania Jezusa przenosiły go w owe błogosławione czasy, gdy pracował, zarabiał, a w nielicznych chwilach wolnych od zajęć mógł porozmawiać ze znajomymi. Wprawdzie teraz z równym poddaniem błogosławił swoją chorobę – albowiem błogosławił wszystko, co Pan na niego zsyłał, a więc szczęście rodzinne, ubóstwo, ciężką pracę, radość życia i chorobę – ale chętnie przenosił się myślą z pogodnej choroby, do pogodnej przeszłości.

Już było zupełnie ciemno, gdy Jezus, skończywszy swoje opowiadanie o minionym dniu, czekał na zdanie Josefa, który zawsze wypowiadał swoje uwagi o zasłyszanych zdarzeniach, ważył je i oceniał, i potwierdzał słuszność Jezusowych spostrzeżeń i sądów, i nigdy im nie zaprzeczył, gdyż zawsze obaj byli zgodni w ocenie ludzi i wypadków. Josef skubiąc brodę podniósł się na posłaniu, ujął Młodzieńca za rękę, a ponieważ podobnie jak On miał silne skłonności do uogólnień, rzekł z naciskiem:

– Mój syn, Jeszua, jest mądrym ogrodnikiem – co miało znaczyć o wiele więcej niż w rzeczywistości znaczyło, albowiem Josef poznał, że spełnia się jego ukryte życzenie: Jezus wprawdzie nie jest cieślą, ale mimo to dziedziczy po nim miłość do wszelkich drzew.

A wśród nich Jezus

Mijały lata. W Nazarecie nic się nie zmieniło, czas płynął spokojnie, a codzienne życie Jezusa podobne było do życia Jego sąsiadów, krewnych i znajomych. Żył i pracował jak wszyscy mieszkańcy miasteczka, codziennie z nimi rozmawiał, słuchał ich opowiadań, spotykał się z nimi przy pracy, w gospodzie, w synagodze, pielgrzymował w ich towarzystwie do Jerozolimy na szalosz regalim, na trzy Wielkie Święta, rozprawiał o sprawach religijnych na rynku i w beth hasefer, do którego często przychodził na dyskusje z chazanem, kantorem, tłumaczem i innymi mężami uczonymi w Piśmie Świętym.

Co rok żęncy żęli sierpami zboże, a idący za nimi najemnicy, a wśród nich Jezus,

układali je w snopy, zwozili na klepisko, a ten i ów świadomie strącał na ziemię trochę kłosów, a niekiedy nawet i cały snop, mając w pamięci szlachetnego Boaza i ubóstwo pięknej Ruth, i przykazanie proroka Mojżesza zapisane w Dewarim: „Jeżeli będziesz żąć we żniwa na swoim polu i zapomnisz snopka na roli, nie wrócisz się, aby go zabrać, lecz zostanie dla wdowy, sieroty i obcego, aby ci błogosławił twój Bóg, Adonaj, we wszystkim, co czynić będą twoje ręce”.

Co rok odbywało się winobranie; robotnicy, a wśród nich Jezus, zrywali czerwone grona, przenosili je w wiklinowych koszach do tłoczni, gdzie je chłopcy i dziewczęta przy towarzyszeniu śpiewów deptali w kamiennych kadziach bosymi stopami.

Co rok najemni pracownicy, a wśród nich Jezus, zbierali figi i suszyli je w słońcu, co rok strącali trzcinami dojrzałe oliwki i rozgniatali je między młyńskimi kamieniami, co rok użalali się mieszkańcy Nazarethu na tych samych przewrotnych włodarzy, na podstępnych bogaczy i niesprawiedliwych sędziów, co rok następowały te same pory deszczowe, upały i chłody, a czoło Miriam wciąż pokrywało się nowymi zmarszczkami, gdy patrząc na Josefa, widziała, jak powoli, ale nieuchronnie uchodzi z niego życie.

Był letni dzień. Jezus o świcie udał się w drogę do winnicy smutnego bogacza, u którego pracował jak inni najemnicy za dzienną płacę jednego denara, i przybywszy do jego posiadłości, przystąpił natychmiast do zrywania gron, zwisających ciężkimi kiściami z winnej latorośli. Dzień był bardzo gorący. Od kilku godzin wiał chamsin i podrywał tumany czerwonego pyłu, wskutek czego zmęczeni robotnicy nie nadążali z pracą, co widząc bogacz kilkakrotnie sprowadzał z Nazarethu robotników, gdyż chciał przed wieczorem ukończyć winobranie. A gdy nadszedł upragniony wieczór i rozpalone słońce zaszło za łysymi górami Gilboa i kędzierzawym szczytem Karmelu, smutny bogacz kazał swojemu rządcy zwołać robotników i wypłacić wszystkim równe wynagrodzenie: tym, co przyszli ostatni do pracy, i tym, co pracowali od wczesnego ranka. Więc ten i ów szemrał przeciw gospodarzowi, mówiąc, że jest niesprawiedliwy, gdyż zrównał tych, którzy cierpliwie znosili ciężar pracy i upału od świtu do wieczora, z tymi, którzy pracowali zaledwie przez jedną godzinę. A wówczas bogacz odpowiedział szemrającemu robotnikowi:

– Nie wyrządzam ci krzywdy, przyjacielu, albowiem godząc cię do pracy umówiłem się z tobą, że otrzymasz jednego denara, weź go zatem i idź, i pozwól mi uczynić to, co chcę uczynić, i nie patrz na mnie złym okiem, że jestem dobry.

Tak mówił, a Jezus, stojąc na uboczu i ściskając w dłoni denara, słyszał, jak niezadowoleni i krótkowzroczni robotnicy odchodząc wciąż sarkali, gdyż nie rozumieli hojności bogacza i jego dobroci ani nie wiedzieli, że przeciw dobroci nie

należy szemrać ani nikomu nie wolno odejmować prawa czynienia łaski, albowiem tylko niewielu zdoła zapracować na swoją zapłatę, a reszta – wśród tej reszty w każdej chwili sami możemy się znaleźć – zdana jest tylko na dobroć bliźniego. Tak myślał Jezus, a w ślad za Jezusem to samo myślał smutny bogacz – smutny, rozumie się, w ziemskim znaczeniu – a myśląc, czynił według tego, co myślał Jezus, który podzieliwszy swoją obecność pomiędzy biednego najemnika a właściciela winnicy, z ich działania ułożył nową przypowieść i nasycił ją światłem swojej mądrości.

Ale światło to zabłysło jeszcze pełniejszym blaskiem, gdy kilka dni później nagle o zachodzie słońca ukazał się na drodze prowadzącej do domu bogacza nędzarz w łachmanach, o twarzy żółtej i wychudzonej. Ojciec, który stał wówczas na progu domu, ujrzawszy syna wracającego z dalekiej włości – był to ów syn, który przed laty opuścił dom rodzinny i wywędrował w świat – bez słowa wyszedł mu naprzeciw, objął go, a gdy Marnotrawny padł do jego nóg i płacząc wyznawał: – Ojciec, zgrzeszyłem przeciw niebu i przeciw tobie, już nie jestem godzien zwać się synem twoim – stary ojciec uśmiechając się – Jezus stojący opodal dobrze ten uśmiech zapamiętał – zwrócił się do sługi i zawołał: – Przynieście najlepszą szatę, a przyodziejcie go, włóżcie też pierścienie na jego palce, a sandały na jego nogi i niechaj przywiodą tuczonego cielca, i zabijcie go, i jedzmy, i weselmy się, albowiem mój syn umarł, a teraz ożył, zaginął był, a dzisiaj odnalazł się. – Tak wołał szczęśliwy ojciec, a wtedy w Jezusie nastąpiło tak bardzo przez Niego upragnione przesunięcie postaci i wartości, bogacz całkowicie stracił rysy swojej twarzy i stało się, że bogacz nie był bogaczem, był kimś innym, a w swojej inności był całkowitą doskonałością Tego, kim był, obrazem Nieskończoności, a wiadomo, że Nieskończoność potrafi się ukryć nie tylko pod postacią anioła, lecz również człowieka, który będąc człowiekiem, nic o tym nie wie, że jest tymczasową przerośnięcą Wszechmocy. Ta świadomość pogłębiła się o drugą świadomość, o wiedzę o śmierci i zmartwychwstaniu, albowiem wszechbogata Nieskończoność wyraźnie mówiła o swym zmarłym, a obecnie zmartwychwstałym synu, który umarł, ale powrócił do życia, do domu Elohim, do Początku, Wątka i Końca wszechrzeczy.

Wielka była radość tego wieczoru w domu bogacza. Gospodarze, rodzeństwo, nawet starszy syn, który z początku nieprzyjaznym okiem patrzył na wyniesienie młodszego brata, krewni, robotnicy, najemnicy, a wśród nich Jezus, ucztowali do późnej nocy przy dźwiękach kapeli i śpiewie biesiadników i radowali się radością ojca z powodu zmartwychwstania jego syna.

Przy miejskiej bramie

Słońce już zaszło.

Kobiety gwarzyły u studni, opowiadały sobie plotki, kłóciły się i chichotały, a mężczyźni, zmęczeni całodzienną pracą, wracali do domów, radzi, że będą mogli wypocząć na trzciniowych matach. Ale niektórzy spośród nich, spragnieni poważnych rozmów i uczonej wymiany myśli, siedzieli przy miejskiej bramie i zażywając wieczornego chłodu rozprawiali o wydarzeniach minionego dnia i roztrząsali trudne zagadnienia prawne i religijne. Po każdej oracji słuchacze zachwyceni wywodami mówcy zamykali oczy i głośno rozkoszowali się jego mądrością, gdyż wiedzieli, że i on również nie będzie skąpił wdzięcznych pochwał temu z nich, który z kolei przemówi.

Jezus, który właśnie wracał z pola do domu, spostrzegłszy w miejskiej bramie kilku cieszących się powszechnym szacunkiem faryzeuszy, wśród nich chazana, kantora i tłumacza, zatrzymał się, a słysząc, jak tłumacz żywo rozprawia o Mesjaszu – temat ten od niepamiętnych wieków pasjonował każdego syna Izraela, wprawiając go w stan podniosłej euforii – usiadł opodal na kamieniu i oparłszy brodę na dłoniach przysłuchiwał się rozmowie uczonych w Piśmie. Tłumacz mówił właśnie o zewnętrznym wyglądzie Mesjasza, o Jego głowie jak Hermon, o Jego włosach jak kędzierzawa wełna owiec, o Jego dłoniach i rękach mocnych jak cedry Libanu, a opisawszy Jego fizyczne zalety – całkowicie odpowiadały one powszechnym wyobrażeniom o Pomazańcu Bożym – począł mówić o zjawiskach i znakach, które towarzyszyć będą Jego zjawieniu się na ziemi. Podniósł głos. Wpatrzony przed siebie, w nocne ciemności, jakby czytał w nich dzieje Mesjaszowych dni, mówił głosem natchnionym, ale z trudem i wysiłkiem, gdyż każdym słowem dawał wyraz tej prawdzie, która głosi, że słowo jest Prawdą, ale jest równocześnie wielkim uciskiem.

– A w owe dni – mówił – z drzew płynąć będzie krew i krzyczeć będą kamienie, środkiem nocy płynąć będzie rzeka dnia, a środkiem dnia popłynie rzeka nocy, księżyc podskoczy na niebie jak zraniona łania, a myśl ludzka wróci pokornie do swojej klatki jak obłaskawiona pantera. Góry przemówią ustami powracającego proroka Elijahu, rozbrzmiewać będzie wielki łoskot jego wozu pędzącego po niebie i ziemi, a wówczas korzenie sprawiedliwego człowieka wzmocnią się i nie będą wyrwane z gleby sypkiej i kamienistej, spulchnionej i twardej.

Odsapnął i chcąc zatrzeć wrażenie grozy, którą roztoczył przed słuchaczami, zmienił ton i przeszedłszy do wyjaśnienia Boskiej misji Pomazańca, wyrzekł się teraz poetyckiej kwiecistości i nadmiaru patosu i mówił prosto i rzeczowo. Mówił o tym,

że Mesjasz zawsze istniał, że istniał przed początkiem świata, że narodził się przed ziemią i niebem, słońcem i gwiazdami, a Bóg ukrył Go w wieczności i postanowił posłać na ziemię w swoim czasie i powołać do człowieczego życia w Izraelu w rodzie Dawida, na chwałę Izraela i rodu Dawidowego, aby był łaską sprawiedliwych i światłem świata, i nadzieją tych, którzy znają Pana...

W tym miejscu chazan począł mrugać powiekami, a ponieważ był krewkiego temperamentu, zawołał:

– A tych, którzy Go nie znają?

Zapadło milczenie, tłumacz spojrział okiem bazyliżka na chazana, ale opanował się i ciągnął dalej swoją opowieść, lecz czuło się, że wraz z nieogłędym, choć słusznym pytaniem chazana zarysowała się pierwsza szczelina w dotychczasowej jednomyślności zgromadzonych.

– Władza Pomazańca – wywodził tłumacz – rozciągać się będzie nad wszystkimi ludami, które odda On pod władzę Izraela, a poniżony Izrael podniesie róg swój, rozprostuje swoje członki i nastanie Królestwo Boże na ziemi, ale poganie nie będą mieli do niego dostępu, albowiem nie będą mieli dostępu ci, którzy nie znają Pana. – Tu tłumacz przerwał swoje wywody i spojrzawszy z ukosa na chazana, dodał z naciskiem: – Którzy nie znają Pana. – Umilkł i czekał, a muskuły jego twarzy nerwowo drżały, a na jego czole wystąpiły dwie sine żyły, groźne jak gotowe do ukąszenia żmije.

Chazan uśmiechnął się nieszczerym uśmiechem i udając spokój i opanowanie wycedził przez zaciśnięte wargi:

– Mesjasz, który przyjdzie na ziemię, pobłogosławi znajomością Tory wszystkie ludy świata.

– Tora nie jest dla pogan – przerwał tłumacz.

– Poganin, który zna i kocha Torę, nie jest więcej poganinem.

– A kim jest? – tłumacz podniósł do góry wskazujący palec prawej ręki, a ponieważ chazan milczał, jego przeciwnik słusznie uważał, że zabrakło mu argumentów, więc zatoczywszy w powietrzu szeroki łuk wskazującym palcem, nagłym i prostopadłym ruchem opuścił go ku dołowi, a gest ten przypominał lot sępa spadającego z góry na bezbronną ofiarę. – Synem Izraela? – krzyknął. – Synem wybranego narodu? Potomkiem Abrahama, Jicchaka i Jaakowa?

Chazan odchylił głowę ku tyłowi, zmrużył oczy i mierząc baczny spojrzeniem przeciwnika, rzekł:

– Elohim nawet poganina potrafi uczynić potomkiem Jaakowa, jeżeli Go poganin o to prosić będzie.

– Co?! – ryczał tłumacz. – Poganina uczyni potomkiem Jaakowa? Słyszycie,

synowie Izraela?! Poganina uczyni potomkiem Jaakowa! I dlatego tylko, że poganin o to prosić będzie! Gdzie to wyczytał mój brat chazan?! Gdzie?!

– W Księdze proroka Jesai...

– W Księdze Jesai nie ma ani słowa o tym, że Elohim wysłucha modlitwy pogan. Czy tak? – i chociaż pytał, spojrzał twierdzącym spojrzeniem po obecnych.

– Tak – przyświadczyli chórem.

– Więc gdzie jest napisane, że Elohim wysłucha modlitwy pogan? – oczy tłumacza, wbite w chazana, zamieniły się w dwie wąskie szparki, tak wąskie jak ostrze sztyletu.

– Jest powiedziane, że tych pogan, którzy zechcą czcić Pana i ukochają Jego Imię święte, Pan powie na górę świętą i będzie ona Domem Modlitwy dla wszystkich narodów – chazan jeszcze próbował się bronić.

– Hi, hi – chichotał tłumacz. – Ale czy Jesaja powiedział, że Bóg wysłucha modlitwy pogan? Wysłucha! Brat chazan wyraźnie powiedział, że wysłucha. Czy tak?

– Tak – znów wszyscy przyświadczyli zgodnym chórem.

Chazan zagryzł wargi.

Zapanowała krótka przerwa w burzliwej rozmowie. Chazan nerwowo mrugał powiekami, co świadczyło, że jeszcze nie dał za wygraną – może przygotowywał w myślach niespodziewane argumenty – jednak szala zwycięstwa zupełnie wyraźnie przechyliła się na stronę tłumacza, który wciąż czekał w napięciu i w każdej chwili był gotów, gdyby chazan znowu chciał odpowiedzieć, zadać mu ostateczny cios ostrzem nieodpartych cytatów.

Skorzystamy z krótkiej przerwy w dyskusji, aby wyjaśnić czytelnikowi, że z tej nadmiernie ożywionej rozmowy nie powinien wyciągać zbyt pochopnych wniosków o powszechnym zaślepieniu synów Izraela, bo wprawdzie wielu spośród nich nie widziało tego, co powinni widzieć, jednak należy pamiętać, że byli ludem podbitym, nieszczęśliwym, a ludzie uciemienieni tracą często nie tylko zdrowy sąd o zjawiskach, ale wskutek zachwianej równowagi dziejowej popełniają błędy, a nawet grzechy, których może nigdy by się nie dopuścili, gdyby żyli życiem wolnym i sami stanowili o swoim historycznym losie. Na dowód częściowej słuszności tych spostrzeżeń – mogą one być jak wszystko, co ludzkie, równie trafne, jak i błędne – zacytujemy wystąpienie małego farbiarza, człowieka rozsądnego i zrównoważonego, który właśnie, podniósłszy do góry dłoń i poruszając nią w powietrzu jak wachlarzem, co czyniło wrażenie, że chłodzi nią rozpalone twarze przeciwników, przemówił spokojnym, ale mocnym głosem:

– Lud Izraela cierpi z powodu Rzymian, niechaj imię ich będzie wymazane

z pamięci ludzkiej. Dlatego Pomazaniec, niech Imię Jego będzie błogosławione, przyjdzie zbrojny od stóp aż do głowy, a w Jego dłoni będzie miecz obosieczny, a na Jego ramieniu tarcza słoneczna, a Jego oczy będą jak oczy orła, a Jego głos zabrzmie jak uderzenie pioruna. Nie kłóćcie się. Czy nie ma już więcej w sercach waszych miłości do ziemi waszych ojców? Czy nerki wasze obumarły, oczy oślepyły, a uszy wasze ogłuchły? Nowy Dawid przyjdzie i wyswobodzi nas od jarzma pogan, i to będzie Jego pierwsze dzieło, albowiem nie ma Królestwa Bożego na ziemi i nie ma sprawiedliwości na ziemi, dopóki czciciele kamiennych bogów zanieczyszczają swoją obecnością ziemię naszych praojców.

– Słusznie mówi, słusznie mówi, jego słowa są mądre i niechaj dotrą do uszu Elohim – potakiwali słuchacze i kładli dłonie na ustach, i głośno chwalili mowę farbiarza.

Wtedy jeden spośród nich, kamieniarz, przemówił ostrym, kogucim dyszkantem, jakby chciał samym jego tonem zaświadczyć przed zebranymi o ważności tego, co powie, i obudzić uspięne sumienia.

– Czy już zapomnieliście zeloty Judy Galilejczyka – piał – walczącego przeciw Rzymianom? Wystarczyło, by Juda kochał Pana i wolność i walczył jak lew, a wielu spośród was podniosło gromkie głosy i wołało, że jest Mesjaszem zesłanym przez Pana Cebaoth dla wyzwolenia Izraela. Juda zginął, a jego zwolenników poganie tysiącami przybijali na krzyże, a wyście głowy zwiesili jak głupie cielęta i poddali się rozczarowaniu i rozpacz. Wystarczyło, by nauczyciel sprawiedliwości – jakiej sprawiedliwości? – kazał na judejskiej pustyni i powstawał przeciw arcykapłanom, i gromił przepych, zbytek i bezbożność, a już krzyczeliście, że przyszedł Mesjasz, i widzieliście po nocach synagogi wędrujące do nieba i praojców zmartwychwstających z grobów. Umiaru i rozwagi w was nie ma! Dlatego ostrzegam was surowym ostrzeżeniem przed lekkomyślnym upatrywaniem Pomazańca w każdym wojowniku powstającym przeciw Rzymianom i w każdym pustelniku wołającym na pustyni, a przede wszystkim ostrzegam was przed fałszywymi pomazańcami, abyście potem nie popadli w rozpacz i rozczarowanie, i w rozterkę, i nie szli jak niewolnicy na hańbiący krzyż, i aby siły wasze nie były podzielone na cztery wiatry.

Przemówienie kamieniarza mimo karcącego tonu – lubili zresztą ten karcący ton, bo był on dowodem ważności Izraela i ich ważności w Izraelu – podziało łagodząco na nastroje, zwłaszcza że jego apel o zachowanie czujności i umiarkowania podnosił ich do godności strażników Boskiego skarbu, co im niezmiernie schlebiało i wzbijało ich w dumę, gdyż poczuli się odpowiedzialni za jego całość i bezpieczeństwo.

A chazan przestał mrugać powiekami. Wprawdzie wciąż patrzył spode łba, ale tego spojrzenia nie należy tłumaczyć w duchu dla niego nieprzychylnym, gdyż nie był mściwy i uparty i często się zdarzało, że podczas dyskusji, przekonany argumentami przeciwnika, przyznawał mu wielkodusznie słuszność, i głośno ogłaszał się za pokonanego. Jednak tym razem zdawał sobie sprawę z tego, że wywody tłumacza były błędne. A owo spojrzenie spode łba kierował do swojego wnętrza, gdyż był zły na siebie (jestem nieuk, am haarec – tak w duchu siebie nazywał), że nie umiał znaleźć dowodu, którym by odparował wywody przeciwnika. A takie dowody istniały, na pewno istniały. Ale w której z ksiąg? W Torze? W Pismach Proroków? Czyżby się starzał? Czyżby pamięć go zawodziła? A poza tym – i to było chyba najważniejsze – czyżby naprawdę uwierzył w Mesjasza jako wybawiciela wszystkich ludów? Pamiętamy jego niepokój podczas uroczystości bar micwe, gdy Jezus mówił o Wężu podwyższonym, który zbawi wszystkich ludzi świata. Chazan – tego dnia wieczorem był na ucztach w domu Jezusa – wciąż się spodziewał, że jego ukochany uczeń skorzysta ze sposobności i radosnego nastroju i wyrazi przezorne niezadowolenie z powodu swojego przejęzyczenia. Ale Jezus milczał. Wówczas nauczyciel już całkowicie umocnił się w przekonaniu, że Jezus wypowiedział te słowa po głębokim przemyśleniu ich sensu i skutków. I chazan przeląkł się. Nie śmiał o tym mówić z Jezusem, gdyż od pewnego czasu – jak już o tym wspomnieliśmy – czuł się wobec Niego onieśmielony, ale jeszcze tej samej nocy wrócił do beth hasefer i do rana ślęczał nad świętymi Pismami, i znalazł ku swej wielkiej radości czarno na białym w Księdze Jesai wersety świadczące o słuszności Jezusowego stanowiska. Przeczytał raz, drugi i trzeci, i jeszcze raz, i jeszcze raz. – No, tak – myślał teraz chazan, siedząc zgnębiony w miejskiej bramie – ale u Jesai naprawdę nie ma ani słowa o tym, że Elohim wysłucha modlitwy pogan, a to jest teraz najważniejsze, bo gdyby było napisane, że wysłucha – gładził brodę mokrą od rosy, albowiem już zapadła noc – to byłby dowód potwierdzający moje przypuszczenie, że poganin wyznający wiarę Izraela może stać się dzięki dobroci Elohim potomkiem Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, czyli dziedzicem wybraństwa. A tak? – znów pogładził brodę i wyrzucał sobie w duchu, że w swej niepohamowanej gwałtowności niepotrzebnie wmieszał się do dyskusji i lekkomyślnie wyraził przekonanie, którego nie mógł ani obronić, ani udowodnić cytatem z Pisma Świętego. Mógł się cofnąć i z wyniosłą pokorą przyznać się do klęski, ale tym razem nie chciał tego uczynić, gdyż wprawdzie zabrakło mu argumentów na potwierdzenie wypowiedzianej tezy, lecz intuicyjnie czuł, że takie argumenty istnieją, a jeśli ich nie zna, nie jest to dowodem mylności jego twierdzenia, i tylko świadczy o jego karygodnym nieuctwie. A do nieuctwa nie chciał się

przyznać. Więc jak może skapitulować, skoro mimo braku dowodów wierzy w słuszność swojego wyznania?

Siedzieli zadumani i byli radzi, że po namiętej dyskusji mogą w spokojnym uniesieniu podziwiać wygwieżdzone gorące niebo, z którego spadały gwiazdy na ziemię, a to niepojęte zjawisko tłumaczyli sobie jedni dosłownie, drudzy przenośnie, ale wszyscy widzieli w nim Wszechmoc Elohim, więc poczęli sobie wyobrażać, jak piękne będzie nocne niebo w godzinę zjawienia się na ziemi Syna Człowieczego, skoro dzisiaj bez żadnego powodu jest ono tak wspaniałe i podniosłe.

– Po co mamy się sprzeczać? – odezwał się krawiec, który dotychczas milczał. – Po co? Najważniejsze jest to, że Mesjasz przyjdzie uroczyście, widomie i jawnie – pod tym względem wszyscy jesteśmy zgodni – a nie ukryty i cichy, i utajony, a poza tym nikt z nas nie może wiedzieć, co będzie potem, czy nastanie dzień gniewu Elohim, czy dzień szczęścia, czy dzień pokuty, czy dzień radości, czy dzień panowania Izraela nad wszystkimi ludami, czy dzień nawrócenia ludów ku Panu. Kto może wiedzieć? Kto? Módlmy się o to, byśmy doczekali tych dni i spojrzeli na Mesjasza żywymi oczami z krainy życia, a nie z krainy prochu, a wtedy dowiemy się, czy Izrael zapanuje nad ludami, czy ludy ukorzą się przed Elohim, czy poganin nawróci się ku Panu i czy Pan wysłucha jego modlitw.

Gdy skończył, tłumacz, który był człowiekiem nieustępliwym, już otwierał usta, by odpowiedzieć na ugodowe przemówienie krawca – prawdopodobnie chciał wytoczyć przeciw niemu nowe i ważne dowody – gdy wtem usłyszeli szelest w ciemnościach i ujrzeni przed sobą postać Męża, którego rysów z powodu mroku nie mogli rozeznaczyć. Mąż, wskazując wyciągniętym palcem na chazana, rzekł:

– Król Salomon w dniu poświęcenia Świątyni Pańskiej na górze Moria tymi słowami się modlił: „Również i cudzoziemiec, który nie wywodzi się z Twojego ludu izraelskiego, ale przybędzie z dalekiej krainy dla Imienia Twojego – albowiem wszędzie rozebrzmi Imię Twoje wielkie i wieść o Twej potężnej ręce i objawionej Twej mocy – jeżeli zatem przyjdzie i będzie się modlić w tej Świątyni, Ty w niebiosach, w stolicy Twego władania wysłuchaj go i uczyni to wszystko, o co ten cudzoziemiec będzie Cię prosił, aby wszystkie ludy ziemi poznały Imię Twoje... „

To rzekłszy, oddalił się i znikł w ciemnościach nocnych, a oni poznali, że to był Jezua ben Josef.

Twarz chazana poczerwieniała, a w jego oczach zabłysła radość, a potem duma, jakby sam znalazł w Księdze Królewskiej tych kilka zdań potwierdzających słuszność jego wywodów. Spojrzał tryumfująco na bezradnego tłumacza i na zaskoczonych towarzyszy i skoczył na równe nogi, gdyż chciał pobiec za Jezusem, aby Go uścisnąć i podziękować za okazaną mu pomoc, ale w tej chwili kilka gwiazd

oderwało się od firmamentu i złotą smugą runęło w czarną przepaść nocy.

I wszyscy spojrzeli w niebo.

Śmierć Josefa

Jezus wrócił do domu. Przystanąwszy w progu, rozejrzał się po izbie, ale pełgający w kącie wąty płomycek oliwnej lampy raczej pogłębiał, niż rozpraszał panujące wewnątrz ciemności. Matka siedziała na ziemi u wezgłowia Josefa, trzymała dłoń męża w swojej dłoni i kołysząc się na boki modliła się tak żarliwie, że nawet nie zauważyła obecności Syna. Jezus usiadł pod ścianą i patrząc na równy profil matki, na brew zbiegającą cienką, ale mocno zarysowaną linią ku nosowi, na lekko wysunięte ku przodowi wargi, śniade policzki i owalny podbródek, pomyślał, że ciemność jest niekiedy dobroczynna, gdyż zaciera działanie czasu na twarzy ludzkiej i miłosiernie wyrównuje zmarszczki. Młodzieniec poczuł na sobie wzrok ojca. Josef patrzył na Niego szeroko otwartymi, przytomnymi oczami. Malowała się w nich spokojna i mądra bezsilność, jedna z tych bezsilności, które budzą podziw i lęk, gdyż są owocem doświadczeń pochodzących z porównania przemijalnego ze zbliżającym się, z oceny spraw dokonanych i nie znających końca. Jego krótko strzyżona szpakowata broda nad chudą szyją poruszyła się raz i drugi, a ruch ten był może refleksem drżących warg, które chciały coś powiedzieć, a może jakiejś nurtującej go myśli, której nie zamierzał wyjawić, a może radości, że żegna się z życiem, chociaż na pewno z równą radością witałby powrót do zdrowia. Jezus podszedł do łoża i pochylił się nad chorym, który uśmiechnął się i uśmiechem tym dał do zrozumienia Synowi, że cokolwiek wyczyta w jego drżących wargach, będzie tylko potwierdzeniem woli Pana. Miriam przestała się modlić, spojrzała na Josefa, ale o nic go nie spytała, gdyż podobnie jak Syn milcząco zrozumiała jego uśmiech. Podniosła się z ziemi i podczas gdy przygotowywała wieczerzę, Jezus usiadł przy chorym i jakby ten dzień miał być podobny do wszystkich poprzednich, i był jeszcze jednym dniem poprzedzającym dzień następny, począł mu opowiadać, jak to zwykł czynić codziennie, o zdarzeniach minionego dnia i dobierał je starannie według treści, nastroju i lekkiej ważności, gdyż chciał nimi rozweselić cieślę i dlatego często wplatał w nie pogodne epizody, i wyciągał z nich pokrzepiające i zabawne wnioski o ludziach i wypadkach, tak zaskakujące, że Josef mimo znużenia słuchał Go z nie słabnącym zaciekawieniem i przytomnością umysłu. Właśnie Jezus kończył opowiadać pewne zdarzenie, a Miriam niosła na półmisku suszoną rybę, gdy cieśla, pochyliwszy głowę na piersi, popadł w omdlenie. Leżał z półotwartymi ustami bez kropli krwi w twarzy. Półmisek wypadł z rąk niewiasty. Podbiegła do męża

i pomogła Jezusowi podźwignąć go w górę i równo ułożyć na macie. W beładnym pośpiechu zwilżali wodą jego wargi, szyję i czoło. Otworzył oczy. Poruszył wargami. Na jego twarzy, do której znów napłynęła krew, ukazał się grymas ulgi, przechodzący w kojące wycieńczenie, ale Miriam nie wiedziała, czy ta ulga oznacza chwilową klęskę Malach Hamowet, Anioła Śmierci, czy jego ostateczne zwycięstwo. Klęczała u wezglowia męża i głaskała go po głowie, a Jezus, pozbierawszy z ziemi ryby i skorupy rozbitego półmiska, położył je na stole, po czym spokojnie oczyścił palcami knot oliwnej lampy, wrócił z powrotem do łoża chorego i usiadł u jego stóp, ale już podczas wykonywania tych czynności znowu poczuł skierowaną na siebie uwagę ojca, pełną prostodusznej wiary w szczęśliwy powrót do zdrowia, wiary świadczącej, że cieśla mimo swej służebnej bezsilności pragnął jeszcze żyć i radować się życiem.

Więc patrzył na swojego Syna, który nie był jego synem.

Kim był ten jego – nie jego Syn? Kim był ten Młodzieniec, którego spojrzenie nie spoczęło na żadnej z nazarethańskich dziewcząt? Kim był ten młody Mędrzec, umiejący z rzeczy widzialnych wydobywać niewidzialne, ten Uczony, podziwiany powszechnie dla swej bystrej i wzorowej znajomości Pisma Świętego, który nie chciał wyjechać do Jerozolimy, by kształcić się pod okiem wielkiego Gamaliela? Josef, wciąż nie spuszczać wzroku z Jezusa, przypomniał sobie dawne czasy swojego narzeczeństwa, marzenia o licznej rodzinie, o synach, córkach i wnukach, a potem przerażenie swoje, gdy dowiedział się o błogosławionym stanie małej Miriam. I znowu się zawstydził swojego przerażenia, i wyciągnął dłoń do Miriam, i szepnął: – Przebacz mi, niewiasto, żono moja. – A Miriam, słuchając tych słów, nie rozumiała, co ma przebaczyć Josefowi, i nie rozumiejąc, skinęła potakująco głową. Zamknął powieki. Wykonał słaby przeczący ruch ręką, który miał oznaczać, że nie potrafi przeniknąć do sedna Tajemnicy, ale był szczęśliwy, że uczestniczy w niej duszą i ciałem. Jego twarz wypogodziła się, złagodniała, zapadłe policzki i skronie wypełniły się młodzieńczą świeżością i był znowu – Miriam to natychmiast zauważyła – tak piękny jak wówczas, gdy biegł ku niej ze wzgórza, skakał przez kamienie i rowy jak jeleń, przywołując ją z dala jej imieniem, które – jego zdaniem – roztaczało różany zapach jak olejek rozlany na dłoni. A potem przysła chwila Zwiastowania. Miriam pochyliła głowę. Wrócił do niej odległy czas rozmowy z Wysłannikiem, którego postać mimo upływu wielu, wielu lat wciąż widziała wyraziście przed oczami, z tym jedynie zastrzeżeniem, że gdy wówczas zdawało się jej, iż Go widzi po raz pierwszy, z biegiem lat upewniła się w przekonaniu o Jego nieustannej obecności w jej pobliżu, może nawet w niej samej, na długo, długo przed Jego bezcielesno-widocznym przybyciem do nazarethańskiej izby. A potem

przypomniała sobie boleść Josefa. Przypomniała? Domyśliła się jej, gdyż Josef ani jednym słowem nie wspomniał przed nią o swoim niepokoju, ani też dobry Zecharia – niech będzie błogosławiona jego pamięć – nie opowiedział jej o niepokoju Josefa. Cierpiał w ukryciu. Gdy stanął przed nią, blady i upokorzony swoim minionym niepokojem, jej serce wypełnione było dla niego wielką miłością, tak wielką, że chciała rzucić mu się do kolan i błagać o przebaczenie, chociaż była czysta i nieskalana, a może właśnie dlatego, że była czysta i nieskalana. Pamiętała tę radosną żalność i wyrzeczenie w jego oczach, gdy rzekł do niej z głębokim zaufaniem, kładąc rękę pod swoim biodrem: – Wejdz pod dach mojego domu, Miriam moja. – A teraz pomyślała, że powinna pokłonić się jego ofiarności, dobroci i wyrzeczeniu i na przekór logice i prawdziwemu biegowi zdarzeń prosić go o przebaczenie za to trudne szczęście, jakie mu ofiarował Elohim. Pochyliła się nad jego łóżem i ucałowała jego dłoń, i rzekła: – Przebac mi, Josefie, mężu mój. – A Josef, słuchając tych słów, nie rozumiał, co ma przebaczyć Miriam, i nie rozumiejąc, skinął potakująco głową. Potem słabym głosem poprosił o wodę, pociągnął kilka łyków i o własnych siłach – nie chciał, by mu pomogli – podniósł się na postaniu, i szepnął:

– Uklękajcie.

Uklękli.

Na głowie Jezusa spoczęły gorące, spocone dłonie ojca, który nie był Jego ojcem. Syn pochylił głowę, jak mógł najniżej, gdyż z pierwszymi słowami jego błogosławieństwa, kojącymi jak strumień ciepłej oliwy, wyobraził sobie, że ten, który go teraz błogosławi, jest samym Elohim. Ale to, co mówił teraz Josef, nie było już właściwie błogosławieństwem, lecz stwierdzeniem dokonanych faktów, zamknięciem tajemniczego kręgu Ojca i Syna, i Ducha, który w dniu bar micwe przemówił ustami Syna, nie-syna, przeświadczeniem tego, co zostało postanowione lub dokonane, a to wychodzi na jedno, gdyż to, co Elohim postanawia, jest już samo w sobie dokonane, a czas, czekanie i nasłuchiwanie są tylko śmieszno-tragiczną miarą – czy przywilejem – człowieka.

Cieśla mówił:

– Boże Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, który uczyniłeś Jeszue Światłem, Miłością, Dobrocią i Mądrością, obdarz przez Niego Łaską Światła, Miłości, Dobroci i Mądrości lud Izraela na całą wieczność. Amen.

Po czym położył dłoń na głowie niewiasty i mówił:

– Boże Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Boże Izraela, zachowaj w opiece swojej tę niewiastę, która chodzi przed Twoim obliczem i była koroną mojego życia. Uczyn ją szczęśliwą i daj jej pogodną starość i chleb powszedni, i radość oglądania jej Syna aż po koniec jej najdłuższych lat, i roztocz nad nią skrzydła Twoich aniołów, jak

roztoczyłeś je nad Rebeką i Sarą, nad Rachel i Leą. Amen.

Dłonie Josefa zakołysały się w powietrzu – Jezus objął go i podtrzymał – z ust chorego, chwytającego z trudem powietrze, wysoczyły się słowa Szema Israel – resztę zdania zagłuszył kaszel – i Josef ben Jaakow, cieśla, osunął się w ramiona swojego Syna, nie-syna.

Nie żył.

Jezus zamknął jego powieki i usta. Wyprostował się i modląc się szeptał:

– Jitgadal wejtkadasz szeme raba, bealma diwra chirte wejamlich malchute be chajechon uwjomechon uwechajej dechol beth Israel baagala uwizman kariw. Amen. – Niechaj będzie Imię Pana wywyższone i uświęcone w świecie, który stworzył według swojej woli. Niech panuje Królestwo Jego w życiu waszym, i za dni waszych, i w żywocie całego domu Izraela, teraz i w przyszłości. Amen.

Miriam wybuchnęła płaczem, ale ów płacz nie był płaczem sprzeciwu, lecz zgody.

Czas milczenia

Po śmierci Josefa powstała w domu bolesna pustka. Jezus siedział przy stole w piątkowe wieczory na honorowym miejscu, gdyż teraz był głową rodziny, odmawiał nad winem kidusz, błogosławił Szabat, królowę tygodnia, i śpiewał pieśni wielbiące jej majestat i piękność. Ludziom postronnym wydawało się, że z biegiem lat zblizniają się bolesne wspomnienia w sercach Jezusa i Miriam, ale na pewno zmieniliby swoje zdanie i zwątpili o kojącym działaniu czasu, gdyby słyszeli westchnienia niewiasty, przywołującej nocą przez sen zmarłego męża, lub widzieli Jezusa, gdy biorąc do ręki młotek, obcęgi i gwoździe z warsztatu cieśli – w walącym się domu wciąż trzeba było coś naprawiać, przybijając, sklejać i wiązać – przyglądał się ze smutkiem martwym narzędziom, jakby chciał znaleźć na nich żywe ślady spracowanych palców ojca.

Czas płynął. Jezus pracował, modlił się, rozmyślał, chodził do beth hasefer na rozmowy ze starszym, ale wciąż krzepkim na umyśle chazanem-faryzeuszem, niekiedy przysłuchiwał się dyskusjom w miejskiej bramie, gdzie opowiadano o wypadkach w Jerozolimie, w dalekim Rzymie i o budującym się mieście nad Jeziorem Galilejskim. Jezus dowiedział się, że po śmierci Augusta na tronie cesarskim zasiadł jego pasierb, Tyberiusz, że nowo mianowany przez niego prokurator Judei z niewiadomych powodów usunął arcykapłana Hanana i powołał na jego miejsce Jizmaela ben Fiabi – niektórzy plotkarze stwierdzili, że prokurator otrzymał prawdopodobnie dużą łapówkę od Jizmaela – że bogaty i potężny Hanan mimo to zachował w swoich rękach handel przyświątynny i wywierał w dalszym

ciągu przemożny wpływ na społeczeństwo jerozolimskie, a znienawidzony przez ludność tetrarcha Galilei, Herod Antypas, postanowił nazwać nowo powstające miasto nad brzegami Galilejskiego Jeziora, na cześć cesarza – Tyberiada. Ta Tyberiada była przedmiotem wielkiego zainteresowania i powszechnego oburzenia Galilejczyków, gdyż robotnicy podczas kopania fundamentów natrafili na stare cmentarze. Należało więc zaprzestać dalszych prac, albowiem według Zakonu był to teren nieczysty. Ale tetrarcha, nie bacząc na religijne przepisy Izraela i wając je lekce, dalej budował miasto, a nawet w swym niedawno wzniesionym pałacu umieścił posągi wyobrażające postacie ludzkie, a ściany pokrył freskami przedstawiającymi sceny z życia pogan i wskutek tego nieczystość terenu pomnożył jeszcze o nieczystość swojego domu, co było jawnym i niewybaczalnym bluźnierstwem. W Izraelu wrzało. Lud zaciskał pięści, a faryzeusze, wymawiając imię tetrarchy, spluwali i wzywali Pana na świadka tych zbrodni, i błagali Go o zesłanie kary na bezbożnika, i przysięgali, że ich spojrzenie nigdy nie zbruka się oglądaniem jego twarzy, a ich noga nigdy nie przekroczy bram pogańskiej Tyberiady, która pierwiej lub później zapadnie się pod ziemię jak przeklęta Sodoma. Ale tymczasem bezsilny był gniew faryzeuszy i ludu, gdyż potężny tetrarcha, korzystając z poparcia Rzymu i prokuratora Judei, jawnie szydził z zakazów Tory, a czynił to nie tylko dlatego, że kochał się w sztukach pięknych – upajał się zwłaszcza tańcem, czego dowodem był zespół syryjskich tancerek na jego dworze – ale miał w tym również cel głębszy, polityczny, gdyż swym publicznie i chętnie okazywanym umiłowaniem kultury helleńskiej pragnął się przypodobać Rzymianom i zaświadczyć przed nimi swą niechęć do barbarzyńskich zwyczajów Izraela. Od czasu do czasu z obawy przed rosnącą nienawiścią ludu przysyłał hojne dary dla Świątyni Pańskiej i tą podstępna, lisią hojnością kupował sobie przychylność saducejskich notablów.

Takie działy się w owym czasie wypadki historyczne, docierające z dużym opóźnieniem do Nazarethu, i z wolna, lecz coraz wyraźniej układały się w konstelację, w którą według planu Elohim miał być wpisany czas działania Jezusa.

A Jezus tymczasem milczał. Milczał, gdy mówił do matki, do krewnych, do znajomych i najemników rolnych, milczał, gdy mówił o błękitnych kwiatach lnu, które były tak błękitne, że zdawało się, iż niebo w nich się przegłąda, milczał w winnicy, gdy ją oczyszczał z chwastów, milczał popędzając woły, milczał znąc zboże, milczał, gdy za pomocą wiejadła odłączał plewy od ziarna, milczał przez słowa i pracę, przez każde dzieło swojego umysłu, swojego serca i swoich rąk. A milczenie Jego było powtórzeniem milczenia, które panowało przed początkiem świata, zanim niebo i ziemia powstały, zanim El Szaddaj, Wszechpotężny, powołał do życia człowieka, było szukaniem i wypatrywaniem sposobnego czasu, szukaniem

nieszukającym, wypatrywaniem niewypatrującym, gdyż to, co nam się wydaje Bożym szukaniem i wypatrywaniem, jest tylko odgłosem i pomrukiem spraw nigdy przez Elohim nie zagubionych i zawsze przez Niego widzianych, i będących zawsze na czasie poza wszelkim czasem. Więc był to czas, gdy Słowo Jezusa było jeszcze Milczeniem i powoli rodziło się z Milczenia, ale rodziło się tylko dla oczu i uszu ludzkich, rodziło się z utajenia, z ukrycia, z niewidzialności, z niesłyszalności, ale ponieważ każde narodziny kojarzą się w naszej świadomości z zawiązaniem, dojrzewaniem i owocowaniem, a Słowo Jezusowe nie zawiązywało się i nie dojrzewało, albowiem samo w sobie jest zawiązaniem, dojrzałością i owocem, więc owe narodziny miały być tylko radosnym aktem ujawnienia, wyjściem z ukrycia, z utajenia, z niewidzialności i niesłyszalności w ludzką jawność, widzialność i słyszalność.

Jezus milczał.

Pustelnia w Qumran

Świtało, gdy Johanan ben Zecharia po nocy pełnej wstrząsających wrażeń wyszedł z Qumran – bezszelestnie zamknęła się za nim brama pustelni – i objął wzrokiem leżącą przed nim rozległą pustynię, która opadała od wschodu ku brzegom Morza Soli, mieniącego się teraz stalowym blaskiem swoich nieruchomych i ciężkich wód, a od zachodu wspinała się ku górom Judei, ku kamiennemu gniazdu Elohim, świętej Jerozolimie. Za nią, u jej stóp, wśród oliwnych gajów spało rodzinne miasteczko Johanana, Ejn Karem, wraz z jego pustym domem rodzinnym i samotnymi terebintami. Wiele, wiele lat minęło od śmierci jego rodziców. Głęboki strumień czasu upłynął od dnia, w którym opuścił osierocony dom i poszedł na wschód do Zgromadzenia Ubogich z Owczarni. Jako dziecko słyszał z ust swojego ojca, Zecharii – niechaj błogosławiona będzie jego pamięć – o pustelni ascetycznych braci, którzy żyli w stanie bezzennym, nie pili wina i nie strzygli włosów, nie składali krwawych ofiar, nie posiadali własnego majątku i niewolników – ich jedyną własnością była wiara w Elohim i milczenie – i czekali na przyjście dwóch Mesjaszów, kapłańskiego z rodu Aarona i królewskiego z rodu Dawida. Johanan udał się więc do Qumran, spełniając wolę starego kapłana, który marzył o tym, aby jego syn z dala od świata, wśród ludzi wyznających miłość bliźniego, wgłębiał się w tajemnicę Izraela i w jego posłannictwo i kiedyś, po cierpliwie odbytym nowicjacie, doznał łaski oczyszczenia i uczestnictwa we wspólnych sakralnych wieczerzach i milczeniu Ubogich z Owczarni, a wiemy przecież, że Zecharia kochał milczenie, znał jego wartość i sens, sam z woli anioła przez długie miesiące milczał

i w milczeniu stawał się, i poznawał Pana i Jego mądrość. Umierając, wyznał synowi, że zawsze upatrywał w anielskim milczeniu, które Pan na niego zesłał, nie tylko karę za chwilę niewiary – to było raczej wahanie niż niewiara – ale także znak, pod którym powinien żyć i działać jego pierworodny. I dlatego życzy sobie, aby po jego śmierci Johanan, nazir o długich i nigdy nie strzyżonych włosach, nie pijący wina, udał się do pustelni w Qumran, do Zgromadzenia Milczących, którzy znają głębię, miarę i świętość Milczenia. Albowiem ten, który narodził się z ducha Milczenia, powinien również w jego duchu żyć, chwalić i wielbić Pana Cebaoth.

I tak Johanan uczynił.

Wielka Rada Ubogich z Owczarni skwapliwie przyjęła go do nowicjatu. Bracia żyli wprawdzie w samotności, ale dobrze znali stosunki panujące w Świątyni i wśród kapłanów, więc wiedzieli o bogobożności i prawości Zecharii, a poza tym wielokrotnie słyszeli o zdarzeniach towarzyszących narodzinom jego syna, tak niezwykłych i tajemniczych, że nikt nie ośmieliłby się ich tłumaczyć w sposób przyrodzony. Zdawało się więc, że spełnią się marzenia Zecharii, a Johanan, oddany Panu, modłom, oczyszczeniom, pokucie i milczeniu, żyć będzie po ostatnie dni swojego życia w pustelni nad brzegami Morza Soli. Ale stało się inaczej, to znaczy niezupełnie według wyobrażeń starego kapłana, czego nie należy sobie tłumaczyć w duchu niekorzystnym dla niego i Johana.ana.

Wyłania się pytanie, dlaczego Elohim natychmiast nie natchnął Zecharii właściwym natchnieniem i dlaczego – użyjemy tutaj niestosownego wyrażenia – nieco zawile kształtował przyszłe losy jego syna. Ale wszystko stanie się jasne, gdy uzmysłowimy sobie, że Elohim często pragnie, aby człowiek sam dojrzewał do wyznaczonego mu posłannictwa, co jest mądrą zasadą, potwierdzającą istnienie wolnej woli, a poza tym Bóg nie chciał ujawnić przed Zecharią wszystkich swoich ukrytych zamiarów wobec Johana.ana, gdyż – jak wiadomo – starzec był nieco wielomówny, a Pan Cebaoth prawdopodobnie nie chciał już więcej za pomocą tak drastycznych środków jak milczenie znowu zabezpieczać się przed jego dobrotliwą i szlachetną skłonnością do mówienia. Pan wszystko czyni w swoim czasie i nie naszą jest rzeczą ustalać Bogu Jego czas i miejsce, czyli – krótko mówiąc: Pan wyznaczył Johananowi taki i taki czas, takie i takie miejsce, a czas ten jest właściwy i ostateczny i miejsce to jest właściwe i ostateczne.

I otóż Johanan przebywał długie lata u pustelników w Qumran, i podczas nocnych i dziennych godzin pogłębiał swoją wiedzę o Torze i Prorokach, doskonalił się w ascezie i dyscyplinie ciała, w pełni zrozumiał naukę o Sądzie Ostatecznym i medytował nad tajemnicą podwójnego Mesjasza oraz nad postacią Nauczyciela Sprawiedliwości, założyciela pustelni w Qumran, prześladowanego przez

Sanhedryn, męża chodzącego przed obliczem Pana, mędrca, który głosił wieść o bliskim dokonaniu się czasów i przyjściu dwóch Mesjaszów, i jednego proroka o nie sprecyzowanej roli, prawdopodobnie Bożego posłańca, mającego zapowiedzieć zjawienie się na ziemi Syna Człowieczego w dwóch ciałach.

Ale Johanen mimo mądrości, którą go Elohim pobłogosławił, i wiedzy, którą posiadał, i pogłębiającego się z latami wtajemniczenia w sens wody i pokuty wciąż jeszcze był nowicjuszem, gdyż z własnej woli nie zawarł dotychczas uroczystego przymierza z Owczarnią i z roku na rok odkładał akt wyświęcenia na członka błogosławionej Wspólnoty. Trudno ustalić, co było przyczyną owego przeciągającego się nowicjatu. Może przesadny lęk przed własną niedoskonałością? Może jakieś przecucie? Może kuszący głos pustyni?

Poprzedniej nocy Johanen wyszedł na taras pustelni i w świetle księżyca błogosławił ukochaną pustynię. Na jej piaskach, na skałach, wzgórzach, wydmach i w rozpadlinach, a nawet w ubogiej wegetacji roślinnej Elohim rozmawiał z Jeszurunem i rzeźbił duchowe oblicze ludu, który sam w sobie był pustynią – pustynia, jak każde zjawisko związane bezpośrednio z obecnością Najwyższego, zawsze była pojęciem wieloznacznym – ziemią jałową i żyzną, nieustannie umierającą i powracającą do bujnego życia pod tchnieniem ust Bożych. Już samo położenie tej błogosławiono-przeklętej pustyni, zaludnionej duchami Światła i Ciemności, a leżącej trzysta metrów pod poziomem morza, świadczyło o jej bosko-demonicznym pochodzeniu i kazało upatrywać mędrcom głęboki związek między fizyczną budową jej krajobrazu a duszą jej mieszkańców. Pustynia nie była jednak wyłączną siedzibą Pana. Wprawdzie z jednej strony była domeną Boskich Objawień, z drugiej jednak miejscem próby i pokusy, szkołą pokory i mądrości, sceną dramatycznych rozmów człowieka z Bogiem i walk z szatanem, podczas których człowiek uczył się przewycięzać samego siebie i odróżniać głos Dobra od głosu Zła, co nie było łatwe, albowiem Belial często naśladował Pana i swoje słowa podszywał pod Jego słowa.

Od strony Morza Soli i sinych gór Moabu powiał gorący wiatr, z początku łagodnie szeleścił, kwilił jak dziecko, prawdopodobnie, aby zmylić czujność nocy, ale nagle, upatrzwszy sobie dogodną chwilę, uderzył gwałtownym podmuchem jak łbem o ziemię, aż fontanny piasku wytrysły ku niebu, po czym znieruchomiał, spłaszczył się, pełzał jak wąż i znów rozszalał się, wyjąc i świszcząc ze wzmożoną siłą. Góry, przed chwilą wyraźnie rysujące się na horyzoncie, teraz zaczęły blednąć i majaczyć, jakby w panicznej trwodze cofały się w głąb horyzontu. Księżyc i gwiazdy utonęły w obłokach pustynnego pyłu, który od czasu do czasu, opadając, odsłaniał popielate i zamglone niebo. Ale już następny zryw wichru zapuszczał nad

całym światem gęstą zasłonę, tak gęstą, że nie można było dojrzeć nie tylko księżyca, gwiazd i gór, ale nawet prowadzących na taras schodów, do których Johanana, trzymając się kurczowo muru, z trudem, ale bezskutecznie zdążał. Wicher szarpał jego białą szatę, smagał kościstą, zarosniętą twarz, podrywał długie kosmyki włosów, które jak płomienie pełgały dokoła jego głowy. Oczy i usta miał pełne piasku. Już zbliżał się do schodów prowadzących do wewnętrznego dziedzińca, gdy poczuł gwałtowne szarpnięcie za rękaw. Zachwiał się i obejrzał. Czyjaś silna dłoń ujęła go za ramię i pchnęła na środek tarasu. Burza wprawdzie wciąż trwała, ale Johanana nie czuł już więcej jej podmuchów. Stał bezpiecznie w samym środku szalejącego chamsinu, który teraz nie dotykał jego szat i włosów. I gdyby nie dziki łoskot przewalającego się żywiołu i widok piaszczystych tumanów pędzących przez pustynię jak karawana białych wielbłądów, byłby przekonany, że burza dawno minęła, i tak stojąc w samym jej środku czuł się bezpieczny, jakby był poza wszelkim żywiołem, a uczucie to wzmagало się z każdym uderzeniem niepokromionej wichury, którą śledził ze spokojem widza przyglądającego się przejeżdżającemu drogę królewskiemu orszakowi. I wtedy posłyszał głos, który przemówił do niego cicho, tak cicho, że Johanana zdumiał się, gdyż nie rozumiał, jak się to dzieje, iż stłumiony szept przebija się przez rozhukane żywioły, góruje nad nimi i wyraźnie dochodzi do jego posłusznych uszu. Z początku zdawało mu się, że to on sam szepce do siebie, albowiem tylko w ten naturalny sposób mógł sobie wytłumaczyć niesamowite zjawisko słuchowe, ale było to tylko samozłudzenie. Źródło głosu wyraźnie było poza nim, może nawet poza burzą i poza niewidocznymi gwiazdami. To, co słyszał, było wprawdzie dla niego nowe, niespodziewane, wręcz zaskakujące – poniekąd pewne sprawy wyobrażał sobie podobnie, choć mgliście, ale nie był pewien, czy słusznie – teraz jednak, słysząc odległą wypowiedź powtarzaną wielokrotnie w różnych odmianach i precyzyjnie, wręcz drobiazgowo sformułowaną przez głos dochodzący spoza burzy, przejmował ją jak swoją własną i utwierdzał się w przekonaniu, że jest jego niepodzielną własnością, i stąd może pochodziło owo samozłudzenie, iż to, co słyszy, jest jego własnym szeptem.

Upadł na twarz i słuchał.

A głos mówił:

– Tak rzecze Elohim, Pan Zastępów: Wybrałem cię spośród burzy i postawiłem w miejscu bezpiecznym, które nie jest miejscem bezpiecznym, albowiem jest miejscem wybranym, a miejsce wybrane nie może być bezpieczne, ponieważ jest miejscem świętym, a miejsce święte jest miejscem ognia, miejscem słowa, miejscem obnażonym, a cóż może być bezpieczniejszego od miejsca mojego ognia i słowa, dlatego mówię do ciebie, mówię, że nie będziesz człowiekiem milczenia, ale

człowiekiem głosu i będziesz żył w nieustannym wyrzeczeniu i umartwiał ciało postami, i przewycięzał ciało postami, aby nie było w tobie żadnego cielesnego pożądania, aż cały zamienisz się w czysty głos i będziesz czystym głosem, głosem wołającym na pustyni, głosem moim, głosem wysoko podniesionym, albowiem chcę, abyś głośno wołał, i dlatego tak jak ja teraz do ciebie wołam, tak ty będziesz wołał, zatem wyjdiesz ze Zgromadzenia Milczących i będziesz burzą na pustyni, i będziesz głosem głośno wołającym na pustyni, który gotuje drogę moją i mości ścieżki moje, a wszelka dolina będzie wywyższona i każda góra, i wyżyna będzie znizona, a drogi krzywe staną się prostymi, a ostre będą wygładzone i każdy człowiek ujrzy zbawienie moje, przeto zdejmij tę białą szatę i idź na pustynię, a na ciało nałóż odzienie z sierści wielbłądziej, a biodra przepasz pasem skórzanym i spożywaj szarańczę i leśny miód, a cała Jerozolima i cała Judea będą do ciebie wychodzić i będą wyznawać grzechy swoje, i czynić pokutę, a ty je zanurzać będziesz w mojej rzece Jordanie, i będą oczyszczone za pomocą wody na przyście Mesjasza, który nie przyjdzie, bo już jest, więc wyteż słuch i słuchaj, głosie wołający, a usłyszysz Jego kroki stąpające po górach wysokich i idź nad Jordan, i chrzcij, aby oczyszczenie wodą nie było tylko udziałem Braci Milczących, ale objęło wszystkich ludzi, którzy czekają na wodę, albowiem Duch mój unosił się nad wodami i ocieniał wszystkie wody płynące i stojące, w wodzie umieściłem niemowlę imieniem Mojżesz, wodę podzieliłem na dwoje przed obliczem Izraela wychodzącego z Micraim i wodę dobyłem ze skały dla ludu sarkającego, i wiedz, że każda woda żywa jest znakiem narodzin, począwszy od bezmiaru wód, a skończywszy na wodach porodowych i na wodach wypływających z ran człowieka, dlatego wodą oczyszczaj ludzi pokutujących, którzy za pomocą wód odrodzą się i będą nowo narodzeni, i każdy człowiek może, jeżeli zechce, odrodzić się, głosie wołający, głosie wzbierających wód, głosie, który jeszcze nie dotarł do Zgromadzenia Milczących, albowiem brzydzą się oni celnikami i grzesznikami, i nierządnicami, i tylko oczyszczają samych siebie, a nie oczyszczają bliźnich, a oczyszczając się, oczyszczają nie na powitanie Mesjasza, ale dla codziennej czystości, przeto wstań, głosie, i wskaż palcem Mesjasza, który nie przyjdzie, bo już jest, jednego Mesjasza z Dawidowego rodu, z pokolenia Judy, a na kogo zstąpi Duch i na kim zostanie, ten jest Mesjaszem, i nie oglądaj się na Zgromadzenie Milczących, i nie słuchaj ich słów o podwójnym Mesjaszu, i wstań, i idź, idź, głosie wołający, głosie na pustyni, głosie wzbierających wód, tak rzecze Elohim, Pan Zastępów.

Nigdzie ani śladu burzy.

Zszedł z tarasu do swojej celi i położył się spać. Po krótkim wypoczynku wstał rano i udał się do Kapłana Wielkiej Rady, a idąc do niego zapytał spotkanych na

dziedzińcu braci, czy słyszeli w nocy szalejący na pustyni chamsin. Otrzymał przeczącą odpowiedź, mało tego, bracia zdumieli się wielkim zdumieniem i jednogłośnie przyświadczyli, że pogoda była piękna, co mogą z czystym sumieniem potwierdzić, gdyż całą noc spędzili na dolnym tarasie na pokutnych modłach.

– Na tarasie? – spytał Johanan.

– Na tarasie – odrzekli kiwając głowami.

Johanan był rad, że ich o to spytał, albowiem nie kierował się pustą ciekawością, co byłoby dla niego potwarczą ujmą, ale mądrą ostrożnością, godną pochwały i świadcząca o jego wyostrzonym zmyśle rzeczywistości.

Rozmowa z Kapłanem Przymierza była krótka. Wyjawiał mu swoje postanowienie opuszczenia pustelni w Qumran, ale nic nie mówił o burzliwym nocnym widzeniu, gdyż nie otrzymał od Elohim wskazówki, czy ma, czy nie ma mówić o tym wydarzeniu. Pobożny Kapłan nie wyraził zdziwienia, gdyż wewnętrzna dyscyplina obowiązująca jego i jego podwładnych wyłączała możliwość wszelkiego zdziwienia, które jest cechą ludzi nie przygotowanych na wszelkie możliwości. Nie spytał zatem o powód tak nagłego postanowienia. Jego twarz zachowała kamienną surowość.

Tego samego dnia Johanan otrzymał zwolnienie z nowicjatu, zwrócił białą szatę Milczących, nałożył na siebie odzienie z sierści wielbłądziej i pas, które były miłosiernym darem Zgromadzenia, i o świcie następnego dnia wyszedł z pustelni przez nikogo nie żegnany, i w takiej właśnie chwili spotkaliśmy go na początku jego drogi i tego rozdziału, gdy stał za bramą Ubogich z Owczarni i patrzył na leżącą przed nim rozległą pustynię.

Zza gór Moabu wyłoniło się ogromne słońce i poczęło prażyć płowe piaski i czarne kamienie gorącymi promieniami, które kłującym światłem odbijały się od błękitnych fal Morza Soli.

Johanan poszedł przed siebie, ku Jordanowi, widocznemu wśród skąpej zieleni na dalekim horyzoncie.

U brodu Bethabara

Siedem płytkich brodów łączy Erec Jahwe – Ziemię Pana – z krajami położonymi za Jordanem, z Perea, z Auranitis, Gaulanitis i Batanea, przez siedem płytkich brodów codziennie od wieków przeprawiają się karawany kupców zdążających z towarami z zachodu na wschód i gromady pielgrzymów, wędrowców, włóczykijów i obieżyświatów w poszukiwaniu Boga, pracy, zarobków lub lekkiego chleba, przez siedem płytkich brodów codziennie od wieków człapią w mulistej wodzie wielbłądy i osły, i boscie stopy podróżnych, ale tylko jeden z owych siedmiu

brodów przeszedł do historii świata.

Niedaleko ujścia Jordanu do Morza Soli strome brzegi rzeki, płynącej dotychczas głębokim wąwozem, zarośniętym różowym tamaryszkiem i pierzastą mimozą, poczynają nagle opadać i tworzą dogodny bród, zwany Bethabara, Domem Przejścia. W miejscu tym pustynia przeobraża się niespodziewanie bez zmiennych i kolejnych faz w ziemię urodzajną, pokrytą bujną roślinnością, która stanowi zachwycające przeciwieństwo ciągnącego się opodal piaszczystego lub kamienistego ugoru. Z dala widoczne są skały o fantastycznych kształtach, skrywające w sobie tajemnice Sodomy i Gomory, wzgórze zasłaniające Macheront, a na horyzoncie za lekką mgłą, przeźroczystą jak muślin, majaczeją czarne, a niekiedy fioletowe góry Moabu, a krajobraz ten zamyka od północy dolina Jerycha, pogrążona w bujnej zieleni palm, winnic i gajów figowych.

Pewnego dnia gruchnęła wieść po Jerozolimie, a potem szybko rozniosła się po całej krainie Judejskiej i dotarła nawet do dalekiej Galilei, że u brodu Bethabara mąż imieniem Johanan głosi wypełnienie się czasów Pańskich i zbliżanie się Malchut Haszamajim – Królestwa Niebieskiego – i wzywa ludzi do pokuty i zanurzania się w wodach Jordanu na znak oczyszczenia serc i sumień, czyli pojednania z Elohim, co było w oczach Izraela działaniem zdumiewającym, gdyż owo oczyszczenie nie było tylko działaniem poprzedzającym – jak bywało dotychczas – akt religijny, ale aktem samym w sobie, aktem pokuty i pokory. Ludzie przychodzili z Jerozolimy, z bliższych i dalszych okolic, nawet z kraju zajordańskiego, stawali tłumnie nad brzegiem i przyglądając się z zaciekawieniem scenom rozgrywającym się u brodu, słuchali gwałtownych mów Johanana, wygłaszanych do tych, którzy wyznawali swoje grzechy i bijąc się w piersi, ufnie wstępowali w nurty Jordanu pod wzniesionymi dłońmi męża odzianego w pokutniczą szatę z sierści wielbłądziej.

Od niepamiętnych czasów panowało milczenie niebios, a głos Elohim nie przemawiał ustami proroków, chociaż ujarzmiony przez Rzymian Izrael tęsknił do nowych objawień i wypatrując Męża Bożego skłonny był widzieć go nawet w każdym jednodniowym przywódcy oddziałów powstańczych, walczących przeciw znienawidzonym najeźdźcom. Wprawdzie Johanan nie wzywał do walki i nie miotał klątw na głowy rzymskich namiestników i prokuratorów, i mówił tylko o gniewie Bożym, grzechach i pokucie, ale wiadomo było, że władza pogan nad Izraelem była dopustem Jahwe za grzechy pokoleń, a łaska Jego mogła spłynąć na naród tylko przez skruchę, pokutę i żal całego ludu wybranego, więc ten i ów, słuchając lamentu Johanana, pod jego słowa podkładał własne myśli i obrazy i utożsamiając gniew Pana z niewolą, a dar Łaski z darem wolności, czynił z radością pokutę i śpiewając psalmy, oczyszczał się z brudu ziemi w niezawodnych wodach

Jordanu. Ale byli i tacy spośród faryzeuszów i saduceuszów, którzy, słysząc mowy Johanana wygłaszane do tłumu, odkrywali w nich inny sens, ogólniejszy, zawierający w sobie zarówno przeznaczenie Izraela, jak i całego rodzaju ludzkiego, i dlatego w wypadkach przepowiedzianych przez proroka – albowiem tym mianem poczęli Johanana obdarzać, z zadowoleniem i nadzieją wymawiając to słowo – upatrywali nie tylko polityczne wyzwolenie narodu, lecz jakieś wielkie, wstrząsające zjawisko, którego jednak sami nie umieli określić za pomocą dostępnych im słów lub symboli. Johanana przerażał ich treścią i sposobem swoich wypowiedzi. Mówił gwałtownie, lecz precyzyjnie, długimi zdaniami powiązаныmi w rozlewne okresy i szybko wypowiedzanymi, tak że to, co mówił, wydawało się ognistym, niepowstrzymanym strumieniem wrzącej lawy, i tą właśnie żywą, rozpaloną miazgą słowa całkowicie paraliżował ich wolę. Więc słuchali pokornie jego oskarżeń miotanych na ich głowy, a wielu spośród nich, gdyby ich takie zniewagi spotkały ze strony innego człowieka, natychmiast by zacisnęło pięści i odpowiedziało gradem twardych słów, ale teraz pod wrażeniem jego wymowy posłusznie poddawali się jej przemożnej sile wyrazu i stali cisi, bezbronni i pokorni.

Gdy przed kilkoma dniami do brodu Bethabara przybyło kilkudziesięciu faryzeuszów i saduceuszów i zrzuciwszy z siebie pychę i pozorną pobożność, którą dotychczas zwykli wystawiać na pokaz, prosili go, aby ich zanurzył w wodach Jordanu, Johanana z początku milczał, a potem wybuchnął: – Jesteście plemieniem żmijowym – krzychał w jahwicznym gniewie – plemieniem jadowitych węży, kuszących do zła i nienawiści, lecz nie uciekniecie przed zbliżającym się gniewem i nadciągającą pomstą Węża miedzianego, kuszącego do Dobra i Miłości, i położona będzie przepaść między Wężem miedzianym a Wężem jadowitym, i nie uniknie kary Wąż jadowity do czasu, aż ulegnie pokusom Miłości i wyda owoce godne nawrócenia, ale niechaj wam się nie zdaje, że możecie nieustannie powoływać się na wasze pochodzenie od Abrahama, bo Elohim, jeżeli zechce, nawet z kamieni wzbudzi synów Abrahamowych, a wówczas czym będziecie, ludzie podobni do drzew, do których przyłożono siekierę, ludzie podobni do drzew rodzących robaczywe owoce, ludzie podobni do drzew, które wycięte będą i wrzucone do ognia, czym będziecie, plemię żmijowe, które chrzcic będą po to, abyś było odmienione! – Tak krzychał Johanana, a tłumy przerażone jego ognistą mową pytały w swojej bezradności, co mają czynić, aby doznać łaski Węża miedzianego, a na to mąż pustynny, natchniony myślą o wielkiej wspólnotcie Braci Milczących, mówił, że ten, co posiada dwie suknie, powinien podzielić się nimi z tym, który żadnej nie ma, a kto ma chleb powszedni, powinien go po połowie przekroić i to samo uczynić co z szatami. A mówił to tonem już spokojnym, opanowanym, nieomal łagodnym,

a równocześnie z tonem jego głosu łagodniała jego koścista, słońcem spalona, zarośnięta twarz i łagodniały ruchy jego ciała wyniszczzonego postami, i łagodniało jego spojrzenie, i tak opanowawszy swą gwałtowność i pozbawiwszy ją ostrości, gniewnej chropowatości i patosu, ujarzmioną, nawet już poniekąd jagnięco-błogopogodną, a więc nie będącą już właściwie gwałtownością, dostosował do ściszonych i cierpliwych uczuć, które go opanowały na widok tych grzesznych, ale bezsilnych ludzi czekających w obliczu Pana z dziecinną ufnością na znak pocieszenia. A gdy zbliżali się do niego celnicy, poborcy ceł i podatków, znieawidzeni przez cały lud Izraela i dlatego wyrzuceni poza krąg sprawiedliwych, a wreszcie na samym końcu rzymscy żołnierze, w lekkich pancerzach i uzbrojeni w krótkie miecze – dotychczas stali w słusznym oddaleniu i przysłuchiwali się zapalczącej mowie Johanana – i z kolei pytali, co powinni uczynić, kazał celnikom ku ich zdumieniu czynić to, co czynią, i czekać, a żołnierzom rzymskim radził poprzestawać na skromnym żołdzie – tu głos jego zabrzmiał tonem ojcowskiego napomnienia – i nie wymuszać od nikogo pieniędzy groźbami, i nie oskarżać nikogo dla zysku.

Napięcie dochodziło do szczytu. Stali nad rzeką szumiącą wśród wysokiego sitowia, obrastającego oba jej brzegi, i patrzyli w płonąca twarz Johanana, który wzniosłszy teraz ręce do nieba wzywał Elohim świętymi słowami Bereszit i błogosławił wchodzącym do wód Jordanu, zanurzonym po szyję w jego rwących falach, narodzonym po raz drugi, faryzeuszom, saduceuszom, celnikom, bogaczom, biednym, pospółstwu, robotnikom pracującym za dniówkę, tragarzom, poganiaczom wielbłądów, biedocie miejskiej, żebrakom i kalekom, soli ziemi i synom ziemi, pragnącym za pomocą dobrowolnego aktu pokuty i oczyszczenia dostąpić szczęścia powtórnych narodzin.

Chętnie by uwierzyli, że jest Mesjaszem, i zadając mu ostrożnie i sprytnie zamaskowane pytanie, czekali na potwierdzenie swoich domysłów, a gdy zaprzeczył, na pewno by nie dali wiary jego zapewnieniom – wprawdzie wyobrażali sobie Mesjasza bardziej po królewsku, ale wiadomo, że pod pustelniczą szatą i ciałem wysuszonym postami mogły do czasu z niewiadomych powodów ukrywać się majestatyczne kształty Pomazańca Bożego – gdyby nie to, że natychmiast powołał się na kogoś, kto ma po nim przyjść, na mocniejszego od siebie, na Mocnego, któremu nie jest godzien, padłszy na twarz – tak mówił – rozwiązać rzemyka u sandałów, albowiem – tak mówił – on sam jest tylko czekaniem na Tego, który również czeka, ale czekanie Mocnego jest czekaniem innym, jest czekaniem niedoścignionym, czekaniem czystym, czekaniem nieomylnym, czekaniem niebiosów, jest czekaniem na to, co się już przedtem spełniło, a nie czekaniem na to, co się dopiero spełni, albowiem Mocny naprzód spełnia to, na co później czeka,

podczas gdy czekanie jego, Johanana ben Zecharia, jest kipiącą niecierpliwością, głosem wołającym, głosem niepohamowanym, wrzącym wołaniem – tak mówił – nieokiełznanym wołaniem, czyhaniem na przyjście Tego, który zstąpiwszy z gór chrzcic będzie Duchem Świętym i Ogniem. Ta ostatnia możliwość przeraziła ich, albowiem nic nie wiedzieli o Duchu Świętym – to pojęcie było dla nich zawikłane i niejasne – a pojęcie ognia, pojęcie już niewątpliwie bliższe i poznawalne, kojarzyli z El, objawiającym się w krzaku ognistym i ognistym słupie, lecz wiedzieli z Tory, że takie spotkania z Ogniem zawsze połączone były z dramatycznymi wstrząsami w dziejach Izraela, i jak wszyscy ludzie małego ducha woleli w nich nie uczestniczyć. Ponieważ nie mieli pewności, z czym ów Mocny przychodzi – Johanana nic im nie mówił o chwalebnym królestwie Izraela na ziemi, lecz raczej pozwalał im się domyślać, że równocześnie ze zjawieniem się Mocnego rozpocznie się Sąd nad narodem wybranym – woleli nie pytać o dalsze szczegóły i radzi byli, że tę sprawę pozostawił ich niejasnym domysłem. Poza tym wizji tego Sądu mąż pustynny nie odmalował zgodnie z ich wyobrażeniami o Sądzie Ostatecznym, gdyż używał dla tych celów obrazów wcale nie królewskich i górnych, i wykwintnych, lecz porównawszy Mocnego z pracownikiem rolnym, przedstawił Go w postaci chłopca, który trzymając wiejadło w ręce oczyszcza klepisko Izraela, zbiera pszenicę do spichrza, a plewy spala w ogniu nieugaszonym. Skąd Johanana wziął to porównanie? Dlaczego Mocny ma być człowiekiem pracującym w pocie czoła na roli jak każdy prosty am haarec? Dlaczego nie zjawi się na czele zastępów anielskich, w złotej zbroi wśród dźwięku szofarów i trąb? To wszystko nie mieściło się w ich głowach, ale będąc pod przemożnym wrażeniem postaci i słów męża pustynnego, przynaglani lękiem przed Sądem Jahwe – niezależnie od tego, kiedy miało nastąpić wypełnienie się czasów – szli na wszelki wypadek do brodu Bethabara, bili się w piersi i wstępowali w fale Jordanu.

Ale niektórzy zapaleńcy, pobudliwi w swoim działaniu i zawsze skłonni do skrajnych przeciwieństw, do wielkich uwielbień i wielkich zaprzeczeń, zwłaszcza jeżeli chodziło o stosunek współbraci do władz rzymskich, nieprzyjaznym i podejrzliwym uchem słuchali odpowiedzi Johanana udzielonej żołnierzom rzymskim, których niejako zrównał z synami Izraela, traktując jednych i drugich z gorącą troską, zrozumiałą wobec Jeszuruna, ale wręcz oburzającą wobec żołdaków z rzymskiej legii, stojącej załogą w nieszczęśliwym, podbitym kraju. A ponieważ wśród widzów i słuchaczy nad Jordanowym brodem było również kilku zawodowych donosicieli i wysłanników nie tylko Heroda Antypasa, tetrarchy Galilei i Perei, w których granicach leżała Bethabara, ale również Sanhedrynu – wieści o proroku działającym nad Jordanem dotarły do arcykapłana w Jerozolimie,

wprawdzie zniekształcone przez zbyt gorliwych sprawozdawców, ale jednak na tyle prawdopodobne, że zainteresowały się nimi władze świątynne – arcykapłan Symeon ben Kamith przesłuchał świadków i po wnikliwym i poufnym badaniu doszedł do przekonania, że ponieważ mąż pustynny nie czyni cudów ani nie wskrzesza umarłych, ale tylko zanurza w wodzie i prorokuje, nie należy zbyt wielkiego znaczenia przykładać do jego działalności i nieszkodliwej paplaniny. Zwłaszcza że raz po raz tu i tam zjawiali się fałszywi prorocy, dziwacy opętani szalem wieszczym, i szybko i bez śladu znikali z widowni. Jeden tylko szczegół był nieco niepokojący, mianowicie odpowiedź udzielona rzymskim żołnierzom. Ale Symeon ben Kamith po krótkim namyśle zmiarkował, że i ona nie jest godna głębszej uwagi, albowiem dziwak nie zrównał Rzymian z Izraelem, lecz tylko napomniął pogan, a chociaż owo napomnienie wypowiedziane było tonem zbyt ojcowskim, jednak nie uwłaczało godności Jeszuruna.

– Już wielu takich szaleńców było w Izraelu – powiedział Symeon ben Kamith. – Byli i minęli... Przepowiednie? Przepowiednie o Mocnym? – arcykapłan uczynił lekceważący ruch ręką na dowód, że sprawa ta nie jest godna głębszego zastanowienia.

Kajafa w Cezarei Nadmorskiej

Senny, leniwy rytm śródziemnomorskiej fali uspokajał podniecone nerwy Josefa Kajafy, przechadzającego się po kamiennym nabrzeżu Cezarei Nadmorskiej. Opodal stała lektyka, a w jej cieniu siedzieli na ziemi dwaj niewolnicy i chciwie zajadali owoce granatu, wycierając rękawem sok ściekający po zmierzwionych brodach. Nieco z boku na kamiennych stopniach schodów prowadzących do miasta usadowił się zaufany sługa i sekretarz Kajafy, Nahum, krępy, przysadzisty mężczyzna o szerokich barach i niezwykle ruchliwych oczach, i nie spuszczał bacznego i czujnego spojrzenia z pustej lektyki, w której poza muślinową zasłoną, pod miękką poduszką leżała ciężka sakwa, wypełniona kilkoma workami złotych talentów. Nahum pomacał się po biodrze i poczuł pod palcami sztylet tkwiący za pasem pod tuniką – był nagrzany od ciepłego ciała – rozejrzał się dokoła, a nie spostrzegłszy nic podejrzanego, uspokojony, ale mimo to wciąż czujny, nie odrywał przezornego wzroku od lektyki. Był zmęczony podróżą i przedłużającym się pobytem w Cezarei. Od tygodnia tkwili – on i jego pan – w tym przeklętym pogańskim mieście i właściwie nic nie wróżyło szybkiego powrotu do Jerozolimy. Od tygodnia nie zaznał spokojnego snu. Od tygodnia spokojnie nie jadł. Od tygodnia nawet nie mógł spokojnie się modlić, ponieważ jego dusza i serce, oczy i uszy tkwiły w skórzanej

sakwie, którą mu Kajafa powierzył do pilnowania, wiedząc, że wierny i niezastąpiony Nahum gorliwie wypełni swój obowiązek. Mimo bezgranicznego przywiązania do Kajafy miał żal do niego, że złożywszy na jego barki cały niepokój o bezpieczeństwo sakwy, sam dobrze się wysypia i spokojnie się modli. Natychmiast jednak uprzytomnił sobie, że jego pan, obdarzając go tak wielkim zaufaniem, wysoko wynosi go nad resztę swoich domowników, a wtedy poczuł dla niego głęboką wdzięczność za tę okazaną mu łaskę wyróżnienia. I zaraz potem ukorzył się w swoim sercu, gdyż na przekór temu wszystkiemu, co uprzednio w swej nędznej i złośliwej niesprawiedliwości myślał o Kajafie, pan jego, podobnie jak i on, nie śpi spokojnie – często słyszał w nocy przez ścianę jego głębokie westchnienia – a nawet z trudem się modli – zauważył to wczoraj podczas porannej modlitwy, gdy Kajafa w roztargnieniu krzywo przewiązał na czole tefilin – i dlatego bolał z powodu swojej poprzedniej niegodziwej myśli, płynącej z karygodnego lenistwa i niesumiennej oceny charakteru swego dobrodzieja. Rozrzewniony tym odkryciem wbił jeszcze czujniejsze spojrzenie w lektykę, ale mimo wdzięczności dla Kajafy wciąż nurtowała go niecierpliwość i zadawał sobie pytanie, kiedy wreszcie skończy się ich uciążliwy pobyt w Cezarei i jak długo jeszcze będą trwały rozmowy z rzymskim prokuratorem Waleriuszem Gratussem. Dlaczego prokurator ociąga się z mianowaniem Kajafy arcykapłanem? Czego jeszcze chce? Na co czeka? Na co czeka? Równocześnie to samo pytanie zadawał sobie Kajafa, przechadzając się po nabrzeżu morskim. Od pół roku toczą się poufne rozmowy i targi między nim a prokuratorem, który nie podejmuje żadnej decyzji i nie ujawnia powodów swego wahania, i tylko od czasu do czasu podczas rozmowy jakby od niechcienia rzuca nie domówione do końca zdanie, a ze zdania tego ogólnikowo, lecz niezbitnie wynika, że mianowanie Kajafy nie zależy od wysokości łapówki, ale od wyższych i bardzo złożonych względów. Powody te, chytrze zatajone przez Waleriusza Gratusa, urastały w umyśle Kajafy – a to było właśnie celem kunktatorskiej metody prokuratora – do rozmiarów przeszkód niemożliwych do pokonania. Co pozostało Kajafie do uczynienia? Głową muru nie przebije. A dotychczas zawsze go przebijał, gdyż miał wszystkie zalety i wady potrzebne do zrobienia wielkiej i ambitnej kariery. Był podstępny, sprytny i szybki w działaniu. Posiadał pieniędzy bez liku. Był wytworny i gładki, ale umiał być w razie potrzeby brutalny i szorstki. Pochodził z kapłańskiego, arystokratycznego rodu. Był przystojnym mężczyzną. Równa linia gęstych czarnych brwi, zrosniętych nad prostym nosem, świadczyła o jego silnej woli, a delikatne niebieskie żyłki na skroniach – o jego duchowej wrażliwości. Działając za pomocą tej sumy zalet i przywar, starał się osiągnąć swój cel, jakim był tron arcykapłana i powrót arcykapłańskich insygniów do dynastii Hananidów, do której obecnie

należał dzięki małżeństwu z piękną Ruth, córką dawnego arcykapłana Hanana ben Sethi. Ale w stosunkach z prokuratorem zawiodły wszystkie wartości charakteru Kajafy, jego umiejętność postępowania z ludźmi, jego gładkość, wytworność i spryt, sztuka mądrego czekania i świetna znajomość ludzkich słabości, z których umiał niepostrzeżenie, lecz błyskawicznie wyciągać dla siebie korzyści. A zawiodło to wszystko dlatego, że natrafił w Waleriuszu Gratusie na równorzędnego gracza. Z charakteru byli do siebie podobni, a różnili się pomiędzy sobą tylko tym, że prokurator posiadał władzę, lecz nieustannie potrzebował pieniędzy, a Kajafa był bardzo bogaty, ale nie posiadał władzy.

W okresie ostatnich kilku lat rzymscy prokuratorzy nieustannie usuwali i mianowali arcykapłanów, uczyniwszy sobie z tronu arcykapłańskiego przedmiot przetargu i źródło dochodów, a cynizm swój posuwali tak daleko, że ilekroć znajdowali się z powodu wystawnego trybu życia w kłopotach pieniężnych, usuwali za pomocą misternych intryg arcykapłana i odprzedawali to stanowisko temu spośród możliwych kandydatów, który za pomocą pieniędzy wychodził zwycięsko z cichej licytacji. I tak po czternastu latach rządów usunięty został z tronu arcykapłańskiego potężny Hanan ben Sethi – niełatwo było wykurzyć tę żmiję z jej arcykapłańskiej jamy – tak stało się z Jiszmaelem ben Fiabi, a potem z synem Hanana, Eliezerem. Święty urząd niedługo pozostawał w rękach dynastii Hananidów.

Waleriusz Gratus nie uważał łapówki za rzecz zdrożną i niemoralną, a biorąc ją, miał zawsze taką minę, jakby czynił łaskę temu, który mu ją wręcza. Całemu procederowi umiał nadać charakter sakralny, obowiązującej ofiary, składanej u jego stóp przez skruszonego pokutnika. Ze zręcznością doświadczonego dyplomaty usunął Eliezera ben Hanan i mianował jego następcą Symeona ben Kamith, gdyż słusznie spodziewał się, że pozbawiając Hananidów tronu arcykapłańskiego, będzie mógł podwyższyć wysokość pieniężnego podarunku, nie wątpił bowiem o nieugaszonych ambicjach tego rodu, pragnącego za wszelką cenę rządzić Świątynią i Sanhedrynem. I tak się stało. Waleriusz Gratus, potrzebując pieniędzy, usunął Symeona ben Kamith po jego zaledwie jednorocznym arcykapłaństwie i spokojnie czekał na zjawienie się w Cezarei Nadmorskiej przedstawiciela Hananidów. Przynęta szybko poczęła działać. Do komnaty prokuratora zapukał zięć Hanana, pełniący wysoki urząd sędziego śledczego Sanhedrynu, Josef z przydomkiem Kajafa – Kajafa znaczy: Przesłuchujący – i rozpoczęły się pertraktacje, które jednak szły jak po grudzie. Prokurator, przymknąwszy pozornie oczy na wysokość sumy, spiętrzał coraz to nowe trudności, wśród których jednym z ubocznych argumentów była niechęć Izraela do Hanana i jego dynastii, przy czym

nie omieszkał nawet cytować po grecku – w tym języku toczyła się rozmowa – fragmentu złośliwej pieśni ulicznej o znieprawionym rodzie. Gdy przed trzema dniami Kajafa stanął przed prokuratorem i podwoił wysokość podarunku, sądził, że tym wymownym argumentem wreszcie go skłoni do powzięcia natychmiastowej decyzji. Już sięgał do sakwy, aby wyciągnąć z niej odliczone uprzednio woreczki z talentami, gdy Waleriusz Gratus powstrzymał go nagłym, niezwykle wytwornym, ale zwięzłym ruchem ręki i zakończył rozmowę. Kajafa był pewien, że przegrał sprawę. Co powie teściowi? Gdyby nie teść, który żądał, aby ktoś z rodziny został teraz arcykapłanem, a w tym wypadku uważał za najlepszego kandydata swojego zięcia, Kajafa splunąłby na Rzymianina i wrócił do Jerozolimy, by w zaciszu domowym – mieszkał z Hananem w jednym pałacu – przeczekać niedogodny dla siebie okres, w spokoju przemyśleć dalszy plan działania, który by wprawdzie nie natychmiast, ale na pewno wcześniej lub później uwieńczył powodzeniem jego zamiary. Ale nie mógł się już cofnąć. Bał się, że zrywając rozmowy z Waleriuszem Gratussem, zrazi sobie teścia. Chcąc uniknąć tej możliwości, musiał czekać na decyzję poganina, czyli na swoją porażkę, gdyż z tego wszystkiego, co podczas ostatniej rozmowy usłyszał z jego ust, wywnioskował, że nie posiada już żadnych widoków na otrzymanie godności arcykapłańskiej. A dzisiaj wczesnym rankiem znów został nagle wezwany do pretorium. Znów pójdzie, znów nałoży na swoją twarz maskę obojętności – czy w tę obojętność uwierzył prokurator? – i znów Rzymianin serdecznie go powita, rozłoży bezradnie ręce, wyrazi swoje ubolewanie z powodu dalszej niespodziewanej zwłoki, tym razem już naprawdę krótkiej, i wypowie kilka zdawkowych zdań, za którymi będzie się kryło coś, czego Kajafa nie zrozumie – najbardziej drażniły go właśnie owe niedomówienia, których sensu, mimo swojego sprytu, nie umiał przeniknąć – i znów kapłan odejdzie z niczym, gorąco jednak przekonywany przez Rzymianina o jego przychylności, sympatii i oddaniu.

Spojrzał na panoramę miasta, na owo wiekopomne dzieło Heroda, na wspaniałe domy stawiane z gładkiego kamienia, na forum, portyki, marmurowe fontanny i hale targowe wznoszące się amfiteatralnie ku niebu, i na położoną wysoko nad miastem świątynię Cezara, w której wnętrzu znajdowały się posągi Dzeusa i Romy. Kajafa poczuł wstręt do miasta, pokrytego trądem pogaństwa. Zasłonił oczy dłonią i odmówił błogosławieństwo – beracha – które każdy syn Izraela zwykł odmawiać na widok świątyni pogańskiej:

– Błogosławiony bądź, Panie, który pobłażliwie się przyglądasz tym, którzy przeciw woli Twojej występują.

Ale podczas gdy pierwsze słowa błogosławieństwa brzmiały w ustach Kajafy pokornie i lękliwie, następane, owe: „pobłażliwie się uśmiechasz”, wypowiedziane

były z żalem i niejako z wymówką, i może nawet z odrobiną ironii, ale już końcowe: „przeciw woli Twojej występują” zagrzmiały groźnie, nieomal jak klątwa, i dlatego całe błogosławieństwo, mimo swojego przeznaczenia, czyniło wrażenie raczej przekleństwa rzuconego na pogan niż błogosławieństwa czołobitnie złożonego u stóp Wiekuistego.

Kajafa ruszył ku lektyce. Nahum szybko zdążył w jego kierunku. Dwaj niewolnicy poderwali się z ziemi.

– Piękne jest morze – rzekł Kajafa.

– Piękne – potwierdził Nahum i pomyślał, że jego pan jest zapewne bardzo zdenerwowany, skoro nie zdradzając dotychczas głębszych zainteresowań dla zjawisk przyrody, nagle zwraca uwagę na tak mało ważne zjawisko jak morze.

– Wyjmij – rozkazał Kajafa.

Nahum rozsunął zasłonę lektyki i z pomocą dwóch niewolników wyciągnął spod poduszek skórzaną sakwę, i uginając się pod jej ciężarem zdążył za Kajafą do pretorium. Weszli na schody. Minęli kilka kolumnad. Przed wejściem do głównego portyku zatrzymani zostali przez oficera z przybocznej straży prokuratora. Nahum wręczył Kajafie sakwę i usiadł na schodach, sapiąc z zadowoleniem, że wreszcie pozbył się ciężaru. Kapłan, prosty jak cedr, chociaż ciążył mu złoty skarb ukryty w sakwie, szedł lekkim i sprężystym krokiem przez korytarze i komnaty, starając się nie okazywać towarzyszącemu mu oficerowi wielkiego wysiłku, z jakim dźwigał podróżną torbę.

Otworzyły się drzwi obszernej sali. Kajafa, który dobrze ją znał z poprzednich swoich odwiedzin, opuścił wzrok ku ziemi, aby nie oglądać fresków przedstawiających nagie nimfy baraszkujące z satyrami. Prokurator siedział na samym końcu komnaty za stołem. Kapłan wiedział, że w połowie drogi do stołu, na samym środku sali, grozi mu jeszcze większe niebezpieczeństwo w postaci podłogowej mozaiki wyobrażającej nagą Wenus, wyłaniającą się z fal morskich. Doszedłszy do tego miejsca, podniósł głowę w górę, co mogło wprawdzie uczynić na prokuratorze wrażenie nadmiernej pychy, ale naprawdę było tylko dowodem pobożności, wstydu i obroną przed pogańskim wyuzdaniem. Waleriusz Gratus uśmiechnął się drwiąco.

– Pokój temu domowi – rzekł Kajafa.

– I tobie – odrzekł prokurator i nie podnosząc się z miejsca, wskazał mu fotel.

Kajafa usiadł i tak się usadowił, że za plecami miał freski z nimfami i satyrami, przed sobą prokuratora, a z boku okno z widokiem na ogród. Poczł się bezpiecznie.

Siedzieli naprzeciw siebie i badali się uważnie oczami. Prokurator był mężczyzną w sile wieku, o lekko szpakowatych włosach, wydatnym, ale proporcjonalnym nosie

i pięknie wyciętych wargach, które na przekór swej dziewczęcej miękkości, a może właśnie dzięki niej, nadawały jego twarzy wyraz samolubny i oziębły. Bawił się niby od niechcienia metalowym stylikiem i uderzał nim o marmurową powierzchnię stołu. Metaliczny dźwięk wydobywający się z ostrza drażnił Kajafę. Siedział opanowany i wytworny i nikt by nie przypuścił, że w sercu tego człowieka, zdolnego do gwałtownych wybuchów, sprzeczek i niepohamowanego gniewu, właśnie teraz kłębią się niepokój i lęk, mistrzowsko ukryte przed badawczym okiem Rzymianina. A z ostrza stylika wciąż rozbrzmiewał metaliczny dźwięk. – Znów na coś czeka – pomyślał Kajafa. – Jeżeli teraz nie przyjmie pieniędzy, zabiorę się stąd i wyjadę. Elohim jest wieczny. Prokurator dzisiaj jest, jutro go nie ma. Zaczekam. – I począł powoli mówić o sprawach obojętnych, o plotkach, o pogodzie, o pięknie Cezarei Nadmorskiej, potem przeszedł do spraw ważniejszych, poruszył projekt budowy wodociągu w Jerozolimie, wypowiedział swoją opinię o drożyznie i wzrastającym kryzysie rolnym i nagle, celem zaskoczenia prokuratora, bez żadnego przejścia, jakby kpił z logicznego biegu myśli, rzeczowo oświadczył, że do uprzednio proponowanej sumy dodaje jeszcze sto talentów w złocie, więc sądzi... Tu urwał i czekał. Prokurator nie przestawał bawić się stylikiem, ale Kajafa wyczytał z owej niewinnej, lecz podejrzanie przedłużającej się zabawy, że Waleriusz Gratus uległ pokusie zawrotnej sumy.

Przegrał – pomyślał kapłan. Przegrał – pomyślał prokurator.

Kajafa dyskretnie wyciągnął rękę w kierunku sakwy, a gdy z zadowoleniem stwierdził, że tym razem Waleriusz Gratus nie powstrzymał go gestem dłoni, począł wyciągać woreczki z talentami, które w równym szeregu ustawił przed sobą na stole, po czym dłonią i całym ramieniem podsunął je prokuratorowi z tryumfującym na twarzy uśmiechem, a w tym uśmiechu była radość z odniesionego zwycięstwa i duma z powodu ofiarowanego złota. Taki sam wyraz miały jego oczy, gdy ofiarowywał w Świątyni na Ołtarzu Całopalenia najpiękniejsze sztuki bydła.

Prokurator odłożył stylik. Obojętnie zgarnął ze stołu woreczki z talentami i nie przeliczywszy, rzucił je – dosłownie rzucił – nie podnosząc się z krzesła, w kąt komnaty, a ten lekceważący, znudzony ruch ręki i obojętny wyraz twarzy poganina do głębi zabolowały Kajafę. Wstał. Był arcykapłanem. Poczował w ustach gorzki smak. Przełknął ślinę. Pełen wstrętu i pogardy dla barbarzyńcy, złożył mu ukłon, ale wcale nie niski – był to w istocie ukłon niski i czołobitny, ale Kajafa, wykonując go, nawet nie domyślał się, jak bardzo nisko i czołobitnie się ukłonił – i wyszedł z komnaty.

Szedł schodami, ponury i rozczarowany. Przed portykiem natknął się na czekającego nań Nahuma, który go jednak o nic nie pytał, gdyż biorąc z rąk swojego pana sakwę, po jej lekkości poznał, że dostojny sędzia Josef, zięć wielkiego Hanana

ben Sethi, został arcykapłanem Świątyni Pańskiej w Jeruzalajim Hakodesz.

Poncjusz Pilatus przybywa do Judei

Triera pod pełnymi żaglami płynęła w kierunku wschodnim. Morze było spokojne, lekko pokryte seledynową łuską. Ponieważ lipcowe słońce mocno prażyło, majtkowie rozpięli płótno nad głową Poncjusza, spoczywającego w fotelu na śródokreściu. Prokurator wprawdzie drzemał, ale muskuły jego twarzy pod wpływem łagodnego działania snu nie uległy rozluźnieniu, więc trwało na niej nerwowe napięcie, świadczące, że przedstawiciel rzymskiego cesarza, zdążający do Judei celem objęcia wysokiego stanowiska zarządcy prowincji, nawet we śnie umie utrzymać swoje rysy w żelaznej i uroczystej dyscyplinie. Twarz Poncjusza nie była jednak twarzą wzorowego urzędnika. Wprawdzie w dwóch bruzdach zbiegających ku kątom warg czaiła się nieustępliwa zaciętość, ale nie była to zaciętość surowego wykonawcy prawa, gdyż oczy ukryte w tłustych policzkach, mięsisty nos, nadspodziewanie cienkie wargi i podniesiona brew nad lewym okiem dowodziły, że jest to twarz sceptyka i sybaryty zarazem, rządzącego się raczej złośliwą i okrutną samowolą niż poczuciem surowej i obiektywnej sprawiedliwości.

Prokurator obudził się. Powoli podniósł powieki i mrużąc je stwierdził z zadowoleniem, że podczas jego drzemki majtkowie troskliwie rozpięli płótno nad jego głową, które chroniło go przed palącymi promieniami słońca, a teraz mile łopotało pod podmuchem zachodniego wiatru. Kątem oka spostrzegł stojącego opodal sekretarza i skinął nań ręką, a gdy ten się zbliżył, spytał:

– Gdzie jesteśmy? – jego niski głos brzmiał nad wyraz przyjemnie i był tak dźwięczny i miły, jakby nie do niego należał, ale ta właśnie niesamowita rozbieżność między głosem a fizjonomią pobudzała każdego, kto z nim rozmawiał lub pozostawał w bliższych lub dalszych stosunkach, do zachowania czujnej i badawczej ostrożności.

– Zbliżamy się do brzegów Judei – odrzekł sekretarz.

– Gdy ujrzysz brzeg, obudź mnie.

– Dobrze, panie.

Prokurator zamknął powieki, ale nie spał i nawet już nie próbował spać. Nagła świadomość, że już wkrótce stanie na miejscu swojego przeznaczenia, całkowicie rozproszyła jego leniwą senność. Przetarł powieki i kazał sobie podać wina. Wypił kilka łyków i oddał kubek sekretarzowi. Podniósł się z fotela i przeszedł po pokładzie. Chciał wejść do kajuty, w której spoczywała jego żona, Klaudia Prokula, ale cofnął się od drzwi, gdyż pomyślał, że znowu zacznie opowiadać mu swoje sny

i wyciągać z nich wieloznaczne wnioski o ich przyszłym pobycie w Judei. A nie był teraz usposobiony do słuchania lamentów, którymi zawsze nieuchronnie kończyła swoje opowiadanie o snach.

Oparł się o maszt. Spojrzał ku wschodowi. I znów wróciły wątpliwości, które, zdawało się, już ostatecznie przewyciężył. Czy dobrze uczynił, przyjmując stanowisko prokuratora Judei? A może nie powinien w ogóle wiązać się z Sejanem? Niepotrzebnie wygadał się przed nim o swej niechęci do Judejczyków. Może pojechałby do Hiszpanii? A może do Egiptu? Trudno. Stało się. Judea? Judea... Judea... Kraj był mu obojętny, jego mieszkańcami pogardzał, a ich obyczaje były mu po prostu wstrętne. Przed wyjazdem, jak przystało na urzędnika obejmującego wyższe stanowisko w podbitym kraju, zasięgnął o nim wiadomości u kilku uczonych i podróżników, rozmawiał z kupcami, którzy podczas handlowych podróży zawadzili o Judeę, oraz z oficerami rzymskimi, którzy przebywali służbowo w Cezarei i Jerozolimie, po czym – raczej pobieżnie – przejrzał raporty poprzednich prokuratorów, znajdujące się w archiwum państwowym, i dokładnie – niezwykle dokładnie – przeczytał dzieło Egipcjanina Apiona „Przeciw Judejczykom”. Wprawdzie boski Tyberiusz nazwał Apiona „cymbalum mundi” – brząkadłem świata – ale cesarz jest ponurym, rozgoryczonym, kąśliwym zrzędą i zawsze niesprawiedliwie ocenia nawet najbardziej twórczy wysiłek ludzkiego umysłu. Poncjusz Pilatus zachwycony był pracą egipskiego uczonego, przejrzyścieścią jego wywodów i ogromem wiedzy. Na podstawie tej lektury wyrobił sobie zdanie o Judejczykach jako o ciemnych barbarzyńcach, wyznawcach jakiegoś niewidzialnego Boga, usymbolizowanego w ośle szczęce, która się znajduje w jerozolimskiej Świątyni, w najświętszym sanktuarium, zasłoniętym dwiema kotarami o bezcennej wartości. Z dzieła Apiona dowiedział się również o pochodzeniu Judejczyków z pokolenia trędowatych niewolników, wygnanych ongi z Egiptu na pustynię, ale największe wrażenie zrobiła na nim wiadomość o zabójstwach rytualnych, dokonywanych przez nich na młodych Grekach, których ciała spożywają, a ich resztki składają w ofierze ośle szczęce na Ołtarzu Całopalenia. Nie mniej ciekawe były inne wiadomości, ale raczej groteskowo śmieszne niż groźne, jak na przykład ów zwyczaj zabraniający Judejczykom pod karą śmierci rzeźbienia i malowania postaci bogów i ludzi lub zakaz spożywania wieprzowiny, lub obowiązek obcinania napletka u niemowląt płci męskiej. Byli to poza tym ludzie leniwi, którzy w siódmym dniu każdego tygodnia powstrzymywali się od wszelkiej pracy, a nawet podczas wojny w Szabat – tak nazywali to święto lenistwa – zawieszali działania wojenne, co często było przyczyną ich niepowetowanych klęsk i katastrof, ale mimo to po dzień dzisiejszy nie odstępują od owego zwyczaju,

sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem i instynktem samozachowawczym. Poncjusz Pilatus jechał zatem do Judei nienawidząc jej mieszkańców z głębi serca, ale jasno zdawał sobie sprawę, że właśnie owej nienawiści zawdzięcza swoje mianowanie na stanowisko prokuratora, otrzymał je bowiem z rąk swojego przyjaciela, wroga Izraela, potężnego Sejana, prefekta Rzymu i dowódcy pretorianów, który przed laty, obejmując w imieniu Tyberiusza, żyjącego w swojej samotni na Capri, obowiązki cezara i pana imperium, rozpoczął swoje rządy od usunięcia – dosłownie z dnia na dzień – Judejczyków ze stolicy imperium, a czynem tym u jednych Rzymian wzbudził zachwyt, u innych niepokój i trwogę.

Poncjusz usiadł w fotelu. Oparł głowę na dłoni. Uczucie nienawiści do Judejczyków nie było jedynym powodem, dla którego został mianowany prokuratorem. Nienawiść? Nienawiść jest potężnym uczuciem, ale nie jest zasługą. Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Poncjusz Pilatus wiedział, że Sejan powoli, krok za krokiem zmierza do zawładnięcia tronem cesarskim – tu przezornie się obejrzał, jakby się bał, że stojący obok niego sekretarz może podsłuchać jego myśli – i w tym celu nie tylko skupia w swych rękach główne urzędy państwowe, ale również dyskretnie obsadza najważniejsze stanowiska w administracji oddanymi sobie ludźmi. Sejan w rozmowach ze swym wiernym poplecznikiem kilkakrotnie dawał mu do zrozumienia między wierszami, że uważa go za człowieka zaufanego, a Poncjusz w gorących słowach zapewniał prefekta Rzymu – również między wierszami – o swoim bezgranicznym oddaniu i natychmiast przerywał rozmowę, gdyż wolał nie znać całej prawdy. Wolał ją poznać dopiero w bardziej dogodnym dla siebie czasie. Sejan gra o wielką stawkę. Ale Poncjusz uważał – i tu może tkwi istotna przyczyna, dla której postanowił wyjechać do dalekiej Judei między barbarzyńskich czcicieli oślej szczęki – że nie powinien dłużej uczestniczyć w tej niebezpiecznej grze swojego przyjaciela, który wprawdzie jest człowiekiem niezwykle zdolnym, świetnym politykiem, dyplomata i taktykiem, zdążającym w mistrzowski sposób do celu, w razie potrzeby nawet po trupach, ale właśnie te trupy niepokoiły Poncjusza, gdyż powszechna fama głosiła w Rzymie, że „Sejanową życzliwość zyskuje się tylko przez zbrodnię”, a przyszedł prokurator Judei wielokrotnie uczestniczył w dokonywanych potajemnie krwawych porachunkach z przeciwnikami Sejana, a w dziedzinie prowokacji okazał się niezrównanym mistrzem. Poncjusz zatem, którego sumienie nie było zbyt czyste, postanowił okres rozstrzygającej walki Sejana o władzę i tron – a węszył, że chwila ta jest już bardzo bliska – przeczekać na uboczu, z dala od głównej areny wypadków. Wprawdzie wierzył w szczęśliwą gwiazdę swojego przyjaciela i protektora, ale wolał nie ryzykować otwartej walki u jego boku. Stchórzył. I dlatego przyjął bez wahania propozycję Sejana wyjazdu do Judei na

stanowisko prokuratora, chociaż powinien był pozostać w Rzymie, gdyż nieobecni nigdy nie mają racji. A może Sejan przejrzał jego tchórzostwo i dlatego pozbył go się z Rzymu? Nie, nie, to niemożliwe. Judea jest strategicznie i gospodarczo ważną prowincją i władzę nad nią musi sprawować człowiek na śmierć i życie oddany sprawie. Już niejedną raz losy imperium rozstrzygnęły się na Wschodzie. Dlatego Sejan wysłał go do Cezarei. Ale czy Sejan po szczęśliwym udanym zamachu stanu będzie o nim pamiętał? O wiernym sprzymierzeńcu przebywającym na krańcach imperium, wśród dzikich Judejczyków? Czy nowi zausznicy, którzy natychmiast wyrosną dokoła nowego władcy, nie będą starali się pomniejszyć zasług prokuratora, a jego wierności postawić pod znakiem zapytania? Więc może jednak należało pozostać w Rzymie i osobiście pilnować swoich spraw, i uczestniczyć w działaniach Sejana, i starać się być coraz niezbędniejszym narzędziem w jego rękach? Poncjusz zagryzł wargi. Obejrzał się. Sekretarz oparty o burtę spokojnie patrzył ku wschodowi. Nad powierzchnię morza wyskakiwały delfiny. A jeżeli Sejan przegra? Jeżeli uczyni nieostrożny krok i powinie mu się noga? Któż może zaręczyć, czy jutro nie znajdzie się jakiś usłużny zdrajca lub donosiciel, który doniesie cesarzowi o knowaniach potężnego prefekta? Czy nie lepiej zatem znajdować się wówczas daleko od Rzymu, we wschodniej prowincji, w jakiejś nędznej Cezarei, z której łatwiej jest przesłać Tyberiuszowi na piśmie akt hołdowniczy, niż osobiście tłumaczyć się przed nim ze swej rzekomej winy? Osobiście się tłumaczyć... Poncjusz Pilatus niejedno widział w życiu. W gorączce pierwszej czystki winni i niewinni giną tak szybko, że winny nie ma czasu przyznać się do winy, a niewinny udowodnić swej niewinności. W jego siwych, wodnistych oczach zabłysnął przewidujący i zbawczy pomysł. Wizerunki ludzkie godzą w religijne uczucia Judejczyków. Natychmiast po objęciu urzędowania urządzi wielką rewiewojskową w Jerozolimie i wyda kohortom rozkaz wniesienia do miasta wojskowych godeł z wizerunkiem boskiego Tyberiusza. Będzie to dowodem jego wierności dla cesarza i nienawiści do Judejczyków. Cesarz zrozumie jedno. Sejan zrozumie drugie.

– Judea! – zawołał sekretarz.

Poncjusz Pilatus ujrzał na horyzoncie majaczący w liliowej mgle brzeg nieznanej ziemi.

Rybacy galilejscy

Johanán i Jaakow, synowie rybaka Zebadii i pobożnej Salome, podobni byli z usposobienia do Jeziora Galilejskiego, nad którego brzegami, w Bethsaidzie, przyszli na świat, wychowywali się i żyli. Obaj bracia byli łagodni jak błękitna

powierzchnia Genezareth, a ich serca bogate były w dobre uczucia, jak bogate są w ryby galilejskie wody, ale również jak galilejskie wody – jezioro zawsze było skłonne do nagłych i gwałtownych burz – ulegali niespodziewanym uniesieniom i wybuchom uczuć, które jednak na podobieństwo wysokich fal jeziora szybko się uspokajały, łagodniały, nakładały na siebie wędzidła i ustępowały miejsca umiarkowaniu, a potem ciszy.

Stary Zebadia był zamożnym przedsiębiorcą rybnym, posiadał kilka kutrów, wiele sieci i suszarnię ryb. Synowie pracowali u ojca i na pewno by odziedziczyli po nim – oby Pan zachował go po najdłuższe lata – duży majątek, gdyby nie pewne objawy, które pozwalały snuć domysły, że tylko w przenośnym znaczeniu będą dziedzicami rybackiego i powszechnie szanowanego zawodu Zebadii.

Od marcheszwan do nisan Johanan i Jaakow codziennie wypływali na obficie zarybioną północną stronę jeziora, zarzucali węćierze i niewody i wśród nocnej ciszy sprzyjającej połowom wciągali do łodzi ciężkie sieci, pełne klaszczących i migotliwych ryb, które sortowali, czyste przeznaczali na sprzedaż, a nieczyste, bezłuskie – sumy, minogi i węgorze – wrzucali z powrotem do jeziora. Roboty było dużo. Naprawiali sieci, solili i suszyli ryby, odwozili na targ i znów pod wieczór wyruszali na połów.

Stary, doświadczony rybak Zebadia nie tylko uczestniczył w połowach, ale stojąc na czele zrzeszenia rybaków załatwiał u władz sprawy opłat za połowy i podatków, które były powodem nie kończących się sporów między rzymskimi urzędnikami, galilejskimi celnikami a rybakami, gdyż chciwy Rzym z byle powodu podwyższał opłaty, a rybacy, broniąc się, nie chcieli ich płacić, głośno sarkali na znienawidzonych poborców, a nawet zbyt gorliwych okładali kijem i pięścią. Zebadia w związku z tymi kłopotami często wyjeżdżał do Kfar Nahum, miasteczka położonego po drugiej stronie jeziora, gdzie mieszkał dzierżawca podatków, celnik Lewi Mataj, człowiek mądry i spośród celników najbardziej wyrozumiały – ale w miarę, w miarę – na ludzką biedę i krzywdę, i zasięgał u niego rady, prosił o wstawiennictwo u władz rzymskich, o odroczenie podatków i o obniżkę wygórowanych opłat. Lewi rozpoczynał zazwyczaj rozmowę od skarg na opornych rybaków, twierdził, że nic nie zarabia, że chętnie by się pozbył tego uciążliwego urzędu, że do interesu dokłada, że na starość pójdzie z torbami. Tu Zebadia poufale klepał Lewiego po ramieniu i czule go pocieszał, że do szczęśliwej, spokojnej i zasobnej starości ma jeszcze daleko, aż celnik, rozrzewniony serdecznym słowem rybaka, spełniał większość jego prośb i udzielał mu dobrych rad, jak rybacy mają obejść drakońskie zarządzenia rzymskich władz podatkowych. A potem obaj Galilejczycy zasiadali do stołu – Zebadia niechętnie korzystał z gościnności Lewiego,

gdyż nie należało siadać do stołu z grzesznym celnikiem, ale ze względu na dobro rybaków przyjmował jego zaproszenie – i przy winie rozprawiali do późnego wieczora o Torze, i za każdym razem stary rybak zdumiewał się z powodu mądrości grzesznika i jego wnikliwych uwag o Świętym Piśmie, które tamten znał doskonale. Zadowolony Zebadia wracał do Bethsaidy, a Lewi Mataj po jego wyjściu uprzytamniał sobie straty, które poniesie przy ściąganiu zaległych podatków. I zły był na siebie, że uległ słabości swojego serca, i zły był na Zebadię, podstępного kusiciela i węża – jak go w porywie nagłego gniewu nazywał – który pochlebczym słowem skłonił go do lekkomyślnych ustępstw.

I tak płynęły dni żmudnej pracy.

W Szabat Johanan i Jaakow wypoczywali. Siedzieli nad jeziorem, okolonym niskimi wzgórzami i wyżynami, przypominającymi swoim kształtem harfę, i zażywali zasłużonego odpoczynku po całotygodniowej pracy, a wraz z nimi odpoczywały zboża, drzewa oliwne i orzechowe, figowce i winnice. Wprawdzie w Szabat zboże i winnice, drzewa oliwne, orzechowe i figowe rosły tak samo jak w dni powszednie i jak w dni powszednie dojrzewały, ale ich wysiłek w tym królewskim dniu był wolny od gorzkiego trudu i mozołu, był słodkim wysiłkiem wypoczynku i uroczystego odprężenia i dlatego śmiało można powiedzieć, że nawet przyroda w swoisty sposób wypoczywa w dzień Szabatu, który jest dla niej poniekąd zapowiedzią i wizją roku szabatowego, owego siódmego roku, podczas którego żaden pług i żadna łopata nie zagłębia się w wypoczywającą ziemię.

Gdy słońce zachodziło, woda stawała się ciemnofioletowa i nasyciała swym kolorem cały krajobraz, wzgórza i brzegi, i położone na wzgórzach i brzegach miasta, miasteczka i wsie, Tyberiade, Magdagę, Bethsaidę, Chorożain, Kfar Nahum, Bethsaidę Julias, Hippos i Geragę. Bracia, pogrążeni w fioletowej ciszy krajobrazu, rozmawiając poufnie przyciszonym głosem, wyrażali niezadowolenie z powodu swojego dotychczasowego życia, gdyż uważali je za nie ukształtowane, płynne i tymczasowe. Tymczasowe były – tak twierdzili – ich pragnienia i uczucia, tymczasowe były ich troski i tymczasowe były ich radości, więc cóż to za życie, które jest tymczasowe i chwilowe, i nie ustalone żadnym czasem, i nie ograniczone żadnym celem.

Pocieszali się myślą, że uświadomiona, więc najbardziej męcząca tymczasowość musi pod naciskiem ich woli ulec zmianie i wtedy ujrzą swój właściwy cel, i będą żyć właściwym pragnieniem, i radować się właściwą radością. Wprawdzie z początku Jaakow chciał mianem tymczasowości objąć również ich zajęcia rybackie, ale po długiej dyskusji Johanan przekonał brata, że nie tylko nie należy rybołówstwa uważać za zawód tymczasowy, ale przeciwnie, należy je uznać za jedyne,

niezmiennie stałe i wartościowe zjawisko w ich dotychczasowym życiu. Tymi myślami podzielili się ze swoimi znajomymi rybakami, Symeonem ben Jona i jego bratem, Andrajem – Symeon był wdowcem, ojcem małej dziewczynki; przeniósłszy się po śmierci żony z Bethsaidy, mieszkał wraz z bratem po drugiej stronie Genezareth, w Kfar Nahum – ludźmi prostymi, ale natchnionymi dobrymi przeczuciami, którzy podobnie jak oni uważali swoje obecne życie za tymczasowe.

Johanen ben Zebadia, najmłodszy z nich wszystkich, dzięki niezwykle unerwionej wyobraźni był duszą ich myśli. Tłumaczył im, że ryba, której połowem się zajmują, jest symbolem wielu pojęć związanych z Mesjaszem i Izraelem. Raz oznacza ona samego Mesjasza, innym razem Izraela, który bez Tory jest jak ryba wyrzucona na piasek, niekiedy jest znakiem płodności narodu, świętego rozmnożenia uroczyscie obiecanego przez Elohim Abrahamowi, ale przede wszystkim ma swój udział w powszechnym zmartwychwstaniu, gdyż Pan, ożywiając zmarłych, rozkaże rybie – brzuch jej jest symbolem grobu – wypluć z siebie wszystkich zmarłych, co poręczone jest niebezpieczną przygodą proroka Jony, przebywającego we wnętrzościach ryby przez trzy dni i trzy noce i modlącego się do Pana z najgłębszych głębokości. Te wszystkie ruchome znaczenia, nawzajem się uzupełniające bądź wyłączające, przeświecone są jedną myślą o zbawieniu człowieka przez Rybę, przez świętą Rybę, którą w czasie mesjańskim archanioł Gabriel, niezmordowany posłaniec i zwiastun, wyłowi z morza, zabije, poćwiartuje i nakarmi nią żywych i umarłych, oczekujących zbawienia i łaski. Johanen wierzył głęboko, że pewnego dnia on, Jaakow, Symeon ben Jona i jego brat Andraj spożywać będą tę mesjanistyczną rybę, i tłumaczył im, że każdy uczciwie przepracowany dzień przybliży ich do upragnionego wielkiego połowu, po którym nastąpi święto wiecznej i nieskończonej radości.

Więc przez sześć dni tygodnia wypływali na połowy, zarzucali sieci, zmęczeni wracali na brzeg i znów sortowali ryby, zabijali je i solili, i suszyli, i wysyłali do Jerozolimy, Haify, Nazarethu, Bethlehem, Hebronu, Jerycha, Emaus, Ejn Karem, Betanii, Engaddi, do szczątkowych pokoleń Izraela, do wszystkich domów Izraela, dla wszystkich stołów Izraela, czekającego na przyjście Mesjasza, który według powszechnych wierzeń miał przyjść z wody, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia, a któż może przyjść z wody, z jej sedna i z jej oczyszczenia, jeżeli nie Ryba, Ryba czysta, Ryba wybrana.

Rybacy, ukołysani wywodami Johanana, ale mimo to czujni i złaknieni jego widzeń, prosili go, by dalej snuł swoje opowiadanie, a on, chętnie ulegając ich prośbom, w każdy Szabat malował przed oczami wdzięcznych słuchaczy hiperboliczne wizje, świadomie przesadne obrazy, których przesada, utrzymana w ryzach prawdopodobieństwa, była o tyle przesadą, o ile wyobraźnia ludzka, nie

mogąca za nią nadażyć, wołała raczej uważać ją za przesadę niż ulec jej przemożnej, a często przerażającej wymowie. Broniąc się zatem przed grozą tych widzeń, coraz częściej i pełniej im ulegali i nawet nie spostrzegali się, gdy sami uczestniczyli w nich jako główni bohaterzy i zarazem jako świadkowie ich prawdy. W wizjach tych występowały Bestie i Szatan, naśladujący Boga, i zwierzęta mówiące, konie białe, czarne i o barwie ognia, Śmierć i Otchłań cwałujące obok siebie, siedem gorejących pieczęci, wielka Nierządnicza i niebieskie Jeruzalem, Gog i Magog, dwa nieczyste ludy, wrogie Izraelowi, a wszystkie te pojęcia i symbole, wychodząc z płonących ust Johanana ben Zebadia, tworzyły przed szeroko otwartymi i zamyślonymi oczami rybaków żywy i dotykalny obraz świata, który tylko przeczuwali w swoich snach, a teraz stali z nim oko w oko dzięki ognystemu słowu opowiadającego. Słowo to, głośno i wyraźnie wypowiedziane, poczyniło życie własnym życiem, niezależnym od wyrażonych przez siebie pojęć, i stawało się Nadśłowem, Słowem słów, Słowem niewyraźnym słowami, siłą tworzącą i niszczącą, ciałem i myślą w jednym nieokreślonym kształcie, i było ostoją, zjednoczeniem i harmonią, i coraz bardziej się ucieleśniało, a gdy wreszcie syn Zebadii zaczął mówić o walce Szatana z ucłowieczonym Słowem, zatarła się granica między Słowem a Elohim, tak że nie wiedzieli, o czym opowiadający mówi, czy o Elohim, czy o Słowie. Równość stała się wspólnotą, a wspólnota równością, a oba te pojęcia współbrzmiały z sobą, bo były jednym i tym samym. Nie wszystko, co mówił, było dla nich jasne. Ale wyjaśnienie nie było im potrzebne, gdyż wszystko to, co słyszeli, a słysząc widzieli, było dla nich zrozumiałe nawet w swej pogmatwanej niejasności. I tak powoli odpyływała od nich tymczasowość i przybliżało się trwanie, i było ono coraz pełniejsze, i coraz więcej krążyło w nim życiodajnych soków i treści.

Miało się już ku latu, gdy Johanana stanął przed swoim ojcem, mądrym Zebadią, i wyraził chęć udania się na naukę świętej Tory do Jerozolimy. Zebadia, znając zapalne i nieugięte usposobienie swojego syna, wiedział, że gdy raz sobie coś postanowi, niemożliwością jest zmienić jego decyzję, a ponieważ w istocie nic nie miał przeciw temu, aby jego syn studiował Mądrość Bożą u samego źródła, w cieniu Świątyni Pańskiej, przytaknął jego zamiarowi i napisał list do zamieszkałego w Jerozolimie bogatego znajomego, ojca arcykapłana Josefa Kajafy, i prosił bogacza o zaopiekowanie się młodzieńcem.

Stało się więc, że Johanana ben Zebadia, ucząc się w Jerozolimie, był częstym jego gościem, a potem jego syna, arcykapłana Josefa, który żywą sympatią obdarzał młodziutkiego ucznia beth hamidraszu, a owa ciepła i troskliwa uwaga, jaką na niego zwracał, miała swoje głębsze powody, gdyż arcykapłan i przewodniczący Sanhedrynu, chcąc zdobyć uznanie jerozolimskiego patrycjatu i zaszczytne miano

opiekuna i wychowawcy uczącej się młodzieży, otaczał ją przesadną i ostentacyjną opieką. Dzięki tym ambicjom potężnego saduceusza Johanana ben Zebadia był zawsze mile widziany w jego domu i mógł korzystać z jego bogatego księgozbioru, a służba, znając młodzieńca, wpuszczała go do pałacu bez zapowiedzi o każdej porze dnia, uważając go nieomal za domownika. Młody rybak studiował. Rozczytywał się z zapałem w Księgach Daniela, Henocha i psalmach Salomona, dyskutował w beth hamidraszu z współuczniami i doktorami Prawa i od nich dowiedział się o filozoficznych pismach Filona z Aleksandrii, którego nauka o symbolach i alegorii, jako metodzie badań Świętej Tory, głęboko zapadła w jego umysł. W owym czasie zainteresowanie Johanana ben Zebadia dla symboli tak bardzo wzrosło, że zawładnęło niepodzielnie całą jego świadomością. Ludzie, świat, przedmioty, zwierzęta i drzewa, i wszystkie zjawiska przyrody stawały się symbolami oczekiwanych wypadków, wykładnią pojęć etycznych i moralnych, cnót i grzechów, rzeczy nieobecnych i niewidzialnych, które dzięki symbolom stawały się obecne i widzialne, tak obecne i widzialne, że można je było zobaczyć, podziwiać, a nawet dotknąć dłonią. Wypadki biblijne, postacie i miasta, liczby, święte Księgi, liturgiczne szaty i sprzęty stawały się aluzjami tak oczywistymi i potwierdzającymi oczekiwanie, że Johanana ben Zebadia nawet nie zdumiał się, gdy doszła do niego wieść o półnagim proroku, nazirze o twarzy zarosniętej długimi włosami, który w wodach Jordanu przy brodzie Bethabara zanurza pokutującego Izraela. Ów prorok był dla niego nie tylko prorokiem z krwi i ciała, ale przede wszystkim aluzją do niewidzialnej i bezkształtnej Mocy, rzucającej długi cień na wartko płynące wody, na wody tak samo niewidzialne i bezkształtne jak sama Moc, na wody rojące się od milczących ryb, z których jedna, najświętsza z najświętszych, przemówi pełnią swojego istnienia i głosu. Poszedł do brodu Bethabara. Wieczorem wrócił do Jerozolimy i napisał długi list do Symeona ben Jona i jego brata Andraja i opowiedział im o swoich wrażeniach z Bethabary, i wezwał ich do przybycia do Jerozolimy. Wśród uczniów beth hamidraszu rozeszła się wieść, że Johanana ben Zebadia zamierza opuścić uczelnię i przystąpić do grona uczniów pokutującego proroka.

– Pożałuje tego kroku. Wyrośnie z niego człowiek nieuczony, prostak, po prostu am haarec – rzekł arcykapłan, dowiedziawszy się o postanowieniu młodzieńca.

Gdy po kilku tygodniach Symeon ben Jona i jego brat Andraj przybyli z Kfar Nahum, wszyscy razem udali się do brodu Bethabara, do Johanana ben Zecharia, który oczyszczał lud przez zanurzenie w wodzie, albowiem wierzyli, że Mesjasz wyjdzie jak ryba z wody, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia.

Juda ben Symeon z Kerijoth

Było jesienne popołudnie, gdy Juda ben Symeon z Kerijoth, wędrowny handlarz pachnideł, po żmudnym, i pracowitym dniu – obszedł ze swoim towarem całe Górne i Dolne Miasto, odwiedzając nie tylko domy i wille bogaczy, ale również mieszkania nierządnych niewiast o niespokojnym sercu, które były gorliwymi odbiorczyniami jego olejków i maści – dotarł wreszcie do Bramy Gnojnej i począł piąć się stromą uliczką, wybrukowaną kocimi łbami, wyslizganą stopami przechodniów i kopytami osłów.

Szedł powoli i sapał pod ciężarem worka przewieszzonego przez plecy. Był chudy, zbiedzony, niskiego wzrostu. Ciężkie powieki sennie opadały na jego wielkie, błyszczące oczy, jakby chciały stłumić gorejący w nich ogień. Ich przygaszony blask był jedyną charakterystyczną cechą tej postaci, która była szara i niepozorna, bezbarwna i nijaka, prawie niewidoczna dla najbardziej badawczego oka. Gdy szedł ulicą, przechodnie mijali go, tak jak mija się liść spadły z drzewa lub kamień leżący przy drodze, i nie można ich winić o tę obojętność, gdyż trudno żądać od ludzi zainteresowania dla postaci, której nie dostrzegali. Jego szara niewidoczność nawet wówczas istniała, gdy zalecał i ofiarowywał na sprzedaż swój towar, pachnidła, prawdziwy nard w kosztownych flakonach, podrabiany nard w tanich słoikach, kasję o orzeźwiającym zapachu i hennę, i mirrę w płynie lub w proszku. Kupujące kobiety i dziewczęta – te z porządnych domów i te czyhające na rynku – z jednaką uwagą przebierały w towarze, podczas gdy Juda stał obok nich jak cień, jak bezcielesny cień, i na pewno żadna z nich, gdyby ją o to spytano, nie mogłaby udzielić odpowiedzi, jak właściwie Juda wygląda. Był Judą, miał swoją własną twarz, inną od innych twarzy, miał własne oczy i usta, inne od innych oczu i ust, miał własne ręce, spracowane ręce, i własne nogi, zmęczone i zbolące od nieustannego chodzenia, dreptania i stania, a przede wszystkim miał własne imię, imię, które jest częścią duszy ludzkiej i stanowi o osobowości człowieka, więc wszyscy nazywali go Judą, kupowali u Judy, targowali się z Judą, często wymyślali Judzie, a mimo to Judy nie dostrzegali, a Juda dobrze wiedział o swojej niewidoczności, ale był z niej bardzo rad, ponieważ potwierdzała ona jego skromność i pokorę. I tylko smutek, którym lekko przepojone było owo zadowolenie, świadczył, że mały i niepozorny Juda byłby może jeszcze bardziej zadowolony i jeszcze bardziej pokorny – a wiadomo, że nieskończone są stopnie i możliwości pokory – gdyby jego niepozorność była nieco mniej niepozorna, a jego szarość mniej szara, a jego małość nie tak mała. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że pragnienie wyjścia poza własną niepozorność i równoczesne zadowolenie z niej świadczy

o sprzecznościach niepokojących serce Judy lub o wyrafinowanej przewrotności jego charakteru. W Judzie nie było żadnych sprzeczności ani zakłamania. Przyczyną jego smutku był lęk, lęk głęboko ukryty w sercu, lęk przed skutkami jego niewidoczności w dniu, w którym przyjdzie dawno upragniony i oczekiwany Mesjasz. Taki dzień na pewno przyjdzie – o tym Juda nigdy nie wątpił – taki dzień przyjdzie i będzie, i będzie wiecznym Szabatem, wiecznym wypoczynkiem, i będzie kresem jego chodzenia, krążenia i stania, i zalecania, i sprzedawania pachnideł ladacznicom i jawnogrzesznicom, do których czuł nieklamany wstręt, i będzie kresem bólu w jego zmęczonych nogach i w trzepoczącym sercu, i może nawet wyprostują się jego plecy, ale to wszystko stanie się pod warunkiem, że spoczną na nim oczy Pomazańca – i tu rozpoczynały się wątpliwości i rozterka Judy – albowiem jaki los spotka biednego, szarego, niewidocznego Jude, gdy Mesjasz przyjdzie i nie dostrzeże go w olbrzymim tłumie ludzi, i przejdzie obok niego, tak jak przechodzi się obok liścia spadłego z drzewa lub kamienia leżącego przy drodze, lub po prostu obok niewidzialnego powietrza? Co wówczas się stanie z Judą z Kerijoth, gdy nie będzie dostrzeżona jego niewidoczność i jego pokora? Niewidoczność jest nieobecnością. Juda westchnął. Coraz powolniej szedł pod górę, wycierał pot rękawem tuniki i coraz ciężiej sapał. Wreszcie stanął przed swoją lepianką. Wszedł do ciemnej izby, zalatującej wilgocią i pleśnią, złożył w kącie wór z pachnidłami, wziął spod ściany dzban z wodą, ze stołu zgarnął garść suchych daktyli i udał się na dach domu, by odetchnąć po dniu ciężkiej pracy świeżym wieczornym powietrzem. Usiadł na macie. Posilił się, wyciągnął zza pasa mieszek, a chociaż wiedział, ile tego dnia zarobił, kilkakrotnie przeliczył pieniądze. Schował je do mieszka i wsunął go za skórzany pas, wyciągnął się wygodnie na macie i patrząc w ciemniejące niebo, rozmyślał o tym, jak uczci Mesjasza, gdy Ten spostrzeże go w niezliczonym tłumie ludzi i nagrodzi jego zasługę wiecznym Szabatem i słodkim spoczynkiem. Uczci Go śpiewem? To mało. Tańcem? To mało. Dobrym uczynkiem? Ale jakim? Olśniła go piękna myśl. Rozbije nad głową Mesjasza alabastrowy flakon, zawierający funt najdroższego, wonnego, oleistego nardu, i wyleje go na Jego głowę i nogi, ale to nie będzie marnotrawstwo, gdyż nie może być marnotrawstwem wylanie pachnącego olejku na głowę i nogi Pomazańca Elohim.

I zasypiając, obliczał wartość funta pachnącego nardu, i obliczył, że powinien kosztować trzysta denarów.

Niszmat kol haj... – Niechaj tchnienie wszelkiego życia...

Saul trzymając w ręce woskową tabliczkę, wszedł do domu rabbiego Gamaliela

i powitał go słowem Bożym. Służący wniósł cztery lampy oliwne i postawił je na półkach w czterech kątach komnaty. Uczeń usiadł na ziemi, na kolorowej trzciniowej macie, aby u stóp rabbiego odczytać swój hymn, który napisał przed niedawnym czasem, i posłuchać z błogosławionych ust mędrca jego sprawiedliwej oceny. Gamaliel wyprostował się i wskazał palcem na woskową tabliczkę. Światło oliwnych lamp, pełgając po wypukłym czole i ciemnej twarzy Saula, po jego wydatnym nosie, szerokich ustach i szyi sterczącej jak chuda łodyga, podkreślało marzycielski wyraz jego twarzy i oczu i ich zaczajoną drażliwość. – Niszmat kol haj... – zaczął czytać niepewnym głosem.

Młodzieniec, syn zamożnego tkacza namiotów w dalekim Tarsie, położonym na zielonej równinie u podnóża Taurusu, po ukończeniu szkoły greckiej i beth hasefer – w warsztatach ojca nauczył się również zawodu tkacza – przybył przed dwoma laty do Jerozolimy, aby w sławnym beth hamidraszu, pod baczny okiem rabbiego Gamaliela, członka Sanhedrynu i korony ludu izraelskiego, pobierać świętą Naukę, i wkrótce dzięki wrodzonym zdolnościom i wiedzy nabytej w rodzinnym Tarsie – znał filozofię grecką, języki: hebrajski, aramejski, grecki i łatyński – stał się ulubionym uczniem starca, który po swoim błogosławionym dziadku Hillelu odziedziczył poza talentem pedagogicznym niezwykle cechy charakteru: łagodność, mądrość, miłość bliźniego i dobroć, a owe przymioty zjednały mu głęboki i powszechny szacunek w całym Izraelu tak u faryzeuszów, jak i saduceuszów, zelotów i am haareców. Saul po przybyciu do Jerozolimy zamieszkał u swojej siostry. Studiował w beth hamidraszu Torę, Halachę i Hagadę, a będąc naturą żarliwą i gorącą, uczestniczył również w politycznym i społecznym życiu Izraela, żył jego troskami i wzruszał się jego wzruszeniami, i głośno, i namiętnie jak wszyscy faryzeusze oburzał się na bezmyślne zarządzenia prokuratora Poncjusza, który niepotrzebnie i chyba tylko dla zadośćuczynienia złym skłonnościom swojego charakteru wielokrotnie prowokował religijne uczucia Jeszuruna. Saul słyszał, że przed dwoma laty prokurator kazał swoim żołnierzom wnieść do miasta godła wojskowe z wizerunkami Tyberiusza i tym swoim czynem dopuścić się profanacji Jeruzalajim Hakodesz. Przez pięć dni i pięć nocy faryzeusze burzliwie demonstrowali przed pałacem prokuratora w Cezarei Nadmorskiej, aż wreszcie Poncjusz Pilatus musiał ustąpić przed ich niezłomną postawą i kazał usunąć ze stolicy godła cesarskie. Saul słyszał również o groźnych niepokojach, które wybuchły w Jerozolimie podczas święta Pesach, gdy z rozkazu prokuratora rzymskie oddziały wojskowe weszły do miasta z tarczami, na których wyrte było imię imperatora, co wywołało zrozumiałe oburzenie wśród ludu Izraela, i dopiero szybkie pośrednictwo cesarza Tyberiusza zażegnało wybuch powstania. Sam był świadkiem rozruchów

wzniesionych w Jerozolimie przez faryzeuszów na wiadomość o zamierzonym przez zniechęconego prokuratora użyciu pieniędzy ze skarbca świątynnego na budowę wodociągu w stolicy. W Saulu zawrzała gorąca krew Beniaminity i faryzeusza, gdy żołnierze rzymscy masakrowali na ulicach jerozolimskich wybrany lud, a wszystkie te wypadki wraz z wypadkami z przeszłości – opowiadali mu o nich przyjaciele i znajomi – jak owo bestialstwo legata syryjskiego Kwintusa Warusa, który opanowawszy Jerozolimę ukrzyżował za bramami miasta dwa tysiące Judejczyków – śmierć na krzyżu była śmiercią haniebną i niegodną wolnego człowieka – rozpałały nienawiść młodzieńca z Tarsu przeciw pogańskim zaborcom. Ale ta nienawiść miała jeszcze inne podłoże. Saul, natchniony gorącą miłością Boga, z odrazą i wstrętem myślał o wszystkich poganach, ponieważ w swej ślepej głupocie czcili nieczystych bogów i wskutek tego uwłaczali niewidzialnemu Panu. Więc dyszał zemstą i groźbami przeciw tym, którzy w Elohim nie wierzyli, i tym, którzy sprzeniewierzyli się Imieniu Pańskiemu, i przeciw tym, którzy współpracowali i współdziałali z Rzymianami, ciemiężcami Jeszuruna. Zrównoważony i spokojny Gamaliel próbował łagodzić gniewną surowość swego ucznia, zalecał mu umiarkowanie i cierpliwość i często powtarzał ciche i mądre słowa rabiego Hillela: „Nie czyn drugiemu, czego byś nie chciał, aby tobie czyniono”, lub: „Nie wydawaj wyroku na człowieka, zanim nie wstawisz się w jego położenie”, a potem dodawał od siebie: „Gdy Elohim postanowił stworzyć w szóstym dniu człowieka, zastanawiał się, czy ma go ulepić z ziemi, czy z nieba. Jeżeli tylko z ziemi albo tylko z nieba, zachwiana będzie harmonia stworzenia. Stworzył go zatem z ziemi i z nieba i uczynił go ogniem między ziemią a niebem”, a pewnego razu na zakończenie udzielanych mu pouczeń zacytował słowa Jeszuy ben Sira, który w swoich przysłowich tak pisał: „Tego, kto się mści, spotka zemsta od Pana, który grzechy jego dokładnie zachowa w pamięci. Odpuść winę bliźniemu, a wówczas, gdy błagać będziesz, będą ci odpuszczone twoje grzechy”. Rabbi Gamaliel, nie wchodząc w szczegóły i nie rozprawiając z Saulem o pojedynczych zagadnieniach, próbował za pomocą ogólnych sentencji ostudzić jego żarliwość i gwałtowność i tłumaczył mu, że prawdziwa wiara wymaga umiejętnej wyrozumiałości i łagodnej oceny ludzi i wypadków. Ale niestety, rozsądne wywody mędrca natrafiały na twarde i kamienisty grunt i ta nieubłagana bezkompromisowość ucznia była jedynym przedmiotem sporu między nim a mistrzem, który umiał w każdej innej sprawie według swoich zamierzeń mądrze kierować umysłowością i sercem Saula.

Młodzieniec z Tarsu kochał rabiego, a rabbi przywiązał się do swojego ucznia, bacznie śledził jego postępy w nauce, często zatrzymywał go u siebie na dysputy i pogawędki, a niekiedy wychodzili razem na podmiejskie przechadzki, do

pobliskiego Gethsemani lub na Górę Oliwną, lub na górę Cofim, gdzie w cieniu starych drzew figowych rozprawiali o Elohim, o Duchu i Literze, o dobru i złu i złożonym pojęciu bliźniego. Podczas jednej z takich przechadzek – było to właśnie przed kilkoma dniami – Saul wyznał rabbiemu, że od kilku lat pisze hymny – zaczął je jeszcze pisać w domu rodzicielskim w Tarsie – nieśmiało prosił go o zezwolenie odczytania w jego obecności jednego z tych utworów, a mianowicie hymnu zaczynającego się od słów: „Niszmata kol haj... „ – Niechaj tchnienie wszelkiego życia... – pieśni ułożonej na chwałę Bożą, w której starał się okazać Elohim głęboką wdzięczność za wybraństwo i opiekę nad Izraelem i za pomocą kilku niezdarnych porównań i ubogich metafor wypowiedzieć swój zachwyt nad dobrocią Bożą, co mu się prawdopodobnie nie udało, gdyż nie ma wprawy w układaniu pieśni. Rabbi zaprosił do siebie Saula na drugi dzień po Szabacie i właśnie teraz uczeń, siedząc u stóp Gamaliela, zaczął czytać swój hymn głosem drżącym, ale nie będąc pewny, czy pierwsze słowa hymnu wypowiedział we właściwej tonacji, jeszcze raz zaczął czytanie od początku, lecz tym razem głos jego był pewniejszy, a tonacja właściwsza:

Niszmata kol haj.. Niechaj tchnienie wszelkiego życia wielbi Imię Twoje, Boże, Boże nasz. Niechaj duch wszelkiego ciała zdobi i chwali zamiary Twoje, Królu nasz, Wiekuisty. Wybawiasz nas i wyzwalasz, karmisz i litujesz się nad nami w wszelkim ucisku i potrzebie, Boże pierwszego stworzenia i ostatniego przemijania, który w miłości rządysz wszechświatem, a łagodnym miłosierdziem panujesz nad Twoimi stworzeniami.

Ty nie śpisz i nie drzemiesz, budzisz śpiących, wołasz ludzi krążących w mroku, związanych uwalniasz z więzów, podpierasz upadających, podnosisz upadłych, Tobie Jednemu składamy podziękowanie.

Gdyby usta nasze były pełne śpiewu jak morze, a nasza mowa pełna radości jak szum fal, nawet wówczas nie starczyłoby nam siły, aby Ci dziękować i chwalić Twoje Imię za tę dobroć nieskończoną, jaką okazałeś naszym ojcom i nam.

Twoje miłosierdzie jest naszym oparciem i nigdy nie wypuścisz nas z ramion Twej miłości. Dlatego ciało, które nam dałeś, dlatego duch i dusza, które w nas tchnąłeś, dlatego język, który włożyłeś nam w usta, chwałą i wielbią, i sławią, i święcą, i ozdabiają Imię Twoje, Królu nasz, jak to Dawid napisał: Chwal Pana, duszo moja, i wnętrze moje, Jego święte Imię.

Cisza zapanowała w komnacie. Gamaliel podniósł głowę i powiedział:

– Niechaj mój uczeń Saul jeszcze raz odczyta swój hymn, albowiem chcę duszę moją do syta nakarmić jego błogosławnymi słowami.

I Saul szczęśliwy i do głębi poruszony począł od początku czytać swój hymn, a rabbiemu zdawało się, że jest w siódmym niebie, wśród aniołów.

Miłosierny Samarytanin

W jesiennym miesiącu tiszri Jezus udał się do Jerozolimy, aby w Świątyni Pańskiej uroczystie święcić Dzień Pojednania, do którego już od dłuższego czasu przygotowywał się za pomocą modłów, częstych postów i samotności. Zatrzymał się w jednym z ubogich zajazdów, położonych w dzielnicy Dolnego Miasta. Mimo nalegań krewnych, mieszkających w Świętym Mieście, którzy zaprosili Go do siebie, Jezus wolał nie korzystać z ich uciążliwej gościnności, gdyż podczas tych podniosłych dni chciał być sam na sam z Elohim, a towarzystwo rodziny, licznej i zbyt głośno wyrażającej swoje uczucia, rozpraszało Jego skupienie i uniemożliwiała skuteczne medytacje. Długie godziny spędzał na modlitwie przed Ołtarzem Całopalenia lub w Portyku Salomona, który bardzo sobie upodobał z powodu wspomnienia z przeszłości, gdy będąc jeszcze chłopcem rozprawiał w tym miejscu z uczonymi w Piśmie Świętym. Scena ta przypominała Mu dobrego Josefa – niech pamięć jego będzie błogosławiona – biednego Josefa, od którego śmierci minęło już wiele lat. Tak, w życiu Jezusa niepostrzeżenie gromadziły się wspomnienia, owe cienie odległych przeżyć, będące dowodem powolnego, lecz nieodwracalnego biegu Bożego czasu. Równocześnie przypominał sobie matkę, która przed laty właśnie w tym miejscu niespokojnym wołaniem przerwała Jego rozmowę z mędrkami, a On swoją jasną, może nawet zbyt jasną odpowiedzią, jakiej jej wówczas udzielił, wprawił niewiastę w wielkie i niepocieszone zdumienie. Właściwie to zdumienie trwa w jej oczach po dzień dzisiejszy – Jezus dobrze o tym wiedział – ale nie Jego sprawą i nie Jego zadaniem jest ujawnienie tajemnych przeznaczeń tych lat, wypełnionych milczeniem i przygotowaniem do działania, które jeszcze nie nadeszło, bo nie mogło nadejść, ale na pewno nadejdzie w dniu, w którym powinno nadejść.

Od śmierci Josefa matka poczęła coraz baczniej, lecz bez natarczywości śledzić zachowanie się Syna, sposób Jego życia, Jego pracę i zachowywała skwapliwie w pamięci Jego słowa, starając się z nich bezskutecznie wyczytać zapowiedź nadciągających postanowień. Jezus niczego przed matką nie ukrywał, żył zwyczajnym życiem syna i rolnego najemnika i ujawniał przed nią wszystko, co miało być ujawnione, lecz nie mógł przed nią ujawnić tego, co miało pozostać z woli Elohim tajemnicą, zwłaszcza że nie tracąc ani na mgnienie oka swojej wszechwładnej wszechmocy, wszechwiedzy i wszechdoskonałości, mógł dzięki niepowtarzalnym właściwościom swojego istnienia i charakteru być bezsilny ludzką bezsilnością wobec woli Boga. I właśnie dzięki tej kojącej właściwości matka i Syn przez długie lata mogli żyć obok siebie wypełnieni szczęśliwie tym samym milczeniem, mającym

pewnego dnia osiągnąć swój zenit równoznaczny z rozstaniem, na które matka czekała na przemian z bólem i radością. Każdy rok, miesiąc, dzień, każda godzina, nieomal każdy krok zbliżał Jezusa do owej decyzji, a On, patrząc na narastające wypadki, chłonał je w siebie, porządkował według wartości i znaczenia, a one według z góry przez Niego powziętego planu układały się w coraz wyraźniejszy wizerunek wypełniającego się powoli czasu, któremu już niewiele brakowało do nieomyślnej i przewidzianej dojrzałości, Johanan ben Zecharia, Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona modlili się u brodu Bethabara, Josef Kajafa siedział na tronie arcykapłańskim, prokurator Poncjusz Pilatus urzędował w Cezarei, Juda z Kerijoth sprzedawał pachnidła w Jerozolimie, a faryzeusz Saul z Tarsu czytał swój hymn u stóp rabbiego Gamaliela.

A tymczasem Jezus, podczas gdy oni wszyscy czuwali już na swoich miejscach, nieświadomi swojego przeznaczenia i roli – nawet gdyby się znali wzajemnie, nie umieliby sobie wyobrazić takiej konstelacji, która by mogła ich wszystkich razem z sobą połączyć i umieścić w jednym obrazie historii – otóż gdy oni wszyscy czuwali i nic jeszcze nie wiedzieli, że czuwają, Jezus tymczasem siedział na dziedzińcu zajazdu w noc jomkippurową wśród gromady pielgrzymów podnieconych wielodniowym postem i pokutnymi modłami. Wszyscy oni, pod wrażeniem zbliżającej się godziny sądu, mającego rozpocząć się o świcie od uroczystego dźwięku szofarów z kruzganków Świątyni, pragnęli poznania miary i granicy dobra i zła, więc obrzucali się nawzajem spojrzeniami w oczekiwaniu na tego, który pierwszy rozpocznie opowieść o grzesznym człowieku i bezgranicznym miłosierdziu Elohim. Z grupy pielgrzymów, przybyłych z Perei na święto do Jerozolimy, podniósł się barczysty pasterz i począł opowiadać zdarzenie, którego był naocznym świadkiem, zdarzenie, które było niezwykle trudne do wyjaśnienia, ale zgodne z naturą tej nocy, poprzedzającej dzień wyjawienia grzechów i pojednania z Panem.

– Nie rozumiem tego, nie rozumiem, nie rozumiem, po trzykroć nie rozumiem – ciągnął pasterz – chociaż powinienem zrozumieć, bo widziałem wiele na górach i równinach, na wyżynach i na pustyni, a jeżeli mi ktoś z was wytłumaczy, a nie wątpię o tym, że są wśród was mędrcy i starcy, będę mu wdzięczny za wtajemniczenie mnie w doskonałe poznanie. Wszyscy wiemy, że Samarytanie są nieczystymi, przez Elohim wyklętymi bezbożnikami, i jeszcze pamiętamy, jak w święto Pesach niepostrzeżenie, podstępnie i tchórzliwie weszli o północy do Świątyni Pańskiej i porzucali po kruzgankach i na dziedzińcach kości ludzkie, plamiąc Przybytek i tron Wszechmocnego. Pan odrzucił bluźnierców i są odrzuceni, i odwrócił oczy od zbezczeszczyteli, więc są jak plewa, którą wiatr unosi po

klepisku, i nie ostoją się w sędzie i w radzie sprawiedliwych, a ich droga zaginie, jak ginie każda zła droga. Nikt nie odbuduje tego, co Wiekuisty zamienił w ruiny, ani nikt nie otworzy bram, które Wiekuisty zamknął. A Pan zamienił zanieczyszczających w nieczyste stworzenia i zamknął ich usta, i zamknął ich oczy, i zamknął ich serca, przeto ich usta są jak zatrute cysterny, a ich oczy jak zgaszone gwiazdy, a ich serca jak robaczywe figi, i tak pozostaną po kres swoich dni, albowiem czysty nie może powstać z nieczystego, i dlatego nie rozumiem, nie rozumiem, nie rozumiem, po trzykroć nie rozumiem tego, co widziały moje oczy, i tego, co słyszały moje uszy – tu odsapnął i uczynił pauzę. A słuchacze pod działaniem śpiewnych słów pasterza kołysali się rytmicznie w harmonii z echem jego namaszczonego głosu, jakby chcieli zgodnym ruchem swych ciał wyrazić swoje głębokie zadowolenie z jego opowieści.

A pasterz, rozwijając swoją opowieść, ciągnął dalej: – Zstępowałem ze wzgórz świętej Jerozolimy w dolinę Jerycha, a czas był dżdżysty i chłodny, a porywisty wiatr ostro zacinał. Ponieważ znałem dobrze tę dolinę, gdyż wielokrotnie przez nią wędrowałem, postanowiłem przed dalszą drogą na noc zatrzymać się w gospodzie z powodu chłodu i wiatru, a przede wszystkim w obawie przed złoczyńcami, którzy grasowali w tej pustej i nie zamieszkannej okolicy i napadali na samotnych wędrowców. Gdy wszedłem na dziedziniec gospody, ujrzałem człowieka leżącego na ziemi i pochylonego nad nim Samarytanina – natychmiast poznałem nieczystego po szatach i wymowie – który oliwą i winem obmywał rany na jego ciele, a obmywszy je i opatrzywszy, zawiązał je płótnem, a potem przez całą noc czuwał u wezgłowia rannego, a o świcie, przed udaniem się w dalszą drogę, wręczył właścicielowi gospody dwa denary, mówiąc: „Miej nad nim pieczę, a cokolwiek ponad to wydasz, oddam tobie, gdy tędy wracać będę”. To rzekłszy odjechał. A ja, zbliżywszy się do rannego, dowiedziałem się od niego, że napadli go i złupili złoczyńcy, a zadawszy mu rany uciekli i pozostawili go na łasce losu na pół martwego na drodze. A teraz posłuchajcie, synowie Izraela, co mi ów ranny człowiek opowiedział, a ja świadczę się Panem Cebaoth, że powtarzam prawdę, albowiem słowa moje są powtórzeniem tego, co z ust rannego słyszałem, a on mówił, że gdy na pół martwy leżał na drodze, pewien kapłan Świątyni Pańskiej szedł drogą, a ujrzawszy go, minął i pomocy mu nie udzielił, i szybko się oddalił, a potem minął go pewien lewita z świętej Jerozolimy i pomocy mu również nie udzielił, i szybko się oddalił, i dopiero nieczysty, zdążając drogą i obok niego przechodząc, ujrzawszy go, użalił się nad nim, miłosierdzie mu okazał i zawiązał jego rany, zatem powiedzcie, synowie Izraela, jak to jest możliwe, aby czysty postąpił jak grzesznik, a nieczysty jak mąż zasiadający w radzie sprawiedliwych, bo wyznaję, że tego nie rozumiem, nie

rozumiem, nie rozumiem, po trzykroć nie rozumiem, chociaż powinienem rozumieć, bo widziałem wiele na równinach i górach, na wyżynach i na pustyni.

Tu umilkł i usiadł, a wszyscy rozkładali ręce na znak, że również nie rozumieją, dlaczego czysty postąpił jak nieczysty, a nieczysty jak czysty. Więc przeżywali długo, ale bezskutecznie opowiadanie pasterza i sprzyjali w cichości Samarytaninowi, nie śmieli jednak jawnie i głośno go pochwalić, bo chwając go, musieliby potępić kapłana i lewitę Świątyni Pańskiej i postawić ich niżej od nieczystego, a przecież jest niemożliwe, aby kapłan składający ofiary na Ołtarzu Całopalenia i lewita śpiewający psalmy u stóp Świętego Świętych stali niżej od najniższego i byli gorsi od najgorszego. Dlatego milcząc woleli nie wyjawiać swojego sądu, byleby nie urazić kapłańskiej godności prawowitego syna Izraela, który jakkolwiek by był działał i cokolwiek by był uczynił, nie może w niczym ustępować bezbożnemu Samarytaninowi. Chcąc zatem znaleźć pociechę i pokrzepić serca – wielka jest gorycz serca i wielka jest troska o czystość duszy w godzinach Postu i Pojednania – ten i ów już otwierał usta, by głośno zaśpiewać psalmy pokutne, do których pomocy i łaski zawsze się uciekali, ilekroć nie umieli odpowiedzieć na trudne pytania i rozstrzygnąć zawilych zagadnień, gdy wtem ujrzeni Młodzieńca, który podniósł się w mrocznym kącie dziedzińca, i usłyszeli dźwięczne i mocne słowa:

– Idźcie i czyńcie, jak czynił wasz bliźni, nieczysty. Zdrętwieli.

Jezus wyszedł z zajazdu i spokojnym krokiem oddalił się w kierunku Świątyni, a ludzie zgromadzeni na dziedzińcu wylegli na drogę i patrzyli z podziwem za odchodzącym, pytając, kim jest ów Młodzieniec, który nazwał bliźnim Samarytanina i kazał go naśladować, i wyszedł, nie czekając na odpowiedź, co pozornie mogło się wydawać ucieczką, ale ucieczką nie było, bo szedł bardzo powoli, i gdyby chcieli, mogliby Go dogonić. Jednak tak byli poruszeni Jego słowami, w których odważnie wypowiedział to, czego oni w swoim tchórzostwie nie śmieli wypowiedzieć, że stali jak w ziemię wrośnięci i szanując Jego skromność – w ten bowiem sposób wytłumaczyli sobie nagłe odejście nieznanego Młodzieńca – nie nagabywali Go i pozwolili Mu spokojnie się oddalić. Gdy znikł im z oczu za zakrętem drogi, powrócili na dziedziniec i żarliwie się modlili.

A Jezus szedł pod górę ku Świątyni, rozmyślając o miłosiernym Samarytaninie i o potrzebie powszechnej dobroci, zamieniającej jednego człowieka w bliźniego drugiego człowieka, a uczucie to poczęło górować w Jego rozmyślaniach nad wszystkimi innymi uczuciami, aż wreszcie urosło w Jego świadomości do rozmiarów celu ludzkiego istnienia, celu, który wprowadzie wiecznie i nieomylnie upatrywał w dobroci, gdyż już na samym początku Księgi Bereszit dobroć uczynił

nie tylko miarą wszechrzeczy, ale nieomal siebie uczynił bliźnim człowieka. Nie musiał więc teraz dojrzewać do tego przeświadczenia lub go zdobywać, zdawał sobie jednak w pełni sprawę z potrzeby powolnego dojrzewania i stopniowego zdobywania doświadczeń, gdyż one konsekwentnie utożsamiały Go przed obliczem człowieka – z człowiekiem, i dlatego radował się, że ujrzał sens ludzkiej egzystencji w dobroci człowieka, niezależnie od tego, czy jest nim syn Izraela, czy Samarytanin. Był szczęśliwy niewysłowionym szczęściem, gdyż coraz bardziej zbliżał się do ostatniej zasłony, oddzielającej Go od progu wypełnionego czasu, a historię o nieczystym, którą ustami pasterza z Perei opowiedział synom Izraela, uważał za jeden z ostatnich szczebli w swojej milczącej wędrówce.

Należy tutaj zaznaczyć, że Jezus w swoim opowiadaniu dla tym większego wrażenia dobitnie podkreślił odstępstwo Samarytan i z przesadą odmalował karę, która na nich spadnie, ale była to przesada nie odrzucająca, przesada miłosierna, słowem, była to osobliwa figura zapalczywej Nadziei i gniewnej Miłości. Zapatrzone w nią, szedł w kierunku Świątyni, dokąd już o tej porze ciągnęły tłumy pobożnych w oczekiwaniu na dźwięk szofarów, które o wczesnym świcie miały rozebrzmieć ze wszystkich portyków i wież Przybytku.

Jom Kippur, czyli Dzień Pojednania

Nad Górą Oliwną niebo poczęło szarzeć. Lewici zadęli w baranie rogi, a ich tryumfalne i przejmujące echo rozlegało się po wszystkich wzgórzach i dolinach, murach, basztach, wieżach, ulicach, placach i zaułkach Jerozolimy, płynęło ku górom Judei, ku pustyni i niewidocznym stąd szczytom Moabu. Na ten znak rozwarły się bramy prowadzące do wewnętrznych dziedzińców Świątyni i tłumy bosych ludzi śpiewających psalmy poczęły płynąć przez Piękną Bramę na Dziedziniec Niewiast ku Bramie Nikanora, a ponieważ ten cały rozległy obszar wraz z przedsionkami i wnękami, portykami i schodami nie mógł pomieścić setek tysięcy pielgrzymów przybyłych z całego kraju, z Egiptu, Libii, Cyreny, Syrii, Grecji, Tarsu, Rzymu, Cypru i Krety, ich niezliczone mrowie kłębiło się na sąsiednich ulicach i placach, a nawet na dachach okolicznych domów, dzięki czemu w ten uroczysty dzień pojęcie Świątyni Pańskiej rozszerzyło się, jeżeli nie na całe Święte Miasto, to przynajmniej na teren do niej przylegający.

Jezus, bezwolnie niesiony przez nieustannie przybierające fale tłumy, nie wiedział nawet, kiedy i jak znalazł się za Bramą Nikanora, tuż za kordonem straży świątynnej, złożonej z młodych i rośliwych lewitów, którzy trzymali się za ręce i skutecznie wstrzymywali napór tłumy, zresztą zachowującego się w tym miejscu, w obliczu

Świętości, z pokorą i cichym szacunkiem.

Jezus, wodząc oczami po Przybytku, skarbach okalających Dziedziniec Izraela i po obszernym Dziedzińcu Kapłanów, zatrzymał zmęczone, ale baczne spojrzenie na portyku prowadzącym do Komnaty Ciosanych Kamieni, miejsca obrad Wielkiego Sanhedrynu, a potem przeniósł je na Antonię, na którą właśnie padły pierwsze promienie wschodzącego słońca i odbijały się teraz od tarcz i włóczy rzymskich żołnierzy, pełniących straż na murach warowni, i pomyślał, że wprawdzie Świątynia panuje nad Izraelem, ale nad Świątynią wznosi się Antonia, a nad Antonią Pałac Heroda, gdzie prokurator Poncjusz Pilatus zwykł zatrzymywać się podczas każdorazowego pobytu w Świętym Mieście, a przede wszystkim w czasie Wielkich Świąt, gdy duży napływ pielgrzymów groził zamąceniem porządku publicznego i dlatego wymagał jego obecności w stolicy.

Objął wzrokiem mury herodiańskiej twierdzy i złote dachy Świątyni, jakby chciał w jednym spojrzeniu zamknąć los Izraela wołającego o zmiłowanie do Elohim i los Rzymian, z drwiącym uśmiechem przysłuchujących się z murów zamku dźwiękom baranich rogów, a chociaż synowie Izraela byli narodem podbitym, a Rzymianie narodem najeźdźców, jedni i drudzy wydali Mu się jednakowo godni współczucia, gdyż byli ludźmi błędzącymi, ci w nieumiejętnym cierpieniu, a tamci w zadawaniu cierpienia.

Zamknął oczy i począł jak zwyczajny grzesznik głośno i żarliwie zmawiać psalm „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie” i wraz z każdym wymawianym słowem zstępował w bezdenne otchłanie modlitwy splecionej z rozpaczą, nadziei, wiary i tęsknoty, a każde z tych słów łączyło Go ściśle i nierozzerwalnie z niewdzięcznym i krnąbrnym ludem, który właśnie teraz, bijąc się w piersi i umartwiając ciało postem, a duszę żalem, wyznawał swoje grzechy i nędzę swoich uczuć jękiem, krzykiem i lamentem, zrozpaczonymi twarzami, oczami pełnymi obłąkanego strachu i gestami wysoko wzniesionych rąk.

– Jeżeli będziesz pamiętał grzechy, Panie, któż się ostoi, Panie? Lecz u Ciebie jest win odpuszczenie, aby Ci z trwogą słuźono – śpiewał Jezus leżąc na ziemi i był jak grzesznik, jak pokutnik, jak najmniejszy z najmniejszych, i tak umniejszwszy się do rozmiarów pyłu, stopił się w jedność ze swoim ludem w świadomości grzechu i skruchy, a ten pył, w który się zamienił, był czystością i radością, światłem i zbawieniem, i nieprzeniknionym Bytem, materialnym Bytem, niepokalanym, harmonijnym i absolutnym, po prostu samym Elohim.

Śpiewały chóry lewitów.

W głębi, po obu stronach schodów prowadzących do przedsionka Przybytku, trwali w skupieniu, boso członkowie Sanhedrynu, a wśród nich wielki Gamaliel,

bogacz i uczony faryzejski Nikodem – Jezus zaraz go poznał – dziś już mężczyzna szpakowaty, Josef z Ramathaim, znany powszechnie z dobrych uczynków i odwagi, potem doktorzy Prawa, saduceusze wysokich rodów i poważani faryzeusze, strażnicy soli, studzien, pieczęci, kluczy i bram świątynnych, nadzorcy bydła i ptaków ofiarnych, przełożeni piekarzy wypiekających chleby pokładne, nosiciele kadzidła i sagan, dowódca straży świątynnej, a obok u stóp Ołtarza Całopalenia, w złotej szacie – przez cały rok znajdowała się ona pod strażą Rzymian w zamku Antonia na znak, że Rzym jest prawowitym panem Judei, i tylko na czas Wielkich Świąt władze przekazywały ją arcykapłanowi – stał Josef Kajafa, dostojny i skupiony, i niedostępny, ale na jego twarzy zmęczonej postami i siedmiodniowym odosobnieniem, spędzonym na modłach i duchowych ćwiczeniach, malowało się nerwowe podniecenie i duchowa troska, które odbierały jej rysom wyraz chłodnego spokoju, prześwieślały ją ciepłym i miękkim światłem, tak niezwykłym w zimnych oczach arcykapłana. Prawdopodobnie uduchowanie to należało przypisać działaniu postu, co jest jeszcze jednym dowodem na to, że nawet najzimniejsze wewnątrz pod naciskiem umartwionego ciała może wydzielać z siebie błogosławione światło.

Po złożeniu zwykłej porannej ofiary Kajafa wrócił do komnaty w bocznym skrzydle portyku, zdjął z siebie przy pomocy lewitów dostojną szatę, odział się w prostą lnianą białą tunikę, przepasał się lnianym pasem, a na głowę nałożył lnianą tiarę bez ozdób i klejnotów i wyszedł na dziedziniec w towarzystwie kapłanów. Położywszy ręce na głowie cielca, wyznał grzechy swoje i swojego domu, i wszystkich kapłanów, ale wyznanie to wypowiedział bez drżenia w głosie i widoczne było, że ta krótka przerwa spowodowana zmianą sukni pomogła mu opanować rozigrane nerwy i przywróciła spokój jego twarzy, która teraz na przekór niezwykle skromnej tunice zdradzała niepokorną dumę. Oczy jego pod łukiem zrosniętych brwi były znów przygaszone i zimne, tak zimne, że stojący obok niego ludzie poczuli się zastanawiać nad tym, czy ich poprzedni ciepły blask nie był tylko odbiciem ognistych klejnotów, którymi wyszywana była arcykapłańska szata.

Tłum rozstąpił się.

Młody lewita wprowadził uwiązane na srebrnym powrozie dwa kozły, jednego dla Elohim, drugiego dla Azazela, upadłego anioła, złego ducha żyjącego na pustyni, demona błakającego się wśród piaszczystych wydm i opuszczonych ruin, włochatej nicości o dwóch rogach, podobnej z zewnętrznej postaci do kozła, ale nie będącej kozłem, a jednak z nim utożsamionej, wskutek czego zwierzę przeznaczone dla Azazela było uważane przez lud za samego Azazela, co mogło być w pewnej mierze słuszne, gdyż arcykapłan, wkładając na kozła swoje dłonie i głośno, i dobitnie wypowiadając grzechy ludzkie, czynił go ucieleśnieniem wszystkich win

i przestępstw Izraela.

Kajafa rzucił losy.

Lewici pochylili się nad kostkami. Kozła przeznaczonego dla Elohim odprowadzili na prawo, dla Azazela na lewo'. Arcykapłan wrócił do Ołtarza Całopalenia i złożył tucznego cielca na ofiarę za siebie i kapłanów, po czym ujął w prawą dłoń kadzielnicę z żarzącymi się węglami, w lewą wziął łyżkę pełną wonnego proszku i wśród pienia lewitów, przy akompaniamencie fletów i harf – kapłani, pochyliwszy głowy, rozsunęli pierwszą zasłonę wiszącą między pięcioma marmurowymi filarami – wszedł do Świętego Przybytku.

Tłumy zamarły w śmiertelnym milczeniu.

Kajafa słyszał, jak za jego plecami zasuwa się ciężka kotara, wyszywana złotem i perłami, a świadom w pełni swoich wszystkich grzechów i nędzy swojego żywota dygotał na całym ciele, wstrząśnięty powagą i dostojenstwem chwili. Stąpając ostrożnie na bosych palcach – czuł pod stopami przejmujący chłód kamieni – obszedł bokiem drugą zasłonę, nie mniej piękną i kosztowną od pierwszej, i stanął w ciemnej i pustej przestrzeni Świętego Świętych, i wpatrując się szklanymi oczami w nieprzeniknioną noc, sypnął garść kadzidła na ogień, który zasyczał, rozżarzył się, zabłysnął i wyrzucił z siebie gęsty obłok o zapachu żywicy i balsamu. Arcykapłan runął na kolana i trzymając w wysoko wyciągniętych przed siebie dłoniach kadzielnicę kołysał nią i okadzał wonią miłą Panu cały Przybytek, który wkrótce wypełnił się białą, kłębiącą się chmurą o zmiennych i fantastycznych kształtach. Kajafa skurczony, u szczytu trwogi, pochylił nisko głowę i spieczonymi wargami chaotycznie zmawiał modlitwę, przestawiał i połykał słowa, jedne zastępował drugimi, mieszał zdania, bełkotał i nieustannie kołysał kadzielnicą od siebie i do siebie, ale ten dwuznaczny ruch był równocześnie pokornym wyrazem uwielbienia dla Niewidzialnego i gestem człowieka opędzającego się w panicznym strachu przed nacierającym nań Niewidzialnym. Podniósł się z kolan i cofając się plecami ku wyjściu, wyszedł ze Świętego Świętych, a pot strumieniami spływał po jego czole i policzkach. Ciężko dyszał. Niezliczone tłumy i kapłani w milczącej euforii odwracali od niego twarz, bali się bowiem spojrzeć na człowieka, który stał oko w oko z Elohim.

Kajafa wręczył lewicie kadzielnicę i zbliżywszy się do Ołtarza Całopalenia zebrał do misy krew cielca, i powoli, jakby się ociągając, wrócił do Świętego Świętych. I znów znalazł się w ciemnej i pustej przestrzeni, wypełnionej po brzegi Szechiną, obecnością Niewidzialnego, sam na sam z Wiecznością, Nieskończonością i Prawdą. Palcami umoczonymi we krwi kropił Przybytek, kropił go siedem razy, strzepując krew na ściany i posadzkę, i każde strzepnięcie dokładnie odliczał, albowiem

przerażała go myśl, że w przypiływie wzruszenia może się pomylić i uchybić świętej liczbie symbolizującej porządek wszechrzeczy, siedmiu dniom stworzenia, siedmiu murów Jerycha, siedmiu ramionom sakralnego świecznika i siedmiu niebom rozpiętym nad ziemią. I znów wyszedł z Przybytku, i znów doń powrócił, niosąc w misie gorącą krew kozła, na którego padł los dla Elohim, i znowu krwią kropił od dołu i od góry siedem razy ściany Niewidzialności, ściany Wieczności, ściany Nieskończoności, ściany Prawdy, kropił hojnie, suto rozpryskując krew, ale sam nie wiedział w swojej nieprzebranej hojności, czy za pomocą tej szybko krzepnącej krwi zwierzęcia łączy się z Elohim, czy się od Niego odgradza, ale już wszystko było mu obojętne i pragnął tylko wypełnić do końca swój obowiązek i wreszcie wyjść z Przybytku, i nie czuć już więcej na sobie spojrzenia Oka Nieskończoności, które w nieprzeniknionych ciemnościach zdawało się patrzeć na niego ze zdwojoną uwagą. Gdy wreszcie po raz siódmy strzepnął krew z palców, poczuł ulgę nie tylko w palcach, ale również w duszy i pomyślał z wdzięcznością o Panu i Jego wspianałomyślniej łasce, dzięki której może żywy i zdrowy wyjść z trzykrotnego niebezpiecznego z Nim spotkania i wrócić przed oblicze Izraela, a ten powrót wydawał mu się teraz wielkim szczęściem, zwłaszcza że w nadmiernym zaufaniu do samego siebie był już gotów przypuszczać, że zawdzięcza go nie tylko Panu Zastępów, ale również swojej gorącej, choć chaotycznej modlitwie i umiejętności skrapiania krwią – co na pewno było miłe Panu – Świętego Świętych.

Czekała go jeszcze jedna trudna przeprawa z Elohim. Miał za chwilę przed całym ludem, zgromadzonym na wszystkich dziedzińcach Świątyni, cicho, ale wyraźnie, przy akompaniamencie chóru, wypowiedzieć Święte Imię Jahwe – wypowiadał je arcykapłan tylko raz w roku, w Jom Kippur, przyciszonym głosem, nieomal szeptem, jakby chciał nim złagodzić ognistość Najświętszego Imienia. Akt ten jednak, mimo niezgłębionej grozy kryjącej się w Imieniu Pańskim, wydawał mu się igraszką w porównaniu z tym, co przeżył w Przybytku. Rozchylił zasłonę i stanął przed tłumami. Jego twarz promieniowała szczęściem i pobożną radością.

Lud pochylał głowy, a wraz z ludem głowę pokornie pochylał Jezus.

Po oczyszczeniu rogów Złotego Ołtarza i podłogi krwią cielca zmieszana z krwią kozła arcykapłan wśród powszechnego napięcia ludu zbliżył się do kozła przeznaczonego dla Azazela i położył obie dłonie na jego rogatej głowie, i począł uroczystym głosem wyznawać wszystkie grzechy i nieprawości synów Izraela, grzechy i nieprawości tych, którzy nadaremnie wzywają Imienia Elohim, którzy nie święcą Szabatu, którzy zabijają, bluźnią i kłamią, cudzołożą i oszukują, krzywdzą wdowy, sieroty i bezbronnych, którzy sieją zło i zło zbierają, którzy składają fałszywe świadectwo przeciw swojemu bliźniemu i pożądamy jego żony, domu, pola

i sługi, osła i wołu, którzy przekroczyli Zakon Pański, odmienili jego prawa i podeptali wieczne Przymierze z Elohim. I wszystkie te grzechy, nieprawości i zmary, winy, zbrodnie i upadki Izraela Kajafa wkładał na głowę kozła i przelewał je w jego ciało i we wszystkie członki, i wnętrzości jego ciała, aby oczyszczona była dusza ludu izraelskiego, aby oczyszczona była wielkim oczyszczeniem i stała się nieskalanie czysta.

– O, Panie – wołał arcykapłan – oni, Twój lud, Izrael, popełnili przed Tobą wiele grzechów, zbrodni i nieprawości. O, Panie, jako napisane jest w Prawie sługi Twojego Mojżesza: „Tego dnia będzie dokonane za was przebłaganie, abyście oczyszczeni byli z grzechów”, odpuść nam przez Twoje miłosierdzie wszystkie grzechy, zbrodnie i nieprawości, które popełnił przed Tobą Twój lud, dom Izraela – tak wołał arcykapłan, a cały dom Izraela, a wraz z nim Jezus, bijąc się w piersi, chóralnie powtarzał każde słowo, podczas gdy Kajafa, wciąż trzymając obie ręce na głowie kozła, zaklinał demona zła na wszystkie Imiona Świętoimiennego, na Imiona El i El Olam, El Haj i El Elion, El Szaddaj i Elohim, Kodesz Israel i Elohe Haszamajim, aby opuścił duszę i ciało Izraela, i rozkazywał mu w imię Prawa, w imię Sanhedrynu, w imię świętości tego miejsca, na którym stoi, wyjść z duszy i ciała Izraela i wcielić się w ciało kozła, i tak powtarzając niezliczoną ilość razy gwałtowne wezwania i zaklęcia, bezlitośnie smagał nimi demona i całą mocą swojego wzburzonego wnętrza pragnął zmusić go do posłuszeństwa, ale szybko poznał, że sam jest zbyt słaby i zbyt grzeszny, aby mógł wpędzić w kozła zło tkwiące w wybranym narodzie, że im głośniejszy i żarliwiej woła i rozkazuje, tym mniej ma mocy potrzebnej do tego oczyszczającego egzorcyzmu. Kajafa zwątpił o swoich siłach. Zrozumiał, że jego pokora nie jest pokorą, że jego modlitwa nie jest modlitwą, że ogień jego wnętrza jest zimnym ogniem, a moc jego jest mocą z tego świata. Przeląkł się. Wiedział, że ten, który chce przepędzić demona, ale nie ma w sobie potrzebnej do tego siły, sam pada jego ofiarą. I wtedy, wtedy u szczytu niemocy i bezradności, począł błędzić błagalnym spojrzeniem po ufnie modlącym się tłumie, jakby szukał w nim współuczestnika i współprzymierzeńca w nierównej walce ze złem, i znużony wzrok zatrzymał na stojącym pod Bramą Nikanora – Jezusie. Ich spojrzenia spotkały się, spotkały na drobny ułamek czasu, tak drobny, że nie ma nawet miary w ludzkiej mowie, aby go określić. Kajafa opuścił oczy, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to uczynił, a Jezus przeniósł swoje spojrzenie z Kajafy na kozła. Wówczas arcykapłan nagle poczuł, jak przez jego palce spływa i wciela się w kozła demon zła i grzechu i jak to, co było jeszcze przed chwilą oderwanym pojęciem, trudnym do określenia, teraz wreszcie przybrało swój właściwy kształt, po prostu stało się ciałem, ciałem pokrytym czarno-białym włosiem, kozłim ciałem o rogatym łbie i zwisającej

w nieładzie szpakowatej brodzie, wstrętnym stworem o wodnistych oczach, cynicznych i cierpliwych w swoim nieustępliwym uporze, kreacją ohydy i moralnej nędzy, którą można było nie przenosić, ale dosłownie obłożyć batem, ubiczować, skopać, oplwać i wygnać na pustynię. Kajafa podniósł dłonie i tryumfalnie zawołał:

– Wypędźcie kozła na pustynię! Do Azazela! Niech zabierze z sobą do ziemi jałowej wszystkie nieprawości ludu izraelskiego! Wypędźcie kozła! Wypędźcie! Wypędźcie! Do Azazela!

Z tłumu wyskoczył młody rosły pastuch z biczem w ręce, narzucił zwierzęciu powróż na szyję i uderzywszy je trzonem bata w łopatkę przynaglił do szybkiego biegu. Wierni rozstąpili się przezornie i utworzyli szerokie i wygodne przejście, bacząc, by zwierzę nie dotknęło ich szat i wskutek tego nie zanieczyściło ich grzechami i zmasą.

Pastuch, pędząc przed sobą kozła, biegł pędem przez dziedzińce świątynne, przez wyludnione Dolne Miasto, minął sadzawkę Siloah i przez Gnojną Bramę i dolinę Ge Hinom wypadł na drogę prowadzącą na pustynię. Tutaj wypuścił powróż z dłoni i począł biczem smagać Azazela, który nie spodziewając się tego nagłego natarcia, w dzikim podrygu odskoczył w bok, nieruchomo stanął i z wyrzutem spojrzął na człowieka. Pastuch zacisnął wargi, odchylił się ku tyłowi i wzięwszy szeroki rozmach, klasnął w powietrzu biczem, który zakreśliwszy esy floresy, jak jadowita żmija wpił się w grzbiet zwierzęcia. Kozioł zachwiał się, sprężył i począł przed siebie uciekać, a pastuch sprośnymi wyzwiskami i trzaskaniem z bata pędził przed siebie ucieleśnione zło, a gdy zwiększała się między nimi odległość, zgrabny i gibki chłopiec, zebrawszy się w sobie, sadził jak jeleni, w szybkich susach doganiał ofiarę i znów smagał ją na odlew z coraz większą zaciętością i nienawiścią, jakby każdym smagnięciem chciał wyrazić pogardę dla własnych grzechów i dla grzechów całego narodu. Kozioł, zaplątawszy się w długi bicz, potknął się i przewrócił, z trudem się poderwał i czując na swoim grzbiecie coraz boleśniejsze uderzenia, które poprzez gęstą sierść wżerały się w jego ciało, runął przed siebie, przez wydmy i kamienie, ku głębokiej rozpadlinie o prostopadłych ścianach. Ryk radości wydarł się z piersi pastucha. Kozioł stanął nad brzegiem przepaści, zawahał się i cofnął. Na jej pustym, jałowym dnie, gęsto ułożonym kamieniami, zżartym przez gwałtowny skwar i nie mniej gwałtowne deszcze, kładły się już pierwsze cienie zachodzącego słońca. Nigdzie ani jednego krzewu, ani jednej rośliny. Bezwodna, głucha otchłań, wypełniająca się już o tej porze dnia mrokiem i przejmującym milczeniem. Zejście do piekieł? Do szeolu? Do krainy potępienia? Pastuch, ujrawszy w koźlich oczach złe, zielone błyski, te same, które po nocach straszyły jego owce na górach i w dolinach, zdjęty nagłym strachem chętnie by uciekł i pozostawił kozła na brzegu stromej

rozpadliny, ale szybko przewyciężył w sobie lęk. Przeważało w nim poczucie obowiązku wobec Elohim, który – a był tego pewien – patrzy teraz na niego i czeka ufnie wraz z całym Izraelem na decydujący ruch jego ręki. Zresztą – i to może było najbardziej decydujące – chłopiec wiedział, że w tym przeklętym koźle, stojącym z uporem nad brzegiem przepaści, jest również i część jego grzechów i nieprawości, popełnionych podczas nocnych straży w dzikich górach Judei. Więc odwinąwszy się, z całej siły ciał demona batem. Kozioł jednak jakby wrósł w ziemię. Ani drgnął. Wówczas pastuch, któremu wzbierający gniew podsunął mądrą i podstępłą myśl, jednym silnym uderzeniem rękojeścią bata podciął mu tylne nogi. Kozioł stracił równowagę i zwałił się z rykiem w głąb przepaści.

– Azazel! Azazel! – wył pastuch, patrząc na dno skalistej rozpadliny, gdzie kozioł, na przekór wszystkim prawom fizycznym, podniósłszy się spokojnie, począł obwąchiwać ziemię w poszukiwaniu krzewów i smacznej trawy. – Azazel! Azazel! Demon! Szatan! Nicość! Nie znajdziesz trawy! Nie znajdziesz! Nie znajdziesz wody! Nie znajdziesz! – krzyczał radośnie, klaskał w dłonie, skakał i pohukiwał, i pocieszał się, że jakkolwiek kozioł nie zginął od upadku, jednak jego dni są policzone, gdyż żadnemu synowi Izraela, pod karą klątwy, nie wolno go napoić wodą i nakarmić trawą.

I powoli zawrócił do Świętego Miasta.

Z daleka doszły go dźwięki baranich rogów, rozbrzmiewające z murów Świątyni na znak, że minął Jom Kippur, Dzień Pojednania z Elohim.

Obejrzał się. Na wschodzie, nad górami Moabu wschodziła gwiazda wieczorna.

Na górze Cofim

Jezus następnego dnia wstał o wczesnym świcie, odmówił Szema i poranną modlitwę i udał się do Świątyni Pańskiej, gdzie ofiarował Panu parę gołębi, i już zamierzał opuścić Dziedziniec Izraela, gdy wtem pewien nazarethańczyk, siwy starzec, jeden z owych pobożnych pielgrzymów, którzy wraz z Nim przed tygodniem przybyli na Wielkie Święta do Jerozolimy, podszedł do Niego i rzekł:

– Czy Jezua ben Josef wie, że jego brat, Johanan ben Zecharia, mąż świątobliwy o spojrzeniu proroka, głosi wieść o wypełnieniu się czasów i rychłym nadejściu Pomazańca – niech będzie błogosławione Imię Jego – i dlatego zanurza synów Izraela w wodzie, u brodu Bethabara, a dokoła niego gromadzą się pokutujące tłumy i wypowiadają swój grzech, a on je oczyszcza w świętych falach Jordanu? Jezus spojrział pytająco na znajomego, który szybko dodał:

– Idę do brodu Bethabara, może również Jezua ben Josef pójdzie ze mną i pokłoni

się swojemu bratu?

Jezus położył dłoń na dłoni starca, który zmieszany brakiem odpowiedzi nie nakłaniał Go więcej do pójścia do brodu Bethabara. Starzec skinął przyjaźnie głową, jakby tym gestem chciał potwierdzić słuszność Jezusowego milczenia – co nie było w pełni prawdziwe, albowiem owe ruchy miały charakter tylko wymijającej uprzejmości – i nie stawiając więcej pytań, pożegnał Go słowem Bożym, oddalił się i skierował swoje kroki ku południowej bramie Świątyni.

Jezus opuścił Dziedziniec Izraela i przez Bramę Owczą wyszedł na drogę prowadzącą na północ do Nazarethu. Ogrody i sady owocowe pięły się z doliny na szczyt góry Cofim, a jesienna, nieco matowa mgła o błękitnym odcieniu upodabniała krajobraz do starego, szlachetnego kobierca. Gdy stanął na szczycie góry, ujrzał u swoich stóp po południowej stronie miedzianozłote mury Jerozolimy, pałace Hasmonejczyków, arcykapłanów i Heroda, wieże Fazael, Hippikus i Mariamne, wspaniałe domy i wille bogaczy w Górnym Mieście, a w środku budowle Świątyni Pańskiej i dolinę Cedronu, stary cmentarz Josefata, grobowiec Podniesionej Dłoni i zielone stoki Góry Oliwnej. Po drugiej stronie, północnowschodniej, ciągnęły się ku wodom Jordanu i Morzu Soli piaski pustyni, żółte, jałowe wydmy mieniące się jak opiłki miki w promieniach wschodzącego słońca.

Usiadł na kamieniu, twarzą zwrócony ku pustyni, i wzrok utkwiał w horyzoncie, tam gdzie według Jego domysłu niewidoczny stąd Jordan wpada do Morza Soli, i myśl Jego ze wzmożoną siłą poczęła krążyć dokoła Pustynnego Brata.

Jezus słyszał od Miriam – opowiadała Mu o tym jeszcze w dzieciństwie – że łączy Go związek tajemny z Johananiem, objawiony jej w uroczystym dniu Poczęcia. Matka mówiła o tych sprawach niechętnie, zaciemniając opowiadanie za pomocą niedopowiedzeń. Jasne jednak było, że mimo niechęci do owych wynurzeń, zależy jej, aby Syn o tym wiedział, gdyż przypuszczała, iż w dalszych planach i zamierzeniach Elohim przewidziany jest udział Johanana w życiu Jezusa. Bo inaczej po cóż by Pan posługiwał się owym świadectwem – wszak nie jej potrzebne były dowody prawdy – jeżeli nie dla celów przewidzianych w przyszłości?

Jezus zachował w pamięci słowa matki i umocnił się w przekonaniu, że musi swoją działalność rozpocząć od spotkania z Pustynnym Bratem, ostatnim natchnionym prorokiem Izraela, i przejąć z jego rąk widomie i na oczach ludu, w oczyszczających falach Jordanu, dziedzictwo Myśli Bożej.

Droga do Bethabary stała przed Nim otwarta i właściwie wystarczyło tylko zejść z góry Cofim i iść prosto na wschód, a tego samego jeszcze dnia po południu stanąłby u brodu nad Jordanem, u progu naznaczonego czasu. Ale tej chwili nie chciał przywoływać przedwcześnie i nie chciał przyspieszać i uprzedzać tego, co nie

powinno być przyspieszone i uprzedzone nawet o najmniejszą drobinę czasu. Odwrócił twarz od kuszącej Go pustyni i po krótkiej wewnętrznej walce, która była przywilejem Jego człowieczeństwa, posłusznie skierował swoje kroki na drogę prowadzącą na północ, do Nazarethu, cały wciąż jeszcze pogrążony w nieokreślonym czasie przedwczesności i w nieokreślonym czasie Spełnienia. A obie te nieokreśloności były przez Niego samego już dawno określone i spełnione według czasu Elohe Haszamajim, czasu Pana Niebiosów, czasu doskonałego. A w tym czasie, w przeciwieństwie do czasu ludzkiego, Minione i Przyszłe wcale nie jest następstwem przyczyn i skutków, ale podziałem czynności dokonywanej się równocześnie, podobnie jak równocześnie – gdy idziemy – wykonują ruchy obie nasze nogi, prawa i lewa.

Kiść winogronowa

Minęła jesień, zima, wiosna i miało się pod koniec gorącego lata.

Jezus tego dnia poszedł o świcie do pracy, do winnicy, oddalonej o pół mili rzymskiej od Nazarethu, a Miriam pozostała w domu, zajęta gospodarstwem. Ten świt nie różnił się niczym od innych świtów, które codziennie wschodziły nad ziemią Galilei, nad Seforis, nad górą Tabor i wzgórzami Naftali, był taki sam jak świt wczorajszy i przedwczorajszy, jak wszystkie świty od niepamiętnych wieków, szarzejące nad dalekim Genezareth i Jarmukiem. Przez chwilę był popielaty, a potem z błyskawiczną szybkością przeszedł w słoneczny dzień, w oślepiającą jasność, która dojmującym skwarem poczyniała prażyć zmęczoną ziemię. I również praca, którą Jezus tego dnia wykonywał w winnicy, nie różniła się w niczym od zajęć wykonywanych od niepamiętnych wieków w czas winobrania. Robotnicy rolni zbierali czerwone grona do wiklinowych koszów, przynosili je do tłoczni i wyciskali w kadziach bosymi stopami, a Jezus z jawnym zadowoleniem przysłuchiwał się piosenkom śpiewanym przez winogrodników.

Wszystko wróżyło, że dzień ten, jak wszystkie dni poprzednie, zakończy się spokojnie i pogodnie, gdy wtem Młodzieniec poczuł – obcinał właśnie kiść winogronową małym ostrym nożem – że każda kiść, którą wrzucał do wiklinowego kosza, jest drobnym ułamkiem czasu dzielącym Go od wielkiego postanowienia. Wyciągnął rękę po nową kiść – po obraz Mądrości Elohim, po obraz Izraela, po obraz Spełnienia – i zerwał ją, i wrzucił do kosza. Uczynił to jednak już nie z obojętnym spokojem, lecz z głęboką uwagą i napięciem, które coraz bardziej w Nim rosło, równocześnie i zgodnie z dłonią wykonującą ostatni ruch między winnym pędem a koszem. Kosz był pełny. Nadszedł czas naznaczony. To, co było niepełne, stało się

pełne. Nieokreśloność stała się określonością, a przedwczesność chwilą właściwą. Robotnicy ujęli kosz za oba ucha i zanieśli do tłoczni. Ręka Jezusa zawisła nieruchomo w powietrzu. Patrzył za oddalającymi się robotnikami, a gdy wrzucali zawartość kosza do kamiennej kadzi, opuścił rękę i ujrzał w sobie, jak przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zbiegają się z sobą i łączą, i wpadają do siebie jak trzy ogniste rzeki, i stają się jedną ognistą rzeką czasu, jednym wiecznym okamgnieniem, czyli Świętą Trójcą Czasu, objawioną w majestacie jedności i równości, w Arcyczasie, w czasie naznaczonym, który wypełniwszy winnicę swoją obietnicą i obecnością, płonął gwałtownym płomieniem, ale nie strawił winnicy i dlatego tą swoją właściwością przypominał inny ogień, syczący przed wiekami w pustynnym krzewie przed przerażonymi oczami barczystego proroka Mojżesza. Jezus padł na kolana, pochylił głowę i zawołał: – Błogosław, duszo moja, Panu, a ty, wnętrze moje całe, Jego świętemu Imieniu! – po czym podniósłszy się z kolan bez słowa wyszedł z winnicy, odprowadzany do bramy zdumionymi spojrzeniami winogrodników, którzy nie wiedząc, co zaszło, ale widząc zachowanie się Jezusa, domyślili się, że stało się coś, co wykracza poza winnicę, dzień roboczy i zmęczenie po pracy.

Jezus wracał do domu. Wyszedł na główny trakt, prowadzący z Seforis do Nazarethu. Na gościńcu o tej porze dnia – a było południe, gorące, duszne południe – było zupełnie pusto. Mieszkańcy pracowali w winnicach, ogrodach i sadach lub w domach, w chłodnych izbach, a ci, którzy mieli przed sobą dłuższą podróż, już w nocy wyruszyli w drogę, aby zdążyć do celu, zanim słońce stanie w zenicie. Ptaki zmęczone upałem zaszyły się w krzewach, w gęstych żywopłotach i w koronach figowców. Nieruchome powietrze płonęło nad ziemią, a w skwarnej ciszy słychać było tylko szelest jaszczurek umykających spod stóp Jezusa i skrzypienie Jego sandałów, pokrytych czerwonym pyłem.

Jeszcze miał w oczach rzekę ognia, wdzierającą się do winnicy, a w uszach huczały Mu Jego własne słowa błogosławieństwa, wypowiedziane na powitanie przyjscia czasu naznaczonego. Znalazłszy się po drugiej stronie granicy, na obszarach, których nie tknęła stopa ludzka, stał wreszcie u progu ujawnionego życia, a mówiąc ściśle, w miarę ujawnionego, albowiem wszystko, co było ujawnione w Jego życiu, było tak samo niezbadaną i niezgłębianą tajemnicą jak wszystko, co pozostało nieujawnione.

Szedł przed siebie, sam na sam ze sobą i zawsze ten sam. U Prapoczątku, aby Go człowiek mógł zrozumieć i pojąć, posłużył się Prawdą umowną i błogosławioną i sam o sobie rozpowszechnił wieść, że stworzył człowieka na swoje podobieństwo, a gdy mimo to człowiek nie mógł Go zrozumieć i pojąć, stworzył siebie w dosłownej i błogosławionej Prawdzie na podobieństwo człowieka, i szedł teraz, pod koniec

upalnego lata, środkiem drogi, Prawieczny i Doczesny – Całobóstwo w Całoczłowieczeństwie i Całoczłowieczeństwo w Całobóstwie – szedł środkiem drogi, środkiem umiłowanego i wybranego ludu, środkiem Jeszuruna, którego znalazł na jałowej ziemi, na pustyni, wśród wycia wichrów, i objął ramieniem, otoczył opieką i strzegł jak źrenicy swojego oka, i uczynił świadkiem swojej Wieczności i Niewidzialności, ukochanym dziełem i miarą dziedziczną, a świadectwo to nazwał Brith – Przymierzem, wiecznym Przymierzem, nigdy nie odrzuconym, nawet wówczas, gdy Izrael rozdrażniał Go obrzydliwością swojego serca i małością swej wiary, i raz po raz wymazywał Go ze swojej pamięci, i zmuszał do zapalczywości i gniewu. Więc szedł przed siebie, sam na sam ze sobą i zawsze ten sam, szedł środkiem Izraela, do domu swojej matki, który już nie był Jego domem, i w oczach miał widzenie kosza pełnego dojrzałych winogron, za pomocą którego chciał wyrazić przed sobą samym całkowite i prawomocne wypełnienie umowy między Nieskończonością i ograniczeniem. Szedł środkiem drogi, sam na sam ze sobą i zawsze ten sam, wśród nieruchomych cyprysów, szedł w świadomości równoczesno-różnej, ale współdziałającej, zależno-samodzielnej, ale jednomyślniej i wspólnie-odrębnej, ale zgodnej, szedł Niewidzialny i Prawieczny, a zarazem Widzialny i Doczesny, Wszechmocne Bóstwo i ludzkie Ubóstwo w Jedności.

Tak być powinno

Na przełaj, polami szedł do chazana. Gdy przestąpił próg ciemnej izby, z której bił orzeźwiający chłód, spostrzegł siedzącą w kącie na słomianej macie skuloną postać i mimo mroku natychmiast poznał w niej swojego nauczyciela z lat dzieciństwa i pierwszej młodości, dziś już człowieka podeszłego w latach, zgarbionego, o przygaszonych i sennych oczach. Pozdrowił go Imieniem Bożym.

– Jeszua? – spytał starzec i wskazał Mu miejsce obok siebie na macie.

Jezus usiadł. Po krótkim wstępnym milczeniu, które było świadectwem wzajemnej kurtuazji, począł wypytywać starca o zdrowie i życzył mu długich lat życia. Potem rozmawiali o nazarethańskiej synagodze, której dach trzeba było naprawić przed nastaniem pory deszczowej – tu Młodzieniec dorzucił kilka cytatów z Księgi Królewskiej o budowie Świątyni, na dowód potrzeby nieustannej troski o Dom Boży, a nauczyciel z równą biegłością odwdzieczył Mu się cytatami o świętości Przybytku, zaczerpniętymi z Pięcioksięgu – i dopiero po tych grzecznościowych przygotowaniach Jezus w kilku słowach wyłożył cel swoich odwiedzin, a mianowicie, że przyszedł się pożegnać z chazanem.

– Mój najmilszy uczeń, Jeszua, opuszcza Nazareth? – spytał niepewnym głosem

chazan. Jezus przytaknął głową.

– Mój najmilszy uczeń, Jezua, światło i radość moich oczu, idzie w świat? – pytał miękkim głosem, mrugając nerwowo powiekami.

Jezus milczał.

Starzec wyprostował się, w jego przygaszonych oczach zabłysnął ogień, tak dobrze znany Jezusowi z dawnych lat dzieciństwa, i rzekł spokojnym głosem, w którym nie było ani śladu starczego drżenia:

– Wreszcie.

Ponieważ słowo to zostało wypowiedziane beznamiętnie i monotonicznie, nie wiadomo było, czy wyrażało ono zgodę na niezachwiane postanowienie ucznia, czy świadczyło o niecierpliwym czekaniu na tę decyzję, która może powinna była zapaść o wiele wcześniej, więc w danym razie mogło mieć zabarwienie karcące młodzieńczą opieszałość lub może było po prostu wyrazem niezadowolenia, wyrażonego za pomocą ironicznej aprobaty. Starzec zgarbił się, plecami oparł o ścianę, już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale nic nie powiedział, kąty jego warg opadły ku dołowi i w tym wyrazie gorzkiej i nieprzystępnej zadumy zamknął swój sąd o decyzji ukochanego ucznia. Przy Jego pomocy z trudem podniósł się z maty i przez zaciśnięte wargi wypowiedział błogosławieństwo. Jezus wyszedł. Chazan długo stał w progu, ale dłonią zakrył oczy. Może oślepiło go słońce. A może chciał w nich zatrzymać ostatki odpływającej przeszłości.

Jezus spojrzał na niebo. Było już późne popołudnie.

Skręcił w boczną uliczkę, pnącą się pod górę pomiędzy niskimi przymurkami z nierówno ułożonych kamieni, oddzielającymi drogę od zabudowań i ogrodów, i wszedłszy do jednego z domów, przywitał się z roslym młodym mężczyzną o przenikliwych oczach i niskim, guzowatym czole. Mężczyzna wprowadził Go do izby i bacznie Mu się przyglądał, z odrobiną nieufności, ale i zaciekawieniem, gdyż nie spodziewał się odwiedzin krewnego, który nigdy u niego nie bywał. W lot zrozumiał, że przyszedł na pewno w jakiejś ważnej sprawie, nie cierpiącej zwłoki, na pewno o charakterze ogólnorodzinnym. Ponieważ Guzowaty wierny był świętym zwyczajom rodowym, głoszącym, że niczego nie wolno załatwiać bez głowy rodziny i jej najstarszych członków, oddalił się, ale zaraz powrócił w towarzystwie starego, lecz krzepkiego ojca i dwóch braci. Przywitali się nawzajem słowem Bożym i usiedli na ziemi półkolem, i obrzucali Jezusa przenikliwym spojrzeniem – ojciec i synowie byli rośli, o niskich, guzowatych czołach i przenikliwych oczach – gdyż pragnęli wybadać cel Jego odwiedzin, zanim jeszcze zacznie mówić, co byłoby dowodem ich przewidującej mądrości i pozwoliłoby im potem w gronie braci, stryjów i wujów pysznić się niezawodnym instynktem i sprytem. Jezus, przewidując ich naiwne

pragnienia i myśli, rozpoczął swoją przemowę od spraw ogólnych, posługiwał się przy tym obrazami zaczerpniętymi z Tory i z Księgi Przysłów, umiejętnie dobierał cytaty, a nawet dorzucił na okrasę dobrze zastosowaną do okoliczności pewną przypowieść, tak że Jego krewni natychmiast zrozumieli cel Jego odwiedzin – a o to Mu właśnie chodziło – i zanim zdążył przejść do sedna sprawy, już wiedzieli, iż postanowił opuścić Nazareth, udać się do Judei – nie śmieli Go pytać o powód tak nagłego postanowienia – i dlatego przyszedł prosić o opiekę nad matką. Nieufność znikła z ich oczu. Zadowoleni byli, że im się udało dzięki wrodzonej przenikliwości i wrażliwemu znanstwu duszy ludzkiej odgadnąć Jego zamiar. Ojciec, którego twarz rozjaśniła się – i prawdopodobnie od jasności jego twarzy rozjaśniły się twarze jego trzech synów – przychylnie ocenił odwiedziny Jezusa (Cóż to za dziwak – pomyślał. – Nie żeni się, nie zakłada ogniska domowego, a na domiar wszystkiego opuszcza matkę.) i był niezmiernie rad, że dzięki zaufaniu, jakim go obdarzył jego krewny, został wywyższony i godnie uhonorowany. Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał na nich ulecieć w powietrze, po czym opuściwszy je, przyłożył palce, chropowate palce drwala, do końców długiej i mimo podeszłego wieku jeszcze czarnej brody i lekko ją szarpiąc, począł mówić o szlachetnych obowiązkach wobec wdów i sierot, o świętej spólnocie rodu i o współodpowiedzialności za los bliźniego, wszystkich ludzi, złączonych więzami krwi. Dlatego żadna wdowa i żadna sierota – tak mówił – należące do świętej spólnoty rodowej nie pozostaną bez dachu nad głową, bez chleba, oliwy, soli i wody. Na dowód czego położył rękę pod biodro, a synowie również położyli ręce pod swoje biodra i chórem wypowiedzieli: amen, dumni z zaszczytu, który spoczął na ich ojcu. Stary promieniał. Wprawdzie bolało go, że wygłaszając patriarchalną mowę, nie umiał wpleść w nią cytatów z Pisma Świętego (mógłby je wpleść, ale bał się, że je przekreśli), a jego synowie, kładąc ręce pod swoje biodra, nie umieli tego gestu okrasić jakimś z pamięci wypowiedzianym werselem i popisać się znajomością Tory, ale mimo to nie czuł już więcej zazdrości ani żalu do Jezusa z powodu Jego wiedzy i mądrości. I wymazawszy z serca tę ostatnią niechęć, objął swojego Krewnego mocnymi ramionami drwala, nazwał Go synem i jeszcze raz zaprzysiął na prawicę swoją, że nigdy nie zapomni o krewnej, biednej Miriam, wdowie po bracie stryjecznym, Josefie ben Jaakow – oby pamięć jego była błogosławiona.

Jezus wrócił do domu po zachodzie słońca. Przywitał się z matką, umył ręce i usiadł za stołem, a gdy Miriam podała wieczerzę, Syn odmówił modlitwę i jedli rybę, cebulę i oliwki, i popijali młody moszcz. Po spożyciu tych skromnych darów usiedli przed domem. Jezus trwał w milczeniu, wpatrzony w gwiazdziste niebo i rysujące się na horyzoncie lesiste wzgórza Karmelu. Miriam, która dowiedziała się

od winogrodników, że jej Syn w południe przerwał robotę i wrócił do Nazarethu, pochyliła głowę i pokornie spytała Go o powód przedwczesnego powrotu z winnicy. Po pierwszym zdaniu Jezusa, które nawiązywało do zdarzenia z dawnej przeszłości, gdy jako dwunastoletni chłopiec zaniepokoił ją swoim zniknięciem w Jerozolimie – nawiązanie do tego wspomnienia wstrząsnęło nią do głębi, gdyż przeczuwała, że w dniu, w którym się skończy czas Jego milczenia, na pewno swe pierwsze pożegnalne słowa poświęci temu niepojętemu i niezrozumiałemu zdarzeniu, wszystko stało się dla niej jasne, przeraźliwie jasne.

Ufnie czekała na ten dzień i nigdy nie zwątpiła o jego przyjsciu. Podczas tych długich lat upartego milczenia jej Syna zadawała sobie niekiedy pytanie, kiedy nastąpi wreszcie ta ofiarna chwila, gdy Jezus opuści Nazareth i pozostawi ją samą. Postępując według swej służebnej pokory, nigdy nie starała się myślą uciec od tej rozstrzygającej godziny i zepchnąć jej w daleką niepamięć, nawet wówczas, gdy w całej zgrozie stawały przed nią jej wdowieństwo i samotność, a przede wszystkim zapowiedź dramatycznych przeżyć, które będą udziałem – i o tym nigdy nie wątpiła, pomna na słowa Symeona – jej Pierworodnego. Wstrząśnienie, którego doznała na wiadomość, że Jezus opuszcza Nazareth, było znakiem ostatecznych i nieodwołalnych spełnień i jak każdy znak dany od Elohim, równocześnie przerażało i uspokajało, syciło słodyczą i goryczą, napełniało cierpieniem i radością, czyli odradzało człowieka i tworzyło go od nowa. Dlatego Miriam, mimo doznanego wstrząśnienia, spokojnie przyjęła wiadomość o postanowieniu Jezusa, a westchnienie, które równocześnie wydarło się z jej piersi, było westchnieniem posłusznej ulgi. I szczęśliwa, i pogodna położyła swoją dłoń na dłoni Syna na dowód odnowionej zgody na to, na co się dobrowolnie przed trzydziestu laty zgodziła.

Następnego dnia wstali o świcie. Podczas gdy Jezus, zwrócony twarzą ku Jerozolimie, odmawiał poranną modlitwę, matka przygotowała Mu na drogę placek, suszone ryby, oliwki i kilka owoców granatu. Syn włożył żywność, chustę modlitewną i tefilin do sakwy, przerzucił ją przez ramię, podciągnął wyżej kostek całodzianą tunikę i silniej ścisnął ją pasem. Położył dłoń na sercu i głęboko pokłonił się matce. Mijając próg, ucałował mezuzę, przybitą do drzwi lepianki, i powolnym krokiem począł schodzić ze wzgórza, pochyliwszy głowę ku prawemu ramieniu, co zwykł czynić wówczas, gdy przygniatał Go nadmiar uczuć i myśli.

– Niech Cię prowadzi Bóg Abrahama, Jicchaka i Jaakowa – zawołała Miriam. Jej brwi podniosły się ku górze, czoło lekko się zmarszczyło, a oczy rozszerzyły i tylko jej drgający podbródek świadczył, że z trudem powstrzymuje łkanie. Gdy Jezus się obejrzał, na twarzy matki ukazał się grymas wymuszonego uśmiechu. Ale pocieszyła się, że Jezus nie dostrzegł smutku w jej oczach.

I wracając do pustego domu, pomyślała: Tak być powinno...

Chrzest w Jordanie

Jezus, stojąc u brodu Bethabara i czekając, aż przyjdzie na Niego kolej zanurzenia się w wodzie, starał się wzrokiem odszukać Johanana, co nie było łatwe nie tylko z powodu nieprzebranych tłumów, które zaległy brzeg, ale również dlatego, że nie znając go, nie wiedział, jak wygląda. Wprawdzie spostrzegł nad samym brzegiem gromadę ludzi, a wśród nich człowieka pochylonego nad wodą, odzianego we włosiennicę i przepasanego pasem skórzanym, i począł w nim domyślać się Johanana, ale domysł ten mógł łatwo okazać się zwodniczy, tym bardziej że z powodu dużej odległości nie mógł dostrzec, co on nad rzeką robi, a poza tym mógł to być jeden z pokutników, który uczestnicząc w oczyszczającym dziele pustelnika odział się na jego podobieństwo w płaszcz z sierści wielbłądziej.

Jezus, nie chcąc więc wybiegać teraz poza granicę domysłu, dał spokój dalszym dociekaniom i rad, że w obfитоści człowieczeństwa, które Nim obecnie owładnęło, jest niedostrzegalną częścią tego tłumu, podległą tym samym prawom fizycznym i duchowym ograniczeniom, jeszcze bardziej pogłębiał w sobie ich pełnię i pomniejszał się do rozmiarów szarego pokutnika, stojącego jak każdy pokutnik w oczekiwaniu błogosławionego oczyszczenia. Dzięki temu samozrównaniu z człowiekiem mógł teraz nie tylko nie wiedzieć, jak wygląda Johanana, i ulegać urojonym domysłom, ale przede wszystkim – i to było celem Jego samoograniczenia i chwalebego samopomniejszenia – mógł ujawnić przed ludźmi i sprawdzić na sobie samym i przed sobą samym swoje pełne człowieczeństwo, a ponieważ niestety nie istnieje lepszy sprawdzian człowieczeństwa nad grzech, mógł poczuć się człowiekiem grzesznym, chociaż nigdy żadnego grzechu nie popełnił, i poddać się oczyszczeniu z występków, które nigdy nie były Jego udziałem, i tak dźwigając w sobie ciężar bezgrzesznego grzechu, czyli niepokalanej świadomości upadku, ale nie upadek – była to trudna gra, jedna z tych tajemniczych gier, którymi Elohim posługiwał się, gdy chciał przemówić do człowieka głosem człowieczym – mógł powolnym krokiem wraz z całym tłumem ludzi zbliżyć się ku brzegom rzeki i dokonać zanurzenia w wodzie, tak potrzebnego do całkowitego i świadomego wypełnienia człowieczej prawdy.

Tłum krok za krokiem, cierpliwie i spokojnie, mimo dokuczliwego skwaru i zmęczenia, posuwał się w kierunku brzegu. Ludzie stojący w pobliżu rozprawiali szeptem o pustynnym bracie, o jego uczniach, o pokucie i chrzcie, i z rozmów ich Jezus dowiedział się, że mimo gorących sprzeciwów, zaprzeczeń i nieustannych

sprostowań Johanana, lud skłonny był uważać go za Mesjasza ukrytego, a ta ukryta forma objawienia – ukryta, rozumie się, do czasu – nie tylko podniecała wyobraźnię Izraelitów, lecz jeszcze bardziej umacniała ich w słuszności przypuszczeń i dociekań coraz śmielszych, a niekiedy nawet przybierających ton kategoriycznych stwierdzeń, o świętym proroku, który lada dzień zrzuci zasłonę ze swojej twarzy i objawi się całemu Izraelowi w pełnej chwale Bożego Pomazańca.

Johanana swoje i lud swoje. Jasne było, że mesjańska tęsknota tych ludzi wciąż krążyła dokoła wyzwolenia spod władzy Rzymian i zadecydowała o tym, że cierpliwe czekanie narodu – nie zawsze wprawdzie było ono cierpliwe, ale wiadomo przecież, że niewymierne i względne są granice ludzkiej cierpliwości, więc nawet taką czy inną sporadyczną niecierpliwość synów Izraela od wieków cierpiących obcej jarzmo można uważać za akt podziwu godnej cierpliwości – było jego chlebem codziennym, przepojonym łzami, goryczą i popiołem.

Stali więc w ogromnej gromadzie i powoli zbliżali się do brzegów Jordanu, do piaszczystego i dość wąskiego brodu zarośniętego po bokach gęstym sitowiem, paprocią i olchami, gdzie Johanana – Jezus widział już teraz zupełnie dokładnie jego postać, odwróconą twarzą ku rzece – w otoczeniu swoich uczniów odmawiał modlitwy i chrzczył ludzi, którzy zanurzając się w wodzie, w symbolu wielkiej przemiany, obmywali z grzechów swoje dusze i serca. Syn cieśli przypominał sobie ów uroczysty dzień, gdy był bar micwe i wchodził w lata Obowiązku, Ofiary i Pokory, w czas podniosłej Trójcy, której obecność odczuwał teraz ze wzmożoną wyrazistością tak dokładnie, jakby była Jego sobowtórem.

Już było późne popołudnie, a niemiłosierny skwar lał się z nieba na ziemię, na głowy i plecy ludzi, którzy poszcząc, stali od świtu pod rozżarzonym słońcem, gdy wreszcie Jezus dotarł do samego brodu i spojrzawszy w chudą, szerniałą od pustynnych wichrów, obrośniętą długimi włosami twarz swojego brata, nisko przed nim skłonił głowę i pokornie czekał na jego słowo.

Johanana nieco się cofnął, jakby chciał się przyjrzeć Przybyszowi z pewnej odległości, a ponieważ oślepiły go ukośne promienie słońca, przyłożył dłoń do czoła, osłaniając nią oczy, i uważnie wpatrywał się w postać nieznanego Męża, tak uważnie i długo, że stojący obok niego uczniowie – jeden średniego wzrostu, czarnobrody, o mocnych ramionach i żylastych dłoniach, drugi wysoki, o pociągłej bladej twarzy i delikatnych, nieomal dziewczęcych rysach – równocześnie skierowali pytające spojrzenie na Jezusa, pragnąc wyczytać z Jego unizonej i wyczekującej postawy odpowiedź na niezwykle zachowanie się ich nauczyciela i mistrza.

Tymczasem Johanana odjął dłoń od czoła i bezradnie szukał w pamięci owej odległej chwili, w której spotkał się z Nieznajomym, i nie mniej odległego miejsca,

w którym to spotkanie nastąpiło, lecz im bardziej zagłębiał się w przeszłość, wypatrując w niej śladów owego Męża, tym większa ogarniała go pewność, że mimo bezskuteczności tych chaotycznych poszukiwań na pewno Go kiedyś widział, poznał Go, mówił z Nim i znając Go, i mówiąc z Nim, i będąc obok Niego, równocześnie czekał na spotkanie z Nim, na poznanie Go i rozmowę, i wcale nie dziwił się równoczesnemu porządkowi tych zjawisk, sprzecznych z sobą tylko w ludzkim, nędznym i ograniczonym wyobrażeniu, jednak harmonijnie nakładających się na siebie według praw o następstwie Bożych zdarzeń. Wiedział bowiem, że są różne prawdy u Elohim, ale wszystkie one związane są ze sobą związkiem wiecznym i nierozzerwalnym i każda z nich potwierdza drugą nawet wówczas, jeżeli jej całkowicie przeczy. Ale mimo to wciąż nie wiedział, kim jest Nieznajomy, i byłby może gotów o to Go spytać, gdyby nie poczuł, że stawiając to nierozważne pytanie, dotyka spraw niesprawdzalnych zmysłami i umysłem. A poza tym rosła w nim pewność, że Ten, który stoi przed nim z pokornie opuszczoną głową, jest od niego nieskończenie wyższy, tak wysoki, że aż nieosiągalna była ta Jego wysokość, i dlatego on, Johanan, powinien nie tylko przed pomniejszającym się pomniejszyć, a przed korzącym się ukorzyć, ale okazać Mu swoją marność oraz niedorzeczność tego, co czyni przed Jego obliczem. Więc zwrócił się do Jezusa i powiedział pytając:

– Ja powinienem być ochrzczony przez Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie? Jezus podniósł głowę i odpowiadając rzekł:

– Zgódź się na to, niech teraz tak będzie. Albowiem godzi się, abyśmy w ten sposób wypełnili wszystko, co sprawiedliwe.

Słowa te wypowiedziane były jak prośba, ale brzmiały jak rozkaz, i Johanan poddał się im bezwolnie, albowiem sprawiedliwość, na którą powoływał się Nieznajomy – tak myślał Johanan – oznacza w Prawie niezłomną wolę El Szaddaja, identyczną z Jego zwycięstwem, a tożsamość tę potwierdzili mędrcy z Qumran, którzy głosili, że sprawiedliwość jest Bożym planem zbawienia człowieka, a owo zbawienie jest zawołaniem Synów Światłości walczących z Synami Ciemności, z całym obozem Beliala, a ja wprawdzie nie jestem Światłością – tak myślał Johanan – ale mam złożyć świadectwo o Światłości właśnie teraz, gdy rozstrzygają się losy tej wielkiej wojny, a Syn Sprawiedliwości, będący gwiazdą zrodzoną z Dawida i berłem powstałym w Izraelu, poczyną stopniowo oświecać swoim światłem ziemię aż po najdalsze jej krańce, aż po kres wszystkich czasów i w czasie naznaczonym przez Elohim, to znaczy może jutro, a może pojutrze, a może właśnie już dziś zajaśnieje Jego przeraźliwa światłość i świecić będzie przez wszystkie czasy, i coraz bardziej zmniejszać się będzie odległość między człowiekiem a Bogiem, aż wreszcie odległość ta będzie tak mała, że zupełnie zaniknie, a człowiek wstąpi w Boga albo Bóg

w człowieka, co zresztą wychodzi na jedno i to samo, i nastąpi powszechne Przeistoczenie i Podniesienie dziejów – tak myślał Johanana i tak myśląc, szedł ku rzece, a u jego boku szedł Jezus, który jak pokutnik, zrzuciwszy z siebie tunikę, milcząco wstąpił w wody Jordanu – to milczenie zauważyli Johanana i jego uczniowie – i zanurzył się w rwących falach, w cieniu wyciągniętych dłoni Pustynnego Brata. A Pustynny Brat błogosławił Męża zanurzonego w wodzie i wodę, wodę niby-wodę, albowiem była ona już tylko wodą pozorną, a naprawdę była wartko płynącym Elohim, płynącym Panem Zastępów bijącym o brzeg, była samym Jahwe, głębokim Jahwe, w którym zanurzył się Jezus. Stojąc po szyję w wodzie, w głębi płynącego Boga, w samym jądrze swojego jestestwa, w samym sobie, w pluszczącej Nieskończoności i Niewidzialności, wracał do dawnej równowagi i wyzbywał się swojego samoograniczenia i chwalebego samopomniejszenia, dzięki któremu mógł skrycie i widomie wziąć na siebie ciężar i pełnię swej nie pokutującej pokuty. Wszedł z wody, szybko nałożył na siebie tunikę i zwróciwszy się ku Jerozolimie, ukrytej wśród Gór Judejskich – właśnie w głębi horyzontu, przez szczelinę powstałą pomiędzy wzgórzami a seledynową smugą obłoków, wysączały się ostatnie blaski zachodzącego słońca – począł głośno odmawiać modlitwę, a gdy wypowiedział jej ostatnie słowa, ujrzał, jak z owej otwartej szczeliny ponad Judejskimi Górąmi wylatuje ku Niemu gołębica, ów ofiarny ptak ludzi ubogich, wzbija się w powietrze i krąży nad Jego głową, i usłyszał głos mówiący: – Ten jest Synem moim umiłowanym, którego upodobałem sobie. – I poznał po nieuważnych i opieszających spojrzeniach, i nieczujnych twarzach uczniów i stojących w pobliżu pokutników, że nie widzą gołębicy i nie słyszą mówiącego głosu. Ale szeroko rozwarte i przerażone oczy Johanana były dla Niego nieomylnym dowodem, że uczestniczy on w Jego widzeniu i słyszeniu, co było dla Niego radosną ulgą, gdyż widzenie to było przede wszystkim przeznaczone dla Pustynnego Brata.

I stało się, że nad Mężem, który wszedł jak Ryba z wody, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia, unosił się Duch Boży, krążył nad Jego głową, zataczał szerokie koła, raz wyżej, raz niżej, jakby chciał swoim lotem potwierdzić głęboki sens tego dnia, wreszcie poderwał się ku górze i odleciał na krańce horyzontu, ku Górąm Judejskim, i znikł w szkarłatnej szczelinie między wzgórzami a seledynową smugą obłoku, pozostawiwszy nad głową Męża swój nieruchomy, skrzydlaty cień.

I Jezus znów ujrzał w sobie, jak podczas uroczystego dnia bar micwe, wielką Troistość o obliczach tych samych, a jednak nie tych samych, gdyż trudno jest mówić o trzech obliczach, skoro mimo swojej troistości były jednym i tym samym obliczem, co od biedy język ludzki może określić za pomocą trzech Słów w jednym Słowie

i trzech wieczności w jednej wieczności, i trzech nieskończoności w jednej nieskończoności, albowiem nie ma Słowa, które nie jest troistym Słowem, i nie ma wieczności, która nie jest troistą wiecznością, i nie ma nieskończoności, która nie jest troistą nieskończonością, a przede wszystkim – i to jest najważniejsze – nie istnieje, nie istniała i nigdy istnieć nie będzie Jedność, która nie jest Trójcą.

I wtedy Johanan ku zdumieniu swoich uczniów i stojących obok pokutników padł na twarz przed Jezusem, albowiem poznał Go.

Kuszenie na pustyni

Jezus zapragnął samotności. Pozostawiwszy Johanana, jego zdumionych uczniów i pokutników nad brzegami Jordanu, mimo nocy, która już zapadła, poszedł w kierunku Jerycha, gdzie spodziewał się znaleźć ustronne miejsce, z dala od ludzi i rojnych traktów, aby przed rozpoczęciem działalności poddać się próbie postu i kuszenia. Chciał, jak każdy człowiek rozpoczynający dzieło swojego życia, przemyśleć je do końca, a uważał, że powstrzymanie się przez dłuższy okres czasu od jedzenia i napoju jest nie tylko ofiarą złożoną Panu – post pojmował jako karmienie sobą Boga i równocześnie jako wyzwanie rzucone Złu – ale wzmacnia również czujność ducha, wzmacnia wolę i myśl, więc tworzy dogodne warunki do stoczenia walki z nacierającym wrogiem. A ponieważ Jezusowi chodziło o to, by wyostrzoną czujnością ducha zmóc wyostrzoną czujność łaknącego ciała, znów pomniejszył się do rozmiarów słabego człowieka, lękał się otaczających Go ciemności, drżał na myśl o głosach pustyni, o długich dniach i nocach głodu, o cielesnym znużeniu, u którego kresu czekała Go walka o czystość wybranego ludu. Pozostawiwszy więc siebie swoim własnym siłom człowieczym, ich nieustannie zmiennej odporności i kruchości, po prostu zdany całkowicie na ich łaskę, wydawał siebie na łup pokusy, gotów w tej walce o róg Izraela zgłębić aż do dna swe proste i zawikłane osamotnienie.

Gdy zbliżał się do wzgórza, już całkowicie ukształtował swoje wnętrze na człowiecze podobieństwo, pozbawione jednak skazy grzechowej, której przemożne działanie tylko naśladował, ale z wyrazistym prawdopodobieństwem, dzięki czemu mógł teraz jak każdy biedny człowiek ulegać pokusom i był poniekąd jak ten, który grając rolę nędzarza, równocześnie nim jest i nim nie jest. I tak pogrążony w swoim świętym naśladowaniu i poddany jego nieubłaganym prawom, piął się stromym stokiem wzgórza i zmęczony, i zdyszany potykał się w ciemnościach o ostre głązy i korzenie.

Jezus był mężczyzną dobrze zbudowanym, zgrabnym, o mocnych rękach

i nogach, ale Jego odporność na trudy i zmęczenie była zupełnie przeciętna, a może nawet i mniej niż przeciętna, gdyż mimo krzepkiej budowy ciała był delikatnego zdrowia, co się niekiedy objawiało nadmiernym wyczerpaniem, zwłaszcza podczas uciążliwej pracy w porze letniej. Obecnie zmęczenie spotęgowane było dmącym od pustyni wiatrem, którego podmuchy utrudniały oddech, a pędzony przezeń pył zacierał widoczność i uniemożliwiał szybkie poruszanie się w terenie, i bez tego trudnym do sforsowania, gdyż od czasu krwawej tragedii na zamku wznoszącym się na górze Ejn Dog – pozostały z niego już tylko ruiny – nie stanęła tutaj żywa stopa ludzka, a wszystkie drogi, ongi prowadzące na szczyt, zarosły od półtora wieku dzikimi chwastami. Dzisiaj była to już tylko domena szakali – ich płaczący śmiech i teraz było wyraźnie słychać – żmij i skorpionów, obszar przeklęty, stygmatyzowany krwią ostatniego z rodu Machabeuszy, leżący samotnie na uboczu, z dala od głównej drogi, skwapliwie omijany przez kupców, pielgrzymów i wędrowców.

Jezus, z trudem oddychając, zlany potem, chwycił się pnia uschniętej sykomory i nogami wspierając się o stromą krawędź wystającego głazu, podciągnął się w górę na dłoniach i wczołgał na szczyt góry. Leżał na wznak i szeroko otwartymi ustami chwycił oddech w zmęczone płuca, ocierając z czoła pot, który zlepił Mu włosy i cienką strugą ściekał po skroni. Słyszał szelest zmykających pod kamienie skorpionów i nacichające wycie szakali. Otworzył oczy. Gwiazdy, jeszcze przed chwilą roziskrzone i jasne, teraz stawały się coraz mniejsze, ich ostrość zacierała się, gasły, a równocześnie wraz z ich ledwo pełgającym światłem czarne niebo, które stanowiło majestatyczne tło dla gwiazdnej panoramy, straciło swoją niepotrzebną już teraz czern, szybko poczęło się nasycać błękitem i wtedy zza gór Moabu wytoczyło się ogromne, do białości rozpalone słońce.

Jezus zmrużył oczy. Podniósł się z ziemi i odmówił modlitwę poranną, kłaniając się głęboko wzgórzom Judei i Górze Oliwnej, zasłaniającej widok na Święte Miasto. Skończywszy się modlić, spojrział w dół ku wschodowi, ku brodowi Bethabara, gdzie przez płową pustynię płynął Jordan obramowany po obu brzegach bujną zielenią i lśnił w słonecznym blasku jak srebrny wąż leniwie pełzający po zielonym posłaniu przemyślnymi pętlami i zakosami, tworzącymi tajemnicze znaki i monogramy. Odwrócił głowę. Tuż obok na polanie spalonej słońcem i pokrytej głazami wznosiły się ruiny zamku, resztki portyku, fragmenty dziedzińca, roztrzaskanych schodów, prowadzących do ciemnych lochów i podziemi, i góra bloków kamiennych, żałosne resztki murów, otaczających tę potężną ongi twierdzę machabejską. Znał historię tych ruin i prawdopodobnie świadomie wybrał je na miejsce swoich postnych medytacji, i stojąc teraz na tym wzgórzu zbrodni, na wzgórzu krwawej walki

o władzę, na wzgórzu drapieżnych namiętności, rozmyślał o Ptolemeuszu ben Habub, który postanowił zabić swojego teścia, szlachetnego Symeona ben Matatjahu, księcia machabejskiego, i zasiąść na tronie Izraela, i w tym celu zaprosił go w gościnę na zamek Ejn Dog, gdzie z jego ramienia sprawował władzę namiestnika urodzajnego okręgu Jerycha. Tutaj wydał przyjęcie na cześć gościa i podczas uczyty, gdy współbiesiadnicy byli pijani, zabił go i zabił jego synów, Matatjahu i Jehudę, i kilku towarzyszących im dworzan. Było to zatem miejsce krwawe i przeklęte, na którym zostało pogwałcone święte prawo Elohim i niewzruszone prawo gościnności w imię żądz władzy i żądz posiadania, dwóch żądz, nad którymi nigdy nie zachodził gniew Pana Zastępów. Dlatego było to miejsce grzechu i krwi wołającej do nieba wielkim głosem, stolica demona pustyni, włochatego kozła, wcielonego zła Izraela, Azazela, rozmiłowanego w ruinach, w pustce, w nicości, czyli w samym sobie, albowiem sam był ruiną, pustką i nicością. Jezus idąc zatem do Ejn Dog, na spotkanie zła, żądz władzy i posiadania, szedł świadomie na spotkanie grzechów Izraela, kuszącego Pana swoją niesfornością, na spotkanie ofiarnego kozła, którego słusznie spodziewał się tutaj spotkać, albowiem niezliczone ilości ofiarnych kozłów od niepamiętnych czasów wyganiane przez pastuchów w święto Jom Kippur na pustynię, żyją na pustyni w rogiatym ciełe Azazela.

Mijały długie dni i noce postu i modlitwy, długie dni samoudręki i długie noce bez snu i wypoczynku. Przez czterdzieści postnych dni i czterdzieści postnych nocy przetrwał w sobie całe dzieje rodzaju ludzkiego, od chwili gdy Duch Boży o ostrym dziobie gołębia krążył nad ciemnymi wodami – pamiętał te wody, wzburzone wody narodzin – widział mądre i bardzo złożone stworzenie świata, dzieje pierwszych rodziców, pierwsze pożądanie i pierwsze zabójstwo i widział Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, trzy korony wyrastające z jednego pnia, i słyszał obietnicę, którą El Szaddaj dał owym trzem koronom, przypieczętowaną krwią Pana i krwią obrzezania, a potem widział drobny i nieliczny szczep, swarliwy, koczujący od narodu do narodu, od królestwa do królestwa, i widział Josefa, niewinną ofiarę – pamiętał tę pradawną, niewinną ofiarę odkupienia – i pobyt w nieczystym Micraim, i znaki, i cuda na ziemi Chama, i przemianę wody w krew – nieustannie czuł w sobie tę bolesną przemianę wody i krwi – i wyjście z ziemi nieczystej i płodnej płodnością Rahaba, i widział ludzi płonących żądzą na pustyni, i ludzi kuszących Elohim wśród skał pustkowia – tu przeląkł się, albowiem nie przekroczywszy ustanowionej przez siebie granicy człowieczej świadomości i wiedzy, bał się, że i On u szczytu pragnienia może kusić Pana – a potem słyszał szemranie ludu w czarnych namiotach i widział pięści Proroka, trzęsące się i wzniesione nad wybranym i wierzgającym narodem, i ujrzał węża cierpiącego na pustyni – znów ten wąż, ten wąż biorący na

siebie grzechy całego ludu – i plugawą kananejską marność, której składali ofiary, i usłyszał gniewny ryk Pana, który ich podał w ręce nieprzyjaciół, aby ich znienawidzili i poniżyli twardą ręką, widział niewolę, martwych królów o wypalonych oczach, ruiny miast i pożar Świątyni i usłyszał słowa proroków o Dziewicy, która porodzi Pomazańca, i słyszał głos mówiący o Jego męczeństwie, i wtedy zdawało Mu się, że się pochyla nad czystą powierzchnią wody i widzi w niej odbicie Elohim, swoje i gołębia, a ponieważ była to Jego własna twarz, a nie zamierzał przekraczać ustanowionej przez siebie granicy człowieczej świadomości i wiedzy, ostatnim wysiłkiem – tak bardzo był osłabiony – uczynił ruch dłonią i zamącił wodę, i spłoszył z jej powierzchni swoje oblicze, gdyż nie chciał oglądać swojego podobieństwa stworzonego na podobieństwo i obraz Elohim.

O poranku czterdziestego dnia postu, wyczerpany i ledwo trzymający się na nogach, dowlókł się do kamienia i na nim usiadł, i nagle poczęły Go opuszczać siły, i poczęła niknąć Jego cielesna odporność, a wraz z jej odpływem ogarnęły Go znużenie, bezwolność i obojętność.

Zsunął się z kamienia na ziemię i łaknął. I wtedy ujrzał wychodzącego zza ruin Azazela, rogatego kozła, tego samego, na którego w ostatni Jom Kippur arcykapłan Kajafa bezskutecznie usiłował przelać wszystkie grzechy Izraela, i dopiero dzięki Jego milczącej pomocy udało mu się tego dokonać. Jezus próbował podźwignąć się na dłoniach, ale siły odmówiły Mu posłuszeństwa. Podniósł tylko głowę, otarł zimny pot z czoła i spod półprzymrużonych powiek śledził stojącego nieruchomo kozła, który mówił:

– Łakniesz. Łakniesz wody, wina i chleba, albowiem Twój język jest twardy jak skóra i Twoje podniebienie jest wyschnięte jak ziemia podczas lata, a Twój żołądek jest skurczony i pusty, i tak leżąc na ziemi pożądanego, łakniesz i nie widzisz końca tego łaknienia, więc jeżeli jesteś Synem Bożym, wyrzeknij jedno słowo, aby te kamienie stały się chlebem, a staną się chlebem, i będziesz je spożywał, i napelnisz Twój pusty żołądek, i nasycisz go pokarmem.

Jezus, który coraz bardziej łaknął, wyciągnął dłoń i dotknął palcami twardej, lecz gładkiej powierzchni kamienia, i zrozumiał, że ona może natychmiast pod naciskiem Jego woli bez trudu ustąpić miejsca pulchnej miękkości chleba. Przerażony, jakby dotykał rozpalonego żelaza, cofnął palce, które już pieśczośliwie zamykały się nad kamieniem, i szukał w myślach argumentów przeciw wywodom Azazela, a chociaż milczenie wydawało Mu się najlepszą odpowiedzią, nie skorzystał z tej broni, gdyż bał się, że pustynny demon poczytywać je będzie za dowód słabości lub wewnętrznej rozterki. Obmyślał więc argumenty o potężnej, druzgocącej sakralnej mocy, ale takie, które uniemożliwią prowadzenie z demonem jakiegokolwiek

dialogu o kamieniu i chlebie, a ponieważ z powodu osłabienia czterdziestodniowym postem myśl Jego z trudem przyoblekała się w słowo – ręka Jego znowu bezwiednie posunęła się w kierunku kamienia – począł szukać w pamięci, w tej pamięci tak bardzo ongi podziwianej przez chazana – świętych zdań z Tory, z Psalmów, z ksiąg Proroków, gaszących wszelką pokusę zła. Wówczas olśniła Go zbawcza myśl, że tylko umiejętnie dobranymi cytatami zdoła odparować natarcie zła, skierowane przeciw Izraelowi, albowiem to spotkanie uważał nie tylko za próbę sił między sobą a Szatanem, ale przede wszystkim za rozrachunek ze wszystkimi grzechami Izraela, wcielonymi w demona pustyni, za walkę o duszę i sens istnienia wybranego ludu, który przemawiając głosem bogobojnym i głosem nierządnic, głosem gór i głosem otchłani, musi wreszcie dokonać wyboru między duszą owczą a kozią, gdyż od dnia dzisiejszego cała ludzkość podzielona będzie na owce i kozły, a podział ten obowiązywać będzie po kres wszystkich dni, po dzień ostateczny.

I ogarnięty strachem o czystość swojego ludu, leżąc na ziemi krwi i pokusy, na miejscu bratobójczej zbrodni, począł bronić się cytatami z Świętej Tory i wyrzucił z siebie słowa, które w Jego ustach były jak miecz wyostrzony:

– Człowiek żyje nie samym chlebem, ale człowiek żyje tym wszystkim, co pochodzi z ust Pana.

Azazel, pochyliwszy brodaty łeb, obwąchiwał z pozorną obojętnością zwiędłą kępkę trawy, rosnącą pomiędzy zwalonymi kolumnami, które jakby powoli dźwigane niewidzialną dłonią zaczęły podnosić się z ziemi wraz ze strzaskanym architrawem i zdobnymi fryzami, i ustawivszy się w równy szereg, utworzyły portyk zakończony u wylotu marmurowym tarasem, położonym nad głęboką przepaścią, a mogącym równie dobrze przypominać krużganek Salomona nad doliną Cedronu, jak i życie ludzkie zawieszona nad bezdenną otchłanią. Nie była to więc budowla rzeczywista ani urojona, ale po prostu budowla symboliczna, stworzona przez Azazela na doraźny użytek, i w tym sensie była ona umownym symbolem Świątyni w Świętym Mieście, w Jeruzalajim Hakodesz, propozycją łączącą w sobie widomy kształt wspaniałości z duchową treścią upadku. Wyjątkowe znaczenie w tej budowli posiadał dach kryty złotą blachą – mógł to być symbol Słowa Pańskiego albo góry Synaj, na której Elohim nadał Prawo Izraelowi, albo góry Nebo, z której Mojżesz podziwiał piękno Ziemi Obiecanej – w każdym razie był to symbol jakiegoś ważnego, potężnego i wysokiego zdarzenia, jakiejś wyżyny wzniesionej ponad doczesność, tym ważniejszej, że na jej szczycie miał się objawić Mesjasz w pełnym świetle dnia i przynieść synom Izraela wyzwolenie, i poddać ich panowaniu ziemię pokrytą mrokami i ludy pogrążone w ciemnościach.

Azazel, podniósłszy łeb znad zwiędłej kępki trawy, tak rzekł Jezusowi:

– Czy nie napisane jest, że Mesjasz zjawi się na złotym dachu Świątyni? Spójrz, stoisz na nim. Jeżeli więc jesteś Synem Bożym, daj dowód Twojego wybraństwa i rzuć się na dół, a Pan uniesie Cię na swoich dłoniach – tu Azazel, chcąc przekonać Jezusa o prawomyślności swoich przekonań, sięgnął również do Pisma Świętego, tym razem do Psalmów, aby za pomocą cytatu, zatem metodą, którą sprytnie podpatrzył u swojego Przeciwnika, skusić Go do nieopatrzego działania – albowiem napisane jest, że Elohim „aniołom swoim polecił, aby Cię strzegli na wszystkich drogach Twoich, a oni będą na rękach Cię nosić, abyś nie uraził nogi o kamień”.

Jezus usłyszał w głosie demona głos tych synów Izraela, którzy grzesząc i bluźniąc, Słowo Boże uważali za sługę swoich bezceństw, a w sercu swoim lekkomyślnie wierzyli, że Pan wyratuje ich z łowczych obierzy dla wybraństwa narodu, i tą swoją drwiącą i naiwną ufnością grzeszyli przeciw cierpliwemu Panu.

Jezus podźwignął się na łokciach i rzekł, znowu zasłaniając się słowami Tory jak tarczą:

– Nie będziesz kusił Elohim, Pana Twojego.

Znikł symboliczny portyk. Jezus ujrzał się znowu na szczycie górskim, który był wprawdzie szczytem Ejn Dog, ale jednak był szczytem nieporównanie od niego wyższym, gdyż widać było z niego całą ziemię, wszystkie lądy, wyspy i morza, wszystkie stolice, miasta i wsie, wszystkie królestwa i trony. Ponad tymi królestwami siedział na wysokim tronie Jego sobowtór, który używał tych samych co On słów, ale były one odwróceniem, zaprzeczeniem i odrzuceniem Jego słów, i dlatego sobowtór był Jego przeciwieństwem, Jego odwrotnością i rozbieżnością. Wprawdzie obaj równocześnie brali na siebie grzechy Izraela i byli jego ofiarami, ale jeden z nich był ofiarą niepokalaną i oczyszczającą, był Izraelem podniesionym i wywyższonym, owcą białoruną, a drugi ofiarą ciemną i ciemność pomnażającą, Przeciw-Izraelem, złą skłonnością, jecer hara, włóchatym ironicznym kozłem, nicością nad nicościami, nicością mówiącą:

– Dam Ci całą tę potęgę i wspaniałość, bo do mnie należy i mogę ją dać, komu zechcę. Jeżeli więc upadłszy złożysz mi pokłon, cała będzie należeć do Ciebie.

Jezus przymrużył oczy i rozstrząsał w sobie kuszącą obietnicę, w której rozpoznawał wszystkie ułomności swojego ludu, począwszy od tęsknoty za królestwem ziemi i dobrobytu, a skończywszy na oczekiwaniu nieustannych cudów i nadużywaniu Pańskiej opieki.

Z trudem podniósł się z ziemi i stojąc oko w oko z Azazelem, w milczeniu zmawiał modlitwę Szema Israel, najświętszą z najświętszych, najgorętszą z najgorętszych, i każdym słowem tego wyznania – zmawiali je Izraelici nie tylko

w Świątyni i synagogach, ale również w niebezpieczeństwie grożącym ich duszy i ciału – jak biczem smagał kozła, który skurczył się, zmałał, pochylił łeb i wykonał nim ruch, jakby próbował przed siebie uderzyć rogami. Nie starczyło mu odwagi. Cofnął się, a grad milczącej modlitwy, zmawianej bezdźwięcznymi wargami, nieprzerwanie walił go po grzbiecie, po karku, po nogach, spadał na niego jak huragan – zupełnie jak wtedy, gdy go pastuch okładał batem, a to podobieństwo razów pogłębiło się jeszcze o podobieństwo stroju pasterskiego, w którym Azazel nagle ujrzał Jezusa. A gdy wreszcie Jezus z modlitwy milczącej przeszedł do modlitwy głośnej i cisnął Azazelowi w ślepia ogniste słowa: – Panu twojemu, Bogu, kłaniać się będziesz i Jemu tylko służyć będziesz! – demon błyskawicznym susem skoczył na zwalony mur baszty, potknął się, poderwał i rzucił się w skalistą przepaść, porywając za sobą lawinę kamieni, której jednak zdołał się przemyślnie wymknąć, gdyż po chwili Jezus ujrzał go zmykającego przez pofalowaną wydmami pustynię ku brzegom Morza Soli, gdzie znikł w białej smudze oparów unoszących się nad powierzchnią asfaltowych wód. Uciekł. Uciekł do czasu. Kiedy powróci?

Jezus, podpierając się kijem, wynędzniały i zmęczony postami i walką, począł schodzić, nie, raczej zsuwać się ze wzgórza. Stawiał ostrożnie krok za krokiem i wciąż przystawał, i rozcierał uginające się pod Nim kolana. Obejrzał się. Słońce stało już po zachodniej stronie miasta, za Górą Oliwną. Przed sobą miał jeszcze spory kawał ciężkiej drogi do brodu Bethabara, gdzie chciał stanąć przed zachodem słońca, by wziąć krzepiącą kąpiel w szarych wodach Jordanu, posilić się i znaleźć miejsce na nocny spoczynek w pobliskiej gospodzie. Powiał chłodny wiatr. Jezus, zdumiony tym nie spotykanym tutaj zjawiskiem, podniósł wzrok ku popielatym wzgórzom Judei, nie mogąc zrozumieć, jak się to stało, że chłodny powiew wiatru, wyraźnie orzeźwiającego zachodniego wiatru, dostał się do tej rozpalonej niecki, na której dnie spoczywało nieruchome, martwe oko Morza Soli.

Odetchnął pełną piersią. W łagodnym powiewie wiatru usłyszał delikatne drzenie strun, podobne do wieczornego cykania świerszczów – tym bardziej niepojętego, że nikt nigdy nie widział świerszcza na bezwodnej pustyni – przechodzące w radosny, służebny psalm, w którym wprawne ucho mogło bez trudu usłyszeć podniosłe słowa o Elohim. Jezus był już skłonny przypuszczać, że jest to echo psalmu śpiewanego przez pokutników nad brzegami Jordanu, ale równocześnie ze wzmagającym się śpiewem poczęły w Niego wstępować nowe siły, krzepkość i świeżość. I ujrzał się znowu w troistej Jedności, niepodzielnej i podzielnej zarazem, w trzech Słowach zawartych w jednym Słowie, do którego powrócił z dalekich ciemności, z dalekiego postu i z dalekiej trwogi, i zrozumiał, że śpiew, który słyszy, jest śpiewem wyższym od śpiewu pokutników nad brzegami Jordanu, chociaż jest przez nich śpiewany,

podobnie jak orzeźwiający wiatr wiejący od zachodu jest wiatrem wyższym od innych wiatrów, chociaż jest zwyczajnym wiatrem wiejącym od morza.

Szedł teraz szybko w dół i radośnie się uśmiechał, i tym uśmiechem powitał u podnóża góry obojętnie mijających Go przechodniów.

Część II

Czas wody żywej

Pięści Johanana ben Zecharia

Podczas gdy Jezus przez czterdzieści dni przebywał na pustyni Ejn Dog, równocześnie nad Jordanem i w królewskim Macheronie, położonym wśród niedostępnych gór na wschodnim brzegu Jam Hamelach, rozgrywały się wypadki, których związek z dziejami Rabbiego miał się wkrótce ujawnić w pełnym majestacie swojej mądrości. Otóż gdy Jezus przebywał na pustyni, na górze Ejn Dog, Johanana ben Zecharia przeprowił się z Bethabary, położonej w Judei na zachodnim brzegu Jordanu, na jego wschodni brzeg do Bethanii w Perei, która wraz z Galileą stanowiła tetrarchię Heroda Antypasa. Zdawałoby się, że był to krok nie przemyślany, nierozważny, a nawet, zdaniem niektórych, wręcz szaleńczy. Mąż Pustynny bowiem, zmieniając miejsce pobytu i przenosząc się z Judei – spod władzy i jurysdykcji prokuratora rzymskiego – do Perei, rządzonej przez tetrarchę, którego czyny i sposób życia już od dłuższego czasu ostro piętnował, dobrowolnie i wbrew instynktowi samozachowawczemu wchodził do paszczy wprowadzie nie lwa, ale drapieżnego i podstępного lisa.

Co było przyczyną sporu między Mężem Pustynnym a tetrarchą? Herod Antypas podczas jednej z podróży do Rzymu uwiódł żonę swojego brata, Heroda Filipa, Herodiadę. Mieszkała ona wraz z mężem i córką, zielonooką Salome, w pięknym pałacu nad Tybrem i wiodła nudne i bezczynne życie u boku przeciętnego i gderliwego małżonka, pozbawionego ambicji politycznych. Antypas, zakochawszy się w bratowej, która marzyła o odbudowie potężnej monarchii herodiańskiej i myślą tą natchnęła kochanka – w jej żyłach płynęła po babce Mariamne krew królewskiego i bohaterskiego rodu Hasmonejczyków – porzucił dotychczasową żonę, córkę króla Aretesa, rozwiódł Herodiadę i ożenił się z nią, nie bacząc na przepisy świętego Prawa, zabraniające cudzołóstwa i małżeństwa z żoną żyjącego brata. Johanana ben Zecharia, do głębi poruszony z powodu występного i wiarołomnego małżeństwa, zawrzał wielkim gniewem przeciw władcy, który już nie po raz pierwszy gwałcił

prawo Ksiąg Wajikra. Mężowi Pustynnemu wtórował lud, który odwrócił od tetrarchy swoją twarz i okazywał mu w swoim sercu pogardę – Izrael dobrze pamiętał budowę Tyberiady na ziemi starych cmentarzy, na obszarach nieczystych – ale nie ujawniał głośno swojego zgorszenia, gdyż bał się mściwej Herodiady i chytrego Heroda Antypasa, ulegającego wpływom tej niewątpliwie mądrej, lecz nazbyt ambitnej kobiety, nie przebijającej w środkach walki o urzeczywistnienie swoich dalekosiężnych celów. Władca zdawał sobie sprawę z nieprzychylnych dla niego uczuć ludu i przeżywał głęboko ukryty w duszy zabobonny lęk przed Bogiem Izraela – wprawdzie niewiele o Nim wiedział, ale mówiono mu, że jest On Bogiem okrutnej i niezatartej pamięci – i dlatego wielokrotnie wzywał do siebie, do pałacu w Macheroncie, Niestrzyżonego, którego szanował, cenił i bał się, i w tajemnicy przed żoną słuchał jego żarliwych oskarżeń, a potem bez słowa odprawiał go i wśród upalnych nocy szczekał zębami na łożu, trawiony koszmarnymi snami o obciętych głowach. Johanan z początku poprzestał na monologach wygłaszanych przed władcą, sądząc, że wreszcie skruszą one jego serce i wyprą z niego złowróźbny obraz Herodiady, lecz skoro przekonał się, iż na nic nie zdają się poufne namowy, ostrzeżenia i groźby, postanowił stoczyć otwartą walkę z tetrarchą, ale już nie w czterech ścianach komnaty w Macheroncie. Na miejsce walki wybrał otwartą przestrzeń, miejsce rozległe, na oczach całego ludu Izraela, nad Jordanem, przed obliczem Jahwe, którego powołał na świadka swej słuszności, i to nie u brodu Bethabara, bo ten znajdował się na terytorium Judei, lecz u brodu Bethanii, leżącej naprzeciw, na wschodnim brzegu rzeki, w Perci, w kraju Heroda Antypasa. To nie było postanowienie nie przemyślane i lekkomyślne. Johanan powziął je po głębokim namyśle. Gdyby bowiem wygłaszał swoje mowy przeciw tetrarsze w Bethabarze, w Judei, podlegającej jurysdykcji rzymskiego prokuratora, czułby się bezpieczny przed karzącą ręką Heroda Antypasa i nieposkromioną nienawiścią Herodiady i mógłby bezkarnie rzucać gromy pogardy i oburzenia na głowy nierządnej pary. Lecz Johanan ben Zecharia, prorok o włosach nigdy nie strzyżonych, głos Elohim na pustyni, głos zapowiadający, głos wysoko podniesiony, nie mógł i nie chciał wołać z miejsca bezpiecznego i korzystać z łaski tchórzliwej bezkarności, i gromić z ukrycia grzesznych władców, i dlatego nie czując lęku ani przed ich zemstą, ani przed tym, co chciał powiedzieć, wybrał dla swoich oskarżycielskich mów miejsce niebezpieczne, położone tuż u boku Heroda Antypasa i w zasięgu jego władzy, i w tym wybranym miejscu, w miejscu ognia, postanowił zmierzyć się oko w oko z przeciwnikiem.

Wczesnym rankiem, nikogo nie wtajemniczając w swoje zamiary, przeszedł w bród świętą rzekę, a za nim szli, wśród liczego bezimiennego tłumu, jego

uczniowie: Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona, i jego brat Andraj, i Filip z Bethsaidy, i Nathanael ben Tolmaj z Kany Galilejskiej, i dziwili się, że Mąż Pustynny opuszcza Bethabarę i udzielać będzie chrztu po wschodniej stronie rzeki, w miejscu mniej dogodnym dla oczyszczeń, gdyż woda jest tam głębsza i prąd bystrzejszy. Ale szli posłusznie w przeczuciu jakiegoś ważnego zdarzenia. Niektórzy spośród nich – na przykład Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona – w sposób zresztą dla nich samych niczym logicznie nie uzasadniony – próbowali z początku cel tej nagłej przeprawy połączyć z postacią owego nieznanego Galilejczyka, który przed kilkoma dniami tutaj się zjawił, a potem nagle znikł, i nie wiadomo, gdzie się teraz podziewa. Ich myśli od czasu do czasu krążyły dokoła Jezusy ben Josef, zwłaszcza z powodu niezrozumiałego dla nich zachowania się Nistrzyżonego, który żegnając Go, padł przed Nim na twarz, czego nigdy w swej pokornej i proroczej dumie przed żadnym człowiekiem nie czynił. Dlaczego prorok zwiastujący przyjście Mocnego tak nisko skłonił głowę przed tym milczącym Mężem, w którym trudno było się dopatrzeć wyraziciela Mocy? Gdzie jest ów Nazarethańczyk? Czy oddalił się na wschodni brzeg świętej rzeki? Ponieważ nie umieli tych różnych przesłanek ułożyć w logiczną całość, dali spokój dociekaniom, nie wracali więcej myślami do Jezusy i nie zaprzatając sobie głowy bezcelowymi przypuszczeniami, brodzili po kolana w wodzie Jordanu, która rwącym prądem umykała spod ich nóg.

Johanan ben Zecharia chrzczył przez cały dzień aż do zapadnięcia ciemności, po czym uczniowie i lud otoczyli go zwartym kołem, albowiem Mąż Pustynny zwykł był po pobożnej pracy wygłaszać codziennie wieczorem krótką mowę – zazwyczaj zaczynał kazanie od jakiegoś cytatu z Tehilim lub Ksiąg Proroków – o trudnych drogach prowadzących do nieba, do którego należy dążyć, dążyć i dążyć, gdyż w tym dążeniu jest nie tylko godność człowieka, ale i poręka jego zbawienia od czyhającego nieustannie zła. Ale dzisiaj Johanan ben Zecharia nie miał zamiaru poruszać owych zagadnień. Nie usiadł na kopcu porośniętym kępą jałowej trawy, jak to czynił zazwyczaj podczas wygłaszania mowy, lecz stał wyprostowany w świetle księżycowej pełni, sierdzisty i nieokiełzany nieokiełzaniem złorzeczącym, skierowanym przeciw komuś, który nie dąży, gdyż sam sobie odjął wszelkie uroczyste dążenie i może nawet zabił je w sobie na całą wieczność. Uczniowie i lud wielokrotnie widzieli Johanaana ben Zecharia w porę gniewu, rozjątrzenia, pustoszącej gwałtowności, to znów w porę przychylności i łagodnych zamyśleń, widzieli go podczas pogody i burzy, światła i ciemności, ale nigdy jeszcze nie dostrzegli tak złowrogiej chmury na jego czole jak właśnie teraz, i zrozumieli, że Mąż Pustynny przemówi o sprawie pogwałconej, zelżonej, ugodzonej w samo serce, może

przemówi o samej Torze, rozdartej ludzkimi rękami, o znieważonym świętym Prawie, i że za chwilę nie Elohim będzie jego tarczą, ale on sam stanie się tarczą Elohim. I na znak trwogi pochyłili głowy, gdyż nie śmieli patrzeć w twarz tego, który za pomocą swojego spojrzenia i chmury nad brwiami wywołuje zelżoną Obecność i zasłania Ją całym sobą przed uczynkami bezbożnych i pyszałków.

Tak przemówił Mąż Pustynny:

– Nie będę się lękał, chociaż mówię do ostów, cierni i skorpionów, nie będę się lękał ich oblicza i ich sprzeciwu i przekażę im słowa Elohim niezależnie od tego, czy je pominą, czy usłuchają, bo mówię to, co mnie pali i bodzie, i przewierca na wylot, co wzburza moją krew i każe jej powstawać przeciw ustom kłamliwym i Wiarołomnym, dlatego słuchaj mnie, ludu Izraela, słuchajcie mnie, wzgórza Izraela, słuchajcie moich słów, które wypowiem do pagórków, strumieni, dolin i rozpadlin o mężu grzesznym, którego dzieła są nicością, i o jego żonie, niewieście nierządnej, która męża swojego opuściwszy, uległa jego bratu i tam, w Macheroncie – tu wyciągnął dłoń ku południowi – dzieli z bratem swojego męża brud, grzech, nieprawość, zakałę, hańbę, a mąż ów powstał przeciw świętemu Prawu, przeciw słowom zapisanym w Księdze Wajikra, powstał przeciw Prawu i znienawidził, i znieważył przykazania i nakazy, i świadectwa, i sąd, i wyroki Pańskie, i stał się dlatego odpadkiem i żużlem, i będzie wydany w ręce gnębieli, a imię jego będzie starte z powierzchni ziemi, a każdy jego krok będzie sidłem, w które wpadnie, albowiem oddalił bez powodu żonę swoją i wziął za żonę żonę żyjącego brata; przeto pohańbił i zelżył święte Prawo i będzie dlatego pohańbiony i zelżony wraz z niewiastą cudzołożną na wieki wieków po krańce ziemi i granice czasu, i dodawać będzie grzech do grzechu, hańbę do hańby, zelżywość do zelżywości przed obliczem Tego, który dzierży młot w swoim ręku i młotem runie na wszelki grzech, hańbę i zelżywość, a potem obalonych spali ogniem nieugaszonym i będą obaleni młotem Jahwe, i będą spaleni ogniem nieugaszonym cudzołożnik i cudzołożnica – tak wołał Mąż Pustynny, a Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona, i brat jego Andraj, i Filip z Bethsaidy, i Nathanael ben Tolmaj z Kany Galilejskiej, i cały lud przelękli się wielkim lękiem, albowiem ujrzeli młot Jahwe z hukiem spadający na ziemię.

Księżyc stał nad miedzianą pustynią. Mąż Pustynny rósł w ich oczach, jego długie, nigdy nie strzyżone włosy płonęły jak wysoki stos ofiarny, jego żarząca się głowa rosła, a jego postać rozprzestrzeniała się na całą pustynię i na całe niebo, i na całą ciemność, i wtedy lud i uczniowie zrozumieli, że zasłonił sobą Elohim, tak że nie było widać Elohim, a widać było tylko Johanaana, ale wiadomo było – i na to wszyscy mogli przysiąc przed obliczem Pana – że wprawdzie naocznie widzieli Brata Pustynnego, ale za Bratem Pustynnym był Adonaj, El, Melech Haszamajim, Pan

Zasłonięty, zasłonięty duszą; duchem i ciałem Johanana proroka, a przede wszystkim zasłonięty jego włosami. Dla ścisłości musimy zaznaczyć, że w tym wypadku Elohim nie był w pełnym tego słowa znaczeniu zasłonięty włosami proroka, ale raczej bezpiecznie zaplątany w jego włosy, a może nawet nie zaplątany, ale ufnie w nich spoczywał, Elohim, sam Elohim niewidzialnie spoczywający w widzialnej zasłonie, albowiem według prawa Boskiego – o czym już raz pisaliśmy – nie tylko człowiek może ufnie spoczywać w Panu, ale równie dobrze i ufnie Pan może spoczywać w człowieku.

I nie widzieli już nic, bo widzieli już tylko wyciągnięte w kierunku Macherontu dwie kościste pięści Johanana, podobne do dwóch ogromnych gór El Szaddaja, które wstrząsane podziemnymi wstrząsami i wybuchami zionęły bezkształtnym ogniem i wyrzucały z siebie strumienie rozpalonej lawy.

Macheront

Herod Antypas leżał nago na łożu, mokry od potu, który cienkimi strużkami ściekał mu po piersiach i spływał po biodrach na prześcieradło, pomięte od nocnego niepokoju. Spał krótko i źle. Kosmata, dusząca wichura wiała przez całą noc od gór Moabu, od Morza Soli, z kotliny rzeki Amon, ze skalnych wąwozów i bezdennych rozpadlin, bulgotała, kipiała jak wrzątek i zalewała żywym ogniem kamienne mury Macherontu.

Tetrarcha błdził wzrokiem po cedrowej powale i myślał z podziwem o przewidującej mądrości swojego ojca, który na gruzach dawnej twierdzy Aleksandra Janneusza wzniósł tę fortecę wśród niedostępnych wąwozów, na łysym szczycie skały, w smutnym krajobrazie, w przerażającej pustce, gdzie jedynym objawem życia jest szczekanie szakali, lot sępów i wycie chamsinów. Nigdzie ani drzewa, ani cienia, tylko w dole martwe oko Morza Soli wypalone przez słoneczny żar, od którego szaleją nawet najbardziej odporne na skwar osły. Wokoło ziemia spękana, zeschnięta na kość, o zmiennych kolorach szaro-czerwono-fioletowych, a niżej w dolinach tryskające źródła, jedne wrzące jak ziemia za dnia, inne zimne jak ziemia w nocy. Macheront był doskonale uzbrojoną strażnicą, umocnioną wysokimi murami, najeżoną wieżami obronnymi i obficie zaopatrzoną w broń i żywność. W środku tej twierdzy, pomyślanej dla obrony południowych granic Perei przed napadami sąsiednich Nabatejczyków, Herod Wielki zbudował z przesadnym przepychem wspaniały pałac, pełen komnat wykładanych marmurem, basenów kąpielowych ozdobionych mozaikami, fontann, portyków, a przede wszystkim ogrodów, bujnie kwitnących na przekór prawom jałowej pustyni dzięki olbrzymim

nakładom pieniędzy i mozolnym wysiłkom najbardziej doświadczonych w swoim zawodzie ogrodników. Antypas podobnie jak jego ojciec nigdzie nie czuł się tak bezpieczny – ani w Jerozolimie, ani w Jerycho – jak właśnie tutaj, w niedostępnych, bezwodnych, zżartych skwarem górach, otoczonych bezdennymi wąwozami. Czyżby ich dzikość była odbiciem wewnętrznego obrazu duszy ojca i syna? Wspólnoty ich myśli i uczuć? Myślał teraz o ojcu prawie z tkliwością, nie tylko jako dostojny spadkobierca świętego i przerażającego snu o obciętych głowach, ale jako wdzięczny dziedzic tego warownego pałacu, w którym nic mu nie grozi od Rzymian, od ludu Izraela i od byłego teścia, mściwego Areresy, wciąż jeszcze nie mogącego mu zapomnieć zniewagi, jakiej doznała jego porzucona córka.

Utkwił spojrzenie w czerwonej, malowanej na pompejańskiej modłę, ścianie ozdobionej malowidłem przedstawiającym jakąś scenę mitologiczną na tle cyprysów i morza, pod portykiem, który łudząco przedłużał perspektywę komnaty i napełniał ją morskim powietrzem, chłodnym cieniem i krzykiem mew. Tetrarcha poddał się orzeźwiającaemu złudzeniu morza i pałacu nad morzem przypominającego siedzibę cesarza na Capri. Opanowało go uczucie szczerzej wdzięczności dla imperatora. Cesarz bowiem wbrew intrygom potężnego Sejana obdarzał tetrarchę sympatią i w sporach między nim a prokuratorem Poncjuszem często stawał po stronie galilejskiego królika. A stosunki między Antypasem a prokuratorem pogarszały się z dnia na dzień. Przyczyny były głębokie. Związkowi Antypasa z Herodiadą patronowała mądra i dalekosiężna myśl ambitnej Hasmonejki, która marzyła o odbudowie dla swojego męża potężnego królestwa Heroda Wielkiego od Morza Galilejskiego na północy po pustynię Idumei na południu. Przecistawiając się więc nienawistnej wobec Izraela polityce Sejana, pragnęła obalić Poncjusza i wytłumaczyć cesarzowi, że jedynym sposobem na zachowanie stałego pokoju na Wschodzie jest zniesienie urzędu prokuratora i połączenie pod królewskim berłem Antypasa w jedno państwo Galilei, Perei i Judei ze stolicą w Jerozolimie. Herodiada i Antypas składowanie rozwijali chytne zabiegi, ale sprawa nie była łatwa, gdyż w tej trudnej rozgrywce, w której jedną stronę stanowili Sejan i Poncjusz, a drugą Tyberiusz, należało wziąć również pod uwagę i trzecią stronę, nie mniej trudną do zjednania lub pokonania, a mianowicie lud Izraela, oporny wobec tradycji Heroda Wielkiego i nienawidzący wszystkiego, co pochodziło z jego przekłętym pnia. A co najgorsze, od chwili małżeństwa Antypasa z Herodiadą, zatem od chwili – o złośliwy losie! – gdy tetrarcha pod wpływem mądrej myśli Herodiady postanowił pozyskać dla swojego planu cesarza Tyberiusza i lud Izraela, dumny Jeszurun, dotknięty do głębi w swoich uczuciach religijnych, z powodu obrażającego Elohim małżeństwa króla z żoną żyjącego brata, odwrócił się od swojego władcy, milczał pogardliwie lub

przez usta swojego proroka Johanana ben Zecharia miotał z początku ostrzeżenia, a potem przekleństwa na bluźnierczych małżonków.

Za oknami wciąż huczał chamsin.

Kiedy otrzymał ostatni list od cesarza? To było chyba jeszcze przed nowiem księżyca. Natychmiast odpisał. I równocześnie Agryppa wysłał list do Kaliguli. Te listy już powinny być w Rzymie. Z początku obawiał się, że Agryppa przysporzy mu wiele kłopotów. A teraz jest tak łagodny i potulny. Bo nie ma pieniędzy i jest całkowicie zdany na jego łaskę. Ale ufać Agryppie na pewno nie można. Chociaż jest bratem Herodiady. Płynie w nim krew Hasmonejczyków. Wspaniałych, dumnych, bohaterskich Hasmonejczyków! Skąd pomiotom Heroda do królewskiego rodu! A jeżeli tak samo myśli Herodiada? Przecież i w niej płynie krew hasmonejska. Więc dlaczego ufa Herodiadzie, a nie ufa jej bratu, Agryppie? Ta sama krew i to samo ciało. Czyżby należało być ostrożnym nawet wobec własnej żony? Herodiada popiera Agryppę. Cóż w tym złego, że go popiera? To dobrze, że popiera, bo Agryppa mimo swojej lekkomyślności, hulaszczego trybu życia i niesłychanej rozrzutności – dał jej dowody w Rzymie, gdzie w towarzystwie następcy tronu Kaliguli i złotej młodzieży w krótkim czasie roztrwonił cały majątek – ma wpływy u dworu cesarskiego; Kaligula go uwielbia, a sam boski Tyberiusz czuje do niego ojcowską słabość. Ile to razy cesarz i babka Kaliguli, Antonia, ratowali Agryppę przed wierzycielami i grożącym mu więzieniem za długi! Ale długi rosły, wzbierały jak Tyber w porę jesiennych deszczów, aż przelały się przez brzegi, a wtedy zniecierpliwiony cesarz, chcąc dać nauczkę niepoprawnemu rozrzutnikowi, zamknął kiesę, babka Antonia na rozkaz Tyberiusza zatrzaskała szkatułę, i Agryppa poczuł się zmuszony wraz z żoną Kypros uciec przed zbyt natrętnymi wierzycielami do Judei, w czym był mu pomocny sam następca tronu. Biedny zbieg schronił się w idumejskiej twierdzy Malata, czytał pisma Cyserona i Seneki, rozmyślał o śmierci i samobójstwie. Tak przynajmniej twierdziła Kypros, gdy pewnego dnia zjawiała się u Herodiady z gwałtowną prośbą o pieniężną pomoc.

– Ten hulaka będzie nam potrzebny – powiedziała wtedy Herodiada do Antypasa i tetrarcha mianował swojego marnotrawnego szwagra przełożonym rynku handlowego w Tyberiadzie. Tak, Herodiadzie można zaufać. Jest mądra i przewidująca. Na niej się nie zawiedzie. Dobrze, że poparła Agryppę. Ten lekkoduch ma wciąż wpływy na dworze cesarskim, gdzie jest powszechnie lubiany dla swojej wdzięcznej płochości i nieprzeciętnej inteligencji. Koresponduje z Kaligulą i otrzymuje od niego listy wysyłane przez umyślnych posłańców. Przed nowiem księżyca Herodiadzie zaświtała mądra myśl. Trzeba napisać list do Tyberiusza, powiadomić go o szkodliwej, wręcz zbrodniczej taktyce, jaką stosuje prokurator

wobec Izraela, i oględnie zwrócić cesarzowi uwagę na potrzebę dokonania administracyjnych zmian w Judei. Drugi list powinien napisać Agryppa, ale do Kaliguli, poprzeć w swoim piśmie sprawozdanie tetrarchy i spokojnymi, lecz celowo dobranymi słowami odmalować działalność zausznika Sejana w Jerozolimie. I tak się stało. Agryppa wystosował długi list do swojego potężnego przyjaciela – pięknie pisał po grecku, a jego listowa proza wibrowała i lśniła od ciętych zwrotów i wewnętrznego napięcia – i barwnie, lecz bezstronnie opowiedział o wszystkich „przekupstwach, gwałtach, zniszczeniach, prześladowaniach, prowokacjach, nieustannych egzekucjach bez sądu, samowolnych i brutalnych okrucieństwach”, których się dopuszcza na ludności izraelskiej nie przebijający w środkach prokurator. I dwa listy odeszły do Rzymu. Genialna myśl Herodiady. Na pewno genialna. Lecz Herodiada jest nie tylko duszą tych wielkich zamiarów, ale niestety również największą przeszkodą na drodze do ich urzeczywistnienia. Izrael nigdy nie przebaczy mu tego małżeństwa.

Antypas zamknął oczy. Jaka szkoda, że wtedy, przed laty, gdy przyjechał po raz pierwszy do Rzymu, do cesarza, ze skargą na prokuratora Poncjusza, Salome była jeszcze małą dziewczynką. Gdyby była dzisiaj jego żoną, lud Izraela stałby u jego boku, a Johanan ben Zecharia nie miałby powodu obrzucać go klątwami. Ale czy Salome jest tak mądra jak jej matka? Powinien pamiętać, że to właśnie Herodiada natchnęła go myślą o tronie jerozolimskim. Ujrzał tańczącą Salome. Opasły, leniwy, przyciężki, był niezwykle wrażliwy na piękno ruchów i gestów, na taniec, harmonię ciała i grę mięśni. Gdzież greckim tanecznicom do Salome! Tak jak ona nie tańczy nawet syryjskie dziewczęta ani nie tańczył król Dawid i nie tańczyli aniołowie przed Jaakowem, i nie tańczyły zastępy gwiazdne przed Elohim, ani z taką gracją i wdziękiem nie będzie tańczył sam Elohim w raju przed oczami mężów sprawiedliwych, nagrodzonych wieczną szczęśliwością. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Obok tańczącej dziewczyny majaczyła postać, w której Antypas poznał Niestrzyżonego. Przerazenie tetrarchy spotęgowało się, gdy te dwie głowy, tak różne od siebie – jedna dziewczęca, a druga pustynna, jedna swym pięknem urzekająca, a druga swym pięknem odrażająca – poczęły do siebie się zbliżać, zachodzić jedna na drugą, wreszcie wymieszały się, stały się jedną głową, głową zwierzęcia, którego nigdy w życiu nie widział, fantastycznego i drapieżnego jaszczura o olbrzymiej grzywie lwa. Otworzył oczy i z krzykiem zerwał się z łoża. Z ulgą w sercu posłyszał zbliżające się kroki. Znał je. Drobne, pospieszne, niecierpliwe, łaskoczące jak palce, które błądzą po nagim ciele. Poczł na sobie spojrzenie wilgotnych, sarnich oczu i usłyszał słowa wychodzące spomiędzy pełnych warg, które odsłoniły dwa rzędy równych, drobnych, ale drapieżnych zębów. Zmrużył powieki.

– Czy mój pan słyszał? Jego Johanan ben Zecharia znowu wygłosił mowę przeciw mojemu panu i mnie, ale tym razem u brodu w Bethanii w kraju mojego pana, w Perei. Jak długo jeszcze mój pan pozwolić mu będzie bezkarnie potrząsać zmierzwionym łbem i buntować lud zmierzwionymi słowami? Niechaj mój pan każe go uwięzić! I zabić! Zabić! Zabić!

Uraziło go to wyrażenie: jego Johanan ben Zecharia. Ale natychmiast napełniło go chętnym zadowoleniem. Nie odpowiedział na ten uszczypliwy przytyk i tylko uradował się, że Herodiada może nawet wbrew własnym zamierzeniom odnalazła tajną więź, łączącą go z prorokiem, gdyż to, co było w jej ustach tylko pustą złościwością, mogło być w rzeczywistości jego skrytym pragnieniem. Mogło? Czego ona właściwie chce? Żeby uwięził i zabił Johanana? Starając się znaleźć jakąś wygodną i pośrednią drogę pomiędzy jej nedorzecznym żądaniem a swoim ukrytym pragnieniem, rzekł:

– Każe przyjść do siebie Johananowi ben Zecharia.

– Kiedy?

Antypas milczał.

– Czy mój pan pozwoli, że w jego imieniu wezwę Johanana do Macherontu?

– Wezwij – odpowiedział i był rad, że Herodiada wyszła z komnaty.

Znalazł się w trudnym położeniu. Nie lubił rozwiązywać splątanych węzłów. Kochał wszelką łatwość, łatwe zdobycze, łatwą walkę i łatwe powodzenie, albowiem w łatwości, z jaką odnosił zwycięstwa, upatrywał słuszność swojej sprawy, a przede wszystkim sprzyjające działanie bóstwa, może Elohim, a może Baal Zebuba, boga brzęczących much, a było mu obojętne, który z nich mu sprzyja, ten czy tamten, bo wielbił i czcił wszystkich mu sprzyjających bogów, a bał się tylko nieprzychylnych. Pełen złych przeczuc – wciąż miał w oczach kudłaty, jaszczurczo-lwi łeb, powstały z głów Salome i Niestrzyżonego – runął na kolana, głowę nisko pochylił ku ziemi i zdławionym głosem począł się modlić na przemian do Elohim, Boga Wszechświata, i do Baal Zebuba, boga dokuczliwych much.

Kraina Goga i Magoga

Chociaż pustynię zalegała głęboka noc, piaski i skały błyszczały miedzianozłotym blaskiem, a rzeźba krajobrazu w powietrzu chłodnym i przezroczystym była teraz lepiej widoczna niż za dnia w oślepiających promieniach słońca. Na niebie świeciła gwiazda obok gwiazdy, a ponieważ biały strumień mlecznej drogi jeszcze bardziej pomnażał jasność nocnego nieba, ciemność była właściwie zjawiskiem umownym, istniejącym tylko po to, aby stało się zadość świętemu rytmowi dni i nocy, wartości

przeciwstawnych, ustanowionych przez Elohim i dlatego nieodwołalnych. Była więc głęboka noc, noc bez ciemności i przeźroczyta, gdy Johanan ben Zecharia podniósł się z ziemi, odmówił szeptem modlitwę, opasał pasem swą tunikę z wielbłądziej sierści, ujął kij w garść i ruszył ku wyjściu z jaskini – sypiał w niej razem z uczniami – aby udać się do Macherontu, dokąd go tetrarcha wezwał wczoraj przez posłańca.

Modlitewny szept Johanaana zbudził Nathanaela ben Tolmaj, który zawsze miał lekki sen, ale uczeń, nie chcąc przerywać Niestrzyżonemu jego rozmowy z Elohim, spokojnie leżał na ziemi z głową opartą o kamień. Gdy Johanan opasał pasem tunikę, Nathanael zerwał się na równe nogi i zanim prorok zdołał wyjść z jaskini, chwycił go za połą szaty i zawołał:

– Nie idź! Nie idź!

Uczniowie zbudzeni wołaniem Nathanaela skoczyli ku wyjściu i poczęli urywanymi zdaniem przekonywać i błagać Johanaana, aby nie szedł do tetrarchy, który na pewno w swoim szakalim, tchórzliwym, robaczywym sercu knuje podstępne zamiary. Ten i ów nie omieszkali nawet przypomnieć słów Herodiady, która odgrażała się przed niedawnym czasem – użyła wówczas przenośni nad wyraz obrazowej i złowróżbnej – że potrafi ogolić mieczem kudłaty łeb – tak powiedziała – niesfornego nazira. Mówiła więc wyraźnie o jego głowie, o jego włosach, o koronie Elohim, o chwale Pana!

– Zostawcie mnie – odrzekł spokojnie. – Pan nie przysłał mnie po to, abym milczał. I poszedł.

Patrzyli za nim ze smutkiem i ze łzami w oczach, albowiem byli pewni, że go już więcej nie zobaczą.

Świtało. Słońce poczęło przygrzewać, coraz ogromniejsze, dokuczliwsze, oślepiające. Bez śladu rozpląnął się chłód nocy. Johanan szedł prosto na południe, z początku brzegiem Jordanu, potem skręcił na południowy wschód i zdążał drogą karawanową środkiem płaskowzgórza, a idąc i podpierając się kijem śpiewał psalmy śpiewaków wstępujących pod górę, gdyż miał głęboką świadomość wstępowania pod górę, po harfianych schodach, wznoszenia się coraz wyżej, ku wyżynom ziemsko-niebieskim, do siedziby czujnych aniołów. Śpiewał, śpiewał, śpiewał nieustannie, niezmordowanie, a głos jego roznosił się po całej pustyni, po skałach i rozpadlinach, i wysuszonych waadi, i tym samym śpiewem, którym wielbił wszelkie wznoszenie się w górę, chwalił również wschód słońca, jego drogę po niebie i jego południowy zenit.

Stanął przed bramą Macherontu.

Dowódca straży odebrał mu kij, przezornie obmacał jego tunikę, a przekonawszy się, że osobliwy przybysz nie posiada przy sobie noża ani sztyletu, kazał mu iść za

sobą. Szli przez dziedziniec obok cystern na wodę i składów żywności, obok posterunków samarytańskich żołnierzy – przyglądali się ze złośliwym uśmiechem jego bujnym, długim włosom, opadającym na ramiona i plecy – obok krzykliwych handlarzy jarzyn i dostawców mięsa, czekających na zjawienie się Przełożonego Zakupów, i po przejściu marmurowego portyku i palmowego ogrodu znaleźli się w małej, chłodnej komnacie o zakratowanych oknach, skąd rozpościerał się rozległy widok na pustynię i zachodni brzeg Jam Hamelach. Panowała zupełna cisza. Antypas podniósł się z fotela i uczynił w kierunku Johanana przyjazny ruch ręką. Dowódca oddalił się. Stali naprzeciw i patrzyli na siebie, ale bez zdziwienia, albowiem dobrze się znali i jeden dla drugiego nie był niespodzianką lub nieprawdopodobieństwem.

Antypas podniósł dłonie, aby klasnąć.

– Nikogo nie wzywaj – głos Johanana ben Zecharia zaskrzypiał i uwiązał w wyschniętym z pragnienia gardle.

– Chcę wezwać niewolnika, aby bratu mojemu podał wodę na nogi jego – rzekł Antypas. – Mój brat chyba coś wypije, może zje trochę daktyli...

– Nie chcę ani twojej wody, ani twoich daktyli, ani nóg nie zanurzę w miednicy z wodą twoją.

– Niechaj mój brat usiądzie – Antypas niedbale wskazał mu ręką kanapę wyścielaną adamaszkiem.

– Stać będę – odparł Johanana ben Zecharia – albowiem ciało moje niczego tutaj nie dotknie, a nogi moje dotkną tylko posadzki tej komnaty, ziemi w ogrodzie palmowym i kamieni, którymi wybrukowany jest dziedziniec.

– Zbyt surowy jesteś, Johananie ben Zecharia.

– Nie ja.

– A kto?

– Elohim. Pan mnie uczynił stróżem nad pokoleniem izraelskim – odparł – i skoro usłyszę słowo z ust Elohim, muszę mówić w Jego Imieniu, a jeżeli On powiedział, że grzesznik będzie ukarany, to grzesznik umrze z powodu swojego grzechu, a może umrzeć różną śmiercią, albowiem Pan zna nie jedną śmierć, ale zna wiele śmierci, dlatego słysząc głos Elohim karzę i żądam, aby grzesznik wstąpił na drogę sprawiedliwą i był ocalony, i nie umarł w grzechu i od grzechu. Jestem obrońcą twojej krwi, tetrarcho.

– A ja twojej – wyszeptał pojednawczo Herod Antypas.

– Ponieważ jestem obrońcą twojej krwi, a ty, jak twierdzisz, jesteś obrońcą mojej, usłuchaj głosu mojego i zgładź swój grzech, a Elohim będzie wtedy dla ciebie wysoką warownią, której nie zmoże żadna ludzka siła.

– Co mam uczynić, aby grzech wymazać?

– Mówiłem do ciebie wielokrotnie, złamałeś Prawo i pohańbiłeś Słowo Boże, wypowiedziane ustami Mojżesza, i pogwałciłeś nakazy ojców naszych. Oddal od siebie cudzołożnicę Herodiadę.

Opasła twarz Heroda Antypasa ściągnęła się, usta rozszerzyły się w dzikim półśmiechu, odsłaniając górny rząd białych zębów, wskutek czego oblicze jego upodobniło się do pomarszczonego pyska podrażnionego szakala. Ale natychmiast uprzytomnił sobie, że nie powinien nieogłędą gwałtownością wywoływać gniewu Johanana, który moc swoją i natchnienie czerpie z szeolu, z krainy drwiących demonów, a może z samego Elohim, a może z Baal Zebuba, z Asztoret z powrotów Adonisa, z krwi kozłów padłych na pustyni, a może z nich wszystkich razem, więc lepiej do tych spraw się nie zbliżać, nie dotykać ich nieogłędym słowem, a wyzywanie gniewu Niestrzyżonego byłoby równoznaczne ze zbliżaniem się do nich, nieostrożnym ich dotykaniem i lekkomyślnym drażnieniem. Dlatego wargi Antypasa wróciły posłusznie do swojego pierwotnego układu, leniwego i znużonego, nozdrza wklęsły, mięśnie rozluźniły się, i znowu była to twarz nalana tłuszczem, nieruchoma ocieężała tłustością i ospałym okrucieństwem.

– Nie mogę oddalić Herodiady – podniósł rękę ku dolnej wardze, ujął ją w dwa palce, w kciuk i wskazujący, i ciągnąc ku przodowi, mówił z namysłem, nie patrząc na Johanana – ale w zamian dla przebłagania Elohim podwoję i potroję podarunki dla kapłanów, złożę sute dary na Świątynię Pańską, dam złote naczynia, kielichy, świeczniki, wiele stągwi najczystszej oliwy, złożę ofiary z najpiękniejszych sztuk bydła, ofiaruję niezliczone ilości kadzidła, nardu, kasji, aloesu i balsamu.

Mówił coraz szybciej, a zadyszany od bezliku słów, obrazujących jego hojność, wymieniał coraz obfitsze przysmaki dla Elohim, coraz tłustsze kęski najlepszych mięs, bawołów, kozłów, owiec i jagniąt, obiecywał olbrzymie ilości pszennej mąki, najprzedniejszego wina i pachnących kadzideł dla wybrednych nozdrzy Pana, dla przebłagania Elohim, dla swojego oczyszczenia z grzechów i dla pokuty – dla pokuty – powtórzył z naciskiem – a każdemu z tych darów nadawał głęboki i nabożny sens skruszonym wyrazem twarzy, w której fałszywa pokora mieszała się z zabobonnym lękiem i z pyszną pewnością, że nieprzebrane podarunki i bogate ofiary będą na pewno przez Pana radośnie przyjęte i zmyją grzech małżeństwa z Herodiadą. I nie czekając na odpowiedź Johanana – a może chcąc ją przezornie ubiec dla uniemożliwienia odmowy – dorzucał do obiecanych stad bawołów nowe stada bawołów, do owiec nowe owce, do usypanej mąki sypał nową mękę i lał do dzbanów coraz większe ilości wina, a do kryształowych naczyń coraz większe ilości oleistego nardu, byleby uciszyć głos Niestrzyżonego i ułagodzić jego gniew,

i przebłagać nieubłaganego Elohim, którego na pewno mniej się bał niż Johanana. Ale skoro Johanana mianował się Jego głosem, cóż mógł uczynić biedny tetrarcha ponad to, co uczynił, to znaczy za pomocą obfitości jedła i napoju nasycić nienasycony głód Pana i tym sposobem uśmierzyć gniew tego, który jest z woli Pana stróżem Jego nieustannego głodu.

Johanana słuchając upewniał się w myśli, że Gog i Magog, nieczyści królowie krain Meszek i Tubal, wyznawcy drzew ociosanych i członków męskich, wyrzeźbionych bezwstydnie w kamieniach, nie mieszkają poza granicami Erec Hakodesz, ale w Erec Hakodesz, w sercu Antypasa, tego barbarzyńcy i poganina, któremu się wydaje, że Pan, Jahwe Cebaoth, Elohe Haszamajim, Niewidzialny i Nieskończony, jest ogromnym brzuchem, i wystarczy napęcznieć go mięsem bawołów i stągwią wina, a odpuszczone będą grzesznikowi wszelkie grzechy i bezbożność. Mąż Pustynny wzburzył się bluźnierczym obrazem wyobrażającym nienasycone łakomstwo Niewidzialnego, ale natychmiast spłynęło na niego kojące olśnienie, gdyż przypomniał sobie Ezechiela, głoszącego w Bożym widzeniu, że nad brzegami Morza Soli, w tym właśnie miejscu, w którym on i Antypas teraz stoją, w dolinie Abarim na wschód od Morza Soli – tak, tak, w tym samym miejscu, w miejscu zagrodzonym dla przechodzących – będzie pogrzebany Gog wraz z całym tłumem grzeszników, a dolina ta będzie nazwana doliną Goga, a w tej dolinie szczątki Goga grzebać będzie cały lud Izraela, grzebać będzie przez siedem miesięcy, aż oczyszczona będzie ziemia od trądu bezbożnictwa i pogaństwa.

– Jesteś Gogiem i Magogiem w jednej osobie – krzyczał Johanana – podwójną nieczystością w jednym ciele! Wprawdzie twój napletek jest obrzezany na znak Przymierza Boga naszych praojców z Abrahamem i ludem Izraela, mimo to jednak jesteś poganinem i pogańska jest twoja dusza, i pogański jest twój duch, i pogańska jest twoja myśl, a Przymierze twoje z Panem nie jest Przymierzem, lecz mgłą, tchnieniem bezpłodnego wiatru, złudą, bałwanem wyrzeźbionym ręką ludzką, bożkiem złotym i srebrnym, miedzianym, żelaznym, drewnianym i kamiennym, który nie widzi ani nie słyszy, ani nie rozumie, bożkiem, który nawet w swoim nieistnieniu nie istnieje, nie umiesz czcić Pana ani ukorzyć się przed Panem, w którego rękę jest twój oddech i wszystka twoja majątność, a Pan pogardza łojem twoich tłustych cielców i całopaleniem twoich kozłów, i krwią twoich wołów i baranów, albowiem twój napletek wprawdzie jest obrzezany, ale serce twoje jest nieobrzezane, bezbożne i grzeszne, martwe, nie sprzymierzone z Jahwe, a sprzymierzone z tchnieniem bezpłodnego wiatru, z mgłą i złudą, z wszelkim nieistnieniem, które nawet w swoim nieistnieniu nie istnieje.

Tak wołał Johanana ben Zecharia, a żyły na jego skroniach napęczniały i podobne

były do korzeni starych drzew oliwnych. Dłonie wyrzucał przed siebie i potrząsał głową i włosami, i zdawało się, że to nie są włosy, ale płonący krzew. A podczas gdy mówił, Antypas rozważał w sobie słowa i gesty Niestrzyżonego i wyczytał w nich to, czego się najwięcej obawiał: niepotrzebnie go wezwał, bo nie potrafi uciszyć jego wybuchów. Wprawdzie wezwał, go nie z własnej woli, lecz na wyraźne żądanie Herodiady, domagającej się ukarania zuchwałego proroka, ale skoro uczynił zadość żądaniu żony, postanowił nie groźbą i surowym czynem, lecz uniżeniem i prośbami ugłaskać gniew Johanana. Zamiar nie udał się. Więc prorok będzie nadal przeciw niemu wygłaszał oskarżycielskie mowy, buntował lud i żądał odesłania Herodiady do Rzymu i nadal będzie groził karą i unicestwieniem, i nie ma na niego żadnej rady jak tylko... Herod Antypas ujrzał siebie stojącego u łoża umierającego ojca i usłyszał jego słowa o obciętych głowach, usłyszał tak wyraźnie, jakby je tyran w tej chwili szeptem wypowiadał do jego uszu. Zimny dreszcz przebiegł mu po ciele. Podniósł oczy i ujrzał przed sobą stojące wyprostowane ciało Johanana bez głowy, ociekające krwią buchającą z czeluści karku. U swoich nóg widział w tanecznych, śmiesznych podrygach skaczącą odciętą głowę Niestrzyżonego, która ciągnęła za sobą długi tren nie strzyżonych czarnych włosów i swoim niesamowitym kształtem przypominała złowróbną kometę ze świecącym warkoczem, pędzącą po nieboskłonie. Z otwartych ust umierającej głowy wysączyło się wraz z ostatnimi drgawkami sztywniejącego języka okrutne, bezlitosne przekleństwo, i Antypas zwałił się na fotel, a spojenia jego bioder rozluźniły się i kolana uderzyły jedno o drugie. Oczy zasłonił dłońmi. Nie! Nie! Nie! Nie usłucha Herodiady, nie uwięzi Johanana, nie każe go ściąć, o nie, nigdy, nigdy, nigdy! Niech buntuje lud, niech odgrodzi go od Izraela, niech przeciwdziała jego dalekosiężnym zamiarom, niech stoi na przeszkodzie jego politycznym planom, ale on go mimo to nie zabije! Nie zabije! Albowiem jego trwoga przed Johananiem jest wielka, bardzo wielka, wielka jest jego trwoga przed klątwą Johanana i przed jego nie strzyżonymi włosami, i przed tą głową ukoronowaną zawieruchą świętych włosów, które są warkoczem komety, biczem smagającym wygwieżdżone niebiosy, lwem dziesięciogłowym, panterą pokrytą niezliczoną ilością mrugających oczu, więc któż wie, któż wie, kto wcielił się w kościste ciało Niestrzyżonego, jaka siła wcieliła się w te zwichrzone, pełzające włosy, syczące i tryskające jahnwicznym, trującym jadem! Antypas wiele słyszał o różnych wcieleniach dzikich zwierząt, słyszał o wcieleniach szakali, psów, sępów, żmij, skorpionów, trujących drzew i słyszał nawet o bogach wcielających się w ciała ludzkie, więc było dla niego pewne, że Johanana jest wcieleniem o poczwórnym obliczu roślinno-zwierzęco-człowieczo-boskim, skupiającym w sobie siły nader niebezpieczne, zawsze gotowe ściągnąć na człowieka zagładę i unicestwienie. Ale

niepokoiło go i przerażało nie tylko obecne – użyjmy tego niezbyt trafnego wyrażenia – naoczne wcielenie Niestrzyżonego. Stokroć bardziej bał się jego dalszych, prawdopodobnie nieskończonych wcieleń po śmierci, więc obawa, że mógłby kiedyś, w przyszłości spotkać Johanana-mściciela w innym ciele, pod inną postacią, może jeszcze groźniejszą i bardziej niebezpieczną, może nawet pod postacią siły, której nie można zabić – rozstrzygnęła teraz całą sprawę na korzyść proroka: nie zabije go, prorok będzie żył. Dobrze. Będzie żył. Ale jest jeszcze jedna trudność do przezwyciężenia. Co powie Herodiadzie? Jak wytłumaczy powody, dla których puścił wolno Johanana ben Zecharia? Przecież nie może ujawnić swojej trwogi przed mocami tkwiącymi w Johananie, w jego włosach i głowie, i przed niebezpieczeństwem jego dalszych wcieleń. Pozostaje tylko kłamstwo. O, ileż już razy kłamał w życiu. Kłamstwa, półkłamstwa, ćwierćkłamstwa, małe kłamstewka i wielkie kłamstwa były wielokrotnie jego skuteczną bronią. Właściwie okłamywał wszystkich. Ongi okłamywał ojca, prawiąc o miłości synowskiej, okłamywał braci, zapewniając ich o miłości braterskiej i więzi rodzinnej, okłamywał pierwszą swoją żonę, którą potem haniebnie oszukał i porzucił, okłamywał Herodiadę, grając przed nią rolę ambitnego władcy, marzącego o wielkim królestwie Judei, w swoich sprawozdaniach okłamywał cesarza, udając wielkie przywiązanie do niego i Rzymu, okłamywał Poncjusza, udając oburzenie z powodu jego wykroczeń przeciw Izraelowi, okłamywał lud Izraela, udając głęboką wspólnotę z jego dziejowym posłannictwem. Mógł teraz wprowadzić równie dobrze okłamać Johanana i działając na zwłokę, przyrzec mu, że odprawi Herodiadę, ale uląkł się tego kłamstwa, gdyż prorok mógł je przejrzeć swoim wewnętrznym wzrokiem. Postanowił zatem okłamać swoją żonę, posłużyć się wybiegiem i zyskać na czasie, a w najgorszym razie odwlec swoją ostateczną rozprawę z prorokiem do nieokreślonej godziny. Powie Herodiadzie, że Johanana zobowiązał się milczeć. Jest to wprowadzić dyplomacja niezbyt przewidująca, bo przecież prorok wcześniej lub później znowu zacznie wygłaszać mowy przeciw jego małżeństwu z Herodiadą i cytując do znudzenia wersety z Tory podniecać będzie wyobraźnię ludu wizją ognia niebieskiego spalającego na popiół grzeszną parę małżeńską, ale przecież teraz nie chodzi o to, czy Johanana dotrzyma, czy nie dotrzyma swojego przyrzeczenia – lisi tetrarcha był człowiekiem, który wierzy w prawdę swojego kłamstwa – lecz o doraźne ułagodzenie gniewu Herodiady i okazanie jej, że potrafi za pomocą swojej mądrości i autorytetu władcy zmusić przeciwnika do milczenia. A co będzie potem – zobaczy. Był zadowolony ze swojego planu, a jego dobre samopoczucie wzmogło się, gdyż znalazł dla swojego kłamstwa mądre i sprawiedliwe usprawiedliwienie: kłamiąc, kłamstwem swoim ratuje nie tylko siebie przed wybuchami Herodiady, ale

ratuje przede wszystkim Johanana od śmierci, a myśl ta napęłała go nie tylko dumą i szacunkiem dla własnej odwagi, lecz także radosnym przekonaniem o szlachetności tkwiących w nim uczuć i o czujności sumienia, które każe mu sięgnąć nawet do kłamstwa jako broni zbawienia i ratunku. I tak samowywyższony i samouwiebiony ukorzył się przed wrażliwością swojego sumienia, i pomyślał, że lepsze jest kłamstwo, które ożywia, niż prawda, która zabija, i że wielki i mądry jest Elohim – Elohim? nigdy nie miał pewności, czy Panem jest Elohim, czy Baal Zebub, władca much – objawiający się w dobroczynnym kłamstwie i jego kojącym i miłosiernym działaniu. I pełen pokory spojrzął na Johanana, i ku jego wielkiemu zdumieniu spytał go skruszonym głosem:

– Niech brat mój pocieszy mnie miłosiernym słowem i powie mi, co mam uczynić, aby znaleźć łaskę przed obliczem Elohim?

– Pan Cebaoth nieustannie stawia człowiekowi pytania, a człowiek odpowiada na nie swoim życiem. Zastanów się nad odpowiedzią, tetrarcho – odparł Johan ben Zecharia.

– Twarda odpowiedź – odrzekł zmieszany Antypas.

– Moja czy twoja?

Władca, położywszy dłoń na ramieniu Męża Pustynnego, rzekł ciepłym głosem:

– Niech brat mój wróci w spokoju na pustynię.

I Johan ben Zecharia wrócił. Brnął po kostki w gorącym pustynnym piasku przez krainę Goga i Magoga, przez ziemie ich przyszłego cmentarza, a po zachodzie słońca dotarł do Bethanii nad Jordanem, a uczniowie powitali go radosnymi okrzykami i klaskaniem, albowiem żegnając go rano byli niemal pewni, że go żywego już więcej nie zobaczą.

Pastwiska bezprawia

Josef Kajafa od czasów pierwszej młodości marzył o objęciu stanowiska wysokiego urzędnika, w którego rękach skupiałaby się duchowa władza nad całym ludem wybranym. Już w jerozolimskim beth hamidraszu uchodził za świetnego znawcę Ksiąg Wajikra, Bemidbar, Dewarim i kodeksu kacerskiego i właśnie dzięki tej wszechstronnej znajomości praw, przepisów, zakazów, ustaw, zarządzeń oraz umiejętności prowadzenia śledztwa, postępowania karnego i rozpraw sądowych powołany został do Sanhedrynu i powierzono mu odpowiedzialne stanowisko sędziego śledczego dla spraw czystości wiary. Wkrótce stworzył spośród oddanych sobie faryzeuszów, kapłanów i lewitów sieć znakomicie wyszkolonych wywiadowców, których wysyłał w różne, nawet najbardziej odległe zakątki kraju dla

śledzenia nastrojów ludności, tropienia i szpiegowania podejrzanych o kacerstwo nauczycieli i wykładowców Pisma, zwodzicieli i heretyków. Aby usprawnić służbę wywiadowczą, zastosował – w przeciwieństwie do swoich poprzedników – system powolnego, nieomal ślimaczego, lecz niezwykle dokładnego działania, polegającego na cierpliwym i drobiazgowym zbieraniu, nawet przez długie lata, plotek, poszlak, donosów i materiałów dowodowych. Ponieważ był przywiązany do swojego stanowiska sędziowskiego, w którym słusznie upatrywał skuteczne narzędzie walki z odszczepieństwem, po wyniesieniu na tron arcykapłana połączył w swoich rękach ten dostojny urząd z urzędem sędziego śledczego i tym sposobem osiągnął to, o czym dotychczas marzył: pełnię władzy nad wiarą i prawomyślnością Izraela. O miłość narodu nie ubiegał się. Kochał go po swojemu. To znaczy na pierwszym miejscu stawiał osobisty interes arcykapłana i temu interesowi podporządkowywał wszystkie polityczne i narodowe sprawy Izraela. Pragnąc utrzymać się na swoim wysokim stanowisku, zmuszony był lojalnie współpracować z prokuratorem Poncjuszem, co w oczach społeczeństwa, zwłaszcza gorliwców i faryzeuszów, uchodziło za zdradę narodu i jego dążeń wolnościowych. Arcykapłan jednak spokojny był w sumieniu. Spokój ten zawdzięczał głębokiemu przeświadczeniu, że wszystko to czyni dla dobra umiłowanego Jeszuruna, dla Jego szczęśliwej i spokojnej przyszłości. Związki łączące Poncjusza z zaciętym wrogiem Izraela Sejanem rzucały mroczny cień na arcykapłana. Ilekroć potężny dowódca pretorianów, konsul i pełnomocnik cesarza w jednej osobie, dokonywał niecnych czynów wobec synów Izraela mieszkających w Rzymie, prześladował ich i zsyłał na wygnanie – niedawno wcielił cztery tysiące młodzieńców izraelskich do wojska rzymskiego i wysłał ich na Sycylię, gdzie wyginęli bądź w walkach z bandami zbójckimi, bądź od malarii – arcykapłan popadał w bolesny zatarg wprawdzie nie ze swoim sumieniem, gdyż umiał je zawsze znieczulić i uspić mądrze dobranymi argumentami, ale ze swoim ludem, który kojarząc okrucieństwo Sejana z okrucieństwem prokuratora, a okrucieństwo prokuratora ze służalczą uległością głowy Sanhedrynu, okazywał Kajafie zacieklą pogardę. Współpraca Kajafy z prokuratorem nie była łatwa i tylko dzięki roztropnej chytrą – w stosunkach z Poncjuszem nigdy nie stosował środków zaczepnych, ale zawsze zajmował stanowisko obronno-uległe – udawało mu się zgrabnie przeskakiwać przez wszystkie kłody, ze złośliwą umiejętnością rzucane jemu i Izraelowi pod nogi przez przedstawiciela Rzymskiego Imperium. Ta metoda współpracy, choć chytra, nie była ani zawiła, ani zbyt wymyślna. Ponieważ arcykapłan nie chciał zrażać sobie prokuratora, po prostu nie przeciwstawiał się wielu jego zarządzeniom, a na bluźniercze i prowokacyjne wyczyny Poncjusza przymykał oczy, nie dostrzegał ich, a gdy żarliwi faryzeusze przynaglali go do

przeciwdziałania, zbywał ich wyniosłym twierdzeniem, że niczego nie rozumieją. Tak było, gdy Poncjusz celem uzyskania ściślejszego wglądu w obrady, uchwały i wyroki Sanhedrynu – chodziło między innymi o procesy w sprawach kacerskich i gardłowych – uzależnił ich prawomocność i wykonanie od wyników prowadzonego przez siebie śledztwa i od swojej osobistej decyzji. Był to zamach na samorząd religijny Izraela, ale Kajafa zarządzenie to bez sprzeciwu przyjął do wiadomości, a na liczne zarzuty faryzeuszów, że swoją uległością zezwala władzom rzymskim na wtrącanie się w religijne sprawy ludu wybranego, odpowiedział kunsztownie zbudowaną zagadkową argumentacją, tonem pyszałkowatym i pogardliwym. Wynikało z niej, że tak, jak się stało, stało się dobrze, ponieważ on, Kajafa, wie to, czego inni nie wiedzą, a właśnie to, co on wie, jest dowodem na to, iż dobrze uczynił, tak jak uczynił. I lekceważąco wzruszył ramionami. Tym samym rozumowaniem i tym samym lekceważącym wzruszeniem ramion odpowiedział na gwałtowne protesty ludu przeciw zarządzeniu prokuratora, który polecił Sanhedrynowi opuścić dotychczasowe miejsce posiedzeń, Komnatę Ciosanych Kamieni, i przenieść swą siedzibę do Hanuth, miejsca wprawdzie położonego na wzgórzu świątynnym, ale poza świętym okręgiem Domu Pańskiego. Cel tego był jasny: zausznikowi Sejana chodziło o szybką i łatwą, w razie potrzeby, możliwość zbrojnej interwencji w komnacie obrad bez naruszania sakralnego obrębu Świątyni – wydając to zarządzenie, Poncjusz przewrotnie powołał się na zakaz cesarza Tyberiusza, zabraniający prowokowania religijnych uczuć Izraela – i o wymuszenie siłą uchwał Sanhedrynu i pozbawienie go możliwości wydawania zarządzeń sprzecznych z rzymską racją stanu lub okrutnym kaprysem jej przedstawiciela, rezydującego w Cezarei Nadmorskiej.

Kajafa w wypadkach nader trudnych i zagmatwanych, gdy zmuszony był podejmować ważne postanowienia, a każda z obranych dróg wydawała mu się błędna, zasięgał rady teścia, mądrego Hanana ben Sethi, ale zawsze z uszczerbkiem dla swojego autorytetu i dobrego samopoczucia. Zdawało mu się bowiem, i prawdopodobnie słusznie, że jest od niego zależny, a ta świadomość raniła boleśnie jego osobistą ambicję i dumę arcykapłańską. Był równie mądry i równie sprytny jak starzec. Ale Hanan w przeciwieństwie do niego umiał wręcz z nieprawdopodobną wnikliwością sprowadzać każdą sprawę do jej właściwych wymiarów, ani jej nie powiększał, ani nie pomniejszał, nie dramatyzował ani nie lekceważył, ani ośmieszał, odzierał ją tylko z łupiny, wyłuskiwał z niej istotny sens, odsłaniał go, obnażał i jednym ciętym i celnym słowem przeciwdziałał niebezpieczeństwu.

Kajafa podziwiał teścia i – jak niekiedy bywa w takich okolicznościach – był zazdrosny o wszystko, co on mówił i czynił, a w swym zazdrosnym i pochlebczym

uwielbieniu dla jego rozsądku posuwał się aż tak daleko, że nawet wtedy, gdy był przeświadczony o swojej własnej słuszności, pragnął usłyszeć z ust starca jej rozważne potwierdzenie. A wszystko to objawiał przed obliczem Hanana – i podziw, i uwielbienie, zaufanie i zazdrość – z uległą pokorą. Była to pokora pełna niezachwianej wiary w nieomylność głowy rodu Hananidów. Boże wyroki wydawały się tylekroć w swej niezrozumiałej i osobliwej tajemnicy zawikłane, ciemne, nieprzeniknione, sprzeczne z miłym ludzkim rozsądkiem. Natomiast wyroki i rady Hanana były zawsze proste, jednoznaczne i jasne, z czego jednak nie należy wnosić, że bogobojny Josef Kajafa stawiał wyżej swojego teścia od Jahwe Cebaoth. Arcykapłan nigdy by się nie ośmielił jakiegokolwiek człowieka porównywać z chwałą Elohim. Skojarzenie to miało charakter czysto praktyczny, bo gdyby Pan wypowiadał swoje życzenia, rady, zamiary i wyroki równie jasno i wyraźnie jak Hanan ben Sethi, to wtedy on, dostojny zwierzchnik Sanhedrynu, miałby na pewno mniej kłopotów z odczytywaniem świętej woli Pańskiej i jej wykładem.

Na Kajafę zważyło się ostatnio wiele zmartwień i kłopotów. Johanan ben Zecharia był cierniem w sercu arcykapłana, który w ruchu zapoczątkowanym przez Niestrzyżonego węszył niebezpieczeństwo i groźbę dla czystości wiary w Izraelu. Ze sprawozdań, które otrzymywał, zgodnie wynikało, że pustynny nazir zapowiada przyście jakiegoś męża, jakiegoś baranka Bożego, który będzie zbawieniem Izraela. Jak może bezbronny baranek zbawić Jeszuruna? Co ma wspólnego z tym barankiem Johanan ben Zecharia? Czy jest jego samozwańczym prorokiem? Dlaczego zanurza ludzi w wodzie Jordanu? Bracia Milczący w Qumran też zanurzają się w wodach płynących. Mówią, że Johanan ben Zecharia był ongi Bratem Milczącym, lecz opuścił pustelnię. Dlaczego opuścił pustelnię? Kajafa, rozmyślając o tych sprawach, czuł się jak nieszczęsny Hiob, gdyż działalność nazira nie była jedyną troską, która niepokoiła jego serce. Z winy nierozważnych pomysłów prokuratora znalazł się nagle w nader trudnym położeniu, beznadziejnym, jak je z przesadną nerwowością w myślach określił. Obarczony ciężarem obowiązków i nieustannych kłopotów, z jednej strony odpowiedzialny przed Bogiem za czystość wiary w Izraelu, z drugiej widząc się obłożonym przez niepoczytalnych faryzeuszów i gorliwców idących na lep prowokacji prokuratora – o nowym wyczynie Poncjusza usłyszymy za chwilę dokładną relację z ust samego Kajafy – postanowił po długiej z sobą walce udać się po radę do Hanana. Przed niedawnym czasem zdecydowali po wspólnej naradzie wszcząć dochodzenie i śledztwo przeciw Johanowskiemu ben Zecharia – miało to być śledztwo prowadzone według metody Kajafy, powolne, niezwykle dokładne, szczegółowe – i już arcykapłan zastanawiał się nad wyborem zaufanych

wywiadowców, których zamierzał wysłać nad Jordan, gdy nagle wczoraj otrzymał wiadomość o przeklętych monetach, i natychmiast zjawiała się u niego delegacja fanatycznych faryzeuszów i gorliwców, domagających się szybkiego działania przeciw zarządzeniu prokuratora. Kajafa stracił głowę. Nie mógł i nie chciał równocześnie walczyć przeciw wszystkim wrogom Izraela, przeciw prokuratorowi i Rzymianom, przeciw Johananowi ben Zecharia i jego uczniom, przeciw faryzeuszom i gorliwcom i ich zgubnemu dla ludu wybranego politycznemu fanatyzmowi. Pełen najczarniejszych myśli szedł do teścia, który mieszkał w drugim skrzydle pałacu. Wystarczyło przejść przez dziedziniec, aby znaleźć się na obszarze jego domeny. Arcykapłan, ilekroć przekraczał jej granicę, czuł się jak młody Jicchak, gdy z jednej rzeczywistości wchodził do drugiej, z namiotu swojego do namiotu dostojnego Abrahama, jak młody Jaakow, gdy wchodził do namiotu Jicchaka, i jak synowie Jaakowa, gdy wchodzili do jego namiotu, więc był onieśmieszony i skrepowany wzniosłą i zbyt bliską obecnością starca, i bolał, że wciąż jeszcze, mimo tylu doświadczeń, nauk i przeżyć i tak wysokiej godności, którą sprawuje, nie ma tej samodzielności patriarchalnej, jaka promieniuje z postaci jego teścia. Kajafa był pewien, że owa dostojna samodzielność i na niego kiedyś spłynie jak święta oliwa i będzie wielkim darem Pana za wszystkie znoje i trudy Jego wiernego sługi.

Wszedł do komnaty i spojrzał na Hanana, i pomyślał, że tak samo będzie kiedyś siedział w patriarchalnej, siwej samodzielności, i wzruszony ową wizją tymi słowami przemówił:

– „Albowiem ciemna ziemia stała się pastwiskiem bezprawia” – tym cytatem z Tehilim rozpoczął swój wywód. – Ziemia jest ciemna – ciągnął dalej – i bezprawie na niej się wypasa, a owym bezprawiem jest prokurator, a my, mój dostojny teść – oby Elohim jak najdłużej zachował go wśród żyjących – i ja, zięć jego, znaleźliśmy się razem, on i ja, we wspólnej rozterce ducha. Bezprawie godzi w Torę Pana, a godząc w Torę, uderza w Izraela, a Izrael jest czuły i wrażliwy na wszystko, co obraża Pana. Wprawdzie Pan drwi i śmieje się z bezsilnego bluźnierstwa męża nie obrzezanego, ale biada ludowi, jeżeli nie będzie się czuł obrażony w imieniu drwiącego i śmiejącego się Pana.

Hanan milczał, a Kajafa dodał:

– I oto mój dostojny teść i ja, jego zięć, znaleźliśmy się w trudnym położeniu.

To rzekłszy Kajafa podniósł zrosnięte nad oczami brwi i zmarszczył czoło, a potem prawą dłoń wysunął przed siebie i szeroko rozstawionymi palcami wykonywał w powietrzu okrągłe ruchy, jakby przecierał zamglone pole widzenia lub wymazywał coś, co powinno być jego zdaniem wymazane – wymazywanie i wywoływanie wymagają niekiedy tego samego zespołu ruchów – ale Hanan

natychmiast zrozumiał, że ruchy te nie wyrażają ani wywoływania, ani wymazywania, lecz niebezpieczne nagromadzenie wielu wydarzeń, które teraz, połączone w jeden żywioł, jak wzburzone chmury stanęły nad dachem całego domu Hananidów. Dynastii grozi niebezpieczeństwo. Rysy starca zaostrzyły się, jego koścista postać wyprężyła się w fotelu, oddech stał się szybszy i przez cienkie, zaciśnięte wargi wysączył się cichy i ostry syk. Kajafa na ów syk czekał. Wiedział, co on oznacza. To, co mu teraz starzec doradzi, nie będzie już tylko wysoką radą, łaskawie udzieloną bezradnemu zięciowi, który się znalazł w opałach, ale pospieszną próbą ratunku zagrożonego w swoim posiadaniu rodu. Interes rodu jest zagrożony w osobie urzędującego arcykapłana.

Pochylili się ku sobie, a chociaż byli sami w komnacie, Kajafa mówił stłumionym głosem, gdyż szeptał pogłębiał ważność jego wypowiedzi i nadawał słowom majestatyczną doniosłość.

– Mąż nie obrzezany – szeptał arcykapłan – jest nauczycielem zła i wciąż przemyśliwa nad czynieniem zła, a czyniąc je z lubością, znajduje dla niego wciąż nowe kształty, w które wlewa trującą treść. Prokurator, syn Beliala – oby nigdy nie był się urodził – lekceważąc święte nakazy Tory, kazał wybić dla użytku ludu wybranego monetę, na której wyobrażona jest laska rzymskich augurów, lituus, obmierzone narzędzie pogańskich wróżb i brudnych zabobonów. A na dowód, że podłość ciemnych nie ma granic i że za nic mają ustawy spisane błogosławioną dłonią Mojżesza, puścił w obieg na świętej ziemi naszych praojców jeszcze jedną miedzianą monetę z wyrytym na niej czerpakiem, simpulum, naczyniem przeznaczonym do czerpania wina podczas składania bałwochwalczych ofiar w nierządnych świątyniach Rzymu – tu Kajafa cofnął dłonie, jakby bronił się przed przyjęciem nieczystych monet, i pospiesznie wyrzucił z siebie gniotące go słowa: – Dziś przybyło do mnie mnóstwo faryzeuszów, gorliwców, doktorów i uczonych w Piśmie Świętym, którzy pałając gniewem i oburzeniem, wielkim wołali głosem, abym udał się do prokuratora i zażądał od niego natychmiastowego wycofania z obiegu bluźnierczych monet, a jeżeli tego nie uczynię, sami udadzą się do Cezarei Nadmorskiej, i gdyby nawet mieli oddać głowy swoje pod miecz, domagać się będą od męża nie obrzezanego spełnienia ich sprawiedliwych żądań.

Hanan zamyślił się.

– To wszystko? – spytał po chwili.

– Tak, to wszystko.

– Co im odpowiedział mój dobry zięć, Josef?

– Kazałem im jutro przyjść po odpowiedź.

Zapadło długie milczenie. Kajafa nie spuszczał oczu z Hanana.

– Niechaj mój zięć nie idzie do prokuratora. Arcykapłan odetchnął z ulgą.
– Niechaj mój dobry zięć unika syna Beliala. Niechaj unika wszelkich z nim rozmów i spotkań.

– Więc co mam czynić? – w głosie Kajafy brzmiała na przemian ulga i troska. – Jakiej mam udzielić odpowiedzi faryzeuszom i gorliwcom, gdy jutro...

Hanan skrzywił się.

– Chcę chwilę pomyśleć – przerwał opryskliwie i utkwiał wzrok w swojej dłoni, leżącej jak zwiędła gałąź na poręczy fotela.

– A może powinienem wystosować skargę do cesarza? – spytał nieśmiało Kajafa.

– Po co? – syknął starzec, a jego dłoń zatrzepotała na poręczy.

– Aby wydał prokuratorowi rozkaz wycofania z obiegu przeklętych monet. Cesarz już niejedną raz stanął po stronie Izraela.

– Mój zięć chce drażnić prokuratora? Mój zięć zapomniał, że przed ostatnim nowim księżycu cesarz na wniosek Sejana nadał prokuratorowi zaszczytny tytuł *amicus caesaris*, co świadczy, że na syna Beliala wkrótce spadną honory i przywileje. On cieszy się teraz łaską cesarza. Głupotą jest walczyć z synami zła, skoro samemu jest się bezbronnym – głos Hanana brzmiał karcąco i surowo.

Kajafa poczuł się wydany na łup Hananowej mądrości. Karcący ton teścia dotknął go boleśnie. Ale nie okazał tego po sobie. Zawiedziony w przypuszczeniu, że uda mu się z teściem rozmawiać jak równy z równym, w samodzielnej patriarchalności, poddał się niechętnie, ale ufnie jego ojcowskiej opiece.

Znów zatrzepotała zwiędła gałąź na poręczy fotela.

– Niechaj mój dobry zięć nie zajmuje się nie swoimi sprawami. Zostawmy w spokoju prokuratora i zostawmy w spokoju cesarza, i postawmy w spokoju...

– Kogo? – spytał Kajafa.

– Monety! – ostro i zniemacka rzucił starzec.

– Monety? – spytał zdumiony Kajafa. – Monety obrażające religijne uczucia Izraela?

– Nie wszystko, co myśli Izrael, myśli Elohim – mówił Hanan. – Nie wszystko, co obraża Izraela, obraża Pana. Często się zdarza, że lud jest w swoim gniewie podzielony, z czego nie wynika, że również Pan jest w swoich wzruszeniach podzielony. Często się zdarza, że Izrael odstępuje Pana, i wiele razy to się zdarzało, z czego nie wynika, że Pan odstępuje od samego siebie. Izrael i Pan to nie jedno i to samo. Mój zięć słusznie i rozsądnie powiedział na początku naszej rozmowy, że Pan drwi i śmieje się z bluźnierstwa męża nie obrzezanego, ale niesłusznie i nierozsądnie powiedział, że biada Izraelowi, jeżeli nie będzie się czuł obrażony w imieniu drwiącego i śmiejącego się Pana. Izrael nie jest prawicą Elohim. Elohim nie jest

prawicą Izraela. Niech Izrael nie przemawia w imieniu Pana, gdyż Pan nie przemawia w imieniu Izraela. Pan mówi za siebie. Izrael mówi za siebie. Niech Izrael czci i wielbi Pana, i niech działa według swojego rozsądku. Niechaj mój dobry zięć powie faryzeuszom i gorliwcom, aby nie brali do ręki bluźnierczych monet, a gdy je wezmą, będą potępieni. Mój dobry zięć niech tak powie do szalejących faryzeuszów i gorliwców: „Słuchajcie, synowie Izraela, jest niebezpieczeństwo, które przybywa od pogan, i jest niebezpieczeństwo, które przybywa od Izraela. Bałwochwalcze miedziaki wybite w rzymskiej mennicy są niebezpieczeństwem przybyłym od pogan, ale odstępstwa i brudne skłonności do odstępstw, które się rodzą w samym środku Izraela, w jego łonie i nerkach, są głęboką raną na duszy Izraela, więc nie miedziaki pogańskie potępię – tak niechaj mój zięć powie faryzeuszom i gorliwcom – ale odstępstwa Jeszuruna, gdyż dbając o czystość wiary, nie pragnę być łowcą pogańskich monet, ale muszę być łowcą fałszywych proroków i samozwańczych mężów Bożych. Przypomnijcie sobie straszliwe przepowiednie Johanana ben Zakkaj o upadku Świątyni Pańskiej – oby oczy nasze nie ujrzały tego nieszczęścia! – o czterdziestu latach postu rabiego Sadoka, pragnącego umartwieniem swojego ciała ratować Jeszuruna od upadku, a potem przywołajcie z pamięci fałszywych mesjaszów, nędzne odszczepieństwo Nauczyciela Sprawiedliwości, a potem spojrzycie na pustynię, na tę wylęgarnię wszelkiego kacerstwa, na Braci Milczących w Qumran, a przede wszystkim potrząśnijcie głową nad wierzgającym Johananiem ben Zecharia, nad jego godnymi potępienia wypowiedziami i nierozsądnymi wezwaniami, i zapłacicie nad odszczepieństwem winnicy, nad tą bezwstydną niewiastą, tarzającą się we własnej wszeteczności! Pozwólcie mi bacznie śledzić przewrotną wiarołomność, pozwólcie mi ją śledzić dniem i nocą, i nie odrywajcie moich oczu i moich uszu od tego, co się dzieje na pustyni, nad brodem w Bethabarze i nad brodem w Bethanii, gdyż nie z powodu pogańskich lasek augurów rzymskich i czerpaków, wyobrażonych na monetach miedzianych, ale od grzechu odstępstwa i kłamliwego tłumaczenia słów i wyroków Pańskich upadnie Jeruzalajim Hakodesz”. Tak mów do nich, zięciu mój, tak mów, a mowa twoja będzie słuszna i sprawiedliwa, i miła Panu, tak mów do nich, zięciu mój, tak mów i zajmij się tępieniem kacerstwa w Izraelu, a nie potykaj się z prokuratorem, i nie idź do prokuratora, i nie rozmawiaj z prokuratorem, a oni, jeżeli chcą, niech idą do Cezarei Nadmorskiej i niech oddadzą swoje głowy pod miecz męża nie obrzezanego! Niech idą! Niech idą! Niechaj zatem mój zięć robi swoje, co do niego należy, a nie zajmuje się walką z Rzymianami. Jest on wiernym stróżem czystości wiary w Izraelu, stróżem świętej Tory, a nie dzikim sykary językiem, uzbrojonym w sztylet! Niechaj mój zięć nie patrzy ku Cezarei Nadmorskiej, ale twarz swoją zwróci ku Jordanowi.

Niechaj nie rozdziela swojego serca ani nie rozdziela swoich myśli, ale całe serce i całą myśl skupi i wyteży przeciw odszczepieństwu. Na co czeka mój zięć? Na co, pytam! Niechaj wezwie do siebie swoich wysłanników – jak to przed niedawnym czasem ustaliliśmy – i pośle ich na pustynię, i każe im śledzić owego męża nie strzyżonego, nazira, i każe im go przesłuchać, i niech swoje baczne spojrzenie skieruje na niego i jemu podobnych, i na wszystkich fałszywych proroków i samozwańczych mężów Bożych! Na co czeka mój zięć?!

To powiedziawszy, odsapnął i zaczerpnął tchu, bo mówił w uniesieniu, a Kajafa uradował się, że nie będzie musiał ścierać się z prokuratorem ani maskować przed nim swojej uległości uśmiechem, a z milczącą i dobrze ukrytą pogardą wysłuchiwać jego głupich wynurzeń o ciemnocie ludu Izraela, ani patrzeć w tę prostacką twarz gladiatora, wykrzywioną cynicznym grymasem. Chciwie pochłaniał słowa starca i tak przylgnął do nich, że stały się one jego własnością. Więc po co właściwie zasięgał rady Hanana ben Sethi? By usłyszeć z jego ust własne myśli, które teść odczytał w jego wnętrzu i wyraził swoimi słowami?

Gdy następnego dnia wczesnym rankiem stanęła przed Kajafą delegacja gorliwych mężów, powtórzył im to wszystko, co stary Hanan wyczytał w jego wnętrzu o potrzebie walki z odszczepieństwem i fałszywymi prorokami. Dodał, że nie jest sykaryjczykiem, polującym ze sztyletem w zanadrzu na Rzymian, ale strażnikiem wiary w Izraelu. Patrzyli na niego spode łba, zacięli usta i milczeli. Widząc ich upór, dodał zmieszany:

– Wy niczego nie miarkujecie. Pamiętajcie, że dla nas jest korzystniej, aby bluźniercze monety krążyły po kraju, niż gdybyśmy mieli toczyć nierówną walkę z potężnym nieobrzezańcem.

To powiedziawszy spojrzął przed siebie, przymrużył oczy i wypowiedział do nich słowa pełne niekłamanego bólu i wielkiej troski:

– Izrael kusi i drażni Boga Najwyższego.

Ale oni trwali w nieustępliwym, milczącym, zapiekłym uporze.

Wysłannicy Kajafy nad Jordanem

Johanen ben Zecharia, siedząc na ziemi u wejścia do jaskini, utkwiał wzrok w pustynnych wydmach, ciągnących się na zachodnim brzegu Jordanu. Ujrzał na dalekim horyzoncie maleńkie punkciki, które poruszały się w kierunku rzeki. Były tak drobne, że tylko bystre oko Pustynnego Brata mogło je dojrzeć. Za jego spojrzeniem pobiegły spojrzenia Johanana ben Zebadia, Symeona ben Jona i jego brata Andraja, Filipa z Bethsaidy, Nathanaela ben Tolmaj z Kany Galilejskiej i innych

uczniów. Siedzieli półkolem w cieniu skały dokoła Niestrzyżonego – właśnie odmówili szacharit, modlitwę poranną – i po lodowatym chłodzie nocy rozkoszowali się ciepłem wczesnego poranku. Powietrze zaczynało się już nagrzewać, a słońce wytaczające się spoza gór Moabu za chwilę miało się na nich zwalić potopem gorejącego ognia, więc ten krótki świt był jedyną porą względnej równowagi między chłodem a skwarem, między zimną nocą, podczas której szcękali zębami, a dniem, który prażył nieubłaganą spiekotą. Uczniowie, patrząc ku zachodnim brzegom Jordanu, niczego nie dostrzegli i domyślili się, że Johanan ben Zecharia widzi coś, czego oni nie widzą – a to coś mogło być postacią z krwi i ciała lub żywiołem, lub Aniołem Pańskim – a ponieważ prorok miewał niekiedy widzenia, dla nich niedostrzegalne i nieprzystępne, więc chcieli już dać spokój wypatrywaniu zjawisk nieosiągalnych, gdy wtem Symeon ben Jona, rybak, pierwszy spośród nich wszystkich dostrzegł poruszające się na odległych piaskach drobne postacie, które szybko rosły i stawały się coraz wyraźniejsze, co było dowodem, że przybysze jadą na mocnych i dobrze wypoczętych osłach.

– Jadą od strony Jerozolimy – rzekł Symeon ben Jona.

Ciekawi i podejrzliwi, rozważali, dokąd jadą jeźdźcy, gdyż dziwiła ich droga, którą obrali. Gdyby byli kupcami, zdązaliby przez bród w Bethabarze, płytszy i wygodniejszy. Gdyby natomiast byli pokutnikami, których celem pielgrzymki był chrzest w wodach Jordanu pod wzniesionymi dłońmi Niestrzyżonego, drogę swoją, jak przystało na pokutników, odbywaliby pieszo, a nie wygodnie na osłach. Ale niezależnie od tego, kim oni byli, dla uczniów było dużą pociechą, że nie przybywają znad brzegów Morza Soli, spod stóp Moabu, bo była to droga prowadząca z Macherontu, a ktokolwiek stamtąd przybywał, mógł być tylko zwiastunem nieszczęścia, przemocy, a może nawet samym Malach Hamaweth, Aniołem Śmierci, pokrytym niezliczoną ilością szeroko otwartych oczu. Wciąż lękali się o Johanaana ben Zecharia, który wprowadził zdrowy i cały powrócił z niebezpiecznych odwiedzin u Heroda Antypasa, a ostatnimi czasy nie wygłaszał oskarżycielskich mów przeciw tetrarsze i nierządnej niewieście, jednak niebezpieczeństwo nie minęło i o każdej porze dnia i nocy można było się spodziewać niepoczytalnych wystąpień lisiego Antypasa, działającego pod wpływem Herodiady, zawsze gotowej do stoczenia śmiertelnej walki ze znienawidzonym przeciwnikiem. Niechaj Starowieczny ma w swojej opiece Niestrzyżonego! Niech będzie chwała Panu na niebie i na ziemi, i na wodach, że kazał jeźdźcom przybyć ze Świętej Jerozolimy, a nie z po trzykroć przeklętego Macherontu!

Już widzieli dokładnie podróźnych. Było ich czterech. Dwaj kapłani w białych szatach, ze stożkowatymi czapkami na głowach, jechali przodem, a za nimi dwaj

lewicy, odziani w żółte skromne tuniki; ich głowy chronił przed jarzącymi promieniami słońca płat lnianego płótna. Siedzieli dostojnie na osłach, a ta ich postawa, godna i sztywna, świadczyła, że jadą w sprawie ważnej i urzędowej i są wysłannikami kogoś czcigodnego, a czcigodność ich pana i mocodawcy wywyższa ich ponad ich właściwą miarę; Ale do kogo jadą? Może z poselstwem do tetrarchy? Jeżeli jadą do tetrarchy, to dlaczego przez bród w Bethanii, skoro bliższa droga prowadzi z Jerozolimy przez bród w Bethabarze? Osły człapały w Jordanie i raz po raz przystawały, pochylały łby ku wodzie i radosnym, i przeraźliwym rykiem witały rozkoszny chłód rzeki, ale przynaglone do biegu uderzeniami świątobliwych kolan niechętnie ruszały naprzód, rozpryskując przed sobą kurzawę kropel. Wyszędłszy z rzeki i jeszcze czując na podbrzuszach chłód wody, z leniwą rażnością wspięły się na brzeg i – przystały. Kapłani, oślepieni słońcem, przyłożyli dłonie do czoł, rozejrzeli się dokoła i dostrzegłszy pod skałą, w cieniu, siedzącą na ziemi gromadkę, ruszyli w jej kierunku. Gdy znaleźli się w połowie drogi między brodem a Johananiem i jego uczniami, jak przystało na gości przybywających w pokojowych i przyjaznych zamiarach, zsiadli z osłów i trzymając je za uzdy szli piechotą, powoli, albowiem grząski piasek utrudniał im chodzenie.

– Pokój wam – rzekł młody kapłan o jasnej brodzie i niebieskich oczach, które mrużył wodząc spojrzeniem po Niestrzyżonym i uczniach, co świadczyło o słabości jego wzroku.

– I wam pokój – odpowiedział Niestrzyżony i uczniowie.

– Hodi la Adonaj haadonim, chwalcie Pana nad panami – rzekł młody kapłan.

– Ki leolam hasdej, bo na wieki Łaska Jego – odparł Niestrzyżony i wskazał przybyszom miejsce naprzeciw siebie, w cieniu pod skałą.

Usiedli.

Symeon ben Jona wszedł do jaskini i po chwili wrócił z dzbanem wody i kubkami, a oni chciwie pili chłodną wodę i milczeli, a gospodarze milczeli również, bo nie chcieli rozdawać ich skupionej nad wodą uwagi, więc było bardzo cicho i tylko od czasu do czasu mąciło spokój porykiwanie osłów, które przytulone do ściany jaskini potrząsały łbami i ogonami.

Przybysze ugasiwszy pragnienie odstawili kubki, a Krótkowzroczny odchylił głowę i jeszcze bardziej zmrużył oczy, wskutek czego jego twarz przybrała wyraz skupionej chytrności.

I przemawiając tak mówił:

– Przyszliśmy do ciebie w imieniu wysokiego Sanhedrynu – oby Pan zachował go po wieczny czas w Izraelu – bracie niestrzyżony, nazirze bogobojny, którego włosy są świętą własnością Elohim Hagibor, Pana Mocy. Otrzymaliśmy polecenie zadania

ci kilku pytań.

Na to odparł Johanen ben Zecharia.

– Niechaj moi bracia, kapłani Świątyni Pańskiej, i lewici, jej pokorni słudzy, zadają mi pytania, a ja na każde z nich odpowiem według nakazów mojego wnętrza, o którym wszystko wie Elohim, Pan Wszechwiedzący.

– Każdy człowiek jest tym, kim jest – rozpoczął sentencjonalnie Krótkowzroczny – kapłani i lewici są kapłanami i lewitami, przepisywacze Tory są przepisywaczami Tory, rzemieślnicy rzemieślnikami, kupcy kupcami, winogrodnicy winogrodnikami, żeglarze żeglarzami, rybacy rybakami, żołnierze żołnierzami, robotnicy rolni robotnikami rolnymi, uczeni w Piśmie Świętym uczonymi w Piśmie Świętym, harfiści harfistami, a śpiewacy śpiewakami. Wszystkim wiadomo, kim są, do czego dążą i czego chcą, podczas gdy ty, bracie niestrzyżony, nazirze bogobojny, czynisz dzieła, z których nie sposób wywnioskować, czym one są i co oznaczają, i kim ty jesteś i do czego dążysz. Dlatego wysoki Sanhedryn – oby Elohim po wieczny czas zachował go w Izraelu – przysłał nas do ciebie i przez moje usta zadaje ci pytanie: „Kim jesteś, bracie niestrzyżony?”

A na to Johanen ben Zecharia wyznał, a wyznając mówił:

– Słusznie powiedział brat kapłan, że każdy człowiek jest kimś, a będąc kimś, czyni dzieła, które są owocem tego, co czyni, ale bratu mojemu nie o to chodzi, co czynię, albowiem dzieła moje czynię jawnie i na oczach kapłanów i całego ludu, ale zapewne o to, po co to czynię. Więc chcąc odpowiedzieć, muszę przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie nie, kim jestem, ale kim nie jestem – tu Johanen ben Zecharia zerwał się z ziemi, uniósł się, a mówił dotychczas spokojnie, i zawołał:

– Nie o to wam chodzi, kapłani, kim jestem, ale o to, czy jestem Meszijach, Pomazaniec Elohim, Światłość ludów i Moc Zbawienia aż do granic ziemi! Wiedźcie, kapłani, że nie jestem Meszijach! Nie jestem!

Jasna odpowiedź Johanana ben Zecharia niczego nie wyjaśniła, więc nie mogli z nią zawracać do Jerozolimy i stanąć przed Kajafą, który by ich na pewno spytał: „Czy po to was posłałem, aby się dowiedzieć, kim on nie jest? Ja chcę wiedzieć kim on jest?”

Krótkowzroczny spojrział na siedzącego obok towarzysza, równie młodego jak on, ale o twarzy nalanej, pozbawionej młodzieńczej świeżości i pogody, o rysach niewyraźnych, jakby zamazanych, i gdyby nie zgorzkniały grymas, czający się w kątach jego ust, trudno by ją było w ogóle określić. Uznał on, podobnie jak Krótkowzroczny, że należy pytać dalej, bo na pewno pod dnem przeczącej odpowiedzi Niestrzyżonego kryje się drugie dno, do którego należy sięgnąć, aby wydobyć z niego właściwą prawdę, prawdziwszą od wypowiedzianej przed chwilą.

– A może ty jesteś Elijahu? – spytał, a było to pytanie podstępne, a dla zapytanego niebezpieczne.

Niestrzyżony, dla którego terażniejszość była jak dla każdego prawego syna Izraela miejscem zamętu, wiru, po prostu tohu, to jest chaosu, chaosu koniecznego i nieodzownego do zbawienia, ujrzał się nagle w czasie minionym i w czasie stającym się, a raczej – aby się jaśniej wyrazić – jakkolwiek minionym, to jednak stającym się – i dobrze mu było w owym oboim żywiole. Był mężem suszy i mężem kruków miłosiernych, które mu przynosiły rano chleb, a mięso wieczorem, i był mężem upominającym, mężem ognistych ust, i spełniał sąd nad prorokami Baala i prorokami Aszery, nad pniami rzeźbionymi. A potem Pan w dowód wdzięczności uczynił go mężem koni ognistych i wozu ognistego. A potem jego ogniste ciało poczęło się powoli odcieleśniać, a jednak nie straciło nic ze swojej ognistości, a może właśnie dzięki tej świętej ognistości było ciałem oczyszczonym, gdyż wszystko, co żyje i skłania się ku dobru, ulega oczyszczeniu, a nawet Dobro samo w sobie, Elohim – jak głosi wieść przedwieczna – pochowawszy Mojżesza, wziął kąpiel oczyszczenia w ogniu, gdyż chciał uprzytomnić ludziom, że i On sam podporządkował się temu prawu, które im nadał. Był to może nawet gest solidarności Elohim z człowiekiem, piękny i świadczący o wielkim miłosierdziu i samopoświęceniu się Pana, a zwłaszcza o Jego znajomości natury ludzkiej, która chętnie upatruje dla własnej pociechy – a Pan to z pobłażaniem toleruje – cechy ludzkie w Elohim Hagibor. Więc Pan uczynił ciało ogniste męża Bożego posłem przypomnienia i echa, a echo trwające poprzez wieki uczynił jego wołającym głosem, który był echem głosu męża karmionego przez kruki, i będąc jego echem był zarazem głosem głośno rozbrzmiewającym aż do granic dokonanej Obietnicy. Johanana ben Zecharia nie był prorokiem Elijahu, ale był jego echem przeistoczonym w głos, zapisanym w nieubłaganej pamięci Pana, który jej drobną cząstkę, najdrobniejszą, tak małą jak pyłek, przekazał ludziom według swojego niezawodnego planu Zbawienia. W myśl niego echo, głos, który powstał z żywiołu ognia, ale sam ogniem nie był, miał głosić ludziom wieść o zjawieniu się Mesjasza i miał skłonić serce ojców ku synom, a serce synów ku ich ojcom.

Twarz Johanana ben Zecharia, który z zadowoleniem stwierdził, że jest sobą, a nikim innym, siedmiokrotnie się rozjaśniła, i odpowiadając rzekł:

– Nie, ja nie jestem Elijahu.

A wtedy twarze uczniów na podobieństwo twarzy Johanana ben Zecharia siedmiokrotnie się rozjaśniły, ale twarze kapłanów siedmiokrotnie pociemniały i były ciemne, i prawdopodobnie długo jeszcze trwałoby ich zmieszanie, gdyby nie przytomność umysłu milczącego dotychczas lewity, który napastliwie spytał:

– A może jesteś nabi, prorokiem, bracie nazirze?

Podczas gdy na poprzednie pytanie trudno było Niestrzyżonemu natychmiast odpowiedzieć, zwłaszcza że nawet przed samym sobą tylko z wielkim wysiłkiem umiał wytłumaczyć nie istniejący związek, który go łączył z Elijahu, odpowiedź na obecne pytanie nie wymagała dłuższego zastanowienia i sztuki tłumaczenia jej na upośledzone i nieprzezorne słowa.

Uczniowie wpatrzeni w Johanana znieruchomieli w oczekiwaniu, a Johanana odpowiadając na pytanie lewity mówił:

– Jest przysłowie w Izraelu mówiące: „Dłużą się dni, a wszystkie proroctwa są zawodnym widzeniem”. Ale pamiętajcie, że tej przypowieści położony jest teraz koniec, i nikt jej więcej nie będzie powtarzał w Izraelu, albowiem nadszedł już dzień, gdy dokonała się zapowiedź i stało się to, co było widzeniem, a wśród pokoleń izraelskich nie będzie już więcej widzeń ani proroctw, ani widzających, ani proroków, albowiem wszystkie widzenia i proroctwa wpadły jak rzeki do jednego morza, a morze wezbrało i podniosło się, i z owych wód wezbranych i podniesionych natychmiast wyszedł Ten, który idzie i który JEST...

Tu drugi lewita, przerażony kolejnymi zaprzeczeniami Johanana, z trudem przedzierając się przez gąszcz jego słów, pospiesznie, z krzykiem, jakby wołał o ratunek, wyrzucił z siebie rozpaczliwe pytanie:

– Na święte imię Elohim! Powiedz nam, kimże zatem właściwie jesteś, abyśmy odpowiedź mogli dać tym, którzy nas do ciebie posłali! Co mówisz sam o sobie, bracie niestrzyżony! Johanana odpowiedział na to pytanie słowami, które były dalszym ciągiem jego płonących słów, nieopatrznie przerwanych zbędnym pytaniem lewity:

– ...jam jest Głos wołający na pustyni, i ten mój głos teraz słyszycie, jestem Głos wołający. Głos oznajmiający, Głos głośno głoszący, i nic więcej jak tylko Głos, który teraz już nie prorokuje – ongi prorokowałem – nie przewiduje – ongi przewidywałem – nie zwiastuje – ongi zwiastowałem – nie uprzedza – ongi uprzedzałem – lecz stwierdza dokonanie tego, co się dokonało, zatem nie jestem nabi, gdyż nie mogę wieścić tego, o czym wiem, że JEST, i prorokować o Tym, o którym wiem, że JEST, więc nie jestem nabi, lecz jestem tylko głosicielem Tego, który JEST, głosem baranich rogów, głosem świętych szofarów, rozbrzmiewających ze wszystkich wyżyn, pagórków, dolin i pustyń Izraela, Głosem głoszącym Obecność Obecnego!

Czterej wysłannicy poczęli kołysać się w biodrach. Ich dotychczasowe pytania podobne były do fal morskich, które odbiwszy się od skalistego brzegu – może właśnie dlatego wykonywali biodrami ruchy niezdarne naśladujące kołysanie fal –

wypływały daleko na środek morza, do serca morza, i tam naradzały się między sobą, o co dalej powinny pytać. Wszystkie dotychczasowe odpowiedzi były wprawdzie jasne, ale przeczące, a tylko jedna odpowiedź była przyświadcająca, ale za to ciemna ciemnością nad wyraz niepokojącą. Po krótkiej naradzie cztery pytania poczęły z szumem wracać z serca morza do skalistego brzegu i, połączywszy się z sobą, ze wzmożoną siłą uderzyły o brzeg, i spytały Johanana ben Zecharia ustami Krótkowzrocznego:

– Jeżeli nie jesteś Meszijach ani Elijahu, ani widzący nabi, dlaczego udzielasz chrztu nad brzegiem Jordanu, nad rzeką świętą?

A na to Johanana ben Zecharia odpowiadając im rzekł:

– Chrzcę tylko wodą, albowiem zwyczajna woda jest w mej dłoni, wodą pokuty i przygotowania na przyjście Tego, który JEST, ale Ten, który JEST wśród was i którego wy nie znacie, chrzcic będzie ogniem Obecności, Dokonania i Łaski, chrzcic będzie żywą wodą ognia – przecież wiecie, że Elohim stworzył niebiosy z połączenia ognia i wody, które z sobą przedziwnie wymieszał – dlatego On, którego Imię stworzone zostało jeszcze przed powstaniem słońca, chrzcic będzie wodą ognia, chrzcic będzie On, który JEST i który przyszedł po mnie, a istniał przede mną, a ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u Jego sandałów.

Kapłani, lewici i uczniowie przerazili się i zadrżeli, gdyż Niestrzyżony, mówiąc o Tym, który JEST, lecz który przyszedł po nim, a istniał przed nim, dotknął tajemnicy czasu Izraela, przeszłości i przyszłości, i dłoń położył na niewymówionych i z wierzchu niedostrzegalnych zjawiskach, na świętych losach Jeszuruna biorących swój początek w gwiazdach, mgławicach i drogach mlecznych, u podnóża Mądrości, powiernicy Pańskiej. A przerażenie ich było tym większe, bo obszary, z których wysokości przemówił Niestrzyżony, były okręgiem świętym i nienaruszalnym. Jeżeli Niestrzyżony mimo to przemówił z nich głośnym głosem, było to dowodem, że ma do tego prawo. Ale ci, którzy o tym wiedzą, powinni milczeć i udawać, że są nieświadomi praw Johanana ben Zecharia do przemawiania z obszarów, w których tkwią korzenie czasu, łączące Izraela z Prawiecznym.

W tym miejscu musimy uczynić dygresję o czasie. Będzie ona krótka, ale ważna, gdyż pozwoli nam zrozumieć wiele zdarzeń z życia Jezusa. Związek Izraela z Prawiecznym wyraził się za pomocą pojmowania czasu, a był to naszym zdaniem wyraz najistotniejszy, gdyż skupiał w sobie zasadnicze cechy wybraństwa, opieki Bożej i zamiarów Bożych, spoczywających na Jeszurunie. Związek ten objawił się w mowie hebrajskiej, w której odnajdujemy wyraźne ślady świętego oddziaływania Pana na kształtowanie się czasu w świadomości Jego ludu. Przede wszystkim w mowie hebrajskiej nie istniały formy czasu teraźniejszego, a gdy potomkowie

Abrahama, Jicchaka i Jaakowa chcieli wyrazić w swoim języku czynność terażniejszą, tworzyli ją za pomocą imiesłowu połączonego z zaimkiem osobowym. Teraźniejszość była dla tego ludu polem konfrontacji i spotkania przeszłości z przyszłością i dlatego nie była ona właściwie czasem, lecz – jak każde pole – przestrzenią. Zresztą synowie Izraela w swoich stosunkach z Panem zawsze utożsamiali czas z przestrzenią, gdyż czas w ich świadomości był odległością człowieka od Boga, stąd też pojęcie czasu było dla nich zjawiskiem równocześnie moralnym i fizycznym, podobnie jak zjawiskiem moralnym i zarazem fizycznym była Boża Obietnica zapisana w pamięci Jeszuruna. Izrael znał tylko dwa czasy: przeszły i przyszły. Dla Rzymian i Greków przeszłością było wszystko, co odpłynęło i minęło, a przyszłością wszystko, co się zbliżało i następowało. Synowie Rzymu i Grecji nie znali Jahwe Cebaoth i nic nie wiedzieli o Obietnicy Pańskiej. Czas Izraela był natomiast nierozzerwalnie związany z pojęciem Obietnicy, był niejako tożsamy z Obietnicą, którą Izrael od Pana otrzymał w dalekiej przeszłości, będącej niczym innym jak tylko wyrazem Pańskiego zobowiązania i docelowym punktem wędrówki ludu wybranego. Ponieważ Obietnica Pańska nie może przeminąć, przeszłość upamiętniona Obietnicą, tożsama z Obietnicą i wyrażona pod postacią Obietnicy, była w wyobrażeniach Izraela zjawiskiem nieprzemijającym, niezniszczalnym, była celem, do którego powinien konsekwentnie się zbliżać, była kresem i ostateczną granicą jego długiej drogi i niezatartej nadziei. Dlatego dla Izraela przeszłość była pojęciem znajdującym się nie za nim, lecz przed nim, w przyszłości, albo wyrażając się ściślej – w przyszłej przeszłości, i do niej Izrael zmierzał, idąc naprzód. Szedł ku przyszłości, która była w przeszłości. Tę świadomość czasu synowie Abrahama dźwigali w sobie jak własną krew, żyli nią jak chlebem codziennym i nie rozumieli, jak można inaczej odczuwać czas Boży. Dlatego też jednostkowa i zbiorowa pamięć była w tych ludziach pojęciem uświęconym, podniesionym do godności obowiązku sakralnego. Każdy z nich musiał pamiętać wszystko i o wszystkim, i nie wolno mu było o niczym zapomnieć. Musiał przede wszystkim pamiętać o Bogu i o Obietnicy Pańskiej, obecnej w przyszłej przeszłości, o Nadziei, o Nauce Świętej, o swoich praojcach, o ich dziejach, o upadkach i wzlotach swoich przodków, których los wpisany był w dzieje Obietnicy, o swoich dobrych uczynkach i nędznych grzechach, i o swoich obowiązkach, bo i te wpisane były w dzieje Obietnicy. Była to pamięć niezgłębiona jak morze i nic w niej nie było zapomniane, ani jedno słowo mędrca, ani jedna łza psalmisty, ani jeden uśmiech króla, ani ostrzeżenie proroka, ani groźby jego, ani jego widzenia, ani jego gniew, ani jego radość. Pamięć tego ludu była jak zwój papyrusu, początkiem swoim sięgający pierwszego dnia stworzenia, a końcem swoim Dnia Jahwe. Lud ten, gdy czuwał i spał, gdy jadł i głodował, gdy się weselił

i płakał, dźwigał w swojej pamięci cały swój czas i nigdy tego czasu nie wspominał, ale zawsze go pamiętał, bo wspomnianie jest przywoływaniem rzeczy nieobecnych, a pamięć jest niewzruszoną opoką, istnieniem, trwaniem, wiecznością, niepodzielną częścią Elohim, i dlatego Bóg, Jahwe Cebaoth, był Bogiem pamięci i dlatego zbrodnią przed Obliczem Jego było wszelkie zapominanie. Ilekroć Izrael zapominał, odpadał od Pana, gdyż zapominanie było wymazywaniem pamięci, wymazywaniem czasu, wymazywaniem Nadziei, wymazywaniem Obietnicy, zatem było grzechem, bałwochwaltwem, unicestwieniem samego siebie, samozatraceniem na wieki wieków.

Po tej dygresji, która wprawdzie zamąciła tok naszego opowiadania, ale była nieodzowna do zrozumienia posłannictwa Męża zdążającego z przyszłej przeszłości, wróćmy do Johanana ben Zecharia, jego uczniów i wysłanników Sanhedrynu, siedzących w cieniu skały nad Jordanem.

Siedzieli i milczeli. Krew, która przed chwilą zastygła ze strachu w ich żyłach, teraz znowu poczęła żywo krążyć. Ochłonęli z pierwszego wrażenia i rozważali w swoich myślach rozmowę z Johananiem ben Zecharia. Wysłannicy arcykapłana nie wyrobili sobie wprawdzie zdania o głębokości i rozmiarach zjawiska, które rodziło się na judejskiej pustyni, ani też nie kusili się o ogarnięcie umysłem jego celów – zresztą było to poza zasięgiem ich możliwości – ale węszyli niezawodnym węchem śledczych urzędników, że nad Jordanem rozgrywają się wypadki wybiegające daleko poza granicę najśmielszych przypuszczeń, obaw i przewidywań Kajafy. Największy jednak niepokój buzował w sercu Krótkowzrocznego, który nagle poczuł w sobie życzliwość – było to uczucie zaskakujące, połączone z szacunkiem i trwogą – dla Johanana ben Zecharia i jego mądrych i zagadkowych myśli. Z początku zaczął im sprzyjać nieświadomie, jednak im dłużej wsłuchiwał się w natchnioną mowę Męża Pustynnego, tym większa budziła się w nim skłonność do przyznania słuszności jego wywodom, aż w końcu, nie mogąc się oprzeć wzmagającemu się w nim napięciu, wyznał przed Niestrzyżonym swoje uwielbienie dla jego myśli, wprawdzie nie jawnie, na oczach świadków, lecz w duchu, w ukryciu, poza zasięgiem wzroku i słuchu obecnych, co jednak pod żadnym względem nie umniejsza znaczenia tego hołdu. Pragnął teraz tylko, aby jak najszybciej skończyło się to przesłuchanie i aby mógł wrócić do Jerozolimy i podzielić się swoimi wrażeniami z kimś bardzo zaufanym i bliskim. Wprawdzie powinien jeszcze zagadnąć Johanana ben Zecharia o owego osobliwego Męża, którego przyjście czy obecność Niestrzyżony zapowiedział, ale spojrzawszy na jego kamienną twarz, po krótkim namyśle postanowił wbrew wszelkiej logice – on, który w beth hamidraszu tyle czasu poświęcił nauce prowadzenia rozsądnej dyskusji – nie stawiać więcej żadnych pytań.

„Zrobiłem swoje – pomyślał – wypełniłem polecenie arcykapłana. Jeżeli chce dalej prowadzić śledztwo, niech wyśle innych kapłanów. Po cóż mam uczestniczyć w sprawach związanych z owym tajemniczym Mężem, którego rzemyków u sandałów sam Johanan ben Zecharia nie jest godzien rozwiązać?”

I spojrzawszy na Niestrzyżonego z głęboko ukrytym w oczach zakłopotaniem, nisko się pokłonił i podniósł się z ziemi, a potem podniósł się Zgorzkniały – i na jego twarzy malowało się chwiejne zaniepokojenie – a po Zgorzkniałym podnieśli się lewicy, pokłonili się Johananowi i uczniom, pozdrowili ich słowem Bożym i dosiadłszy osłów ruszyli w drogę powrotną do Jerozolimy.

A Johanan ben Zebadia, Symeon ben Jona i jego brat Andraj, Filip z Bethsaidy i Nathanael ben Tolmaj z Kany Galilejskiej, i inni uczniowie patrzyli z ulgą za odjeżdżającymi. Ale była to ulga tylko chwilowa. Uzmysłowali sobie bowiem, że Johananowi ben Zecharia grozi niebezpieczeństwo nie tylko od Heroda Antypasa, przebywającego w Macheroncie, ale także od Kajafy przebywającego w Jerozolimie. A troska ich była tym większa, że nie wiedzieli, które niebezpieczeństwo jest groźniejsze.

Działo się to w czterdziestym dniu postu Jezusa, podczas Jego pobytu na pustyni, na górze Ejn Dog.

Święte powtórzenie

Jezus szedł szybko w dół i radośnie się uśmiechał, i tym uśmiechem powitał u podnóża góry obojętnie mijających go przechodniów.

Słońce zaszło za Góry Judejskie, gdy dotarł do brodu Bethabara. Tutaj dowiedział się od właściciela zajazdu, krępego, małego wzrostu mężczyzny o chytrych, mysich oczkach, imieniem Zakkaj – Zakkaj mieszkał w Jerycho, ale często, jak przystało na zapobiegliwego właściciela majątności, odwiedzał swój zajazd, którym zarządzał zaufany sługa – że Johanan ben Zecharia z niewiadomych powodów przeniósł się na wschodni brzeg Jordanu i pod Bethanią, w warunkach mniej dogodnych, bo woda jest tam głębsza, a prąd bystrzejszy, chrzci i przemawia do tłumów, a w mowach swoich piętnuje zdrożności i grzechy Heroda Antypasa i jego żony.

Jezus podziękował Zakkajowi za wiadomość i ruszył ku Jordanowi. Przeszedł bród i zmierzał brzegiem rzeki na północ. Od Bethanii oddzielał Go czas zaledwie jednej straży nocnej. Przez nikogo nie zauważony, pod osłoną nocy stanie wśród pokutników, czekających na zjawienie się o wschodzie słońca Johana ben Zecharia, który zapewne już od północy czuwa w głębi jaskini ze swoimi uczniami i odmawia z nimi modlitwy i Tehilim. Czuwanie weszło im w krew. Jeżeli zasypiali, ich sny

były niezwykle lekkie i przezroczyste jak pajęczyna, i nachodziły ich często nie dla wypoczynku, lecz dla wygody Elohim, który zwykł wstępować do ich serc przez bramę snów, drogą może dla człowieka nieco ciężką i kłopotliwą, zwłaszcza gdy chodziło o wyraźne i celne odczytanie widzeń sennych. Dla Pana jednak była to droga łatwa, a przede wszystkim krótka.

Jezus szedł pod wygwieżdżonym granatowym niebem, a piasek szeleścił pod Jego stopami. Przystanął. Pochylił się, zawiązał rzemyk u swoich sandałów, który podczas drogi nieco się rozluźnił. Zawijając go, poczuł smutek w swoim sercu, jeden z owych smutków nawiedzających Go, ilekroć dotykał palcami przedmiotów lub wypowiadał słowa skrywające w sobie pod twardą i nieprzepuszczalną powierzchnią rzeczywistości sens inny i głębszy od tego, który wyrażają swoją pozorną treścią. Wszystko było inne, a On musiał tę inność, aby stała się widzialna i zrozumiała, odziewać w widzialność i zrozumiałość i wciąż uderzać w twardą, nieprzepuszczalną, skalistą powierzchnię pojęć, słów i przedmiotów, i wciąż je ucieleśniać, ucieleśniać, i nawet musiał ucieleśniać swoje sandały i ucieleśniać rzemyki od sandałów, bo nie ucieleśnionych – nie widzieli. Wezbrało w Nim współczucie dla ich czuwającego kalectwa.

Wyprostował się, odgarnął z czoła kosmyk włosów, podciągnął na ramię worek, w którym znajdowały się tefilin i chusta modlitewna, i szedł dalej równym krokiem, ale coraz powolniej, gdyż zastanawiał się w swoim wszechmocnym wahaniu, jak Go przyjmie Pustynny Brat i jak Go przyjmą uczniowie, gdy nagle ujrzą Go rankiem wśród siebie.

Tak medytując szedł wciąż na północ, brzegiem szumiącej rzeki, zapatrzony w ciemność pustynnej nocy. Gdy minęła pierwsza straż nocna, ujrzał z dala bród w Bethanii i koczujących pod gołym niebem pokutników. Zwolnił kroku i niepostrzeżenie podszedłszy do nich usiadł na skraju gromady, która kołyszac się naprzód i w tył, modlitewnym pomrukiem wtórowała szumowi Jordanu. A Jordan na pewno również kołysał się w swoich brzegach, raz płynąc naprzód, a raz w tył, bo trudno sobie wyobrazić, by mógł zwyczajnym, codziennym szumem i przyrodzonym biegiem fali wielbić chwałę Elohim, skoro nawet wysokie góry w przypiływie pobożnej żarliwości porzucają swoją nieruchomość i skaczą wbrew swojej naturze jak włochate barany, a niskie pagórki jak białorune jagnięta.

I tak siedzieli i kiwając się rytmicznie chwalili Pana przez całą noc.

O świcie Johanan ben Zecharia, Symeon ben Jona i jego brat Andraj, i Johanan ben Zebadia, i Filip z Bethsaidy, i Nathanael ben Tolmaj z Kany Galilejskiej, i inni liczni uczniowie, których imion nie znamy, wyszli z pobliskiej jaskini, a wtedy pielgrzymi i pokutnicy podnieśli się z ziemi i wszyscy razem nałożyli na siebie niebieskie chusty

modlitewne i tefilin, i zwrócenie twarzami ku Jerozolimie odmawiali poranną modlitwę, szacharit.

Po modlitwie ruszyli ku świętej rzece. I wtedy Johanan ben Zecharia, postępując za pokutnikami, którzy szli przodem, dostrzegł wśród nich Jezusa. Rabbi przystanął. Przystanął również Johanan ben Zecharia, a wraz z nim przystanęli jego uczniowie. Ponieważ pokutnicy w pobożnym oszołomieniu zdążali ku rzece, pomiędzy Jezusem a Johananem ben Zecharia i uczniami powstała nagle wolna przestrzeń i nie było na niej nikogo, kto by mógł swoją niepotrzebną obecnością zmącić ich tak długo oczekiwane spotkanie. Patrzyli na siebie, Jezus i Niestrzyżony, wyczekująco, uczniowie w miarę obojętnie i z nieobowiązującą uwagą i usiłowali przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach widzieli tego Męża o czarnych oczach, a ich niespostrzegawczości nie należy się dziwić, bo Jezus po czterdziestodniowym poście był bardzo zmizerowany, Jego twarz szerniała, a policzki zapadły. Johanan ben Zecharia, wysunąwszy się naprzód, przed uczniów, zaskoczony tym nagłym spotkaniem nie wiedział, co począć: czy ma znowu paść przed Mężem na twarz, jak to już raz ongi uczynił – i cóż z tego wynikło? Przecież uczniowie tego gestu nie zrozumieli, więc był bezużyteczny i bezcelowy – czy ma stać nieruchomo i milczeć, czy gwałtownym głosem ujawnić to, co jest mu wiadome; a może powinien spokojnie, jak najspokojniej powtórzyć to, co jest mu wiadome, a resztę pozostawić woli uczniów i niech działają, jak chcą, czyli jak powinni działać w imię Pana. Z wielu możliwości, które rozważał, wybrał najstosowniejszą, konieczność świętego Powtórzenia, a był to mądry sposób przekazywania prawdy, uświęcony przez samego Mojżesza, który natarczywie powtarzał dla dobra Izraela wykład o Prawach, a uczynił to dlatego, bo wiedział, że natrętne i uprzykrzone powtarzanie przykazań, nakazów i zakazów wbija je do opornych głów ludu, aż wreszcie po wielokrotnych powtarzaniach słowa powtarzane wstępują w rytm czasu, naprzód w ten krótki, chwilowy, a potem dzienny i nocny, tygodniowy, miesięczny, roczny, wtedy wchodzą w ludzki krwiobieg i stają się rytmem człowieka życia, i lud zaczyna żyć i oddychać przykazaniami i nakazami, tak jak żyje i oddycha wiecznie i rytmicznie powtarzanymi przez Elohim porami roku i zmianami księżyca, i wschodami i zachodami słońca, światłem i ciemnością nocy, rytmem narodzin i śmierci. Więc Johanan ben Zecharia, wskazawszy palcem na Jezusa, te słowa wypowiedział ze spokojnym żarem w głosie:

– Oto jest Baranek Boży, który gładzi grzechy świata, oto jest Ten, o którym mówiłem – to „mówiłem” wypowiedział z naciskiem, gdyż chciał podkreślić głęboki sens tego, co powtarza – że przyjdzie po mnie Mąż, który istniał przede mną, albowiem był pierwiej ode mnie, był w przeszłości, będącej przed nami, był

w przeszłości będącej przyszłością, i dlatego daję świadectwo, że widziałem Ducha spływającego z niebios jak gołębica – w tej chwili uczniowie poznali w Jezusie Męża, którego przed niedawnym czasem Johanan ben Zecharia ochrzcił u brodu Bethabara, a ochrzcivszy, padł przed Nim na twarz – a owa gołębica trwała nad Jego głową i pozostawała nad Nim – „pozostawała nad Nim” wypowiedział znowu z naciskiem, albowiem ów nacisk miał świadczyć o świętości tego, co powtarza – ale Ten, który uczynił mnie posłańcem i kazał chrzczyć wodą, powiedział do mnie tak: „Ten, nad którym ujrysz Ducha spływającego na Niego i pozostającego nad Nim, Ten chrzczyć będzie Duchem Świętym, żywą Wodą Ognia, żywiołami niepojęcie ze sobą spojonymi, zgodnymi i rozbieżnymi, Wodą, która jest matczyną Łaską, i Ogniem, który jest ojcowskim Sądem, Wodą, która chłodzi i wybacza, i Ogniem, który karze i spala, ale Wodą oczyszczającą i Ogniem oczyszczającym, żywą Wodą Ognia” – tak mówił do mnie Elohim, a ja sam to wszystko widziałem i jestem świadkiem tego, co widziałem, przeto świadczę, że Ten, na którego wskazuję teraz palcem – tu wskazał na Jezusa – jest Synem Bożym.

Niestrzyżony, spełniwszy powinność świętego Powtórzenia, przeczuwał, a przeczuwając wiedział, że będzie musiał jeszcze raz głośno i wyraźnie powtórzyć przed uczniami swoje świadectwo, uczniowie natomiast z błogosławioną obojętnością słuchali powtórzonych słów swojego nauczyciela, z tą samą zresztą obojętnością, z jaką ongi przyglądali się pokornemu zdarzeniu w Bethabarze. Słowa wypowiedziane przez ich nauczyciela przeszły mimo ich uszu i nie dotarły do ich wnętrza, a skojarzenia, które w nich wywołały, nie były skojarzeniami natchnionymi, lecz czysto ziemskimi, widzialnymi, poznawalnymi, po prostu jednoznacznymi. Dlatego takie podniosłe sformułowania jak „Baranek Boży” nie zrobiły na nich żadnego wrażenia, bo baranków Bożych było bez liku w Izraelu, i Henoch nazywał króla Dawida barankiem, i w świadomości ludu Jicchak ben Abraham leżący na ołtarzu był też barankiem, a każdy baranek, ofiarowany na Ołtarzu Całopalenia przed Świętym Świętych, był barankiem Bożym. Nawet określenie „Syn Boży” przyjęli z oziębłą zgodą na to, co ono wyraża, bo i synami Bożymi nazywano wielu sprawiedliwych, bogobojnych, kroczących przed Panem, i zwrot ten w ustach wypowiadającego był wyrazem wytwornej grzeczności, czymś w rodzaju uprzejmej metafory, a nawet niekiedy sam Jahwe w przypiływie marzycielskiej czułości nazywał królów przez siebie wybranych i umiłowanych synami Bożymi lub swoimi pierworodnymi, ale nikt spośród Izraela nie ośmieliłby się wierzyć, że nazwani przez Pana synami Bożymi i Jego pierworodnymi są rzeczywiście Jego Synami i Pierworodnymi. Więc Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona, i jego brat Andraj, i Filip z Bethsaidy, i Nathanael ben Tolmaj z Kany Galilejskiej, a za nimi nie znani

nam z imienia inni uczniowie, przyjrzawszy się Jezusowi, ruszyli bez wzruszenia ku brzegom Jordanu, gdzie czekali pokutnicy. Na samym końcu pochodu, za uczniami znanymi i nie znanymi z imienia, posłusznie, lecz z opuszczoną głową ruszył Johanan ben Zecharia, pełen rosnącej niepewności, bo nie wiedział, dlaczego Ten, który przyszedł, jest wciąż jeszcze nie dostrzeżony przez uczniów, dlaczego przyszedłszy nie pozostał, lecz na długie dni – Johanan nie mógł się owych dni doliczyć – gdzieś znikł, a teraz znowu się zjawił, a zjawiwszy się, tylko się zbliżył i przystanął, i znów się oddala – Jezus właśnie skierował swe kroki do odległego od brodu miejsca, gdzie usiadł na kamieniu nad brzegiem rzeki – więc jest tylko przychodzącym i odchodzącym, i Niestrzyżony, skoro tylko sobie to uzmysłowił, struchlał i poczuł w sobie zawstydzającą chwiejność. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Jezus zbliża się, odchodzi, powraca i znów się oddala jak wahający się przechodzień, skoro ci wszyscy tutaj dokoła są ludem Jego pastwiska i owcami Jego ręki. Johanan ben Zecharia idąc ku Jordanowi był jak łodyga na wicherze i jak źdźbło przed burzą.

Tymczasem Jezus, siedząc samotnie na kamieniu, nad brzegami szumiącej rzeki, oparł głowę na dłoni, przechylił ją ku prawemu ramieniu, jak zwykł czynić, gdy Mu dolegała troska.

Słońce stało prostopadle nad pustynią. Pielgrzymi po dokonaniu aktu pokuty i zanurzeniu się w rzece zażywali spoczynku w pobliskich jaskiniach i w miejscach cienistych nad brzegiem rzeki, a jeden spośród nich usiadł obok Jezusa, wyjął z torby garść daktyli i fig i spojrzawszy na Męża, w przeczuciu Jego ubóstwa, rzekł współczująco:

– Jeżeli mój brat jest głodny, niechaj posili się daktylami i figami.

Umyli dłonie w Jordanie, zmówili błogosławieństwo i spożywali owoce, a były to pierwsze dary Boże, które Jezus spożywał od dni czterdziestu. Smakował je powoli, albowiem były słodkie i soczyste. A potem wyciągnął się na piasku. Był zmęczony długim wędrówaniem po zawiłych drogach, którymi zmierzał do Pustynnego Brata po śladach jego niepokoju i do jego uczniów po śladach ich obojętności.

Gdzie mieszkasz, Rabbi?

Następnego dnia o świcie Johanan ben Zecharia w towarzystwie Johanana ben Zebadia i Andraja ben Jona szedł ku Jordanowi. Dokonany przez Niestrzyżonego wybór tych dwóch młodzieńców na towarzyszy jego krótkiej drogi, prowadzącej z jaskini, miejsca ich noclegu, do brzegu rzeki, moglibyśmy nazwać przypadkiem, gdyby nie to, że wszystko, co się dzieje w życiu ludzkim, nie jest przypadkiem, ale mądrą koniecznością. Otóż gdy Johanan ben Zecharia szedł ku rzece, a u jego boku

kroczyli dwaj z koniecznego przypadku wybrani uczniowie, na połowie drogi między jaskinią a Jordanem natknęli się na przechodzącego mimo nich Jezusa i prawdopodobnie znowu by Go obojętnie minęli, gdyby Niestrzyżony, utkwivszy wzrok w Przechodniu, w imię Świętego Obowiązku Powtarzania nie powtórzył trzech słów: „Oto Baranek Boży”. Uczniowie przystanęli, ale nie pod wrażeniem przechodzącego Rabbiego, lecz nadzwyczajnej mocy ducha, z jaką Mąż Pustynny wypowiedział owe słowa. Obejrżeli się za Jezusem. Johanan ben Zecharia oddalał się ku Jordanowi, gdzie czekali na niego zgromadzeni pokutnicy i reszta uczniów, a Jezus szedł w przeciwnym kierunku, ku skalistemu pagórkowi, wznoszącemu się w głębi horyzontu.

Poszli za Nim krokiem powolnym, trochę niepewnym i nieśmiałym. Szli milcząco i stawiali ostrożnie kroki, jakby się bali spłoszyć postępującego przed nimi Męża. Jezus zatrzymał się, obejrzał, a widząc, że młodzieńcy wciąż za Nim idą, podniósł prawą dłoń na wysokość swojego czoła. Młodzieńcy opacznie zrozumieli ów gest i sądząc, że Mąż ów nie życzy sobie, aby za Nim szli, przystanęli stropieni, ale jak wielkie było ich zdumienie, gdy usłyszeli z Jego ust ciepłym, matowym głosem wypowiedziane proste pytanie, tak proste, że aż zaskakujące. Mąż nie spytał ich: „Czego chcecie ode mnie?” (nie wiedzieliby, co na to odpowiedzieć) lub: „Dlaczego za mną idziecie?” (i na to nie umieliby odpowiedzieć), ale spytał ich: „Czego szukacie?” – a to pytanie było ze wszech miar dla nich przystępne, bliskie, było pytaniem pociągającym, może nawet swoiście spoufalającym; a przede wszystkim było pytaniem istotnym i mogli na nie z większą lub mniejszą dokładnością odpowiedzieć, bo przecież szukanie i czekanie było celem ich dotychczasowego życia i tematem ich długich i mozolnych rozmyślań. Szukanie było również znamiennej cechą dorastającego Jezusa, który w Czasie Milczenia wiele rozmyślał nad sensem zguby, szukania i znalezienia, i niespodziewanie łącząc te sprawy z czekaniem na nadejście czasu właściwego niejako uważał szukanie za równoznaczne ze znalezieniem. Dzięki temu pytanie: „Czego szukacie?” (były to pierwsze słowa bezpośrednio do nich skierowane, jakie usłyszeli z ust Jezusa) stało się mostem łączącym dwa brzegi szukania, mostem nawiązania rozmowy i mostem zbliżenia. Mimo to młodzieńcy, kierując się godną pochwałą ostrożnością – zdawało im się, że mają oczy szeroko otwarte, podczas gdy w rzeczywistości wciąż jeszcze patrzyli przez wąskie szpary zaledwie półotwartych powiek – nie udzielili Jezusowi natychmiastowej odpowiedzi, lecz odpowiedzieli pytaniem na pytanie.

– Rabbi, gdzie mieszkasz? – spytał Johanan ben Zebadia.

Johananowi ben Zebadia i Andrajowi ben Jona na pewno nie chodziło o to, gdzie Jezus obecnie mieszka. Cóż by to było za naiwne pytanie, gdyby w tej osobliwej

chwili pytali o miejsce Jego domu! Jeżeli zatem postawili to pytanie, to tylko dlatego, że zawierało ono więcej treści, niż wyrażały ją niepozorne słowa.

Dla Izraela dom był świętością nieskalaną. Elohim miał swój dom. Ongi, podczas wędrówki Jeszuruna, Hiohim miał swój własny namiot. W Izraelu były domy modlitwy i domy nauki, domy książki i domy chleba. Miały one znaczenie dosłowne i symboliczne. Wszystko, co żyje, ma swój własny dom, ma swój własny dach nad głową. Dom mają nawet lisy i ptaki. Dom określa człowieka, a człowiek określa swój dom. Dom jego zwie się jego imieniem, żyje jego życiem, podobnie jak Dom, w którym żyje Pan, określa samego Pana i żyje Imieniem Pana, mieszkającego na nieskończonych wysokościach i w Świętym Świętych, w Przybytku chwały swojej. Dlatego „Gdzie mieszkasz?” znaczy równocześnie: „Kim jesteś, jak się nazywasz, skąd pochodzisz, jaki jest twój dom, czym się zajmujesz, czy nas ugościsz, bo chcemy korzystać z praw twojej gościnności, a korzystając z nich, pragniemy oddać się pod twoją opiekę – co jest dowodem naszego ostrożnego zaufania – a jeżeli nie masz domu w miejscu, w którym teraz przebywasz, opowiedz nam dokładnie o twoim odległym domu, byśmy wiedzieli, kim jesteś, mężu nieznany”. To wszystko znaczyło w Izraelu: „Gdzie mieszkasz?”

W odpowiedzi na to pytanie odrzekł Jezus:

– Chodźcie, a zobaczycie.

A oni poszli i ujrzeli, gdzie mieszka. Ale z tych słów nie wynika, że Jezus pokazał im miejsce swojego zamieszkania i że dwaj młodzieńcy rzeczywiście ujrzeli jaskinię, w której sypiał, lub gospodę, w której może się zatrzymał. Lecz owe słowa „chodźcie” i „zobaczycie”, i późniejsze „ujrzeli” należy zrozumieć w duchu widzenia izraelskiego. Było to widzenie przez słyszenie, a ten sposób widzenia był swoistą właściwością Izraela, który słysząc opowieść, widział ją wraz z jej wszystkimi szczegółami, nawet najdrobniejszymi, i z każdym zasłyszonym słowem widzenie jego poszerzało się, stawało się coraz bardziej wyraziste, nieomal dotykalne. Izrael bowiem cokolwiek słyszał, to równocześnie widział i miał natychmiast w swoich oczach w kształcie ruchomego obrazu, i nie będzie nadmierną przesadą, jeżeli powiemy, że lud ten widział słuchem, że widział wszystko, co jest słyszalne, że widział wypowiedziane słowa i widział krzyk i huk, że widział grzmot, że widział dźwięki harfy i śpiew, że widział melodię śpiewanego psalmu, że słysząc Głos Pański, widział go, i słysząc wyrocznie Pana, widział ją, i słysząc opowiadanie o Panu, widział je, i zapewne dlatego, ilekroć Pan przemawiał do Izraela, zawsze mówił do jego widzących uszu, a najświętsze zawołanie „Słuchaj, Izraelu!” również rozpoczął od wezwania skierowanego do jego uszu, i chyba również dlatego w dniach grozy i spustoszenia, gdy Jeszurun w pysze i zatwardziałości nie słyszał

świętego i gniewnego ryku Jahwe, prorocy rozdzierając szaty płakali nie tylko nad nie obrzezanymi sercami, ale także nad nie obrzezanymi uszami swojego ludu. I dlatego gdy Jezus powiedział do młodzieńców: „zobaczycie”, a oni „ujrzeli”, należy to zrozumieć w ten sposób, że zobaczyli i ujrzeli słuchem to wszystko, co Jezus do nich mówił, ujrzeli całe opowiadanie Męża, ujrzeli słuchem widzącym, słuchem wyostrzonym na wszystkie głosy Ruach Hakodesz.

Jezus poszedł z młodzieńcami brzegiem Jordanu w kierunku północnym, usiadł wraz z nimi z dala od brodu, w cieniu skąpego gąszczu, i – spojrzał na nich. Kąty Jego warg uniosły się ku górze i pobłażliwy, dobry uśmiech rozjaśnił całą twarz, i jakby dopiero teraz wydobył ją z cienia, i umieścił w pełnym świetle, w polu widzenia młodzieńców, i uczynił widzialną i wyraźną. Przyjrzeni się uważnie tej twarzy, czarnoniebieskim oczom i rozpiętym nad nimi łukom brwi, rozdzielonym prostopadłą – teraz ledwo widoczną – zmarszczką, Jego czarnej, krótkiej, lekko sfalowanej brodzie – sprawne oko mogło dostrzec w niej kilka srebrnych nitki, pogłębiających młodzieńczą urodę tej w miarę łagodnej i w miarę surowej twarzy – czarnym gęstym włosom o granatowym odcieniu, które spływały na kark i ramiona spod płatu białego płótna, przewiązanego lnianym sznurem i chroniącego głowę przed palącym słońcem. Młodzieńcy, patrząc na Jego chudą, skupioną i pociągającą twarz, na Jego zgrabne, lecz powściągliwe ruchy, na wąskie, lecz mocne i żyłaste dłonie, współczuli niedoświadczeniu swojego wzroku, jego wręcz niewybaczalnej ślepoty, która im nie pozwoliła dojrzeć natychmiast w nieznanym Mężu tych wszystkich zewnętrznych piękności, i uczyniła, że przechodzili obok Niego jak obok niewidzialnego powiewu.

Zaczął mówić.

Powiedział im, że przybył tutaj przed niedawnym czasem z Galilei, aby zanurzyć się pod błogosławionymi dłońmi swojego Pustynnego Brata Johanana ben Zecharia w świętych wodach Jordanu – mówił głosem przytłumionym – mówił o ubóstwie swojej rodziny, o pracach swoich rąk, o swojej matce Miriam, koronie domu i koronie męża sprawiedliwego, Josefa cieśli, który zmarł przed wielu laty – niechaj dusza jego zazna łaski przed Panem – i znów opowiadał o swojej matce, i wspomniął o wzroku Elohim, spoczywającym miłosiernie nad niewiastą od jej urodzenia, nad niewiastą dobrą i piękną, a Ojciec Jego obdarzał ją zawsze najtkliwszą miłością, a ona spoczywała w Jego cieniu i była właściwie nie Jego przeczystą i niepokalaną żoną, lecz przeczystą córką, bo wyszła z tchnienia Jego ust i zamieszkała na wysokościach, i przechadzała się nad głębiami przepaści – tak mówił Jezus, a oni słuchali z zapartym tchem owego wzniosłego hymnu wyśpiewanego przez syna na chwałę dobrej i pięknej Miriam, przechadzającej się nad głębiami przepaści. Jezus

opowiedziawszy im o swoich rodzicach, przeszedł z kolei do sedna sprawy, do jądra ich pytania, do domu swojego, i począł im opowiadać o lepiance na wzgórzu, o domu Josefa w Nazarecie, ale ów dom pod tchnieniem Jego ust począł przybierać kształty przepiękne, bogate, wspaniałe, odświętne i przypominał raczej pałac w uroczysty dzień Szabatu niż dom biednego cieśli zbudowany z gliny zmieszanej ze słomą. Właściwie Jezus nie mówił o swoim domu, ale o domu swojego Ojca i tej prawnej własności Ojca swojego kilkakrotnie dowodził, ale czynił to tak, że słuchacze odnosili wrażenie, iż własność ojcowska jest zarazem Jego własnością, a Ojciec i On są jedną i tą samą prawną Osobą. Wskutek tego wprowadził bogobojny zamęt w ich dusze, bo nie rozumieli, czy to jest dom Jego zmarłego ojca, czy jest spadkiem po ojcu, a jeżeli tak, to przecież jest już własnością syna, a ten zamęt jeszcze bardziej wzmógł się w ich wnętrzu, gdy uzmysłowili sobie, że wbrew temu, co Jezus mówił o swoim bogatym i wspaniałym domu, była to przecież tylko uboga lepianka na wzgórzu. Jezus począł teraz to ubóstwo swojego bogatego domu malować niezwykle barwnie, mówił o domu walącym się, rozpadającym, w którym bezbożnie rządzą się lichwiarze, krzykliwi kupcy sprzedający woły, owce i gołębie, a mówił teraz gwałtownie, więc natychmiast zmiarkowali, że pożera Go żarliwość i troska o ten walący się dom, i współczuli Jemu i Jego domowi, i zastanawiali się w duchu, co mogliby uczynić, aby ten dom uwolnić od panoszącej się hałasty i znów przywrócić w nim spokój, porządek i nabożne skupienie.

Na twarzy Jezusa nie było teraz ani śladu uśmiechu. Jego nozdrza niespokojnie drżały i lekko się rozděły, bruzda między ściągniętymi brwiami przypominała ostrze pierzastej strzały, nagle nieruchomo zastygłej w locie, a dwa wzniesienia na wypukłym czole oświetlone popołudniowym słońcem jarzyły się jak dwa stosy równocześnie zapalone na sąsiadujących z sobą wzgórzach.

Umilkł, a młodzieńcy już obznajomieni z miejscem Jego zamieszkania, widząc Jego dom i wnętrze Jego domu, ośmieleni gościnnością gospodarza – wprawdzie spotkanie to odbywało się nad brzegiem Jordanu, na piasku, ale czuli się tak, jakby byli gośćmi Jezusa i przebywali pod dachem Jego domu – spojrzeli po sobie wymownym, im tylko wiadomym spojrzeniem, a wtedy Andraj ben Jona po krótkim wahaniu spytał Rabbiego o to, co było treścią ich dotychczasowego życia i co przepływało od samego początku rozmowy z Jezusem pod ich świadomością jak podziemna rzeka:

– Powiedz nam, Rabbi, kiedy przyjdzie Meszijach, Pomazaniec Pana?

Wówczas Rabbi, odpowiadając, począł do nich mówić słowami Zecharii proroka, który w dawnych czasach chodził przed Panem, gdy Izrael płakał nad rzekami Babelu, a nozdrza odpowiadającego Męża znowu lekko się rozděły i niespokojnie

drżały, a między ściągniętymi brwiami wciąż trwała prostopadła bruzda, przypominająca ostrze pierzastej strzały zastygłej w locie.

– Raduj się wielce, córo Syjonu, wykrzykuj radośnie, córo Jerozolimy! – wołał Jezus słowami proroka Zecharii. – Oto król twój idzie do ciebie, sprawiedliwy i zwycięski, pokorny, jedzie na ośle, na źrebięciu oślicy. Na proch zetrze rydwany w Efraimie i konie w Jerozolimie, łuki wojenne strzaska w kawałki i obwieści ludziom pokój, a władanie swoje rozszerzy od morza do morza, od brzegów wielkiej rzeki aż po krańce ziemi! – wołał Jezus. – Biada złemu pasterzowi, który trzodę porzuca! Miecz nad jego prawicą i nad jego prawym okiem! Mieczu! Podnieś się na mojego Pasterza, na Męża, któremu zaufałem! Uderz w Pasterza, a rozproszą się owce! Będą patrzeć na Tego, którego przebili, i boleć będą nad Nim, jak boleją nad jedynym synem, i płakać będą nad Nim, jak płaczą nad pierworodnym. – Tu Jezus spojrział na młodzieńców i dodał przyciszonym głosem: – Owego dnia będzie wielki płacz w Jerozolimie... A owego dnia nie znajdziesz przekupniów w domu Adonaj Cebaoth... w domu... – tu Jezus urwał i umilkł.

Tak mówił, a była prawie godzina dziesiąta. Słońce stało jeszcze wysoko, ale już po zachodniej stronie nieba, nad Górąmi Judejskimi szarymi jak popiół. Johanan ben Zebadia podparł głowę ręką i patrzył ku rzece, Andraj ben Jona podniósł się z ziemi, przyłożył jak dziecko palec do warg i przypominał człowieka starającego się rozwiązać trudną zagadkę. Jezus natomiast, na którego twarzy malowało się zmęczenie, położył się na wznak na gorącym piasku i zamknął powieki.

Podczas gdy Johanan ben Zebadia znajdował w opowiadaniu Jezusa niezrozumiałe przemilczenia, dokoła których krążył jak wokół nastawionych sideł – ostrożnie je obchodził, zbliżał się, to znów się od nich oddalał, a ostrożnie oddalając się, nawet nie wiedział, jak natchniona, płodna i owocująca w skutkach jest jego ostrożność, ów jedyny łup, który pozostawał teraz w Jezusowym potrzasku – Andraj ben Jona, ten poczciwy, dobroduszny rybak o prostym sposobie myślenia, nie pozbawiony jednak bystrości umysłu i wrodzonej mądrości serca, nie rozkładał wypowiedzi Jezusa na drobne cząstki, ale słowa Jego łączył z sobą, scalał i tworzył z nich jedno słowo, i z kilku obrazów tworzył jeden obraz. I dzięki tej swoistej umiejętności łączenia i scalania słów i obrazów szybko zdobył przeświadczenie, że Ten, który opowiadał im o Mesjaszu, dużo wie o Mesjaszu, że pokazał im drogi, którymi kroczyć będzie Mesjasz, może nawet pokazał im ślady samego Mesjasza. Jest zatem wtajemniczony w Jego przyjście, więc śmiało i bez przesady można powiedzieć, że wreszcie znaleźli drogę do Mesjasza, a kto znalazł jej początek, znalazł i koniec – i poczciwy, dobroduszny Andraj ben Jona, zapatrzony z dziecięcym zapałem w widzenie zbliżającego się Pomazańca, począł biec ku rzece,

ku brodowi, do brata swego Symeona, by podzielić się z nim radosną wiadomością o swoim odkryciu.

Kefas

Symeon ben Jona siedział nad brzegiem Jordanu, stopy zanurzył w wodzie i rozkoszował się chłodem nadciągającego wieczoru. Żwawo poruszał nogami, a wówczas święta woda, niezadowolona z poufałości rybaka, sycząc i bulgocąc spadała rześistą i gniewną fontanną na jego głowę, mocno osadzoną na szerokim karku, na przykrótką, wyrośniętą, jakby pożyczoną od młodszego brata tunikę, która lada chwila groziła pęknięciem pod naporem jego szerokiego, muskularnego ciała. Symeon był mężczyzną w średnim wieku, słusznego wzrostu, jego kwadratowa twarz porośnięta kędzierzawą, czarną, krótką brodą wyrażała twardą nieustępliwość i byłaby może dla otoczenia niezbyt pociągająca, gdyby nie dziecięce, uśmiechnięte spojrzenie niezwykle żywych i niebieskich oczu, które błyszczały jak dwa słoneczne jeziora w skalistym, groźnym krajobrazie i łagodziły jej surowość – nie! – zacierały jej surowość i czyniły, że mimo swojej surowości twarz Symeona ben Jona robiła wrażenie delikatnej, wrażliwej i marzycielsko miękkiej. Ale w tych oczach migotał ledwo dostrzegalny błysk zakłopotanej niepewności i pełnego troski wahania. Zdradzały one przed dobrym znawcą twarzy ludzkich nie tylko marzycielsko miękkie serce twardego Symeona, ale również pewną jego wewnętrzną skazę, a była nią roztropna nieufność, jakaś trwoga przed zaskoczeniem, która na przekór prawemu charakterowi, odwadze i męskiej woli tego galilejskiego rybaka kazała mu niekiedy działać zbyt wstrzemięźliwie i z lęklwym umiarkowaniem, co postronnym ludziom mogło się niesłusznie wydawać tchórzostwem.

Symeon, siedząc teraz nad brzegiem Jordanu z nogami zanurzonymi w wodzie, czekał na upragniony zachód słońca, a wraz z Symeonem czekała zmęczona rzeka na zapadnięcie nocy, a wraz z rzeką czekała z trudem oddychająca pustynia. Ale wszystko odbywa się według porządku ustalonego przez Elohim. Musi więc upłynąć jeszcze spory kawał czasu, zanim spełni się pragnienie człowieka, rzeki i pustyni. Wiedział o tym Symeon i błogosławił porządek Pański, zwłaszcza że czuł się uprzywilejowany przed obliczem Pana, który pozwolił mu zażywać chłodu w rzece, chronić się przed skwarem w cieniu skały lub w głębi jaskini. Patrząc swoimi niebieskimi oczami w stronę Jerozolimy, modlił się do Pana i dziękował Panu, że mu dał oczy, którymi może podziwiać niebo i ziemię, drzewa i kwiaty, i za to, że mu dał uszy, którymi może słyszeć śpiew ludzi i ptaków, i szum rzeki, i szelest wiatru, i uderzenie gromu. Błogosławił Panu za skwar i zimno, za radość – tu

pomyślał o swojej małej córeczce – i za utrapienie, za uśmiech i płacz, za życie i śmierć – tu pomyślał o swojej młodo zmarłej żonie – i za wszystkie dobroczynne cuda, którymi Pan hojnie obdarzył ziemię, albowiem wszystko jest cudem, co czyni Pan, dobrym cudem. Bo dobrym cudem jest nawet śmierć, która na pewno jest tak piękna jak zachód słońca, bo nic nie może być złem i brzydotą, co stworzył Wszechmocny i co od Niego pochodzi. Więc z kolei począł dziękować Panu za sandały i za tunikę, i za płat płótna na głowie, za sieci i łódź rybacką, za chleb codzienny i za wszystko, co mu Pan dał, i za wszystko, czego mu nie dał, i za to, co mu pozostawił, i za to, co mu zabrał. Chciał jeszcze podziękować Panu, że go uczynił takim, jakim jest, rybakiem o niebieskich oczach, o kędzierzawej brodzie i świecącej łysinie, mężem o mocnych rękach i nogach, ale odezwały się w nim pewne skrupuły związane z jego charakterem – zdawał sobie sprawę z niezbyt szczęśliwego połączenia w jego sercu dwóch przeciwstawnych sobie właściwości: odwagi i lęklivego umiarkowania – i już postanowił modlitwę swoją podzielić na dwie nierówne części, dziękczynną za krzepkie zdrowie i za wszystkie dary otrzymane od Pana i proszalną o łaskę całkowitej i niepodzielnej odwagi, nie osłabionej lęklwym umiarkowaniem, gdy znienacka usłyszał dobiegające z dala wołanie młodszego brata Andraja:

– Symeonie, Symeonie, gdzie jesteś?!

– Tu jestem! – odkrzyknął Symeon.

Zza wydmy wyskoczył zdyszany Andraj i spostrzegłszy siedzącego nad brzegiem rzeki brata, pędem zbiegł po pochyłości pagórka.

– Znaleźliśmy Mesjasza! – krzyknął i wyrzucił ku górze obie ręce.

Symeon wyciągnął powoli nogi z wody i patrząc z pobłażliwym podziwem na Andraja, spokojnie spytał:

– Kogo znalazł mój brat?

– Mesjasza, Symeonie!

– Niech brat mój nie niepokoi nieba podniesionymi rękami i opuści je ku ziemi.

Andraj wprawdzie posłusznie wykonał polecenie, ale chyba tylko po to, by posłużyć się dłońmi do innego celu: położył je z czułym namaszczeniem na ramionach Symeona i patrząc mu prosto w oczy, rzekł:

– Dlaczego mój brat mi nie wierzy?

– Pewien mądry faryzeusz – odparł Symeon – nie rzucający słów Bożych za siebie, powiedział: „Gdy będziesz pracował w ogrodzie, a przyniosą ci radosną wieść o przyjsciu Mesjasza, nie przerywaj rozpoczętej pracy, ale kończ ją spokojnie, bo zanim Mesjasz naprawdę przyjdzie, jeszcze niejedną taką przedwczesną wiadomość usłyszysz z ust łatwowiernych”. Tak mówił ów przezorny mędrzec, a ja potakuję

jego słowom. Nie zarzucam zmyślenia mojemu bratu. Nigdy nie ośmieliłbym się tego uczynić. Ale chcę go uchronić przed rozrzną przesadą i dlatego opowiedziałem mu przypowieść o Mesjaszu i ostrożnym faryzeuszu, którego rozważa godna jest pochwały.

A na to rzekł Andraj:

– Niechaj mój brat, który jest na pewno mądrzejszy ode mnie, bo wyprzedził mnie wiekiem i doświadczeniem, uczyni mi tę łaskę i nie polegając na moich niezdarnych słowach pójdzie za mną i zobaczy Tego, którego ja widziałem.

– A kogo widział mój brat? – Symeon wytrząsnął piasek z sandałów, nałożył je na nogi, co było oznaką, że mimo swoich wątpliwości spełni prośbę Andraja.

– Męża.

– A kim jest ów Mąż? – spytał Symeon z odrobiną drwiny w głosie. Podniósł się z ziemi. Był gotów do drogi.

Andraj, czując niechęć w głosie brata, nie odpowiedział. Ruszył przodem brzegiem Jordanu, ku rzadkim gąszczom. Za nim szedł Symeon z pochyloną głową, niezadowolony z siebie, gdyż zamiast oprzeć się naiwnej łatwowierności Andraja i siedzieć nad rzeką w blasku zachodzącego słońca, i błogosławić Pana, wlecze się teraz za bratem po bezdrożu, by zobaczyć jakiegoś męża, który prawdopodobnie jak wielu samozwańcych proroków – niektórzy spośród nich uczciwie wierzyli w prawdziwość swojego posłannictwa – prawić zacznie o rychłym wyzwoleniu Izraela spod panowania gojim, barbarzyńskich bałwochwalców – tu Symeon splunął z obrzydzeniem – nędznych czcicieli bogów wyrzeźbionych w kamieniu. Przystanął i już otwierał usta, by przywołać brata – chcąc bowiem cofnąć się i wymówić od kłopotliwego spotkania, wpadł na szczęśliwą myśl udzielenia porady gorącemu Andrajowi, aby owego męża przyprowadził do Niestrzyżonego – ale niestety było już za późno, gdyż oto stanęli przed Rabbim.

Siedział na kamieniu, zamyślony, z głową pochyloną ku prawemu barkowi, a obok Niego stał Johanan ben Zebadia, który z zadowoleniem przyglądał się przybyłym przyjaciółom. Po nagłym zniknięciu Andraja nie wiedział, co ma z sobą począć, nie śmiał nie pytany mówić, a Jezus przez cały czas milczał milczeniem ze wszech miar nieokreślonym – tak je później Johanan ben Zebadia określił podczas nocnej rozmowy z przyjaciółmi – zatem zjawienie się obu braci powitał z ulgą, słusznie przewidując, że ich obecność złagodzi napięcie spowodowane zachowaniem się Rabbiego.

Słońce zachodziło za szczyty Judejskich Gór, które teraz podobne były do koguciego grzebienia. Jezus podniósł głowę i wtedy Symeon ben Jona poznał w Nim tajemniczego przechodnia, przed którym Niestrzyżony – jaki to był wtedy miesiąc? –

padł na twarz, a potem ilekroć Go spotykał, nisko pochylał głowę i powtarzał te same słowa.

Jezus wstał z ziemi, podszedł do Symeona i utkwivszy w nim wzrok rzekł:

– Tyś jest Symeon ben Jona.

– Tak – odpowiedział, ale odpowiedział niechętnie. Po stanowczym tonie Jezusa pojął, że nastąpią teraz wypadki, na które z radosnym lękiem czekał. Ale czy właśnie na te wypadki czekał? Przecież czekał na Mesjasza, który miał wyjść jak ryba z wody, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia. Na pewno nie czekał na jakiegoś nieznanego przechodnia, który od kilku tygodni błąka się nad Jordanem, znika na pewien czas, a potem niespodziewanie wraca. Więc chętnie by odpowiedział: „Nie, nie jestem Symeon ben Jona”, i na pewno by tym jednym krótkim zaprzeczeniem jak nożem przeciął możliwość dalszej rozmowy z Nieznajomym, ale tego nie uczynił, albowiem wiadomo, że imieniu swojemu zaprzeczyć nie wolno, bo imię – szem – jest korzeniem osobowości i kształtuje charakter, los i posłannictwo człowieka. Kto zapiera się swojego imienia, zapiera się samego siebie.

A wtedy Jezus, wskazując wyciągniętym palcem na Symeona, rzekł:

– Zwać się będziesz Kefas.

Przerażenie ogarnęło rybaka. Stał osłupiały, zdrętwiały. Krew w nim stężała, zastygła, przestała krążyć. Cały porastał twardą skorupą. Ręce, nogi, ciało zamieniały się w kamień, po prostu tak, jakby według swojego nowego imienia kamieniał – Kefas znaczy po aramejsku opoka, skała, kamień – a im bardziej kamieniał, tym większy czuł na sobie ciężar, jakby spoczywały na nim olbrzymie góry, niebotyczne góry, tak wielkie, że aż lęk go brał, czy zdoła je udźwignąć, czy nie ugnie się i nie zapadnie pod ziemię. Ogarnęło go błogie uczucie podziwu dla samego siebie, dla wytrzymałości swoich ramion i barków, gdyż stał, wciąż stał nieporuszony, potężny, kamienny i dźwigał na sobie niepojęcie piękne krajobrazy ziemi i nieba, a one spoczywały na nim z niezachwianą ufnością.

Ocknął się. Znów był Symeonem ben Jona, galilejskim rybakiem o kędzierzawej brodzie, lśniącej łysinie, nieufnym i nieśmiałym, zapalonym i zadzierzystym. I znów poruszał rękami i nogami, i całym ciałem, i krew w nim wartko, może nawet zbyt wartko płynęła, bo zawrzał w swoim wnętrzu na znak niezadowolenia z powodu zmiany imienia Symeon, jego imienia, nadanego mu w błogosławionym dniu obrzezania, a imię to znaczy: „Bóg wysłuchał” – i tak na podobieństwo swojego imienia kształtował swój los, i był tym, co imię to oznacza, był tym, który pragnie, aby go Pan wysłuchał. Więc dlaczego ma teraz w imię swojego nowego imienia – kim jest ten człowiek, który mu to imię nadał? Jakim prawem mu je nadał? –

zmieniać sens swojego życia, i dlaczego zamiast być tym, czym był dotychczas, ma być kimś innym, ma zmienić swoją osobowość, którą żył i kształtował, i urabiał od dnia swojego obrzezania, a może i narodzenia, a może nawet od łona swojej matki – niechaj jej pamięć będzie błogosławiona – bo imię wyznaczone, nawet wówczas, gdy jest jeszcze bezimienne i niewypowiedziane, trwa w samym zarodku człowieka i tworzy jego charakter, i wytycza drogę jego życia. A teraz ma być opoką, skałą, kamieniem! Dlaczego ma być martwym i nieczułym kamieniem, skoro zawsze pragnął być żywym i czującym człowiekiem, i dlaczego ma teraz na podobieństwo kamienia tworzyć swoje życie?! Czy ktokolwiek z prawych synów Izraela zwie się Skałą? Zwie się Opoką? Czy widział i słyszał ktoś, aby jakiś ojciec w Izraelu, odmawiający codziennie Szema i Szemone Esre, i Tehilim, dał swojemu synowi imię Skała?! Żaden ojciec! Może takie imiona dają w Micraim, może dają w Jawanie, może dają w Romie, ale żaden ojciec w Izraelu nie da takiego imienia synowi! Nie da! Rozpacz ogarnęła Symeona ben Jona. Chciał pobiec za Nieznany i rzucić Mu się do kolan, i błagać Go, aby zdjął z niego ciężar tego imienia, ale Mąż ów już dawno się oddalił i znikł w ciemnościach nocnych, które zaległy pustynię. Nagle przez głowę rybaka przebiegła zbawienna i wyzwalająca myśl, że Nieznany nie jest jego ojcem ani jego rabbim, ani nie jest Elohim, więc nie ma mocy zmieniać jego imienia.

I Symeon ben Jona ruszył przed siebie, do jaskini na spoczynek nocny, a za nim szli jego brat Andraj i Johanan ben Zebadia, i wszyscy razem rozważali w sobie sens imienia Kefas, i nie mogli w tym imieniu znaleźć upodobania.

Czas zatrzymany

Symeon ben Jona, jego brat Andraj i Johanan ben Zebadia siedzieli na ziemi przed jaskinią i kołysząc się, psalmami chwalili Pana. Symeon zawodząc śpiewnym głosem podawał słowa pierwszego wersetu bratu i Johananowi, a oni natychmiast z nabożnym pośpiechem podchwytywali je i potem cały psalm śpiewali harmonijnym trójgłosem, tak zgodnym i pięknym, że nawet dla ucha bardzo muzycznego brzmiał on jak jeden głos. Odmawiali psalm po psalmie, a z każdym nowym psalmem jaśniej świeciły gwiazdy na niebie, coraz czystsze, jakby zapalały się od melodii płynącej z nieskazitelnego trójgłosu. Umilkło wycie hien na pustyni i sowy przestały hukać w skalnej pustce, i dzięki temu cisza nocna mogła bez przeszkód uczestniczyć w modlitwie psalmujących mężów, którzy po odmówieniu najwznioślejszego z psalmów, Hallel Hagadol, umilkli i zaczęli kontemplować zdarzenia minionego wieczoru, i tak długo przywoływali je ku sobie, wabili, przyciągali i kusili swym napiętym do ostatecznych granic skupieniem, aż wrócili

do nich i przy nich pozostały. Była to chwila szczególna. Zbliżał się czas nieporuszony, stojący w miejscu, czas przeźroczy, odcedzony, wyjałowiony z wszelkich ubocznych i niepotrzebnych zdarzeń, które zanieczyszczają go swoimi mętami, odbierają mu zbawienną moc trwania, upłynniają go, czyniąc z niego mętno-brudny strumień zmienności, zmorę naszego życia, demona przemijania. Zwabili czas w zasadzkę mocą swojego skupienia, wstrzymali jego bieg i czas stanął. Trwali w szumie czasu przeźroczyściego jak szkło i ujrzeli świętą Rybę, mesjańską i nieśmiertelną, którą Archanioł Gabriel wyłowił z głębi owej bezspornej przeźroczyści wśród śpiewu zgromadzonych na brzegu Serafim i Cherubim, równie przeźroczyściego jak czas, Rybę czystą i wybraną, oczekującą ich i przez nich oczekiwaną. Ale nie tylko Serafim i Cherubim byli świadkami tego uroczystego połowu, bo świadkami były również wszelkie stworzenia – kamienie, drzewa, rośliny, zwierzęta i ludzie – oczyszczone z mętno-brudnej zmienności, niezmiennie i niezniszczalne, i widziały własnymi oczami, jak przyszła przeszłość w postaci Męża wyszła z wód Jordanu, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia, i między nich wstąpiła. Zatem czekanie w czasie podstępnie zatrzymanym przez trzech skupionych mężów, całkowicie poddanych prawom czasu przeźroczyściego na równi z całym otoczeniem – pobożne skupienie było sidłem, w które złowili Pana – było czekaniem na to, co już przyszło i co się już dokonało. Było ono wypełnione po brzegi tęsknotą za zbliżaniem się i ucieleśnianiem już Ucieleśnionego i Obecnego. Padli więc przed Nim na twarz i powitali Go powitaniem wszystkich pokoleń i wszystkich proroków, i ufnie poszli za Nim aż do krańców ziemi. Wówczas, uradowani, miłosiernie otworzyli sidło i Pan z niego uleciał, a oni, pochyleni ku sobie, do głębi przejęci przygodą przeżyty w zatrzymanym czasie, zamierzali głośno objaśniać swoje przeżycia, ale wszystkie ich wzruszenia i myśli, gdy tylko z głębi zatrzymanego czasu wypłynęły na powierzchnię świadomości, ograniczoną widzialną przestrzenią i pięcioma zmysłami, natychmiast uległy porażeniu – a może przyczyną tego była ich nieumiejętność, przez Pana ustanowiona, wyrażania słowami wątków przeżytych w głębokości czasu (jasne jest, że i nasze słowa nie wyraziły tego, co oni wtedy odczuwali, a to, co opowiedzieliśmy, jest tylko zniekształconym fragmentem, a nie wiernym obrazem ich przeżyć) – więc opowiadając, każdym opowiadającym słowem przeczyli temu, co w czasie zatrzymanym słyszeli i widzieli. Albowiem ufność doznana w widzeniu wyrażali za pomocą nieufności, pewność za pomocą wahania, radosne powitanie za pomocą trwożnej ucieczki, i w końcu z ludzkich, słabych, nieudolnych słów poczęli budować dla siebie dom lęku i niepewności, i mówili, że powinni czekać, czekać, czekać na jakiś widomy znak.

I czekali, ale nie wiedzieli, jakiego pożądamy znaku.

Pod drzewem figowym

Sadownik Nathanael ben Tolmaj pochodził z Kany Galilejskiej. Był młodzieńcem urodziwym, miłym w obejściu, rozmownym. Zdawało się, że niczego mu nie brak do pełni szczęścia i wewnętrznego spokoju. A jednak tak nie było, bo Nathanael obok dobrych i szlachetnych cech charakteru miał niestety również wielką przywarę, a była nią skłonność do złośliwej oceny bliźnich, ich wad i śmiesznych słabości. Bano się w Kanie jego nieposkromionego języka, jego ciętych i zaprawionych drwiną docinków, żartobliwych i ironicznych powiedzeń, które przysparzały mu wielu przeciwników, zwłaszcza spośród ludzi możnych i wpływowych, gdyż oni najczęściej byli celem jego kpin.

Nathanael był człowiekiem pobożnym i dlatego cierpiał z powodu ostrości swoich słów, i podczas każdej modlitwy błagał Pana, aby poskromił jego usta. Pamiętał, że uderzenie różgi wywołuje sińce – jak pisał mądrze Jezua ben Sira – ale uderzenie języka łamie kości. Przynurzał sobie poprawę, przynurzał, bił się w szerokie piersi, aż dudnienie roznosiło się po całej synagodze, ale gdy siedział po pracy wraz z młodymi przyjaciółmi na rynku w Kanie i rozprawiał o wydarzeniach w miasteczku, a nadarzała się dogodna sposobność do kpin i żartów, nie umiał utrzymać języka na wodzy i nie pozostawiał suchej nitki na bogaczach, poważnych faryzeuszach i saduceuszach, naśmiewał się z ich fałszywej pobożności, pychy i zarozumiałstwa i czynił o nich tak dowcipne i uszczypliwe uwagi, że wzbudzały one gromki śmiech wśród zebranych młodzieńców, którzy potem powtarzali je po całym miasteczku ku uciechu jednych, a oburzeniu drugich. Nathanael nie wiadomo dlaczego pałał niezrozumiałą niechęcią do mieszkańców niektórych miasteczek, a do nich należało Nazareth; drwił z niego niemiłosiernie. Ilekroć opowiadał o ludziach ciemnych, nierozważnych, łatwowiernych, lekkomyślnych, roztargnionych, chodzących w obłokach, a nie po ziemi, akcję przypowieści zawsze umieszczał w Nazarecie, i doszedł w sztuce opowiadania do takiej doskonałości, że gdy tylko zaczynał zdanie „A zdarzyło się to w Nazarecie” – już samym brzmieniem tej nazwy, wypowiedzianej ze szczególnym akcentem, wzbudzał śmiech swoich młodych słuchaczy.

Pewnego dnia, wiedziony jakimś wewnętrznym nakazem – nic o nim nikomu nie mówił – rzucił pracę i pożegnał rodziców, zrozpaczonych nagłym postanowieniem syna, opuścił Kanę i udał się do brodu Bethabara, do Johanana ben Zecharia. Wszyscy miejscowi bogacze, faryzeusze i saduceusze, ofiary jego

złośliwości, podziękowali Elohim za łaskę ocalenia Kany z ucisku jadowitego języka.

Nathanael, przybywszy do brodu Bethabara, głośno wyraził skruchę z powodu swojego dotychczasowego życia, przyjął z ręki Johanana ben Zecharia chrzest w wodach Jordanu i pod baczny okiem swojego nauczyciela począł oddawać się pokutnym ćwiczeniom. Podobnie jak Mąż Pustynny, wdział na nagie ciało kłującą szatę z sierści wielbłądziej, żywił się tylko miodem i szarańczą, kilka dni w tygodniu pościł, i tak jak odmienił szatę swoją, odmieniał również swoje grzeszne wnętrze wśród modlitw i rozmyślań nad błogosławionymi Księgami Koheleta i Jeszuy ben Sira, nad dwiema księgami o mądrości życia. Od czasu do czasu rozprawiał o Elohim z Johananiem ben Zebadia, Symeonem ben Jona i bratem jego Andrajem, ale przede wszystkim z Filipem z Bethsaidy znad Morza Galilejskiego, cichym, małowównym rybakim, który chociaż był ojcem rodziny, udał się na pustynię, by tutaj przysposobić swoje serce i umysł na przyjście szczęśliwych dni. Nathanaelowi przypadła do serca małowówność Filipa, gdyż uczył się od niego odważania słów, mówienia tylko o rzeczach ważnych, rozwagi w wypowiedaniu sądów o ludziach i zdarzeniach i spokojnej, beznamietnej oceny zjawisk tego świata. Równocześnie ze zmianą wewnętrzną i ze zmianą szaty odmieniła się twarz Nathanaela, wyschła, policzki zapadły się z powodu nieustannych postów, a spojrzenie, dotychczas migotliwe, filuterne, drwiące, przygasło, przyciemniło się i – było pogodne.

I tak płynął czas nad falami Jordanu, a Nathanael ben Tolmaj wciąż kształtował i pogłębiał swoją pobożność pod baczna strażą Nistrzyżonego. Potem udał się wraz z nim i jego uczniami do brodu w Bethanii, słuchał tam jego nauk i był świadkiem rozlicznych wystąpień przeciw Herodowi Antypasowi i jego żonie. W samotności powtarzał sobie słowa Nistrzyżonego, przepisywał je w swojej pamięci, dopasowywał do nich swoje serce, próbował upodobnić do nich swoje wnętrze, ale nie był z siebie zadowolony. Wciąż widział, że dusza jego mimo wielu prób i ćwiczeń jest drzewem wydającym jałowe, kwaśne i robaczywe owoce.

Tej nocy Nathanael, leżąc w jaskini, nie mógł usnąć i spędził noc na rozmyślanii, ale to określenie nie oddaje ściśle charakteru zjawiska, które przeżył pobożny sadownik. Określilibyśmy je może jako sen – posiadało bowiem wiele cech marzenia sennego – gdyby Nathanael rzeczywiście spał. Ale on nie spał. Czuwał wpatrzony w gęsty mrok jaskini i słyszał dochodzące z zewnątrz psalmiczne zawodzenie braci. Nie było to również widzenie, bo tego, co się działo przed jego oczami, Nathanael nie widział, chociaż na pewno się działo, bo mógł to opisać słowami i określić za pomocą dostępnych mu pojęć. Nie było to również słyszenie, bo nikt tego, co przeżył, nie opowiadał, a rozkaz Pana, który doszedł do jego świadomości, i jego własna odpowiedź, której ośmielił się udzielić Panu, nie dotarły do niego przez zmysł

śluchu. Było to zatem przeżycie dokonane poza wszelkim widzeniem i słyszeniem, poza snem i jawą, ale jego substancji, gatunku i charakteru nie sposób określić i ustalić. Może miejsce, w którym znajdował się teraz galilejski sadownik, miejsce jego nocnego spoczynku, kamienne legowisko, a zatem miejsce, na którym leżał, nagle stało się miejscem świętej Obecności Pana. Zdarzają się takie wypadki. Wprawdzie Obecność Pańska jest zawsze obecna w Świętym Świętych w Jerozolimie, ale jeżeli Pan zechce, może być równocześnie obecna w każdym miejscu na ziemi, w cedrowych komnatach królów i w jaskini nędzarza, na urodzajnych polach i na piaskach pustyni – o, ileż razy była obecna na pustyni! – i wystarczy, jeżeli Elohim to lub owo miejsce umiłuje, uzna za święte, a już jest ono miejscem świętym, i dlatego człowiek nigdy nie wie, czy miejsce, w którym stoi, śpi czy leży, nie jest miejscem uświęconym przez Pana. A ponieważ miejsce Obecności jest samą Obecnością – podobnie jak Anioł Jahwe jest samym Jahwe – więc ktokolwiek znajduje się w jej granicach, staje przed możliwościami, których przebiegu, rozmiarów i skutków przewidzieć nie może. Izrael dobrze o tym wiedział. Przerażony Wszechobecnością Pana, nazywał Go Miejscem i w tym pozornym i przystępnym ograniczeniu zamykał, dla swojej wygody i pociechy, Jego nieskończoną rozległość, co po trochu odpowiada złożonej i trudnej do pojęcia naturze Jahwe, albowiem Pan JEST nie tylko tym, który JEST, ale równocześnie JEST TAM, GDZIE JEST.

I może właśnie miejsce, na którym leżał Nathanael, było takim Miejscem świętym, Makom Hakodesz.

Nathanael znalazłszy się zatem w owym miejscu uświęconym niespodziewaną Obecnością Pana – takie jest przynajmniej nasze przypuszczenie – przystanął wśród drzew figowych, rozłożystych i rzucających na ziemię kolisty, cętkowany cień. Stał pod jednym z nich, stał pod drzewem figowym, z wyglądu nie różniącym się od innych rosnących opodal drzew figowych – miało owoce o barwie fioletowozielonej – ale było to drzewo inne, a inność swoją zawdzięczało swoim owocom, z których każdy był wprawdzie z kształtu niewątpliwą figą, ale z treści swojej wyobrażał syna Izraela, każdego z osobna, jednostkę, co zresztą zgodne było z natchnionym widzeniem dwóch koszów fig proroka Jeremijahu i z lamentem proroka Hosei nad grzechami w Baal Peor, a prorok ten wyraźnie i jasno rozróżnił pomiędzy winnicą – znakiem całości wybranego ludu – a figą – znakiem syna Izraela, jednostki oddzielnej, o własnej twarzy i własnym imieniu. Stał zatem Nathanael ben Tolmaj, sadownik, pod drzewem figowym, wyobrażającym synów Izraela i ich niezliczoną różność, i usłyszał nad sobą Głos wyraźnie brzmiący, który pytał: – Gdzie jesteś, Nathanaelu?

Pytanie to było dowodem wyszukanej grzeczności Pana, czymś w rodzaju pukania dobrze wychowanego gościa do bramy domu gospodarza – przecież nikt bez pukania nie wchodzi do wnętrza obcego domu – a gdy Nathanael gościnnie odpowiedział: – Tu jestem, Panie – Obecność Pańska, uradowana jego uprzejmym tonem, tak rzekła do niego:

– Jesteś sadownikiem, więc znasz się na owocach. Na drzewie figowym – właśnie pod nim stoisz – rosną figi, które są figami tylko dla oczu niewidomych, ale dla widzących, a ty właśnie posiadasz oczy widzące, są obrazem synów Izraela, każdego oddzielnie i każdego z osobna. Zbierz figi z tego drzewa, Nathanaelu, i wrzuć je do dwóch koszów; do jednego, do kosza Ocalenia, wrzuć figi dobre, soczyste, słodkie, a do drugiego, do kosza Ostatniej Próby, wrzuć figi robaczywe, suche, złe. Na dobrych synów Izraela skieruję moje miłościwe spojrzenie i dam im rozum, aby mnie poznali, że Ja jestem Jahwe, i będą moim ludem, a ja będę ich Bogiem, a gdy się do mnie zwrócą całym sercem, będą wysłuchani, a po śmierci oglądać będą Obecność moją żywymi oczami. Ale z owoców złych uczynię przedmiot pośmiewiska dla wszystkich królestw ziemi i przedmiot hańby, szyderstwa i urągania po wszystkich miejscach, dokąd je wypędzę, i pošlę przeciw nim miecz, głód i zarazę, i będą doświadczone złem, coraz gorszym złem, będą doświadczone Ostatnią Próbą, albowiem po to zło istnieje, aby w złych obudzone zostało Dobro. I to jest moja ostatnia dla nich Łaska. A teraz posłuchaj, Nathanaelu, i nachyl ucho twoje, abys dobrze słyszał, co do ciebie mówię. Owoce dobre, gdy je będziesz wrzucał do kosza Ocalenia, radować się będą i śpiewać, ale owoce złe, gdy je wrzucać będziesz do kosza Ostatniej Próby, płakać będą fałszywym płaczem i jęczeć będą podstępny jękiem, i błagać obłudnie o litość. Działaj, Nathanaelu, według praw sprawiedliwego sadownika i nie nachylaj serca swego ku głosom oszustwa i fałszu – tak powiedział Elohim, a Nathanael pochylił czoło na znak pokornej zgody i rozpoczął zbiór owoców z drzewa figowego. Zbierał owoce do wieczora, a potem udał się na spoczynek, a potem znów zbierał przez cały dzień, a potem znów wypoczywał, a gdy rano przystąpił do pracy i właśnie trzymał w dłoni soczystą i dobrą figę, którą zamierzał wrzucić do kosza Ocalenia, nagle w owocu owym poznał samego siebie i zamyślił się, i w tym zamyśleniu, w drobnym ułamku czasu ujrzał całe swoje dotychczasowe życie, i postanowił owoc swojego życia wrzucić do kosza Ostatniej Próby, albowiem był zdania, że nie jest człowiekiem godnym oglądania Pana nawet z najdalszej odległości.

I obudził się, chociaż to, co przeżył, nie było ani snem, ani jawą, ani widzeniem, ani słyszeniem.

Drabina Jaakowa

Było jeszcze zupełnie ciemno – właśnie w tym samym czasie Johanan ben Zebadia, Symeon ben Jona i jego brat Andraj trwali w skupieniu, a Nathanael pogrążony w swoim przeżyciu wciąż stał pod drzewem figowym i przebierał owoce – gdy Jezus obudził się w swojej jaskini, odmówił modlitwę, po czym udał się do rzeki, wykapał się w odludnym miejscu i usiadł nad brzegiem.

Wzeszło słońce. Wstał poranek czwartego dnia pobytu Męża u brodu w Bethanii. Co działał przez tych kilka dni? Swoim niespodziewanym zjawieniem się spowodował wypowiedź Nistrzyżonego o Baranku Bożym i posiał urodzajną nieufność w sercach trzech rybaków galilejskich. Wiedział, że ich teraz nie przynagli ani nie zwabi, ani nie przekona, bo muszą dojrzewać w duchu swej natury człowieczej, wolnej woli i jej bolesnych uprawnień, i muszą mieć równą szansę zgody i odmowy. Kiedy nastąpi ta chwila? Kiedy zawrócą i przyjdą do Niego? Czy w ogóle zawrócą i przyjdą? Oto Baranek Boży... Baranek Boży... Tak powiedział Johanan ben Zecharia. Czy wyraźnie nakazał uczniom iść za Nim? A czy sam za Nim poszedł? Nie mógł nakazać uczniom i nie mógł sam za Nim iść. Takie jest jego prawo i taki jego obowiązek. Pan – rozmyślał Jezus – ukochał okrężne drogi i sam wielokrotnie zmierza do człowieka krzywiznami i zakosami, a niekiedy nawet kamienistym bezdrożem. I Jezus poczuł, jak idzie przed siebie, jak idzie wyboistą i okrężną drogą, jak idzie ku trzem rybakom, ale On w swej Wszechwiedzy i oni w swym ograniczeniu nie wiedzą – Jego Niewiedza jest owocem Jego Wszechwiedzy, ich niewiedza owocem ich ograniczenia – czy się spotkają i zetkną, i razem dalej pójdą. Jezus pochylił głowę ku prawemu barkowi. Przyszedł w czasie właściwym, w którym było wyznaczone miejsce na czekanie i zwlekanie, na niepokój, nieufność i na niepewność. Czekanie, zwlekanie, niepokój, nieufność i niepewność musi do dna przeżyć, do samego dna, do swojego człowieczego dna, i nie wolno Mu zapomnieć – zapomnieć? Jak Pamięć może zapomnieć? – że to, co jest pewnością, musi być w pewnym czasie niepewnością, że to, co jest koniecznością, musi być w pewnym czasie mądrym układem swobodnie działających celowo-mimowolnych zdarzeń, świętym przypadkiem, świętą celową mimowolnością. Więc po co tutaj beczynnie siedzi nad Jordanem? Po co? Oto gorzki początek Jego działania. Pustka, konieczna pustka, konieczne rozczarowanie, konieczne niepowodzenie, konieczna i nieunikniona gorycz, najbardziej gorzka ze wszystkich goryczy, którą wprawdzie w każdej chwili mógłby zamienić na najśodsze wino, ale wówczas zachwiana zostałaby równowaga tego poranka, a wraz z jego zachwianiem zachwiałyby się równowaga dnia, a potem zachwiałyby się wszystkie dni i wszystkie

noce, a za nimi wszystkie tygodnie i miesiące, i lata, i wieki, i cały czas.

Wczoraj jeden z pielgrzymów przybyłych do brodu w Bethanii przywiózł Mu pozdrowienie od matki i jej gorące życzenie, aby przybył do Kany Galilejskiej na gody weselne syna ich powinowatego, jednego z tych pobożnych powinowatych, którzy otaczają ją czułą i troskliwą opieką. Czy ma więc zostawić Niestrzyżonego, jego uczniów i tych kilku rybaków, na których spoczęło Jego spojrzenie, i nie ukończywszy tutaj swojej pracy udać się do Kany na gody weselne? Z czym wróci do Galilei? Z pustymi rękami? Sam? Sam jeden? Posłyszał za swoimi plecami zbliżające się kroki. Filip – on to właśnie nadchodził – dowiedział się od Andraja o wypadkach, które się zdarzyły wczorajszego wieczoru. Nie było to sprawozdanie dokładne i zbyt żarliwe – jak wiemy, Johanan ben Zebadia i Symeon ben Jona zdołali trochę ostudzić ognisty poryw i zapal Andraja – ale to, co małomówny Filip usłyszał z ust swojego galilejskiego przyjaciela, było wystarczającą podniecią do natychmiastowego działania. Filip poszedł brzegiem Jordanu i ujrzał Jezusa samotnie leżącego na piasku nad rzeką.

– Pokój Tobie, Rabbi – rzekł.

– I tobie pokój – odrzekł Jezus.

– Czy to Ty jesteś Rabbi Jeszua ben Josef? – spytał.

– Rzekłeś.

– Jestem Filip, rybak z Bethsaidy Galilejskiej. Zapadło milczenie.

Małomówny patrzył w ziemię, a Jezus okiem ogrodnika, znającego owoc swego drzewa, przyglądał się jego twarzy.

Filip zmieszany, nie odrywając oczu od ziemi, spytał, a wypowiedziane przez niego pytanie brzmiało bezdźwięcznie – wypowiedział je z niemałym trudem – i nieporadnie, gdyż nie był mistrzem pięknego mówienia i nie zawsze umiał celnie się wysłowić. Zresztą to, o co pragnął spytać, trudno byłoby ściśle wyrazić nawet najwytrawniejszemu znawcy Pisma Świętego.

– Czy to Ty, Rabbi... czy to Ty znasz drogę, którą przyjdzie – tu urwał i po krótkim namyśle dodał: – Sługa Jahwe, powiedzmy, Mąż Boży... tak... Mąż Boży – tu znowu poprawił się: – Syn Boży?

Jezusa zastanowiły poprawne, ale niezwykle oględne wyrażenia bliskoznaczne, za pomocą których Filip starał się określić cel swojego oczekiwania. Ta nieporadność Małomównego – na pewno nie uzmysłowił sobie zagadkowej i wieloznacznej wartości wypowiedzianych przez siebie słów, wyrastających z podglebia Tajemnicy – głęboko wzruszyła Jezusa, który począł opowiadać Filipowi to, co prorok Jesaja głosił o nadejściu Męża Bożego, i długo mówił o niepowodzeniu, smutku, ciosach, upokorzeniach, chłostach i cierpieniu, mających spaść na Sługę

Jahwe, zapowiedzianego i dręczonego w czasie wyznaczonym. Wprowadzie Filip nie zrozumiał, dlaczego upokorzenie i chłosta mają towarzyszyć błogosławionemu i ze wszech miar oczekiwanemu zjawieniu się Sługi Jahwe, ale nie zdążył o to zapytać Jezusa, który począł teraz przytaczać święte wersety z Księgi Szemot. Było to niezwykle pomieszanie tekstu z komentarzem, ale tak kunsztowne i ściśle, że trudno było zachwyconemu słuchaczowi oddzielić Mojżeszową treść od Jezusowych objaśnień, albo – ściślej mówiąc – raczej Filip dla piękności jej myśli i formy nie chciał pokusić się o dokonanie tego podziału, gdyż komentarz śmiałą wnikliwością swoich myśli niejako uskrzydlał właściwy tekst i wznosił go coraz wyżej, wyżej ku niebu.

Filip utkwiał swój wzrok wysoko nad szczytami Judejskich Gór i słuchał słów Jezusa o Jahwe, który twardym krzemieniem uczynił serce faraona, więc władca Micraim wzbraniał się wypuścić synów Izraela ze swojego kraju. A wtedy w ziemi Micraim, w krainie krokodylich bogów, powiedział Jahwe do Mojżesza i Aarona, powiedział do dwóch ludzi o jednym sercu, powiedział do dwu-człowieka, a słowa swoje tłumaczył w przystępny sposób na język ludzki: „Miesiąc ten, który później nazwiecie nisan, będzie dla was początkiem wszystkich miesięcy, będzie pierwszym miesiącem roku. Dziesiątego dnia tego miesiąca – powiedzcie o tym całemu zgromadzeniu Izraela – każdy postara się o jagnię dla domu, a gdyby rodzina była za mała dla spożycia całego jagnięcia, niechaj każdy syn Izraela zaprosi do siebie swojego sąsiada, aby była dostateczna liczba spożywających. Jagnię będzie jednoroczne, bezgrzeszne, nie skażone żadną skazą, niewinne najczystsza niewinnością, jagnię nieskalane, a wtedy zabije je cały lud między dwoma wieczorami, i wezmą niewinną krew niewinnego jagnięcia, i wezmą gałązkę hyzopu, i zanurzą ją we krwi, zebranej w naczyniu, i tą krwią skropią odrzwia i progi swoich domów, w których będą spożywać w czas wieczoru pesachowego, i będą niewinną krwią jagnięcia znaczone wszystkie domy Izraela, i wszystkie jego odrzwia, i wszystkie jego progi, a Ja tej nocy przejdę przez Micraim i zabiję wszystko pierworodne w ziemi Micraim od człowieka aż do bydła, i odbędę sąd nad wszystkimi bogami w ziemi krokodylich bogów, Ja Jahwe. A niewinna krew jagnięcia będzie znakiem waszych domów, w których będziecie przebywać, a gdy ujrzą krwią pomazane progi, przejdę obok i minę was, i nie będzie pośród was zniszczenia i zagłady, i śmierci, gdy będę karał Micraim, bo krew niewinnego jagnięcia jest krwią waszego zbawienia i ocalenia, i z powodu tej krwi zbawiony i ocalony będzie Izrael, z powodu krwi jagnięcia, które zabił i które spożył w noc pesachową, z powodu krwi jagnięcej, którą rozlał i pomazał progi swoich domów. Oto jest krew jagnięcia, która gładzi grzechy świata, i każdy, kto uwierzy w tę krew, będzie zbawiony i ocalony, bo krew ta strzeże duszy jego na żywot wieczny, a Anioł

Śmierci, Malach Hamaweth, nie będzie miał do niej dostępu. I oto jest Jagnię, które było i będzie, czyli JEST, Jagnię ocalające, Jagnię zbawienne; Jagnię ociekające krwią. To mówię Ja, Jahwe...”

Jezus umilkł, a Małomówny po krótkim badaniu swojego wnętrza upewnił się w przekonaniu, że Jagnię, o którym mówił Mojżesz, Jagnię bez skazy i bezgrzeszne, jest identyczne z Barankiem, o którym dwukrotnie mówił Johanana ben Zecharia, wskazując wyciągniętym palcem na Jezusa.

Wtedy Małomówny padł na twarz przed Jezusem i jak przez daleką mgłę usłyszał Jego słowa:

– Pójdź za mną – ale ponieważ owładnęło nim gorące wzruszenie, nic nie odpowiedział i tylko kiwał potakująco głową. Potem skoczył na równe nogi i potykając się o kamienie sadił ku brodowi i nie wiadomo było, czy wstąpił weń strach, więc ucieka, czy też może natchniony odwagą biegnie do przyjaciół, by się z nimi podzielić swoim radosnym odkryciem. Jezus patrząc za biegnącym pomyślał, że jeżeli Filip nie uciekł, to pobiegł po przyjaciela i wkrótce tutaj z nim powróci, i obaj będą z początku wypełnieni dobrą wolą, a potem obleci ich trwoga i będą czekać, i znów powtórzy się historia wczorajszego spotkania. A może Filip postąpi inaczej? I Jezus pod ciężarem wszechwiedzącej Niewiedzy pochylił głowę i począł się modlić o powrót małomównego rybaka.

A tymczasem Filip, dobiegłszy do brodu, gorączkowo szukał Nathanaela ben Tolmaj wśród kotłującej się dokoła Niestrzyżonego ciżby uczniów, pokutników i pielgrzymów, którzy zasypywali go pytaniami, prośbami o radę, o modlitwę, o wstawiennictwo u Elohim. Jedni pragnęli z nim pomówić o swoich kłopotach rodzinnych, inni chcieli na osobności wypłakać swoją biedę, a znowu inni głośno go błagali, aby nie wygłaszał gniewnych mów przeciw Herodowi Antypasowi i jego przewrotnej żonie i nie narażał swojej głowy na niebezpieczeństwo. Ponad ludzkim kotłowiskiem Filip dostrzegł nagle twarz Nathanaela obok zarośniętej twarzy Johanana ben Zecharia, ale natychmiast stracił ich obu z oczu, bo zakryła ich fala rąk wyciągniętych ku Niestrzyżonemu. Małomówny wodził bacznie oczami po rozkołysanym tłumie w nadziei, że ujrzy wysoką postać swojego przyjaciela, i rzeczywiście dostrzegł go, ale już nieco dalej, i wtedy rzucił się naprzód, i gwałtownie, na podobieństwo pływaka płynącego przez wzburzoną wodę, roztrącał rękami ludzką kipieli, aż wreszcie wśród złorzeczających spojrzeń i opryskliwych uwag dotarł do Nathanaela. Chwycił go za rękaw.

– Niech brat mój idzie... Wyjdźmy stąd...

Zaczęli powoli się cofać, aż wydostali się zdyszani na brzeg falującej ciżby. Odetchnęli z ulgą. Filip sapał. Nathanael otarł pot z czoła i spytał:

– Co się stało bratu mojemu? A Filip odpowiadając, rzekł:

– Znaleźliśmy tego, o którym pisał Mojżesz w Torze i o którym pisali prorocy, a jest nim Mąż z Nazarethu.

– Z Nazarethu? – spytał Nathanael. Zmrużył oczy. Na twarzy jego ukazał się kpiący uśmiech. Był znowu dawnym Nathanaelem, drwiącym młodzieńcem z Kany Galilejskiej.

– Czy może być coś dobrego z Nazarethu? – spytał, ale natychmiast pożałował swojej drwiącej wątpliwości, bo poznał po skupionej twarzy przyjaciela, że sprawił mu przykrość. Był zły na siebie, na swoje niskie skłonności, które mimo modlitwy i rozmyślań wciąż jeszcze w nim się tliły.

Małomówny odrzekł na to spokojnie:

– Pójdź i zobacz.

Poszli brzegiem Jordanu. Sadownik niewiele rozmyślał o mężu z Nazarethu. Ten człowiek był mu właściwie obojętny. Szedł do niego, ponieważ prosił go o to Małomówny. Po prostu nie chciał mu odmówić, zwłaszcza po tej nieszczęsnej i naprawdę zupełnie mimowolnej drwinie, wypowiedzianej o ludziach z Nazarethu. Do odkrycia Filipa niewielką przykładał wagę. Wiadomość o znalezieniu Tego, o którym pisali Mojżesz i prorocy, zrozumiał w ten sposób, że Małomówny spotkał męża o wielkiej wiedzy i mądrości. A czy mało jest w Izraelu ludzi mądrych i wykształconych?

Tak rozmyślając szedł za Filipem i obaj zbliżyli się do Jezusa, w którym sadownik ku wielkiemu zdziwieniu rozpoznał owego nieznanego przybysza, przechodnia, nazwanego przez Niestrzyżonego Barankiem Bożym, co zresztą, jak wiadomo, na nikim nie zrobiło większego wrażenia.

Jezus spojrzał na Nathanaela, wskazał nań palcem i rzekł:

– Oto prawdziwy syn Izraela, w którym nie ma fałszu.

A na to Nathanael, który więcej o sobie wiedział, niż mógł wiedzieć ten obcy Rabbi, i lepiej znał swoje wnętrze, niż mógł je znać jakikolwiek postronny człowiek, odpowiedział głosem pełnym zamyślanej goryczki:

– Skąd znasz mnie, Rabbi?

Jezus podszedł do sadownika, położył mu obie dłonie na ramionach i stojąc z nim twarzą w twarz, rzekł:

– Zanim cię Filip wezwał, widziałem cię stojącego pod drzewem figowym.

Nathanael zbladł, cofnął się, szeroko otwarte oczy utkwili w Jezusie, podniósł dłonie i poruszał nimi w powietrzu, jakby chciał za pomocą tych bezradnych ruchów odgrodzić się od Jezusa i zbudować między Nim a sobą niewidzialny mur. Nie panując już nad sobą ani nad ruchami swoich dłoni i nad przerażeniem swojego

serca, padł na ziemię i począł wielbić Pana słowami drugiego psalmu sławiącego Syna Bożego, Króla Izraela na Syjonie, na górze świętej, dzierżącego żelazne berło, którym rozgromi ludy i rozłucze je jak gliniane naczynie.

Jezus rzekł do Nathanaela ze smutkiem i wyrozumiiałym wyrzutem:

– Uwierzyłeś dlatego, bom ci powiedział, że cię widziałem pod drzewem figowym.

Tak rzekł Jezus, a znaczyło to, że gdyby mu nie ujawnił owego tajemnego zdarzenia, o którym nikt nie wiedział, Nathanael nigdy by w Niego nie uwierzył.

Sadownik leżał na piasku twarzą zwrócony ku ziemi i nie śmiał podnieść oczu. Obok klęczał Filip, równie jak on przerażony i drżący.

– Większe rzeczy będziesz oglądał – rzekł Jezus do Nathanaela.

Wtedy Jezus ujrzał siebie, stojącego między ziemią a niebem na podobieństwo świętej drabiny w Beth El, objawionej we śnie praojcu Jaakowowi. Nogami wspierał się o ziemię, a głową sięgał stolicy starowiecznej, a po Jego ciele jak po szczeblach wstępowali i zstępowali Serafim i Cherubim, a czynili to tak zgrabnie, że mijając się wśród nieustannej krzątaniny w górę i na dół, na dół i w górę, ani razu nie zaczepili o siebie szeroko rozpostartymi skrzydłami, co świadczy nie tylko o ich sprawności i niezwykle rozwiniętym zmyśle ostrożności, ale przede wszystkim o umiłowaniu cudownej harmonii, której nie chcieli spłoszyć lekkomyślnym ruchem. Znamienną cechą tego ruchu było – jak już powiedzieliśmy – wstępowanie i zstępowanie, krążenie między górą a dołem i dołem a górą, między niebem a ziemią, ziemią i niebem, ale w tym krążeniu była głęboka i doskonała celowość, i gdyby ono choć na chwilę zamarło, stanęło, świat uległby natychmiastowej katastrofie. Stary midrasz izraelski opowiada, że w Beth El Pan, objaśniając Jaakowowi ben Jicchak głęboki sens tej drabiny, ukazał mu wśród krążących aniołów, wstępujących do nieba proroków, Mojżesza i Elijahu, i proroka Jonę, zstępującego do głębin morskich, i Koracha spadającego z drabiny na ziemię i pochłoniętego przez ziemię, z czego należy wnioskować, że owa drabina jest Drabiną Wszelkiego Czasu, wszystkiego, co było, i wszystkiego, co będzie, Drabiną Porządku, Prawa, Wyroku, Łaski i Kary. Była to zatem Drabina spajająca niebo z ziemią i ziemię z niebem, Drabina Boga i Człowieka, Drabina złączenia, zespolenia i nierozzerwalnego związku, i niemożliwością jest ustalić, które szczeble są szczeblami Boskości, a które Człowieczeństwa, bo wszystkie szczeble są zarazem szczeblami Boskości i Człowieczeństwa, i te górne, oparte o niebo, i te dolne, wspierające się o ziemię, i dlatego śmiało może być nazwana Drabiną Pana lub Drabiną Człowieka, Syna Człowieczego, a jedna i druga nazwa jest prawdziwa i słuszna, z tym tylko zastrzeżeniem, że Izrael, myśląc o Bogu, myślał o Panu niewidzialnym, a myśląc o Synu Człowieczym, myślał bądź o istocie Boskiej,

bądź ludzkiej z ciała i krwi, basarwa Adam, i dlatego Jezus właśnie tu, na pustyni, w obliczu owej Drabiny Jaakowowej, pochyliwszy się nad Nathanaelem i Filipem, dla zrównania się z nimi nazwał się po raz pierwszy głośno, przed ludźmi, Synem Człowieczym, synem ciała, synem gliny, synem biedy i cierpienia, i za tym mianem jak za podwójną zasłoną – jak wiemy, podwójna zasłona oddzielała w Świątyni Pańskiej Święte Świętych od ludzi – ukrył się i dzięki temu uczynił się Niewidzialnym przed obliczem Izraela, mimo że był człowiekiem widzialnym, którego można było widzieć, słyszeć i dotknąć.

I widzialny Jezus, pochyliwszy się nad Nathanaelem i Filipem, wypowiedział słowa Niewidzialnego:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że ujrzycie niebo otwarte i Aniołów Pańskich wstępujących i zstępujących na Syna Człowieczego.

I wtedy Nathanael i Filip podnieśli się z ziemi i poszli za Jezusem, chociaż nie rozumieli, jakim sposobem Aniołowie Pańscy będą wstępować i zstępować na syna człowieka, na ben Adam, stworzonego przez Pana z mułu ziemi.

Trzej rybacy wracają do Galilei

Johanana ben Zebadia, Symeon ben Jona i jego brat Andraj wczesnym rankiem przechadzali się nad brzegiem Jordanu, rozprawiając o mowie, którą Johanana ben Zecharia znowu wygłosił przeciw tetrarsze. Ale ich rozmowa była tylko nieszczęlną maską, pod którą pulsowały przeżycia wczorajszego dnia, i im głośniejszy i namiętniejszy rozprawiali o tetrarsze i jego żonie, tym dalsi byli myślami od tetrarchy i jego żony, a nawet gromy Johanana ben Zecharia, padające na głowy przewrotnych władców, brzmiały w ich uszach jak daleki szelest obsuwającego się piasku. Przystanęli, a Johanana ben Zebadia rzekł do nich znienacka, nie starając się nawet nawiązać do tego, o czym przed chwilą mówili:

– Wydaje mi się, żeśmy powinni wszystkie nasze wieczorne i nocne zdarzenia jeszcze raz spokojnie rozważyć, ale nie tutaj, na miejscu naszego niespodziewanego spotkania z Jezusą ben Josef, u boku Niestrzyżonego, ale w oddaleniu, wśród spokojnych codziennych zajęć rybackich, które pozwolą nam roztropnie i dokładnie – zawsze nachodziły nas najlepsze myśli podczas wiązania sieci i połowów – ocenić zjawienie się Męża, Jego nieliczne wypowiedziane słowa i dokonaną przez Niego zmianę imienia brata naszego Symeona ben Jona. Wtedy gdy porównamy wyniki naszych spostrzeżeń z tym, cośmy mówili o Świętej Rybie, wychodzącej z wody, ze środka wszystkich wód, z wielkiego oczyszczenia, na pewno wyłoni się w nas i przed nami prawdziwa Prawda, która już nie będzie

tymczasowością ani czekaniem, lecz dokonany znak. Czekajmy na ten znak wśród połowów, wiązania i suszenia sieci, i odłączania ryb czystych od nieczystych – tak mówił Johanan ben Zebadia, a bracia potakiwali, z początku niepewnie, jedynie dla zachowania zasad grzeczności, ale potem z coraz większym przekonaniem, wreszcie przytaknęli i wyrazili głośną radość z powodu mądrych słów przyjaciela.

Wzięli swoje węzłki, skórzaną łagiew z wodą – mieli ją dźwigać na przemian – i pożegnali się z Niestrzyżonym, który ich o nic nie pytał. Gdy sam kiedyś po wielkim postanowieniu odchodził z domu Braci Milczących, też przez nikogo nie był nagabywany pytaniami. Błogosławił ich, a uczniowie, podniesieni na duchu jego kojącym błogosławieństwem, rażno ruszyli w drogę na północ, do Galilei.

Jezus idzie do Kany Galilejskiej

Było jeszcze przed zachodem słońca, gdy Jezus dowiedział się od Małomównego, że trzech rybacy udali się do Galilei. Uradował się ich powrotem. Sam również postanowił ruszyć w drogę jeszcze tego wieczoru do Kany Galilejskiej, na gody weselne syna swojego powinowatego, jednego z tych, którzy otaczają miłującą opieką Jego matkę. Filip i Nathanael mieli Mu towarzyszyć i czynili przygotowania do podróży. Podczas gdy napełniali wodą wór i wiązali swoje sakwy, Jezus udał się do Niestrzyżonego. Pożegnanie było milczące: Nie padło między nimi ani jedno słowo. Rabbi pochylił głowę, a dłonie starszego brata spoczęły na Jego włosach.

Jezus wiedział, że widzi go dzisiaj po raz ostatni na ziemi.

Gody weselne w Kanie Galilejskiej

1

Efraim ben Jicchak z Kany Galilejskiej – było to małe miasteczko, położone na północ od Nazarethu, w szerokiej dolinie, gęsto pokrytej winnicami – żenił swojego jedyne syna, Jonę, z Leą, córką Jehezkela, swojego sąsiada, bogatego sandalnika. Efraim był właścicielem winnicy, człowiekiem pobożnym i bojącym się Pana, a jedną z godnych pochwał cech jego charakteru była hojność i czułe serce dla wdów i sierot. Dalekiej swojej powinowatej, Miriam, której ojciec Jehojakim – oby dusza jego znalazła łaskę u Elohim – był wujem jego zmarłej żony, Rachel – oby jej dusza spoczęła u stóp Starowiecznego – okazywał głęboki szacunek i współczucie dla jej losu i niezależnie od pomocy, którą otrzymywała od swoich bliskich krewnych z Nazarethu, samorzutnie otaczał ją opieką, wspierał pieniędzmi, a na każde święto posyłał jej oliwę, mąkę, ryby suszone, wino i mięso. Ale Efraim posiadał również –

jak każdy zresztą człowiek – swoje przywary i słabości, a jedną spośród nich była skłonność do dobrego wina, którego był wytrawnym znawcą. Chwalił sobie przede wszystkim wino z własnej winnicy i twierdził ze wzruszającą przesadą, że lepszego wina nie ma w całej Galilei. Starał się jednak nie przekraczać miary w picciu. A jeżeli nawet kiedyś ją przekroczył, nie należy mu tego brać za złe, gdyż i sam praojciec Noe lubił również niekiedy popić; raz nawet wynikły z tego przykre skutki dla jego syna Chama i dla jego potomstwa, ale mimo to – jak zapisane jest w świętej Księdze Bereszit – Noe był człowiekiem niezwykle prawym, wyróżniał się nieskazitelnością charakteru i żył w przyjaźni z Elohim. Z tego wniosek, że Pan prawdopodobnie przymyka niekiedy oczy na umiarkowane skłonności do picia u ludzi pobożnych, pokornych i sprawiedliwych.

Ponieważ Efraim był wdowcem, cały ciężar przygotowań do uroczystych godów spadł na barki jego siostr, bratowych, usłużnych sąsiadek i powinowatych, a wśród nich była również Miriam, wdowa po cieśli Josefie, która już na kilka dni przed weselem, z własnej woli, przybyła do Kany, aby służyć pomocą i wiedzą gospodarską swojemu dobroczyńcy. Więc dzień w dzień do samych godów trwała krzątania w kuchni, kobiety piekły ciastka z tartych migdałów, placki zaprawione cynamonem i miętą, podpłomyki i miodowniki, baraninę, cielca na rożnie, kury szpikowane czosnkiem i przyprawione kminkiem, gołębie nadziewane cielęcą wątróbką i cebulą, smażyły pączki w złotej oliwie, miód z orzechami, przyrządzały zawiesziste sosy z wina, miodu i oliwy, ryby dwojakiemu rodzaju, gotowane i smażone, i wymyślne napoje, mocne i rozgrzewające, jak ów szechar, trunek z jęczmienia, miodu i daktyli, i chłodzący szербet, sok wyciśnięty z granatów, a przede wszystkim winny ocet zmieszany z oliwą, który szybko gasił pragnienie. Miriam, której podziwu godny kunszt piekarski znany był w Nazarecie i w całej okolicy, wypiekała płaskie chleby, owe wspaniałe chleby o idealnie kolistym kształcie i niepojętej delikatności, dobrze wypieczone i smakowicie chrupiące, lekkie, a przy tym tak sytne, że uchodziły powszechnie za nie lada przysmak. Kobiety przygotowywały istną górę łuskanych orzechów, migdałów oraz daktyli, winogron i jabłek. Efraim osobiście dokonał przeglądu win w swojej piwnicy, a oczy jego radowały się widokiem pękatych bukłaków, napełnionych najprzedniejszymi gatunkami starych win. Wiedząc, że wielu spośród zaproszonych gości cieszy się sławą wytrawnych znawców wszelkich gatunków wina, napoju rozweselającego serce – nie na darmo jeden z mędrców powiedział, że nawet za ostatni grosz warto kupić wór wina – własnoręcznie przyrządził rozmaite przyprawy z aromatycznych ziół, które wsypane do drogiego napoju pomnażały jego przyrodzony zapach i smak.

Już na kilka dni przed godami poczęli przybywać goście. Pierwsi zjawili się biedacy, którzy, znając hojność Efraima, wiedzieli, że będą mogli skorzystać z radosnej sposobności i najeść się do syta nie tylko podczas wesela, ale i przed weselem, a może nawet i po weselu. Potem zjechali krewni, powinowaci i znajomi z dalszych okolic, a w przeddzień godów z najbliższej okolicy, zwłaszcza z Nazarethu. Byli między nimi również krewni i powinowaci Miriam ze strony ojca Jehojakima, i był Halfi z żoną Miriam, i byli ich synowie: Jaakow, Symeon, Jehuda i Josef, i wuj drwał ze swoimi trzema synami o guzowatych czołach. Wreszcie w dzień godów, późnym popołudniem, przybył Jezus z uczniami Filipem i Nathanaelem ben Tolmaj, oczekiwany z tęsknotą przez matkę, a przez wszystkich gości z godną pochwałą ciekawością.

A było to dnia trzeciego, u bajom haszliszi, ale w liczbie tej nie należy upatrywać, wbrew niektórym pochopnym przypuszczeniom, żadnego znaku sakralnego lub utajonego, związanego z życiem Jezusa, gdyż był to po prostu trzeci dzień tygodnia, czyli według naszej rachuby wtorek. Izrael bowiem nie oznaczał dni nazwami – poza świętym Szabatem – lecz liczbami, a ponieważ pierwszym dniem tygodnia była dla niego niedziela, więc wtorek był dniem trzecim – jom haszliszi – a jedyną tajemnicą tego dnia, wyodrębniającą go chwalebnie spośród innych powszednich dni, kroczących posłusznie za królewskim Szabatem jak orszak pokornych sług za potężnym władcą, była wzmożona radość Elohim, który w tym dniu, w trzecim dniu Stworzenia, zadowolony z piękna swojego dzieła, dwukrotnie stwierdził, że było ono dobre – ki tow. Dzięki temu dwukrotnemu stwierdzeniu lud ukochał ten dzień, upodobał go sobie i uczynił go dniem szczęśliwych godów weselnych, gdyż wierzył, że jedno „było ono dobre”, czyli kitow, przeznaczone jest dla oblubieńca, a drugie kitow dla oblubienicy.

Tego dnia służba od rana czyniła ostatnie przygotowania do wesela. Efraim ben Jicchak, odziany w odświętną, jedwabną, wzorzystą haftowaną tunikę, w gorących słowach podziękował Miriam za jej pomoc w gospodarskich trudach. Również Miriam od samego rana była pięknie ubrana. Nałożyła tunikę z rękawami, sięgającą kostek, lnianą, ciemnomodrą, kilkakrotnie przepasaną pasem, spiętą miedzianą klamrą w kształcie lilii. Na nogach miała czarne sandały z miękkiej skóry na trzcinowych podeszwach, przewiązane rzemykami. Wprawdzie pod jej oczami i na czole widoczne były cienkie linie zmarszczek, a wśród gładko zaczesanych włosów, zwłaszcza na skroniach, wiły się siwe nitki o odcieniu opalizującego szkła, nie straciła jednak nic ze swojej dziewczęcej urody. Była zawsze smukła i prosta jak palma.

Już od wczesnego ranka kilkakrotnie wychodziła na drogę i patrzyła ku

wzgórzom Nazarethu, skąd lada chwila powinien nadejść jej Syn. Nie było innej drogi z południa do Kany. Z trudem tłumila w sobie rosnącą niecierpliwość. Wreszcie późnym popołudniem, stojąc na płaskim pagórku, ujrzała z dala schodzące ze wzgórza trzy postacie, a chociaż z powodu zbyt wielkiej odległości nie mogła dojrzeć twarzy, przeczuła, że jednym spośród przybywających jest jej Syn; ponieważ była to pewność niezachwiana, szła w ich kierunku szczęśliwa i uśmiechnięta, a gdy odległość między nią a nimi się zmniejszyła, nic już dokoła nie widziała, ani wzgórz, ani winnic, ani pól, ani dwóch towarzyszy, kroczących obok Jezusy, tylko tę Jego twarz, tę smagłą twarz, bliską a zarazem tak bardzo odległą, i utkwione w niej spojrzenie Jego czarnych oczu. Wówczas i Jezus przyspieszył kroku, ale idąc ku matce, nie wyciągnął do niej dłoni ani ona nie wyciągnęła do Niego swoich ramion, ani nie przywołali się serdecznym słowem – w Izraelu nie było w dobrym zwyczaju ujawnianie uczuć między matką a synem w obecności postronnych ludzi – jednak tak byli do siebie podobni smukłością postaci, szlachetnym wyrazem twarzy i hieratyczną pięknnością ruchów, że nie ulegało wątpliwości, iż właśnie w tym doskonałym podobieństwie rysów i ruchów wypowiedała się cała ich wzajemna miłość i serdeczność. Jezus nisko pokłonił się matce, a Filip i Nathanael, którzy zatrzymali się od nich w odległości pełnej szacunku, również nisko pochyłili głowy przed Niewiastą. Ruszyli w kierunku miasteczka. Jezus szedł pierwszy, za Jezusem nieco z boku szła Miriam, a za nimi postępowali onieśmieleni tym spotkaniem Filip i Nathanael. Niewieście, która nie spuszczała wzroku ze swojego Syna, wydawał się On przygnieciony troską, zmęczony, ale nie zmęczeniem przebytej drogi. Natychmiast zmiarkowała przenikliwą matczyną intuicją, może po pochyleniu Jego głowy, a może po gorzko-łagodnym wyrazie warg, że gnębi Go wewnętrzna rozterka, spowodowana niepojętymi dla niej przeżyciami. Co się stało nad Jordanem? Czy wróci do domu, do Nazarethu, i pozostanie w nim na stałe? A może tylko wypełniając jej prośbę przyszedł do Kany, by uczestniczyć w godach weselnych, a potem znowu ruszy w szeroki świat? Kim są owi dwaj milczący mężowie, którzy idą za nimi w pełnej szacunku odległości i ani o krok nie ośmielają się jej zmniejszyć? Myśl o powrocie Jezusa na stałe do Nazarethu wydała się jej płochą mrzonką, niegodną nawet głębszego zastanowienia, ale mimo to dla chwilowej radości uczepliła się kurczowo tej myśli i rozkoszując się wizją Syna gospodarującego w domu, skwapliwie układała według tego kojącego złudzenia swoje przyszłe życie. Gdy weszli do miasteczka, Miriam z bólem, ale bez rozczarowania wróciła myślami do rzeczywistości.

Efraim wyszedł im naprzeciw. Ucałował w ramię Jezusa i na znak szacunku dla Jego wiedzy pochylił się i złożył pocałunek na skraju Jego szaty, po czym wyraził

radość z powodu przybycia Gościa na wesele. Pochylony, rzekł wzruszonym głosem:

– To wielki dla mnie zaszczyt, że Rabbi Jezua ben Josef przybył znad świętego Jordanu na gody weselne mojego syna, pokornego sługi swojego, Jony.

Jezus objął go i życząc mu długich lat życia, chwalił jego dobroć i współczucie, jakie okazuje wdowom i sierotom. Powiedział kilka słów o miłosierdziu i o tych, którzy działając miłosiernie, sami dostąpią miłosierdzia przed obliczem Pana i ludzi. A wprawdzie ani słowem nie wspomniał o dobrodziejstwach, jakich Miriam doznała od Efraima, ale czuło się, że chwalać współczującą hojność bogacza, ma również na myśli i dobro, które ten okazał Jego matce. Jezus lubił bowiem z powszednich okoliczności wyciągać pod postacią obrazów wnioski ogólne, swoim zasięgiem obejmujące nie jednego człowieka, ale cały lud. I tym razem dał upust swoim skłonnościom do bezimiennego obrazowania i postawiwszy w miejsce ściśle określonego człowieka, Efraima, bezimienne drzewo, a w miejsce jego uczynków – bezimienny owoc, rzekł:

– Bo każde drzewo bywa poznawane z owocu swego, a ludzie z ciernistego krzaka nie zbierają fig, a z głogu nie zbierają winnych jagód.

Efraim zrozumiał myśl Jezusa i chcąc Mu okazać swą wdzięczność, znowu nisko się przed Nim pokłonił, i po raz drugi ucałowawszy skraj Jego szaty, wprowadził Go wraz z Miriam, Filipem i Nathanaelem – bogacz pomyślał: Co ten kąśliwy młodzieniec robi w towarzystwie mądrego i bogobojnego Rabbiego? Skąd jemu do Rabbiego? – do wnętrza swojego domu. Ucałowali mezuzę, a Jezus wypowiedział błogosławieństwo domu. Trzej goście wzięli kąpiel, służba namaściła ich ciała najprzedniejszym olejkiem, a wtedy ustąpiło znużenie z ich mięśni i krew wartko popłynęła w ich żyłach. Radowali się z powodu żwawości swoich ciał i cieszyli się z powodu darów Elohim, wody orzeźwiającej i olejku z nardu, gdyż dzięki tym darom znużenie zamienia się w krzepkość, a niemoc ustępuje przed mocą.

Słońce zachodziło nad Kaną Galilejską. Purpurowe słońce, zażywne, uroczyste, zadowolone z urodzajności tej ziemi i z nie mniejszej urodzajności jej mieszkańców, licznych jak gwiazdy niebieskie i jak piasek na brzegu morskim – szybko odpływało za lesiste góry Karmelu, które były jak zielony podnózek pod stopami Pana. Ściemniało się. Świerszcze ukryte w trawie, ożywione chłodem wieczornym, wtórowały radosnym cykaniem śpiewom weselnych gości, którzy w skupieniu odprowadzali oblubienca do domu oblubienicy. A potem z domu oblubienicy ruszył pochód z tańcami, muzyką i pochodniami do domu narzeczonego, a wtedy jeszcze

radośniej cykały świerszcze w trawie i jeszcze radośniej zabrzmiały weselne pieśni weselników. I tutaj, w domu Efraima ben Jicchak, w izbach i na przestronnym dziedzińcu rozpoczęła się uczta weselna przy stołach obficie zastawionych mięsiwem, winami i różnego rodzaju słodkimi i słonymi przysmakami. Goście zajęli miejsca przy stołach, przy czym nie omieszkali przedtem dokonać obrzędu obmywania rąk wodą, którą służba, czerpiąc czerpakami z sześciu pękatek glinianych stągwi, stojących pod ścianami domu, wylewała na wyciągnięte dłonie biesiadników. Pochylili głowy i odmówili błogosławieństwo nad jadłem. I rozpoczęła się uczta. Sięgali rękami do wspólnych mis, ale spokojnie, nie łapczywie, z umiarem, bacząc pilnie, aby młodzież przy zabiegach o smaczne kąski nie uprzedzała starszych i aby zachowana była przy stole hierarchia wieku, wiedzy i urzędu. Jedli w milczeniu, tylko od czasu do czasu wymieniając zdania o świetnym jadle i doskonałych napojach, ale wypowiedzi swoje tak kształtowali, że były one przede wszystkim pochwałą wszechmocnego Stwórcy wszelkich darów, Elohim, Pana błogosławionych owoców nieba, ziemi i morza, przy czym postać Efraima pomniejszała się w ich wywodach do roli szlachetnego rządcy majątności Pańskiej. Więc jedli i pili, suto racząc się tłustymi potrawami i mocnym winem, sosami, mięsiwem, owocami i znowu winem, i dopiero gdy sobie podjedli i tego podpili, poczęli prowadzić ożywione rozmowy, w miarę głośne i w miarę ciche, poruszali trudne zagadnienia religijne i polityczne, spierali się o ludzi i sprawy, o zamiary i czyny, o tekst i komentarz, o Literę i Ducha, i milkli na chwilę, gdy młodzież popisywała się skokami, rzutem oszczepem i strzelaniem z łuku do tarczy. Wzdychali wówczas, kiwali głowami, jednogłośnie wyrażali podziw dla młodzieńczej zręczności i głęboki żal, że minął czas ich własnej sprawności, ich zgrabnego ciała, zwinnych skoków i bystrych oczu. Rozkładali bezradnie ręce i wracali do swoich dysput, radując się jasnością swoich umysłów, a wszyscy mężowie dojrzały i starsi wzajemnie wiedzieli o sobie, że ich żal, bezradność i zazdrość są tylko udane, bo nigdy by nie zamienili swojego mądrego i godnego wieku i głębokich doświadczeń na beztroskę nieopierzonych młodzieńców, rzucających oszczepem i skaczących przez powróż.

Rozpoczęły się śpiewy i tańce. Piszczął trzcinowy flet, słodko zawodziła cytra i dźwiękiem dzwonek zanosił się potrząsany sprawną ręką bębenek, a szafarz godów weselnych, mały, piegowaty wesolek, badchan Abimelech, ku ogólnej radości sypał jak z rękawa niezliczonymi dowcipami, przypowieściami i zagadkami. A niebo było jak aksamitny namiot nad ich głowami, a ziemia pod ich nogami jak kobierzec Salomonowy, i dobre były śpiewy i tańce, i dobra była muzyka, i dobre było jadlo, i dobre było wino, i dobrze było w sercach oblubieńców, i dobrze było w sercach dzieci

Izraela, albowiem był to trzeci dzień tygodnia, dzień szczęśliwy, jom haszliszi, a w trzecim dniu Stworzenia Pan dwukrotnie dał upust zadowoleniu z powodu piękna swojego dzieła i po dwakroć wypowiedział słowa: „było ono dobre”. I było dobre, i było nawet bardzo dobre, albowiem czy mogło dziać się źle dzieciom Izraela w trzecim dniu tygodnia, u bajom haszliszi?

Jezus podczas uczy siedział na dziedzińcu, na podwójnie złożonej macie – mimo gorących próśb Efraima nie chciał zająć miejsca za stołem, ponieważ lubił siedzieć na ziemi na podwiniętych nogach – a obok Niego siedzieli milczący Filip i zamyślony Nathanael. Ci dwaj uczniowie, przyzwyczajeni do postów i wstrzemięźliwości od mocnych napojów, z dużym zmieszaniem przyglądali się biesiadnikom, którzy zajadali smaczne potrawy, zalatujące ostrą wonią czosnku i cebuli, i popijali z powolnym smakoszostwem wyborne wino; potem udręczony wzrok przerwali na swojego Rabbiego, pragnąc odczytać z wyrazu Jego twarzy, jakie jest Jego mniemanie o ludziach oddających się wprawdzie z umiarem, ale mimo to z jawnym zadowoleniem tak wybornemu jedzeniu i picciu. Efraim sam przyniósł potrawy i wino i postawił je przed Jezusem, po czym zręczni i szybcy słudzy obsługiwali Jego dwóch uczniów, którzy patrząc pytająco na Rabbiego, nie śmieli tknąć mięsa ani wina. Jezus sięgnął ręką do miski. Jadł ze smakiem pieczoną na ogniu cielęcinę, polaną sosem, zaprawioną ostrymi korzeniami, a potem wziął kielich ze złotym winem, przyłożył go do ust i popił kilka łyków, a moc tego wina pochodzącego z latorośli Pańskiej rozweseliła Jego wnętrze i nappełniła je ciepłem. Dopiero wtedy Filip i Nathanael, naśladując Jezusa, również sięgnęli do miski, a potem z lękiem ujęli w drżące dłonie kubki i pili wino, i pomyśleli, że Johanan ben Zecharia, Niestrzyżony, z ogniem na głowie, nigdy nie pił wina i uprawiał nieustanne posty, ale skoro ich Rabbi pije wino i spożywa dary Boże, i to na godach weselnych, na pewno czyni dobrze, więc i oni pójdą śladem Jego dobrych uczynków, dostosują tryb swojego życia do Jego trybu i żyć będą według Jego życia. Jedli więc smaczne potrawy i pili wino, które rozweseliło i rozgrzało ich wnętrza, i byli szczęśliwi wielkim szczęściem z powodu swojej obecności u boku Jezusa.

Tymczasem dokoła Rabbiego poczęli się gromadzić galilejscy młodzieńcy. Na podwiniętych nogach usiedli na ziemi synowie Halfiego: chudy Jaakow o skupionej twarzy, Jehuda o czarnych, niewinnych oczach, zadzierzysty Symeon z nieodstępnym sztyletem za pasem (natchniony myślą mesjańską i gorącą wiarą w zwycięstwo Izraela nad Rzymianami, należał do stronnictwa gorliwców, których hasłem było: „Kto służy Rzymianom, uchybia Zakonowi Pańskiemu, tylko do Pana należy władza nad Izraelem i tylko Pan Zastępów wymagać może posłuszeństwa od swojego ludu”) – i ponury Josef, patrzący spode łba. Po chwili przysiadł się do nich

smutny Theom, bliźniak, niedowiarek, znany z tego, że nieustannie stawiał pytania, a potem podeszło jeszcze kilku młodzieńców z Kany i jakiś młodzieniec z Nazarethu, i jeszcze jeden z Bethsaidy znad Jam Kinereth. Usiedli dokoła Jezusa, albowiem ciekawi byli Jego sądów o różnych sprawach, które dręczyły ich serca. Ale nikt z nich nie śmiał przemówić pierwszy. Rabbi powiódł baczny wzrokiem po ich twarzach. Przyglądał się miłującym spojrzeniem naprzód wszystkim razem, a potem każdemu z osobna. Więc przyjrzał się Jehudzie o niewinnych oczach, potem zadzierzystemu Symeonowi, potem Bliźniakowi, potem wzrok Jego przeskoczył przez ponurego Josefa jak przez puste miejsce i ogarnął gromadę młodzieńców, i wreszcie spoczął na Jaakowie o skupionej twarzy, i tak długo na nim spoczywał, aż młodzieniec ośmielony wyborem – tak bowiem rozumiał spoczywające na nim spojrzenie Jezusa – pogładził swoje gładkie czoło i rzekł:

– Wielką jest dla nas radością, że nasz brat, Rabbi Jeszua ben Josef, przybył do Galilei i jest wśród nas, i razem z nami spożywa chleb, mięso i ryby, i gasi pragnienie naszym winem, błogosławionym darem Pana. Ale obecność Jego uszczęśliwia nas również dlatego, że pragniemy podzielić się z Nim naszymi troskami i kłopotami ducha, i prosić Go o odpowiedź i radę w sprawach, których sami z winy naszej nikłej wiedzy i oschłości ducha rozstrzygnąć nie umiemy, i tak żyjąc w niewiedzy i w nieumiejętności rozstrzygania często nie wiemy, co jest dobre, a co złe.

Tu Jaakow ben Halfi spojrział na Jezusa i na słuchaczy, a ponieważ wszyscy zgodnie potakiwali głowami na dowód, że znaleźli upodobanie w tym wstępie, tak dalej ciągnął:

– Nasz wielki mędrzec, Jeszua ben Sira, w zwojach swoich napisał te słowa: „Kiedy bogaty się potknie, przyjaciele go podeprą, kiedy biedny upadnie, nawet przyjaciele go odepchną. Gdy bogaty wpadnie w nieszczęście, wielu znajdzie się takich, którzy mu pomogą, gdy podle mówić będzie, jeszcze uniewinniać go będą, gdy natomiast biedny w nieszczęście wpadnie, będą go ganili, a gdy będzie mądrze mówić, nie znajdzie uznania. Gdy bogaty przemówi, wszyscy zamilkną i mowę jego będą wynosić pod obłoki, ale gdy biedny przemówi, spytają: Któż to taki? A gdy się potknie, całkiem go obalą”. Tak z bólem pisał nasz wielki mędrzec, Jeszua ben Sira, i gorzkimi słowami odmalował poniżenie ubóstwa i wywyższenie bogactwa, więc czytając te słowa, nie wiemy, czym jest naprawdę bogactwo i czym jest naprawdę ubóstwo, i jaki jest ich sens w życiu synów człowieczych. Więc niechaj nam powie nasz brat, Rabbi Jeszua ben Josef, który przebywał na pustyni, w szkole Elohim i w szkole samotności, czym jest ubóstwo, a czym jest bogactwo, czy ubóstwo jest karą i przekleństwem, a bogactwo nagrodą i błogosławieństwem. I czy biedak niżej postawiony jest poniżony, a bogacz wyżej postawiony jest podwyższony – tak mówił

i pytał Jaakow ben Halfi, chudy młodzieniec o skupionej twarzy, a słuchacze znowu potakiwali, a ten i ów głowę podparł dłońmi, a inny skubał z roztertaniem swą brodę, a wszyscy, zamienieni w czujny słuch, czekali na słowo Rabbiego.

Jezus począł mówić.

Mówił o ludziach ubogich, o anawim, o ubogich wyrobnikach rolnych, pracujących za dzienne wynagrodzenie, o wędrownych rzemieślnikach, zarabiających na chleb codzienny, o żebrakach, o kalekach, o ludziach bezdomnych, nie mających gdzie złożyć głowy na spoczynek, o trędowatych, o chorych, o wdowach i sierotach, o ciemnych am haarecach, głodnych Słowa Bożego, a odepchniętych z pogardą przez uczonych w Piśmie, talmidej hachamim, o jawnogrzesznicach, do których nikt ręki pomocnej nie chce wyciągnąć, i we współczujących słowach przedstawił ich los i udrękę, utrapienie i ucisk. Ale anawa, ubóstwo, oznacza nie tylko biedę i poniżenie, brak chleba i brak dachu nad głową, i brak wina na odmówienie błogosławieństwa nad kielichem w święto Szabatu, ale oznacza również czekanie biednych na dzień ocalenia według słów proroka Jesai, który w natchnieniu wołał: „Duch Jahwe, Pana, nade mną, bo Jahwe mnie namaścił i posłał mnie, bym głosił dobrą nowinę ubogim” – i dlatego anawa, święte słowo anawa, oznacza pobożne westchnienie poniżonych, gwałtowne poruszenie ich wnętrza, pokorę ducha i głośne wołanie z głębokości do Elohim. Ubóstwo jest wołaniem do Elohim, krzykiem ludzi, którzy odrzucili od siebie miłość złota, srebra i wszelkiego posiadania, którzy nawet pozostawili i ojca, i matkę i poszli za Panem, i nic nie posiadają, a całą ich majątnością jest tylko wieczny i wszechobecny Pan Mocy. Są to ubodzy Pana, którzy wzbudziwszy w sobie ducha świętości, Ruach Hakodesz, dla sprawiedliwości i pokory doznają poniżenia i krzywd, ale nigdy nikogo nie poniżają i nikogo nie krzywdzą, i każde doznane poniżenie, i każdą doznaną krzywdę ofiarowują Panu, i są mali przed Panem, przed sobą i przed ludźmi, i w tej małości odnajdują sens swojego życia. Więc błogosławieni są owi ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie, i Królestwo Niebieskie należy do anawim Jahwe – tu Jezus podniósł głos i rozłożył ręce – do anawim Jahwe, których Pan wybrał i dlatego są wybrani wybraństwem, a owi wybrani są prawdziwym Izraelem, najpiękniejszym gronem w winnicy Pańskiej. Ale wybranymi mogą być również i bogacze, i celnicy, i poborcy podatków, i oni na przekór swojej majątności mogą doznać łaski ubóstwa, i stać się ubogimi, ale pod warunkiem, że wzbudzą w sobie wewnętrzne poniżenie i pokorę i posiadają duszę człowieka ubogiego i cichego, i rozumieją marność skarbów ziemskich, które posiadają, i marność pychy, która ich rozdyma, i marność pożądlivości, która ich wypełnia, i marność nienawiści, która ich rozpała, i rozdada całą swoją majątność, i pójdą za

Panem. I gdy zrzucą z siebie bogactwo złota, bogactwo pychy, grzechu i nienawiści, i z własnej woli poniżą się przed Panem, i bez szemrania usłuchają Jego rozkazów, wtedy staną się ubogimi i ubóstwo spożywać będą jak chleb i pić jak wodę źródlaną. Dzięki temu samoponizowaniu zasiądą na tronie ubóstwa i będą Izraelem nad Izraelem – tu Jezus pochylił głowę i wypowiedział dwa wersety z psalmów – „albowiem Pan upodobał sobie lud swój i wieńczy wybraniem pokornych, anawim bijoszua...”, „a pokorni posiądą ziemię i radować się będą pełnią pokoju, al row szalom”.

Ten pokój, szalom, zabrzmiał w ustach Rabbiego jak gra na harfie i cytrze, na strunach i fletach, jak radosne dźwięki trąb i bębna. Radość tego słowa udzieliła się młodzieńcom słuchającym wywodów Jezusa, więc zerwali się z miejsca i podkasali tuniki, ujęli się za ręce i skocznym korowodem tańczyli dokoła Rabbiego, głowy odchyliwszy ku tyłowi, a nogi wysoko wyrzucając w górę. Nagle raptownym ruchem rąk rozerwali taneczne koło i każdy tańczył z osobna, ale mimo to stanowili niepodzielną całość i tańczyli zgodnie, i klaskali, i śpiewali, i przytupywali, i wielbili świętość Pokoju, śpiewali podniosłe i klaskali z zapalem, i przytupywali rytmicznie, śpiewem i klaskaniem przynaglając nogi do coraz szybszych ruchów. Zdyszani i zmęczeni opadli na ziemię. Teraz, gdy zapanowała cisza, Jezus – przez cały czas siedział na podwójnie złożonej macie – począł w prostych słowach malować przed oczami uwznioślonych tańcem słuchaczy postać Mesjasza, który jak wszyscy ubodzy, oczekujący Pana, będzie Mesjaszem ponizonym, Mesjaszem ubogim, cichym i pokornym. W tym sensie będzie jednym spośród tych, którzy na Niego czekają w ubóstwie, ciszy i ponizowaniu. Mesjasz jest Sługą. Jest Sługą Jahwe i Sługą ludzi. W swojej nieskończonej mocy jest najmniejszym z najmniejszych. W swojej nieskończonej chwale jest pośmiewiskiem możnych. W swojej nieskończonej mądrości jest pogardą wielu uczonych w Piśmie, a niektórzy z nich ujrzą w Nim nawet am haareca i znienawidzą Go jak am haareca, i wzruszać będą ramionami, słuchając Jego słów, i lekce sobie ważyć będą Jego wypowiedzi, a uczynią to dlatego, że samozwańczo uważają się za Izraela w Izraelu, za wybranych spośród wybranych, ale nimi nie są, gdyż nie ma w nich służebności uniżenia, pokory, i niskiego pochylenia głowy, tych warunków nieodzownych do otrzymania miana Izraela, uderzonego w staw biodrowy, Izraela kulejącego przed obliczem Pana, który jest silny.

Tak mówił Jezus, a niektórzy słuchacze siedzieli zaskoczeni, zbici z tropu, gdyż nie umieli pogodzić w swoich umysłach obrazu Mesjasza z obrazem am haareca, a jasność i radość, która była ich udziałem na początku mowy Rabbiego, teraz zamroczyła się nieprzeniknioną, grubą mgłą wątpliwości. Wprawdzie przyjmowali

bez zastrzeżeń wszystko, co mówił o anawim Jahwe, o Izraelu nad Izraelem, ale nie mogli przyklasnąć Jego wywodom o służebności Pomazańca, i nie pojmowali, dlaczego Ten, który jest królewskim Panem i ostatecznym Celem Izraela, ma być równocześnie Sługą człowieka, poniżonym i wzgardzonym. Niektórzy, żałując swojego przedwczesnego zapału, rozczarowani, bez słowa podnieśli się z ziemi i oddalili się, i mieszała z tłumem godujących weselników. Rzucili się w wir zabawy jak w orzeźwiająca kąpiel. Chcieli wymazać ze swojej pamięci obraz Mesjasza, pogardzanego przez talmidej hachamim, których obdarzali niekłamany szacunkiem i podziwem z powodu ich nieskazitelnego życia, wiedzy i mądrości.

Przy Jezusie pozostała nieliczna gromadka słuchaczy. Filip z Bethsaidy i Nathanael ben Tolmaj, i bracia Jaakow, Jehuda i Symeon, synowie Halfiego, i Theom, ale podczas gdy Filip i Nathanael siedzieli bez ruchu i z niezmaconym spokojem patrzyli przed siebie, Theoma Bliźniaka i synów Halfiego nękał dojmujący niepokój. Mrużyli oczy, nerwowo nawijali na wskazujący palec kosmyki włosów przy skroniach, dłonie zanurzali w rzadkich brodach i od nowa powtarzali w sobie całą wypowiedź Jezusa, i rozdmuchiwali w swoim wnętrzu coraz gorętszy żar, a Filip z Bethsaidy i Nathanael ben Tolmaj czuli wewnętrzne ciepło bijące od sąsiadów i radowali się z powodu tego ciepła, gdyż poznali, że jest ono tym samym ciepłem, które ich rozgrzało w dniu spotkania z Jezusem.

3

A tymczasem trwały gody weselne. Starsi prowadzili ożywione rozmowy, spierali się między sobą, ale ich spory nie mąciły radosnego nastroju – były one jak ostre korzenie w potrawie, więc tylko zaostrzały apetyt do dalszej wymiany zdań – młodzież bawiła się, tańczyła, śpiewała, opowiadała sobie zagadki i przypowieści. Tylko jeden człowiek nie podzielał ogólnej radości, a był nim szafarz godów, mały, piegowaty Abimelech – dozorował służby, bawił gości, pilnował porządku, uciszał młodzież i krążył po całym domu, mając oczy szeroko otwarte na wszystko, co się dzieje na dziedzińcu i w komnatach – albowiem nagle z przerażeniem stwierdził, że w piwnicach zabrakło wina. Zabrakło wina! Wina! Cóż za wstyd! Na weselu jedyne go syna Efraima, właściciela winnic, zabrakło wina! Szafarz struchlał i rumieńce wstydu wystąpiły mu na policzki, co miało ten dobry skutek, że niezliczone piegi na jego twarzy stały się mniej widoczne. Czy ma o tym nieszczęściu powiadomić Efraima ben Jicchak? Czy ma mu powiedzieć, że dozorca nad piwnicami kazał wynieść już ostatni wór wina? Czy ma zmartwić Efraima w tę uroczystą noc godów weselnych? Przecież Efraim nic nie pomoże. Jednak musi mu

powiedzieć. Musi go uprzedzić. Trudno. Pójdzie do niego. Ociągając się i zwlekając, bez pośpiechu – nigdy nie lubił być posłem złych wieści – poszedł szukać w tłumie swojego pana.

Właśnie Miriam wyszła z komnaty niewiast na dziedziniec. Powiew kołysał płomieniami, buchającymi z pochodni. Srebrne smugi smolnego dymu układały się w fantastyczne kształty i odpływały w zamyśloną ciemność nocy. Rozejrzała się wokoło. Pod ścianą stały puste stągwie na wodę do obrzędowych obmywań rąk. Opodal pod szerokimi koronami dwóch figowców wesoło bawiła się młodzież. Na środku dziedzińca przy stołach, wciąż jeszcze suto zastawionych, z głośną godnością rozprawiali starsi, a za nimi, w głębi, ujrzała siedzącego na ziemi swojego Syna w otoczeniu kilku krewnych i znajomych. Uradowała się Jego widokiem. Była szczęśliwa, że wysłuchał jej prośby i przybył znad świętej rzeki do Kany, a teraz jest w jej najbliższej bliskości, zaledwie w odległości kilkunastu kroków, i w każdej chwili może Go przywołać, podejść do Niego i pomówić z Nim. Widziała, jak przemawia, jak Jego wargi powoli się poruszają, jak dłoń Jego podnosi się i opada w doskonałej zgodności z ruchami Jego warg. Była zmęczona, oparła się o ścianę domu. Dwaj chłopcy strzelali z łuku do tarczy i zachęceni gromkimi okrzykami towarzyszy z uporem walczyli o zwycięstwo. Wtedy posłyszała tuż obok siebie słowa sługi, mówiącego szeptem do piwniczego: – Wypróżniłem ostatni bukłak. Więcej wina już nie ma. – Piwniczny rozłożył bezradnie ręce i począł oczami gorączkowo szukać Abimelecha. Miriam uśmiechnęła się smutnie. Napłynęły wspomnienia. Ujrzała młodego Josefa, pięknego Josefa w białej, lnianej tunice – niech pamięć jego będzie błogosławiona – i siebie w ślubnej sukni, baldachim nad głową i ubogą ucztę weselną, i przypomniała sobie swoje strapienie, gdy rozmowy i śpiewy biesiadników poczęły nacichać, bo zabrakło wina w dzbanach. Już, już chciała się zwrócić do Josefa z miłującym wyrzutem: – Wina nie mają, mężu – ale natychmiast uzmysłowiła sobie, że biednemu cieśli nie starczyło pieniędzy na kupno większej ilości błogosławionego napoju, więc zawstydzona milczała. I tak pozostał w niej ten milczący, nieporadny smutek, pozostały w niej te słowa nie wypowiedziane, i często je w myślach rozważała, a teraz, w jakże podobnych, ale równocześnie innych okolicznościach wróciły one do niej w blasku tego samego znaczenia, tylko jakby rozszerzone, pełniejsze. Czując w sobie ich obecność i nieprzepartą wolę ich wypowiedzenia – wtedy przecież, na swoim weselu, ich nie wypowiedziała – szła jakby we śnie przez rozświetlony pochodniami dziedziniec, minęła rozbawioną młodzież i stanęła przed Jezusem. Słowa wypłynęły z jej duszy do ust, z ust na wargi – jeszcze raz je rozważyła, jeszcze raz przemyślała je do głębi – i stwierdziwszy ich dojrzałość i pełnię, stosowność miejsca i czasu, ona, niewiasta cienia, zawsze

pozostająca w cieniu, przekroczyła jego granicę, stanęła w pełnym blasku płonących pochodni i wypowiedziała tak długo w milczeniu ukryte słowa; wypowiedziała je pełnym głosem, wypowiedziała, nie – powtórzyła słowa, których przed wielu, wielu laty nie wypowiedziała do biednego Josefa w noc swoich ubogich godów weselnych:

– Wina nie mają, Synu.

Jezus zmarszczył brwi. Podniósł się i postąpił kilka kroków w kierunku Miriam, jednak stojąca przed Nim Jego matka już nie była Miriam, Jego matką, lecz Niewiastą, haisza, źródłem początku, źródłem miłującym, rodzącym i pomnażającym cielesny i duchowy porządek świata, była macierzyńską, wszechobecną Obecnością Elohim, która unosiła się nad wodami w godzinie cudownego stworzenia świata. Teraz znowu uniosła się w Nim nad wodami i domagała się nowego cudu wody, a On, broniąc się przed nią, bronił się przed macierzyństwem swojej Obecności, bronił się na sposób ludzki, niezdarnie i bezskutecznie, a Jego Wszechmoc uśmiechała się do Jego Słabości, a Jego zdobywca i nieugięta Potęga do Jego Bezsilności, i Ten, który już dawno urzeczywistnił swój zamiar i wyznaczył jego urzeczywistnioną godzinę, bronił się przed nią i chciał ją odsunąć – w przeszłość? w przyszłość? – i pytał sam siebie w swej Wszechmocnej Bezsilności: Czego chce ode mnie ta Niewiasta? Czego chce ode mnie moja własna matczyzna Obecność, nagłaca mnie do wykonania wykonanego już działania? Czy ona wie, że wypowiedziane przez nią słowa są bezlitosnym sygnałem do rozpoczęcia mojego działania, które w świętej kolejności przemian zacznie się od przemiany wody w wino, a skończy się na przemianie wina w krew? – I patrząc w oczy swej matczynej Obecności rzekł słowami udręczonego człowieka, niecierpliwymi i gorzkimi, i błagalnymi, ale równocześnie bezradnymi, bo świadczyły o nieodwołalności wyroku, i na przekór przeczeniu zawierały potwierdzenie tego, czemu przeczyły, albowiem Elohim często potwierdza za pomocą przeczenia – jest to niedostępna i niepowtarzalna umiejętność Pana Mocy – czego dowodem są dzieje zbrojnego spotkania i walki Jaakowa z Panem, który potykając się z umiłowanym człowiekiem przeczył mu, a potem przeczyli sobie nawzajem, a potem Elohim musiał nawet uciec się do tak bolesnego przeczenia, jak cios wymierzony w staw biodrowy przeciwnika, wreszcie zaprzeczył jego imieniu, i wreszcie za pomocą tych wszystkich zaprzeczeń potwierdził wybraństwo Jicchakowego syna i jego plemienia, i przypieczętował je na wieki wieków nowo mu nadanym imieniem, Izrael. Jezus rozkrzyżował ręce i rzekł:

– Co mnie i tobie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja. Stali naprzeciw siebie twarzą w twarz. Jezus dobrze rozumiał ukryty zamiar swej matczynej Obecności, która za pomocą wina, tego symbolu Izraela, umiłowanego grona Pana,

chciała przynaglic swojego Syna – właściwie Syn sam siebie przynaglał, a odpowiedzią sobie udzieloną pragnął opóźnić to, co przynaglał – do szybkiego działania. Izrael był smutny, a mądry król Salomon wyraźnie pisał: „Daj wino tym, których serca są smutne”. Na godach weselnych zabrakło wina. Jak długo jeszcze będzie trwać smutek Izraela? Czy ma zatem znowu wznieść się nad wielkie wody stworzenia i krążyć nad wodami wiecznego życia, nad strumieniem płynącym ze środka Świątyni Pańskiej w Świętej Jerozolimie? Ujrzał przed swymi oczami Johanana ben Zebadia i Symeona ben Jona, i jego brata Andraja i pomyślał, że oni wszyscy są rybakami, ludźmi wody, żyjącymi nad wodą i żyjącymi z wody, obeznanymi z właściwościami wody i doświadczonymi w walce z wodą, a przecież człowiekiem wody jest również Johanana ben Zecharia, głoszący Słowo Pańskie nad wodami Jordanu i zanurzający pokutników w falach Jordanu, a chociaż jeden spośród ludzi wody wskazał na Niego palcem, jednak inni ludzie wody wciąż czekają nad Jam Kinereth, w Bethsaidzie i w Kfar Nahum na upragniony znak. Czy ma więc teraz wzburzyć wody, spiętrzyć je i uczynić je wodami wołającymi? Czy ma je przemienić w wino, w znak czasów wyznaczonych, aby Go wreszcie poznali, aby przejrżeli i poszli za Nim? Czy ta przemiana wystarczy, aby uwierzyli i usłuchali? Przywołał z pamięci z Księgi Szemot wersety o objawieniu się Jahwe w krzaku gorejącym i w znakach, które On uczynił przed przerażonymi oczami bosego Mojżesza. Jezus mówił we wnętrzu swoim: „Na to powiedział Mojżesz do Jahwe: – A jeżeli nie uwierzą i nie usłuchają słów moich, i mówić będą, że Jahwe nie ukazał mi się wcale? – Wówczas Jahwe zapytał go: – Co masz w twoim ręku? – Odpowiedział: – Laskę. – Wtedy rozkazał Jahwe: – Rzuć ją na ziemię. – A Mojżesz rzucił ją na ziemię i zamieniła się w węża. Mojżesz zaś uciekał przed nim. Jahwe powiedział wtedy do Mojżesza: – Wyciągnij rękę swoją i chwyc go za ogon. – I wyciągnął Mojżesz swą rękę i chwycił węża, a wąż stał się znów laską w jego ręku. A na to Jahwe: – Tak uczyn, aby uwierzyli, że ukazał się tobie Jahwe, ich Bóg, Bóg Abrahama, Bóg Jicchaka, Bóg Jaakowa. – Ponownie rzekł doń Jahwe: – Włóż rękę w zanadrze. – Mojżesz włożył rękę w zanadrze, a gdy ją wyjął, była pokryta trądem, białym jak śnieg. I Jahwe rzekł znowu: – Włóż rękę w zanadrze. – I włożył ją Mojżesz ponownie w zanadrze, a gdy ją po chwili wyciągnął, była taka jak reszta ciała. A wtedy rzekł Jahwe: – Tak tedy, jeżeli nie uwierzą i nie przyjmą świadectwa pierwszego znaku, uwierzą świadectwu drugiego znaku. A gdyby nawet nie uwierzyli tym dwom znakom i nie zważali na mowę twoją, wówczas zaczerpniesz wody z Nilu i wylejesz na suchą ziemię, a woda zaczerpnięta z Nilu stanie się krwią na ziemi”.

Jezus trwał w nieskończonej mądrości Pana, który znając wątpiącą, podejrzliwą

i skażoną naturę człowieka, nakazał Mojżeszowi, na dowód jego proroczego wybraństwa i prawego posłannictwa, dokonać dwóch cudów przed oczami ludzi, cudu przemiany – cud przemienionej laski był w swojej istocie identyczny z cudem wody przemienionej w krew – i cudu uzdrowienia, i natychmiast unaoczniał je drżącemu prorokowi dla umocnienia jego woli i zwielokrotnienia jego pewności. Te dwa cudy były całkowicie od siebie odmienne. Podczas gdy cud przemiany był niejako cudem olśnienia Wszechmocą Bożą – tylko olśnienia – cud uzdrowienia był cudem miłosierdzia i współczucia dla niedoli człowieka, powalonego ciężką chorobą. Rysy twarzy Jezusa skamieniały, prostopadła zmarszczka między brwiami pogłębiła się i stała się podobna groźnej rozpadlinie, usta kurczowo się zacisnęły i tylko czarne oczy zachowały swoją ognistą, płynną żywość. Będzie musiał teraz przed oczami ludzi dokonać cudu przemiany, a potem, po upływie pewnego czasu, jutro, pojutrze, a może za miesiąc, dokona cudu przywróconego zdrowia, i dopiero wtedy, dopiero wtedy, po drugim cudzie, pójdą za Nim ludzie wody, rybacy znad Jam Kinereth, i nigdy Go już nie opuszczą. Spojrzał ku ścianie, gdzie stały puste stągwie. Miriam szła ku domowi, za nią postępował Jezus wśród rozprawiających biesiadników – Jego uczniowie i słuchacze pogrążeni w głębokim rozmyślaniu nieświadomi byli tego, co się dzieje między Nim a matką – i zbliżywszy się do piwnicznego, który wciąż czekał na Abimelecha, przystanął, a wtedy Miriam rzekła do sługi:

- Uczyńcie, cokolwiek wam powie.
- Napelnijcie stągwie wodą – rzekł Jezus.

Służący i piwniczny przynieśli w dzbanach wodę i spełnili polecenie Rabbiego.

W Jezusie nadciągała burza. Leciał przez huczącą ulewę, grzmoty i błyskawice. Nie były to jednak ani grzmoty, ani błyskawice, ani lot, ani ulewa. W niewymiernej przestrzeni dokonywało się wśród wstrząsów i wybuchów wyładowanie niepojętych i nieokreślonych żywiołów, zespolenie barw, światła i głosów, tak z sobą sprzęgniętych i wymieszanych, że głosy przemawiały natężeniem oślepiającego światła, a barwy wysokością głosu. Wartości scalały się, dzieliły, rozszczepiały, rozszczepione znowu scalały się, scalone znów dzieliły, tworząc z kolei nieskończoną hierarchię nowych wartości, wymykających się spod ludzkich określeń i ludzkiego poznania. W tej magmie żywiołów w kształcie olbrzymiego drzewa, o ognistej koronie buchającej płomieniami i dymem, zarysowała się postać Jezusa – może nie tyle Jezusa, ile raczej Jego Podobieństwa – który spieszył się, bardzo się spieszył, żeby tylko mógł zdążyć w porę, przed wschodem jutrzeńki – Jezus pamiętał, jak ongi Elohim błagał Jaakowa przytrzymującego Go za bary, aby Mu pozwolił oddalić się przed świtem, ale ten błogosławiony i czupurny zuchwalec nie chciał usłuchać Jego głosu – żeby tylko mógł przybyć na oznaczoną godzinę, nigdy

nie opóźnioną i nigdy przedwczesną. Tchnienie Jego wzniosło się ponad wody żywe i wzburzone i krążyło nad nimi, i ocieniało je swoim cieniem, a cień stawał się coraz cieniwszy, ciemniejszy, nieomal czarnogranatowy, aż wreszcie w tę godzinę przeistoczenia całkowicie objął i ocienił wodę, która natychmiast przestała być wodą.

Jezus rzekł do piwniczego i sług:

– Zaczepnijcie ze stągwi i zanieście szafarzowi godów weselnych.

A oni, uradowani, że poważny i powszechnie szanowany Rabbi zamierza zadrwić sobie z piegowatego Abimelecha – służba zawsze lubi natrząsać się ze swoich panów, zwłaszcza gdy nie bierze na siebie odpowiedzialności za szyderstwo – natychmiast wykonali polecenie Jezusa i napełniwszy dzbany, i wziawszy z sobą kubki i kielichy, ruszyli do Abimelecha, który właśnie cichym, zbolałym głosem zawiadomił Efraima o nieszczęściu, jakie się przydarzyło: o braku wina. Piwniczy i słudzy, zbliżywszy się, nisko się pokłonili; z głupia frant naleli z pojemnego dzbana do kielichów i podali je swojemu panu i zdziwionemu szafarzowi wesela. Efraim i Abimelech pili chciwie, ale powoli i kiwali z zadowoleniem głowami. A Efraim, pijąc, rzekł do Abimelecha:

– Zakpiłeś ze mnie.

A na to Abimelech, dłonią wycierając szczeciniaste, rude wąsy, odparł z wyrzutem:

– To raczej mój pan, dostojny Efraim ben Jicchak, zakpił ze swojego sługi. Albowiem nie tylko ukrył wino przed baczynym okiem szafarza, który zatrwożył się ujrzawszy puste wory w piwnicy, ale ukrył wino najlepsze. Każdy człowiek najpierw podaje dobre wino, a gdy goście sobie podpiją, wtedy gorsze, a mój pan najlepsze wino na ostatek zachował.

To powiedziawszy, zganił piwniczego:

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o ukrytych zapasach wina? Dlaczego zatrwożyłaś moje serce?

Utkwił zły wzrok w piwnicznym, a potem spojrzał ponuro na Efraima, który zmrużywszy oczy, z rosnącą uwagą wciąż smakował wino. Czuł jego miękką, gładką moc na języku i na podniebieniu. Było ożywiające, ale nie odurzające. Poruszało wnętrze, rozpalało je delikatnym ciepłem, ale nie wzburzało krwi i nie podniecało gorączkowym ogniem. Jego aromatyczna, dostała słodycz, nieco stłumiona domieszką gorzkiego korzenia – Efraim wszystkie te właściwości czuł na swoim podniebieniu, którego wybredne smakoszostwo nigdy go dotychczas nie zawiodło – napełniała serce kojącym, łagodnym podnieceniem, pokrzepiającą pociechą, nadzieją. Takiego smaku nie miało żadne wino z jego winnic.

Piwniczy, sądząc, że Efraim ben Jicchak i szafarz Abimelech pod działaniem zbyt

wielkiej ilości wypitych mocnych i rozgrzewających napojów nie umieją już odróżnić wina od wody, ochoczo napełnił swój kubek i dla własnej uciechy i spotęgowania ogólnej wesołości nachylił go do ust, ale zaledwie przełknął pierwszy łyk, zbladł i odjąwszy kubek od drżących warg szepnął z lękiem:

– To jest naprawdę wino. Prawdziwe wino.

Wciąż jeszcze nie dowierzając swojemu smakowi i powonieniu, powtórnie nachylił kubek do ust i znów pociągnął łyk wina, i próbował go czułym językiem i delikatnym, nieomylnym podniebieniem doświadczonego znawcy win.

A Efraim ben Jicchak, odjąwszy kielich od ust, rzekł z namysłem:

– To wino nie pochodzi z mojej winnicy. Zwracając się do piwniczego, spytał:

– Skąd je wzięłeś?

Piwniczny znów pociągnął łyk, ale tym razem z wielkim trudem go przełknął, gdyż przeląkł się, że pijąc ten napój, pije świętość, której jest niegodny, więc resztę zawartości kubka wlał pospiesznie, ale z nabożnym szacunkiem do dzbana i odrzuciwszy na bok kubek, podniósł obie ręce, i krzyknął wielkim głosem:

– Słuchaj, ludu Izraela! Słuchajcie, dzieci Izraela! Cud! Cud! Cud!

Zrobił się wielki ścisk dokoła piwniczego, Efraima i Abimelecha. Zbiegli się wszyscy goście, zbiegli się krewni Jezusa i Jego uczniowie, i ich rodziny, i rodzina oblubienicy, i rodzina oblubieńca, i wybiegły niewiasty, biesiadujące w osobnej komnacie, i wybiegli goście, biesiadujący wewnątrz domu, i wszyscy kosztowali wina. Smakowali je Filip z Bethsaidy i Nathanael ben Tolmaj, i Jaakow ben Halfi, i bracia jego, Jehuda i Symeon gorliwiec, i Josef, kosztował bliźniak Theom, i kosztował wuj, stary Halfi, i jego żona Miriam, i drwal, i jego synowie. A piwniczny i służący, położywszy dłonie pod biodra, opowiadali zdumionym gościom – jedni natychmiast uwierzyli, inni słuchali z dobrotliwą nieufnością, a niektórzy z drwiną lub uśmiechem politowania – o tym wszystkim, co tutaj zaszło i przysięgali na Elohim i na proroków, i na życie rodziców, i na swe życie przyszłe, że na polecenie Jezusa własnoręcznie napełnili sześć stągwi zwyczajną wodą, wodą źródlaną, czerpaną ze studni, a w całym domu i w piwnicach – co goście mogą natychmiast stwierdzić – nie ma w bukłakach ani jednej kropli wina, ani jednej kropli, a mówiąc to, znowu kładli dłonie pod biodra na znak uroczystej przysięgi i na dowód prawdy wypowiedzianych słów.

Na dziedzińcu wrzało. Ludzie – zarówno ci, którzy natychmiast uwierzyli w cud, jak i ci, którzy nie dali mu wiary – rozgorączkowani i podnieceni opowiadaniem służących, zarzucali ich mnóstwem pytań, a każda odpowiedź wywoływała istną zamieć nowych pytań.

– Gdzie jest Rabbi Jezua ben Josef?! – krzyknął Efraim.

Nie mogli Go nigdzie znaleźć. Jego nieobecność jeszcze bardziej podnieciła ich gwałtowne wzburzenie. Nie wiedzieli, jak sobie wytłumaczyć całe zdarzenie – od szczęśliwych czasów Hasmonejczyków żaden cud nie zdarzył się w Izraelu – ale czując, że byli świadkami osobliwego wypadku, w którym na pewno uczestniczył Elohim, poczęli śpiewać na chwałę Pana. Śpiewali nawet ci, którzy wątpili o cudzie. Ulękli się bowiem swojego niedowiarstwa i gniewu Pana i woleli na wszelki wypadek wielbić Go niż milczeniem wyodrębnić się spośród chóru wielbiących.

Świtało.

A potem znowu szukali Jezusa. Ale go nie znaleźli.

Imię

Symeon ben Jona i brat jego Andraj, Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow pierwsi spośród mieszkańców wybrzeża Jeziora Galilejskiego dowiedzieli się o cudzie dokonanym przez Jezusa w Kanie. Wieść ta dotarła do nich nad brzegiem Jam Kinereth, gdy po powrocie ze wspólnego połowu, utrudzeni, wyciągnęli się na wznak na brzegu, na piasku, i wpatrzni w niebo rozmyślali o rybach, którymi Pan w swej niezmierzonej szczodrobliwości tak obficie tym razem wypełnił ich sieci. Przejeżdżający opodal na osłach kupcy – powracali z Galilei do Damaszku – widząc rybaków, wypoczywających na brzegu jeziora, zatrzymali się, pozdrowili ich Imieniem Pańskim, przysiedli się do nich i bez wstępów, których wymagała grzeczność obowiązująca ludzi dobrze wychowanych, poczęli gorączkowo, bez ładu i składu, opowiadać o cudzie w Kanie Galilejskiej podczas godów weselnych Jony, syna Efraima ben Jicchak. Krzyczeli, przerywali sobie wzajemnie, zdanie ledwo do końca dopowiedziane przez jednego już drugi skwapliwie objaśniał, a na to objaśnienie czyhał trzeci kupiec, który rzucał się na nie jak głodna rybitwa na rybę. I na pewno nasi rybacy nic by z tego wszystkiego nie zrozumieli, gdyby nie jeden z kupców, starzec o siwej brodzie i spokojnym spojrzeniu, który surowym głosem skarciwszy opowiadających, nakazał im milczenie i sam za pomocą schludnie zbudowanych zdań i umiejętnie dobieranych słów, stosownych do powagi treści, opowiedział rybakom historię cudownego zdarzenia. Rybacy byli z początku tym wszystkim, co usłyszeli, zaskoczeni i oszołomieni, ale szybko otrząsnęli się z pierwszego wrażenia, wypytywali kupców o szczegóły, stawiali im drobiazgowo pytania i wymagali dokładnych odpowiedzi. Ponieważ okazało się, że tylko starzec, dobry znajomy Efraima, zaproszony był przez niego na gody i on jeden spośród kupców był naocznym świadkiem cudu, na jego wypowiedziach skupiła się cała uwaga rybaków, którzy nieubłagani w dociekliwości, zaskakiwali sędziwego kupca

coraz to nowymi pytaniami, aż wreszcie dzięki jego niezwykle dokładnym odpowiedziom stworzyli sobie pełny obraz zdarzenia. Wtedy Symeon ben Jona podniósł dłoń, a gdy zapadło milczenie, rzekł, zwracając się do starca:

– A teraz skoro już wiemy, co się wydarzyło na chwałę Pana w Kanie, a tę naszą wiedzę zawdzięczamy twojej mądrej spostrzegawczości, która pozwoliła nam śledzić całe zdarzenie z taką dokładnością, jak byśmy sami w nim uczestniczyli, powiedz nam – tu lekko pochylił głowę – prawdomówny starcze, jakie jest imię owego cudotwórcy.

A starzec, odpowiadając, rzekł:

– Ów mąż zwie się Jezua ben Josef z Nazarethu.

Zapanowało głucho milczenie. Milczeli kupcy, milczeli rybacy, milczały owce wypasające się opodal, milczały ptaki na drzewach, umilkł nawet szum fal w Jam Kinereth i tylko brzmiało w powietrzu echo słów wypowiedzianych przez starca.

– Gdzie jest teraz Jezua ben Josef? – spytał nieswoim głosem Johanan ben Zebadia.

– Przebywa w Kanie. Ukrywa się pod stróżującym okiem Efraima, w domu jego, przed natrętną ciekawością mieszkańców – odrzekł starzec.

Rybacy podnieśli się z ziemi, za nimi podnieśli się kupcy, a Symeon ben Jona w krótkich słowach, wypowiedzianych serdecznym, ale zdławionym głosem, podziękował starcowi za udzieloną im wiadomość. Kupcy na wypoczętych osłach ruszyli na północ, a rybacy, zawstydzeni, bez słowa wsiedli do łodzi i odплыnęli do domów, Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow do Bethsaidy, a Symeon ben Jona i jego brat Andraj do Kfar Nahum. I znów panowało wkoło milczenie, albowiem milczeli rybacy w swoich łodziach i milczały ryby leżące w sieciach na dnie łodzi, i milczały fale Jam Kinereth.

Po powrocie do swoich domów, wyładowaniu połowu i przebraniu ryb udali się na spoczynek i każdy z synów Zebadii i Jony z osobna – ci w Bethsaidzie, tamci w Kfar Nahum – roztrząsali, słowo po słowie, sprawozdanie siwego kupca i tak długo je sobie wyobrażali, aż własnymi oczami ujrzeli gody w Kanie i własnym podniebieniem smakowali wodę przemienioną w wino. A im bardziej w swoich wyobrażeniach i myślach zbliżali się do Jezusa i żyli już prawie w Jego cielesnym sąsiedztwie, tym wyraziściej czuli odległość dzielącą ich od Rabbiego, odległość wypełnioną przymusowym czekaniem, której nie mogli własną wolą zapełnić ani przemierzyć, ani skrócić. A może mimo wszystko powinni iść teraz do Kany? Natychmiast, nie czekając na żadne dalsze znaki? Gryzło ich sumienie, że jeszcze na pustyni nie poszli za Rabbim. Ale to samo gryzące sumienie uspokajało ich, łagodziło ich wzburzenie, pocieszało i mówiło im, że nie mogą i nie mogli inaczej

uczynić, niż czynią i czynili, bo dzięki ich niezrozumiałemu zwlekaniu i nierozumnemu czekaniu musi się jeszcze dokonać jakieś dzieło, biorące swój początek u samych źródeł objawionych dziejów, i dopiero gdy ono się spełni, przejdą po nim jak po bezpiecznej drodze na stronę Jezusa. Jakie to będzie dzieło? Kiedy się dokona? Nie wiedzieli. Związani owym zwlekaniem i czekaniem jak konopnymi powrozami, zwlekali i czekali, i zwlekając i czekając rozpytywali ludzi przybywających z Kany o cudowne zdarzenie, a każde z opowiadań potwierdzało ścisłość opowiadania, które słyszeli nad brzegami Jam Kinereth z ust sędziego kupca.

Był piękny, wiosenny Szabat – każdy Szabat jest piękny i wiosenny, niezależnie od tego, czy są to Szabaty wiosenne, letnie, jesienne czy zimowe – w powietrzu pachniało świeżymi ziołami, a dusze były radosne, albowiem Izrael rozmiłował się w siódmym dniu stworzenia, witał go zawsze podniosłym śpiewem i modlitwami i równie radośnie go żegnał, gdyż w świadomości dzieci tej ziemi miniony Szabat nie mija, ale tylko odpływa w przyszłość i znów za sześć dni zjawi się ten sam w całej swojej królewskiej krasie, opromienionej światłem lamp oliwnych, płonących we wszystkich domach Ziemi Świętej.

W synagodze w Kfar Nahum Symeon ben Jona i jego brat Andraj, owinięci w chusty modlitewne, zmalowali Szema i Szemone Esre i wielkimi słowami wielbili Pana, który czuwał w zwojach Pisma Świętego, w świętej arce, i z jawnym zadowoleniem słuchał modlitw swojego ludu. Symeon ben Jona modlił się żarliwie. Słowa swojego błagania wypowiadał śpiewnie i miękko, wypieszczał je głosem, nadawał im skrzydlatą lotność i zamieniał je w miękkie, puszyste posłanie dla Elohim, który wygodnie wypoczywał w jego modlitwie, a im śpiewniejsza ona była, tym pełniejszy był odpoczynek Pana.

Chazan otworzył świętą arkę i głośno odmówił błogosławieństwo, a zgromadzenie przypieczętowało je chóralnym „amen”. Z pobożną ostrożnością wyjął zwój Pisma Świętego i podał go dworzaninowi królewskiemu, który przycisnąwszy go do piersi, wszedł na bimah w otoczeniu sześciu dostojnych mężów miasta. Chazan zdjął ze zwoju srebrną koronę i jedwabną tkaninę i sprawnie rozwinął Pismo Święte na pulpicie. A na Szabat ten przypadły rozdziały z Księgi Szemot, z Księgi Wyjścia, opowiadające o tym, co się przydarzyło na pustyni Rafidim, gdy lud nie miał wody do picia.

„I kłócił się lud z Mojżeszem – czytał powoli dworzanin królewski – mówiąc do niego: Daj nam wody, abyśmy pili. Odpowiedział im Mojżesz: Co się kłóćcie ze mną? Dlaczego kusicie Pana? I pragnął tam lud dla niedostatku wody, i szemrał przeciw Mojżeszowi, mówiąc: Czy po to nas wywiodłeś z Micraim, aby nas i dzieci

nasze, i bydló przyprawić o śmierć z pragnienia? I wołał Mojżesz do Pana, mówiąc: Cóż mam uczynić ludowi temu? Jeszcze maluczko, a ukamienują mnie! I rzekł Pan do Mojżesza: Idź przed ludem, a weź z sobą kilku starszych spośród Izraela. Weź w rękę twoją laskę, którą uderzyłeś Nil, i idź. Oto Ja stanę tam przed tobą, na skale Horeb. I uderzysz w skałę, a wypłynie z niej woda i lud zaspokoi swoje pragnienie. Uczynił tak Mojżesz przed starszymi Izraela i nazwał owo miejsce Kuszenie i Doświadczenie, albowiem tutaj kłócili się synowie izraelscy i kusili Pana, mówiąc: Czy jest Pan między nami, czy nie?"

Tłumacz szybko przełożył odczytane wersety na język aramejski, po czym dworzaniin wyprostował się i zaczął mówić powoli, z trudem i oporem, ważył każde słowo, a niekiedy słowo już wypowiedziane po krótkim namyśle zastępował innym. Jasne było, że nie chodzi mu o nadanie pięknego kształtu swoim wypowiedziom, lecz o ścisłe wyrażenie myśli, nawet kosztem melodyjnie brzmiącego zdania. W przeciwieństwie do wielu komentatorów, którzy wbrew zasadom o proporcji i konstrukcji gromadzili w jednym kazaniu wiele zagadnień i muskając je tylko po powierzchni, żadnego nie pogłębiali i nie wyczerpywali, i wskutek tego pozostawili dojmujący niedosyt w sercach słuchaczy, dworzaniin kazanie swoje poświęcił jednemu tematowi, a była nim sprawa kamienia, skały. Zaraz na samym wstępie zaznaczył, że będzie mówił o kamieniu, o skale jako o pojęciu symbolicznym, albowiem wprawdzie Mojżesz z woli Pana z prawdziwej skały wydobyl prawdziwą wodę za pomocą uderzenia laską, jednak w zdarzeniu tym, jak w każdym prawdziwym zdarzeniu, należy się dopatrzeć myśli utajonej, nauki ukrytej, którą Pan ku rozwadze przekazał swojemu ludowi, bo przecież nikt nie przypuszcza – tak mówił dworzaniin – że Elohim za pośrednictwem Mojżesza tylko po to ten cud uczynił, aby spragniony i szemrający Izrael ugasił swoje pragnienie i uciszył swoje swarliwe szemranie! Tak! Miłosierny Pan niewątpliwie wejrzał współczującym sercem na lud i napełnił go wodą ze skały, ale ta skała przeobraziła się natychmiast pod uderzeniem laski w świętą naukę, w nieodwołalny wyrok. Skała jest pojęciem szerokim, wieloznacznym i wyraża myśli i stany nawzajem się wyłączające. Serce ludzkie może być nieczułe i twarde jak skała, a wtedy skała może być synonimem zła i bezbożności, ale również może wyrażać niezłomność, wytrwałość, niespożytość, godny naśladowania i podziwu upór i wtedy staje się synonimem dobra i bogobojności, a ponieważ owa pustynna skała, z której wytrysnął źródło wody żywej, była skałą dobroczynną, będę mówił – tak wywodził dworzaniin – o skale dobrej i niezachwianej. Przede wszystkim skała wyobraża podstawę, nienaruszoną opokę, na której wspiera się równowaga świata i dzieci czlowiecznych. A kim jest Ten, na którym wspiera się cały świat, niebiosa, ziemia i żywot dzieci czlowiecznych? – tu

dworzanin zrobił krótką przerwę i po chwili ciągnął dalej: – Jeden ze starych midraszów opowiada, że Skała jest tajemniczym Imieniem Pana, a Imię to może być nawet głośno wypowiedziane w zastępstwie Najświętszego Imienia Bożego, albowiem kamień jest podstawą dzieła stworzenia i wszystko, co na ziemi istnieje, spoczywa na niezachwianym kamieniu, a bez tego kamienia nic istnieć nie może...

Symeonowi ben Jona pociemniało w oczach. Nogi się pod nim ugięły. Zlany potem, chyłkiem wymknął się z synagogi. Posłyszał za sobą kroki i wołanie:

– Symeonie!

Odwrócił się. Przed nim stał Andraj.

– Co się stało bratu mojemu?

– Nic – odparł Symeon ben Jona. – Niech mój brat wróci do synagogi. Pragnę być sam.

Andraj o nic nie pytał. Stał i patrzył za Symeonem, który oddalał się w kierunku jeziora.

Biały płat płótna naciągnął na ciemne czoło, ręce skrzyżował na piersiach i szedł przed siebie zielonym brzegiem Jam Kinereth, pogrążony w myślach. W uszach słyszał matowy głos Jezusa: – Zwać się będziesz Kefas. – Dopiero teraz zrozumiał sens nadanego mu przez Jezusa nowego imienia, którego treści dotychczas nie pojmował i przed którym tak gwałtownie się bronił! Przystanął. Nie byłby Symeonem ben Jona, gdyby natychmiast nie cofnął się przed tym, co pomyślał. Czyżby Jezus nadał mu nowe imię na znak namaszczenia? Namaszczenia? Jakiej godności ma dostąpić? Kiedy? Skąd ta niepokorna myśl o namaszczeniu? Kto na nim, nędznym rybaku z Kfar Nahum, ma się oprzeć i co na nim, marnym prochu, ma być zbudowane? On, on, nędzary przed Panem, spróchniała gałąź, tchnienie wiatru, pył bezużyteczny, ma być skałą? Jak próchno może być skałą? Jak tchnienie może być skałą? Jak może być skałą marny proch? Symeon ben Jona zaniósłby się śmiechem, gdyby nie trwoga przed imieniem, które poczęło nad nim ciążyć jak – kamień! Ugiął się pod jego ciężarem. Zmęczony usiadł pod drzewem migdałowym i dokładnie, już nie wiadomo po raz który, wspominał spotkanie z Jezusem nad Jordanem, a potem swój powrót do Galilei, rozmowy z Andrajem i rozmowy z Johananem ben Zebadia, i bratem jego Jaakowem – po powrocie opowiedzieli mu wszystko, co przeżywali nad brodem świętej rzeki – i spotkanie z kupcami, opowieść starca o cudzie na godach weselnych, a na koniec kazanie dworzanina, owo źródło wzniosłego utrapienia, które teraz przeżywa. Doszedł do kojącego przekonania, że ponieważ jest prochem, powinien pokornie poddać się woli Pana i jeżeli Pan chce, aby proch był skałą, to nędza, służebny proch – tu głęboko westchnął – będzie skałą.

Przesiedział nad jeziorem do wieczora.

Słońce zachodziło za daleką górę Tabor. Po przeciwnej stronie na ośnieżonym szczycie Hermonu zapaliła się zorza wieczorna. Szabat odpływał w przyszłość. Przezroczysta woda stawała się teraz zielona i upodabniała się do nadbrzeżnych łąk. Przez lekką mgłę prześwitywały zarysy Tyberiady, przekłętego dzieła Heroda Antypasa, miasta pogańskiego, zbudowanego na cmentarzach. Rybak, jak przystało na bogobojnego syna Izraela, dla którego całe życie od niepamiętnych pokoleń było jednym wielkim dziękczynnym nabożeństwem, podziękował Panu za to, że go nie stworzył poganinem.

I ruszył z powrotem do miasta wśród szybko zapadających ciemności.

Miasto wody

Zbliżał się Pesach. Ponieważ Jezus zamierzał spędzić te święta, jak co roku, na modłach w Świątyni Pańskiej w Jerozolimie, opuścił wczesnym rankiem gościnny dom Efraima w Kanie Galilejskiej, i wraz z Miriam, uczniami: Filipem z Bethsaidy, Nathanaelem ben Tolmaj, bliźniakiem Theomem, Jaakowem ben Halfi i jego braćmi, Jehudą i Symeonem gorliwcem, wyruszył do Świętego Miasta, ale nie prostą drogą na południe, lecz dookolną przez Kfar Nahum, gdzie zamierzał zatrzymać się przez kilka dni. Szli powoli, bez zbytniego pośpiechu, często wypoczywając. Pod wieczór dotarli do jeziora, przespali się nad brzegiem, a rano ruszyli dalej. Ani Miriam, ani uczniowie nie zapytali Jezusa, po co przybyli nad Jam Kinereth, do krainy zamieszkałej przez rybaków, ludzi wody.

Kfar Nahum, miasto położone nad brzegiem jeziora, niedaleko ujścia Jordanu, w najbliższym sąsiedztwie Bethsaidy, na granicy Galilei, tetrarchii Heroda Antypasa, i Gaulanitis, tetrarchii Filipa, było ważnym portem rybackim i miejscem ożywionego handlu, i nie mniej ożywionego przemytu. Do miłych osobliwości miasta należała nowa synagoga, do osobliwości zaś mniej miłych – znienawidzona przez lud komora celna i załoga wojskowa, składająca się z pogańskich żołnierzy. Było to miasto ruchliwe i gwarne, miasto rybaków, kupców, poborców i urzędników celnych, bogaczy i nędzarzy, pobożnych faryzeuszów i portowych ladacznic, a przede wszystkim miejsce cotygodniowych rojnych targów, w których uczestniczyli miejscowi rybacy, znani z umiejętności suszenia ryb, i kupcy przybyli z tkaninami z północy, zwłaszcza z Damaszku, i handlarze pszenicy i owoców, korzeni, soli, pachnideł, amuletów, skór, kości słoniowej, tkacze kobierców i namiotów. Osobliwość środowiska potęgowała obecność w mieście szerokobarczystych Galów i płowych Germanów, którzy stanowili trzon załogi wojskowej, pilnującej ładu i porządku w nadgranicznym obszarze, zamieszkałym przez zadzierzystych

Galilejczyków, zawsze gotowych do burd, oporu i walki z urzędnikami tetrarchy.

Po co Jezus w drodze do Jerozolimy przybył na kilka dni do Kfar Nahum, skoro mógł bez nakładania drogi udać się z Kany bezpośrednio na południe szlakiem, którym wielokrotnie pielgrzymował? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, zwłaszcza że Ewangelie, poza suchą i skąpą wzmianką, nie wspominają nic o pobycie Rabbiego w tym mieście. Przybył, zatrzymał się na krótko i wyruszył do Jerozolimy. Niekiedy usiłujemy za pomocą Prawdopodobieństwa, tego pokornego, lecz dociekliwego sługi Prawdy, odczytać fragmenty życia Jezusa, które czas, nie zawsze nam życzliwy, zataił lub ukrył przed naszym okiem, spragnionym pełniejszego widzenia ludzi i zjawisk, towarzyszących ziemskiej wędrówce Syna Człowieczego. Otóż spośród wielu prawdopodobnych możliwości najprawdopodobniejsze wydaje nam się przypuszczenie, że Jezus nałożył drogi i przybył do Kfar Nahum, do miasta synów Jony – leżało ono, jak już wspomnieliśmy, w najbliższym sąsiedztwie Bethsaidy Galilejskiej, miasta synów Zebadii – aby poznać krainę swoich odległych i unikających Go nie-uczniów, żyjących nad wodą i żyjących z wody. Wprawdzie znał Jezioro Galilejskie i jego brzegi, ale tym razem chciał spojrzeć na nie oczami czterech rybaków, poznać je ich poznanie, doświadczyć ich doświadczeniem i zrozumieć ich rozumieniem. Czy spotkał tam Symeona ben Jona i jego brata Andraja? A może po drodze widział się w Bethsaidzie z Johananem ben Zebadia i jego bratem Jaakowem? Wszystko przemawia za tym, że w owym czasie nie widział się z nimi ani w Kfar Nahum, ani w Bethsaidzie, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa byli oni już w drodze do Jerozolimy na uroczyste święto Pesach.

Ale dla nas, kluczących teraz po śladach Jezusa i czterech rybaków nad brzegami Jam Kinereth, jest najważniejsze, że Syn Człowieczy po dokonaniu cudu wody, przemienionej w wino, przybył nad brzegi wielkiej wody i że ujrzał tę wodę, nad którą miały wkrótce rozegrać się Jego dramatyczne dzieje. Już wnet przeniesie się nad tę wodę i tu, nad wodą, będzie działał, i nad tą wodą będzie głosił swoje nauki, i z tej wody uczyni swoją tymczasową stolicę, tymczasowe miejsce swojego zamieszkania. W tym znaczeniu Symeon ben Jona i jego brat Andraj, Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow byli dla Niego symbolem wody, wprawdzie jeszcze nie przemienionej w wino, ale mającej już lada chwila w wino się zamienić. Poza tym powinniśmy pamiętać, że Jezus nadał Symeonowi ben Jona nowe imię Kefas, Skala, i uderzył w tę Skalę, i czekał, aż wytryśnie z niej woda. I oto tęskniąc ludzką, żarliwą tęsknotą za widokiem wielkich wód – a woda ta miała oblicze Jeziora Galilejskiego, a Jezioro Galilejskie miało oblicze Jego czterech uczniów, którzy jeszcze nie byli Jego uczniami – nałożył drogi, przybył do Kfar Nahum, ujrzał tę wodę i radował się jej

widokiem. Postanowił tu powrócić i tu działać według starej pieśni hebrajskiej, która głosi, że „siedem jezior ma Erec Israel, ale jezioro Kinereth jest jeziorem wybranym przez Pana”.

Po kilku dniach pobytu w Kfar Nahum Jezus opuścił miasto i udał się wraz z Miriam i uczniami do Jerozolimy, na wielkie święto Pesach, a tymczasem po całej Galilei rozchodziła się wieść o cudzie wody, dokonanym przez Niego w Kanie Galilejskiej.

Miłujcie nieprzyjaciół waszych

Jezus i Miriam przebywali u swoich krewnych w Jerozolimie i wraz z uczniami świętowali u nich wieczór pesachowy. Spokojnie płynęły uroczyste dni. Codziennie, po rannej modlitwie w Świątyni Pańskiej, Miriam wracała do krewnych i pomagała niewiastom w zajęciach domowych, a Jezus i uczniowie przechadzali się po Jerozolimie i rozprawiali o Panu i Piśmie Świętym. Pewnego dnia Jezus postanowił udać się nad Jordan, do brodu Bethabara, do brodu swojego zanurzenia, i powiadomił o tym swoich uczniów, którzy z radością przyklasnęli Jego zamiarowi.

Po świętach Miriam w towarzystwie galilejskich pielgrzymów powróciła do Nazarethu. Żegnając się z Synem, pomyślała: „Kiedy Go znowu zobaczę?” – a Jezus podążył nad Jordan, a za Nim szli Jego uczniowie. W południe stanęli w Bethabarze. Na widok wartko płynącego Jordanu ogarnęło ich wielkie wzruszenie. Rabbi przypomniał sobie chwilę swojego zanurzenia w wodzie i natchniony wyraz twarzy Johanana ben Zecharia, słuchającego głosu Gołębic, a Filip i Nathanael trwali myślami przy spotkaniu z Jezusem w Bethsaidzie, nad brzegiem wody, która była zaufanym świadkiem ich zachwycenia, pokory i zgody.

Rabbi usiadł na kamieniu, na piaszczystej, lekko wzniesionej wydmie, i rzekł:

– Weruach Elohim merachefeth al pnej hamajim... A Duch Boży unosił się nad obliczem wód...

Począł mówić im o Duchu Pana, unoszącym się nad wodami. Mówił, a oni, zamknawszy oczy, ujrzeli pod swymi powiekami Pana, który z początku wysoko krążył pod chmurami – tu chcemy zwrócić uwagę czytelnika na potrójny sens słowa merachefeth, oznaczającego równocześnie unoszenie się nad wodą, krążenie i wyleganie – a potem, zataczając szerokie koła, coraz bardziej się zniżał. Niekiedy leciał tak nisko, że dotykał sobą powierzchni przerażonych wód, a one cofały się za każdym Jego dotknięciem, ale natychmiast, gdy tylko wzbijał się w powietrze, ośmielone, rzucały się przed siebie, jakby chciały swą wielbiącą gwałtownością odstraszyć Go od dalszych ognistych dotknięć. Mając wciąż zamknięte powieki,

kołysani dźwiękiem Jezusowego głosu, zrozumieli, że prawdopodobnie istniał jakiś życzliwy i poufny spór między ojcowskim Elohim a macierzyńską wodą, która – według błogosławionego psalmu – podniosła przeciw Panu swój szum i swoje wzburzone fale i dopiero po Jego zwycięskim natarciu, upokorzona, uległa, rozpierzchła się i odsłoniła ziemię. Odetchnęli z ulgą, albowiem zwyciężona woda nie tylko przyjęła Pana i śpiewała na Jego chwałę, ale On w dowód swej przebaczącej Łaski udzielił jej przywileju służenia i oczyszczania. Ten podziwu godny, chwalebny i błogosławiony spór między Elohim a ocnioną przez Niego wodą był dla nich głębokim pouczeniem, że wszystko, co mądre, dobre i piękne, nie jest wolne od trudności stawania się i rodzenia – może dlatego mędracy Izraela nazwali wody stworzenia wodami płaczącymi – i pocieszającym dowodem na to, że i synowie Adama, mimo swoich różnych oporów, po ukorzeniu się przed Panem dostąpią Jego wspaniałomyślnej Łaski. Wciąż mieli zamknięte powieki i wciąż słyszeli w uszach słowa Jezusa, i rozumieli miłość Elohim ku wodzie i wielką mądrość chrztu, czyli zanurzenia się w wodzie płynącej. Otworzyli oczy i ujrzeli, że podczas przemówienia Jezusa, które wzbudziło w ich wnętrzu tyle płodnych skojarzeń, pełnych niespodziewanych i olśniewających możliwości zbawienia, dokoła Rabbiego zgromadził się tłum podróżnych, kupców, wędrowców i pielgrzymów. Stali i słuchali Jego słów.

A On mówił. Mówił o dobroci i dobrych uczynkach. Zaczął od groźnych słów Prawa karnego: „Oko za oko, ząb za ząb” – a było to obrazowe wezwanie skierowane do sędziów, aby ich wyroki były proporcjonalne do winy oskarżonego, ani mniejsze, ani większe – i wezwaniu temu przeciwstawił swój własny rozkaz: – Nie sprzeciwiajcie się złu. – Nie wynika z tego jednak, aby wzywał ludzi do biernego poddania się złu. Nie sprzeciwiać się złu znaczy nie brać odwetu, bo ten, który nie stosuje prawa odwetu, zwalcza swój gniew, a ten, który zwalcza swój gniew, zwycięża samego siebie, a ten, który zwycięża samego siebie, zwalcza zło i zbliża się do Pana. Ponieważ lud Izraela lubował się w barwnych, dramatycznych, pełnych budującej przesady obrazowych skrótach, tłumaczących widomie to, co przed chwilą wypowiedziane było w sposób oderwany, Jezus przetłumaczył swój wywód na język krótkich przypowieści i za pomocą zgoła nieoczekiwanych rozwiązań odmalował przed oczami zaskoczonych słuchaczy sceny z życia ludzi dobrych, płacących dobrem za zło i zwalczających zło za pomocą dobra. Ujrzeli więc uczniowie i przygodni słuchacze człowieka uderzonego w prawy policzek, ale w swej dobroci nadstawiającego lewy, i człowieka, któremu zabrano suknię, ale oddającego w swojej dobroci na dodatek i płaszcz, i człowieka przymuszonego do pójścia jednej mili, ale w swojej dobroci idącego dwie mile, i człowieka, któremu zabrano jego własność, ale

w swojej dobroci nie żądającego zwrotu zagrabionego mienia. Jezus stworzył nową miarę i wagę sprawiedliwości i prawa. Słuchacze oniemieli. Rabbi, widząc ich zdumienie, dodał: – A jako chcecie, aby ludzie wam czynili, czyńcie tak samo i wy. – Starali się zrozumieć myśl Jezusa i rozumiejąc, nie rozumieli jej, i dlatego wielkie zadowolenie odmalowało się na ich twarzach, gdy Jezus począł znowu mówić, bo spodziewali się znaleźć w Jego dalszych wypowiedziach wyjaśnienie tego, co w swej przeraźliwej jasności było dla nich niejasne.

Jezus mówił i z każdym Jego słowem rozgrzewały się ich serca, a rozgrzewając się, były coraz bardziej niespokojne. – „Będziesz kochał bliźniego jak siebie samego” – powtórzył Jezus słowa ze świętej Księgi Wajikra i tymi słowami wprowadził ich w głąb swoich myśli. Zwróciwszy się twarzą ku południowi, ku pustynnemu stepowi nad Morzem Soli, wyciągnął przed siebie wskazujący palec i podniesionym głosem począł mówić o tych, którzy nakazują mieć w nienawiści swoich nieprzyjaciół. Filip i Nathanael zamarli w przerażeniu, bo rozumieli, że Jezus piętnuje Braci Milczących z pustelni w Qumran, braci oczyszczonych i oczyszczających, wychowawców i dobroczyńców Niestrzyżonego, którzy w swej surowości podniosłej i czystej, ale twardej, sztywnej i nie uznającej Łaski, nie tylko nakazywali nienawidzić w pomście Bożej wszystkich Synów Ciemności, ale zabraniali przekonywać ludzi złych, dysputować z nimi i ujawniać przed nimi przykazania Świętej Tory. – „Żaden z mężów Zrzeszenia nie odpowie niczego na ich pytania, dotyczące całej Nauki i Tory” – wołał srogi prawodawca z Qumran i wzywał braci do „wiecznej nienawiści wobec mężów zatracenia”, a chociaż zapewniał, że nikomu nie odpłaci złem, ale dobrem będzie ścigał człowieka i nie zachowa gniewu przeciw odwracającym się od przestępstwa, to jednak równocześnie ślubował: „Nie będę miał litości dla nikogo zbaczącego z drogi, nie okażę im współczucia, gdy będą znękani, dopóki nie poprawią swojego postępowania”. Zapalczywy Symeon gorliwiec opuścił wzrok ku ziemi, a wielu spośród słuchaczy nie rozumiało wzburzenia Jezusa z powodu owych nakazów, bo przecież człowiek zbaczący z drogi, bezbożny, poganin nie jest bliźnim, lecz wrogiem, twarde więc słowa nienawiści wypowiedziane przez prawodawcę z Qumran nie są sprzeczne z nakazem miłości bliźniego, zapisanym ręką Mojżesza w Księdze Wajikra. Już ten i ów zamierzał zabrać głos i wdąć się z Jezusem w dysputę – lud Izraela miał wielkie upodobanie do długich i wyczerpujących dysput – gdy nagle usłyszeli słowa Rabbiego, od których ścierpło ich serce. Jego ciemnomatowy głos, tłumiony wzruszeniem, spokojnie falował, ale przez Jego wzruszenie jak przez grubą ścianę dochodził daleki pomruk z trudem uciskanego gromu. Zażądał od nich, aby miłowali swoich nieprzyjaciół, czynili dobrze tym,

którzy ich nienawidzą, błogosławili tym, którzy ich przeklinają, i modlili się za tych, którzy ich prześladowają! Albowiem wszyscy są synami Pana, który jest w niebiosach, a słońce Jego wschodzi zarówno nad złymi, jak i nad dobrymi, a deszcz Jego pada zarówno na sprawiedliwych, jak i na niesprawiedliwych! Ale jeżeli miłują tylko tych, którzy ich miłują, na jaką wdzięczność zasługują, skoro i grzesznicy miłują tych, którzy ich miłują?! A jeżeli pozdrawiają tylko swoich braci, cóż w tym osobliwego, skoro i poganie czynią to samo! Ponieważ ten i ów kiwał niedowierzająco głową – nie, tego nie mogli zrozumieć! – Rabbi sięgnął do Pisma Świętego i przypomniawszy słowa Jahwe, zapisane ręką Mojżesza w Księdze Wajikra, rzekł do swoich słuchaczy: – „Bądźcie zatem doskonali, jak doskonały jest wasz Bóg”.

Uczniowie roztrzęsali w sobie trudne nad wyraz słowa Rabbiego. Niepojęty był ten nakaz miłowania nieprzyjaciół. Nigdy go dotychczas nie słyszeli z ust doświadczonych starców ani nie wyczytali podobnej myśli w żadnych zwojach proroków – a przecież człowiek chętnie znajduje u dawnych mędrców potwierdzenie prawdy, która ucieleśnia się na jego oczach – ale mimo to zaufali Jezusowi, gdyż byli naocznymi świadkami dokonanego przez Niego cudu wody w Kanie. Woda była żywołem świętym, jeżeli więc Pan poddał ją skutecznej mocy Rabbiego – widzieli tę wodę, pili ją, smakowali i była winem, najprzedniejszym winem, rozweselającym serce – Jezus jest Mężem Bożym, wyniesionym wysoko ponad innych ludzi.

Tak rozumowali uczniowie, a tymczasem przygodni słuchacze, wyczuwając w słowach Jezusa głos wysokości, postanowili oczyścić się z brudu zła i grzechu, zwłaszcza że wszyscy oni, ludzie słabi i upadający, nie zawsze umieli być wdzięczni Panu – o tej swojej skazie dobrze wiedzieli – za okazane im dobrodziejstwa. Poczuli więc prosić Jezusa, aby wzorem Johanana ben Zecharia, który przed pewnym czasem stąd się oddalił i chrzci teraz w Ajnon koło Salim, w Krainie Obfitych źródeł, położonej w dalekim Dekapolu, pozwolił im pod cieniem swoich wyciągniętych dłoni zanurzyć się w wodach Jordanu i oczyścić się z nieczystości ziemi. Ich prośby stały się natarczywe, a oni sami popadli w uniesienie, gdy dowiedzieli się od uczniów, że ów Rabbi zowie się Jeszua ben Josef i pochodzi z Nazarethu, i jest tym samym Mężem, który dokonał cudu wody – głosi to ze wszech miar prawdopodobna wieść – w Kanie Galilejskiej. Otoczyli Go ciasnym kołem, dotykali palcami Jego szat i błagali o błogosławieństwo i o łaskę chrztu. Wtedy Jezus, ponieważ sam nie zamierzał teraz udzielać chrztu – powodem było Troiste Imię, w którego Imieniu w innym czasie woda ognia miała uświęcić człowieka – rozkazał uczniom swoim czuwać z podniesionymi dłońmi nad zanurzającymi się w Jordanie pokutnikami.

Uczniowie więc codziennie udzielali chrztu przybywającym do brodu tłumom pokutników, a wielu spośród tych, którzy słuchali Jezusa, nie odstępowało Go

i pozostało z Nim.

Strażnik prawowierności

Był szósty dzień tygodnia. W dniu tym – wieczorem rozpoczynało się święto Szabatu – Kajafa nigdy nie zajmował się sprawami publicznymi, nie wydawał poleceń i nie przyjmował sprawozdań od swoich wysłanników. Taki miał zwyczaj. Szósty dzień tygodnia był dla niego przedśmionkiem Szabatu, wielkim przygotowaniem do radości, był dniem oczyszczenia, kąpieli rytualnej. Ale tym razem, zerwawszy ze swoim dotychczasowym przyzwyczajeniem, wezwał do siebie sekretarza. Nahum domyślił się, w jakim celu arcykapłan kazał mu przyjść o tak niezwyklej porze. Prawdopodobnie tej nocy miał niespokojne sny. Chodziło o Johanana ben Zecharia.

Według Kajafy najgroźniejszym spośród samozwańczych głosicieli Słowa Bożego był dzisiaj Nistrzyżony, mącieli Prawdy Pańskiej, który zgromadził dokoła siebie sporą ilość uczniów, pokutników, a nawet wielu faryzeuszów, i nie byłoby wiadomo, co począć z nim, z jego uczniami i zwolennikami, gdyby nie nadzieja, że przecież wreszcie pewnego dnia tetrarcha i Herodiada stracą cierpliwość i nazir znajdzie się pod silną strażą w jednym z lochów Macherontu. I umilknie. Ale tymczasem chrzci i wygłasza nauki. Działalność jego wbrew opinii Nahuma – sekretarza z lekceważeniem wyrażał się o pobożnym szaleńcu i był zdania, że arcykapłan w swojej trosce o czystość wiary popadł w przesadny popłoch – spędzała sen z powiek Kajafy, który często budził się w nocy szcękając z przerażenia zębami, gdyż słyszał w ciemnościach głos Nistrzyżonego. Tak było i tej nocy, z tą tylko różnicą, że obok głosu nazira arcykapłan słyszał ryk dzikich zwierząt zacajonych u wrót Świątyni Pańskiej. Nahum wszedł do komnaty.

- Pokój i błogosławieństwo temu domowi – rzekł, pochylając głowę.
- Pokój – mruknął Kajafa. – Gdzie jest teraz Johanana ben Zecharia? – spytał.
- Przeniósł się wraz z uczniami z Bethabary do Ajnon, do Krainy Obfitych Źródeł.
- Co tam robi?
- Chrzci.
- Czy wygłasza mowy o Mającym Przyjść?
- Nie.
- Jakie są wieści z Macherontu?
- Nazir chrzci w Ajnon, a Ajnon leży w Dekapolu, a Dekapol nie znajduje się pod władzą Heroda Antypasa.
- To znaczy, że tetrarcha porzucił zamiar uwięzienia Johanana?...

– Czy powiedziałem, że tetrarcha porzucił zamiar?

– Więc nie porzucił zamiaru?

– Herodiada wymusiła na tetrarsze...

– A tetrarcha?

Nahum się uśmiechnął: – Raz tak, raz tak. On się boi.

– Kogo się boi?

Nahum rozłożył ręce: – Mówią, że się boi. Może boi się swojego sumienia.

– Szakale nie mają sumienia.

– A może tetrarcha jest takim szakalem, który ma sumienie?

– Więc go nie uwięzi? – głos Kajafy zadrżał niecierpliwie.

– Nie uwięzi? Mnie się zdaje, że go uwięzi. Herodiada postawi na swoim.

– Tak sądzisz?

– Jestem pewien.

– Przed chwilą powiedziałeś, że ci się zdaje.

– Mnie się zdaje, że mogę być pewien.

– Dlaczego jesteś pewien?

– Wiem – odparł Nahum.

– Od kogo?

Nahum wydał pyszałkowato wargi: – Od zaufanych ludzi z Macherontu. Twarz Kajafy rozjaśniła się. Przeszedł się po komnacie. Przystanął.

– Niechaj Elohim będzie błogosławiony. Jeżeli tak jest, jak mówisz, my do tej sprawy nie będziemy się mieszać. Dobrze się stało, że nie kazałem go dotychczas uwięzić. Nie na nas spadnie krew Nistrzyżonego.

Milczenie zapanowało w komnacie.

Arcykapłan rzekł:

– Dostałem wiadomość, że u brodu w Bethabara jakiś mąż chrzci i przemawia...

– Tak.

– Kto to jest?

– Jezua ben Josef.

– Jak?

– Jezua ben Josef.

– Skąd pochodzi?

– Z Galilei. Z Nazarethu.

– Kim jest?

– Jest synem cieśli. Jest krewnym Johanana ben Zecharia. Matka Johanana była...

Kajafa przerwał mu: – Posiew Johanana ben Zecharia wydał owoce. Teraz już dwóch działa i przemawia. Jutro ich będzie trzech. Za pół roku dziesięciu. Czy dużo

ludzi gromadzi się dokoła tego Nazarethańczyka?

- Ma kilku uczniów.
- Skąd pochodzą?
- Z Galilei.
- Co głosi?
- Nawołuje synów Izraela, aby miłowali swoich nieprzyjaciół.
- Co?
- Rzekłem.
- Jak można miłować nieprzyjaciół?
- Nie wiem.
- A co na to lud?
- Słucha.

Nahum pogładził brodę i dodał: – W Kanie Galilejskiej na godach weselnych Jezua ben Josef dokonał cudu.

- Jakiego cudu? – spytał sucho Kajafa.
- Zamienił wodę w wino.
- I woda była winem? – w głosie arcykapłana zabrzmiała drwina.
- Tak mówią. Ja tego wina nie piłem.
- Czarodziej?

Nahum potakiwał głową.

Kajafa założył ręce za pas i rzekł: – Wyślij kilku zaufanych ludzi do brodu Bethabara. Niechaj śledzą tego czarodzieja.

- Pokój temu domowi – rzekł Nahum i opuścił komnatę.

Kajafa westchnął. Powinien pójść teraz do Hanana ben Sethi podzielić się z nim wiadomościami, które otrzymał od Nahuma. Ale nie, nie pójdzie. Chce być sam. Sam ze swoimi myślami. Narzucił lekki płaszcz, na głowę nałożył płat białego płótna, przewiązał go z tyłu tasiemkami, a z przodu naciągnął na czoło, i wyszedł z domu. Zmierzał szybko przed siebie. Idąc kamiennymi schodami do Dolnego Miasta, zamyślony, nawet nie spojrzał na sadzawkę Siloah. Przez Bramę Gnojną i Dolinę Cedronu zdążył w kierunku Góry Oliwnej. Był zmęczony. Usiadł na ziemi, w cieniu, w lesie oliwnym u podnóża góry, ściągnął z głowy płat płótna i otarł nim spocone czoło. Wreszcie był poza ścianami swojego domu, poza zasięgiem oczu i uszu swoich domowników, a przede wszystkim poza przygniatającą obecnością teścia, który swoim autorytetem wypełniał tak szczelnie wszystkie komnaty pałacu, że już nie było w nim więcej miejsca dla nikogo. Spojrzał na miasto. Przed nim jak po trzykroć pławione złoto lśniła Jerozolima, stolica wielkiej światłości. Patrzył na miasto przez napływające do oczu łzy i pałając wielką miłością do tego miasta łączył się z nim

krwią i ciałem. Umiłował to miejsce, własność Pańską, jak nikogo w życiu nie umiłował. Piękna żona? Teść, wielki mędrzec? Wspaniały pałac? Bogactwo? Czym są te wszystkie ziemskie wartości, czym jest ta cała marność doczesna w porównaniu z panną jerozolimską, z panną wieczności, oblubienicą Pańską spoczywającą na posłaniu dolin! Czym jest Rzym Beliala, czym Ateny Baal Zebuba, czym nierządnicą Aleksandria w porównaniu z przeczystą stolicą, spoczywającą bezpiecznie u stóp Elohim! Kajafa poczuł się odpowiedzialny za jej wieczność. Wzbierał w nim gniew przeciw poganom, bezbożnikom, odszczepieńcom, am haarecom, przeciw tym wszystkim, którzy nie rozumiejąc Pisma i woli Pana, osmielają się bluźnić Złotemu Miastu, niebu i ziemi, słowu i wierze, Nauce i Mądrości! Zerwał się z ziemi, wyciągnął ręce do nieba i wielkim głosem przysięgał Panu, że nigdy, nigdy, nigdy ryk dzikich zwierząt zaczajonych u wrót świątyni Pańskiej nie zamąci jej świętości, że on, kohen hagadol, będzie zawsze nieugiętym i nieprzekupnym strażnikiem prawowierności i wiary, że rozpalonym do białości żelazem wypali z ciała tego niewdzięcznego ludu wrzód grzechu, że gradem kamieni ukamieniuje każdą niewierność, przeczącą Zakonowi, że będzie surowym i bezlitosnym sędzią nad grzesznikami i każdego odszczepieńca sądzić będzie sądem ognia w Imię Boga Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Boga Izraela!

Spojrzał na niebo. Było już popołudnie. Zbliżał się Szabat. Arcykapłan szybko zszedł ze wzgórza i najkrótszą drogą przez most przerzucony nad Cedronem i przez Złotą Bramę udał się do Świątyni Pańskiej. Przechodnie witali go słowem Bożym. Przed Bramą Nikanora oczekiwało go kilku kapłanów, którzy przeprowadzili go do budynku mieszczącego błogosławioną mikwę. Strażnik nad kąpielą rytualną, ujrawszy zbliżającego się Kajafę, powtórnie – tym razem osobiście, a nie przez swoich pomocników – zbadał poziom wody w zbiornikach, a stwierdziwszy, że odpowiada on świętym przepisom o mikwie, wprowadził arcykapłana do rozbieralni, gdzie dwaj lewici pomogli mu zdjąć szaty i bieliznę, przy czym z należnym szacunkiem odwrócili głowy, aby nie patrzeć na nagość swojego pana.

Łażnia rytualna składała się z trzech sadzawek, z których jedna była właściwie tylko zbiornikiem na wodę deszczową i nie służyła do kąpieli. Kajafa w pierwszej, najmniejszej sadzawce umył ręce i nogi, umył dokładnie, z niezwykłą starannością, oglądając wielokrotnie palce u rąk i nóg, stopy i kolana, czy broń Boże nie pozostały na nich ślady kurzu, błota, piasku lub jakiegokolwiek innego brudu. Po wstępnym obmyciu zstąpił po kamiennych schodach do drugiej sadzawki, wypełnionej wodą studzienną, zmieszaną z wodą deszczową, z tą najczystsza z wszystkich wód, pochodząca bezpośrednio z chmur, z których Elohim spuszcza urodzajne deszcze na mdlejącą z upału ziemię. Tu pragniemy przypomnieć, że sadzawka oczyszczająca

musi być wprawdzie wypełniona, według przepisów Starszych, wodą deszczową, ale ponieważ w kraju Izraela z powodu niewielkich opadów było to w praktyce niemożliwe, uczeni orzekli, że sadzawka może być wypełniona wodą studzienną, ale z domieszką wody deszczowej, która dzięki swoim właściwościom związanym z jej pochodzeniem z wysokich chmur, z błękitnych spichlerzy Pana, oczyszcza każdą wodę i czyni ją czystą.

Kajafa zanurzył się po szyję w wodzie, a woda objęła jego ciało w czułe posiadanie i czystością swoją oczyściła je ze wszystkich nieczystości, ze wstydliwych dotknięć, z obrażających spojrzeń, z zawstydzających plam, ze skaz, z palących drażnień i z wszelkiego wszetecznego ucisku, któremu podlega grzeszne ludzkie ciało. Wszystek brud spływał z arcykapłana, który świadom swej przybierającej czystości, gwałtownymi ruchami ciała – pluskał, znienacka się zanurzał i wynurzał, przysiadł i prostował się – przymuszał wodę do bardziej wytężonego i korzystnego dla siebie działania. I z każdym pluskiem, zanurzeniem się i wynurzeniem rosła w nim radosna duma z przynależności do ludu Izraela, do wielkiego zgromadzenia wybranych, aż wreszcie poczuł, że przestaje być Josefem Kajafą, a staje się samym Izraelem, Izraelem bez skazy, jeleniem na balsamicznych wzgórzach.

Wyszedł z kąpieli, a lewici odwrócili głowy, aby nie patrzeć na nagość swojego pana, i narzucili na jego mokre ciało prześcieradło o nieposzlakowanej bieli. Uklękli, wytarli jego nogi ręcznikiem i nałożyli na nie skórzane sandały.

W tej chwili Kajafa przypomniał sobie zdarzenie w Kanie Galilejskiej i spojrzał na wskazujący palec prawej ręki, na którym błyszczał złoty sygnet arcykapłana z wyrytą kłasią winogrodu.

Uśmiech

Johanen ben Zecharia, który ostatnio często zmieniał miejsce pobytu, przed kilkoma miesiącami przeniósł się wraz z uczniami do Dekapolu – jak zresztą dowiedzieliśmy się o tym ze sprawozdania Nahuma – do Krainy Obfitych Źródeł, do miejscowości Ajnon, gdzie udzielał chrztu przez zanurzenie w wodzie. Mimo tłumu pokutników, którzy dzień w dzień przybywali do niego z odległych części kraju, z północy i południa, już od dłuższego czasu przeżywał wewnętrzną rozterkę. Trawiła go żal. Dźwigał ją w sobie z pokornym poddaniem, gdyż słusznie uważał, że w każdym złu, zesłanym przez Elohim na człowieka, jest wielka mądrość Pańskiej dobroci. Ze spokojem i bystrym zastanowieniem rozważał nikłość swoich dotychczasowych planów – nawet za tę nikłość dziękował Panu – i dociekał przyczyn, dla których Pan właśnie tak skromnym owocobranem pobłogosławił jego

pracę na wyznaczonym zagonie. A może nie umiał spełnić powierzonego mu zadania? A może owa nikłość plonów jest karą za jego niedołęstwo? Nigdy nie uważał się za godnego wyznaczonego mu posłannictwa, którym Pan w swej szcudroblowości go obdarzył. Zawsze czuł się nic nie znaczącym pyłem i nigdy nie ośmielił się podnieść karku. A może mimo swej pokory i uniżenia nie umiał być w pełni nic nie znaczącym pyłem? Niestrzyżony w przyptywie tych wahań jeszcze bardziej umartwiał swoje ciało postami, sypiał tylko raz w tygodniu i sześć nocy spędzał na modlitwie i zmaganiu Tehilim. Brał na siebie grzechy i opieszałość swoich uczniów, ich głupotę i nędzę ich serc i z radością wzięłby nawet wszystkie przyszłe grzechy i przyszłą opieszałość swoją i swoich uczniów, gdyby nie obawa, że Pan mógłby taki nadmiar gorliwości uważać za pychę. Od wielu lat wygłasza mowy przeciw przewrotnemu tetrarsze, wytyka i potępia w Imię Elohim zło, które się wylęgło w sercu Heroda Antypasa i nierządnej Herodiady, i cóż w końcu działał swoimi mowami i swoją zapalczywością? Władca z uporem trwa w grzechu, a jego życie jest zgorszeniem przed Panem i przed Izraelem. Johanan oparł głowę na dłoni. Obwieścił przyjście Tego, który przyszedł, był Głosem głośno wołającym według rozkazu Pana, według rozkazu Pana opuścił pustelnię w Qumran i wołał wielkim wołaniem o wypełnieniu się czasu. Palcem wskazał na Przybyłego. Czy mógł uczynić więcej niż wskazać palcem i powiedzieć: Oto Baranek Boży. I powiedzieć: Duch Pana nad Jego głową. I powiedzieć: Syn Boży. A o sobie, gdy go pytano, powiedział, że nie jest Mesjaszem, i wielokrotnie to zdanie powtórzył, i oznajmił dokładnie i wyraźnie, że przyszedł tylko oznajmić przyjście Przybyłego. Nie mógł więcej powiedzieć, bo miał usta zamknięte i wargi zamknięte – i nadal ma zamknięte – a Pan przed jego wołającymi ustami, przed jego głośnym głosem postawił straż ognistych aniołów i pozwolił mu tylko mówić to, co powiedział, i nic więcej nie pozwolił mu mówić, więc na przekór swojemu głosowi czuł się jak niemy i tylko palcem wskazał, wyraźnie wskazał palcem i podniesionym głosem powiedział: Jest Synem Bożym. Więcej nie wolno mu było mówić. A oni? Nic nie rozumieli. Nic. I tylko dwóch poszło za Tym, na którego palcem wskazał. Tylko dwóch Go przyjęło. A potem, już tutaj w Ajnon, dotarła do niego i do jego tępych uczniów wieść z Kany o dokonanych przez Przybyłego cudzie wody. Ale równocześnie naoczni świadkowie mówili, że Cudotwórca jadł razem z weselnikami, że jadł obficie i że pił wino, które rozwesela serce. Ich czoła były zmarszczone, bo nie umieli pogodzić obrazu Baranka Bożego, o którym im mówił, z obrazem Człowieka spożywającego mięso i sosy, zaprawione pachnącymi korzeniami, i pijącego wino na weselnych godach. A teraz Judejczycy, przybyli znad brodu Bethabara, przynieśli wieść, że wraz z uczniami przebywa nad Jordanem, a uczniowie Jego chrzczą

pokutników, a On przemawia do nich i mówi im rzeczy dziwne, niezrozumiałe, że powinni miłować swoich nieprzyjaciół, albowiem Bóg – wszyscy pokutnicy, z którymi Johanan ben Zecharia rozmawiał, powtarzali zgodnie to zdanie – każe słońcu wschodzić zarówno nad dobrymi, jak i nad złymi, i spuszcza deszcz zarówno na sprawiedliwych, jak i niesprawiedliwych. „A przecież wyraźnie mówiłem – myślałem w swoim utrapieniu Niestrzyżony, ująwszy w obie dłonie głowę i modlitewnie kiwając się w mroku nocy – że odłączy plewę od ziarna, a czym jest to odłączenie plewy od ziarna, jeżeli nie osądzeniem ziarna i osądzeniem plewy? A przecież wyraźnie mówiłem, że będzie ich chrzczył ogniem, żywym ogniem Sądu i Wyroku, a widziałem w sobie ten ogień, widziałem go własnymi oczami, miał kształt wagi sędziowskiej, dotykałem go moim spojrzeniem i czułem na mojej twarzy jego nieposkromiony żar. Więc nie będzie chrzczył ogniem i nie będzie sprawował sądu?”

Brat Pustynny po długich dniach i nocach rozmyślań i postów uzmysłowił sobie, że mnóstwo spraw jest przed nim ukrytych i na zawsze tu, na ziemi, pozostanie ukrytych, że serce i myśl jego są za ciasne, by mogły pojąć to, co jest niepojęte, pogodził się więc z ciasnotą swojego serca, ograniczonością swoich myśli, nikłym plonem swojego działania, z losem swoim i z losem swoich tępych uczniów (jakże oni mogą wiedzieć, skoro on sam nie wie!), i uspokoił swoje wzburzone wnętrze, i zapłakał z radości nad swoją zasłużoną małością.

Właśnie podeszło do Brata Pustynnego kilku jego uczniów i opowiedzieli mu o przybyciu pewnego Judejczyka, który w drodze do Galilei zatrzymał się w Ajnon i mówił im o tłumach pokutników, oczyszczających się w Jordanie. Judejczyk ów twierdził, że chrzest, którego udziela Jezua ben Josef, jest skuteczniejszy od chrztu, którego udziela Johanan ben Zecharia, poczęli więc spierać się z zuchwałym przybyszem, mówiącym nierozsądnie, ot, paplającym byle co, aby tylko wzbudzić w nich zwątpienie i niepokój. Przyszli więc do Niestrzyżonego z zazdrosnym pytaniem, czy jest możliwe, aby chrzest z rąk Jezusy – właściwie nie Jezusy, bo Ten nie chrzci, tylko z rąk Jego uczniów – mógł bardziej ludzi podnosić na duchu i napełniać ich czystszy duchem – Judejczyk użył właśnie tego wyrażenia: napełniać czystszy duchem – niż chrzest w cieniu dłoni Brata Pustynnego.

Johanan ben Zecharia zwołał wszystkich swoich uczniów, odezwał się do nich i rzekł:

– Słuchajcie, wy, którzy powinniście słyszeć, i zrozumiejcie, wy, którzy powinniście zrozumieć! Człowiek posiada to, co mu dał Elohim, a wy przecież możecie zaświadczyć, że wielokrotnie mówiłem, iż nie jestem Mesjaszem, ale jestem posłańcem, posłanym przed Tym, który JEST, jakże więc może być skuteczniejsze

moje działanie od działania Tego, który przyszedł z góry i jest ponad wszystkimi, działanie człowieka, który pochodzi z ziemi i mówi rzeczy ziemskie, bo przecież kto przychodzi z nieba, jest ponad wszystkimi, ale... – tu głos jego się załamał, albowiem poczuł straż Elohim, stojącą przed jego wargami, więc zaczął się z tą strażą mocować i wziął się z nią za bary, i potykał się z nią. Słowa jak wzburzona lawa napływały do jego ust, a wówczas Anioł, przerażony jego zapalczywością, w obawie, by nie powiedział więcej, niż powinien powiedzieć, postawił miecz przed jego ustami jak wysoką tamę, tak wysoką, że Johanan ben Zecharia ugiął się przed jej wysokością i tylko z trudem cedził ciemne i niezrozumiałe zdania o Mężu, który przyszedł! Nikt jednak – tu krzyknął – nikt! nikt nie przyjmuje Jego świadectwa, ale ten, kto je przyjmie, ten stwierdzi, że Pan mówi prawdę, albowiem Ten, którego Bóg posłał, ten głosi Słowo Boże, gdyż Pan udzielił mu ducha nieskończoności! A Ojciec miłuje swojego Syna i wszystko oddał w Jego ręce, a kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny, natomiast ten, kto ma uszy zamknięte i nie słucha Syna, nie ujrzy żywota, ale gniew Jahwe. A ja? Kim ja jestem? – pochylił głowę. – Jestem weselnym drużbą Oblubieńca i stoję u Jego boku, i raduję się wielką radością, słysząc Jego głos, prowadzę Go pełen radości do domu Oblubienicy, a droga ta jest moją radością.

Tu Johanan ben Zecharia ukrył twarz w dłoniach i stał tak przez dłuższą chwilę w całkowitej samotności, a potem wznosił obie ręce wysoko do nieba i opuszczając je z wolna, rzekł:

– On musi wzrastać, a ja muszę się umniejszać. Uczniowie, szepcząc między sobą, pytali się wzajemnie:

– Dobrze... dobrze... Ale gdzie jest ten Przysłany przez Elohim, ów Przybyły, o którym mówi Niestrzyżony? I kogo Przybyły pojmie za żonę? I kiedy odbędą się Jego gody weselne, na których Niestrzyżony będzie drużbą weselnym?

I wzruszając ramionami, rozeszli się.

Gdy noc zapadła nad krainą Dekapolu, Johanan bez Zecharia siedział pod wygwieżdżonym niebem i wsłuchując się w szum wody, bijącej ze źródeł, rozmyślał o swoim pomniejszeniu się, i patrzył w ciemność nocy, zaludnionej niezliczoną ilością niewidzialnych aniołów i rozbrzmiewającej niezliczoną ilością niesłyszalnych głosów. Pan nie kazał mu iść za Jezusem – tu przypomniał sobie Mojżesza, którego Pan nie wprowadził do Ziemi Świętej – w każdym razie ani słowem mu o tym nie wspomniał, a ponieważ milczenie Pana jest rozkazem, więc za Jezusem nie poszedł i tylko zapowiedziawszy Jego przyjście – Mojżesz również zapowiedział wejście Izraela do Ziemi Świętej – zaczął pomniejszać się według rozkazu Pańskiego, a pomniejszając się, dobrze wiedział, co to pomniejszanie oznacza. Jego posłannictwo jest skończone. Maleje. Maleje coraz bardziej, a malejąc, odchodzi, oddala się

w nieustannie odnawiającą się przeszłość. Jest szczęśliwy. Już wkrótce zupełnie zniknie z powierzchni widomych zdarzeń i będzie już tylko przeszłością nigdy nie minioną, zawsze obecną, wiecznie się odnawiającą, nigdy nie znużoną – jak bardzo jest teraz znużony! – zawsze czuwającą i przytomną. Był smutny smutkiem radosnego milczenia i wypełnionej pełni swojego posłannictwa, a przeczuwając bliskość owej granicy, do której nieuchronnie się zbliżał, coraz bystrzej w swoim widzeniu widział siebie idącego ku minionej przyszłości. Wreszcie, pomniejszony do rozmiarów przemijającego cienia, podniósł głowę, a na jego chudej twarzy, zarośniętej burzą nigdy nie strzyżonych włosów, ukazał się pierwszy w jego życiu – uśmiech.

Uwięzienie Johanana ben Zecharia

Następnego dnia Brat Pustynny po porannej modlitwie zapowiedział swoim uczniom, że opuszczą Krainę Obfitych Źródeł i udadzą się na południe, nad brzegi Jordanu. Uczniowie posłusznie przygotowali się do drogi i zgodni byli w swoich przypuszczeniach, że Niestrzyżony pod wpływem ich wczorajszych zażaleń i utyskiwań – byli głęboko przekonani o słuszności swojego niezadowolenia – zamierza spotkać się z Jezua ben Josef nad Jordanem u brodu Bethabara. Tak sądzili uczniowie. Ale gdzie tkwiła rzeczywista przyczyna nagłego postanowienia Niestrzyżonego? Ostatnia wędrówka Johanana ben Zecharia na południe związana była z samotnymi rozmyślaniami nad końcem jego posłannictwa. Wypełnił się czas jego ziemskiej działalności. Wykonał wszystko, co mu Elohim polecił wykonać. Innych poleceń nie otrzymał od Pana. Już od dłuższego czasu – po kilku niezwykle gwałtownych wystąpieniach przeciw przewrotnej parze królewskiej – ostrzegali go poufnie zwolennicy znad Jordanu, aby nie wracał do Perei, gdyż tetrarcha, ulegając namowom swej żony, postanowił uwięzić go i osadzić w lochu w Macheroncie. Czyżby więc Niestrzyżony szedł świadomie w sieć nastawioną na niego przez wszeteczną nierządnicę i jej męża?

Ruszyli w drogę o świcie. Skierowali się prosto na wschód, przeszli w bród Jordan i jego wschodnim, piaszczystym brzegiem zmiierzali na południe.

Johanana ben Zecharia był w radosnym nastroju. Uczniowie nie przypominali sobie, aby kiedykolwiek dotychczas przeżywał taką podniosłą i beztroską radość ducha. Szedł na czele z podniesioną głową i śpiewał: – Chwalcie Pana w niebiosach, chwalcie Pana na wysokościach, chwalcie Go, wszyscy Jego aniołowie, chwalcie Go, wszystkie Jego zastępy! Chwalcie Go, słońce i księżycu, chwalcie Go, wszystkie światła gwiazd, chwalcie Go, wszystkie niebiosy nad niebiosami i wody nad

niebiosami! – Zdawało się, że każda z tych podniosłych pochwał jest kolejnym krokiem na drodze prowadzącej pod górę, do nieba. Gdy wreszcie doszedł do końcowego wersetu i wyrzucił z siebie przeczyste, głębokie jak głos baraniego rogu halleluja, uczniowie zrozumieli, że Niestrzyżony stanął na najwyższym szczycie śpiewającej góry, skąd rozpościera się widok na całe niebiosy, a może nawet na samego Elohim. Tu należy wspomnieć, że uczniowie, wbrew swojemu zwyczajowi, nie podjęli jego śpiewu. Uważali bowiem, że nie powinni swoimi nieczystymi głosami profanować jego uniesienia.

Doszli wreszcie nad rzekę Jabok. O wschodzie słońca przeprawili się na drugi brzeg i tutaj, w chwili gdy Johanan ben Zecharia wielbił Boga i chwalił Jego święte Imię, spoza pagórka wyskoczyli zbrojni siepacze Heroda Antypasa i na oczach przerażonych uczniów porwali Niestrzyżonego.

Wszystko to odbyło się w oka mgnienia. Gdyby nie ślady wielbłądzich kopyt, odcisnięte w grząskim piasku, całe zdarzenie mogłoby się wydać – snem.

Jezus opuszcza Judeę

Gdy rozniosła się wieść po Jerozolimie i Judei o uwięzieniu Johana na ben Zecharia, Judejczycy – a było wśród nich wielu bogobojnych faryzeuszów i uczonych w Piśmie – zapłonęli oburzeniem przeciw bezprawiu tetrarchy i mówili, że tyran pomnożył swoje złe uczynki o jeszcze jeden zły uczynek, najgorszy z najgorszych, za który kiedyś sownie zapłaci przed Panem. Tłum nad Jordanem miotał klątwy na głowę Heroda Antypasa i trwożył się o los Niestrzyżonego.

Żalność ścisnęła serce Jezusa. Brat Pustynny trzykrotnie Go zapowiedział: raz poruszeniem się w łonie swojej matki, po raz drugi głosem na pustyni, a teraz po raz trzeci swoim samopomniejszeniem. Za tę trzykrotną zapowiedź, za to trzykrotne poruszenie się w postaci płodu, głosu i pomniejszenia, Jezus był wdzięczny swojemu bratu i we Wszechmocy swojej bezradności pogrążył się w wielkim żalu, gdyż wiedział, że jest to zapowiedź nieodwołalnie ostatnia.

W owych dniach gromadziły się dokoła Jezusa niezliczone tłumy pokutników. Ponieważ równocześnie przybyli nad Jordan liczni wysłannicy Josefa Kajafy i poczęli z nadmierną bystrością śledzić Jezusa i wyrażać głośno zdziwienie z powodu obecności nad Jordanem wielkiej liczby ludzi, zanurzających się z ufnością w wodzie pod wyciągniętymi dłońmi Jego uczniów, Rabbi postanowił zejść z oczu wysłannikom arcykapłana i opuścić Judeę.

I tak się stało. W Mocy ducha wyruszył wraz z uczniami w drogę powrotną do Galilei.

Spotkanie u studni Jaakowa

Późną nocą doszli do Jaboku. Uczniowie ułożyli się nad rzeką i znużeni szybko usnęli. Jezus czuwał. Wędrując przez Ziemię Pana, wędrował drogami dziejów, które sam przed wiekami wytyczył, a teraz, czujnie pochylony nad własnymi przedwiecznymi tropami, znów powtarzał swoją wędrówkę i szedł za samym sobą jak myśliwy po śladach jelenia, i polował na samego siebie, na swoją obecność przed czasem. Stał nad Jabokiem, nad rzeką Anioła. Tutaj Jahwe poniżył się do roli zwyczajnego zapaśnika o twardych mięśniach i stoczył zwycięską walkę z Jaakowem, któremu w swoim wielkim miłosierdziu pozostawił świadomość zwycięstwa i nadał imię Izrael, a w rzeczywistości zadał mu druzgocącą klęskę i wziął go na całą wieczność w niewolę.

I oto siedzi nad Jabokiem, w miejscu anielsko-człowieczej walki, a tam po drugiej stronie Jordanu widzi w jasnym świetle księżycy góry Efraim, a w górach Efraim między górami Ebal i Garizim, jak między dwiema kolumnami podtrzymującymi strop nieba, ciągnie się urodzajna dolina i leżą miasto Sychar i ruiny miasta Sychem, a między tymi miastami, jak między dwoma strażnikami strzegącymi bezcennego skarbu, na skrzyżowaniu dróg karawanowych biegnących do Jerozolimy, Jordanu i Neapolis, znajduje się oko ziemi, widząca i niezgłębiona studnia Jaakowa. Jest to ziemia patriarchów. Tutaj, pod dębem More, Pan ukazał się Abrahamowi i tę ziemię oddał na wieczną własność jego potomstwu, a po wielu latach rękami Jaakowa wracającego z Padan Aram wykupił ją od synów Chamora za sto kesitów i rękami Jaakowa rozbił tutaj namioty, i rękami Jaakowa wykopał bezdenną, nigdy nie wysychającą studnię żywej wody, beer majim hajim. Dziedzictwo to zostało przypieczętowane grobem ukochanego syna Jaakowa, gdyż tutaj – w myśl swojej ostatniej woli – pochowany był Josef.

Taka była ziemia Jaakowa i Josefa, na którą patrzył Jezus znad brzegów Jaboku, wpadającego w tym miejscu do Jordanu. Dziś zamieszkiwali ją Samarytanie, czyli Kutejczycy, którzy przed wiekami przybyli tutaj na rozkaz króla asyryjskiego Sargona II z dalekiej Kuty, z Persji. Jahwe, którego święta zmysłność nie zna granic, celem nawrócenia pogańskich Samarytan posłużył się pogańską wróżbą. Gdy wśród asyryjskich osadników wybuchła zaraza, radzili się oni wyroczni, co mają uczynić, aby przebłagać gniew bogów, i dowiedzieli się – nie wiadomo, czy ku swojemu przerażeniu, czy radości – że powinni porzucić wiarę ojców i oddać cześć Jahwe, Panu Izraela. Posłuszni Samarytanie złożyli ofiarę Panu, zaraza wygasła, a nowo nawróceni, w dowód wdzięczności, zbudowali na szczycie świętej Góry Garizim świątynię Bogu Niewidzialnemu, a ponieważ każda prawowierność wymaga

niewzruszonego umotywowania w odległym czasie, wczorajsi osadnicy asyryjscy uwierzyli nie tylko, że są potomkami z prostej linii Jaakowa i Josefa, ale również, że Pan złożył w ich dłonie dziedzictwo wiary, co im zresztą nie przeszkadzało, ilekroć chcieli wkupić się w łaskę wschodnich władców, z nie mniejszą dumą przyznawać się do perskiego pochodzenia. Między Izraelem a Samarią panowała wzajemna zażarta nienawiść, która pogłębiała się z wieku na wiek. Samarytanie przeszkadzali Izraelowi w odbudowie Świątyni Pańskiej po jego powrocie z niewoli babilońskiej, a Izrael twierdził, że Samarytanie tylko pozornie wyznają wiarę w Starowiecznego, bo w głębi duszy pozostali nieczystymi bałwochwalcami, co Jezua ben Sira najdosadniej wypowiedział tymi słowami: „Dwa narody ma w nienawiści moja dusza, a trzeci nie jest narodem: którzy siedzą na górze Samarii, Filistyni i głupi goj, który mieszka w Sychem”. Samarytanie, którzy uznawali tylko świętość pięciu zwojów Mojżesza i odrzucili Księgi Psalmów i Proroków, twierdzili w swoim zaciętrzewieniu, że ośrodkiem kultu jedynego Boga nie jest Świątynia Pańska w Jerozolimie, ale świątynia na górze Garizim, a nawet wtedy, gdy ich świątynia legła w gruzach, wierzyli w Obecność Pańską wiecznie czuwającą na górze i na szczycie góry składali Panu ofiary. Ponieważ odrzucili Księgi Psalmów i Proroków, ich wiara w Mesjasza uległa zniekształceniu. Postać samarytańskiego Pomazańca nie wyrosła z gorących objawień Dawida, Jesai, Michy i Zecharii, lecz ukształtowała się na podobieństwo postaci Mojżesza, według słów jego wypowiedzianych do ludu Izraela: „Bóg twój, Pan, wzbudzi ci proroka spośród braci twoich, podobnego do mnie. Jego będziesz słuchał”. Będzie nim, według wierzeń samarytańskich, mąż z pokolenia Lewiego, ale nie będzie większy od Mojżesza – Samarytanie twierdzili: co zrodzone z niewiasty, nie może być większe od Mojżesza – będzie sprawował rządy nad światem przez lat sto dziesięć, a wszystkie narody wraz z Izraelem nawrócą się do Pana mieszkającego na górze Garizim. Po czym Mesjasz – Samarytanie zwali go Taheb, co znaczy Powracający, ale było to określenie sprzeczne z pojęciem Mesjasza w duchu Izraela, który nigdy nie upatrywał w Mesjaszu powracającego podobieństwa Mojżesza – umrze spokojną śmiercią i będzie pochowany na najświętszej górze Samarii. Z powodu tych wszystkich wzajemnych przeciwności i sprzeczności Izrael nienawidził Samarytan, a Samarytanie nienawidzili Izraela, Izrael brzydził się Samarytanami, a Samarytanie często łączyli się z jego wrogami – nie wiedzieli, że już w niedalekiej przyszłości jednaki los jest im pisany z rąk Rzymian – często napadali na pielgrzymów izraelskich, dążących przez ziemię Efraim do Jerozolimy, a synowie Izraela, ilekroć chcieli okazać jawną pogardę różnym odszczepieńcom i bezbożnikom, nazywali ich Samarytanami.

Jezus patrząc na ziemię Efraim znad brzegów Jaboku gorąco zapragnął udać się

do niej śladami swoich dawnych dróg, pochylić się nad żywą wodą w studni Jaakowa ben Jicchak, ojca sprawiedliwego. Była to żywa woda Ojca i Syna. Ta podwójna przynależność studni przyciągała Jezusa. Idąc do niej, szedł do swojego Bytu, do Wody Odcieleśnionej i Niepowtarzalnej, bijącej z głębi Pana, i postanowił objawić nad nią, po raz pierwszy człowieczymi ustami, swój niepowtarzalny Byt. Bo zaprawdę, w jakim innym miejscu mógłby tego dokonać, jeżeli nie nad wodą swojego Ojca? Znowu spojrzał ku ziemi Efraim, szarzejącej na sinym widnokręgu, i przypomniał sobie przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, którą przed laty w noc czuwania, w święto Jom Kippur, opowiedział pielgrzymom w jerozolimskim zajeździe. Uradował się, że swoją obecnością u studni Jaakowa stwierdzi teraz udział biednego i błądzącego ludu – nie wierzyli przecież w Księgi Psalmów i Proroków i w przyjście Mesjasza z rodu Dawida – w zamiarach Wiekuistego. Postanowił, że świadkiem Jego objawionej Obecności – ponieważ przeznaczona była dla ludzi, nie mógł jej ujawnić w nieobecności człowieka – będzie niewiasta prosta i błądząca, jak błądzący byli Samarytanie. Przyjdzie ona do studni w skwarne południe, w czasie sprzecznym ze zwyczajami ludzi tej ziemi – niewiasty szły po wodę wieczorem, po zachodzie słońca – i będzie czerpać wodę ze studni poza czasem wyznaczonym.

Świtało. Obudził uczniów. Odmówili poranną modlitwę, przeprawili się brodem przez Jabok i szli na zachód wzgórzami i dolinami, przez lasy terebintów i drzew morwowych. Z ciekawością rozglądali się wokoło, gdyż niektórzy z nich po raz pierwszy przemierzali ziemię zamieszkałą przez nieczystych Samarytan. Prażył gorący wiatr. Powietrze było jak płynne, rozpalone szkło. Szli już kilka godzin wytężonym marszem, bez wytchnienia. Gdy zmęczeni i złani potem pozostawiali nieco w tyle za Rabbim, szybko podrywali się i kroki swoje równali z Jego krokami. Słońce stało wysoko, gdy ujrzeli z dala szczyt góry Garizim i szeroką, szumiącą zbożem dolinę, która ciągnęła się łagodnie ku wzgórzom Ebal, i dalekie zarysy białego miasta Sychar, ledwo widocznego w oślepiającym skwarze południa. Po lewej stronie, tuż przy drodze prowadzącej do Judei, rosła dąbrowa. Jezus przystanął, a za Nim przystanęli uczniowie. Z trudem oddychali. Spojrzał w głąb doliny. Palcem wskazał las terebintów i polecił uczniom wypocząć w ich cieniu, a potem udać się do Sychar, zakupić tam żywność, ale tylko ser i owoce, bo mięsa, ryb i wina nie wolno było synom Izraela kupować w krainie Samarii. Umówił się z uczniami, że czekać ich będzie na skrzyżowaniu dróg, niedaleko stąd, przy Studni Jaakowa ben Jicchak. Uczniowie pobiegli do lasu i z zadowoleniem ułożyli się w cieniu terebintów.

Jezus szedł przed siebie lekko pochylony i wpatrywał się w szmaragdową przestrzeń, obrzeżoną górami i niebem, aż wreszcie stanął na skrzyżowaniu dróg

przed świętą studnią praojca. Była taka sama jak przed wiekami, gdy Jaakow i jego synowie po wielu tygodniach pracy ujrzeli na jej dnie szumiące Słowo Pańskie w postaci żywej wody, majim hajim, i wśród śpiewów i tańców ujeli ją w kamienną cembrowinę, i błogosławili Panu za łaskę objawienia nigdy nie wysychającej Mądrości. Jezus pochylił się nad źródłem chwały Pańskiej, spojrzął w jego głąb i wyciągnąwszy nad nim ręce powtórzył gest swojego Ojca, i był razem z Nim, z Ojcem swoim, i objął dłońmi dziedzictwo swoje, swoją majątność, wodę żywą, mającą kształt studni.

Usiadł na kamieniu i czekał. Zbliżała się. Słyszał wyraźnie stąpanie jej lekkich kroków. Była szczupła, średniego wzrostu; na wąskich ramionach osadzona była mała, kształtna głowa, twarz o lekko skośnych, błyszczących oczach i grubych wargach. Szedł od niej zapach mocnego pachnidła. Przystanęła. Oparła dzban o brzeg studni, a czerpak z obciążającym go kamieniem i sznur położyła na ziemi. Jednym baczny spojrzeniem zmierzyła obcego człowieka i po okrytych pyłem sandałach i tunice natychmiast zmiarkowała, że jest przybyszem z dalekich stron.

– Daj mi pić, niewiasto – rzekł Jezus. Akcent zdradził Jego pochodzenie.

– Jesteś synem Izraela? – spytała. Jezus potaknął głową.

– Jakże to się dzieje, że Ty, syn Izraela, prosisz mnie, która jestem niewiastą samarytańską, o wodę? – w jej lśniących oczach ukazał się złośliwy błysk.

– Cóż z tego, że jestem synem Izraela? Gdybyś znała Łaskę Pana i wiedziała, kim jest Ten, który cię prosi o wodę, wtedy prosiłabyś Go sama o wodę żywą – odpowiedział Jezus z lekkim wyrzutem w głosie.

Niewiasta pomyślała: „Dlaczego powołał się na Łaskę Pana? Skąd mogę wiedzieć, kim on jest? Powiedział, że gdybym wiedziała, kim on jest!... Cóż to za pyszałkowaty syn Izraela!” – Wezbrała w niej duma ludu wywodzącego się od Jaakowa ben Jicchak. Uśmiechnęła się drwiąco i rzekła:

– A jak czerpać będziesz tę żywą wodę, skoro nie masz nawet czerpaka? Jak weźmiesz tę wodę? A może ty jesteś większy od ojca naszego Jaakowa, który dał nam tę studnię, sam z niej pił i pili jego synowie, i piły jego trzody?

Mówił do niej na próżno, ale musiał mówić, albowiem pragnął, aby woda żywa, słuchająca uszami Jaakowa-Ojca i Josefa-Syna, była świadkiem tej rozmowy z człowiekiem błędzącym i zaświadczyła przed swoim obliczem i obliczem czasu, że nie ominął nikogo, nawet nieczystej krainy Samarii.

Więc odpowiedział, mówiąc:

– Każdy, kto pije wodę ze źródła, znowu pragnąć będzie. Ale kto napije się wody, którą Ja mu dam, nie będzie miał pragnienia na wieki. Woda ta stanie się w nim źródłem wody tryskającej ku wiecznemu żywotowi.

Niewiasta pomyślała: „O czym on mówi? Co to jest za woda, po której wypiciu człowiek już więcej nie będzie spragniony? Czy istnieje taka woda? On chyba kpi”.

Uśmiechnęła się z drwiącym niedowierzaniem i rzekła:

– Daj mi tej wody, Panie, abym już więcej nie miała pragnienia i nie przychodziła tutaj czerpać wody.

Jezus dobrodusznie uśmiechnął się nad jej drwiną i rzekł:

– Idź, niewiasto, zawołaj swego męża i wróć z nim tutaj.

Blask przygaś w jej lekko skośnych oczach. Nie patrząc na Jezusa, odparła z niedbałą niechęcią:

– Nie mam męża.

– Dobrze powiedziałaś, że nie masz męża – słowa Jezusa brzmiały spokojnie, twardo, metalicznie, jak miarowe uderzenia młota o martwy kamień. – Albowiem miałaś pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, również nie jest twoim mężem.

Tu urwał. Podniósł nieco głos, jak kamieniarz podnosi młot do powtórnego i decydującego uderzenia, i doda ł:

– Prawd ę mówi łaś.

Niewiasta przetarła oczy. Cofnęła się i z trudem wyjąkała:

– Panie, ty jesteś Widzący.

Poczuła trzepotanie serca. Ten nieznan y mąż izraelski, obdarzony Bożym darem przenikania ludzi i ukrytych zdarzeń ujrzał całą nędzę jej życia. Kim on jest? Kim jest ów tajemniczy człowiek z dalekich stron, który widząc ją po raz pierwszy w życiu wszystko o niej wie? Czy ma upaść na twarz przed synem znieawidzonego ludu i złożyć mu pokłon? Z jej unizonego wnętrza zniknęła drwina, ulotniła się przekora i pozostały tylko żal i okrutna świadomość, że ten nieznajomy – na pewno jest mężem natchnionym przez Pana, skoro widzi i czyta ukryte – czuje niechęć do ludu Samarytan i za nic mając wiarę jej ojców, z pogardą patrzy na świętą górę Garizim. Ukorzyła się w sercu swoim przed Widzącym, ale nie mogła się ukorzyć przed synem Izraela. Nie pozwalała jej na to samarytańska duma, jej pochodzenie od błogosławionego szczepu Jaakowa i Josefa. Więc odpowiadając mu, rzekła:

– Ojcowie nasi na tej górze – tu palcem wskazała na górę Garizim – oddawali cześć Panu, wy zaś mówicie – ciągnęła z gorzkim wyrzutem – że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy chwalić Pana.

Wciąż mówił do niej na próżno, bo wprawdzie uwierzyła w Jego moc, ale tylko w moc Jego jasnowidzenia. O, dzieci Izraela, czekające na znaki! O, Nathanaelu! O, bracia z Kany Galilejskiej! O, bracia z nad Jam Kinereth! Ale czy ci, którzy za Nim poszli, uwierzyli naprawdę w to, w co powinni byli uwierzyć? Albo czy ona, ta samarytańska niewiasta, uwierzyła w to, w co powinna była uwierzyć? Mówił do

niej na próżno, ale musiał mówić, aby woda żywa, słuchająca uszami Jaakowa-Ojca i Josefa-Syna, była świadkiem tej rozmowy z człowiekiem błędzącym i zaświadczyła przed swoim obliczem i obliczem czasu – o, święty obowiązkowi nieustannych zaświadczeń! – że mówił nad nią o woli Pana, którą musi spełnić, o gniewie Pańskim płonącym nad Ziemią Świętą, o wygaszonych ogniach ofiarnych na górze Morii i górze Garizim, o zrozumieniu i świadomości wiary, która jest w Izraelu, i o zbawieniu, które przyjdzie od proroków głoszących przyjście Przybyłego, od ludu Izraela, a nie od Samarytan czekających bezskutecznie na powracającego Taheba – Mojżesza.

Więc odpowiadając jej, mówił:

– Niewiasto, wierz mi, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze – tu wskazał na górę Garizim – ani w Jerozolimie nie będziecie oddawali czci Ojcu. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, bo Zbawienie pochodzi od ludu Izraela. Lecz nadchodzi godzina, gdy prawdziwi czciciele będą chwalić Ojca w Duchu i Prawdzie. Albowiem takich czcicieli szuka Ojciec. Pan jest Duchem, a ci, którzy Mu cześć oddają, winni Mu ją oddawać w Duchu i Prawdzie.

Biedna, prosta Samarytanka nie zdążyła za biegiem Jezusowej myśli. Będąc pod nieprzepartym wrażeniem Jego jasnowidzenia i całkowicie poddana temu olśniewającemu zjawisku, onieśmielona uczonością wypowiedzi, nawet nie kwapiła się jej zrozumieć – byłby to zresztą wysiłek daremny – więc prosto odpowiedziała, według swojej skromnej i nieuczonej wiedzy, lecz nie wiedziała, że całe to spotkanie odbyło się właśnie po to, aby jej usta wypowiedziały słowa, za którymi starała się ukryć, bo na te słowa czekał Jezus i czekała żywa woda w studni, słuchająca uszami Jaakowa-Ojca i Josefa-Syna, i czekał czas Izraela.

Rzekła szeptem, zawstydzona swoją nieuczonością:

– Wiem, że ma przyjść Mesjasz, a gdy przyjdzie, wszystko nam oznajmi.

Jezus zakrył twarz dłońmi. Od wschodu zerwał się porywisty wiatr. Drzewa ugięły się aż do ziemi, góry zniżyły się i rzeki stanęły w swoim biegu. Duch Jahwe różgą swoich ust i tchnieniem swoich warg uderzył w bezbożnych i rozpoczął się sąd nad człowiekiem, ziemią i wodami. Sprawiedliwość i wierność była przepaską Jego łądzwi. Jego spojrzenie wstrząsało całym wszechświatem i rozświetlało go od początku aż do końca nieskończoności: JA JESTEM!... JA JESTEM!... JA JESTEM!... Szedł Byt niedościgły, szedł w czasie dokonanym, przeszłym i przyszłym, ognisty JA JESTEM, szedł przez ziemię i wstrząsał jej obliczem. Ziemia pękała pęknięciem, kruszyła się kruszeniem, wstrząsała się wstrząsami pod ognistym wichrem, pod Jego przybierającym spojrzeniem: JA JESTEM! Ogień tych słów runął na obrzezanego i nieobrzezanego, na synów Izraela, na synów Samarii, na Micraim, na Edom, na

Jawan, na Romeę, na Kittim, na synów Ammona i na synów Moabu, na wszystkich mieszkańców ziemi, albowiem wszystkie ludy były nieobrzezane, i nieobrzezanego serca był każdy dom Izraela! JA JESTEM! JA JESTEM! JA JESTEM! JA JESTEM WIEKUISTY, BÓG WASZ, którego podobieństwo w sobie dźwigacie!

Powoli nacichał miłosierny gniew. Utrapiwszy ich utrapieniem swojej Nauki i wypróbował ich w ogniu i w piecach bóleści, oczyścił ich jak srebro i złoto, i odebrał im trwogę przemijania w czasie i trud istnienia w przestrzeni. Począł padać łagodny, ciepły, przebaczący deszcz Łaski, padał cicho na wszystkich ludzi, na synów Izraela, na synów Samarii, na krainę Micraim, na Edom, na Jawan, na Romeę, na Kittim, na synów Ammona i na synów Moabu, i zmywał z nich wszystko, co nie było podobieństwem Bożym, i padał tak długo, aż stali się czystym podobieństwem Bożym, i niczym więcej nie byli jak tylko podobieństwem Bożym, bezcielesno-cielesnymi postaciami. Ich prześwitująca bezcielesność była niepokalana, a ich rozpogodzona cielesność była tylko czystym, świetlnym zarysem radosnej bezcielesności.

Wtedy Jezus pochylił się nisko nad żywą wodą, nad majim hajim, i wypowiedział o sobie nad studnią praojców, wypowiedział o sobie po raz pierwszy na ziemi ustami z ciała i krwi, wypowiedział dwa słowa samoobjawiające Jego moc i chwałę:

– JA JESTEM, ten, który mówię z tobą.

W tej chwili nadeszli uczniowie i przynieśli zakupione w Sychar owoce i sery. Ujrawszy Jezusa rozmawiającego z niewiastą, zdziwili się bardzo, bo u synów Izraela nie było w zwyczaju rozmawiać z kobietą na ulicy lub na polu, na domiar z obcą, z Samarytanką, pochodzącą z ludu nieczystego. Zatrzymali się zdumieni i nie wiedzieli, co począć: czy mają podejść, czy mają stać z dala, czy mają odwrócić głowy, czy mają patrzeć przed siebie, czy mają milczeć, czy mają pytać. Stali zakłopotani i dopiero gdy niewiasta pospiesznie się oddaliła – uczniowie domyślili się, że powróci, bo zostawiła u studni pusty dzban i czerpak – podeszli do Jezusa i widząc Jego zmęczenie, podali Mu ser i owoce, mówiąc:

– Jedz, Rabbi.

Jezus uczynił przeczący ruch dłonią i rzekł: – Ja mam inny pokarm do jedzenia, o którym wy nie wiecie.

Wówczas Nathanael ben Tolmaj, zwróciwszy się do stojącego obok niego Filipa, spytał szeptem:

– Czyżby Mu ktoś przyniósł jedzenie?

Jezus usłyszał to pytanie i pomyślał z żalem o swoich uczniach, którzy podobnie jak prosta i nieuczona Samarytanką niczego nie umieją dopatrzeć się w Jego słowach poza ich codziennym i obiegowym znaczeniem, jak gdyby to, co mówił, było

jednoznaczne i dosłowne. A przecież wszystko, co mówi, ma znaczenie jawne i ukryte i w każdym Jego słowie są równocześnie niebiosy i ziemia, związane z sobą nierozdzielalnym przymierzem, i tak są sobą wzajemnie przeniknięte, że nie można ich rozłączyć ani rozdzielić, a kto w nich widzi jawną ziemię, tak samo ich nie rozumie, jak ten, który widzi w nich tylko ukryte niebo. A przecież ci ludzie, synowie ludu wybranego, przeniknięci od wczesnego dzieciństwa słowami Pisma Świętego, nakarmieni nim do syta i obznajomieni zarówno z jego sensem jawnym, jak i ukrytym, powinni bez trudu czytać w Jego słowach ich sens jawny i ukryty. A jednak są do tego tak samo nie przygotowani jak biedna, prosta, zbłąkana Samarytanka, i – tu westchnął jak wiele będzie musiał się namozolić, zanim swoim mózgiem nauczy ich trudnej umiejętności czytania Jego słów i w Jego słowach.

Więc rzekł do nich:

– Moim pokarmem – tu przeczącym ruchem palca wskazał na ser i owoce, które Nathanael trzymał w wyciągniętych przed siebie dłoniach – jest pełnić wolę Tego, który mnie posłał, i dokonać Jego dzieła.

A potem, ciągnąc dalej, mówił im o żniwach, które wkrótce nadejdą. Uczniowie, zbierając plony, odbiorą zapłatę na żywot wieczny i wspólna będzie Jego i ich radość, Jego, który siał, i ich, którzy zbierali. Ale tu dodał z goryczą, że niewielki jest ich udział w siewie. On będzie się maził – słowa te wypowiedział z bolesnym wyrzutem – a oni wejdą bez trudu w Jego mazi.

Stali z opuszczonymi głowami, przytłoczeni Jego wyznaniem o mazi. Nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Na szczęście ich kłopotliwe zawstydzenie przerwał nagły powrót niewiasty w towarzystwie kilku Samarytan, którzy dowiedziawszy się od niej o tajemniczym Widzącym pragnęli ujrzeć Go i głośno wypowiedzieć swój podziw dla Jego daru jasnowidzenia.

Działo się to w małym miasteczku

1

W Galilei, dokąd Jezus z uczniami udał się z Samarii, mieszkańcy powitali Go serdecznie, bo cud, którego dokonał w Kanie, i wieści o Jego mowach i naukach, wygłaszanych nad Jordanem, szeroko rozśławiły Jego imię.

Działo się to w małym miasteczku galilejskim – może w Naim, może w Endor, może w Beth Maon – Jezus i uczniowie zatrzymali się na noc w domu pewnego pobożnego faryzeusza, który chętnie udzielił gościny przybyszom mającym wśród siebie Męża świątobliwego i uczonego, cudotwórcę błogosławionego przez Pana.

Była noc, jedna z owych galilejskich nocy podczas pełni księżyca, gdy niebo zniża

się ku ziemi, a ziemia podnosi się ku niebu.

Jezus siedział przed domem, na progu. Lada dzień rozpocznie swoje nauczanie w Galilei i będzie synom Izraela opowiadał wieść o wielkim szczęściu, zamkniętym w ogrodach ze światła i barw, w krainie czasu zatrzymanego w biegu, w Bycie wyzwolonym z przyczyn i skutków, w pełni doskonałej terażniejszości, wyobrażonej w symbolicznej rzece, płynącej miodem i mlekiem. Pan nazwał to szczęście Malchut Haszamajim, Królestwem Niebieskim. Tym Królestwem pocieszał lud swój, a Izrael, jakkolwiek nie wiedział, co kryje się w rzeczywistości za dwoma słowami tej Obietnicy, zawsze jednak upatrywał w niej swoją radosną i szczęśliwą przyszłość i ostateczny cel swojej drogi. Dlatego w tych dwóch słowach Obietnicy i nadziei Jezus postanowił ujawnić i ukryć swoje oblicze, z tych dwóch słów uczynił zasłonę dla siebie i tymi dwoma słowami określił siebie i swoje działanie. Ilekroć więc mówić będzie o Malchut Haszamajim, mówić będzie o sobie i swojej widzialnej niewidzialności.

Ponieważ w świadomości synów Izraela Niewidzialny był tak rzeczywisty jak chleb i winnica, jak zboże i ziarno, jak sieć rybacka i skarb znaleziony w ziemi, jak perła i kwas chlebowy – o czym już raz mimochodem pisaliśmy – a udział Pana w codziennym życiu ludu wybranego był prawdą najbardziej oczywistą, dotykającą i niezliczoną ilość razy stwierdzoną doświadczeniem dziejów, i cokolwiek się zdarzyło, nie mogło się zdarzyć bez woli Boskiej, Jezus złożoną tajemnicę Królestwa Bożego postanowił przetłumaczyć na obiegową mowę przypowieści o chlebie i winnicy, o zbożu i ziarnie, o sieci i skarbie, o perle i kwasie, ale słowa te uczynił znakami, z których każdy patrzył Jego oczami i mówił Jego ustami. Tak powstała podwójna hierarchia utajenia – utajone imię, utajone oczy i utajone usta w obrazowej szacie podobieństwa, i dzięki tej bezpiecznej osłonie każdy syn Izraela, po raz pierwszy od początku dziejów objawionej Tajemnicy, mógł się do Niej zbliżyć bez obawy porażenia od Jej ognia i światłości.

2

Działo się to w małym miasteczku galilejskim – może w Naim, może w Endor, może w Beth Maon, a może w Tarychei – Jezus siedział na kamieniu, pod terebintem, a przed Nim półkolem, twarzami do Niego zwróceni, siedzieli na ziemi uczniowie, a za nimi zgromadził się tłum Galilejczyków, których przywiodła tutaj bądź pobożność i pragnienie usłyszenia Słowa Bożego, bądź pusta chęć ujżenia cudotwórcy zmieniającego wodę w wyborne wino. Ale owych bezmyślnych gapiów – nie brak ich na całym świecie – nie należy potępiać. Często się zdarza, że

ten, który przybywa na spotkanie dla niestosownej ciekawości, wychodzi z niego głęboko skruszony i wstrząśnięty. Wszystko, co się dzieje w człowieku i dokoła niego, daje mu szansę pogłębienia wiedzy o Elohim i Jego Nauce, i tylko od człowieka zależy, czy potrafi ze swojej pustki, nędzy i bezmyślności wyciągnąć korzyść dla własnej duszy. Tu musimy zaznaczyć, że wprawdzie wielu przybyło na spotkanie z Jezusem jedynie dla chęci uczestniczenia w rozmowie z Człowiekiem, dokonywającym niezwykłych czynów – jednak wszyscy oni zachowali dużą wstrzemięźliwość w stawianiu pytań i ani razu nie zagadnęli Rabbiego o cud w Kanie, chociaż wciąż krążyli myślami dokoła tego zdarzenia i chętnie by usłyszeli z Jego ust jakieś wyjaśnienie, które by jeszcze bardziej podrażniło ich wyobraźnię. Mówili o sobie. Opowiadali o swojej niedoli, o troskach rodzinnych, o ciężkiej pracy, o kłopotach dnia powszedniego, o chorobach, smutku, a im głębiej wchodzili w historię swojej udreki, tym głośniejszy i bardziej żywiołowo wyrażali gnębiące ich uczucia, prześcigając się w używaniu jaskrawych barw dla odmalowania swojego trudnego życia. Wysypywali przed Jezusem swoją boleść i wyrażali gorącą wiarę w przyjście Mesjasza, który wyzwoli Jeszuruna ze wszelkiego ucisku, a przede wszystkim z niewoli rzymskiej, i da znów całemu ludowi, wszystkim razem i każdemu z osobna, pełnię dobra i szczęścia. Umilkli i patrzyli na Jezusa, czekając, aż zacznie mówić i mową swoją ich pocieszy, i potwierdzi ich nadzieję, która właściwie nigdy nie była w pełnym tego słowa znaczeniu nadzieją, lecz czymś o wiele potężniejszym od nadziei, bo niezachwianą pewnością. Pragnęli, aby ich w tej pewności umocnił, wyjawiał czas przyjścia Mesjasza i opowiedział im o cudownych znakach, poprzedzających Jego zjawienie się na ziemi. Jest mędrce i cudotwórcą. Zamienił wodę w wino. Powinien znać ten czas i powinien znać wszystkie znaki czasu zwiastujące radość.

Jezus zamknął powieki i głowę oparł na dłoni. Łagodnie-surowy wyraz Jego twarzy świadczył, że słucha ich z natężoną uwagą i ani jedno słowo nie przechodzi mimo Jego uszu. Nagle usłyszał pytanie wypowiedziane błagalnym głosem przez jednego z Galilejczyków:

– Powiedz nam, Rabbi, kiedy przyjdzie Meszjach, obiecany przez Pana?

Podniósł powieki. Znając zamiłowanie ludu Izraela do obrazowych podobieństw, sięgnął do swojej pamięci i wydobył z niej przypowieść, którą jeszcze przed wiekami stworzył, a przed wielu laty podsunął swojemu ojcu nie-ojcu, Josefowi ben Jaakow. Opowiedział ją teraz, a oni, słuchając jej, widzieli ją, a widząc rozkoszowali się nią do syta:

– Kto ma uszy, niechaj słucha – ciągnął Jezus. – Podobne jest Królestwo Niebieskie do skarbu ukrytego w roli, który człowiek znalazł, ukrył, a uradowany odchodzi

i sprzedaje wszystko, co ma, i kupuje ową rolę.

Galilejczycy potakiwali głowami.

A Jezus ciągnął dalej:

– Niekiedy podobne jest Królestwo Niebieskie do kupca szukającego pięknych pereł, który znalazł jedną perłę drogocenną, sprzedał wszystko, co miał, i kupił ją.

Galilejczycy wciąż potakiwali głowami, ale w duchu dziwili się, dlaczego Rabbi opowiada im przypowieści o Królestwie Niebieskim, skoro oni prosili Go, aby im wyjawiał, kiedy przyjdzie Meszjach. Jak może przyjść Królestwo Niebieskie, skoro nie ma Mesjasza, który jest tego Królestwa jawnym znakiem? Przecież Malchut Haszamajim jest owocem z Jego drzewa, jak więc może istnieć owoc, skoro jeszcze nie ma drzewa? Jak więc mają wyrzec się wszystkiego – zrozumieli, że myśl tej przypowieści polega na wyrzeczeniu się wszystkich wartości doczesnych dla zdobycia Królestwa Niebieskiego – skoro jeszcze nie zjawił się Meszasz, a oni poza pewnością Jego zjawienia się nie mają żadnych dowodów Jego przyjścia? Z doświadczeń odziedziczonych po ojcach wiedzieli, że bezpieczniej jest nie zapuszczać się zbyt daleko w zawiłą tajemnicę Elohim, a ilekroć stają przed zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi do jej wnętrza, nie powinni ich uchylać, bo to, co jest zamknięte, powinno być zamknięte przed oczami ludzi niegodnych i niepowołanych. Gdy Pan chce coś ujawnić przed ludźmi ze swojej tajemnicy – a niekiedy przecież się zdarza, że ujawnia – sam nieco unosi zasłonę, ale tylko tyle, ile zamierzył, i biada temu, kto się ośmieli ujrzeć więcej ponad to, co Pan w swej łaskawości zamierzył przed nimi odsłonić. Galilejczycy oraz uczniowie, których trawiła ta sama rozterka, słuchając przypowieści Jezusowych domyślili się, że poza zasłoną przypowieści, podobieństwa i obrazu kryje się oblicze Elohim – tu znowu przypomnieli sobie cudowne zdarzenie w Kanie – i dlatego stanęli w czołobitnej postawie u nieprzekraczalnego progu i nie odważyli się postąpić naprzód. Tylko jeden z Galilejczyków, zdjęty strachem o swój własny los, spytał niepewnym głosem:

– Kto wejdzie, Rabbi, do tego Królestwa Niebieskiego? A Jezus, odpowiadając, rzekł:

– Królestwo Niebieskie podobne jest do sieci zapuszczonej w morze i zagarniającej ryby wszelkiego rodzaju. A gdy była pełna i wyciągnęli ją na brzeg, usiedli i dobre wybierali do naczyń, a złe odrzucali. Podobnie będzie przy końcu świata. Wyjdą aniołowie i wyłączą złych spośród sprawiedliwych. A potem wrzucą ich do pieca ognistego. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Przypowieść ta uczyniła na nich głębokie wrażenie. Słusznie mówił Rabbi o odłączeniu ryb dobrych od złych. Wielu spośród nich było rybakami i sami po każdym połowie przebiegali ryby w sieci, pokryte łuskami wrzucali do koszów,

a beżłuskie, nieczyste, w myśl wyraźnego nakazu Pana, wrzucali do Jam Kinereth. Rozumieli również świetnie obraz aniołów i pieców ognistych, bo przez całe swoje życie prawie codziennie ocierali się o aniołów i piece ogniste, i wszyscy ich przodkowie z szacunkiem i trwogą kłaniali się niewidzialnym mężom niebieskim i piecom ognistym, niewidzialnym miejscom sądu wyrokującego o każdej ich myśli i o każdym ich uczynku. Ale czy Królestwo Niebieskie zapanuje dopiero be acharit hajamim, w dni ostateczne, gdy nastąpi techijat hamejtim, zmartwychwstanie umarłych, gdy zagrają szofary i wielki będzie ścisk i lament w dolinie Josefata? Czy więc nie doczekają się za swojego życia przyjścia Mesjasza ani zwycięstwa Izraela nad Gogiem i Magogiem, i rzymskimi synami Beliala? I czy żywymi oczami nie będą oglądać plonów z ziemi samorodzącej i obfitości w swoich spichlerzach? Rabbi Jezua ben Josef nic o tych sprawach nie mówił. Nie mówił o pokonanych Rzymianach ani o ludach kłaniających się Izraelowi, ani o urodzajach samorodzącej ziemi. Czy więc mają czekać całą wieczność na ten błogosławiony czas Królestwa Niebieskiego, o którego przyjście codziennie żarliwie się modlą?

Jezus podniósł się.

Znał ich zamiłowanie do wszystkiego, co stare, zatwierdzone, doświadczone i sprawdzone dobroczynnym działaniem praojców, i znał ich nieufność i niechęć do wszystkiego, co nowe, co jeszcze płynne i falujące. Gdy wędrowali przez pustynię, wyprowadzeni przez Elohim z Micraim, i szli w Nowe, poczęli przeciw Panu sarkać, szemrać i burzyć się i zapragnęli powrotu do Starego, nad brzegi Nilu, do gorzkiej i starej niewoli, którą jeszcze czuli na swoich grzbietach. Nie chcieli iść przed siebie w Nowe, płynne, falujące i jeszcze nie ustalone. A przecież dobrze wiedzieli, że Pan to Nowe ustalił, umocnił i zatwierdził. Cali żyli w Starym – które kochali – zapowiadającym Nowe – które również kochali – a aczkolwiek tą zapowiedzią oddychali, karmili się i zwróceniu do niej twarzą czekali na jej urzeczywistnienie, jednak ogarniał ich lęk na każdą myśl o Nowym, jakby w tym Nowym było coś, co przeczy Staremu, co mu zagraża, co je obezwładnia, a może nawet unicestwia. Jezus więc, odpowiadając im, rzekł:

– Każdy uczony, biegły w nauce o Królestwie Niebieskim, podobny jest do gospodarza, który ze swojego skarbcza wydobywa rzeczy nowe i stare.

Tą odpowiedzią dał im do zrozumienia, że Królestwo Niebieskie jest skarbnicą, w której w osobliwy sposób mieści się równocześnie Stare i Nowe, przeto niechaj nie lękają się Nowego, bo Mędrzec-Gospodarz nigdy by nie przechowywał w jednej skrzyni Nowego razem ze Starym, gdyby Nowe było złe, a Stare dobre, albo Stare było złe, a Nowe dobre, bo nikt nie chowa razem w jednym skarbcu rzeczy bezwartościowych z wartościowymi, ale bezwartościowe odrzuca, a wartościowe

zachowuje. Z tego wynika, że Stare i Nowe znajdzie w Malchut Haszamajim swoje bezpieczne gniazdo, a wtajemniczonym w wartości tego skarbu będzie tylko ten, który rozumie mądrość Starego i Nowego.

– Wypełnił się czas – rzekł do nich Jezus – i przybliżyło się do was Królestwo Niebieskie. Czyńcie zatem pokutę i wierzcie Dobrej Nowinie.

Wypowiedziawszy te słowa, Jezus rozpuścił rzeszę, która wróciła do domu, a sam wraz z uczniami udał się w dalszą drogę. Po pewnym czasie Jaakow ben Halfi, zrównawszy swój krok z krokiem Jezusa, tak rzekł do Niego:

– Myśmy wszystkiego się wyrzekli i poszli za naszym Rabbim, Jeszua ben Josef. Niechaj nam Rabbi powie, czego jeszcze mamy się wyrzec, aby wejść do Królestwa Niebieskiego.

Ale Jezus milczał.

3

Działo się to w małym miasteczku galilejskim – może w Naim, może w Endor, może w Beth Maon, a może nawet w Magdali nad Jam Kinereth. Był szósty dzień tygodnia. Mieszkańcy ze czcią podejmowali u siebie Rabbiego, a ros z hakneseth zaprosił Go wraz z uczniami do swojego domu na uroczysty wieczór powitania Szabatu. Posadził Go za stołem na honorowym miejscu, a po uczcie, gdy biesiadnicy śpiewali psalmy pochwalne i pieśni dziękczynne, wyraził gorącą prośbę w imieniu wszystkich bogobojnych, aby błogosławiony Gość zechciał jutro wygłosić kazanie w synagodze. Jezus zgodził się.

Następnego dnia Rabbi wstąpił na bimah i wśród niezmaconej ciszy, która zaległa dom modlitwy, odczytał dwa wersety ze Zwoju proroka Jesai:

– „Zaprawdę, Ty jesteś Bóg ukryty. Bóg Izraela, Zbawiciel! Zawstydzili się i zmieszali wszyscy, razem odeszli z hańbą twórcy rzeźbionych bogów. Izrael zbawiony jest przez Pana zbawieniem wiecznym”.

Jezus, odczytawszy te słowa, podciągnął chustę modlitewną na ramiona, nieco odgarnął ją z czoła, pogładził brodę i ważąc każde słowo z osobna, prawie szeptem powtórnie odczytał – Pisma Świętego nie wolno było na bimah cytować z pamięci – pierwsze słowa wersetu:

– „Zaprawdę, Ty jesteś Bóg ukryty, Bóg Izraela, Zbawiciel!”

Dłonie Jezusa zbliżały się ku sobie i oddalały spokojnym, jednostajnym ruchem, jakby rozsuwały, to znów zapuszczały niewidzialną zasłonę. I wtedy Jezus po raz trzeci odczytał ten sam werset, ale głos Jego brzmiał teraz mocno, surowo:

– „Zaprawdę, Ty jesteś Bóg ukryty, Bóg Izraela, Zbawiciel!”

Począł mówić. Mówił słowami napominającymi. Ostrzegały one synów Izraela przed pyszałkowatym spełnianiem na pokaz uczynków sprawiedliwych, bo takie uczynki nie mają żadnej wartości przed obliczem Pana, który ich nie nagrodzi, a może nawet nie dostrzeże – nie dostrzeże, ale widzi – a czegokolwiek Pan nie dostrzeże, skazane jest na nieistnienie.

Zatem ten i ów niepotrzebnie i bezskutecznie wystawia na pokaz swoje uczynki i stroi się w nie samochwalczo, bo jeżeli nawet są naprawdę piękne i dobre, będą potępione dla swojej próżności, a Bóg odwróci od nich swoją twarz i nie zaznają łaski w Jego oczach! Dla tych samych powodów synowie Izraela, którzy rozdają jałmużnę biednym, nie powinni o tym wokoło trąbić, jak to często dla pustej chwały ludzkiej czynią obłudnicy w synagogach, na ulicach i placach, bo nagrody swojej na pewno nie odbiorą! Dobre uczynki powinny być spełniane w ukryciu, w najgęstszym cieniu, poza chmurą, a wtedy każdy z nich będzie miał wagę świętości i w każdym z nich będzie ukryty Bóg, albowiem ukryty i bezimienny Bóg, Zbawiciel – słyszeliście, co o Nim powiedział prorok Jesaja! – ukryty w jawnym utajeniu i w bezimienności, umiłował dobre uczynki dokonywane w ukryciu i umiłował bezimiennosc dobrych uczynków, bo powtarzają one Jego ukrycie i Jego bezimiennosc i są tego ukrycia i bezimiennosci cieniem, echem i podobieństwem. Bóg ukryty przenika wszelkie dobro ukryte, pomnaża je i nagradza! Dla tych samych powodów, ilekroć synowie Izraela się modlą, nie powinni modlić się jak obłudnicy, dla popisania się swoją pobożnością w synagogach i na ulicach. Ich modlitwa nie zazna wtedy łaski przed Panem i nie otrzyma swojej zapłaty. Niechaj syn Izraela, modląc się, wejdzie do swojej komory, a zamknawszy za sobą drzwi, modli się w ukryciu do Pana ukrytego – słyszeliście, co mówił o Nim prorok Jesaja! – a Bóg w niebiosach, Elohim ukryty, odpłaci mu sowicie. Niechaj pamiętają wszyscy modlący się w synagogach, na ulicach, na placach i w domach swoich wśród swoich domowników, niechaj pamiętają, że modląc się w wielkim zgromadzeniu i we wszelkiej radzie zawsze powinni modlić się w ukryciu, w komnacie swojej duszy, przy zamkniętych drzwiach duszy, a nie na pokaz, dla cudzych oczu, cudzej pochwały i cudzej ciekawości. A modląc się, niechaj nie modlą się wielomównością i gadatliwością swoich modlitw, niezliczoną ilością słów, jak to czynią ludy pogańskie, ale niechaj się modlą słowami nielicznymi, najważniejszymi i skupionymi, skromnością i zwięzłością swoich słów, bo Pan umiłował tylko słowa najważniejsze i tylko one będą przez Niego wysłuchane. Bóg, Ojciec Niebieski wie, czego synowie Adama potrzebują pierwej, nim Go o to proszą, dlatego nie w liczbie słów upatruje ich moc i pokorę, ale w tym, co zawierają w swojej nieliczności. Dla tych samych powodów, ilekroć synowie Izraela poszczą, niechaj nie czynią tego na pokaz, jak to czynią

obludnicy, którzy twarze nacierają popiołem, aby ludziom pokazać swoją skruchę, ale niechaj twarz swoją umyją i głowę namaszczą pachnącą oliwą, aby nikt nie wiedział, że poszczą, prócz Boga, Zbawiciela, który jest ukryty – słyszeliście, co mówił o Nim prorok Jesaja! – a wtedy Pan, Pan ukryty w bezimienności, nagrodzi ukryty i bezimienny post. Skończył.

A oni nie rozumieli, dlaczego mają w ukryciu pościć i dobrze czynić, a słowa ich żarliwych modłów mają być skąpe i nieliczne.

Powrót do Kany Galilejskiej

Słońce wzeszło zza gór Golan, a wtedy woda w jeziorze Genezareth stała się tak przezroczysta, że widać było jej dno usłane drobnym piaskiem. Siwy Hermon przemienił się nagle w dorodnego młodzieńca, a nawet bezbożna, grzeszna Tyberiada, zbudowana wbrew woli Pana na starych cmentarzach – Jezus z tego powodu nigdy nie przekroczył jej granic – wydała się czystą oblubienicą, źródłem zapieczętowanym.

Rabbi po zmówieniu wraz z uczniami modlitwy porannej udał się nad jezioro, usiadł nad wodą i patrzył ku Bethsaidzie i Kfar Nahum, na pokryty łąkami łagodny brzeg półkolistej zatoki, i myślami był przy swoich czekających uczniach, którzy jeszcze nie byli Jego uczniami. Postanowił wrócić do Kany, aby w mieście, w którym przed niedawnym czasem dokonał cudownej przemiany wody w wino, dokonać w tym samym duchu drugiego cudu nad glinianą kruchością człowieka, cudu przywróconego zdrowia. Oba te cuda miały zaświadczyć – jak wiemy – przed czekającymi uczniami o prawdzie Jego posłannictwa. Podniósł się z ziemi, a wraz z Nim podnieśli się uczniowie. Ruszyli w drogę i szli miedzą wśród zbóż krainy Genezar.

Uczniowie, jak było w ich zwyczaju, szli posłusznie za Jezusem i nie pytali, dokąd i po co idą. Ta wstrzemięźliwość w stawianiu pytań nie pochodziła z ich biernego usposobienia i braku ciekawości. Byli gwałtowni i zapalni, często krew burzyła się w ich żyłach, łatwo unosili się radością, gniewem, entuzjazmem i byli ciekawi, nawet bardzo ciekawi, jak wszyscy synowie Izraela, ale uważali, że w stosunkach z Jezusem powinni powściągać swoją ciekawość i trzymać ją na mocnym postronku, jak zbyt rozbrykaną kozę. Chcieli być pokornie poddani każdej Jego woli, nawet nie ujawnionej, i jednomyślni z myślami Jego, nawet z tymi, których nie wyraża słowami. Tego posłuszeństwa nikt ich nie uczył. Mieli je w sobie – niezależnie od swoich charakterów i temperamentów – od chwili gdy powzięli postanowienie pójścia za Jezusem. Miał je w sobie małomówny Filip i zamyślony Nathanael ben

Tolmaj, i niedowiarek Theom Bliźniak, i synowie Halfiego, skupiony Jaakow i Jehuda o niewinnych oczach i Symeon gorliwiec. Wiedzieli, że muszą iść za Jezusem i słuchać Jego słów, wykonywać Jego rozkazy i rozumieć to, co mówi – a to było bardzo trudne – i upodabniać się do tego, co mówi – a to było najtrudniejsze. Jednak gdy czegoś nie rozumieli, pytali, a wtedy Rabbi cierpliwie odpowiadał, niekiedy bezpośrednio, niekiedy za pomocą przypowieści, a niekiedy uśmiechem, spojrzeniem lub ruchem dłoni. Ale wiedzieli, kiedy nie należy pytać, bo niezwykle wyostrzona wrażliwość ostrzegała ich przed zbyt poufnym zbliżaniem się do pewnych granic, których nie wolno im było przekroczyć. Niezależnie zatem od tego, czy rozumieli, czy nie rozumieli – ilekroć przypominali sobie Jego słowa o niesprzeciwianiu się złu i o czynieniu dobrze tym, którzy ich nienawidzą, z zakłopotanym zmieszaniem drapali się w głowę i gładzili brody – postawili sobie za cel pamiętać wszystko, cokolwiek Jezus mówi. Gromadzili w pamięci z drobiazgową dokładnością Jego wypowiedzi, jednoznaczne i wieloznaczne, i te zupełnie jasne krystaliczną jasnością, i te przesłonięte cieniem niezgłębionej głębi, od której mąci się w ludzkiej głowie, i ich bliskie i dalekie odmiany, niekiedy bardziej lub mniej do siebie podobne, niekiedy pozornie od siebie się różniące, często wypowiadające tę samą myśl za pomocą rozmaitych obrazów, podobieństw, symbolów, przenośni, a nawet bogatej i wielorakiej modulacji głosu. Ponieważ mieli wrodzoną skłonność i zamiłowanie do komentowania słów Rabbiego, zdarzało się czasem, że wyjaśniali je pomiędzy sobą wymyślonym przez siebie opowiadaniem, ale posuwali swoją ostrożność i dokładność tak daleko, że w każdym z tych pouczających midraszów zachowywali prawdziwą i oryginalną myśl Jezusa w nieposzlakowanej czystości. Ich pamięć, jak pamięć całego ludu, była niezawodna, wierna i ścisła, była jak dobrze zbudowany bezdenny spichlerz, w którym pokolenia od niepamiętnych wieków gromadziły zdarzenia, wypowiedzi proroków i mędrców, przypowieści, pieśni, poematy i rozprawy filozoficzne, lamentacje i modlitwy, rzeczy dobre i złe, rzeczy szczęśliwe i nieszczęśliwe.

Cóż więc dziwnego, że uczniowie zachowali w swej pamięci każde słowo Rabbiego i o każdej dobie umieli je powtórzyć, niezależnie od tego, czy były to wypowiedzi złożone i trudne do zrozumienia, czy proste i jednoznaczne.

Słońce stało już nad górami Karmel, gdy poznali po wsiach i wzgórzach, które mijali, i po kierunku drogi, że Jezus prowadzi ich do Kany. Po co wraca do Kany? Co zamierza tam przedsięwziąć? I znów, wracając do naszych spostrzeżeń poczynionych o poranku, musimy z zadowoleniem stwierdzić, że uczniowie przewyżczyli w sobie ciekawość i jak przedtem nie pytali, dokąd idą, tak teraz nie ośmielili się spytać, jaki jest cel niespodziewanego powrotu do Kany.

Na wschodzie zapaliła się gwiazda wieczorna. Z dala dostrzegli białe lepianki i domy miasteczka. Wiatr od morza szeleścił w cyprysach, które zakołysały się modlitewnie. Wędrowcy przystanęli, a Jezus zaintonował modlitwę wieczorną:

– „Baruch Adonaj bajom, baruch Adonaj balajla... Pochwalony bądź, Panie, za dnia i pochwalony bądź, Panie, w nocy. Pochwalony bądź, Panie, gdy się kładziemy, pochwalony bądź, gdy wstajemy. Albowiem w Twojej dłoni spoczywają dusze żywych i umarłych. W Twojej dłoni spoczywa duch wszelkiego żywego stworzenia i dusza każdego ludzkiego ciała. Twoim dłoniom powierzam moją duszę, a Ty mnie wybawisz, Boże, Panie wierny. Boże nasz, któryś jest w niebie, niech będzie pochwalone Tve jedyne Imię, utwierdź Twoje królestwo na zawsze i rządz nami na wieki. Spójrz, Strażnik Izraela nie śpi i nie drzemie: po mojej prawicy Michael, po mojej lewicy Gabriel, przede mną Uriel, za mną Rafael, a ponad moją głową Obecność Pana... „

Jezus i uczniowie nisko pochyłili głowy, a ponieważ drzewa podobnie jak ludzie wielbią Boga, więc i cyprysy nisko się pochyliły, uradowane, że w nich szeleści Elohim.

Drugi cud Jezusa w Kanie Galilejskiej

Zamieszkali w domu Efraima ben Jicchak, który uradowany powrotem Jezusa i Jego uczniów, suto ich nakarmił, napoił i urządził im wygodny nocleg w izbach znajdujących się na piętrze, na tarasie dachu. Wczesnym rankiem następnego dnia mieszkańcy miasteczka poczęli się gromadzić przy bramie domu i głośno domagać się dostępu na dziedziniec, gdzie chcieli powitać Jezusa i prosić Go o błogosławieństwo dla siebie i rodziny. Przewidujący Efraim już w nocy zamknął bramę i dopiero teraz na wyraźne życzenie Jezusa polecił ją otworzyć służbie, ale uczynił to niechętnie. Obawiał się, że tłum swoją natarczywością i natrętnymi, zbyt głośno wypowiedzianymi prośbami zamąci spoczynek Rabbiego, a jako dobry gospodarz czuł się odpowiedzialny za spokój i wygody należne gościowi w dobrym, gościnnym galilejskim domu. Nie dał więc za wygraną i warował przy bramie w otoczeniu kilku służących o mocnych mięśniach i szerokich piersiach, i donośnym głosem na zapas karcił pchających się ludzi:

– Jeżeli będziecie zamęczać Go prośbami – wołał – i każdy z was z osobna będzie się domagał błogosławieństwa, każę mojej służbie według przysługującego mi prawa wypędzić was z dziedzińca, bo dziedziniec jest moją własnością, a do właściciela dziedzińca należy władza nad dziedzińcem i nad wszystkim, co się na dziedzińcu dzieje.

Ludzie mimo ostrzeżeń i przestróg Efraima tłoczyli się, pchali, przewracali i wśród swarliwych krzyków i nawoływań szczelnie wypełnili cały dziedziniec, a niektórzy wdrapali się na okalający go mur z nieciosanych kamieni, mimo gromkich sprzeciwów służących, którzy szeroko gestykułując rękami i robiąc wiele skwapliwego zamieszania, udawali, że opornych intruzów ściągają na ziemię. Jezus w otoczeniu uczniów stanął na schodach. Tłum zafalował, rzucił się przed siebie i nagle znieruchomiał, umilkł i równocześnie z każdym krokiem Jezusa zstępującego po schodach powoli się cofał, aż między nim a Rabbim powstała wolna przestrzeń. Jezus podniósł dłonie, przez chwilę trzymał je wysoko wzniesione nad ludźmi i pobłogosławił im, i życzył im spokoju i szczęścia, im, dzieciom ich i dzieciom ich dzieci. Wypowiedzieli szeptem: „amen” i bez słowa, w ciszy i skupieniu, jakby błogosławiące dłonie zdjęły z nich wszelki zamęt, poczęli spokojnie opuszczać dziedziniec. Efraim spojrział wymownie na swoich służących, służący nie mniej wymownie spojrzeli na swojego pana i widoczne było, że pan i służący byliby skłonni przypisać swej dzielnej postawie spokojne zachowanie się tłumu, gdyby nie lęk przed podszywaniem się pod cudzą zasługę. Efraim zawstydził się służących, służący zawstydzili się Efraima i zgodnie udawali przed sobą, że nie myśleli o tym, o czym w rzeczywistości myśleli.

I tak w domu Efraima ben Jicchak mijały Jezusowi i uczniom spokojne dni wiosennego miesiąca siwan, mijały na modlitwach, rozmowach, rozmyślaniach i przechadzkach wśród galilejskich zbóż i łąk pokrytych polnymi liliami. Efraim często wyjeżdżał do swoich winnic położonych w okolicy Kany i do swoich sadów oliwnych znajdujących się pod Nazarethem, a raz nawet był w samym Nazarecie, odwiedził Miriam i przywiózł Jezusowi gorące pozdrowienia od matki, które Rabbi przyjął z dobrze ukrytym wzruszeniem.

Niewprawnym oczom świadków tych spokojnych dni mogło się wydawać, że Jezus korzysta z dobrodziejstw wygodnego życia pod dachem bogacza, że wstąpił w czas spokoju i ciszy, a może nawet beztroskiego znużenia. Ale uczniowie wiedzieli, że tak nie jest. Spokój Jezusa nie był spokojem, cisza nie była ciszą, a beztroska nie była beztroską. Wszystko w Nim było poruszeniem, napięciem, z trudem hamowanym wybuchem.

Pewnego razu, siedząc nocą samotnie na dachu domu, pod wiosennym niebem, usłyszał pomruk skradającego się Jahwe. Był to pomruk Pana zbliżającego się równocześnie z dalekiej dali, od zewnątrz i z najbliższej bliskości, od wewnątrz, a głos Tego, idącego od Nieskończoności nie ograniczonej żadnymi granicami, i Tego idącego od Skończoności, ograniczonej granicami człowieczego ciała, był jednym i tym samym głosem-odgłosem kroków Boga wychodzącego na wielkie spotkanie

celem dokonania świętego Powtórzenia. A ze strony przeciwległej szedł Izrael cierpiący, nieszczęśliwy, udręczony, zrozpaczony, pustynny, kuszący Pana i wciąż domagający się nowych cudów, wystawiający Pana na próbę, Izrael Pana doświadczający, Jego majętność wybrana i gorzka udręka. A równocześnie widzimy biednego, nieszczęśliwego dworzanina, który przed niedawnym czasem wygłosił w synagodze w Kfar Nahum mądre kazanie o skale – wszyscy je przecież pamiętamy, ale przede wszystkim pamięta je Symeon ben Jona – jak nocą z niepokojem w ojcowskim sercu zmierza do Kany. Okładając uderzeniami powroza obłe łopatki oślicy, stara się ją zmusić do szybkiego biegu, ale bezskutecznie, bo to, co miało się zdarzyć, musiało się zdarzyć dopiero w południe, u szczytu dnia, gdy słońce stanie wysoko na niebie, w przytomności wielu ludzi, i dlatego oślica kroczy teraz ospale i niechętnie i mimo przynaglających uderzeń swojego pana wciąż zwalnia kroku.

Stało się więc, że królewski dworzanin stanął w samo południe przed Jezusem, który owinięty w chustę modlitewną w gronie uczniów i domowników siedział na ziemi pod cienistą figą na dziedzińcu domu Efraima ben Jicchak i zwrócony twarzą ku Jerozolimie zamawiał Szema. Dworzanin, nie chcąc przerywać modlitwy i zakłócać swoim przybyciem jej ustalonego przez Elohim porządku, nałożył na siebie jedwabną chustę z wyhaftowanymi wzorami winnej latorośli, usiadł na ziemi i nabożnie włączył swój głos i ruchy swojego ciała do głosów i ruchów ciała modlących się synów Adama i dał tym dowód nie tylko swoich pobożnych uczuć, lecz także braterskiego związku ze zgromadzeniem. Po skończonej modlitwie oczy zgromadzonych zwróciły się na przybysza, na którego zmęczonej twarzy widoczna była głęboka troska.

Dworzanin królewski spytał:

– Który spośród braci jest Rabbim Jezua ben Josef?

Nathanael ben Tolmaj wskazał palcem na Jezusa i rzekł:

– Oto On.

Wtedy dworzanin nisko pokłonił się Jezusowi i rzekł:

– Usłyszawszy o Twojej mądrości i cudzie, który uczyniłeś w Kanie, Mężu Boży – tu jeszcze niżej skłonił głowę na znak czołobitności przed cudem, dziełem Jego Ducha – przybyłem do Ciebie z Kfar Nahum, aby Cię błagać – tu lzy zabłyśły w jego oczach – o uleczenie mojego syna, który dogorywa zmożony śmiertelną chorobą i nie masz dla niego ratunku i nadziei poza wzmacniającym dotknięciem Twojej dłoni. Spójrz, Panie, i wejrzyj na moją boleść, i spójrzcie wy wszyscy, siedzący tutaj w wielkim zgromadzeniu. Spójrzcie i zobaczcie, czy istnieje cierpienie równe cierpieniu, które spadło na mnie! Pan napełnił mój dom smutkiem i z wysoka poraził

ogniem ciało mojego dziecka, i zawładnął nim! Ulituj się. Rabbi, wysłuchaj mojego błagania i udaj się ze mną do mojego domu w Kfar Nahum, i ulecz dziecko moje, a błogosławieństwo Pańskie niechaj spłynie na Ciebie i na Twoją rodzinę, i bliskich Twoich, i wszystkich, którzy żyją u boku Twojego. Rabbi... błagam Cię... nie odmawiaj prośbie Twojego sługi i wysłuchaj go...

Łkając zerwał się z ziemi i padł do nóg Jezusowi, i coraz bardziej upodobał się do czterech rybaków czekających nad brzegami Jeziora Galilejskiego, i przeobrażał się w nich, i był nimi, był Symeonem ben Jona o szerokiej twarzy i kędzierzawej brodzie, jego bratem Andrajem, łatwo wpadającym w entuzjazm, Johananem ben Zebadia i bratem jego Jaakowem, szczupłymi młodzieńcami o zapalnym usposobieniu, był czterotwarzowym rybakim, mówiącym czterogłosem, wpatrzonym czterema parami oczu w oblicze Jezusa i błagającym o cud przywróconego zdrowia.

Jezus odpowiadając dworzaninowi rzekł:

– Jeżeli nie widzicie znaków i cudów, nie wierzycie.

Tak dosłownie powiedział Jezus, ale te pełne skargi słowa nie odnosiły się do uczniów na dziedzińcu ani do domowników, bo nikt z nich nie żądał od Niego cudu dla przyświadczenia Prawdzie, ale wypowiedział je do czterotwarzowego rybaka, klęczącego u Jego stóp, mówiącego czterogłosem i czekającego na święty i nieodwołalny znak.

– Panie, przyjdź, zanim umrze dziecko moje – łkał dworzanin.

Coraz donośniejszy stawał się pomruk Pana zbliżającego się równocześnie z dalekiej dali, od zewnątrz, i z najbliższej bliskości, od wewnątrz. Już brzmiał łoskot pędzących kół, skutych obręczami o wszechwidzących oczach, potężniał, rozpościerał się na całe niebo, które teraz płonęło jak kamień szafirowy, wrzało ogniem, szumiało jak szum wielkich wód. Nie była to postać ani cień, ani nawet jej zarys, lecz tylko Podobieństwo tego, czego nie było widać, Podobieństwo niepodobne do wszystkiego, co jest wyrażalne za pomocą słów, barw, dźwięków, i idąc szło na wielkie spotkanie, a gdy wreszcie się spotkało, zeszło, scaliło – nie było to spotkanie ani zejście, ani scalenie, bo jakże Jedność może się spotkać, zejść i scalić? – usta Jezusa wypowiedziały słowa, które były uciszonym, orzeźwiającym echem kroków Pana, przybyłego na wielkie spotkanie:

– Idź, syn twój żyje.

– Amen – odpowiedzieli uczniowie, domownicy i dworzanin królewski, który łkając obejmował stopy Jezusa.

Na drugi dzień wczesnym rankiem dworzanin ucałowałszy skraj szaty Jezusa, wracał do Kfar Nahum. W miarę zbliżania się do miasta rosło w nim podniecenie,

a dusza jego kłębiła się w nim coraz niespokojniej. Nagle – gdy jechał przez urodzajną dolinę Genezar – ujrzał jadących mu naprzeciw służących, którzy powitali go radośnie i oznajmili, że syn jego wyzdrowiał.

– O której godzinie to się stało? – spytał bez zdziwienia w głosie.

Jeden ze sług, po krótkim namyśle – nie mógł zrozumieć, dlaczego jego pan z tak wielkim spokojem przyjął radosną nowinę o wyzdrowieniu syna – odpowiadając mu, rzekł:

– Wczoraj w południe, gdy słońce stało wysoko na niebie.

– Była godzina siódma – dodał drugi.

– Tak, siódma – potwierdził trzeci, Dworzanin wrócił do domu, przestąpił jego próg i ujrzawszy dziecko swoje zdrowe i uśmiechnięte, błogosławił Elohim i Jezusa. Opowiedział wszystko, co się zdarzyło w Kanie, żonie swojej, domownikom i sługom, a ci wieść o nowym cudzie Jezusa rozgłosili po mieście, a z miasta wieść rozniosła się po całym wybrzeżu Jam Kinereth, po całej Galilei i dotarła do wszystkich synów Izraela w Bethsaidzie Galilejskiej i w Bethsaidzie Julias, w Chorozain, w Tyberiadzie, w Beth Maon, Magdali i w Nazarecie, w Naim, Endor i Seforis, a lud o cudownym uzdrowieniu rozprawiał w swoich warsztatach i domach, przy sieciach, w suszarniach ryb i na łodziach rybackich.

Jezus pożegnał Efraima ben Jicchak, podziękował mu za gościnę i wraz z uczniami udał się nad Jezioro Galilejskie.

Połów ryb i uczniów

Siedzieli nad brzegiem jeziora, w małej przystani, w połowie drogi między Bethsaidą Galilejską a Kfar Nahum, i naprawiali sieci rybackie. Dwie łodzie przymocowane do pali kołysały się na wodzie, a jej miarowy plusk był echem ciszy i monotonii, która zaległa całe wybrzeże. Robota szła im dzisiaj nieskładnie. Byli zmęczeni nocnym połowem. Całą noc pracowali na pełnym jeziorze, ale nie złowili ani jednej ryby i nad ranem wrócili do przystani z pustymi sieciami. Stary Zebadia bez słowa oglądał sieci. Nie uszkodzone rozwiesił na żerdziach, a kilka podartych rzucił na piasek i rzekł:

– Te trzeba naprawić.

Więc naprawiali, ale niechętnie, bez zapału i z głębokim przekonaniem, że wykonywana teraz przez nich praca jest tak błaha w porównaniu z wypadkami, które wkrótce nastąpią, iż nie warto przywiązywać szczególnej uwagi ani do podartych sieci, ani nawet do nieudanego połowu i złego humoru Zebadii. Myśleli tylko o jednym: o drugim cudownym zdarzeniu w Kanie, o którym słyszeli w Kfar

Nahum z ust rodziny i domowników królewskiego dworzanina. Medytując nad tym drugim cudem, nie mogli pozbyć się wrażenia, że był on dokonany przez Jezusa z myślą o nich, o ich niedowiarstwie i chwiejności. Im dłużej nad tym się zastanawiali, tym silniej upewniali się o słuszności swojego domysłu, aż wreszcie domysł przestał być domysłem, a stał się pewnością. Uzmysłowali sobie, że dotychczasowa tymczasowość tak bardzo trapiąca ich od wielu, wielu lat – o, jak wiele przeszli już szczebli tej tymczasowości! – nieodwołalnie się kończy i zaczyna się stałość, niezniszczalność, trwanie.

– Jesteśmy ludźmi wody – mówił Johanan ben Zebadia, naprawiając sieci – a woda jest Oblubienicą Elohim, Jego umiłowaniem i skłonnością, gdyż Duch Jego unosił się nad wodami i upodobał sobie wody, ukochał je i ocenił, a my żyjemy nad wodą, z wody i musimy żyć według wody, Oblubienicy umiłowanej przez Pana. Jest napisane w zwojach proroka Jechezkeła, że spod progu Świątyni Pańskiej – moim zdaniem stanie się to w dniu, w którym skończy się czas tymczasowy – wytrysnie źródło słodkiej wody. Z początku będzie to płytki strumień, a potem zamieni się w rzekę ogromną i głęboką, która płynąc przez stepy i pustynie, użyźni ich jałowość. Nad wodami tych wód stać będą rybacy, od Engadi aż do Ajn Eglaim, i zarzucą sieci, a w wodach umiłowanych przez Pana ryby będą miały łuski ze srebra i skrzela z czerwonych koralu. Po obu brzegach wody, ocienionej przez Pana, wyrosną winnice i drzewa owocowe, których liście nigdy nie zwiędną, a owoce nigdy się nie wyczerpią. Każdego miesiąca ogrodnicy, sadownicy i winogrodnicy zbierać będą nowe owoce, albowiem korzenie winnic i drzew owocowych odżywiać się będą wodą Pańską, a wszystko, co ją pije, jest płodne i uzdrawiające na wieczność.

Tu Johanan ben Zebadia umilkł, ale zaraz ciągnął dalej, nie przestając jednak naprawiać sieci, a trzech rybacy również nie przerywali pracy i słuchali słów swojego przyjaciela z rosnącą uwagą.

– Dzisiaj kończy się czas naszej tymczasowości, ale wstydzimy się wielkim wstydem, bo nieopatrznie i lekkomyślnie czekaliśmy na dwa cudy, a przecież powinniśmy iść za Jezusem przed dwoma cudami, być ich poprzednikami, a nie następcami. Po cośmy czekali? Dlaczego idziemy później, skoro powinniśmy iść wcześniej? Kto nas powstrzymał przed postanowieniem i kto naszym myśлом odebrał rozsądek? Kto nogi nasze pozbawił chyżości jelenia, a oczy nasze widzenia wysokich gór? Panu chwała, a twarzom naszym pogarda i poniżenie.

Rybacy podnieśli głowy znad sieci, ponuro spojrzeli po sobie i już chcieli głośno przemówić, obrzucić się gorzkimi wyrzutami i obciążyć się nawzajem odpowiedzialnością za opieszałość, ospałą bierność i leniwe ociąganie się, ale na szczęście w porę przypomnieli sobie upomnienie mędrców, że Bóg nie uczestniczy

w zgromadzeniu niegodnych i kłótliwych. Uspokoili więc swoją żarliwość i zgasili w sobie opryskliwe rozgoryczenie.

Zebadia wyszedł z suszarni. Rybacy podnieśli się z ziemi, podkasali tuniki, weszli po kolana do wody i już brali się do płukania naprawionych sieci, gdy wtem usłyszeli za sobą głosy i zbliżające się kroki. Odwrócili się i – zdętwieli. Ujrzeni Jezusa, a za Nim gromadę ludzi, wśród których poznali znajomych z Kfar Nahum, Bethsaidy i okolicznych wsi. Rzucili sieci do łodzi, wybiegli z wody, pokłonili się Rabiemu, a Johanan ben Zebadia zawołał radosnym głosem słowami psalmu:

– „Kol haneszama tehalel Adonaj! Wszelki duch niechaj chwali Pana!”

Jezus pozdrowił ich słowem Bożym, ale na Jego twarzy nie malowało się żadne wzruszenie z powodu spotkania. Ze spokojnego, wręcz obojętnego sposobu, z jakim wypowiedział pozdrowienie, mogło się wydawać, że nie rozstawał się nigdy na dłuższy czas z rybakami, że razem z nimi bez przerwy przebywał i tylko dzisiaj rano na krótko się oddalił, a teraz do nich powrócił.

Zebadia, który stał obok Andraja, spytał go szeptem:

– Kto to?

– Rabbi Jezua ben Josef – równie cicho odpowiedział Andraj.

Tymczasem Jezus zwrócił się do Symeona ben Jona z prośbą, aby mu pozwolił wsiąść do łodzi. Symeon i Andraj skoczyli do barki i podali dłonie Rabiemu. Do drugiej łodzi, mniejszej, o kształcie bardziej lotnym, wsiedli Zebadia i dwaj jego synowie, Johanan i Jaakow.

Jezus rzekł:

– Odbijcie nieco od brzegu.

Symeon i Andraj wykonali polecenie – za nimi płynęli Zebadia i jego synowie – a gdy oddalili się o kilka sążni, Jezus dał im znak dłonią, a wtedy rybacy podnieśli ociekające wodą wiosła i złożyli je na krawędzi burty.

Rabbi, siedząc na ławie, przemówił do tłumu stojącego w milczeniu na brzegu. Mówił znad wody, znad wody matczynej, umiłowanej, którą zamienił w wino. Nad nią wypowiedział po raz pierwszy JA JESTEM i nad nią powitał dzisiaj swoich marnotrawnych uczniów. Byli oni marnotrawni i powracający, ale w ich powrocie był sens tak samo mądry jak w ich oddaleniu, a ich marnotrawstwo było tak samo błogosławione jak i ich oszczędność, bo zmarnotrawili czas dla oszczędności, przezorności i świętego umiarkowania swojego ducha. Nie ganił ich, bo oddalili się według swojej powinności i według tej samej powinności powrócili, chociaż nie oni do Niego przyszedli, lecz On do nich przyszedł, i nie oni Go odszukali, ale On ich odszukał, i nie oni zapukali do Jego domu – a pytali Go, gdzie mieszka! – ale On przyszedł do ich domu i wsiadł do ich łodzi. Jednak ten swoisty powrót

niepowracających był mimo to powrotem, bo czekali i czuwali, i w swoim czekaniu i czuwaniu dojrzewiali do Niego, i pozostali Mu wierni.

Jezus mówił.

Na początku pozdrowił przeszłość i pokłonił się Hillelowi, szlachetnemu i łagodnemu mędrce, na którym spoczęło łaskawe oko Pana. Przytoczył błogosławioną myśl mędrca: „Dealach sani lechawrach la ta awid, nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe” – i podkreślił z uznaniem, że według Hillela w tej jednej jedynej zasadzie, jak w złotej szkatule, zamknięta jest cała mądrość Prawa. Po czym dokonał na jego wzniosłym przykazaniu zabiegu oczyszczającego i myśl, którą Hillel wypowiedział w kształcie przeczącym, Jezus wypowiedział w kształcie przyświadcującym, i nakazał synom Izraela czynić drugim to wszystko, czego sami pragną doznać od ludzi. Począł tę przyświadczącą myśl uwewnętrznić i pogłębiać, i na oczach wszystkich szlifować, tak jak wytrawny szlifierz szlifuje szlachetny kamień. I tak wstąpiwszy w szlachetną myśl mędrca, podniósł ją, wywyższył, tchnął w nią nowe tchnienie, doprowadził ją do najdoskonalszej doskonałości, o jakiej nigdy sam Hillel nie marzył, o jakiej nie marzyli wszyscy prorocy, i uczynił ją krwią swojej nauki, ożywiająca nerki i serce człowieka. – Ludzie – mówił Jezus – powinni wszystko z siebie dawać, a wszystko będzie im dane, albowiem więcej jest błęgiego szczęścia w dawaniu niż braniu, a wtedy każde dobro będzie im zwrócone z nawiązką, miarą dobrą, natłoczoną, potręśioną i przepelnioną – tu Jezus wznosił obie ręce – i jakim sądem sądzą, takim ich osądzą, i jaką miarą mierzą, taką i im odmierzą.

Wzniesione dłonie Jezusa drżały w powietrzu, a Jego głos brzmiał surowym napomnieniem. Mówił im, że ci, którzy nie sądzą, nie będą osądzeni, a ci, którzy nie potępiają, nie będą potępieni, a ci, którzy odpuszczają winy, dostąpią przed obliczem Pana łaski odpuszczenia własnych grzechów. I tak wiązał człowieka z człowiekiem, jednego uzależniał od drugiego i tworzył z nich jedno ciało ożywione jednym duchem, i poddawał wszystkich bez wyjątku jednemu prawu wszechobowiązującej Dobroci, sędziów i oskarżycieli, krzywdzących i skrzywdzonych, cierpiących i zadających cierpienie.

Obrzuciwszy gniewno-wybaczącym spojrzeniem rybaków siedzących w łodziach i tłum stojący na brzegu, zadawał im karcące pytania, dlaczego widzą źdźbło pływające w źródle swoich braci, a nie dostrzegają belki pływającej w ich własnym źródle, a gdy ją nawet dostrzegają, zamykają oczy i udają, że jej nie widzą! Dlaczego z obłudnym miłosierdziem wyjmują źdźbło ze źródła bliźniego, skoro nie dostrzegają belki pływającej w ich własnym źródle! Niechaj – obłudni! – naprzód wyciągną belkę z własnego źródła, a dopiero wtedy niechaj się zastanowią, jak mają

wyłowić żdźbło pływające w źródle bliźnich!

Jego gniewny głos złagodniał. Wskazał na drzewa figowe i winnice rosnące na równinie Genezar i począł o nich mówić, o ich właściwościach i owocach, ożywiał je, nadawał im kształt swoich słów, ucłowieczał, i wkrótce słuchacze nie widzieli w owych figowcach i winnicach drzew i latorośli, ale ujrzeli żywych ludzi, uginających się pod ciężarem swoich dobrych i złych owoców. Jezus mówił, że nie ma drzew dobrych, rodzących złe owoce, podobnie jak nie ma drzew złych, rodzących dobre owoce – ucłowieczone drzewa i winnice potakiwały Jego słowom – a każde drzewo można poznać po jego owocu, gdyż figi nie rodzą cierni ani winnice nie rodzą głogu. Dobro rodzi dobro, a zło rodzi zło, a ten, kto czyni dobro, spełnia wolę swojego Ojca. Jezus umilkł.

Tłum na brzegu począł się rozchodzić. Ludzie byli pod głębokim wrażeniem słów Rabbiego. Powtarzali je, wyjaśniali, smakowali ich mądre piękno, porównywali je z mądrą pięknnością Pisma Świętego i dawnych mędrców. Jedni starali się złagodzić tę i ową trudną wypowiedź, stępić jej ostrze, a nawet próbowali dostosować ją do swoich przyziemnych wyobrażeń i potrzeb dnia codziennego. Inni natomiast, przeciwnie, zaostrozali jej ostrość i żądali ścisłego przestrzegania nakazów, nawet kosztem największych ofiar. I jak to często w takich wypadkach bywa, wszyscy zrozumieli to, co chcieli rozumieć. Niektórzy, lekkomyślni, już po kilku dniach zapomnieli o Nim, inni, stateczni i rozważni, wiernie o Nim pamiętali. Starali się żyć według wskazań Rabbiego, ale nie było to łatwe, bo wymagało wielu wyrzeczeń, niekiedy tak wielkich, że wydawały się ponad siły ludzkie, trawieni więc wyrzutami sumienia czekali sposobności, aby znów posłuchać jakiegoś kazania Jezusa i poddać się jego oczyszczającemu działaniu. Spodziewali się, że dzięki wielokrotnemu pokornemu osłuchaniu szybciej zagłębią się w Jego naukę i łatwiej uda im się przezwyciężyć jecer hara, złe skłonności, i pokusę zła. Tak było z ludźmi rozchodzącymi się do domów i do warsztatów pracy, natomiast nasi rybacy – nie licząc, rozumie się, starego Zebadii, który raczej powinien znajdować się wśród gromady na brzegu, ale dzięki swojej godności ojca dwóch łatwo zapalnych synów skorzystał z rodzicielskich uprawnień i wsiadł z nimi do łodzi – nie mieli wielkiej chęci do rozmowy. Czuli w sobie ciężar czasu, w który wchodzili teraz przez trzy bramy niepojętego wyboru: przez bramę wody, tej jedynej, płynącej w Jordanie, tej drugiej, zamienionej w wyborne wino w Kanie Galilejskiej, i tej trzeciej, szumiącej teraz u ich stóp w rodzinnym Jam Kinereth. Z zadumy wyrwał ich głos Jezusa, który, zwróciwszy się do Symeona ben Jona, rzekł:

– Wyjedźcie na głębię i zarzućcie sieci na połów. A na to odpowiedział Symeon ben Jona:

– Rabbi, myśmy całą noc pracowali, ale niczegośmy nie złowili.

Tak odpowiedział i z roztargnieniem gładził brodę, widząc jednak, że Andraj dyskretnie daje mu znak głową, aby wyraził zgodę, zakasał rękawy i dodał:

– Ale na Twoje słowo, Rabbi, zarzucę sieć.

Jezus siedział na dziobie łodzi, a Symeon i Andraj wiosłowali. Druga łódź o lotnych kształtach szybko za nimi zdążyła. Palące promienie słońca, jak iskry, skakały po wodzie, która lekko pomarszczona, leniwie rozpryskiwała się pod uderzeniami wiosł. Wyłynęli na pełne jezioro. Jezus podniósł dłoń. Łódź stanęła. W pewnej od niej odległości zatrzymała się łódź Zebadii. Symeon ben Jona baczny i nieomylnym spojrzeniem rybaka wpatrzył się w powierzchnię wody, nieco się pochylał, a na jego twarzy odmalowało się nieufne zdziwienie, potem niezdecydowanie, potem skupienie, coraz bardziej uważne i obiecujące. Ale jeszcze się wahał, jeszcze czekał, jeszcze śledził poruszenie fali i nagle, zmiarkowawszy ponad wszelką wątpliwość, co się dzieje, zerwał się, w prawą rękę chwycił sieć, zatoczył nią w powietrzu szerokie półkole i z rozmachem wyrzucił przed siebie. Rozwinęła się w powietrzu, a obciążona na obwodzie ciężarkami błyskawicznie zanurzyła się w wodzie. Symeon, trzymając w rękach dwie liny, poczuł silne szarpnięcie. Zachwiał się, pociągnięty przez opadającą w głębinę sieć. Ale nie upadł. Łódź raptownie się zakołysała.

– Ciągnij! – krzyknął.

Andraj skoczył mu na pomoc. Oburącz chwycił linę, wsparł się szeroko rozstawionymi nogami o wewnętrzne ściany łodzi i przechyliwszy się całym ciałem ku tyłowi, bezskutecznie starał się wyciągnąć sieć z wody. Jego ciemna twarz poczerwieniała od wysiłku. Bracia, mocując się z oporem lin, poczuli, że oka sieci pękają pod ciężarem złowionych ryb. Łódź znowu się zakołysała i niebezpiecznie przechyliła na bok. Liny zaczęły wymykać się z rąk rybaków. Jedna z nich, napięta do ostateczności – trzeszczała.

– Johan! – krzyknął Andraj. – Jaakow! Zebadia! Przybywajcie!

Lekka łódź, sterowana przez Zebadię, szybko pomknęła na pomoc. Podpłynęli. Stary zwinnie skoczył do barki Symeona. Teraz wspólnymi siłami wyciągali niezwykle ciężar, podczas gdy Johan i Jaakow, kurczowo uczepli burty Symeonowej łodzi, utrzymywali ją w bezpiecznej równowadze. Sieć, cal po calu, powoli wyłaniała się z wody.

Łódź wypełniła się prawie po same brzegi żywą, srebrną, klaszczącą magmą ryb. Przerzucili sieć do drugiej łodzi. Symeon otarł rękawem spoconą twarz. Powiódł wzrokiem po Jezusie, po osłupiałych przyjaciółach i po łodziach, pełnych ryb, które skrzyły się w słońcu, rzucały się, wyginały łukowato, trzepotały, klaskały ogonami

i rozpaczliwie łapały w otwarte pyszczki dławiające je powietrze. Pomyślał o swoich wątpliwościach, o trwodze przed zaskoczeniem i o swojej roztropnej nieufności – przecież jeszcze przed chwilą z roztargnieniem gładził brodę i dopiero na dany przez Andraja znak głową wyraził zgodę na połów – i w pełni zrozumiał swoją grzeszność, niegodność, niewierność i małoduszność. Brodząc w gęstej, kipiącej, opalizującej masie ryb, runął do stóp Jezusa i powiedział z rozpaczą:

– Odejdź ode mnie. Panie, bom jest człowiek grzeszny.

Powiedział: „Odejdź” – ponieważ w obliczu tych niezliczonych ryb, symboli płodności, rodzącej i obfitej łaski, uzmysłowił sobie, że nie on przyszedł w pokorze do Jezusa i że nie on w pożądliwości dobrodziejstw zapukał do Jego drzwi, ale ów dobry Rabbi, ścigając go cudami, odszukał go, znalazł, dogonił i przyszedł do jego niegodnej łodzi.

– Odejdź, Panie – powtórzył jak echo. – Odejdź.

Jezus, widząc w oczach Symeona lęk i niewiarę we własne siły, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł do niego ciepłym głosem:

– Nie bój się, odtąd ludzi łowić będziesz.

A zwróciwszy się do Andraja i do Johanana ben Zebadia, i jego brata Jaakowa, powiedział:

– Pójdźcie za mną. Uczynię was rybakami ludzi.

Rzucili się do wiosł. Łodzie, obciążone połowem nad swoją pojemność i nośność, płynęły powoli i z trudem. Wiosłowali ostrożnie, bacząc na każdy ruch, gdyż najłżejsze nawet przechylenie łodzi groziło jej zatonięciem. Dobili do przystani. Wysiedli, wyciągnęli łodzie na brzeg, a Symeon ben Jona przywołał robotników z suszarni.

Słońce stało już nad Taborem. Zerwał się lekki powiew, wzbudził fale na jeziorze i zaszeleścił w sitowiu. Rybitwy przeleciały z krzykiem nad wodą.

Jezus poszedł brzegiem jeziora w kierunku Kfar Nahum. Symeon ben Jona i jego brat Andraj, Johanana ben Zebadia i jego brat Jaakow bez słowa ruszyli za Nim.

Zebadia jakby wrósł w ziemię. Zaskoczeni robotnicy, czekając, na rozkazy, pytająco patrzyli na niego, to znów na oddalających się rybaków. Staremu nogi ciążyły jak żelazo. Nie mógł postąpić kroku. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa jego woli, a wola jego rozluźniła się i rozplynęła jak woda, więc stał w miejscu jak człowiek bezsilny, który widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, nie umie mu ani zapobiec, ani przeciwdziałać. Przykuty do ziemi, ugiął się pod brzemieniem samotnej starości. Zdawało mu się, że kości jego więdną i wysychają soki jego żywota.

Jesteś Kodesz Adonaj, Święty Pana!

Tego dnia nad Kfar Nahum słońce weszło odziane w odświętną, przezroczystą szatę z szafiru i złota, rybitwy krążyły nabożnie nad jeziorem, a ciepły powiew szumiał wprawdzie w sitowiu, ale był to szum cichy i skupiony, wyzbyty trzpiotliwej płochości, całkowicie odpowiadający uroczystej powadze Szabatu, królującego dzisiaj nad całą Ziemią Jahwe. Modliło się słońce, modliły się rybitwy, modlił się szum wiatru i modliło się sitowie, modliły się drzewa, a wraz ze słońcem, rybitwami, wiatrem, sitowiem i drzewami modlił się lud i chwalił Pana.

Do synagogi w Kfar Nahum – a była to synagoga bardzo piękna, odbudowana przez dowódcę wojskowego garnizonu, wprawdzie poganina, ale człowieka prawego i szukającego Boga Jedyne – przybyli na nabożeństwo odświętnie ubrani mieszkańcy miasta, rybacy, kupcy zboża, wytwórcy pachnideł i olejków, cieśle, kowale, krawcy, farbiarze, szewcy, a z miejscowych dostojników Jair, rosz hakneseth, członkowie rady synagogałnej i dworzanin królewski z żoną i synem cudownie uleczonym przez Jezusa, właściciele okolicznych winnic i lasów oliwnych. Lewi Mataj, mimo swojego bogactwa, siedział na jednej z tylnych ławek, gdyż z powodu niegodnego zajęcia celnika i poborcy podatków żył w pogardliwym odosobnieniu od reszty społeczeństwa galilejskiego. Pod ścianami, na lewo od wejścia, tłoczyła się miejska biedota, robotnicy z przystani, domokrażcy, tragarze, kramarze, pracownicy rolni w starych, połatanych tunikach i płaszczach, otuleni w wypełzłe chusty modlitewne. W tym tłumie am haareców, którzy przyklepieni do ścian nie śmieli przekroczyć wyznaczonego im do modlitw miejsca – wprawdzie granica nie była zakreślana żadnym widomym znakiem, ale wszyscy wiedzieli, że miejsce biedoty jest po lewej stronie od wejścia, pod ścianą i w przedsiönku – stał nędznie odziany młodzieniec, milczek i odludek, włóczęga, nie wiadomo skąd przed kilkoma laty przybyły do Kfar Nahum, wychudzony, blady, o małych, bezbarwnych oczkach i nieregularnym wykroju warg, których jeden kąt nieco podniesiony nadawał jego twarzy wyraz drwiącego uśmiechu, podczas gdy drugi, opadający – wyraz płaczelwej goryczy. Dzieci często obrzucały go kamieniami i błotem, naigrawały się z niego, wielu mieszkańców mijało go obojętnie, ale byli i tacy, którzy współczując jego biedzie, zatrudniali go przy wyładowywaniu ryb w przystani, przy ich przebieraniu i soleniu, a nawet wspierali go przed Szabatem jałmużną, a przed Wielkimi Świętami starą odzieżą. Sypiał na przedmieściu, w jaskini. Z nikim nie wdawał się w poufale rozmowy i nikomu nie wyjawiał, skąd jest rodem i czyim jest synem. Podczas nabożeństwa w synagodze stał pod ścianą, owinięty w chustę modlitewną, ale nigdy głośno się nie modlił, a gdy ludzie zmaiwali Szema i wśród

głośnego lamentu wyciągali ręce do nieba, odludek ani głośno nie lamentował, ani rąk do nieba nie wznosił. Ludzie nie wiedzieli, jak mają sobie tłumaczyć tak wielką wstrzemięźliwość w ujawnianiu pobożnych uczuć, ale nie wtrącali się do jego modlitw, bo przecież każdy modli się tak, jak umie, i nie jest sprawą bogobojnego człowieka osądzać modlitwę bliźniego. Najważniejsze jest, że się modli, a dowodem tego jest jego obecność w synagodze i chusta modlitewna, którą na siebie nakłada, bo po cóż by przychodził do synagogi i nakładał na siebie chustę modlitewną, gdyby nie miał zamiaru pokłonić się Panu?

Wszyscy oni, bogaci i biedni, szczęśliwi i nieszczęśliwi, zebrali się dzisiaj w synagodze, aby uczcić królowę tygodnia – sam Elohim nazwał ją rozkoszą – która tym razem wydawała im się jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj, gdyż w nabożeństwie ku jej chwale uczestniczył wraz ze swoimi uczniami mądry Rabbi, Jezua ben Josef z Nazarethu. Gdy więc chazan zaprosił Go na bimah i rozwinął przed Nim zwój Świętego Pisma, a Rabbi, odczytawszy przypadające na dzień dzisiejszy wersety, począł wygłaszać kazanie, wszyscy zgromadzeni przyłgnęli słuchem do mowy Jego ust i dawali baczenie, aby nie uronić ani jednego słowa. Jezus mówił:

– Przodkom powiedziano: „Nie będziesz zabijał, a kto będzie zabijał, pójdzie pod sąd”. A ja wam powiadam, że zabijać można w różny sposób, zabić można bliźniego za pomocą gniewu, nierozsądnego oskarżenia, potwarzy, słowa oszczerczego i oczerniającego, przeto każdy, kto się gniewa na brata swojego, oddany będzie pod sąd, a kto mu powie: Głupcze – stanie przed Sanhedrynem, a kto mu zarzuci brak wiary w Pana, skazany będzie na wieczne potępienie. Niechaj zatem nikt nie składa ofiary w stanie grzechu, gdyż ofiara taka jest obrazą Elohim: Syn Izraela powinien najpierw pogodzić się ze swoim bratem, a dopiero potem ofiarować Panu. Przodkom powiedziano: „Nie będziesz cudzołożył”. A ja wam powiadam – wołał Jezus – że każdy, który spojrzy na niewiastę, już w swoim sercu popełnił z nią cudzołóstwo.

Były to słowa trudne. O wiele trudniejsze od słów o zabijaniu potwarzają i oszczerstwami. Z niemałym oporem przenikały do serc synów człowieczych, gdyż czyniły znak równania między ich spojrzeniem a czynem, a przecież nikt z nich nie przyznałby się do tego, że jego spojrzenie jest zamiarem, a tym bardziej któż obnażyłby swe wnętrze i szczerze ujawnił, że zamiar, zanim jeszcze został wykonany, już sam w sobie jest czynem spełnionym w duszy. Upomnienie, jakkolwiek twarde, nieugięte i srogie, może nawet by i przeniknęło do wnętrza tych ludzi, gdyby nie przykazania, wyrażone wprawdzie przez Jezusa w sposób obrazowy, niemniej jednak stanowczy, Jezus żądał bowiem, aby każdy syn Izraela wyłupił i odrzucił od siebie swoje oko, które go gorszy, i odciął swoją prawą rękę, która jest powodem zgorszenia, albowiem będzie pożyteczniejszą dla człowieka, jeżeli

zginie jeden z członków jego ciała, niż żeby całe ciało musiało paść pastwą piekielnego ognia. Te obrazy przerażały wyobraźnię zgromadzonych. Wprawdzie nie wątpili, że są to tylko obrazy, pod którymi kryje się miara ich postępowania, ale znali z doświadczeń swoich przodków tajemną wymowę tych znaków i przezornie wiedzieli, co się za nimi kryje: zapalczywość Pana, który każdy z tych obrazów może w każdej chwili według swoich niezbadanych zamysłów jak ognistą pieczęć wycisnąć na żywym ciele człowieka. A wtedy biada tym, którym się zdawało, że obraz był tylko – obrazem!

– Przodkom powiedziano: „Ktokolwiek opuści swoją żonę, niechaj jej wręczy list rozwodowy”. A ja wam powiadam – ciągnął dalej Jezus – że każdy, kto porzuca swoją żonę, wyjąwszy powód rozpusty, staje się sprawcą jej cudzołóstwa, a kto by oddaloną pojął, cudzołoży. To ja wam powiadam – powtórzył w gniewie swoim, a gniew Jego spoczął na tych córkach i synach Izraela, którzy z Prawa Mojżeszowego uczynili dla siebie bramę podstępu, a przechodząc przez nią, burzyli prawdę i uczciwość i za nic mieli świętą więź rodzinną, na której jak na kamiennych kolumnach wspierał się ład ludu i porządek serca. – To ja wam powiadam – głos Jego rósł, potężniał, a rosnąc i potężniejąc oczyszczał z rdzy i nalotu, osadu i narośli to wszystko, co przodkom powiedziano i co zapisano, a z czego potem uczyniono narzędzie wykrętu i wybiegu.

Ludzie słuchali i przerażeni byli Jego wypowiedziami, ponieważ nauczał jak Ten, który posiada władzę nad Pismem, a nie jak ten, który je wyjaśnia. Wszyscy uczeni, mędrcy i doktorzy, którzy wyjaśniali Prawo w krużgankach Salomona w Świątyni Pańskiej i we wszystkich synagogach w całym kraju, mówili jak ludzie poddani Pismu, i nikt z nich nigdy nie ośmieliłby się użyć przeciwstawnego zwrotu: „A ja wam powiadam” i wskutek tego stawiać się ponad Pismem, nad którym jest Pan, tylko Pan i jeszcze raz tylko Pan. Przygnieceni ciężarem Jego władczej powagi, nie odważyli się spytać Go, kto Mu dał prawo przemawiania ponad Pismem.

Jezus zrozumiał ich niepokój i tak do nich przemówił:

– Nie mniemajcie, że przyszedłem rozwiązać Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem rozwiązać, lecz wypełnić. Albowiem zaprawdę powiadam wam: dopóki nie przeminą niebo i ziemia, ani jedna jota, ani jedna kreska nie przeminie z Prawa, aż to wszystko się spełni. Ktokolwiek by zatem chciał znieść jedno z tych najmniejszych przykazań i w tym duchu nauczał ludzi, będzie nazwany najmniejszym w Królestwie Niebieskim, a ktokolwiek zachowa je i nauczać ich będzie, ten będzie nazwany wielkim w Królestwie Niebieskim, albowiem powiadam wam, jeżeli sprawiedliwość wasza nie będzie obfitsza niż sprawiedliwość uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego!

Zimny dreszcz przeszedł przez zgromadzenie. Stało się dla nich jasne, że wypełnienie znaczy to samo co doskonałość, której kielki tkwią wprawdzie w każdej jocie i w każdej najmniejszej kresce Pisma Świętego, ale którą synowie Izraela osiągną dopiero za pomocą bezprzykładnego oczyszczenia, podniesienia, wywyższenia i uwewnętrznienia wszystkich wartości Prawa. A wówczas to wszystko, co będzie oczyszczone, podniesione i dokonane, będzie już Nowe, a to Nowe będzie koroną tego, z czego wyszło, będzie koroną Starego, jego przemienieniem w Nowe, w ostateczne, w nieodwołalne w najdoskonalszej doskonałości. Dlatego zimny dreszcz przeszedł przez całe zgromadzenie, bo bali się tego przemienienia i woleli trwać w Starym, nie przemienionym i nie oczyszczonym, nie podniesionym i nie wywyższonym, gdyż dobrze się w nim czuli, jak czuje się dziecko w szczęśliwym domu swojego dzieciństwa. Oczy faryzeuszów zasnuły się mgłą. Dlaczego ich wymienił? Dlaczego ich i uczonych w Piśmie wskazał palcem? Kto spośród Izraela, jeżeli nie oni, wyznaje wyższą i obfitszą sprawiedliwość? Czy to było upomnienie? Wyrzut? Oskarżenie? Poza mgłą ich pytających spojrzeń czała się napięta uwaga i troska. Natomiast – o dziwo! – żarliwym blaskiem płonęły oczy grzesznego celnika Lewiego Mataja, znenawidzonego poborcy podatków, który pod wrażeniem kazania Jezusa mimo woli podniósł się z ławy i tym niestosownym zachowaniem niejako sam się zrównał z am haarecami, stojącymi pod ścianą, co jeszcze bardziej pograżyło go w oczach najprzedniejszych mieszkańców, przestrzegających z niezwykłą dokładnością przedziału między siedzącymi bogaczami – nawet jeżeli są celnikami – a stojącą pod ścianą miejską i wiejską biedotą. I czy to Jezus rzeczywiście po raz drugi powtórzył końcowe zdania, czy też było to tylko echo Jego ostatnich słów, które wciąż jeszcze trwały w uszach głęboko przejętych słuchaczy, w każdym razie wszyscy zgromadzeni usłyszeli matowy, ciepły głos, smutnie napominający:

– Jeżeli sprawiedliwość wasza nie będzie obfitsza niż sprawiedliwość uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego.

I wtedy stała się rzecz niezwykła. Stojący pod ścianą odludek o podwójnej twarzy, pogardliwej i płaczliwej, roztrącił stojących obok siebie ludzi, skoczył na środek synagogi i potykając się o chustę modlitewną, w którą zaplątał się w biegu, dopadł bimah, wznosił pięści przeciw Jezusowi i wrzasnął:

– Cóż mamy z Tobą wspólnego, Jeszuo ben Josef?!

Chwycił kurczowo rękami poręcz bimah i począł nią szarpać. Piana wystąpiła mu na wargach i ściekała białą strugą po zmierzwionej brodzie. Strząsnął z ramion chustę modlitewną, jak wąż, który zrzuca z siebie starą skórę. Skacząc, deptał ją z mściwą zaciętością, a usta jego, wykrzywione pogardliwym uśmiechem, wyrzucały

z siebie kipiące, niezrozumiałe słowa, istne błoto brudnych dźwięków.

Ludzie zerwali się z miejsc. Rosz hakneseth rozpaczliwie krzyknął:

– Szatan! Demon! Belial! Baal Zebub!

Tłum, słysząc imiona złych mocy, wypowiedziane głośnym krzykiem przez Jaira, zdjęty panicznym strachem, wśród lamentów i złorzeczeń runął ku drzwiom, ale biedota stłoczona w przedsionku, u wejścia do synagogi, zatarasowała uciekającym drogę.

Cizba zafalowała. Ludzie rozpychali się łokciami, jedni padali na drugich, tratowali się wzajemnie. W wąskich drzwiach rósł zator powalonych ciał. I nie wiadomo, czym by się skończyła ta panika, gdyby nie przytomność umysłu królewskiego dworzanina, który wyciągniętym palcem wskazując na stojącego spokojnie na bimah Jezusa, zaintonował podniosłą modlitwę:

– „Wehakol omri ejn kadosz ka Adonaj! I wszystko zeznaje: nikt nie jest tak święty jak Pan!”

Tłum zachłannie rzucił się na te słowa, pochwycił je, jak tonący chwyta się burty łodzi przybywającej mu na ratunek, i powtarzając je głośno, wyraźnie, jak tarczą zasłaniał się nimi przed krzykiem i działaniem szalejącego demona, który tymczasem przeskoczył przez poręcz i wyjął: – Nie mieszaj się do nas, Jeszu! Przyszedłeś, aby nas zgubić! – całym ciężarem drgającego w konwulsjach ciała runął na podłogę bimah, u stóp Jezusa.

Znowu znaleźli się naprzeciw siebie. Twarzą w twarz. Jak ongi na pustyni, w godzinie postu i kuszenia, jak w czasie przestronnym i na miejscu przestronnym, gdy On trwał na szczytach gór, a tamten, nieczysty, strącony i potępiony, anioł siedmiogłowy i siedmiorogi wąż starodawny, leżał na dnie otchłani. Nieczysty zachował w sobie z dawnych czasów i miejsc minionych, gdy nie był jeszcze Pełzającym, resztę dalekowidzącej świadomości i wiedzy, ostatnie szczątki anielskiego namaszczenia, którymi wyczuwał jak wrażliwymi czujkami nie tylko zbliżanie się i obecność Pana, ale również wszelkie postacie i treści, pod którymi Elohim objawiał się w myślach i działaniu. Pan pozostawił w pamięci Nieczystego bardzo odległe i niewyraźne zarysy Tajemnicy, niedostrzegalne dla synów człowieczych, których czoła nie były przecież znaczone znakiem anielskich olejów, i uczynił to dla powiększenia jego katuszy, gdyż to, co mogło się wydawać pozostałością dawnych przywilejów, było teraz dla pełzającej świadomości klątwą i napiętnowaniem. Pełzający demon królestwa piekielnego, dzięki roztropnochytrym zrządeniom Elohim i za Jego przemyślnym przyzwoleniem, znał drobny ułamek Tajemnicy Królestwa Niebieskiego i dlatego – w przeciwieństwie do ludzi, którzy nic o tym nie wiedzieli – wiedział, że oznacza ono samego Jedyne

i Wszemocnego i Jego nieskończoną Obecność. Ta świadomość była źródłem okrutnych cierpień i utrapień Pełzającego i jej trzeba przypisać jego nagły wybuch gniewu i wściekłości. Wszak wszyscy zauważyliśmy, że demon przez cały czas kazania Rabbiego przezornie milczał. Dopiero gdy Jezus wspomniał o Królestwie Niebieskim, Zły nie umiał już dłużej zapanować nad sobą i rycząc rzucił się w kierunku bimah, albowiem odczuł ogniste natarcie Pana. Chcąc synów Izraela ostrzec przed grożącym im niebezpieczeństwem, wyrzucił z siebie przeczące pytanie, a potem przeczące wezwanie i wreszcie kłamliwe twierdzenie i tym pytaniem, wezwaniem i twierdzeniem jak pierścieniami potężnych murów chciał odgrodzić Izraela od Jezusa. Jezus milczał.

Demon leżąc na deskach bimah uniósł się nieco, podparł rękami, głowę o podwójnej twarzy odrzucił ku tyłowi i z uporem wpatrywał się w stojącego nad nim Rabbiego. Wiedział, co oznacza Jego milczenie. Dobrze pamiętał tę chwilę, gdy na wzgórzu Kuszenia – tak medytował Pełzający – stali naprzeciw siebie. Jeszua ben Josef udający człowieka, w śmiesznym cielesnym przebraniu – nie było Mu w tych ludzkich szatach do twarzy, bo źle na Nim leżały, zupełnie jak teraz, zupełnie jak teraz – i on, kozioł nad kozłami, kozioł Nicości, który natychmiast Go poznał, mimo potu ściekającego po Jego obliczu i mimo zmęczenia obezwładniającego Jego ciało, i mimo głodu skręcającego Jego żołądek. Zaprawdę, trzeba być człowiekiem, nędznym człowiekiem, pokaranym ślepą głupotą i kurzym mózgiem, by nie poznać pod tym kruchym cielesnym przebraniem – śmiać mu się chce na widok tej nieudolnej maskarady – Wysłanego i Przybyłego! Nie wytrzymał. Parsknął śmiechem. Bo jakże nie śmiać się na widok Nieśmiertelności i Nieskończoności niezdarnie wtłoczonej w cielesną powłokę jak w ciasną tunikę o przykrótkich rękawach, pękającą w szwach! Spoważniał. Przebraniec Nieskończoności, mający skłonność do cytatów, na pewno uderzy teraz w niego deszczem wersetów z Pisma Świętego i będzie go nimi smagał aż do ostatniej kropli krwi płynącej w żyłach tego cuchnącego odludka, w którym on, parszczący Belial, znalazł sobie wygodne schronienie. Wysłany i on znajdują się właściwie w tym samym położeniu – tak się Pełzającemu zdawało – i grają tymi samymi kośćmi. Obaj tkwią w ludzkiej i źle do nich przylegającej skórze. Chodzi tylko o to, który z nich pierwszy wykurzy przeciwnika z cielesnej powłoki. To będzie niezwykle pasjonująca walka. Należy teraz tylko ujawnić Obecność Niewidzialnego i Ukrytego w kruchym ciele ludzkim i zdemaskować Jego Boskość przed obliczem synów Izraela, w samym sercu modlitewnych skomleń, w synagodze, i w tym celu wystarczy Go nazwać po Imieniu – a zna te Imiona, zna ich nieskończoną liczbę, trzeba więc tylko znaleźć Imię najwłaściwsze i najcelniejsze, a wiadomo przecież, że kto zna właściwe imię

przeciwnika, ten nad nim panuje – a gdy tylko będzie po Imieniu ujawniona Boskość Boga w Człowieku, cały tak dobrze obmyślany plan Zbawienia i Odkupienia zapadnie się jak namiot pod uderzeniem gwałtownego chamsinu. Wprawdzie Wysłany mógłby, gdyby chciał, przemówić do niego z wysokości Wszechpotęgi i zwalić go jednym piorunem swojego zapalczego słowa, ale na pewno nie skorzysta z tej przemożnej właściwości w obawie przed samozdemaskowaniem swojej Boskości na oczach synów Izraela i dlatego będzie wołał to starcie rozstrzygnąć ograniczonymi środkami ludzkimi, jak ongi na wzgórzu Kuszenia, za pomocą dobrze dobranych cytatów z Pisma Świętego. Pojedynek to niewątpliwie trudny, nie tylko dla niego, ujawnionego demona, nie mającego czego ukrywać, mówiącego pełnym głosem swojego zła, ale przede wszystkim dla Ukrytego i Utajonego, który w swoim zaciętym uporze udawania człowieka nałożył na siebie rygory człowieczych właściwości – i po cóż wiele mówić?! jest naprawdę Człowiekiem, o, jakże dobrze wie o tym Belial! ale jest również Bogiem, o czym również wie dobrze Belial! jest więc mimo wszystko w gorszym położeniu niż Pełzający. Warto spróbować. Byleby tylko znaleźć właściwe imię, imię unicestwiające Człowieczeństwo w Nieskończonym lub Nieskończonego w Człowieczeństwie! Znał wiele Pańskich Imion. Znał ukryte, tajne i zastępcze, znał Jego Imiona ukrywające się pod najbardziej obrazowymi pojęciami, pod pojęciem Cienia, Żywej Wody, Nieba, Skały, różnych kształtów Mocy, Głosu i Ognia, nawet pod pojęciem Sługi, znał Imiona Pana objawione przez Niego trzem Patriarchom i znał Imię objawione Mojżeszowi, Imię tak ogniste, że na samą myśl o głośnym wypowiedzeniu go skręcał się z bólu i przerażenia. Słyszał, że poza wszystkimi objawionymi Imionami Pan rzekomo posiada jeszcze Imię Bezimienne, nigdy nikomu nie ujawnione. Imię, które nie jest imieniem, i dlatego jest Imieniem niezastąpionym, jedynym, właściwym, wszechwiedzącym, ale Pełzający nie wierzył w istnienie tego Imienia i dlatego w myślach nazywał je Imieniem rzekomym, bo uważał, że cała ta historia z właściwym Imieniem jest podstępem, zmierzającym do wprowadzenia w błąd ludzi i Moce Zła. Było ono – zdaniem Pełzającego – wymysłem chytrej i przewidującej wyobraźni ostrożnego Pana, który dla własnego bezpieczeństwa, w obawie przed natrętnymi wścibskimi poszukiwaczami Jego właściwego Imienia – na pewno znajdowało się ono niedostrzegalnie ukryte wśród wielu przez Niego samego ujawnionych Imion – posłużył się niezwykle mądrym fortem i rozszerzył fałszywą wieść, że posiada jeszcze jedno Imię, Imię Bezimienne, nigdy nie ujawnione przed oczami ludzi żyjących. Pełzający leżąc u stóp Jezusa na bimah, przekonany, że z ust Rabbiego lunie teraz na niego siarczany deszcz cytatów, postanowił Go w natarciu uprzedzić i w pośpiechu przypominał sobie wszystkie Jego Imiona,

szukając najwłaściwszego, i jak lampart, który wietrzy krew, szedł za swoim węchem i instynktem w głąb gwiazdnych przestrzeni rozśpiewanych Imionami Pańskimi. Zaczął się do skoku, odbił jak piłka od ziemi i całym ciałem wyprężonym jak cięciwa skoczył do gardła jednemu z Imion Pańskich.

– Ja Cię znam! – krzyknął. – Wiem, kim jesteś! Jesteś Kodesz Adonaj! Święty Pana! Tłum zaszeleścił chustami modlitewnymi i zamarł w przerażeniu.

W oczach Jezusa zapalił się gniew.

W tej chwili Pełzający zrozumiał, że chybił.

Od strony przestrzeni zrównanej z czasem i czasu zrównanego z przestrzenią, z miejsc nieznanymi, a tylko dookoła opisywanymi za pośrednictwem symboli, z których żaden nie oddaje sensu i kształtu tego, co powinien opisać – śmieszne są te ślepe, głuche i bezsilne symbole, raczej zaciemniające niż wyjaśniające istotę symbolizowanych przez siebie zjawisk – zbliżało się Oblicze Bezimienne, burzliwe Oblicze Bezimienne, zbliżała się Bezimienność, ale było to Oblicze bez Oblicza i była to Bezimienność bez Bezimienności, była to nieobeszła i nieogarniona Nieokreśloność, i łatwiej Ją można w bezsilnej świadomości ludzkiej określić za pomocą tego, czym nie jest, niż za pomocą tego, czym jest. Wprawdzie możemy się posłużyć Jej własnymi słowami, stwierdzeniem ostatecznym i najwyższym, wyobrażonym w postaci JEST, KTÓRY JEST, ale i ta pozornie prosta i jasna formuła – tylko z litości i miłosierdzia dla synów Izraela pragnących znać Imię Pana została przekazana im za pośrednictwem Mojżesza, przez Jahwe, który współczując wspaniałomyślnie nędzy człowieczego umysłu, sam łaskawie siebie określił i zamknął się w czterech ścianach ciasnego określenia – nie określa nawet w najdrobniejszej części tego, czym Pan jest w rzeczywistości. I dlatego Pełzający chybił. Musiał chybić, bo nie wiedział, że wszystko, co określa Wszechmoc Pańską, równocześnie ogranicza ją i wskutek tego zniekształca. Ta niewiedza była pychą Pełzającego, który wyrzucał sobie teraz, że zupełnie niepotrzebnie wpędził się w zasadzkę, tym razem bardzo niebezpieczną. Czujny i skupiony czekał teraz na natarcie Jezusa. Jeszcze się łudził, że ta przygoda skończy się może na cytatach z Pisma Świętego. Był nawet gotów w razie potrzeby iść na ugodę, uciszyć się, zamilknąć – do czasu – byleby nie musiał opuszczać swej cielesnej kryjówki. Zaczął się w odludku o podwójnej twarzy, wyprężył się, wypełnił go całym sobą, umocnił się w nim i drwiąco chichocąc – tym chichotem chciał pokryć swój niepokój – śledził bacznie każdy ruch Rabbiego. Nagle ku swojemu przerażeniu, ujrzał ognisty żywioł, siedmioramienny ogień w czarnych, gniewnych źrenicach Jezusa, który wzniosłszy pięści, krzyknął rozkazującym głosem:

– Zamilcz! I wyjdź z tego człowieka!

Pełzający zwinął się w kłębek, wyprostował i znów się zwinął w kłębek, a siedmioramienny ogień, skupiony w czarnych źrenicach, przepalał go, odbierał mu wolę oporu, obezwładniał, poskramiał i kietzał. Demon rozbrojony i unieszkodliwiony począł tłuc się w ciele odludka jak więzień zamknięty w płonącym domu, obijał się rozpaczliwie o jego ściany, oślepiiony ogniem i odurzony czadem, półprzytomny szukał w popłochu wyjścia z tej gorącej pułapki. Dopadł do drzwi wszeteczeństwa, do ust karygodnych i dwujęzycznych, i szarpnąwszy nimi – a od tego nagłego szarpnięcia wstrząsnęło się całe ciało ofiary – z rykiem wypadł na miejsce odległe. I znikł.

Odludek spokojnie wstał z podłogi, podniósł talit leżący na ziemi, ucałował jego frędzle, starannie go złożył, wetknął pod pachę i zwiesiwszy głowę, bez słowa wyszedł z synagogi.

Ludzie zdjęci strachem trwali pod wrażeniem wstrząsającego zdarzenia, ale skoro po dramatycznym wyjściu demona z ciała odludka poczuli się znowu bezpieczni, a ich obecność w synagodze nie była już niczym zagrożona – o bezpieczeństwie świadczyła teraz spokojna twarz Jezusa i Jego łagodne, wręcz dziecięce oczy – wstrząs i napięcie powoli ustępowały niezmiernemu podziwowi. Zrozumieli, że Jezua ben Josef głosi z mocą nową i potężną naukę, a moc ta jest niepojęta, bo Rabbi nie walczył z Pełzającym, czyli nie było między nimi próby sił i trudnych zmagają, ale Pełzającemu rozkazał – na tryb rozkazujący, którego użył Jezus, zwrócili baczność uwagę – i mocą tego rozkazu zwyciężył Nieczystego. W synagodze podniósł się wielki gwar. Głośno mówili, nadmiernie głośno i w tym nadmiarze głosów rozładowywali dopiero co przeżyte napięcie, i dawali upust swojemu podnieceniu. Stawiali sobie wzajemnie pytania: Co to jest? Co to za nowa Nauka? Co to za potężna Nauka? Jakaż to potężna Moc, która nawet duchom nieczystym rozkazuje! – i piętrzyły się te pytania, piętrzyły się odpowiedzi i rosło uwielbienie, rosło coraz bardziej, rosło coraz potężniej i było coraz gorętsze. Tak rozprawiając i wielbiąc Jezusa, nie spuszczała Go z oczu, a w ich oczach był lęk zmieszany z dumą, bo przecież w ich synagodze dokonał cudu, o którym wkrótce mówić będzie cały Izrael. Ale żaden spośród nich nie śmiał do Niego się zbliżyć i dotknąć Jego szat. Gdy wychodził z synagogi w towarzystwie swoich uczniów, pochylili nisko głowy, rozstąpili się i uczynili dla Niego dogodny przejście.

A chociaż dzień był gorący, wiał miły, orzeźwiający powiew, tak miły, jak miły może być tylko powiew wiejący z Łaski Pana w podwójnie błogosławiony dzień Szabatu.

Szabat cudów

Słońce zaledwie stanęło w połowie swojej drogi, a cała ludność Kfar Nahum wiedziała już nie tylko o wypędzeniu przez Jezusa demona, ale również o dokonanym przez Męża cudownym uzdrowieniu chorej świekry Symeona ben Jona, którą zaraz po wyjściu z synagogi odwiedził i dotknięciem ręki uleczył. Kobieta ta, jeszcze przed chwilą spalana silną gorączką, natychmiast zdrowa powstała z łoża i uszczęśliwiona usługiwała do stołu Rabbiemu i Jego uczniom. Nie umiemy odpowiedzieć na pytanie, jak te wiadomości dotarły do okolicznych wsi w dzień Szabatu, w którym synom Izraela wolno przejść tylko dwa tysiące kroków – może, jak to czytamy w jednym z psalmów, pagórek pagórkowi podał tę radosną wieść, a może wiatr ją rozniósł po okolicy – w każdym razie, gdy słońce zaszło za wzgórzami, a zorza wieczorna zgasła na śniegach Hermonu, z całego miasta, z przedmieść i pobliskich wsi wędrowali do Jezusa chorzy i głośno lamentując przed domem Symeona ben Jona, u którego Rabbi zamieszkał, błagali Go o uleczenie z trawiących ich chorób. Stali olbrzymim tłumem w księżycowym świetle przed domem – a byli wśród nich również zdrowi, którzy swoich krewnych i znajomych, mogących się z trudem poruszać czy utrzymać na nogach, doprowadzili do Jezusa – a tłum stawał się coraz liczniejszy, przybierał jak wody pustynnego potoku podczas zimowej ulewy i wypełnił cały plac i sąsiednie ulice. Krzyczeli, płakali, jęczeli, zawodzili, wrzaskliwie się modlili, wymachiwali kulami, pokrwawionymi bandażami, gwałtownie stukali laskami o ziemię, a ponad tą ciżbą kalekich, chorych, cierpiących ciał, pożądanego zdrowia, unosiło się wycie jakiegoś opętanego, który wyrzucał z siebie niezrozumiałe dla tłumu słowa: – Tyś jest Synem Bożym! Tyś jest Synem Bożym! Tyś jest Synem Bożym!

Jezus wyszedł z domu i kładł ręce na paralitykach, na martwych oczach ślepców, na ustach i uszach głuchoniemych, na cuchnących ranach i ropiejących wrzodach, na czołach ociekających brudnym potem, na gorączkujących ustach, okrytych strupami. Uleczył wszystkich, których dotknął swoją dłońią.

Tej nocy mieszkańcy Kfar Nahum i okolicznych wsi nie udali się na spoczynek. Siedzieli do rana na dachach swoich domów lub przed domami i rozpamiętywali zdarzenia radosnego i osobliwego Szabatu. Kim jest Jezus? Prorokiem? Błogosławionym mędrcom? Cudotwórcą zesłanym przez Pana? Jest na pewno Mężem Bożym, bo czyni dobro. Leczy chorych, a Pełzających wygania z opętanych. Mówi rzeczy wzniosłe, tak wzniosłe, że niekiedy nie mieszczą się w ich dotychczasowych pojęciach o Bogu, świecie i człowieku. Dlaczego na przykład sam zamiar, zwyczajny zamiar, jest już czynem, a pragnienie posiadania i posiadanie jest

jednym i tym samym? Albo dlaczego do Królestwa Niebieskiego wejdą tylko ci, których sprawiedliwość jest obfitsza od sprawiedliwości faryzeuszów i uczonych? Czy może być sprawiedliwość obfitsza od sprawiedliwości i bogobojności faryzejskiej? – rozważali faryzeusze. – Jaka ma być zatem ta sprawiedliwość i bogobojność? Gdzie znaleźć miarę tej sprawiedliwości? Gdzie znaleźć miarę tej bogobojności? Nie umiając rozwiązać tych wszystkich trudnych zagadnień, twierdzili, że o wiele ważniejsze od kazań Jezuy ben Josef są Jego czyny. A czynił rzeczy wielkie i nadzwyczajne, których Izrael nie widział od niepamiętnych czasów. Cudów łaknęli. Nie słów. A oto teraz na ich oczach – oby błogosławiony był Pan, który im pozwolił dożyć tej chwili – zjawił się Mąż Boży – oby Elohim dał Mu najdłuższe życie – i działa wśród nich, i czyni niesłychane cuda jak Elijahu i Elisza, a może nawet jak sam Mosze Rabenu! Odmienia na lepsze ich ciężki los, przywraca chorym zdrowie, paralityków prostuje, ślepcom każe widzieć, głuchym słyszeć, niemowom mówić. Moc i chwała Boża jest z Nim i w Nim. Więc siedząc teraz na dachach swoich domów lub przed domami, wpatrzni w wysokie gwiazdy Galilei, dziękowali Panu za łaskę obecności wśród nich natchnionego Cudotwórcy. Uleczeni radowali się odzyskanym zdrowiem, zdrowi uleczeniem chorych, a wszyscy na pamiątkę minionego cudownego Szabatu raczyli się winem, bogacze – starym i słodkim, ubodzy – młodym i kwaśnym moszczem. Ale w tę niepojętą noc zachwyty kwaśny i tani moszcz smakował ubogim jak najprzedniejsze i najśłodsze wino.

Smutek celnika

Jedynym człowiekiem w Kfar Nahum, którego w tę noc trawił dojmujący smutek, był Lewi Mataj ben Halfi. Znamy go z dawnych czasów, gdy stary Zebadia przyjeżdżał do niego z prośbami o wyrozumiałość dla biedoty rybackiej, uginającej się pod ciężarem nadmiernych podatków. Wypadki, których był świadkiem w dzień Szabatu, uświadomiły mu nagle marność jego dotychczasowego życia, nicość wszystkich jego zabiegów i starań o dobrobyt doczesny, bezużyteczność zachłannie ciułanego majątku i złota. Celnik zrozumiał, że jest pełen grzechu i szaleństwa – przez całe życie grzeszył wielkim grzechem, błagalną modlitwą do złotego cielca – popadł w smutek i rozterkę. Wprawdzie czas wolny od zajęć poborcy często poświęcał lekturze Pisma Świętego – niewątpliwie dobrze to świadczyło o celniku – ale niestety czytał je tylko powierzchownie, dla samej przyjemności czytania i rozkoszowania się śpiewnością jego słów, a chociaż umiał o nim mówić wnikliwie i mądrze, nie wstępował do jego wnętrza, do głębokości, i... nie żył według jego przykazań. Dlatego podwójnie głęboka była skaza na duszy Lewiego Mataja, gdyż

znając Pismo Boże, przeczył mu swoim życiem, co jest grzechem nader ciężkim, i lepiej byłoby, gdyby go w ogóle nie znał, niż znając je, żył tak, jakby ono nigdy nie dotarło do jego dłoni, oczu i serca.

Lewi Mataj siedział w tę noc na dachu swojego bogatego domu i patrząc na jego kamienne ściany i na palmy w ogrodzie, i na swoją jedwabną szatę, ujrzał w sobie pustkę i pomyślał, że poza smutkiem nic mu nie pozostało z ceł i akcyz ściąganych bezlitośnie z rybaków, rzemieślników, handlarzy, przekupniów, przy mostach i brodach, na drogach karawanowych, na rozstajach dróg, na targach i przy wjeździe do miasta, że nic mu nie pozostało z pieniędzy, które zdzierał z ludzi, bo te bogactwa, na które patrzy żywymi oczami, dom stawiany z kamienia, szata wielobarwna i sandały z drogiej skóry, złote monety, które ukrył w dzbanach w piwnicy swojego domu – są pustą marnością, pomnażającą smutek.

Lewi Mataj poczuł się biedniejszy od najbiedniejszych żebraków, kołaczących codziennie do bramy jego domu, i cicho szeptał, tak cicho, jakby się bał, że słowa jego dojdą do uszu, dla których były przeznaczone:

– Marnością nad marnościami jest życie moje, o Panie.

Drogi człowiecze

Dnia następnego, gdy zaledwie dniało – uczniowie utrudzeni wrażeniami cudownego Szabatu jeszcze mocno spali – Jezus wstał i udał się w kierunku Chorożain. Z początku szedł bardziej uczęszczaną drogą, biegnącą między niewysokimi wzgórzami, ale tam, gdzie ona nagle zataczała ostry łuk i pięła się ku górze, skręcił na miedzę i począł iść na przełaj, skrajem winnic, i wkrótce znalazł się na małej polanie. Po jednej stronie widać było Jordan i osiedla położone nad jeziorem Genezareth, jeszcze o tej porze szarym, ale już gdzieś po brzegach opalizującym, a po drugiej stronie potężny masyw Hermonu, odziany w złotośnieżną szatę o żółtym odcieniu, która w promieniach porannego słońca czyniła go podobnym do natchnionego lewity.

Jezus usiadł pod dębem.

Słońce rozpoczęło swój bieg po rozpalonym niebie. Wzgórza, jezioro i jego brzegi, jeszcze przed chwilą nieco zamglone, jakby przyprószone snem, teraz zaczęły nasycać się pełnią barw, wzgórza stanęły w ogniu soczystej zieleni, przybierający błękit jeziora upodobił się do gorącego błękitu nieba. Powiał lekki wiatr. Sitowie zakołysało się jak puszysty wachlarz.

Jezus utkwiał wzrok w smugach popielatych dróg, ciągnących się w głąb kraju, to znów biegnących brzegiem jeziora na południe, a serce Jego wezbrało wielką

miłością do każdej z nich, do dróg wygodnych i do dróg wyboistych, do ścieżek prostych i do ścieżek krętych, do biegnących po nizinie i pnących się stromo pod górę, gdyż każda z nich była drogą człowieczą, a po to przecież przyszedł na świat, aby zamieszkać na drogach człowieczych i uczynić z nich swój dom i swoje mieszkanie, swoje Święte Świętych. A oni Go pytali, gdzie mieszka...

Tymczasem uczniowie, zaniepokojeni nagłym zniknięciem Jezusa, przez wiele godzin bezskutecznie Go szukali po całej okolicy. Jedni pobiegli w kierunku Jordanu, a inni na nizinę Genezar. Symeon ben Jona, jego brat Andraj i Nathanael ben Tolmaj, zmęczeni wielogodzinnym i bezskutecznym szukaniem po drogach i wertepach, już wracali do Kfar Nahum dookólną drogą, biegnącą pod stokiem wzgórza, gdy wtem ujrzeli z dala Rabbiego, siedzącego pod dębem i pogrążonego w myślach. Gdy podeszli bliżej, Symeon ben Jona wysunął się przed swoich towarzyszy i rzekł cichym głosem:

– Rabbi...

Jezus podniósł głowę, a Symeon pożałował swojej nierozważnej gorliwości, która mu kazała szukać Rabbiego i zakłócać Jego samotność. Jezus wstał i patrząc na szerokie barki rybaka, na jego krzepkie ramiona, na jego rozsądną bezradność i dziecięcy lęk w oczach, pomyślał, że Pan mądrze i dobrze uczynił, rozbijając w Symeonie ben Jona swój bezpieczny namiot.

– Wszyscy Cię szukają, Rabbi – z lekkim wyrzutem w głosie powiedział Symeon.

Jezus uśmiechnął się. Przypomniał sobie swoją matkę, gdy przed wielu, wielu laty, szukając Go po Jerozolimie, znalazła Go rozprawiającego z uczonymi w Piśmie Świętym, w krużganku świątynnym, i tym samym tonem żalu i troski, co teraz Symeon, wypowiedziała swój niepokój o Jego bezpieczeństwo. Przed oczami Jego stanęła Miriam i stanął Josef ben Jaakow, cieśla – oby światło Pana wiecznie świeciło nad zasłużonym spoczynekciem cieśli – ujrział całe swoje dzieciństwo, pierwszą młodość i wszystkie lata przeżyte na drogach przeszło-przyszłych. Dzisiaj drogi te biegną u stóp wzgórza, przecinają w niezliczonych kierunkach całą Galileę, całą ziemię Izraela i ziemię wszystkich ludzi. Spochmurniał. Potarł dłonią czoło i odpowiadając Symeonowi ben Jona rzekł:

– Pójdziemy gdzie indziej, do sąsiednich osiedli, abym i tam przemawiał do synów Izraela, albowiem – tu wskazał palcem na drogi biegnące u stóp wzgórza – na to przecież przyszedłem.

Zstąpili w dolinę. Otoczyły ich natychmiast niezliczone rzesze ludzkie. Gdy rozniosła się wśród nich wieść, że Jezus opuszcza Kfar Nahum, ludzie zastąpili Mu drogę i błagali Go, aby od nich nie odchodził. On jednak szedł obroną przez siebie drogą i odpowiadając na ich prośby, rzekł do nich:

– Muszę również i w innych miastach zwiastować Dobrą Nowinę o Królestwie Niebieskim, gdyż na to jestem posłany.

Z żalem pozwolili Mu odejść, ale wierzyli, że wkrótce do nich powróci.

Jezus poszedł z uczniami brzegiem jeziora na południe, a potem na zachód, w głąb Galilei. Chodził po całej krainie, po miastach, miasteczkach i wsiach, nauczał po synagogach i głosił Dobrą Nowinę o Królestwie Niebieskim. Zewsząd przychodzili do Niego chorzy, udręczeni, lunatycy i sparaliżowani. Przyprawiano Mu również opętanych. Wszystkich uzdrawiał, leczył ich choroby i wszelką niemoc ludu, a wieść o Jego uzdrawiających słowach i cudach obiegła całą ziemię Izraela.

Szły za Nim tłumy tak wielkie, że Rabbi był zmuszony chronić się przed nimi w miejscach samotnych.

Wysłannicy

W Szabat w synagodze w Kfar Nahum na oczach całego zgromadzenia wypędził złego ducha z opętanego człowieka, potem tego samego dnia...

– W Szabat? – przerwał Kajafa.

– Tak, w Szabat – ciągnął dalej Nahum – cudownie przywrócił zdrowie wielu chorym i kalekom. Uzdrawił również pewnego trędowatego, który przybył do Jerozolimy, do Świątyni Pańskiej, i według Prawa Mojżesza został oczyszczony przez kapłana.

Nahum na palcach prawej ręki, bez zapału, ale z drobiazgową dokładnością wyliczał dokonane przez Jezusa cuda.

– Mówisz tak, jakbyś wierzył w te cuda – Josef Kajafa spojrzał złośliwie na Nahum, bo gniewało go nazywanie cudami zjawisk, które były dziełem sił nieczystych, aczkolwiek sekretarz, rzeczowo wyliczając je na palcach, gestem tym jednoznacznie dawał do zrozumienia swojemu panu, że traktuje te zdarzenia jak kupiec dostarczone towary i chodzi mu raczej o ich ilość, a nie jakość.

– Nie mówię o tym, w co wierzę, ale o tym, w co wierzy lud – Nahum poczuł się głęboko dotknięty jadowitą uwagą Kajafy.

Arcykapłan skrzyżował ręce na piersiach i przemierzając komnatę mówił gorączkowo, a Nahum, znający jego zwyczaje, wiedział, że Kajafa nie mówi do niego, ale do siebie, a on, sekretarz, jest teraz już ledwo dostrzegalnym przedmiotem, który powinien nieruchomo stać i słuchać, i tym swoim staniem i słuchaniem tworzyć niejako konieczne tło dla jego rozmyślań. Był teraz tylko milczącą skrzynią, skrzynią szczelnie zamkniętą, skrzynią wierności. Słuchając jednak wywodów Kajafy, poruszony potęgą i głębią jego uczuć, szybko odzyskał dobre samopoczucie,

gdyż dumny był, że jest zaufanym i wiernym sługą strażnika wiary, wybranego przez Pana, Josefa, arcykapłana.

A Kajafa mówił:

– Błogosławiony niech będzie Pan, który czuwa nad Izraelem i często rękami jego wrogów chroni go przed duchami zwodniczymi, i dlatego kazał przewrotnemu Herodowi Antypasowi uwięzić Johanana ben Zecharia, męża głośnych i nieopanowanych ust, i zamknął jego usta w więzieniu w Macheroncie. Nie ostoja się fałszywi prorocy, nierządni królowie i bezbożni dostojnicy i nie ostoi się Herod Antypas, żyjący wbrew Torze w kazirodczym związku z żoną swojego brata. Ten wieprz nieczysty chce zasiąść na tronie królewskim w Jeruzalajim Hakodesz, ale pierwszej drugi potop spadnie na ziemię, niż gwałciciel Prawa zasiądzie na tronie króla Dawida, na Syjonie – arcykapłan przystanął i wyrzucił z ust słowa jak plwocinę: – Słodsze mi upokorzenie z rąk Poncjusza, goja, niż dary z rąk męża nierządnicy.

Krażąc z założonymi na piersiach rękami po komnacie, tak dalej mówił:

– Ledwo umilknie jeden duch zwodniczy, już drugi odzywa się gromkim i donośnym głosem. Kim jest ów Jezuza ben Josef? Czy jest mesith, zwodzicielem? A może mechaszef, czarnoksiężnikiem? A może chaszaf, mężem zaklinającym rękami? A może aszaf, mówiącym szeptem tajemne zaklęcia? A może fałszywym prorokiem? Elohim – niech będzie po wieczny czas błogosławione Jego Imię – zsyła niekiedy na ziemię fałszywych proroków, aby za pomocą fałszywych przepowiedni, nawoływań i wezwań kusili i doświadczali lud Izraela.

Kajafa przystanął na środku komnaty i utkwivszy wzrok we wzorzystym kobiercu, który posłusznie tłumił niepokój jego kroków, mówił tak cicho, że Nahum musiał dobrze wytężyć słuch, aby zrozumieć jego słowa:

– A jeżeli nie jest zwodzicielem? A jeżeli nie jest fałszywym prorokiem? A jeżeli nie jest mężem mówiącym szeptem tajemne zaklęcia? A jeżeli jest naprawdę Wyśłannikiem Pana i ustami Pana, i Pan powiedział do Niego: „Wstań i idź do Izraela, do mojego ludu, i głos mu upomnienie, które Ja Ci polecam”?

Kajafa podniósł głowę, oparł się rękami o stojący obok fotel i lekko się kołysząc, mówił jęklwym głosem:

– Ileż dni i nocy spędziłem na gorących modlitwach i błaganiach o jasność i mądrość myśli, i dar odróżniania dobra od zła, prawdy od kłamstwa, ileż dni i nocy poświęciłem Panu, błagając Go o łaskę światła dla siebie, dla całego Sanhedrynu i dla wszystkich kapłanów, aby umieli poznać zamiary Pana i pokierować według Jego woli ludem Izraela! Ileż niespokojnych dni i bezsennych nocy spędziłem wśród łez na wsłuchiwanie się w głosy mojego wnętrza, wśród których szukałem głosu

jedyne i święte, głosu Pana, i ileż razy drżałem w obawie, że się omylę i głos Beliala wezmę za głos Pana! I cóż mi dzisiaj po tych wszystkich niespokojnych dniach i bezsennych nocach? W Galilei mąż imieniem Jezua ben Josef głosi tajemne słowa, wypowiada niezrozumiałe myśli, dokonuje cudów, a ja, kohen hagadol, pierwszy w Izraelu, nic o Nim nie umiem powiedzieć! Nie wiem, czy jest Wysłannikiem Najwyższego, czy wysłannikiem Pełzającego, czy mówi w Imię Adonaj, czy w imię złej Mocy. Czy jest młotem Pana, który runie na wrogów Izraela, czy jest młotem nieszczęścia, które zawisło nad moim ludem! Więc na cóż mi się zdała cała wiedza, ślęczenie przez długie lata nad świętymi zwojami, na cóż mi się zdały modlitwy, posty i ofiary, skoro stoję teraz w obliczu próby bezradny jak dziecko.

Odwrócił się. Spojrzał na Nahuma, stojącego w cieniu pod ścianą, i mówił do niego, a słowa jego wzbudziły w słudze głębokie współczucie dla walczącego z sobą męża, na którego mądrości i rozwadze spoczywało bezpieczeństwo i przyszły los ludu Pańskiego:

– Czy chociaż jedna z wieści, które dotarły z Galilei do moich uszu, jest wieścią pewną i wiarygodną? Jedna drugiej zadaje kłam. Jedni twierdzą tak, inni twierdzą tak. Ci słyszeli to, inni słyszeli tamto. A jeżeli jedna wieść potwierdza drugą, czyni to w sposób tak niezadany i wątpliwy, że to, co na gorąco wydaje się być potwierdzeniem, po chłodnym namyśle staje się zaprzeczeniem, śmieszoną mrzonką. Muszę się dokładnie dowiedzieć, Nahumie – głos arcykapłana zabrzmiał niespodziewanie miękko i ciepło, co bardzo wzruszyło wierne sługę, który zrozumiał, że Kajafa zaprasza go do współudziału w jego rozmyślaniach – muszę, Nahumie, dokładnie się dowiedzieć, co ów mąż mówi w swoich kazaniach i o czym opowiada w swoich przypowieściach, ale nie mogą to być nieuchwytnie i niejasne plotki, chaotyczne i zawile, ciemne i zagmatwane, ale sprawozdanie jasne, dokładne i drobiazgowo, oceniające mądrze całość i szczegóły, a słowa Jezuy ben Josef powinny być powtórzone dosłownie, i muszą być przy tym podane wszystkie okoliczności, towarzyszące Jego wystąpieniom, ważne i mniej ważne. Poza tym muszę znać uczucia ludu galilejskiego dla owego męża, przychylne i nieprzychylne, i dopiero wówczas, gdy otrzymam wiadomości przesiane przez sito rozsądku i spostrzegawczości, razem je powiązę, scalę i stworzę sobie pełny i prawdziwy obraz Jezuy ben Josef. Należy zatem wysłać do Galilei mądrych i czujnych wysłanników, o wielu oczach i wielu uszach, którzy umieją zarzucać pytania jak gęste i mocne sieci. Wymień imiona takich ludzi.

Nahum poprawił jedwabny pas na biodrach, a oczy jego łakomie zabłyśły. Spośród wielkiej ilości znajomych sędziów śledczych, wywiadowców,

sprawozdawców pospiesznie wybierał, jak z kosza pełnego pięknych jabłek, jabłka najpiękniejsze. Nie spieszył się z wymienianiem imion. Wolał, aby imiona kandydatów padły najpierw z ust arcykapłana.

– Wydaje mi się, że należy posłać Saula z Tarsu – rzekł arcykapłan.

– Saula? – spytał Nahum.

– Jest mądry, bystry i wymowny i zawsze znajdzie właściwą odpowiedź, i potrafi zadać właściwe pytanie – arcykapłan skwapliwie wymieniał zalety umysłu i charakteru młodego faryzeusza, który znany był w Jerozolimie z wielkiej wiedzy i gorliwości wiary.

Nahum, odpowiadając, rzekł:

– Jest za młody i za gwałtowny. Porywczością swoją więcej może nam przysporzyć kłopotów niż pożytku. Wysłannik nie powinien być lwem.

– A czym powinien być?

– Lisem – odparł bez namysłu Nahum.

– Masz słuszność – odrzekł Kajafa, ale w głosie jego brzmiało niezadowolenie. – Należy zatem posłać Krótkowzrocznego.

– Krótkowzrocznego? – spytał sekretarz, ale nie czekał na odpowiedź, gdyż pytanie było dla niego tym, czym sprawne odbicie się od ziemi wytrawnego skoczka. – Mój pan zdaje się zapomniał, co mówił Krótkowzroczny po swoich odwiedzinach u Johanana ben Zecharia i jaki sąd wydał o nim i o jego uczniach. To nie był sąd rozważny i bezstronny. Nie chcę przez to powiedzieć, że Krótkowzroczny wyraźnie pochwalał poglądy nazira, ale swoje zdanie o nim wypowiedział tak, jakby był skłonny je pochwalić.

– Nie zapomniałem i wszystko pamiętam – ostro odpowiedział Kajafa i zimnym tonem swojego głosu dał do zrozumienia Nahumowi, że przekroczył ustaloną między nimi granicę poufałości. Nahum cofnął się o krok i tym ruchem ustanowił właściwy przedział między patriarchalnym majestatem arcykapłana a swoją służebną małością.

– Mów, kogo mi radzisz posłać – rzucił niedbale Kajafa. Nahum cofnął się jeszcze o krok i odpowiadając, rzekł:

– Menahema ben Noah i Nehemię ben Gedalia – Nahum, znając nieposkromioną ambicję swojego pana, wyszeptał te imiona z taką uległością i oddaniem, jakby je ofiarowywał w podarunku Kajafie.

– Zgadza się – odrzekł arcykapłan – to dobry pomysł.

I uśmiechnął się. W odpowiedzi uśmiechnął się Nahum. A wtedy arcykapłan postanowił podyktować mu list do Hanana ben Sethi, który przebywał u gorących wód w Kalliroe nad Morzem Soli, gdzie leczył schorowane kości. Starzec,

wyjeżdżając, żądał od niego, aby powiadamiał go dokładnie o wszystkim, co w ważnych sprawach przedsięwzięcie podczas jego nieobecności w Jerozolimie.

Nahum wyjął z zanadru tabliczkę powleczonej woskiem, ujął w dłoń rylec, stanął przy pulpicie i czekał.

Kajafa zmarszczył zrośnięte brwi i powoli dyktował:

– Josef Kajafa, arcykapłan Świątyni Pańskiej w Jeruzalajim Hakodesz, do swojego teścia, najdostojniejszego Hanana ben Sethi, światła i korony Izraela, mędrca, nad którym Elohim – niechaj błogosławione będzie Imię Jego we wszelkim pokoleniu – wzniosł róg swojej cudownej Wszehmocy. Wierząc, że Łaska Pańska czuwa nad zdrowiem mojego pana i że dzięki niej wkrótce wróci on w pełni sił i zdrowia z gorących wód do Świętego Miasta, pragnę go teraz powiadomić o najważniejszych wypadkach, jakie się wydarzyły w Izraelu. Otóż otrzymałem wiadomość o pewnym mężu imieniem Jeszua ben Josef...

Rylec, wiedziony sprawną dłonią Nahuma, szybko poruszał się po woskowej tabliczce.

Baranek Boży nie przestrzega postów

Działalność Jezusa zaniepokoiła nie tylko Josefa Kajafę, ale również uczniów uwięzionego w Macheroncie Johana ben Zecharia, którzy pozbawieni opieki swojego nauczyciela, zdani byli na łaskę własnych, nie zawsze szczęśliwych dociekań. Już od dłuższego czasu dochodziły do nich wieści o nieprawdopodobnych cudach i o niezwykłych wypowiedziach Rabbiego. Jeszcze mieli w uszach słowa, którymi Nistrzyżony powitał swojego galilejskiego Brata, a przede wszystkim przypomnieli sobie, z jaką pokorą uniżył się przed Nim, mało tego, przecież zapewnił ich, że w dalszym ciągu będzie nieustannie się uniział i pomniejszał, podczas gdy Tamten będzie nieustannie wzrastał, bo taka jest święta i nieodwołalna wola Pana. Więc dlaczego – pytali siebie nawzajem – pomniejszony Johanan ben Zecharia nie poszedł za wzrastającym Jeszua?

Tymczasem z Galilei napływały coraz bardziej zatrważające wiadomości, a wśród nich owa niesłychana, o rzekomym spotkaniu Jezusa z nieczystą Samarytanką u studni Jaakowa – własnym uszom nie chcieli wierzyć! – o tym, że pije wino i je mięso i – spośród wszystkich najbardziej niewiarygodna! – że nie przestrzega postów! On, Baranek Boży, na którym spoczął Duch Jahwe! Mąż, przed którym Nistrzyżony pochylił głowę! O którym powiedział, że nie jest godny rozwiązać rzemyka u Jego sandałów! Nie przestrzega postów! Nie przestrzega! Nie przestrzega!

Narzucili na siebie chusty modlitewne i objawszy głowy rękami, wpatrzeni w ponure mury Macherontu, odmawiali psalmy pokutne, które ciężkie od ich łez i rozpacz, z trudem płynęły ku niebu, podobne ptakom przebijającym się z żerem w dziobach przez szalejącą wichurę i deszcz, ku swoim gniazdom.

Dwóch spośród uczniów postanowiło udać się do Galilei i spytać Jezusę ben Josef, dlaczego nie przestrzega postów.

Wysłannicy Kajafy jadą po śladach Jezusa

Wysłannicy arcykapłana i Sanhedrynu, Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia, ruszyli do Galilei, aby w myśl otrzymanych poleceń śledzić Jezusa. Jak przystało na doświadczonych urzędników śledczych, postanowili przedtem zapoznać się z dotychczasową działalnością i osiągnięciami Rabbiego – tymi słowami określali Jego posłannictwo, a były to określenia ściśle prawne i rzeczowe – i w tym celu udali się w drogę po śladach Nazarethańczyka. Zanim dotarli do Kfar Nahum, zwiedzili Naim, wsie położone u podnóża góry Tabor, Nazareth, Kanę Galilejską, miasteczka rozsiane na południowo-zachodnim brzegu Jam Kinereth, a potem na samym końcu Bethsaidę Galilejską. Nie byli zadowoleni z wyników tej podróży. Zebrane wiadomości nie dały im pełnego obrazu postaci i działalności Jezusa, a przede wszystkim, i to było najbardziej niepokojące, nie tylko nie odpowiadały założeniom nakreślonym przez arcykapłana, ale w bardzo wielu szczegółach były z nimi całkowicie sprzeczne. Synowie Izraela, opowiadając o cudach Jezusa, zawsze dodawali z bogobojną przezornością: oby Elohim zachował Go na ziemi po najdłuższe lata. Z pokorą przytaczali Jego wypowiedzi o Panu, miłości, dobroci i Królestwie Niebieskim, a jakkolwiek nie wszystko rozumieli, co mówił, nawet przed niezrozumiałymi myślami składali głęboki ukłon, gdyż przeczuwali w nich istnienie spraw świętych. Wszyscy zgodnie potwierdzali Jego osobisty urok, łagodność, przystępność, spokój, kojące oddziaływanie na rozmówców, chociaż niekiedy, gdy wypowiadał owe myśli niezrozumiałe, popadał w groźno-łagodną zapalczywość, która ich napępiała niemałym lękiem. Wysłannicy, słuchając tych wszystkich wiadomości, skrzętnie zapisywali je w pamięci i z żalem, i z zakłopotaniem stwierdzali, że nie pokrywały się one z obrazem Rabbiego, przekazanym im przez arcykapłana.

Jechali teraz brzegiem jeziora. Za sobą pozostawili Tyberiadę – ominęli ją w dalekim promieniu – Bethsaidę Galilejską, przegładającą się w niebieskich falach Jam Kinereth, a gdy spostrzegli w dali domy Kfar Nahum, ich serca mocno zabiły, bo zbliżali się do celu swojej drogi. Mieli tam ujrzeć Jezusę ben Josef, człowieka

tajemniczego, zwodziciela – czy zwodziciela? – czarnoksiężnika – czy naprawdę czarnoksiężnika? – mieli stanąć naprzeciw niego, twarzą w twarz, oko w oko, i mówić z nim, i słuchać tego, co mówi, a potem wszystko, co mówi, we wnętrzu swoim ocenić i zważyć. To nie było łatwe zadanie. Jadąc obok siebie na osłach – byli już bardzo znużeni drogą i wrażeniami – zastanawiali się w myślach, jak mają pogodzić ze sobą dwa sprzeczne wizerunki Rabbiego: wizerunek Męża Bożego, odmalowany przez Galilejczyków, ludzi pobożnych i godnych zaufania, z wizerunkiem zwodziciela, odmalowanym przez Kajafę. Nie byli łatwowierni i prostoduszni. O, nie! Nahum wiedział, komu powierza trudne zadanie śledzenia Jezusa, a arcykapłan wiedział, że może śmiało przyklasnąć temu wyborowi. Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia byli ludźmi ze wszech miar prawomyślnymi, ich serca były wprawdzie gorące, ale ich rozsądek był chłodny, ich oczy spostrzegawcze, spojrzenia ich oczu podejrzliwe, a ich myślenie lotne i szybkie. Świetnie się wzajemnie uzupełniali. Każdy z nich był w swoim zakresie wartością niezastąpioną, a razem tworzyli zespół niewzruszonej doskonałości. Menahem, mąż wysokiego wzrostu, kościsty, łysy o ptasiej twarzy, był szybki w myśleniu i ruchach, gadatliwy, ugrzeczny, zawsze potakujący, nawet wtedy, gdy myślał inaczej niż jego rozmówca. Nehemia był otyły, niski, o wyłupiastych oczach, szerokich ustach, okrągłej i gęsto owłosionej głowie, przypominał starą jaszczurkę wygrzewającą się leniwie na słońcu. W przeciwieństwie do swojego współpracownika i przyjaciela był powolny w myśleniu, mówił niewiele i rzadko, a gdy wreszcie wypowiedział zdanie, cedził rozwlekłe słowo po słowie.

Siedzieli, zamyśleni, na godnie kroczących osłach i im bardziej zbliżali się do Kfar Nahum, tym większa była rozterka w ich duszy. Ciężkie milczenie przerwał Menahem i chcąc siebie i Nehemię podtrzymać w śledczych zapalach i natchnionych zabiegach o zdobycie nieskazitelnej prawdy, wznosił głowę ku niebu, zamknął powieki, jak to zwykł czynić podczas modlitwy, i począł z pamięci recytować mądre paragrafy ze zbioru ustaw przeciw odstępcom – był to kodeks opracowany przez mędrców i służył do obrony świętej i niewzruszonej wiary – które miały odnowić ducha wysłanników i rozpać ogień ich czujności:

– „Każdy prawowity syn Izraela – Menahem, modulując głos, nieomal śpiewał ten prawniczy tekst, który sam w sobie nie miał żadnej śpiewności, ale w jego ustach brzmiał niezwykle melodyjnie i dźwięcznie – jest zobowiązany złożyć skargę przeciw zwodzicielowi, jest zobowiązany i uprawniony za pomocą przemyślności i zmyślenia zwabić zwodziciela w pułapkę, wystawić go na próbę, ujawnić go i zawstydić. W tym celu należy posłużyć się przeciw podejrzanemu zwodzicielowi chytrymi świadkami (w innych wypadkach jest to zakazane) i śledzić go przez

dwóch prawowiernych i godnych zaufania mężów do czasu, aż będzie ujawniony, po czym świadkowie mają obowiązek go uwięzić i zaprowadzić przed oblicze Wielkiego Sanhedrynu w Jerozolimie. W wypadkach trudnych i zawikłanych Wielki Sanhedryn w Jerozolimie ma obowiązek wysłać dwóch obznajmionych z Prawem tajnych wysłanników – w tym miejscu Menahem ben Noah podniósł powieki i spjrzał na swojego towarzysza, a stwierdziwszy z zadowoleniem, że Nehemia ben Gedalia słucha jego prawniczego śpiewu w należytych skupieniu, zamknął natychmiast oczy – pełniących równocześnie obowiązki przemyślnych świadków, którzy śledzić będą podejrzanego, schwytają go na gorącym uczynku, gdy będzie wygłaszał zwodzicielskie mowy, i doprowadzą do Świętego Miasta”.

Te były słowa ze zbioru ustaw przeciw zwodzicielowi, które z lubością wyśpiewał, posługując się piękną modulacją głosu, Menahem ben Noah, ku swojemu i swojego towarzysza zbudowaniu i pocieszeniu a wyśpiewał je z głęboką żarliwością, błagalnym, modlitewnym tonem, jakby to nie był oschły kodeks prawnych przepisów, lecz wzniosły psalm wielbiący Pana.

I podniesieni na duchu wjechali w uliczki Kfar Nahum.

Jezus odpuszcza grzechy

W domu Symeona ben Jona – ilekroć Jezus przebywał w Kfar Nahum, mieszkał u niego – w przestronnej izbie zebrał się wielki tłum ludzi, którzy na wiadomość o powrocie Rabbiego przybyli, by posłuchać jego mądrych nauk, przykazań, a przede wszystkim barwnych przypowieści. Ludzi zebrało się tak wiele, że raczej należało ich ugościć na dziedzińcu niż wewnątrz domu. Ale ponieważ była już późna jesień – miało się ku końcowi miesiąca tiszri, od zachodu wiał porywisty wiatr, a tego roku wyjątkowo wcześniej spadły pierwsze deszcze – Symeon ben Jona zaprosił do izby starszyznę i co godniejszych mężów, natomiast młodzieży wyznaczył miejsce w przedsionku, wskutek czego w jego ciasnym domu uczynił się wielki ścisk. Jezus usiadł na środku izby, a dokoła Niego usiedli na podwiniętych nogach rosz hakneseth Jair, starsi synagogi, kilku poważnych faryzeuszów i uczonych w Piśmie Świętym, kilku przybyszów z Jerozolimy, a wśród nich nasi dwaj znajomi wysłannicy, Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia, którzy usadowili się na uboczu, pod ścianą, poza zasięgiem światła padającego do izby przez wysoko, prawie pod sufitem umieszczone, zakratowane okno. Dalej siedzieli uczniowie Rabbiego, Symeon ben Jona i jego brat Andraj, Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow, Filip z Bethsaidy i Nathanael ben Tolmaj, Theom Bliźniak i Jaakow ben Halfi, i jego bracia, Jehuda i Symeon gorliwiec, a potem już stał bezimienny tłum

rzemieślników i rybaków, młodzieńców i podrostków, którzy wypełnili przedsionek i część dziedzińca. Wokoło panowała wielka cisza i nikt nie ośmielił się głośnym słowem zachęcać Rabbiego do zabrania głosu. Należy pochwalić wzorowe zachowanie się zebranych, którzy w obecności tak znacznego Gościa umieli utrzymać na wodzy porywczosć i zapanować nad gorącością swoich serc. Wprawdzie mężowie i młodzieńcy niższego wzrostu, którzy stali w przedsionku, na progu domu i na dziedzińcu, chcąc ujrzeć, co się dzieje w izbie, stawali na palcach, a nie umiejąc utrzymać równowagi ciała, wprowadzali pewne zamieszanie wśród najbliższych sąsiadów, ale ów rozgardiasz trwał krótko, szybko się uciszał i wyglądał, jak woda pomarszczona bezszelestnym upadkiem gałęzi lub liścia, i znów tłum trwał w milczeniu; i czekał uniżony na słowa Rabbiego.

Jezus spojrział na białą smugę światła wpadającą przez okno, położył dłonie na kolanach i począł im opowiadać o obowiązkach bliźniego wobec bliźniego. Mówił do nich o tym, co już kilkakrotnie mówił do ich braci nad Jordanem i do ich braci na wzgórzach Galilei, a co potem będzie jeszcze wiele razy powtarzał do ich braci w różnych okolicznościach. Zaklinał ich na Pana i na Jego aniołów, by miłowali swoich braci jak siebie samych i aby miłowali swoich nieprzyjaciół, i błogosławili tym, którzy ich przeklinają, i modlili się za tych, którzy ich prześladują. Głos Jezusa miarowo falował, łagodnie opadał, to znów burzliwie się wznosił i, uderzając o ich serca, próbował je zmiękczyć i skruszyć, a przynajmniej wsączyć w nie owocujący niepokój. Otwierał więc ich uszy na słyszenie słów, których nigdy dotychczas nie słyszeli, ich oczy na widzenie obrazów, których nigdy dotychczas nie widzieli, a oni słyszeli szum ulewnego deszczu spadającego zarówno na sprawiedliwych, jak i na niesprawiedliwych, i widzieli słońce wschodzące zarówno nad dobrymi, jak i nad złymi. Mówił im o ciasnej bramie i wąskiej drodze, prowadzącej do żywota i zbawienia, opisywał tę ciasną bramę, przypominającą ucho igielne, i drogę wąską, wyboistą i zasianą ostrymi kamieniami. Tłumaczył im, że droga trudna i wyboista jest bramą Prawdy, a ciasna brama jest bramą Żywota, natomiast brama szeroka i przestronna jest bramą zatracenia, a droga wygodna i łatwa jest drogą kłamstwa. Opis tych bram i dróg wielokrotnie powtarzał i za każdym razem ozdabiał go innymi szczegółami, drobniawo malował cierpienie i ucisk tych, którzy krocą przez bramę Prawdy, i wygodę tych, którzy krocą przez bramę kłamstwa.

Gdy tak mówił, nagle na dziedzińcu powstała głośna wrzawa, jacyś ludzie rozprawiali podniesionymi głosami, w sieni niespokojnie zakotłosał się tłum, ale już rozległy się tłumione syki: – Cicho! Cicho! – i natychmiast gwar ucichł, a słuchacze z uwagą powrócili zaraz pod ciasną bramę, przez którą biegła wyboista i zasłana ostrymi kamieniami droga Prawdy.

Z napiętą uwagą śledzili bieg Jego myśli. Zaskoczyły ich niezwykle śmiałe sformułowania, a zwłaszcza Jego nieustępliwe nakazy i przykazania, które wydawały się im niewykonalne. Albo sposób, w jaki wyjaśniał Pismo Święte! Czy można pogłębić głębiny, które Pan stworzył? Wywyższyć góry, które utwierdził na całą wieczność? Rozszerzyć szerokości, których granice raz na zawsze ustalił? Przecież Torę wyjaśniali ich ojcowie i ojcowie ich ojców, wyjaśniali mędrcy, uczeni, doktorzy, a każdy z nich wyjaśniał po swojemu, a często wyjaśnienia i wykłady jednego mędrca tak różniły się od wyjaśnień i wykładów drugiego, że wyniki ich dociekań były całkowicie odmienne, a nawet biegunowo przeciwne, czarne stawało się białe, a białe czarne. Mimo to rozważania ich nie wychodziły poza granice ustalone przez mądrość Starszych, gdyż żaden z objaśniaczy i uczonych, rozszerzając lub zwężając za pomocą swoich argumentów omawiane zagadnienie, nigdy nie odważał się sięgnąć do jego prawiecznego dna, do najświętszego dna, do samej nietykalnej istoty sprawy, której człowiekowi nie wolno dotknąć żywą ręką pod rygorem śmierci. A Jezua?

„...Czy Jezua ben Josef dotknął swoją dłonią najświętszego dna? Czy dotknął? A może nie dotknął? Może to tylko złudzenie? Właściwie po czym poznałem, że dotknął? Po czymś nieuchwytnym i trudnym, a może nawet niemożliwym do wyrażenia, a jednak narzucającym się każdemu baczemu słuchaczowi, który umie słuchać i patrzeć” – tak rozmyślał wysłannik Menahem ben Noah.

Natomiast Nehemia ben Gedalia, który w przeciwieństwie do Menahema nigdy nie rozpoczął oceny zjawiska od strony ogólnej, ale naprzód starał się rozsypać trudne i zagmatwane szczegóły, a dopiero potem ogarniał całość, główną uwagę skupił na niezrozumiałym dlań nakazie miłowania nieprzyjaciół, który wydał mu się nader niebezpieczny i całkowicie odmienny od nakazów Pisma Świętego. Wprawdzie w świętych zwojach jest wielokrotnie mowa o miłości bliźniego, ale czy nieprzyjaciel, krzywdziciel, ciemieżca, poganin, wierzący w martwe kamienie i uprawiający kult parzących się psów – na samą myśl o tych bezceństwach w gardle poczęło go łaskotać i do ust napłynęła fala mdłości – może być bliźnim Izraela, wyznawcy Niewidzialnego? Tu tkwiło największe niebezpieczeństwo... Pan – niechaj Imię Jego będzie błogosławione we wszystkich pokoleniach – własnoręcznie napisał Dziesięcioro Przykazań, dał je Izraelowi i przez Mojżesza, mówiącego: „Ata harejta ladaat, widziałeś to wszystko, abyś poznał”, uczynił Jeszuruna stróżem świętego depozytu wiary i przez Mojżesza dał mu Prawo, a z Prawa i z Przepisów, z Poleceń, z Nakazów i Zakazów uczynił wysoki i nieprzekraczalny mur, który strzegł synów Izraela przed zmieszaniem się z ludami uprawiającymi kult zwierzęcych bogów, a wszystko to Pan uczynił po to, aby ów

mały liczebnie lud, zagrożony z północy, z południa, z zachodu i wschodu przez wzburzone morze pogańskich i nieczystych kultów, zachował w sobie, jak w niezdobytej twierdzy, położonej na wysokiej i nieprzystępnej skale, w czystej treści i w nienaruszonym kształcie wiarę w Jedyne. A teraz Jezua ben Josef przychodzi i głosi, że lud wybrany powinien miłować swoich nieprzyjaciół i miłować Kittim i Micraim, i Jawan, i rzymskiego Beliala, i nie tylko miłować, ale i czynić dobro tym, którzy czynią Izraelowi zło, i błogosławić tym, którzy przeklinają synów Izraela, stróżów wiary w Niewidzialnego! – tak rozmyślał Nehemia ben Gedalia. Krew zagotowała się w jego żyłach, mróz przeszedł przez jego ciało, a wyłupiaste oczy jeszcze bardziej wyszły na wierzch ze swojej oprawy. Nehemia skurczył się, zaczął, zapisał głęboko w pamięci słowa Jezusa i cały zamieniwszy się w słuch, słuchał. A Jezus mówił.

Pokazał im, do kogo jest podobny człowiek, który przychodzi do Niego i słucha Jego słów, a potem je wprowadza w czyn. Człowiek ten – mówił Jezus – podobny jest do męża mądrego, który zbudował swój dom na mocnej opoce. Był wtedy miesiąc deszczów, marcheszwan. Spadł ulewny deszcz, rzeki wezbrały, zerwała się wielka wichura i uderzyła w ów dom, ale dom nie upadł, gdyż był postawiony na niewzruszonej skale. Natomiast każdy, który słucha Jego słów, ale nie wprowadza ich w czyn – mówił Jezus – podobny jest do męża głupiego, który postawił swój dom na lotnym i niestałym piasku. Gdy spadł deszcz ulewny, wezbrały rzeki, zerwała się wielka wichura i uderzyła w ów dom, dom upadł i wielki był jego upadek – mówił Jezus, a moc Jego słów była tak wielka, że w uszach słuchaczy zaszumiał deszcz, zahuczał wiatr, zawyła burza bijąca o ściany domu zbudowanego na lotnych i niestałych piaskach, i ujrzeni dom rozpadający się w gruzy, i... Nagle usłyszeli nad sobą gwałtowne uderzenia i zmieszane krzyki i poczęły na nich spadać z sufitu najprawdziwsze grudy gliny, najprawdziwsze kamienie i najprawdziwsze strumienie piasku. Zerwali się z ziemi, stłoczyli pod ścianami, głowy nakrywając rękami. W otworze powstałym w glinianej powale ukazały się ręce, a potem twarze ludzkie. Znow odezwały się mocne uderzenia siekier, poszerzających otwór, i na osłupiałych mężów znow posypały się strugi piasku i okruchy gliny. Jednak zdumienie ich doszło do szczytu, gdy przez szeroki wyłom w powale jak przez górniczy szyb, niewidzialne ręce spuściły na sznurach tuż przed Jezusem łożo, na którym leżał człowiek tknięty paralizem. Równocześnie przez otwór wskoczyło do izby czterech rosłych mężów. Ludzie strząsali z włosów i z szat glinę i gruz, przecierali oczy i spluwając, i kichając – w powietrzu unosił się obłok gryzącego pyłu – głośno wyrażali swoje oburzenie z powodu przybycia gości tak niezwykłą drogą, bo przecież nikt z poważnych i dbających o swą godność synów Izraela nie

zwykł rozwalać dachu i przychodzić w gościnę przez dziurę w powale! Gniew ich wzrósł jeszcze bardziej, gdy w sparaliżowanym poznali szanowanego powszechnie właściciela przedsiębiorstwa rybnego, a w czterech towarzyszących mu mężach – jego wspólników. Jeden z nich podniósł wysoko ręce na znak, że chce przemówić. Gdy się uspokoiło, tak powiedział:

– Nie miejcie do nas żalu, synowie Izraela, że zniszczyliśmy nieco dach i przybyliśmy tutaj drogą tak bardzo niezwykłą. Ten biedny i schorowany człowiek, którego wszyscy znacie – tu czterej wspólnicy wskazali palcami na leżącego na łożu paralityka – za wszystkie szkody zapłaci tobie, Symeonie ben Jona – tu pokłonił się przed Symeonem – tak że nie poniesiesz żadnej straty. Niestety, nie mogliśmy z żadnej strony dostać się do wnętrza domu, przed oblicze Jezuy ben Josef – tu czterej wspólnicy złożyli przed Rabbim głęboki ukłon i polecili Go opiece Elohim – gdyż nielitościwi ludzie, którzy stoją w przedsionku i na dziedzińcu, nie chcieli zrobić przejścia do izby nieszczęśliwemu choremu i nam, jego tragarzom. Pan ujrzał nieczułość i kamienne serca tych ludzi, uczynki ich zważy i policzy w dniu przez siebie naznaczonym.

To powiedziawszy, miłosierny tragarz z pogardą spojrział na ludzi tłoczących się w sieni i na dziedzińcu i zwróciwszy się do Jezusa, tak ciągnął dalej:

– Niechaj błogosławione będzie łono, które Cię nosiło, i pierś, która Cię wykarmiła. Oczy nasze widziały Twoje cuda, a nasze uszy słyszały Twoje słowa, które są równie przedziwne i niezbadane, jak Twoje cuda. Mąż ten – tu wskazał ręką na chorego – tknięty jest paraliżem, nie porusza się, nie może chodzić, mowa jego jest bełkotliwa i trudna do zrozumienia, ale tchnienie jego jest żywe, a dusza jego wierzy wielką gorącością wiary, że Ty, Rabbi, potrafisz go uleczyć.

Tak powiedział, a sparaliżowany jak kłoda leżał nieruchomo na łożu i wpatrywał się błagalnym spojrzeniem w Jezusa, który ujrzał w biednym, bezwładnym ciele chorego męża – rozsunęło się ono przed Nim jak ciężka, gruba zasłona i odsłoniło przestrzeń wypełnioną ciemnym, zmaconym, mglistym światłem – całe jego zagmatwane życie, wszystkie jego uczynki i zamiary, myśli i uczucia, i jego bolesną świadomość, że paraliż, który go dotknął, jest karą za popełnione grzechy. Ponieważ była to świadomość pełna wiary, żalu, wstydu i skruchy, Jezus postanowił oczyścić ją z grzechu, tak jak oczyszcza się studnię z piasku, kamieni i gnijących wodorostów, a wówczas, po dokonanych oczyszczeniu duszy, ciało podniesie się z barłogu i będzie zdrowe. Są bowiem choroby ciała, które biorą swój początek z chorób duszy, a chorobą duszy jest grzech.

Moc, która była w Jezusie, krążąc nad chorym, oczyszczała zmacone, mgliste światło jego wnętrza, które stawało się coraz czystsze, aż wreszcie stało się zupełnie

czyste i białe jak śnieg.

– Ufaj, synu – rzekł ciepło Jezus. – Grzechy twoje są ci odpuszczone.

Chory uśmiechnął się z bezradną wdzięcznością. Wciąż leżał nieruchomy jak ścięty pień. Przez izbę przeszedł szmer. Nikt z faryzeuszów nie śmiał wypowiedzieć swoich uczuć i myśli. Czekał, milczeli. Ale w milczeniu swoim jak za warownym murem bezpiecznie rozważali słowa Jezusa. Jeden z faryzeuszów pomyślał: „...Jakże on może odpuszczać grzechy?” – A drugi pomyślał: „...To jest bluźnierstwo!” – A trzeci pomyślał: „...Jakże on może tak mówić?” – Menahem ben Noah zadrżał z oburzenia w swoim wnętrzu: „...Tylko Pan wszechmocny może grzechy odpuszczać, według słów swoich zapisanych przez Proroka Jesaję: „Ja, właśnie Ja przekreślam twe przestępstwa i nie wspominam twoich grzechów.”

Tak myśląc, nie wiedzieli, że ich gniewne wnętrza są odsłonięte przed Jezusem, który widział ich uczucia i myśli, jak myśliwy widzi ślad tropionej przez siebie zwierzyny. Dlatego gdy Rabbi spytał ich karcąco: – Dlaczego złe myśli żywicie w swoich sercach? – zdumieni się bezgranicznym zdumieniem, że przeniknął warowny mur ich milczenia, i przerazili się, że są wobec Niego zupełnie bezbronni i obnażeni mimo szat, okrywających ich ciała, i mimo ciał, okrywających ich wnętrza, i wewnątrz, pogrążonych w warownym, nieprzeniknionym milczeniu. Niemile zaskoczeni tym odkryciem, jeszcze nie zdążyli ochłonąć z wrażenia, gdy Jezus, wciąż czytając w ich wnętrzu, spytał ich:

– Czy łatwiej grzechy odpuścić sparaliżowanemu, czy kazać mu powstać, wziąć łożo i odejść? I nie czekając na odpowiedź, rzekł:

– Abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy posiada moc odpuszczania grzechów na ziemi – tu zwrócił się do sparaliżowanego – rozkazuje ci, wstań, weź swoje łożo i idź do swojego domu.

Po tych słowach Jezusa chory posłusznie wypełnił Jego wolę i na dowód, że jest oczyszczony z grzechów, podniósł się z łoża. I upadł Jezusowi do kolan.

W izbie wybuchła wrzawa. Ci, co siedzieli na ziemi, poderwali się na równe nogi, ci, co stali w przedsionku i na dziedzińcu, wpadli z krzykiem do izby i zwartym kołem otoczyli Rabbiego. Podczas gdy rosz hakneseth, faryzeusz Jair, wznosił ręce do nieba i zawołał: – Śpiewajcie Panu nową pieśń. Jego chwałę w zgromadzeniu pobożnych! – inni faryzeusze, nieprzychylni Jezusowi, spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Natomiast zwolennicy Rabbiego uprzytomnili sobie, że nie powinni zwyczajnymi, przyziemnymi słowami i jarmarcznym krzykiem wyrażać podziwu dla Jego dobroci, i zaintonowali pieśni pochwalne, a śpiewali tak pięknie jak chóry Asafa, Jedutuna i Hemana.

Uzdrowiony mąż, głośno wielbiąc Boga, zabrał łożo, na którym jeszcze przed

chwilą leżał nieruchomo jak ścięty pień drzewa, i udał się do swojego domu.

Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia wszystkie te zdarzenia zapisali w swojej niezawodnej pamięci jak na tabliczce powleczonej miękkim woskiem. Usiłowali w obecności Jezuy ben Josef niczego w głowie i sercu nie rozważać, gdyż już więcej nie dowierzali warownemu murowi milczenia, którym dotychczas oddzielali się od otaczających ich ludzi. Dopiero gdy wyszli na ulicę i zostali sami – wychodząc, spostrzegli stojącego na środku dziedzińca samotnego męża z opuszczoną głową – ich wnętrze wypełniło się bezpiecznie bezmiarem niedowiarstwa, zaprzeczeń i oskarżeń.

Rozmawiali szeptem.

Zapadał wieczór.

Lewi Mataj odzyskuje spokój

Samotnym mężem, który stał na środku dziedzińca z opuszczoną głową, był Lewi Mataj ben Halfi, celnik. Wrócił do domu.

Od zachodu nadciągała ławica chmur. Całe niebo pokryło się skołtunioną czernią i lunęły nieprzebrane wody, olbrzymie, prostopadłe mury wód, które z łoskotem zwały się na palmy – nawet podczas szalejącej burzy umiały one zachować swoją wyniosłą godność – na krępe oliwki, na dygocące cyprysy – i rozpryskiwały się z sykiem o płaskie dachy domów. Ulewa była gwałtowna i krótka. Po jej przejściu niebo rozpogodziło się i odsłoniło granatową głębię, oblicze mądrej i współczującej obojętności, pochylone majestatycznie nad światem.

Lewi Mataj nie spał. Starał się zapanować nad wzruszeniami i uporządkować rozproszone myśli. Z powodu nadmiaru silnych przeżyć i wrażeń czuł w głowie bolesny chaos. Dotychczas, ilekroć rozstrzygał najbardziej zagmatwane sprawy, czynił to zawsze ze spokojem i równowagą. A teraz?

Rozejrzał się po komnacie. Od wielu, wielu lat ze zmiennym szczęściem gromadził skarby, pieniądze, złoto, sprzęty, stroje. Zawsze z lękiem w sercu obliczał straty, z radością – zyski. Każde nowe zarządzenie podatkowych władz rzymskich okupywał bezsennymi nocami. O, ileż razy znajdował się już na skraju nędzy, ileż razy z trudem wspinał się z powrotem ku szczytom, z których wielokrotnie spadał. A ileż razy zdawało mu się, że się więcej z upadku nie podniesie! Ale podnosił się w trudzie i pocie swoich rąk i swojego czoła i plwając na pogardę, okazywaną mu przez współbraci, zbudował swoje bogactwo na mocnych podstawach i pomnożył je stokrotnie. Marzył o porzuceniu zawodu celnika. Postanowił, po latach ciężkiej pracy, kiedyś, w przyszłości ofiarować wielkie pieniądze na synagogę w Kfar

Nahum, pójść z pielgrzymką do Jeruzalajim Hakodesz i złożyć Panu w ofierze trzy najpiękniejsze cielce na Ołtarzu Całopalenia. Potem w Komnacie Milczenia dyskretnie podrzuci jałmużnę dla ludzi, którzy stracili majątek. Wyobrażał sobie, że uczyni to tak niewidocznie i z takim nabożnym zakłopotaniem, iż jeszcze tego samego dnia cała Jerozolima mówić będzie o strumieniu złotych monet, ofiarowanych przez niego ubogim. A potem? Potem nałoży na rękę i czoło tefilin i będzie w nich cały dzień paradował po ulicach miasta. Z czasem ludzie zapomną o jego minionym brudnym zawodzie celnika, kłaniać mu się będą, będą go poważać, a może nawet wybiorą go przewodniczącym synagogi, bo taka jest moc złota, która potrafi zasypać przepaść każdej niegodnej przeszłości i odmienić każdą pamięć ludzką. I tak byłoby na pewno, gdyby nie Jezua ben Josef, który stanął w poprzek jego drogi. Po co poszedł w ten nieszczęsny Szabat do synagogi? Po co przejął się Jego słowami i cudami? Po co łąził między ludźmi i dowiadywał się o Jego cuda i słowa? Po co wlaźł dzisiaj do domu Symeona ben Jona? Jaki Belial wepchnął go między tę ciżbę ludzką, słuchającą z cielecym zachwytem słów Rabbiego? Po co? Po co?! – tu Lewi Mataj złapał się za głowę. – Po co poczuł nagle we wnętrzu swoim dojmującą pustkę? Czy to była pustka? Czy może powiedzieć o sobie, że zmarnował życie? Ze pracował dla nicości? Chyba że żyje w pustce i czuje w sobie pustkę, bo jeszcze się nie ożenił, bo nie założył domowego ogniska, bo nie ma dzieci! Niech się ożeni! Niech dzieci spłodzi! Niech odprawia w Szabat błogosławieństwo nad winem w gronie licznej rodziny, a wtedy nie będzie czuł pustki ani w sobie, ani dokoła siebie! Wraz z żoną jego i dziećmi Pan wstąpi do jego domu i w nim zamieszka! Po co zaprzętać sobie głowę odpuszczaniem grzechów, cudownymi uzdrowieniami i wypędzaniem Pełzającego z ciała jakiegoś głupca?! Czy to są jego sprawy? Czy po to się urodził, aby zbawiać ludzi? Mało to było takich i innych, i podobnych proroków i cudotwórców w Izraelu! Ładnie by świat wyglądał, gdyby za każdym z tych proroków i cudotwórców ciągnął każdy Lewi Mataj! – O, Lewi Mataj ben Haiti – szepnął z jękiem – chyba zgłupiałeś! Chyba oślepieś! Chyba ogłuchłeś!

I zadowolony, że dzięki rozsądnym medytacjom odzyskał – na pewno z woli Pana – mądrość, wzrok, słuch i wewnętrzną równowagę, Lewi Mataj, celnik, spokojnie ułożył się do snu. Zamierzał zmówić modlitwę przed snem, ale przypomniał sobie, że jutro pracuje na komorze celnej jego pomocnik Joel. Wczoraj złapał go znowu na fałszywych obliczeniach. Nic mu nie powiedział o swoim demaskującym go odkryciu, bo nie chciał działać pochopnie. Z początku postanowił nawet poczekać i tylko bacznie śledzić dalsze złodziejskie postępy swojego pomocnika – pomyślał: „Wszyscy kradną, wyrzucę Joela, przyjdzie inny Joel, i ten po pewnym czasie również będzie kradł” – ale teraz porwała go złość na kaprawca

i jego oszukańcze praktyki. Postanowił wstać wcześniej rano i udać się na cło, i osobiście pobierać opłaty drogowe. Zapomniał o modlitwie. Był zmęczony. Zapadając w sen, ostatnimi odruchami świadomości wciąż krążył dokoła nieuczciwego Joela i umacniał się w przekonaniu, że powinien go zwolnić z pracy.

– Jutro go zwolnię – postanowił.

I usnął.

Powołanie Lewiego Mataja

Wstał piękny, słoneczny poranek drugiego dnia tygodnia, a w tym dniu faryzeusze, uczeni w Piśmie Świętym i wszyscy ze zgromadzenia pobożnych i bogobojnych pościli – pościli dwa razy w tygodniu, dnia drugiego, czyli ba jom szeni, i dnia piątego, czyli ba jom hamiszi – w celu wyjednania Jeszurunowi łask Pańskich, pięknych zbiorów i szczęśliwej przyszłości, a przede wszystkim na intencję przyjścia Mesjasza, który odmieni oblicze świata.

Lewi Mataj ben Halfi podniósł się z łoża i z zadowoleniem stwierdził, że niebo jest niebieskie, że powietrze przesycone jest świeżością poranka, że postanowienie, które powziął w nocy, teraz w ostrym świetle dnia nic nie straciło ze swojej słuszności i jest tak samo rozsądne jak w chwili, gdy je podejmował po trudnej walce w mroku przechodzącej burzy. W tym obrazie pięknie zarysowującego się dnia jedynym cieniem był Joel o zaczerwienionych powiekach i długich, ruchliwych palcach, wciąż czegoś szukających i dotykających. Joel już od kilku lat pracował u celnika. Był jego prawą ręką, sekretarzem, księgowym, sługą i posłańcem i wszystkie swoje obowiązki wypełniał z nienaganną sumiennością i dokładnością. Wydawał się być niezastąpiony i celnik miał do niego nieograniczone zaufanie. Aż przychwycił go – dwa razy! – na nieuczciwych rozliczeniach. Chyba tylko Elohim wie, ile razy Joel oszukał swojego pana. Lewi Mataj westchnął. Był zbyt mądrym człowiekiem, aby nie wiedzieć, że nieuczciwość jest swoistym przywilejem zawodu celnika i wszystkich jego pomocników. Nawet ci nieliczni spośród nich, którzy na początku wykonywania swojego zawodu starali się być wyrozumiali, łagodni, a nawet sprawiedliwi, z biegiem lat, wraz z rosnącym doświadczeniem i przybierającym pożądanym zysku, popadali w nałóg nieuczciwości, oszustwa, przewrotności, a z czasem okrutnego zdzierstwa i bezlitosnej twardości. Ten zawód zatwardzał serca. Cóż więc dziwnego, że lud żarliwie nienawidził dzierżawców podatków i komór celnych, i celników, którzy siedząc na swoich mułach, z mosiężną tabliczką na piersiach i nieodstępnym kijem w ręce, przez nikogo nie kontrolowani, samowolnie ustalali wysokość cła na towary, podatku gruntowego i majątkowego,

opłat mostowych, drogowych, targowych, składowych, za przeprawę przez bród, a gdy ten i ów syn Izraela z powodu braku pieniędzy nie mógł zapłacić nałożonych nań sum, przyzywali oddziały wojskowe – gojim! gojim przeciw ludowi Izraela! – i z ich pomocą ścigali gwałtem ostatnie suknie z nieszczęśliwych płatników. Gdyby tylko tyle! Często się zdarzało, że na targach i drogach bezprawnie odbierali pogańskim kupcom mięso, owoce, sery, wino, zboże i żarli żywność pogańską, trefną, i żłopali wina pogańskie, trefne, z których nie pobrano dziesięciny dla Świątyni Pańskiej w świętej Jerozolimie, a żywność taka i napoje takie były podwójnie grzeszne i kto je spożywał i pił, niczym się nie różnił od nieczystych pogan. Byli łapownikami, krzywoprzysięzcami, nie przestrzegali przepisów rytualnych, więc sądy nie przyjmowały ich świadectw, gdyż z góry wątpiły o prawdomówności celników. Cały naród mówił o nich z tą samą pogardą, z jaką mówił o nierządnicach. Gdy się zdarzało, że któryś spośród nich, wiedziony wyrzutami sumienia, szczerze pragnął rozpocząć nowe życie i złożyć ofiarę przebłagalną za dawne grzechy i winy, swoim budującym postanowieniem tylko przysparzał wiele kłopotów kapłanom, albowiem nie wiedzieli, co mają począć z nawróconym grzesznikiem, który przez całe życie rabował, sprzeniewierzał, kradł, oszukiwał ludzi nie znanych mu z imienia albo zamieszkałych nie wiadomo gdzie, a teraz mimo swoich najlepszych chęci nie mógł naprawić wyrządzonych im krzywd, zwrócić poszkodowanym zrabowanych pieniędzy czy towarów, a przecież bez naprawy krzywd i zwrotu zagrabionego mienia nie wolno składać przed Elohim ofiary przebłagalnej. Lewi Mataj znowu westchnął. Przypomniał sobie Jeszue ben Josef, który odpuszcza grzechy. Odpuszcza. Jak Elohim. Ale dość tych medytacji na temat poborców, ich życia i upadków. Znał je dobrze. We wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Po co więc do nich wraca?

Wyszedł z domu z nieodwołalnym postanowieniem zwolnienia z pracy Joela o czerwonych powiekach i długich palcach. Ale gdy tylko pomyślał o jego nieuczciwości, natychmiast przypomniała mu się własna nieuczciwość. Czy był kiedykolwiek uczciwy? Rozpoczął jak Joel. Kradł jak Joel. Oszukiwał jak Joel. Tylko z większym szczęściem, bo kradł mądrze, więc go zwierzchnik nigdy nie złapał na oszustwie. Skąd się wziął w nim teraz ten wstrętny nawyk oglądania tego samego zagadnienia z dwóch różnych stron? Niecierpliwie zachnął się. Rozgniół w sobie to pytanie jadowitym uśmiechem, jak się rozgniała bzykającego obok ucha komara, na którego się polowało długo i bez skutku.

Udał się w kierunku Jam Kinereth, potem przy samym wejściu do przystani rybackiej skręcił w lewo i poszedł brzegiem jeziora do lepianki, stojącej tuż przy szlaku karawanowym, w miejscu, gdzie przez całą szerokość drogi przeciągnięty był

ciężki łańcuch, uwieszony na dwóch kamiennych słupach. W cieniu starego figowca, za stołem, na którym leżał stos drachm i tabliczka woskowa, siedział na ławie Joel i liczył pieniądze. Jego mały mięsisty nos, wąskie usta o delikatnym wykroju nadawały tej twarzy wyraz dziecięcej naiwności, która wprowadziła w błąd wielu wytrawnych lisów, a wśród nich i Lewiego Mataja. Pod ścianą lepianki wyciągnęło się na ziemi trzech potężnie zbudowanych drabów, w brudnych, połatanych szatach, przepasanych powrozami i rozchełstanych na włochatych piersiach. Byli to pomocnicy Joela.

Gdy Joel spostrzegł zbliżającego się Lewiego Mataja, poderwał się z ławy ze służalczą szybkością i z uśmiechem szedł mu naprzeciw, ale zmrożony jego ponurym spojrzeniem, przystanął i czekał. Celnik tym razem nie poklepał go po ramieniu, jak to zwykł był dotychczas czynić, ilekroć się z nim witał. Nauczył się tego gestu od rzymskich urzędników, którzy biorąc od niego łapówki, wylewną poufałością pokrywali zakłopotanie. Trzech drabów leniwie podniosło się z ziemi.

Lewi Mataj usiadł za stołem.

– Co to jest? – spytał wskazując palcem na leżące na stole pieniądze.

– Cło z dwóch karawan – odparł Joel.

– Kiedy przeszły?

– O świcie.

Lewi odwrócił się i spojrzał na drabów.

– Tak. O świcie. Dwie karawany – potwierdził jeden z nich. Joel przestraszył się.

Czyżby celnik stracił do niego zaufanie?

– Skąd przybyli?

– Jedna karawana z Damaszku, druga z Gaulanitis.

– Co wieźli?

– Ta z Damaszku pasy, sandały...

– Jakie pasy?

– Płócienne.

– Ile sztuk?

– Sto.

– Jakie pobrałeś cło? – Lewi Mataj nie czekając na odpowiedź sięgnął po tabliczkę. Sprawdził rachunek, po czym zgarnął ku sobie leżące na stole pieniądze i począł je liczyć.

Od strony jeziora dobiegły jakieś głosy. Celnik szybkimi ruchami palców przesuwając odliczone drachmy na prawą stronę stołu, a towarzyszący tym sprawnym ruchom ledwo dostrzegalny ruch jego warg świadczył o napiętej uwadze, z jaką sprawdzał poranny stan swojej kasy.

Słyszał kroki zbliżających się ludzi, ale nie oderwał oczu od pieniędzy. Przystanął. Celnik skończył odliczanie i pomyślał: „Teraz powie Joelowi, że jest złodziejem, i niech idzie do Beliala!” – sięgając ręką po leżącą obok sakiewkę, podniósł zamyślony wzrok i...

Przed nim stał Jezus.

Celnik położył dłonie na pieniądzach, jakby się bał, że Rabbi przyszedł mu je odebrać. Cokolwiek ludzie postronni pomyślą o tym zachowaniu się celnika, dla nas nie ulega wątpliwości, że w pierwszej chwili zajął wobec Jezusa postawę obronną i za pomocą bezwiednych ruchów obu dłoni wyraził lęk o swoje pieniądze, czyli o swoje dotychczasowe istnienie.

Jezus wskazał palcem na celnika i rzekł: – Pójdź za mną.

Celnikowi ziemia usunęła się spod nóg. Począł spadać w otchłań, tym dziwniejszą, że była cała na dnie usłana gwiazdami, które przecież były wraz z niebem nad nim, a nie pod nim. Było to jakby spadanie w górę, wznoszenie się w głąb, zanurzanie się w wysokości. Rosła w nim pewność, że dzięki temu spadaniu w górę spada w nieuniknioną przyszłość, w ostateczny cel, sens swojego bytu. Wszystko to odbywało się bez udziału jego woli. Zdawało mu się, że jest dzieckiem prowadzonym za rękę, więc idzie za Tym, który go prowadzi. Idzie chętnie, z radością, z pośpiechem i im dłużej i dalej idzie, bezsilność jego i bierność zaczynają zanikać i to, co było bezsilnością i biernością, zamienia się w jego niezachwianą i wolną wolę, a jej wolność polega właśnie na jej zależności, uniżeniu i pokorze przed obliczem Tego, który ją narzucił. Już dawno przestał być sobą. Jest drogą, którą idzie. Prostą drogą, która nigdy nie usunęła mu się spod nóg i nigdy nie była spadaniem w otchłań ani spadaniem w górę, ani wznoszeniem się w głąb, ale prostą, równo wytyczoną drogą, nie prowadzącą do żadnego celu, bo sama jest celem osiągniętym i dokonanym. A wszystko, co dotychczas przeżywał, było drogą prowadzącą do owej drogi. Drogą do owej drogi były wszystkie jego upadki, chciwość serca, pożądanie złota, chłód jego serca, marność jego wysiłków i skąpstwo, i bezlitosność uczuć. Wstał z ławy; Było to powstanie z nicości, z zagłady, z nieistnienia do istnienia, było podniesieniem śmierci do życia, odwaleniem kamienia grobowego i wyjściem z ciemności szeolu do światła. Podnosząc się, nawet nie zauważył, że gwałtownym ruchem ręki mimo woli zrzucił ze stołu pieniądze. Z głuchym brzękiem rozsypały się po ziemi ku przerażeniu Joela i stojących obok jego pomocników, którzy z gorączkowym pośpiechem poczęli je zbierać i starannie układać na stole.

Ale tej zapobiegliwej krzątanim Lewi Mataj już nie widział, albowiem szedł za oddalającym się Jezusem.

Uczta i post

Wszystkie cudowne uzdrowienia, których Jezus dotychczas dokonał, cud w Kanie Galilejskiej, a nawet wypędzenie Pełzającego z ciała nieszczęśliwego odludka, nie zrobiły na ludziach tak potężnego wrażenia jak powołanie Lewiego Mataja i powzięte przez niego postanowienie rozpoczęcia nowego życia u boku Rabbiego. Z początku nie chcieli w to wierzyć, ale wszystkie znaki wskazywały, że celnik rzeczywiście uległ wezwaniu Jezusa. Zdaniem mieszkańców Kfar Nahum nie było to działanie powolne, złożone z kolejno po sobie następujących i nasilających się przypiływów. Wstrząs był nagły. Jezus i celnik nigdy dotychczas z sobą nie rozmawiali. Wprawdzie Lewi Mataj podczas kazania Jezusa w synagodze zdawał się być pod wrażeniem Jego słów, czego dał dowód podnosząc się z ławki – a może chciał po prostu lepiej słyszeć? Zresztą wszyscy słuchacze byli wtedy pod wrażeniem kazania Rabbiego – jednak ani w synagodze, ani na dziedzińcu domu Symeona ben Jona, gdzie go również widziano, nie zdradzał jakiegoś nadzwyczajnego wzruszenia, w każdym razie tak wielkiego, by mogło ono zwrócić uwagę obecnych i naprowadzić ich na domysł, że w duszy jego dokonuje się wielka przemiana. Niektórzy bogobojni, nawet ci najbardziej oddani Jezusowi, zastanawiali się, czy Rabbi słusznie uczynił, powołując do grona swoich uczniów grzesznika, krzywdziciela i wyzyskiwacza, bo przecież Lewi Mataj z powodu zła i krzywd, które wyrządził, jest właściwie człowiekiem wyłączonym ze wspólnoty Izraela, a jakkolwiek uczestniczy w nabożeństwach w synagodze, nikt spośród pobożnych nie łączy się w swoich modlitwach z upadłym. On modli się w odłączeniu od modlącego się zgromadzenia, a jego prośby, płynąc do Pana, płyną samotnie. Wprawdzie wszystkie modlitwy płyną samotnie i każda z nich z osobna przenika do ucha Pana, ale mimo to w jakiś nieuchwytny sposób wzajemnie się wspomagają w żarliwym swoim locie, a gdy któraś z nich zmęczona poczyna opadać ku ziemi, inne wspierają ją i dodają jej otuchy. Z tych wszystkich przywilejów nie korzysta modlitwa Lewiego Mataja, grzesznika, któremu wprawdzie starsi synagogi nie zabronili wstępu do beth hakneseth, ale jak przystało na gorliwych strażników Pana, uczynili wszystko, co było w ich mocy – ani razu nie pobrali od niego datków na synagogę – aby w sensie duchowym i fizycznym stworzyć głęboki rozdział między upadłym celnikiem a resztą zgromadzenia.

Ileokroć uczeni i świątli faryzeusze natrafiali na trudności podczas rozważań nad jakimś złożonym zagadnieniem, zawsze szukali jego kielków, duchowych podobieństw i powinowactw w wypowiedziach Pisma Świętego, które zawiera w sobie całokształt mądrości Boskiej i rozwiązuje wszystkie, dosłownie wszystkie,

najzawilsze sprawy, i udziela sprawiedliwej odpowiedzi nawet na najbardziej przebiegłe i wykrętne pytania. Zatem i teraz sięgnęli do Pisma Świętego. Cytowali z pamięci różne przykłady, zdarzenia, sądy, wyroki, wypowiedzi, a jeden z uczonych przypomniał im historię wszetecznej niewiasty Rachab – a przecież wszeteczna niewiasta niczym nie różni się od celnika – której wielki Jezua ben Num pozwolił spokojnie żyć wraz z całą jej rodziną pośrodku Izraela i otoczył ją opieką i życzliwością. Ale stało się to dzięki temu – dorzucił drugi uczony – że niewiasta owa uratowała wywiadowców izraelskich przed niebezpieczeństwem grożącym im od wrogich mieszkańców Jerycha, podczas gdy Lewi Mataj niczego dobrego nie działał dla dobra ludu. Wówczas jeden z uczestników rozmowy dorzucił, że całe miasto mówi o zapisie Lewiego Mataja, który swój majątek przeznaczył dla biednych, a wykonawcą swojej woli uczynił Jaira, przewodniczącego synagogi. Jest to niewątpliwie gest godny pochwały – dorzucił inny faryzeusz – ale nie można go porównać z bohaterskim i szlachetnym czynem wszeteczniczki Rachab. Mimo podzielonych zdań zapis Lewiego Mataja wpłynąłby na pewno na powszechną zmianę nastroju, gdyby nie tajemnicze zachowanie się Jaira, który, zapytany o prawdziwość krążącej uparcie wieści, ani jej nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Pogładził brodę i założywszy dłonie za pas powoli się oddalił. Wobec tego jedni faryzeusze uznali milczenie Jaira za potwierdzenie wiadomości o zapisie i sprzyjali celnikowi, inni za jej zaprzeczenie i złorzeczyli mu, i mieli za złe Jezusowi, że On, bogobojny Rabbi i cudotwórca, przyjął do grona swoich uczniów upadłego grzesznika.

Po południu rozeszła się po mieście wieść o uczcie pożegnalnej z udziałem Jezusa i Jego uczniów, którą Lewi Mataj wydaje dziś w swoim domu. Wiadomość ta do żywego oburzyła jednych, wprowadziła w zakłopotanie drugich. Zbyt gorliwi zapaleńcy krzyczeli – a najgłośniej Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia – że tego już za wiele! Rabbi ucztować będzie z grzesznikami! Publicznie! Na oczach wszystkich mieszkańców miasta! Spokojniejsi i bardziej zrównoważeni starali się ułagodzić gniew przeciwników.

Było późne popołudnie, gdy w domu celnika, przy stołach nakrytych białym płótnem i zastawionych prostym jadłem, spoczęli na wygodnych łóżach zaproszeni goście. Na honorowym miejscu, wsparty na lewym łokciu, spoczywał Jezus, po Jego prawicy Symeon ben Jona, a po lewicy Lewi Mataj, a dalej uczniowie, celnicy i ich pomocnicy.

Uczta w Izraelu była nie tylko obowiązkiem, spłacanym potrzebom głodnego żołądka i spragnionego gardła, ale również zbiorową, prawie że obrzędową uroczystością, której uczestnicy przez wspólnie spożywany posiłek okazywali sobie

wzajemnie szacunek i tworzyli serdeczną wspólnotę uczuć. Jeżeli zasiadłeś do jednego stołu z wrogiem i łamałeś się z nim chlebem, wróg przestawał być wrogiem, a stawał się twoim przyjacielem, jeżeli spożyłeś przy jednym stole posiłek z człowiekiem niższego od ciebie pochodzenia, podniosłeś go do własnej wysokości i uczyniłeś go sobie równym, jeżeli wiodłeś z twoim sąsiadem spór, ale potem zaprosiłeś go do swojego domu, ugościłeś go i jadłeś z nim z jednej miski, było to dowodem, żeś wyrzucił z serca wszelką ku niemu niechęć. Rabbi przed laty, chcąc okazać swą wspólnotę i jedność z najbiedniejszymi, z nędzą i niedolą ludzką, z am haarecami, z najbardziej pokrzywdzonymi synami ziemi, pracował na roli, w ogrodach, w winnicach, przy wypasaniu owiec. Tak też i teraz, uczując w domu grzesznika przy jednym stole z celnikami, poborcami podatkowymi i ich pomocnikami, z ludźmi wyrzuconymi poza krąg społeczeństwa, ujawniał swoją więź, łączącą go z ludźmi biednymi, godnymi litości i miłosierdzia. Leżąc z nimi przy jednym stole i spożywając z nimi wieczerzę, i łamiąc się z nimi jednym i tym samym chlebem, dawał im do zrozumienia, że mimo swoich grzechów nie zostali usunięci ze zgromadzenia wiernych i w każdej chwili, jeśli będą pokutować w swoich sercach, odpuszczone im będą grzechy. Lewi Mataj, celnicy i ich pomocnicy, spożywając więc mięso i jarzyny, daktyle i chleb figowy, patrzyli z wdzięcznością na Jezusa, który swoim udziałem w ich wieczerzy przywracał im utraconą godność, otwierał bramę do nowego życia i zaszczepiał w nich radosną świadomość, że jeżeli zechcą, mogą zawrócić z drogi zachłanności i krzywdy i wejść na drogę sprawiedliwą i prawą. Upajali się możliwością powrotu do zgromadzenia wiernych. Wprawdzie wielu z nich borykało się z myślami i nie mogło zdobyć się na natychmiastowe zerwanie z dotychczasowym życiem, jednak poruszone sumienie nie dawało im spokoju i zmuszało ich do głębokich rozmyślań nad zagadnieniem grzechu i pokuty. Tym większy był ich niepokój, że po raz pierwszy w życiu, przez nikogo nie karceni, nie wytykani palcem i nie potępiani ostrym słowem, z własnej woli rozpatrywali swoje uczynki, sami je ważyli na wadze swojego sumienia i sami widzieli ich marność i nicość. Były to zbawienne owoce tajemniczego związku zadzierzgniętego przez wspólnie łamany podczas wieczerzy chleb z milczącym i wyrozumiałym Rabbim, który darzy ich przy wspólnym stole zażyłym, choć pełnym dystansu, sąsiedztwem.

W komnacie zapalono oliwne lampy. Na dworze było już ciemno. Jezus, a wraz z Nim uczniowie i goście powstali od stołu. Przez otwarte drzwi, prowadzące z półmrocznej sieni na dwór, ujrzeli w głębi pograżonego w ciemnościach dziedzińca dygocące błyski latarni, a w ich skąpym świetle jakieś ledwo zarysowujące się postacie. Symeon ben Jona i Andraj wyszli przed dom. Za nimi zdążyła reszta

uczniów, potem goście, a na samym końcu Jezus i Lewi Mataj. Owiąło ich świeże, rześkie powietrze. Na środku dziedzińca ujrzeni kilku ludzi. Symeon poznał wśród przybyłych kilku znajomych faryzeuszów, i spostrzegł stojących nieco z boku czterech nie znanych mu mężów, ale natychmiast przypomniał sobie, że dwóch z nich widział wczoraj u siebie w domu podczas niezapomnianego popołudnia, gdy Jezus uzdrowił paralytyka. Jeden z nich – a był to Menahem ben Noah – podniósł wysoko latarnię, podszedł do Symeona i rzekł podniesionym i drżącym z oburzenia głosem:

– Pokój tobie, Symeonie ben Jona. Powiedz mi, dlaczego wasz Rabbi ucztuje z celnikami i grzesznikami?

A stojący za nim mąż – a był to Nehemia ben Gedalia – rozkrzyżował ręce i spytał:

– Czy wypada, aby bogobojny mąż jadł i pił przy jednym stole z mężami grzechu i bezprawia?

– Dusze mężów upadku są chore! – krzyknął jeden z faryzeuszów.

Jezus, usłyszawszy te słowa, odezwał się spośród ciemności dziedzińca, a wszystkie latarnie na pierwsze Jego słowa wysoko się podniosły i oświetliły Jego postać:

– Zdrowi nie potrzebują lekarza, ale ci, którzy źle się mają. Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych do pokuty, ale grzeszników.

Wtedy stojący obok dwaj nieznanymi przybysze – byli to uczniowie Johanana ben Zecharia, którzy przybyli dzisiaj z Judei do Kfar Nahum – wysunęli się na czoło gromady, a jeden z nich, zwracając się do Jezusa, rzekł:

– Jesteśmy uczniami Nistrzyżonego, brata Twojego, który był głosem Elohim na pustyni, a teraz zamilkł i przebywa w więziennym lochu w Macheroncie. Przybyliśmy tutaj, aby spytać Ciebie, który według Nistrzyżonego jesteś Barankiem Pana – błogosławione Imię Pańskie po wieczny czas – dlaczego my, uczniowie Johanana ben Zecharia, często pościmy i modlimy się – a poszczą również faryzeusze i uczniowie faryzeuszów – podczas gdy Twoi uczniowie jedzą i piją, jak to właśnie zdarzyło się dzisiaj po południu, w drugim dniu tygodnia, ba jom haszeni – a widzieliśmy to własnymi oczami przez otwarte drzwi sieni – w dniu pokuty i postu. A sam przecież mówiłeś, że nie przyszedłeś wzywać sprawiedliwych do pokuty, ale grzeszników, jakże więc w drugim dniu tygodnia, ba jom haszeni, grzesznicy, zamiast pokutować, jedzą i piją, a Ty, Rabbi, nie tylko na to zezwalasz, ale sam uczestniczysz w ich ucztach i swoją obecnością potwierdzasz ich uczynek.

A na to Jezus począł im tłumaczyć, że wszystko ma swój właściwy czas i swoje właściwe miejsce. A tłumacząc im, tak do nich mówił:

– Czy możecie żądać postu od orszaku pana młodego, od gości weselnych, gdy

pan młody jest jeszcze pośród nich? Czy możecie sprawić, aby oni pościli, dopóki Oblubieniec jest z nimi? Wszak oni pościć nie mogą, jak długo mają Go wśród siebie. Ale przyjdzie czas, gdy Oblubieniec będzie im zabrany, a wówczas i oni pościć będą.

Słuchali z zapartym tchem, a Jezus ciągnął dalej:

– Nikt nie odrywa kawałka sukna z nowej szaty, aby załatać nią starą szatę, bo rozedrze nową szatę, a sukno z niej nie nada się do starej szaty. I nikt nie wlewa młodego wina do starych bukłaków, bo młode wino rozsadzi bukłaki, wyleje się i na domiar złego bukłaki zniszczą. Dlatego nowe wino należy łączyć do nowych bukłaków. Nikt w końcu, napiwszy się starego wina, nie chce od razu młodego, albowiem powie: stare jest lepsze.

Tak powiedział im Jezus, a oni milczeli, bo nie znaleźli w swoich ustach odpowiedzi. Przyznali Mu słusność, bo rzeczywiście wszystko jest dobre w swoim czasie i w swoim miejscu. Nie można się smuć w dniach radości i nie można radować się w dniach żałoby. Wszystko jest dobre w swoim czasie i w swoim miejscu. Nie można łączyć młodego wina do starych bukłaków ani rozdzierać nowej szaty, aby nią łączyć starą szatę. Należy właściwą łąkę przyszywać do właściwej sukni i właściwe wino łączyć do właściwych worów. Nikt po starym winie nie chce natychmiast pić młodego moszczu, bo wtedy młody moszcz nie będzie smakował. Moszcz w swoim czasie, a stare wino w swoim czasie. Wszystko ma swój czas i wszystko ma swoje miejsce.

Powiał wiatr i zatrzepotał płomykami oliwnych latarni. Zakołysały się cyprysy. Z daleka doleciało głuchoe hukanie puchacza. Od jeziora ciągnął wilgotny chłód. Tłum ruszył ku bramie. Rozchodzili się do domów.

„...Jeszua ben Josef mądrze mówił o właściwym czasie i właściwym miejscu, ale czy człowiek, który chce być lekarzem grzesznych dusz, musi spożywać wieczerzę z grzesznikami?” – rozmyślali faryzeusze.

„...Jeszua ben Josef mądrze mówił o właściwym czasie i właściwym miejscu, ale czy nastał teraz czas wesela? – zastanawiali się uczniowie Niestrzyżonego. – Jakżeż mógł nastąć czas wesela, skoro Niestrzyżony przebywa w głębokim lochu w Macheroncie, w pałacu władców wiarołomnych?”

„...Kto jest owym Oblubieńcem? – zastanawiali się uczeni w Piśmie. – Kogo miał Rabbi na myśli, mówiąc o Oblubieńcu, który jest pośród nas? A dlaczego ów nieznaną Oblubieniec ma być zabrany spośród orszaku weselnego? Przez kogo? Dokąd? W jakim celu?”

Menahem ben Noah i Nehemia ben Gedalia umacniali się w przekonaniu, że są świadkami niebezpiecznego zjawiska. Zerwał się porywisty wiatr. Owinęli się szczelnie płaszczami i szli obok siebie, a ich mózgi pracowały jasno i precyzyjnie.

Menahem ben Noah, posiadający świetną pamięć, przypomniał sobie słowa Jahwe, który zapowiedział prorokowi Zecharii zniesienie postu w radosnym czasie odbudowania Świątyni Pańskiej. Menahem przystanął.

Olśniła go odkrywczą myśl, a była tak odkrywczą, że chociaż powstała w jego własnej głowie – a miał zawsze dla jej polotu niepomiarne wielki szacunek – nie umiał natychmiast pogodzić się z zadziwiającą celnością swojego odkrycia i szepnął z niedowierzaniem:

– Czyżby Jezua ben Josef uważał się za Świątynię Pańską?

Nehemia ben Gedalia, który również przystanął – silne podmuchy wiatru zapierały mu oddech w piersiach i utrudniały szybkie chodzenie – spojrzał na Menahema i ciężko dysząc spytał:

– Co mówi mój brat?

– Nic – odrzekł zwięźle Menahem, gdyż postanowił swoim niezwykłym odkryciem nie dzielić się z Nehemią, ale zachować je wyłącznie dla Josefa Kajafy na dowód, że on, Menahem ben Noah, urzędnik śledczy Sanhedrynu, godny jest najwyższej pochwały, a może nawet i nagrody.

Nehemia wzruszył ramionami i tylko spode łba patrzył na swojego towarzysza, który idąc u jego boku gestykulował, jakby wiódł z nieobecnyimi osobami – a może z samym sobą – zaciętą dysputę. Ale już po chwili nie zwracał nań uwagi, gdyż krążąc myślami dokoła wypowiedzi Jezusa, łamał sobie głowę nad zagadnieniem, dlaczego Rabbi porównał siebie do lekarza uzdrawiającego chorych, skoro dotychczas – wiedział o tym od świadków, których przesłuchiwał podczas swojej podróży – zwykł działanie swoje porównywać do pracy robotnika rolnego. Wyłupiaste oczy Nehemii wybałuszyły się jeszcze bardziej. W uszach jego zabrzmiały słowa, które Adonaj przed wiekami wypowiedział do Izraela: „Jeżeli wiernie słuchać będziesz głosu twojego Boga, Jahwe, i będziesz czynił to, co jest słuszne w oczach Jego, i dasz posłuch przykazaniom Jego, i stać będziesz na straży. wszystkich Jego praw, nie przywiodę na ciebie żadnej niemocy, którą zesłałem na Micraim, bo Ja, Jahwe, jestem lekarzem twoim”.

Nehemii dech zaparło w piersiach, tym razem nie z powodu silnego wiatru, ale od przyływu pełnej oburzenia świadomości, że Jezua ben Josef uważa się za lekarza Izraela na równi z Jahwe, który jeden jedyny w nieskończonej łasce i dobroci opatruje rany swojego ludu! Nehemia już chciał podzielić się swoim odkryciem z Menahemem, ale po rozwadze postanowił nic mu o nim nie mówić, gdyż uważał, że powinien wypowiedzieć je szeptem do uszu samego Josefa Kajafy. Słusznie bowiem spodziewał się, że wdzięczny arcykapłan w pełni doceni jego mądrość i własnoręcznie wynagrodzi go sutym podarkiem.

Szli więc obok siebie wśród rosnącego wiatru, pełni podziwu dla bystrości swoich chytrych spostrzeżeń.

Liczba

Minęła jesień i minęła zima, nastawa wiosna i nastał miesiąc nisan. Ziemia była zielona, drzewa były zielone, szumiały cyprysy, dęby, figowce, palmy, oliwki, mirty, terebinty i terpentynowce o gęstych gałęziach, łąki i pola znów pokryły się tulipanami i gladiolami, anemonami i hiacyntami, żółte jaśminy pięły się po murach, a stada rybitw z krzykiem krążyły nad wodami Jam Kinereth. Elohim, radując się pięknem i dobrocią tej ziemi, przechadzał się nad jeziorem wśród laurowych żywopłotów w postaci niewidzialnego wiatru i dotykał drzew, traw, powierzchni wód, i był zadowolony z dzieła stworzenia, bo ziemia była urodzajna, drzewa i trawy bujne, a powierzchnia wód gładka.

Jezus z jedenastoma uczniami i gromadą oddanych Mu zwolenników wyruszył o świcie z Kfar Nahum do Jerozolimy na święto Pesach. Szli – jak zawsze – brzegiem jeziora, ominęli – jak zawsze – nieczystą Tyberiadę. Skierowali się na południe w dolinę Jordanu, El Ghor, zamkniętą po obu stronach rzeki górami o odcieniu matowego złota i opadającą zielonymi tarasami ku Morzu Soli. W południe wypoczęli w cieniu wzgórza i popijając wodę zmieszana z octem, przyglądali się wartkiemu Jordanowi, który płynął tutaj żłobionymi przez siebie mozolnie zakrętami, zygzakami i pętlami, jakby na przekór bystremu nurtowi chciał opóźnić swój bieg do Morza Soli i jak najdłużej radować się swoją słodką wodą. Zataczał więc półkola, nieomal zawracał, cofał się, lecz przymuszony nachyleniem terenu znów płynął przed siebie, ale natychmiast nagłym łukiem skręcał w bok, jeszcze się borykał z nieprzychylną mu spadzistością doliny, aż wreszcie, straciwszy nadzieję zwycięstwa w tej nierównej walce z opornymi prawami przyrody, niechętnie płynął dalej, do swojego ujścia, do morza, powstałego z gniewu i zapalczywości Pana.

Po krótkim wypoczynku ruszyli w dalszą drogę. Idąc, patrzyli na płynący serpentynami i zakosami Jordan i pomyśleli, że wszystko biegnie do swojego celu według praw ustanowionych przez Jahwe. Pan, ustaliwszy w najdrobniejszych szczegółach bieg świata, ustalił nawet to wszystko, co ten bieg hamuje, co mu się przeciwstawia, co mu zaprzecza, i te wszystkie zahamowania, przeciwstawienia i zaprzeczenia wraz z przynagleniami, porównaniami i przyświadczeniami pozostawił człowiekowi do wolnego wyboru, a każdy ów wybór znajduje się w granicach planu Bożego nawet wówczas, gdy człowiek swojego wyboru nie dokonuje według woli Pana. Plan Boży jest bardzo zawiłym i zagadkowym

labiryntem zbudowanym z bardzo prostych dróg.

Jezusa czekało w Jerozolimie trudne zadanie. Szedł tym razem do Świętego Miasta nie tylko po to, by modlić się w dniach święta Pesach w Świątyni Pańskiej i złożyć na Ołtarzu Całopalenia ofiarę z baranka, ale miał tam również dokonać wyboru spośród wielu Judejczyków – właśnie w Jerozolimie, w mieście całopalenia i krwawych ofiar – jeszcze jednego ucznia, którego zamierzał włączyć do ścisłego grona swoich powołanych uczniów. Było ich dotychczas jedenastu, nie licząc przygodnych słuchaczy i pobożnych pątników, którzy urzeczeni Jego osobowością do czasu szli za Nim, słuchali Jego nauk i przypowieści, ale potem, czy to znużeni wędrownym trybem życia, czy ulegając nagłym wezwaniom opuszczonych rodzin, wracali do swoich domów i śledzili już tylko z daleka, często z niejasnym uczuciem odstępowania, działanie Rabbiego. Na ich miejsce przybywali inni i znów odchodzili, a potem zjawiali się znów inni, i tak trwał dokoła Jezusa przypływ i odpływ spragnionych Słowa Bożego słuchaczy i wielbiących zwolenników. Ale jedenastu uczniów, na których ufnie spoczęły oczy Jezusa, trwało przy Nim niezłomnie, szli za Nim i nie odstępowali Go, a byli to – jak wiemy – Filip z Bethsaidy Galilejskiej, Nathanael ben Tolmaj, Theom bliźniak, bracia Jaakow ben Halfi, Symeon gorliwiec i Jehuda, Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow, Symeon ben Jona, nazwany przez Jezusa Kefas, i brat jego Andraj, i Lewi Mataj ben Halfi, nawrócony mąż grzechu i bezprawia. Ale niestety liczba jedenaście jest liczbą pustą. Podczas gdy liczba dziesięć stanowi zamkniętą i niewzruszoną całość i objawiła się w całej swojej głębi i grozie w plagach, które spadły na Micraim, w przykazaniach, które Pan własnoręcznie wyrył na kamiennych tablicach, i w rogach bestii o żelaznych zębach i spizowych pazurach, którą widział w swoim widzeniu prorok Daniel, liczba jedenaście o miedzę granicząca z liczbą dziesięć nigdy nie dała o sobie znać w Piśmie Świętym jakimś dobrym lub złym działaniem, gdyż jest cyfrą nijaką, bez wyrazu, bez treści i kształtu, i na tej liczbie nie można budować w przyszłości żadnego zgromadzenia wiernych. Dopiero po przeprawieniu się przez tę ziemię jałową stajemy u bram doskonałego zboru, przed obliczem liczby dwanaście, oznaczającej bezwzględny i niezniszczalny porządek, umocniony, ugruntowany i zaprzysiężony przez Pana, cudowny, doskonały i kolisty ład, symbolizujący dwanaście pokoleń, całość Izraela, sens zbawienia ludu Bożego, objawiony w uroczystej pełni dwunastomiesięcznego roku i w szumie dwunastoskrzydłych aniołów, i w plusku dwunastu źródeł, w nieruchomym i niezachwianym dostojństwie dwunastu kamieni i w mocy dwunastu wołów podtrzymujących w Świątyni Pańskiej Morze Miedziane. Do pełni ścisłego grona Jezusowych uczniów potrzebny był uczeń dwunasty. I na tego ucznia Rabbi czekał.

Idąc teraz do Jerozolimy, na święto Pesach, szedł do owego ucznia, który miał swoją obecnością wśród pozostałych uczniów utwierdzić doskonałość całego grona, a ponieważ miał to być uczeń niedoskonały, a nawet z zarodkiem jecer hara, grzesznych skłonności, sens jego udziału w zgromadzeniu uczniów polegał właśnie na tej jego niedoskonałości, gdyż dzięki niej urastało ono do całkowitej pełni, wyrażonej w liczbie dwunastu uczestników. Tym sposobem za pomocą jednego zgrzytu to, co było nieharmonijne, stawało się doskonałą harmonią, to, co było częstką, stawało się całością, to, co było odpryskiem, stawało się dziełem skończonym.

Zapadł wieczór, gdy Jezus i uczniowie ujrzeni z dala Miasto Święte, miasto ze złota. Padli na twarze i poczęli śpiewać psalm: – „Uradowałem się, gdy mi powiedziano: pójdziemy do domu Pana. Nogi nasze stanęły w twoich bramach, Jerozolimo! O, Jerozolimo, o miasto ciasno zabudowane, do którego wstępują pokolenia, pokolenia Pana, by świadczyć Izraelowi i chwalić Imię Boga. Tam ustawione są krzesła sędziowskie, krzesła dla domu Dawidowego. Błagajcie o pokój dla Jerozolimy. Niech zażywają spokoju, którzy ciebie miłują. Niech pokój panuje w twoich murach, a zadowolenie w twoich pałacach. Z powodu braci moich i przyjaciół moich wołam o pokój dla ciebie, z powodu domu Pana, Boga naszego, błagam o szczęście dla ciebie!”

Podnieśli się z ziemi i purpurowi od promieni zachodzącego słońca szli powoli, wstępując pod górę.

A Jezus rozmyślał o dwunastym uczniu, który nań czekał – nie, wzajemnie na siebie czekali – w Jerozolimie, w mieście niespokojnego pokoju.

Przygotowania przedświęteczne

Wszyscy synowie Izraela byli w te dni napełnieni wzniosłą radością i czekali w weselnym, ale skupionym nastroju na zbliżające się święto Pesach, które przenosiło ich w szczęśliwy czas wyjścia z Micraim, z krainy ptasich bogów, na przestronną i otwartą pustynię, gdzie straż nad umiłowanym, choć nadmiernie przekornym i nieposłusznym ludem sprawował sam Jahwe, Pan wierny i wielce wyrozumiały dla wad synów człowieczych. Właściwie było to święto nie tylko wyzwolenia z niewoli, święto praśników, pieczonego baranka i obfitego jadła, ale również – i o tym dobrze pamiętali pokorni mędrcy, głęboko zamyśleni nad losem Jeszuruna – święto cierpliwości Pańskiej, która, nadużywana przez lud wybrany, często groziła pęknięciem jak zbyt napięta cięciwa łuku. Jeżeli mimo to opiekuńcze oko Pana wciąż spoczywało nad ludem Izraela, łaskawość tę należy przypisać

doskonałym właściwościom Elohim, który jest wierny swoim przyrzeczeniom, przysięgom i nieomylnym wyrokom. Pobożni więc faryzeusze, mędrcy przewidujący i uczeni w Piśmie, zatroskani o los ludu, u progu święta Opieki, wyobrażonej pod postacią progów i odrzwi, skropionych krwią jagniąt, chwalili cierpliwość Pana i modlili się o jej wieczne trwanie nad Izraelem.

Ale niestety, w te uroczyste dni przedświąteczne Nahum, sekretarz arcykapłana i jego prawa ręka, nie uczestniczył w pełni w radosnym i podniosłym nastroju Jezuruna. Wprawdzie co roku w tym okresie ugiął się pod ciężarem nadzwyczajnych zajęć, nieprzewidzianych trudności i niezliczonej ilości większych i mniejszych trosk, jednak tym razem zwały się na niego kłopoty tym większe, że Kajafa uczynił go osobiście odpowiedzialnym za sprawne działanie służby wywiadowczej. Arcykapłan po zapoznaniu się ze sprawozdaniami Menahema ben Noah i Nehemii ben Gedalia z ich podróży po Galilei i z doniesieniami kilku tamtejszych faryzeuszów o działalności Jezusa, przerażony groźbą odszczepieństwa wiszącą nad Izraelem, coraz baczniejszą uwagę poświęcał Rabiemu. Tu należy nadmienić, że nad czujnością Kajafy czuwał stary Hanan ben Sethi, upatrujący w swoim zięciu posłuszne narzędzie, przy pomocy którego niewidzialnie sprawował władzę nad Sanhedrynem. Byli jedną duszą w dwóch ciałach, a duszą tą była dusza Hanana, który z biegiem lat duszę Kajafy całkowicie urobił na podobieństwo swojej duszy, a urobił tak doskonale, że Kajafa już dawno przestał być Kajafą, a stał się Hananem. Nawet nie spostrzegł się, gdy zaczął myśleć i argumentować, budować zdania i używać tego samego doboru słów co Hanan. Niektórzy twierdzili, że w tym czolobitnym i naprawdę godnym podziwu upodobnieniu się do starego teścia – a może nie było to upodobnianie się, lecz doskonalenie – arcykapłan posuwał się tak daleko, iż nawet ruchy jego rąk przypominały do złudzenia ruchy rąk starca. Ale podczas gdy arcykapłan wykonywał je szybko i sprężysto, starzec dzięki dobrodziejstwu wieku gestykulował w zwolnionym tempie, z namysłem i z patriarchalnym dostojeństwem. Ale na szczęście w gestach Kajafy były już teraz załączki przyszłej Abrahamowej powagi – każdy baczny obserwator mógł to łatwo zauważyć – czyli, mówiąc innymi słowami, nawet w różnicach zachodzących między teściem a zięciem były widoczne kiełki przyszłych podobieństw. I oto, wskutek tych niezwyklej zjawisk upodobniania, niepodzielną własnością arcykapłana pozostała już tylko jego męska uroda, smukła postawa, piękne oczy i czarne, zrosnięte nad oczami brwi.

Ale wróćmy do Nahuma. Otrzymał od Kajafy-Hanana czy Hanana-Kajafy surowy rozkaz śledzenia wszystkich Galilejczyków, przybyłych na święto Pesach do Jerozolimy, a przede wszystkim Jezusa – arcykapłan powiedział: – Zaraza szerzy się

w Galilei, więc miej oczy otwarte na Galilejczyków – gdyż słusznie przypuszczał, że i on przybędzie z uczniami do Świętego Miasta. Jak wyłowić Galilejczyków spośród setki tysięcy pielgrzymów? Jak wyłowić Jezusę ben Josef spośród niezliczonych tłumów, przybyłych ze wszystkich zakątków Erec Hakodesz i ze wszystkich krajów sąsiednich, a nawet z Jawanu i znad brzegów przeklętego Tybru? Jak wyłowić Człowieka, którego zna tylko nieliczna garstka ludzi? Nahum porozumiał się z Menahemem ben Noah i Nehemią ben Gedalia i, oddawszy do ich rozporządzenia kilkudziesięciu wytrawnych wywiadowców, kazał im bacznie śledzić Jezusa i galilejskich pielgrzymów na Dziedzińcu Pogan i w Portykach Królewskim i Salomona. Tak powiedział do wywiadowców:

– Galilejczyków poznacie po ich wymowie, a wygląd Jezusy ben Josef opiszą wam Menahem i Nehemia. Zresztą łatwo go poznać, bo jest w nim coś takiego, co go różni od wszystkich innych ludzi.

– Co go różni? – spytali rzeczowo wywiadowcy.

Nahum nie lubił pytań, na które nie umiał udzielić odpowiedzi. Odpowiadając więc, rzekł opryskliwie:

– Gdy go zobaczycie, to go poznacie.

Dzięki osobistej znajomości z dowódcą straży herodiańskiej – teraz była to już tylko prywatna i półlegalna organizacja szpiegowska, pozostająca na usługach Heroda Antypasa – Nahum zapewnił sobie śledzenie Jezusa na terenie miasta, natomiast strażników Porządku Świątynnego zobowiązał do pilnego nadzorowania wewnętrznych dziedzińców Świątyni Pańskiej. Nie był pewny, czy sieć, którą zapuścił z niemałym trudem, jest szczelna i mocna. Był tak przepracowany, zmęczony i rozdrażniony, że nie umiał sobie wyrobić bezstronnego sądu o skuteczności swoich zabiegów. Nie miał zbyt wielkiego zaufania do sprawności służby wywiadowczej. Wiedział, że poniesie odpowiedzialność za każdą jej nieudolność. Gdy późną nocą, poprzedzającą święto Pesach, ułożył się do snu i unaoczniał sobie, ile jeszcze czeka go trudów jutro, pojutrze i przez wiele następnych dni, zanim tłumy pielgrzymów wrócą do swoich miejsc zamieszkania, westchnął tak głęboko, że aż przeraził się głębi swojego westchnienia. Wyciągnął się na pościeli, rękę podłożył pod głowę i dla odprężenia próbował myśleć o rzeczach błahych i odległych od trosk dnia codziennego. Ale nie było to łatwe. Wróciły wątpliwości. Nie spełnił dobrze powierzonego mu zadania. Nie wyczerpał wszystkich możliwości. Przypomniał sobie Saula z Tarsu. Dlaczego go pomiął? Dlaczego nie wciągnął go do prac śledczych? Bo młody? Bo zapalczywy? A jednak mimo to powinien temu mądrym młodzieńcowi dla gorliwości jego wiary i wielkich uzdolnień powierzyć śledzenie Rabbiego z Nazarethu. W gorączce pracy

i narastających kłopotów zapomniał o młodym faryzeuszu. Trudno. Za późno.

Kojący sen spłynął na znużone powieki Nahuma.

A dusza wiernego sługi wyszła z jego ciała i pofrunęła do stóp Elohim, i wdzięcznie tańczyła przed Panem, ale wciąż zerkła na ruchy gwiazd, aby na czas, przed świtem, powrócić do śpiącego ciała Nahuma, do swojego tymczasowego, ziemskiego domu i wypełnić go swoją słodką obecnością.

Cud przy sadzawce Bethesda

Wprawdzie wierny przyjaciel Jezusa Eleazar i jego siostry Miriam i Martha gorąco zapraszali Go do siebie, do Bethanii – Bethania była małą wsią położoną na wschodnim stoku Góry Oliwnej – jednak Rabbi postanowił ze względu na swoich uczniów, którzy znaleźli wygodne pomieszczenia w mieście, zatrzymać się w Jerozolimie, w domu swoich krewnych na przedmieściu Bethsata. Tutaj u rodziny spędził wraz z uczniami wieczór pesachowy, modlił się nad kielichem wina, spożył pieczone jagnię, gorzkie zioła i chleb niekwaszony, maczany w charoseth, w przetartych owocach wymieszanych z miodem.

Święta mijaly w pogodnym nastroju. Jezus modlił się w Świątyni Pańskiej, a wolny czas poświęcał podmiejskim przechadzkom – raz nawet wybrał się w odwiedzinach do Eleazara do Bethanii – a wieczorami siedział na dachu domu w towarzystwie krewnych, opowiadał przypowieści, mówił o pięknie Galilei i Jam Kinereth, snuł rozważania o święcie Pesach, a na koniec, chcąc zrobić przyjemność domownikom, zadawał im zagadki – była to ulubiona zabawa dzieci Izraela – które rozwiązywali trafnie, mniej trafnie lub błędnie, ale zawsze ku ucieście wszystkich zebranych i przy wtórze beztroskiego śmiechu.

Zdawało się, że święta miną spokojnie. Prokurator, jak zawsze podczas Wielkich Świąt, wzmocnił w Antonii załogę rzymską i zarządził bojowe pogotowie. Żołnierze pełnili straż na ulicach i placach. Ale nikt z pielgrzymów nie zamierzał wzniecać rozruchów. Na Dziedzińcu Pogan, w Portykach Królewskim i Salomona i na dziedzińcach wewnętrznych uwijali się wywiadowcy Sanhedrynu. Galilejczycy zapytywani o Jezusa nie umieli udzielić jasnej odpowiedzi: jedni twierdzili, że pozostał w Kfar Nahum, inni, że widzieli Go w mieście i w Świątyni. Zresztą Pesach miał się już ku końcowi i skoro Jezus dotychczas nie ujawnił w Jerozolimie swojej obecności, prawdopodobnie zaniechał myśli o publicznym działaniu podczas świąt. A to było najważniejsze. Czujność wywiadowców poczęła więc powoli przygasać, ich oczy przestały być bystre i ruchliwe, a ich słuch stępsiał.

Był Szabat. Jeszcze gwiazdy świeciły na niebie, gdy Jezus wstał, odmówił poranną

modlitwę, wziął kąpiel, nałożył nową, całodzianą tunikę i udał się do Świątyni. Idąc z Bramy Owczej obok sadzawki Bethesda – tę piękną sadzawkę otaczały cztery portyki o korynckich kolumnach, a piąty, biegnący środkiem sadzawki, dzielił ją na dwie równe części – zatrzymał się i po krótkim namyśle skierował ku niej swoje kroki. Świtało. Zza Góry Oliwnej pospiesznie wytoczyło się ogromne słońce i blaskiem swoim zalało Świątynię Pańską, Antonię, pałac Hasmonejczyków, pałac Heroda, płaskie dachy domów i podmiejskie ogrody. Promienie słoneczne, odbite od krytych srebrną blachą dachów Świątyni, ustokrotnione, ogniste, iskrzące, utworzyły nad Przybytkiem oślepiający słup światła, który jak rozżarzony róg mocy wznosił się ku bezobłocznemu niebu. Rozległy się przeciągłe dźwięki trąb i psalmiczne śpiewy lewitów. Jezus usiadł na schodach prowadzących do sadzawki, w cieniu marmurowego portyku. Dźwięk trąb przypomniał Mu tajemniczy wypadek, który wydarzył się przed rokiem właśnie o tej samej porze, o świcie: lewici, obchodząc dziedziniec, stwierdzili ku swojemu przerażeniu, że bramy świątynne były w zagadkowy sposób otwarte. Wówczas to młody uczonec, uczeń Gamaliela, Johanan ben Zakkaj, wyrzekł słowa – na pewno nie przypuszczał, że już za kilkadziesiąt lat staną się one strasznym dokonaniem, a on sam będzie w owych dniach współuczestnikiem tragicznych wypadków i błogosławionym narzędziem ocalenia szczątków Izraela od całkowitej zagłady – które zabrzmiały jak grzmiące trąby Dnia Jahwe: „O, Świątynio, Świątynio, dlaczego nas przerażasz? Wiemy, że jesteś bliska upadku”.

Jezus pomyślał ze współczuciem o potężnych murach Świątyni i pokiwał smutnie głową. Rozejrzał się dokoła. Pod portykami gromadzili się cierpiący, ślepi, kulawi, porażeni, zgrzybiali starcy, wychudzeni młodzieńcy o gorączkującymi oczami, chorzy bez kropli krwi w twarzy, dzieci pokryte wrzodami. Tłocząc się i rozpychając rękami, szczudłami i kulami, wśród krzyków, przekleństw i rozpaczliwych nawoływań starali się znaleźć jak najbliżej wody. Często w takich wypadkach nie obywało się bez gorszących scen i prostackich bójek – tym bardziej godnych pożałowania, że działy się one nieomal na oczach Malach Jahwe, Anioła Pana – chorzy trawili się wzajemnie, okładali pięściami, szczudłami, kulami, laskami, spychali ze schodów, skakali sobie do oczu. Ponieważ nawet świat kalek i chorych dzielił się na mocnych i słabych, sprawnych i nieudolnych, zręcznych i niezgrabnych, obrotnych i nieporadnych, najsilniejsi i najzręczniejsi zwyciężali w tej nieustępliwej walce o miejsca i ci właśnie sadowili się nad wodą, na samej krawędzi sadzawki. Wierzyli bowiem, że jest to sadzawka cudowna, w którą o niespodziewanej godzinie wstępuje Malach Jahwe, Anioł Pana – jest on odpryskiem Pańskiej Niewidzialności, wprowadzie z domieszką delikatnej i przeźroczystej materii, ale mimo owej cienistej

domieszki jest wciąż niewidzialny – i uderzeniami niewidzialnych skrzydeł lub ruchami swojego niewidzialnego ciała porusza wodę, a wtedy ten, kto pierwszy w nią wstąpi, odzyskuje zdrowie. Dlatego więc, dobywając resztę sił ze swoich ciał steranych długimi chorobami, starali się dotrzeć kosztem współcierpiących nad sam brzeg sadzawki, wywalczali sobie najdogodniejsze miejsca i wysiadując nad wodą od świtu do wieczora – było to mozolne, pełne napięcia czyhanie na Anioła, wręcz polowanie na niego – oczami gorączkowo utkwionymi w wodzie wypatrywali jej poruszenia, najmniejszej zmarszczki na jej powierzchni. Gdy wreszcie dostrzegli jej znamienne, niespokojne drzenie, które powoli przechodziło w kipiące bulgotanie – niekiedy były to tylko fałszywe alarmy – w nieprzytomnym wyścigu rzucali się do wody i zanurzali po szyję w uzdrawiająco-falującej toni. Ale, jak już powiedzieliśmy, wszystko zależało od tego, kto pierwszy znajdzie się w cudownym żywiole. Z zazdrością więc patrzyli na owego zwinnego szczęśliwca, któremu udało się przed wszystkimi skoczyć do sadzawki i wykąpać się w wodzie nasyconej Aniołem Pańskim.

Tak też i teraz siedzieli nad sadzawką i wpatrzeni w wodę czekali w skupieniu na szum skrzydeł, muskających jej powierzchnię. Ale była gładka i nieporuszona. Czyżby tym razem Anioł Pański z jakichś nie znanych powodów opóźnił swój przylot, a może w ogóle dzisiaj się nie zjawi? Zdarzało się to, zdarzało. Ostatecznie Anioł jest tylko aniołem – tak twierdzili – więc może być opieszawy, niedbały, a nawet leniwy w wypełnianiu swoich obowiązków. Niecierpliwili się i sarkali. Sarkali jednak z umiarem, nie chcieli bowiem nadmiernym niezadowoleniem zrażać sobie swojego dobroczyńcy.

Jezus, który siedział na jednym z górnych stopni portyku i miał w zasięgu wzroku całą sadzawkę, spostrzegł dwóch chłopców ciągnących z trudem łoże, na którym leżał sparaliżowany mężczyzna. Chłopcy, zmęczeni i zasapani, z trudem dowlekli łoże do pierwszych kolumn krużganku i tu je wraz z chorym pozostawiwszy na łasce losu – chory wołał chrapliwym głosem: Bachurim! Bachurim! Znieście mnie na dół! Znieście mnie na dół! – szybko się oddalili, a jeden z nich odwrócił się i krzyknął:

- Niech cię inni na dół zniosą!
- Kiedy po mnie wróćcie?! – skomlał chory.
- Wieczorem! – krzyknęli jednocześnie i uciekli.

Chory poczuł na sobie wzrok Jezusa. Błagalnie spojrzał na Niego i wskazując na sadzawkę, rzekł:

– Znieś mnie na dół, panie. Widziałeś, oni uciekli. Cóż mam począć? Od trzydziestu ośmiu lat choruję. Nie mam człowieka, który by mnie wrzucił do

sadzawki, gdy się woda poruszy. Zanim zaś sam się dowłokę – a ledwo chodzę – inni mnie wyprzedzają.

Jezus, odpowiadając, spytał go:

– Chcesz być zdrowy?

– Chcę, panie – odparł ze smutnym uśmiechem. Rabbi wstał i podszedł do chorego.

– Zniesiesz mnie do sadzawki, panie? – spytał, a w jego głosie zabłysła nadzieja.

Jezus pochylił się nad chorym. Pokora i uniżenie Boga ukorzyły się i uniżyły przed człowiekiem, rozlały się przed nim jak służebna woda i stały się prawdziwą, posłuszenie uległą wodą. Jezus-Woda, poruszona i wzburzona, płynął u stóp człowieka i czekał z takim pożądaniem na zanurzenie się chorego w Jego głębinie, jakby nie On chorego, ale chory Jego miał uleczyć i przywrócić Mu pełnię sił i zdrowia. W swojej Wszechmocy, wyświadczając człowiekowi Łaskę, czekał na jego łaskę i im dłużej czekał, tym większe było Jego uniżenie i większa była Jego służebność, gdyż pragnął wchłonąć w siebie, w swoje poruszenie i wzburzenie całe cierpienie człowiecze, wypełnić się nim, nasycić, rozpuścić je w sobie i uczynić je swoją zawartością, treścią, sensem swojego nieśmiertelnego Bytu. Mało tego. Chcąc przynęcić do siebie człowieka, dobroczynnie udawał, że jest pusty bez jego cierpień, bez jego udręczeń, bez jego bolesnego brzemienia i że dopiero one, wchłonięte przez Niego, udoskonalą Go. I oto nienaganna Doskonałość błagała ułomną niezupełność, aby wstąpiła, zanurzyła się w Niej i nakarmiła Ją swoim nędznym człowieczeństwem.

Jezus, rozlany jak Woda, rzekł:

– Wstań, weź łoże swoje i idź.

Chory wytrzeszczył oczy, wyprężył się i zastygł w bezruchu. Przez jego ciężkie ciało przebiegły dreszcze, jakby wstępował w chłodną wodę sadzawki. Wstępował w Jezusowe słowa, w ich źródlaną, niezmaconą czystość, która opływała jego sparaliżowane ciało, muskała je, wygładzała, muskułom przywracając prężność i siłę. Poruszone słowa burzyły się, bulgotały i wciągały chorego w szumiącą kipieli, coraz głębiej, coraz głębiej, aż wreszcie całkowicie pochłonęły go w sobie. Chory, zanurzony w anielskich słowach, które już nie były teraz słowami, ale płynącym i szumiącym Aniołem – śmiało więc można rzec, że szczęśliwiec zanurzył się w Aniele Pana – wchłaniał w siebie wszystkimi porami ciała uzdrawiającą moc Wody, a oddawał Jej swoje cierpienie, niemoc swoją i ułomną nieruchomość. Święta Woda wypełniała się niemocą i cierpieniem człowieczym, aż nasyciwszy się nim w upragnionym nadmiarze, uspokoiła swoje poruszenie i wzburzenie, złagodniała i poczęła z wolna nacichać. A wtedy chory, nasycony zdrowiem i siłami, poruszał się

coraz raźniej, gdyż rosła w nim krzepkość i świeżość, a krew jego wartko płynęła w żyłach i rozgrzewała serdecznym ciepłem całe ciało. Zerwał się z łoża, chwycił je w obie ręce i ciągnąc za sobą, jakby było zewłokiem upolowanego zwierzęcia, łupem myśliwskim, skakał i tańczył, i krzyczał:

– Cud! Cud! Jestem zdrowy! Jestem zdrowy! Jestem zdrowy! Ci, którzy mogli się poruszać o własnych siłach, zerwali się ze swoich miejsc, paralitycy utkwili w tańczącym zdziwione spojrzenie, ślepcy wyciągnęli przed siebie ręce, pytając:

– Jaki cud? Kto uzdrowił? Co się stało?

A tańczący tańczył i włókł za sobą łożo, głośno dziękował Elohim za uzdrowienie i podkasawszy tunikę, wyrzucał wysoko nogi, zdrowe nogi, mocne nogi, krzepkie nogi, które jeszcze przed chwilą były chore i wiotkie jak źdźbło trawy, a teraz są potężne jak kolumny marmurowe i jędrne jak pnie terebintów. Ludzie tłoczyli się dokoła uzdrowionego, wołali, krzyczeli, domagali się wyjaśnień, a ponieważ wszyscy go znali jako kalekę cierpiącego od wielu, wielu lat na bezwład obu nóg, nie wątpili o jego cudownym uzdrowieniu i chodziło im tylko o ustalenie okoliczności, wśród których cud się dokonał. Widzieli, że uzdrowiony szczęśliwiec nie wszedł do wody, i widzieli również, że woda była nie poruszona, z czego wynika, iż Malach Jahwe – bo któż inny mógł go uzdrowić! – tym razem nie nawiedził wód sadzawki, ale zjawił się na kamiennych schodach portyku i zerwawszy ze swoim dotychczasowym, utartym zwyczajem, nie w wodzie, ale na ziemi dokonał uzdrowienia i w tym celu sam spośród tłumu chorych i kalek wybrał kandydata na błogosławionego uzdrowieńca. Było to zdarzenie dotychczas nie spotykane, wszyscy więc uważali, że należy je ze względu na dalsze cudowne możliwości dokładnie zbadać i omówić. Dowiedzieli się od szczęśliwca – tak go natychmiast nazwali – że uzdrowił go nie Malach Jahwe, ale jakiś nieznany Mąż, który siedział o tu... tu... w tym miejscu – wskazał palcem na schody portyku – a potem poszedł do niego i kazał mu wstać, a on wstał i chodził. Te słowa wprawiły ich w osłupienie. Wzruszali ramionami, spoglądali po sobie, potem dotykali nóg szczęśliwca, a wreszcie upewniwszy się, że naprawdę są zdrowe, mocne i krzepkie (jeden z kulawych krzyknął: – Oby mnie Elohim dał takie nogi!), z zadowoleniem, ale i z nie ukrywaną zazdrością kiwali głowami.

– Gdzie On jest?! – krzyknął jakiś kaleka.

– Nie ma Go, poszedł – odpowiedział szczęśliwiec.

– Poszedł?! Dlaczego poszedł?! Dokąd poszedł?! – krzyczeli ludzie.

– Nie wiem – odparł, a po chwili dodał: – Zdaje mi się, że w kierunku Świątyni.

– Jak wyglądał?! Opisz Go! Tak! Niech opisz, jak wyglądał! – podniecenie rosnące w tłumie.

– Miał czarne włosy i czarne oczy...
– Wszyscy mamy czarne włosy i czarne oczy!
– Był wysoki...
– Ja także jestem wysoki – ktoś huknął. – Młody czy stary?
– W sile wieku...
– Opisz Jego twarz!
– Nie umiem... nie umiem... – jękał bezradnie. – Nie umiem...
– Poznałbyś Go?
– Na pewno – słowa te wypowiedział z głębokim przekonaniem.
– To był z pewnością Malach Jahwe! – zawołał ślepiec.
– Skąd wiesz? Widziałeś Go? – spytał złośliwie kulawy.
– To był człowiek... jak ja... jak wy... jak wy wszyscy – szczęśliwiec zapewniał solennie.

– A czy Malach Jahwe nie może przyjąć na siebie postaci człowieka? Mało to razy Izrael widział aniołów przyobleczonych w ludzkie ciało? – wołał ślepiec.

– Słusznie mówi! Słusznie! To był na pewno Malach Jahwe! Któż inny mógł to być? Tylko Malach Jahwe! – niezliczone głosy potakiwały niewidomemu.

Szczęśliwiec podniósł z ziemi łoże, przerzucił je na plecy i ruszył w kierunku wyjścia.

– Dziś jest Szabat! – krzyknął z oburzeniem jeden z chorych. – Nie wolno ci dźwigać łóżka!

– Zostaw! Jutro je zabierzesz! – wołali inni.

Mąż uzdrowiony odwrócił się i spokojnie odparł:

– Ten, który mnie uzdrowił, rzekł do mnie: „Weź łoże i idź”.

Z łożem na plecach, wyprostowany, lekkim, pewnym krokiem, jakby dźwigał na plecach wór najłżejszego puchu, opuścił sadzawkę Bethesda.

– Co?! – ryczał za nim ślepiec. – Malach Jahwe kazał ci w Szabat nosić łoże na plecach?! Jeżeli tak powiedział, to On nie jest Malach Jahwe! Malach Jahwe nie mógł tak powiedzieć!

– Więc kto go uzdrowił?! – rozpaczliwie krzyknął kulawy.

W odpowiedzi na ten okrzyk zapanowało wśród chorych i kalek głucho milczenie, gdyż na to pytanie nikt z obecnych nie umiał odpowiedzieć.

Spór pod portykiem Salomona

Ludzie nie wierzyli własnym oczom. Szczęśliwiec, który jeszcze rano nie mógł przejść kilku kroków o własnych siłach, szedł teraz sprężysto do domu, dźwigając

na plecach swoje łożo. Znajomi i sąsiedzi przystawali wstrząśnięci. Nie wiedzieli, czy naprzód mają go pytać o cudowne uzdrowienie – widzieli, że wraca z sadzawki Bethesda – czy też łąć go z powodu pogwałcenia święta Szabatu. Radość, ciekawość i oburzenie mieszały się z sobą. Krzyczeli radośnie i równocześnie wymyślali mu. Cieszyli się i grozili. Ale on, nie bacząc ani na ich radość, ani na ich upomnienia i groźby, szedł przed siebie z łożem na plecach i opowiadał wszystkim o cudownym uzdrowieniu, a oni słuchając jego opowiadania o nieznanym Cudotwórcy, zapomnieli o świętym Szabacie i wchłaniali w siebie z upodobaniem jak zapach nardu każde jego słowo.

Poszedł do domu. Zostawił łóżko, wdział nową tunikę i udał się do Świątyni Pańskiej, aby złożyć dziękczynną ofiarę przed obliczem Elohim. Tłumy zebrane na dziedzińcach świątynnych wiedziały już o zdarzeniu u sadzawki Bethesda i w podnieceniu rozpytywały o osobę tajemniczego Cudotwórcy, który po dokonanym uzdrowieniu znikł bez śladu. W gromadce ciekawych, otaczających uzdrowionego męża, natychmiast znaleźli się również wywiadowcy i zaufani wysłannicy Kajafy. Z żalem pomyśleli: „A jednak nie obejdzie się bez kłopotów” – i odciągawszy na bok uzdrowieńca, zarzucili na niego istną sieć pytań, z której z trudem starał się wyplątać. Gdy świadcząc się sąsiadami i krewnymi – kilku z nich stało opodal, więc ich przywołał, a oni potwierdzili prawdę jego słów – udowodnił wreszcie swoje wieloletnie kalectwo, wywiadowcy starali się z niego wydobyć zeznania o Mężu, który go uzdrowił. Przysięgał i zaklinał się na pamięć swoich przodków, że nic o Nim nie wie, że widział Go po raz pierwszy w życiu, że Mąż ów po dokonanym cudzie znikł jak mgła. Dlatego jest skłonny przypuszczać, że nie był w ogóle człowiekiem, ale Aniołem, może nawet Malach Jahwe, tym samym, który przedtem działając skutecznie w wodzie, teraz począł działać skutecznie na ziemi. Jeżeli jednak nie był Aniołem Pańskim, to był na pewno jakimś bardzo wysokim i godnym Aniołem, bo zmienił – rozumie się, za przyzwoleniem Jahwe – niewzruszone prawo Szabatu i polecił jemu, uzdrowieńcowi – tu położył rękę pod biodro i powołał się na święte Imię Pana – wziąć na plecy łożko i udać się do domu. Ludzie Kajafy po krótkiej naradzie pozwolili uzdrowieńcowi oddalić się, ale uprzednio nakazali mu bacznie śledzić przechadzających się po dziedzińcach mężów i natychmiast, skoro tylko ujrzy owego Cudotwórcę – wynikało z tego, że nie dali wiary w Jego nadziemskie pochodzenie – powiadomić o tym któregokolwiek z wywiadowców świątynnych.

Uzdrowieniec poszedł na Dziedziniec Pogan. Kupił dwie synogarlice i udał się do Ołtarza Całopalenia. Nagle poczuł na sobie czyjeś baczne spojrzenie. Zauważył idącego obok siebie, w pewnym oddaleniu, męża niskiego wzrostu o czarnych,

gorejących oczach i ciężkich powiekach. Krótka broda o rdzawym odcieniu otaczała wprawdzie niestara, ale mimo to znużoną twarz. Cała postać, nie odznaczająca się żadną znamioną cechą, była tak zawstydzona swoim istnieniem, że w swej unizonej nieśmiałości była prawie niewidoczna. Uzdrawieniec spojrzął na idącego obok niego męża – i natychmiast o nim zapomniał. Złożył przed Ołtarzem Całopalenia ofiarę, modlił się gorąco i bił się w piersi, po czym poszedł przez Dziedziniec Kobiet i Bramę Nikanora ku Portykowi Salomona. Zstępując po schodach, znowu poczuł na sobie spojrzenie idącego za nim męża niskiego wzrostu, ale i tym razem nie zwrócił na niego baczniejszej uwagi. Uzdrawieniec go nie znał. Nigdy go dotychczas nie widział. Ale my go znamy. Poznaliśmy go przed kilku laty, gdy wracał zmęczony po całodzienną pracę do domu, położonego obok Gnojnej Bramy. To Juda ben Symeon z Kerijoth, handlarz pachnideł. Od czasu, gdyśmy go po raz ostatni widzieli, niewiele zewnętrznie się zmienił. Oczy jego były wciąż gorejące, powieki ciężkie, krok znużony, nogi obolałe i spuchnięte. Wewnętrznie nie zaszły w nim również żadne zmiany. Jak wczoraj i przedwczoraj, jak przed rokiem i przed latami niezachwianie czekał na zjawienie się Mesjasza i tym czekaniem żył, i czekając wierzył, że zbliża się do upragnionego celu. Były to dni, miesiące i lata puste, jałowe, mimo ich wewnętrzznego napięcia, gdyż było ono bierne, niczego nie kształtowało, nie odmieniało i nie odradzało, i tylko pogłębiało dramatyczną nieruchomość duszy biednego Judy. Wierzył, że ugór tych minionych lat przestanie być ugorem, gdy je nawodni i zaorze zjawienie się Mesjasza, dzięki czemu pustynia minionego czasu okaże się utajonym rajskim ogrodem. Po prostu Juda czekał na sens swojego życia, na olśniewający blask, który obejmie w posiadanie całe jego życie, od narodzin po błogosławioną śmierć, i zapłaci mu za wszystkie przeszłe smutki, gorycze i upadki. Zapłata! Juda, handlarz pachnideł, sprawiedliwie odmierzał towar na szalach wagi i doskonale znał tajemnicę prawa równowagi. Nigdy nie oszukiwał swoich odbiorczyń, a gdy im nawet sprzedawał podrabiany nard w tanich słoikach, wyraźnie i wielokrotnie mówił o jego brakach i poślednim gatunku, który – o tym także wyraźnie mówił – nie jest jednak tak złym gatunkiem, by nie mógł zastąpić prawdziwego nardu. Niekiedy nawet dzięki wytrawnej przyprawie doskonale go zastępuje, i najczulsze powonienie nie odróżni nardu podrobionego od nardu prawdziwego. Wszystko posiada swoją wartość, swoją cenę i wymaga słusznej i sprawiedliwej zapłaty. W życiu człowieka pobożnego ból musi być opłacony radością, choroba zdrowiem, bezpłodność płodnością, łzy śmiechem, upadek wzlotem, zmęczenie wypoczynkiem, krzywda nagrodą. Ta sprawiedliwa zapłata – tak rozmyślał Juda, człowiek ze wszech miar pobożny – nastąpi w czasie Mesjasza, a będzie to rozrachunek uczciwy, według praw wagi i gatunku, i biada temu

mężowi, który swoją żarliwą wiarą nie zachęca Pana Zastępów do szybkiego ofiarowania ludziom obiecanego szczęścia i obiecanej radości. Były chwile, gdy w niezłomnej wierze Judy tworzyły się drobne szczeliny zwątpienia. A co będzie, jeżeli Pan za jego życia nie pobłogosławi Izraela czasem spełnionym? Co stanie się z nie zapłaconą biedą smutnego Judy? – Z jego nie nagrodzoną nędzą i nie nagrodzonym bezsennym czuwaniem? Juda drżał z trwogi na myśl, że umrze i nie doczeka przyjscia Mesjasza. Co wtedy? Co wtedy? Kto wyrówna rachunek jego życia? Jego nędznego życia? Rachunek jego trzepocącego serca i spuchniętych nóg, brudnego barłogu i pobożnej niewidoczności? Kto? Czy z głębi szeolu dojdzie jego głos do Pana? Czy Panu potrzebne są modlitwy umarłych? Ale zwątpienia szybko mijały i Juda pocieszał się, że są one jak szczeliny w skale rozpalonej słonecznym żarem, i że mimo owych szczelin jego wiara jest jak granitowa góra, której nie wyrwoci żaden wichur i nie zwali żadna burza. W takich chwilach modlił się jeszcze żarliwiej i szybko odzyskiwał wewnętrzną równowagę, i znów jego oczy zwracały się ufnie spod ciężkich powiek ku Panu. Był jałową, gorącą, płomienną pustką, ognistym, modlitewnym ugorem, w uniesieniu błagającym Najwyższego o łaskę nagrody, uwielbiającym Go nieużytkiem, czekającym z tęsknotą na nieuniknione i użyźniające deszcze, na zapłatę ze wszech miar zasłużoną.

Juda szedł za uzdrowionym mężem. Szedł za nim krok w krok. Słyszał bowiem o jego nadprzyrodzonym uzdrowieniu, dokonanym przez nieznanego Męża, który natychmiast po cudzie znikł w nie wyjaśniony sposób. Chciał o Niego spytać, albowiem – o błogosławione przeczucie! – powiązał w swojej gorączkującej wyobraźni postać Męża znad cudownej sadzawki z postacią Jezusy ben Josef, którego cudownym działaniem i słowami – i tu jesteśmy u sedna sprawy – żył od wielu miesięcy. Dosłownie żył. Od dnia, w którym się dowiedział od ludzi przybyłych znad Jam Kinereth o kazaniach i cudach Jezusa, zapalał gorącą chęcią ujrzenia tego niepospolitego Męża i był nawet gotów udać się do Galilei i z bliska przyjrzeć się Jemu i Jego otoczeniu, posłuchać Jego nauk i wśród tamtejszych ludzi zasięgnąć języka o Jego przeszłości. Wiedział coś niecoś o niezadowoleniu arcykapłana i pewnych członków Sanhedrynu, które Jezus wywołał swoimi wypowiedziami i cudami. Ale cóż znaczy ich nieufność w porównaniu z nauką, którą Jezus głosi nad Jordanem i w Galilei! Juda wielu myśli nie rozumiał, niektóre wydawały mu się zbyt śmiałe, a inne niemożliwe do urzeczywistnienia, ale przypadła mu bardzo do przekonania nauka Jezusa o Królestwie Bożym, którą kojarzył z własną filozofią świętej zapłaty i nagrody. Kim jest ów Jezua ben Josef? Johanan ben Zecharia, nazir, siedzi w więzieniu, ale cóż to za prorok, którego Elohim w cudowny sposób nie wyprowadza na wolność przez mury i kraty więzienia?

A może tym prorokiem jest właśnie Jezua ben Josef? Prorokiem prorokującym o przyjściu czasu wypełnionego? O bliskim zjawieniu się Mesjasza? A jeżeli tak jest rzeczywiście, to trzeba znaleźć się w pobliżu Jezuy, w Jego najbliższym sąsiedztwie, może nawet wśród Jego uczniów, aby w dniu przyjścia Pomazańca być przez Niego natychmiast dostrzeżonym i pobłogosławionym, jak najszybciej pobłogosławionym, w pierwszej kolejności, bo będzie to błogosławieństwo pełniejsze i mocniejsze, i skuteczniejsze od następnych błogosławieństw, które Mesjasz w swojej hojności będzie rozdawać bez miary na prawo i lewo! Trzeba zatem być blisko Jezuy! Najbliżej Jezuy! Ta myśl olśniła Judę. Bo jeżeli przyjdzie Mesjasz na ziemię dokona się w miejscu, w którym przebywać będzie Jezua ben Josef, Mąż Boży i Cudotwórca, u boku Jezuy musi stać z wyciągniętą ręką po świętą zapłatę i nagrodę pokorny Juda ben Symeon z Kerijoth!

Więc nieśmiały Juda już chciał podejść do Szczęśliwca, gdy wtem spostrzegł dwóch mężów siedzących pod Portykiem Salomona. Przystanął. Uzdrawieniec, który ich również spostrzegł, zatrzymał się, cofnął o krok i spoza zasłaniającej go kolumny bacznie przyglądał się rozprawiającym ze sobą mężom, z których jeden siedział w cieniu, głowę podparłszy ręką, i dlatego trudno było rozpoznać rysy Jego twarzy. Ale właśnie się podniósł. Podniósł się, jakby chciał świadomie ujawnić się przed oczami śledzącego Go człowieka, i wtedy uzdrawieniec ku swojej wielkiej radości poznał w Nim swojego Uzdrawiciela.

Jezus zwrócił się ku niemu z uśmiechem i rzekł:

– Wyzdrowiałeś, ale nigdy już nie grzesz, byś czego gorszego nie doświadczył. Jednak on tych słów nie słyszał.

W kilku susach był już na schodach. Pędząc w dół, oglądał się raz po raz za siebie, jakby się bał, że Cudotwórca może lada chwila rozpuścić się bez śladu w powietrzu. W połowie schodów spostrzegł kilku faryzeuszów i wywiadowców Kajafy, tych właśnie, którzy przesłuchiwali go na dziedzińcu świątynnym, i krzyknął z zachwytem:

– Oto On!

– Który? – spytał wywiadowca.

– Ten! Który stoi! – wyciągnął przed siebie rękę i wskazał nią Jezusa.

Spojrzenie stojącego opodal Judy z Kerijoth pobiegło śladem wskazującego palca i spoczęło na postaci Męża stojącego pod portykiem. Ten gest palca utkwiał na całe życie w pamięci sprzedawcy pachnidła i stał się myślą przewodnią jego przyszłego działania. Wizja wskazującego palca już go nigdy nie opuściła. Nigdy. Trwała w nim aż po chwilę jego śmierci.

Wskazujący palec wciąż trwał w powietrzu.

Wywiadowcy i faryzeusze podeszli bliżej.

– Czy ty jesteś uzdrowicielem, który uleczył tego człowieka? – spytał wywiadowca.

Jezus spojrział na pytającego i przytaknął skinieniem głowy. Siedzący obok Niego młodzieniec podniósł się z ziemi.

– Jak się zowiesz? – spytał wywiadowca.

– Ten Mąż zowie się Jezua ben Josef z Nazarethu – odpowiedział Johanan ben Zebadia, albowiem on był tym młodzieńcem, który spoczywał obok Jezusa.

– Jezua ben Josef z Nazarethu? – powtórzył z udaną niedbałością faryzeusz.

– Jezua ben Josef – szepnął Juda z Kerijoth i zamknął oczy. Po czym dodał w myśli: „Niech będzie błogosławiony Elohim, Pan Zastępów”. – Podniósł powieki i utkwiał radosne spojrzenie w Jezusie.

Podczas gdy wywiadowca, Juda z Kerijoth i uzdrowiony mąż przyglądali się Galilejczykom, jeden z faryzeuszów pobiegł na Dziedziniec Mężów.

Zapalczywy i skory do gniewu Johanan ben Zebadia spytał zaczepnie:

– Czego chcecie?

– Niczego nie chcemy – odparł wywiadowca – porozmawiamy.

– O czym?

– Usłyszysz.

– Mów zatem.

– Przyjdą tu mądrzejsi ode mnie.

Z Bramy Nikanora wyszło kilku faryzeuszów i zszedłszy po marmurowych schodach, zdążyli szybko do kolumnady Salomona.

– Pokój wam – rzekł jeden z nich, siwy, ale krzepki starzec wysokiego wzrostu, o szerokich barach.

– Pokój wam – odrzekli Jezus i Johanan ben Zebadia.

– Usiądźmy – starzec uprzejmym gestem wskazał im marmurową posadzkę portyku, na której jeden z przybyłych rozesał trzcinową matę, przetykaną wełną.

Usiedli na podwiniętych nogach.

– Cudu dokonałeś, rabbi, cudu uzdrowienia – rzekł starzec i dodał z wyrzutem: – Dlaczego kazałeś w dniu Szabatu dźwigać łoże uzdrowieńcowi?

Jezus rozłożył ręce i odpowiadając, rzekł:

– Bóg, mój Ojciec, działa, więc i Ja działam.

– Wszyscy jesteśmy synami Boga. Bóg działa i człowiek działa. Ale w czym Imieniu ty działasz, rabbi?

– Nie mogę sam z siebie nic działać.

– Więc czyją wolę pełnisz?

- Staram się pełnić nie moją wolę, lecz wolę Tego, który mnie posłał.
- Kto cię posłał?
- Mój Ojciec.
- Elohim jest ojcem wszystkich synów człowieczych. Czy jesteś Jego Szelijach, Posłańcem? – spytał.
- Gdybym wydał o sobie świadectwo, świadectwo moje nie byłoby wiarygodne – odparł Jezus.
- Mądrze mówisz, rabbi – starzec kiwał z zadowoleniem głową. – Na czym zatem świadectwie polegasz?
- Wyście posłali posłańców do Johanana ben Zecharia, nazira, a on dał świadectwo Prawdzie. On był pochodnią gorejącą i świecącą, a wam się spodobało radować jego światłem tylko przez krótką chwilę.
- Nie myśmy go uwięzili. Czy na jego świadectwie polegasz? – w głosie starca zabrzmiało współczujące ubolewanie.
- Ja nie polegam na świadectwie ludzkim. O tych rzeczach mówię do was, abyście osiągnęli zbawienie.
- Czy znasz świadectwo wyższe niż świadectwo Johanana ben Zecharia? – nalegał starzec.
- Jest Inny, który wydaje o mnie świadectwo. Wiem, że świadectwo, które On o mnie wydaje, jest wiarygodne. Mam świadectwo, które przewyższa świadectwo Johanana ben Zecharia.
- Czyje to świadectwo? – głos starca drżał niecierpliwie.
- Ojciec, który mnie posłał, wydał o mnie świadectwo. Dzieła, które mi Ojciec powierzył do wykonania, te właśnie dzieła, które spełniam, świadczą o mnie i są dowodem, że Ojciec mnie posłał.
- Nic o tym nie wiemy, aby cię Elohim posłał.
- Głosu Jego nigdy nie słyszeliście ani postaci Jego nie widzieliście...
- A tyś słyszał i widział? – usiłował przerwać jeden z faryzeuszów.
- ...ani słowa Jego nie zachowaliście w sobie, ponieważ nie wierzycie Temu, który jest posłany – dokończył Jezus.
- A gdzie jest napisane, że ciebie posłał? – pytanie to, wypowiedziane przez starca szeptem, przypominało bezszelestne skradanie się pantery.
- Badacie Pisma, albowiem sądzicie, że w nich znajdziecie żywot wieczny. A one składają świadectwo o mnie, ale mimo to do mnie przyjść nie chcecie, aby osiąść żywot.
- Jaki żywot? Przecież, jak widzisz, żyjemy.
- Zaprawdę, powiadam wam, kto słucha mojego słowa i wierzy Temu, który mnie

posłał, ma żywot wieczny i nie podpada pod sąd, lecz przeszedł już z śmierci do żywota.

– Bez sądu Elohim? Jakże człowiek umarły może ożyć?

– Ci, co dobrze czynili, zmartwychwstaną do życia, a inni, którzy źle czynili, zmartwychwstaną na sąd. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, zbliża się godzina, a nawet już nadeszła, kiedy umarli usłyszą głos Syna Bożego...

– Izrael jest synem Bożym, a głos syna dochodzi do uszu Pana – rzucił ostro starzec.

– ... a ci, co go usłyszą, żyć będą – ciągnął spokojnie Jezus. – Nie dziwcie się temu, gdyż nadchodzi godzina, gdy wszyscy, którzy są w grobach, usłyszą Jego głos.

– Musimy się dziwić, bo jakże możemy ci wierzyć, skoro to, co mówisz, nigdzie nie jest zapisane? – starzec niespokojnie uderzył ręką o kolano.

Wtedy Jezus rzekł podniesionym głosem, patrząc spod zmarszczonych brwi na faryzeuszów:

– Jakże możecie mi uwierzyć, wy, którzy pragniecie chwały jeden od drugiego, a nie szukacie chwały pochodzącej od samego Boga! Nie myślcie, że ja was będę oskarżał przed moim Ojcem! Oskarża was Mojżesz, w którym pokładacie nadzieję! Gdybyście bowiem wierzyli Mojżeszowi, wierzylibyście i mnie. On o mnie bowiem pisał. A jeżeli jego pismom nie wierzycie, jakże uwierzycie moim słowom?

Zerwali się z ziemi. Stanęli zwartym półkolem, wzburzeni do głębi końcową wypowiedzią Jezusa, i poczęli mówić wszyscy równocześnie, bezładnie, urywanymi zdaniem, i ciskali w Niego słowa ciężkie jak kamienie. Pochylali się w sobie i z wnętrza swojego podnosili najcięższe słowa, i bili nimi przed siebie. Uczynił się wielki huk od ich słów padających gęstym gradem na głowę, ramiona, na całe ciało Rabbiego. Krzyczeli – krzycząc wzajemnie sobą się świadczyli – że Mojżesz ani jednym słowem nie wspomniął o nim w świętych Księgach, ani w Bereszit, ani w Szemot, ani w Wajikra, ani w Bemidbar, ani w Dewarim, i nie można się dopatrzeć aluzji do Jezu w żadnej wypowiedzi proroka ani symbolu Jezu, ani rysów jego twarzy, ani nawet echa jego słów. Tak krzyczeli, a ich zdyszane słowa leciały ze świstem, i uspokoili się dopiero wówczas, gdy Jezus i Johanan ben Zebadia, oddalwszy się w kierunku Złotej Bramy, zniknęli z ich pola widzenia za szerokimi kolumnami portyku. Wtedy ich gniew opadł i pozostawił po sobie znużenie, ale było ono żyzne i zapładniające, bo sprawdziły się ich przypuszczenia i obawy o buzujących w Izraelu ogniach, od których – oby dłoń Pana czuwała nad Jego ludem – zająć się mogą wszystkie namioty Jaakowa. Pobiegli do Kajafy. Pod portykiem pozostał tylko Juda ben Symeon z Kerijoth, upojony słowami Jezusa. Na przekór oskarżeniom uczonych postanowił prosić Go o przyjęcie do zgromadzenia

uczniów. Droga Rabbiego jest drogą słuszną i kto nią kroczy, posiadzie żywot wieczny. Ze słów Jego wynika, że stoi On w najbliższej bliskości Mesjasza, może nawet tuż u Jego boku. Juda postanowił zatem odszukać Jezusa, znaleźć Go i pójść za Nim. Uwierzył w Niego, a uwierzywszy, umiłował Go całym sercem.

Rozmowa z Nikodemem

Czy wszyscy pamiętamy rabbiego Nikodema, uczonego i mędrca, faryzeusza i członka Sanhedrynu? Ponieważ postać ta zjawiała się dotychczas w naszej opowieści tylko epizodycznie, i to w większym lub mniejszym gronie ludzi, więc łatwo mogła wypaść z pamięci najbardziej nawet uważnego czytelnika, co niewątpliwie krzywdzi zacnego faryzeusza, który na pewno jest mężem godnym zapamiętania, o czym zresztą świadczą dalsze jego dzieje. Po raz pierwszy spotkaliśmy Nikodema przed wielu laty pod Portykiem Salomona wśród uczonych mężów, rozprawiających z dwunastoletnim Jezusem, który dobrze zapamiętał jego mądre słowa o ludziach biednych i jałmużnie. Podczas dyskusji Nikodem jednak milczał – Jezus gromił wówczas uprawianie handlu na dziedzińcu świątynnym – i do końca nie ujawniał swojego zdania, co powinno zdumieć bacznego czytelnika i naprowadzić go na myśl, że ten dostojny członek Sanhedrynu zgadzał się wprawdzie ze zdaniem młodego Rozmówcy, ale nie grzesząc zbytnią odwagą, wołał głośno nie ujawniać swojego przekonania, które mogło go narazić na zatarg z potężnym Hananem ben Sethi, właścicielem przedsiębiorstw handlowych na Dziedzińcu Pogan. Po raz drugi widzieliśmy Nikodema przed kilkoma laty podczas święta Jom Kippur wśród siedemdziesięciu i jeden dostojnych członków Sanhedrynu, którzy stali boso i w skupieniu u stóp Kodesz Hakodeszim, Świętego Świętych. Który z nich był Nikodemem? Nie... nie ten... i także nie ten... Ten tutaj to wielki Gamaliel, a ten – Josef z Ramathajim, tych dwóch już teraz powinien czytelnik zapamiętać, bo wkrótce powrócą oni na karty naszej opowieści. Stojący między nimi mąż w sile wieku, szpakowaty, o krótko strzyżonej brodzie i głębokich, mądrych oczach – zasłania go nieco rabbi Sadok Poszczący, ten sam, który rozpoczął post przebłągalny dla ratowania Świętego Miasta od zagłady – to właśnie rabbi Nikodem, faryzeusz i uczonego.

A dzisiaj po raz trzeci spotykamy Nikodema. Broda jego jest już zupełnie siwa, ale czerstwa twarz i niezwykle żywe oczy świadczą o młodszej krzepkości jego mocno zbudowanej wysokiej postaci. Wprawdzie pochylił się nieco w plecach, ale to pochylenie należy raczej położyć na karb przytłaczających go myśli niż fizycznej ociężałości. Pochodził z bogatego i znakomitego rodu. Otrzymał świetne

wykształcenie. Ale mimo dobrobytu i głębokiej wiedzy przez całe swoje życie, od dnia, kiedy zaczął samodzielnie myśleć, odczuwał niedosyt Boga i niepokój o zbawienie swej duszy, a bojąc się, że pod ciężarem wciąż rosnącego dobrobytu utraci rozeznanie między dobrem a złem, sprawiedliwością i niesprawiedliwością, czuwał nad każdym swoim krokiem i uczynkiem, sądy swoje o ludziach i wypadkach ostrożnie odważał, a zanim powziął jakieś postanowienie, oglądał je ze wszystkich stron, wielokrotnie się cofał i znów powracał, aż wreszcie po wielu wahaniach, utwierdziwszy się w swoich sądach, rozpoczynał oględne działanie. Ludzie uważali go słusznie za człowieka niezwykle powściągliwego w słowach i czynach, a niektórzy za człowieka chwiejnego. Czy Nikodem był człowiekiem chwiejnym? Był mężem chłodnej rozwagi, ale niestety wskutek jej nadmiaru nie grzeszył zbyt odważą. Do każdego aktu odwagi potrzebna jest szczypta szaleństwa. Nikodem nie był szaleńcem. Nikodem nie był człowiekiem gwałtownym. Nikodem nie był człowiekiem burzy i błyskawic. Nikodem miał własny pogląd na każde zjawisko, ale ponieważ nigdy nie był do głębi przekonany o słuszności swoich sądów, wolał milczeć niż je głośno wypowiadać. Bał się ryzykować. Rozdając codziennie ubogim pieniądze, dziękował Panu za dobrobyt, a żebrakom, że raczą przyjmować jego jałmużnę. W modlitwach swoich wielokrotnie podkreślał, że nie uważa siebie za godnego posiadania tak wielkiej majątności. To bogactwo było łaskawym darem Elohim, który za pomocą pieniądza pragnie wystawić na próbę jego mądrość i poczucie sprawiedliwości. Ale wiedział, że nie narażając się na nic i rozdając jałmużnę, i modląc się, ułatwia sobie życie, czyli działa przeciw woli Elohim. Czy tym sposobem dostąpi zbawienia duszy? Czy ułożywszy sobie wygodne życie i żyjąc spokojnie z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, znajdzie łaskę przed siedmiookim Elohim – każdy dzień tygodnia jest jednym okiem Pana – który kazał człowiekowi walczyć, a nie wypoczywać; a czy nie jednym wielkim wypoczynkiem jest jego życie, spokojne i ciche życie mędrca Nikodema? Spokój jest klęską człowieka. Obowiązkiem jest trudne bojowanie i doskonalenie się. Czy rabbi Nikodem doskonalili się? Odnawia się? Odradza? A przecież codziennie modli się słowem psalmów o odnowienie całego swojego jestestwa: „Ducha mocy odnów w moim wnętrzu...”.

Zapadła jasna, księżycowa noc. Nikodem siedział na dachu swojego domu, położonego tuż obok ogrodów Heroda, od których ciągnął orzeźwiający powiew przesycony zapachem kwitnącej akacji. Wczoraj dowiedział się o cudownym uzdrowieniu u sadzawki Bethesda i o dyskusji Jezusy ben Josef z wysłannikami Kajafy pod Portykiem Salomona. O mądrym Rabbim, Cudotwórcy działającym w Galilei – ubiegłego roku słyszał o Jego działalności podczas święta Pesach nad

Jordanem – opowiadano już od dłuższego czasu. Z początku niewiele uwagi przykładał do tych wieści, gdyż wydawało mu się, że jest w nich więcej zmyślenia niż prawdy, ale pewnego dnia po rozmowie z Kajafą – ten Kajafa mimo charyzmatów i wykształcenia pozostał tym samym sprytnym prostakiem, jakiego Nikodem znał z beth hamidraszu – począł wątpić o słuszności swoich przypuszczeń i postanowił podczas najbliższej dogodnej sposobności zobaczyć się z Jezusą i odbyć z Nim rozmowę. Tymczasem dokoła Rabbiego nagromadziło się tak wiele nowych i ciekawych faktów, a przede wszystkim postać Jego opromieniło tyle cudów, których dokonał, i myśli, które wypowiedział, że w oczach Nikodema Jezus z cudotwórcy i uczonego w Piśmie Świętym urósł do niespodziewanie wielkich rozmiarów, sięgających prawie miary proroka, przemawiającego słowami objawionymi. Ale równocześnie poczęły napływać do Jerozolimy wieści o pewnych Jego wypowiedziach i poczynaniach, które saduceusz Kajafa i jego teść Hanan, a poza nimi również pewni faryzeusze poczytywali za niezgodne z Pismem Świętym. Nikodem słyszał o podejrzaniach Kajafy i o wydanym przez niego rozkazie śledzenia Jezusa. I nie tylko Jezusa. Jeden z młodych kapłanów – ów Krótkowzroczny – opowiadał mu ongi w tajemnicy o śledztwie, które prowadził z polecenia Kajafy przeciw Johananowi ben Zecharia, krewnemu Jezusa, nad brzegami Jordanu. Czyżby istniał jakiś związek między Jezusem a nazirem? W tych warunkach – i to był pierwszy odruch Nikodema – nie należy podejmować próby zobaczenia się z Jezusem. Trzeba działać ostrożnie. Ostrożnie? Dlaczego ostrożnie? Kto powiedział, że wypowiedzi Galilejczyka są niezgodne z Torą? Albo sprzeczne z Tradycją Starszych? Handlarz Hanan ben Sethi? Jego zięć Josef Kajafa, współpracownik prokuratora Poncjusza? Zresztą obaj nie uznają Tradycji Starszych. Kilku donosicieli i wysłanników Kajafy? Kilku faryzeuszów z Kfar Nahum? Kilku faryzeuszów z Jerozolimy? Kilku bezimiennych ludzi bez znaczenia i wiedzy? A który z dostojnych uczonych faryzeuszów zabrał głos przeciw Jezusowi – spośród tych, których imiona są jak miód na podniebieniu? Czy wypowiedział swoje zdanie wielki Gamaliel, wnuk wielkiego Hillela? Albo rabbi Sadok Poszczący? Albo Akabia ben Nahallalel? Ten sam Akabia, który synowi swojemu, gdy go prosił o list polecający, odpowiedział: „Niechaj cię polecają czyny twoje”... A może zacny faryzeusz Josef z Ramathajim? A może wreszcie Johanan ben Zakkaj, bogoboyny faryzeusz i mędrzec nad mędrkami, który przemawiając w beth hasefer te słowa powiedział do swoich uczniów: „Zaprawdę powiadam wam, zwłoki nie zanieczyszczają człowieka, a woda go nie oczyszcza. Ale ponieważ Elohim orzekł, że zwłoki zanieczyszczają człowieka, a woda go oczyszcza, musimy spełnić wolę Pana i nie pytać o przyczyny tych nakazów”. ...Tak ...tak... – myślał dalej Nikodem – nie

wszystkie wypowiedzi Jezusy ben Josef są naprawdę zgodne z Tradycją, ale trzeba przyznać, że są one nowe, a mimo swej nowości są napełnione Duchem Bożym. A czyż wypowiedź Johanana ben Zakkaj jest zgodna z Tradycją i Torą? Elohim powiedział, że zwłoki zanieczyszczają człowieka, a Johanana ben Zakkaj twierdzi, że nie zanieczyszczają. Elohim powiedział, że woda oczyszcza, a Johanana ben Zakkaj twierdzi, że nie oczyszcza. I pobożny Johanana ben Zakkaj, natchniony Bożym natchnieniem i niezłomną wiarą, nie wierząc wierzy, wierzy przeciw wierze, i na tym właśnie polega wielka i głęboka wiara mędrca, na którym spoczął miłosierny Duch Pana.

Nikodem zszedł z dachu do komnaty, nałożył na siebie płaszcz i ruszył do północnej części miasta, gdzie mieszkał Jezus. Ale dla ostrożności – mimo wszystko – poszedł sam, bez sługi, a płat płótna okrywający głowę nasunął głębiej na czoło, aby go nie poznano. Obawa jego była przesadna, gdyż o tej późnej nocnej porze ulice były puste i tylko z dala, z murów miejskich dochodziło senne nawoływanie nocnych straży. Nie chcąc iść obok strzeżonego dniem i nocą gmachu Sanhedrynu, udał się dłuższą drogą i po uciążliwym kluczeniu wśród krętych uliczek wydostał się wreszcie do dzielnicy Bethsata. Odszukał dom – wczoraj odruchowo spytał jednego z faryzeuszów z otoczenia Kajafy o miejsce pobytu Jezusa w Jerozolimie, nie wiedząc, że już dziś skorzysta z tej wiadomości – przystanął pod bramą i pomyślał: ...Czy dobrze czynię, tak jak czynię? – Po krótkim wahaniu zapukał. Usłyszał człapanie bosych nóg i zaspany, gniewny głos:

– Kto to?

– Pokój z tobą. Otwórz. Przyszedłem do Jezusy ben Josef z Nazarethu.

Zgrzytnęła zasuwka i otwarły się drzwi. W sieni majaczyła postać mężczyzny o zmierzwiionych włosach. Podniósł latarnię i baczny okiem dozorca przyjrzał się gościowi, który prawdopodobnie uczynił na nim dodatnie wrażenie, bo natychmiast się cofnął i rzekł:

– Pokój z tobą, panie. Wejdz.

Nikodem przytknął dwa palce do mezuzy, a potem przyłożył je do ust. Szli przez sień i dziedziniec. Weszli do domu i stanęli przed drzwiami na końcu korytarza. Przez szpary od wewnątrz przesączało się światło.

– Tu mieszka – szepnął dozorca.

– Nie śpi?

– Czuwa – odrzekł i oddalił się.

Nikodem zapukał. Zdawało mu się, że nie do drzwi puka, ale do własnego wnętrza. Drzwi otwarły się. W głębi stał Jezus w wątlym świetle lampy oliwnej, umieszczonej w rogu izby na drewnianej półce, przybitej do ściany na wysokości

głowy.

– Pokój Tobie, Rabbi. Jestem Nikodem – rzekł.

– Pokój tobie, wejdz – w głosie Jezusa nie było ani śladu zdumienia z powodu tak późnych i niespodziewanych odwiedzin obcego męża.

Przez głowę Nikodema przeleciała myśl: Skąd wiedział, że przyjdę? – i na przekór przekonaniu, które mu mówiło, że Jezus czekał na niego, począł się tłumaczyć i przeproszać Rabbiego, że odwiedza Go bez zapowiedzi w niestosownej porze nocnej, która jest przeznaczona na modlitwy i spoczynek, a nie na odwiedziny obcych ludzi. Wszedł do izby. I znów go zdumiało, że Jezus nie przyglądał mu się tak, jak powinien przyglądać się gospodarz przybyłemu z nienacka obcemu gościowi. Usiedli za stołem. A może mnie zna? A może mnie gdzieś widział? – pomyślał Nikodem. Jezus skinął głową. On zna moje myśli – otarł z czoła zimny pot. Jezus, oparłszy głowę na dłoń, czekał cierpliwie na pierwsze słowa gościa. To na pewno było przywidzenie. Tak, na pewno. Nikodem odzyskał równowagę. Jego spojrzenie ślizgało się po ścianach, po łożu, po stole, po lampie oliwnej i nie utrudzone tą dyskretną i krótką wędrówką po nielicznych sprzętach, stanowiących umeblowanie ubogiej izby, znów spoczęło, ale tym razem już bez lęku, na Jezusie.

Po kątach ścielił się mrok.

– Rabbi – rzekł Nikodem – wszyscy wiemy, że przyszedłeś od Elohim jako nauczyciel, albowiem nikt takich cudów czynić nie może, jakie Ty czynisz, jeżeli Pan z nim nie jest. Ludzie powtarzają Twoje słowa i radują się nimi, a między tymi słowami są słowa o Malchut Haszamajim, słowa mądre i piękne, które wyszły z ust samego Pana. Z ust samego Pana wychodzą słowa o Królestwie Niebieskim, które Ty swoimi ustami wypowiadasz, a słowa te dochodzą do uszu Jeszuruna, do uszu pragnących słuchać, ale często nie słuchających, albowiem – jak powiedział wielki nabi Jeremijahu: „Oto ich ucho jest nie obrzezane, więc nie mogą słuchać uważnie, i oto robią sobie drwiny ze słów Jahwe i nie mają w nich upodobania”. Powiedz mi, Rabbi, co mamy uczynić, aby dostąpić łaski Królestwa Niebieskiego?

Jezus podniósł głowę i odpowiadając, rzekł:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, Nikodemie, że jeżeli kto się nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Bożego.

Nikodem nie rozumiał, jak człowiek raz urodzony może się powtórnie narodzić. Co raz jest urodzone, jest urodzone i zbliża się ku śmierci, i czeka na śmierć, jak więc może urodzone i dojrzewające, i umierające na nowo się narodzić i na nowo rozpocząć dojrzewanie i umieranie? A może ma umrzeć i znów się urodzić? Czy ma wejść z powrotem do łona matki? Do grobu otwartego i rodzącego? Do grobu pochłaniającego i wyzwalającego? Czyżby była jedna brama narodzin, śmierci

i powtórnych narodzin? Brama macierzyństwa? Brama macierzyńskiego Elohim? Jako prawy syn Izraela dobrze rozumiał myśl o cyklicznym charakterze zjawisk i o mądrym porządku świata. Zastanowiła go natomiast konieczność, nieunikniona konieczność nowonarodzenia jako nieodwołalnego warunku umożliwiającego wejście do Królestwa Niebieskiego. Nikodem odpowiadając więc Rabiemu wyraził zdumienie z powodu niezrozumiałego dlań nowonarodzenia i prosił Go o wytłumaczenie, jakim sposobem ma się ono dokonać:

– Jak może człowiek się narodzić – mówił – gdy jest już starcem? – Tu wskazał na siebie. – Czy ma może powtórnie wejść do łona swojej matki i powtórnie się urodzić?

Brwi Jezusa lekko zadrżały. Odpowiadając, rzekł:

– Nie dziw się, żem ci powiedział: musicie się na nowo narodzić. Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, że jeżeli kto się nie narodzi z Wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego. Co się narodziło z ciała, ciałem jest, a co się narodziło z Ducha, Duchem jest.

Nikodem nie dał za wygraną. Chciał wszystko dokładnie wiedzieć. Odpowiadając więc, rzekł do Jezusa:

– Jakże to się stać może? A na to Jezus:

– Jesteś rabbim w Izraelu, a tego nie wiesz? Jeżeli nie wierzycie, gdy wam mówię o ziemskich sprawach, to jakże uwierzycie, gdy wam będę mówił o niebieskich? Wiatr wieje, dokąd chce, i szum jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd zdąży. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha.

Nikodem pochylił się w swoim wnętrzu, spojrzął, zobaczył i pokłonił się – albowiem nagle zrozumiał sens odnowienia – przed nieskończoną mądrością macierzyńskiego Elohim, który kazał łonu rodzącemu wypełnić się wodą i w wodzie począł płód człowieka, i z łona matki uczynił wielkie nagromadzenie wód. Były to te same wody, miłosierne i zabezpieczające, nad którymi ongi krążył niezmienny w swej rodzącej obfitości Ruach Elohim o podwójnym obliczu Ducha i Wiatru, i było jasne, przeraźliwie jasne, że wszystko to, co się nie rodzi z Ducha i Wody, jest nie istniejącą nicością, ciałem bezdusznym, kłamstwem, martwą materią. Jest to DAWAR, czyli NIE SŁOWO. Ciało musi zatem przejść przez oczyszczającą próbę Wody, przez kąpiel oczyszczającą, twila, i zanurzyć się w tej wodzie, i zginąć w niej, umrzeć w sposób symbolicznie dosłowny, a potem, wynurzając się z niej, zmartwychwstać w sposób symbolicznie dosłowny, i dopiero wtedy wypełnione jest Panem o podwójnym obliczu Ducha i Wiatru. Zatem zanurzenie, twila, było aktem śmierci, przemijania i znikania, podczas gdy wynurzanie było nowonarodzeniem, rodzajem zmartwychwstania zmarłych, techijat hamejtim, które wprowadzie w całej wspianłości i grozie nastąpi w dniu przyścia Mesjasza, ale ponieważ jest ono

pojęciem rozciąglonym, rozległym i wielotreściowym, może być również i dzisiaj udziałem każdego człowieka w jego życiu doczesnym, początkiem nowego życia na ziemi. Twarz Nikodema rozjaśniła się, gdyż ujrzał wielkie Synostwo z Ducha i z Wody. Chciał w swojej pochwały godnej dociekliwości spytać jeszcze Jezusa o miejsce i czas Królestwa Bożego. Kształt go nie interesował. Izrael nigdy nie oceniał dóbr nieśmiertelnych – jak wszystkich zresztą zjawisk – według kształtu, ale tylko według treści, i dlatego wszystko, co dobre, było piękne, musiało być piękne, i dlatego pięknnością nad pięknosciami był dla niego bezkształtny kształt Ognia i życiodajne Światło. Nikodem miał już pytanie na końcu języka, ale po namyśle nie wypowiedział zamierzonych słów, gdyż przeląkł się, że udzielona mu przez Jezusa odpowiedź postawi go oko w oko z koniecznością ostatecznego wyboru. A wybierać nie chciał. Nie umiał wyrzec się szczęścia, szczęścia ziemi, szczęścia dotychczasowego życia – do minionego szczęścia jesteśmy równie silnie przywiązani jak do szczęścia, które jest teraz naszym udziałem, i uważamy je za naszą niepodzielną majątność – i mądry Nikodem począł krok po kroku cofać się przed tym, czego tak żarliwie pragnął.

Podniósł się z krzesła.

Jezus patrzył z czułością na Nikodema, który nie miał odwagi pójść za Nim. A przecież ten mąż mógł być Jego uczniem, umiłowanym uczniem.

Jezus rzekł do tego, który mógł być Jego uczniem:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, my mówimy to, co wiemy, i świadectwo dajemy o tym, co widzieliśmy. Ale wy nie przyjmujecie świadectwa naszego.

Nikodem opuścił głowę.

– Pokój z Tobą, Rabbi – szepnął nie podnosząc oczu.

– I z tobą – rzekł Jezus.

Szedł powoli ciemnymi uliczkami. Gdy usłyszał pianie kogutów i nawoływanie trzeciej straży nocnej, przyspieszył kroku, gdyż chciał wrócić do domu jeszcze pod osłoną nocy. Nagle przystanął, gdyż olśniła go myśl, którą chciał pocieszyć swoje smutne i stroskane serce:

...Gdyby mi powiedział: „Pójdź za mną” – na pewno poszedłbym za Nim.

...Nie poszedłbyś – odpowiedziało sumienie – i dlatego, właśnie, że nie poszedłbyś, nie powiedział ci: „Pójdź za mną”.

Nad czarnym masywem gór Moabu niebo poczęło z lekka szarzeć.

Powołanie Judy z Kerijoth

Minęło sześć dni i znowu nastał Szabat.

Juda wstał, umył się i zmówił poranną modlitwę. Nie mając dwóch tunik na zmianę – jednej na dzień powszedni, a drugiej na święto – był zmuszony wbrew swej woli wkładać w dniu Szabatu starą tunikę, ale nosił ją w sposób inny niż co dzień, nosił ją uroczyście, wytwornie, dostojnie, z powagą godną tego świętego dnia. Tak też i dzisiaj, włożywszy starą, połataną tunikę – świadoma roli, jaką ma spełnić w tym pięknym dniu miękkiemi, falistymi fałdami spływała ku ziemi – poczuł się w niej tak odświętnie, jakby się w nią po raz pierwszy w życiu odział. Nawet zwyczajny powróż, którym się teraz przepasał, wydał mu się najpiękniejszym skórzanym pasem, a może nawet był piękniejszy od najpiękniejszego pasa. Upodobał sobie ten powróż, bo mu przypominał piękny, wytłaczany skórzany pas, który zastawił, a za otrzymane pieniądze kupił zapas słodkiego wina, przeznaczonego na kidusz. Jakże zatem nie podziwiać powroza, pośredniego źródła szabatowych natchnień nad kielichem błogosławionego wina!

Podobnie jak stara suknia, odnawiała się również w dniu Szabatu dusza Judy z Kerijoth, wyprostowywała się, prężyła, ożywiała się, zrzucała z siebie całotygodniowy smutek, stawała się radosna i śpiewająca, udzielała podniosłej wspaniałości ciału, które pod wpływem jej macierzyńsko-opiekuńczego działania młodniało, ożywiało się, nasycalo rzeźkością i mocą, tak że spuchnięte nogi mniej bolały i powieki mniej ciążyły. A nawet – o cudowne działanie czasu! – w królewskim dniu odpoczynku zmniejszała się niewidoczność biednego handlarza pachnideł. Na potwierdzenie tego zjawiska Juda miał pewne dowody, które utwierdzały go w błogim przekonaniu, że rzeczywiście w Szabat był bardziej widoczny, jakby ciało jego nagle ucieleśniało się w całej swojej skromności. Na ulicy i na dziedzińcach świątynnych ludzie odpowiadali na jego ukłony i błogosławiące pozdrowienia, a nawet uśmiechali się do niego, a niektórzy wręcz go zagadywali, co było już przecież nieodpartym dowodem, że jego niewidoczność w świętym czasie Szabatu wychodzi ze swej niewidoczności i staje się zupełnie widoczna. Wprawdzie w swoim uniżeniu nie ubiegał się o ów przywilej i rad był, gdy po odejściu Szabatu, w dni powszednie, znowu mógł wrócić do swojej pokornej niewidoczności, bo lepiej się czuł w tej skorupie niż na oczach ludzkich, mimo to jednak – a może nawet wbrew temu, co o nim powiedzieliśmy – w jakiś szczególny sposób poczytywał sobie swoje szabatowe odsłonięcie za pewnego rodzaju nagrodę za całotygodniowe ukrycie.

Uważał, że za ten krótkotrwały przywilej, o który zresztą, jak wiemy, nigdy się nie ubiegał, powinien okazać głęboką wdzięczność Szabatowi, on bowiem swoim promieniującym działaniem uczłowieczał człowieka, biednego Judę wynosił, a synów Izraela o twardym karku zmuszał do odpowiadania na jego ukłony. Juda

więc gorąco modlił się w każdy Szabat i dziękował Elohim za harmonię duszy, ciała i szaty.

Wychodząc teraz z domu, postanowił przede wszystkim udać się do Świątyni i tam pomodlić się przed Świętym Świętych, a potem odszukać Jezusę ben Josef i pokłonić się przed Jego obliczem. Uważał bowiem, że ich spotkanie powinno nastąpić właśnie w dniu Szabatu, w dniu ujawnionej widoczności, w dniu odnowienia i harmonii duszy, ciała i szaty.

I tak uczynił. Rażnym krokiem zszedł schodami do Dolnego Miasta, przystanął nad sadzawką Siloah, nad niebieską wodą, i uradował swoje oczy jej błękitem. Szybko kroczył pod górę, wciąż krokiem lekkim, młodzieńczym.

Przechodząc przez Dziedziniec Pogan, nagle spostrzegł idącego mu naprzeciw Jezusa. Przystanął. Jezus również zatrzymał się. Spojrzeli sobie w oczy, po raz pierwszy na ziemi.

„...Oto on” – pomyślał Jezus.

„...Oto On” – pomyślał Juda.

– Widziałem Cię, Panie, przed kilkoma dniami pod Portykiem Salomona – szepnął z zachwytem Juda. – Słyszałem Twoje słowa wypowiedziane do faryzeuszów. Opowiadano mi Twoje przypowieści o Królestwie Niebieskim i wszystko wiem o Twoich cudach.

– Jak się nazywasz? – spytał Jezus.

– Juda ben Symeon z Kerijoth. A na to rzekł Jezus:

– Pójdź za mną, Judo z Kerijoth.

Twarz Judy rozpromieniła się. Padł do nóg Jezusowi, który położył na jego głowie rękę. W tej chwili liczba dwunastu uczniów stała się pełnią doskonałą.

Pszenica Galilei

Jezus wrócił do Galilei, a wraz z Nim szło dwunastu uczniów. Przez cały czas drogi towarzyszyła im piękna pogoda, niebo było jak błękitny adamaszek utkany rękami aniołów. Gdy pielgrzymi późnym popołudniem przybyli pod górę Tabor, zniecka od zachodu zerwał się porywisty wiatr i jak dozorca, poganiający uderzeniami bata leniwych niewolników, pędził przed sobą skłębione i sine chmury, które błyskawicznie zakryły całe niebo, mrokiem wypełniły świat, i lunął na osłupiałą ziemię rześisty deszcz, spóźniony, ostatni wiosenny deszcz.

Burza ta była winna wszystkiemu, co się potem przydarzyło, bo gdyby nie deszcz, Jezus i uczniowie zdążyliby w porę przed zapadającym Szabatem do pobliskiego miasteczka. Ale ten spóźniony, ostatni wiosenny deszcz, który kazał schronić się

pielgrzymom w drewnianym, opuszczonym szałasie, był deszczem zesłanym przez Pana w ściśle określonym celu. Był deszczem błogosławionym, błogosławiona była jego gwałtowność i jego spóźniona pora, błogosławiona zatem była jego wina, bo gdyby nie ona, nie padłyby z ust Jezusa słowa, które musiały paść. Wprawdzie ta przygoda – Jezus i uczniowie przemokli do nitki, byli głodni i spragnieni – nie należała do najpiękniejszych przeżyć pielgrzymów w ich drodze powrotnej do Galilei, ale czy można spierać się z Elohim – niechaj błogosławione będzie święte Jego Imię! – dlaczego sługami swoich zamiarów uczynił nagły deszcz i mroczny, postny wieczór, skoro mógł z tym samym skutkiem, gdyby chciał, osiągnąć swój cel za pomocą przepięknej pogody i Szabatu tonącego w świetle oliwnych lamp przy suto zastawionym stole? Wprawdzie wszystko odbyłoby się wówczas inaczej, ale skutek byłby ten sam. Skąd jednak wiemy, że byłby ten sam?

Padła więc deszcz, ulewny deszcz, a Jezus i uczniowie siedzieli po ciemku w szałasie i pustymi żołądkami i mrokiem witali Szabat, a deszcz z głuchym bulgotem bębnił o trzcinowy dach. Siedzieli skuleni, drżący z chłodu nocnego, i zmagając modlitwy smucili się, że nie mogą zmówić błogosławieństwa nad pełnym kielichem wina. Wtedy Jezus zaintonował psalm na dzień Szabatu, a oni podchwycili Jego słowa, wtórowali Mu i śpiewali z wielkim przejęciem, a każde słowo tego psalmu wydawało im się kroplą wina: – „Jak dobrze jest dziękować Ci, Panie, i śpiewać psalm Twojemu Imieniu, i opowiadać rano Twoje miłosierdzie, a w nocy wierność Twoją przy dziesięciostrunnej harfie i lutni, i dźwięcznej cytrze” – a gdy doszli do słów: „Mój róg wywyższyłeś jak róg bawołu, ociekam świeżą oliwą” – z zakłopotaniem kiwali głowami, dotykając rękami swoich mokrych szat.

Tak śpiewali i zmożeni mocnym winem psalmicznych słów spokojnie usnęli, i spali.

Wstał piękny, pogodny poranek dnia siódmego, w którym rzeński i niestrudzony Elohim, udając dla dobra ludzi i dla pięknego przykładu zmęczenie, odpoczywał po całotygodniowej pracy, pobłogosławił ów dzień i uczynił go świętym. Prawodawca Mojżesz, napominając synów Izraela – a czytamy o tym w świętej Księdze Bemidbar – tak do nich powiedział: „Oto prawa, które Adonaj kazał wam wypełnić: sześć dni będziesz wykonywał pracę, ale siódmy dzień będzie dla was świętym Szabatem, dniem odpoczynku dla Pana, a ktokolwiek będzie w dniu tym pracować, ma być ukarany śmiercią. Nie będziesz zapalać ognia w dniu Szabatu w waszych mieszkaniach” – tak powiedział Jahwe ustami Mojżesza. Ponieważ Pan wypowiada jedno skąpe słowo, a w tym słowie jest ukryta nieskończona ilość innych słów, obowiązkiem natchnionych mędrców jest dotrzeć do nich, wejść w nie, odczytać je i objawić całemu ludowi Izraela. Uczni więc, w głębiwszy się w sens odpoczynku,

ustalili czterdzieści prac bez jednej, czyli trzydzieści dziewięć prac, których wykonywanie wzbronione jest w Szabat. Zakazy te były jak najpiękniejsze drzewa w Raju, drzewa wiecznie owocujące i cieniste, a kto spoczywał w ich cieniu, kupował sobie wieczność i zbawienie. Zatem w dniu Szabatu prawy syn Izraela mógł chodzić tylko na odległość dwóch tysięcy łokci lub kroków średniej długości, natomiast dopuszczał się pogwałcenia Szabatu, jeżeli długość tę przekraczał o łokieć lub o krok. Znieważał Szabat i bluźnił Panu każdy syn Izraela, który w czcigodnym dniu Szabatu siał, zrywał kłosa, zbierał plony, wiązał snopy, młócił, przesiewał zboże, oczyszczał owoce, mełł, przesiewał mąkę, ugniatał ciasto, piekł, strzygł wełnę, farbował wełnę, przadł, tkał, naciągał na krosno dwie nitki, splótł dwie nitki, rozplótł dwie nitki, zawiązał węzeł, rozsuptał węzeł, zrobił igłą dwa ścięgi, rozdzierał, zszywał dwa ścięgi, polował, zabijał zwierzę, ściągał z niego skórę, solił mięso, garbował skórę, skrobał skórę, kroił skórę, napisał dwie litery, wymazał dwie litery, budował, rozwalał, władał bronią, rozpalał ogień, gasił ogień, uderzał młotem, dźwigał ciężary z jednego miejsca na drugie. W surowym kodeksie zakazów, wzniesionym jak warowny mur, poczynili uczeni kilka wyrw, które poniekąd ułatwiały synom Izraela życie w tym radosnym dniu spoczynku: jeżeli bowiem ten i ów przekroczył zakaz Szabatu na skutek nieświadomego przeoczenia lub zapomnienia, mógł odkupić swój grzech złożeniem ofiary pokutnej, w niebezpieczeństwie życia mógł w ogóle przerwać odpoczynek, a nawet w razie potrzeby mógł na przykład rozwiązać węzeł na sznurze, ale pod warunkiem, że czynności tej dokona tylko jedną ręką. Chcąc jednak spłacić dług sprawiedliwości, musimy zaznaczyć, że te zakazy i przepisy, wydające się na pozór dziwactwami i chorą naroślą na religijnym duchu narodu – niektórzy nawet twierdzą, że są dowodem bezduszności wiary Izraela – w rzeczywistości były przez jednych ze szczerą pobożnością przestrzegane i do głębi przeżyte, chociaż dla innych były wzorzystą zasłoną, za którą kryły się pycha i pustka. W owym czasie wiara w Izraelu była gorąca, nie wysychające było źródło jego pobożnych natchnień, czego mamy niezliczone dowody. Wśród synów Izraela religijnie chłodnych i obojętnych, na jałowych ugorach i wśród wyschniętych źródeł niemożliwa byłaby działalność Jezusa i Jego uczniów ani Johanana ben Zecharia i jego uczniów, ani Braci z Owczarni w Qumran, ani faryzeuszów z ich gwałtowną miłością do Jahwe i z równie gwałtowną nienawiścią do pogan i do wszystkiego, co ich zdaniem godziło w Światłość Pana. Izrael był wtedy ludem czekającym, a lud czekający nigdy nie jest wyschniętą sadzawką. Był wtedy ludem błędzącym, ale nie jałowym.

Był więc piękny pogodny poranek dnia siódmego, gdy Jezus i uczniowie, opuściwszy drewniany szałas, udali się miedzą, biegnącą wśród łąnów dorodnej

pszenicy, do pobliskiego miasteczka. Uczniowie, czując dotkliwy głód, rwali kłosy, wykruszali tłuste ziarna i żując je na mączastą papkę, ze smakiem spożywali dar Boży. Gdy zbliżali się do miasteczka – po drodze wciąż zrywali kłosy i ustami pełnymi ziarna wyrażali podziw dla piękności poranka i radość z powodu orzeźwiającego powietrza – znenacka jak spod ziemi wyrosło przed nimi trzech mężów, którzy szli miedzą, korzystając z łaskawych przepisów zezwalających im w dniu Szabatu na nie męczącą przechadzkę na przestrzeni dwóch tysięcy łokci lub kroków średniej długości. Dostojni, poważni mężowie – jeden był starcem, a obaj jego towarzysze w sile wieku – ujrawszy gromadkę obcych przybyszów, zrywających kłosy i beztrąsko zjadających ziarno, przystanęli w osłupieniu, a ich twarze zapaliły się oburzeniem.

– Niech będzie błogosławiony Elohim, Pan Zastępów – Johanan ben Zebadia, który szedł na czele gromadki, powitał przechodniów.

– Niech będzie błogosławiony Elohim, który stworzył Szabat, dzień odpoczynku i radości, i kazał go święcić – rzekł ostro starzec.

Jezus i uczniowie przystanęli.

– Co czynicie?! – krzyknął krewki starzec i między jednym a drugim słowem przełknął ślinę, a grdyka jego gwałtownie skakała. – Co czynicie?! – krzyczał. – Kłosy zrywacie w świętym dniu Szabatu?!

– Co czynicie?! – gromko zawtórował młodszy i przyjrzał się uważnie Jezusowi. Podszedł bliżej i zawołał: – Kogóż widzą moje oczy! Przecież to Rabbi Jeszua ben Josef!

– Czy Rabbi Jeszua ben Josef zapomniał, co wolno, a czego nie wolno czynić w Szabat dzieciom Izraela? – ryknął trzeci, a głowa jego drżała z powodu zgorszenia, którego był świadkiem.

– Nigdy nie czytaliście, co czynił król Dawid, gdy był głodny, on sam i ci, co z nim byli? – spytał Jezus. – Jak wszedł w Nob do namiotu Bożego za Abimelecha arcykapłana i jadł chleby święte, które wolno spożywać tylko kapłanom? I jak dał je również tym, którzy z nim byli?

– Król Dawid był w niebezpieczeństwie życia! – zawołał starzec, a twarz jego spurpurowiała od pobożnego gniewu.

– A cóż ma uczynić w Szabat syn Izraela, gdy go głód zmoże i nie ma czym nakarmić swojego ciała? – wtrącił się do rozmowy zapalczywy Johanan ben Zebadia.

– Czy nie czytaliście w Prawie, że w Szabat kapłani w Świątyni Pańskiej zabijają bydło ofiarne i dokonują wielu czynności, naruszają więc Szabat, a mimo to są bez winy? – pytał dalej Jezus.

– To jest Świątynia! – krzyknął starzec.

– A ja wam mówię – tu Jezus podniósł głos – że tu chodzi o coś więcej niż o Świątynię – wskazał na siebie, ale nikt z obecnych, tak spośród uczniów, jak i faryzeuszów, nie wiedział, co ten gest oznacza, zwłaszcza że Rabbi, nie czekając na odpowiedź nieznanych mężów, szybko dodał:

– Szabat jest ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla Szabatu. Tak więc i Syn Człowieczy jest Panem Szabatu.

Starzec zgorszył się, bo zrozumiał, że Jezus, mówiąc o Synu Człowieczym, ma na myśli synów człowieczych, czyli ludzi – tak samo tę wypowiedź Jezusa zrozumieli Jego uczniowie – więc podniósł rękę do nieba, jakby je przywoływał na świadka swoich słów, i zawołał w wielkim wzburzeniu:

– Nie człowiek jest panem Szabatu, lecz Elohim Hagibor, Pan Mocy! Wówczas Jezus spojrział z politowaniem na faryzeuszów i rzekł do nich:

– Gdybyście w pełni zrozumieli słowa proroka Hosei: „Miłości żądam, a nie krwawych ofiar”, nie potępialibyście ludzi niewinnych.

To rzekłszy, wraz z uczniami udał się do miasteczka.

A następnego dnia rano starzec, który był przewodniczącym synagogi, napisał list do Josefa Kajafy i doniósł mu, co w dniu Szabatu widział własnymi oczami i słyszał własnymi uszami na ścieżce między łanami galilejskiej pszenicy.

Cud uschniętej ręki

Kilka dni po powrocie Jezusa i uczniów do Kfar Nahum dotarła do miasteczka wieść o Jego sporze z faryzeuszami pod górą Tabor. Miasto podzieliło się na dwa obozy: jedni twierdzili, że zerwanie w dniu Szabatu kilkudziesięciu kłosów przez ludzi głodnych nie jest grzechem, albowiem w tym podniosłym dniu żaden syn Izraela nie powinien być głodny, lecz wszyscy powinni być nakarmieni najlepszym jadłem i napojeni najlepszym moszczem, cóż to więc za grzech, jeżeli synowie człowieczy, zrywający kłosa pszeniczne, skromnymi ziarnami, tą nader prostą strawą, pragną zaspokoić doskwierający im głód w dzień królowej tygodnia; inni natomiast, zwłaszcza ci, którzy byli zwolennikami nauki rabiego Szamaja, nieprzejednanego rygorysty, człowieka wielkiej wiedzy, ale jeszcze większej surowości, oburzali się z powodu owego bezbożnego uczynku, nazywali go zbezczeszczeniem Szabatu, godnym najostrzejszego potępienia. Rosz hakneseth Jair starał się pohamować wzburzone namiętności. Tłumaczył faryzejskim rygorystom, że nie należy wydawać pochopnych wyroków na podstawie wieści otrzymanych od osób, które nawet nie były naocznymi świadkami zdarzenia, ale słyszały o nim od ludzi, także nie naocznych świadków, zatem naprzód trzeba przesłuchać naocznych

świadców – i niewątpliwie ci naoczni świadkowie będą przesłuchani, ale na to potrzebny jest czas; niech się więc uspokoją, a wkrótce wszystko będzie na pewno wyjaśnione. Faryzeusze nieprzychylni Jezusowi pozornie ustąpili przed rozumowaniem Jaira: mówili między sobą: – On na pewno sprzyja Jezusowi, słyszeliście przecież, że mówił tylko o zdarzeniu, lecz ani razu nie mówił o gorszącym zdarzeniu – a ponieważ byli niecierpliwego usposobienia, zmówili się między sobą i postanowili nie czekać na dokładne wiadomości spod góry Tabor, ale przy pomocy zaczepnego działania przyspieszyć próbę prawowierności Rabbiego. Dogodna sposobność wkrótce się nadarzyła.

Znowu nastał piękny, pogodny poranek dnia siódmego. W synagodze w Kfar Nahum zebrali się synowie Izraela i dziękowali Panu Zastępów za wszystkie przeżyte dotychczas dni, i błagali Go o łaskę szczęśliwego i zdrowego przeżycia wszystkich przyszłych dni aż do granic błogosławionego wieku praojca Abrahama. Jezus, wywołany do czytania Tory, odczytał przypadające na ten dzień święte wersety, po czym nauczał zgromadzonych, a oni słuchali z uwagą Jego nauk. Gdy zwoje Pańskie, a wraz z nimi chwała Elohim, obficie nakarmiona modlitwami, wśród wielbiących śpiewów spoczęły bezpiecznie w Aron Hakodesz i rozkoszowały się spoczynkiem świątecznym za pięknie haftowaną zasłoną, Jezus zstąpił z bimah i właśnie zdejmował chustę modlitewną, gdy podeszło do Niego kilku faryzeuszów, popychając przed sobą przerażonego młodzieńca, który opędał się niezdarnie lewą ręką przed ich natarczywością – jego prawa ręka, uschnięta, zwisała jak martwy kikut – i prośbami bezskutecznie starał się hamować ich zapał.

– Rabbi – rzekł jeden z faryzeuszów – spójrz na tego młodzieńca. Ma prawą rękę uschniętą od urodzenia.

– O, widzisz, Rabbi – piskliwym głosem wtórował drugi z faryzeuszów, ciągnąc przerażonego chłopca za martwe ramię – jego ręka jest jak uschnięty konar.

– Wszyscy go tutaj znamy – przymilnie odezwał się trzeci faryzeusz – to biedak. Cóż on pocnie bez prawej ręki? Nawet tefilin nie może nałożyć. Jak można nałożyć tefilin na lewą rękę i na czoło, skoro prawa ręka jest bezwładna?

– Rabbi – odrzekł pierwszy faryzeusz, grzebiąc palcami w brodzie – czy wolno w Szabat leczyć?

Czy wolno leczyć w Szabat? Czy wolno leczyć w Szabat chorego człowieka? Według uczonych w dzień królowej wszystkich dni można leczyć tylko tego człowieka, którego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Wprawdzie rabbi Szamaj w przypływie gorliwości twierdził, że ponieważ w Szabat nie wolno mącić radosnego nastroju, więc nie należy odwiedzać chorych, pocieszać ludzi będących w żałobie, a nawet modlić się o uzdrowienie chorych, ale tych surowych zakazów

przestrzegali tylko nieliczni faryzeusze, podczas gdy przytłaczająca ich większość wyznawała zasadę łagodnego i mądrego Hillela, który zezwalał na odwiedzanie chorych, na zanoszenie modłów za ich zdrowie i na pocieszanie wdów i sierot. Ponieważ Pan, stwarzając świat, stworzył człowieka i zwierzęta z prochu tej samej ziemi i kazał im do prochu wracać, zrównał ich więc w obliczu prochu, a potem, przemawiając do Noego, wciągnął ludzi i zwierzęta do wspólnego aktu Przymierza („Ja, Ja zawieram Przymierze – mówił Jahwe – z wami i waszym potomstwem, które po was będzie, z wszelką istotą żywą, która jest z wami, z ptactwem, ze zwierzętami domowymi i polnymi, jakie są przy was, ze wszystkimi, które wyszły z arki, z wszelkim zwierzęciem na ziemi”) – uczeni w Piśmie, rozważając zakazy obowiązujące człowieka w dniu Szabatu, rozważali również obowiązki synów człowieczych wobec zwierząt cierpiących lub będących w niebezpieczeństwie, zwłaszcza że spoczynek szabatowy obowiązywał wszelkie zwierzę domowe na równi z jego panem, człowiekiem. I podobnie jak co do człowieka, tak i co do zwierząt zdania uczonych w Piśmie były podzielone, i gdy jedni w swojej surowości zakazywali ratowania w Szabat zwierząt, które wpadły do dołu – owcy, wołu lub kozy – i zezwalali tylko na rzucenie im pożywienia, aby nie zginęły z głodu, inni, mniej surowi, powołując się na nakaz Mojżesza, zabraniający znęcania się nad zwierzętami, wyrażali zgodę na ratowanie zagrożonych czy okaleczonych zwierząt.

Jezus spojrział na kalekę, który stał skurczony, nieśmiały, wzrok utkwivszy w ziemi. Bał się Rabbiego. Nie miał odwagi spojrzeć Mu w oczy. Nigdy by się nie ośmielił stanąć przed Jego obliczem, a tym bardziej prosić o uleczenie, gdyby nie ci natrętni faryzeusze. Dlaczego Rabbi miałby go uleczyć? Dlaczego miałby okazać miłosierdzie nad jego kaleką ręką? Stoi tu wbrew swojej woli, wypchnięty siłą przez trzech mężów, na oczach całego zgromadzenia, które gapi się i złośliwie się uśmiecha. Podniósł błagalny wzrok na Jezusa. W tym spojrzeniu nie było błagania o cud, ale błaganie o przebaczenie za brak odwagi, że nie umiał oprzeć się przemocy faryzeuszów i zamiast wyrwać się z ich rąk, pozwolił się przywleć tutaj – i nagle wstrząsnęła nim potworna świadomość, że kusi swoim kalectwem tajemniczą moc Jezusa. Zachwiał się pod ciężarem tej myśli i upadł na ziemię.

– Wstań – kaleka usłyszał nad sobą głos Rabbiego. Podniósł się.

Jezus ujrzał wlepione w siebie oczy całego zgromadzenia, ufne i wątpliwe, widzące i ślepe, jasne i mroczne. Wybrawszy oczy wątpliwe, ślepe i mroczne, wstępował przez nie jak przez bramę cieni w głąb sporu, na dno ciemności, w mrok ludzi umarłych, w ich nieprzeniknioną ciemność i poznawał ich poznane myśli, i odczytywał ich odczytane uczucia, i pytaniami przemówił do ich martwej ślepoty:

– Pytam was: czy wolno w Szabat dobrze czynić, czy źle czynić? Czy należy życie

ocalić, czy zabić?

Ale oni milczeli.

A On dalej mówił do nich pytaniami:

– Któż spomiedzy was, mając jedną jedyną owcę, gdy wpadnie ona do dołu w dzień Szabatu, nie sięgnie po nią i nie podniesie jej?

Ale oni milczeli.

Wtedy, odpowiadając na ich milczenie, zawołał:

– O ileż człowiek więcej jest wart niż owca! Zatem w Szabat wolno dobrze czynić!

A chociaż dalej milczeli, nie wszyscy milczeli teraz tym samym milczeniem. Inne było milczenie mężów nieprzeniknionych ciemności, inne było milczenie ludzi ufających, a już zupełnie inne uczniów Jezusa, którzy ze słów Jego poznali, że Dobro, będące najwyższą wartością i doskonałością, powinno być dokonywane w każdej chwili, zwłaszcza w dniu Szabatu, symbolu nieustannie dokonującej się doskonałości i przybierającego szczęścia. Szabat jest wprawdzie dniem odpoczynku, błogosławieństwa nad kielichem i radosnej uczyty, ale nie powinien być gnuśnością, ospałością, beczynem, lecz czuwaniem i czyhaniem na kroki Elohim, i zaczajoną do skoku gotowością czynienia Dobra, gdyż najpiękniejszym odpoczynkiem jest odpoczynek w dobrym uczynku, w Dobru, a takie spoczywanie w Dobru jest spoczynkiem w samym Panu, odpoczynkiem doskonałym. Bo Pan – to Dobro. Przypomnieli sobie słowa Jezusa na polu pszenicznym o Synu Człowieczym, który jest Panem Szabatu, i łuski opadły z ich oczu. To, co tłumaczyli sobie wtedy w sposób przyrodzony, urosło teraz do niebotycznych rozmiarów, i poznali, że Syn Człowieczy, podniesiony i wywyższony w swoim ludzkim poniżeniu, jest Wężem Miłosiernym, Dobrem najwyższym, wyższym nad siódmy dzień, Dobrem, które jest Panem dnia siódmego od wieczora do wieczora.

Wtedy Jezus – na przekór mniemaniu niektórych faryzeuszów, że uschnięta ręka, nie stanowiąca niebezpieczeństwa dla życia kaleki, nie powinna być uleczone w Szabat – dla uświęcenia Dobra w dniu królowej wszystkich dni rzekł do kaleki:

– Wyciągnij rękę!

Twarz Jezusa okryła się bladością. Wyszła z Niego moc i szła przed nim, i poprzedzała Go, torowała Mu drogę, mościła ją i upraszczała. Wstrząsając czasem i odwracając go, tak jak orzący pług odwraca ziemię, szła przed Nim i skiba po skibie odrzucała przed Nim bruzdy czasu, poprzedzała Go, tak że szedł czasem rozoranym, wydobytym z trzewi wzburzonego żywiołu. Moc uchodziła z Niego. Była już teraz tylko łagodnym powiewem, czystym podmuchem, życiem, najczystszy życiem i niczym więcej jak tylko życiem, i tym życiem wstąpiła w martwą dłoń kaleki, w jej zwiotczałe mięśnie, martwe żyły i tkanki.

Kaleka poruszył ręką, poruszył nią raz, drugi, trzeci, wyciągnął ją przed siebie w kierunku Jezusa powoli, ostrożnie, jakby nie dowierzał jej ruchom i pulsującej w niej coraz żywiej krwi, podnosił ją coraz wyżej, wyżej, wyżej i chwyciwszy ją skraj szaty Rabbiego z taką mocą, że Jezus się zachwiał, z płaczem runął do Jego stóp i okrywał je pocałunkami. A wtedy jeden z faryzeuszów, nieprzychylnych Jezusowi, wskoczył na bimah i wzniosłszy nad całym zgromadzeniem ręce do nieba krzyknął rozdzierającym głosem:

– Oczy nasze widziały bluźnierstwo!

– Oczy nasze widziały bluźnierstwo! – powtórzyli faryzeusze nieprzychylni Jezusowi i zakryli twarze chustami modlitewnymi.

Cisza zaległa synagogę, gdyż ludzie mimo uniesienia, które buzowało w ich wnętrzu, nie śmieli głośno ujawnić swoich radosnych uczuć.

Dwunastu wybranych

Jezus w towarzystwie uczniów znanych nam z imienia i uczniów bezimiennych, a było ich kilkudziesięciu, nauczał na urodzajnej nizinie Genezar, nad brzegami Jeziora Galilejskiego, a dokoła Niego gromadziły się wielkie rzesze synów Izraela, którzy przybyli z miast i miasteczek Galilei, z Krainy Zajordańskiej, z nadmorskich okolic Tyru i Sydonu, z Judei, a nawet pustynnej Idumei, i słuchali Go, błagali o uzdrowienie i wołali: „Panie! Panie!” – raczej błagali o uzdrowienie, a dopiero potem słuchali – a Rabbi w swoim miłosierdziu leczył ich wszystkich, a opętanych wyzwał od złych duchów. Szli za Jezusem krok w krok, jak zwielokrotniony cień, olbrzymim, zawodzącym, rozgorączkowanym tłumem, zebrali o łaskę cudu, dotykali Jego szat, gdyż wychodziła z Niego uzdrawiająca Moc – dotykali ostrożnie, z nabożeństwem, z pokorą, ale byli też tacy, którzy natarczywie czepiali się skraju Jego sukni, obejmowali Go za nogi, przytrzymywali i mimo próśb i nalegań uczniów nie chcieli Go puścić, dopóki ich nie uleczył, a nawet już po uleczeniu, chcąc Mu okazać swą bezgraniczną wdzięczność, obdarzali Go dowodami uciążliwej i uprzykrzonej miłości – a On z niewyczerpaną cierpliwością, często z uśmiechem, przyjmował ich hołdy, i tylko gdy słyszał wołanie duchów pełzających: „Tyś jest Syn Boży!” – gromił ich groźbą swojego spojrzenia i gniewem swoich surowych słów. Uzdrowieńcy śpiewem zagłuszali groźbę Jego spojrzenia i gniew Jego słów, a niektórzy pieśnią proroka Jesai wielbili dobroć Jego uzdrawiających uczynków: „Oto jest mój Sługa, na którym polegamy, mój Wybrany, umiłowanie duszy mojej. Włożę na Niego ducha mego, a On przyniesie prawdę narodom... Nie skruszy nadłamanej trzciny, nie zgasi tlejącego knotu i ustanowi prawdziwe prawo. Nie

osłabnie ani nie cofnie się, aż ustanowi prawo na ziemi”.

W owym to właśnie czasie, a była już pełnia lata, pewnego dnia Jezus udał się samotnie na szczyt wzgórza – nie wiemy, jakie to było wzgórze, czy było położone na zachód, czy na wschód od Jeziora Galilejskiego, co zresztą jest obojętne, bo najważniejsze jest tylko to, że wznosiło się w miejscu odludnym, umożliwiającym Rabiemu spokojną rozmowę z Elohim – i na tym wzgórzu spędził noc na gorącej modlitwie. Uczniowie pozostali w dolinie. Domyślili się, że nastąpią teraz wypadki, które przesądzą o ich dalszych losach. Wprawdzie były one już dawno przesądzone, lecz wszyscy oni, ci najbliżej stojący Rabbiego – wszyscy byli Mu najbliżsi, i imienni, i bezimienni, ale mimo to podział między nimi z wolna się kształtował, a polegał on na tym, że jedni bliskość Jezusa odczuwali silniej, drudzy słabiej – żyli w przekonaniu, że ich przesądzone, raz na zawsze ustalone i umocnione losy muszą codziennie od nowa ustalać się i umacniać, a oni muszą czynnie uczestniczyć w tym umacnianiu, aby stwierdzenie utwierdzało się coraz niezłomniej, do ostatecznych granic niezłomności.

Bali się wszystkich wyżyn, wzgórz i gór, bo każde z tych wzniesionych miejsc – wystarczy, że są wzniesione – może w każdej chwili stać się miejscem groźnych Objawień Pana. Wprawdzie Pan objawiał się niekiedy w miejscach zupełnie niespodziewanych, a nawet mało odpowiednich dla Jego dostojności, jak na przykład w krzaku na pustyni – musiał go dopiero zapalić, aby go podnieść do godności miejsca uświęconego – ale uczniowie wiedzieli z Pisma Świętego, że Elohim przede wszystkim umiłował miejsca wysokie, wyżyny, wzgórza i góry. Patrząc za Jezusem wspinającym się, oddalającym i wreszcie znikającym w lesie dębowym, który obrastał stok wzgórza, poczuli dojmujące drżenie w sercu, poczęli się więc modlić i na modlitwie spędzili bezsenność aż do świtu.

A tymczasem Jezus – jak wiemy – modlił się. Zamknął się w sobie w mrokach otaczającej Go nocy i był sam na sam ze sobą, w obliczu samego siebie, przed obliczem swoim, a Jego święte i nieskończone, i bezimienne Imię, Szem Hakodesz, modliło się swoim Świętym Imieniem przed obliczem swojego Świętego Imienia, a my nawet nie wiemy, jakie jest Imię owego Imienia.

Jezus modlił się.

Modlił się za powołanych, ale jeszcze nie wybranych, bo wybór miał nastąpić o świcie, za Dwunastu, których sobie upodobał, modlił się za ich pełnię doskonałą, za wszystkich Dwunastu razem, aby byli or szel olam, or gojim, światłością świata i światłością ludów, aby byli miastem światła na szczycie góry, ogromnym świecznikiem siedmioramiennym, świecącym we wszystkich domach. A potem modlił się, aby byli solą wszystko oczyszczającą i uzdrawiali wszystkie wody

zatrute. Sól jest świętym znakiem oczyszczenia i uzdrowienia i dlatego każde niemowlę Izraela zaraz po narodzeniu nacierane jest solą oczyszczenia i zdrowia. Prorok Elisza, na którym spoczął duch jego nauczyciela proroka Elijahu, uleczył solą złe, chore i bezpłodne wody Jerycha i uczynił je dobrymi, czystymi i życiodajnymi. W Księdze Melachim natchniona ręka napisała: „Mieszkańcy miast mówili do Eliszy: Oto jesteśmy radzi, jak sam widzisz, panie, że mieszkamy w tym mieście, ale wody są bardzo niezdrowe, a ziemia jest bezpłodna. A on rzekł: Przynieście mi nową misę i wrzucicie w nią sól. I przynieśli mu. Wtedy podszedł do źródła wody, wrzucił w nie sól i rzekł: Tak mówi Jahwe: Uzdrawiam te wody i odtąd nie wyjdą z nich więcej śmierć ani niepłodność. I tak uzdrowione zostały wody aż po dzień dzisiejszy według słowa, które wypowiedział Elisza”. Tak było napisane w Księdze Melachim i dlatego Jezus, modląc się na górze za Dwunastu, modlił się, aby wstępowali znakiem soli w wody wszelkiej ziemi, aby jak sól rozpuszczali się w owych wodach i czynili ją słoną słonością swojej w niej obecności, aby byli solą ludów, solą oczyszczającą i ożywiającą, aby wszystko, co jest chore, ozdrowiało, co jest bezpłodne, stało się urodzajne, co jest złe, stało się dobre, co jest śmiertelne, stało się życiodajne.

Potem modlił się za każdego z Dwunastu z osobna. Wzniósł ręce do nieba i błagał Pana, aby każdego z nich obdarzył dobrocią, miłością, mądrością, cierpliwością, czystością, poczuciem sprawiedliwości i prawa, cnotą, męstwem, niewinnością, umiarkowaniem, wiarą gorącą, pokorą, darem pokuty i żalu, władzą leczenia i umiejętnością wypędzania Pełzającego.

Błagając i wyliczając imiona swoich wybranych uczniów, przy każdym głośno wypowiedzianym imieniu opuszczał dłonie i kładł je na imionach uczniów, błogosławił je po kolei, każde z osobna, błogosławił imię Filipa z Bethsaidy i Nathanaela ben Tolmaj, i Theoma bliźniaka, i Jaakowa, Symeona gorliwca i Jehudy, synów Halfiego, i Johanana, i Jaakowa, synów Zebadii, Symeona i Andraja, synów Jony, i Lewiego Mataja syna Halfiego, a gdy doszedł do imienia Judy z Kerijoth, runął na kolana i w dostojnym wywyższeniu swoich klęczących kolan, na niebosiężnej wysokości swojego uniżenia i swojej pokory modlił się o wielką mądrość dla handlarza pachnideł, o czystość i wolność jego woli, o odmianę tego, co w każdej chwili może być odmienione, ponieważ wszystkie odmiany na równi z nieodmianami ustalone są w postanowieniach Pana. Jezus położył dłonie na pochylonym imieniu Judy i pobłogosławił jego imię.

Świtało. Nad górami Zajordanii weszło słońce. Jezioro Galilejskie błyszczało w dolinie jak olbrzymia ryba pokryta srebrną łuską. Uczniowie, którzy z niepokojem wypatrywali Jezusa, ujrzeli Go teraz stojącego na szczycie wzgórza. Wysoko

podniósł ręce. Na ten znak Dwunastu bez słowa poczęło się wspinać po zboczu. Gdy stanęli przed Jego obliczem, przemówił do nich, a mówiąc oznajmił im, że wybrał ich spośród wszystkich swoich uczniów i uczynił ich szelichim, swoimi posłańcami, więc każdy z nich jest szelijach, posłańcem, szelijach micwa, posłańcem dobrego nakazu, czynu miłego Panu, a ponieważ nad każdym posłańcem miłym Panu spoczywa oko Pana, są i będą pod opieką i strażą Pana. A potem wzniosłszy ręce do nieba wywoływał ich imiona powoli i wyraźnie, i zapisywał w czasie i porządku wiecznym: i tak zapisane zostały rylcem biegłego pisarza imiona Symeona ben Jona, nazwanego Kefas, Skałą, i brata jego Andraja, i Johanana ben Zebadia, i brata jego Jaakowa – nazwał ich teraz po raz pierwszy dla ich nagłej gwałtowności i zapalczowości Bnej Regesz, Synami Gromu – i Filipa z Bethsaidy i Nathanaela ben Tolmaj, Lewiego Mataja ben Halfi, Theoma bliźniaka, Jaakowa ben Halfi i jego braci, Jehudy i Symeona gorliwca, i Judy ben Symeon z Kerijoth, z Judei. A gdy skończył wywoływanie, tak do nich przemówił:

– Błogosławieni jesteście, gdy was ludzie będą nienawidzić, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was, i gdy wam kłamliwie wszelkie zło zarzucą ze względu na mnie, i gdy was ze swej społeczności wyłączą, obelgami obrzucą, a imiona wasze z powodu Syna Człowieczego ze wzgardą wymówią. Wówczas ciescie się i radujcie, bo wielka jest wasza zapłata w niebiosach. Tak przecież prześladowali i proroków, którzy was poprzedzili. Ale biada wam, gdy wszyscy ludzie schlebiać wam będą. Ojcowie ich bowiem tak samo czynili fałszywym prorokom. Wy jesteście solą ziemi. Ale gdy sól moc swą utraci, jakim sposobem jej smak przywrócicie? Na nic więcej już się nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłością świata. Nie może się ukryć miasto leżące na szczycie góry. Nikt również nie zapala światła, aby schować je pod korcem, lecz stawia je na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiosach.

To powiedziawszy, pobłogosławił im, a oni schodząc z góry czuli się tak, jakby Jezus wylał na ich głowy świeżą i lśniącą rosę Hermonu, symbol ożywienia.

Kazanie na Górze, czyli budowa nowej Świątyni Pańskiej

W dolinie czekały na nich liczne rzesze. Rabbi stał na stoku wzgórza i przemawiał do zgromadzonych, a mówiąc do nich, w mowie swojej zebrał wszystkie nauki, przykazania, zachęty i przestrogi, które dotychczas wygłaszał w różnych miejscach i w różnym czasie. Ponieważ wypowiedział je teraz na podwyższeniu Góry, na jej

wyniosłości, już samym położeniem miejsca, z którego przemawiał, określił uświęcony charakter mowy. Posłańcy lub, jak ich później nazywano, apostołowie, wielokrotnie byli świadkami Jego przemówień, wygłaszanych w miastach, miasteczkach i wsiach, pod gołym niebem nad brzegami Jeziora Galilejskiego, w cieniu dębów i drzew figowych, ale teraz, gdy usłyszeli Jego słowa wypowiedziane z wysokości Góry, zaskoczeni byli ich innością. Były one wprawdzie i przedtem doskonałe w swej harmonijnej pełni, ale tym razem utwierdzone utwierdzeniem ostatecznym, zabrzmiały głosem Ustawy, ustanowionej na całą wieczność. Stojąc u stóp wzgórza i słuchając Jego mowy, w której zebrał, skupił, uporządkował i skodyfikował wszystko, co dotychczas wypowiedział, ujrzeli nagle, jak z Jego nauk i myśli, niby ze skrzętnie zgromadzonego budulca, powstaje niebotyczny gmach Nowej Świątyni. Na skalistej opoce, na niewzruszonej podwalinie kładł Budowniczy ciężkie bloki kamienne, olbrzymie, przygniatające swoim ciężarem słowa o miłości, na nich wznosił rząd trudnych słów o przebaczeniu i przewyciężaniu zła, a na nich z kolei słowa o czystości myśli i zamiarów, a znów na tych słowach położył słowa o obowiązku utajonej modlitwy, a wreszcie na samym szczycie tej budowli – rosła ona coraz wyżej i wyżej – umieścił słowo o doskonałości człowieczej, równej doskonałości Bożej. Wszyscy więc oni, apostołowie, uczniowie i lud przytłoczeni gigantyczną wielkością Nowej Świątyni, chcąc nie chcąc poddawali się jej ogromowi, który wywoływał w nich lęk zmieszany z podziwem i czcią. Stali u stóp mocnych, kamiennych murów, zbudowanych z nieomylnych ustaw, przykazań, nakazów i zakazów, ostrzeżeń i gróźb, i zachwyconym spojrzeniem obejmowali tę mądrą budowlę, u dołu osadzoną roztropnie i głęboko w granitowej opoce miłości, przeobrażającej się w strzelistym locie ku górze we wszechogarniające przebaczenie, w nieposzlakowaną czystość, w modlitwę utajoną, a na samym szczycie w doskonałość nadludzką.

...Cóż to za Dom, który Jezua ben Josef zbudował na naszych oczach ze swoich nauk i przykazań? – pytał lud.

...Dlaczego prowadzi do niego wąska i niewygodna ścieżka? – pytał lud, patrząc na pnącą się po stoku górskim wyboistą dróżkę.

...Jak wejść do wnętrza tego Domu przez ciasną bramę, jakże ciasną, małą i niewygodną w porównaniu z Bramą Owczą i z Bramą Złotą, i z Bramą Piękną, z tymi szerokimi i wspaniałymi bramami, prowadzącymi do Świętego Miasta i Świątyni Pańskiej? – pytali faryzeusze we wnętrzu swoim. – I dlaczego powiedział, że szerokie bramy i przestronne drogi prowadzą do zatracenia? – dodawali po namyśle.

Widzieli Jezusa wciąż przemawiającego na wysokości Góry, a wraz z każdym

wypowiedzianym przez Niego słowem o wypełnieniu Ksiąg Prawa i Proroków, o miłowaniu nieprzyjaciół, o myślach nie ujawnionych, o przysięgach, o przebaczeniu, o miłosierdziu, o drzewie dobrym, rodzącym dobre owoce, o modlitwie ukrytej i poście utajonym, o źródle, belce i źdźble, i o domu stawianym na opoce – Nowa Świątynia Pańska coraz bardziej umacniała się, potężniała, olbrzymie ciosane kamienie wiązały się z sobą, przylegały do siebie coraz szczelniej, zespały się, wrastały w siebie i trwały niezachwianie, chociaż tych murów nie wznosiły niezliczone rzesze robotników – trzydzieści tysięcy robotników pracowało nad budową Świątyni Salomonowej, siedem tysięcy tragarzy dźwigało bloki kamienne, osiemdziesiąt tysięcy rozłupywało skały, a trzy tysiące nadzorców nadzorowało lud roboczy – ale postawił je z kilkuset słów jeden Człowiek, który stał na stoku Góry i przemawiał z jej wzniosłego wywyższenia.

– Powiadam wam – wołał Jezus i gwałtownie poruszał wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby potrząsał gałęziami dojrzałej oliwki, z której pragnął strząsnąć jak najwięcej owoców – powiadam wam, miłujcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za swoich prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca Niebieskiego, który każe słońcu swojemu wschodzić nad złymi i dobrymi i spuszcza deszcz na sprawiedliwych i grzeszników. Bo jeżeli miłujecie tylko tych, którzy was miłują, jaką stąd macie zasługę? Czy i celnicy tego nie czynią? Przecież nawet i grzesznicy miłują tych, którzy im miłość okazują. A jeżeli tylko swoich przyjaciół pozdrawiacie, to cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego samego nie czynią? A jeżeli świadczycie dobrodziejstwa tym, którzy wam dobrze czynią, jakaż jest wasza zasługa? Przecież i grzesznicy to czynią. A jeżeli pożyczacie tylko tym, od których spodziewacie się zwrotu, jakaż jest wasza zasługa? Przecież i grzesznicy udzielają sobie wzajemnie pożyczek, żeby to samo z powrotem otrzymać. Wy jednak miłujcie nieprzyjaciół i dobrze im czyńcie, i pożyczajcie, nie spodziewając się za to niczego. A wtedy nagroda wasza będzie obfita. Bądźcie więc doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski. Bądźcie miłosierni, tak jak Ojciec wasz jest miłosierny. Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są wilkami drapieżnymi. Po ich owocach poznacie ich. Albowiem nie ma drzewa dobrego, które by złe rodziło owoce, ani też złego drzewa, które by przynosiło owoc dobry. Wszelkie bowiem drzewo poznaje się po owocach. Czyż zbiera się winogrona z ciernia albo figi z ostu? Tak więc wszelkie drzewo dobre rodzi dobre owoce, a drzewo złe przynosi złe owoce. Wszelkie drzewo nie rodzące dobrych owoców wytną i w ogień wrzucą. A więc po ich owocach macie je poznać. Dobry człowiek wydobywa dobro z dobrego skarbcza swojego serca, a zły wydobywa ze złego zło. Albowiem z obfitości serca mówią usta człowieka.

Tak wołał Jezus i wciąż potrząsał rękami, a apostołom, uczniom i ludowi zdawało się, że za każdym ruchem Jego rąk wielka obfitość owoców spada na ziemię. Ale teraz twarz Jego, która dotychczas mimo uniesienia była pogodna, spochmurniała, prostopadła zmarszczka między brwiami w kształcie pierzastej strzały pogłębiła się, i znów Rabbi wyciągnął przed siebie ręce, i znów gwałtownie nimi potrząsał, ale nie były to już ruchy sadownika potrząsającego oliwką w porę błogosławionych zbiorów, ale wzburzone gesty Sędziego, wydającego wyrok na tych, którzy przeciwstawiali się Jego ustawom i nakazom i odrzucali je dla posiadania doczesnych dóbr i lichych, niegodziwych majątności, zatłuszczających serca człowieka.

– Ale biada wam, bogacze – wołał Jezus gniewnym głosem – albowiem otrzymaliście już zapłatę waszą! Biada wam, którzy teraz jesteście syccy, albowiem głód cierpieć będziecie! Biada wam, którzy teraz się śmiejecie, albowiem w smutku będziecie pogrążeni i płakać będziecie!

Lecz nie gradem płonących kamieni, groźbą i gniewem zakończył swoją mowę. Złagodniała twardość Jego słów, przetoczyły się gromy jak odgłos baranich rogów, i z uciszonych Jego rąk – były spokojne i nieruchome jak odsłonięty nagle błękit nieba po przejściu burzy – wylało się na ich głowy uzdrawiające błogosławieństwo.

– Błogosławieni ubodzy w duchu – mówił Jezus, z lekkim zaśpiewem w głosie – albowiem ich jest Królestwo Niebieskie. Błogosławieni cisi, albowiem oni posiedzą ziemię. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni nazwani będą synami Bożymi. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.

Tak im Jezus błogosławił.

Lud radował się, bo kochał wszelkie błogosławieństwa. Faryzeusze sarkali. Rzesze rozchodziły się do domów, głośno, hałaśliwie, w gorączkowym podnieceniu roztrząsając słowa Jezusa. A apostołowie? Apostołowie szli pod górę, ku Jezusowi, wspinali się niewygodną i stromą ścieżką, a gdy wreszcie zmęczeni, pełni lęku przystanęli w połowie drogi, by zaczerpnąć tchu, ujrzeli nad sobą uśmiechniętą twarz Rabbiego i wyciągnięte do nich dłonie. Wtedy bez słowa padli na twarze, albowiem uważali, że przed obliczem Jego słów, których widoma obecność wciąż dokoła nich trwała, ich nędzne usta powinny być ciche, bardzo ciche.

Rozkaz

Wrócili do Kfar Nahum.

Zaledwie przybyli do miasta i wzięli kąpiel, i zmęczone nogi namaścili oliwą, gdy do domu zapukało kilku faryzeuszów, Starszych synagogi, przychylnych Jezusowi i darzących Go szacunkiem. Pokłonili się przed Rabbim i powiedzieli, że przychodzą z pokorną prośbą od centuriona, i znów się pokłonili, a jeden z nich wysunął się na czoło przybyłych i tymi słowami przemówił:

– Żyje wśród nas centurion, dowódca załogi wojskowej wprowadzie poganin, ale mąż ze wszech miar godny poważania, człowiek szukający Boga, jeden z owych, którzy nie znalazłszy spokoju dla swojej duszy ani ukojenia dla swoich pragnień w bałwochwalczej wierze w nieczystych bogów, upodobali sobie Pana i ku Niemu wznieśli swoje serca. Zrozumiał, że żaden spośród bogów nie jest podobny do Elohim i żadne dzieło Jego dziełu nie dorówna. Należy on do owych mądrych pogan, przed którymi prawy syn Izraela powinien według nakazu swoich mędrców wypowiedzieć błogosławieństwo: „Pochwalony bądź, Panie, Boże Izraela, który części swojej mądrości udzieliłeś ludzkim stworzeniom”. I oto, Rabbi – tu wysłannicy znowu pokłonili się nisko przed Jezusem – ów centurion, zbliżywszy się do Boga Jedynego i Wszechmocnego, zaspokoił głód mądrości nauką Prawa, zna nasze przepisy i zakazy, a pałając miłością do ludu wybranego, majętności Pańskiej, w trosce o piękno domu Bożego własnym kosztem odbudował w naszym mieście synagogę, dzięki czemu Izrael zanoszą modły do Pana z pięknego domu modlitwy, pokrytego malowidłami wyobrażającymi drzewa, kwiaty i niebiosa, gwiazdzisty podnózek El Szaddaja. I oto – tu po raz trzeci pokłonili się przed Jezusem – stoimy przed Tobą, Rabbi, i składamy przed Tobą prośbę owego poganina ze wszech miar godnego poważania, który Cię prosi, abyś zechciał uratować jego umiłowanego sługę – kocha go jak syna – złożonego ciężkim paraliżem. Poganin ów w pełni zasługuje na łaskę Twoją, Rabbi, gdyż miłuje nasz naród, co zaświadczyć mogą Starsi synagogi.

To rzekłszy mąż przemawiający rzucił pytające spojrzenie na towarzyszy, a oni potwierdzili solennymi słowami słuszność jego słów.

Jezus, odpowiadając im, rzekł:

– Pójdę i uzdrowię go.

Szli krętymi ulicami miasta. Przechodnie, widząc Rabbiego, idącego w towarzystwie kilku uczniów i dostojnych faryzeuszów, domyślili się, że spieszą oni do domu centuriona – już od kilku dni mieszkańcy wiedzieli o chorobie jego umiłowanego sługi – więc w przeczuciu nadzwyczajnego zdarzenia zatrzymali się,

szeptali między sobą i nie mogąc poskromić w sobie chęci ujżenia własnymi oczami tego, co na pewno nastąpi, podążali za Jezusem małymi grupkami, które jednak wkrótce urosły do rozmiarów wielkiej gromady. Gdy zbliżyli się do domu, wyszedł im naprzeciw centurion, pokłonił się i powitawszy Rabbiego Imieniem Bożym, rzekł:

– Panie, nie jestem godzien, abys wszedł pod mój dach, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiony mój sługa. Mam władzę rozkazywania i mam żołnierzy pod sobą, a gdy mówię temu: idź, to idzie, a gdy innemu powiem: przyjdź, to przychodzi, a słudze mojemu: czynź to, i czyni. A Ty, Panie, masz taką samą władzę nad wszelkimi mocami, a one są posłuszne Twoim rozkazom, bo Tobie są poddane. Nawet Twoja obecność nie jest konieczna, a wystarczy tylko słowo Twoje, albowiem w nim jest konieczność tego, co nastąpi.

Tak rzekł centurion i stojąc w wielkim unizeniu, czekał na wyrok Jezusa, a dokoła stali uczniowie, Starsi i przygodni świadkowie tej sceny, faryzeusze, rybacy, kupcy, handlarze bydła, winogrodnicy, poganiacze wielbłądów, uczniowie beth hasefer, i utkwivszy oczy w Rabbim, z uwagą i napięciem śledzili ruchy Jego rąk i wyraz Jego twarzy. Ale zamiast wyciągniętej dłoni i zmienionej twarzy – jak się tego spodziewali – ku swojemu rozczarowaniu usłyszeli z ust Jezusa słowa pełne zdziwienia, skierowane do nich, a nie do centuriona:

– Zaprawdę, powiadam wam, że nawet w Izraelu nie znalazłem tak wielkiej wiary.

Począł im mówić o wierze i o żarliwości wiary w Starowiecznego, która nie jest przywilejem tylko Izraela, czego dowodem jest choćby ów mąż, stojący tutaj z pochyloną głową, poganin miłujący Jahwe i pokładający całą nadzieję w rozkazie Bożym. Jak deszcz i śnieg, które spadają z nieba i tam nie powracają, dopóki nie nawodnią ziemi, nie użyźnią jej i nie wyprowadzą z ziemi urodzajnych zbóż, zapewniając tym sposobem ziarno dla siewcy i chleb dla łaknących, tak rozkaz Jahwe wychodzący z ust Jego nie powraca do Niego bezowocny i nie wykonany, dopóki nie dokona tego, czego Pan chciał, co postanowił i czego dokonał przed dokonaniem. Słowo Jahwe nie jest powiewem ani gromem, ani rykiem, ale jest rozkazem. Jahwe jest Bogiem wypowiadającym rozkaz i w moc rozkazu Bożego uwierzył mąż stojący tutaj z pochyloną głową, poganin miłujący Pana. A jeżeli poganie ze wschodu i zachodu uwierzą we Wszechmocnego i okażą równie gorącą wiarę jak centurion, to na pewno podczas uczyty ostatecznej w Królestwie Niebieskim spoczną za stołem obok Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, natomiast ci wszyscy synowie Izraela, których wiara jest ospała i chłodna, chociaż z powodu swojego wybraństwa są przeznaczeni do Królestwa Niebieskiego, będą wyrzuceni poza miejsce uświęcone Światłem Pana, w ciemności zalegające przestrzenie zagłady, w unicestwienie, w nicość płaczącą

i zgrzytającą zębami.

To powiedziawszy, Jezus zwrócił się do centuriona i rzekł:

– Idź, niechaj ci się stanie tak, jak uwierzyłeś.

Ponieważ centurion uwierzył w cudowną skuteczność rozkazu Rabbiego, czyli w słowo Jego, zatem rozkaz ten wypowiedziany na modłę świętej formuły Pana, wywołującego z chaosu światło – „Jehi or wajehi or” co znaczy: „Niechaj się stanie światłość, i stała się światłość” – należy odczytać w sposób właściwy, według ukrytej w nim Mocy, która jest objawieniem się majestatu Pana we wszechmocnym akcie twórczym: Niechaj się stanie według mojego rozkazu, w który uwierzyłeś.

Twarz Jezusa była nieruchoma, a ręka Jego nie wykonała ani jednego gestu. Słowo Pana dokonało się w niewidzialny sposób na oczach tłumu, który nie mogąc się połapać w tym wszystkim, co zaszło, stał zmieszany, gdyż poza wykładem o wierze i wypowiedzianym rozkazem nie usłyszał nic tak nadzwyczajnego, co świadczyłoby widomie o cudownych właściwościach Rabbiego. I na pewno ludzie rozeszliby się do domów rozczarowani, gdyby nie krzyk centuriona, który, wróciwszy do łóżka chorego, stwierdził ku swojemu radosnemu przerażeniu, że sparaliżowany sługa ozdrowiał.

Tej nocy uczniowie Jezusa, zmęczeni przeżyciami ostatnich dni, natychmiast usnęli. A Johanan ben Zebadia, młodzieniec o ognistej wyobraźni, śpiąc, widział Dwunastu wybranych i powołanych, jak siedzą w Królestwie Niebieskim w towarzystwie Abrahama, Jicchaka i Jaakowa i spożywają z nimi przy jednym stole smaczne, niebiańskie potrawy, a Aniołowie usługują im i uśmiechając się, nalewają im do złotych kielichów najwyborniejsze wino.

Jeszcze szaty mojej nie rozedrę

Zmierzchało. Wszedł służący i zapalił mosiężne świeczniki. Nahum przerwał opowiadanie. Arcykapłan oparł głowę na dłoni – łokieć ręki miękko spoczywał na jedwabnej poręczy fotela – i opuściwszy powieki, czekał. Służący na palcach wysunął się z komnaty:

Wówczas Nahum, ciągnąc dalej, tak mówił:

– Wtedy Jeszua ben Josef udał się do miasteczka Naim, a gdy zbliżał się do jego bram, właśnie wynoszono zmarłego, jedyne go syna matki, która była wdową. Za marami szedł wielki tłum żałobników.

Gdy Jeszua ben Josef ujrzał matkę zalaną łzami, rzekł do niej: „Nie płacz”. Potem zbliżywszy się dotknął ręką mar, ci zaś, którzy nieśli zmarłego, przystanęli. A Jeszua rzekł: „Młodzieńcze, powiadam ci, wstań!” Zmarły siadł na marach i począł mówić,

a dzieci Izraela ogarnął wielki strach i poczęły krzyczeć w uniesieniu, i modlić się...

– Co krzyczały dzieci Izraela? – spytał bezbarwnym głosem Kajafa.

– Krzyczały: „Wielki prorok powstał między nami! Elohim nawiedził swój lud!”

– Powiedziałeś: dotknął ręką mar.

– Tak powiedziałem.

– Prorok Micha powiedział: „Odejmę czary z twojej ręki”. Tak powiedział prorok Micha, z czego wynika, że mechaszef czyni rękami czarodziejskie ruchy, w których jest nieczysta moc. Czy Jezua ben Josef dokonywał jeszcze innych zwodzicielskich cudów za pomocą rąk?

– Tak – odpowiedział po namyśle Nahum. – Gdy wracał do domu w Kfar Nahum...

– U kogo mieszkał? – przerwał Kajafa.

– U Symeona ben Jona. Gdy wracał do domu, przystąpili do niego dwaj ślepcy i błagali o uleczenie ich ślepoty. Jezua spytał ich: „Czy wierzycie, że mogę to uczynić?” A oni odpowiedzieli: „Tak, Synu Dawida”.

– Co?

– Odpowiedzieli: „Tak, Synu Dawida”.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, co to znaczy – odpowiedział Nahum i ciągnął dalej: – A wtedy zwodziciel odrzekł: „Niechaj wam się stanie według wiary waszej”. To powiedziawszy, dotknął palcami ich oczu, a oni przejrzeni, a on rzekł surowym głosem: „Baccie, aby nikt się o tym nie dowiedział”. Tak powiedział, ale uleczeni ślepcy, odszedłszy, opowiadali ludowi o tym zdarzeniu.

– Dlaczego powiedział, żeby o uleczeniu nikomu nie mówili?

– Nie wiem. Nie byłem przy tym, więc nie mogłem o to spytać Jezuy ben Josef.

– Nic nie wiesz – głos Kajafy zabrzmiał chropawo. – Czy zaklęcia wypowiadał głośno, czy szeptem?

– Nie wypowiadał żadnych zaklęć, ale wydawał rozkazy. Kajafa rzekł:

– Mów dalej.

– Przed dwoma miesiącami Jair, rosz hakneseth synagogi w Kfar Nahum, przybiegł zdyszany do zwodziciela, padł mu do nóg i oddając pokorny pokłon błagał go, aby wszedł do jego domu, bo córka, jedynaczka, licząca około dwunastu lat, prawie konała. Jair prosząc mówił: „Córeczka moja dogorywa, ale przyjdź i połóż na nią swoje ręce, żeby odzyskała zdrowie i żyła”. Tak powiedział Jair, a zwodziciel poszedł z nim, a szło za nim dużo ludzi, napierając nań ze wszystkich stron. Między nimi była pewna niewiasta, która od dwunastu lat cierpiała na krwotok. Wycierpiała wiele od licznych lekarzy i straciła przy tym cały majątek, i nie tylko nic jej nie

pomogły leki przepisywane przez lekarzy, ale przeciwnie, miała się nawet coraz gorzej. Ujrawszy Jezusę ben Josef, zbliżyła się w tłumie, z tyłu, i dotknęła dłonią jego płaszcz, albowiem wierzyła, że gdy dotknie jego szat, odzyska zdrowie. A gdy palcami dotknęła skraju szaty, natychmiast ustał jej krwotok i poczuła w swoim ciele, że została uzdrowiona, i upadłszy do nóg jego, dziękowała mu za uzdrowienie. On zaś rzekł do niej: „Wiara twoja uzdrowiła cię. Idź w spokoju i bądź uzdrowiona ze swego cierpienia”. Mówił jeszcze do niej, gdy domownicy rosz hakneseth Jaira płacząc przybiegli z wieścią o śmierci jego córeczki. Jezua ben Josef, usłyszawszy to, pocieszył Jaira i wszedł do jego domu w towarzystwie Symeona ben Jona i Johanana ben Zebadia...

– Kogo?

– Symeona ben Jona i Johanana ben Zebadia...

– Johanana ben Zebadia jest jego uczniem?

– Jest jego uczniem.

– Szkoda Johanana. Wiedziałem, że tak skończy – Kajafa westchnął.

– Więc weszli do domu Jaira – ciągnął dalej Nahum – i ujrzeni tu wielki zamęt i głośno zawodzące płaczki, siedzące na ziemi. Wtedy Jezua rzekł: „Na co ten zgiełk i te lamenty? Młódka nie umarła, tylko śpi”. Tak rzekł, a oni wyśmiali go, on jednak kazał wszystkim wyjść i zabrawszy ze sobą ojca i matkę, i Symeona ben Jona, i Johanana, i Jaakowa, synów Zebadii, wszedł do izby, w której leżała dziewczynka, i wziął ją za rękę, i rzekł do niej: „Talitha kum”. Na te słowa młódka natychmiast wstała i chodziła, on zaś nakazał im surowo, aby nikt się nie dowiedział o tym, co zaszło. Mimo to wieść rozeszła się po całej okolicy.

– Dziewczynka nie umarła. Spała – niedbale rzucił Kajafa. I spytał: – A dzieci Izraela? Co mówią dzieci Izraela?

– Wszystkich ogarnął wielki podziw i lęk.

– Wszystkich? Kogo? Faryzeuszów? Am haareców?

– I faryzeuszów, i am haareców.

– Wszystkich bez wyjątku?

– Wielu, bardzo wielu. Nawet Baruch ben Jehuda, faryzeusz, wiedziony ciekawością, zaprosił Jezusę ben Josef do swojego stołu, i jedli, i rozprawiali razem z innymi biesiadnikami...

– Skąd o tym wiesz?

– Wywiadowcy dowiedzieli się od biesiadników. Muszę jednak zaznaczyć na korzyść Barucha ben Jehuda, że nie okazał zwodzicielowi szacunku należnego gościowi, bo nie podał mu wody do umycia nóg, nie namaścił wonnym olejkiem jego głowy ani nie złożył pocałunku na jego ramieniu.

Nahum pogładził brodę.

– Ale mój pan nigdy nie zgadnie, kto w domu faryzeusza namaścił wonnym olejkiem stopy zwodziciela i całował je.

Kajafa, jak wiemy, nie lubił zbyt poufałego tonu, za pomocą którego sekretarz usiłował niekiedy w sposób podstępny i ledwo dostrzegalny przekroczyć ustaloną raz na zawsze granicę oddzielającą jego nieznaczność od ważności arcykapłana. Kajafa nazywał w duchu takie postępowanie swojego sługi rykiem spoufalonego osła i zwykł ostrym napomnieniem przywoływać Nahuma do służalczego opamiętania. Zdanie sekretarza w swej treści i formie ubodło Kajafę, który urażony do żywego rzekł:

– Zagmatwane zagadki zadawaj swoim krewnym i przyjaciółom, natomiast ja pragnę usłyszeć z twoich ust zdanie jasne i proste.

Nahum znów pogładził brodę i nie dając za wygraną uśmiechnął się tajemniczo, wskutek czego jego mięsisty nos nieomal osiadł na górnej wardze, nad wyszczerbionym szeregiem zębów. Rzekł:

– Jawnogrzesznica.

– Skąd się wzięła w domu bogobojnego faryzeusza Barucha ben Jehuda jawnogrzesznica?

– Nie wiem – odrzekł Nahum i zaraz dodał: – Może Baruch ben Jehuda nie jest bogobojnym faryzeuszem.

Zapadło głucho milczenie. Przez kratę okienną wpadł do komnaty swawolny powiew i zakołysał płomieniem w mosiężnych świecznikach.

– Czy z Jezua i jego uczniami chodzą jakieś niewiasty?

– Kilka niewiast za nimi chodzi. Mariamne z Magdali, ongi opętana przez demony, Hana, żona Chuzy, urzędnika dworu Heroda Antypasa, i Szoszana, i jeszcze kilka innych nie znanych mi z imienia, które służą im swoją majątkością.

– Wszystkie opętane? – zadrwił Kajafa i natychmiast dodał: – Czego jeszcze dowiedzieli się wywiadowcy o jawnogrzesznicy?

– Gdy wonnym olejkiem namaściła stopy Jezuy, ten rzekł do niej: „Odpuszczone są grzechy twoje”.

Nieruchoma dotychczas ręka Kajafy, na której opierał głowę, opadła na kolana. Arcykapłan rozwarł szeroko oczy, i wtedy Nahum ku swojemu przerażeniu ujrzał w nich nieprzeniknioną ciemność buchającą z głębi dwóch czeluści. Kohen hagadol zerwał się z fotela, rozkrzyżował ręce i począł krzyżeć:

– Nikt nie może odpuszczać grzechów, tylko sam Pan, Pan Zastępów! Nikt! Człowiek, który odpuszcza grzechy, jest zwodzicielem! Mocą Baal Zebuba to czyni! Wiem! Wiem! Włóczy się po Galilei i wszędzie odpuszcza grzechy, i wygania

demony w imię Beliala! Prorok Jeremijahu zapisał w świętych zwojach: „A Pan mi rzekł: Kłamliwie w moim Imieniu przepowiadają prorocy. Nie posyłałem ich i nie rozkazywałem im ani nie mówiłem do nich. Widzenia kłamliwe i prózne wróżby, i wymyślone przez siebie oszustwa podają wam oni za swoje prorocтва!” – Kajafa szedł środkiem komnaty z rękami wysoko wzniesionymi ku górze, które już nie były rękami, ale parą ogromnych rogów, i bódł tymi rogatymi rękami niebiosa, chmurne mieszkanie Elohim, i walił nimi w spiżowe wrota Pańskie, aż echo roznosiło się wokół, i krzyczał głosem rozpaczliwym: – Biada ludowi, albowiem Pan zsyła fałszywych proroków, aby kusili synów Izraela i swoim kuszeniem doświadczali ich wierności dla Pańskich przykazań! Biada ludowi, który nie bojąc się chwalebego i straszliwego Imienia Pana nie wypełnia słów Jego Tory i idzie za zwodzicielem, za znieważającym Szabat, za czarnoksiężnikiem, za przyjacielem celników i jawnogrzesznic! Biada ludowi, który słucha słów zwodziciela i chwali jego zwodnicze czyny! Biada! Biada! Biada! Po trzykroć biada! Czy mam szatę moją rozedrzyć?! – tak wołał Kajafa, kohen hagadol Świątyni Pańskiej, a jego czarne brwi zrosnięte nad oczami były jak bicz smagający. Przystanął. Opuścił dłonie.

Nahum – krzyk arcykapłana poruszył do głębi sekretarza – wyteżył całą swoją uwagę, gdyż zrozumiał, że otrzyma teraz ważne polecenie. Pochylił się ku przodowi i był gotów na przyjęcie rozkazów arcykapłana, który tak do niego przemówił, cedząc powoli i ostrożnie słowo po słowie:

– Jeszcze szaty mojej nie rozedrę ani słowa ostatniego nie wypowiem. Ale pójdziesz do posłańców i wywiadowców i pošlesz ich natychmiast do Galilei, niech ostrzegą wszystkich synów Izraela przed zwodzicielem, i niech mocno, głosem surowym, powiedzą: Jezua ben Josef z Nazarethu jest mesith! To niech powiedzą całemu Izraelowi w całej Galilei, w Nazarecie, w Kanie Galilejskiej, w Bethsaidzie, w Kfar Nahum, w Magdali, na nizinie Genezar, w Naim, w Endor, w Chorozain, w Giskali, nad brzegami Jam Kinereth i u stóp góry Tabor, i góry Karmel, i góry Gilboa. Niech powiedzą mocno, głosem surowym: Jezua ben Tosef z Nazarethu jest mesith! Niech ostrzegą lud przed mężem, który jest mesith, i przed jego słowami i przypowieściami, i niech jasno oznajmią Jeszurunowi, aby cały Jeszurun pojął, ogarnął rozumem, zrozumiał i poznał, że każdy spośród nich ma obowiązek donieść władzom Sanhedrynu o każdym odstępstwie zwodziciela, a kto nie doniesie, winien jest współuczestnictwa w odstępstwie i grzechu. I niechaj uprzytomnia rodzinie Jezuy ben Josef, jego matce i braciom, i siostrom, i braciom i siostrom ojca i matki, i krewnym ich, i krewnym ich krewnych, że wszyscy oni są współodpowiedzialni za słowa i działanie zwodziciela i muszą pomóc Sanhedrynowi do ujawnienia odstępstwa odstępcy, a jeżeli tego nie uczynią, winni będą współuczestnictwa

w odstępstwie i w grzechu odstępcy. A na dowód słuszności i prawowierności tego rozkazu niechaj posłańcy i wywiadowcy powołują się na słowa świętej Księgi Dewarim głoszące, że każdy fałszywy prorok lub wykładacz snów, który odwodzi Izraela z drogi wytyczonej przez Pana i głosi odstępstwa od Pana, wybawiciela z domu niewoli, winien jest śmierci. Niechaj przypomną rodzinie zwodziciela i jego krewnym, i krewnym jego krewnych słowa Mojżesza, zapisane w świętej Księdze Dewarim: „Jeżeli cię będzie skrycie pobudzał do odstępstwa twój brat, syn twojej matki, twój syn lub córka, albo żona, co na łonie twoim spoczywa, albo przyjaciel tak ci miły jak ty sam, i mówić będzie: „Chodźmy i służmy obcym bogom, bogom, których nie znałeś ani ty, ani twoi ojcowie, jakiemuś bóstwu spośród bóstw okolicznych ludów czy też dalekich od jednego krańca ziemi do drugiego”, nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością i nie będziesz miał miłosierdzia, i nie będziesz taił jego przestępstw. Winienesz go zabić i pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud!” Niechaj wysłannicy powiedzą te słowa Mojżesza wszystkim galilejskim miastom, miasteczkom i wsiom i niechaj im powtórzą ostrzeżenia i groźby z Księgi Dewarim, aby galilejskie miasta, miasteczka i wsie wiedziały, jakich doświadczą nieszczęść i jakie kary spadną na nie, jeżeli udzielą pomocy zwodzicielowi, jeżeli zatają jego działanie, jeżeli będą mu sprzyjać. Niechaj nieustannie powtarzają mieszkańcom ostrzeżenia, niechaj je powtarzają powtarzaniem dobitnym, słowo po słowie, aż każde słowo z osobna i wszystkie słowa razem wbiją się w pamięć Jeszuruna i wzbudzą w nim trwogę. A te są słowa z Księgi Dewarim: „Jeżeli usłyszysz w jednym z miast, które twój Bóg, Adonaj, daje ci na mieszkanie, że wyszli spośród ciebie ludzie przewrotni i uwodzą mieszkańców twojego miasta, i mówią: „Chodźmy, służmy obcym bogom, których nie znacie”, przeprowadzisz dochodzenie, zbadasz i spytasz, czy to prawda. Jeżeli okaże się prawdą, że taką obrzydliwość popełniono pośród ciebie, mieszkańców tego miasta wybijesz ostrzem miecza, a samo miasto razem ze zwierzętami obłożysz klątwą. Cały swój łup zgromadzisz na placu i spalisz ogniem miasto i cały łup jako ofiarę ku czci Boga twego, Adonaj. Zostanie ono wieczną ruiną. Już go nie odbudujesz”.

Wypowiedziawszy święte słowa z Księgi Dewarim, Kajafa usiadł w fotelu. Pochylił głowę i utkwiał wzrok w podłódze. Jego twarz stała się teraz szara i pomięta, a oczy przygaśły. W Nahumie odezwało się współczucie dla tego człowieka, który mimo wielu wad i skaz charakteru dźwigał na swoich barkach trudną odpowiedzialność przed Elohim za prawowierność Izraela. Chciał jakimś wymownym gestem wyrazić czułą przychylność dla zmęczonego i przygniecione go troskami arcykapłana, ale znając jego wrażliwość – obawiał się, że dowody przywiązania weźmie za lekceważącą poufałość – tylko spojrzeniem pełnym ślepej

wierności bezskutecznie ujawniał swoje gorące i niekłamane uczucie. Ręce Kajafy zwisały ciężko z poręczy fotela. Nie było teraz w tych nieruchomych dłoniach nic z owej rogatej mocy, która przed chwilą wypełniała je gwałtowną żarliwością. Były niepokojąco bezsilne i bezradne jak dwa konary ścięte podmuchem wichury. Spomiędzy jego pełnych warg, okolonych pielęgnowanymi wąsami – jego krótka, owalna broda sterczała jak rozłożony wachlarz – płynął słaby szept, podobny do wysychającej strugi wodnej, sączącej się kamienistym korytem pustynnej rzeki:

– Wszystko to czynię, aby Jeszurun był czysty czystością nienaruszoną i był arką pływającą na wodach potopu, aby był górą wysoko wzniesioną i zamiar Boży w sobie przechował, aby kroki jego nie były chwiejne, a nogi jego nie straciły równowagi, aby nie był policzony w poczet wstępujących do otchłani i nie był jak mąż powalony. Panie, ocal synów Izraela od odszczepieństwa i grzechu, albowiem któż zamiary Twoje wypełni, jeżeli lud Twój wydasz na pastwę Beliala i na pastwę Kittim, którzy Twojego Imienia nie znają? Czy w ciemnościach kamiennych bóstw dokonasz cudu, a sprawiedliwość Twoja zajaśnieje w krainie grzechu? Nie odstępуй Twojego ludu. Panie, a dla mnie bądź w godzinie próby ucieczką i wysokim gniazdem, albowiem przechodzą po mnie płomienie, ogarniają mnie nacierające fale i osaczają mnie zewsząd.

Kajafa podniósł głowę i patrząc na Nahumę, rzekł:

– Idź, Nahumie, idź.

– Pokój tobie.

– I tobie.

Nahum wyszedł.

Pod lekkim powiewem zakołysały się płomienie w lichtarzach, pokładły się poziomo pod prądem powietrza, zakopciły, zmąciły obojętny mrok i znów wyprostowane gorzały spokojnym światłem. Arcykapłan podniósł ku niemu wilgotne oczy i ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptał słowa, które może nawet nie były wypowiedziane szeptem, może w ogóle nie były słowami, lecz myślą jego myśli, zrodzonej i wypowiedzianej nie wypowiedzianymi słowami:

– A jeżeli on nie jest mesith? A jeżeli jest prorokiem zesłanym przez Elohim? Co wtedy? Podniósł oczy ku kracie okiennej, w której stało jasne, wygwieżdżone niebo.

– O, Adonaj – szepnął błagalnie – Panie Wszechmocny, obroń moją i twierdzę moją, powiedz Twojemu niegodnemu słudze, prochowi, czy też mąż z Nazarethu jest zwodzicielem Twojego ludu, czy Twoim świętym prorokiem, o Panie. Powiedz!...

Panowała głęboka, niezmacona cisza, ale kohen hagadol nie wiedział, czy jest to cisza potakująca, czy przecząca.

Johanan ben Zecharia wysyła posłów do Jezusa

W bocznym skrzydle Macherontu, w małej piwnicznej komorze, która ongiś służyła zarządcy zamku za skład węgla drzewnego, siedział od blisko dziesięciu miesięcy Johanan ben Zecharia, głos milczący. Lekkie, drewniane, nie okute drzwi i okienko pod kamiennym stropem, zakratowane, ale przepuszczające do wnętrza snop dziennego światła – a przede wszystkim sąsiedztwo składów gospodarskich – wprawdzie odbierały temu miejscu charakter mrocznej, odciętej od świata kazamaty, jednak głucho kroki strażników przechadzających się po korytarzu we dnie i w nocy świadczyły, że mimo pozorów piwnica ta nie jest piwnicą, lecz więzieniem, a przebywający w niej człowiek więźniem. Te skromne przywileje zawdzięczał Johanan ben Zecharia zabobonnemu usposobieniu, a może dobrze maskowanemu niepokojowi sumienia tetrarchy – trudno niekiedy ustalić wyraźną granicę między zabobonnym strachem a nagłymi i nieświadomymi odruchami ostrzegawczej wrażliwości – który jakkolwiek pod naciskiem swojej żony uwięził krnąbrnego męża, jednak starał się złagodzić wobec niego surowe przepisy więzienne, zwłaszcza podczas nieobecności w Macheroncie mściwej Herodiady. To złagodzenie rygoru objawiało się w różny sposób, zależnie od okoliczności, czasu i zmiennych nastrojów tetrarchy. Herod Antypas, który był głęboko przekonany, że każdego człowieka można kupić doczesnymi rozkoszami, a do nich między innymi zaliczał sute jedzenie i picie – wieści o nazirejskiej wstrzemięźliwości Johanaana ben Zecharia uważał w swej gruboskórnej tępcie za mocno przesadzone – zaraz na samym początku pobytu Niestrzyżonego w więzieniu rozkazał obficie go karmić i posłał mu najbardziej wymyślne potrawy i dwa dzbany młodego moszczu. Johanan, ujrawszy wytworne mięsiwa i poczuwszy zapach wina, popadł w święte szaleństwo, cisnął półmiski na ziemię, podeptał nogami mięsiwo pięknie przyozdobione jarzynami, rozbił dzbany z winem i krzyżąc pustynnym głosem, od którego drżały mury zamku, złorzeczył tetrarsze i nierządnicę – na szczęście przebywała ona wówczas w Tyberiadzie – a głos jego grzmiał jak ryk lwa rozdzierającego ofiarę. Przerażeni strażnicy uciekli, a głos Johanaana płonął coraz gwałtowniejszym ogniem nad walającym się po ziemi jadłem i kałużą rozlanego wina i wzywał Jahwe na świadka haniebnej bezbożności i zatwardziałego odszczepieństwa tetrarchy. Zdawało się, że od tego głosu jak od płonącej główki zapalił się cały zamek, że w płomieniach staną mury tego domu zbrodni i zepsucia, komnaty, sprzęty, szaty i nieczyste naczynia, i że wkrótce pozostanie z tej góry brudu i pogardy góra dagasających zgliszcz i stygnących popiołów. Krzyk Johanaana szalał do późnej nocy. Strażnicy błagali tetrarchę, by pozwolił nałożyć więźniowi kajdany, ale władca nie zgodził się.

Zrozumiał, że wstrzemięźliwość Johanana jest wstrzemięźliwością nieuchronną i nieposzlakowaną, i zatrwożony swym nieostrożnym działaniem modlił się do Elohim i do Baal Zebuba, aby uspokoił gniew i wzburzenie Johanana i przywrócili mu łagodny spokój. O północy w celi Niestrzyżonego zapanowała cisza. Tetrarcha wezwał dowódcę straży i polecił podać więźniowi o świcie dzban czystej wody i – dodał po namyśle niepewnym głosem – plaster miodu.

Tu musimy wspomnieć, że od dnia uwięzienia Johanana między tetrarchą a jego żoną zapanował nastrój pogodnej zgody. Herodiada odzyskała dawny humor i dobre samopoczucie, a Herod Antypas był rad, że może, przynajmniej do pewnego czasu, oddawać się ze względną beztróską swoim ulubionym zajęciom – biesiadowaniu, podziwianiu tanecznej sztuki syryjskich dziewcząt i skrytym rozmyślaniom o wdziękach piętnastoletniej Salome. W Judei nie działo się nic ważnego. Prokurator siedział w Cezarei Nadmorskiej i milczał. Cezar przebywał na Capri i milczał. Z dalekiego Rzymu dochodziły wprawdzie wciąż nowe wieści o okrutnych czynach Sejana, ale zbrodnie codziennie dokonywane przestają być zbrodniami i stają się swoiście pojętą racją stanu. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Herodiada w rozmowach z mężem nie wracała do sprawy Johanana ben Zecharia. Wystarczyło jej, że Niestrzyżony przebywał w więzieniu, że głos jego więcej nie rozbrzmiewa na pustyni ani przy brodach Jordanu i że jest głosem milczącym. Wprawdzie niekiedy tetrarcha zadawał sobie pytanie, co ma dalej uczynić z Johananiem – przecież byłoby niedorzecznością trzymać go przez całe życie pod kluczem – ale nie chcąc wybiegać myślami w daleką przyszłość, poprzestawał na tym, co jest, to znaczy na spokoju dnia dzisiejszego, na dobrych humorach żony, na smakowitych biesiadach, zgrabnych tancerkach i marzeniach o Salome i jej piersiach, pięknych jak dwoje sarniąt, jak bliźnięta łani między liliami. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna to porównanie. Słyszał je kiedyś... kiedyś... Ale kiedy? Czarne, małe, zalane tłuszczem oczy błędziły po przeszłości i rozczarowane bezskutecznością swoich poszukiwań wracały do zgrabnych kształtów pasierbicy. Jednego się lękał: swoich nieostrożnych spojrzeń rzuconych na Salome w obecności Herodiady. Ale wiedział, że jeszcze większą nieufność wzbudzało w niej opuszczenie oczu lub nagłe odwrócenie głowy od drzwi, którymi miała wejść księżniczka. Zawodziły wszystkie sposoby postępowania. Przed Herodiadą, posiadającą niezwykle wyczulony wewnętrzny słuch i wzrok, nie mogły się ukryć, nawet pod maską głębokiej obojętności, żadne jego uczucia. A może tylko tak mu się zdawało?

Tetrarcha nie tylko nie miał zamiaru poddać Johanana ostrym i surowym przepisom więziennym, ale wprost przeciwnie, szarpany wątpliwościami co do

słuszności czynu dokonanego pod naciskiem żony, starał się w sposób niedostrzegalny dla Herodiady i dworskiego otoczenia ulżyć ciężkiemu losowi więźnia. Oby tylko nie wołał swoim wielkim głosem! Oby tylko milczał! Kilkakrotnie nachodziła go chęć pomówienia z Niestrzyżonym. Raz nawet, obudziwszy się rano, rozdygotany z powodu snu o obciętych głowach, który go trapił przez całą noc, zamierzał wezwać do siebie Johanana. W swojej naiwności wyobrażał sobie, że Niestrzyżony, wtajemniczony w sprawy niepoznawalne, jest na pewno wytrawnym wykładaczem snów. Ale natychmiast zaniechał tego zamiaru. Wyobraził sobie bowiem Johanana stojącego nad nim z podniesionymi pięściami i potrząsającego ogromną, grzywiastą głową. Pewnego dnia tetrarcha dowiedział się o obecności uczniów nazira w pobliżu zamku. Krążyli nad brzegiem Morza Soli, wieczorami siadywali na głazach i zadzierając głowy wpatrywali się do późnej nocy w potężne mury Macherontu. Bali się podejść bliżej. Jasne było, że pragnęli nawiązać łączność z uwięzionym nauczycielem, ale nie wiedzieli, jak to mają uczynić. Herod Antypas – a było to właśnie kilka dni po owym nieszczęsnym śnie, podczas nieobecności Herodiady, która wraz z Salome przebywała wtedy w Jerycho – polecił dowódcy zamku ułatwić uczniom tajne spotkanie z Johananiem, ale równocześnie nie omieszkął zagrozić oficerowi karą, gdyby, nie trzymając języka za zębami, przed kimkolwiek ujawnił – powtórzył z naciskiem: przed kimkolwiek – otrzymany rozkaz. Kilka dni później nocą dwóch uczniów wpuszczono do zamku. Weszli do celi. Johanan ben Zecharia siedział na ziemi, w świetle ledwo dygocącej lampki oliwnej, i zmawiał półgłosem Tehilim. Gdy skończył, powitali go słowem Bożym. Spojrzał na nich i odwzajemnił się im słowami psalmu: „Halel et Adonaj min haszamajim, chwalcie Pana w niebiosach”. Z trudem panowali nad swoim wzruszeniem. Chętnie wypowiedzieliby swoją radość ze spotkania głośnymi okrzykami, śpiewem i klaskaniem w dłonie, tymi najbardziej wymownymi dowodami radości, ale musieli je w sobie stłumić, ponieważ spotkanie odbywało się potajemnie, pod osłoną ciszy nocnej i życzliwego – (tak mniemali), a w rzeczywistości podstawionego przez dowódcę – strażnika więziennego. Patrzyli więc na swojego nauczyciela i tłumili głośną radość, ale pełnym gardłem śpiewali w swoim wnętrzu i we wnętrzu swoim klaskali, a gdy wreszcie ustały okrzyki, śpiewy i oklaski ich poruszonego wnętrza, posmutnieli, gdyż spostrzegli, że Johanan przez kilka więziennych miesięcy bardzo się postarzał. Jego wąska, koścista twarz w zawierusze krzaczastej, rozwichrzonej, a teraz już z lekka szpakowatej brody była prawie niewidoczna. W mroku błyszczał tylko sępi nos i tliły się oczy. Gdy mówił, zdawało się, że jego głos dochodzi z najodleglejszej dali, a wrażenie to pogłębiała niemożliwość ustalenia linii jego warg, zagubionych w gęstwinie włosów. Gdy

patrzył, patrzył również z najodleglejszej dali, i – niestety! – było to już spojrzenie męża odchodzącego. Zrozumieli, że muszą się spieszyć. Ale nie z powodu przemijającej nocy – było jeszcze daleko do świtu, a dopiero przed świtem mieli opuścić więzienie – ale z powodu przemijającego człowieka. Postanowili więc wszystko mu wyjawić, niczego przed nim nie kryć, niczego niedomówieniami nie łagodzić, nawet gdyby to, co usłyszysz, miało go zboleć do żywego, do samego dna jestestwa.

Usiedli obok niego na ziemi. Szczupły młodzieniec o zapadłych policzkach i okrągłych oczach, nadających jego twarzy wyraz owczej płochliwości – był to jeden z owych dwóch, którzy przybyli do Kfar Nahum do Jezusa i zadali Mu pytanie, dlaczego nie przestrzega postów – tymi słowami przemówił do Johanana ben Zecharia:

– Uradowały się serca nasze na twój widok, rabbi. Ale smuci nas ciemność, w której siedzisz. Smucą nas te więzienne mury, w których trzymają cię ręce grzeszników. Wiemy jednak, że ciemność, w której siedzisz, i wysokie mury, wśród których przebywasz, nigdy nie oddziela cię od Elohim, a może nawet dzięki tym ciemnościom i murom jeszcze bliżej zbliżyłeś się do Pana, a może już nawet z powodu owej bliskości czujesz oddech Jego na swojej twarzy. Błogosławiony bądź, rabbi, z powodu bliskości Pańskiej.

Westchnął, a potem tak dalej mówił:

– Ciemności i mury nie oddzielają cię od Pana, ale my, uczniowie twoi, jesteśmy od ciebie oddzieleni ciemnością i murem, nie słyszymy twojego głosu i mądrości twoich ust. Jesteśmy owcami bez pasterza, owcami rozproszonymi, i aczkolwiek trzymamy się razem, żyjemy razem i razem rozmyślamy o twojej nauce, mimo to wielkie jest nasze rozproszenie. Oddzieleni od ciebie ciemnością i murem, wielu rzeczy nie rozumiemy, a nie mogąc zasięgnąć twoich rad, błąkamy się w niepewności i wahaniu. A teraz po wielu miesiącach, dzięki uprzejmości strażnika, tajnie przyszedliśmy do ciebie, trzciny chwiejne, aby chwiejność swoją uleczyć. Powiedziałem, że wielu rzeczy nie rozumiemy, ale w rzeczywistości rozumiemy je i właśnie z powodu owego zrozumienia drżenie wstąpiło w nasze nogi i w nerki nasze, bo to, co rozumiemy, przeczy temu, co nam mówiłeś, więc nie wiemy, czy ty się pomyliłeś, czy rozum nasz jest zaciemniony, czy chodzimy w fałszu, a nasze nogi błądzą po krzywych drogach. Ale ponieważ wiemy, że nie jesteś bratem szakali i towarzyszem strusiów, lecz bratem mądrości i towarzyszem Elohim, więc nie mogłeś się mylić, skoro jednak nie mogłeś się mylić, dlaczego harfa nasza zamieniła się w lament żałobny, a flet w skargę płaczącą? – Tak mówił młodzieniec o okrągłych oczach i siedząc na ziemi wyciągnął prawą rękę ruchem błagającego o pomoc

człowieka pokrzywdzonego, ale świadomego słuszności swej sprawy, i mówił dalej, pytając Johanana ben Zecharia: – Dlaczego Jezua ben Josef, którego nazwałeś Barankiem Bożym, nie przestrzega postów i przez siedem dni tygodnia spożywa wszystkie potrawy, i pije wino? Byliśmy u Niego, a On temu nie zaprzeczył. Dlaczego Jezua ben Josef, o którym twierdzisz, że jest Tym, który przyszedł, nie czci świętego Szabatu i pozwala swoim uczniom w dniu królowej wszystkich dni zrywać kłosa pszeniczne na polach? Dlaczego Jezua ben Josef, który według twoich słów ma chrzcić Duchem Świętym i Ogniem, siedzi przy jednym stole z celnikami, spożywa z nimi obfite potrawy i pije z nimi wino, a jednego z nich uczynił swoim uczniem? Dlaczego Jezua ben Josef, któremu według twoich własnych słów nie jesteś godzien rozwiązać rzemyka u sandałów, rozmawia z nieczystą Samarytanką, a sparaliżowanemu i jawno grzesznicy odpuszcza grzechy, skoro tylko Elohim może odpuszczać grzechy grzesznym dzieciom Adama? Powiedziałeś: „W ręku Jego jest wiejadło, a On oczyści swoje klepisko i zbierze pszenicę do spichlerza, lecz plewy spali w ogniu nieugaszonym”, a On nie oczyszcza swojego klepiska i nie tylko nie pali plew w nieugaszonym ogniu, lecz plewy łączy z ziarnem, złe z dobrym, nieurodzajne z urodzajnym. Dlaczego to czyni? Więc kim właściwie jest? Czy jest Tym, który przyszedł, czy też innego czekać mamy? Przyszliśmy cię o to spytać, albowiem mimo wielu cudownych uzdrowień, których dokonał, nie wiemy, kim jest i w czyje imię leczy, i w czyje imię wypędza demony. – Tu młodzieniec potrząsnął wyciągniętą dłonią, ale teraz nie był to już gest człowieka błagającego o pomoc, lecz domagającego się wyczerpujących wyjaśnień.

Johanana ben Zecharia nie udzielił odpowiedzi młodzieńcowi, nie stawiali mu więc dalszych pytań, tylko siedzieli w ciemnościach i przeżywali w swoich sercach – uczniowie milczenie nauczyciela, a nauczyciel pytania uczniów. W myślach zbliżali się ku sobie, to znów się oddalali. Uczniowie na różne sposoby badali milczenie nauczyciela, a Johanana ben Zecharia kroczył po ich pytaniach jak po krętych kamienistych ścieżkach, pełnych wyboi, wilczych dołów i zdradzieckich sideł. Szedł tą drogą raz pod górę, raz na dół, i im dalej szedł, tym większa ogarniała go trwoga przed utajoną treścią tej trudnej wędrówki i jej tajemniczym celem. Przystanął. Nie chciał iść dalej.

O świcie, po całonocnym milczeniu, uczniowie odeszli i zapowiedzieli, że za kilka tygodni znów przyjdą. I znów przyszli, i znów wsączali w niego cierpką wątpliwość, kropla po kropli, i kroplami drażyli ten kamień niezłomności monotonnymi pytaniami, wypowiedzianymi błagalnym głosem, który przechodził w ton żądający, i znów odchodzili rozczarowani jego milczącym uporem. Wczoraj zjawili się rozgorączkowani, z wypiekami na twarzy, i opowiedzieli mu

o ostrzeżeniu wystosowanym przez arcykapłana Świątyni Pańskiej do wszystkich miast, miasteczek i wsi Galilei. Czekali. A Johanan, odpowiadając wreszcie na ich czekanie, rzekł:

– Idźcie i czekajcie na moje wezwanie. Odeszli.

Była noc. Księżyc w pełni stał wysoko na niebie i swoją złotą pełnią wypełniał zakratowane okno. Niestrzyżony siedział na ziemi. Twarz jego przecinał cień kraty w kształcie krzyża. Z początku swoim zwyczajem zmawiał Tehilim, kołysząc się naprzód i w tył – kołysanie jest życzliwym przynagłaniem Pana do szybszego wypełnienia łaski – ale im bardziej wstępował w głąb swojego serca, tym kołysanie jego stawało się mniej miarowe, aż wreszcie znieruchomiło i przestało być kołysaniem. Johanan ben Zecharia myślał: ...Widziałem własnymi oczami Gołębicę krążącą nad Jego głową i słyszałem własnymi uszami słowa Gołębicy wychodzące z jej dzioba, który był dziobem niebios, mówiącym wyraźnie i uroczyście, poznałem ów głos, albowiem był on głosem pustyni, głosem burzy na dachu pustelni w Qumran, więc mylić się nie mogłem, bo przecież nie może omylić zapalczywy głos Pana, tak rzeczywisty, jak rzeczywista jest moja dłoń, a potem powiedziałem, że jest Barankiem Pana, i jest Barankiem Pana, ponieważ mam o Nim świadectwo mojego wnętrza, świadectwo o Idącym i Przybyłym, świadectwo moich ust, oczyszczonych węglem ognistym, a co jest oczyszczone, nie może być nieczyste i nie może pochodzić od człowieka, ale pochodzi od Pana, który przemawia przez oczyszczenie, nieskazitelność i niepokalaność, i dlatego oczyścił moje niegodne usta i włożył w nie głos, i kazał głosowi temu przemówić, więc oczy moje i uszy nie mogły się mylić, ale jestem człowiekiem nędznym i łamliwym, jestem trzcina wiatrem kołysaną jak wszyscy ludzie, dlatego wszystko, co jest niewątpliwe, ugruntowane i umocnione, wydaje się w mojej niemocy i mojej kruchości wątpliwe, nie ugruntowane i nie umocnione, i dlatego jest we mnie grzeszne pragnienie nieustannych dowodów potwierdzających dowody, fundamentów umacniających fundamenty, głosów przytakujących głosom, a to pragnienie jest grzechem popełnionym przed Panem, bo słowo Pana jest kroczeniem naprzód, osiągnięciem celu, dokonaniem działaniem i czynem, a chociaż o tym wiem i nigdy o tym nie zwątpiłem, pragnę, aby Pan uleczył moją chwiejność i niewątpliwą wątpliwość. – Tu Johanan ben Zecharia przetarł oczy i patrząc w pełnię księżyca, wypełniającą zakratowane okno, tak dalej myślał: ...Gdy On się zjawił, ja począłem odchodzić, a gdy On począł rósć, ja począłem się pomniejszać i zanikać, i oto jestem w zanikaniu i błogosławię moje zanikanie, i moim zanikaniem przyświadczam Jego pełni, aczkolwiek nie rozpoczął On sądu nad drzewami i nie wydał na nie wyroków, i nie przyłożył siekiery do korzeni drzew, i nie wyciął, i nie wrzucił do ognia drzew robaczywych, drzew nie

przynoszących dobrego owocu, ale przygarnął do siebie drzewa próchniejące na równi z drzewami mocnymi, więc rośnie moja niewiedza i coraz więcej nie wiem, i nie wiem, dlaczego nie sądzi, i nie wiem, dlaczego nie przykłada siekiery do korzeni drzew, i nie wiem, dlaczego nie roznieca ognia i nie sądzi ogniem, i nie waży, i nie mierzy ogniem, miarą jedyną i niezastąpioną, i dlatego jestem pogrążony w niewiedzy, a grzechy moje wyryte są ostrzem diamentowym na rogach Pańskich ołtarzy, a niepokój niewiedzy rozbił we mnie swój namiot, więc błagam Pana, aby uleczył moją niewątpiącą wątpliwość. – Tu Johanan ben Zecharia przetarłszy oczy i widząc, że te rozmyślania do niczego nie prowadzą, bo nie zdoła dociec, dlaczego Jezua ben Josef nie działa tak, jak powinien według niego działać, zdobył się przed obliczem Pana na odwagę i odszedł zupełnie od siebie, i począł mówić poufale z Panem, tak jak mówi wtajemniczony z Wtajemniczonym, jak ten, który się dowiedział, do Tego, który wie: – Panie, widziałem Gołębicę nad Mocnym i słyszałem głos Twój nad brzegami Jordanu, a w tym słyszeniu kazałeś mi słyszeć więcej, niż moje uszy mogły usłyszeć, i w widzeniu kazałeś mi widzieć więcej, niż moje oczy mogły ujrzeć, ale na tym pomnożeniu i przyroście położyłeś Twoją ciężką i nieusuwalną pieczęć i kazałeś mi milczeć, a po to, żebym milczał i ust nie otwierał, kazałeś mojej niezłomności drżeć chwiejnością trzciny, chociaż nigdy chwiejna nie była, a mojej wierze kazałeś wątpić, chociaż nigdy wiary i pewności nie utraciła, więc widząc w swoim wnętrzu, kim jest Mocny, czy mam głośno zawołać spienionymi ustami, które gryzą Twoje żelazne wędzidło, czy mam głośno zawołać: Słuchaj, Izraelu! Ja wiem, kim jest Jezua ben Josef!? – A może mam głośno zawołać spoza straży, ustanowionej przez Ciebie u moich warg, może mam krzyknąć spoza niezachwianej pewności krzykiem wątpiącym i chwiejnym: Jezuo ben Josef, powiedz, czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego oczekiwać mamy?!

Johanan ben Zecharia wprawdzie powziął postanowienie, ale nie natychmiast wezwał do siebie swoich dwóch uczniów. Znów minęło kilka dni i bezsennych nocy, podczas których dokładnie prześledził dotychczasowy bieg swoich myśli i wielokrotnie hardo-pokornymi słowami wzywał Elohim, i pytał Go w czołobitnej poufałości, czy może ujawnić to, co w nadmiarze wiedział, i to, co w nadmiarze słyszał, ale gdy Pan milczał, dając mu tym prostym sposobem do zrozumienia, że nie ma zamiaru zdejmować pieczęci z raz ustanowionych Tajemnic ani odwoływać straży sprzed jego warg, ani z ust jego wyjmować wędzidła, ani tym bardziej przywracać mu głosu, Niestrzyżony kazał zaufanemu strażnikowi przywołać swoich uczniów, a gdy się zjawili, rzekł do nich:

– Idźcie do Jezuy ben Josef i spytajcie Go w moim imieniu: Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego oczekiwać mamy? A potem wróćcie do mnie

i doniesiecie mi, coście widzieli i słyszeli. A będzie tak, jak On powie.

Tak rzekł i pobłogosławił ich Imieniem Pańskim. A oni silniej zacisnęli pasy na biodrach i ruszyli w drogę do Galilei. Szli szybko, mimo gorącego wiatru, który wiejąc od południa znad Jam Hamelach pozostawiał na ich wargach smak słonej goryczy.

Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść?

Uczniowie Johanana ben Zecharia po kilku dniach podróży stanęli wreszcie w Kfar Nahum, w małym zajeździe położonym w okolicy rybnej przystani. Nie byli w radosnym nastroju. W drodze słyszeli od mieszkańców miasteczek i wsi o wysłannikach Sanhedrynu, którzy nie tylko ostrzegali synów Izraela przed Jezusem, lecz pod najostrzejszymi rygorami – powoływali się przy tym na Pismo Święte – domagali się od nich dokładnych wiadomości o Jego działaniu i słowach. Wysłannicy śledząc bacznie najbliższe otoczenie Rabbiego, Jego uczniów, ich rodziny i przyjaciół, uczestników zebrań i słuchaczy Jego mów, zapisywali ich imiona i wypowiedzi. Uczniowie Niestrzyżonego nie zamierzali składać władzom Sanhedrynu skarg i doniesień na Jezusa. Chętnie by już nawet poniechali spotkania i rozmów z Jezusem, byleby nie narażać się na badanie i śledztwo prowadzone przez podejrzliwych urzędników Kajafy, którzy stawiali podchwytliwe pytania i węszyli w każdym słowie odstępstwo i bezbożnictwo. Ale po powrocie co powiedzą Niestrzyżonemu? Jak usprawiedliwią przed nim swoje tchórzostwo? Usnęli wzdychając głęboko, a świt powitali nie mniej głębokim westchnieniem, i tak pomiędzy dwoma westchnieniami upłynęła im noc. Nałożyli chusty modlitewne i tefilin i zwróceni twarzami na południe, ku Jerozolimie, odmawiali w wątpliwym skupieniu modlitwę poranną. Młodszy starał się całym wysiłkiem woli uczestniczyć w pochwalnych modłach, lecz tylko z wielkim trudem rozumiał głębię i powagę zmawianych wersetów. Aczkolwiek uboczne myśli zaprzętały jego uwagę, raz po raz powracał z krętych dróg swoich zatroskanych rozmyślań na główny i prosty trakt modlitwy. Ale drugi młodzieniec, ów o okrągłych oczach płochliwej owcy, odbiegł jeszcze dalej niż jego towarzysz od zmawianej modlitwy. Już na samym jej wstępie olśniła go myśl, że właściwie nie jest tak źle, jak mu się pierwotnie zdawało. Sanhedryn nie wydał na Jezusę wyroku. Wysłannicy wykonywali zalecenia Kajafy, ale zalecenia Kajafy nie są wyrokami i mogą być unieważnione przez Sanhedryn. Poza tym w miasteczkach i wsiach spotykali wielu synów Izraela, którzy wyrażali podziw dla Jezusy, a uczucia swoje wypowiadali nawet w obecności wysłanników arcykapłana. Od ostrzeżenia do wyroku jest jeszcze kawał drogi. A zresztą oni,

posłowie Niestrzyżonego, przybyli nie jako zwolennicy Jezusy, ale po to, by się dowiedzieć od Niego samego, kim On właściwie jest. Mimo to woleliby nie stykać się z wysłannikami Kajafy, bo, zaprawdę! nie chcieli zeznawać przeciw Rabiemu, o którym, jakkolwiek by było, Johanen ben Zecharia powiedział: „Oto Baranek Elohim”. Młodzieniec o okrągłych oczach przez cały czas tych rozmyślań zmawiał Szema Israel i Szemone Esre, to znaczy zmawiał nie wiedząc, co zmawia, bo zmawiał tylko ustami, ale nie sercem – było to zmawianie pospieszne, pozbawione modlitewnej świadomości, nieużyteczne – i gdy dobiegł bez żadnego wewnętrznego wysiłku do końca Błogosławieństw i wyszeptał: „Amen”, zmartwił się z powodu tak szybko i nieuważnie odklepanej modlitwy. Ale już nie było czasu, aby modlitwę powtórzyć. Przeprosił Pana za roztargnienie i grzeszną nieuwagę, a na swoje usprawiedliwienie nie omieszkiał dodać, że przyczyną jest głęboko trawiąca go troska o całość Domu Pańskiego.

Udali się do miasta. Gdy zbliżyli się do domu Kefasa, spostrzegli z dala tłum ludzi i Jezusa, który stojąc na progu w towarzystwie uczniów, mówił coś do zebranych, ale nie mogli dosłyszeć słów z powodu znacznej odległości. Jezus spostrzegł ich, gdy szli przez plac. Poznał ich. Kąty Jego ust podniosły się nieco w półuśmiechu, a wargi rozchyliły się. Prawą ręką gładził brodę, a lewą przyjaznym gestem dawał im znak, aby podeszli bliżej. Stropieni zbliżyli się i stali naprzeciw Niego z pokornie pochylonymi głowami, zapomniawszy języka w ustach. Powodem tego nagłego i nieprzewidzianego zmieszania była zupełna zmiana wyrazu twarzy Jezusa. Ogi, podczas owej pamiętnej nocy, gdy wyszedł do nich z domu Lewiego Mataja – o, ten celnik tam stoi w gromadzie uczniów – i mówił do nich o poście, wydawał im się groźny, nieprzystępny, daleki, stojący na górze, a teraz zaskoczeni byli pogodą, łagodnością i błękitem Jego oczu. Zanim zaczęli mówić, spytał ich o Johanana ben Zecharia, o warunki więzienne, w jakich przebywa, o zachowanie się Heroda Antypasa i Herodiady – tu zmarszczył brwi – i dodał, że jak Samuel gromił Saula, Nathan Dawida, Elijahu Achaza, tak Mąż Pustynny gromi tetrarchę. Porównaniem tym dał im do zrozumienia, że uważa Johanana ben Zecharia za proroka, co wprawdzie sprzeczne było z nieustępliwym twierdzeniem ich nauczyciela, ale mimo to miło im było usłyszeć z ust jego Brata tak wysoką i wyróżniającą pochwałę. A potem dla pociechy powiedział im, wskazując palcem na otaczającą Go rzeszę, że są wśród niej ludzie, którzy pod wyciągniętymi dłońmi Niestrzyżonego zanurzali się w świętych wodach Jordanu u brodu Bethabara i Bethanii. I znowu wskazał palcem na tłum, jakby go ponownie brał na świadka swoich słów. Uśmiechając się współczująco spytał młodzieńców, z jakim poselstwem przybyli od brata uwięzionego. A na to rzekł młodzieniec o okrągłych oczach:

– Johanan ben Zecharia przysłał nas z zapytaniem, czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego oczekiwać mamy.

W odpowiedzi Jezus wywołał z pamięci słowa proroka Jesai o ludziach ubogich, łaknących Dobrej Nowiny, o odzyskanym wzroku ślepców i odzyskanym słuchu głuchych, o umarłych zmartwychwstających, i ukrył się za tymi słowami jak za ognistym obłokiem, sam będąc obłokiem, za którym się ukrył. Odpowiadając im, rzekł:

– Wracajcie i donieście Johananowi ben Zecharia, coście widzieli i słyszeli: że ślepi widzą, kulawi chodzą, trędowaci są oczyszczeni, głusi słyszą, umarli wstają z martwych, a ubogim zwiastowana jest Dobra Nowina. Błogosławiony jest ten, który się mną nie gorszy.

I umilkł. Więcej nic im nie powiedział. A oni wiedzieli, że już im więcej nic nie powie, że w tych skąpych zdaniach jest wszystko, co miał do ujawnienia. Właściwie nic im nowego nie powiedział. Mówił tylko o cudach, mówił o Dobrej Nowinie i uczynił wymowną aluzję do ich zgorszenia. Gorszyli się, ponieważ wątpili o Nim. Jedynym świadectwem, jakim się posłużył dla udowodnienia Prawdy, były – ich oczy i uszy. „Donieście Johananowi ben Zecharia, coście widzieli i słyszeli... „ A oni właśnie nie dowierzali swoim oczom i uszom. I tych świadków, których uważali za najmniej wiarygodnych, uczynił koronnymi świadkami swojej Prawdy! Zawstydzili się. Jezua ben Josef przejrzał ich na wylot, aż do dna, i nic im nie powiedział ponad to, co widzieli i słyszeli, i to, co widzieli i słyszeli, kazał powtórzyć Johananowi. I ani słowa więcej. Więc po co przybyli? Po co przez kilka dni i nocy trudzili się długą i mozolną drogą? Z czym wracają? Z niczym i ze wszystkim. Czyli sami muszą teraz postanowić o swoim losie. Albo uderzą się w piersi i wyznają swoje zgorszenie, albo nadal trwać będą w zgorszeniu i niedowiarstwie. Wszystko zależy od wiary, jaką dadzą świadectwu swoich oczu i uszu.

Pokłoniwszy się, odeszli z ciężkim sercem i udali się w drogę powrotną do Macherontu, a idąc szli bocznymi drogami, często na przełaj, aby nie napotkać wysłanników Josefa Kajafy, arcykapłana.

Po odejściu uczniów Niestrzyżonego Jezus począł mówić do rzeszy o uwięzionym bracie, a mówił do tych, którzy go znali, i do tych, którzy go nie znali. Zadając zebranych pytania – były to pytania, w których zawarta była cała odpowiedź – pytał ich:

– Coście wyszli oglądać na pustyni? Czy trzcinę chwiejącą się na wietrze? Czy człowieka w miękkie szaty odzianego? Tych, którzy chodzą we wspaniałych szatach i żyją w przepychu, znajdziecie w pałacach królewskich. Coście wyszli oglądać? Proroka? Owszem, powiadam wam, i więcej niż proroka. To jest ten, o którym mówił

Adonaj ustami proroka Maleachi: „Oto ja wyślę posłańca mojego, aby przygotował drogę przede mną, a potem nagle przybędzie do swojej Świątyni Pan, którego oczekujecie, i Anioł Przymierza, którego pragniecie. Oto nadejdzie, mówi Pan Zastępów. Ale kto przetrwa dzień Jego nadejścia i kto się ostoi, gdy się ukaże? Albowiem On jest jak ogień złotnika i jak mydło pilśniarzy. Usiądzie zatem, jakby miał przetapiać i oczyszczać srebro”. Albowiem Prawo i wszyscy prorocy przepowiadali aż do Johanana ben Zecharia. Jeżeli zaś chcecie wiedzieć, kim on jest, to wam powiem, że on jest Elijahu, który ma przyjść według słów proroka Maleachi: „Oto ja pošlę wam proroka Elijahu przed nadejściem Dnia Jahwe, dnia wielkiego i straszego. I skłoni serca ojców ku synom, a serca synów ku ich ojcom, abym nie przyszedł i nie poraził przekleństwem ziemi izraelskiej”. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha.

Tak mówił Jezus na przekór temu, co mówił o sobie Johanana ben Zecharia, albowiem Rabbi więcej wiedział o bracie uwięzionym, niż brat uwięziony wiedział o sobie samym. Brat twierdził, że nie jest prorokiem i nie jest Elijahu, ale w rzeczywistości jest prorokiem i jest Elijahu, i jest nawet więcej niż prorokiem, i nawet więcej niż prorokiem Elijahu – rozumie się nie w sensie wcielenia, lecz znaku – gdyż był Głosem, który nie prorokował, ale stwierdzał obecność Tego, który już przybył i który JEST, a ten, który stwierdza, ogłasza i obwieszcza w Imię Pana, jest czymś więcej niż prorokiem, jest szelijach, posłańcem obwieszczającym i stwierdzającym. Przybycie jego było początkiem wielkiego oczyszczenia, mającego się dokonać za pomocą pracy Świętego Złotnika wypławiającego złoto i Świętego Pilśniarza płuczącego pilśń, Męża, który na bliźniego, na miłość bliźniego, na łaskę, przebaczenie i na Szabat spojrzysz inaczej, niż patrzyli dotychczas wszyscy synowie Izraela, i będzie przy jednym stole jadł razem z celnikami i grzesznikami, i obecnością wśród nich oczyści ich nieczystość, i z brudnego piasku wydobędzie złoto, a z szarej pilśni niepokalaną biel.

Tak mówił Jezus, a mówiąc, pokłonił się bratu uwięzionemu i wyniósł go wysoko nad wszystkich ludzi.

– Zaprawdę, powiadam wam – wołał – nikt z tych, którzy się z niewiast urodzili, nie jest większy od Johanana ben Zecharia, ale... – tu urwał, namyślił się, spojrzął na swoich uczniów i ukrywszy się za zasłonę Królestwa Bożego, a czynił to, ilekroć mówił o sobie jako Nieskończoności i Wieczności, dodał: – Ale najmniejszy w Królestwie Bożym jest większy od niego.

Tak powiedział i wciąż patrzył na swoich uczniów, gdyż mówiąc o większych, miał na myśli ich właśnie, tych Dwunastu wybranych – Dwunastu? – tych stojących u Jego boku i jeszcze nie świadomych tej prawdy, że będą większymi od

dotychczasowych proroków i posłańców, i od biednego Nistrzyżonego, który będzie mniejszy od nich, albowiem nigdy nie był Jego uczniem i nigdy nie stał u Jego boku, a w świętej hierarchii Królestwa Bożego uczniowie Rabbiego, idący za Nim i wypełniający Jego słowo, więksi są od proroków zapowiadających Jego przyście i od posłańca stwierdzającego Jego obecność.

Potem, wciąż szczelnie zasłonięty zasłoną Królestwa Bożego, powiedział im, że chrzest udzielany przez Johanana ben Zecharia w wodach Jordanu jest bramą prowadzącą do Bożej sprawiedliwości, a ci faryzeusze i uczeni w Piśmie, którzy przybyli nad Jordan i byli świadkami zanurzeń, ale mimo to nie zanurzyli się w wodzie w cieniu wyciągniętych dłoni Nistrzyżonego, wzgardzili Pańskim postanowieniem. Nieszczęśliwi ludzie! Podobni są do niesfornych dzieci, które bawią się na rynku: podczas gdy jedne grają wesołe pieśni na piszczałkach, inne nie tańczą, a gdy tamte nuca pieśni żałobne, te znów nie płaczą. Jedni drugim nie mogą dogodzić. Przyszedł Johanana ben Zecharia, który nie jada chleba i nie pije wina, a synowie Izraela mówią: „Jest opętany przez demona”. Przyszedł Syn Człowieczy, który je i pije, a synowie Izraela mówią: „Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników”.

Tak mówił Jezus. A teraz podniósł głos, pogoda znikła z Jego czoła, oczy zabłyśły nadciągającą burzą i, wciąż zakryty gęstniejącą chmurą Królestwa Bożego, zawołał:

– A od czasów Johanana ben Zecharia aż dotąd Królestwo Boże doznaje gwałtów i gwałtownicy je porywają! Ale Mądrość Boża została usprawiedliwiona przez swoje uczynki!

Zgromadzone rzesze wiedziały, a wraz z nimi uczniowie Jego, że mówiąc o zadających gwałt, mówi o Kajafie i jego wysłannikach, ostrzegających synów Izraela przed Królestwem Bożym, i o tych wrogich Mu faryzeuszach, którzy bluźnierczo upatrują w Nim działanie sił Beliala. Jednak napełnił ich otuchą, gdyż powołał się na owocującą Mądrość Bożą, na świętą Chochma, która jest udziałem małych, biednych i cichych i objawia się nie przez ludzki wysiłek, ale przez Łaskę Pana.

Tak mówił, a mówiąc opowiadał im o Mądrości Bożej i wciąż do niej powracał, do Mądrości małych, biednych i cichych, i znów nawiązał do Johanana ben Zecharia i do Królestwa Bożego, i poruszał kolejno wszystkie te tematy, i za każdym razem na sposób inny, a jednak podobny, albowiem był to sposób Jemu i im właściwy. Synowie Izraela, wygłaszając mowę, przypowieść lub układając pieśń, nie budowali swojego dzieła według zasad proporcji i symetrii od początku tematu przez jego rozwinięcie do jego końca – proporcja i symetria były cechami pogańskiej duszy Grecji – ale przede wszystkim tworzyli główny temat lub kilka głównych tematów,

wciąż powracających w różnych odmianach, a piękno utworu w świadomości słuchaczy było tym piękniejsze, im liczniejsze i różniejsze były nawroty tego samego tematu, co świadczyło o muzycznych zdolnościach Izraela, który – jak już wiemy – był narodem słuchu i przez słuch widział rzeczy zasłyszane.

Słuchali więc i widzieli, i wielu z zadowoleniem potakiwało głowami, ale byli i tacy, którzy, zaniepokojeni ostrzeżeniami wysłanników Kajafy, odchodzili od Jezusa, oddalali się od Niego i więcej do Niego nie wracali. Bali się prześladowania.

Oko Jahwe

Miriam siedziała przed domem na macie i wpatrywała się w ciemniejący w dolinie Nazareth, który jak zawsze o zachodzie słońca, tak i teraz przechodził przez różne stopnie barw, z początku odbijał bielą od zielonych winnic i figowych gajów, potem, gdy promienie słoneczne padały poziomo znad gór Karmel, cały pograżył się w liliowej kurzawie o pastelowym odcieniu, a wreszcie, gdy i ona poczęła przygasać, okrył się srebrnym mrokiem jak przezroczystym woalem. Przed chwilą odeszli stąd jej krewni, drwal z trzema synami o guzowatych czołach, stary Halfi, Elhanan, mąż siostry jej zmarłego męża Josefa ben Jaakow – oby Elohim czuwał nad jego sprawiedliwą duszą – i Efraim ben Jicchak, który przybył dzisiaj ze swoim synem z Kany Galilejskiej. Siedzieli u niej kilka godzin i opowiadali jej w gorączkowym podnieceniu o groźnych ostrzeżeniach arcykapłana Kajafy. Jak przystało na ludzi ostrożnych i przewidujących, w obliczu trudnych powikłań dbali przede wszystkim o własne bezpieczeństwo – chociaż szczerze byli oddani Miriam i jej Synowi, czego dali liczne dowody – nie chcieli jednak poświęcać swego dobrego imienia i majątności, a może nawet i życia dla jakichś tam mamideł, może szlachetnych... tak, tak, na pewno szlachetnych... ale groźnych i niosących niechybną zgubę. Już nie chodzi o to, co głosi Jezua ben Josef, bo na pewno głosi myśli wzniosłe... tak, tak, na pewno wzniosłe... ale ważne jest obecnie stanowisko potężnego Kajafy, któremu nikt z krewnych Rabbiego – jakżeż oni wszyscy są bezsilni wobec arcykapłana! – nie ma zamiaru się przeciwstawić. Niebezpieczeństwo zawisło nad rodem! Trzeba ratować ród! Jak ratować ród?

Efraim ben Jicchak przeżywał te obawy nader głęboko, gdyż będąc świadkiem dwóch cudów, dokonanych na dziedzińcu jego własnego domu, był niejako osobiście uwikłany w całą sprawę i powinien był – nigdy nie wątpił o nadprzyrodzonym charakterze tych cudownych zdarzeń – sam, z własnej woli, udać się do wysłanników arcykapłana i zeznać wszystko, co dwukrotnie widział własnymi oczami. Ale wolałby, żeby spór rozstrzygnął się bez jego udziału i zeznań.

Po cóż te namiętne gniewy i groźby? – Komu one potrzebne? – Efraim ben Jicchak nie wiedział wprawdzie, jak należy załagodzić spór między mądrym i natchnionym Cudotwórcą a potężnym arcykapłanem, ale jedno było dla niego pewne: ten spór powinien być zażegnany polubownie – o, polubownie, to określenie bardzo mu się spodobało! – i dlatego postanowił, chociaż bez wielkiego entuzjazmu, udać się do Kfar Nahum, do Jeszuy ben Josef, w towarzystwie Jego matki i kilku krewnych i błagać Go, aby na pewien czas usunął się w miejsce ustronne, najlepiej na pustynię, a wtedy będzie można porozumieć się z Kajafą i uśmierzyć jego gniew. Efraim wtajemniczył w ten plan swojego syna, drwała o szerokich barach, starego Halfiego i Elhanana i otrzymawszy ich zgodę i pochwałę, udał się wraz z nimi do Miriam, i nic jej nie mówiąc o swoich zamiarach uprosił ją, aby udała się wraz z nimi do Kfar Nahum, do Jeszuy ben Josef, gdyż pragną zapobiec niebezpieczeństwu, które zagraża Jemu i całemu rodowi. Miriam zgodziła się. – Jutro mają ruszyć w drogę do Kfar Nahum.

A teraz Miriam siedzi przed domem w ciemnościach nocy i zastanawia się nad tym, co powiedział Efraim ben Jicchak. Martwi się z powodu Syna, wrogich Mu faryzeuszów i wojującego Kajafy i nie rozumie, po co ma iść do Kfar Nahum, skoro godzi się na wszystko, co mówi i czyni Jezua, a jej zgoda przed Jego obliczem jest tak samo posłuszna i służebna, jak przed laty przed obliczem Elohim, gdy pokornie i dobrowolnie przyjęła rozkaz Pański. Dobrzy ludzie przynosili jej wieści o działaniu i słowach Syna. Znała Jego cuda i znała Jego mowy, Jego przypowieści i Jego czyny. Aczkolwiek bardzo wielu spraw nie rozumiała, jednak nie mogąc ich objąć umysłem, przyjmowała je skwapliwie w swoje serce i umieszczała wśród spraw zrozumiałych. Podobnie czyniła ze smutkiem i samotnością, które jej nie opuszczały od czasu odejścia Syna z Nazarethu, a przecież umieszczała te uczucia wśród uczuć najradośniejszych i najpiękniejszych, bo były owocem wypełniania się przyrzeczeń Pańskich.

Wciąż żyła w cieniu i nie przekraczała jego granicy, zakreślonej przez Pana. Gdy za wolą i radą Elohim wychodziła z cienia i stawała u boku Jeszuy, czyniła to z pokorą i, wypełniwszy swoje zadanie, natychmiast powracała w cieniastą samotność. A teraz znowu, po długich, długich miesiącach, głos wewnętrzny kazał jej wyjść z cienia, przekroczyć jego granice, udać się do Kfar Nahum i stanąć w pełnym świetle dnia, oko w oko z umiłowanym Synem. Znowu Go ujrzy. Cieszyła się na to spotkanie mimo przewidywań, że będzie ono obfitowało w trudne przeżycia, tym trudniejsze, że brały swój początek w źródłach zapieczętowanych, w dalekich dziedzinach, za zamczystymi bramami, do których nie miała dostępu. Co Jahwe zamknął, powinno być zamknięte. Co Jahwe otworzył, powinno być otwarte.

Jeżeli zechce, zamknie. Jeżeli zechce, otworzy. Na jedną i drugą możliwość była zawsze unieźlenie przygotowana, a ta gotowość na wszystko, co Pan zarządzi, była celem jej życia. Był czas, gdy w wielkim strapieniu zastanawiała się nad milczeniem Jezusy, a potem, gdy opuścił Nazareth i począł działać w Judei, nad Jordanem, w Galilei i nad brzegami Jam Kinereth, i dokonywał cudów, i uzdrawiał chorych, poczęła z kolei zastanawiać się, kim On jest i kogo właściwie poczęła i porodziła ocieniona cieniem Pana. A teraz, po odejściu krewnych, siedząc przed domem na macie i patrząc przed siebie w mrok nocy, znów powróciła myślami do tamtych myśli i spytała w swoim wnętrzu: „Czy porodziła Męża Bożego, Pośłańca Pana, Proroka, Sługę Jahwe? Dlaczego, ilekroć przemawia, nie powołuje się na rozkaz Jahwe, jak to zwykli czynić wszyscy prorocy, ale przemawia tak, jakby przemawiał z własnego rozkazu? Dlaczego uzdrawiając chorych, wypędzając demony i wskrzeszając zmarłych, nie uzdrawia ich w Imię Pańskie i nie wzywa Imienia Pańskiego, i nie błaga Pana o Łaskę cudu, jak to czynił prorok Elijahu, ale tak uzdrawia chorych, wypędza demony i wskrzesza zmarłych, jakby tych wszystkich chorych, opętanych i zmarłych leczył i powoływał do życia na własny rozkaz? Kim jest mój Syn, którego porodziłam?” – tak pytała Miriam, rozpamiętując dotychczasowe dzieje synostwa jej umiłowanego Syna, o którym wiedziała tylko tyle, że mówi i działa inaczej niż wszyscy dotychczasowi prorocy i wysłannicy Pańscy, że do nikogo z nich nie jest podobny, bo przecież nie może do nikogo być podobny, gdyż żaden z nich nie narodził się z matki ocienionej przez Jahwe – tu pochylała głowę przed niezgłębioną Tajemnicą, która była dla niej tak samo niepojęta, jak byłaby dla wszystkich ludzi, gdyby o niej wiedzieli. Rozłożyła bezradnie ręce i wzniosłszy głowę do wygwieźdzonego nieba szepnęła: – Po cóż rozmyślam nad Tajemnicą, której nie umiem rozwiązać? Po cóż mi wiedzieć, o Panie, kim jest mój Syn? Jest, kim jest. – I umilkła, a po chwili powtórzyła pytająco i bezwiednie: – Jest, kim jest?

Szarpnęło ją uderzenie gwałtownego wichru i ujrzała płonący ogień w złotym pierścieniu, z którego wylewał się strumień rozżarzonego kruszcu. Był to Ogień widzący w kształcie bezkształtnego Oka. Szybko ukryła twarz w dłoniach, ale nadaremne były jej wysiłki, gdyż przez szczelnie zaciśnięte palce jak przez powietrze widziała olbrzymie Oko – był to żywioł wszechwidzenia od wieczności do wieczności, wszechwidzenia tworzącego i niszczącego, wywołującego i pogrążającego – które zniżając się i zbliżając wdzierało się do jej wnętrza. Wtedy ujrzała – drżąc z przerażenia – w tym niepojętym Spojrzeniu Spojrzenie swojego Syna, które wstąpiło w nią i było w niej. Poczuli się wypełniona tym Spojrzeniem, a Jego ciężar tak ciążył w jej ciele jak ongi, gdy była w czasie błogosławionym. Był to

ciężar bez ciężaru, całkowicie wyzbyty wszelkiego ciężenia, a jednak mimo to całą ją wypełniał i, wypełniając, określał. A potem Spojrzenie o Spojrzeniu jej Syna powoli opuszczało jej wnętrze. Ogień w kształcie bezkształtnego Oka począł się od niej oddalać w głąb wichru, który uciszony i jakby zawstydzony swoim gwałtownym wtargnięciem w sprawę biednej Miriam – teraz był wichrem już tylko z nazwania – odpływał ze spokojnym umiarem za granicę widnokągu.

Miriam podniosła głowę. Świtało.

Oto matka moja i bracia moi

W Kfar Nahum od samego rana panowało wielkie zamieszanie z powodu przybycia krewnych Jezusa i Jego matki, a napięcie osiągnęło swój szczyt, gdy po mieście rozeszła się wieść o tajnym spotkaniu kilku faryzeuszów i wysłanników Kajafy z Efraimem ben Jicchak i drwalem z Nazarethu. Wprawdzie mieszkańcy wiedzieli o życzliwości Efraima i drwala dla Jezusa, domyślili się więc, że chodzi im o załagodzenie sporu między Rabbim a Kajafą, ale zarazem zwietrzyli, że przedstawiciele rodu w razie potrzeby dla dobra i bezpieczeństwa całej rodziny nie cofną się przed użyciem środków drażliwych, lecz zapobiegających nieszczęściu. Miasto podzieliło się na dwa obozy: jedni, zapaleni zwolennicy Rabbiego – a ci byli w mniejszości – uważali, że cokolwiek się zdarzy, rodzina nie powinna ustąpić przed napastliwością Kajafy; drudzy, bardziej umiarkowani i bardziej spłoszeni rozmiarami pogłębiającego się sporu, pochwalali pośrednictwo mężów rodu, zatroskanych z powodu działalności Rabbiego, niewątpliwie szlachetnej, ale mimo to niebezpiecznej. Z każdą chwilą rosło napięcie. Zapaleni zwolennicy Jezusa stawali się w rosnącej gorączce sporu coraz bardziej zapaleni, umiarkowani coraz bardziej umiarkowani, a wreszcie jedni i drudzy stawali się nieustępliwi bądź w bojowym zapale, bądź w zadzierzystym umiarkowaniu. Czekali wielką gromadą – słońce stało już po zachodniej stronie nieba – przed domem Symeona ben Jona i głośno rozprawiali, słusznie przewidując, że coś ważnego tutaj się stanie. Nagle ktoś krzyknął, że przybyli matka i krewni Jezusa, i równocześnie zebrani spostrzegli nadchodzących z przeciwnej strony wysłanników Kajafy w towarzystwie kilku miejscowych faryzeuszów. Podczas gdy Miriam wraz z Mariamne, żoną Halfiego, i Leą, żoną Jony ben Efraim, pozostały na drodze, w pewnym oddaleniu od tłoczącej się przed bramą ciżby – Miriam, przetykając łązy, pomyślała: Czego oni chcą od mojego Syna? Co zamierzają? – Efraim ben Jicchak i syn jego Jona, drwal z synami, stary Halfi i Elhanan, mąż siostry Josefa ben Jaakow, a za nimi wysłannicy i faryzeusze poczęli przepychać się przez tłum. Zapukali do bramy.

– Czy Jezua ben Josef jest w domu? – spytał Efraim wyrostka, który otworzył bramę.

– Rabbi jest w domu – odparł chłopiec.

Weszli na dziedziniec, a za nimi ruszył tłum. Wysłannicy i faryzeusze przystanęli na progu, a Efraim ben Jicchak, stary Halfi i drwal weszli do wnętrza domu.

Jezus i uczniowie siedzieli przy stole spożywając ryby i chleb.

– Pokój temu domowi – rzekł Efraim.

– I tobie – odrzekł Jezus.

– Przyszliśmy pokłonić się naszemu Bratu – zaczął swoją przemowę Efraim – a pokłoniwszy się, pragniemy wyrazić nasz lęk z powodu wieści rozsiewanych przez niektórych synów Izraela. W gorliwości swojej oceniają oni pochopnie Twoje nauki, Rabbi – pochopność w dobrej wierze jest godna pochwały, ale zbyt pochopność może być krzywdząca – upatrują w nich zwodzicielstwo i odstępstwo od świętych ustaw, nadanych nam przez Elohim, Pana naszego. Ludzie ci w pobożnym staraniu o nieskazitelność nauki Bożej twierdzą, że Brat nasz popadł w nieumiarkowane uniesienie, a tak twierdząc, powołują się na Księgę Dewarim, w której czytamy: „Jeżeli nie usłuchasz głosu Boga twojego, Adonaj, i nie wykonasz pilnie wszystkich poleceń i nakazów, które ja dzisiaj tobie daję, spadną na ciebie wszystkie te oto przekleństwa i dotkną cię: Pan dotknie cię obłudą, ślepotą i niepokojem serca”. Tak napisane jest w Księdze Dewarim, a wprawdzie Brat nasz – moim zdaniem – nie został dotknięty ani nieumiarkowanym uniesieniem, ani niepokojem serca, ani ślepotą, mimo to jednak twierdzenia niektórych synów Izraela znalazły posłuch u męża świątobliwego, u korony Sanhedrynu, arcykapłana. Troska nasza jest w naszym sercu, słowa trzepocące są na naszych wargach. Tą troską wiedzeni przyszliśmy Brata naszego prosić, aby nieznacznie oddalił się sprzed oczu Izraela i udał się na pustynię, i tam przebywał przez pewien czas w ukryciu i samotności, a wtedy to, co się niektórym wydawało zgorszeniem, wraz z odejściem naszego Brata na pustynię przestanie być zgorszeniem, a miejsce dalekie i przedłużający się czas uspokoją niepokój i przywrócą cierpliwość serca nie tylko dostojnym uczonym w Piśmie Świętym, ale również i nam, którzy wraz z Tobą, Rabbi, pochodzimy z jednego korzenia i z jednego pnia. Będzie to, Rabbi, zaszczytne samoprowadzenie do krainy rozmyślań. Ale ten pobyt w miejscu pustynnym nie będzie utożsamiony z wyrzeczeniem się, bo nie może być wyrzeczeniem rzecz raz postanowiona i ustalona przez Pana, jeżeli więc jest postanowiona, nie będzie odwołana, a będzie jedynie poddana doskonałej próbie, która oczyszcza i wyjaśnia, i czyni wszelką czystość jeszcze czystsza, a wszelką jasność jeszcze jaśniejszą. A wiemy z przeszłości, że owo ze wszech miar zaszczytne i podniosłe samoprowadzenie było udziałem

wielu proroków i mędrców, i dzięki niemu dopięli oni celu wyznaczonego im przez Elohim – tak mówił Efraim ben Jicchak, a mówiąc, ostrzeżenia swoje kierował przede wszystkim do tych spośród uczniów Jezusa, którzy byli Jego krewnymi, związanymi z Nim wspólnotą rodu i więzami krwi, i śledził bacznie wrażenie, jakie swą mową wywiera na synach Halfiego – Halfi wyciągnął do synów ręce i poruszał nimi niezdarnie jak ptak złamanymi skrzydłami – na młodym Jaakowie, na Symeonie gorliwcu, na Jehudzie. Jezus, jak to było w Jego zwyczaju, ilekroć rozważał trudne sprawy, pochylał głowę ku prawemu barkowi i trwał tak nieporuszony, nie dając poznać po sobie, co czuje i myśli, natomiast uczniowie stłumionym szeptem wymieniali między sobą wrażenia, ich twarze płonęły, ich oczy świeciły, a im głębiej wnikali w wypowiedź bogacza, z tym większą wyrazistością spostrzegali, że rady jego są tym razem przyprawione troską tylko o korzyści ziemskie, o bezpieczeństwo rodu i własnej majątności. Tym większe było ich rozczarowanie, że słowa te wypowiedział człowiek, o którego bogobożności nigdy dotychczas nie wątpili. Stało się dla nich jasne, że skoro i on uległ trwożnemu przygnębieniu i pragnie uwolnić rodzinę od zbyt bliskiej obecności Jezusa, nad Rabbim i nad nimi zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Wspólnota rodowa nigdy nie wypiera się swoich członków. Chyba że swoim działaniem godzą oni w jej uświęconą przez Pana całość. Czyżby ród uwierzył, że Jezus swoim działaniem może go przyprawić o nieszczęście i zgubę? Czyżby ród zamierzał w tej trudnej chwili wyprzeć się Jezusa? Byle siebie ratować? Spojrzeli na Rabbiego. Siedział wyprostowany i przenikliwym spojrzeniem zgłębiał każdego z nich z osobna, ich wnętrza, ich myśli, ich zamiary, ich uczciwość, ich wierność, ich poczucie nierozzerwalnej wspólnoty, poczucie wspólnoty przypieczętowanej liczbą Dwunastu wybranych, wybranych spośród wybranych, związanych z sobą więzami Jahwe, łańcuchami pokrewieństwa, łączącego człowieka z Elohim. I Jezus, i stary Halfi – wciąż drżały jego ręce – i Efraim ben Jicchak wodzili spojrzeniami po uczniach i wzrok swój zatrzymywali dłużej na synach Halfiego, na młodym Jaakowie, na Symeonie gorliwcu, na Jehudzie, a Rabbi wzrokiem wciąż ważył ich wnętrza, odmierzał ich głębię i rzucał na jedną szalę wspólnotę rodu, a na drugą wspólnotę Jahwe. Nagle Symeon gorliwiec zerwał się z ławy, a za nim zerwali się wszyscy uczniowie, tak że po jednej stronie stała wspólnota rodu ziemskiego, a po drugiej wspólnota rodu dwunastu uczniów. I wtedy stało się, że Symeon gorliwiec o mocnych mięśniach i Symeon ben Jona o kanciastych ruchach, i wysoki, muskularny Nathanael ben Tolmaj, i delikatny Jaakow, i Jehuda o niewinnych oczach, powoli stawiając kroki, szli ku Efraimowi i jego synowi Jonie, ku Halfiemu, ku drwalowi i Elhananowi, a oni powoli pod naporem ich nieustępliwych kroków cofali się ku drzwiom i poza próg, aż znaleźli się na dziedzińcu przed faryzeuszami

i milczącą gromadą ludzi. Uczniowie cofnęli się w głąb izby, a Efraim i krewni, nieporadnie unikając gniewnego wzroku faryzeuszów i przybyłych z Jerozolimy wysłanników, torowali sobie z trudem drogę przez szczelnie zbitą ciżbę i przepychali się ku kobietom, które stały pod kamiennym murem i pocieszały zapłakaną Miriam.

Faryzeusze i wysłannicy widząc, że namowy krewnych nie odniosły skutku, zbili się w gromadę i po krótkiej naradzie uzgodnili między sobą plan działania. Teraz przyszła kolej na ich jawne oskarżycielskie wystąpienie. Powinni wejść do izby, stanąć przed Jezusem i wielkim głosem, słyszalnym zarówno w izbie, jak i na dworze, wygłosić ustami najstarszego męża jasne i dobitne oskarżenie, które by do głębi wstrząsnęło Rabbim, Jego uczniami i tłumem stojącym przed domem. Ale ponieważ obawiali się, że ich głos z wnętrza izby nie dotrze w pełnej swej oskarżycielskiej grozie i słyszalności do tłumu – a tłum musi słyszeć każde ich słowo, bo są to słowa arcykapłana – przystanęli w progu sieni, a jeden z wysłanników, mąż otyły z ceglastymi wypiekami na twarzy, krzyknął w głąb izby:

- Opętany jesteś, Jeszuo ben Josef, przez Baal Zebuba! A drugi wysłannik zawołał:
- Mocą księcia diabelskiego wypędzasz szatanów!

A mąż z ceglastymi wypiekami na twarzy, wyrzuciwszy przed siebie rękę, wrzasnął:

- Jesteś opętany przez ducha nieczystego!

I natychmiast począł uroczystym głosem cytować święte ustawy i przepisy z Księgi Dewarim o bluźniercach, odstępach, zwodzicielach i fałszywych prorokach, ale głos jego w przystępie wzburzenia załamał się, przeszedł w krzyk, a wreszcie w niezrozumiały bełkot. Uniesiony bezgranicznym gniewem, gestykułował rękami, głową, całym ciałem i burzą tych gestów potwierdzał ważkość ustaw, uskrzydlał je, podwajał ich wagę, pogłębiał ich moc i czynił to z takim natchnieniem i szaleńczym samozaparciem, że postać jego stawała się zbędna, zatracala się przed oczami tłumu, znikala, a jedynie widzialny był gąszcz jego chaotycznych ruchów.

Nagle umilkł. Jego ruchy i gesty rozplynęły się w powietrzu. Znużone nadmiernym wysiłkiem ciało znów wypełniło przeznaczoną dla siebie przestrzeń, ucieleśniło się i znieruchomiło.

Cisza zaległa dziedziniec.

Z izby odezwał się głos Jezusa, zapraszający faryzeuszów i wysłanników do wnętrza. Weszli. Za nimi wtargnął tłum.

Jezus podniósł się z ławy i zwracając się do przybyłych, rzekł:

– Powiedzieliście: „Opętany jesteś, Jeszuo ben Josef, przez Baal Zebuba... Mocą księcia diabelskiego wypędzasz szatanów”.

Mąż z ceglastymi wypiekami na twarzy odparł:

– Rzekliśmy. A na to Jezus:

– Powiedzcie mi, jakże szatan może wypędzać szatana? Jakże szatan może walczyć z szatanem? Królestwo rozdarte niezgodą nie może się ostać, a rodzina rozdwojona również się nie oстане. Jeżeli więc szatan powstanie przeciw samemu sobie i z samym sobą będzie w sporze, zachwieje się i przyjdzie nań koniec.

Faryzeusze i wysłannicy spojrzeli po sobie.

– A przecież nikt nie może – ciągnął Jezus – wtargnąć do domu mocnego męża i okraść go z jego majątności, zanim go przedtem nie obezwładni i nie zwiąże, i dopiero wtedy może ograbić jego dom. Powiedzieliście: „Jesteś opętany przez ducha nieczystego”.

Milczeli.

Jezus podniósł w górę wskazujący palec i grożąc nim faryzeuszom, rzekł zapalczywym głosem:

– Zaprawdę, powiadam wam, wszystkie grzechy będą ludziom odpuszczone, nawet wszystkie bluźnierstwa, ilekroć będą przez nich wypowiedziane. Ale ten, kto bluźni przeciw Duchowi Świętemu, nie otrzyma odpuszczenia na wieki, bo winien będzie grzechu wiekuistego! – Mówiąc to, wciąż groził im wskazującym palcem, tym znakiem Ducha Bożego wywołującym światy z nicości i strącającym światy w nicłość, a oni, wpatrzeni w Jego twórcze i unicestwiające ruchy, kurczyli się w sobie, maleli i pragnęli tylko jak najszybciej stąd się oddalić, aby w dalekim oddaleniu od tego dziwnego Męża odzyskać z powrotem swą gniewną swadę, dar przekonywania i podziwu godną pewność siebie, która teraz, zachwiana, zmuszała ich wbrew ich woli do milczenia i rozpaczliwego poddania się jego – o przekorna ironio! – zręcznym i nieodpartym oskarżeniom. Stali więc jak żona Lota zamieniona w nieruchomą kolumnę soli. Nie mogli się poruszyć i słowa z siebie wydobyć. Ubezważnieni, rzućeni na pastwę wciąż grożącego im palca, czuli się jak lis w potrzasku. I prawdopodobnie długo by jeszcze trwali w osłupieniu i nie mogli ochłonąć z doznanych wrażeń, gdyby nie odźwierny, który zgrabnie jak jelonek z gąszczu wypadł z tłumu, zatrzymał się, cofnął się onieśmielony widokiem Jezusa, uczniów i tylu dostojnych mężów i nie mając odwagi podejść do Rabbiego, szepnął coś do ucha stojącemu obok starcowi. Z tego chwilowego zamieszania skorzystali faryzeusze i wysłannicy, pospiesznie wmieszali się w tłum i niewidoczni, natychmiast odzyskali swoją dawną pewność.

Tymczasem starzec, zwróciwszy się do Rabbiego, rzekł:

– Matka Twoja i bracia Twoi, i siostry Twoje, nie mogąc z powodu ciżby zbliżyć się do Ciebie, stoją na dworze i proszą Cię, Rabbi, abys wyszedł do nich, albowiem

pragną mówić z Tobą.

Na to Jezus, odpowiadając starcowi, spytał:

– Kto jest matką moją i braćmi moimi?

Po czym, rozejrzawszy się dokoła, wskazał ręką na swoich uczniów i rzekł:

– Oto matka moja i bracia moi. Albowiem kto słucha i spełnia wolę Boga, Ojca mego niebieskiego, ten jest mi bratem i siostrą, i matką. – Tak powiedział, a wypowiadając te słowa, dawał wyraz wyobrażeniom o nowej wspólnotie rodowej, ustalającej pokrewieństwo człowieka z człowiekiem nie przez krew i ciało, ale przez związek z wolą Pana za pomocą posłuchu i spełnienia. Pozornie mogłoby się wydawać, że Jezus z tej wspólnoty wyłączył swoją matkę, swoich braci i siostry swoje i niejako wydziedziczył ich na korzyść uczniów, jednak w rzeczywistość pytanie Jego: „Kto jest matką moją i braćmi moimi?” – nie było odrzuceniem ani matki, ani braci, lecz przeciwnie, właśnie ich dopuszczeniem do nowej wspólnoty, wspólnoty rozszerzonej, powszechnej i swoim zasięgiem obejmującej wszystkie bogobojne dzieci Adama, związane nowym pojęciem krwi i nowym pojęciem ciała. Warunkiem przyjęcia i wpisania w ten powszechny krąg rodowy jest służebne posłuszeństwo każdego z nich przed obliczem Pana. Ten warunek Miriam spełniła po raz pierwszy przed laty, gdy zapowiedź błogosławionych narodzin przypieczętowała dobrowolną zgodą na to, co się stanie, a potem w swoim życiu wciąż wpisywała się pokorą i posłuszeństwem w krąg nowego pokrewieństwa. Tego zaszczytu przynależności do wspólnoty rodu w nowym pojęciu mogli dostąpić również wszyscy krewni Jezusa, ale pod warunkiem posłuszeństwa i spełnienia woli Pana. W przeciwnym razie będą z owej wspólnoty wyłączeni. Ale nie koniec na tym. Nowe, święte prawo klanu rodowego, ustanowione teraz przez Jezusa, scalające za pomocą zbiorowego posłuszeństwa i posłusznego wypełniania woli Pana wszystkich swoich członków w jedną całość, obejmowało również Twórcę, Głowę i Prawodawcę tej rodziny, miszpacha, samego Pana, który tym sposobem był nie tylko więzią rodu, ale stawał się również krewnym człowieka, jego świętym Prapraprzodkiem, patriarchalnym Ojcem i Współuczestnikiem rodu, rozciągającym nad nim łaskę swojej cedakah, miłosierdzia i sprawiedliwości.

Jezus więc, wskazując wyciągniętą ręką na swoich dwunastu uczniów, nie wyrzekał się ani swojej matki, ani bliższych i dalszych krewnych, ale nowym znakiem pokrewieństwa błogosławił wszystkich ludzi dobrej woli, całe zgromadzenie sprawiedliwych, i uczynił z nich świętą wspólnotę sprawiedliwej krwi i sprawiedliwego ciała. Jezus usiadł.

Tłum stał pogrążony w myślach, rozdwojony w sobie. Wielu dziwiło się, skąd u Niego taka twardość mowy, natomiast niektórzy z obecnych, bardziej wnikliwi

i doświadczeni w odczytywaniu współdziałania w przeciwieństwach, odnajdywali w niej serdeczność, czułość i miękość tak znamienne dla Rabbiego, który w dobroci swojej pojęcie pokrewieństwa rozciągnął na swoich uczniów. Ponieważ każdy syn Izraela, gdyby tylko zechciał, mógł przystąpić do kręgu Jego oddanych i wiernych krewnych, wielu świadków tego niezapomnianego zdarzenia radoowało się z powodu możliwości uczestniczenia z Jezusem w jednej rodowej wspólnoty. Ale wysłannicy i faryzeusze sarkali przeciw Rabbiemu. Wmieszani w tłum, głośno wyrażali swoje oburzenie. Wołali, że bluźnił przeciw przykazaniu o obowiązku miłości względem ojca i matki, wyrytemu ręką Jahwe na kamiennych tablicach, gdzie jest wyraźnie powiedziane: „Będziesz czcił ojca swojego i matkę swoją, jak nakazał twój Bóg, Adonaj, abys długo żył i aby ci się dobrze powodziło na ziemi, którą ci daje Bóg, Adonaj”. Te są słowa Pana, wyryte przez Niego własnoręcznie na świętej górze Horeb, w drzeniu skał i w płomieniach ognistych, a Jezua ben Josef wypiera się swojej matki, twierdząc, że matką Jego są Jego uczniowie, którzy ani nie nosili Go w łonie, ani Go nie porodzili, ani nie karmili, ani nie obdarzali macierzyńską miłością. Ludzie rozchodzili się do domów.

Zapadł jesienny mrok. Gorący wiatr podrywał tumany czerwonego piasku, a rodzina wciąż czekała pod murem otaczającym sad. Wprawdzie już znała odpowiedź Jezusa, ale Efraim łudził się, że On mimo to do nich wyjdzie. Ciemność okryła ziemię. Przez gęstą zawiesinę piaskowej burzy z trudem przebijało się światło gwiazd. W domu Symeona ben Jona wygaszono lampy oliwne. Krewni, widząc bezskuteczność wszystkich swoich dotychczasowych zabiegów, postanowili już więcej nie nagabywać Jezusa, ani dzisiaj, ani jutro, ale udać się na spoczynek i wczesnym rankiem powrócić do domów.

Byli pełni lęku. Efraim w wyobraźni swojej już widział wysłanników, składających arcykapłanowi sprawozdanie o wydarzeniu w Kfar Nahum. Przez udręczoną duszę bogacza jak złowróźbna błyskawica przelatywało jedno pytanie bez odpowiedzi: ...Co robić? Co robić? Szli, pochyliwszy głowy przeciw gorącemu wiatrowi.

Tylko Miriam szła wyprostowana. Jej oczy były wilgotne. Ale jej dusza była bardzo spokojna i bardzo pogodna, gdyż wiedziała, że to, co jej Syn czyni, jest mądre i sprawiedliwe.

Władca Opowiadający

Wiatr tłukł się po płaskim dachu. Gdy uczniowie zamykali znużone powieki i zapadali w półsen, burza, jakby była strażniczką ich troski, budziła ich przeciągłym wyciem i zmuszała do trudnych i dręczących rozpamiętywań.

Jest ich dwunastu. Kilku leży na wznak na posłaniach. Jedni, ręce podłożywszy pod głowy, wzrokiem błędzą po powale, inni w pozycji półleżącej oparli znużone głowy na dłoni, ktoś niespokojnie przewraca się z boku na bok, a tamten – z powodu ciemności nie możemy poznać, który spośród nich – usiadł na macie i oparł się o ścianę. Dwunastu ludzi pogrążonych jest w gęstym mroku i – rozmyśla. Dwunastu ludzi stara się uporządkować rozpiezchłe myśli i przywrócić ład w zwałtłym wnętrzu. Trudno nam teraz wnikać po kolei w wątek myśli i uczyć dwunastu uczniów i każdą myśl, i każde uczucie z osobna wydobywać na jaw, co byłoby zresztą pracą płonną i niepotrzebną, gdyż tych Dwunastu mimo różnic usposobienia i charakteru, z drobnymi i mało ważnymi odmianami myślało i czuło tak samo i to samo. Każdy z nich był człowiekiem o wyraźnie określonych cechach i własnej indywidualności, ale wszyscy razem we wspólnocie w związku nierozzerwalnym, wyrażonym w świętej liczbie Dwunastu, stanowili całość jednomyślną i współdziałającą, byli jednością współbrzmującą, całkowicie zgodną. Wprawdzie już wkrótce jedno z ogniw tego pierścienia pęknie, ale nie wybiegajmy w przyszłość. Teraz stanowią oni wszyscy jedność i wspólnotę i medytują zgodnie w izbie domu Kefasa, w porę nocnego wiatru i kłopotliwego położenia, spowodowanego gorliwością Kajafy, strażnika prawowierności Izraela. Otóż jedność, miłująca Jezusa, widząc Jego działanie i coraz bardziej narastający opór Jego nieprzyjaciół, w tę noc, po raz pierwszy od pójścia za Jezusem, postawiła sobie pytanie: Kim On jest i dokąd zmierza? Gdyby wiedzieli, kim jest, wiedzieliby, dokąd zmierza, gdyby wiedzieli, dokąd zmierza, wiedzieliby, kim jest. Jedno i drugie było dla nich niewiadome, a ponieważ życie swoje poświęcili jednej myśli, wyobrażonej w jednym Człowieku, chcieli wiedzieć i mieć jasne i wyraźne wyobrażenie o Jego istocie i celu Jego drogi. Słusznie przewidywali, że zmierzają ku sprawom coraz trudniejszym i coraz bardziej zawikłanym. O, jak łatwo – tak medytowali w swojej człowieczej naiwności – przyszłoby nam znieść i przetrzymać wszystkie obelgi i oskarżenia faryzejskich wysłanników Kajafy, gdyby nam Jezuś ujawnił pełnię swojej Osoby, zapoznał nas z celem swojego posłannictwa i określił się właściwym określeniem, nazwą ustanowioną przez Jahwe. – Nie wiedzieli, że ta ich niewiedza, ze wszech miar miłosierna i właśnie przez Jahwe ustanowiona i umocniona, chwalebna i zbawcza, ratuje ich przed skutkami, których nawet nie mogli sobie wyobrazić. Gdyby bowiem mieli pełnię świadomości, kim jest naprawdę Jezus i do czego zdąża, ich codzienne z Nim współdziałanie, współdziałanie twarzą w twarz, stałoby się niemożliwe i nie do zniesienia dla ich człowieczej egzystencji. Mogli istnieć przy Rabbim, patrzeć w Jego oczy, słuchać Jego słów, spożywać z Nim wieczerzę tylko dzięki temu, że nie wiedzieli, kim jest i dokąd zdąża, że dzieliła ich mimo wzajemnej i bezpośredniej

bliskości nieprzenikniona i nieprzekraczalna zasłona, niewidzialna chmura, którą się szczelnie otoczył. I tak w noc gorącego wiatru trwali w niewiedzy, w nieświadomości i w niepoznaniu najgłębszej istoty Rabbiego, i nic o niej nie wiedząc, wierzyli w Niego wiarą nieugiętą, która byłaby może jeszcze bardziej nieugięta – tak im się zdawało, i tu znowu w przyływie bogobojnego uczucia żalu nieopatrnie wystawiali na próbę cierpliwość i wyrozumiałość Elohim – gdyby wiedzieli, kim Jezus jest. I w tym błogim przekonaniu usnęli spokojnym snem, w miarę pogodzeni ze swoją niewiedzą, nieświadomością i niepoznaniem.

Następnego dnia po południu Jezus wraz z uczniami udał się nad brzeg Jeziora Galilejskiego, a gdy zebrali się dokoła Niego liczne rzesze, przybyłe nawet z okolicznych miasteczek, Rabbi wszedł do łodzi Kefasa i usiadł w niej, co było oznaką, że będzie przemawiał. Myśli uczniów krążyły teraz dokoła pytania, o czym Jezus będzie mówił do tłumu. Czy nawiąże do wczorajszych zdarzeń i da powtórna odprawę faryzejskim wysłannikom arcykapłana i ich zwolennikom, którzy na pewno wmieszali się teraz w tłum i czyhają na słowa Jezusa jak ryś na łanię u wieczornego wodopaju? A może wygłosi mowę o Królestwie Niebieskim? Był to temat, który ich wciąż do głębi poruszał, i zawsze gotowi byli bez końca słuchać Jezusowych zwierzeń i wyjaśnień o najdrobniejszych szczegółach tego Królestwa, o jego ustroju, o panującej w nim hierarchii, o obowiązujących w nim prawach, a poza tym – jak wszyscy ludzie cisi i łaknący, wypełnieni zachłannością posiadania Boga – chcieliby wreszcie się dowiedzieć, gdzie ono się znajduje lub gdzie się będzie znajdować, czy zobaczą je żywymi oczami na ziemi w chwale czasu spełnionego, czy może dopiero po śmierci, w chwale świętego Miejsca.

Słońce stało nad jesienną, suchą, spaloną ziemią, czekającą na pierwsze – oby wczesne! – deszcze. Cyprysy, terpentynowce, platany, figi i oliwki pokryte liliowym kurzem – ta liliowa barwa powstała z odbicia promieni słonecznych od popielatej zieleni liści – zmęczone nocną burzą piaskową, jeszcze czuły w konarach i gałęziach jej ognisty żar, z tym większą więc lubością poddawały się wraz z ludźmi i zwierzętami lekkiemu zachodniemu powiewowi, który wprawdzie niewiele mógł teraz przynieść ulgi umęczonej przyrodzie, ale więcej zwiastował ziemi, wszelkiemu stworzeniu i wszelkiej roślinności zbliżający się czas chmur, błogosławionej ulewy i wezbranych potoków, i tą zapowiedzią pory deszczowej nieco łagodził dojmujący upał dnia.

Ludzie zgromadzeni na brzegu, naprzeciw łodzi, w której siedział Jezus, trwali w głuchym oczekiwaniu, zamknięci w sobie, nieufni i ostrożni. Nawet przychylni Jezusowi nie uzewnętrzniali swojej przychylności ani zachowaniem, ani wyrazem twarzy, ani tym bardziej głośnymi wypowiedziami, wciąż bowiem mieli w uszach

ostrzeżenia faryzejskich wysłanników Kajafy. Przybyli, aby jeszcze raz porównać słowa Rabbiego ze słowami zaufanych zauszników arcykapłana i wytworzyć sobie wreszcie własny sąd o dziwnym Człowieku, który swoimi naukami ściągał na siebie gniew dostojnych mężów.

Uczniowie usiedli na piasku i mimo zmęczenia nocnym czuwaniem czekali z napięciem na słowa Jezusa. Wytężyli słuch, cali wcielili się w słuch i byli tylko słuchem, a ich słyszącego skupienia nie rozpraszały nawet monotennie szeleszczące szuwary, krzyki czubatych nurczyków i głodne rybitwy krążące nad jeziorem w poszukiwaniu żeru.

Jezus począł mówić. Ale nie mówił o faryzeuszach. Przywoławszy z pamięci wspomnienia z wczesnej młodości, opowiedział uczniom i rzeszom przypowieść o ziemi urodzajnej, a opowiadając, tak mówił:

– Słuchajcie. Oto wyszedł siewca siać ziarno. Zdarzyło się, że gdy siał, jedno ziarno upadły obok drogi i zdeптano je, ptactwo niebieskie nadleciało i wydziobało je. Drugie zaś padły na grunt skalisty, gdzie nie miały dość ziemi, i zaraz też wzeszły, gdyż gleba nie była głęboka. Ale gdy wstało słońce, uschły wypalone żarem, ponieważ nie miały mocnych korzeni ani wilgoci. Jeszcze inne padły między ciernie, a ciernie wyrosły i zadusiły je. Inne wreszcie padły na ziemię urodzajną i przyniosły bujny plon, jedne stokrotny, inne sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

Jezus urwał. Plusnęła fala w sitowiu i lekko zakolysała się łódź. Samotna rybitwa nisko przeleciała nad wodą, prawie dotykając podbrzuszem jej pomarszczonej powierzchni. Rabbi począł opowiadać uczniom i rzeszom nową przypowieść, ale tym razem o ziarnie kielkującym, a opowiadając tak mówił:

– Z Królestwem Bożym ma się rzecz podobnie jak z człowiekiem rzucającym ziarno w ziemię – uczniowie trącili się łokciami i z nieukrywaną radością jeszcze bardziej skupili uwagę – który śpi nocą, a za dnia czuwa, a tymczasem ziarno kielkuje i wzrasta, on zaś nie wie nawet, jak się to dzieje. Ziemia wydaje owoc sama z siebie: najpierw łodygę, potem kłos, wreszcie kłos pełen ziarna. A gdy ziarno dojrzeje, człowiek zaraz zapuszcza sierp, bo nastał czas żniwa. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

Zabulgotała woda w sitowiu i zakrzyczał czubaty nurczyk. Jezus dla pogłębienia wiedzy swoich uczniów o Królestwie Bożym – ani na chwilę nie wątpił, że tylko do nich przemawia – podrażnił ich ciekawość za pomocą pobudzających do rozważań niedomówień i opowiedział im nową przypowieść, a opowiadając tak mówił:

– Królestwo Boże podobne jest do człowieka, który zasiał na swojej roli dobre ziarno. Ale gdy wszyscy spali, przyszedł jego nieprzyjaciel, zasiał zycię wśród

pszenicy i odszedł. Gdy zboże podrosło i wydało plon, ukazała się także życica. Wtedy słudzy gospodarza przyszli do niego i powiedzieli: „Panie, czy nie zasiałeś dobrego ziarna na swojej roli? Skąd wzięła się na niej życica?” A on im odrzekł: „To jest dzieło nieprzyjaciela”. Na to zapytali go słudzy: „Chcesz, żebyśmy poszli i wylewili ją?” „Nie – odpowiedział – abyście plewiąc życicę, nie powyrywali zarazem i pszenicy. Pozwólcie obojgu rósć aż do żniwa, a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie naprzód życicę i zwiążcie ją w snopki na spalenie, pszenicę zaś zgromadźcie do mojego spichrza.” Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

Synowie Izraela lubili sami rozwiązywać trudne i zagadkowe niejasności, wnikać w niezwykłość zasłyszanego maszalu, przedzierać się przez zawilość nagromadzonych obrazów i gąszcz skojarzeń i docierać do samego jądra głębokości, do jej niepodzielnej prawdy. Ale teraz poczuli się zawiedzeni w swoich ambicjach. Błądząc po omacku w lesie symboli i alegorii, nie mogli znaleźć do nich klucza i pod każdy obraz bezskutecznie podkładali różne myśli i różne wyobrażenia. Więc z troską pytali w swoim wnętrzu: „Co i kogo ma On na myśli, mówiąc o Królestwie Bożym?” – A byli wśród nich i tacy, którzy znaleźli w trudnych przypowieściach Jezusa niejaki potwierdzenie faryzeuszowskich oskarżeń: a może jednak zwodzi lud? Najbardziej powściągliwi uważali, że znaleźli się w obliczu zagadki nie do rozwiązania.

Tłum rozchodził się. Jezus i wybrani uczniowie wrócili do domu i zasiedli do wieczerzy. Jedząc, myślami przebywali nad brzegiem jeziora i wciąż mieli w uszach przypowieści opowiadane przez Jezusa, a siła tych wrażeń była tak wielka, że zapominali o jedzeniu i siedzieli zapatrzeni przed siebie, z podniesionymi głowami i z ustami lekko otwartymi, jak ludzie, którzy powtórnie przeżywają to, co przed chwilą widzieli i słyszeli. W tym powtórzonym słuchaniu przy stole rozumieli o wiele więcej niż podczas pierwszego słuchania nad brzegiem jeziora. Może pochodziło to stąd, że synowie Izraela, powtarzając w sobie minione wrażenia, przeżywają je coraz silniej, i dlatego w ich świadomości każde wspomnienie jest rzeczywistością nie tylko dotykającą i naoczną, ale podwojoną, pogłębianą, i dopiero wtedy, dzięki temu podwojeniu i pogłębieniu, pełną. Ale rozumiejąc teraz więcej, nie rozumieli wszystkiego. A chcieli rozumieć wszystko. W języku ich ojców poznanie znaczy to samo co posiadanie. A tymczasem Jezus mówił do nich tak, jakby odsłaniając tajemnicę, chciał ją zarazem odsłonić i zasłonić, a ujawniając, ukryć. Mógł tak mówić – medytowali – ze względu na obecność w tłumie nieprzyjaznych Mu faryzeuszów, którym na pewno trudniej jest dyskutować ze zbudowaną z alegorii, porównań i symboli przypowieścią niż z poglądem wyrażonym za pomocą jasnych i prostych zdań, bezpośrednio do nich skierowanych. Świadczyłoby to

o przezorności Jezusa. Ale przecież tutaj, na osobności, w gronie najbardziej zaufanych uczniów może im odsłonić sprawy zasłonięte i ukryte. Zresztą ten jawno-ukryty sposób wyrażania myśli nigdy ich nie dziwił, bo w Piśmie Świętym, w zwojach Mojżesza i Proroków, co krok napotykali zdarzenia i wypowiedzi ujawniające wprawdzie całą Prawdę, ale zarazem ukrywające ją głęboko przed badawczością Izraela. Wystarczy choćby przypomnieć wzmiankę o śmierci Henocha – umarł? nie umarł? – Mojżesza – nigdy nie mieli pewności, w jakich okolicznościach nastąpiła jego śmierć, czy rzeczywiście umarł, czy nie umarł – albo ową tajemniczą walkę Anioła z Jaakowem, o której wszystko wiedząc, właściwie nic nie wiedzieli, lub wreszcie to niesłychane, do głębi wstrząsające zdarzenie, gdy Jahwe poleciwszy Mojżeszowi wracać do Micraim, w drodze powrotnej w miejscu jego noclegu chciał go zabić. Dlaczego chciał go zabić, skoro go posłał z wyraźnym rozkazem wyprowadzenia ludu wybranego z ziemi szczekających bogów? Byli więc w pewnej mierze oswojeni z tym zygzakowatym działaniem Jahwe i Jego Aniołów i przyjmowali bez oporu i buntu ten chwalebny, mądry, doskonały, ale na pewno pod wieloma względami udręczająco-uciążliwy sposób objawienia się Jego Bóstwa w ukrytym i nieujawnionym. A jednak wszystko, co było ukryte i nieujawnione, drażyło ich ciekawość, i chciwi byli poznania i wyśledzenia dróg nie wyśledzonych. Nie wąpili, że mogą i powinni prosić teraz Jezusa o wytłumaczenie trudnych dla nich przypowieści, ale w przypiływie ostrożności woleli zadać Mu określone pytanie i dlatego zamiast spytać: – Powiedz nam, Rabbi, co miałeś na myśli w przypowieściach o ziemi urodzajnej i chwastach zycicy – spytali Go z rozbrajającą zmyślnością:

– Powiedz nam Rabbi, dlaczego w przypowieściach nauczasz lud galilejski? A na to Jezus, odpowiadając, rzekł:

– Aby wypełniła się zapowiedź proroka zapisana w Tehilim: „Słuchaj, ludu mój, mojej nauki i nachyl swe ucho ku wypowiedziom moich ust. Otworzę moje usta przypowieścią i ujawnię starodawne tajemnice”.

To powiedziawszy umilkł. Po chwili począł tłumaczyć zasłuchanym uczniom, że dane im jest zrozumieć Tajemnicę Królestwa Niebieskiego, ale ani jednym słowem nie wyjaśnił, co rozumie przez Królestwo Niebieskie, a oni nawet w najśmielszych rojeniach nie wyobrażali sobie, by to, co miało być miejscem na ziemi, ściśle określonym przez ustrój i hierarchie, lub miejscem niebieskim, na pewno również posiadającym swoje prawa, godności i przywileje, mogło być utożsamione z jednym jedynym Człowiekiem.

Wpatrzeni w Jezusa spodziewali się, że po wstępnych wywodach przejdzie do przypowieści, opowiedzianych nad brzegiem jeziora, i ujawni im starodawną

tajemnicę w myśl przytoczonego psalmu. Słuchali z zapartym tchem Jego słów, a Rabbi mówił im, że chociaż uczniowie i lud na równi nie rozumieją zakrytych przypowieści, jednak uczniowie przeznaczeni są do tego, aby rozumieli tajemnicę Królestwa Bożego. Oczy uczniów widzą – dlatego są błogosławione – a ich uszy słyszą – dlatego są błogosławione – bo widzą i słyszą to, co wielu proroków i sprawiedliwych mężów pragnęło zobaczyć, a nie widziało, i pragnęło słyszeć, a nie słyszało. Natomiast oczy ludu galilejskiego patrzą i nie widzą, a jego uszy słuchają i nie słyszą, i nic nie rozumieją. Więc po to przemówił do ludu w przypowieściach zakrytych, aby właśnie były przed nim zakryte, według dramatycznego wezwania proroka Jesai, który w przypiływie drwiącej i szyderczej rozpaczki błagał Pana o ślepotę dla oczu, o głuchotę dla uszu ludu Izraela: „Słuchając, słuchajcie – wołał drwiąco Jesaja – ale nie rozumieście, patrząc, zobaczcie, ale nie poznajcie!” – wołał Jesaja, a na wargach jego była gorycz żrącej drwiny i boleść zaprzeczonych przyświadczeń, bo przecież chciał, aby słuchali i słyszeli, patrzyli i widzieli, a błagając przeklętymi przeczeniami, pragnął je zamienić w błogosławione przyświadczenia. „Zatłuszc serce tego ludu, zamknij jego uszy i przymruż jego oczy, aby oczami swoimi nie widział, a uszami swoimi nie słyszał, a sercem nie rozumiał, aby się nie nawrócił i abym ich nie uleczył!” – wołał zrozpaczony Jesaja, który chciał ich właśnie nawrócić i chciał ich właśnie uleczyć.

To powiedziawszy, począł im Jezus tłumaczyć niezrozumiałą dla nich przypowieść o ziemi urodzajnej – tu dodał: – Jeżeli jej nie zrozumieliście, jakże inne przypowieści zrozumiecie? – a tłumacząc im, tak mówił:

– Ziarnem jest słowo Boże. To słowo sieje siewca. Obok drogi, gdzie pada słowo, stoją ci słuchacze, którzy słuchają nauki o Królestwie. A ponieważ słuchają, ale nie rozumieją, zbliża się do nich natychmiast szatan i porywa słowo zasiane w ich sercach, aby nie uwierzyli i nie byli zbawieni. Tak mówił Jezus, a oni wiedzieli, że ma na myśli wielu spośród ludu izraelskiego.

A Jezus ciągnął dalej:

– Ziemią skalistą, gdzie zasiano słowo, są serca tych, którzy z radością przyjmują słowo, skoro je usłyszą, ale nie mają w sobie korzenia, do czasu są gorliwi i wierzą do czasu. Ale gdy nadejdzie ucisk i prześladowanie dla słowa, zaraz stają się gorsi i odstępują.

Tak mówił Jezus, a oni wiedzieli, że ma na myśli wielu spośród ludu izraelskiego.

A Jezus ciągnął dalej:

– Między cierniami, gdzie pada słowo, są serca tych, którzy wprowadzając słowa słuchają, ale idąc drogą wśród trosk, bogactw i zwodniczych powabów życia, ulegają przyduszeniu i nie dochodzą do dojrzałości.

Tak mówił Jezus, a oni wiedzieli, że ma na myśli wielu spośród ludu izraelskiego. A Jezus ciągnął dalej:

– Urodzają wreszcie ziemią, na której posiano słowo, są ci, którzy z dobrym i podniosłym sercem słuchają słowa, rozumieją je, zachowują i w cierpliwości owoc przynoszą, jedni setny, drudzy sześćdziesiąty, a inni trzydziesty.

Tak mówił Jezus, a oni zrozumieli, że On, mówiąc o sercach podniosłych, ma ich na myśli, ośmieleni więc tym objaśnieniem, które czyniło z nich ludzi urodzaju i obfitych żniw, zdobyli się na odwagę i wyzwalając w sobie ukryte pragnienie wiedzy o Królestwie Niebieskim – pomyśleli: Może wreszcie teraz ujawni nam swoją tajemnicę? – rzekli do Niego:

– Wyjaśnij nam, Rabbi, przypowieść o chwastach życicy. On zaś, odpowiadając, rzekł:

– Siewcą dobrego ziarna jest Syn Człowieczy, a rolę jest świat, a dobrym ziarnem są synowie Królestwa, a chwastem życicy jest szatan, a żniwem jest koniec świata, a żniwiarzami Aniołowie. Tak więc, jak zbiera się chwasty życicy i w ogniu się je pali, tak będzie przy końcu świata. Syn Człowieczy wyśle swoich Aniołów, a ci usuną z Królestwa Jego wszystkie zgorszenia, a tych, którzy popełniają nieprawość, wrzucą do ognistego pieca. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. („Na ziemi zło istnieje obok dobra, a odłączenie nastąpi dopiero na Sądzie Ostatecznym, a to, co zostało posiane rękami szatanów, będzie zebrane rękami Aniołów” – pomyśleli uczniowie.) Wtedy sprawiedliwi zajaśnieją jak słońce w Królestwie swojego Ojca – ciągnął Jezus, a widząc ich zaszuchanie i nienasycenie serc dodał głosem pocieszenia: – Nikt nie zapali świecy, aby ją nakryć naczyniem lub postawić pod łóżkiem, ale stawia ją na świeczniku, aby wchodzący mogli patrzeć na światło. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione, ani nie ma nic tajemniczego, co by nie miało być poznane i nie miało wyjść na jaw. Baccie zatem, jak słuchać macie: temu, który ma dobrą wolę, będzie dodane, a temu, który dobrej woli nie ma, będzie odebrane nawet to, co mu się zdaje, że jest jego własnością. Jaka miarą mierzycie będziecie, taką wam miarą odmierzą i taką wam oddadzą.

Skończył. Wziął z półmiska figę, rozłamał ją i jadł. A oni, idąc za Jego przykładem, również brali z półmiska figi i jedli je, a figi, które jedli, smakowały im i wydawały im się bardzo słodkie – aczkolwiek były to figi późne, jesienne – albowiem byli zadowoleni z wyjaśnień Jezusa, a często się zdarza, że zadowolenie duszy oddziałuje na zadowolenie podniebienia. Wprawdzie nie dowiedzieli się wszystkiego o Królestwie Bożym, ale podniosło ich na duchu zapewnienie, że Tajemnica nie jest tajemnicą, a Ukryte nie jest ukrytym, wszystko więc będzie w swoim czasie ujawnione, a ujawnienie zależy wyłącznie od ich dobrej woli, która jest słuchającym

uchem i widzącym okiem, a ów dobry, wewnętrzny, niezwykły popęd – jecer tow, w przeciwieństwie do popędu zła, jecer hara – tkwiący w nich jak najurodzajniejszy korzeń, wypuści swoje pędy, a one zazielenią się, rozkwitną, a potem zawiążą się na nich owoce Ujawnienia i Poznania. Gdy tak spożywali późne, jesienne figi, otworzyły im się oczy i ujrzeni kiełkujące i wzrastające w nich Królestwo Boże, które niezależnie od tego, czy śpią, wypoczywają czy pracują, nieustannie w nich kiełkuje i wzrasta, a aczkolwiek rośnie w ich wnętrzu, jest od praczasu poza nimi, w treści doskonałej i w kształcie doskonałym, w miejscu świętym. A oni zbliżając się do Królestwa Bożego – a może ono do nich się zbliża – i widząc je w sobie i poza sobą, w wewnętrzno-zewnętrznej przestrzeni, widzą niewidzialne kiełkowanie i wzrastanie Doskonałości, nie podlegającej żadnemu dojrzwaniu i rozwojowi. Oblicze królewskiego Bezoblicza, stające się w nich, ale będące poza nimi we wszechogarniającym słowie: Jest.

Jezus tworzył ich, kształtował, urabiał. Tworzył wciąż jeszcze nie stworzonych, kształtował wciąż jeszcze nie ukształtowanych, urabiał wciąż jeszcze nie urobionych. Tym razem dokonywał tego za pomocą przypowieści. W języku hebrajskim moszel, opowiadający przypowieści, znaczy również panujący, sprawujący władzę, władca, jak jest zapisane w zwojach proroka Michy: „A ty, Bethlehem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich. Z ciebie wyjdzie ten, który będzie panował w Izraelu – lihijot moszel be Israel”.

Wtedy Johanan ben Zebadia otworzył usta i zaintonował psalm na chwałę Władcy Opowiadającego: „Jesteś najpiękniejszy spośród synów człowieczych, a wdzięk rozlany jest na Twoich wargach, albowiem Bóg pobłogosławił Cię po wieczne czasy. Przypasz swój miecz do biodra, swoją chlubę i ozdobę, mocarzu, i objaw się w swoim majestacie, i ciągnij na wyprawę w imię prawdy i uciśnionej sprawiedliwości, a prawica Twoja dokona zwycięskich czynów”.

Tak siedzieli i śpiewali, a potem Jezus, Władca Opowiadający, wstał i powiedział do nich:

– Przeprowimy się za jezioro. Popłyniemy do krainy Dekapolu. Powstali z miejsc i udali się nad brzeg Jeziora Galilejskiego.

Cud burzy uciszonej

Dlaczego mieli wypłynąć o wieczornym mroku na Jezioro Galilejskie? Dlaczego mieli przeprowić się nocą na wschodnią stronę jeziora? Dlaczego pospiesznie udawali się do krainy Dekapolu, między pogan, czcicieli bałwanów?

Słońce zniżyło się ku górom Naftali, a jego ognistobłękitna smuga na jeziorze

poczęła szybko ostygąć i stawała się popielata, chłodno-popielata, a wraz z zapadającym mrokiem w pełni występował jesienny charakter krajobrazu, który za dnia, ożywiony słońcem, mimo zeschniętych traw i spalonego listowia, mamił oko ludzkie swoją pozorną bujnością, ale teraz pozbawiony oświetlenia, stawał się szary, znużony i pomięty.

Mieszkańcy Kfar Nahum, ujrawszy Jezusa i uczniów zmierzających do przystani, szli za nimi wielką rzeszą, gdyż spodziewali się, że Rabbi może wygłosi do nich mowę i wreszcie wyjaśni nie wyjaśnione. Jakże jednak wielkie było ich rozczarowanie, gdy Jezus, nic im nie powiedziawszy, powiedział tylko tyle: – Rozejdźcie się do domów – wsiadł do szerokiej łodzi o obłych bokach, a za Nim wsiadło dwunastu Jego uczniów. Łódź odbiła od brzegu i szybko pomknęła w kierunku wschodnim, i wkrótce widoczne były tylko jej coraz bardziej ciemniejące zarysy na tle spokojnej powierzchni wód, oświetlonych wygwieżdżonym niebem. Kilku spośród tłumu dopadło swoich łodzi i ruszyło w ślad za Jezusem na jezioro. Ale ścigający szybko uświadomili sobie niedorzeczność takiego nocnego pościgu, wrócili do przystani i wraz z ludźmi stojącymi na brzegu zadawali sobie pytania: – Dlaczego opuścił miasto? Dlaczego to uczynił w pośpiechu? Kiedy tutaj powróci? A może już nigdy nie wróci? Czyżby uciekł do pogan przed prześladowającymi go wysłannikami Kajafy? A jeżeli uciekł, czy oni, mieszkańcy Kfar Nahum, nie ponoszą głównej odpowiedzialności za tę ucieczkę, oni, którzy nie umieli stanąć w obronie Człowieka przywracającego życie zmarłym, zdrowie chorym i kalekom, czyniącego cuda, niesłychane cuda, błogosławione cuda, świadczące o nadejściu czasu naznaczonego?! Kto ośmielił się powiedzieć, że czynił to wszystko mocą Baal Zebuba?! Poczuli żal w sercach do wysłanników arcykapłana i do faryzeuszów, nieprzyjaznych Jezusowi, i wstyd, bo dali się omamić jadowitym językom i nie umieli stanąć w obronie swojego Dobroczyńcy. Ale gdy wrócili do domu, a rano do swoich codziennych zajęć, po rozwadze i zestawieniu z sobą wszystkich wypadków zaszłych w mieście podczas ostatnich dni, doszli do wniosku, że ich trwoga przed faryzeuszami jest większa od ich żalu, a potrzeba bezpieczeństwa większa od ich wstydu i wdzięczności.

A tymczasem Jezus i uczniowie płynęli po spokojnych wodach jeziora w kierunku południowo-wschodnim. Rabbi spał na rufie łodzi, a rybacy na przemian wiosłowali. Przez ciemnogrnatowe niebo ciągnęła się Droga Mleczna, mleczna mielizna, gęsto wysypana gwieździstym piaskiem. Wiosła lekko i miarowo klaskały o wodę, od której ciągnął przejmujący chłód. Uczniowie spojrzeli na Rabbiego. Wprawdzie oswojeni byli z żywiołem wody, bo przecież jezioro było ich ojczyzną, ale tym razem chwycił ich lęk, może z powodu niewiadomego celu, do którego zdążali, może

z powodu snu Jezusa, snu oddzielającego ich jak wysoka ściana od Jego Obecności. Zdawało im się, że jest teraz od nich daleko, bardzo daleko, w miejscu oddalonym i nieprzystępnym, do którego udał się przez sen jak człowiek idący przez most na drugą stronę rzeki. Rosło w nich poczucie samotności i przeżywali ją bądź jako oddalenie od Jezusa, bądź jako niepewność przyszłości, bądź jako wspomnienie wypadków z minionego czasu, gdy pozostawieni sami sobie czekali na Przychodzącego. Były to przypiły gorzkiej i bolesnej chwiejności, ślepej i głuchej niewiedzy, która na przekór ich wczorajszej podniosłej pewności, płynącej z natchnionych porównań Jezusa, znowu ich teraz ogarnęła i zalała wezbraną falą przerażenia. Płynęli do nieznanego brzegu – czy brzegi Dekapolu mieli na myśli? – otoczeni zewsząd gęstymi ciemnościami. Ten, który był z nimi, usnął i był od nich daleko, a równocześnie usnął w nich Ten, który był z nimi, i był od nich równie daleko jak Ten, który spokojnie spał na rufie łodzi. Spał w nich spokojnie, w miejscu oddalonym i nieprzystępnym, które wprowadziło w nich, ale było dla nich tak oddalone i nieprzystępne, jakby było poza nimi. Poczuli się opuszczeni, osieroceni, odcięci od celu. Ogarnęła ich rozpacz. Z czarnogranatowego bezchmurnego nieba runął wściekły wichur, uderzył w wodę, spiętrzył fale, które wytrysły przed nimi jak bazaltowa fontanna. Łódź się zakołysała, dziobem zaryła w nadbiegającą falę, z trudem przeorała ją, wspięła się w górę, przez chwilę zastygła nieruchomo i runęła w wyjąca otchłań. Wiosła zatrzeszczały w ich dłoniach pod naporem walących się wód. Nakrył ich odmęt. I znów wypłynęli. Woda sięgała im do kostek. Wichur uderzał o burty, łódź przechyliła się na bok, spieniona fala poderwała ją ku górze i cisnęła w ramiona następnej fali, która zalała ich strumieniami wody, siekącymi jak biczem. Byli bezsilni w walce z coraz gwałtowniej nacierającym żywiołem, który nagle zwałił się na nich całym ciężarem szalejącego cielska. Wrząca kipiela wciągała ich w swoją czeluść. Nie panowali już nad wiosłami. Kefas, trzymając się kurczowo burty, głosem ochrypłym, ale pełnym nieposkromionej ufności, która wahała się między głęboką wiarą a bezsilną rozpaczą, z trudem wyrzucał z ust zalewanych strumieniami wody słowa błagalnego psalmu: – „Wybaw nas Panie, albowiem wody zalewają nas powyżej naszej szyi! Ugrzązłem w bezdennej topieli i nie mogę znaleźć oparcia! Zapadam w głębinę wód i unoszą mnie prądy! Wybaw nas, Panie!”

– Uczniowie pochwycili słowa Kefasa i leżąc na dnie łodzi wypełniającej się wodą i miotanej wichrem, wyciągnęli ręce do nieba i krzyczeli: – „Niechaj nie zaleją nas fale, niechaj nie pochłonie mnie wirująca topiel, niechaj wody nie zamkną nad nami swej paszczy! Wybaw nas, Panie! Wybaw nas, Panie!” – Johanan ben Zebadia, przywarłszy całym ciałem do dna łodzi, wyciągnął dłoń ku spokojnie śpiącemu Jezusowi i zawołał głosem trwogi: – Rabbi! Rabbi! Giniemy! – A Andraj wypluwając

wodę ryknął z rozpaczliwym wyrzutem: – Nic Cię to nie obchodzi, że giniemy?! – Nathanael ben Tolmaj doczołgał się do Jezusa i chwyciwszy Go za poję płaszcza krzyknął, jak mógł najgłośniejszy, aby przekrzyknąć łoskot wody i wrzask huraganu: – Panie! Ratuj nas! Giniemy!

Jezus obudził się – był przemoczony i zziębnięty – przetarł dłonią powieki i spytał spokojnie:

– Dlaczego ogarnia was strach, ludzie małej wiary?

Nie przeraziło ich to oskarżające pytanie, godzące w sam sens ich istnienia, ponieważ nie rozumieli, co ma wspólnego ich mała wiara z grożącym im niebezpieczeństwem – pamiętali z opowiadań praojców, że morski lewiant pochłaniał ludzi wielkiej wiary na równi z ludźmi małej wiary – ale przerazili się szeptu, z jakim te słowa były wypowiedziane. Ten szept, będąc szeptem, górował jednak nad łoskotem wody i wrzaskiem huraganu i panował nad wszystkimi żywiołami najgłośniejszych głosów, i ujarzmił je, a one wyjąc i świszcząc, i łomocąc nie odważały się go zagłuszać, spętać, a nawet przytłumić, i dlatego na przekór burzy szept Jezusa doszedł ich uszu. Ale przecież ten szept, najcichszy z najcichszych, nie powinien być słyszalny w chaosie wyjących żywiołów, a skoro był słyszalny i wyraźnie brzmiał w ich uszach, jego źródło musiało się znajdować nie poza nimi, lecz w nich samych. A jednak widzieli Jezusa mówiącego na rufie łodzi. Czyżby więc Jezus mówiący na rufie łodzi mówił równocześnie w nich i był w nich i poza nimi, i był człowiekiem z krwi i ciała, i równocześnie głośnym głosem ich wnętrza? Czym więc jest ta gwałtowna burza na jeziorze? Zmordowani, przerażeni, przemoczeni, szczękając zębami, leżą na dnie łodzi wypełniającej się wodą, a huragan zatyka dech w ich piersiach i wpycha im z powrotem do ust słowa psalmu, którym starają się przebłagać zapalczywość Jahwe. A jednak czuli w sobie tę burzę i czuli w sobie łoskot huraganu, albowiem była to burza niewiedzy i był to huragan niewiary i zwątpień, a to, co się działo poza nimi, było równocześnie działaniem tego, co się działo w nich, a to, co się działo w nich, było równocześnie działaniem tego, co się działo poza nimi – nie odbiciem, nie obrazem, nie powtórzeniem, ale samodzielny, niezależny i równoczesny działaniem – a to, co się działo poza nimi i w nich, nie było zjawiskiem podwójnym i różnym, lecz było jednym i tym samym zjawiskiem, bo burza szalejąca dokoła nich była burzą w nich szalejącą, była burzą tą samą, burzą jedną, burzą niepodzielną, podobnie jak Jezus stojący tam na rufie łodzi, miotanej huraganem, był tym samym Jezusem, który podniósł się w ich wnętrzu i stał w nim niezachwiany w chwiejnym i miotanym przeciwnościami wnętrzu dwunastu uczniów. Stał wyprostowany na rufie łodzi, niewzruszony i niezmienny, w środku poddanych, poruszonych i zmiennych

żywiółów, w duszach dwunastu nie ukształtowanych i nie urobionych, słabych i kruchych uczniów, których doświadczył w swojej dobroci zwątpieniem, aby posiadli pełnię wiedzy o sobie, o swojej wierze i swoich wątpliwościach, aby poznali, czym jest człowiek wąpiący, i zrozumieli, że są jeszcze bardzo dalecy od zjednoczenia z wolą Pana, bo przecież wystarczy podmuch gwałtownego wichru, a już znajdują się nad krawędzią rozpacz. Był to zabieg wychowawczy nader trudny, ale skuteczny, wskazywał im na potrzebę nieprzerwanej czujności wobec siebie samych, a także pouczał ich o wszelkim człowieku i jego niedoskonałości. Stał więc niewzruszony na rufie łodzi, miotanej wichrem, przeobrażony w Rozkaz nieodwołalny, Rozkaz ucłowieczony, Rozkaz orzekający, Rozkaz wydający i Rozkaz wykonany, i zgromił szalejącą i wzburzoną niewiarę, i rzekłszy do niewiary:

– Milcz! Przestań wrzeszczeć! – przepasał się milczeniem i ciszą. Ustał wicher, opadły bałwany i wyrównała się powierzchnia wód. Nastąpiła wielka cisza na wodzie i w powietrzu.

Usiadł na rufie łodzi, wyciągnął dłonie ku uczniom i zwracając się do nich rzekł z wyrzutem:

– Dlaczego jesteście tak bojaźliwi? Gdzie jest wasza wiara? Jeszcze brak wam wiary.

Był w nich wielki wstyd. Łódź spokojnie kołysała się na uciszonych falach. Przerażeni milczeniem wody – byli teraz równie przerażeni milczeniem, jak przedtem burzą – pytali jeden drugiego:

– Kimże On jest, że nawet wiatr i morze są Mu posłuszne?

Czerpali nagromadzoną w łodzi wodę i wylewali ją za burtę. Symeon ben Jona i Johanan ben Zebadia, zmęczeni walką z żywiołem, wiosłowali z trudem, a łódź powoli płynęła przed siebie po gładkiej i spokojnej powierzchni jeziora.

Opętany z Gerazy

Gdyby nie burza, podróż ich trwałaby niecałą straż nocną, ale ich zmęczenie było tak wielkie, że dopiero o świcie dobili do brzegu. Słońce wychyliło się zza łańcucha gór Gesur, które w odległości kilkudziesięciu piędzi od brzegu opadają stromym stokiem, a potem tworzą równinny pas i po nim jak po płaskim i wygodnym proggu łagodnie zstępują do jeziora. Wyciągnęli łódź na brzeg, odmówili modlitwę poranną i głośno dziękowali Panu za zbawienną Obecność Jezusa i ocalenie z morskiej przygody. Spożyli ocalałe daktyle i rozmiękłe chleby, które przypominały raczej papkę niż chleb, i ruszyli w drogę doliną pnącą się zakosami pod górę. Zatrzymali się na płaskowzgórzu, z którego po jednej stronie roztaczał się widok na jezioro, a po

drugiej na góry i bielejące w głębi miasto Geraza. Ułożyli się pod drzewem figowym i wypoczywali. Słońce przygrzewało. Poranny opar unosił się nad winnicami i gajami oliwnymi. Symeon ben Jona swoim bystrym okiem ujrzał wysoko na wzgórzu porośniętym lasem dębowym stado wieprzów – był to widomy dowód, że znajdowali się teraz w Dekapolu, na ziemi pogan – i ze wstrętem odwrócił oczy. Przypomniawszy sobie dzieje męczeństwa Eleazara, zapisane w błogosławionych zwojach Machabejskich, męża uczonego i w podeszłym wieku, który zmuszony był przez siepaczy, z rozkazu bezbożnego króla Antiocha Epifanesa – oby imię jego wymazane zostało z pamięci ludzkiej! – do otwarcia ust i spożycia wieprzowiny. Eleazar jednak, wybierając raczej chwalebłą śmierć aniżeli godne pogardy życie, wypluł mięso i dobrowolnie szedł na miejsce kaźni, i uczynił tak, jak powinni uczynić ci, którzy mają odwagę oddać życie za czystość swojej wiary. Gdy przyjaciele nakłaniali Eleazara, aby udawał, że spożywa wieprzowinę, i tym sposobem uratował się od niechybnej śmierci, mędrzec odrzekł: „Udawanie nie przystoi mojemu wiekowi, a wielu młodych byłoby przekonanych, że Eleazar przyjął obce i wrogie Panu zwyczaje, więc byłoby przez to moje udawanie wprowadzeni w błąd, ja zaś okryłbym się na starość hańbą i wstydem”. Tak rzekł, a umierając pod kijami katów, powiedział: „Dusza moja cierpi z radością, albowiem trwoży się Pana”. Symeon ben Jona, myśląc z podziwem o męstwie mądrego Eleazara, a z obrzydzeniem o nieczystej obcości i o siłach pustoszących winnicę Pańską, chciał już podnieść się z ziemi i podsunąć Jezusowi i uczniom myśl przeniesienia się na inne miejsce, albowiem według mędrców Izraela nie należy rozważać w pobliżu wieprza, zwierzęcia nieczystego, rzeczy świętych, ale jeszcze raz przezornie spojrzawszy w kierunku stada i obliczył, że dzieląca ich odległość jest znaczna, nie zagraża więc czystości ich bogobojnego skupienia. Zamknął oczy, oparł głowę o pień figowca i powrócił myślami do wypadków minionej nocy. Wiedział, że jego bracia rozpamiętują to samo co on i że podobnie jak on bezskutecznie biedzą się nad rozwiązaniem tajemnicy ujarzmionej i uciszonej burzy. Żywioły są Jezusowi podległe. Były podległe Mojżeszowi i były podległe wielu prorokom. Ale wszyscy prorocy dokonywali cudów z rozkazu Jahwe – niekiedy dokonywał ich sam Jahwe, a prorocy jedynie zapowiadali je uroczyście i przewidująco – Rabbi natomiast, jak to wielokrotnie zauważyli, czynił cuda w imieniu własnym, nie powołując się na rozkazy Pana. Jezus wydawał się nieskończenie większy od wszystkich proroków. Kefas wnioskował to z wielu okoliczności, towarzyszących Jego dziełom, i z samej właściwości Jego dzieł, tak bardzo odbiegających od wszystkich objawień zapisanych w zwojach Pisma Świętego, że niekiedy bał się o tych sprawach myśleć w mglistym przewidywaniu ich bezprzykładnej nadzwyczajności. Pojął w pełni, że tej nocy

otrzymali od Jezusa przestrożę przed zwątpieniem i naukę wiary w postaci burzy wznieconej i uciszonej i że owa przestroga i nauki w różnych postaciach będą do nich wielokrotnie wracały, a to, co przeżyli na jeziorze podczas nocnej przeprawy, nie jest ostatnią burzą wznieconą i uciszoną, bo idąc za Rabbim, raz po raz kroczyć będą w żywiołach szalejących i w żywiołach ujarzmionych, coraz burzliwszych i wspanialszych. Ich przeżycia i doświadczenia u boku Jezusa – tak rozmyślał Kefas – nie są przypadkowe, ale są długim łańcuchem pouczeń, udzielonych im przez Rabbiego, który za ich pomocą, jak nauczyciel w beth hasefer za pomocą tekstów Pisma Świętego, kształci swoich uczniów, zaszczepia w nich Mądrość Bożą, Chochma, tę cudowną Mądrość, tworzącą człowieka od nowa i wchodzącą w jego tchnienie, w jego krew, w jego serce i myśli. Są uczniami. Uczą się. Jezus nie spisuje swoich słów. Muszą się uczyć ich na pamięć i muszą się nauczyć na pamięć dzieł Rabbiego, każde doświadczenie u Jego boku muszą zapamiętać i wszystko to muszą codziennie od nowa odczytywać ze swojej pamięci, a jest to czytanie trudne i jest to nauka trudna, podawana na żywo, i pismo jest trudne do odczytania, bo każda litera tego pisma jest żywym człowiekiem, a znów inne litery są żywymi zdarzeniami, a wszystko razem jest żywym zwojem, którego źródłem jest Mądrość Elohim. Tak rozmyślał Kefas, a na zakończenie swoich rozmyślań zadał sobie pytanie: Na co teraz czekamy? – Ułożył się wygodnie pod figowcem i czekał czekaniem cierpliwie-porywczym, tym samym, którym od niepamiętnych wieków czekali wszyscy jego praojcowie od dnia wyjścia Abrahama z Ur Chaldejczyków.

Słońce stało już prostopadle nad ich głowami, gdy nagle ciszę południa przeciął ostry krzyk. Nie był to krzyk nawołujących się i zwołujących pasterzy, bo nie brzmiała w nim umowna nuta pożegnania, pozdrowienia lub zamierzonego spotkania, ani nie było to błagalne wezwanie o pomoc. W powietrzu krążył wrzask jednego człowieka, ale zdawało się, że w tym wrzasku rozbrzmiewa niezliczona ilość wrzasków wydobywających się z setek gardeł, wtłoczonych w jedno gardło, jakby z jednej otchłani wyły inne otchłanie, szczelnie tkwiące jedna w drugiej jak bezdenny lej w bezdennym leju.

Poderwali się z ziemi.

Ujrzeli biegnącego po pochyłości wzgórza nagiego człowieka. Potykając się, pędził na oślep przed siebie, padał, chwycił leżące na ziemi kamienie i bił się nimi w pierś, z której ściekały strugi krwi, podnosił się i znów biegł, wymachiwał rękami wśród nieustannego wrzasku wydobywającego się spomiędzy pokrytych pianą warg. Przystanął. Głowę zarosniętą skołtunionym włosiem odchylił w tył i spod przymrużonych powiek przyglądał się drwiąco Jezusowi wąskimi szparami kocich oczu.

– Łańcuchami nie spętają moich rąk – bełkotał – bo moje ręce są silniejsze od łańcuchów, ani powrozami nie zwiążą mojego ciała, bo moje ciało jest silniejsze od powrozów, i nie zamkną mnie w domu, bo moim domem są groby, miejsca nieczyste i samotne, i nie postawią straży przed moimi ustami, bo moje usta obalą każdą straż i będą krzyżeć, krzyżeć, krzyżeć! – tu począł wrzeszczeć wrzaskiem przeraźliwym, a uczniowie cofnęli się w obawie, że ten wrzask obali ich na ziemię.

Nagi umilkł. Zbliżył się do Jezusa i począł Mu się uważnie przyglądać. Z początku błądził wzrokiem po Jego postaci, jakby chciał się zapoznać z jej kształtem, z jej zarysem, z granicą jej cielesności, potem spojrzenie swoje zatrzymał na twarzy Jezusa, ale wiedziony niejasnym jeszcze przecuciem przezornie unikał Jego wzroku. Jednak im dłużej wpatrywał się w Rabbiego, w tym większe popadał zdumienie i tym większy ogarniał go lęk. Celem sprawdzenia swoich niewyraźnych przecuć i umocnienia się w słuszności nadciągającego lęku niepewnie wyciągnął drżącą dłoń ku ramieniu Jezusa, ale szybko ją cofnął i z krzykiem rzucił się w bok, jak ślepiec, który nieświadomie zbliżywszy się do rozpalonego do białości żelaza, nagle uzmysławia sobie grożące mu niebezpieczeństwo. Znieruchomiał. Patrząc na Jezusa, coraz bardziej upewniał się w słuszności swoich podejrzeń, które szybko w nim rosnąc spiętrzały się w niezawodne przekonanie, oślepiaty go swoją grozą i zmuszały do pokornego zgięcia kolan. Poznał, że stoi w obliczu Ucieśnienia, znienawidzonego Ucieśnienia, którego bał się od prapoczątków, gdy przyjąwszy na siebie postać węża, najbardziej przebiegłego ze wszystkich zwierząt polnych, podniósł się w swojej męskiej wspaniałości z pełzającego upodlenia i kuśił niewiastę owocem poznania. Był ułamkiem tego zła i jak każdy ułamek zła był jego doskonałą całością i zupełnością, jednostką i zbiorowością zarazem, częścią i mnóstwem zarazem, żołnierzem i wojskiem, i w tych różnych, zaiste niezliczonych postaciach i odmianach nawiedzał synów Adama od owego momentu wspaniałego upodlenia u stóp drzewa. W swojej odcieśnionej postaci czuł się zawsze wobec Pana bezbronny i wydany na łup Jego zapalczywości. Czekał z trwogą od prapoczątku na Ucieśnienie Pańskie, sam się nieustannie ucieśniał, albowiem w swoim ucieśnieniu upatrywał jedyną możliwość obrony i jedyne schronienie przed gotującym się do natarcia Panem. Wiedział, że ta próba sił kiedyś nastąpi, że nastąpi w dniu, gdy Pan nie pogardzi kruchym ciałem człowieczym, gliną, i oblecze się w tę glinę, w ten najkruchszy z najkruchszych pancerzy, i w tym najkruchszym pancerzu wystąpi przeciw niemu, obleczonemu w równie kruchy pancerz ludzkiego ciała.

Nagi, zwietrzywszy Eliona, wiedział, że nie ujdzie cało ze spotkania z Panem, chyba że prośbami i pokorą wybląga u Niego miłosierdzie – znał Jego niewyczerpaną skłonność do miłosierdzia, postanowił więc skorzystać z tej słabości

i odwołać się do niej – runął na kolana przed Jezusem i począł wołać donośnym głosem, a wołając, natychmiast przypomniał sobie święte proroctwo o czasie wyznaczonym. Ale ponieważ stracił przed obliczem Pana poczucie czasu – jest zjawiskiem powszechnym dla wszelkiego zła, że traci przed objawionym Panem poczucie czasu, a wtedy przedwczesność, czas właściwy i opóźnienie zbiegają się razem i tworzą jedną miążgę czasu – uroił sobie, że Jezus zjawił się przedwcześnie, i wołając donośnym głosem krzychał:

– Co Tobie do nas, Jezusie, Synu Eliona?! Czy po to tu przyszedłeś, aby nas dręczyć przed czasem?!

A na to Jezus, rozkazując mu, rzekł:

– Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka! A Nagi wył:

– Błagam Cię! Zaklinam Cię na Elohim! Nie dręcz mnie!

I tak wołając, bił przed Nim pokłony, tarzał się w prochu, a podobny był do siebie samego sprzed praczasu, gdy w wężu pełzał u stóp niewiasty. Tym swoim pyszałkowatym tarzaniem się, bezczelnym pełzaniem i chełpliwym biciem pokłonów chciał odwrócić uwagę Jezusa od sprawy najważniejszej, od swojego demonicznego imienia, bo aczkolwiek nie wątpił, że Jezus je zna, to jednak równocześnie domyślał się, że będzie żądał, aby je Nagi sam wyjawił, aby je sam odsłonił, i do niego się przyznał, gdyż takie samowyjawienie i samoprzyznanie jest równocześnie samoobnażeniem się, samorozbrojeniem i wydaniem się na łup Przeciwnika, jest po prostu dobrowolnym otwarciem na roścień jądra zła przed nacierającą mocą Dobra. To, co przewidział i czego się bał, nastąpiło. Ujrzał ogień w oczach Jezusa, a z ust Jego padło pytanie:

– Jakie jest twoje imię?

– Legion jest moje imię, bo jest nas wielu! – wrzasnął nieprzytomnie.

Nagi imieniem swoim otworzył przed Jezusem najgłębszą otchłań swojego zła, jego mnóstwo, jego liczbę wyobrażoną w niezliczonym stadzie, wypasającym się na piekielnym pastwisku, w ciele udręczonego człowieka. I znowu bił pokłony, tarzał się w prochu i przeciągłym skomleniem błagał Jezusa, aby go nie wypędzał z tego kraju zamieszkałego przez pogan. Spodziewał się, że otrzyma od Rabbiego milczące przyzwolenie swobodnego uprawiania swawolnych igraszek w pogańskich duszach, przy czym nie omieszkał Mu z naciskiem przypomnieć, że człowiek, w którym obecnie przebywa, jest poganinem, gojem, własność Pańska nie została zatem uszczuplona. Własnością Pana i Jego osobistym majątkiem jest Izrael, a Pełzający nawiedził przecież nie prawego syna Izraela, lecz poganina, nieczystość samą w sobie, bałwochwalczą nieczystość, która już wskutek tego, że jest nieczystością, z góry jest przeznaczona na potępienie! – O, syn Izraela to coś innego! – krzychał

Pełzający. – Gdybym ucieleśnił się w tym przysmaku Pańskim, Elion mógłby mieć do mnie żal, a nawet poniekąd przysługiwałoby Mu słuszne prawo upomnienia się o swoją niepodzielną własność, ale tak, cóż jest warte to ciało pogańskie, ten worek odchodów i grzechów albo, jeżeli kto woli, to nędzne wzgórze śmiecia, udające człowieka! – tak krzyczał Pełzający i było jasne, że boi się powrotu do domu otchłani, że lęka się odcieleśnienia, na które byłby skazany, gdyby go Jezus posłał w najgłębsze głębokości, że takie zesłanie do krainy odcieleśnienia byłoby męką nad mękami, męką nie do zniesienia! W przypiływie więc ostatecznej rozpacz, która zalała go jak wrząca fala, podniósłszy ku Jezusowi zlaną potem, spazmem strachu wykrzywioną twarz krzyknął:

– Jeżeli zamierzasz mnie wyrzucić, to wpędź mnie w to stado wieprzów, abym mógł je opętać! – i wskazał ręką trzodeę wypasającą się na wzgórzu pod dębowym lasem. Koźlimi, wodnistymi oczami, które zaszyły łzami, wprawdzie nie wzbudzającymi współczucia, ale jednak łzami, błagał Jezusa o łaskę wcielenia w nieczyste zwierzęta i widać było z przerażonej twarzy Nagiego, że tylko potworna, beznadziejna trwoga mogła być źródłem tej rozpaczliwej prośby.

Tu musimy zwrócić uwagę czytelnika na niezwykle kunsztowną grę, jaką posłużył się Nagi dla ratowania się przed odcieleśnieniem. Nagi, jak słyszeliśmy, nazwał swoją niezliczoną nieczystość legionem, rzymską formacją wojskową, wyobrażającą pogańską przemoc nad ludem Izraela, czyli nieczystość określił za pomocą nieczystości, przemoc za pomocą przemocy. Każdy demon, według wierzeń Izraela, posiadał – jak wiemy – wiedzę o pewnych tajemnicach Boskich, pochodzącą z owych podniosłych czasów sprzed upadku, gdy w pokornym oddaniu służąc Panu był dopuszczony do pewnej z Nim zażyłości. Ale posiadał nie tylko wiedzę o pewnych tajemnicach. Posiadał również dar odległego widzenia czasu. Nagi więc, nazywając swoją zbiorowość legionem, miał na myśli nie tylko liczbę szalejących w nim demonów. Wybiegłszy widzeniem w przyszłość, ujrzał rzymską formację wojskową, dziesiąty legion, na którego proporcach widniał wizerunek dzikiej świni. Legion ów miał już za kilkadziesiąt lat przypuścić spod Góry Oliwnej śmiertelne natarcie na Świątynię Pańską w Jeruzalajim Hakodesz. Błaganie Nagiego było zatem niezwykle podstępnie i chytrze przemyślaną grą, drwiącą aluzją do zburzenia Jeruzolimy i Świątyni Pańskiej, po prostu zjadliwie-szyderczą prośbą skierowaną do Jezusa, aby pozwolił mu wcielić się w ten znak nieczystości, pod którego uderzeniem rozpadnie się z woli i mocy Elohim Jego Dom na Świętej Górze.

W odpowiedzi na tę drwinę, za którą kryło się złośliwe pomówienie Pana o posługiwanie się demonami dla pewnych dalekosiężnych celów, od strony Czasu wstrząsanego podziemnymi pomrukami, od jego nabiegłych gniewem korzeni

buchnęły płomienie o troistej twarzy i troistych skrzydłach i niemiłosiernie gnały Pełzającego ku trzodzie wieprzów, które pasły się na stoku górskim, pod dębowym lasem. Pełzający dopadł wzgórze i z tryumfalnym rykiem ulgi rzucił się w otchłań plugastwa, tak jak człowiek, na którym płoną szaty, rzuca się w zbawienną wodę. Zanurzył się w szczeciniastych ciemnościach, w gęstym błocie nieczystości, w zwalistych tłustych cielskach zła (należy pamiętać, że w Izraelu świnia była symbolem pogańskiego Rzymu, a wszelka nadmierna tłustość symbolem tępoty uczuć, grzesznego znieczulenia serca, nędznej wegetacji ducha), w królestwie grzechu, i zawładnął nim niepodzielnie, wypełnił sobą wszystkie jego tkanki, mięśnie, żyły, wdarł się w jego krew i wraz z krwią popłynął do zatłuszczonych serc, wstrząsnął nimi, wstrząsnął dwoma tysiącami wieprzów, które oszalałe w przypiływie samobójczego szczęścia i samounicestwiającej mądrości – zło jest mądre mądrością głupoty – opętańczym galopem runęły przed siebie, w dudniący dół, po stoku wzgórze, ku brzegom jeziora, i z wrzaskiem rzuciły się w fale, a woda rozwarła się, zagotowała, zakipiała i zamknęła nad wcieleniem wyjącej ohydy.

Z oczu Jezusa odpłynęły płomienie, wróciła jagnięca, przejrzysta pogoda. Miękka łagodność szeleściła w koronie figowca, darzącego, jak przystało na patriarchalne drzewo, gęstym i godnym zaufania cieniem stojących pod jego koroną uczniów, którzy głęboko przeżyli całe to cudowne zdarzenie – w Erec Hakodesz nikt świń nie hodował, Rabbi więc przywiódł ich tutaj, do kraju zamieszkałego przez ludność pogańską, aby im na przykładzie nieczystych zwierząt pokazać samobójcze działanie zła – i równie poruszeni cudem uciszonego człowieka, jak przeżytym w nocy cudem uciszonej burzy, tę naukę o dwóch uciszeniach umieścili w swoich sercach jak w zamczystych skrzyniach.

Tak rozmyślali, podczas gdy Nagi, pogodny i spokojny, siedział u stóp Jezusa. Tymczasem świniopasów, którzy byli świadkami zdarzenia, ogarnęło przerażenie. Ale będąc poganami, nie oswojonymi z wiecznym sąsiedztwem Pana i Jego dziwnymi zwyczajami, zamiast pokłonić się Elohim, upaść przed Nim na twarz i złożyć Mu hołd, wybrali iście pogański, zaprawdę nieokrzesany sposób postępowania: uciekli. Nieprzytomni ze strachu pędzili do miasta i opowiadali po drodze napotykanym ludziom, co się zdarzyło z Nagim i wieprzami. A ponieważ starcie nieznanego Rabbiego z demonami oglądali ze stoku górskiego i widzieli szatańskie szaleństwo Nagiego, a potem szaleństwo i samobójczą śmierć wieprzów, mieli więc co opowiadać mieszkańcom Gerazy i okolicznych wsi, którzy wkrótce tłumnie wylegli nad brzeg jeziora, aby naocznie to wszystko sprawdzić. Przybywszy, zastali nie znanych im ludzi pod figowcem i siedzącego u stóp Rabbiego człowieka opętanego i nagiego, który już nie był opętany ani nagi – Juda z Kerijoth odział go

w starą tunikę, którą sprytnie wyprosił u strażnika pobliskiego szałas – i spokojnie rozmawiał z uczniami, radował się przywróconym człowieczeństwem i z głęboką wdzięcznością patrzył na swojego Wyzwoliciele. Na ten widok Gerazejczyków ogarnęła wielka trwoga, a stwierdziwszy brak trzody i widząc rozpacz lamentujących świniopasów z powodu poniesionej straty, poczęli w gorących słowach błagać nieznanego Rabbiego, który tak wiele zamieszania wprowadził swoim przybyciem do spokojnej krainy Dekapolu, aby raczył opuścić ich ziemię, powrócić tam, skąd przybył, gdyż woleli wśród siebie obecność demonów, do których byli przyzwyczajeni, niż obecność wszechmocnego Rabbiego, wypędzającego demony kosztem bezcennych, grubym tłuszczem obrosłych świń.

Stało się według życzenia zapobiegliwych Gerazejczyków. Późnym popołudniem, gdy woda w Jam Kinereth przybiera barwę ciemnego fioletu, a rybitwy krążą coraz niespokojniej nad jeziorem, Jezus i uczniowie, ku milczącej radości mieszkańców tej ziemi, wsiedli do łodzi. Smutny był tylko Uzdrawiony, który błagał swojego Dobroczyńcę, aby go tutaj nie pozostawiał, ale pozwolił mu przyłączyć się do zgromadzenia Jego uczniów. Jezus, odpowiadając na jego prośbę, rzekł:

– Wróć do domu, między swoich, i opowiadaj, jak wielkie rzeczy uczynił ci Elion, Pan Najwyższy, w swoim nieprzebranym miłosierdziu.

Łódź odbiła od brzegu.

Wygnanie Jezusa z Nazarethu

Wrócili do Kfar Nahum.

Zaledwie rozniosła się wieść o powrocie Jezusa, znowu otoczyły go tłumy chorych i kalek i głośnym zebraniem zebrały o łaskę uzdrowienia. Tłoczyły się dokoła Niego, dotykały skraju Jego płaszcza, a błogosławiona moc uchodziła z Rabbiego i uzdrawiała wszystkich.

Znowu o każdej porze dnia przychodzili ślepi i wołali w zachwycie: – Zlituj się nad nami, Synu Dawida! – I przychodziły niewiasty cierpiące na krwotok, przychodzili niemi, głusi i opętani. On ich leczył, a lud wołał: – Nigdy czegoś podobnego nie widziano w Izraelu! – a faryzeusze krzyczeli: – Mocą Baal Zebuba wyrzuca demony!

Ale tym razem pobyt Jezusa i uczniów w Kfar Nahum trwał zaledwie kilka dni. Udali się do Nazarethu, do kraju czekania i milczenia Jezusa. W swoich wędrówkach po Ziemi Świętej Rabbi nie mógł ominąć tego miasta, w którym wzrastał, dojrzewał i pobierał naukę. Chciał znowu modlić się w nazarethańskiej synagodze i przemówić do bliskich Mu ludzi. Chciał zobaczyć swoją matkę, której od czasu jej ostatniego

pobytu w Kfar Nahum nie widział, a przecież pamiętamy, że owo święte i podniosłe niespotkanie odbyło się w warunkach niezwykle dramatycznych, a towarzyszące mu nastroje nie sprzyjały rodzinnemu zbliżeniu. Chciał po prostu powrócić na chwilę do kraju swojego dzieciństwa, do swojego domu, do krewnych, jeszcze raz znaleźć się wśród nich, aby dopełniło się niedopełnione, a dopełniwszy się, rozdzieliło ich raz na zawsze. Rabbi wiedział, że nie odniesie zwycięstwa nad ślepotą mieszkańców Nazarethu, że wystąpienie Jego w tym mieście będzie próbą nieudaną – niechaj nam wybaczą czytelnicy, że już teraz odsłaniamy zdarzenie, które dokona się w zakończeniu tego rozdziału – ale mimo to próba musiała być dokonana. Elohim potężne gmachy swoich niewzruszonych twierdzeń buduje często z niewzruszonych zaprzeczeń, a gmachy niewzruszonych zaprzeczeń z niewzruszonych twierdzeń – o czym już niejednokrotnie mieliśmy możliwość przekonać się – często każe ludziom odnosić wielkie zwycięstwa za pomocą poniesionych klęsk i zadaje im wielkie klęski za pomocą odnoszonych przez nich zwycięstw.

Jezus uradował się, ujrawszy z dala swoje miasto. Wchodził w bramy Nazarethu, który przez długie lata Jego milczenia był dla Niego domem pewności i bezpieczeństwa, domem ojcowskim i domem matczynym. I aczkolwiek dzisiaj w tym mieście z powodu ust plwających i wrogów goniących za żerem nie mógł już liczyć ani na pewność, ani na bezpieczeństwo, to jednak wstępował w jego bramy z radością, bo z radością wstępował na drogi niebezpieczne, wytyczone przez Pana.

Miriam z miłującym umiarem powitała swojego Syna. Jego przybycie niezmiernie ją zaskoczyło, ale nie chcąc wtrącać się do Jego spraw i zamierzeń, nie pytała Go o powód niespodziewanych odwiedzin. Zresztą, jak wiemy, zawsze starała się nie przekraczać pewnych granic poufałości zakreślonych przez Elohim w godzinę Zwiastowania. Wprawdzie Pan wtedy nie wytyczył wyraźnie owych granic i nie zawarł z Miriam umowy o przysługujących jej prawach matczynego udziału w życiu Jezusa, ale ona kierowała się nieomylnym wyczuciem i sama ustanowiła czas swojej obecności u boku Syna, a źródła tych ustanowień słusznie upatrywała w Panu, który je milcząco zatwierdził. O zdarzeniu w Kfar Nahum nie padło między nimi ani jedno słowo, ale co najważniejsze, ani Syn, ani matka nie dostrzegli w tamtym spotkaniu żadnych objawów drażliwych, które by wymagały wyjaśnień, tłumaczeń czy uwag. Nie rozmawiali w ogóle o działalności Jezusa, o Jego nauce, wędrówkach i o rosnącym przeciw Niemu oporze Kajafy i oddanych mu faryzeuszów, chociaż Miriam – jak wiemy – z powodu narastających nieporozumień przeżywała wielki niepokój i z troską śledziła ich rozwój. Mówili o rzeczach dnia powszedniego, o krewnych, o znajomych, o tegorocznych żniwach, o zbliżającej się porze deszczowej, ale ten pozornie obojętny przedmiot rozmowy pozwalał na miłe ich

sercom i uszom nawiązanie do wspomnień – dzisiaj jest tak, a wtedy było tak, wtedy również pierwsze deszcze spadły bardzo późno – więc po chwili zaczęli wspominać dawne czasy i niezapomnianego Josefa – błogosławiona niechaj będzie jego pamięć! – i mądrego chazana – Elohim niechaj czuwa nad jego duszą! – i Jezus uśmiechając się z zadowoleniem stwierdził – kąty Jego ust uniosły się lekko ku górze i był wtedy bardzo podobny do Miriam – że matka pamięta niezwykle dokładnie najdrobniejsze szczegóły z Jego niemowlęstwa i dzieciństwa i mówi o nich z żywą wyrazistością. Nie mniejsze zadowolenie odczuł Jezus, gdy zmiarkował, że Miriam we wspomnieniach swoich zatrzymała się u progu Jego bar micwe i progu tego z pokorną delikatnością nie przekracza, a na cały następny czas, na długie, długie lata milczenia i czekania zarzuca zasłonę utajenia, a wprawdzie opowiada o niektórych zdarzeniach z tego okresu, ale wtedy słowa jej, stają się nieco mgliste, ogólnikowe i nieokreślone.

Umilkli. Siedzieli przed domem, na wzgórzu, jak za dawnych lat, i patrzyli na ciemniejący Tabor, kędzierzawy Karmel i łyse, przysadziste góry Gilboa, świadków śmierci króla Saula i lamentu Dawida. Czerwone słońce potopem ognia zalało nizinę Megido, rozległe pola, gdzie przed wiekami potykały się wojska Debory i Baraka z wojskami Beliala, gdzie Gideon walczył mieczem Pana z nieczystym Baalem.

Ale teraz ta ziemia krwi żadnym szczegółem nie przywodziła na pamięć swoich tragicznych dziejów. Odziana w szelest figowców i tykanie świerszczów, jak w tkaninę utkana z dźwięcznych głosów, była łagodna i śpiewna. Miriam wpatrzona w zorzę wieczorną, stojącą nad górami Karmel, wyobraziła sobie w swoim zamyśleniu, że znowu siedzi z Jeszua i Josefem przed domem i wszyscy razem oddychają chłodem nadciągającym od zachodu. To złudzenie było tak silne, że wyciągnęła rękę, aby dotknąć ręki Josefa, ale gdy natrafiła na bolesną pustkę, pospiesznie cofnęła dłoń, westchnęła i pogodzona z nieobecnością męża, w duszy swojej pokłoniła się Panu i przeprosiła Go za nieopatrzne złudzenie, któremu lekkomyślnie uległa.

Minęło kilka dni. Jezus i uczniowie spędzili je na rozważaniach, na rozmowach z Miriam, na przechadzkach po Nazarecie i okolicy. Rabbi zwiedził dom, w którym przed wielu, wielu laty mieszkali Jego dziadkowie i mała Miriam – dom znajdował się teraz w posiadaniu obcych ludzi – obszedł rynek, gdzie ongi bawił się z rówieśnikami, zatrzymał się przy bramie miejskiej, potem wstąpił do synagogi i do przylegającego do niej beth hasefer. Właśnie odbywała się tam nauka Pisma Świętego. Inny chazan, jakże niepodobny do nauczyciela Jezusa, siedział na podwiniętych nogach pośrodku izby – był małego wzrostu, przysadzisty, o twarzy wydłużonej ku przodowi, okrytej rzadkim zarostem, a spiczasty nos i bystre oczy

nadawały jego twarzy wyraz chytry i zacząjony – a przed nim półkolem siedziały na ziemi dzieci i chóralnym zaśpiewem powtarzały za nauczycielem słowa z Pisma Świętego. Te same były ściany, ale brudniejsze. Pokryte zaciekami o fantastycznych kształtach roślinnych i zwierzęcych – nawet zacieki uszanowały święte wierzenia Izraela i nie ułożyły się w kształt ludzkich postaci – świadczyły, że dzisiejsi mieszkańcy Nazarethu nie otaczali zbytnią troską i opieką tych murów. Te same były drzwi prowadzące do izby, ale popękane, o zepsutych zawiasach i zasuwach. Tylko niebo, widoczne między nie domkniętymi drzwiami a futryną, zachowało swoją czystą, niepokalaną barwę i niezniszczalne przez czas piękno. Jezus pozdrowił słowem Bożym nauczyciela, który spojrzał na Niego spode łba, i pozdrowił uczniów, którzy nieufnie przyglądali się nieznanemu Przybyszowi, i... wyszedł.

Jezus radował się widokiem miasteczka, którego nazwa tak przylgnęła do Jego imienia, że była nieomal nieodłączną częścią Jego osobowości, i wraz z imieniem stanowiła doskonałą całość. Ale jakże bolesne było zestawienie pięknej nazwy miasteczka Nazareth – nazwy zresztą nigdy nie spotykanej w Piśmie Świętym, jakby Elohim w obawie o czystość jej brzmienia ukrył ją w ciemnościach historii przed wszelkim okiem człowieczym, przed wszelkim kronikarzem, nawet najbardziej natchnionym, i zachował ją wyłącznie dla imienia Jezusa, i ujawnił ją dopiero w związku z Jego imieniem i Jego obecnością na ziemi – otóż jakże bolesne było zestawienie pięknej nazwy miasteczka z zachowaniem się jego mieszkańców, którzy od pierwszego dnia przybycia Jezusa okazywali Mu chłodną obojętność bądź nieufność, bądź wręcz jawną wrogość. Był to niewątpliwy skutek działalności wysłanników Kajafy, którzy uwijając się po Galilei rozszerzali wśród jej mieszkańców wieści uwłaczające dobremu imieniu Męża. Johanan ben Zebadia wielokrotnie powtarzał sobie w myśli: „Znałem arcykapłana, przychodziłem do jego domu, ale nigdy nie przypuszczałem, że tyle nienawistnej zaciętości kryje się w sercu tego człowieka”. – Zaciskał pięści i podnosił się w nim gniew przeciw wszystkim synom Izraela, którzy sprzyjali Kajafie i jego wysłannikom. A teraz widząc, jak mieszkańcy Nazarethu z przezorną ostrożnością odnoszą się do Jezusa, jak chłodno Go witają, unikają, odwracają głowy, wrzał coraz większym wzburzeniem. Gdyby nie przypomnienie łagodnych nauk Rabbiego – o, jak trudno miłować nieprzyjaciół! – które podczas tych napadów gniewu nagle spływały na Johanaana jak deszcz na płonąca pustynię i gasiły jego porywczosć i zadzierzysłą popędliwość, najmłodszy uczeń wywołałby niejedno zamieszanie w miasteczku.

Nadciągała nieuchronna burza.

Szóstego dnia, ba jom haszishi, wczesnym rankiem Jezus udał się do grobu Josefa ben Jaakow, swojego ojca-nie-ojca – grób znajdował się za miastem, w jednej z jaskiń

przywalonej kamieniem – i długo modlił się za jego duszę. Lekki wiatr jednostajnie wiejący od morza napędzał pojedyncze chmury, popielate na podbrzuszu, lśniące i białe po bokach. Jak ogromne srebrne żółwie płynęły chmury przez błękitne niebo, ospale, leniwie, łączyły się z sobą w majestatyczny orszak i odpływały na wschód, powolne i godne, pierwsze nieśmiałe zwiastunki zbliżających się deszczów. Jezus wznosił ręce do nieba i dla uczczenia pamięci swego ojca-nie-ojca począł zmawiać kadisz, piękny hymn modlitewny, zamykający w kilku wersetach cały sens życia człowieka, poświęconego Panu.

Jezus śpiewał:

– „Niechaj będzie Imię Pana wywyższone i uświęcone w świecie, który stworzył według swojej woli. Niech panuje Królestwo Jego w życiu waszym i za dni waszych, i w żywocie całego domu Izraela teraz i w przyszłości. Amen.

Niechaj będzie pochwalone Imię Pana w świecie i w całej wieczności. Niech Pan będzie błogosławiony i pochwalony, uświęcony i wywyższony, sławiony i uczczony, wielce uwielbiony i uświetniony, ponad wszelką chwałę i nad wszelką pieśń pochwalną, nad wszelką świętość i wszelkie pocieszenie wypowiedziane na ziemi. Amen.

Niechaj będzie pochwalone Imię Pana od teraz aż po wieczność. Niechaj pokój nieba i życie spłyną na nas i na cały lud Izraela. Amen.

Zbawienna pomoc przyjdzie do nas od Imienia Pana, który stworzył ziemię i niebo. On, który stworzył pokój na wysokościach, niechaj nas i cały lud Izraela obdarzy pokojem. Amen”.

Tak śpiewał Jezus i dziękował wielkim dziękczynieniem Josefowi, spoczywającemu w błogosławionej ciszy, za wszelką biedę i troskę, za samozaparcie i wyrzeczenie, i dokonywał przed kamieniem, zamykającym dostęp do jego ziemskich szczytków, wielkiego rachunku czasu. Było to ostateczne zamknięcie czasu Nazarethu, do którego już więcej nie miał powrócić, było to pożegnanie miasteczka, jeszcze jedno powitalne pożegnanie okresu odpływającego w przyszłość, do swojego zamkniętego źródła, opieczętowanego siedmioma pieczęciami.

Jezus wrócił do domu matki. Resztę dnia spędził w towarzystwie Dwunastu na pogodnych rozmowach i medytacjach, a wieczorem, troskę wyrzuciwszy z serca, bo przecież nie godzi się wnętrzem pomarszczonym od zmartwień witać Szabatu, poszedł z uczniami do synagogi, aby razem z całym Izraelem modlić się do Pana. Podczas gdy Jezus modlił się w beth hakneseth, Miriam przyrządziła wieczerzę, przygotowała chleby plecione, wino, ryby, daktyle, migdały i figi, i z ukazaniem się na horyzoncie gwiazdy wieczornej zapaliła światła szabatowe w świecznikach i odmówiła nad nimi błogosławieństwo, a odmawiając je, odmawiała je w ten

wieczór inaczej niż we wszystkie wieczory szabatowe, bo aczkolwiek zawsze całą duszą wspinała się po swoich słowach ku Panu, tym razem jednak wspięła się aż do najwyższych wysokości, nawet przez nią samą nie przewidzianych i nie uświadomionych, na których były już tylko wonie balsamiczne i światła utkane z niewidzialnych strun.

Jezus i uczniowie wrócili z synagogi. Zasiedli do stołu. Miriam stała obok, posłusznie gotowa do usług, według zwyczaju obowiązującego w Izraelu. Wtedy Jezus pochylił się ku niej i prosił ją słowami jakby wyjętymi z ust Josefa, aby razem z nimi usiadła. A gdy uczyniła według Jego wezwania i spojrzała na dwunastu uczniów, i posłyszała odmawiane przez Syna błogosławieństwo nad winem, nie mogła powstrzymać napływających do oczu łez, albowiem zdawało się jej, że siedzi wraz z Josefem w gronie dwunastu pokoleń Izraela, którym przewodzi jej Syn.

A następnego dnia, w sam Szabat, w dniu uświęconym przez Pana, nadciągnęła burza i uderzył grom.

A było to tak:

Jezus podczas swojego kilkudniowego pobytu w Nazarecie, świadom niewiary jego mieszkańców, nie działał, żadnego cudu i jedynie ulżył cierpieniu kilku chorych przez włożenie na nich rąk. Gdy rano przybył z matką i uczniami do synagogi i usiadł w ławce obok aron hakodesz – Miriam udała się na piętro, na drewniany balkon przeznaczony dla kobiet – poczuł panującą dokoła siebie niewiarę i chłodną nieufność. Podczas nabożeństwa rosz hakneseth, uczeni w Piśmie i starsi zgromadzenia szeptali między sobą i naradzali się nad trudnym zagadnieniem, czy należy Jezusa uhonorować haftarą – tak nazywa się rozdział z Ksiąg Proroków, który po czytaniu Tory jest objaśniany przez jednego z synów Izraela – czy też mają okazać Mu lekceważenie i zachować się tak, jakby Go w synagodze nie było. Rozumie się, że ta pospiesznie szeptana narada podczas nabożeństwa odbywała się kosztem modlitewnej żarliwości jej uczestników, którzy pochłonięci byli teraz całkowicie drobiazgowym rozpatrywaniem sytuacji, w jakiej się znalazło całe zgromadzenie z powodu przybycia Rabbiego do synagogi. Bądź co bądź od małości żył w Nazarecie, tu się wychował, tu pobierał nauki u miejscowego chazana i tu, w tej synagodze, był bar micwe. Jeden z uczonych w Piśmie z wymownym naciskiem, w którym brzmiała nuta wspólnoty ze wszystkimi wydarzeniami w synagodze, powtórzył: – Tu był bar micwe. – Wiadomo przecież, że jest mędrcem i działa cuda. – No tak, cuda działa, ale lepiej by było, gdyby tych cudów nie działał – szepnął z niezadowoleniem starzec ze zgromadzenia starszych; zwilżał przy tym palce śliną i gładził nimi brodę. Jego niezadowolenie udzieliło się innym, a wtedy trwoga wzięła w nich górę. Usłyszeli w swoich uszach ostrzeżenia wysłanników arcykapłana. Ich

szept stał się jeszcze bardziej szepcący, ale z kolei odezwała się w nich podrażniona ambicja, bo przecież mówił w Kfar Nahum, mówił w Jeruzalajim Hakodesz, mówił w małych synagogach w całej Galilei, po wsiach i miasteczkach, i tylko jeden raz mówił w Nazarecie, przed bardzo wielu laty, a oni nie wiedzą, jak teraz mówi, i w swoich rozważaniach o Jezusie posługują się opowiadaniem zasłyszonym od innych, bo nigdy nie byli słuchaczami Jego nauk i świadkami Jego wypowiedzi. Wprawdzie pamiętali Jego piękne kazanie, które wygłosił podczas uroczystości bar micwe, ale przecież czymś innym jest mowa wygłoszona przez młodzieńca wchodzącego w życie – o, jak wiele lat od tej pory minęło! – a czymś innym mowa męża dojrzałego, Rabbiego, sprzeciwiającego się faryzeuszom. W końcu szepcąc zgodzili się, że Jezua ben Josef będzie maftir i będzie wezwany do haftary, a wprawdzie czytanie z Ksiąg Proroków na bimah przed świętą arką jest wielkim uhonorowaniem i nie lada zaszczytem, umówili się jednak między sobą, że tego uhonorowania nie nazwą uhonorowaniem, a zaszczytu nie nazwą zaszczytem, lecz odczytanie przez Jezusę wersetu z Ksiąg Świętych i Jego kazanie nazwą... nazwą... Tu rosz hakneseth naciągnął chustę modlitewną głęboko na czoło i szepnął słumionym głosem: – Nazwiemy to utajonym wystawieniem na próbę Jezuy ben Josef. – I wszyscy wyrazili swą zgodę.

I stało się według ich zgody.

Po odczytaniu Tory sługa synagoga głośno zawołał:

– Rabbi Jezua ben Josef niechaj wstąpi na bimah i niechaj będzie maftir, i niechaj odczyta haftarę!

Jezus wszedł na trybunę, podciągnął chustę modlitewną, ucałował podany Mu przez szamasza zwój Proroków, rozwinął go, podniósł obie dłonie na wysokość swojej twarzy i odczytał drżącym głosem święty werset napisany ręką proroka Jesai:

– „Duch Adonaj, Pana, nade mną, albowiem Pan mnie namaścił, posłał mnie, abym głosił Dobrą Nowinę ubogim, abym uleczył serca złamane, abym zapowiadał wyzwolenie jeńcom i więźniom wolność i ogłosił rok Łaski u Pana i dzień pomsty dla naszego Boga”.

Jezus ucałował zwój, zwinął go i położył na pulpicie, po czym usiadł i począł wygłaszać drasza, kazanie objaśniające, a głos Jego był podniosły i groźny.

– Dzisiaj wypełniły się słowa Pisma, które dopiero co usłyszeliście! – zawołał i mówił potężnym głosem, coraz bardziej potężniejszym: – Wypełniły się słowa Pisma o wypełnieniu się słowa Elohim, o przyoblekaniu się zapowiedzi w żywe ciało namaszczone przez Pana, który namaściwszy je świętym olejem posłał je na ziemię w postaci Posłańca, Szelijach. Ów Posłaniec, zapowiedziany przed wszelką zapowiedzią i powołany przed wszelkim powołaniem, przyszedł i jest, i głosi Dobrą

Nowinę. Głosi ją ubogim, a ubodzy są ubogimi Pana, anawim Jahwe, a ubogim może być każdy człowiek, jeżeli ukorzywszy się, przestanie być własnością swej ziemskiej własności, jeżeli rozda majątek i całego siebie odda Panu i swojemu bliźniemu, i dzięki temu stanie się z własnej woli własnością Elohim i bliźniego swego. – A potem mówiąc do nich, powiedział im, że Spełniony i Spełniający będzie lekarzem złamanych serc Izraela, że je opatrzy i uleczy, i wywiedzie na wolność jeńców spoza potrójnych murów więziennych, i przeprowadzi ich bezpiecznie przez potrójne bramy, ocali ich swą mocą zbawienną i ogłosi czas Łaski Pańskiej. Ale wartość człowieka odmierzana będzie według jego uczynków, albowiem wiara bez uczynków jest martwa, jak ciało bez duszy jest martwe.

Umilkł. Zapanowała cisza. Zgromadzeni radzi byli z powodu owej ciszy, bo pozwalala im ochłonąć, uporządkować wzruszenia, przetrwać je w sobie, przyjmując je lub odrzucić. Gnębiła ich myśl, po co z własnej woli mają się stać własnością Elohim, skoro przecież niezależnie od swej woli są wybraną i dziedziczną własnością Pana i tym przywilejem od wieków się szczycą, oni i ich przodkowie, i po całą wieczność szczyć się będą ich następcy. Więc do czego potrzebna jest ich wola? Dlaczego mają być własnością swojego bliźniego? Jeżeli będą własnością bliźniego, uszczuplą stan posiadania Pana i bliźniemu oddadzą to, co przynależy Elohim, więc niejako okradną Pana i uczynią przeciw Jego woli. A poza tym cóż to za Posłaniec, który żąda od bogaczy, aby rozdali całą swoją majątność, jak gdyby bogacze nie mogli swoim bogactwem służyć Panu? Dlaczego biedny może chwalić Pana swoim ubóstwem, a bogaty swoim majątkiem nie może dostąpić tej łaski? Tak rozmyślali, rozdwojeni i chwiejni, a im dłużej krążyli myślami wokół namaszczonego Posłańca, na przekór wyobraźni, która podsuwała im wspaniałą wizję Męża, idącego w blasku Dawidowej chwały, widzieli Go coraz wyraźniej w postaci Jezuy ben Josef, stojącego na bimach, okrytego ubogą chustą modlitewną, noszącego na sobie prostą tunikę, a na nogach stare sandały z taniej wielbłądziej skóry. Nie chcieli wierzyć wewnętrznemu widzeniu i wytrząsali je z siebie, jak się wytrząsa z torby podróżnej resztki niepotrzebnego jedzenia. Widzenie jednak natrętnie do nich wracało i stawało się coraz bardziej wyraziste. Wzbierał w nich gniew przeciw mądrości Jezusa, przeciw Jego słowom, przeciw Jego myślom, przeciw Jego cudom. Rosło w nich coraz większe oburzenie i coraz większa zazdrość, że ośmielił się stanąć przed nimi w postaci Spełnionego i Spełniającego, a chociaż ani słowa nie powiedział o sobie, że Nim jest, i ani razu nie dał im do zrozumienia, że mógłby Nim być w przyszłości, oni jednak wiedzieli, że uważa się za Tego, który jest Spełnieniem i Spełniającym, i dlatego zapalali zgorszeniem i złością. A gdy poczęli porównywać siebie z Nim, rósł w nich coraz większy gniew, bo nie znajdowali żadnej różnicy między sobą

a Nim, bo był takim samym człowiekiem jak oni, bo żył i wychował się w Nazarecie obok nich i obok ich dzieci, bo Jego chusta modlitewna była taka sama jak ich chusty modlitewne – a nawet i gorsza! – a Jego sandały były takie same jak ich sandały – a nawet i gorsze! – bo jest z tego samego ciała co oni i z tej samej krwi co oni! Dlaczego więc wynosi się nad nich?! Dlaczego mówi, że uleczy ich złamane serca?! Jeżeli jest lekarzem, niechaj uleczy przede wszystkim samego siebie! A jeżeli cuda robił w Kanie i w Kfar Nahum, dlaczego ich nie robi w Nazarecie?! Tu! Natychmiast! Na oczach całego zgromadzenia! By ujrzeli i ocenili, i orzekli, czy są naprawdę cudami, czy złudzeniem!

Ale na początku pytali nieśmiało:

- Czy nie jest synem cieśli Josefa?
- Czy matce jego nie jest na imię Miriam?
- A czy nie są jego braćmi ciotecznymi Jaakow, Josef, Symeon i Jehuda?
- A czy jego siostry stryjeczne i cioteczne nie są tutaj między nami?

Były to pytania nieporadne i tchórzliwe, ale opanowane. Były ostrożnym stąpieniem w ciemnościach, po krętej i śliskiej ścieżce. Skoro jednak zgromadzeni przyjmowali każde z tych pytań z milczącą zgodą i z objawami przychylnego uznania, pytający krzykacze – stanowili sporą gromadę, rozrzuconą po całej synagodze – zmiarkowawszy, że ścieżka, którą kroczą, nie jest niebezpieczna, przeszli od pytań nieporadnych i tchórzliwych do zaczepnych.

Wołali:

- Skąd on bierze swoją mądrość?!
- Skąd do niego ta Boża Chochma?!
- Skąd on bierze to wszystko?!
- Cóż to za Chochma, która jest mu dana?!

Tłumione namiętności, oszczerstwa, zazdrość, niewiara buchnęły wielkim płomieniem i objęły całe zgromadzenie. Głosy wzmagaly się, rozpryskiwały się jak iskry, chytrze przygasaly i znów z niepohamowaną pobudliwością, ze zdwojoną siłą wybuchały pod strop synagogi, jakby chciały sobie powetować chwilę przyczajonej chytrłości. Krzykom wtórowały podniesione pięści, wyciągnięte ku bimah i wygrażające Jezusowi w szeleście modlitewnych chust, które, rozpięte na ramionach i rękach gwałtowników, podobne były do trzepocących jastrzębich skrzydeł. Tłum był jedną wielką, rozpaloną, kipiącą miazgą.

– Cóż to są za cuda, które się dokonują jego rękami?! – krzyczała szyderczo wieloustna miazga.

- Czyż nie jest to Jezua ben Miriam?! – ryczała pogardliwie wieloustna miazga.
- Tak! To Jezua ben Miriam! – ryczała drwiąco wieloustna kipiąca miazga.

Tak krzyczały usta miazgi, tak krzyczały dzisiaj w nazarethańskiej synagodze przeciw Jezusowi, i tak samo krzyczały przed wiekami przeciw prorokom natchnionym Duchem Bożym, i krzycząc, pytały pogardliwie: „Któż są ich ojcowie?” – Tak pytał Nabal swoje sługi, chcąc okazać pogardę młodemu Dawidowi: „Któż to jest Dawid? Któż to jest syn Jessego?” A w ich zaślepieniu i zaciętrzewieniu nawet ciesielski zawód Josefa był dla nich teraz przedmiotem pogardy i kamieniem obrazy, chociaż większość z nich była rzemieślnikami, a rzemiosło było zawsze w Izraelu zajęciem szlachetnym, tak szlachetnym, że sam Jahwe pokazał prorokowi Zecharii czterech Aniołów w postaci czterech rzemieślników, którzy przyszli obalić narody powstające przeciw ludowi wybranemu.

Jezus, który stał nieporuszony na bimah, w środku srożącej się burzy, w samym jej oku – w oku nawet najgroźniejszego cyklonu panuje zawsze bezwzględna cisza – podniósł dłonie, a wtedy zgromadzeni umilkli i radzi byli, że przemówi, bo pragnęli z wypowiedzi Jego ukuć jeszcze jedną broń przeciw Niemu. Słuchali więc uważnie i biegli tropem Jego słów jak myśliwi za zwierzyną.

Rabbi, przemawiając do nich, sięgnął do ich ukrytych myśli i tak mówił:

– Dlaczego nie przypominacie mi przysłowia: „Lekarzu, ulecz samego siebie?” A dlaczego nie żądacie ode mnie, abym dokonał w mieście rodzinnym tak wielkich dzieł, jakich dokonałem w Kfar Nahum?

Zaniepokoił się, ponieważ znał ich myśli, więc milczeli.

A Jezus, nie otrzymawszy od nich odpowiedzi, ciągnął dalej:

– Zaiste, powiadam wam, żaden prorok nie cieszy się uznaniem i czcią w swoim mieście rodzinnym i w swoim własnym domu. Zaiste, powiadam wam, wiele wdów było w Izraelu za czasów proroka Elijahu, gdy przez trzy lata i sześć miesięcy niebo się zamknęło i w całym kraju nastał wielki głód, a przecież, jak wiecie, do żadnej wdowy izraelskiej Elijahu nie został posłany, tylko do wdowy pogańskiej w Sarefat, w okolicy Sydonu. I było dużo trędowatych w Izraelu za czasów proroka Eliszy, a żaden, jak wiecie, nie został oczyszczony, tylko poganin, Syryjczyk Naaman!

Tak mówił Jezus, a synowie Izraela, postępując za Jego myślami, cofali się do czasu minionego, zapisanego w świętych zwojach Melachim, i ujrzeli wdowę z Sarefat, pogankę, którą Elijahu cudownie nakarmił w porę głodu, a potem nawet jej syna wzbudził z martwych i cudem tym uczynił, że owa kobieta, wyznająca nieczystych bogów, uwierzyła gorącym sercem w Jahwe i rzekła do proroka: „Teraz już wiem, że jesteś mężem Bożym i przez twoje usta przemawia Jahwe”. I natychmiast ujrzeli wyłaniającego się ze świętych zwojów Naamana, wodza wojsk syryjskich, trędowatego poganina, któremu prorok Elisza kazał siedmiokrotnie zanurzyć się w czcigodnych i oczyszczających wodach Jordanu, dzięki czemu

poganin został uleczony z trądu. A wyszedłszy z wody, mąż ów, wyznawca bogów nieczystych, uwierzył w Jahwe i rzekł do proroka: „Oto przekonałem się, że nie ma Boga w całej ziemi, jak tylko w Izraelu”.

Zgromadzeni znali te opowieści. Wiedzieli, że prorocy Elijahu i Elisza dla niewiadomych powodów nakarmili i uleczyli wyznawców nicości, ale Izrael nie dopuszczał do siebie myśli, że prorocy zrównali go z wyznawcami kamiennych bogów lub że pogan obdarzali większymi przywilejami i gorętszą troską niż wyznawców Pana. Czyżby więc Jezus, przypominając im dzieje tych cudów, chciał wywyższyć pogan i wynieść ich nad Izraela? Tego już dłużej znieść nie mogli! Podniósł się w nich sprzeciw. Rozpalał się, rozżagwiał, buchał płomieniami jak olbrzymie ognisko, a oni ciskali weń ciężkie obelgi jak żywiczne polana, a wraz z każdą ciśniętą obelgą wzmagają się i rosną czerwonożółte płomienie. Zionął z nich coraz większy żar. Żar oburzenia, żalu, rozdrażnienia, zgorszenia, grozy i kipiącej złości. Płomienie podchodziły coraz bliżej Jezusa. Już z sykiem lizały bimah, już pełzały ku stopom Rabbiego, a rozdmuchiwane wzmagającym się krzykiem, stawały się coraz zuchwalsze i kąśliwsze, coraz bardziej urągliwe i szydercze.

Z głębi tłumu, spośród trzepoczących chust modlitewnych i pięści wyciągniętych ku bimah, wyrwał się rozpaczliwy krzyk:

– Nie Elohim natchnął go swoją Chochmą!

– Baal Zebub go natchnął! Baal Zebub! – ryczał tłum. – Wypędzić go! Wypędzić bluźniercę! Wypędzić z synagogi! Z Nazarethu! Wypędzić go! Zrzucić go w przepaść! Zabić! Zabić! Zabić!

Jezus zszedł z bimah. Uczniowie obściskali Go, On jednak gestem wyciągniętej ręki odsunął ich od siebie. Odległy i nietykalny zmierzał ku wyjściu środkiem tłumu, który pod wrażeniem niewzruszonego spokoju Rabbiego nagle oniemiał, znieruchomiał i bezwolnie rozstąpił się przed Nim. Jezus wyszedł z synagogi i ruszył prosto, drogą prowadzącą obok źródła. Idąc na przełaj polami, zmierzał do głównego traktu prowadzącego na wschód, w kierunku Jeziora Galilejskiego. Za Nim szli przerażeni uczniowie. Tłum dopiero teraz unaoczniał sobie, że Ofiara wymyka się z potrzasku, więc z krzykiem runął przed siebie i biegnąc za Jezusem, wyobrażał sobie w swej zwodniczej świadomości, że Go wypędza za miasto, na stromy pagórek, u którego podnóża biegła droga prowadząca do głównego traktu. Ku tej drodze zmierzał Jezus, szedł powolnym krokiem, z własnej i nieprzymuszonej woli, według swej myśli i swojego zamiaru, szedł niewidzialny swoją widzialnością, szedł powoli, bardzo powoli, jakby chciał przybliżyć tę chwilę, gdy Go wreszcie dopadną i spełnią wypowiedzianą w synagodze groźbę. Podbiegli. Odepchnęli uczniów.

– Zrzucić go w przepaść! Zrzucić! – krzyczeli.

Wtedy Jezus, zewsząd otoczony krzyczącymi wodami, wstąpił w nie i zdązał wciąż przed siebie, środkiem chaosu i bezładu, a mając ścianę krzyczących i szalejących wód po prawej i po lewej stronie, przeszedł wśród nich bezpiecznie, jak Izrael przez Morze Sitowia.

A Miriam, która była świadkiem całego zdarzenia i z przerażeniem i bólem śledziła jego przebieg, teraz, widząc oddalającego się bezpiecznie Jezusa – Jego smukła postać widoczna była na tle lasu oliwnego, do którego zmierzał w towarzystwie postępujących za Nim Dwunastu – gorąco dziękowała Elohim za ocalenie Syna i płakała gorzkim płaczem, albowiem przeczuła, że jej Syn już nigdy nie wróci do Nazarethu.

Rozesłanie apostołów

Oddalali się od niegodnego miasta, od domów nienawiści i ślepych namiętności. Szli na wschód, w kierunku Jam Kinereth. Raz po raz oglądali się, przezornie mierząc wzrokiem powiększającą się odległość między nimi a niewdzięcznym miastem. Jeszcze widoczne były jego domy, rozłożone na łagodnych wzgórzach, i płaski dach synagogi w dolinie, ale wkrótce wzgórze i doliny nazarethańskie znikły z zasięgu ich wzroku.

Pobył w Nazarecie zakończył się niepowodzeniem. Widzieli Jezusa obłożonego przez psy, które wyjąc i goniąc za żerem krążyły koło Niego, nie nasycone i skowyczące. Ich paszcze plwały. Miecze były na ich wargach. Gdy uczniowie ujrzeli pięści wyciągnięte przeciw Rabbiemu, modlili się w swoim wnętrzu słowami króla Dawida: „Ocal mnie od moich nieprzyjaciół, o Boże mój, i chroń mnie przed tymi, którzy przeciw mnie powstali. Ocal mnie od czyniących zło i wybaw mnie od mężów krwi”. Modląc się, rozważali w swoich sercach, jak wyrwać Jezusa z ucisku nacierających na Niego nazarethańczyków. A potem widzieli Jego wypędzenie z synagogi – o, biedne ich oczy, że musiały na to patrzeć! – i widzieli wygnanie z miasta, i słyszeli nienawistne krzyki, domagające się Jego śmierci – o, biedne ich uszy, że musiały to słyszeć! – i już gotowi byli rzucić się na rozwścieżony tłum w obronie Rabbiego, ale stało się coś, czego do tej pory nie mogą zrozumieć i objąć zmysłami. W powszechnym zamięcie w synagodze i na uliczkach Nazarethu tłum nie odważył się podnieść na Niego bluźnierczej ręki. Prześladowcy pędzili za Nim ulicami co tchu w piersiach, podczas gdy Jezus powoli się oddalał. Uczniowie biegli za Jezusem – tak, tak, biegli za Jezusem, za powoli oddalającym się Jezusem – biegli, biegli zadyszani, i mimo to, podobnie jak tłum prześladowców, nie mogli za Nim

nadażyć, chociaż oddalał się powoli, bardzo powoli. – Jak to się stało? – pytali teraz jeden drugiego.

Kilka dni po powrocie do Kfar Nahum Jezus wezwał Dwunastu wybranych do swojej izby i przemówił do nich o konieczności głoszenia Dobrej Nowiny we wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach Galilei. Siedział na ziemi, na podwiniętych nogach, na podwójnie złożonej macie, a oni siedzieli dokoła i słuchali. Na początku przypomniał im, że są posłańcami, że ich wybrał spośród wszystkich uczniów i ustalił ich liczbę według pokoleń Izraela, i wskutek tego stanowią pełnię doskonałą. A przecież kohen hagadol Josef Kajafa wielu oddanych sobie synów Izraela uczynił również swoimi posłańcami i posłał ich do wszystkich miast, miasteczek i wsi Galilei z ostrzeżeniem przed zwodzicielem – tu wskazał na siebie – i jego uczniami – tu palcem wskazał na Dwunastu. Lecz Kajafa nie ustalił liczby swoich posłańców i nie uczynił ich wybranymi według Mądrości wysokiej, ale w wyborze swoim kierował się mądrością ziemską i dlatego posłańcy jego nie stanowią pełni i nie są wyrazem pełni. Jednak mimo to ludzie ci, wysłani z Jerozolimy do Galilei, są posłańcami arcykapłana i głosząc jego słowo, działają według jego rozkazów i wskazań i oskarżają jego oskarżeniem, są więc synami jego myśli, synami jego rozkazów, synami jego wzroku i synami jego słuchu. Tak mówił Jezus, a ciągnąc dalej, mówił im, że oni, wybrani spośród wybranych, pełnią spośród pełni, są posłańcami Jego słów i w tym sensie są ustami Jego ust i posłańcami Jego ust, i przyjąwszy na siebie brzemię posłannictwa, pójdą do miast, miasteczek i wsi Galilei i będą głosić wieść o Królestwie Bożym i o Dobrej Nowinie, a będą ją głosić jako Jego posłańcy przeciw posłańcom Josefa Kajafy, jako posłańcy Zbawienia przeciw posłańcom unicestwienia, jako posłańcy Prawdy przeciw posłańcom kłamstwa. Dla uświęcenia ich posłannictwa da im władzę nad złem i moc wypędzania duchów nieczystych i oczyszczania trędowatych. Mówiąc, patrzył im prosto w oczy, a im zdawało się, że nowe soki krążą w ich ciałach, nowy szpik wypełnia ich kości i nowa krew płynie w ich żyłach i odświeża ich znużone nerki. Rabbi, mówiąc dalej, zapowiedział im, że udadzą się w drogę po dwóch, aby wypełnił się zwyczaj izraelski, według którego jeden posłaniec ma być świadkiem drugiego posłańca, a każdy z nich ma być świadkiem prawdziwości posłannictwa swojego towarzysza, a razem mają świadczyć o prawdzie swojego wspólnego posłannictwa. Gdyby natomiast człowiek bezbożny odprawił ich z niczym i zamknął przed nimi drzwi swojego domu, obaj mają jednomyślnie złożyć świadectwo przeciw bezbożnemu mężowi i o zamkniętych drzwiach jego domu. I niechaj wiedzą i pamiętają, że idąc od domu do domu, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od miasta do miasta są szelichim micwa, posłańcami dobrych uczynków, i według

prawa praocjów są chronieni przed każdym złym przypadkiem.

Jezus, ciągnąc dalej, tak do nich pouczająco mówił:

– Nie idźcie między pogan i nie wstępujcie do żadnego z miast samarytańskich, lecz idźcie najpierw do zaginionych owiec domu Izraela. A idąc głóście i mówcie: „Przybliżyło się Królestwo Niebieskie”. Uzdrawiajcie chorych, oczyszczajcie trędowatych, wyrzucajcie demony. Darmo wzięliście, darmo dawajcie, nie zabierajcie srebra, ani złota, ani miedziaków w swoich pasach, ani torby podróźnej, ani chleba, ani dwóch sukien, ani drugiej pary sandałów, ani dwóch lasek, albowiem robotnik zasługuje, aby otrzymał swoje pożywienie. Gdy przyjdziecie do jakiegoś miasta albo do jakiejś wsi, postarajcie się wpierw dowiedzieć, czy jest tam osoba godna zaufania, i tam zostańcie, póki dalej nie pójdziecie. Wszedłszy do domu pozdrawiajcie go, mówiąc: „Pokój temu domowi”. Jeżeli dom jest tego godny, niechaj spłynie nań pokój na wasze życzenie, a jeżeli jest tego niegodny, niechaj wasz pokój do was powróci. A gdzie was nie będą chcieli przyjąć ani słuchać waszych słów, tam, wychodząc z tego domu albo z owego miasta, strząśnijcie pył niewiary z waszych nóg, aby nie przylgnął do waszych stóp i abyście pyłem tym nie skalali Ziemi Świętej. Zaprawdę, powiadam wam: „W dzień Sądu Łżej będzie ziemiom Sodomy i Gomory anizeli owemu domowi i miastu”.

To powiedziawszy, Jezus pobłogosławił ich.

A oni wstali i poszli.

Schody Gemońskie

Było po północy, gdy do Cezarei Nadmorskiej, do pałacu prokuratora, przybył z Rzymu nadzwyczajny posłaniec z ważną wiadomością i prosił dowódcę straży o natychmiastowe dopuszczenie przed oblicze Poncjusza.

Centurion przyjrzał się uważnie posłańcowi. Jego twarz okryta brudem, włosy nad czołem zlepione potem i czerwone od pyłu oczy świadczyły, że pędził na łeb na szyję, bez wytchnienia, zatem wiadomość, którą przywozi, jest na pewno bardzo ważna.

– Zaczekaj – rzekł centurion i poszedł w kierunku sypialni prokuratora, która mieściła się na końcu długiej kolumnady.

Posłaniec czekał.

Centurion przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Lekko zapukał kołatką. Raz, drugi, trzeci. Poseł zawołał:

– Mocniej, centurionie, mocniej!

– Oszalałeś... – wyszeptał centurion i pomyślał, że ten poseł przywozi chyba list

od samego cesarza. Usłyszawszy dochodzący z wnętrza sypialni głos prokuratora, pchnął drzwi i wszedł.

Po chwili posłaniec stał przed Poncjuszem.

– Oto list z Rzymu – rzekł.

Wyciągnął z zanadru tabliczkę i podał ją zaspanemu prokuratorowi, który przeciągnął się i spytał:

– Nie mogłeś z jego oddaniem zaczekać do rana?

– Nie mogłem, panie.

– Co słyhać w Rzymie? – spytał i ziewnął.

– Aelius Seianus nie żyje, panie. Prokurator zerwał się z łoża.

– Na bogów! – krzyknął, chwytając posłańca za ramię. – Co się stało?! Mów!

– Zginął z rozkazu cesarza. Zwłoki rzucono na Gemońskie Schody. Wszystko jest opisane w liście – odparł posłaniec.

Prokurator drżącymi dłońmi rozłamał pieczęcie, otworzył tabliczkę i czytał. Skończył. I znowu czytał. I znowu. I znowu.

– Odejdź – rzekł do posłańca – i czekaj rozkazu. Posłaniec wyszedł z komnaty.

Poncjusz usiadł na łożu. Ukrył twarz w dłoniach. Pod jego czaszką kłębiły się spłoszone myśli, splątane z sobą i skręcone w potwornym skurczu. Pod ciosem nagiej i wstrząsającej wiadomości stracił zdolność układania ich w logiczną całość. Wszystko widział z osobna. Łącząc z trudem poszczególne ogniwa swoich przesłanek, równocześnie rozrywał inne ogniwa i wskutek tego, zamiast upragnionej całości, wciąż wszystko widział w chaotycznych ułamkach. Ścisnął dłońmi skronie, sądząc, że przez ten prosty zabieg zmusi mózg do prawidłowej pracy. Lecz skurcz myśli nie ustępował. Było to uczucie bolesne, tym boleśniesz, że godziło w jego godność człowieczą. Po prostu nie umiał myśleć.

Dygocąc na całym ciele, wpił drżące palce w pościel, bo przez zamknięte powieki ujrzał swoje oplwane zwłoki, leżące w krwi i błocie na Gemońskich Schodach.

Czyją głowę otrzymam, Panie?

Przygotowania w Macheroncie do urodzin tetrarchy dobiegały końca. Od kilku dni w kuchni pałacowej przyrządzano potrawy, gromadzono świeże i lepkie daktyle, figi, winogrona, zielone i czarne oliwki, syryjskie śliwki, wyciskano sok z granatów, mieszano miód z makiem, a strażnik nad piwnicami osobiście zaprawiał wina mocnymi korzeniami i kosztował każde wino z osobna, zwłaszcza mulsum, sławę winnic tetrarchy, miodowy napój przyśpieszający trawienie. W przeddzień uroczystości strażnik nad kuchnią odbył rozmowę z kuchmistrem i powiadomił go

o jadłospisie, w którym przede wszystkim zwracały uwagę smażone węgorze, ryby wprowadzie według Prawa nieczyste, ale mimo to niezwykle smakowite, pulardy nadziewane pieprzem, cebulą i siekanym żółtkiem, jądra baranie smażone na oliwie, koźlę pieczone na ogniu, wołowina z rożna, wymiona świńskie zaprawione zawieszonym sosem z ryb i barani ogon z grochem, obrośnięty połciami tłuszczu, przysmak nad przysmakami, przysmak izraelski, za którym przepadali również Rzymianie.

Od tygodnia zjeżdżali goście. Przybyli już Herod Filip, brat Heroda Antypasa, tetrarcha Gaulanitis, Trachonu, Batanai i Pnias, lekkomyślny Agryppa, młodszy brat Herodiady, wraz z piękną żoną Kypros, najprzedniejsi dworzanie i wyżsi oficerowie z Tyberiady, kilku wybitnych Galilejczyków i zhellenizowanych Judejczyków z Jerozolimy. Lada godzina mieli przybyć wyżsi oficerowie rzymscy z Cezarei Nadmorskiej i dostojnicy z urzędu prokuratora. Goście w oczekiwaniu na uroczystości spędzali czas na ucztowaniu, zabawach i rozmowach, których tematem były sprawy polityczne i plotki towarzyszące, ale gdy rozniosła się wieść o przybyciu z Kalliroe córki Herodiady, Salome, młodziutkiej czarnowłosej dziewczyny o zielonych oczach, która swoim tańcem miała uświetnić urodziny tetrarchy – występ Salome miał być urodzinowym podarkiem Herodiady dla męża – uwaga wszystkich skupiła się na zapowiedzianym występie księżniczki. Jedni wyrażali się z dużym uznaniem i zadowoleniem o tym zamierzonym występie, który miał być głównym urozmaiceniem uczyty urodzinowej – wszak nawet przed Augustem tańczyła niewiasta wysokiego rodu rzymskiego, wzbudzając w cesarzu podziw dla swojej sztuki – inni natomiast uważali, że dziewczyna izraelska nie powinna tańczyć przed oficerami i urzędnikami rzymskimi, poganami, ludźmi niegodnymi takiego zaszczytu. Mimo to z napięciem czekali na to niezwykle zdarzenie, gdyż, jak twierdzili wtajemniczeni, Salome swoim tańcem oszałamia widzów i duszę ich przenosi do niebiańskich obszarów.

Późną nocą – a była to noc poprzedzająca dzień urodzin tetrarchy – przybył do Macherontu posłaniec z Aleksandrii, zameldował się u dowódcy straży zamkowej i zażądał natychmiastowego widzenia z Herodem Antypasem. Dowódca Macherontu – opisywane przez nas wypadki w Cezarei Nadmorskiej i Macheroncie działy się równocześnie, tej samej nocy – bronił się z początku zawzięcie przed zbudzeniem swojego pana i zmusiła go do tego dopiero nieustępliwa postawa posłańca, który twierdził, że przywozi wiadomości o wielkiej wadze dla tetrarchy i państwa.

Posłaniec, poprzedzany przez dowódcę straży i dworzanina, który niósł zapalony świecznik, wszedł do sypialni tetrarchy. Władca, nagle zbudzony ze snu, usiadł na

łożu i przez dłuższą chwilę półprzytomnie obracał w ręce list, zanim wreszcie zdarł z niego pieczęcie. Czytał. Spojrzał na posłańca, dowódcę straży i dworzanina, i upewniwszy się, że są żywymi postaciami, z krwi i ciała, a nie sennymi marami, przeczytał list powtórnie i znowu go przeczytał, i dopiero po czwartym czytaniu zrozumiał, że to, co czytał, nie jest dalszym ciągiem radosnego snu, ale najprawdziwszą i wskutek tego najradośniejszą jawą. Czytelnik na pewno zauważył, że prokurator, jak i tetrarcha dopiero po kilkakrotnym przeczytaniu listu zrozumieli jego wstrząsającą treść, co nie świadczy o braku wyobraźni jednego i drugiego, ale jest dowodem nieograniczonej potęgi Sejana, którego nagłego upadku w przeciągu jednego dnia ze szczytów władzy na Schody Gemońskie nie spodziewał się nikt w całym imperium rzymskim.

Tetrarcha wyskoczył z łoża i krzyknął do dowódcy straży:

– Posłańcowi daj tysiąc drachm! Niech zostanie na moich urodzinach! Daj mu nowy strój! Niech je i pije razem z całą załogą!

Narzucił płaszcz i szybko – powiedzielibyśmy, że nawet biegiem, gdyby to określenie było godne dostojnego majestatu tetrarchy – udał się do sypialni Herodiady. Wspólnie przeczytali list, słowo po słowie, z powolną dokładnością, co chwila przerywając czytanie radosnymi komentarzami, niezbyt pochlebny dla nieżyjącego wroga. Po raz pierwszy, głośno i bez obawy podsłuchu – nawet nadmiernie głośno, co zresztą jest usprawiedliwione ich podnieceniem i odzyskanym poczuciem bezpieczeństwa – wyrażali sąd o Sejanie, który za życia za pomocą doskonale zorganizowanej służby wywiadowczej umiał wślizgiwać się do najbliższego otoczenia swoich wrogów, ba, nawet do ich sypialni, lecz teraz, pogrążony w mrokach odległego Hadesu, nie miał już nad nimi żadnej mocy. Dotychczas tetrarcha o Sejanie rozmawiał ze swoją żoną zawsze stłumionym szeptem. A i teraz po namyśle poczęli szeptać – mimo poprzednich okrzyków – gdyż w rodzie Heroda Wielkiego wszyscy zawsze szeptem układali swoje plany, ważne lub błahe, a kto raz popadnie w nawyk szeptania, już się nigdy od niego nie odzwyczai, niezależnie od tego, czy ma, czy nie ma ku temu słuszných powodów. Herodiada przysunęła się więc bliżej tetrarchy – siedzieli obok siebie na płaskich fotelach, obitych złotogłównem – i mówiła głosem ścisłym, rozkoszując się pomyślnymi widokami ich przyszłości, i nęcąco odsłaniała je przed zachwyconym Herodem Antypasem, który wprawdzie świetnie znał dalekosiężne zamiary swej żony, ale za każdym razem, gdy o nich mówiła, zdumiewał się bystrością jej umysłu.

– Skoro Sejan nie żyje – mówiła Herodiada – skoro nie żyje wściekły pies, który był wrogiem naszym i Izraela, a mocnym oparciem prokuratora, otwiera się dla ciebie, panie mój, droga do tronu twojego ojca. W Jerozolimie był jego tron, i na tym

tronie tyś powinien zasiąść i połączyć pod berłem swoim Judeę, Galileę i Pereę, aby to, co jest dzisiaj podzielone, było jutro znowu złączone. Prokurator, trwożąc się o swoje bezpieczeństwo i stanowisko, wysłał hołdowniczy list do Tyberiusza i w czołobitnych słowach, zaprawionych fałszywym uwielbieniem, oświadczył mu nie tylko dozgonne przywiązanie, ale także stekiem brudnych oszczerstw i pogardliwych potępień zniesławił pamięć Sejana, byle tylko przekonać cesarza o swojej gorącej wierności, odgrodzić się od zdrajców i oczyścić z ciężących na nim podejrzeń. Niechaj zatem mój mąż nie zwleka i list napisze do Tyberiusza, i w słowach podniosłych złoży mu wyraz czci, należnej jego boskiemu pochodzeniu, a aczkolwiek cesarz – jak twierdzi – nie lubi wszelkich nadmiernych oznak ubóstwienia, hołd złożony przez tetrarchę, wyznawcę Jahwe, na pewno w głębi duszy poczytywać sobie będzie za piękny i wymowny gest wierności. Potem niechaj mój mąż oskarży prokuratora o bliską współpracę z Sejanem i niechaj wyraźnie zaznaczy, że mamy w rękach jej liczne dowody, dowody współpracy, która w Judei wydała robaczywe owoce, gdyż wskutek zażartej nienawiści, z jaką Poncjusz odnosił się z polecenia przeklętego prefekta do ludu Izraela – sam zresztą, z własnej woli, jest nieubłaganym wrogiem naszego ludu – rozgoryczony Izrael widzi wprowadzić w cesarzu swojego dostojnego opiekuna i obrońcę, ale prokuratora darzy pogardą i żywiołową niechęcią. Te słowa mój mąż napisze w liście i ani słowa więcej.

Tak mówiła Herodiada, a mówiła rzeczowo i zdaniami tak okrągłymi, że zdawało się, iż dyktuje list sekretarzowi. Wypuściła dłoń tetrarchy ze swojej dłoni, wstała i kilkakrotnie przeszedłszy się po komnacie, znowu usiadła obok niego i znowu mówiła stłumionym szeptem:

– Potem udamy się razem do Rzymu. Z dowodami wszystkich zbrodni prokuratora w rękach. Tymczasem jednak mój mąż musi wszelkimi sposobami zjednać sobie lud Izraela i przeciągnąć na swoją stronę co najprzedniejszych kapłanów, uczonych i dostojników, a osiągnie to za pomocą sowitych darów dla Świątyni Pańskiej i przez swoje uczestnictwo w obchodach świątecznych w Jerozolimie. Nie powinniśmy drażnić Jeszuruna i dlatego rano wydam polecenie strażnikowi nad kuchnią, aby z jadłospisu urodzinowego usunął wszystkie potrawy, które według Prawa Mojżeszowego są nieczyste i mogą wzbudzić obrzydzenie w obecnych na uroczystościach synach Izraela, przestrzegających wiernie przepisów Tory.

Tetrarcha, słuchając słów żony, pomyślał, że ta niewiasta ma umysł naprawdę wybitny. Jest niezwykle przewidująca i o wszystkim pamięta. Z równą jasnością umie ocenić położenie polityczne, jak i jadłospis urodzinowy. On, tetrarcha, w nawale zajęć na pewno by zapomniał o nieczystych potrawach i tą swoją

gnuśnością myślenia na samym wstępie nowego i jakże radosnego okresu popełniłby niewybaczalną niestosowność, za którą musiałby potem płacić wysoką cenę tłumaczeń, usprawiedliwień, a może i upokorzeń. Spojrzał z wdzięcznością na Herodiadę, która po krótkim milczeniu tak dalej mówiła:

– Wydaje mi się, że to, co teraz powiem, jest bardzo ważne. Nasze małżeństwo wzbudziło w Izraelu gwałtowny sprzeciw, albowiem zawarte wbrew Prawu, uchodzi w oczach fanatycznych wyznawców Jahwe za grzeszne, Panu i Jego przykazaniom przeciwne, i dlatego może stać się przeszkodą w naszych zamiarach, których celem jest tron królewski w Jerozolimie. Ponieważ mój mąż nie da posłuchu żądaniom mącieli i ode mnie nie odejdzie, ani ja nie mam zamiaru go porzucić, gdyż związani jesteśmy miłością nad śmierć silniejszą, jak to pięknie powiedział król Szelomo w Szir haszirim, musimy tak działać, aby pamięć ludu zapomniała o naszym rzekomym bluźnierstwie, którego dopuściliśmy się, wiążąc się dozgonnym małżeństwem. Cóż więc powinniśmy uczynić, aby wyrwać z pamięci ludu nasz grzech, który, jak wiemy, nie jest przecież grzechem, bo nie może? być grzechem miłość i gorące oddanie. Przede wszystkim powinniśmy usunąć tych wszystkich, którzy swoimi ognistymi i karygodnymi mowami podtrzymują w Izraelu pamięć naszego małżeństwa, upatrując w nim obrazę Jahwe. Żadne nasze zabiegi o życzliwość ludu nie osiągną upragnionego skutku, dopóki język jadowity głosić będzie przeciw nam nienawiść, wrogość i pogardę. Gdy na zawsze umilknie język jadowity, lud, którego życzliwość zdobędziemy dobrym uczynkiem i przyjaznym słowem, zapomni o tym, o czym powinien zapomnieć. Niechaj na zawsze umilknie język jadowity i niechaj spadnie ta głowa, obrośnięta włosami, burzą włosów, brudnym gniazdem zmij!

– Czy moja żona chce głowy Johanana ben Zecharia? – spytał niespokojnie tetrarcha i poczuł, jak nad jego górną wargą i na czole gromadzą się gęste krople potu.

– Mój pan otrzymał od cesarza piękny podarunek urodzinowy, głowę Sejana. A w ten uroczysty dzień czyją głowę ja otrzymam, panie? – spytała z uśmiechem i wyszła, udając się do kąpieli, albowiem był już ranek.

Do komnaty weszła dworka i zgasła lampy oliwne.

Śmierć Johanana ben Zecharia

Salome tańczyła. Łkały struny harfy, szarpane delikatną dłonią harfisty, a towarzyszyły im żarliwe dźwięki fletu. Przed oczami tetrarchy majaczyła twarzączka o zielonych oczach, dziewczęca głowa o kruczonych włosach, gładko

zaczęsanych i spiętych w pukiel nad stromym karkiem o barwie śniadej kości słoniowej... Tę nieugiętą stromość karku odziedziczyła po swoich hasmonejskich przodkach – pomyślał z czułą zazdrością Herod Antypas. Widział, jak płynie przez powietrze i jak opadając dotyka lekko końcami palców chłodnej powierzchni posadzki, jakby nią nie była marmurowa mozaika, ale warstwa zwiewnego puchu. Widział tę smagłą smugę światła w błękitnym chitonie, zawieszoną przez chwilę nad ziemią i rozpryskującą się fontanną olśniewających zwrotów, obrotów i skoków w świetliste czarodziejstwo gestów, światła i zapachów. Tetrarcha, który dzięki niezwykle wyczulonym zmysłom wzroku i słuchu umiał nie tylko natychmiast ocenić piękno rytmu i melodii, ale z godnym podziwu znanstwem odczytywał z każdego ruchu jego najbardziej ukrytą treść, tym razem, wpatrzony z zachwytem w tańczącą Salome, wchłaniał płynący z jej sztuki fluid, niewyraźalny w żadnym słowie. Była to płynność doprowadzona do ostatecznej doskonałości, płynność odurzająca, czysta, nieskazitelna falistość, szalona, niepohamowana, przenikająca na wskroś i docierająca do samych granic nienasyceńca.

Umilkły dźwięki harfy i fletu.

Salome złożyła głęboki ukłon przed władcą, który pochyliwszy się nieco ku przodowi, rzekł zdławionym, urywanym głosem:

– Żądaj ode mnie, czego chcesz, a dam ci. – I patrząc w jej zielone oczy, dodał:

– Przysięgam, o cokolwiek prosić będziesz, dam ci. Nawet połowę mojego królestwa dam ci, Salome.

Tak rzekł i czekał, a przez biesiadników, leżących przy półkolistym stole w ciężkim czadzie opilstwa i obżarstwa, przeszedł szmer podziwu dla tańca dziewczyny i dla hojności tetrarchy, który u szczytu zachwycenia gotów był połowę swojego małego państewka – można je było piechotą w kilka dni przemierzyć z północy na południe – ofiarować swej pasierbicy dla jej niepoślednich talentów tanecznych. Podczas gdy goście wciąż trwali pod wrażeniem sztuki Salome i niezwykle ryzykownej przysięgi Heroda Antypasa, dziewczyna wybiegła do sąsiedniej komnaty, gdzie przebywała Herodiada w towarzystwie niewiast. Ucztowały one dzisiaj osobno. Tym odosobnieniem spłacała żona władcy daninę prawomyślności wobec dobrych zwyczajów izraelskich, które nie pozwalały kobietom biesiadować z mężczyznami przy jednym stole. Wstępując w czas starań o królewską koronę Jerozolimy, uważała, że należy je rozpocząć gestem świadczącym o jej nierozzerwalnych związkach ze świętą wiarą Izraela i szlachetnym domem dumnych, niezłomnych, niezapomnianych Hasmonejczyków.

Herodiada właśnie podnosiła do ust winne grono, gdy podbiegła do niej Salome i nachyliwszy się nad jej uchem szepnęła:

– Tetrarcha, który znalazł upodobanie w moim tańcu, spytał mnie, czego w zamian żądam. Przysiągł, że o cokolwiek prosić go będę, da mi. Nawet połowę swojego królestwa. Niechaj, mi powie moja matka, o co mam prosić pana mojego?

A Herodiada, odjąwszy od ust dłoń, w której trzymała owoc, nachyliła się do ucha swojej córki i szepnęła:

– Poproś go o głowę Johanana ben Zecharia.

– O co? – spytała przerażona Salome.

Herodiada, wskazując na stojącą na stole srebrną misę pełną owoców, odpowiedziała szeptem:

– Powiedz mu, aby ci podał tę głowę na srebrnej misie. Podniosła dłoń na znak, że rozmowa skończona.

Salome powoli wracała do biesiadnej komnaty. Raz jeden widziała na dziedzińcu tego obrośniętego Judejczyka. Wprawdzie jego wygląd nie był zbyt pociągający, ale jego spojrzenie i dumna, wyniosła postawa wzbudziły w niej uczucie życzliwości. Słyszała, że jest to prorok, człowiek świątobliwy, bliski sąsiad Jahwe, Boga Hasmonejczyków, jej przodków. Powiedziano jej, że wygłasza ogniste mowy przeciw jej matce i ojczymowi, ale nie rozumiała powodów tej nienawiści. Prawa spisane ręką Mojżesza nie znała, gdyż wychowana w Rzymie rozczytywała się w „Metamorfozach” Owidiusza, a nie w Księgach Bemidbar czy Dewarim. A teraz ma prosić tetrarchę o głowę tego człowieka. Przystanęła na progu biesiadnej komnaty. Zgorszyła się matczynym podszeptem. Dlaczego ma prosić o głowę tego człowieka? Nic wobec niej nie zawinił. Znała go z imienia i z kilku mglistych opowiadań. Gdy mu się przyjrzała podczas owego przypadkowego i przelotnego spotkania na dziedzińcu, mimo odstrasającego zewnętrznego wyglądu nie uczynił na niej wrażenia człowieka niesprawiedliwego i niebezpiecznego, który mógłby godzić na czyjeś życie i pożądać cudzej własności. Wprawdzie na jego twarzy malowała się surowość, ale była to surowość bardzo rozumna, wzbudzająca zaufanie, a co najważniejsze – nie było w niej śladu mściwej zaciętości. Nie! Nie poprosi o głowę Johanana ben Zecharia! Nie ma zamiaru być narzędziem w rękach matki dla jakichś niejasnych, a może nawet niegodziwych celów! Dotknęła dłonią zasłony oddzielającej komnatę niewiast od komnaty biesiadnej. Zaszleściły korale nanizane na jedwabne nitki. Salome wciąż stała z opuszczoną głową. Ujrzała odciętą głowę Johanana ben Zecharia na srebrnej misie. Śmierć. Nikomu dotychczas nie zadała śmierci. Nigdy dotychczas nie widziała zwłok ludzkich. A w herodiańskim rodzie jej ojca wszyscy wszystkim zadawali śmierć od dnia, w którym spływała na nich łaska pełnoletności, dojrzałości i władzy. Ten przywilej zadawania śmierci był swego rodzaju uswięceniem pełni ich lat i wstępowania w życie, potwierdzeniem ich

mocy, żądzy sprawowania władzy, ambitnego dążenia do celu, dokonanym sensem życia. Zabijali wszyscy jej pradziadowie, zabijał wielki pradziad – Salome poczęła liczyć na palcach – zabił swoich synów: Antypasa, Aleksandra – ojca Herodiady, Arystobula, wielką prababkę Mariamne Hasmonejkę i jej matkę, zabił jej hasmonejskich praocjów, Arystobula II i Hirkana II, i jego córkę Aleksandrę; a ilu zabił dostojników, dworzan, zauszników i niewolników – opuściła bezradnie ręce – a ilu zabijali ci, którzy potem sami zostali zabici, a ilu ludzi na śmierć wydał jej stryj Archelaus, a ilu ludzi uśmiercił jej ojczym, a o matce ludzie też przebąkiwali cichaczem... przebąkiwali... Śmierć. Zimne mrowie przebiegło ją od stóp do głowy. Była to prawdopodobnie ta sama drażniąca i wyzwalająca woła mocy, która nawiedzała wszystkich jej przodków w obliczu zadawanej śmierci. Było to cudowne olśnienie śmiercią, która była miarą i wagą potęgi i sprawdzianem ich dostojństwa, i natchnieniem do dalszego i śmiertelnego żniwa. Ta władza nad życiem ludzkim równała ich z bóstwem i dzięki niej sami stawali się bóstwem albo postacią bliskoznaczną z boskością, która wzbudzała w nich nieprzepartą zazdrość i zachłanne pożądanie, a utożsamiona z tajemnicą śmierci – nie ma bóstw, które by w jakimś sensie nie były znakami śmierci – urzekała ich wszystkich, oczarowywała, olśniewała i czyniła ich swoim narzędziem, chociaż zdawało im się w zaślepieniu, że to ona jest narzędziem w ich rękach. Zabijanie... W Salome odezwała się dumna spuścizna jej herodiańskich przodków, w swej krwi doznała pożądania dojrzałości, jej obfitego dostojństwa, graniczącego z samouwielbieniem, i wypełniona po ostatnią tkankę ciała wołą zabijania, euforią radosnej i wiecznie żywej śmierci, przekroczyła jak we śnie próg biesiadnej komnaty, i pokłoniwszy się przed tetrarchą rzekła:

– Chcę, panie, abys mi dał zaraz na srebrnej misie głowę Johanana ben Zecharia.

Twarz Heroda Antypasa rozlana, miękiszowata, stała się nieruchomą, stężała bryłą tłuszczu. Wśród biesiadników zapanowało pełne oczekiwania zmieszanie. Z zapartym tchem śledzili zachowanie się władcy. Zmiarkowali, że nie taniec Salome, ale to, co teraz nastąpi, będzie szczytowym punktem biesiady. Szeptali między sobą, dawali sobie oczami wymowne znaki, tu i tam odezwały się nierozsądne chichoty, urywane głosy, ale natychmiast milkły, a ci, którzy nadużyli wina i dawali upust swej niewybrednej wyobraźni w sprośnych dowcipach i płaskich opowiadaniach, trzeźwieli, przywróceni w oka mgnieniu do przytomności nagłą ciszą, która po pierwszych chichotach, szeptach, szmerach i urywanych głosach nagle zapanowała przy stole. Tetrarcha zamknął oczy. Wydawałoby się, że w tej bezkształtnej masie ciała nic się nie dzieje, gdyby nie krople potu – kropla po kropli – które jak gęsta wysypka występowały na jego czole i nad górną wargą,

pęczniały, łączyły się i strugami ściekały po gładko wygolonych policzkach, po brodzie, podbródka, szyi i karku. Te krople potu były jedynymi zewnętrznymi objawami dramatu, który rozgrywał się we wnętrzu władcy. Ujrzał się przy łożu śmierci swojego ojca. Przeżywał to zdarzenie od nowa, ale z taką wyrazistością, jakby rozgrywało się ono właśnie teraz, a nie było jedną z wielokrotnie przez pamięć powielonych odbitek tamtej sceny z dalekiej przeszłości. Oto starzec otwiera oczy i może pod działaniem maligny, a może powracającej świadomości chwyta go za rękę, szarpie nią, przyciąga go ku sobie i przenikliwym szeptem – tak, tak, tak to było dokładnie, tak było, słyszy ten szept – żąda od niego, by szedł śladem jego życia. W ten sposób uczynił go, jedynego spośród wszystkich synów, spadkobiercą i wykonawcą snu o obciętych głowach – tak, tak było dokładnie, tak było – i właśnie teraz wypełni się ten przekaz i testament, właśnie teraz – bo prawdopodobnie wtedy, przed laty, została ustanowiona obecna chwila – któż ją ustanowił? kto? ciarki przeleciały po jego grzbiecie – i ustanowiona została głowa Johanana ben Zecharia, i ustanowiona została Herodiada, i ta uczta urodzinowa, i ta zielonooka żmija, żądająca z podszeptu matki głowy proroka – czy ma kazać ściąć głowę proroka? O, Elohim! O, Baal Zebubie, święty boże much! – i właśnie teraz, teraz, teraz spełnia się przekłete błogosławieństwo przekłętego ojca, którego pamięć niechaj będzie przekłeta, przekłeta, przekłeta! Czy nie można odmienić tego, co zostało ustanowione? Czy nie można tego ustanowienia złamać, jak łamie się trzcinę? Czy nie można go usunąć z drogi, jak się usuwa pień zwalonego drzewa? Czy nie można go przegnać, jak się przegania trędowatego na pustkowie? Czy nie można wymazać z przeszłości tego przekłętego błogosławieństwa i na przekór wszystkim ustanowieniom krzyknąć: „Głowa Johanana ben Zecharia nie spadnie!

Jeden włos nie spadnie z jego głowy!”? Bo przecież dlaczego ma go zabić? Dlaczego ma ściąć jego głowę, obrośniętą włosami, w których na przekór bluźnierczym złudzeniom Herodiady zamieszkał nie pokraczny, godny wiecznego potępienia Belial, ale Jahwe, El Szaddaj, Elion, Adonaj, a może święty bóg much, a może pan świętych nierządnic, a może nawet sama Astarte, małżonka słonecznego Baala, bogini parzących się psów? Więc po co ma obcinać owłosioną głowę, stolicę nieznanego bóstwa, tron mocy nadziemskiej, przybytek sił tajemniczych i nieujarzmionych, królestwo mściwych bóstw, które znalazły upodobanie w nigdy nie strzyżonych i nie trefionych włosach? Więc po co ma ścinać tę głowę? Po co? Po to, by wywołać może wzburzenie w całym Izraelu? Gniew ludu? Karę bogów? Któż mu zaręczy, czy ta śmierć nie odniesie wręcz przeciwnego skutku niż ten, który pragnie osiągnąć Herodiada? Kto mu zaręczy? Kto?! Chciał krzyczeć, chciał wykrzyczeć z siebie te wszystkie pytania wraz z całym niepokojem, sprzeciwem,

strachem, bólem, wahaniem, wątpliwościami; czuł, jak rozpaczliwy krzyk podchodzi mu do gardła, wypełnia usta, rozdziera wargi, jeszcze chwila, a wybuchnie spazmem nieartykułowanych dźwięków! I tylko dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi woli, zwartym do ostatecznych możliwości szczękom i kurczowo zaciśniętym zębom krzyk nie wydostał się z jego rozdygotanego, gorejącego, bulgocącego wnętrza. Napięcie poczęło z wolna opadać. Stał przed wyborem. Był to jeden z owych rozstrzygających momentów w życiu ludzkim, w którym się ginie na całą wieczność lub na całą wieczność ożywa. Wiedział, że czyni źle, ale nie miał sił przeciwstawić się złu. Mimo wszelkich wahań i niepewności sumienia łatwiej mu było skazać na śmierć Johanana ben Zecharia niż go od śmierci uratować. Skazując go, szedł drogą ustanowień, ratując go, musiał zdobyć się na wysiłek nieubłaganej walki z ustanowieniami. Tłumaczył sam sobie – chciał przed swoim sumieniem usprawiedliwić klęskę, którą ponosi – że nie wie, kto jest twórcą tych tajemniczych nakazów kształtujących ludzki los, jakże więc może walczyć z nieznanym i nieuchwytnym wrogiem, ukrytym, bezimiennym i niewidzialnym? Wyczerpany, postanowił zaniechać dalszej walki i poddać się bezsilności i ustępstwu, które w momentach wielkich decyzji zalewały go falą biernego, ale rozkosznego lenistwa i oddawały we władanie łatwej zgody na wszelkie zło. Wypełniła go niezmierna pustka – powitał ją, jak chory wita powracające zdrowie – i tylko tkliwe, gorzkie zamyślenie nad własną nicością było jedynym cieniem, który padał teraz na jego uspokojone odczłowieczone człowieczeństwo. Klasnął w dłonie.

– Zbliź się – rzekł Herod Antypas. Dowódca podszedł do stołu.

– Przynies mi głowę Johanana ben Zecharia – powiedział nieswoim głosem tetrarcha. W komnacie słychać było brzęk komara.

– Na srebrnej misie – dodał po chwili. Dowódca nie ruszył się.

– Na co czekasz? – spytał, uderzając lekko palcem o powierzchnię stołu. Dowódca pochylił głowę i bez słowa wyszedł.

Salome cofnęła się ku drzwiom prowadzącym do komnaty kobiet, ale władca zatrzymał ją ruchem ręki.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Do matki, panie – odrzekła nieśmiało.

– Tu zaczekasz – powiedział rozkazującym głosem. Przystanęła pod ścianą.

Wciąż było słychać uprzykrzony brzęk komara, krążącego w powietrzu. Czekali.

Tymczasem dowódca straży bez zbytniego pośpiechu i zapału zszedł ze schodów, zatrzymał się na dziedzińcu, spojrział w niebo – noc była jasna, księżycowa, a od północy wiał chłodny wiatr – i klnąc pod nosem, kilkakrotnie przemierzył dziedziniec i jakby chciał zyskać na czasie, zawrócił, udał się wzdłuż murów

i dokonał przeglądu straży pilnujących zamku. Zwymyślał strażnika, który oparty na włóczni drzemał. Kazał mu jutro wczesnym rankiem zgłosić się do karnego raportu. Przystanął, znów spojrział na niebo, potem ku wzgórzom Moabu, stojącym na horyzoncie jak gromada skamieniałych demonów, i niechętnie, wciąż ociągając się, poszedł na tyły zamku, gdzie znajdowały się komory i magazyny.

– Zapal łuczywo i otwórz piwnicę – rzekł do pachołka.

Szli długim korytarzem. Ich pokraczne cienie skakały spłoszone po łukowatych sklepieniach i ścianach.

– Otwórz – rzekł, gdy stanęli przed drzwiami komory.

Zazgrzytał zamek, pachołek pchnął drzwi i trzymając płonące łuczywo wysoko nad głową wszedł do wnętrza, a dowódca straży przystanął na progu. W głębi komory, plecami oparty o ścianę, siedział na ziemi Johanan ben Zecharia i nie zwracając uwagi na niespodziewanych gości, tym dziwniejszych, że przybyłych o tak późnej porze, zmawiał śpiewnym półgłosem Tehilim na nutę, na którą zmawiali psalmy jego ojciec Zecharia, kapłan Świątyni Pańskiej, i wszyscy jego przodkowie od niepamiętnych wieków: – „Pan jest moim pasterzem i niczego mi nie brak. Pasie mnie na zielonych pastwiskach i prowadzi mnie do spokojnej wody. I wiedzie mnie prawymi ścieżkami dla swego Imienia. A choćbym kroczył doliną ciemnych cieni, nie będę się lękał zła, bo jesteś ze mną. Pociechą moją są Twoja łaska i Twój kij pasterski. Zastawiasz przede mną stół w obecności moich ciemnych przyjaciół, głowę moją namaszczasz olejkiem, a kielich mój jest pełny. Dobro i łaska kroczą za mną przez wszystkie dni mojego życia. W domu Pańskim zamieszkać po najdłuższe dni.”

Skończył i dopiero teraz spojrział na przybyłych.

Dowódca, nie patrząc na więźnia, rzekł:

– Tetrarcha skazał cię na śmierć, Johananie ben Zecharia. Mam zaraz wykonać wyrok.

– „W domu Pańskim zamieszkać po najdłuższe dni” – odparł Niestrzyżony ostatnimi słowami psalmu. Wypowiedział je z tym samym zaśpiewem, którym zmawiał cały psalm, a w brzmieniu jego spokojnego i równego głosu nie było ani śladu wrażenia z powodu wydanego nań wyroku, jakby ten wyrok nie jego dotyczył albo dokonany już został tak dawno, że teraz nie warto już o nim nawet mówić. Dowódca spytał zdumiony:

– Nie boisz się?

– Czego?

– Śmierci.

– Nie – odparł Niestrzyżony. – „Pan jest moim pasterzem i niczego mi nie brak.”

Dowódca niezliczoną ilość razy wykonywał wyroki śmierci lub uczestniczył przy ich wykonaniu. Wszyscy skazańcy bali się śmierci. Ich strach umacniał jego wiarę w cudowną wartość życia. Był w służbie tyrana. Innej miary życia, poza strachem, nie znał. A tu po raz pierwszy zetknął się ze zjawiskiem niezrozumiałym, które zachwiało jego dotychczasową filozofią życia.

Zwracając się do pachołka, rzekł:

– Idź po topór i kloc. Wyrok wykonasz na dolnym dziedzińcu. Pachołek wetknął łuczywo w szczelinę muru i wybiegł z komory.

– Chodź – rzekł dowódca.

Chciał, żeby wszystko szybko się skończyło. Szli przez korytarz, po schodach, przez górny dziedziniec, potem znów schodami w dół i wreszcie stanęli na małym, kwadratowym dziedzińcu, z którego rozpościerał się widok na pofalowaną pustynię, na Morze Soli, góry Moabu i góry Judei, oświetlone teraz jaskrawym światłem księżyca. Na środku dziedzińca obok kłoca stał pachołek z toporem w ręce. Zatrzymali się. Johanan rozejrzał się dokoła i wzrok utkwiał w Górach Judejskich, w ich najwyższych szczytach, za którymi na posłaniu z dolin spoczywała stolica Najwyższego, Jeruzalajim Hakodesz. Ukląkł. Twarzą zwrócony ku Jerozolimie, jakby oddawał ostatni pokłon Świętemu Miastu, nisko pochylił głowę nad katowskim klocem i poczuł, że dotyka czołem jego chłodnej powierzchni. Szepnął stłumionym głosem: – „Szema Israel, Adonaj elochenu, Adonaj echad”. Pachołek przez dłuższą chwilę borykał się z jego włosami – palcami zaplątał się w ich gęstych kłębach, które opadały na ramiona i plecy jak ciężki płaszcz – wreszcie z trudem podniósł je i przerzucił przez głowę klęczącego skazańca. Nad obnażonym karkiem zawisł nieruchomo topór.

Dowódca dał znak ręką.

I Johanan ben Zecharia runął w głąb Boga.

Część III

Czas chleba i światła

Pogrzeb Johanana ben Zecharia

Kto są ci ludzie, którzy o tak wczesnej porze – właśnie słońce wyrzało spoza Moabu – wchodzą nieśmiało w bramy Macherontu? To są uczniowie Johanana ben Zecharia: uczeń o okrągłych oczach owcy i jego trzej towarzysze. Kto wezwał uczniów Pustynnego Męża do królewskiego pałacu? Wezwał ich dowódca straży. A po co ich wezwał? Podejrzliwie rozglądali się dokoła. Na dziedzińcach panowała cisza. Poza strażami stojącymi na murach i żołnierzem, za którym posłusznie szli, nigdzie nie dostrzegli żywej duszy. Ciężko dudniły kroki żołnierza po bruku – wiadomo, był u siebie w domu – ale oni stąpali na palcach, gdyż uważali, że nie wolno płoszyć królewskiej ciszy prostackim kłapaniem sandałów. Pałac wydawał się wymarły, co ich zresztą nie dziwiło, bo domyślili się, że dostojni domownicy i goście zażywają teraz zasłużonego spoczynku po nocnej uczcie urodzinowej. Czekając pod Macherontem – łudzili się, że w tę uroczystą noc będą dopuszczeni do swojego rabiego – widzieli światła w królewskich komnatach i słyszeli stłumione dźwięki muzyki. Idąc dziedzińcami i schodami, obok sadzawek i cienistych pergoli, uzmysłowili sobie, że po raz pierwszy widzą od wewnątrz Macheront w pełnym świetle dnia. Gdy w ciemnościach nocnych cichaczem skradali się pod opieką strażnika do więziennego lochu, niewiele widzieli z owego przepychu, o którym słyszeli wdzięczne opowieści od dostawców owoców, jarzyn i mięsa i od ogrodników pracujących w ogrodach tetrarchy. Podziwiali więc teraz piękno i potęgę architektury, a ich spojrzenia wciąż były nieufne, nawet bardzo nieufne, gdyż odczuwali niepokój i zamęt w sercach z powodu swej jawnej obecności w pałacu. Uroiło im się, że byli bardziej bezpieczni w nieprzeniknionych ciemnościach nocy, gdy pod jej osłoną zmierzali jak bezszelestne cienie do więziennej piwnicy. Ta ich dzienna jawność, w przeciwieństwie do nocnego utajenia, wydawała im się bardzo niebezpieczna. Czego od nich chcą w świetle dnia, na dziedzińcu oświetlonym oślepiającym światłem słonecznym, skoro są przecież ludźmi nocnego

skradania się, synami szeptu i ciemnej piwnicy i uczniami męża przebywającego w mroku? Mimo to ich samopoczucie nie uległo poprawie, gdy zszedłszy w dół, po kilkunastu schodach, stanęli w ciemnym lochu przed dowódcą straży pałacowej. Owiął ich piwniczny chłód. Ich oczy jeszcze oślepienie słońcem nie mogły dojrzeć zarysów męża, więc tylko po dźwięku słów domyślili się jego potężnej obecności, ogromem swoim wypełniającej szczelnie mroki piwnicy. Przemówił do nich głosem podziemnej krainy, spokojnym i obojętnym, i właśnie wskutek owej obojętności przerażającym. Głos piwniczny zawiadomił ich o wykonanym z polecenia Heroda Antypasa wyroku śmierci na Johananie ben Zecharia i, nie czekając na wrażenie, jakie ta żałobna wiadomość wywołała w sercach uczniów, przeszedł natychmiast do omówienia szczegółów pogrzebu Pustynnego Męża: Otrzymają ciało nieboszczyka, złożone na marach, prześcieradło, lniane opaski i wonności dla namaszczenia zwłok. Wprawdzie – ciągnął dalej dowódca straży – przeniesienie ciała do grobu przysporzy uczniom na pewno wiele kłopotu, gdyż jest ono podzielone na nierówne części o nierównej wadze, mianowicie na nader ciężką głowę, pokrytą gąszczem włosów, i na nader lekki tułów, ale ponieważ są ludźmi przemyślnymi, poradzą sobie z wszystkimi trudnościami i szczęśliwie pochowają rabiego w świętej ziemi jego praojców, co jest gorącym życzeniem tetrarchy, który pragnie, aby pogrzeb mędrca, wprawdzie zbyt gadatliwego, ale jednak mędrca, odbył się ściśle według uświęconego przez Pana rytuału i w zgodzie z wierzeniami Izraela. Król życzy sobie – wciąż wywodził dowódca głosem podziemnym – aby Johanan ben Zecharia był pochowany w słusznej odległości od Macherontu, w odległości możliwie jak najdalszej, mimo to nie przekraczającej jednego dnia drogi, gdyż prawo praojców nakazuje chowanie nieboszczyka w dniu jego śmierci, a przekroczenie granicy tego rozkazu może stać się przyczyną niepokoju Pustynnego Męża, którego ciała dostojny pan i władca nie ma zamiaru bezcześcić, a duszy jego drażnić.

To powiedziawszy, dowódca straży zamkowej umilkł, a uczniowie, których oczy oswoiły się z piwnicznymi ciemnościami, ujrzeni na ziemi, pod ścianą, leżące na marach, przykryte śmiertelnym płótnem zwłoki Johanana ben Zecharia. Stłumili w sobie głośnie i bolesne wzruszenie, gdyż przypomnieli sobie, że dusza człowieka powoli i z niemałym trudem odrywa się od ciała, aż wreszcie, odłączywszy się, wciąż jeszcze nie może zerwać więzów łączących ją z prochem, więc przez trzy dni nieustępliwie nad nim krąży, a płacz i jęki ludzkie utrudniają jej wyzwolenie się od ciężaru ziemskiej powłoki. Nie chcąc stawiać przeszkód biednej duszy, wciąż jeszcze borykającej się ze swoją zachłanną tęsknotą za ciałem, nakazali milczenie wargom i postanowili dopiero po pogrzebie, z dala od grobu, dać upust gorącym łzom i żalom. Strażnik wręczył uczniom słoik z wonnościami i lniane opaski. Schowali je

do sakwy, podnieśli mary i ruszyli ku wyjściu. Szli powoli, ostrożnie, mozoląc się z martwym oporem zwłok, obsuwających się na pochyłości stromych schodów. Gdy stanęli na dziedzińcu, z przerażeniem ujrzeni wymykające się spod okrwawionego prześcieradła skołtunione, lepka posoką zlepione kosmyki włosów, splugawione gniazdo bogobojności, zbeczeszczoną koronę Jahwe. Wzięli mary na barki i ruszyli ku zamkowej bramie. Żołnierze stojący na murach, dostawcy owoców, mięsa i przekupnie, którzy o porannej porze przybyli z towarami do zamku, przyglądali się z zabobonnym lękiem smutnemu orszakowi. Gdy u bramy powstało zamieszanie z powodu mijających się dwóch karawan, obładowanych kobiercami i workami korzeni, uczniowie posuwali się naprzód złotym krokiem, albowiem każdy nieostrożny ruch ramion i nóg mógł w rosnącym ścisku spowodować upadek na ziemię kolebiącej się głowy, której bolesne kołysanie się pod płótnem wyraźnie czuli na barkach. Idąc powoli, z baczną czujnością, żalosnym wołaniem torowali sobie drogę w kotłującym się wirze ludzi, zwierząt i w tumanach gęstego, mlecznego kurzu, który dla ich gardeł i oczu był równie dokuczliwy, jak dla ich uszu wrzaskliwe przekleństwa poganiaczy wielbłądów i ryk spłoszonego osła, opędzającego się od spadających nań razów wyrzucanymi rozpaczliwie ku tyłowi kopytami. Wreszcie wydostali się poza mury Macherontu. Posuwali się w dół z umiarkowaną szybkością, łagodnymi serpentynami. Przystanęli w połowie wzgórza. Przed ich zmrużonymi oczami ścieliła się pofalowana płowymi pagórkami pustynia, żółta próżnia, niema, beznadziejna, jałowa, wypełniająca bezkształtnym cielskiem cały widnokrag; nad nimi trwało niebo, rozpalone do błękitnej białości, jarzące się jak pustynne piaski i równie jak one martwe, bezptaszące i bezszelestne, zdawałoby się – wytrzebione z wszelkiego życia, wypalone do samego dna; a na wschodzie, tuż u swoich stóp, ujrzeni martwe Morze Soli, gęstą wodną zawiesinę, pozbawioną oddechu i ryb, będącą o tej porze dnia – o, bolesne, nieoczekiwane i nieprawdopodobne szyderstwo! – jedynym żywym żywiołem w tej nieruchomej pustce, jedyną falującą płaszczyzną w bezwładnym krajobrazie, migotliwą, drżącą i chwiejną, roziskrzoną wybuchami zmieniających się barw, od szaroniebieskiej po krzyczącą, krwistą czerwień i głęboki, dostojny fiolet. Stali w środku dzikiego krajobrazu, w wietrze niosącym od Morza Soli przypomnienie przekornej żony Lota, pod pustynnym niebem i na pustynnej ziemi, i – jakby dopiero teraz zrozumieli tragiczną wymowę Johananowej śmierci – poczuli się bardzo samotni i świadomi straty, którą ponieśli. Ogarnęła ich rozpacz. Błogosławiony mąż nie żyje. To, co dźwigają na marach skleconych z mocnych żerdzi, jest martwym ogniem nazira. Żywy ogień wstąpił do szeołu. Już więcej wśród nich nie podniesie głosu. Już więcej nie będzie krzyczał. Już więcej nie będzie milczał. Zatęsknili za jego głosem

i milczeniem, bo martwota zwłok nie była milczeniem, podobnie jak nie było głosem kolebanie się jego martwej głowy. To była śmierć, okrutna śmierć, zaprzeczenie ziemskiego głosu i ziemskiego milczenia, zejście do podziemia, przejście z głosu niższego w głos wyższy, z milczenia płytkiego w milczenie głębokie, z rozpadu w złożenie, z rozdzielania w zespolenie, z podziału w całość, z wycinka w zupełność. Bolejąc nad tym przejściem, spieszenie ruszyli przed siebie, bo chcieli jak najszybciej znaleźć się daleko od przeklętego Macherontu.

Zeszli z góry i skierowali się na północ.

Po krótkim, uciążliwym i ostrożnym marszu – ach, ta głowa kolebiąca się na marach! – pozostawili za sobą gniazdo nieprawości i śmierci. Wprawdzie widzieli je jeszcze na horyzoncie, ale było ono już małe i znikome, po prostu tak dalekie, że śmiało i bezpiecznie mogli teraz wyrazić żywiołową nienawiść do tetrarchy, której nie śmieli głośno wykrzyknąć w Macherontie i w jego groźnej bliskości. Postawili mary w cieniu pod skalnym występem. Zmówili modlitwę poranną, potem za umarłych i wreszcie dali upust długo dławionym, niepokornym uczuciom: wzniesli pięści i gwałtownie odgrazali się Macherontowi – może tymi ruchami bezwiednie naśladowali ruchy rąk Niestrzyżonego, gdy w żarliwym uniesieniu i w świętym zapamiętaniu gromił Heroda Antypasa – a młodzieniec o okrągłych oczach owcy krzykiem wyrzucał z głębi serca płynące przekleństwa na głowę tetrarchy, podczas gdy trzej jego towarzysze pieczętowali je chóralnym: „amen”, nadając im tym sposobem moc natychmiastowej ważności i wykonalności. Młodzieniec krzychał:

– Bądź przeklęty w przeszłych i przyszłych pokoleniach! Niechaj przeklęte będzie twoje nasienie i przeklęte będą żniwa twoich łąk! Niechaj niebios, które masz nad głową, będą spizowe, a ziemia pod twoimi nogami będzie żelazem! Niechaj Adonaj uczyni, abyś jedną drogą ciągnął przeciw twoim wrogom, a siedmioma drogami uciekał! Oby twój trup był strawą wszystkich ptaków niebieskich i cuchnących szakali! Oby wino, które będziesz pił, zamieniło się w krew! Oby krew w twoich żyłach zamieniła się w wodę! Oby woda, w której się zanurzysz, zamieniła się w ogień! Oby ogień, nad którym będziesz ogrzewał swoje dłonie, zamienił się w lód! Bądź przeklęty za dnia i w nocy, w łożu, przy stole i na drodze! Niechaj będą przeklęte wszystkie członki twojego ciała i niechaj będzie przeklęte powietrze, którym oddychasz, i wszelkie pożywienie, które bierzesz do ust! Bądź przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!

– Amen! Amen! Amen! – krzyczeli, a ich płacz i jęki roznosiły się po pustyni. Biadali i złorzeczyli coraz głośniejszym, już nie bacząc na spoczywające pod prześcieradłem zwłoki Niestrzyżonego ani na jego duszę, która na pewno wciąż jeszcze trzepotała nad ciałem, z trudem odrywając się od ziemi gorzkiej, zadającej

cierpienie i mimo to pociągającej mrokiem trudnych zmagania i powabem przemijania. Klątwy, jęki i płacz przyniosły im ulgę. Dali upust boleści i potrzebie złorzeczenia. Uspokojeni, usiedli pod skałą, a młodzieniec spytał:

– Gdzie go pochowamy?

Odpowiedzieli mu bezradnym wzruszeniem ramion.

– Nie wiem – odparł jeden z nich. – Wiem tylko, że musimy go pochować w dniu dzisiejszym, aby stało się zadość ze wszech miar godziwym i mądrym zwyczajom praojców.

– A ja wiem jeszcze to, co słyszały nasze uszy – dodał trzeci – że musimy go pochować według woli tetrarchy w słusznej odległości od Macherontu.

– Nie możemy pochować zwłok w bliskiej odległości – młodzieniec o owczych oczach głośno roztrząsał swoją kłopotliwą niepewność – bo narazimy się na gniew tetrarchy, i nie możemy ich również pochować w odległości zbyt dalekiej, bo nie spełnimy świętego nakazu praojców. Ponieważ naszym obowiązkiem jest pochować Nistrzyżonego według przysługującej mu godności, musimy na miejsce jego spoczynku wybrać takie, które łączy godność z odległością, a odległość z godnością. Kim był Nistrzyżony? Według słów, które wypowiedział własnymi ustami, nie był prorokiem, natomiast według zapewnień Rabbiego Jeszuy ben Josef był prorokiem, i to nie byle jakim, bo prorokiem Elijahu. Zważywszy, że człowiek niekiedy sam nie wie, kim jest, a Johanana ben Zecharia często swoje posłannictwo potwierdzał za pomocą uniżonych sprzeciwów, śmiało możemy przytaknąć twierdzeniom Rabbiego z Nazarethu i upatrywać w Nistrzyżonym jeżeli nie samego Elijahu, to przynajmniej niejaki z nim podobieństwo, które jak każde podobieństwo wspiera się na trzech potężnych węglach: na powtórzeniu, współbrzmieniu i podobieństwie. Należy zatem uczcić Johanana ben Zecharia według przysługującej mu chwały proroczej i pochować go w krainie uświęconej ostatnią obecnością Elijahu na ziemi, w miejscu, z którego został on wzięty do nieba w sposób zdumiewający, okazały, bezbolesny i zaiste godny ludzkiej zazdrości.

To powiedziawszy, młodzieniec, kręcąc kędzior u prawej skroni dokoła wskazującego palca, tak mówił dalej śpiewnym głosem:

– Gdzie jest opisane odejście proroka Elijahu? Odejście proroka Elijahu opisane jest w świętych Zwojach Melachim, a jest w nich powiedziane, że Elijahu i Elisza szli razem z Gilgal do Bethel, a z Bethel do Jerycha nad brzeg Jordanu, i tutaj wielki prorok Elijahu zdjął swój płaszcz, zwinął go i uderzył nim wody, a wody pod uderzeniem płaszcza rozdzieliły się w obydwie strony, a oni we dwóch przeszli po suchym łożysku na wschodni brzeg rzeki. Szli i spokojnie rozmawiali, a wtedy zjawił się wóz z ognistymi rumakami i rozdzielił obydwóch, a wtedy Elijahu wsiadł do

wozu i wśród wichru wstąpił do niebios, a płaszcz jego spadł na ziemię. To było wniebowzięcie zdumiewające, okazałe, bezbolesne i zaiste godne ludzkiej zazdrości, a dokonało się ono w Bethanii, w miejscu zanurzeń Johanana ben Zecharia, i dlatego, moim zdaniem, w tym miejscu powinniśmy pochować martwe ciało Niestrzyżonego, aby spoczął w krainie płaszczu i odejścia proroka Elijahu, którego był powtórzeniem, podobieństwem i współbrzmieniem. Co sądzą o tym moi bracia?

– Rzekłeś – odpowiedzieli zgodnie trzej towarzysze.

Nie podnosząc prześcieradła, przepaskami przywiązali zwłoki Johanana ben Zecharia do śmiertelnych mar, a przede wszystkim jego głowę, aby nie chybotąca się w drodze i nie przysparzała im zbędnego kłopotu podczas żałobnego marszu, i szybko, pod palącymi promieniami słońca, ruszyli na północ, a szli coraz szybciej, coraz szybciej, bez wytchnienia, bo chcieli tego samego dnia zdążyć do Bethanii i oddać ziemi ciało Niestrzyżonego.

Słońce zachodziło nad krainą płaszczu i odejścia proroka Elijahu, gdy w jednej z pieczar na wschodnim brzegu Jordanu pochowali Johanana ben Zecharia, ciało jego i głowę, odmówili modlitwę za umarłych i przed otwór prowadzący do pieczary zatoczyli ciężki kamień. Usiedli na ziemi, głowy posypali popiołem, który znaleźli w pobliskim wygasłym ognisku, pozostałym po biwakującej karawanie, rozdarli swoje szaty i modląc się polecali Bogu czystą duszę Niestrzyżonego, a w modlitwę już więcej nie wplatali złorzeczeń przeciw Antypasowi, bo nie chcieli kłaść pobożnego uniesienia klątwami miotanymi przeciw grzesznemu tetrarsze. Czuwali przez całą noc. Wczesnym rankiem udali się do Bethanii, wzięli kąpiel oczyszczającą po pogrzebowych zabiegach, po czym posilili się, usiedli nad rzeką, pograżyli się we wspomnieniach i – nie wiedzieli, co mają począć. Poczuli w sobie i dokoła siebie dojmującą pustkę. Spłoszony ich obecnością czarny skorpion bezszelestnie umknął pod kamień. Powiał wilgotny wiatr. Od zachodu nadciągały chmury.

– Dokąd pójdziemy? – spytał jeden z towarzyszy.

– Dokąd? – powtórzył drugi.

– Wydaje mi się – rzekł młodzieniec o okrągłych oczach spłoszonej owcy – że powinniśmy udać się do Galilei, do Jezuwy ben Josef, i donieść Mu o śmierci Pustynnego Brata.

Podnieśli się z ziemi, podkasali tuniki i ruszyli w drogę. Zdążali powoli na północ, gdyż ciążyło im sieroctwo, które było cięższe od ciała i obciętej głowy Johanana ben Zecharia.

Powrót apostołów

Ociężałe wlokły się zimowe dni, tygodnie i miesiące. Padały ulewne deszcze, gwałtowne deszcze, ziemia spękana i twarda chciwie piła życiodajną wilgoć, potem nastawały nagle roz pogodzenia, ustępowała senność zimowego czasu, gleba wzbierała żywną czerwienią i zdawało się, że już, już nadchodzi wiosna – tego roku drzewa migdałowe zakwitły w drugiej połowie miesiąca lebeth – gdy nagle zrywał się porywisty wiatr, chmury w oka mgnieniu zakrywały całe niebo i znów gęsta ulewa dudniła o ziemię, która utraciwszy swój czerwony odcień, teraz ciemna, skupiona, z okrutnym nienasyceciem wsysała wartkie potoki wody, płynące z niebieskich spichlerzy.

Już w miesiącu tiszri rozpoczynali orkę. Po odprawieniu błagalnych modłów postępowali wolnym krokiem za lemieszami, ciągnionymi przez woły, a ponieważ okute żelazem ostrze raczej ślizgało się i skakało po powierzchni gleby, niż wrzynało się w jej głąb, rozbijali długim ościeniem nieposłuszne grudy, które, zbite z chwastami w skamielinę, mimo ulewnych deszczów wciąż jeszcze zachowywały twardą spoistość.

A potem rozpoczął się błogosławiony siew jęczmienia, prosa i bezcennej pszenicy, a ponieważ bron nie znali, wyginali na pola wśród głośnych nawoływań kozy i owce, które biegnąc wielkim stadem przez obsiane skiby, racicami wgniały ziarno w oporną ziemię. I znów na przemian pierzchały chmury, różowiła się ziemia, spadały deszcze i świeciło słońce, a pod działaniem tych przemian nastawał czas kiełkowania ziarna, które Elohim wypełnił swoją mądrością i wywołał z ziemi dla dobra i pożytku synów człowieczych.

Na samym początku zimy, między dwoma ulewnymi deszczami, gdy spoza chmur wyrzał błękit nieba, czterej uczniowie Johanana ben Zecharia przybyli do Jezusa – idąc do Kfar Nahum, wciąż zatrzymywali się po drodze i wszystkim opowiadali o zbrodni tetrarchy – i przynieśli Mu wieść o męczeńskiej śmierci Niestrzyżonego. Śmierć Johanana ben Zecharia nie była dla Jezusa zaskoczeniem. Pan, który święty upadek nazira ustanowił jeszcze przed poruszeniem się płodu w łonie jego matki Elizeby, nie chcąc teraz wytrącać z równowagi ustalonego porządku świata, pograżył się w znikomym człowieczym smutku i przez długie dni i noce, splanając dług służebnemu przemijaniu, uskarżał się bolesną skargą nad losem ściętego brata. Siedział w izbie na ziemi milczący i chmurny, i wśród śpiewu psalmujących uczniów – w tym podniosłym chórze uczestniczyli również czterej uczniowie Niestrzyżonego – przebiegał myślą drogę nazira, rozpoczętą w dniu, w którym począł on głośnym głosem wołać na pustyni, a zakończoną posłusznie

i nienagannie całkowitym pomniejszeniem się; aż do największego pomniejszenia się, wyrażonego w cielesno-symbolicznym akcie, jakim było odcięcie głowy od tułowia, dokonane z rozkazu króla-szakala. Jezus więc, siedząc na ziemi i rytmicznym nigunem zamawiając psalmy pokutne, w żalnym rozmyśleniu cierpiał nad śmiercią brata wielkim cierpieniem, wycierpianym już u samych źródeł ustanowienia, a teraz tylko powtórzonym z towarzyszeniem melancholijnej melodii. Z trudem pogodził się z pustką powstałą po śmierci Nistrzyżonego, aczkolwiek sam ją przecież powołał i sam teraz zubożył dzieje człowieka o jedną wielką nieobecność, która z chwilą swojego nastania wzbogaciła wieczność – a cóż może być wznioślejszego i piękniejszego nad wzbogacanie niebios za pomocą ubywającej doczesności! Wypadki, dziejące się dokoła Jezusa, działy się w myśl zasady o odwróconym porządku stawania się, to znaczy, że to wszystko, co zostało dokonane, nagle zaczynało się stawać i po wielu przygodach dokonywało się, czyli wracało do swojej przeszłości, do źródła, do aktu dokonanego. Była to jednoczesność wieloczesności, rozłożona na poszczególne okresy – po prostu było to sprytne skurczenie się czasu do rozmiaru chwili, zawierającej w sobie całą wieczność – które dziejąc się w czasie, od zapowiedzi aż do spełnienia, mimo logicznego następstwa zdarzeń stanowiły doskonałą jednoczesność. Dzięki temu niepodzielnemu scaleniu jednoczesności z wieloczesnością, dokonanemu w Osobie Jezusa, w Rabbim zbiegały się zgodnie wszystkie wartości i zjawiska przeciwstawne, na podobieństwo świętego kontrapunktu, tego cudu nieobeszłej, nieogarnionej i niepojętej harmonii Elohim. Dlatego żałobny śpiew Jezusa z powodu śmierci Johanana ben Zecharia był żałobno-radosnym uniesieniem nad sprawiedliwym dokonaniem się gorzkiej i przerażającej niesprawiedliwości.

Gdy okrwawiona głowa nazira, ukoronowana nigdy nie strzyżonymi włosami, zanurzyła się w wodach zanurzenia i znikła w nich na całą wieczność, a z wygładzonej powierzchni Jam Kinereth wyłoniło się wprawdzie jeszcze szklane i chłodne, a mimo to już wiosenne niebo, oczyszczone z chmur podmuchem ciepłego wiatru, Jezus podniósł się z ziemi i westchnąwszy, powrócił po dniach smutku do codziennych zajęć: do rozmów z uczniami, do przypowieści i do mów pouczających o miłości bliźniego, o Królestwie Bożym, o duchu przykazań.

Szła wiosna. Trawy zieleniły się na łąkach, zboża na polach, winnice na południowych stokach wzgórz, wschodziła cebula, soczewica i czerwony pieprz, i wielka z tego powodu była radość synów Izraela, którzy w niezmiennie powtarzających się porach roku upatrywali błogosławioną dobroć Elohim, odpłacającego swojemu ludowi za wszystkie modlitwy i błagania niezachwianą kolejnością zjawisk, doskonałym kołem czterech pór roku, a modlitwa ich była tym

zarliwsza, im głębsze było ich przeświadczenie o łasce Pana, który mógł przecież – gdyby chciał – natychmiast przerwać ten kolisty postęp, zburzyć go i kazać bezpłodnym ciemnościom szeolu zapanować nad światem.

Na początku miesiąca nisan, tuż przed zachodem słońca, apostołowie wrócili do Kfar Nahum, do domu Kefasa, pokłonili się Rabbimu, opowiedzieli mu o śmierci Niestrzyżonego – Jezus skinieniem głowy dał im do zrozumienia, że już wie o tym zdarzeniu – i zdali Mu sprawę o swoim posłannictwie, o tym, co działali, czego nie działali, ile razy błogosławili gościnne domy i ile razy strząsali proch ze swoich nóg. Mąż słuchał uważnie, a oni wciąż mówili, długo i dokładnie. Niestety nic nie wiemy ani o owocach ich pracy, ani o ich działaniu na drogach i na ścieżkach Galilei, ani o głoszeniu przez nich Królestwa Bożego, ani o domach, które ich gościnnie podejmowały, ani o domach, które zamykały przed nimi swoje bramy, ani o uzdrawianiu chorych, oczyszczaniu trędowatych i wyrzucaniu demonów z opętanych synów człowieczych. Nic nie wiemy. Mimo to staramy się dociec prawdy, a ta nasza ciekawość – nie przesadzajmy wyników naszych kruchych domysłów – może pozwoli nam choć częściowo rozsupłać węzeł przemilczanych przez Ewangelistów dziejów tej krótkiej wędrówki Dwunastu Pośłańców po krainie Galilei.

Było to pierwsze posłannictwo, które wszyscy razem otrzymali od Jezusa. Poszli sami. Samotnie. Rabbi w swojej nauczycielskiej trosce świadomie skazał ich teraz po raz pierwszy na samodzielność działania, zaopatrzył ich w jasne polecenia i wskazania i udzielił im wyczerpujących pouczeń. Był to zabieg wychowawczy, który zmuszał uczniów do podejmowania własnych postanowień, do duchowej przedsiębiorczości, rzutkich odpowiedzi, błyskawicznego znajdywania dowodów, dobierania ich i celnego posługiwania się nimi. Zauważyliśmy, że dotychczas w sporach Jezusa i w Jego dyskusjach z faryzeuszami apostołowie byli tylko milczącymi świadkami tych scen. Może niekiedy podczas dysputy Rabbiego z Jego przeciwnikami dorzucali jakieś słowo, może stawiali jakieś pytanie, nigdy natomiast samodzielnie nie ośmielali się prowadzić w obecności swojego Nauczyciela uczonych rozmów z nacierającymi na Niego faryzeuszami. Słuchali, co Jezus mówi, a słuchając uczyli się, z drobiazgową ścisłością śledzili bieg Jego myśli, sposób udzielania odpowiedzi, sztukę stawiania pytań i zapędzania przeciwników w kozi róg za pomocą ich własnych uzasadnień. I nagle przed dwoma miesiącami Jezus wysłał ich na samodzielną wędrówkę po Galilei i, ograniczywszy pole ich pracy jasno wyrażonymi poleceniami, kazał im działać o własnych siłach i według własnego uznania, stanąć oko w oko z faryzeuszami, liczyć tylko na siebie, czyli wydał ich na pastwę ich własnych doświadczeń; nie wynika z tego jednak, że Rabbi

był przeświadczony o całkowitym przygotowaniu wybranych do podejmowania tak trudnych i odpowiedzialnych zadań; znał wady apostołów i niedostatki ich duchowego przysposobienia, był świadom ich nieumiejętności pojmowania wielu zjawisk, których często byli naocznymi świadkami, a przede wszystkim wiedział, że wiele jeszcze upłynie czasu, zanim zrozumieją sens Jego utajonej Obecności wśród ludzi. Mimo to posłał ich, aby nauczyli się czynić według własnej przedsiębiorczości i zaradności. Nie wydaje się, aby ta pierwsza próba, której musieli się pokornie poddać, wydała bogate owoce. Świadczy o tym zachowanie się Jezusa, który po wysłuchaniu sprawozdania apostołów ani jednym słowem nie wyraził im swojego uznania i tylko współczuł im z powodu ich zmęczenia. Jakżeż inne – słoneczne i radosne – było zachowanie się Rabbiego po powrocie siedemdziesięciu uczniów, których kilka miesięcy później wysłał na pracę pouczającą do krainy judejskiej w tym samym celu, co apostołów do Galilei!

Nie wiemy, z jakimi trudnościami borykali się apostołowie. Nie wiemy, jakie odwiedzili miasta, miasteczka i wsie. Prawdopodobnie napotkali twarde opór nieprzychylnych im faryzeuszów i nie umieli za pomocą swoich argumentów zbić argumentów przeciwnika. Może ludzie ostrzeżeni przez wysłanników Kajafy bali się posłańców Rabbiego, podejrzanego o odszczepieństwo, i nie udzielali im opieki i schronienia. Może posłańcy, działając w trudnych warunkach i nie mając oparcia w cielesnej obecności Jezusa, poczuli się osamotnieni, bezradni, odsłonięci na ciosy przeciwników, a bezbronność taka na pewno nie wpływała pobudzająco na ich dobre samopoczucie, na hart ich woli i wytrzymałość na trudy. A może nieumiejętnie głosili słowo o Królestwie Bożym? A może niewprawne i niezręczne były ich mowy? Jezus dla uświęcenia posłańictwa dał im moc oczyszczania trędowatych i wypędzania duchów nieczystych. Czy kogoś uleczyli? Nic o tym nie wiemy. Czy wypędzali szatanów z opętanych? I o tym nic nie wiemy. Gdyby chorych leczyli, a szatanów wypędzali, te podniosłe wypadki znalazłyby jakiś odzew w Jezusie, który przecież kilka miesięcy później rozradował się w Duchu Świętym na wiadomość o wypędzaniu Pełzających przez rozesłanych po Judei siedemdziesięciu uczniów. Biedni apostołowie, powróciwszy z nieudanej wyprawy, niewątpliwie doznali smaku goryczy z powodu zmarnotrawionych możliwości – jakżeż to się mogło stać? Ruszając w drogę czuli przecież na sobie moc i uświęcenie otrzymane od Jezusa! – i na pewno im nawet przez myśl nie przeszło, że ich niepowodzenie mogło być właśnie ukrytym celem Nauczyciela, który za pomocą tej bolesnej próby chciał im unaocznic trudność ich posłańictwa – trud i niepowodzenie są często udziałem uświęcenia – i tym sposobem zahartować ich dusze i przygotować je na jeszcze cięższe doświadczenia. „Moc w słabości się doskonali” – kilka lat później napisze

jeden z apostołów, uczeń czcigodnego Gamaliela, dzisiaj jeszcze zaciekle faryzeusz, z rosnącą nieufnością śledzący z daleka poczynania Rabbiego z Nazarethu.

Gdy apostołowie po powrocie do Kfar Nahum znaleźli się u boku Jezusa, szybko odzyskali poczucie bezpieczeństwa, bo znowu byli jak owce idące za pasterzem, który ich prowadził, dbał o nich, orzeźwiał ich dusze i wiódł prawymi ścieżkami. Zadowoleni byli, że znajdują się w bezpośrednim zasięgu Jezusa, że kierowani przez Niego nie będą musieli łamać sobie głowy nad każdym trudnym zagadnieniem, że będą szli za Nim krok w krok i czynić będą to, co On im każe, zatem wyzwolą się z samodzielności, z tego jarzma, które ich okrutnie uciskało. Wiedzieli jednak, że ta miła beczynność jest krótkotrwała i że Jezus już wkrótce nałoży na ich karki jeszcze cięższe brzemie samodzielnej pracy, a temu brzemieniu będą musieli sprostać i dźwigać je z doskonałą zgodą na wszystkie utrapienia i uciski, jakie na nich spadną. Nie łudzili się. Ale teraz zmęczeni drogą – już świtało nad wzgórzami Golan, gdy kończyli opowiadanie o trudnej wędrówce po Galilei – rozkoszowali się swoim bezpieczeństwem i cieszyli się, że już wkrótce ruszą razem z Jezusem do Jerozolimy na wielkie święto Pesach, które godnymi krokami, jak siwy patriarcha, zbliżało się z głębi czasu. Pograżeni w tych błogich widokach, łamali chleb, zagryzali go surowym czosnkiem i z zapalem sięgali do miski z suszonymi rybami, a jadło smakowało im w dwójnasób, bo spożywali je w towarzystwie Rabbiego.

Właśnie słońce wzeszło, a śniegi Hermonu rozbłyły jaskrawą bielą, gdy przed domem poczęły się gromadzić tłumy ludzi, domagających się głośnym wołaniem rozmowy z Jezusem i apostołami. Znużeni, spojrzeli po sobie. Wtedy Jezus, podniósłszy się od stołu, rzekł:

– Nie macie nawet chwili sposobnej, aby spokojnie się posilić. Usuńmy się zatem na miejsce odosobnione, abyście mogli nieco odpocząć.

Z trudem przepychając się przez gęsty tłum, wyszli z domu i udali się do przystani. Wsiedli do łodzi. Wiosła uderzyły o wodę. Gdy łódź znalazła się w sporej odległości od brzegu, Kefas spytał Jezusa:

– Dokąd popłyniemy, Rabbi?

Jezus rozejrzał się po widnokregu. Przezroczysta, szmaragdowa mgła unosiła się nad brzegami, a poza mgłą majaczyły białe zarysy miasteczek i wsi, gęsto rozrzuconych nad Jam Kinereth. W czystej ciszy poranka dochodził śmieszny krzyk nurczyków i płochliwe trzepotanie białych pelikanów w szuwarach. Ciepły wietrzyk, zazdroszcząc beztroskiemu ptactwu, baraszkującemu w sitowiu, zmarszczył powierzchnię jeziora i lekko zakołysał łodzią, ale natychmiast znieruchomiał uważając prawdopodobnie, że to, co wypada nierozumnemu i płochliwemu ptactwu, nie przystoi powiewowi, bratu oddechu i tchnienia, tym

dostojnym krewnym Świętego Ducha i Elohim. Wzrok Jezusa przesunął się po brzegach zarośniętych grzywą wysokiej trzciny, krótką chwilę zatrzymał się na białych oparach, unoszących się z gorących źródeł w Chametha, w pobliżu grzesznej Tyberiady, i prześliznąwszy się szybko po rozkołysanej jęczmieniem równinie Genezar, zatrzymał się na przeciwległym brzegu, na górach, u których podnóża złociła się Bethsaida Julii. Rabbi wyciągnął przed siebie palec i wskazał północno-wschodni kierunek.

– Czy popłyniemy do Bethsaidy Julii? – spytał z jawnym zdziwieniem w głosie Theom Bliźniak.

– Panie, przecież zbliża się Pesach i czas jest czynić przygotowania do pielgrzymki do Świętego Miasta – rzekł Kefas.

A ponieważ Jezus nic nie odpowiedział, Johanan ben Zebadia, odpowiadając na Jego milczenie, rzekł:

– Czy w tym roku nie zamierzasz, Rabbi, świętować w Jerozolimie wielkiego święta?

Jezus patrzył przed siebie. Niewypowiedziane zapadło w niewypowiedziane. Kefas skierował posłusznie barkę na północny wschód; płytko zanurzone wiosła mocno uderzyły o wodę i łódź pomknęła we wskazanym przez Jezusa kierunku.

Wpatrywali się w coraz wyraźniej rysujący się brzeg, aż ujrzeli Jordan – który w tym miejscu wpadał do Jam Kinereth, aby potem samotnie płynąć przez dolinę Ghor ku Morzu Soli – i czerwono-złote kwiaty laurowych żywopłotów, i żółte jaśminy, pnące się po murach domów, jakby je chciały osłonić swą dziewczęcą wiotkością przed palącymi promieniami słońca.

Na stepie

Ominęli Bethsaidę Julii, miasto nazwane tak przez tetrarchę Filipa na chwałę pięknej, mądrej i niezbyt cnotliwej Julii – te właściwości idą niekiedy z sobą w parze – którą ojciec, cesarz August, wydał za Tyberiusza, a potem kazał mu ją porzucić z powodu jej rozwiązłego życia. Nieszczęśliwa Julia zmarła na wygnaniu, nad Cieśniną Messyńską, ale miasto położone w ramionach wód Jam Kinereth i Jordanu zachowało jej imię i swoją urodę upodobniło się do tej, na której chwałę zostało nazwane. Łódź sterowana przez Kefasa pomknęła teraz na polecenie Jezusa ku wschodowi i dobiła do brzegu w krainie stepów, pokrytych kępami trawy, jeszcze o tej porze roku zielonej i soczystej. Wysiadając, ujrzeli biegnący w ich kierunku tłum, który witał Rabbiego dziękczynnym wołaniem i jęklwym lamentem; ludzie ci śledzili z brzegu ruchy łodzi, a gdy domyślili się miejsca lądowania, runęli

w kierunku przystani na powitanie błogosławionego Męża.

Jezus z Dwunastoma dobili do brzegu i udali się w głąb stepu, od którego zawiewał cierpki zapach rozgrzanych ziół i ostów. Wielki tłum, podniecony i kipiący, biegł za nimi i głośnym krzykiem domagał się cudownych uleceń, pociechy, ulżenia cierpieniom, pokrzepienia zwałających ciał, wzmocnienia serc, a jego rozdzierające wołanie uderzało przed siebie jak rogi nacierającego bawołu, a potem błagalnie tarzało się w prochu, i to swoje uniżenie, najniższe poddaństwo, prawie jagnięcą potulność wyrażało przeciągłym skomleniem, płaczem i wreszcie ciszą, pełną oczekiwania i bardziej rozpaczliwą od najbardziej rozpaczliwego krzyku. W tłumie było wiele kalek. Na dowód swojego cierpienia zdzierali szmaty z ropiejących rąk i obnażali owrzodziałe piersi; niewidomi, spychani z drogi przez szalejący tłum, przeraźliwym jazgotem, w którym zamykali cały dramat swojego ciemnego, nieprzeniknionego kalectwa, starali się zwrócić na siebie uwagę Rabbiego; chromi, kuśtykając, pozostawali daleko w tyle i tylko ich głośne zawodzenie biegło potężnymi susami jak chyży jelen; głuchoniemi niezrozumiałym, modlitewnym bełkotem błagali świętego Cudotwórcę o łaskę dla ich spętanych niemotą ust i zamurowanych uszu.

Apostołowie, jak wszyscy synowie Izraela, mierzyli doniosłość i wagę każdego zdarzenia ilością jego uczestników, bo wielość według wyobrażeń Jeszuruna była miarą wielkości, wszystko zatem, co było ważne i doniosłe, musiało się dokonać przed licznym zgromadzeniem, a im więcej ludu było świadkiem wypadku, tym większa była jego waga i wartość (wyłączamy z tej zasady samotne spotkania proroków z Elohim, a mamy jedynie na myśli wypadki rozgrywające się na oczach ludzi i z ich czynnym czy biernym udziałem); otóż apostołowie, patrząc na tłumy biegnące za Jezusem, poczęli w myślach obliczać ich rozmiary, a Lewi Mataj, doskonale obznajmiony z liczbami, z nie ukrywanym zachwytem kiwał głową nad doniosłością zdarzenia i chcąc ustalić jego wielkość, podbijał w sprawiedliwym zapale liczbę uczestników pobożnego pochodu. Z początku więc – wciąż przy tym kiwał głową, a ruch jego głowy udzielił się harmonijnie całemu jego ciału – ustalił liczbę uczestników na tysiąc, natychmiast jednak wydała mu się ona zbyt nikła w porównaniu z ogromem cierpienia tych ludzi, a ponieważ chciał równocześnie wielkość cierpienia przetłumaczyć na wielkość liczby, podniósł ją do dwóch tysięcy, a gdy i ta liczba w jego mniemaniu nie była prawdziwym obrazem uczuć i cierpień tłumy, powiększył ją z przezorną rozważą do trzech, czterech, a wreszcie do pięciu tysięcy, i dopiero w tej symbolicznej liczbie z dokładnością ze wszech miar godną pochwały zamknął wielkość zdarzenia. Gdy głośno podzielił się z apostołami wynikiem swoich obliczeń, nie omieszkał przy tym dodać, że nie objął nimi ani

niewiast, ani dzieci, apostołowie pochwalili sprawność jego oceny, i wtedy Lewi Mataj, który już od dłuższego czasu czuł w sobie skłonności do kronikarskich zapisów, wpisał tę liczbę do zwoju swojej nieomyślnej pamięci.

Jezus i apostołowie uszli kawał drogi od brzegu w głąb stepu i zatrzymali się przy niewysokim, u wierzchołka spłaszczonym kopcu, na którym usiadł Rabbi; półkolem na podwiniętych nogach usadowiło się Dwunastu wybranych, a u stóp kopca przystanął tłum. Kefas, który siedział najbliżej Jezusa, widząc, że możliwość ich wypoczynku jest nader nikła, pochylił się nad Jego uchem i szepnął:

– Panie, a może byśmy się stąd oddalili, albowiem z powodu wielkiej rzeszy ani Ty, ani my nie będziemy mogli wypocząć?

A Jezus odpowiadając rzekł współczująco:

– Są jako owce bez pasterza, więc przyjmę ich i będę ich nauczał, a chorych uzdrowię.

Ludzie umilkli i słuchali, a Jezus mówił im o sobie i o Królestwie Niebieskim, a odpowiadając na pytania wielu powiedział:

– Królestwo Boże nie przyjdzie dostrzegalnie, i nikt z ludzi nie powie: „Oto tu jest” albo: „Oto tam jest”, albowiem Królestwo Boże jest już wśród was.

Ponieważ zmiarkowali, że Ucieleśnienie to jest zbyt przejrzyste i zrozumiałe, przezornie porównał Królestwo Niebieskie do pasterza; było to samoujawnienie niezwykle zagadkowe, bo przecież wiemy, że Jezus często ukrywał się pod obrazem baranka, zatem był jednocześnie w jednej osobie Pasterzem i Barankiem, był opiekunem, a zarazem przedmiotem opieki. W tym niezwykle dokładnym i misternym zamazywaniu swojej Osoby posuwał się niekiedy jeszcze dalej, bo gdy się zdawało, że obraz pasterza szukającego owcy jest już zupełnie jasny – gdy już czuli na twarzach oddech zbliżającego się Pana – nagle Pasterz stawał się zwyczajnym biednym pasterzem, poszukującym wśród skał zagubionej owcy, a owa owca, jeszcze do niedawna biedna i bezradna, przemieniała się w Elohim, była Elohim, wszechmocnym Panem, zaginionym wśród niezgłębionych rozpadlin i krętych ścieżek górskich, poszukiwanym przez szalejących z niepokoju pasterzy. Opowiadał im więc o Królestwie Niebieskim, które jest podobne do pasterza wypasającego sto owiec; jedna z owiec zabłądziła wśród gór, a była najpiękniejsza spośród wszystkich, dlatego dobry pasterz porzucił dziewięćdziesiąt dziewięć owiec i szukał tej jednej, zaginionej i najpiękniejszej, aż ją ku swojej radości odnalazł, a odnalazłszy, powiedział do niej te słowa: „Miłuję cię więcej od wszystkich innych owiec”.

Wciąż jeszcze byli pod wrażeniem opowieści o losach pasterza i owcy, gdy Jezus, chcąc im wytłumaczyć sens wyboru największej wartości spośród wszystkich

wartości życia człowieka, opowiedział im przypowieść o pewnym człowieku, roztropnym rybaku, który wypłynął na środek jeziora i zapuścił sieć, i wyciągnął ją pełną płotek, a wśród nich znalazł jedną wielką rybę, przeto bez żalu wrzucił plotki z powrotem do morza, a z radością pozostawił dla siebie rybę wielką i dobrą. To powiedziawszy, Jezus wezwał ich do przemyślności i ostrożności, ostrzegł przed ludźmi złej woli, a ostrzegając tak do nich dalej mówił:

– Zaprawdę powiadam wam: Jeżeli gospodarz wie, że złodziej zbliża się do jego domu, pilnie czuwa i nie pozwoli, aby podkopał się pod dom jego królestwa i zagarnął jego dobra. Czuwajcie zatem, opaszcie lędźwie swoje wielką mocą, aby złoczyńcy nie znaleźli przystępu do waszej majątności, inaczej posiedzą oni wasze korzyści! Bądźcie jak mądry żniwiarz, który ujrawszy zboże dojrzałe na swoim polu, szybko przybywa z sierpem w rękę i ścina je. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha.

Wiedzieli, co znaczy wielka i dobra ryba. Widzieli ją w swojej wyobraźni, leżącą na olbrzymim złotym półmisku, wielkim jak całe niebo, nadziewaną najsmakowitszym nadzieniem, wonnym czosnkiem, cebulą i ostrymi korzeniami. Spożywać ją będą w gwiazdzisty czas błogosławieństw i smakować będą jej różowe mięso, gotowane w białym winie, miękkie i tą swoją miękkością łechcące czułe, podniebienie całego Jeszuruna, radującego się wyzwoleniem spod jarzma nieobrzezańców. Ponieważ wiedzieli, że Święta Ryba wychodząca z wody jest znakiem Mesjasza, więc pojmowali tę ucztę, w której mieli kiedyś z łaski Elohim uczestniczyć, jako swój udział w pełni czasów, w obfitym nasyceniu się Mesjaszem, wchłanianiu Go w siebie, w zaspokojeniu nienasyconego głodu wybraństwa obecnością Pomazańca, w wypełnianiu Jego istotą swoich nerek i serca. Nie mogli tylko zrozumieć znaczenia płotki w tym opowiadaniu. Kogo miał Jezua ben Josef na myśli, mówiąc o płotkach? Czym są te płotki? Obrazem jakich wartości? Grzechu? Zaprzaństwa? Fałszywych prorocत्व? Równie trudny był do zrozumienia obraz złodzieja, podkopującego się pod dom Królestwa Niebieskiego – Juda z Kerijoth, który zawiadywał skromną majątnością apostołów, przysunął bliżej siebie drewnianą skrzynkę, w której znajdowały się pieniądze – więc zastanawiali się, kim jest ów złodziej, łasy na ich dobra, i po czym go poznają. Nie zdołali do końca przemyśleć tych spraw i oswoić się z ich trudną treścią, gdy usłyszeli słowa, które całkowicie zajęły ich napiętą uwagę. Jezus bowiem, kończąc swoje wywody, tak do nich powiedział:

– Jeżeli staniecie się moimi uczniami i posłuchacie moich słów, te oto kamienie będą wam służyły. A kto jest blisko mnie, jest blisko ognia, a kto jest daleko ode mnie, jest daleko od Królestwa Niebieskiego. Kto odnajdzie znaczenie tych słów, nie

zazna śmierci.

Nie widzieli dotychczas służebnych kamieni. Widzieli Ołtarz Całopalenia i Świątynię Pańską, i Święte Świętych stawiane z kamieni, widzieli pałace królów i bogaczy stawiane z kamieni, widzieli skały wysokie i ogromne głazy, ale nie wyobrażali sobie kamieni ożywionych, a przecież o takich kamieniach Jezus mówił – posłusznie spełniających posługi przed obliczem synów człowieczych, więc mocą swojego wewnętrznego widzenia ujrzeli długim pochodem, wędrujące kamienie, skały, głazy, marmury, granity, piaskowce, gotowe na każde zawołanie usługiwać im w zgiętej i pokornej postawie. Czyżby zatem Jezus miał moc ożywiania kamieni? Czyżby miał moc udzielania martwym kamieniom daru życia, słuchania i posłuszeństwa? Słyszeli, że kiedyś przed laty Johanan ben Zecharia, prorok, którego kazał ściąć Herod Antypas – oby deszcz siarczany spadł na jego głowę! – zapewniał faryzeuszów i saduceuszów, że Elohim, jeżeli taka będzie Jego wola, nawet z kamieni zdoła wzbudzić synów Abrahamowych. Ale to, co jest w mocy El Szaddaja, czy jest również w mocy Jeszuy ben Josef?

Porównał siebie do ognia. Elohim od czasu do czasu, gdy uznawał to za konieczne, objawiał się w kształcie ognia. Czyżby Jeszua ben Josef na podobieństwo Pana przyodziewał się w ogień? Przecież swoją odległość od synów Izraela określił za pomocą odległości ognia od człowieka, a po chwili tę samą odległość określił za pomocą nie mniej przerażającego określenia, z którego wynika, że sam jest Królestwem Niebieskim, czyli oczyszczeniem, sądem i czasem ostatecznym w jednej Osobie. Jak może śmiertelny, zwyczajny człowiek być Królestwem Niebieskim, sądem i czasem ostatecznym?

Przytłoczeni wielością tych właściwości, starali się bezskutecznie odnaleźć łączące ich z sobą ogniwa i wniknąć w sens Pasterza, Owcy, Ryby, Ognia, Królestwa Niebieskiego i obiecanego przez Jeshuę ben Josef wybawienia od śmierci, którego mieli dostąpić pod warunkiem, że zrozumieją znaczenie Jego słów. Jak je mogli zrozumieć, skoro ich nie rozumieli? A zresztą jak można zrozumieć słowa, które swoją wybuchową zawartością przypominającą młody, fermentujący moszcz, rozsadzają to wszystko, co wyrażają, i tworzą z dotychczasowych pojęć i zjawisk pojęcia i zjawiska nowe, często tak bardzo wieloznaczne i złożone, że trudno jest wybrać spośród nich te najbardziej istotne i węzłowe? Jezus czynił to świadomie. Znaki Pasterza, Owcy, Ryby, Ognia i Królestwa Niebieskiego scalał z sobą, łączył i tworzył z nich najbardziej tajemnicze układy, a każdy, nawet ich najmniejszy ułamek, nie tracąc nic ze swojej przyrodzonej treści, wciąż znaczył coś innego, i tak układały się te znaki w coraz to nowe konstelacje i wzory; były to przedziwne połączenia i skrzyżowania pojęć, które niezależnie od tego, co oznaczały i jaki

przybierały kształt, wyrażały jedną i tę samą treść i otwierały we wnętrzu słuchaczy nieskończone przestrzenie nowego porządku, obejmującego swoim zasięgiem w jedną niepodzielną całość Boga i Człowieka.

Takie było zapobiegliwe działanie Jezusa, który w słuchających Go synach Izraela zaszczerpił gorączkową rozterkę, płodną udrękę, pobudzającą do dalszych działań, szamotanie się i utrapienie, i tym poruszeniem całego wnętrza pobudzał ich niedosyt Boga, a niepokojąc ich serdeczny niepokój i zamacając ich wewnętrzny zamęt wytworzył urodzajny ferment w ich dotychczasowych wyobrażeniach o dobru i złu, sądzie i karze, życiu i śmierci. Reszta zależała od wolnej woli synów człowieczych.

Jezus skończywszy swoją przemowę, wzruszony błagalnymi prośbami i narzekaniami kalek i chorych, podniósł się z ziemi, zszedł z kopca i wstąpił między tłum. Rzucili się ku Niemu ślepi, kulawi, głuchoniemi, cierpiący na wodną puchlinę, na krwotoki, lunatycy i tym samym zawodzeniem i gwałtownymi ruchami rąk, co ich wszyscy chorzy i kalecy poprzednicy, przywoływali Jego miłosierdzie, wabili Go ku sobie głośnym zachwalaniem swojej nieuleczalności, prześcigali się w krzykliwych opisach swojego kalectwa, nieomal przechwalali się nim i chlubili, wywyższali własne choroby nad choroby bliźnich, byleby tylko zwrócić na siebie Jego uwagę. Oszołomieni niewzruszoną wiarą w skuteczność cudownego działania Rabbiego, jeszcze zanim zdążył dotknąć dłonią ich ślepych oczu, głuchych uszu, niemych warg, wrzodami pokrytego ciała, czuli w sobie zbliżające się uzdrowienie, tchnienie nowego życia, które nadciągało ku nim jak ożywcza pora deszczowa po skwarnej lecie i wyprzedzało swą zbawienną zapowiedzią nadprzyrodzony akt uzdrowienia. Przyjmowali teraz cud jak niezawodną konieczność.

Już było popołudnie. Widoczne z dala jezioro pokryło się perłową barwą o matowym odcieniu i tylko gdzieniegdzie znienacka na martwej powierzchni wody zapalały się pojedyncze świetlne iskry i natychmiast znikwały, by znów w innym miejscu rozbłysnąć i zgasnąć. Zerwał się wiatr. Woda zakołysała się i uniosła; i jakby rozpalona wzmagającym się ciepłym powiewem, dała upust swym utajonym zamięłowaniem do nagłych zmian, rozjarzyła się niezliczoną ilością migotań i błysków, i natychmiast całe jezioro zakipiowało od zimnych i gorących barw, seledynowych, niebieskich, żółtych, złotych, czerwonych, purpurowych, i świecać się, iskrząc i migocząc, było jak szata arcykapłana, którą Elohim narzucił na Jam Kinereth, by je uświetnić, wywyżżyć i uczynić najpiękniejszą ozdobą Ziemi Świętej.

Cud obfitości

Tłumy nie rozchodziły się do domów. Krzyki i jęki ucichły, przeszły w szepty i szmery, a i te wkrótce umilkły. Ludzie byli głodni. Od rana uganiali za Rabbim, słuchali Jego przemówień i nauk i błagali o łaskę cudów. Teraz, syci jego słów i cudownych uzdrowień, poczuli dojmujący głód chleba, więc powinni byli udać się do swoich domów, a ci, którzy mieszkali w odleglejszych osiedlach – do najbliższej wsi, gdzie mogliby zakupić trochę ryb, miodu, czosnku i placków z suszonych fig i posilić się po całodziennym poście. A jednak mimo głodu nie ruszali się z miejsca w przewidywaniu czegoś, co musi jeszcze nastąpić, i nawet bek owiec i pohukiwania pastuchów nie wytrąciły ich ze stanu cierpliwego oczekiwania, chociaż powrót stad do zagród powinien był zwrócić ich uwagę na porę dnia, mającego się ku schyłkowi.

Apostołowie podeszli do Rabbiego, jeden z nich przemówił do Niego, a reszta potakiwała głowami na dowód zgody na to, co powie:

– Ponieważ okolica jest pustynna, a godzina już późna, rozpuść lud, Rabbi, aby udał się do okolicznych osiedli i kupił sobie żywności i posilił się.

Jezus odpowiadając im rzekł:

– Nie trzeba, aby lud się rozchodził, wy dajcie mu jeść. Po czym zwrócił się do Filipa, pytając:

– Gdzie moglibyśmy zakupić chleba, aby synowie Izraela mogli się posilić?

Każdy z apostołów spełniał wyznaczone mu obowiązki, a Filipowi przypadły w udziale starania o pożywienie dla całego grona; na pewno wywiązywał się świetnie z powierzonych mu powinności, a świadczy o tym udzielona przez niego rzeczowa odpowiedź. Uzmysłował sobie, że nawet za dwieście denarów apostołowie nie nakarmią jęczmiennymi plackami całej rzeszy. Zresztą jest wątpliwe, czy tę sumę posiadał w skrzynce Juda z Kerijoth, który włodarzył wspólnym dobrem apostołów, a jeżeli nawet posiadał, niemożliwością byłoby zakupić tak wiele chlebów o późnej, wieczornej porze w odległej Bethsaidzie Julii, nie mówiąc już o trudnościach, związanych z dostarczeniem na step zakupionego pieczywa.

Czyżby Jezus o tym nie wiedział? Na pewno wiedział. Ponieważ jednak nigdy nie zadawał zbędnych pytań, apostołowie wyczuli w Jego słowach zapowiedź jakiegoś zaskoczenia, zbliżanie się wielkiej przygody, wyprawę w nietykalny okręg Tajemnicy, w której będą uczestniczyć.

Filip rzekł:

– Za dwieście denarów nie starczy dla nich chleba, choćby każdy tylko odrobinę otrzymał. Skąd kupimy tyle chleba, aby mieli co jeść?

Jezus, usłyszawszy przezorną odpowiedź Filipa, zwrócił się do uczniów:

– Idźcie i zobaczcie, ile chlebów mają synowie Izraela.

Apostołowie rozbiegli się, wmieszali się w tłum i szukali gorączkowo ludzi

posiadających chleb i jakiegokolwiek inne pożywienie. Gdy zziębnięci i zmęczeni powrócili do Jezusa, Andraj, rozłożywszy ręce, rzekł:

– Jest tutaj chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby, ale cóż to jest dla tak wielu?

– Przynieście mi je tutaj, a potem porozsadzajcie na ziemi, na zielonej trawie, wszystkim lud, większymi i mniejszymi gromadami.

Tak powiedział, ponieważ synowie Izraela w dniu święta Pesach ucztowali w rodzinnych wspólnotach; dlatego kazał porozsadzać zebranych na stepie ludzi w większe i mniejsze gromady, gdyż chciał uczynić z ich drobnych wspólnot jedną wielką, rodzinną wspólnotę, uczującą przy stole, którym była zielona ziemia, dobro wszystkich dzieci człowieczych. Apostołowie zrozumieli zamiar Jezusa i zaniepokojeni pytali w swoich sercach: „Czy nie zamierza iść na święto do Jeruzalajim Hakodesz, ale odprawi je tutaj, poza czasem i miejscem wyznaczonym przez Mojżesza i praojców?” – jednak nic głośno nie mówili i wykonali to, co im rozkazał, po czym jeden z apostołów wziął od siedzącego opodal chłopca pięć chlebów i dwie suszone ryby i podał je Mężowi. Rabbi powiódł wzrokiem po stepie, który teraz, pokryty gromadami siedzących na ziemi ludzi, podobny był do starannie uprawionego ogrodu, poprzecinanego grzędami kwiatów. Zwrócony twarzą ku Jerozolimie – stał na tle zachodzącego słońca i smukłym zarysem swej postaci ostro odcinał się od czerwieniejącego nieba i błyszczącej rubinowym blaskiem powierzchni jeziora – w lewej dłoni trzymał pięć płaskich chlebów, w prawej dwie ryby, i wyciągnął przed siebie ręce, które jak dwie szale wagi trwały nieruchome i równoważne. Wstępował w Chleby Pańskiego Oblicza, w symbole wspólnoty Pana z całym Izraelem, w Ryby Płodności, w Chleb Mocy – ongi, w godzinę kuszenia, nie wywołał go z martwych kamieni – w Rybę, w trzydniowy grób proroka Jony, w Chleb Słowa i w Rybę Grobu, w chleb przeznaczony do podziału między ludzi, wstępował w trzydniowe ciemności Ryby przeznaczonej do rozmnażania, wstępował w święte dary Boże, leżące na Jego wyciągniętych dłoniach, i wstąpiwszy w nie, i wypełniwszy je sobą, i będąc nimi, począł siebie rozdzielać na części, a rozdzielając pomnażać, i im więcej się dzielił, tym więcej Go przybywało, a im więcej Go przybywało, tym więcej siebie dzielił, dzielił na coraz drobniejsze części, a chociaż były bardzo drobne, był w nich cały, ale tej całości wciąż Mu było za mało, więc ją coraz bardziej sobą nasycił i wypełniał, i znów dzielił, i dzielił, i dzielił, i dzieląc pomnażał, pomnażał, pomnażał, a było to dzielenie w nieskończoność i przybieranie w nieskończoność w coraz większych ilościach, które nigdy nie były ilością – Elohim nie może być ilością – ale nieogarnioną i nieoznaczoną liczbą, pomnażającą siebie samą po całą wieczność, znakiem nadgłębi unoszącej się nad

głębią i rządzącej głębią, i przenikającej czas i przestrzeń, i wszelki pozaczas, i wszelką pozaprzestrzeń.

Jezus, wciąż trzymając chleb i suszone ryby na dłoniach, wzniosł lewą nieco w górę – pięć płaskich chlebów spoczywało bezpiecznie na lewej dłoni Rabbiego i w trwodze pełnej zaufania czekało na Jego wielbiące słowa – i według praw przysługujących ojcu rodziny odmówił błogosławieństwo nad chlebem, jakby to był chleb codzienny, powszedni, zwyczajny, przeznaczony do nasycenia głodnego ciała. Andraj, który stał najbliżej Jezusa, wziął chleby i ryby z Jego rąk, a Rabbi połamał chleb i podzielił ryby, i pierwszy jadł chleb, po czym połamane chleby i podzielone ryby wręczył dwunastu apostołom i kazał rozdać je rzeszom.

Apostołowie szli od męża do męża, od kobiety do kobiety, od dziecka do dziecka i dzielili między nich chleb i ryby, a dzieląc, byli głęboko przekonani – na równi z całą rzeszą – wbrew ziemskiej logice i rzeczywistości, że dzielą wciąż pięć chlebów i dwie ryby, bo nie mieli świadomości świętego rozmnożenia darów Elohim. Z każdym wyciągnięciem ich ręki chleb i ryby, mimo że były dzielone i rozdawane, wciąż trwały w tej samej ilości, hojnie i niewidzialnie niewyczerpane, hojnie i niewidzialnie przybierające, niewyczerpane i przybierające, a oni dzielili, dzielili i dzielili, i szli od męża do męża, od kobiety do kobiety, od dziecka do dziecka i rozdawali chleb i ryby, nie wiedząc, co rozdają, a głodni mężowie i córki Izraela spożywali chleb i suszone ryby, nie wiedząc, co spożywają.

2

Zapadła noc. Księżyc wytoczył się spoza gór Golan. Apostołowie na polecenie Jezusa z przesadną dokładnością i zgodnie ze zwyczajem uprzątnęli pozostałe ułamki chleba – a było tego dwanaście podróżnych koszyków – i wtedy stało się, że obficie nakarmieni ludzie, ujrawszy owe, w tak wielkiej ilości nie dojedzone resztki, jakby pod działaniem nagle obudzonej świadomości, zrozumieli cudowność zjawiska, dokonanego w ich obecności i przy ich biernym współudziale. Ich sytość i resztki chleba, na które patrzyli teraz w osłupieniu, były dowodem, że to, co przeżyli, nie było snem. Przejęci bezgraniczną trwogą – w tej chwili również apostołowie zrozumieli cudowną nadzwyczajność zdarzenia – głośnym śpiewem, jak to zwykle czynili, ilekroć ich wewnętrzne wzruszenie dochodziło do szczytu, dali upust swojemu zachwytowi. Był to psalmiczny podniosły śpiew księżycowo-słoneczny, łączący w nierozzerwalny łańcuch, w jedną całość, wszystkich pokrzywdzonych i ubogich pod berłem królewskiego dziedzictwa, przekazanego przez Króla swojemu królewskiemu Synowi w obecności słońca i księżyca,

nienagannie wschodzących i zachodzących świadków dnia i nocy. Wprawdzie żaden prawowity syn Izraela nie ośmieliłby się nigdy przysięgać na słońce i księżyc i przykładać ręki do ust na ich widok, mimo to świadectwo słońca i księżyca było z woli Elohim niewzruszone. Jeżeli chodzi o księżyc, był to może szlachetny gest szacunku Pana wobec swojego dawnego, pokonanego współzawodnika i przeciwnika, bo jak głosi wieść, pochodząca z pradziejów, złoty Przewodnik Karawan pragnął ongi zawładnąć w Ur duszą Abrahama, zanim zawładnął nią niepodzielnie Jahwe; była to wiadomość nie sprawdzona i potem wstydliwie przemilczana przez samego praojca, więc i nam nie wypada do niej powracać. Wspominając ją, czynimy to nie po to, aby wdzierać się w ukryte i poufne niepokoje patriarchy Abrahama, lecz chcemy tylko zwrócić uwagę czytelnika na ważną rolę księżyca, jaką spełniał on w różnych czasach jako przeciwnik Pana, a potem, po swojej klęsce, jako Jego oddany i posłuszny sługa. Niezależnie od roli świadka, jaką księżyc spełniał w stosunkach między Panem a człowiekiem, pewne jest, że księżyc na równi z rybą był znakiem płodności, aczkolwiek sens ich równości był całkowicie różny: ryba wyobrażała twórczą moc trzydniowego grobu, owocność wieczności, księżyc zaś, zakłęty w rytm powtarzania, w cykl słabości niewieścich, był wyobrażeniem sił rozrodczych człowieka, i dlatego Pesach, święto przejścia Anioła Śmierci, a zarazem święto wyjścia z krainy śmierci w życie, przypadowało na czas, gdy księżyc stał u szczytu swej brzemiennej w światło okrągłości.

Drugim świadkiem dziedzictwa przekazanego przez królewskiego Ojca królewskiemu Synowi jest słońce, które Elohim uczynił swoim oblubieńcem, szybkoogim i radosnym posłańcem swoich promieni. Prorocy i mędrzy nazwali promienie słoneczne – w języku hebrajskim nie było określenia na zjawisko promieni słonecznych – skrzydłami światła lub ptakami światła, dając za pomocą tych przenośni wyraz swoim wyobrażeniom o ruchu światła, o jego lotności i posłanniczym charakterze, co w zupełności odpowiada zadaniom, jakie na słońce nałożył Elohim, który zbudował mu namiot; ono zaś codziennie wychodzi ze swojego namiotu, położonego na jednym krańcu niebios, i zdąża do tego samego namiotu, położonego na drugim krańcu niebios, przy czym Pan użył mu części jednej ze swoich właściwości, a mianowicie ognistą wszechobecność, dzięki czemu przed słonecznym żarem nic się ukryć nie może i wszystko podlega jego spalającej mocy. Czas księżyca i słońca, czas podwójny, jest poręką trwania rządów królewskich na ziemi. Synowie Izraela nie przypisywali osobie królewskiej cech boskich. Jak księżyc i słońce, jak wszystko na ziemi, tak i władza królewska jest dziełem Jahwe, który namaściwszy wybrańca świętą oliwą, aktem tym wynosił go ponad cały lud, ustanawiał go obrońcą prawa i krwi ubogich i pokornych, szafarzem

dostatku, chwałą narodu i jego wielkością. Śpiewali więc psalm królewski w porę przybierającej księżycowej pełni, okrągłego światła, okrągłością swoją określającego doskonałą pełnię i doskonałą mnogość darów nieba i ziemi, obfitość sprawiedliwości i miłosierdzia, złota, zboża, urodzaju lędźwi, danin i pokłonów:

– Boże, przekaż Królowi swoje prawa – śpiewali – a sprawiedliwość swoją królewskiemu Synowi, aby panował nad Twoim ludem według prawdy, a nad Twoimi ubogimi według prawa. Niechaj góry zwiastują ludowi pokój, a wzgórza sprawiedliwość. Bronić będzie pokornych w narodzie i przyjdzie z pomocą dzieciom ubogich, ujarzmi krzywdziciela i żyć będzie długo jak słońce i księżyc, z pokolenia w pokolenie. Spłynie jak deszcz na skoszoną łąkę, jak ulewa, która skrapla ziemię. Za Jego dni zakwitną sprawiedliwość i bogaty pokój, jak długo księżyc świecić będzie. Jego królestwo od morza do morza, od rzeki aż do granic ziemi! Ukłęką przed Nim mieszkańcy pustyni, a Jego wrogowie lizać będą proch. Królowie Tarsyzysu i wysp przyniosą Mu dary, a królowie Szeby i Saby przyjdą z daniną. Pokłon Mu złożą wszyscy królowie i wszystkie ludy będą Mu służyć, gdy wybawi ubogiego, który woła o pomoc, i pognębionego, który nie ma obrońcy. Zlituje się nad nędzarzem i ubogim, a duszę ubogiego wyzwoli. Wybawi ich duszę od gwałtu i krzywdy, albowiem ich krew jest drogocenna w Jego oczach. Niechaj więc żyje i niechaj otrzyma w darze złoto Szeby, i niechaj nieustannie modlą się za Niego, i zawsze Mu błogosławia: „Niechaj obfite zboża wyda ziemia, na szczytach gór jak lasy libańskie zaszumią Jego plony, niechaj ludzie kwitną w miastach jak trawa na łąkach, i na wieki trwa Jego imię. Imię Jego wzrasta przed obliczem słońca, i niechaj będą w Nim błogosławione wszystkie narody, i niechaj wielbią Go w szczęściu”. Błogosławiony niech będzie Pan, Bóg Izraela, który sam jedyny czyni cuda. I niechaj będzie błogosławione na wieki Jego uwielbione imię, i niechaj Jego chwałą napelni się cała ziemia. Amen. Amen.

Tęsknili za królem, namaszczonym świętą oliwą. Tęsknili za Wyniesionym, tęsknili za Nietykalnym. Od czasów Hasmoneuszów nie mieli króla. Herod, drapieżny Idumejczyk, był władcą samozwańczym. Żaden syn Izraela nie uważał go za godnego zasiadania na tronie Dawida. Mijały lata, mijały dziesiątki lat, minęły już prawie dwa wieki, a na Syjonie, na Górze Świętej, nie objawił się żaden król godny tego wysokiego miana, spadkobierca Saulów, Dawidów i Salomonów, oblubieniec Pana i Jego umiłowanie. Tęsknili za prorokiem, zesłanym i wyznaczonym przez Elohim. Tęsknili za Widzącym. Tęsknili za Wygrającym. W groźbach rzucanych na ich głowy czuli gniewną opiekę Elohim, której się bali i pragnęli. Raz po raz zjawiali się fałszywi przepowiadacze i jasnowidze, udający proroków, którzy odchodzili jak cień po zachodzie słońca. Mijały lata, mijały dziesiątki lat, minęły długie wieki,

a z gór Judei nie przemówił do ludu wybranego żaden prorok mową Jechezkeła, Jesai i Daniela. Tęsknili za cudami ręki Pańskiej, przenoszącej proroka za włosy z miejsca na miejsce, za cudami wielkich zwycięstw, uzdrowień, wskrzeszenia, rozmnażania, ratowania z wszelkich sideł i obierzy. – Od czasu śmierci ostatnich proroków Duch Święty odstąpił od ludu Izraela! – z rozpaczą wołał jeden z ówczesnych uczonych w Piśmie Świętym. I oto po długich wiekach znów są świadkami cudownych rozmnożeń i obfitości, a to dzieło obfitych łask przypomniało im odległe czasy, w których Jahwe rozmnożył rękami proroka Elijahu chleb i oliwę podczas głodu panującego w kraju, a potem rozmnożył oliwę rękami proroka Eliszy, a kilka wieków później, dwudziestego piątego miesiąca kislew, w dzień Poświęcenia Świątyni, pobłogosławił opieczętowany nie uszkodzonymi pieczęciami dzban oliwy – tej oliwy starczyło za ledwie na oświetlenie jednej lampy świątynnej przez jeden dzień – i kazał oliwie powiększyć się do ilości niesłychanej, potrzebnej na oświetlenie wszystkich lamp i świeczników przez osiem błogosławionych dni świątecznych. Rozmnożenie, którego sens należy rozszerzyć na płodność człowieka, na przyrzeczenie dane Izraelowi, że będzie on liczny jak gwiazdy na niebie, na syna obiecanego sędziwemu Abrahamowi czy staremu Zecharii, na przywróconą majątność i szczęście Hioba, zaliczało się do najwyższych i najwspanialszych błogosławieństw i łask Pana i oznaczało zarazem ilość i wieczność, gdyż niezliczoność była trwaniem, przewyciężaniem przemijania i niezniszczalnością, a niezliczone i wieczne było to wszystko, co spoczywało bezpiecznie w dłoni Wiekuistego, na skale Jego zbawienia. Niezliczona jak gwiazdy, jak piasek, jak ryby w wodzie stawała się każda, nawet najbardziej znikoma ilość, na której spoczywało opiekuńcze oko Pana. Z głębokości ich serc, które zachowały w sobie pamięć gorączkowych spotkań z Panem – były to spotkania odległe, mgliste, mimo to wyraźnie wyczuwalne, jak bicie krwi w żyłach – przysypanych przez czas piaskiem doznanych krzywd, upokorzeń i niewoli, buchnęło teraz pragnienie posiadania króla, proroka i cudotwórcy i sprzymierzyło z sobą te trzy pojęcia, upodobniło je do siebie, i oto oblicze króla miało oblicze proroka, a oblicze proroka miało oblicze cudotwórcy, a oblicze cudotwórcy miało oblicze króla. Ogarnęła ich nieubłagana konieczność krzyku, nienasycona potrzeba wyrzucenia z siebie, z pamięci swojej wielkiego wołania o Króla-Rozmnożyciela. Dawcę Wszechobfitości, o Jego natychmiastowe namaszczenie oliwą, ukoronowanie i osadzenie na tronie Dawida, na szczycie Syjonu, na najwyższym wierzchołku Świętego Miasta.

A działo się to w czasie przybierającej pełni i okrągłości księżycowej, u progu święta Pesach.

Jezus kroczy po jeziorze

Księżyc stał teraz wysoko na niebie i kryształowo czystym światłem wypełniał krajobraz, jakby pragnął uwydatnić jego najdrobniejsze szczegóły, szlachetne rysy, wzniosłą jego urodę, którą słońce, zazdrosne o wszelkie piękno, zacierało za dnia swoim oślepiającym światłem.

Spojrzenie Jezusa spoczęło przenikliwie na tłumach zalegających step, a wstąpiwszy w dusze ludzkie, zamulone mrokiem marzeń o potężnym królu, napełniało je spokojem i obdzielało rozwagą i powściągliwością. Jeszcze chwila, a lekkomyślnie obwołaliby Go królem. W porę ugasił w nich ogień ślepego chaosu, który objąłby cały lud Izraela i wydał go na pastwę prokuratora, i zadał śmiertelny cios Obietnicy; donośnym głosem nakłaniał ich do rozejścia się i tym wołaniem, błagającym rozkazem, przekonywał ich o obowiązku szybkiego powrotu do domów, i błagając, i rozkazując, zagłuszał w nich wołanie niesfornych pragnień.

Tłumy posłuszne Jego naleganiom powoli rozchodziły się, wracały do Bethsaidy Julii, do Kfar Nahum, do nadbrzeżnych wsi. Jedni szli małymi gromadkami, inni samotnie, inni znów długim, wyciągniętym sznurem. Zawiedzeni w niespełnionych pragnieniach, których nie mogli czy nie umieli głośno wypowiedzieć – ich usta pełne były niewypowiedzianego wołania o królewskiego Pomazańca – rozczarowani własną niemocą czy nieudolnością, niechętnie wracali do domów i odnajdywali pociechę w przekonaniu, że zamiary swoje ujawnili w odśpiewanym psalmie, jeżeli więc Elohim zechce, wypełni je, chyba że udawać będzie niedomyślnego i ucho swoje zamknie na głos ich błagania.

Gdy tłumy poczęły się rozchodzić, Jezus, zwróciwszy się do Dwunastu, przemówił do nich, a przemawiając, przynaglił ich do szybkiego powrotu łodzią do Kfar Nahum, podczas gdy sam postanowił udać się na okoliczne wzgórza – lubił samotnie modlić się na wzgórzach – aby na osobności pomówić z Elohim. Apostołowie bez sprzeciwu wykonali niezrozumiałe polecenie, niezrozumiałe, bo przecież dogodniej byłoby dla Jezusa, gdyby poczekali na Niego na stepie, a potem razem łodzią wrócili do Kfar Nahum. Jakim sposobem Rabbi dostanie się do Kfar Nahum? Czyżby zamierzał iść pieszo brzegiem jeziora? Czy mają po Niego wrócić łodzią? Czy może przepawi się jakaś obcą łodzią na drugi brzeg? Ponad tymi pytaniami krążyło inne pytanie, nie mniej dręczące: po co w ogóle wracają do Kfar Nahum, skoro przecież zbliża się Pesach; powinni popłynąć prosto na południe, do Tarychei, co skróciłoby znacznie ich drogę do Jerozolimy. Czyżby Jezua ben Josef naprawdę nie miał zamiaru spędzić tegorocznego święta u stóp Świątyni Pańskiej? Z leniwą szybkością wykonali polecenie Rabbiego. Udali się na brzeg i wsiedli do

łodzi, która mimo ich wysiłku z trudem wypłynęła na jezioro, gdyż wiatr zachodni i niespokojne fale hamowały szybkość jej ruchów.

Była północ, gdy Jezus zszedł ze wzgórza i skierował swoje kroki ku Jam Kinereth. Księżyc stał teraz prawie prostopadle nad jeziorem. Zachodni wiatr przybierał na sile, kołysał fale, mierzwił szuwary, budząc śpiące ptactwo ukryte w gęstych przybrzeżnych trzinach, wicherzył łany pszenicy na nizinie Genezar i złośliwie rozdymał opięte na tykach łachmany strachów na ptaki, ustawionych wśród pól melonów. Rabbi przystanął nad brzegiem jeziora. Wzburzone wody gwałtownie wydzwigały się z nieświadomości ludzkiej, z głębi zamierzchłych związków synów człowieczych ze źródłem wszechświata, gdy byli jeszcze załączkiem załączka, rojowiskiem, nieokreślonym ruchem ku światłu. Z owych pryncypów pozostał w nich lęk przed macierzyńską władzą Elohim, przeciw której buntowali się i buntując się, równocześnie popadali w coraz większą od niej zależność, aż w końcu zmuszeni do uległości, uznali się za pokonanych i bezwolnych – na prawach łaski otrzymali dar wolnej woli, z której tylko rzadko umieli mądrze korzystać – i jak zwykle w takich wypadkach bywa, poczęli tęsknić do prapoczątku swojego istnienia, do połączenia się z rodzającym grobem, z matczyną śmiercią, z wodami pierwszymi i ostatnimi.

Jezus podszedł nad samą wodę i zanurzył w niej stopę. Przez rzadko pleciony sandał i jego zdartą podeszwę poczuł chłód szumiącego żywiołu, przypomnienie przepaści krwawiącej i otwartej, wydającej i pochłaniającej, grozę potopu, gniewu i sądu ostatecznego. Ale wody były różne. Elohim stworzył wody wysokości – deszcze urodzajne i rosę orzeźwiającą, i wodę głębokości – źródła, strumienie i rzeki, a nad nimi wszystkimi górowały wody śmierci, a były one tak wszechobejmujące i wszechprzenikające, że ich załączki znajdowały się nawet w deszczach urodzajnych i w rosie, i we wszystkich źródłach, strumieniach i rzekach, które zawsze mogły z woli Pana i według Jego zamierzeń objawiać się w dostojności swoich ukrytych możliwości. Dlatego chociaż mówiliśmy o wodach różnych, ich różność naprawdę nie istniała, gdyż ta sama woda, uzależniona z góry od ustanowionego przez Pana sensu i z góry ustanowionych skutków – Elohim rozstrzygał o jej właściwościach – dla człowieka spragnionego mogła być woda orzeźwienia, a dla człowieka zanurzającego się – woda zanurzenia, oczyszczenia, śmierci, wynurzenia się ze śmierci, czyli odrodzenia. Zatem ta sama woda mogła być wodą życia i wodą śmierci, wodą zbawienia i wodą zatracenia, a nawet obrazem Pana. W zwojach Jechezkela i Jeremijahu woda jest symbolem Ducha Bożego, zamieniającego jałowe i puste ziemie w rajskie ogrody, a w zwojach Jesai i Amosa Słowo Boże porównane jest do wody użyźniającej ziemię. Sam Elohim w mowie wygłoszonej do proroka Jeremijahu nazywa siebie „źródłem wody żywej” i skarży się, że Izrael popełnił

podwójny grzech: „Opuścili mnie, źródło wody żywej, i wykopali sobie popękane cysterny, które nie mogą w sobie wody zatrzymać”; słowa te znaczą, że naród wybrany opuścił Boga, czyli wodę żywą, i pokłonił się kamiennym bałwanom, czyli wodzie bezużytecznej i martwej. Ale w Psalmach wołał zrozpaczony Psalmista: „Wybaw mnie, Boże, albowiem wody sięgają mojej duszy, ocal mnie od moich prześladowców i z otchłani wód. Niechaj nie zaleją mnie fale, niechaj nie pochłonie mnie wirująca topiel, niech otchłań nie zaniknie nade mną swej paszczy”. „Wody objęły mnie zewsząd, aż po duszę” – krzyczał prorok Jona. A prorokowi Hosea Jahwe w przystępie otwartości – co mu się zresztą nieczęsto zdarzało – rzekł, ujawniając przed prorokiem przerażającą tożsamość wody z zatraceniem: „Wyleję na nich wodę mojego gniewu”.

Nad taką wodą stał teraz Jezus i zachowując swoją doskonałą cielesność, zaczął się odcieleśniać; Człowieczeństwem zwrócony do swojego wnętrza, a Boskością na zewnątrz, zawsze cielesny i widzialny w swoim cielesnym odcieleśnieniu, wyzwolony z ciężenia, a mimo to ciężący, postąpił krok naprzód i pod nogami poczuł niewzruszoną, nieustępliwie twardą jak kamienna posadzka płynność śmiertelnych wód, i zdążył przed siebie na przekór ciężeniu swojej cielesności, zwróconej do wnętrza, zdążył przed siebie po płynących i wzburzonych wodach śmierci i każdym swoim krokiem ujarzmił ich płynność i przepuszczalność, wiązał i unicestwiał rozkołysany odmęt wodny, pozbawiał go praw pochłaniania, przywileju wciągania i wsysania w otchłań, i mocnymi krokami zmierzał wciąż przed siebie po związanej i skrępowanej falującej śmierci, po wodach jeziora, które uczynił tymczasową stolicą swojej Nauki do czasu jej wstąpienia w mury Jerozolimy na ostateczną rozprawę z szeolem. Szedł po wodzie, szedł długo, bardzo długo, wciąż przed siebie, sam na sam ze sobą, tym samym bosko-człowieczym krokiem, którym przed dwoma laty wychodził z nazarethańskiej winnicy po skończonym Czasie Milczenia, i wciąż niezmordowanie szedł przed siebie po falach, szedł przez całą wieczność – a była to teraz wieczność skrócona do rozmiarów jednej krótkiej straży nocnej – a gdy przystanął na środku jeziora w księżycowej poświacie, wstąpił w czas zbliżającego się święta Pesach i zamiast modlić się w Świątyni Pańskiej w Jerozolimie, przed Świętym Świętych, postanowił tutaj, na jeziorze, przygotować uczniów na wielki dzień zmartwychwstania umarłych.

Pesach był świętem wielokrotnie przewyciężanej śmierci, świętem ocalenia od prześladowców, głodu, pragnienia i pomoru; a zaczęło się to w dniu, w którym Anioł Śmierci z podniesionym mieczem i z rozwiniętymi skrzydłami, anioł o milionach oczu szedł przez krainę Micraim i omijał domy izraelskie znaczone świeżą krwią jagnięcia, nie mniejszym cudem było pierzchliwe przejście Jeszuruna

suchą nogą przez Morze Sitowia, starannie i w porę przygotowane przez Jahwe według niewzruszonych praw przyrody, a mamy na myśli zjawisko nagłego opadnięcia i nie mniej nagłego przyływu wód, zbawiennego dla ludu Izraela, a śmiertelnego dla wyznawców krokodylich bogów. Nad Morzem Sitowia dokonało się zwycięstwo nad ciemnościami wodnych przepaści, i ten cud na oczach Dwunastu postanowił Jezus powtórzyć w przeddzień święta Pesach, aby ujawnić apostołom sens święta unicestwionej śmierci. Wody Morza Sitowia i wody Jam Kinereth były teraz z woli Pana tymi samymi wodami, a zwycięska wędrówka Jezusa po wodach jeziora była żywą hagadą o tamtej wędrówce Izraela przez Morze Sitowia, a oba przejścia były przejściem po żywiołach pokonanej śmierci; i celem właśnie powtórzenia tej żywej rzeczywistości Rabbi zamierzył spędzić święto Pesach nad wodami jeziora i tutaj objawić uczniom swoją moc nad śmiercią. Był to więc Pesach galilejski, Pesach Jezusowy, wstrząsające, triumfalne święto Przejścia po żywiołach podbitego i rozgromionego szeulu.

O trzeciej straży nocnej, gdy od strony śpiącego Kfar Nahum wiatr przywiał daleki, metaliczny dźwięk trąb zwiastujących zbliżanie się ostatnich godzin nocnych, Jezus ujrzał z dala łódź z apostołami, borykającą się z zachodnim wiatrem i nieprzychylną falą. Przyspieszył kroku.

I wówczas apostołowie spostrzegli zbliżającą się ku nim postać, która kroczyła po powierzchni wody.

Pierwszy zobaczył ją Kefas i wypuściwszy wiosła z ręki wytrzeszczył oczy i wbił spojrzenie w nocną przestrzeń. Głos uwiązał mu w gardle, a krew odpłynęła do nóg. Ciarki przebiegły mu po plecach. Siedzący za nim Jaakow ben Zebadia, który pochylony ku przodowi rytmicznym wysiłkiem muskularnych ramion zanurzał właśnie wiosła w wodzie, z hukiem uderzył nimi w luźno sterczące wiosła Kefasa. Łódź zachwiała się, zakołysała, stanęła. Wiosłujący apostołowie, nagle utraciwszy zgodny rytm, zawołali: – Co się stało?! – a pozostali, obudzeni niespodziewanym wstrząsem, leniwie podnosili się z dna łodzi i zaspanym, pytającym spojrzeniem błędzili po twarzach towarzyszy. Zapalczywy Jaakow już chciał surowym słowem skarcić niedbalstwo przyjaciela, który bez uprzedniej zapowiedzi, podczas silnego wiatru, przestał wiosłować, gdy nagle przeniósłszy wzrok ze zwisających wiosł na zamienionego w kamień Kefasa, a z Kefasa na ścielącą się przed nimi biel księżycowej nocy, ujrzał w nieznaczonej odległości od burty idącą po falach jakąś postać o nieco zatartych zarysach, jednak na tyle wyraźnych, że można było dokładnie rozpoznać kształt ciała, głowę, ramiona, ręce i spokojne ruchy Człowieka, stąpającego z zadziwiającą pewnością po wodnym odmęcie. Theom Bliźniak drżącymi dłońmi wsparł się o ramiona dygoczącego Symeona Gorliwca, który

wpatrzony w zjawę przecierał oczy i niedowierzająco kiwał głową. Ale zjawisko niezaprzeczalnie trwało na powierzchni jeziora, coraz bardziej wyraziste i niewątpliwe. Filip z Belhsaidy, Nathanael ben Tolmaj, Johanan ben Zebadia, Andraj, Jaakow ben Haiti i jego brat Juda przechyleni przez burzę, łowiąc oczami każdy ruch postaci, z trudem utrzymywali równowagę ciała, gdyż ich łydki trzęsły się z przerażenia. Lewi Mataj szczękał zębami, a szczękanie to udzieliło się siedzącemu obok niego Judzie z Kerijoth, który czując zimne mrowie przechodzące mu po skórze chwycił swojego sąsiada za rękę, jakby chciał w nim szukać ocalenia. Ich dłonie były wilgotne od potu.

Pierwszy ocknął się Kefas i krzyknął przerażonym głosem:

– Widmo!

Krzyk Kefasa jak grom uderzył w ich świadomość, rozświetlił ją przeraźliwym błyskiem, rozproszył ich wątpliwości i umocnił niezbcie w przekonaniu, że idąca ku nim postać jest wodnym upiorem; poczęli więc wszyscy krzyżeć, i krzyczeli synowie Jony i Zebadii, i Haltiego, i krzyczał Filip z Bethsaidy, i Nathanael ben Tolmaj, i Theom Bliźniak, i Lewi Mataj, i Juda z Kerijoth, a krzyżąc kryli się za swoim rozpaczliwym krzykiem i zasłaniaли się nim jak wojownik tarczą przed zaciekle nacierającym wrogiem. Ale postać nieustępliwie zbliżała się do ich łodzi po kołysanej porywistym wiatrem wodzie. Apostołowie-rybacy, zaprawieni w nocnych połowach, oswojeni byli z różnymi zjawami, duchami, widmami błakającymi się po jeziorze, z ognikami, z światłami latającymi, z duszami grzesznych topielców, przelatującymi w pokutnej wędrówce nad swoim wodnym grobem; niektórzy widzieli nawet aniołów zatracenia, unoszących się w powietrzu nad jeziorem, i rozżarzone oczy lewiatana, wynurzającego się na powierzchnię wody. W takich razach zawodzącym chórem zmagali Szema, modlitwę za umarłych i niezawodne psalmy, a ich skuteczność była tak wielka, że moce nieczyste w popłochu uciekały, aniołowie zatracenia odlatywali do domów ciemności, a w czeluściach wodnych gasty płonące oczy lewiatana. Teraz porażeni strachem – nigdy dotychczas nie doznali tak wielkiego przerażenia – nie bronili się ani słowami Szema, ani modlitwą za umarłych, ani niezawodnymi psalmami, a trwoga ich była tym większa, że nie mogli zrozumieć, dlaczego nie modlą się, dlaczego ich usta nie powtarzają świętych słów, dlaczego nie korzystają z wypróbowanych doświadczeń i środków i nie zmuszają widma za pomocą modłów do powrotu do źródeł zamąconych, do rozplynięcia się w nicości.

W tej chwili postać przeszła obok nich, jakby chciała ich minąć, a krzyżący apostołowie poznali w niej Jezusa. Zdrętwieli. Wybałuszone oczy, znieruchomiałe, niedowierzające własnemu spojrzeniu, spoczęły nieufnie na Rabbim, który stał teraz

bez ruchu na rozkołysanych falach. Uważnie wpatrywali się w Jego postać, badali tożsamość Jego twarzy, Jego czoła, oczu, warg, brody, szaty i sandałów i ku swojej rosnącej radości, wyrażonej już tylko śmiertelnym milczeniem, stwierdzili ich prawdziwość, nieposzlakowaną rzeczywistość, zgodną z obrazem Jezusa wrytym głęboko w ich pamięć; ponieważ nie dowierzali sprawności swojego wzroku, wciąż od nowa sprawdzali każdy szczegół Jezusowej postaci, dokładnie, wyczerpująco, z gruntowną drobiazgowością; a gdy wreszcie poznali, że jest prawdziwym Jezusem, znowu ulegli pokusie podejrzliwości i znowu nie wiedzieli, czy Jezus, którego widzą, jest naprawdę Jezusem. Czy prawdziwość Jego była prawdziwością skończoną, zamkniętą w Jego własnym ciele, w Jego własnej krwi i we własnym imieniu? Idąc po falach, mógł stworzyć się na podobieństwo samego siebie, a wtedy – teraz popadli w drugą skrajność – moc Jego mogła być dzieckiem Bezimienności, jej dziedzicem! A wtedy lepiej jest zamknąć oczy i uszy, i nic nie rozumieć, nic nie rozumieć, nic nie rozumieć! O, ileż razy z lękiem rozmyślali o tym, kim jest Jezuś ben Josef! Ukrywali te rozmyślenia w sobie i taili je przed sobą. Niekiedy nachodziły ich przedziwne przeczucia, które naprowadzały ich na niezwykle domysły o bliskości Bliskiego; wpadali w paniczny lęk przed prawdopodobieństwem swoich przypuszczeń i wielbili Przedział, który ich oddzielał od Bliskości, i Bliskość, że jest od nich oddzielona Przedziałem. I jeszcze szczerzej zaciskali powieki, i zatykali uszy, i uciekali w mądrą niewiedzę, w tę przystań ludzi bezbronnych.

Wiatr wzmagał się. Jaskrawa biel księżycowej poświaty poczęła blednąć. Łódź spychana wiatrem na środek jeziora oddalała się od stojącego na wodzie Jezusa, który podniósłszy dłoń przemówił do nich w te słowa – a słyszeli je tak wyraźnie, jakby stał wśród nich:

– Odwagi! JA JESTEM, nie bójcie się!

Wlewając otuchę w serca Dwunastu, wypowiedział znowu nad wodami – wszystkie wody głębokości, te najczystsze i najpiękniejsze, były studniami patriarchy Jaakowa – swoje święte JA JESTEM, wyrażające uroczysty charakter mającego dokonać się dzieła, i jak ongi nie było ono przeznaczone dla grzesznej i nieczystej Samarytanki, tak obecnie nie było przeznaczone dla uczniów, prawowitych synów Izraela. Głośno wypowiedziane, stwierdzające to, co jest na całą wieczność stwierdzone, niezależnie od tego, czy było przed słuchaczami objawione w majestacie gorejącego ognia, trzęsienia ziemi, świętego ryku czy w chwale słów słyszalnych, zawsze znaczyło jedno i to samo: pieczęć Elohim i Jego podpis pod dziełem dokonywającym się w skończonym i doskonałym dokonaniu.

Apostołowie, usłyszawszy tak dobrze znany im głos o ciepłej, matowej barwie,

uspokoili się nieco, bo wreszcie potwierdzał on niezbitą tożsamość postaci Jezusa; ponieważ jednak i pod głos podszyć się mogą głosy niepewne, rozsiewające niepewność i w błąd wprowadzające, we wnętrzach uczniów, wciąż jeszcze wypełnionych bogobojną i pokorną nieufnością, zwątpienie znowu wzięło górę nad lekkomyślną pewnością, a Symeon ben Jona, Skala roztropnie-odważna, dając wyraz uczuciom swoim i towarzyszy, tak przemówił do Jezusa:

– Panie, jeżeli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie.

Była to wprawdzie prośba wielce nieumiarkowana, wystawiająca na próbę cierpliwość i wyrozumiałość Rabbiego, mimo to świadczyła o chłodnym rozsądku żarliwego Kefasa. Dla synów Izraela źródłem wszystkiego, co się działo w życiu i poza życiem, na ziemi i w całym wszechświecie, była Wszchemoc Elohim. Cud w świadomości ludu był pojęciem szerokim, obejmującym całe życie, śmierć i wieczność, cudem były wszystkie wschody i zachody słońca, cudem były wszystkie pory roku, cudem było kwitnienie drzew i wzrastanie zboża, a Mądrość Pańska stanowiła o losach każdego człowieka i całej przyrody. Bezgraniczną Wszchemoc Bożą pojmowali dosłownie. Czy cud nimi wstrząsał? Tak. Czy cud ich przerażał? Tak. Czy cud ich dziwił? Nigdy. Każdy cud z woli Pańskiej był możliwy. Pan, jeżeli chciał, mógł uleczyć każdą chorobę i każde kalectwo, mógł wskrzesić z martwych, mógł żywego człowieka wziąć z ciałem do nieba. Tę wiarę mieli w krwi, dziedziczyli ją z pokolenia na pokolenie, od czasu gdy Abraham, Doznawszy Boga, wszedł z Nim z początku w dość bliską zażyłość, która wkrótce przeobraziła się w przyjaźń, pokorną i cierpliwą ze strony patriarchy, niezwykle wymagającą i zazdrosną ze strony Elohim, obdarzającego swojego wybranego wielką ilością cudownych łask i równocześnie nakładającego na niego nad wyraz trudne, niekiedy nie do udźwignięcia, obowiązki. Sam Abraham mógł na własnej skórze przekonać się o zazdrości Elohim, który, wyrozumiały dla wielu słabości ludzkich, nie lubił, gdy człowiek wyrażał zdziwienie z powodu Jego cudów, pozornie sprzecznych z właściwościami natury ludzkiej. Patriarcha do końca życia z lękiem przypominał sobie gorzkie niezadowolenie Pana, słuchającego ze zgorszeniem śmiechu trzpiotliwej staruszki Saraj, niezmiernie zdziwionej z powodu obiecanych narodzin syna w tak późnym i niezbyt odpowiednim dla porodu wieku. Wiekuisty przebaczył Saraj, ponieważ ukochał jej męża i uczynił go swoim przyjacielem, a poza tym niewiasta, przerażona swoim lekkomyślnym zdziwieniem, natychmiast zaparła się swojego niedowierzającego śmiechu, a Pan w swojej dobroci uznał to drobne odstępstwo od prawdy za akt zawstydzenia i skruchy. Biada natomiast, po trzykroć biada tym – niechaj usta ludzi wątpiących położone będą w prochu! – którzy opanowani niegodnym zdziwieniem z powodu cudów Bożych nie uderzą się

w piersi i nie wyrażą skruchy. Kefasa nigdy nie dziwiły cuda Elohim. Kefas nigdy nie wątpił o Wszechmoc Bożej. Kefas wiedział, że jeżeli Pan chce, to on, prosty rybak galilejski, mówić będzie wszystkimi językami świata, chodzić będzie po wodzie, latać będzie w powietrzu i będzie równocześnie i tu, i tam, w różnych miejscach i w różnym czasie, zstąpi żywy na dno morza i wypłynie żywy na powierzchnię wód, przejdzie bezpiecznie przez piec ognisty i żywy wyjdzie z pieca ognistego. Gdy Jezus zatem rzekł do niego: – Pójdź – Symeon ben Jona ufny w potęgę Elohim, całkowicie poddany Jego woli i rozkazowi, bez namysłu wyszedł z łodzi i postawił nogę na płynnej, falującej i nieustępliwej jak kamień wodzie, i szedł po niej ku Rabbimu jak po twardej, dobrze ubitej ziemi. „Idę po wodzie, po wodzie płynącej – myślał Kefas – po otchłani wodnej, po czeluści wodnej, krocę po falach śmierci i nie tonę, i stało się tak, jak powiedziane jest w Psalmach: „Idziesz przez morze, a drogi twoje prowadzą przez wielkie wody, a nigdzie nie ma śladów twoich stóp”. – tak powiedziane jest w Psalmach, i powiedziane jest jeszcze w Psalmach: „Ujarzmiłeś pychę morza, gdy jego fale się podnoszą, jesteś tym, który je uśmierza, jesteś tym, który podeptał Rahaba jak zabite zwierzę” – tak powiedziane jest w Psalmach, a powiedziane to jest o Elohim, a ja teraz chodzę po wodzie – nie przymierzając – jak Elohim po wielkich wodach, i nigdzie nie ma śladów moich stóp, i depczę Rahaba jak zabite zwierzę, a Rahab jest szeolem, a ja krocę po szeolu, po szeolu płynącym, i wierzę, że nie mogę utonąć w falach śmierci, bo Jezua ben Josef wezwał mnie i kazał bezpiecznie kroczyć, cóż więc może mnie spotkać złego, skoro czuwa nade mną stróżująca opieka Rabbiego, a moja wiara w Jego opiekę jest jak niewzruszona skała” – tak myślał Kefas, a gdy pomyślał o niewzruszoności skały, o jej niezłomności i niezmienności, nagle uprzytomnił sobie, że wprawdzie chodzi po wodzie jak po twardo ubitej ziemi, jednak twardo ubita ziemia, której miękką i płynną twardość wyczuwał pod swoimi nogami, jest zwyczajną wodą galilejskiego jeziora, wodnym grobem niezliczonych rybaków, i w każdej chwili może się rozstać i wciągnąć go w otchłań czyhającej śmierci. Twardość twardością, niewzruszoność niewzruszonością, niezłomność niezłomnością, a woda jest wodą, a woda nie może być twarda i niewzruszona, bo nie byłaby wodą, a przecież woda jest wodą, bo płynie i przelewa się, szumi i burzy się pod uderzeniami wiatru, a jej fale sięgają niekiedy wysokości masztu. Tak myślał Kefas i przeraził się, a przeraziwszy się, poczuł, że woda rozstępuje się pod jego nogami, otwiera się na jego przyjęcie i obejmuje go w swoje posiadanie. I krzyząc: – Panie! Ratuń mnie! – począł tonąć.

Porywisty wiatr wzburzył fale, i ten świetnie pływający rybak, który z niejednej przygody na jeziorze wychodził cało, czuł, jak go łakomie wsysa bulgocąca topiel.

Próbował pływać. Nie mógł przewyciężyć ciężaru ciała. Ruchy jego rąk i nóg, spętane huczącym żywiołem jak powrozem, zamiast wypychać go na powierzchnię wody, wciągały go coraz głębiej w otchłań. Ujrzał pod sobą czeluść wypełnioną lepka, ruchomą bryłą mrugających oczu, podnoszącą się i opadającą, jak ciężko oddychająca pierś, i po każdym oddechu tej widzącej ławicy sklezione z sobą oczy rozrastały się w olbrzymie mrugające narośla, w gęste krzaki i gąbki patrzące, a było to tarło obłąkane szaleństwem rozmnażania się w pustoszącym zamęcie śmierci. Kefas, opadając w pęczniejącą, niezliczonooką, żarłoczną głębinę – mrugała, wabiła i przynaglała go swoją niszczącą grozą – zrozumiał, że są to oczy Anioła Śmierci, i ostatnim wysiłkiem woli, opierając się ich kuszeniu przypominającemu grzeszne sposoby nierządnic wabiących mruganiem powiek młodzieńców na rogach ulic, o czym w swoich zwojach pisał mądry król Salomon, wyrzucił ku górze rękę, którą uchwyciła czyjaś mocna dłoń i nagłym, nadludzko mocnym szarpnięciem pociągnęła ku sobie. Wypłynął na powierzchnię wody. Półprzytomny ze strachu i zmęczenia, z trudem wygramolił się na łódź.

Jezus wszedł do łodzi, usiadł obok niego i rzekł:

– Dlaczego zwątpiłeś, człowieku małej wiary?

Wiatr ustał.

Kefas nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Położył rękę na głowie na znak smutku i przeżywając na przemian trwogę, radość i hańbę – trwogę z powodu cudu, radość z powodu szczęśliwego ocalenia, hańbę z powodu grzesznej niewiary – zmieszany, patrzył z oddaniem i wdzięcznością na Rabbiego, który wyratował go ze śmiertelnej otchłani, aczkolwiek na tę łaskę on, wątpiący uczeń, na pewno nie zasłużył. Jak długo trwała jego wiara w rozkaz wyrażony w jednym słowie: „Pójdź”, tak długo bezpiecznie kroczył po wodzie i szedł do Jezusa; gdy tylko w przystępie trwogi zwątpił o Jego zbawiennym rozkazie, woda radośnie rozstała się na przyjęcie grzesznika i Kefas począł pogrążyć się w odmętach Prapelzającego, w złu wierzgającym. „Co to wszystko znaczy?” – myślał Kefas i ukrył twarz w dłoniach, bo męczyły go wstyd i niewiedza, i pragnął, aby Pan wylał na jego głowę nie karcąco-smutne pytanie, na które nie znajdował odpowiedzi, lecz nieposkromioną gwałtowność gniewu.

Apostołowie, badając sprawę wody i Kefasa, zadowoleni byli, że ominęło ich trudne doświadczenie, bo znając siebie, wiedzieli, że na jego miejscu po kilku krokach na wodzie również straciliby wiarę i zaczęli tonąć. Zmieszani i źli z powodu słabości ducha, ze współczuciem patrzyli na Symeona ben Jona, a zadowolenie, które przedtem przeżywali, teraz tylko potęgowało ich udrękę.

Przez gmatwaninę wrażeń przebijała jedna nieodparta myśl, która, jak wiemy,

nigdy ich nie odstępowała i stale towarzyszyła ich obecności u boku Jezusa: wszystko, co Rabbi mówi i czyni, wszystko, co dokoła Niego się dzieje, muszą dobrze i dokładnie zapamiętać, muszą zachować w pamięci wszystkie Jego słowa i wszystkie dzieła, od najmniejszych do największych, od najbłahszych do najważniejszych, od ledwo widocznych do wyrażonych w grozie chwały, bo to, co Jezus czyni, jest objawiające i nieskończone, i objawiające, i nieskończone były dzieje wczorajszego dnia i dzisiejszej nocy, spełnione u progu zbliżającego się święta Pesach na ziemi i na wodzie Galilei. Każde słowo Rabbiego i każdy Jego krok mają swoje znaczenie i nie istnieje słowo, wypowiedziane przez Niego, które by nie posiadało swojego świętego sensu, i nie istnieje krok uczyniony przez Niego, który by nie prowadził do świętego celu. A to wszystko stanie się dla nich jasne, gdy się otworzy przed nimi pełnia poznania, i wtedy pojmą – i nagle zaczęli pojmować – że Jezua ben Josef, krocząc po wodach Jam Kinereth, podeptał i unicestwił Anioła Śmierci, ale – niestety! – nawet tego, co już teraz pojęli, nie rozumieli, albowiem ich umysły były wciąż jeszcze zaślepiene.

I pojmując, ale nie rozumiejąc całej mądrości zdarzeń, które przeżyli, poczęli słowami błogosławionego psalmu chwalić Elohim, który ustanowił swojego Króla na Syjonie, na Świętej Górze, i uczynił Go swoim Synem, albowiem Go zrodził i oddał Mu na własność ludy, a na posiadłość granice świata.

Ciało i krew

Dobili do brzegu.

Wieść o rozmnożeniu chleba i ryb jeszcze w nocy dotarła do Kfar Nahum, a o wczesnym świcie obiegła wszystkich mieszkańców, wzbudzając wśród nich ciekawość, poruszenie, zachwyty i zawsze towarzyszące zachwytom wątpliwości. Gdy Rabbi z uczniami udali się do miasta – mówiąc o uczniach mamy w tym wypadku na myśli zarówno apostołów, jak i tych synów Izraela, którzy słuchając nauk Jezusa często towarzyszyli Mu w wędrówkach po kraju i uważali się za Jego zwolenników – ciągnęła za Nim krzycząca, rozgorączkowana rzesza, z której raz po raz wyrывał się jakiś śmielszy gorliwiec, przypadał do Jego stóp i końcami drżących palców z nabożną tkliwością dotykał wełnianych chwastów Jego szaty, znaków pamięci o przykazaniach Pańskich, i uradowany cofał się, mieszał się z tłumem, unosząc w dłoni zbawienne promieniowanie Jezusowej mocy. W tłumie byli również ludzie obojętni, podejrzliwi, niedowierzający lub wręcz sprzeciwiający się Jezusowi, mimo to szli za Nim, gdyż zmiarkowali po obranym przez Niego kierunku drogi, że idzie na poranne nabożeństwo do beth hakneseth, gdzie na pewno wygłosi kazanie

i może wyjaśni zgromadzonym – przy czym uśmiechali się szyderczo – tajemnicę rozmnożonych chlebów i ryb. Rzeczywiście, Jezus szedł do synagogi. Gdy przekroczył jej próg, była już szczelnie wypełniona ludźmi. Pospiesznie narzucali na siebie modlitewne chusty i przygotowywali swe dusze do modlitwy. Wielbiciele Jezusa zrobili Mu miejsce przy ścianie zwróconej ku Jerozolimie, a ten gest zaszczytnego wyróżnienia odbył się bez sprzeciwu nieprzychylnych Rabbiemu mężów, którzy woleli teraz nie wszczynać sporu z Jego zwolennikami i pozostawić na później ostateczną z nimi rozprawę; Jezus na pewno wygłosi mowę i wypowie myśli godzące w czystość wiary – tak przemyśleli – a wtedy lekkomyślne uhonorowanie Rabbiego przez am haareców będzie ważkim przeciw nim argumentem.

Chazan zaintonował Szema Israel i Szemone Esre, a modlitwa zmieszana z odświeżającym zapachem wody miętowej, którą służba skropiła przed nabożeństwem podłogę synagogi, uniosła się ku niebu, ku Elohim. Jezus zasłonił dłońmi oczy, nisko pochylił głowę i półgłosem modlił się; naprzód odmówił w całości przepisane liturgią modlitwy, a gdy je skończył, począł modlić się własnymi słowami, a gdy słowa się skończyły, modlił się słowem bezsłownym, a gdy dobiegło ono końca, pozostała po nim najczystsza modlitwa, siedmiokrotnie wypławiona, oczyszczona ze wszystkiego, co człowiecze, przeźroczyta treść, nie zmacony wywar Boskości.

Nabożeństwo dawno już się skończyło, mimo to ludzie trwali na swoich miejscach i nikt nie odważył się przerwać Jezusowego skupienia. Gdy wreszcie Rabbi odjął dłonie od twarzy, zwolennicy, ośmieleni łagodnością Jego oblicza, spytali, jakim sposobem przybył do Kfar Nahum, skoro odszedł na wzgórze Golan, a sami widzieli, jak łódź z apostołami odpłynęła na pełne jezioro; ponieważ nikt z rybaków nie wziął Go do swojej barki, jakże to się stało, że ujrzeli Go w łodzi wśród apostołów, w przystani w Kfar Nahum...

– Więc jak przybyłeś tutaj, Rabbi? – pytali. – Jak to się stało? Kiedy przybyłeś? Jaka droga?

– Szukaliśmy Cię! – wołał jakiś młodzieniec, jeden z tych, którzy w drodze z przystani do synagogi w nabożnej, ufnej gorliwości dotknęli chwastów Jego szaty.

– Szukaliśmy Cię wszędzie! – wołali inni. – Widzieliśmy Twój cud! Jedliśmy chleb i ryby, które rozmnożyłeś! Wiemy, że było tylko pięć jęczmiennych chlebów! I dwie ryby!

– Ja je miałem w koszyku! Ja! – krzyczał kilkunastoletni wyrostek i precyzyjnie się przez tłum, wybiegł przed całe zgromadzenie. – Przysięgam wam na wieczną pamięć moich praojców, że miałem tylko pięć chlebów i dwie ryby!

– Jedliśmy je!

– I wszyscy byli syci!

– Błogosławione łono, które wykarmiło Cię, Rabbi! A na to Jezus przechylił głowę ku prawemu ramieniu i odpowiadając im, rzekł ze smutkiem:

– Zaprawdę, zaprawdę, szukacie mnie nie dlatego, że widzieliście cuda, ale dla własnej sytości, jedliście bowiem chleb i byliście syci. Powiadam wam, nie zabiegajcie o pokarm przemijający, który napełnia żołądek, ale o pokarm, który trwa, o pokarm wiecznego życia, jakiego wam udzieli Syn Człowieczy, albowiem na nim Bóg Ojciec położył swoją pieczęć.

Wtedy jeden z nich nieśmiało spytał:

– Co mamy uczynić, aby otrzymać pokarm, o którym mówisz, Rabbi? Jaki rozkaz Pański wykonać mamy?

Jezus, odpowiadając, rzekł:

– Elohim żąda, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał. Z tłumu padło rozdrażnione, szorstkie pytanie:

– Jakiego więc dzieła dokonasz, abyśmy je ujrzeli i uwierzyli w Ciebie?

Równocześnie, jakby dla złagodzenia gniewnej szorstkości tego głosu, odezwał się inny głos, miękki, pokrzepiający, w którym brzmiała nuta tkliwego zaufania:

– Powiedz nam, Rabbi, jaki znak uczynisz?

Z kolei odezwał się głos trzeci, w którym nie było ani szorstkiego zniecierpliwienia, ani tkliwego zaufania, tylko żarliwe pragnienie odmiany dotychczasowego losu, tęsknota za cudem wyzwolenia z niewoli; a ponieważ w dniach wędrówki po pustyni, po wyjściu z Micraim, z pieca przewrotności, Jahwe karmił swój lud manną i od tej pory była ona w wyobraźni ludu znakiem opieki Bożej nad Izraelem na drogach prowadzących z kraju przemocy do kraju wolności, głos trzeci, nawiązując do tego zdarzenia, wyrzekł słowa, zawierające wyraźną przymówkę do rzymskiego najeźdźcy i chęć dowiedzenia się od Jezusa, czy znakiem Jego posłannictwa jest wyzwolenie Jeszuruna spod władzy barbarzyńskich nieobrzezańców. Zatem w przeciwieństwie do głosów poprzednich głos trzeci – nie wiemy, z czyich on wyszedł ust – nie pytając, mówił o zdarzeniach bezspornych, pokrzepiających na duchu, dokonanych przez Pana dla ocalenia i wolności ludu Izraela:

– Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni, jak napisano w świętych Zwojach: „Chleb z nieba dam im, aby jedli”.

Groza przeszła przez całe zgromadzenie. Zwolennicy i przeciwnicy Jezusa, usłyszawszy słowa o cudownym ocaleniu Jeszuruna z utrapienia i ucisku, zjednoczeni pragnieniem zwycięskiej łaski, utkwili spojrzenia w Rabbim

w oczekiwaniu na Jego odpowiedź. Uniesieni widzeniem czasu wyzwolonego od ciemności, podnieceni ciszą, która wypełniła synagogę, jeszcze starali się opanować rosnącą w nich gwałtowność i niczym nie okiełznaną wolę wolności, a drzenie ich wnętrza było jak drzenie mięśni pod skórą lwa gotowego do tryumfalnego skoku. Łaknęli słów, które od wielu pokoleń pragnęli usłyszeć, słyszeli je już nieomal i byli gotowi na błogosławione hasło chwycić za miecze i tarcze. Pograżonym w zachwycie i gorączce oczekiwania, urzeczywistnienie ich marzeń wydawało się teraz bliskie, a przede wszystkim tak łatwe i nie wymagające żadnego zachodu, że wystarczył tylko jeden drobny – w ich mniemaniu – krok, a przekroczyliby granicę szczęścia, o którym śnili ich ojcowie i ojcowie ich ojców.

Jezus odpowiadając rzekł do nich:

– Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale Ojciec mój daje wam prawdziwy chleb z nieba. Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i daje wam życie świata.

Ktoś krzyknął:

– Panie, dawaj nam zawsze tego chleba! A na to Jezus:

– Jestem Chleb Żywota.

Wyteżyli słuch, uważnie łowiąc każde drgnienie Jego głosu i każde słowo wychodzące z Jego ust.

– Kto przyjdzie do mnie – ciągnął dalej Jezus – nigdy łaknąć nie będzie, a kto uwierzy we mnie, już nigdy nie zazna pragnienia. Mówiłem do was wielokrotnie: nie wierzycie, chociaż widzicie. Wszystko, co mi Ojciec daje, przyjdzie do mnie, a tego, który do mnie przyjdzie, nie wypędzę od siebie, albowiem zstąpiłem z nieba nie po to, aby spełniać swoją wolę, ale czynić wolę Tego, który mnie posłał. A Ten, który mnie posłał, wyraził wolę, abym nic z majątności człowieczej, którą mi dał, nie zatracił, lecz wskrzesił ją w Dniu Ostatecznym. Bo jest wolą mojego Ojca, aby każdy, kto widział Syna Człowieczego i uwierzył w Niego, miał wieczny żywot, a ja wskrzeszę go w Dniu Ostatecznym.

Tak powiedział Rabbi, a słowa Jego podziały na nich przygnębiająco. Nie udzielił im zadowalającej odpowiedzi. Z trudem biegli za wątkiem Jego myśli. Nie powiedział im tego, czego się spodziewali, a to, co powiedział, brzmiało niewiarygodnie i było sprzeczne z ich pragnieniem. Gdy nieco oswoili się ze swoim rozczarowaniem, szeptem poczęli wymieniać między sobą uwagi. Cóż właściwie im powiedział Jezus ben Josef? Nie było dla nich nowością ojcostwo Boga, bo wszyscy byli Jego synami, własnością i dziedzictwem. Oczekiwali znaku manny, znaku wyzwolenia z niewoli pogańskiej, a w zamian otrzymali przyrzeczenie życia wiecznego i wskrzeszenia umarłych w Dniu Ostatecznym, co również nie było dla

nich niczym nadzwyczajnym, bo jako prawowici faryzeusze zawsze wierzyli w życie wieczne, w zmartwychwstanie zmarłych po przyjściu Mesjasza, i nigdy nie śmieliby zaprzeczyć tej oczywistej prawdzie. To dobrze, to bardzo dobrze, że potwierdził wiarę w życie wieczne, w zmartwychwstanie zmarłych po przyjściu Pomazańca Bożego, ale cóż z tego, skoro nie powiedział, kiedy ów Pomazaniec się zjawi i oczyści z Rzymian Świętą Ziemię Pana. Kiedy oczyści?! Kiedy wyda rozkaz oczyszczenia?! Kiedy, jak Jezua ben Nun, każe pobić nieobrzezańców i ich niewiasty, całe plemię rzymskich zaborców, od dziecięcia do starca, i woły ich, i konie, i osły, aby Ziemia Święta była oczyszczona z nieprzyjaciół Jahwe?! I właśnie tego, na co czekali, nie powiedział. I nie dał żadnego znaku. Powiedział, że widzą, ale nie wierzą. Jakże mają wierzyć, skoro nic nie widzą? Widzą Męża rozmawiającego z nimi w synagodze, który dokonuje cudów przemiany, uzdrowienia i rozmnożenia, podczas gdy oni czekają na cud wyzwolenia, na mannę z nieba, na wyjście z niewoli do wolności; ongi wystarczyła jedna rozmowa Mojżesza z Jahwe, a manna spadła z nieba, spadł chleb wolności, chleb błogosławiony, chleb pochodzący z dłoni Pańskiej, który ich obronił przed śmiercią głodową, tak że nie zginęli i przetrwali, i żyli. A tymczasem Jezua ben Josef nazwał samego siebie chlebem żywota, który zstąpił z nieba, czyli samo swoje istnienie uważa za dowód swojego posłannictwa! I dlatego czyni wolę Pana, i sam wskrzeszać będzie zmarłych na wielkim sądzie w Dniu Ostatecznym! On? On? On? On wskrzeszać będzie zmarłych na wielkim sądzie, a nie Jahwe, Pan Zastępów? Z ręki Jezuy ben Josef przyjmą żywot wieczny? Cóż to będzie za żywot wieczny, który przyjmą z rąk człowieka, wprawdzie działającego cuda, ale przecież zwyczajnego człowieka, jak oni wszyscy? Czyżby dlatego nazwał się chlebem żywota? Chleb żywota! Co to jest chleb żywota? Niejasne i niepokojące określenie. Izrael znał wiele rodzajów chleba, znał chleb znoju, chleb cierpienia, płaczu, ucisku, grzechu, gnuśności, mądrości, roztropności, znał chleb popiołu i chleb czasów ostatecznych, wiedział, że dobry i pożywny chleb należy zawsze dzielić z ubogimi, a nawet szczęście pośmiertne zwykł upatrywać pod postacią chleba błogosławionego, a przecież nikt nigdy w całym narodzie nie słyszał o chlebie żywota, a Jezua ben Josef twierdzi, że jest właśnie chlebem żywota! Co to jest chleb żywota? Co on oznacza? Jaka jest jego właściwość? Wietrzyli w tym pojęciu jakieś ukryte, symboliczne znaczenie – wiedzieli jednak, że symbol ma tę samą wartość co pojęcie, które symbolizuje – i w zależności od tego, co symbolizuje, jest święte i nietykalne lub bezbożne i potępione. Więc czego jest symbolem chleb żywota? Co oznacza i jaka jest jego wartość? Czy należy mu się pokłonić, czy go potępić? Czy jest chlebem błogosławionym przez Elohim, czy chlebem, na którym spoczywa znak złej mocy? Czy jest dobrym chlebem dobrego życia, czy złym

chlebem złego życia? Jeshua ben Josef powiedział: – Ja jestem Chleb Żywota, który zstąpił z nieba. – Wszyscy to mogą potwierdzić. Może to potwierdzić całe zgromadzenie przed otwartą Świętą Arką. Ale – niechaj nas Elohim zachowa od wszelkiego zła! – aniołowie zagłady też zstępowali z nieba, a potem siali wśród synów człowieczych zamęt i zgorszenie, należy zatem z największą ostrożnością postępować wobec wszelkich sił zstępujących z nieba. Czy zstępujących z nieba? Jakże mógł Jeshua ben Josef powiedzieć o sobie, że zstąpił z nieba, skoro jest synem Josefa cieśli i Miriam, a znaliśmy imię Jego ojca i znamy Jego matkę, i znamy Jego całą rodzinę, i stryjów, i wujów, i braci stryjecznych, i braci ciotecznych, a kilku z nich razem z Nim wędruje po kraju i słucha Jego nauki, a w Nazareth żyją jeszcze ci, którzy znali Jego dziadka Jehojakirna i babkę Hanę. Jakże więc mógł zstąpić z nieba człowiek, który począł się z niewiasty i, wyszedłszy z jej łona, ujrzał na ziemi światło dzienne?

Tak rozmyślając, nie ruszali się z miejsc i szemrając czekali na dalsze słowa Jezusa.

A Jezus mówił:

– Nie szemrajcie między sobą. Nikt nie może przyjść do mnie, jeżeli go nie pociągnie i nie poruszy jego wnętrza Ojciec, który mnie posłał. A ja pociągniętego i poruszonego wskreszę w Dniu Ostatecznym. Napisano bowiem u proroka Jesai: „I będą wszyscy pouczeni przez Elohim”. Każdy, kto posłyszał wezwanie Ojca i jest pouczony przez Niego, przychodzi do mnie, aby mąż pociągnięty i poruszony pouczeniem Pańskim ujrzał Ojca, bo Ojca widział tylko ten, który jest od Elohim. Zaprawdę, zaprawdę mówię wam, kto wierzy we mnie, ma żywot wieczny. Jestem Chleb Żywota. Ojcowie wasi – oby światło Boże nad nimi czuwało! – jedli manę na pustyni i poumierali, tu natomiast – wskazał palcem na siebie – jest Chleb, który zstępuje z nieba, aby nie umarł ten, kto go spożywa. Jestem Manna Żywa, Chleb Żywota, który z nieba zstąpił, a jeżeli ktoś spośród was spożywać będzie ten Chleb, żyć będzie na wieki, a Chleb, który ja wam dam, jest Ciałem moim za życie świata!

W tłumie zakotłowało. Jakby ktoś żagiew cisnął podczas silnego wiatru na wyschnięte od słońca namioty. Zwolennicy Jezusa jeszcze starali się rozsądnym i powściągliwym słowem uśmierzyć wzburzenie, ale ich usiłowania były bezskuteczne z powodu wzmagającej się gwałtowności przeciwników Rabbiego.

– Jakże nam możesz dać ciało swoje do jedzenia?! – krzyczeli.

– Czy jesteśmy synami Baala?! – wołali z oburzeniem.

– Żaden syn Izraela nie jadł ciała człowieczego!

– Godne to jest pogan, ale nie majętności Pańskiej, Jeshuruna!

Jezus podniósł się ze swego miejsca, a na widok Rabbiego, nieruchomego jak skała, lęk padł na zgromadzenie – na zwolenników i przeciwników – a stojący

w pobliżu odsunęli się w mniemaniu, że Moc bijąca od Niego może się na nich zwalić i przydusi ich swoim ciężarem. Było to wrażenie nieświadome, jedno z tych, które odruchowo zmusza kapłana Izraela do wykonywania przed Świętym Świętych sakralnych ruchów kołysania rękami – zwali to kołysaniem przed Jahwe – i do zzuwania sandałów w okręgu Obecności Bożej, według rozkazu danego Mojżeszowi przez płonącego Pana. Zgromadzeni w synagodze wprawdzie nie wykonywali przed Jezusem żadnych ruchów sakralnych ani nikt z nich nie zzuł przed Nim sandałów – ani apostołowie, ani uczniowie, ani zwolennicy, ani tym bardziej przeciwnicy nie upatrywali w Nim ukrytego Boga, a gdyby im ktoś teraz powiedział, że jest ucieleśnionym Panem, nie uwierzyliby temu, ich zdaniem, jawnemu bluźnierstwu – ale uczucie, które teraz przeżywali, przypominało, chociaż nic o tym nie wiedzieli, trwogę ludzi znajdujących się w bliskim sąsiedztwie wiekuistej Mocy: nagła pokora odebrała im głos i zmusiła do milczącego i posłusznego wysłuchania słów Rabbiego, które właściwie powinni przyjąć krzykiem i głośniejszym od krzyków karzącym wyrzucaniem przed siebie rąk.

Stał wyprostowany przed zastygłym w milczeniu tłumem, od którego oddzielała Go wolna przestrzeń, wznosząca się między Nim a nimi jak nieprzenikniony mur ognia. Chwalebna nietykalność tego okręgu była niewątpliwa, chociaż ukryta przed całym zgromadzeniem i niewidzialna tą osobliwą niewidzialnością, która instynktownie powstrzymuje każdego człowieka od świętokradczego przekroczenia jej granic. Patrząc zatem na Jezusa i słysząc Jego głos, nie wiedzieli, że postać Jego i słowa znajdują się w niedostępności zamkniętej na siedem pieczęci, których żadna wola i moc ludzka nie mogą przełamać. Rabbi, nieco pochylony ku przodowi, wodził oczami po zgromadzonych i na każdym z nich zatrzymywał spojrzenie, i dlatego każdy człowiek znajdujący się w tłumie był głęboko przekonany, że Rabbi przemawia wyłącznie do niego, co odpowiadało prawdzie, gdyż dzięki równoczesności widzenia czasu i przestrzeni równocześnie widział całą ludzkość i każdego człowieka z osobna. Nieco więc pochylony ku przodowi mówił do nich:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa Ciało moje i pije Krew moją, ma życie wieczne, a ja go wskrzeszę w Dniu Ostatecznym! Albowiem Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem! Kto spożywa Ciało moje i pije Krew moją, jest we mnie, a ja jestem w nim! Tak jak posłał mnie Ojciec, który żyje, a ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto mnie spożywa, żyć będzie przeze mnie. Taki jest Chleb z nieba zstępujący, ale nie taki jak manna, którą spożywali ojcowie i poumierali! Kto spożywa ten Chleb, żyć będzie na wieki!

Słuchali tych słów w milczeniu. Nie byli zdolni do głośnego wyrażenia sprzeciwu. Odurzający wstrząs, którego doznali, dokonywał się w drętwej martwocie ich wnętrza, które mimo niemożności uzewnętrznienia swoich uczuć przeżywało do głębi słowa Rabbiego. Jak mamy jeść Jego ciało? – pytały milczące usta. – Jak mamy pić Jego krew? Jak można się łamać ciałem ludzkim i zaspokoić pragnienie ludzką krwią? Jak można dzielić między siebie kawały ludzkiego ciała i jak można przyłożyć usta do pucharu pełnego krwi? Ciało i krew! Te dwa słowa określają człowieka, istotę przemijającą. Ciało pochodzi z ziemi, a Elohim, stwarzając człowieka, tchnął życie w jego zastygłą krew i wtedy krew poczęła krążyć, i ożywiła martwą glinę, zatem w krwi jest życie, a każde życie – szeptały milczące usta w coraz większym przerażeniu – pochodzi z Jahwe, z Boga, z źródła wszelkiego życia, i dlatego jest święte, i dlatego nie wolno spożywać wszelkiej krwi, bo spożywając krew, spożywa się życie, a spożywając życie, spożywa się Jahwe, który należy do samego siebie, jest niepodzielny i nietykalny. Pan przemawiając do Mojżesza mówił: „Jeżeli kto z domu Izraela albo spośród przybyszów, którzy osiedlili się między nimi, będzie spożywał jakkolwiek krew, zwrócę oblicze moje przeciw temu człowiekowi, spożywającemu krew, i zgładzę go spośród jego ludu... Nie będziecie spożywać krwi żadnego ciała, bo życie wszelkiego ciała jest w jego krwi, każdy, kto będzie ją spożywał, będzie wyłączony”. Te były nieodwołalne słowa Jahwe, a Jezua ben Josef każe im spożywać krew człowieczego życia, pochodzącego z Jahwe! Czy wolno spożywać Boga? Byli bliscy prawdy, ale nie przekroczyli jej progu. Przerażeni wizją synów człowieczych jedzących ciało ludzkie i pijących krew życia – wyobrażali sobie stoły biesiadne, a przy nich biesiadników raczących się świętą krwią, w której leżał umęczony przez ludzi Jahwe – w pobożnym popłochu opuszczali synagogę, przytłoczeni widzeniem rzeczy nieprzystępnych ich świadomości. Była to paniczna ucieczka przed świętokradczym – według ich mniemania – żądaniem Jezusa, które rozsadzało ich dotychczasowe wyobrażenie o Bogu i porządku ustalonym na całą wieczność. Wytrąceni z równowagi, wracali do domów i warsztatów i dopiero gdy znaleźli się w czterech ścianach swoich izb, opadły z nich odrętwienie i bezradność jak kamienna skorupa, odzyskali dawną zapalczliwość i znów zapłonęli gniewem przeciw Jezusowi, a kilku spośród przednich faryzeuszów postanowiło powiadomić o zdarzeniu Josefa Kajafę, arcykapłana.

W synagodze pozostali apostołowie i uczniowie i szeptem rozprawiali o mowie Jezusa. Rabbi usiadł, oparł głowę na dłoni i smutnie patrzył na pokryte roślinną ornamentacją drzwi synagogi, które zamknęły się za Jego zwolennikami i przeciwnikami, zgodnie z sobą połączonymi w sądzie o Jego bluźnierczych – jak je określili – słowach. Te zamknięte drzwi wydały Mu się ciężkim głazem,

zamykającym wejście do szeolu. Rozpoczął się gorzki okres odchodzenia. Teraz zaczął oddalać się od Niego, zrywać z Nim, znikać bezpowrotnie za zamkniętymi drzwiami, niezadowoleni, rozczarowani, zawiedzeni w swoich nadziejach, niechętni Jemu i Jego nauce. Jedni przychodzili do Niego po wewnętrznych męczarniach i trudnych walkach, inni łatwo, bez zbytecznego zachodu, inni natomiast nie dawali się dotychczas skruszyć i stawiali nieustępliwy opór Jego naukom, a teraz połączeni w jednomyślnym działaniu – i ci, którzy przyszli z trudem, i ci, którzy łatwo Mu ulegli – razem odeszli i prawdopodobnie już więcej do Niego nie wrócą. Sam postanowił ich opór i odejście i sam wybrał dogodny po temu czas i odpowiednie miejsce – o, jak bardzo bolało Go niedołęstwo synów człowieczych, nie umiejących korzystać z przywileju wolnego wyboru, tego odprysku Boskości, który im wielkodusznie podarował w dniu grzechu pierwotnego! – a teraz głęboko współczuł z ich losem i trapił się wydanym przez siebie wyrokiem; ten wyrok skierowany był zarówno przeciw nim, jak i przeciw Niemu samemu, bo przecież i On z powodu ich odejścia ponosił bolesną stratę; tak działać się musiało, bo musiał działać w granicach swojego człowieczeństwa i nie chciał w myśl narzuconych sobie praw wyzwolić się z jego kajdanów; i tak trapiąc się i męcząc swoimi postanowieniami, nieubłagane je potwierdzał miłosierną surowością.

A w synagodze wciąż kłębiły się szmery, szepty i półgłosey i zlewały się z sobą w bezładne, stłumione szemranie, z którego czujne ucho Jezusa wyławiało luźne słowa i strzępy zdań, często tak niewyraźne i stłumione, że gdyby nie niezwykle wymowna mimika twarzy rozprawiających z sobą apostołów i uczniów, trudno byłoby się domyślić sensu prowadzonej przez nich dysputy. Nagle na powierzchnię szumiących szmerów i szeptów poczęły wypływać słowa wypowiedziane krzykliwym głosem, co było dowodem, że wymiana myśli przeszła teraz w ostry spór, w którym coraz donośniej rozbrzmiewały dwa zdania, wypełniające drażniącym zgrzytem wnętrze synagogi:

– Twarda to mowa!

– Któż jej może słuchać?!

Brwi Jezusa uniosły się. Spytał z pobłażliwym uśmiechem:

– To was gorszy? A co powiecie, gdy ujrzycie Syna Człowieczego wstępującego tam, gdzie był przedtem? Duch ożywia. Ciało na nic się nie przyda. Słowa, które do was wypowiedziałem, duchem są i życiem. Ale między wami są tacy, którzy chociaż widzą, nie wierzą. Dlatego powiedziałem wam, że nikt nie może przyjść do mnie, jeżeli mu to nie jest dane od Ojca.

Te słowa jeszcze bardziej zmierzwiły i zamotały ich wyobrażenia o Rabbim. Co znaczy: „Syn Człowieczy wstąpi tam, gdzie był przedtem”? Czy powróci tam, skąd

przyszedł? Co znaczy: „Powróci tam, skąd przyszedł”? Przecież człowiek wychodzi z łona matki, a powraca do ziemi. Stwierdziwszy, że nie odnajdą wspólnego języka z Rabbim, a nie chcąc Mu się jawnie, oko w oko, przeciwstawić, poczęli jak cienie wysuwać się z synagogi, naprzód pojedynczo, a potem całą gromadą – było ich kilkunastu – i zniknęli za pokrytymi roślinną ornamentyką drzwiami szeolu. Zniknęli w mrokach podziemia. Jezus, patrząc na zamczone, potężne drzwi synagogi, pomyślał, że już wkrótce będzie musiał stoczyć walkę z ich zamkniętą i ciemną mocą, aż je wyważy z zawiasów i na ścieżaj otworzy, aby ci, którzy odeszli do krainy mroku, w głąb głodnej głębokości, mogli powrócić do światła, do domu Pana. Zastanawiał się: Czy teraz również apostołowie znikną za tymi drzwiami? Czy i oni wybiorą wyjście, odejście, oddalenie, pustkę, ciemność za pięknie rzeźbionymi drzwiami, które mają nierozsądek człowieczy bezowocnym szczęściem nieobecności? Czy i oni jak cienie poczną wysuwać się z synagogi i zdążać ku temu progowi?

Tak dumając, spytał Dwunastu:

– Czy wy także chcecie odejść?

Po krótkim wahaniu Kefas odpowiedział zdaniem pytająco-bezradnym, a zarazem stanowczym:

– Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego, a my wierzymy i wiemy, że jesteś Kodesz Adonaj, Święty Pana.

Jest zjawiskiem znamionym, że imieniem Kodesz Adonaj, tym samym, którym Kefas określił teraz Jezusa, pełzający szatan w tej samej synagodze i w tym samym miejscu określił przed rokiem Męża; Jezus, powiązawszy z sobą te dwa tak sprzeczne zdarzenia – wyznanie pokonanego szatana i wyznanie Kefasa – obrzucił apostołów przenikliwym spojrzeniem, na nikim z nich tym razem nie zatrzymując wzroku, i rzekł:

– Czy ja was wszystkich nie wybrałem? A jednak jeden z was jest szatanem.

Wypowiedział te słowa mocnym głosem, jakby ich mocą chciał jeszcze raz potwierdzić dokonany przez siebie wybór.

Kto spośród Apostołów jest szatanem?

„Kto spośród nas jest szatanem, czyli kogo Jezua ben Josef miał na myśli, mówiąc, że jeden spośród nas jest szatanem?” – zastanawiali się apostołowie, zażywając święteckiego spoczynku.

„Kto spośród nas jest szatanem, kogo Rabbi miał na myśli, mówiąc, że jeden spośród nas jest szatanem?” – zastanawiał się Juda z Kerijoth w spokojny dzień święta

Pesach, siedząc na kamieniu, nad Jeziorem Galilejskim, w pustym Kfar Nahum, albowiem poza Rabbim i Dwunastoma w mieście pozostali tylko starcy, kobiety brzemiennie, dzieci, chorzy i kaleki, którzy o własnych siłach nie mogli udać się do Jeruzalajim Hakodesz – a jeżeli wśród Dwunastu wybranych jest szatan, to wybrał go przecież sam Rabbi, a jeżeli wiedział, że jest szatanem, to po co go wybrał, a na pewno o tym nie wiedział, bo gdyby wiedział, toby go nie wybrał, zatem obecność szatana wśród nas dostrzegł znacznie później, a mógł Mu go na przykład wskazać Elohim, i tak kołując po krętych drogach, znów wracam do miejsca wyjścia moich rozmyślań i pytam sam siebie: Kto spośród nas jest szatanem?”

Juda z Kerijoth gładząc brodę robił w myślach przegląd Dwunastu – Filipa z Bethsaidy, Nathanaela ben Tolmaj, Jaakowa, Symeona i Judy, synów Halfiego, Theoma Bliźniaka, Kefasa i Andraja, synów Jony, Johanana i Jaakowa, synów Zebadii, Lewiego Mataja i siebie, Judy z Kerijoth – i rozważał ich wady, obracał na wszystkie strony, przyglądał im się z drobiazgową uwagą, jak zwykł czynić, gdy na targu kupował starą szatę, potem ostrożnie i z umiarem zastanawiał się nad zaletami i cnotami każdego z nich, aby wyrobić sobie bezstronny obraz charakteru każdego apostoła, nie wyłączając, rozumie się, samego siebie. Wyliczając w myślach apostołów w kolejności ich powołania, dla celów pamięciowych poruszał kolejno palcami prawej i lewej ręki – każdy palec wyobrażał jednego apostoła, a przy jedenastym i dwunastym posłużył się znów palcami prawej ręki, kciukiem i wskazującym, przy czym należy zauważyć, że kciuk wyobrażał Lewiego Mataja, a wskazujący jego, Judę z Kerijoth, co mu zbytnio nie przypadło do smaku, bo przypomniał sobie scenę pod Portykiem Salomona, gdy uzdrowieniec znad sadzawki Bethesda wskazującym palcem wskazał faryzeuszom Rabbiego. Ten gest niemile utkwiał w jego pamięci, a ilekroć przywoływał go z przeszłości, zawsze czynił to z lękiem, ociąganiem się, z niechęcią i... z głębokim przekonaniem, że w tym geście kryje się jakiś sens, którego szerokości i głębi nie umiał wyobrazić sobie zmysłami. A teraz wskazujący palec w dziwny sposób symbolizował jego samego. Rozumie się, że był to przypadek, ale przypadek nieuchronny, bo przecież był dwunastym i ostatnim spośród wybranych przez Rabbiego i nic nie ma w tym dziwnego – tak się pocieszał – że jemu jako dwunastemu i ostatniemu przy wyliczaniu apostołów w kolejności ich wyboru i powoływań przypadł w symbolicznym udziale wskazujący palec. Wprawdzie palec wskazujący przypadł również na samym początku w symbolicznym udziale drugiemu z wyboru apostołowi, Nathanaelowi ben Tolmaj, każdy jednak przyzna, że zupełnie inny sens ma początek kolejności, a inny jej koniec, zamykający poczet apostołów. Tej kolejności żadna moc odmienić nie mogła, a zresztą pokorny Juda był z niej zadowolony, bo mimo wszystko była

ona jakimś nieokreślonym bliżej uprzywilejowaniem jego osoby; dotychczas nigdy nie spotkał go w życiu zaszczyt zajmowania ostatniego miejsca w jakiegokolwiek hierarchii: przez nikogo nie dostrzegany stał zawsze poza wszelką hierarchią, w ostatności niedostrzeżonej, w całkowitej niewidoczności. A tu był ostatni i do tego symbolicznie wskazujący! Nie, nie, Juda nie powinien uskarżać się na swój los i byłby na pewno dumny ze swojej dostrzegalnej ostatności, gdyby na to uczucie pozwalały mu pokora i czołobitne uniżenie przed Panem.

Po długim rozważaniu Juda doszedł do przekonania, że żaden z apostołów nie posiada złych skłonności, a miał na myśli również samego siebie. Mimo to wniosek ten nie uśmierzył jego niepokoju, ponieważ Rabbi wyraźnie powiedział, że jeden z Dwunastu jest szatanem. Przede wszystkim dlaczego i w jakim celu jeden spośród Dwunastu musi być szatanem? – oby był jak najdalej od nas! – poza tym jakie ma być jego zadanie w małym gronie apostołów i czy bez jego udziału nie może zdarzyć się to, co się ma zdarzyć? Jeżeli dobro – Juda nigdy nie wątpił, że to, co się zdarzy, będzie dobrem lub będzie prowadziło do dobra – nie może się obejść bez udziału zła, więc cóż to za dobro, któremu musi towarzyszyć zło? Juda usłyszał pęczanie wątpliwości. Juda nie umiał czekać, to znaczy czekał tak długo, aż wyczerpał wszelką umiejętność czekania, a ono z biegiem lat, zanikając jak wysychający potok na pustyni, odsłoniło kamieniste dno, którym była niecierpliwość serca. Niecierpliwe serce biednego handlarza pachnideł – niechaj nikogo nie gorszy owo współczujące określenie, bo był on naprawdę biedny, tak biedny jak każdy z nas – po wielu latach niedoli pożądało bezzwłocznego zjawienia się Pomazańca Bożego i natychmiastowej cudownej przemiany całego świata, a ta natychmiastowość i cudowność, i przemiana powinny się wreszcie dokonać bez dłuższych zapowiedzi i obietnic, a tymczasem od dnia powołania Judy do grona apostołów mijały długie miesiące, cuda wprawdzie się działy, ale Mesjasz mimo zapowiadanego przez Rabbiego Królestwa Niebieskiego wciąż się nie zjawiał. A może Rabbi się myli? Jest tylko człowiekiem, wprawdzie chwalebnie podniesionym, cudotwórcą, ale przecież jest tylko człowiekiem z krwi i ciała, więc może się mylić, błędzić, poddawać się złudzeniom i jak każdy człowiek może być wodzony na pokuszenie przez Azazela, rogatą nicość, która już niejednego świątobliwego kusiła, wabiła i mamiła, posługując się przy tym świętymi Zwojami, a nawet najświętszym słowem Elohim. Tak dociekał Juda z Kerijoth sensu wielu spraw, które jak ciężkie kamienie padały na dno jego duszy.

„Miłuję Jezusę ben Josef – rozważał Juda – miłuję Go gorącym sercem i wierzę, że pewnego dnia obwieści pełnym głosem przyjście Mesjasza, wyjawi dzień Jego przyjścia, a może nawet i godzinę, i razem z nami wszystkimi, z Dwunastoma, nisko się pokłoni Jego stopom i ucałuje skraj Jego szaty, która błyszczeć będzie jak śnieg na

Hermonie, a korona na Jego głowie będzie jak wschód słońca nad górami Moabu, a miecz w Jego dłoni jak błyskawica Jahwe. Kiedy to się stanie? Kiedy? Jak długo jeszcze ma Izrael czekać na tę chwilę, a wraz z Izraelem mam czekać ja, nędzarz o spuchniętych nogach i trzepocącym sercu? Jak długo jeszcze mam dźwigać skrzynkę z żebraczym majątkiem apostołów – przez całe życie dźwigałem skrzynkę z pachnidłami, teraz dźwigam skrzynkę z drachmami, która często jest pusta – i czekać na dzień, w którym spożywać będę owoce z drzew samorodzących i pić mleko i miód płynący w Jordanie? Miłuję Jezusę ben Josef gorącym miłowaniem, chociaż nie rozumiem wielu rzeczy, które czyni i mówi, a apostołowie i uczniowie również nie rozumieją; bo któż zrozumieć może żądanie, abyśmy spożywali Jego ciało i pili Jego krew, któż pojmie przerażający warunek, że tylko ci Go rozumieją, którzy Go spożyją? – tak rozmyślając podniósł głowę do nieba i tymi słowami przemówił do Jahwe: – Ty widzisz, Wszechmogący Panie, przenikający serce i nerki człowiecze, że chcę zrozumieć, co głosi i czyni Jezua ben Josef, więc daj mi zrozumienie rzeczy niezrozumiałych, abym pojął, dlaczego Mąż chwalebnie podniesiony nie poszedł na Pesach do Jeruszałajim Hakodesz, dlaczego nie ujawnia czasu i miejsca Królestwa Niebieskiego i czasu przyjścia Mesjasza, dlaczego każe spożywać swoje ciało i krew, skoro Ty, Niewidzialny, zabroniłeś picia wszelkiej krwi i kazałeś ją wylewać na ziemię, aby w ziemię wsiąkła, i dlaczego ciało Jego jest Chlebem Żywym, i dlaczego mamy się nim posilić jak chlebem codziennym, skoro ciało człowiecze jest ciałem człowieczym, a chleb jest chlebem, więc jak można głód zaspokajać ciałem człowieczym jak codziennym chlebem?” – tak pytająco modlił się Juda z Kerijoth, a potem w modlitewnym zapale zastanawiał się nad sensem Królestwa Bożego, które według Rabbiego przypadnie w udziale wypełniającym Jego przykazania; po jednej stronie wagi umieścił swoją biedę i ciężkie życie, i niecierpliwość, a po drugiej stronie wagi złoto Królestwa Niebieskiego i w myśl sprawiedliwej umowy zawartej między Panem a Izraelem – złoto Królestwa Niebieskiego za złoto człowieczej nędzy – żarliwie domagał się od Elohim, aby dotrzymał świętych zasad kupna i sprzedaży i nie taił przed dziećmi Abrahama tajemnic, które powinny być ujawnione dla zbawienia sponiewieranej duszy ludzkiej wołającej z głębokości o zmiłowanie Pańskie. Zatopiony w modlitewnym natchnieniu, błagał Pana o rychłe zjawienie się Mesjasza i znów powrócił do swojego utrapienia, i prosił Elohim tym razem o takie pokierowanie losami świata, aby udręczony udręką, nie musiał sprzeciwiać się Mężowi Podniesionemu, bo bał się sprzeciwów i wiedział, że szatan często wije sobie bezpieczne gniazdo w niezgodzie i przeczeniu. Teraz modlitwa Judy przeszła w ostrożną dyskusję z Elohim, nie tracąc nic ze swojego modlitewnego uniżenia: Czy każde sprzeciwianie się jest

sprzeciwem? Czy sprzeciwia się nakazowi Pańskiemu ten, który nie chce spożywać ludzkiego ciała i pić krwi ludzkiej?

Juda, ogarnięty błogim poczuciem błogosławieństwa, zadowolony z dokonanego przez siebie odkrycia, wyciągnął się wygodnie na trawie, bo zdawało mu się, że Duch Pański jest z nim.

Ręce

Minął Pesach, pielgrzymi wracali z Jerozolimy do swoich miejsc zamieszkania, drogi zapełniły się mrowiem ludzkim, zdążającym pieszo i na osłach – ciągnęli wielkimi gromadami, bo razem czuli się bezpieczniejsi przed napadami rozbójników, którzy czyhali w górskich połaciach kraju na samotnych podróżnych – i znów zaroily się ludźmi miasta, miasteczka i wsie Judei i Galilei, i powróciły do codziennego, szarego życia, podzielonego sprawiedliwie między modlitwę, pracę i wypoczynek. Wraz z powracającymi mieszkańcami Kfar Nahum przybyło do miasta kilku zaufanych wysłanników Kajafy. Ponieważ Jerozolimę podczas święta Pesach obiegly wieści o cudzie rozmnożenia dokonany przez Jezusa na oczach tłumów, o Jego niezwyklej przechadzce po wodach Jam Kinereth w obecności apostołów i o przerażającej mowie o spożywaniu ciała i krwi, arcykapłan, który zawsze baczny okiem wytrawnego dozorczy winnicy Pańskiej śledził działalność Rabbiego, i tym razem nie chciał poprzestać na zasłyszanych przygodnie nowinkach, i postanowił dokładnie zbadać i sprawdzić zdarzenia; w tym celu pchnął do Kfar Nahum kilku wysłanników o przenikliwym spojrzeniu i bystrym umyśle. Podczas gdy zeznania świadków cudownego rozmnożenia chleba i ryb były jednomyślne – nie umieli tylko ustalić dokładnej liczby nakarmionych – przechadzka Jezusa po jeziorze wydała się wysłannikom urojeniem podnieconej wyobraźni apostołów. Natomiast nie udało im się zebrać wiarygodnych wiadomości o Jego mowie o spożywaniu ciała i picciu krwi, bo to, co im o tym opowiadano, było tak ciemną łamigłówką, niepojętą w swej dwuznaczności, że nie mogąc się w tym wszystkim rozeznac, dali spokój dalszym badaniom. Apostołów pytać nie chcieli, bo z góry wyłączali możliwość otrzymania od nich przedmiotowej odpowiedzi. Ponieważ uważali, że nie powinni wracać do Kajafy z pustymi rękami, bo taki powrót byłby dowodem ich nieudolności, węszyli za innymi dowodami odszczepieństwa wśród najbliższego otoczenia Jezusa, mogącymi dać podstawę do uzasadnionych oskarżeń przeciw Niemu i apostołom. Cuda, zdarzenie na jeziorze, a zwłaszcza wezwanie do spożywania ciała i do picia krwi są zjawiskami trudnymi do wyjaśnienia i określenia, nieuchwytnymi w swojej istocie, bo chyba przecież nikt z rozumnych ludzi nie

wyobraża sobie, że Mąż nazarethański ofiaruje siebie na pożarcie synom Izraela. Natomiast byłoby nie lada gratką, gdyby udało się zaskoczyć Jezusę ben Josef lub Jego uczniów na gorącym uczynku przekroczenia nakazów, uświęconych przez czas i obyczaj praojców. Już podczas wstępnych przesłuchiwań ten i ów świadek niewyraźnie coś przebąkiwał o lekceważeniu przepisów o myciu rąk przez niektórych uczniów Jezusa przed spożywaniem darów Bożych; wysłannicy, całkowicie pochłonięci opowiadaniem o Jego cudach i ciemnych mowach, z początku niewiele zważali na te półgębkiem wypowiedzane uwagi i dopiero gdy pojęli, że bystrością swoich umysłów nie rozwikłają tajemnicy Jezusowych cudów i słów, szybko zmienili kierunek śledztwa i poczęli zastanawiać się nad objającymi się o ich uszy uwagami o łamaniu przez uczniów Rabbiego przepisów o rytualnym obmywaniu rąk. Czyżby Jego apostołowie naprawdę za nic mieli przepisy o obmywaniu rąk? Wziąwszy na bok kilku mieszkańców Kfar Nahum pytali, jak należy rozumieć ich uszczypliwe przymówki o skalanych rękach uczniów, a gdy dowiedzieli się, że niektórzy spośród nich spożywają chleb rękami nie umyтыми, wyrazili głośno swoje oburzenie z powodu ich nie obrzezanych serc. Mimo to wciąż jeszcze nie dawali wiary tym wieściom, aż wreszcie naocznie stwierdzili ich prawdziwość. Gdy nazajutrz po przybyciu do Kfar Nahum wczesnym rankiem przechodzili obok domu Kefasa, spostrzegli kilku apostołów, którzy siedzieli na progu i prowadzili z sobą ożywioną rozmowę. Skupienie na ich twarzach dowodziło, że rozprawiali o rzeczach poważnych, może opowiadali sobie przypowieści, może zastanawiali się nad sensem jakiegoś wersetu ze świętych Zwojów, może zgłębiali tajemnicę liter i liczb, może zadawali sobie zagadki zawierające mądrość głęboko ukrytą pod błahą treścią. Zaufani Kajafy zatrzymali się, cofnęli i śledzili z ukrycia apostołów, i zastanawiali się, jakim zagadnąć ich pytaniem, które by zapoczątkowało wymianę zdań o czystości i nieczystości, o myciu rąk i sposobie ich mycia, gdy wtem zdarzyło się coś, co szczęśliwym dla wysłanników zbiegiem okoliczności ułatwiło im wszczęcie dyskusji – często zdarzają się w życiu wypadki, które wyprzedzają nasze pragnienia – i natychmiast uczyniło ją niezbędną, mało tego – wręcz nie cierpiącą zwłoki. Otóż kilku spośród apostołów, odczuwając głód, wyjęło z zanadza chleb, rozłamało go i poczęło go spożywać. Wysłannicy, niepomini powagi, która wymagała od nich wykonywania ruchów powolnych, stosownych do ich wieku i urzędu, gwałtownie runęli przed siebie, jak osły podcięte powrozem, a krzyk wyprzedzał ich pędzące kroki, a ogniste oburzenie wyprzedzało ich krzyk.

– Czy wypada, aby prawy syn Izraela spożywał nie umyтыми rękami święty chleb Pana? – krzyczał jeden z wysłanników.

A drugi, wspomagając jego gniew swoim gniewem, zawołał:

– Dlaczego uczniowie Jezusy ben Josef wykraczają przeciw nauce Halachy i nie myją rąk przed jedzeniem?!

Trzeci zaś, przemawiając w imieniu Pana, zagrział:

– Elohim umocnił zapalczliwość swojej twarzy przeciw synom, którzy Go drażnią! Jezus stanął w drzwiach domu.

Po licznej rzeszy, która w oka mgnieniu zgromadziła się przed domem Kefasa, przeszedł dreszcz zgorzienia. Wysłannicy, czując za sobą poparcie tłumu wyrażone za pomocą wzmagającego się szmeru, przechodzącego w sarkający zgiełk, coraz głośniejszy wyrażali swoje oburzenie, kierując je teraz już nie przeciw apostołom, ale przeciw Jezusowi, który swoim zjawieniem się i wyniosłością swojej postawy – wydawała im się ona drażniąca i zaczepna mimo niewątpliwej łagodności, malującej się na Jego twarzy – brał na siebie pełną odpowiedzialność za naganne zachowanie się uczniów i wskutek tego stawał się bezpośrednim celem oskarżycielskich zarzutów wysłanników arcykapłana. Ujrzeni w Jezusie sprawczą siłę, która ożywia apostołów i porusza ich działaniem, jak ręka obracająca żarna; zapomniawszy więc o uczniach, skierowali przeciw Niemu ostrze skarg i oskarżeń. Ich głosy stawały się coraz bardziej natarczywe. Ich spojrzenia utkwione w Jezusie świadczyły, że nie apostołów, lecz Rabbiego obarczają odpowiedzialnością za pogwałcenie przepisów Halachy, i tylko Jego odpowiedź jak bezcenną zdobycz przyniosą w darze arcykapłanowi.

Halacha, nauka objaśniająca od wieków Prawo i drogą ustnej tradycji przekazywana przez rabbich ich uczniom, a przez nich znowu ich uczniom i uczniom ich uczniów, miała pouczać o prawdach Pisma Świętego, naświetlać je, tłumaczyć, potwierdzać, wydobywać na wierzch ich ukryte myśli, rozwijać je, określać ich wartość, trudną niezrozumiałość czynić zrozumiałością, dwuznaczność jednoznacznością, niewyraźność wyrażnością, zagadkowość jasnością. Zasięgiem więc swoich objaśnień Halacha obejmowała wszystkie dziedziny religijnego życia ludu i stanowiła według powszechnego twierdzenia uczonych część Objawienia – jej powaga była równa powadze Pisma Świętego – a z biegiem wieków poczęła rzucać głęboki i gęsty cień na Słowo Pańskie, na jego pierwotny sens; często zamiast go tłumaczyć – zaciemniała, zamiast rozwiązywać – gmatwała; z czasem w zbiorowej świadomości Izraela zatarła się granica między tekstem a komentarzem, między słowem Elohim a objaśniającym słowem mędrców, między Świętym Objawieniem a wykładem ludzkim, roszcującym sobie prawo do miana wypowiedzi objawionej. Było to ogromne morze objaśnień, powstających przez wieki, wśród burzliwych dyskusji między uczonymi w Piśmie Świętym, olbrzymie rozlewisko myśli, żywioł

przelewających się praw, ustaw, przykazań, nakazów, zakazów, napomnień, poleceń, nauk niezbędnych do życia religijnego, świątłych i mądrych, głębokich i przewidujących, to znów ciasnych i drobiazgowych, przesadnie przeładowanych aż do śmieszności bezduszną sztywnością, niekiedy nawet wykrętnych, w zależności od umysłowych horyzontów tych czy owych uczonych, wśród których byli zarówno ludzie obdarzeni łaską Pańskiego natchnienia, jak i ograniczeni i ciemni kazuiści, nie odróżniający ognia wiary Bożej od martwego prochu litery. Cokolwiek jednak powiemy o nauce Halachy, nie powinniśmy całkowicie w czambuł potępiać jej wyznawców i wielbicieli, bo działali wprawdzie błędnie, ale w dobrej wierze. Jeszurun był maleńką wysepką, otoczoną bezbrzeżnym oceanem pogaństwa i zagrożoną jego zalewem – o tych faktach nie wolno nam zapominać, ilekroć rozmyślamy nad ówczesnym losem tego ludu – był nieustannie oblegany przez siły uprawiające pogańskie kulty, obrażające Pana. Uczni, każdy na swój sposób, mądry i naiwny, umiarkowany i przesadny, świątły i ciemny, głęboki i bezduszny, starali się chronić wybraństwo Izraela przed skażeniem w zetknięciu ze światem pogańskim i w tym celu posłużyli się Halachą jako najskuteczniejszym środkiem chroniącym naród przed zarazą psich i krokodylich bogów, karmionych ofiarami ludzkimi, przed sakralnym nierządem wyuzdanych kapłanek Astarte, przed nicością Baal Zebuba.

Halacha, omawiająca szeroko wszystkie dziedziny religijnego życia, zajmowała się również szczegółowo zagadnieniami czystości i obmywań obrzędowych, a między innymi obmywaniem rąk przed jedzeniem, podczas jedzenia – jeżeli uczta składała się z kilku dań, co się zdarzało w domach bogaczy lub w uroczyste święta – i po jedzeniu.

Niektórzy twierdzą, że król Salomon pierwszy wprowadził ten zwyczaj – Pismo Święte o nim nie wspomina – który z czasem przeobraził się w nakaz, a ponieważ Elohim nie wypowiedział się za nakazem ani nie wypowiedział się przeciw niemu, mycie rąk weszło raz na zawsze do prawodawstwa rytualnego. Byłby to niewątpliwie piękny wyraz hołdu dla plonów ziemi, tych dzieł Pańskich, gdyby nie stał się on martwym wypełnianiem obowiązków: niektórzy faryzeusze utożsamiali czystość rąk z czystością ludzkiego sumienia i myjąc ręce byli głęboko przekonani, że oczyszczają równocześnie swoje dusze. Ręce obmywano za każdym razem dwukrotnie; nie wolno ich było w wodzie zanurzać albo jedną ręką czerpać wody i wylewać ją na drugą rękę, bo w pierwszym wypadku brudne ręce, zanurzone w wodzie, zanieczyszczały wodę, a w wodzie zanieczyszczonej nie wolno było oczyszczać rąk, w drugim zaś wypadku łatwo można było brudną ręką zanieczyścić czystą. Aby uniknąć tych wszystkich zgubnych zagrożeń i pułapek – każda z nich

groziła karą Bożą – należało dzban z wodą umieścić między kolanami, nachylić go nieco ku dołowi i myć dłonie pod wolno płynącym strumieniem albo też posłużyć się pomocą drugiego człowieka, który trzymając dzban z wodą, wylewał ją na ręce osoby oczyszczającej dłonie. I do tego potrzebna była bystra ostrożność i sprawność. Ręce należało myć aż po łokieć. Ponieważ woda spływająca z łokcia na przedramię, a z przedramienia na dłoń zanieczyszczała ją, mąż izraelski, chcąc zapobiec ściekaniu wody z ramienia na dłoń, musiał sprawnym ruchem wznieść dłonie do góry z łokciem pochylonym ku dołowi i czekać, aż obeschną. Wystarczyło bowiem jedno drobne odstępstwo od kolejności szybko po sobie następujących ruchów, jedno błaha, bezmyślne roztrągnięcie, a oczyszczenie dłoni, które miało być błogosławieństwem, hołdem złożonym Panu za łaskawą pożywność chleba, mogło stać się – niechaj Elohim uchowa od takiego nieszczęścia każdego bogobojnego syna Izraela! – obrazą Pana Zastępów, zajętego, według niezłomnego przekonania dumnego Jeszuruna, nieustannym i pilnym śledzeniem jego rytualnych sprawności, związanych z myciem rąk.

– Dlaczego nie myją rąk przed jedzeniem? – pytanie to złowroźnie zawisło nad Jezusem.

I oto stała się rzecz nieoczekiwana. Jezus – stał w progu na tle leniwie szeleszczącej trzciny zasłony, mając po bokach przerażonych apostołów, przed sobą twarze faryzejskich wysłanników, nabożnie rozdrażnionych, za którymi stał tłum, śledzący z nieubłaganą przenikliwością przebieg zdarzenia – ani nie potępił apostołów za spożywanie darów Bożych nie umyтыми rękami, ani nie nakazał im spożywać chleba rękami umyтыми, ale ostrze swojego oskarżenia skierował przeciw moralności tych faryzeuszów, którzy w bezdusznym wypełnianiu przepisów Halachy upatrują sens wiary w Niewidzialnego i używają ich często dla własnej korzyści ziemskiej, i w tym celu z niektórych nakazów Halachy kują broń – jeżeli widzą w tym dla siebie korzyść – nawet przeciw swoim najbliższym.

Gniew Jezusa wzrastał się. Mąż miotał zapalczliwość swoją na głowy faryzeuszów, którzy za pomocą wykrętów wstrząsają gmachem Prawa i ze Słowa Bożego czynią sługę swoich zakłamanych i obłudnych zamiarów. Była to zapalczliwość przeciw pustce udającej pełnię, przeciw wargom skażonym ugornymi słowami, przeciw sercom oziębłym i nieczułym, przeciw nakazom wypełnianym dla oczu ludzkich, na pokaz i poklask! Czy Rabbi potępił wszystkie przepisy Halachy? O tym śmiemy wątpić. W nauce Halachy znajdowało się wiele myśli, którym Jezus mógł przyklasnąć, a wśród nich tak podniosłe, jakby żywcem wyjęte z Jego świętych nauk: „Bądź zawsze wśród ciemionych, nigdy wśród ciemzców”, „Kto publicznie daje biednym jałmużnę, ten jest grzesznikiem”, „Praca jest wyższa od

próżniaczej pobożności”, „Nie wolno człowiekowi zasiąść do jadła, dopóki nie nakarmi swoich bydła”, „Gościnność jest jednym z najważniejszych objawów czci oddawanej Bogu”, „Kto dźwiga jarzmo wiary, jest zaprawdę człowiekiem wolnym, natomiast ten, kto jarzmo wiary z siebie zrzuca, staje się niewolnikiem swojego otoczenia i możnych tej ziemi”. Przeciw tym naukom Jezus na pewno nie podnosił głosu. Ale pewne jest, że ganił, piętnował i odrzucał te wszystkie przepisy, które opacznie, niewłaściwie, błędnie objaśniały Słowo Pańskie, skrzywiały i zniekształcały przykazania Jahwe, zabijały ich ducha i zamieniały go w przedmiot pustej i próżnej adoracji.

– Dlaczego zaniedbujecie i przekraczacie przykazania Boże przez przywiązanie do Halachy? – pustoszący głos Jezusa obalał na ziemię splugawione serca człowiecze. – O, tak! Nie zważacie na Prawo Boże, ale pilnie przestrzegacie nakazów Halachy! Ręce myjcie! Kielichy czyście! Dzbany czyście! Misy spiżowe! Łóżka! Ale Prawo Pańskie pomijacie, o, obłudnicy, o których słusznie mówił prorok Jesaja: „Lud ten wielbi mnie swoimi ustami i czci mnie swoimi wargami, ale serca jego są dalekie ode mnie! Cześć, którą mi oddają, jest tylko zwyczajem narzuconym przez ludzki rozkaz i naukę!”

To powiedziawszy, Jezus zwrócił się teraz do rzeszy, a zwracając się do niej, przemówił słowem oszczędnym i trudnym do przeniknięcia, a tę oszczędność w wyrażaniu myśli, obwarowaną trudnymi domyślnikami, stosował zawsze wówczas, gdy mówił o sprawach daleko wybiegających poza przedmiot sporu.

– Posłuchajcie mnie wszyscy i chciejcie zrozumieć! Nic, co z zewnątrz wchodzi do człowieka, nie może go uczynić nieczystym; nieczystym czyni go to, co pochodzi z samego człowieka! Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!

Po tych słowach odwrócił się, odchylił trzciniową zasłonę i wszedł do wnętrza domu.

Apostołowie nieśmiało wsunęli się do izby; na podwiniętych nogach usiedli na ziemi dokoła Jezusa i czekali na Jego objaśniające słowo. Obawiali się, że zdarzenie, którego byli mimowolnymi sprawcami, spotęguje napastliwość i nienawiść faryzeuszów przeciw Mężowi. Oto, co nawarzyli, spożywając chleb nie umyтыми rękami! Jezus powiódł dłonią po policzkach i brodzie. Utkwił w Dwunastu spojrzenie czarnych oczu, które powoli traciły swoją czern, łagodniały i nagle ku radości uczniów poczuły się rozwidniać, z początku rozwidnianiem ledwo widocznym, zamglonym, jakby wykluwającym się na dalekim widnokręgu, potem coraz przejrzystszym, aż wreszcie światło Jego oczu stało się jasne, pogodne i bezobłoczne czystym błękitem błękitniejszym od nieba.

Kefas rzekł ze spokojnym łękiem:

– Czy wiesz, Rabbi, że faryzeusze usłyszawszy Twoje słowa zgorszyli się? A na to Jezus odpowiada c rzek ł:

– Nie przykładajcie wagi do ich zgorszenia. Abraham wiedział i poznał według tego, co mówi Pismo Święte, że z niego wyjdzie roślina sprawiedliwości. W Psalmach króla Salomona napisane jest, że rajem Pana, drzewami życia są Jego pobożni. Ich rośliny zapuściły głęboko korzenie w ziemię wieczności i nigdy nie będą wytępione. Ale ci, którzy zgorszyli się moimi słowami, nie są rośliną Pana, a każda roślina, której nie zasadził Ojciec Niebieski, będzie wyrwana z korzeniami. Zostawcie ich. Ślepi są przewodnikami ślepych, a jeżeli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną.

Kefas, widząc w oczach apostołów to samo zdziwienie, które było i jego udziałem – podnosili wysoko brwi, wykonywali ledwo widoczne ruchy głowami, niby pytające, niby potakujące – stropiony niewiedzą własną i współtowarzyszy, zwrócił się do Jezusa i rzekł niepewnym głosem:

– Wyjaśnij nam, Rabbi, tę przypowieść.

A na to Jezus, odpowiadając z lekkim wyrzutem w głosie, spytał ich:

– Więc i wy także nie macie jeszcze zrozumienia? Czy nie rozumiecie, że pożywienie, które z zewnątrz wchodzi do człowieka, nie może zanieczyszczać jego serca? Bo pożywienie nie wchodzi do serca, lecz do brzucha, a potem wydalane jest na zewnątrz. Natomiast to, co pochodzi z serca człowieka, czyni go albo czystym, albo brudnym. Bo z serca człowieczego wychodzą uczucia błogosławione, ale wychodzą również uczucia niskie i podłe. Z serca człowieczego biorą początek – tu wymienił czternaście grzechów – złe myśli, nieczystość, złodziejstwo, mord, cudzołóstwo, fałszywe świadectwo, chciwość, przewrotność, podstęp, lubieżność, zazdrość, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło ma swe źródło nie w brzuchach synów człowieczych, ale w ich sercach, i czyni ich nieczystymi. Taka jest nieczystość serc człowieczych.

Apostołowie uważnie słuchali, bo pragnęli być drzewami zasadzonymi przez Pana.

Wrzenie

Wysłannicy Kajafy ruszyli w drogę powrotną, wioząc z sobą cenne wiadomości, świadczące o nieprawomyślnym poglądzie Jezusa na rytualne obmywanie rąk, i radzi byli z wyników śledztwa, które dzięki ich sprawności wzbogaciło się o jeszcze jeden bezcenny zarzut, pozwalający oskarżycielom, już bez obawy o popełnienie lekkomyślnego błędu, określić działanie galilejskiego Męża jako sprzeczne z nauką

mędrców. Czy działanie to było odstępstwem? Czy podważało podstawowe wyznanie wiary Izraela? Na te pytania wysłannicy nie umieli udzielić sobie odpowiedzi – sprawy te mógł jedynie rozstrzygnąć arcykapłan wspólnie z Sanhedrynem – natomiast z doświadczenia praorców wiedzieli, że ktokolwiek wykrusza choć jeden kamień w obronny murze otaczającym winnicę Jeszuruna, winien jest przykładnego napomnienia, a może nawet surowego napiętnowania i kary. Pogwałcenie święta Szabatu i nieprzestrzeganie rytualnego obmywania rąk przed spożywaniem darów Bożych należały do przestępstw najcięższych, dlatego ich serca były strapione i mimo to rzewnie natchnione, bo swoim działaniem i roztropnością uczestniczyli w ujawnianiu wykroczeń przeciw Prawu Pańskiemu. Piękna i wzniosła jest walka w obronie przykazań ustanowionych przez Elohim, który uczynił z nich pożywny pokarm dla narodu, soczysty, wiecznie dojrzwały owoc nieprzemijającej mądrości.

Strapieni smutnym świadectwem Jezusowych przewinień, zgnębieni i posępni, radośnie zdążali na południe i krzykiem popędzali znużone osły, bo chcieli jak najszybciej stanąć przed arcykapłanem i zdać mu sprawę z wyników swoich dochodzeń.

A tymczasem w Kfar Nahum od kilku dni wrzało. Wkrótce wrzenie przeniosło się do osiedli położonych dokoła Jam Kinereth, potem do miasteczek położonych w głębi Galilei, dotarło do granic Syrofenicji i tu zatrzymało się u progu pogańskiego kraju według praw przynależnych pobożnemu wrzeniu, i wciąż wrząc, kipiąc, płonąc, wracało gorejącą, gniewną falą w głąb Galilei, coraz gorętsze, gwałtowniejsze, niepohamowane w podnieceniu i nieumiarkowaniu. W synagogach, w warsztatach, u bram miejskich w porę wieczornego chłodu, w domach i na polach, w winnicach i sadach, podczas pracy i wypoczynku rozprawiano o rękach umytych i nie umytych, o rękach czystych i brudnych, o potrawach, spożywanych dłońmi umyтыми i nie umyтыми, o brudzie ciała i brudzie serca, o czystości serca i czystości ciała, o związkach między czystością dzbanów, kielichów i miednic, a czystością sumienia, rozprawiano namiętnie, żarliwie, i ta namiętność przechodziła w zaślepienie i upór, a żarliwość przeobrażała się w zuchwałość, a porywczność w zawziętość, a każdy z rozprawiających tłumaczył sobie słowa Jezusa według swojego rozumu, więc krzyżowały się poglądy, zdania, przypuszczenia, domysły; mniemania przeciwstawiły się mniemaniom, zapatrywania zapatrywaniom, sądy sądom, a w zapale powszechnego sporu podniosły się nawet głosy twierdzące, że nakaz umywania rąk przed spożywaniem potraw nie jest żadnym nakazem, przy czym powoływano się na jednego z uczonych, który powiedział: „Mycie rąk przed jedzeniem zależy od wolnej woli synów Izraela, natomiast ich obowiązkiem jest

dokładne mycie rąk po spożyciu potraw”. Jeden z wiekowych starców, siedząc wieczorem w bramie miejskiej, tłumaczył słuchaczom, że zwyczaj umywania rąk przed spożywaniem posiłków ustanowiony został dopiero przed niespełna stu laty, a wprawdzie on, starzec stojący nad grobem, nie ma zamiaru odstępować od przepisów ustanowionych nawet wczoraj i zatwierdzonych powagą mędrców, mimo to w żadnym razie nie należy uważać zaniedbania nakazu o umywaniu rąk za karygodne wykroczenie przeciw Prawu Mojżeszowemu, gdyż nic ono nie mówi o umywaniu rąk, a przepisy o ich umywaniu ustanowiła dopiero Halacha, a wprawdzie Halacha jest święta i nieomylna, ale Prawo Mojżeszowe jest świętsze i nieomylniejsze, jakże więc to, co jest święte i nieomylnie, może być ważniejsze od tego, co jest świętsze i nieomylniejsze? Oświadczenie to niezwykle ostrożne w niczym nie uwłaczało powadze Halachy, mimo to stawiało ją poniżej Prawa Mojżeszowego. Wypowiedź powszechnie poważanego starca, stojącego nad grobem, obiegła następnego dnia całe miasto i dołała oliwy do ognia. Podczas gdy faryzeusze w ogromnej większości twierdzili, że ważności przepisu nie wolno mierzyć czasem jego istnienia – czas ludzki jest krótki lub długi, natomiast mądrość uczonych w Piśmie Świętym zna tylko miarę czasu Pańskiego – kilku mniej gorliwych i pobudliwych mężów zgodziło się wprawdzie z tym twierdzeniem, ale równocześnie wyraziło wątpliwość o bezwzględnej prawomocności tego przepisu, na dowód czego powołali się na Braci z Owczarni w Qumran, ludzi ze wszech miar godnych szacunku i czci, którzy uważają faryzejskie przepisy o czystości za sprzeczne z pojęciem prawdziwego oczyszczenia i dlatego stworzyli własne prawodawstwo o czystości rytualnej, o wiele surowsze od przepisów Halachy. – Bracia Milczący – wołał pobudliwie jeden z mniej pobudliwych mężów, uśmiechając się przy tym złośliwie – myślą o was to samo, co wy myślicie o Rabbim z Nazarethu, a jeżeli oni was potępiają, a wy potępiacie Jezusę ben Josef, a Jezus ben Josef was potępia, skąd mamy pewność, że wasze stanowisko jest naprawdę słuszne?! – W synagodze, w której toczyła się ta pouczająca dysputa, wybuchło istne piekło. Trudno było zrozumieć poszczególne słowa i zdania; górował nad nimi sprzeciw wydobywający się ze schrypniętych gardeł, krzyk obrażonej dumy, nie mogącej ścierpieć zniewagi, wyrządzonej błogosławionemu trudowi mędrców borykających się z objaśnieniami Słowa Bożego, a teraz obrzucanych szyderczymi obelgami przez kilku niedowarzonych mężów, ośmielających się zestawiać wypowiedzi Jezusy ben Josef i puste gadulstwo Braci z Qumran z natchnioną myślą faryzejskich uczonych. Wprawdzie nikt spośród faryzeuszów nie ośmielił się krzyknąć: – Kto występuje przeciw prawowitym faryzeuszom, występuje przeciw Elohim! – ale nieposkromiona wzniosłość ich oburzenia pozwalała się domyślać, że są głęboko

przekonani o słuszności swojego stanowiska i każdy inny sąd uważają za cios zadany Prawu Bożemu.

Jezus i Jego apostołowie nie uczestniczyli w tych sporach toczących się w synagogach, w warsztatach, w bramach miejskich, w domach i na polach, w winnicach i sadach, gdyż opuścili Galileę i udali się do Syrofenicji, do krainy Tyr, zamieszkałej przez pogan.

Ziemia psich bogów

Ziemia, do której Jezus i apostołowie przybyli, była ziemią obcą, pogańską. Była to kraina plugawej Asztoret, wyobrażonej na podobieństwo egipskiej Hator z rogami na głowie, okrutnego Melkarta – nikt z synów Izraela nie wymieniał ich imion, a gdy mówił o nich, używał na ich określenie słowa boszet, co znaczy ohyda – nieczystego Adonisa i niezliczonej ilości Baalów i ich różnych odmian, jak boga północy – Baala Safon, boga nieba – Baala Szamim i boga gór Libanu – Baala Lebanon. W owych czasach religia Fenicjan – rzekomych potomków Kanaańczyków, po zwycięstwie Pompejusza Wielkiego i wcieleniu Tyru i Sydonu do Syrii nazwanych przez Rzymian Syrofenicjanami – była połączeniem wierzeń egipskich, babilońskich, asyryjskich i helleńskich, które stopione z wierzeniami kanaańskimi tworzyły chaotyczną całość, mieszaninę rozmaitych kultów, liturgii, zabobonów i zwyczajów, poczynawszy od czci oddawanej świętym kamieniom, drzewom, kamiennym słupom w kształcie fallusów, poświęconym bogini płodności Aszerze, a skończywszy na sakralnej prostytutce i krwawych ofiarach, potajemnie składanych z ludzi na ołtarzach świątyni fenickich w Tyrze, Sydonie i na wybrzeżu północnej Afryki. Apostołowie, idąc przez tę krainę wszeteczności, przerażeni byli widokiem domów pogańskich, w których fundamentach, w szczelnie zamkniętych amforach Kanaańczycy zwyczajem praocjów zamuroвывali zwłoki zabitych przez siebie niemowląt, wierząc, że ich kości są poręką szczęścia, bogactwa i zdrowia domowników. Wędrowali przez krainę psów. Aby zrozumieć ten drażliwy zwrot, którego użył później Jezus na określenie syrofenickich pogan, musimy uprzytomnić sobie, co synowie Izraela mieli na myśli, gdy nazywali pogan psami. Otóż pies w owych czasach był wprawdzie zwierzęciem domowym – nie zgadzamy się ze zdaniem niektórych uczonych, jakoby w domach Izraela nie było psów, a o słuszności naszego twierdzenia świadczy sentencja wypowiedziana przez jednego z ówczesnych mędrców: „Nie należy trzymać w domu złego psa” – z drugiej strony jednak minęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy powiedzieli, że potomkowie Abrahama byli do psów przywiązani i okazywali im szczególną życzliwość.

Przyczyną tego zjawiska było nadmierne rozmnożenie się tych zwierząt, które dzikie, bezpańskie, utyłane błotem, kałem, wytarzone w gnojówkach, włóczyły się stadami po ulicach miast i wsi, po drogach i polach, rozgrzebywały stare groby, żywiły się jak szakale padliną, odchodami i wydzielinami ludzkimi i zwierzęcymi, a nierzadko rozwścieczone głodem, pragnieniem i upałem rzucały się nawet na ludzi. Z tych powodów lud Izraela upatrywał w dzikim i bezpańskim psie, podobnie jak w szakalu i wieprzu, symbol nieczystości i ohydy moralnej, a pobożni Pańscy nazywali psem każdego bezbożnika, nieuka, nie obeznanego z Pismem Świętym, i pogan, zwłaszcza tych, którzy uprawiali prostytucję sakralną, parzyli się w świątyniach Asztoret, kobiety oddające się mężczyznom wśród orgiastycznych dźwięków fletów, i mężczyzn, czyniących nierząd z mężczyznami ku chwale bogini i dla uzyskania jej łask. Mężczyźni ci, spełniając sakralny obowiązek wobec nieposkromionego w swej żądzy bóstwa płodności, często dla spotęgowania zwierzęcej żywiołowości dokonywanego aktu nakładali na twarze maski wyobrażające psie głowy, wskutek czego szczególnie do nich przylgnęła nazwa psów, a zapłatę, którą otrzymywali od fenickich kapłanów za udział w tym obrzędzie, nazywano po prostu psią zapłatą. Pieniądzy pochodzących z tego nierządu nie wolno było wrzucać do skarbon, umieszczonych na dziedzińcach w Świątyni Pańskiej w Jerozolimie, według świętego nakazu Mojżesza, który w Księdze Dewarim tak napisał własną ręką: „Nie zanieśiesz do domu twojego Boga Jahwe zarobku nierządniczy oraz psiej zapłaty”. Człowiek żyje tym, w co wierzy. Wierząc w psich bogów, żyje psim życiem.

Taka była kraina psów, w której w owych czasach wciąż jeszcze trwały orgiastyczne kulty ku czci Asztoret, Baala i Adonisa, i dlatego apostołowie nie rozumieli, po co ich Jezus przywiódł do ziemi obcej, pogańskiej, zalatującej fetorem padliny – bo czym innym, jeżeli nie padliną, była wiara w boszet, w wielką ohydę, a czym innym, jeżeli nie psami, byli poganie, wyznawcy tej ohydy? – mimo to zdążyli posłusznie za Rabbim, jak zawsze, tak i tym razem, całkowicie poddani Jego woli.

Wieczorem przybyli do zajazdu; zmęczeni uciążliwą drogą ułożyli się do snu pod arkadami dziedzińca i szybko usnęli, i tylko Kefas czuwał i wpatrzony w wygwieżdżone niebo, przez które płynęła nieruchoma rzeka mlecznej drogi, pograżył się w rozmyśleniach:

„Po co Jezua ben Josef wyprowadził nas z Ziemi Świętej i każe nam iść przez ziemię nieczyste, i dokąd idziemy, i jaki jest cel naszej drogi, czy idziemy do Tyru, czy do Sydonu, i kiedy powrócimy nad brzegi Jam Kinereth, najpiękniejszych wód świata? Dlaczego Rabbi opuścił Galileę? Niewątpliwie ma ku temu ważne

przyczyny, a skoro je ma, jakie są przyczyny owych przyczyn, dla których pospiesznie udał się do krainy pogan?”

Ponieważ od zachodu wiał wilgotny wiatr, a na ziemię poczęła spadać gęsta rosa, Kefas szczelnie owinał się płaszczem i tak dalej rozmyślał:

„Jeżeli Jezua ben Josef pospiesznie udał się do krainy pogan, na pewno postanowił się ukryć, a jeżeli postanowił się ukryć, to przed kim? Najprawdopodobniej przed wysłannikami Kajafy i faryzeuszami, którzy okazują Mu swoją wrogość. Ucieczka nie jest wstydem. Często się zdarzało, że sam Elohim rozkazywał umiłowanym i wybranym przez siebie patriarchom, prorokom i królom uciekać przed czyhającymi na nich wrogami i niekiedy przez archaniołów lub przez podstawionych przez siebie ludzi, a w szczególnie ważnych wypadkach nawet osobiście, kierował krokami pierzchających mężów i przyspieszał je, i przynaglał do większego pośpiechu, a w okolicznościach nader doniosłych, gdy ucieczka męża związana była z losami Obietnicy, sam siebie mianował Ucieczką i biegnąc za uciekającym, wyprzedzał go i wskazywał mu bezpieczne schronienie przed prześladowcą. Tak było z Jaakowem, gdy uciekał przed Esawem, i z Mojżeszem, gdy uciekał z Micraim, i z Dawidem, gdy uciekał przed Saulem, i z prorokiem Elijahu, gdy uciekał przed królową Jezabel, i z maleńkim Jezua, gdy w ramionach Miriam i pod opieką Josefa uciekał przed królem Herodem, więc z równym prawdopodobieństwem mogło się zdarzyć i teraz z dojrzałym Mężem, z Jezua ben Josef, że ucieka przed faryzeuszami, a Elohim biegnie przed Nim i za Nim, a jeżeli tak jest rzeczywiście, to Pan znajduje się teraz w najbliższym sąsiedztwie apostołów” – tak rozmyślając, drżał na całym ciele i jeszcze szczelniej owijał się płaszczem, albowiem chłód trwogi na równi z chłodem rosy przeszywał jego ciało. Odmówił kilka psalmów – między innymi: „Kto się w opiekę podał Najwyższemu i przebywa w cieniu Wszechmocnego”, psalm niezawodny we wszystkim niebezpieczeństwie i trwodze – a gdy spokój spłynął na niego jak balsam z Galaadu, nagle olśniła go myśl, że przebywa teraz w tej samej krainie, w której działali wśród ludu pogańskiego dwaj prorocy: Elijahu i Elisza! Przecież znajduje się teraz w ojczyźnie owej wdowy pogańskiej z Sarefat, którą Elijahu cudownie nakarmił w porę głodu, a potem wzbudził z martwych jej syna i dzięki tym cudom stało się, że ta kobieta, wyznająca wiarę w nieczystą Asztoret i psich bogów, uwierzyła całym sercem w Jahwe, Boga Izraela; Kefas przypomniał sobie, że ziemia, na której teraz leży, była ziemią Naama, wodza wojsk syryjskich, trędowatego poganina, również wyznawcy psich bogów, tarzających się w odchodach własnej ohydy, a mimo to mądry prorok Elisza uleczył go z trądu, a oczyszczony wódz syryjski uwierzył w Jahwe, w Boga Jedyngo i Niewidzialnego; wreszcie spłynęło na Kefasa trzecie

przypomnienie, przypomnienie smutnej chwili w nazarethańskiej synagodze, gdy Rabbi opowiadał o tych zdarzeniach wzburzonym synom Izraela, a ci zapalali przeciw Niemu gniewem, bo ośmielił się w swej mowie pouczającej zrównać pogan z Jeszurunem. Przypomniawszy sobie wszystkie te zdarzenia, powiązał je z obecnym pobytem Jezusa i apostołów w ojczyźnie pogańskiej wdowy z Sarefat i pogańskiego wodza Naama i już, już poczynał nieśmiało i trafnie przenikać w głąb Obietnicy, gdy niespodziewane znużenie owładnęło jego ciałem i Symeon ben Jona spokojnie usnął, okutany płaszczem wilgotnym od rosy, którą Pan w wielkiej obfитоści zsyłał w letnie noce na ziemię.

Piały koguty. Jezus i apostołowie odmawiali właśnie modlitwę, gdy na dziedziniec zajazdu weszło kilku chłopów kanaańskich i syryjskich kupców z Damaszku, handlujących zbożem – żniwa jęczmienne przypadają zazwyczaj na okres święta Pesach – i usiadło na ziemi. Rozpoczął się targ o cenę jęczmienia. Syryjczycy niby odstępowali od kupna, niby się godzili – dokładali po kilka drachm i natychmiast pod błahym pozorem obniżali ustaloną już cenę, a cały ten ceremoniał odbywał się ściśle według zasad, które obowiązywały kupujących i sprzedających, to znaczy wśród wzajemnych żarliwych i szybkich zapewnień o poniesionych stratach, szkodach i doznanym krzywdach. Wreszcie dobili targu. Syryjczycy zadowoleni z dokonanego kupna rozglądali się dokoła, jak przystało na doświadczonych kupców, w poszukiwaniu nowych, ponętnych znajomości, bo nigdy przecież nie wiadomo, kiedy i gdzie może się nadarzyć sposobność do zawarcia korzystnej umowy. Wzrok swój zatrzymali na modlących się synach Izraela. Natychmiast, dzięki niezwykle wyostrojonej spostrzegawczości, domyślili się, że ludzie ci nie parają się handlem. Prawdopodobnie zwróciliby głowy w przeciwnym kierunku, ku bramie zajazdu, gdzie na słomianych matach siedziała gromadka podróżnych, mówiących greckim dialektem mieszkańców Smyrny, gdyby nie przykuł ich uwagi wyraz twarzy modlącego się wysokiego Męża. Jeden z Syryjczyków rozpoznał w nim Rabbiego Jeszue ben Josef. Widział Go przed rokiem w Kfar Nahum i słyszał o Jego cudach. Nachyliwszy się ku towarzyszom – zerkał przy tym kątem oka na Jezusa – opowiedział im o Jego cudownych uzdrowieniach i dobroci; niestety ku niezadowoleniu słuchających niewiele mógł im powiedzieć o Jego nauce, o której wiedział tylko tyle, że wzbudza sprzeciw pewnych faryzeuszów i uczonych izraelskich. Uważnie słuchali opowiadania z należnym uznaniem dla cudów Jezuy ben Josef, po czym, jak na dany znak, równocześnie podnieśli się z ziemi i poczęli wkoło szeptem rozpowiadać znajdującym się na dziedzińcu ludziom o swoim odkryciu, a chcąc dodać sobie ważności i powagi, każdy z osobna z prostodusznym i wybujałym polotem, niby mimochodem, dorzucał, że był naocznym świadkiem

cudownych uzdrowień Rabbiego, wskutek czego wszyscy jednocześnie i natychmiast niezmiernie urosli – było to przecież celem ich samochwalczej przesady – w oczach słuchaczy. I zanim Jezus i apostołowie odmówili modlitwę, zapłacili za nocleg i wyszli z zajazdu na drogę prowadzącą przez wieś, wszyscy już dokoła wiedzieli, podróżni i mieszkańcy wsi, że przebywa wśród nich Jezua ben Josef, cudowny uzdrowiciel z Galilei, który leczy trędowatych, wzrok przywraca ślepcom, słuch i mowę głuchoniemym i szatanów wypędza z opętanych. We wsi znalazło się kilku wędrownych rzemieślników z Seforis, którzy potwierdzili te zdumiewające wiadomości i dorzucili do nich własne, zasłyszane w rodzinnym mieście, sąsiadującym, jak o tym wiemy, z Nazareth, a mianowicie, że niektórzy Galilejczycy nazywają Rabbiego synem Dawida... (Kim jest ów Dawid? Czy żyje jeszcze? Czy umarł? – pytali nieśmiało chłopci kanaańscy) – prorokiem... (To pojęcie było dla nich bardziej jasne, bo posiadali własnych wieszczków), sługą Jahwe... (Kim jest sługa Jahwe? – pytali z trwogą, bo znali ze słyszenia Jahwe, potężnego Baala synów Izraela, przebywającego w olbrzymiej Świątyni w Jerozolimie, Boga niewidzialnego i mimo to wszechmocnego.)

Chłopi, stojąc w milczeniu po obu stronach drogi, gapili się w zabobonnym, bezmyślnym, tępych podziwie na idącego środkiem wsi Jezusa i na postępujących za Nim Jego uczniów, gdy nagle zza węgła jednej z lepianek wybiegła niewiasta, nieszczęśliwa matka dziecka opętanego przez szatana, i rozkrzyżowawszy ręce krzyknęła:

– Zmiłuj się nade mną, Panie, synu Dawida!

Wprawdzie jak wszyscy mieszkańcy wsi nie wiedziała, kim jest Dawid, ale ponieważ słyszała, że tak nazywają Jezusę ben Josef, domyśliła się, że jest to prawdopodobnie miano zaszczytne i czcigodne, Stwierdzające Jego związek z mocami najwyższymi, a pragnąc jak każdy człowiek biedny i łaknący wkupić się w łaskę potężnego pana przesadną, schlebającą pochwałą, posłużyła się tym gładkim, ujmującym i przymilnym tytułem, nieświadoma jego właściwego znaczenia.

– Synu Dawida! – krzyczała, biegnąc za Jezusem i potrząsając błagalnie rękami – zmiłuj się nade mną! Szatan okrutnie męczy moją córkę!

Jezus, jakby nie słysząc jej wołania, zmierzał szybko przed siebie, a za Nim, przyspieszywszy kroków, podążali apostołowie. Gdy żebracze skomlenie pogańskiej niewiasty stawało się coraz bardziej natarczywe, apostołowie, mając w pamięci obrzydliwość psiej krainy i żywiąc do jej mieszkańców odrazę zmieszaną z pogardą, rzekli do Jezusa:

– Odpraw ją, Rabbi, bo prześladowuje nas swoim krzykiem.

Jezus przystanął. W uszy Jego wdzierał się rozpaczliwy krzyk biednej kobiety, nic nie wiedzącej o Bogu Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, o Jahwe, nic nie wiedzącej o Kamiennych Tablicach, zapisanych Jego własnoręcznym pismem, ale ślepo wierzącej, że ów tajemniczy Przybysz, według tego, co głosiła o Nim wieść, może w Imię swojego Boga uzdrawiać ludzi i wypędzać z ich gnijącego wnętrza szalejące moce.

Jezus, przystanąwszy przed nieszczęściem poganki, człowieka zamkniętego – zamknięty był każdy człowiek nie znający Boga Jedyne – rzekł ze smutną mocą:

– Zostałem posłany jedynie do owiec zaginionych z domu Izraela.

„Czyżby mógł leczyć tylko synów Izraela, lud mieszkający na zielonych wzgórzach Galilei i na jałowych górach Judei?” – pomyślała niewiasta i runąwszy do stóp Jezusa, zawołała:

– Panie, ratuj mnie!

A Jezus odpowiadając rzekł:

– Nie należy zabierać chleba synom Izraela, a rzucać go psom.

Zawstydzona, opuściła oczy, zrozumiała, bowiem co miał na myśli, mówiąc o psach, i ujrawszy swą grzeszną niegodność, postanowiła więcej nie naprzykrzać się prośbami. Pomyślała z żalem: „Wielki jest Izrael. Posiada Baala, który karmi go cudami. A nasz lud jest słaby, bo wierzy w szekających bogów i dlatego jest jak głodny, bezdomny pies. Czy jednak biedny pies nie mógłby się pożywić cudownymi odpadkami, które spadły ze stołów izraelskich biesiadników?” Pomyślawszy to, przemogła się, podniosła na Jezusa błagalne spojrzenie i rzekła z nieomal dziecinną prostotą:

– Tak, Panie, ale przecież psy zjadają okruszyny, które spadają ze stołu ich panów.

Tak powiedziała i skłoniła się nisko przed chlebnymi okruciami spadającymi ze stołów wyznawców izraelskiego Baala, i rozłożywszy ręce – był to zarazem gest bezsilności, jak i pokornego uznania dla ludu, który umiłował nieznanego Pana, dawcę cudownych uzdrowień – stała otwarta, jawna i widoczna aż do dna swej ślepej ciemnoty i mimo swej bezsilności wciąż wypełniona wiarą, że może ten Mąż, wbrew temu, co przed chwilą powiedział, okaże jej miłosierdzie i łaskę, i w niezbadanej dobroci zrówna ją z Izraelem.

Jezus, który tylko czekał na ów pokorny pokłon, złożony przez pogańską niewiastę Domowi Wybraństwa, oczyścił jej duszę z wszeteczeństwa i nicości i wypełniwszy oczyszczone miejsce swoją Obecnością, rzekł rozkazującym głosem:

– Niewiasto, wielka jest twoja wiara. Niech ci się stanie tak, jak chcesz. W imię tego, co powiedziałaś, idź. Szatan opuścił twoją córkę.

Niewiasta pędem pobiegła do domu. Jej błogosławiące, radosne zawroźnienie –

zaprawdę, był to płacz wdzięczności! – dochodzące z głębi lepianki, było dowodem, że wszystko dokonało się tak, jak miało się dokonać, albowiem córka spokojnie leżała na łożu, a zły duch ją opuścił. Była uleczona.

Ruszyli w dalszą drogę, odprowadzani osłupiałymi spojrzeniami chłopów, niemych świadków zdarzenia, którzy stali bez ruchu pod ścianami lepianek, nie ośmielając się ani jednym głośnym słowem dać wyrazu swojemu zdumieniu, a ich spojrzenia niczym nie różniły się od spojrzeń apostołów, nie umiejących z początku objąć myślami rozmiarów błogosławionej przygody i wytworzyć sobie o niej należytego sądu; i dopiero gdy zwolniwszy nieco kroku – Jezus jak zwykle szedł szybko i znacznie ich wyprzedził – poczęli między sobą szeptać i wymieniać swoje spostrzeżenia, nagle, dzięki umiejętnemu rozumowaniu Kefasa, zrozumieli myśl i wartość cudu: ujrzeli własnymi oczami oczyszczonych pogan, idących ku El, ku Panu Zastępów, ku Jerozolimie, jak napisane jest w Tehilim: „Grzeszników będę uczył Twoich dróg”, a co najważniejsze, poznali, że każdy spośród pogan, nawet wyznawca psiej nicości, jeżeli ukorzy się przed Obietnicą, może w każdej chwili otworzyć swe wnętrze na przyjęcie Boga Jedynego i stać się godnym Jego łaski. Ale po tym odkryciu na próżno szukalibyśmy w ich sercach kojącego zadowolenia. Posiadali w sobie silnie rozwinięte poczucie dumy z powodu wyodrębnienia i zaufania, jakim ich obdarzył Elohim, składając skarb wiary na przechowanie w sercach Jeszuruna, i trudno im było pogodzić się z myślą, że muszą podzielić się z obcymi plemionami świętym depozytem Słowa Bożego. Pan był zazdrosny o Izraela, czemu dawał wielokrotnie wyraz przez usta proroków, a Izrael był równie zazdrosny o swojego Boga i z niemałym trudem godził się z surowymi oświadczeniami Pana, który objął planem zbawienia również i pogan, rozumie się, pod warunkiem, że pokłonią się Jego chwale. Synowie Izraela bez szemrania – a niechby spróbowali szemrać! – przyświadczyli temu planowi, mimo to z pełnym czci niepokojem śledzili Boże zamiary wobec gojim, zwłaszcza, że jak to bardzo często bywa w zwyczaju Pana, nie ujawnił On sposobu, za pomocą którego zamierza urzeczywistnić nawrócenie obcych plemion. Ta ostrożność Boża pobudzała cały dom Izraela do równie ostrożnej ostrożności i wskutek tej dziwnej gry lud Boży czekał bez zbytowego entuzjazmu i z rosnącą podejrzliwością na godzinę, gdy wszystkie ludy świata pokłonią się Bogu na Jego Świętej Górze. Izrael, strażnik depozytu wiary, jak każdy strażnik, był z natury podejrzliwy.

Rażno i szybko zdążali za Jezusem przekonani, że prowadzi ich do Galilei, i radowali się, że już wkrótce poczują pod nogami urodzajną, czerwoną ziemię ojczystą, że znów będą mogli wyciągnąć się w cieniu rodzinnych drzew figowych – najmilszy jest cień rodzinnego drzewa! – o gęstych liściach w kształcie dłoni

i gałęziach bujnie rozrośniętych, które swoim rozrzutnym nieładem tworzyły szczelny dach, chroniący człowieka przed żarem słonecznym. Marzyli o tych drzewach figowych galilejskich, o uroczymśmiesznych krzywych pniach, pokrytych lśniąca kora, i ślina im napływała do ust na samą myśl o ich fioletowych, słodkich owocach, o wnętrzu miękkim, soczystym, rozpływającym się na języku jak płynny miód. Marzyli o galilejskich granatach, o zapachu ich kwitnących kwiatów szkarłatnego koloru, o ich owocach obleczonych twardą skórą, pod którą krył się czerwony ziarnisty miąższ o kwaskowym smaku, gaszącym najbardziej dokuczliwe pragnienie. Marzyli o widoku Jam Kinereth, o szeleście sitowia, o lasach oliwnych, o ryku osłów galilejskich, które inaczej ryczą niż osły pogańskie – ryczą nabożnie i pokornie, bo przecież jak wszystkie zwierzęta izraelskie wpisane są wraz z całym ludem wybranym w krąg Przymierza – o winnicach i zbożach swojej ziemi, o synagodze w Kfar Nahum, o Jerozolimie, o surowych Górach Judejskich, o tym wszystkim, co było im bliskie i drogie. Doznali wielkiego rozczarowania. Spostreżgli, że Rabbi prowadzi ich w głąb krajów pogańskich, w kierunku krainy Sydonu, w okolice Sarefat – wciąż kluczyli po śladach proroka Elijahu – a potem niespodziewanie skręcili na południowy wschód, zatoczyli szeroki łuk i przez krainę Golan – z daleka widzieli na horyzoncie połyskujące fale ojczystego jeziora i na jego widok łzy zakreśliły się w ich oczach – weszli w sam środek Dekapolu. Mijały dni za dniami, tygodnie za tygodniami, a Jezus wciąż podążał przez ziemie oddalenia i odstręczenia, ciemności i rozpadlin, i wiódł ich drogami zygzakowatymi w coraz większą obcość, jakby chciał ich oswoić z obcością tych ziem i ich mieszkańców, z brakiem podobieństwa do wszystkiego, czym dotychczas żyli i co dotychczas czuli, i przygotować ich do czegoś, co nieodwołalnie nastąpi w przyszłości. Podejrzewali, że muszą się czegoś nauczyć w tej niezwyklej wędrówce przez piekło pogaństwa, którego bramy otworzył przed nimi Rabbi, wypędzając szatana z wnętrza fenickiej dziewczyny. I rzeczywiście, ujrzeli, że gojim są ludźmi równie cierpiącymi, jak synowie Izraela, że wśród gojim, jak wśród synów Abrahama, są ślepcy, głusi, kalecy, chromi, opętani przez szatanów, że gojim, jak synowie Abrahama, łakną zdrowia, pełni życia, zbawienia od chorób, od zła i równie jak synowie Abrahama są głodni współczucia, litości i – cudów.

Pewnego dnia, w sercu pogańskiego Dekapolu zamieszkałego przez osadników greckich, we wsi, której nazwy nie znamy, Jezus wstąpił na pagórek i usiadł na kamieniu w otoczeniu apostołów, a jeden z mieszkańców przyprowadził do Niego głuchoniemego i przejmującym krzykiem błagał Męża o uleczenie kaleki. Jezus wziął go na bok, z dala od ludzi, i według słów zapisanych w Psalmach: „W obliczu Twoich niebiosów, które oglądam, dzieła Twoich palców” – dotknął palcem,

znakiem Mocy Bożej, jego głuchych uszu, a potem zwilżył palec śliną, znakiem odradzającej wody, i dotknął nim jego niemego języka; ponieważ człowiek ów był poganinem i nawet w duchu, bezsłowną modlitwą, nie umiał modlić się do Elohim, Jezus głęboko westchnął i westchnieniem tym wstawił się przed samym sobą za wyznawcą nicości („Podobnie Duch wspiera nas w słabości naszej, gdy nie umiemy się modlić, jak należy, a wówczas Duch wstawia się za nami w błagalnym westchnieniu, którego w słowa ująć nie można” – napisze kilka lat później w liście do nawróconych pogan nawrócony faryzeusz, Saul z Tarsu) – i wspierając swoim westchnieniem głuchoniemego bałwochwalcę, rzekł do niego: – Effetha – co znaczy: otwórz się; natychmiast otworzyły się uszy poganina i rozwiązały się więzy jego języka, i począł słyszeć i mówić, i z wdzięczności dla dobroci i miłosierdzia Rabbiego opowiadał wszystkim o cudownym uleczeniu, dzięki czemu apostołowie dowiedzieli się o sensie słowa „effetha”, symbolizującego otwarcie bram prowadzących do wnętrza pogańskich dusz.

A poganie, widząc cud dokonany przez Rabbiego, oddawali chwałę Bogu Izraela.

Przygoda w Magadan

Wreszcie przekroczyli granicę Galilei i dotarli do Magadan, miasteczka położonego na południowo-zachodnim brzegu Jam Kinereth. Znów ujrzeli ojczyste wody, łąki, lasy i sady, a twarze ich owiewał znajomy wiatr i kołysał sieciami, suszącymi się na żerdziach, a wszystkie te wody, powiewy i sieci były światem, który dźwigali w sobie od najmłodszych lat, więc ujrawszy go znowu po wielu, wielu tygodniach dalekiej wędrówki, padli na ziemię, ucałowali ją trzykrotnie i pochwalili Pana dziękczynną modlitwą. Jeden z rybaków, krewny starego Zebadii, ugościł ich w swoim domu – rybacy mieszkający dokoła Jam Kinereth stanowili poniekąd jedną rodzinę, związaną z sobą wspólnotą zawodu i często pokrewieństwa – podał im wodę do obmycia nóg i nakarmił ich rybami, cebulą, mięsistym pieprzem i soczystymi melonami. Siedzieli na dziedzińcu, w cieniu, i popijali wyborne wino, po czym wyciągnęli się na matach splecionych z sitowia, i patrząc w nieruchome niebo rozkoszowali się jego błękitem, równie błogim i zniewalającym do zadumy, jak wino, którym się raczyli. Niestety nie był im pisany spokój. Na dziedziniec weszło dwóch mężów i pozdrowiło ich słowem Bożym. Gospodarz z niechęcią spojrział na nieproszonych gości. Jeden z nich, przepisywacz Świętej Trójcy, a zarazem rosz hakneseth, o niekształtnym, tłustym nosie, wodnistych oczach pod skorpionowymi brwiami, uśmiechnął się przymilnie i usiadł na macie wskazanej mu przez gospodarza umiarkowanie gościnnym gestem ręki.

Drugi z przybyłych, młodszy wiekiem, o jajowatej, łysej głowie i rzadkim zarostem, był chazanem i nauczycielem, a jego niepewny i unizony wyraz twarzy wskazywał na poślednią rolę, jaką spełniał u boku przepisywacza, za którego plecami przystanął w służalczej postawie z rękami splecionymi na piersiach.

– Niech będzie błogosławiony Bóg Izraela – rzekł przepisywacz.

– Amen – odpowiedzieli chórem. Przepisywacz, zwracając się do Jezusa, rzekł:

– Wielka jest moja radość, że mogę Cię, dostojny Rabbi, powitać w naszym miasteczku. Nie przyszedłem tutaj sam. Przyszedłem wprowadzić tylko w towarzystwie naszego chazana – tu wskazał na towarzysza – ale mówimy do Ciebie w imieniu pobożnych mieszkańców Magadan, którzy wiele słyszeli o Twojej nauce i cudach. Bądź pozdrowiony, Rabbi, w Magadan.

Umilkł i palcami gładził brodę, nos, brwi i policzki, jakby tymi ruchami chciał zatrzeć wyraz swojej twarzy, a gdy wreszcie zdawało mu się, że wymazał z niej wszystko, co należało wymazać, tak dalej ciągnął:

– Tyle zdziałałeś cudów. Rabbi, tyle zdziałałeś cudów, zdziałałeś cud w Kanie, w Kfar Nahum i w Nain, i w Jeruszałajim Hakodesz, i na wodach Jam Kinereth, i na brzegach Jam Kinereth, i uleczyłeś trędowatych, głuchoniemych, ślepych, kalekę o uschniętej ręce i wypędziłeś Pełzających z opętanych synów człowieczych, a każdy, kto był świadkiem Twoich cudownych uzdrowień i czynów, błogosławił i chwalił Imię Pańskie.

Tak mówił przepisywacz, a chazan potakiwał głową.

– Gdzie dokonał się cud, tam jest Elohim. Okaż nam łaskę, Rabbi – przepisywacz wyciągnął ręce ku Jezusowi i równocześnie chazan wyciągnął ręce ku Niemu, a uczynił to tak błyskawicznie i zgrabnie, jakby był cieniem przepisywacza, wykonującym te same ruchy, co on – i zwołaj wielkim głosem mieszkańców miasta tutaj, na dziedziniec, i zdziałaj cud na ich oczach, aby dzięki Tobie ujrzeli chwałę Bożą i mogli jej złożyć pokłon, i strzec jej według słów psalmu, w którym jest napisane: „Pokaż mi, Panie, drogę Twoich świadectw, a będę jej strzegł do końca”.

Ledwo skończył, a już jak echo odezwał się chazan i jeszcze raz powtórzył to wszystko, co mówił tamten – używał tych samych słów i zwrotów – tylko głos jego brzmiał o kilka tonów niżej, jak przystało na echo, które miało być posłusznym echem słów czcigodnego przedmówcy. A potem zaczął znowu mówić przepisywacz i znów błagał Jezusa o pokazanie im znaku z nieba, a głos jego brzmiał coraz natarczywiej i w natarczywości swojej coraz wyraźniej się odczłowieczał, aż wreszcie przestał być głosem człowieczym i stał się bekiem kuszącego kozła o wodnistych ślepiach, złą skłonnością, wcieloną w Azazela. Bek przeszedł w stłumiony jęk, w zawrodozenie i zamilkł, a w wodnistym, spłowiałym spojrzeniu kusiciela pozostał

już tylko ledwo widoczny ślad koziego przeobrażenia, a był nim złośliwy błysk uśmierzony udaną pokorą.

Rabbi podniósł się z maty, na której dotychczas siedział, westchnął i odpowiadając rzekł do przepisywacza i chazana:

– Gdy nastaje wieczór, mówicie: Będzie pogoda, bo niebo się czerwieni. A rano mówicie: Dziś będzie słońce, bo niebo się czerwieni i jest zachmurzone. Oblicze nieba umiecie rozpoznać, a znaków czasu nie potraficie?

To powiedziawszy, uniósł się gniewem, ściągnięte brwi, czarne i złowrogie, jak dwie nacierające na siebie chmury, rozorała głęboka zmarszczka, kosmyki włosów wstrząśnięte nagłym ruchem głowy opadły na Jego twarz i zakryły ją, a gdy je odgarnął i odrzucił do tyłu, twarz Jego była morzem ognia, pod którego pustoszącym natarciem żadna żywa istota ostać się nie zdoła, a jeżeli mimo to przerażeni apostołowie, faryzeusze i gospodarz wyszli cało z tego ognistego spotkania z odsłoniętym obliczem Pańskim, zawdzięczają ocalenie jedynie błogosławionej i ze wszech miar zbawiennej ślepoty swoich oczu, widzących tylko tyle, ile pozwolił im ujrzeć Rabbi.

– Plemię przewrotne i cudzołonne! – krzyczał Jezus, a faryzeusze, drżąc ze strachu, cofali się w głąb dziedzińca, apostołowie zaś, nie mniej przerażeni od faryzeuszów, zdrętwieli, bo nigdy jeszcze dotychczas nie widzieli Męża w takim podnieceniu i gniewie. – Plemię złe i wiarołomne – krzyczał Jezus – domaga się znaku, ale znak nie będzie mu dany, nie będzie! Jedynie znak Jony proroka! A jak Jona był przez trzy dni i trzy noce we wnętrzościach ryby, tak będzie Syn Człowieczy przez trzy dni i trzy noce w łonie ziemi! Ten znak będzie wam dany, plemię wiarołomne!

Po tych słowach ruszył środkiem dziedzińca ku bramie, minął faryzeuszów przyklepionych do ściany domu i szedł drogą prowadzącą ku Jam Kinereth, wśród chrześzczących łąnów jęczmienia, nad którymi krążyły dzikie gołębie. Cudów chcieli, kusiele! Cudów chcieli! Kusili Go ustami obłudy i kłamstwa! Kusili Go przewrotnością swojego oblicza! Kusili Go pustką grzesznych serc! Domagali się znaku, jak gdyby znak Boży był sługą ich niecierpliwości! Da znak temu plemieniu jaszczurowemu! Niewiernemu! Da znak, od którego niebo zaryczy jak lew, ziemia jęczeć będzie jak niewolnica obciążona kajdanami, a morze otworzy się aż do samego dna! I tak wołając, powiększał swoją gwałtowność i rozmnażał swoją zapalczywość, i wstępował w łoskot wichru, w trzask gromów i w oślepiające światło błyskawic, i przeszedłszy przez rozsierzdzone żywioły, nagle znalazł się na statku i nie był już Rabbim z Nazarethu, lecz jednym z obrazów Ucieleśnienia, trwającego w praczasie za nieprzeniknioną, a jednak przejrzystą zasłoną. Imię jej

było teraz Jona. Był prorokiem. Mimo to był krnąbrnym i nieposłusznym sługą Pańskim, któremu się zdawało, że może zbiec i ukryć się przed okiem ścigającego go Jahwe. Gdyby uciekającemu Jonie ktoś wówczas powiedział, że w dziejach jego życia są pewne mgliste zapowiedzi świętego Ucieśnienia, nie uwierzyłyby tej nieprawdopodobnej nowinie, bo będąc, mimo chwilowego nieposłuszeństwa, człowiekiem na wskroś uczciwym, świadom był swojej niedoskonałości. Zresztą nie zastanawiamy się nad zaletami i wadami jego charakteru, bo nie mamy pewności, czy Jona w ogóle rzeczywiście istniał. Mógł być postacią historyczną i w równej mierze mógł być postacią zmyśloną przez jakiegoś wędrownego opowiadacza przypowieści, który opowiadając ludziom zmyśloną historię Jony, nie wiedział, że z woli i rozkazu Pana podnosi jeszcze jedną zasłonę z Jego Oblicza, Nieważna jest historyczność tej postaci. Pan dla urzeczywistnienia swoich celów posługuje się zarówno prawdą, jak i zmyśleniem, które w takich razach jest odbiciem Jego prawdy, a jeżeli Pan postanowi, to zmyślenie może być nawet samą doskonałą i najczystsza prawdą, objawioną nam w kształcie utworu poetyckiego, wysnutego z wyobraźni ludzkiej. Jona zatem – wszystko jedno, czy prawdziwy, czy zmyślony – mglisty, niedokładny zarys Ucieśnienia, uciekając przed Panem, znalazł się na wzburzonym morzu, które Elohim rozkołysał, uczynił żywiołem szalejącym i kazał mu z nieposkromioną siłą bić o burty statku, trzeszczącego w spojeniach pod uderzeniami wichru i wody. Im większe było niebezpieczeństwo, grożące życiu żeglarzy i Jony, tym większe stawało się podobieństwo nieszczęsnego proroka do Ucieśnienia. Dojrzewała bowiem w Jonie nieposkromiona konieczność samopoświęcenia się za żeglarzy, potrzeba natychmiastowej ofiary przebłagalnej za ocalenie ludzi, podczas gdy w przerażonych żeglarzach rosło nieświadome przekonanie, że nieodzownym warunkiem ich ocalenia jest śmierć tego przybłądy, który płynie razem z nimi na statku. Ofiara została dokonana i... przyjęta. Żeglarze przynaglani przeczuciami o potrzebie zbawienia – czyniąc, nie wiedzieli, co czynią – wrzucili Jonę do wzburzonego morza, które łakomie pochłonęło ofiarę i, nakarmione nią, i syte jej, natychmiast się uspokoiło. Pan jednak pospieszył Jonie na ratunek – ratunek ten miał być koroną całej przygody – i posłał Wielką Rybę, która połknęła proroka, a on w owej chwili jeszcze bardziej upodobnił się do Ucieśnienia i nie będąc Nim, był Nim, a będąc i nie będąc Nim, tworzył swoją niepojętą przygodą zarys już dawno w przyszłości dokonanej Obietnicy. Przez trzy dni i trzy noce przebywał wewnątrz świętej Ryby, w grobie pływającym i macierzyńskim, który trzeciego dnia wydał go na świat i wyrzucił żywego na brzeg wieczności.

Tymczasem apostołowie w pośpiechu spakowali sakwy i podziękowali za gościnę gospodarzowi, który objawszy rękami głowę, kołysał się ku przodowi i tyłowi, dając

tymi ruchami oczywisty dowód żalu z powodu niecnego zachowania się przepisywacza i chazana. Apostołowie nie widzieli już tych rozczulających objawów niezadowolenia, bo pobiegli za Jezusem. Zdyszani dogonili Go. Siedział nad brzegiem Jam Kinereth, spokojny i zamyślony. Kazał im wynająć łódź.

Wypłynęli na jezioro i na polecenie Jezusa obrali kierunek na północ, na Bethsaidę Galilejską. Rabbi spoczywał na dziobie łodzi, pólżąc, twarzą zwrócony do apostołów. Zamknął powieki. Łokieć prawej ręki, na którym lśniły krople wody przyskającej z wiosła, oparł o poręcz burty. Apostołowie milczeli. Zastanowiło ich zachowanie się Jezusa. Właściwie powinien uczynić cud przed całym zgromadzeniem Izraela w Magadan, aby wreszcie przekonać opornych, natrętnych i podejrzliwych faryzeuszów o swojej mocy i udowodnić im, że jest Mężem Bożym, który działa w Imieniu Pana. Dlaczego tego nie uczynił? Dlaczego uniósł się gniewem? Przecież mógł uleczyć jakiegoś głuchoniemego, oczyścić jakiegoś trędowatego, wypędzić demona z ciała jakiegoś opętanego; nigdzie nie brak głuchoniemych, trędowatych i opętanych, więc i w Magadan znaleźliby się na pewno na podręczu jacyś nieszczęśliwi, potrzebujący Bożej pomocy. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nie przemówił do niedowiarków niezbitymi dowodami swojego wybraństwa i nie powalił na ziemię ich nieufności ciosem nadprzyrodzonej mocy; zamiast tego miotał na nich słowa oburzenia i zagroził im cudem proroka Jony, jakąś tajemniczą zapowiedzią, której nie umieli skojarzyć z Jego osobą.

Słońce zaszło za Góry Judejskie. Pozostawiło po sobie różową poświatę, która szybko poczęła stygnąć, szarzeć i nasycać się mrokiem. Poczuli dotkliwy głód. Zapomnieli o gniewie Rabbiego i o podstępnej pobożności faryzeuszów. Wyrażali półgłosem niezadowolenie z powodu opieszalego pośpiechu, z jakim wsiedli do łodzi, wskutek czego nie zaopatrzyli się uprzednio w żywność – w sakwie znaleźli tylko jeden placek – potrzebną na całonocną przeprawę przez jezioro. Rozprawiali z tak wielkim przejęciem, jak gdyby brak chleba i ich puste żołądki były najważniejszym następstwem minionego dnia, godnym zapamiętania i głębokiej refleksji. Jezus, widząc ich wewnętrzne niezadowolenie z powodu gniewu, który wylał na kuszących Go faryzeuszów w Magadan, uniósł się nieco na dziobie łodzi, oparł łokciami o jej dno i rzekł głosem napominającym:

– Baczcie i strzeżcie się kwasu faryzeuszów.

Nie rozumieli tego ostrzeżenia. Przecież nie mieli z sobą żadnego chleba poza jednym plackiem, którym podzielili się, nie nasyciwszy głodu. A może zabronił im kupować chleb u faryzejskich piekarzy? Więc czym różni się kwas piekarzy faryzejskich od kwasu piekarzy nefaryzejskich? A może przez cały rok mają spożywać chleb bez kwasu? Kefas, nie chcąc drażnić Jezusa nieumiejętnie

zadawanymi pytaniami, rzekł z rozbrajającą prostotą:

– Przecież nie mamy żadnych chlebów, Rabbi. Nie wzięliśmy ich z sobą. Apostołowie przestali wiosłować. Łódź stanęła w miejscu, kołysząc się na fali. Jezus wyprostował się i rzekł głosem rozważnego zniecierpliwienia:

– Ludzie małej wiary! Dlaczego zastanawiacie się nad tym, że nie macie chleba? Czy jeszcze nie widzicie i niczego nie rozumiecie? Czy serca wasze są zatwardziałe? Macie oczy, a nie widzicie, macie uszy, a nie słyszycie! Czy jeszcze nie rozumiecie, że nie mówię o chlebach z jęczmiennej mąki, przeznaczonych dla waszych pustych żołądków, ale upominam was, abyście się strzegli kwasu faryzeuszów i saduceuszów – rozumiecie? – kwasu faryzeuszów i saduceuszów, o którym ojcowie mówili, że jest złą skłonnością, kuszącą człowieka? Więc jeszcze nie rozumiecie?! Jeszcze nie rozumiecie?! – wołał Jezus.

Przez gęste ciemności widzieli gwałtowne ruchy rąk Rabbiego i karcące spojrzenie Jego oczu. Rzucili się do wiosł. Bojąc się swej grzesznej niewiedzy, równie głębokiej jak otchłań, po której płynęli, poczęli odmawiać modlitwę Jony przebywającego we wnętrzu ryby:

„Z niedoli mojej wołałem do Pana, a On mnie wysłuchał. Krzyczałem z jądra przepaści i usłyszałeś mój głos” – i wtedy spostrzegli, że wraz z nimi modli się Jezua ben Josef i żarliwym głosem towarzyszy ich głosom. Zdumieni, umilkli i z podziwem słuchali samotnego śpiewu Rabbiego, wołającego do Pana słowami proroka spoczywającego w sercu morskiej głębokości.

A wy za kogo mnie macie?

O świcie dobili do Bethsaidy. Zaledwie wysiedli na brzeg, tłum mieszkańców przyprowadził do Jezusa pewnego ślepcę, prosząc, aby go dotknął; Rabbi wzruszony prośbami wziął kalekę za rękę i, mimo znużenia całonocnym czuwaniem, wyprowadził go poza wieś i przywrócił wzrok jego niewidomym oczom, a odsyłając uzdrowieńca rzekł do niego:

– Nie idź do wsi i nikomu nic nie mów.

Ale człowiek uleczony nie umiał utrzymać języka na wodzy i ukryć w sobie radości, więc biegnąc do wsi, rozgłaszał wieść o swoim cudownym Uzdrawieniu i dzielił się nią z wszystkimi krewnymi i przyjaciółmi, znajomymi i obcymi, gdyż uważał, że chleb dopiero wtedy naprawdę smakuje, gdy się go spożywa z bliźnimi. Zachowanie cudownie uleczonego ślepcę nie było zjawiskiem odosobnionym w Izraelu, który na przekór swojemu przeznaczeniu – był przecież narzędziem w rękach wielkiej Tajemnicy – niczego nie umiał utrzymać w tajemnicy. Byłoby może

przesadą twierdzenie, że wszyscy potomkowie Abrahama grzeszyli grzechem nieumiarkowanego gadulstwa, jednak nie będziemy dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że bardzo wielu spośród ludu umiłowowało wielomówność ust swoich i cudzych. Roztropni i pobożni mężowie, dbający o czystość duszy swojego ludu, przestrzegali bliźnich przed nadmiernym gadulstwem – gromił ich Jezua ben Sira w pięknie wygładzonych wersetach – a jeden z uczonych w Piśmie ujawnił, że dzieci człowiecze w dniu narodzin otrzymują od Elohim dokładnie odliczony zapas słów, które muszą im starczyć na całe życie, a ponieważ człowiek umiera wówczas, gdy wypowiada ostatnie słowo z owego łaskawie otrzymanego zapasu, długość jego życia zależy od oszczędnego szafowania słowami. Lud jednak nie przejmował się zbyt przyprawieniem o ludziach, którzy z winy swojego gadulstwa krótko żyją – bo taka była przewodnia myśl tego rozsądnego opowiadania – i czujnymi uszami skwapliwie chwycił wszystkie wieści, i wchłonawszy je uchem, przekazywał dalej szybko mówiącymi ustami. Tak też teraz się stało. Wieść o powrocie Jezusa do Galilei i dokonaniem przez Niego nowym cudzie szybko rozeszła się po Bethsaidzie, z Bethsaidy jeszcze tego samego dnia dotarła do Kfar Nahum, a stamtąd jak na skrzydłach ptaka – nie darmo mądry Kohelet pisał o ptactwie roznoszącym wieści – obiegła całą Galileę. I znów, jak zwykle w takich razach, do Bethsaidy ruszyły z bliższych i dalszych okolic tłumy ślepych, głuchych, głuchoniemych, kulawych, kobiet cierpiących na krwotoki, paralityków, nędzarzy okrytych wrzodami, a aczkolwiek wszyscy oni dobrze wiedzieli, że arcykapłan, pewni członkowie Sanhedrynu, zbyt gorliwi faryzeusze i uczeni w Piśmie patrzą niechętnym okiem na Rabbiego i wielu uważa Go za odszczepieńca i czarodzieja, cóż ich, pożądanego zdrowia i pełni sił cielesnych, biednych ślepców, nędzarzy cuchnących ropą, która cieknie z ich otwartych ran, głuchoniemych, paralityków przykutych do łoża, może obchodzić paplanie możnych tego świata? Niech faryzeusze gadają przeciw Rabbiemu, co chcą, ale czy ulecą chorych i kaleki? Niech arcykapłan położy na nich swoje dłonie i pokaże, co potrafi! I mimo ostrzeżeń, grózb i zakazów faryzeuszów gromadami ciągnęli do Bethsaidy. Jednak Jezusa w Bethsaidzie nie zastali.

– Gdzie On jest? – krzykali.

– Dokąd poszedł? – pytali gorączkowo.

– Nie wiemy – odpowiadali mieszkańcy Bethsaidy i nie kłamali, bo rzeczywiście nie wiedzieli, dokąd Jezus się udał i jaki obrał kierunek drogi.

– Na północ – mówili kupcy damasceńscy, którzy spotkali Męża i apostołów, idących brzegiem Jordanu, ku jezioru Merom.

– Jak to? – pytali zaniepokojeni. – Poszedł do Gaulanitis? Do krainy pogan?

– Do krainy pogan – potwierdzili kupcy.

– Kiedy wróci? – w ich głosach brzmiała błagalna prośba. Nikt na to pytanie nie umiał odpowiedzieć.

A tymczasem Jezus i apostołowie, ominąwszy leniwe rozlewiska jeziora Merom, gęsto zarośniętego puszystymi pióropuszcami papirusów i rozbrzmiewającego koncertem komarów i chaotycznym chórem błotnego ptactwa, zdążali na północ, ku źródłom Jordanu.

Jaka była przyczyna obecnej, drugiej wędrówki Jezusa i apostołów do krainy zamieszkałej przez pogan? Jezus, powróciwszy po długiej nieobecności do Galilei, po doświadczeniach z faryzeuszami w Magadan, a potem z gadatliwym ślepcem w Bethsaidzie, widząc, że swoją obecnością wśród synów Izraela wzbudza bądź głośną niechęć faryzeuszów, bądź nadmierny i radosny zapał ludu, postanowił udać się do krainy położonej na kresach Ziemi Świętej, gdzie na osobności, przez nikogo nie śledzony, nie witany i nie nagabywany, mógł spokojnie, w samotności tak potrzebnej dla skupienia, poza zasięgiem ludzkiej ciekawości i wścibstwem natrętnie chodzących Mu po piętach wysłanników Kajafy, odbyć ważną w skutkach rozmowę z apostołami i wykonać już dawno powzięte zamiary.

Znał takie osłonięte przed ludźmi ustronie. Opowiadał Mu o nim za dawnych czasów, jeszcze w Nazarecie, pewien handlarz papirusami, który przemierzając wielokrotnie szlak, prowadzący znad brzegów jeziora Merom, widział w pobliżu źródeł Jordanu, u stóp Hermonu, niedaleko Cezarei Filipa, samotną grootę wypełnioną wodą, poświęconą pogańskiemu bóstwu Panowi. Ponieważ według wierzeń gojim w miejscu tym – a mieli oni na myśli ową tajemniczą grootę – znajdowały się wrota prowadzące do pogańskiego szeolu, do Hadesu, całej tej okolicy górskiej, dzikiej i nie zamieszkałej – tylko opodal wysoko, na skale, wznosiła się świątynia zbudowana przez Heroda Wielkiego ku czci Augusta – unikali poganie w obawie przed podziemnymi siłami, a synowie Izraela okrażali ją z daleka, w szerokim promieniu, nie chcąc podróżować przez krainę splamioną kultem rogatego i brodatego bóstwa, podobnego z wyglądu do Azazela. Tam właśnie wśród skał, rozpadlin, jaskiń i głębokich czeluści, pod czujną strażą nieprzystępnego Hermonu, spodziewał się Jezus odnaleźć dogodne i spokojne miejsce, w którym mógłby pomówić z apostołami, zadać im wielkie pytanie, a potem...

I tak się stało. Po dwudniowej uciążliwej wędrówce przybyli do podnóża góry Hormon, w okolicę Cezarei Filipa, do samotnego pustkowia; Jezus, przystanąwszy na łące, badawczym wzrokiem ogarnął całą okolicę i zatrzymał go na wznoszącym się w pobliżu małym pagórku, na którym rósł dziki figowiec. Apostołowie zmęczeni drogą ułożyli się pod drzewem – przez jego ściśłą koronę tylko gdzieniegdzie przeciekały zabawnie skaczące oka słonecznego światła – i jakby chcieli naśladować

niebotyczny Hennon, nakryty lodową czapą – ten olbrzym drwił ze słonecznego żaru! – naciągali głęboko na czoła białe jak śnieg płócienne nakrycia głowy i, błogosławiąc Elohim, który zasadził samotną figę na szczycie pagórka i obdarzył ją gęstym ulistnieniem, spokojnie usnęli. Zasypiając, słyszeli szum pobliskich potoków i widzieli Jezusa, który stał pod drzewem i w milczeniu się modlił, a gdy się obudzili, spostrzegli, że Rabbi wciąż jeszcze pogrążony jest w modlitwie. Leżeli bez ruchu, gdyż nikt spośród nich nie odważył się wstawaniem, chodzeniem, zbędną krzątaniną, a nawet szeptem zakłócać Jezusowego skupienia, a przecież chętnie stłumionym głosem wymieniliby między sobą spostrzeżenia i uwagi o Mężu, którego twarz wyrażała teraz uroczyste uniesienie; leżeli więc cisi, nieruchomi i milczeli unizonym milczeniem, a i ono wydawało im się w obliczu modlącego się Jezusa nieomal profanacją i skwapliwie by je w sobie ukrócili, gdyby znaleźli jakiś inny sposób milczenia, bardziej milczący od samego milczenia. Niestety, na taki sposób nie wpadli.

Jezus przestał się modlić. Przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słonecznymi promieniami, które odbite od śnieżnego Hermonu utworzyły nad jego szczytami aureolę w kształcie świetlistego wachlarza, rozpryskującego się pękiem iskier. Usiadł pod drzewem. Przed Nim usiedli apostołowie. Na ciemnej, chudej twarzy Rabbiego wyraźnie malowało się zmęczenie i tylko w oczach paliła się nieugięta wola, dziwnie odbijająca od Jego postaci, która wydawała się teraz bardzo krucha i wątła, zbyt krucha i wątła jak na mieszkanie Mocy, bijącej z tych wszechwidzących źrenic. Dwie zmarszczki, które zbiegały od kątów nosa ku kątom warg, gubiły się w zaroście okalającym Jego policzki i usta, i nadawały im wyraz smutku i goryczy. Na skroniach i w rozdzieleniu krótko strzyżonej brody wiły się srebrne nitki. Rabbi i apostołowie patrzyli na siebie z nie ukrywaną tkliwością, uczniowie wzruszeni Jego zmęczeniem. Rabbi wzruszony ich biedną i nie przez nich zawinioną niewiedzą. Ogarnęła Go przeczysta pokusa ujawnienia. A może już teraz powinien im wszystko powiedzieć? A może właśnie teraz powinien im wyłożyć to, czego się później dowiedzą? Dlaczego jeszcze się waha? Przecież wahając się i czekając sam sobie utrudnia działanie. Utrudnia? Czy ma prawo usuwać trudności, które nie tylko sam stworzył i sam sobie narzucił, lecz także kazał je zapisać prorokom w natchnionych zwojach, aby były zapisane na wieczne świadectwo Prawdy? A najważniejsze, czy ułatwiając sobie zadanie, naprawdę je ułatwia, a może właśnie wręcz przeciwnie – utrudnia je – hamuje jego prawidłowy bieg, tworzy zapory, miesza szyki i stawia przeszkody nie do pokonania? Uśmiechnął się. Trudność jest Jego łatwością. Przypomniał sobie zdanie jednego z mędrców izraelskich, który zwykł mawiać, że to, co ludziom przychodzi łatwo, Bogu często

przychodzi z trudem. Spłacając kolejny dług swojemu człowieczeństwu, uległ wahaniu, które nie było niczym innym, jak tylko jeszcze jednym z kształtów Jego niezachwianej równowagi, podobnie jak ów zbytek słabości, będącej jedną z odmian Jego niewzruszonej woli, lub jak ta walka z samym sobą, wyrażona za pomocą kuszących pytań, będących zarazem nieodmiennymi odpowiedziami. Ponieważ jest tym, kim jest, jest zarazem człowiekiem i rości sobie prawo do gorzkich rozmyślań o swoich licznych niepowodzeniach, zatwierdzonych przez Obietnicę; tworząc ją, udzielił sobie w pełni praw człowieczych i nigdy nie wyrzekł się wynikających z nich bolesnych dobrodziejstw, i dlatego siedząc teraz pod drzewem figowym korzysta ze swojego człowieczeństwa, i robiąc rachunek zebranych przez siebie plonów, widzi ich niepozorną nikłość. Dwa lata działa, dokonuje cudów, naucza, tłumaczy, wzywa, gromi, współczuje, oskarża, opowiada przypowieści, głosi Królestwo Boże, miłość, dobroć, przebaczenie, a któż z całego domu Izraela naprawdę Go zrozumiał? Czy zrozumieli Go apostołowie? Uczniowie? Faryzeusze? Rodzina? Obietnica, im bliższa urzeczywistnienia, tym jest odleglejsza od wyobrażeń, jakie mają o niej lud, mędrzy, kapłani i arcykapłani, a im bardziej jest widoma dla ich oczu, tym bardziej zakryta i niepojęta, a im bardziej zgodna ze słowami Pisma Świętego, tym bardziej niezrozumiała dla Jeszuruna, jakby Elohim świadomie przemieszał wszelką bliskość i odległość, widomość i ślepotę, zgodność i rozbieżność, i pojęciom tym nadał wartość nową, niezwykłą, dotychczas w dziejach nie spotykaną. Marzył o tym, aby lud tłumnie za Nim poszedł, aby słuchał Go słuchem swoich uszu i widział Go spojrzeniem swoich oczu, a tymczasem całą Jego zdobyczą są wierni i nie rozumiejący Go apostołowie, przychodzący – a potem – odchodzący – uczniowie i gromadka wdzięcznych, gadatliwych kalek, cudownie przez Niego uleczonych. Do tych bolesnych łupów powinien jeszcze dodać nienawiść arcykapłana i jego współpracowników i rosnącą wrogość faryzeuszów. I oto po dwóch latach nauczania położenie Jego stało się tak ciężkie, że chcąc dwunastu apostołom zadać trudne pytanie, a potem ujawnić w spokoju część nieujawnionej Prawdy, musi wędrować z nimi w dwunastoosobowej samotności na północ, do kraju zamieszkałego przez pogan, położonego z dala od ust dwujęzycznych i uszu nieukróconych.

Pochylił się posłusznie przed swoją niepodzielną wolą i spytał ich łagodnym pytaniem:

– Powiedzcie mi, za kogo uważają mnie synowie Izraela?

Cisza zapanowała wśród apostołów. Z pieszczotliwą czułością gładzili brody, kołysali się w biodrach, mrużyli oczy, a gdy wreszcie wyczerpali czas potrzebny do roztropnego i bystrego namysłu, spojrzeli po sobie i wtedy pierwszy zdobył się na odwagę małomówny Filip z Bethsaidy. Odpowiadając, przemówił tonem, w którym

łatwo można było wyczytać, że to, co mówi, nie jest zgodne z jego własnym sądem, jest tylko powtórzeniem mniemania obcego, niezgodnego z jego własnym mniemaniem. Był to ton nieco niedbały i tą swoją niedbałością świadczył o niestosowności ludzkich wyobrażeń o Rabbim. Takiego tonu szukali w sobie, gładząc brody, kołysząc się w biodrach i mrużąc oczy, i dlatego z wdzięcznością spojrzeli na Filipa, który mówił:

– Niektórzy uważają Cię, Rabbi, za Johanana ben Zecharia, którego duch w Ciebie wstąpił. A wtedy odezwał się Jaakow ben Halfi i rzekł tym samym tonem:

– A są tacy, którzy Cię uważają za proroka Elijahu. A Theom Bliźniak, który nie ufał swojemu głosowi, dodał kiwając głową z niedowierzaniem:

– A inni uważają Cię, Rabbi, za proroka Jeremijahu.

Po tych słowach odezwał się Juda z Kerijoth, którego brzmienie głosu wyraźnie odbiegało od brzmienia jego poprzedników. Było cokolwiek zamglone. Słowa, które wypowiedział, zdawały się być nie powtórzeniem zasłyszanych twierdzeń, domysłów czy wyobrażeń, ale echem jego osobistych dociekań. Juda z Kerijoth, odpowiadając na pytanie Jezusa, rzekł:

– Wielu uważa Cię, Rabbi, za jednego z dawnych proroków, który wstał z martwych.

Od śnieżnych szczytów Hermonu powiał orzeźwiający wiatr. Srebrno-zielone liście figowca lekko zaszumiały, a przez rozchylone na chwilę gałęzie przedarły się promienie słońca – spłoszone cienie niespokojnie zatrzepotały na twarzach Jezusa i apostołów – które odbyło już spory kawał codziennej drogi i przetaczało się z wolna ku zachodniej stronie nieba.

Wtedy Rabbi spytał ich:

– A wy, za kogo mnie macie?

Po co Jezus zaskoczył uczniów tym niezmiernie trudnym pytaniem? Czy spodziewał się usłyszeć od nich trafną odpowiedź? A jeżeli wiedział, że nie mogą Mu udzielić właściwej odpowiedzi, w jakim celu wystawił na próbę ich niewiedzę? Pytanie Jezusa należało do rodzaju pytań doświadczających, będących pytaniami tylko z kształtu, a w swojej istotnej treści stanowiło wstęp i przygotowanie do wielkich wyroków, mających zapasć w bliższej lub w dalszej przyszłości, których celem było ustanowienie sprawiedliwego ładu w człowieku i w jego dziejach. Jezus wiedział, że synowie Izraela, apostołowie i cała Jego rodzina nie uświadamiają sobie, kim On naprawdę jest. Mimo to spytał o to apostołów, albowiem wszechwiedzący Elohim często rozpoczynał swoje ostateczne działanie od pozornie umiarkowanych i cierpliwych pytań, po których następowały zdarzenia rozstrzygające o losach ludzkości, o upadku człowieka lub o jego wyniesieniu i skierowaniu na drogę

Obietnicy. Tak postąpił Pan z Adamem, gdy go spytał po popełnionym przez niego grzechu: – Gdzie jesteś, Adamie? – chociaż dobrze wiedział, gdzie Adam przebywa; tak postąpił z Kainem w godzinę krwi, gdy z udaną ciekawością zagadnął go: – Gdzie jest twój brat, Abel? – chociaż wiedział, że Abel nie żyje; tak postąpił w dniu łaski z przyjacielem swoim Abrahamem, gdy mu zadał pytanie: – Gdzie jest żona twoja, Saraj? – chociaż wiedział, że przebywa ona w sąsiednim namiocie; i tak postąpił Jezus, pytając apostołów u progu świętej Ofiary: – A wy, za kogo mnie macie? – chociaż wiedział, że ich wiedza o Nim jest nikła, a w swej nikłości nader niewyraźna i chwiejna. Uczynił tak, ponieważ swoim pytaniem pragnął podrażnić ich usypiającą wyobraźnię. Żyli u Jego boku, oswoili się z Jego człowieczą obecnością, a właśnie teraz należało pobudzić ich czujność i przygotować do mających nastąpić wkrótce wypadków, a przede wszystkim zmusić jednego z Dwunastu, Skalę nieugiętą i kruchą, do otwarcia swojego wnętrza, aby ujrzała w nim swą niespożytą nieugiętość na przekór swej chwiejnej kruchości. Dom swojego Zgromadzenia budował na człowieku z krwi i ciała. A czym jest człowiek? W Psalmach jest napisane: „Bezsilny i zgębiony bez miary krzyczę w niepokoju serca” i „stałem się jak mąż, który nie słyszy i nie znajduje odpowiedzi w swoich ustach”.

Zaskoczeni nieoczekiwanym pytaniem, nie umieli na nie odpowiedzieć, gdyż było ono najtrudniejsze z najtrudniejszych i najkłopotliwsze spośród najbardziej kłopotliwych, a wprawdzie często słyszeli je w sobie, ale zawsze po krótszym lub dłuższym namyśle ostrożnie i bezpiecznie oddalali się od niego, jak od miejsca zagrożonego pożarem. Teraz wypowiedziane ustami Jezusa wymagało szybkiej i jasnej odpowiedzi. Co mieli odpowiedzieć? Co wiedzieli o Rabbim? Wszystkie ich domysły okazały się dotychczas nieściśle. Mieli różne przeczucia, nie umieli ich jednak wyrazić słowami, bo każde z nich, wprawdzie dobierane z niezwykłą dokładnością, było mimo to zaprzeczeniem wszelkiej dokładności. Czy jest prorokiem? Mesjaszem? Posłańcem Bożym? Określenia te, pełne cudownych treści, wydawały im się jednak zbyt wątle, ciasne, niepełne, ułamkowe, cząstkowe w odniesieniu do Jezusa. Z czasem dali spokój dociekaniom i poprzestali na tym, co widzieli: na obecności Rabbiego, niemożliwej do określenia. Więc co mieli teraz odpowiedzieć? Czuli w sobie gorszącą i bolesną pustkę, która ich poniżała w ich własnych oczach. Bezsilni i bezbronni wobec nieubłaganego pytania, gorączkowo szukali jakichś bezpiecznych słów, w których mogliby się zaszyć jak w gęstym gąszczu przed nacierającym na nich napastnikiem. Niestety, słowa, które napływały do ich ust, były tylko wymijające i zdawkowe. Poczuli się modlić i wołać w swoim wnętrzu o łaskę światła, zebrali o wyzwolenie z niedoświetła myśli, z ciała i krwi,

które jak dwa ciężary obciążały lotność ich umysłu; wtem ujrzeni, jak Kefas zmienia się na twarzy – spodziewali się, że podczas modlitwy, jeżeli nie na wszystkich, to przynajmniej na jednego z nich, spłynie światło Elohim – i otwiera usta, aby przemówić. Przestali się modlić, dech im w piersiach zapało, przywarli oczami do jeszcze milczących, ale już otwartych warg rybaka i wtedy usłyszeli wychodzące z jego ust proste i dobrze im znane słowa, dokoła których niezadaradnie krążyli od dnia ich pójścia za Jezusem:

– Ty jesteś Mesjasz.

Wreszcie ktoś głośno wypowiedział to słowo.

Wreszcie. Właściwe? Niewłaściwe? Celne? Niecelne? Słuszne? Błędne? Wszystko jedno. Zostało wypowiedziane przez jednego spośród nich, i to z taką gorącą i niewzruszoną mocą, że na pewno nie było owocem przyziemnego ciała i przyziemnej krwi, ale natchnienia Bożego, niezależnie od tego, czy określało, czy nie określało Jezusa, czy było faktem, czy tylko życzeniem.

Otoczający ich świat przestał być ich światem. Zjednoczeni wypowiedzianym przez Kefasa słowem, wcielili się w nie i stali się czystym dźwiękiem jego ust, brzmieniem oczyszczonym ze wszystkiego, co ziemskie, byli już tylko niewidzialnymi ruchami anioła, szeleszczącego między błogosławionymi wargami rybaka. Było to uczucie radosne, wyzwalające. Wyswobodzeni z cielesności – gdzie się podziała? co się z nią stało? – równocześnie byli i nie byli sobą, byli, ponieważ nie opuszczała ich świadomość własnej osobowości, nie byli, ponieważ ich świadomość stanowiła cząstkę żywiołu całkowicie od nich niezależnego. Gdy po chwili powrócili do siebie i przestali być dźwiękiem Kefasowych ust i szelestem anioła oceniającego jego wargi, znowu siedzieli na ziemi, na podwiniętych nogach, naprzeciw Jezusa, i czekali na Jego odpowiedź, od której słusznie uzależniali dalsze Jego i swoje losy. Rabbi powinien teraz – takie było ich jednomyślne przekonanie – podnieść się z ziemi i biorąc niebo na wiarygodnego świadka, obwieścić początek czasu uświęconego, a na słowa Jego, na które czekali wszyscy synowie Boga Żywego, ziemia powinna odpowiedzieć drzeniem, niebo błyskawicami, a lud podniesieniem miecza przeciw Romie, grzesznicy narodów! Według tradycji izraelskiej przyjście Mesjasza miało być poprzedzone klęskami, które spaść miały jak bicz na cały naród.

Uczeni w Piśmie Świętym nazwali te bolesne doświadczenia bólami porodowymi Mesjasza. A czy te boleści już się nie rozpoczęły? Czy lud nie jęczy pod rzymską przemocą? Czy mało jeszcze klęsk spadło na naród? Czy ciało jego nie drży jak ciało rodzącej niewiasty? Czy dusza jego nie krzyczy o zmiłowanie Boże? Wszystko odbyło się inaczej. Jezus nie podniósł się z ziemi – siedział z głową pochyloną ku prawemu barkowi – ziemia nie zadrżała, a błękitne niebo nie rozgorzało

błyskawicami. Od Hermonu ciągnął wiatr przesycony zapachem ziół, gałęzie figowca kołysały się obojętnie, a z doliny dochodził szum wartko płynących strumyków, zasłuchanych w swoje miłodźwięki i nieczułych na wszystkie inne głosy.

Jezus zbliżył się do brzegu, który mógł teraz z łatwością przekroczyć. Nie przekroczył. Wiedział, że cały dom Izraela czekał na to jedno słowo: Mesjasz! Na to hasło lud chwyciłby za broń przeciw Rzymianom, a wraz z ludem bez chwili zastanowienia ruszyliby do walki apostołowie. Jezus znał ich porywczosć, przywiązanie do wolności, umiłowanie ojczyzny – i po cóż ukrywać? – ich żywiołową nienawiść do Rzymian, do prokuratorów, którzy wielokrotnie w okrutny sposób dawali się we znaki Galilejczykom, do Samarytan, do pogan. I cóż by wówczas pozostało z Jego nakazów o przebaczeniu, miłosierdziu i miłowaniu wrogów? Czy wody zbawienia mają być wodami rzeki? Czy Obietnica ma być zbawieniem dla jednych, a zagładą dla drugich? Czy Mesjasz ma ożywiać, czy zabijać?

Rzekł do nich głosem rozkazującym, w którym nie było gniewu, gwałtowności, ognia; był to głos surowy, bezlitosny rozkaz stanowiący granicę, wytyczoną palcem Elohim i okalającą święty okrąg ziemi nietykalnej:

– Nakazuję wam surowo, abyście tego o mnie nikomu nie mówili.

Posmutnieli. Nie powiedział im, czy jest, czy nie jest królem namaszczonego, Pomazańcem. Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Więc kim właściwie jest Jezua ben Josef z Nazarethu?

Kefas, usłyszawszy nakaz, już powoli podnosił głowę, aby odsłonić przed Jezusem pochmurną twarz, gdy nagle usłyszał głos Rabbiego, mówiącego do niego słowa, będące potwierdzeniem, rozszerzeniem i uzupełnieniem słów, które ongi wypowiedział do niego nad Jordanem, w dniu ich pierwszego spotkania, tym razem poprzedzone uroczystym błogosławieństwem:

– Błogosławiony bądź, Symeonie ben Jona. Nie objawiły ci tego ciało i krew, ale mój Ojciec, który jest w niebie. Oto mówię do ciebie: Ty, Skąło, jesteś Skąłą, a na tej Skale – pamiętasz moją przypowieść o domu budowanym na skale? – postawię mój Dom Zgromadzenia i bramy piekielne nie przemogą go. Tobie również dam klucze Królestwa Niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie także związane w niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, także będzie w niebie rozwiązane.

Zdumiony Kefas trwał w postawie pochylonej, uginając się pod ciężarem równie radosnego, jak i trudnego błogosławieństwa. Apostołowie siedzieli milcząco i osowiali. Poza potwierdzeniem natchnionego charakteru słów Kefasa – o czym nie wątpili – i nałożeniem na niego kamiennego posłannictwa, które zresztą wynikało

z jego kamiennego imienia, nic takiego nie usłyszeli z ust Jezusa, co by im pozwoliło rozsypać Jego Tajemnicę. Siedzieli więc z pochylonymi głowami na znak zgody na wszystko, co Jezus powiedział i – czego nie powiedział, i tak siedząc, pytali w swoich stroskanych wnętrzach:

– Kim właściwie jest Jezua ben Josef z Nazarethu?

Idź precz ode mnie, szatanie!

Była noc. Chłodem wiało od gór. Siedzieli dokoła ogniska otuleni w opończe. Pochłonięci wspaniałością księżycowej poświaty, stojącej nad śnieżnym grzbiem Hermonu, rozpoznawali dokładnie w nocnej ciszy szum dwóch strumyków, które płynąc z przeciwnych kierunków łączyły się z sobą poniżej płaskowzgórza w potok, spadający wartko na południe dnem kamienistej rozpadliny. Jeden z nich szeptał lirycznym i lęklwym szumem, przypominającym szelest liści, drugi natomiast, o metalicznym brzmieniu, łaskotał po kamieniach, niecierpliwy i spieniony – zaprawdę była to rozmowa oblubieńca z oblubienicą zstępującą z gór Libanonu – a ich dźwięki z sobą splecione ożywiały górską samotność, która wypełniona głosami wód, nabożnie wsłuchiwała się w hymn śpiewany przez dwa strumienie na chwałę miłości, tego płomienia Pańskiego, mocnego jak śmierć.

Podczas gdy apostołowie pod wrażeniem tej nocy poczęli szeptem odmawiać „Pieśń nad pieśniami”, Jezus, pozostawiwszy uczniów wdzięcznemu zasłuchaniu, westchnął i pochylił głowę. Jeszcze się zastanawiał. Jeszcze się wahał. Może powinien zaczekać? Może przedwcześnie przywiódł ich w to odległe ustronie, aby bez niepożądanych świadków i tylko przed obliczem El Szaddaja, wszechpotężnego Pana ośnieżonych gór, dokonać aktu świętego Przygotowania? Nie. Musi ich porazić nagłą błyskawicą, bo nie udźwigną brzemienia zbliżających się wypadków, które zwałą się na nich jak obsuwająca się góra. Są nie przygotowani, nie przygotowani, nie przygotowani! Nie wolno Mu dłużej patrzeć na ich niezdarną bezradność i oszczędzać ich niewiedzy! Muszą oswoić się z tym, czego nie wiedzą i czego nadal, do pewnego czasu, wiedzieć nie będą. Muszą przerazić się tym, czego nie przeczuwają, a przeczuwając, odpychają od siebie jak złowróźbny sen. Muszą zadrzeć przed ostateczną Koniecznością.

Począł cofać się w kolistym czasie ku przyszłości, a gdy znalazł się w jej samym środku, w oku jej oka, ujrzał się otoczony zgrają szyderców, kołem naśmiewców, wzgardliwie potrząsających głowami i wykrzywających wargi, i wtedy postanowił przekroczyć pierwszy próg Obietnicy i ujawnić apostołom, że dla zbawienia ludzkości wyniszczy się przed całym domem Izraela, ogołoci się z wszelkiej chwały

Pańskiej i opuszczony przez Boga, wedle słów Psalmisty: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił”, będzie cierpieć, cierpieć, cierpieć aż do najdalszych granic cierpienia, bo tylko za pomocą cierpienia ciała i krwi dokona świętego odkupienia i oczyszczenia synów człowieczych i objawi się w pełni chwały Bożej, z koroną Boga na pokrwawionym czole. Drżał ludzkim lękiem, który przeszywał jego ciało, ścinał krew w żyłach i lodowatą falą wdzierał się do serca. Apostołowie sądząc, że drży z zimna, dorzucili nieco gałęzi do ogniska i dmuchaniem starali się rozniecić dogasający żar. Jezus z trudem panował nad okrutnym bólem, który szarpał Jego wnętrze. Zawieszony na krwawiących nadgarstkach i stopach, starał się znaleźć oparcie na drewnianym kołku i wyprężony kurczowo, przyciskając plecy do krzyża, trwał w rozpaczliwym znieruchomieniu, ale była to ulga tylko chwilowa i pozorna, bo napięte mięśnie, zmęczone wysiłkiem, szybko wiotczały, traciły prężność i przenosiły cały ciężar ciała na przebite ręce i nogi, spuchnięte i zsiniałe, a ból jak rozpalony ołów wlewał się do Jego przelyku, do piersi, brzucha, rozsadzał czaszkę, wypełniał każdą komórkę, tkankę, nerw, huczał w uszach, przekrwawiał oczy; i wtedy Jezus, nadludzkim wysiłkiem wyrzuciwszy z siebie głęboki wydech, aby wraz z nim wydalić z płuc kłęb powietrza ciężkiego jak kamień, znowu w beznadziejnym szukaniu ulgi przywierał plecami do krzyża. Słyszał jęk apostołów modlących się o wybawienie Go od cierpienia. Jego spieczone, półotwarte wargi zacisnęły się, w oczach błysnął niepohamowany gniew przeciw wszystkim, którzy ośmielają się odwozić Go od męczeństwa, od świętej litery Taw, mającej kształt krzyża i nakreślonej na czołach ludzi, którzy będą zbawieni, według słów Jahwe, wypowiedzianych w Zwojach Jechezkeła do męża odzianego w lnianą szatę: „Przejdź przez środek miasta, przez środek Jerozolimy, i nakreśl literę TAW (t) na czołach mężów, którzy wzdychają i biadają nad wszystkimi obrzydliwościami w niej popełnianymi”. Wstąpi na literę TAW w kształcie krzyża – żadna moc ludzka nie może Go powstrzymać od tego wstąpienia – figury czteroramiennej, której czteroramiennosc jest odbiciem ruchomego tronu Jahwe, Merkabah, odbiciem podobieństwa do czterech istot o czterech twarzach i czterech skrzydłach, na czterech kołach, toczących się równocześnie w czterech kierunkach, zaprawdę, odbiciem krzyża, świętej litery TAW, najdosłowniej, czteroramiennego tronu Pana. Będzie cierpiał cierpieniem odkupującym i oczyszczającym, ukrzyżowany ku wschodowi i zachodowi, północy i południowi, rozdarty w cztery strony świata na ruchomym tronie Jahwe, na Merkabah, wprawdzie głęboko wbitym w ziemię, ale mimo to pędzącym z łoskotem przez świat – nieruchomosc Pana jest w wiecznym ruchu – i każdą kroplą swojej krwi płacić będzie za grzechy synów człowieczych, jedną kroplą za jeden grzech, wyleje zatem ze swoich żył rzeki krwi, płynące

z niewyczerpanych źródeł wieczności, i biada, po trzykroć biada śmiałkowi, który z powodu niegodziwego współczucia będzie Go powstrzymywał przed wstąpieniem na czteroramienny, nieruchomo-ruchomy tron Elohim. Stary midrasz, zapisany w pamięci ludu, opowiada, że na szczycie góry Moria, podczas przygotowań patriarchy Abrahama do ofiary, którą miał złożyć ze swojego syna Jicchaka, zjawił się nieznany mąż, pochylił się nad chłopcem i szeptem powiedział do jego ucha: „Słuchaj, Jicchaku, synu Abrahama, twój ojciec zamierza cię teraz zabić i ofiarować swojemu Panu, zazdrosnemu Jahwe. Ratuj się! Uciekaj!” Tak rzekł ów nieznany mąż, a mały Jicchak ujawnił jego słowa przed obliczem ojca, który odpowiadając synowi rzekł: „Synu mój jedyny, synu ukochany, miej się na baczności przed mężem szeptającym, albowiem jest szatanem i pragnie nas odwieść od rozkazów Jahwe i pomieszać Jego zamiary”. To rzekłszy Abraham przeklął szatana, który uciekł. Taka jest treść starego midraszu.

Jezus podniósł się z ziemi, a za Nim podnieśli się apostołowie, od strony Hermonu powiał wiatr, zaszeleścił w trawie, zatrzepotał płomieniami i wyrzucił ku górze snop iskier. Apostołowie stali oddzieleni od Rabbiego ogniskiem, chroniącym ich przed napastliwą świętością, i radzi byli sprzyjającemu im wiatrowi, który, podrywając ku górze płomień, tworzył między Mężem a nimi żywą przegrodę ognia.

Jezus zwracając się do nich rzekł:

– Niechaj ujrzy ten, kto ma oczy, i usłyszy ten, kto ma uszy. Syn Człowieczy musi iść do Jeruzalajim Hakodesz i musi wiele wycierpieć od starszyzny, przedniejszych kapłanów i uczonych w Piśmie Świętym, i będzie zabity, i trzeciego dnia zmartwychwstanie.

Cofnęli się o krok. Zdawało im się, że ognisko dzielące ich od Jezusa wali się na nich ciężarem swoich płomieni, przygniata ich, podpala i palących grzebie pod sobą. Co mówił Jezua ben Josef? Że musi iść do Jerozolimy? Że musi wiele wycierpieć od kapłanów i uczonych? Że będzie zabity? Co to wszystko znaczy? Dlaczego musi wiele cierpieć? Dlaczego ma być zabity? Kto Go zabije? Zmartwychwstanie zmarłych nastąpi przecież po przyjsciu Mesjasza, więc dlaczego mówił o trzecim dniu? Co to za trzeci dzień? Wprawdzie końcem człowieka jest śmierć, Rabbi jednak niechaj żyje po najdłuższe lata, niechaj Jego dni i lata będą przedłużone i niechaj Pan Najwyższy, Wiekuisty otoczy Go opieką i ochroni przed wszelkim cierpieniem. Amen. Amen. Amen.

Trwoga, zdziwienie, niepokój, rozpacz, udręka, gorzka, żal – wszystkie te uczucia kłębiły się, szamotały i kipiały w Dwunastu, tworząc w ich duszach chaos, z którego bezskutecznie szukali wyjścia. A może powinni Go spytać i prosić o wytłumaczenie

niezrozumiałych dla nich słów? A może powinni milczeć i w pokorze przyjąć niezrozumiałą wypowiedź w tym brzmieniu, w jakim ją usłyszeli, i nie wdzierać się w niewypowiedziane i ukryte? Jedno i drugie nie było żadnym wyjściem. Pytanie mogło się wydawać Rabbimu próbą brutalnego wtargnięcia w obszar uświęcony Obecnością Jahwe, a milczenie było jeszcze jednym bolesnym bodźcem do dalszych, bezcelowych rozmyślań. Ponieważ żaden z nich nie miał odwagi spytać, a milczeć nie chcieli, utkwili przynaglające spojrzenie w Kefasie, w Kamieniu, który, kto jak kto, ale przecież właśnie on Kamień, ustanowiony przez Jezusę ben Josef, klucz otwierający i zamykający niebo, powinien zdobyć się na odwagę, wystąpić przed nich wszystkich i spytać: – Rabbi, powiedz nam, dlaczego masz cierpieć od kapłanów i uczonych i dlaczego masz być zabity, i co oznaczają słowa o Twoim zmartwychwstaniu, mającym nastąpić dnia trzeciego? Powiedz nam, wyjaw nam całą prawdę, bo przecież cierpienie jest karą za grzechy, a Ty nigdy nie popełniłeś żadnego grzechu. Dlaczego więc masz cierpieć? Dlaczego masz cierpieć za grzechy nie popełnione?

Kefas zanurzył dłoń w brodzie i przebierał w niej palcami. Był to obrazowy gest kłopotliwego zamyślenia. Nie chciał o nic pytać. Nie chciał wiedzieć, dlaczego Jezusa ben Josef musi cierpieć, dlaczego ma być zabity i co oznacza trzeci dzień. Nie pożytał żadnych wyjaśnień. Było w nim tylko jedno uczucie: gwałtowny lęk o przyszły los Rabbiego. Zapowiedź była tak przerażająca, że należało gorąco jej zaprzeczyć, odrzucić ją, przekreślić, wymazać, aby nie pozostało po niej ani jedno słowo, ani jedna litera, ani jeden dźwięk; a przede wszystkim należy wezwać pomocy Elohim przeciw złym siłom czyhającym na Jezusę ben Josef i błagać Pana, aby otoczył Go opieką i poraził Jego nieprzyjaciół według słów Psalmisty: „Niechaj się zawstydzą i niechaj szeszna, którzy czyhają na moją duszę, niech się okryją hańbą i zelżywością, którzy pożądamy mojego nieszczęścia”. Podszedł więc do Rabbiego, ujął Go za rękę, odprowadził nieco na bok, poza krąg dopalającego się ogniska, i przemówił współczującym szeptem:

– Oby Cię, Panie, Elohim zachował od wszystkiego złego. Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie.

Twarz Jezusa rozpalila się gniewem, nozdrza zadrgały, dłonie zacisnęły się kurczowo. Kefas, Kamień umiłowany, kusi Go ucieczką przed cierpieniem? Przed wstąpieniem na czteroramienny, nieruchomo-ruchomy tron Elohim? Kefas, Skala, na której stanie Dom Zgromadzenia, szeptem odwodzi Go od Obietnicy, jak ów szatan szeptał przed wiekami na górze Moria do ucha małego Jicchaka? Kefas buntuje Go przeciw Ojcu, jak ongi szeptał szatan buntował Jicchaka przeciw Abrahamowi? Kefas? Kefas, szeptem mówiący? Kefas szeptem wabiący? Kefas,

szeptem zwodzący? Kefas, nęcący Go nędznym współczuciem, marną litością, miłosierdziem przeciwnym ustanowionym nakazom Pana?

Jezus wykonał dłonią w kierunku Kefasa odrzucający, niecierpliwy ruch i zawołał podniesionym głosem:

– Idź precz ode mnie, szatanie! Jesteś mi zgorszeniem, bo nie myślisz o tym, co Boskie, ale o tym, co ludzkie!

Strach począł jak wąż owijać się dokoła nóg Symeona ben Jona, dokoła jego tułowia, rąk, szyi, głowy. Rybak, nie mogąc się poruszyć, stał jak w ziemię wryty. Spętany. Bezwolny. Tylko serce łomotało w piersiach. Był to jedyny znak życia w jego ciele.

Jezus, zwracając się do apostołów, rzekł tonem rozkazująco-upominającym:

– Jeżeli ktoś chce iść za mną, niechaj się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, i niechaj idzie za mną. Albowiem ten, kto chce życie swoje ocalić dla spraw ziemskich, utraci je, ale kto życie utraci dla mnie, ocali je na całą wieczność. Cóż pomoże człowiekowi, jeżeli cały świat pozyska, a szkodę poniesie na swojej duszy? Bo cóż może dać człowiek w zamian za duszę swoją? Kto by się wstydził mnie i słów moich przed tym wiarołomnym i grzesznym plemieniem, tego Syn Człowieczy także wstydzić się będzie, gdy przyjdzie z aniołami swoimi w chwale swojej. Wtedy odda każdemu według jego uczynków.

To rzekłszy, pomodlił się, ułożył się przy ognisku i owinął płaszczem. Apostołowie bezładnie odmówili modlitwę wieczorną, po czym również ułożyli się na ziemi, a ponieważ uważali, że w takiej chwili nie wolno im uciekać od rzeczywistości do snu, bezsennością uczestniczyli w nieszczęściu Kefasa, który usiadłszy na uboczu, z twarzą ukrytą w dłoniach, pograżył się w smutku. Krzyczącym, skłębionym tłumem tłoczyły się do ich świadomości pytania, niektóre z nich porywcze, podstępne, inne rozbijającą proste, wręcz dziecinne, inne błagalne, pokorne. I znów w najrozmaitszych układach powtarzały się pytania: Dlaczego? Co to znaczy? W jakim celu? Dlaczego uniósł się gniewem przeciw Kefasowi? Dlaczego nazwał go najniższym imieniem? Dlaczego i w jakim celu każdy spośród nich ma dźwigać swój krzyż, znak haniebnej śmierci? Co znaczy, że Jezua ben Josef przyjdzie ze swoimi aniołami – czyżby posiadał jak Pan Najwyższy zastęp własnych aniołów? – i będzie sprawował sąd nad synami człowieczymi? Minęły już dwie straże nocne, a pytania te z niezmienną natarczywością krążyły nad apostołami jak czarna, żarłoczna szarańcza. Prawdopodobnie długo by jeszcze trwały, może nawet do samego świtu, te stłumionym szeptem wypowiedane pytania i dociekania, gdyby nie małomówny Filip z Bethsaidy, który półgłosem zacytował werset z mądrych Zwojów Koheleta: „Ci, którzy nie rozumieją, czynią zło. Nie mów szybko

i niechaj serce twoje zbyt pospiesznie nie wypowiada słów przed obliczem Pana, albowiem Pan jest w niebiosach, a ty jesteś na ziemi. Dlatego mało używaj słów. Jak po wielkiej pracy sen przychodzi na człowieka, tak po mnóstwie słów przychodzi głupia niedorzeczność” – i wtedy spłynęło na nich senne znużenie, i usnęli twardym snem.

Nie spał tylko Kefas, który siedząc na uboczu, nie uczestniczył w półgłosnej rozmowie apostołów, i nie spał również Juda z Kerijoth, któremu przypadło w udziale nocne stróżowanie; właśnie kijem rozgrzebywał żar w ognisku, cisnął weń garść suchej trawy, a gdy się zajęła jasnym płomieniem, dorzucił kilka gałęzi, po czym usiadł na ziemi, oparłszy się plecami o pień figowca. Kefas był wdzięczny towarzyszom, że uszanowali jego samotność i nie wciągając go do wspólnych rozważań pozwolili mu samodzielnie zastanowić się nad powodem i skutkami nieszczęsnego zdarzenia. Nie wątpił, podobnie zresztą jak apostołowie, o słuszności wyrzutów Rabbiego i również, jak i oni, nie mógł odnaleźć powodów, dla których uniósł się On gniewem i nazwał go imieniem nicości. Nie rozumiał, dlaczego – znowu to natrętne pytanie: dlaczego? – nie myśli po Bożemu. Przecież nic złego nie życzył Rabbemu, bo czy mógł źle życzyć błogosławnemu Mężowi, za którym posłusznie poszedł – wprawdzie po krótkim wahaniu, ale poszedł – jak owca za pasterzem i porzucił dla Niego córkę, dom, łódź i sieci? Nie chciał, aby cierpiał. Nie chciał, aby Go zabili. Chciał, aby żył po najdłuższe lata – niechaj oko Elohim zawsze czuwa nad Jeszua ben Josef! – aby nauczał, cudownie uzdrawiał synów człowieczych i zbawiał ich od zła. Czy Rabbi chciał, aby Mu życzył prześladowań i śmierci męczeńskiej? Aby błogosławił Jego cierpienie i śmierć? Aby czekał na Jego cierpienie i śmierć? Czego właściwie chce Rabbi? – z rozpaczą wołał w swoim sercu Kefas. Z początku Rabbi spytał apostołów, za kogo Go uważają. Gdy idąc śladem tego pytania, zaszedł, jak po nitce do kłębka, do środka Tajemnicy – tak mu się przynajmniej zdawało – i w natchnionym uniesieniu zawołał w imieniu Dwunastu, że jest Mesjaszem, Rabbi ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył i tylko kazał im milczeć, i nałożył pieczęć na ich usta. Potem, wzywając go nowym imieniem, pobłogosławił go, przyświadczył prawdzie jego natchnienia i zapowiedział, że na nim, na Opoce, zbuduje Dom Zgromadzenia, a na dodatek dał mu klucze Królestwa Niebieskiego – jakby troska o Dom Zgromadzenia była małym brzemieniem – chociaż on, Symeon ben Jona, nie uważa się wcale za męża godnego tego nadzwyczajnego i kłopotliwego wyróżnienia, przeciwnie, w każdej chwili może wskazać wśród Dwunastu na męża bardziej godnego zaszczytu dźwigania na sobie Domu i otwierania, i zamykania bram Królestwa Bożego. A wreszcie, gdy przerażony wizją cierpiącego Jeszuy ben Josef błagał Pana o opiekę nad Rabbim,

Rabbi uniesiony gniewem przepędził wiernego apostoła i nazwał go imieniem obrzydliwości. Więc czy na szatanie zbuduje Dom Zgromadzenia i szatanowi odda klucze Królestwa Niebieskiego?

Symeon ben Jona, aczkolwiek niczego nie rozumiał, poczuł się winny, ponieważ winnym uznał go Jezua ben Josef. I zapłakał wtedy gorzko nad swoją niewinną winą. A Juda z Kerijoth, słysząc, jak Symeon ben Jona płacze, pomyślał:

„Teraz już wiem, kto spośród apostołów jest szatanem”. Kijem rozgrzebał dogasający żar i wrzucił weń kilka garści trawy. Ognisko zatrzepotało płomieniem jak rozsierzony kogut skrzydłami.

Juda z Kerijoth, włodarz przebiegły

Kefas usnął znużony płaczem i rozterką. Wszyscy spali. Strumyki szumiały coraz ciszej, a śnieg, leżący na szczytach Hermonu, zgasił swą olśniewającą biel, aby nie rozpraszać ciemności, które Elohim stworzył dla spoczynku wszelkiego stworzenia, a nie dla świetlnych rozrywek, zakłócających nadmiarem piękności porządek nocy.

Juda z Kerijoth, nie ruszając się z miejsca, znów dorzucił kilka gałęzi do ogniska i z zadowoleniem stwierdził, że spośród wszystkich zawilości, które go dręczą, jedna zawilość została wreszcie szczęśliwie rozwiązana: szatanem jest Symeon ben Jona, jak to oświadczył przed wszystkimi apostołami Jezua ben Josef. Judzie po tym oświadczeniu zrobiło się lekko na sercu. Odprężenie to przyprawiło go o dobry nastrój, nieomal o radość, a było to samopoczucie człowieka, którego nagle ominęło wielkie niebezpieczeństwo dzięki niesłuchanie pomyślnemu zbiegowi okoliczności, tak pomyślnemu, że aż przyprawiającemu o zawrót głowy. Ale cóż to było za niebezpieczeństwo? Czy popełnił grzech? Czy mu coś groziło? Juda w roztargnieniu zadzierał głowę do góry, poruszał wargami, wykonywał dłońmi sumę pytających i odpowiadających ruchów – prawa ręka pytała, lewa odpowiadała – ale ta nocna rozmowa rąk była bezskuteczna, bo nie wyjaśniła Judzie przyczyny jego minionej udręki. Był zadowolony, nie wiedząc, dlaczego jest zadowolony. Był to stan przedziwny i dobrze przylegał do warunków i okoliczności, w których Juda się znalazł. Właściwie wszystko w nim i dokoła niego stało się niezrozumiałe, więc i radość, którą przeżywał, uległa prawom niezrozumiałości. Od czasu owego nieszczęsnego święta Pesach, spędzonego w Kfar Nahum – czy to był Pesach? Radosny Pesach? Każdy Pesach spędzony poza Jeruzalajim Hakodesz nie jest wcale Pesachem i nie przymierzając jest jak ślub na cmentarzu – otóż od owego radośnie-żałobnego święta to, co było lepsze w najbliższym otoczeniu Judy, stało się gorsze, a to, co było półjasne, stało się na pół ciemne, jakże zatem nie załamywać rąk nad

smutnym czekaniem, nad dreptaniem w jednym miejscu, nad trwaniem, które do niczego nie zbliża?

Dłonie Judy z Kerijoth wciąż poruszały się w powietrzu, tylko teraz na zmianę lewa ręka pytała, a prawa odpowiadała. Pożal się Boże, co to były za pytania i co to były za odpowiedzi! To nie były pytania i nie były odpowiedzi, lecz to był jeden wielki lament nad Mesjaszem, który się nie zjawił, nad Jezua ben Josef, który mówi ciemnymi słowami o swojej męczeńskiej śmierci i grozi apostołom haniebną śmiercią na krzyżu, nad apostołami, którzy stracili już wszelkie rozeznanie, kim jest Rabbi – Symeon ben Jona, nie wiedząc, co gada, krzyczał, że Rabbi jest Mesjaszem, aż wreszcie Juda, wyczerpawszy cały zapas żalów nad Mesjaszem, Rabbim i apostołami, począł uzalać się nad samym sobą, nad swoim godnym litości położeniem, nad niecierpliwością serca, które już dłużej nie umie czekać, nad strzępami swoich nieureczywistnionych snów, nad swoim zwątpieniem, które go bolało, i nad zazdrością, którą czuł w sercu z powodu niezachwianej, mimo wszystkich niepowodzeń Rabbiego, wiary apostołów. Juda walczył ze swoim zwątpieniem, kiełzał je w sobie, potępiał, ujarzmił, zresztą bezskutecznie, bo rosło ono w nim jakby bez jego współdziałania, jakby się z zewnątrz wdzierало do jego nerek i wątroby. Zatrzaszkiwał bramy swojego wnętrza, zamykał je na skoble, podpierał pniakami, jak się podpiera walący się mur, mimo to zwątpienie bez wysiłku usuwało te wszystkie przeszkody i wchodziło w głąb jego jestestwa jak zwycięskie wojsko do zdobytego miasta. Ponieważ apostołowie, podobnie jak on, niewiele wiedzieli – Juda uważnie wszystkiemu i wszystkim się przyglądał, a jego oczy spod ciężkich powiek wiele, wiele widziały – i mimo to wierzyli, ostatni z powołanych apostołów czuł do nich żal z powodu ich ślepej wiary, a potem ogarnęła go zazdrość, że jego towarzysze, nie umiając wierzyć, dobrze wierzą, a on, nie umiając wierzyć, źle wierzy. Czyżby tkwiła w nich dobra skłonność, a w nim tkwiła zła skłonność? To robaczywe przypuszczenie żarło go od dłuższego czasu, budziło go ze snu przyspieszonym biciem serca, podczas modlitwy mieszało porządek jego prośb, podsuwało mu podejrzenia i domysły, od których włosy jeżyły się na jego głowie.

Uderzył się dłonią w czoło. Już wie! Już wie! Już wie! Olśniła go radosna świadomość! Już wie, dlaczego podskoczyło i zaklaskało jego serce na głos Jezuy ben Josef, świadczącego głośno i przed wszystkimi uczniami, że Symeon ben Jona jest szatanem! Przecież Rabbi orzekł w swoim wyroku, że spośród Dwunastu tylko w Kefasie przebywa szatan, więc jeżeli w Kefasie przebywa szatan, to przebywa w Kefasie również zła skłonność, wąż kuszący i usidlający, zgorszenie pełzające, bez którego zła moc nie wejdzie w synów człowieczych i nie usiądzie w nim jak na tronie

zatracenia. Więc niesłuszne i bezpodstawne są obawy biednego Judy! Nie w Judzie tkwi zła skłonność, ale zła skłonność tkwi w Kefasie! Tak! Tak! Tak! Teraz Juda wszystko rozumie! Wszystko! Juda jest czysty, ma dobrą wolę, nie zanieczyszczoną żadnym mułem zła, a zamęt, który w nim panuje, jest zamętem błogosławionym, bo bierze swój początek z troski o prawdę i świętość Domu Pańskiego. Najlepiej będzie, jeżeli o świcie, po modlitwie porannej podejdziesz do Jezuy ben Josef, ucałuje frędzle Jego szaty – Juda wielokrotnie czuł na sobie życzliwe spojrzenie Rabbiego – wyjawi Mu wszystkie swoje udręczenia, wszystkie, i nie ukryje ani jednego udręczenia, i wyleje przed Nim wszystkie wątpliwości, jak się wylewa stęchlą wodę z dzbaną, i spyta Go, kiedy się zjawi Pomazaniec i kiedy apostołowie Dobrej Nowiny staną się apostołami Mesjasza, i kiedy z Nim razem spożywać będą lewiatana, śpiewać radosne pieśni i naigrawać się z pokonanych Rzymian, usługujących im do stołu. A może lepiej nie pytać? A może lepiej milczeć? Nieostrożny Symeon ben Jona nie milczał i spotkało go wielkie nieszczęście. A może byłoby lepiej skorzystać z jakiejś dogodnej sposobności i pomówić za plecami Męża Bożego z apostołami, współtowarzyszami losu i powołania? Nie, nie powinien o nic pytać Jezuy ben Josef ani nie powinien wtajemniczać w swoje troski apostołów. Najrozsądniej uczyni, jeżeli zamknie się w sobie przed spojrzeniami obcych ludzi, z nikim nie będzie się poufalił, a powróciwszy do swojej bezpiecznej niewidoczności, bacznie będzie podsłuchiwać i podpatrywać otoczenie, Jezusę ben Josef, apostołów, faryzeuszów i wysłanników arcykapłana; a nuż słuszność jest po stronie arcykapłana, a nuż słuszność jest po stronie faryzeuszów, a nuż Rabbi nie jest tym, kim powinien być; na wszelki wypadek należy zachować ostrożność i czujność, aby móc w stosownej chwili – oby tylko nie było za późno! – ratować duszę przed pograżeniem jej w przepaści. Bo co będzie, gdy pewnego dnia spełnią się najgorsze przypuszczenia? Bo co będzie, gdy zostanie sam, sam jeden, bez Jezuy ben Josef, bez apostołów, bez swojej nadziei i bez czekania, i bez wypatrywania? Bo co będzie, gdy odarty z nadziei czekania i wypatrywania, bezdomny, bez pieniędzy, bez kęsa chleba, stanie w Jerozolimie i nie będzie miał dokąd iść i dokąd wracać, i gdzie się przespać, i co włożyć do głodnych ust? Co wtedy się stanie z żebrakiem Judą z Kerijoth? Kto wtedy poda mu kawałek chleba, kto ulituje się jego doli, kto powie: chodź pod dach mojego domu, cierpiący apostołowie zwodziciela? Będzie handlować? Czym? Pachnidłami? Skąd weźmie na ten cel pieniądze? Idąc za Jezusą ben Josef, rozdał uboższym od siebie cały swój majątek. A może będzie roznosił wodę ze studni do domów jerozolimskich bogaczy? Na to już nie ma sił w trzepocącym sercu i w spuchniętych nogach. Nie pozostanie mu nic innego, jak tylko żebrać. Żebrać? Żebrać? Żebrać? Stać na Dziedzińcu Pogan z wyciągniętą ręką? On, Juda ben Symeon z Kerijoth,

będzie żebrakiem? I będzie skomlał, jęczał, płakał i wyciągał ręce, aby zwrócić na siebie uwagę obojętnych przechodniów? A może nawet będzie ich chwytając za skraj płaszcza i szarpał za rękawy? On, który dumny był ze swojej pokornej niewidoczności? On, który ze swojej niewidoczności uczynił sobie gniazdo bezpieczne? On, który był w siódmym niebie, ilekroć mógł samotnie odprawiać kidusz nad winem w dzień Szabatu, na chwałę Jahwe Cebaoth? Nie! Nie! Nie! Nigdy nie będzie żebrał! Nigdy! Wykonał obiema rękami przeczące ruchy i spojrzał na stojącą obok na ziemi skrzynkę z pieniędzmi, których był włodarzem z woli Jezusa i apostołów. Powinien być przebiegły i przewidujący. Wyciągnął się na ziemi, pod głowę podłożył rękę, patrzył w niebo. „Grzechem jest kogokolwiek oszukiwać, nawet poganina” – głosi mądrość mędrców Izraela. Ale czy to będzie kradzież? Juda nigdy nie był złodziejem, Juda nigdy w życiu nie sięgał po cudzą własność ani nawet jej nie pożądał chciwym okiem, bo chciwość obca była jego sercu. Miał to, co miał. A ludzie mieli tyle, ile mieli. Nie zazdrościł nikomu majątności. To nie będzie więc kradzież, lecz mądra roztropność włodarza, który musi odłożyć sobie nieco pieniędzy na czarny dzień, gdy nie będzie już sprawował władstwa nad wspólnymi pieniędzmi, gdy nie będzie mógł nosić wody i kopać ziemi, a żebrać będzie się wstydził. Czy taką roztropność Elohim potępi? Czy taką roztropność Elohim ukarze? Czy z powodu takiej roztropności Elohim wysmaga go swoim gniewem? Nie. Nie. Elohim na pewno nie wyleje swojego gniewu na jego głowę, ale uśmiechnie się i powie: Roztropnie postąpiłeś sobie, mój mądry synu, Judo ben Symeon z Kerijoth, pochwalam twój spryt i przewidującą pomysłowość i nic nie mam przeciw temu, jeżeli przeniesiesz nieco denarów – tylko nie za wiele, nie za wiele – ze skrzynki, którą włodarzysz, do swojego mieszkania, który nosisz za pasem. Tak powie Elohim i uśmiechnie się, a wraz z Nim uśmiechną się gwiazdy, a z gwiazdami uśmiechną się niebiosy.

Świtało. Spoza wzgórz buchnęła ognista zorza. Juda począł ostrożnie przysuwać rękę ku skrzynce.

Hermon

Kilka następnych, niezwykle skwarnych dni – był miesiąc aw, w którym słońce najmocniej przygrzewa – spędzili na modlitwie i na rozmyślaniach. Jezus w owym czasie szczególną serdecznością wyróżniał Kefasa, odbywał z nim przechadzki po okolicy, a podczas rozmów nigdy nie wracali myślami do smutnego zdarzenia, które zblizniało się w pamięci Kefasa i apostołów, aż wreszcie przeobraziło się we wspomnienie o znacznie złagodzonej treści, pozbawionej posmaku ostrej nagany.

Kefas odzyskał, mimo przeświadczenia o swym niezręcznym współczuciu, równowagę i pogodę ducha, a apostołowie nie upatrywali już więcej w słowach Jezusa gniewnego potępienia niefortunnego miłośnika.

Podczas licznych przechadzek podziwiali górski krajobraz, a przede wszystkim ogromny Hermon, a podziwiając pogłębiali swą wiedzę o potężnych dziełach Pana, który kochał góry jako miejsce położone blisko nieba – przez niebo rozumiemy Obecność Pańską, a przez góry wysokość wzniesioną nad powszedniość, nad nędzę naszego życia, doskonałość osiągalną za pomocą nieprzerwanego ruchu naprzód i w górę. To zamiłowanie Pana do ruchu naprzód i w górę wpłynęło prawdopodobnie na kształt ziemi, którą zbudował – według uczonych izraelskich – na podobieństwo wysokiej góry, i dzięki temu wyniesieniu nasza ziemna siedziba nie została w całości zalana przez wody potopu. Pan niektóre góry, zwłaszcza te, które przeznaczył dla swoich Objawień, łączył z sobą, rozmnażał, jedną tworzył z drugiej. Jak opowiada jeden z midraszów, Elohim przeniósł na daleką pustynię część góry Moria, na której Abraham zamierzał ofiarować Jicchaka – ta góra była bliska sercu Pańskiemu, bo na niej wznosił się Abraham nad przyziemną powszedniość i wstąpił do okręgu świętego – i z jej kamiennych ułamków, jak kobietę z żebra praojca Adama, stworzył górę Synaj, miejsce swojego Prawodawstwa. Do świętych gór Pan zaliczył również Hermon. Była to góra wybrana, o długości około trzydziestu dróg szabatowych, kamienny, rozległy olbrzym o trzech wysokich szczytach, wyraźnie rysujących się na tle nieba o barwie błękitnego kryształu. Liczba trzy, jedna z najbardziej tajemniczych spośród najbardziej tajemniczych, ściśle zrosła się z tą górą i stała się niejako jej myślą przewodnią, a odzwierciedlała się nie tylko w trzech ośnieżonych szczytach, północnym, południowym i najniższym, zachodnim, ale również w trzech źródłach, z których wypływały trzy potężne strumienie, łączące się z sobą na południu w jedną rzekę, w świętą rzekę Jordan, troistą w swojej falującej jedności, domową rzekę Izraela, jego ozdobę i uśmiech. Tę górę, na wschodnim zboczu dziką i nie zamieszkałą, pokrytą stepową roślinnością, na zachodnim gęsto zarośniętą lasami dębowymi, cedrowymi, migdałowymi, figowcami, oliwkami i winnicami, umiłował Elohim wielką miłością, którą wielokrotnie wyrażał za pośrednictwem natchnionych pieśni Dawida i Salomona; a nawet bezpośrednio sam dał dowody swojego gorącego do niej przywiązania, sadząc osobiście cedry na jej szczytach i stokach, co zresztą nie przeszkadzało Mu w porę gniewu bezlitośnie łamać te same drzewa i potężnymi wstrząsami nawiedzać tę piękną krainę. Jest to jeszcze jeden dowód, że Pan niekiedy za pomocą cierpienia doświadcza tych, których miłuje. „Grzmiący głos Pana łamie cedry – śpiewał Dawid – Pan łamie cedry Libanu i sprawia, że Liban skacze jak ciele,

a Syryon – (jest to fenicka nazwa Hermonu) – jak młody bawół.” El Szaddaj, rozmiłowany w troistej górze – każda troistość napełniała Go zadowoleniem i działała na Niego jak zapach nardu – wyposażył ją hojnie w przywilej, jakiego nie posiadała żadna inna góra, położona na wędrownym szlaku ludu Izraela. Przywilejem tym była święta rosa, symbol błogosławieństwa i mocy nieprzewycięzonej, spadająca z góry Hermon na górę Syjon według świadectwa Psalmisty: „Jak rosa Hermonu, spadająca na wzgórza Syjonu”. Wprawdzie góry Moria, Karmel, Tabor również pokryte były w nocy gęstą rosą, jednak tylko rosa z dostojnej góry Hermon spadała na górę Syjon, co było wyróżnieniem niezwykłym i nad wyraz zaszczytnym dla śnieżnego olbrzyma. A jeżeli zważymy, że Syjon jest stolicą Syna Bożego, Mesjasza, a Jahwe w Psalmach i w Zwojach proroka Hosei porównał do rosy samego siebie i Syna swojego, panującego na Syjonie, a jeden z psalmów wyraźnie mówi o rosie Hermonu jako o symbolu mocy arcykapłańskiej, spadającej na Syjon – wówczas w pełni zrozumiemy błogosławione wywyższenie góry Hermon, użyczającej mesjańskiej i arcykapłańskiej rosy królewskiemu Syjonowi, stolicy Syna Bożego, Mesjasza i Arcykapłana w jednej Osobie.

Była już późna noc. Jezus mówiący modlitwę ułożył się do snu, a wraz z Nim ułożyli się do snu apostołowie i wszyscy, zgodnie zasłuchani w trzaskanie ogniska i w szum potoków, usnęli spokojnym snem, a rosa Hermonu spłynęła na nich i okryła ich dusze i ciała.

Przemienienie

Działo się to w skwarne południe szóstego dnia ich pobytu na płaskowzgórzu, położonym między Cezareą Filipa a Hermonem. Jezus zwołał wszystkich apostołów i oznajmił im, że wybrał trzech spośród Dwunastu: Kefasa, Johanana ben Zebadia i jego brata Jaakowa, Synów Gromu, i że poprowadzi ich w miejsce ustronne, na wysoką górę, gdzie w samotności będzie się modlił; następnie polecił pozostałym apostołom udać się na południe, do Galilei, i czekać u ujścia Jordanu do Jam Kinereth, dokąd wkrótce przybędzie z trzema wybranymi towarzyszami podniosłej wyprawy.

Poczęli przygotowywać się do drogi, do głębi przeżywając słowa Jezusa. Przede wszystkim uderzyło ich, że Rabbi, mówiąc o modlitwie w samotności, mówił o swojej modlitwie, a nie modlitwie wspólnej z trzema apostołami. To modlitwne odosobnienie, zastrzeżone z góry i głośno, świadczyło o niezwykłym charakterze mającego nastąpić zdarzenia; o tym, że nastąpi – nie wątpili, bo mieli na to liczne dowody, spośród nich najbardziej uderzającym była liczba trzech wybranych

apostołów, zgodna z trzema szczytami Hermonu, z trzema źródłami i z trzema wartkimi strumieniami, z troistością wód połączonych w jedności Jordanu; nie mniej znamienny był wybór miejsca na modlitwę: wysoka góra, wzniesiona nad przyziemną ziemię, przestrzeń El Szaddaja, z której rozciąga się widok na obszary nieskończone i niewidzialne.

Reszta apostołów z życzliwą zazdrością patrzyła na trzech towarzyszy, przygotowujących się do drogi, i głowiła się nad zagadnieniem, dlaczego właściwie ich wybrał Jezus na świadków swojej modlitwy. Zastanowiły ich pewne zbieżności, zachodzące między trzema wybranymi, jak na przykład bijąca w oczy okoliczność, że Symeon ben Jona i synowie Zebadii obecni byli przy obudzeniu córki Jaira, że Symeon otrzymał od Jezusa nowe imię, a synowie Zebadii wyodrębnieni zostali za pomocą przydomka Bnej Regesz, Synów Gromu. Czy należy z tego wnioskować, że Jezus szczególnie umiłował owych trzech i powołał ich do celów wyższych od tych, które wyznaczył innym apostołom, i uważał, że ci trzej lepiej od reszty zrozumieją sens mającego się dokonać zdarzenia? Rosła w nich zazdrość – życzliwa, ale jednak zazdrość – że jednych umiłował więcej, innych mniej, a gdy do syta nakarmili się zazdrością, przypomnieli sobie ponury los gęsto uwłosionego Esawa. Wprawdzie to ich mimowolne podobieństwo do pokrzywdzonego miłośnika soczewicy było tylko pozorne, bo przecież trzej wybrani nie posłużyli się nienagannym podstępem, jak to uczynił Jaakow, mimo to sama możliwość, że mogli choćby przez chwilę poczuć się Esawami, a trzej wybrani Jaakowami, niezmiernie ich stropiła. Ku swojemu pocieszeniu ujrzeli różnice między sobą a Esawem i trzema apostołami a Jaakowem. Nie chodziło tutaj o sprawy takie, jak na przykład, że Esaw był zapalonym myśliwym, a oni nie zdradzali zamiłowania do łowieckich przygód, albo że Jaakow był narzędziem w rękach swojej matki, przemyślniej Riwkah, a za plecami trzech wybranych nie stała żadna z ich matek. Różnica polegała na zupełnie innych przesłankach. Jaakow i Esaw, chociaż byli bliźniakami, nie stanowili całości niepodzielnej, ale całość rozbitą na bojaźliwego i łagodnego Jaakowa, na którego Pan patrzył okiem życzliwym, i na odważnego i porywczego Esawa, w którym Pan nie znalazł upodobania. Natomiast dwunastu apostołów stanowiło niepodzielną całość, jeżeli zatem Jezus szczególnie umiłował trzech spośród nich, w wybranych umiłował resztę, a w części umiłował całość, a wskutek tego każdy z nich w równej i sprawiedliwej mierze uczestniczył w Jego uczuciach.

Dziwięciu apostołów podniesionych na duchu tym radosnym odkryciem pożegnało się z Jezusem i z Jego towarzyszami. Życzyli sobie wzajemnie dobrej i spokojnej drogi. Dziwięciu ruszyło na południe, ku zarośniętemu papirusami jezioru Merom, rozbrzmiewającemu muzyką kłujących komarów, a Jezus

z Symeonem ben Jona i synami Zebadii poszli w przeciwnym kierunku, ku trzygłowemu Hermonowi. Szli przez stepowe płaskowzgórza, które niespodziewanie urywało się, przecięte szerokim wąwozem jak ostrym cięciem topora. Ostrożnie schodząc w dół, po bazaltowych zboczach, znaleźli się na dnie rozpadliny, na drodze, która z początku wiła się łagodnymi skrętami, a potem, znudzona ospałym pełzaniem, nagłym skokiem wspięła się stromo w górę i odsłoniła przed oczami wędrowców obrastający jej zbocza las starych cedrów, o pniach jak zmarmurzone kolumny, i ośnieżony szczyt Hermonu, który stąd wydawał się filarem podtrzymującym strop nieba. Apostołowie, oczarowani pięknnością krajobrazu, pochwalili Elohim, twórcę wysokich cedrów, Hermonu i nieba, i byli szczęśliwi, że są częścią Jego niezrównanego dzieła. Chętnie by usiedli na kamieniu i pokrzepili oddech czystością powietrza, a serce ciszą górskiego odludzia, ale niestety, Jezus nie zatrzymał się – uderzyło ich, że nie spojrzął na las cedrowy ani na biały szczyt Hermonu – i stawiając pewne kroki szedł bardzo szybko, jakby zamierzał stanąć o określonej godzinie w ściśle wyznaczonym miejscu. „Czyżby był z kimś umówiony?” – zadał sobie pytanie Kefas i natychmiast pomyślał, że na pewno nie przybyli tutaj po to, aby rozkoszować się czystością powietrza, wspaniałą grubością cedrowych pni i śnieżnym nakryciem głowy Hermonu; wyrzuciwszy zatem z serca pragnienie wypoczynku i podziw dla piękna otaczającej przyrody, ruchem głowy dał znak synom Zebadii, aby przyspieszyli kroku i nie pozostawali w tyle. Droga pięła się teraz nieustannie pod górę i stawała się coraz bardziej męcząca. Raz po raz w stromych ścianach wąwozu tworzyły się jakby pod uderzeniami niewidzialnych taranów głębokie wyrwy, z których rozciągał się rozległy widok na doliny, wzgórze i dalekie niziny, parujące mgłą, a wówczas apostołów ogarniał lęk przed wspinaniem się ku nieznanemu celowi, znajdującemu się na zawrotnych wysokościach. Miało się już ku zachodowi, gdy zmęczeni, mokrzy od potu, stanęli na małym, płaskim usypisku, pokrytym piargami, oko w oko z Hermonem, którego szczyt podobny do skamieniałego archanioła ze srebrną koroną na głowie wznosił się nad nimi prostopadle, zaprawdę, czujny strażnik wysokich gór.

Słońce pospiesznie zanurzyło się w morzu niewidocznym teraz nawet dla najbystrzejszego oka z powodu oparów zasłaniających widnokrąg i buchnęło łuną na Hermon, który stanąwszy w płomieniach, gorzał, tryskał iskrami u szczytu pokrytego płachtami śniegu, ział ogniem, i zdawało się, że ta żarząca się masa bazaltu już za chwilę roztopi się i wrzącym strumieniem spłynie w otchłań, gdy znienacka podnóże góry zaczęło ostygnać, gasnąć i ciemnieć, chłodny i gęsty mrok pełzał chytrze ku szczytowi, teraz tłącemu się już tylko jak ogarek, przebiegłe czał

się, krył po rozpadlinach, macając przed sobą niewidomymi czujkami, aż upatrzwszy sposobną chwilę, skoczył, spadł na świetlistą smugę i zdusił ją mokrymi od rosy łapami.

Słońce zaszło. Ciemność zaległa góry.

Jezus oddalił się na odległość kilkunastu kroków i modlił się z rękami założonymi na piersiach, z głową wzniesioną do nieba. Apostołowie sądząc, że ich czuwanie jest zbędne, a nawet może przeszkadza Mu w skupieniu i obciąża Jego podniesienie ku Panu, szybko i szeptem odmówili wieczorną modlitwę i znużeni drogą, ułożyli się do snu i natychmiast usnęli, i spali.

A Jezus modlił się, otaczał się zewsząd swoją modlitwą jak chmurą, która z początku szczelnie Go okrywała, potem poczęła rzednąć, rozcieńczać się, rozplýwać, aż wreszcie całkowicie rozplýnęła się i odsłoniła niewidzialne Światło, Or, w kształcie Jezusowej Postaci, wciąż przybierające, nasycające się samo sobą, coraz jaśniejsze, ognistsze i oślepiające. Nie było to jednak w pełnym tego słowa znaczeniu ujawnienie się Rabbiego czy Jego samoodślonienie. Zjawisko to należałoby raczej nazwać jeszcze jednym ukryciem się Elohim, tym razem w Świetle, i właśnie to ukrycie się mamy na myśli, pisząc o samoodślonieniu się Pana. Pan, który zawsze darzył Psalmistę szczodrobliwą miłością i od czasu do czasu wtajemniczał go za pomocą poetyckich przenośni w swoją ukrytość, pewnego dnia wprowadził go w sens owych niezwykle trudnych do zrozumienia, ukrytych ujawnień w Świetle i podsunął mu obraz – Psalmista natychmiast z niego skorzystał i umieścił go w jednym z psalmów – ściśle oddający istotę świetlnego zjawiska: „Narzuciłeś na siebie światło jak płaszcz”. Światło zatem porównał Psalmista do płaszcza okrywającego Elohim, z czego wynika, że posiada ono właściwości okrywające, a nie odsłaniające, aczkolwiek niewątpliwie odsłania ono i ujawnia Moc Wiekuistego.

I oto w ciemnościach nocnych, na środku usypiska, Jezus wynurzył się ciałem ze swojego ciała i istniał w ciele poza swoim ciałem, jeden i ten sam w jednym i tym samym ciele, i świecił przeraźliwie olśniewającym Praświatłem, które wychodząc z Jego wnętrza było Jego wnętrzem, a zarazem płaszczem okrywającym Jego wnętrze.

Apostołowie poczęli niespokojnie poruszać się przez sen. Przewracali się z boku na bok. Pod ich zamknięte powieki wdzierała się klująca jasność, która przedostała się do ich snu i rozproszyła jego gęste mroki. Przecierali oczy, mrużyli je, bezskutecznie zasłaniali dłońmi, a nawet ramionami, bo na przekór nieprzenikliwości ramion i dłoni Światło bez trudu przenikało w głąb oczu trzech apostołów, którzy rozbudzeni i nieświadomi tego, co się dzieje – wydawało im się, że

przespali poranek, a może nawet i południe, a teraz budzą się pod promieniami ognistego słońca – ujrzeli wśród nocnych ciemności, w samym ich środku, Rabbiego świecącego białym światłem, czystszy nad wszelką czystość i bielszy nad wszelką biel. Zerwali się z ziemi. Przed nimi stała ognista Białość, płonąca spokojnym płomieniem. Bali się na nią patrzeć, aby jej nie pokalać niegodnymi spojrzeniami, i bojąc się, patrzyli, bo nie mogli oderwać oczu od Światła wciąż rozszerzającego się, wibrującego, zataczającego coraz szersze kręgi aż po granice nocnego widnokągu, z którego wyłonili się w blasku chwały dwaj mężowie i przystanęli obok Jezusa, i stanowili razem Tróję Mężów według praw troistości, które Elohim nadał tej ziemi. Apostołowie poznali, że dwie postacie, wyłonione z mroku, są wysłannikami przeszłości, a przewidująco-mądra natura ich chwały utwierdzała ich w przekonaniu, że mężowie ci są widzącymi prorokami, którzy z powodu swojej świętości nie umarli śmiercią synów człowieczych. Wiedzieli, że spośród wszystkich proroków tylko dwaj nie padli łupem żarłocznego Anioła Śmierci, a byli nimi prorok Mojżesz – niechaj po wieczny czas będzie błogosławiona jego pamięć – i prorok Elijahu – niechaj jego duch zawsze będzie obecny we wszystkich domach Izraela. Wprawdzie o mężu przedpotopowym, imieniem Henoch, głosiła wieść, że został uniesiony przez Pana (Jezua ben Sira zapisał to w swoich Zwojach), ale ów sprawiedliwy nie był prorokiem, więc nie mógł teraz zjawić się u stóp troistego Hermonu w zgromadzeniu proroków, którym Pan zgotował śmierć wybraną. Elijahu – jak wiemy – w obecności swojego ucznia i następcy został przez Pana wzięty z ciałem i duszą do nieba na ognistym wozie, zaprzęgniętym w ogniste rumaki, a całe zdarzenie odbyło się w tak wielkim pośpiechu, że porwany prorok w rozgardiaszu, powstałym z powodu zionącego ogniem rydwanu, prychających promieniami koni i szalejącego wichru zgubił płaszcz, który spadł z wysokości do stóp przerażonego Eliszy. Odejście Mojżesza odbyło się w innych okolicznościach, nie tak gwałtownie i pospiesznie. Jahwe w porę uprzedził studwudziestoletniego proroka, że zbliża się kres jego życia. Mojżesz po dniach przygotowania udał się do swojego namiotu i zanotował na papirusie w nieskażonym brzmieniu wyrok Pana, i już miał odłożyć stylik, gdy naszła go myśl, że powinien tę ostatnią z ksiąg przez siebie napisaną, Księgę Dewarim, zakończyć opisem swojej śmierci; ponieważ myśl ta wydała mu się ze wszech miar dobra i rozsądna, zapalił się do niej i opowiedział krótko i sucho o swoim prostym i zwyczajnym odejściu i równie prostym i zwyczajnym pogrzebie. Słowa te zapisał w pokorze ducha, Pan jednak nie przyjął jego pokory i wszystko zarządził inaczej, niż to sobie Mojżesz wyobrażał. Według tradycji, zachowanej w pamięci ludu Anioł Śmierci i Zagłady nie dotknął Mojżesza; Jahwe w chmurze, w swej ulubionej

zastłonie, zstąpił na proroka, ogarnął go i zabrał do siebie w ciełe, które nie uległo rozkładowi.

Stali więc obok siebie w chwale trzej Mężowie, Jezus, Mojżesz i Elijahu, związani wybraństwem śmierci nie będącej śmiercią, i rozmawiali z sobą niewysłownym wnętrzem słów, głosami oczyszczonymi z głosów, samym płonącym rdzeniem mowy, a jej doskonała pełnia układała się w wyraźny obraz, tak wyraźny, że apostołowie ujrzeli zarysy jakiegoś miasta – było to niewątpliwie Święte Miasto – wyłaniające się spoza łuny milczenia, a ze środka tego miasta poczęły wyrastać olbrzymie ramiona krzyża z przybitym do niego Chlebem, który krwawił krwią i światłem, i krzycał krwią i światłem, a ten krzyżący krzyż unosił się nad całym wszechświatem, a krwawiąco-świecący Chleb miał oblicze Jezusy ben Josef, a im dłużej trwało to świetliste krwawienie, z tym większą mocą wszechświat upodabniał się do oblicza Rabbiego, nasycał się Jego rysami, Jego spojrzeniem, Jego ciałem, i po chwili zniknął czas i zniknęła przestrzeń, zniknął początek i zniknął koniec, i tylko w wszechobecnym istnieniu istniała kolistość Chleba i Światła, wciąż na krzyżu krwawiąca, krwawiąca, krwawiąca, a gdy w końcu i ona rozplynęła się wraz z krzyżem, pozostała tylko krew Pańska, unosząca się nad wodami.

Apostołowie szczękali zębami, słuchając tej rozmowy o śmierci, a Kefas w porywie przybierającej udręki, chcąc wszelkimi dostępnymi mu sposobami zapobiec Jezusowemu męczeństwu, którego zapowiedź, mimo dotychczasowych nader smutnych doświadczeń, wciąż nie mieściła się w jego wyobrażeniach o tryumfującej dobroci Pańskiej, otworzył usta i nie wiedząc, co czyni, począł mówić, a mówiąc powtarzał błąd, który ongi popełnił pod Cezareą Filipa, gdy z tych samych co obecnie powodów uległ pokusie powstrzymywania w biegu raz na zawsze ustalonych wyroków. Owładnęło nim pragnienie zatrzymania czasu. Chciał rozkoszować się widokiem szczęśliwego i żywego Jezusa, świecącego w Światłości, i pozostać z Nim razem na wysokiej górze; dając wyraz tęsknocie za odmienionym biegiem wypadków, począł mówić o potrzebie rozbicia na Górze Troistej trzech namiotów, będących symbolami domowego zacisza, własnego kąta, spokojnej przystani, bezpieczeństwa, nienarazania się na ciągłe niepewności i zasadzki, końca tułaczki i poszukiwań. Zatrzymać czas! Zatrzymać czas! Zatrzymać czas! Nie dopuścić do krwawego końca! Osadzić w pędzie te rozszalałe wypadki, ponoszące w oślepiającą ciemność, która woła ustami Jezusa, umierającego męczeńską śmiercią na krzyżu!

I Kefas, nieporadnie pokonawszy w sobie nieśmiałość, tak przemówił do promieniującego Rabbiego:

– Rabbi, dobrze nam tutaj być, rozbijmy zatem trzy namioty. Tobie jeden,

prorokowi Mojżeszowi jeden i prorokowi Elijahu jeden.

Gdy jeszcze mówił, gęsty, kłębiący się słup obłoku wypełnił usypisko swoim ogromem, wysokością przekraczającą wszelką wysokość, szerokością szerszą od wszelkiej szerokości i głębokością głębszą od wszelkiej głębokości, a Jezus z dwoma prorokami weszli do jego wnętrza, i nie było Ich, a wtedy ku przerażeniu apostołów, którzy padli na twarze, w obłoku STAŁ się Głos, i przyszło do nich Słowo Elohim, i rzekło, a oni słysząc, słyszeli:

– Ten jest Syn mój umiłowany, w którym mam upodobanie! Jego słuchajcie!

Tak rzekło Słowo Pana, a oni słysząc je, nie śmieli podnieść twarzy znad ziemi, a Kefas modlił się ustami swojego wnętrza: „Panie, przebacz mi, znów nie wiedziałem, co mówię, znów uległem pokusie, znów zamierzyłem nieposłuszeństwo, które stało się moim nędznym pożywieniem! Panie, przebacz, bo pragnąłem pragnieniem Pelzającego! Bo pragnąłem pragnieniem pokusy! Chciałem Cię tutaj zatrzymać, nie wiedząc, że moje pragnienie jest przeciwne Twojej woli. Słucham Cię, Panie! Wstąp w posłuszeństwo moje!” Tak modlił się i twarzą przyłgnał do ziemi, i tak trwał w przymierzu z prochem ziemi, aż poczuł na głowie dotknięcie palców lekkie jak muśnięcie ptasiego skrzydła. Apostołowie podnieśli głowy i ujrzeli nad sobą Jezusa. Był sam. Nie było chmury ani proroków. Rabbi, mówiąc do nich, powiedział:

– Wstańcie. Nie bójcie się. Powstali.

Świtało. Widnokrąg na wschodzie szarzał, nasiąkał fioletem, rozpękł się i buchnął z niego jak z rozbitego naczynia rozpalony strumień płonącej, złotej oliwy, a za nim uderzyły w górę płomienie i na błękitne, czyste niebo wytoczyła się rozpalona do białości bryła słońca.

Zstępowali z góry tą samą drogą, którą wczoraj pięli się na wysoki stok Hermonu, i pochłonięci przeżyciami minionej nocy wciąż mieli w oczach rozmawiających z sobą Mężów. Zastanawiali się, jak to wszystko opowiedzą pozostałym na dole apostołom, gdy wtem Jezus zatrzymał się, obrzucił ich badawczym spojrzeniem i rzekł z łagodną surowością:

– Nie opowiadajcie nikomu o tym widzeniu, dopóki Syn Człowieczy nie zmartwychwstanie.

Szli.

Szli, a ponieważ Rabbi zabronił im opowiadać, ale nie zabronił im medytować, więc idąc wciąż rozmyślali o Nocy Troistości i o zmartwychwstaniu i głowili się nad trudnymi sprawami, które zwały się na nich jak lawina kamieni. Ich oczy, uszy, krew i nerki nieprzerwanie pytały: Co to wszystko znaczy? Widzieli przemienione Ciało Jezusy ben Josef, widzieli dwóch proroków świadczących o prawdzie

zdarzenia swoją wybraną śmiercią i słyszeli Głos Pański mówiący z obłoku. Były to zdarzenia niewątpliwe. Ale co one oznaczają? – pytały oczy, które widziały. Co one oznaczają? – pytały uszy, które słyszały. Co one oznaczają? – pytały nerki, stolica sumienia i wrażliwości. Jezus powiedział: – Nie opowiadajcie nikomu o tym widzeniu, dopóki Syn Człowieczy nie zmartwychwstanie. – Wynika z tego, że mają milczeć do czasu Jego zmartwychwstania. Ale co znaczy „do czasu Jego zmartwychwstania”? Wiadomo, że w Dzień Ostateczny nastąpi zmartwychwstanie umarłych, że będzie to dzień sądu, dla jednych szczęścia, dla innych lamentu. Czy do tej pory mają milczeć i nikomu nie wyjawiać tajemnicy Nocy Troistej? Czy to znaczy, że mają milczeć aż do swojej śmierci, a potem milczeć i po śmierci, i przez całą śmierć, i dopiero na Sądzie Ostatecznym wyjawić Bogu to, co Bóg wie, bo przecież Jego głos słyszeli spoza zasłony chmury? Czy mają Bogu wyjawić to, co Bóg mówił? Gdy im się zdawało, że już do szczętu nic nie rozumieją, przypomnieli sobie poprzednią zapowiedź Jezusa o Jego zmartwychwstaniu dnia trzeciego i wtedy popadli w jeszcze większy zamęt, bo ich poprzednia niewiedza wzbogaciła się o jeszcze jedną niewiedzę. I znów zadali sobie dręczące pytania: Dlaczego dnia trzeciego? Od jakiego dnia należy liczyć te dni? Przecież nigdzie nie jest powiedziane, że w jakimś nie określonym trzecim dniu nastąpi zmartwychwstanie zmarłych. Czyżby zatem miał zmartwychwstać poza powszechnym zmartwychwstaniem umarłych? Poza Dniem Sądu Ostatecznego? Kefas niespokojnie szarpał brodę, Johanan ben Zebadia wciąż potykał się o kamienie, zaprzątnięty kołowrotem zagadnień obracających się jak żarna w jego głowie, brat jego Jaakow pochłonięty myślami zapomniał o otaczającym go świetle i tylko roztargnionymi ruchami rąk podciągał tunikę, która złośliwie wymykała się spod pasa i opadała do kostek, utrudniając chodzenie.

Przystanąli zdyszani. Przystanął również i Jezus.

Wtedy Kefas powziął postanowienie. Poprosi Jeszue ben Josef o wytłumaczenie wszystkich niejasności. Pomny skutków swojej współczującej lekkomyślności, tym razem zmierzał do celu drogą dookolną, mówiąc obrazowo, skradał się, stąpając na końcach palców do bramy drażniącej niezwykłości. Urzeczywistnienie Obietnicy, czyli przyjście Mesjasza, miało się rozpocząć od powtórnego zjawienia się na ziemi proroka Elijahu. Ponieważ w powrocie tym Izrael upatrywał początek Czasu Wypełnionego, należało przede wszystkim ustalić, czy Elijahu zjawił się, czy się nie zjawił, bo bez tego faktu cała dalsza rozmowa byłaby bezcelowa.

Kefas, opanowawszy drżenie serca i głosu, spytał z czołobitną ostrożnością:

– Powiedz nam, Rabbi, dlaczego twierdzą uczeni w Piśmie, że naprzód ma zjawić się Elijahu? A na to Jezus odpowiadał a c mu rzek ł:

– Istotnie Elijahu przyjdzie i odnowi wszystko. Lecz ja wam powiadam, że Elijahu już przyszedł, jednak oni go nie poznali i zrobili z nim według swojej woli.

To powiedziawszy, gorzko się uśmiechnął i szybko dodał:

– W ten sam sposób również Syn Człowieczy cierpieć będzie z ich powodu.

Spojrzeni z rozpaczą na Jezusę ben Josef. Zdawało im się, że są już na właściwym tropie, gdy niespodziewane objaśnienie Rabbiego, dodane do radosnej wiadomości o zjawieniu się Elijahu, wymazało z ich świadomości obraz zbliżającego się Mesjasza. Po co Jezua ben Josef znowu mówi o swojej śmierci? O gwałtownej śmierci! Czyżby miał być uwięziony w Macheroncie i ścięty z rozkazu Heroda Antypasa? Czyżby miał podzielić los Niestrzyżonego? I tak ma się skończyć posłannictwo błogosławionego Męża? Na katowskim pniaku, ustawionym na dziedzińcu królewskiego pałacu? Przecież wyraźnie powiedział, że Johanan ben Zecharia – jego miał na myśli, mówiąc o proroku, którego synowie Izraela nie poznali – był prorokiem Elijahu, a prorok Elijahu jest zwiastunem Mesjasza! Zatem? Zatem kto jest Mesjaszem? Jeżeli jest Nim Jezua ben Josef, to czy Mesjasz Jezua ben Josef ma zginąć jak Johanan ben Zecharia z wyroku przeklętego tetrarchy? A czy Mesjasz w ogóle może umrzeć, a tym bardziej zginąć z ręki grzesznych ludzi? A jeżeli tak, to jaki jest sens Jego przyścia i co będzie dalej po Jego śmierci?

Błagalne spojrzenia utkwili w Jezusie.

Ale On odwrócił się i ruszył przed siebie ścieżką opadającą ku dolinie.

Wiara na miarę ziarenka gorczycy

Po męczącej drodze obrali sobie na nocleg miejsce pod dzikim drzewem figowym, skąd wczoraj wyruszyli na Hermon; następnego dnia w południe stanęli u ujścia Jordanu do Jam Kinereth, gdzie oczekiwali ich apostołowie, kilkudziesięciu uczniów i liczna rzesza. Apostołowie odciągnęli na bok Kefasa i Synów Gromu, otoczyli ich ciasnym kołem i szeptem zarzucali ich pytaniami, gdzie byli i co widzieli, i co przeżyli, i nie czekając na odpowiedzi, dorzucali nowe pytania, jak się dorzuca gałęzie do ogniska, aby zapłonęło pełnym płomieniem, a gdy wreszcie spiętrzyła się istna góra pytań, a towarzysze Jezusa wciąż uparcie milczeli, wśród apostołów zapanowało uroczyste zakłopotanie, bo domyślili się, że zaszło coś, o czym nie powinni wiedzieć. Ogarnął ich żal, tym dotkliwszy, że do wielkiego zmartwienia, spowodowanego niepowodzeniem, jakiego doznali podczas nieobecności Rabbiego, teraz przyłączyło się drugie, nie mniej dotkliwe, a był nim brak zaufania okazany przez błogosławionego Męża. Te dwie klęski, nawzajem się potwierdzające, wzbudziły w nich poczucie własnej niegodności, nieważności, mało tego – wręcz

bezczelowości ich wysiłków. Cóż takiego przydarzyło się apostołom, gdy Jezus przebywał na Hermonie? Otóż przedwczoraj przybył do nich ojciec opętanego chłopca, z błagalną prośbą o wypędzenie szatana z ciała nieszczęśliwego dziecka. Próżne były starania apostołów. Pełzający kpił z ich wysiłków i mając sobie za nic rozkazy, groźby, łajania, klątwy, którymi smagali go jak biczem – jak biczem? Tak im się przynajmniej zdawało – bezkarnie baraszkował w ciele chłopca i lekceważącym chichotem dawał im do zrozumienia, że nie mają nad nim władzy. Wszystko to sprawiło, że ich duch popadł w przygnębienie, otępiał i stał się jak skórzana łagiew, pusta, pomarszczona i sparciała. A oto teraz ujrzeni, jak ojciec chłopca klęczy przed Rabbim, obejmując Go za nogi i błagając o uleczenie syna, opowiada o bezradności apostołów, o ich niedoświadczeniu i nieumiejętnym posługiwaniu się bronią ducha w walce przeciw Belialowi. A mieli przecież tyle dobrej woli! Uczynili wszystko, co mogli! Dlaczego więc nie udało im się wypędzić szatana z opętanego chłopca? Ociągając się, nieśmiało podeszli do rozmawiających.

Gniew zapalił się w oczach Jezusa. Podniósł zaciśniętą dłoń i grożąc nią apostołom zawołał:

– O plemię niewierne i przewrotne! Jak długo mam być jeszcze z wami?! Jak długo mam was znosić?! Przywiedźcie chłopca do mnie!

Przywiedli go. Skoro Pełzający zwietrzył obecność Jezuycy ben Josef, cisnął chłopcem o ziemię, począł nim szarpać i toczył z jego ust spienioną ślinę. Jezus spytał ojca:

– Od dawna tak cierpi? Ojciec odrzekł:

– Od dzieciństwa. Szatan często wrzucał go w ogień i do wody, chcąc go zabić. Panie, jeżeli coś możesz, miej litość nad nami i pomóż nam.

A na to Jezus:

– Jeżeli coś możesz? Wszystko jest możliwe dla tego, który wierzy. Apostołów przeszedł zimny dreszcz.

Ojciec pochylił nisko głowę i rzekł ze łzami w oczach:

– Wierzę, Panie, przyjdź z pomocą mojemu niedowiarstwu.

Jezus, usłyszawszy wyznanie biednego ojca, zmiłował się nad jego synem i wypędził z niego szatana, po czym wraz z apostołami udał się do domu – zamieszkali u pewnego rybaka, znajomego Kefasa – a gdy znaleźli się na osobności, w czterech ścianach rybackiej izby, Dwunastu usiadło na ziemi dokoła Rabbiego i kołysząc się, monotonnymi ruchami swoich ciał maskowało strach i zmieszanie, gdyż poznało, że wierzący niedowiarek bliższy jest sercu Rabbiego od niejednego wierzącego, który wierząc, nie umie wierzyć, chociaż w głębi serca jest przekonany o swej żarliwej wierze. Przedłużająca się cisza wzmagała napięcie. Wreszcie Mataj

Lewi przestał się kołysać. Jego twarz pokryła się bladością. Przez jego wargi z trudem przedarł się cichy, niepewny głos:

– Powiedz nam, Rabbi, dlaczego nie mogliśmy wypędzić Pełzającego z ciała tego chłopca?

I znów zapadła martwa cisza. Z zapartym tchem czekali na wyrok. Wiedzieli, że będzie skazujący.

Jezus odpowiedział głosem spokojnym, w którym był tylko żal, groźniejszy od gniewu:

– Ponieważ macie tak mało wiary. Zaprawdę powiadam wam, gdybyście mieli wiary choć na miarę ziarenka gorczycy, moglibyście rzec tej górze – wyciągnął rękę na północ, ku Hermonowi – przenieś się stąd tam, a przeniesie się. I wtedy żadna rzecz nie byłaby dla was niemożliwa.

Umilkł.

I znów zapadła martwa, kamienna cisza.

Apostołowie zapytali w swoim sercu: „Jak mamy wierzyć, aby wierzyć? Co mamy uczynić, aby zdobyć wiarę choć na miarę ziarenka gorczycy, choć tyle, ile jej miał ów wierzący niedowiarek?”

Zamczysta skrzynia

Jezus postanowił w owym czasie ograniczyć swoje działanie do krainy galilejskiej; z Judei wciąż nadchodziły niepokojące wieści o wrogich dla Niego nastrojach, panujących wśród pewnych kół starszyny i uczonych, więc nawet i tu, wędrując z miejsca na miejsce, czynił to w sposób nie rzucający się w oczy, unikał spotkań z ludnością, a nauczanie ograniczył tylko do grona apostołów.

Zmierzali do Kfar Nahum. Po drodze Jezus zatrzymał się nad brzegiem jeziora, spojrział na wodę, potem na Hermon i zwracając się do Dwunastu, rzekł do nich słowa, które już przed kilkoma dniami słyszeli z Jego ust; tym razem, powtórzone w imię obowiązku świętego Powtórzenia, zabrzmiały w ich uszach jeszcze groźniej i bardziej niezrozumiale niż za pierwszym razem.

Jezus przystanąwszy powiedział:

– Zachowajcie dobrze w pamięci te słowa: Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi, którzy Go zabiją, On jednak trzeciego dnia zmartwychwstanie.

Zapowiedź – już druga z kolei – była jednoznaczna, jasna i wyraźna, mimo to apostołowie znowu nic z niej nie zrozumieli, bo każde słowo z osobna i wszystkie słowa razem wyrazistością swoją zaciemniały swój właściwy sens i odbierały mu wszelką rozpoznawalność. Groźbę tę, w myśl rozkazu Rabbiego, zamknęli w swojej

pamięci, jak się zamyka w zamczystej skrzyni pamiątkę, której właściwa wartość ma być dopiero ujawniona po wielu latach.

Piękne i radosne popołudnie

Po krótkim spoczynku ruszyli w dalszą drogę do Kfar Nahum. Czy to z powodu poczucia winy, trwającego w apostołach od czasu nieszczęsnej przygody z opętanym chłopcem, czy też w przyptywie wygórowanej próżności i niezdrowego współzawodnictwa poczęli się między sobą szeptem spierać, kto z nich ma większe zasługi dla Królestwa Bożego i kto z nich uczczony będzie dzięki swoim niezaprzeczoną wartościom. Pod tym względem nie różnili się niczym od reszty synów Izraela, którzy od niepamiętnych pokoleń prowadzili między sobą burzliwe dysputy, często przechodzące w żywiołowe kłótnie, o pierwszeństwo miejsc w Królestwie Niebieskim. Jedni twierdzili z niezbitą pewnością, że pierwsze miejsca w Królestwie Bożym zajmą sprawiedliwi – ponieważ sami uważali się za sprawiedliwych – inni, że tylko znawcy Pisma Świętego – ponieważ sami uważali się za wytrawnych znawców Słowa Pańskiego – inni natomiast, że tylko ludzie czyniący dobro – ponieważ zdawało im się, że czynią dobro – a nawet byli i tacy, którzy twierdzili, że pierwszy rząd foteli w Królestwie Niebieskim zastrzeżony jest wyłącznie dla nauczycieli, wychowawców pokoleń – łatwo domyślić się, że twierdzenie to pochodziło od nauczycieli. Tylko drobna garstka pobożnych wierzyła, że naprzeciw tronu Jahwe, na miejscach najbardziej honorowych, zasiądą męczennicy zmarli za wiarę. Te trwające od wieków spory, toczące się w domach modlitwy, w uczelniach wyższych i niższych, u bram miejskich i w krużgankach Salomona w Świątyni Pańskiej, nie dawały żadnych wyników i nikt właściwie nie wiedział, kto zajmie pierwsze, a kto ostatnie miejsce w Królestwie Niebieskim, całe więc zagadnienie wciąż było otwarte i nie rozstrzygnięte, z tym tylko zastrzeżeniem, że starających się o zaszczyty było bez liku, natomiast pokornych niewielu.

Gdy po południu przybyli do Kfar Nahum, do domu Kefasa, i umyli nogi, i namaścili ciała ożywczą oliwą, Jezus spytał ich:

– O czym to rozprawialiście w drodze? Apostołowie milczeli.

Wówczas Jezus – siedzieli na dziedzińcu – zaczął im tłumaczyć istotę zasługi i istotę obowiązku; mówił, że nie wolno im domagać się nagrody za to, co jest ich powinnością, że spełniając powinność, nie spełniają jej dla nagrody, że powinność jest zadaniem ich życia i obrazem ich pokory.

Tu pochyliwszy się, opowiedział im śpiewnym głosem przypowieść, a oni, miłośnicy przypowieści, przytakiwali Jego słowom.

– Któż z was powie do sługi swojego, oracza lub pasterza powracającego z pola: „Pospiesz się i siadaj do stołu”? Powie mu raczej:

„Przygotuj mi wieczerzę, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i wypiję, a potem możesz sam zabrać się do jedzenia i picia”. Czy podziękuje owemu słudze za to, że spełnił rozkaz? Nie sądzę. Tak i wy, gdy uczyniliście wszystko, co wam rozkazano, mówcie: „Jesteśmy sługami nieużytecznymi, wypełniliśmy jedynie nasz obowiązek”.

Tu urwał, pogładził brodę i ciągnął dalej, a apostołowie, zawstydzeni, uważnie słuchając, nie dziwili się już nawet, że wszystko wiedział, o czym między sobą w drodze mówili ledwo dosłyszalnym szeptem, którego słyszeć nie mógł, bo szedł w znacznej od nich odległości.

A Jezus, mówiąc, tłumaczył im, że kto chce być pierwszym, niechaj się stanie ostatnim wśród wszystkich i służy wszystkim – tu przywołał dziecko, które zatrwożone obecnością apostołów nieśmiało przechodziło przez dziedziniec, i wziął je w objęcia – że powinni się odmienić i stać się jak dzieci, bo jeżeli nie będą podobni do dzieci, nie wejdą do Królestwa Niebieskiego. Niechaj nie tłumaczą sobie opacznie Jego wezwania. Nie wymaga od dorosłego męża, aby pomniejszył swoją umysłową dojrzałość do rozmiarów bezrozumnej naiwności małego dziecka, ale żąda, aby człowiek po wszystkich trudach ducha, gorzkich doświadczeniach, wątpleniach i krążeńiach, po bezcelowych poszukiwaniach powrócił do właściwej hierarchii człowieczeństwa: do posłusznego poddania się woli Elohim, który wobec ludzi zajmuje to samo stanowisko, co głowa rodu wobec swoich dzieci. Kto zatem będzie posłuszny Bogu, jak to dziecko jest posłuszne ojcu, ten będzie największy w Królestwie Niebieskim, a kto przyjmie człowieka pokładającego nadzieję w ojcowskim Bogu, ten przyjmuje Rabbiego, a kto Jego przyjmuje, ten przyjmuje nie Jego, ale Tego, który Go posłał. Tak więc, kto z apostołów będzie najpokorniejszy, ten będzie prawdziwie wielki. Kto by jednak jednego z tych ludzi wierzących z dziecięcym posłuszeństwem przywiódł do grzechu i zbuntował przeciw woli Bożej, takiemu lepiej by było, gdyby mu u szyi uwiązano kamień młyński i utopiono go w głębinie morskiej! Biada światu z powodu zgorszenia! Bo wprawdzie zgorszenia są nieuniknione, lecz biada człowiekowi, przez którego przychodzi zgorszenie! Tu podniósł głos, a cienka, błękitna żyła wystąpiła i nabrzmiała na Jego skroni:

– Strzeżcie się mieć w pogardzie najmniejszych! Bo powiadam wam: ich aniołowie w niebiesiech patrzą nieustannie na oblicze mojego Ojca, który jest w niebie! Albowiem Syn Człowieczy przyszedł, aby ocalić to, co zaginęło! Jak wam się wydaje? Jeżeli kto ma sto owiec, a jedna z nich zabłądzi, czyż nie zostawi w górach dziewięćdziesięciu dziewięciu owiec i nie pójdzie szukać tej, która zabłądziła?

Zaprawdę, powiadam wam, jeżeli uda się ją odnaleźć, więcej się z niej cieszy niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu, które nie zeszły na bezdroża! Bo nie jest wola waszego Ojca, który jest w niebiesiach, aby choć jeden z tych najmniejszych miał zaginać! – tu pogłaskał dziecko, które Mu posłużyło za symbol pokory i posłuszeństwa, i kazał mu wrócić do domu.

Potem łagodnymi słowami uspokajał apostołów, pocieszał ich, umacniał ich zachwiane wnętrza i tłumaczył im moc wspólnej i jednomyślnej modlitwy, tego źródła błogosławionej owocności:

– Jeżeli dwaj spośród was jednomyślnie o cokolwiek poproszą – mówił Jezus, a zdanie to powtórzył trzykrotnie, aby podkreślić moc wspólnej modlitwy, związanej wspólną myślą – dane im będzie przez mojego Ojca, który jest w niebie, albowiem gdzie dwaj lub trzej zgromadzeni są w Imię moje, tam ja jestem wśród nich.

Wreszcie, chcąc zdjąć z ich serc poczucie bezsilności, jakiej ulegli po niepomysłnych utarczkach z szatanem, pobłogosławił ich, a błogosławieństwo to napełniło apostołów otuchą i natchnęło zaufaniem we własne siły, o których zwątpili po niefortunnym bojowaniu z Pełzającym. Uważali więc, że powinni teraz skorzystać ze sposobnej chwili i prosić Rabbiego o wyjaśnienie pewnych nauk, na przykład nakazu o miłowaniu nieprzyjaciół, wciąż dla nich trudnego do zrozumienia, i związanego z nim przykazania o przebaczeniu.

Jak często w takich razach się zdarzało, pierwszy zabrał głos ostrożny Kefas – zawsze trochę się ociągał, ale w razie potrzeby pierwszy odważnie wysuwał się na czoło – i mówiąc do Jezusa rzekł:

– Rabbi, jeżeli brat mój zgrzeszy przeciw mnie, ile razy mam mu odpuścić? Czy aż siedem razy?

A na to Jezus począł im tłumaczyć, że człowiek powinien być w każdej chwili życia gotów do odpuśczenia win swoim winowajcom, a gotowość ta powinna być czujna i troskliwa jak straż pasterzy czuwających nad bezpieczeństwem owiec zagrożonych przez wilki – a czym jest mściwość, jeżeli nie stadem rozwścieczonych wilków? – a obowiązkiem każdego z ludzi jest przebaczać nie siedem, ale siedemdziesiąt siedem razy, czyli nieskończoną ilość razy, a kto tego bezmiaru dobrej woli w sobie nie posiada, nie wstąpi do Królestwa Niebieskiego; albowiem Królestwo Niebieskie podobne jest do wspaniałomyślnego króla, który darował dług swojemu dłużnikowi; jeżeli jednak ów niewdzięczny dłużnik, niepomny doznanego miłosierdzia, gnębić będzie własnych dłużników i żądać od nich zapłaty długu, wówczas srogi będzie gniew potężnego władcy przeciw synowi wszetecznej zatwardziałości.

Kefas, słysząc to, spytał:

– A co powinienem uczynić, jeżeli brat mój, który przeciw mnie zgrzeszy, jest zatwardziałym grzesznikiem i nie czuje żalu z powodu popełnionej winy?

Na to rzekł Jezus:

– Jeżeli brat ci uchybi, to zgań go i upomnij go w cztery oczy. Gdy cię posłucha, pozyskałeś w nim swojego brata, a gdy będzie żałował, przebacz mu. Gdyby jednak nie posłuchał, weź ze sobą świadków w myśl przykazania zawartego w świętej Księdze Dewarim, aby wszelka sprawa opierała się na słowie dwóch lub trzech świadków, a gdyby i ich nie chciał słuchać, powiedz to całemu Zgromadzeniu, a jeżeli nawet i Zgromadzenia słuchać nie zechce, niechaj ci będzie jak poganin i zatwardziały celnik!

Apostołowie szczęśliwi byli, że w to piękne i radosne popołudnie Jezus przystępnie wyjaśnia im wszystkie ich wątpliwości, i starali się pospiesznie znaleźć w myślach inne trudne sprawy, drażące ich wnętrza, i prosić Rabbiego o ich wytłumaczenie. Jedną z ich wad była zazdrość. Wielokrotnie doznawali tego uczucia, którego na przekór przeświadczeniu, że jest ono niegodne człowieka bogobojnego, nie umieli w sobie zabić. Raz zdarzyło się, że pewien człowiek – był to zapewne jakiś przygodny uczeń, jeden z owych idących za Rabbim i słuchający Jego nauk (wiemy, że wielu odstąpiło Go, ale kilku pozostało, a do tych kilku przyłączyli się z czasem inni i razem znów stanowili dość znaczną gromadkę) – otóż zdarzyło się, że jeden spośród nich, na którego apostołowie patrzyli z niechęcią, jak na niewygodnego współzawodnika, w Imię Jezusa wypędzał z powodzeniem Pełzającego z opętanych ludzi. Apostołowie, zazdrośni o swoje przywileje, zabronili mu dokonywania tych cudownych uzdrowień, zwłaszcza że, jak wiemy, sami dotychczas bezskutecznie starali się ulżyć doli ludzi nawiedzonych przez szatana i bali się, że ich niepowodzenia w porównaniu z ze wszech miar błogosławionym działaniem owego ucznia pomniejszą ich w oczach ludu. Zakaz, który wydali, jak mól gryzł ich sumienia. Czy mieli prawo zakazać owemu człowiekowi wypędzania w Imię Jezusa szatana, nawiedzającego biedne ciało ludzkie? A może ów zakaz był samowolnym nadużyciem ich żalosnej zazdrości i obrażonej ambicji? Czy nie czas i miejsce, aby nareszcie spytać o to Rabbiego?

Johanen ben Zebadia, opuściwszy wstydliwie wzrok ku ziemi, rzekł:

– Raz widzieliśmy. Rabbi, jak pewien człowiek wypędzał szatana w Twoim Imieniu. Zabroniliśmy mu tego, ponieważ nie należał do naszego grona.

Jezus westchnął – może pomyślał: „Sami nie umieją w Imię Pańskie wypędzać Pełzającego z ciała człowieka nawiedzonego, ale drugim tego zabraniają czynić” – i odpowiadając rzekł:

– Nie zabraniajcie mu tego, bo kto działa cuda w moim Imieniu, nie może zaraz

potem o mnie źle mówić. Kto nie jest przeciw nam, ten jest z nami – tu zrobił krótką przerwę, a widząc stropione twarze apostołów, dodał ku ich pocieszeniu: – Ktokolwiek poda wam kubek wody, dlatego że należycie do mnie, na pewno nie minie go nagroda.

Tak, to było piękne i radosne popołudnie. Rozpłynął się ich smutek z powodu swarliwego spierania się o pierwszeństwo w Królestwie Niebieskim, ich duch rozjaśnił się i rozweselił, bo zrozumieli sens swojego obowiązku. Wzruszająca opowieść o królu i grzesznym dłużniku wzmocniła ich serca i nauczyła ich trudnej sztuki przebaczenia, a ujawniwszy swą zazdrość i lekkomyślny postępek wobec bogobojnego człowieka, wypędzającego złe moce w Imię Jezusa, poczuli oczyszczający żal w swoich sumieniach. Na koniec usłyszeli z ust Jezusa słodką jak miód pociechę, że mimo wszystko są Jego własnością – przecież powiedział: „Należycie do mnie” – a kto im poda kubek wody, otrzyma od Elohim zapłatę.

Tak, to było piękne i radosne popołudnie. Zdawało im się, że po tym wszystkim, co z ust Rabbiego usłyszeli, zmalała odległość między Nim a nimi. Wszystko, co mówił, łatwo dzisiaj przenikało do ich wnętrza i wypełniało ją przezroczystą jasnością. Ach, gdyby chciał ich jeszcze nauczyć prawdziwie wierzyć! Przecież wielokrotnie im powtarzał, że nie umieją prawdziwie wierzyć! Jeżeli to powiedział, to na pewno nie umieją wierzyć! Dlaczego nie umieją? Dlaczego? Co mają uczynić, aby prawdziwie uwierzyć? Jakiego trudu mają się podjąć? Jakie modlitwy mają zmawiać? Czego mają sobie odmówić? Jaki ciężar mają wziąć na swoje barki? Czy może powinni iść na pustynię? A może w samotne góry? Wszystko uczynią, byle móc prawdziwie uwierzyć według praw ustanowionych przez Pana, byleby ich wiara była głęboka jak Jam Kinereth, gorąca jak słońce w miesiącu aw, mocna jak pnie cedrów, a rozłożysta jak korona cienistego figowca. Wszystko uczynią, wszystko, co każe Jezua ben Josef!

Mocą wewnętrzną przynaglени, zawołali błagalnym chórem:

– Spraw, aby wiara nasza stała się większa!

Jezus rozłożył szeroko ręce i powtórzył słowa, które wczoraj do nich powiedział, tylko zamiast na Hermon, wskazał na morwę rosnącą na dziedzińcu:

– Gdybyście mieli wiarę jak ziarenko gorczycy i rzekli do tej morwy: „Wyrwij się z korzeniami i przesadz się w morze”, na pewno by was usłuchała.

Powoli opuścił ręce i złożył je na kolanach.

Apostołowie, usłyszawszy te słowa, zamknęli się w sobie i poczęli zastanawiać się, dlaczego Rabbi mimo próśb nie pomnaża ich wiary, na pewno ujrzał w nich jakieś puste miejsce, którego z przyczyn tylko Jemu wiadomych nie chce napełnić Bożą Obecnością. Prawdopodobnie pragnie, aby sami je znaleźli. Ale jak mają odnaleźć?

Codziennie rano, w południe i wieczór, a w nocy podczas każdego przebudzenia modlą się żarliwie, a jeżeli mimo to ich wiara wciąż jeszcze jest niedoskonała, mniejsza od ziarenka gorczycy, sami ponoszą winę, bo nie umieją się modlić modlitwami przepisany liturgią ani tymi, które nieudolnie tworzyli na swój własny użytek. Kto nie umie modlić się, ten nie umie wierzyć. Poczęli wątpić o wartości swojej wiary i skuteczności swoich modłów, które zmawiają chaotycznie, niejednomyślnie – gdyby modlili się jednomyślnie, jak tego żąda Jezua ben Josef, na pewno byliby wysłuchani, a ich wiara pomnożona – każdy dla zdobycia innych obfitości i dla uzyskania innych łask, i nie wiedząc, o co mają się modlić, wyrzucają z siebie prośby i lamenty nie obejmujące swoim skąpym zasięgiem tego, co jest potrzebne do dobrego życia, dobrej śmierci i zbawienia. Jak mają się modlić? Gdzie mają szukać słów, które, niezależnie od charakterów i potrzeb modlących się, zespolą ich w jeden, zgodny modlitewny chór? Gdzie znaleźć słowa, które ich wszystkich, mimo różności uczuć i wielości ich pragnień, po równi nakarmią i nasycą? Czy istnieje w ogóle taka jedna, jedyna modlitwa, zamykająca w sobie wszystkie pragnienia niezliczonej ilości synów człowieczych, spośród których każdy pragnie przecież czegoś innego i o coś innego się modli? Są modlitwy o zdrowie, o powodzenie, o chleb, o deszcz, o pogodę, o majątek, o obronę przed pokusami, przed wrogami, o zbawienie od nieszczęść, od śmierci, o szczęśliwą drogę, o szczęśliwy powrót, o liczne dzieci, o dach nad głową. Więc gdzie mają szukać modlitwy jednomyślnej, skoro nawet oni, mimo jednomyślności, są tak bardzo różni i mimo tak wielu podobieństw są tak bardzo do siebie niepodobni! Czy miliony ust mogą modlić się jednym ustami? Czy dwunastu apostołów może się modlić jednym ustami? Poruszyli się niespokojnie, a jeden z nich rzekł:

– Rabbi, naucz nas modlić się.

Jezus podniósł dłonie i poruszając nimi, z początku umiarkowanie, a wraz z przybierającą mocą słów coraz żywiej, począł im tłumaczyć, że przede wszystkim muszą nauczyć się prosić; prośba ich powinna być natarczywa, nieugięta, natrętna; prosząc, powinni całym jestestwem wcielać się w swoje błaganie, nawet wówczas, gdyby im się zdawało, że Elohim zamknął uszy na ich prośby, co na pewno jest tylko złudzeniem, bo Pan nigdy nie zamyka uszu, a jeżeli nawet zachowuje się tak, jakby je zamknął, jest to na pewno dobroczynna próba, jedna z tych prób, za pomocą których Starowieczny doświadcza cierpliwości proszących. Tu Jezus obrazowo przedstawił apostołom potęgę próśb nieustępliwych:

– Jeden z was o północy poszedł do sąsiada i rzekł do niego: Sąsiedzie, pożycz mi trzy chleby, bo mój przyjaciel przybył do mnie z dalekiej drogi, a nie mam co mu dać do jedzenia. Tak go prosił, ale sąsiad odpowiedział z wewnątrz: Nie naprzykrzaj mi

się. Drzwi zamknąłem, a dzieci moje i ja jesteśmy już w łóżkach. Nie mogę wstać, aby spełnić twoją prośbę. Tak powiedział twój sąsiad, a ty tymczasem wciąż pukasz i natarczywie domagasz się chlebow. Powiadam wam, choćby sąsiad nie chciał wstać, to jednak z powodu natarczywości kołaczącego wstanie i da mu wszystko, czego potrzebuje. Proście zatem, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje, a kto szuka, znajduje, a temu, który kołacze, otworzą. Bo który ojciec spośród was, gdy go syn poprosi o chleb, poda mu kamień? A gdy poprosi o rybę, czy poda mu węża? A gdy poprosi o jajko, czy poda mu skorpiona?

To powiedziawszy, począł ich nauczać, jak mają się modlić, a nauczał ich tak długo, aż ujrzeli w sobie oblicze Pana o uświęconym Imieniu, Ojca Wspólnoty i Zgody, mieszkającego w niebiosach i tworzącego wszechwładną wolą Królestwo Niebieskie, i usłyszeli słowa o chlebie codziennym, w ilości nie przekraczającej wyznaczonej miary, o odpuszczeniu win pod trudnym i jasno określonym warunkiem, o możliwości ciężkich doświadczeń i prób, o wybawienie od których powinni się modlić równie gorąco, jak o ocalenie od demonów, od ich siideł i zasadzek. Tak ich nauczał, a nauczając wstąpił w mowę, którą wessali z mlekiem matki, i wybrał z tej mowy, z jej obfitości i gwałtowności, z jej krzyczących wersetów, z jej słojuów nabrzmiiałych psalmicznymi sokami, z korzeni wiecznie odradzających się, a sięgających samego początku Pisma Świętego, pierwszych dni Stworzenia – kilkadziesiąt najprostszych słów, maleńką garstkę dźwięków, i ułożył z nich modlitwę, a ona wyszła z Jego ust i doszła do uszu apostołów:

– Awinu szeba szamajim... Ojczy nasz, który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i nie wódź nas na próbę, ale nas zbaw ode złego.

Apostołowie wzniesli oczy do nieba i powtarzali za Jezusem modlitwę, i od tej pory napełniali codziennie jej słowami krew swoich żył i krew swoich myśli, i cierpliwie, już bez gorączkowego pośpiechu i natarczywych prósb, czekali – czy wszyscy? – na zbawienny przyptyw wiary.

Tak, to było piękne i radosne popołudnie.

Droga wyrzeczenia

Zbliżał się miesiąc podniosłych świąt Rosz Haszana, Jom Kippur i Sukot. Krewni Jezusa, zamieszkali w Kfar Nahum, którzy darzyli Go niechęcią i podejrzliwym okiem patrzyli na Jego działanie, z podstępłą przychylnością radzili Mu, aby

poszedł na święta do Judei i tam dał się poznać swoim zwolennikom, bo – jak mówili, uśmiechając się drwiąco – kto chce być znany, nie kryje się ze swoim działaniem, a kto dokonuje wielu znakomitych czynów, niechaj ukaże je otwarcie na oczach całego świata, w Świętej Jerozolimie. Jezus, który nie zamierzał pielgrzymować na święta do Świątyni Pańskiej w towarzystwie swoich krewnych, tak rzekł do nich:

– Mój czas jeszcze nie nadszedł, ale dla was każda pora jest dobra. Was świat nie nienawidzi, mnie zaś nienawidzi, ponieważ daję świadectwo przeciw niemu i głoszę, że uczynki jego są złe. Idźcie na to święto. Ja na to święto nie pójdę, bo czas mój jeszcze nie nadszedł.

Powiedziawszy to, pozostał w Kfar Nahum, a gdy zawiedzeni krewni poszli sami do Jerozolimy, Rabbi po kilku dniach niepostrzeżenie wyruszył do Świętego Miasta w towarzystwie apostołów i uczniów, aby wyjść naprzeciw... swojemu czasowi.

Zbliżał się miesiąc podniosłych świąt.

Ziemia z trudem oddychała, spalona i spękana. Od zachodu zerwał się porywisty wiatr, a za wiatrem napłynęły białe obłoki i beztrząsowo uwijały się po niebie, jakby chciały swą dziecinną ruchliwością zmylić czujność ziemi i zgotować jej radosną niespodziankę; za nimi ciągnęły ciemne i ciężkie chmury o cielskach napęczniałych wodą, czerpaną z nieprzebranych źródeł niebieskich. Spadł pierwszy deszcz. Ludzie i ziemia powitali go z radością. Ziemia otworzyła swoje łono na przyjęcie urodzajnej wody, a ludzie szli z wysoko podniesionymi głowami i pili spadające z nieba strumienie, rozkoszując się przybierającą na sile ulewą.

Jezus, apostołowie i uczniowie zdążali środkiem drogi w gwałtownym i życiodajnym deszczu i śpiewali na chwałę Elohim i pierwszej wody, spadającej z nieba; i nikt z nich nie zamierzał przed tym cudownym i życiodajnym upustem schronić się pod dach domu, bo byłaby to naprawdę niewdzięczna ucieczka przed łaską Pańską, a ponieważ błogosławiony deszcz na swój sposób również błogosławił Panu szumem i chlupotem i śpiewał na Jego chwałę, i dziękował, że Pan pozwolił mu być czystą i nieskalaną wodą, dziękczynny śpiew apostołów i uczniów zmieszał się z dziękczynnym śpiewem deszczu i tak razem śpiewali, apostołowie, uczniowie i ulewny deszcz, ku chwale Elohim, twórcy wód na niebie i ziemi.

Deszcz ustał.

Gdy pielgrzymi późnym wieczorem dotarli do krainy Samarii, niebo zupełnie się wypogodziło – purpurowa poświata na zachodzie wskazywała na wietrzną pogodę – i wtedy Jezus wyprawił kilku apostołów, aby przygotowali Mu gospodę we wsi samarytańskiej. Wysłannicy bezskutecznie szukali noclegu. Samarytanie, zapiekli w nienawiści do Izraela, dowiedziawszy się, że Rabbi pielgrzymuje na

święta do Jerozolimy, odmówili Mu gościny pod swoim dachem. Wówczas Johanan ben Zebadia i jego brat Jaakow, Synowie Gromu, wzbudzili w sobie ślepy gniew przeciw Samarytanom i krzyknęli jednomyślnym dwugłosem, że jeżeli Jezua ben Josef pozwoli im spalić niegościnną wieś – mimo podniecenia i mściwej porywczosci zachowali w sobie tyle rozsądku, że z rozbijającą prostotą prosili Jezusa o zezwolenie na wykonanie zbyt pochopnego zamysłu, choć całkowicie zgodnego ze sposobem wojowania synów Izraela i Samarytan, którzy od wieków wzajemnie palili sobie wsie – chętnie podłożą ogień pod domy małodusznych gospodarzy, a na pewno będzie to ogień niebieski i za taki będzie go można z czystym sumieniem poczytywać. Jezus usłyszawszy te słowa – oto jak wciąż jeszcze rozumieli Jego naukę o miłowaniu nieprzyjaciół! – zgromił ich ostro, mówiąc:

– Nie wiecie, jakiego ducha jesteście! Syn Człowieczy nie przyszedł, aby zatracać dusze, ale je zbawiać.

Tak powiedział, a Synowie Gromu oddali pokłon karcącym słowom Rabbiego.

Nigdzie się nie zatrzymując, pośpiesznie przeszli przez krainę Samarii i o świcie stanęli na ziemi judejskiej, gdzie w jednej ze wsi mieszkańcy ofiarowali im dach nad głową, chleb i wino. Po krótkim wypoczynku ruszyli w dalszą drogę, a gdy rozniosło się w tłumach, ciągnących na Hag Hasukot, na Święto Namiotów, do Jerozolimy, że jest wśród nich Rabbi Jezua ben Josef z Nazarethu, kilku spośród pielgrzymów, pokonawszy nieśmiałość, podeszło do Niego, a pewien uczony rzekł dotykając z pokorą Jego szaty:

– Rabbi, pragnę iść za Tobą wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz.

Jezus przystanął, spojrzał pytająco na pielgrzyma – tym pytającym wzrokiem chciał mu dać do zrozumienia, że zbyt pochopnie wypowiedział swoje życzenie, którego na pewno nie będzie umiał urzeczywistnić, bo jest ono ponad jego siły – i odpowiedział:

– Lisy mają swoje jamy, a ptaki niebieskie swoje gniazda, ale Syn Człowieczy nie ma gdzie głowy położyć.

Wówczas jakiś młodzieniec, wpatrzony z zachwytem w oblicze Jezusa, widząc, że uczony nie wie, co odpowiedzieć, skorzystał z jego milczącej rozterki, podbiegł do Rabbiego i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Pójdę za Tobą, Panie, ale wpierrw pozwól mi pożegnać się z moją rodziną. A na to Jezus pokiwa ł przeczając głową:

– Żaden człowiek, który przykłada rękę do pługa, a ogląda się wstecz, nie nadaje się do Królestwa Niebieskiego.

Młodzieniec cofnął się. Wiedział, że rolnik prowadzący pług, chcąc dobrze wykonać swą pracę, musi patrzeć tylko przed siebie, na kroczące przed nim woły

i na kolec, którym rozbija twarde grudy ziemi.

„Trudne jest wyrzeczenie” – pomyślał ów młodzieniec i troska osiadła na jego czole. Tak pomyślał, nie wiedząc, że tymi słowami mimo woli utrafił w sedno zagadnienia, albowiem Jezus tę drogę do Jerozolimy postanowił poświęcić nauce o wyrzeczeniu. W tym celu usiadł na przydrożnym głazie, aby przemówić do apostołów, uczniów i chętnych słuchaczy, którzy poczęli tłumnie gromadzić się dokoła Niego w przewidywaniu, że wygłosi mowę pouczającą. Wtem ujrzał wśród nich jednego z dawnych swoich uczniów, Halfiego z Emaus, przywołał go skinieniem ręki i rzekł:

– Pójdź za mną.

A Halfi z Emaus odpowiedział:

– Panie, idę na pogrzeb mojego ojca. Pozwól mi wpierw odejść i pogrzebać go, a pójdę za Tobą.

Jezus, odpowiadając Halfiemu z Emaus, począł mu tłumaczyć, że umarłymi są ludzie żyjący sprawami doczesnymi, którzy nie wierzą w Królestwo Boże. Niechaj żyjący umarli grzebią swoich nieżyjących umarłych. Ludzie prawdziwie żywi, znający smak Wody Żywej, gdy są wezwani do głoszenia Królestwa Bożego, powinni wyrzec się wszystkich związków i więzów rodzinnych, nawet swoich rodziców – chcąc zrozumieć głębię i surowość Jezusowego wezwania, musimy sobie uzmysłwić, że obowiązek pochowania ojca i matki należał do świętych nakazów w Izraelu – i natychmiast, bez żadnej zwłoki okazać bezwzględne posłuszeństwo najwyższemu nakazowi, przed którym nikną wszystkie inne obowiązki.

– Niechaj umarli grzebią swoich umarłych, a ty pójdź za mną i głos Królestwo Boże – zakończył swoje wezwanie Jezus.

„Trudne jest wyrzeczenie” – pomyślał Halfi z Emaus i pozostał na zawsze przy Jezusie.

Rabbi, uradowany postanowieniem swojego ucznia, począł mówić do rzeszy o wyrzeczeniu i tłumaczył jej, że bez wyrzeczeń nie istnieje prawdziwa wiara; a mówiąc, nasycił swoje słowa błogosławioną przesadą, napętniał ją bujnym i obfitym wyolbrzymieniem, niewyczerpanym i cudownym przejawieniem, a gdy ją wyolbrzymił i przejawiał do granic ostatecznych – to nadmierne powiększenie było ulubioną figurą poetycką proroków, a sięgali do niej, ilekroć dostrzegali w słuchaczach skłonność do pomniejszenia i uszczuplenia natchnionych treści – zawołał, że ten, kto przychodzi do Niego, a nie ma w nienawiści swojego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, a nawet samego siebie, to znaczy tych wszystkich wartości, w których upatruje swoją duszę, i ogołocoony z całej majątności ziemskiej nie pozostanie sam na sam ze swoim ubóstwem, ten nie może być Jego uczniem!

Dlatego ten, kto chce iść za Nim i słuchać Jego nauk, i żyć według nich, musi Go kochać większą miłością niż ojca i matkę, żonę i dzieci, braci i siostry i musi wziąć na siebie znamię w kształcie świętej litery Taw i obliczyć swoje siły i wytrzymałość ducha, aby nie ugiął się pod ciężarami, których nie potrafi udźwignąć i pod którymi może upaść jak wielbłąd objuczony zbyt wielkim brzemieniem; więc przed powzięciem postanowienia niechaj siły swoje obliczy i zważy wytrzymałość ducha, i niechaj nie idzie za Nim, dopóki nie wyrzeknie się wszystkich wartości doczesnych, bo jeżeli ktoś ma zamiar zbudować wieżę obronną, czy wpierw nie siada i nie oblicza wydatków, koniecznych na jej wykończenie? Gdyby bowiem założył fundament, a potem nie mógł doprowadzić budowy do końca, wszyscy naśmiewaliby się z niego i mówili, że ten człowiek zabrał się do roboty, ale nie umiał jej dokończyć; a czy król, zamierzający prowadzić wojnę z innym królem, nie siada wpierw i nie obmyśla, czy potrafi w dziesięć tysięcy wojowników zmierzyć się z tym, który ciągnie przeciw niemu w dwadzieścia tysięcy, a jeżeli tego nie potrafi, wyrzeka się wojny, wysyła poselstwo, gdy wróg jest jeszcze daleko, i prosi o pokój; żaden spośród synów człowieczych, jeżeli nie wyrzeknie się wszystkiego, co posiada, nie może być uczniem Jego, zatem kto chce iść za Nim, niechaj wyrzeknie się rodziny, majątności i wszelkiej marności, w której upatruje swoją duszę, a na koniec niechaj się wyrzeknie nawet swojego wyrzeczenia i wtedy dopiero będzie solą ziemi, a sól jest jak cierpienie, sól oczyszcza i dobrą rzeczą jest sól; na podobieństwo swojego synowskiego Ojcostwa, zazdrosnego o ludzi, pragnie ich posiadać na swoją wyłączną własność i z nikim tej własności nie chce dzielić, dlatego kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha otwartymi uszami, gdyż odtąd w jednym domu będzie pięcioro rozdzielonych, trzech przeciwko dwom, a dwaj przeciwko trzem, powstaną ojciec przeciw synowi, a syn przeciw ojcu, matka przeciw córce, córka przeciw matce, świekra przeciw swej synowej, a synowa przeciw swojej świekrze, a nieprzyjaciółmi człowieka będą jego domownicy, i nastąpi powszechne rozdzielenie, a ci, którzy wyrzekli się dóbr doczesnych, będą oddzieleni od tych, którzy nie chcieli się ich wyrzec, i dlatego kto miłuje ojca nad Jezusa, jest Go niegodny, a kto miłuje matkę nad Jezusa, jest Go niegodny, a kto miłuje syna i córkę nad Jezusa, jest Go niegodny! Albowiem rodzinę stanowią tylko ci, którzy są związani pokrewieństwem wyrzeczenia, dokonanego w imię oddania się na własność Bogu. Tu począł wołać, że każda ofiara musi być przyprawiona solą cierpienia i musi być solona ogniem, a On przyszedł po to, aby ogień oczyszczenia i sądu rozniecić na ziemi. Zbliży się czas cierpienia. Lud, widząc zbliżającą się od zachodu chmurę, wie, że zbliży się ulewa, a gdy wieje wiatr od pustyni, wie, że będzie upał, a umiając dostrzec oblicze ziemi i nieba, nie umie dostrzec oblicza czasu

nadchodzącego! O, nie! Nie! Nie! Nie przyszedł ofiarować bezpłodnego pokoju! O, nie! Przyszedł z mieczem wyrzeczenia i przynosi światu urodzajny i święty rozdział!

Wszystko to jest trudne do zrozumienia – myślało wielu spośród ludu – i trudne do przyjęcia. Więż rodzinna w Izraelu, rozszerzona na cały naród, była nierozzerwalna, a miłość ojca do dzieci i dzieci do ojca była niezwykle żywa i czuła, i należała do tych uczuć życia zbiorowego, które stanowiły o spoistości całego ludu. Ilekroć rozmyślali nad zamierzoną ofiarą Abrahama i rozważali boleść starego ojca, prowadzącego syna na ofiarny stos, tylekroć oblatywał ich zimny strach, a nogi ich drętwiały. Ojcowie, patrząc na dzieci swoje, pytali siebie w duchu: Czy mógłbym ofiarować mojego syna, gdyby Pan tego zażądał? A synowie, patrząc na swoich ojców, zadawali sobie w duchu odwrotne pytanie: Czy mój ojciec, na którego teraz z miłością patrzę, mógłby złożyć mnie w ofierze na ołtarzu, gdyby Elohim tego zażądał? Lecz ani ojcowie, ani dzieci od niepamiętnych pokoleń nie udzielali sobie odpowiedzi na te pytania i błagali Pana, aby ich nie doświadczał bolesnymi próbami i nie żądał od nich dowodów posłuszeństwa i miłości, które są ponad ich siły. Gdy teraz usłyszeli z ust Jezusa żądanie wyrzeczenia się więzi rodzinnej i miłości ojcowskiej dla miłości Boga, czyli dokonania wyboru – a czyż czego innego żądał Jahwe od Abrahama? – i nieustannego powtarzania Abrahamowej ofiary dzień w dzień, o każdej chwili życia, bo bez tej ofiary i bez nieskończonych wyrzeczeń nie dostąpią miłości Pana, zadrżeli strachem, bo ujrzeli dłoń Bożą kładącą się ogromnym ciężarem na ich sercach. Nie! Niech Jeshua ben Josef nie żąda od nich Abrahamowej ofiary! Niech nie żąda od nich wyrzeczenia się więzi rodzinnej, rozdziału od żon i dzieci, niech im nie zakazuje grzebania umarłych rodziców! W imię czego tego żąda? W imię kogo tego żąda? I kim On jest właściwie, że żąda ofiary, której może żądać tylko sam Elohim?! Kim jest On?! Kto Mu dał prawo, które przynależy tylko Wiekuistemu?! Kto?! Tak szemrali przeciw Rabbieniu.

Rozesłanie siedemdziesięciu uczniów

Zbliżali się do Jerozolimy.

Rabbi postanowił teraz uczynić wielką próbę i nadać jej wartość wybiegającą daleko poza doraźne powodzenie, wartość, która, wnikliwie odczytana po Jego odejściu, będzie wytyczną dla przyszłego działania głosicieli Dobrej Nowiny. Przystanął. Bacznym spojrzeniem obrzucił uczniów. Ilu ich może być? Zaczął liczyć. I natychmiast przerwał liczenie. Nieważne, ilu ich jest, ważne natomiast, jaką określi ich liczbą, albowiem właściwy sens nie tkwi w rzeczywistej liczbie uczniów, lecz w liczbie przez Niego ustanowionej. Ustanowił więc, że gromadka liczyć będzie

siedemdziesięciu uczniów, a liczba ta miała według Niego wyrażać całą ludzkość – w przeciwieństwie do dwunastu apostołów, symbolizujących dwanaście pokoleń Izraela – podzieloną według Księgi Bereszit na siedemdziesiąt narodów, na których szczęśliwą intencję kapłani izraelscy co roku w Święto Namiotów składali siedemdziesiąt wołów na Ołtarzu Całopalenia. Byli bezimienną gromadką siedemdziesięciu uczniów, jak bezimienna jest ludzkość, do której przyszedł. Byli obrazem już nie jednego narodu, ale wszystkich ludzi czekających świadomie i nieświadomie na przyjście Obietnicy. W starych midraszach izraelskich słyszymy głosy o Prawie Bożym, przeznaczonym dla wszystkich ludów świata. W jednym z tych midraszów czytamy, że Elohim ofiarował w darze Prawo swoje wszystkim ludom ziemi i dlatego objawił je na pustyni, na górze Synaj, na ziemi niczyjej, na ziemi doskonałej wolności – synowie Prawa są wolni jak synowie pustyni – aby było własnością wszystkich ludów, a nie jednego Izraela; wprawdzie mógł je również ofiarować na Ziemi Świętej, jednak nie uczynił tego, aby Izrael nie uważał się za jedynego właściciela Słowa Bożego na ziemi, co nie byłoby zgodne z wolą Pana. Izrael był wybranym strażnikiem Słowa Bożego, a nie jego właścicielem, podobnie jak wybranymi strażnikami Dobrej Nowiny, a nie jej właścicielami, byli apostołowie, którzy niekiedy, ulegając ludzkim słabościom, zapominali o granicach swojego wyróżnienia. Byli wybrani wielkim wybraństwem, z czego nie dowód, że posiadali wyłączne prawo szerzenia Słowa Bożego. Jezus postanowił za pomocą ukoronowanej powodzeniem wyprawy siedemdziesięciu uczniów, będącej znakiem zwycięstwa Pana nad siedemdziesięcioma narodami świata, dać naukę pokory dwunastu apostołom – pamiętamy ich powrót z nieudanej misji! – którzy ujrzą tryumf siedemdziesięciu i wtedy zobaczą, że nie powinni być zazdrośni o swoje apostołskie przywileje ani złym spojrzeniem patrzeć na bliźnich, wypędzających w Imieniu Rabbiego szatanów z nawiedzonych ciał człowieczych, ani pyszałkowato kłócić się o pierwszeństwo w Królestwie Niebieskim; a zadzierzyści Synowie Gromu może stłumią w sobie swawolną ochotę palenia wsi samarytańskiej, oni, świadkowie Przemienienia na Górze Troistej! Wysyłając siedemdziesięciu bezimiennych uczniów uświęci ich pokorną bezimienną tym samym uświęceniem, którym uświęcił wysłanych apostołów, i zrówna ich z apostołami za pomocą tych samych nakazów i poleceń, które wydał apostołom, aby ludzkość na całą wieczność wiedziała, że każdy człowiek głoszący żarliwe Słowo Boże jest równy wybranemu apostołowi.

To pomyślawszy, Jezus kazał siedemdziesięciu uczniom iść przed siebie, po dwóch do każdego miasta, miasteczka i do każdej wsi, a wysyłając ich, tak do nich przemówił:

– Żniwo wprawdzie jest wielkie, ale robotników jest mało. Proście zatem Pana

źniw, aby posłał robotników na swoje żniwa. Idźcie! Oto posyłam was jak baranki między wilki. Nie zabierajcie ze sobą trzosu ani torby podróżnej, ani sandałów. Bądźcie przemyślni jak węże, a prości jak gołębie. Ilekroć wejdziecie do jakiegoś domu, powiedzcie najpierw: Pokój wam. A jeżeli tam mieszka syn pokoju, wasze życzenie pokoju spocznie na nim, jeżeli zaś nie, wróci ono do was z powrotem. Pozostańcie w tym domu, jedząc i pijąc to, co wam ofiarują, albowiem pracownik wart jest swojej zapłaty. Gdy przyjdziecie do jakiegoś miasta i przyjmą was gościnnie, jedzcie to, co wam podadzą. Uzdrawiajcie chorych, którzy w nim są, i głoscie im: Przybliżyło się do was Królestwo Boże. I powiedzcie im tę przypowieść: Królestwo Boże podobne jest do ziarenka gorczycznego, które pewien człowiek wziął i posiał na swojej roli. Jest ono mniejsze od wszystkich innych nasion, lecz gdy wyrośnie, większe jest od innych roślin, a nawet staje się drzewem, tak, że ptaki niebieskie nadlatują, aby usłać sobie gniazda w jego gałęziach. A potem opowiedzcie im jeszcze jedną przypowieść: Królestwo Boże podobne jest do kwasu, który wzięła niewiasta i zaczęła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasiło. Te przypowieści opowiedzcie ludziom słuchającym. Kto was słucha, mnie słucha, kto wami gardzi, mną gardzi, a kto mną gardzi, gardzi Tym, który mnie posiał. Kto was przyjmuje, mnie przyjmuje, a kto mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który mnie posiał. Kto przyjmuje proroka dlatego, że jest prorokiem, odbierze zapłatę proroka, kto zaś przyjmuje sprawiedliwego dlatego, że jest sprawiedliwym, odbierze zapłatę sprawiedliwego, a kto napoi jednego z was, z tych najmniejszych, dlatego, że jest uczniem moim, zaprawdę, powiadam wam, nie ominie go zapłata. Lecz jeżeli przyjdziecie do jakiegoś miasta i tam was nie przyjmą, to wyjdźcie na jego ulice i powiedzcie: Nawet proch waszego miasta, który przyległ do naszych nóg, otrząsamy na was. Zapewniam was: w Dniu Sądu znośniejszy będzie los Sodomy niż tego miasta!

Oczy Jezusa gorzały ogniem. Czoło Jego pokryła ciemność. Buchał od Niego żar i uchodziła z Niego Moc, ta sama, która w porę zapłaty i kary czyniła wśród ludów wielkie spustoszenia, deptała pastwiska, pola spalała na popiół, zmieniała pszenicę w ciemność, obalała domy, wywlekała z grobów kości grzeszników i rozrzucała je przed słońcem i księżycem. Podniósł ręce jak dwa nieposkromione miecze – to już nie był ich Rabbi, lecz słup gniewu i klątwy, złorzeczenia i potępienia – i zawołał głosem zagłady:

– Biada miastom, które mimo moich niezliczonych cudów nie chciały się nawrócić!
Biada tobie, Chorozain! Biada ci, Bethsaido! Gdyby w miastach pogańskich, Tyrze i Sydonie, stały się były cuda, które u was się działy, dawno by te miasta czyniły pokutę w worze i w popiele!

Powiadam wam, o miasta zatwardziałe w grzechu: Pogańskiemu Tyrowi i Sydonowi lżej będzie w Dzień Sądu aniżeli wam! A ty, Kfar Nahum, czy może aż pod niebo będziesz wywyższone?! O, nie! Aż do piekieł będziesz poniżone! Bo gdyby w Sodomie działały się cuda, które u ciebie się działy, ostałaby się ona po dzień dzisiejszy! Lżej będzie ziemi Sodomitów w Dzień Sądu niż tobie!

Gniew Męża zgasł, ale przerażenie apostołów i uczniów trwało, albowiem w Jego głosie usłyszeli głos rozsierzonego Jahwe.

Święto Namiotów

1

Była połowa miesiąca tiszri. Zamknął się cudowny krąg pracy na roli. Wyczerpana ziemia czekała na czas śmierci, będącej równocześnie wielkim przygotowaniem do nowego życia. Świat wchodził w okres podniosłego chaosu i nieładu, chmur, deszczów, błyskawic, zimnych wichrów, rwących strumieni i nagłych zmian pogody, z których miało wyłonić się harmonijne piękno pierwszych dni wiosny: piękno kwitnących drzew migdałowych, drzew czuwających. Ten okres śmierci w przyrodzie i nadchodzącego zamieszania Izrael witał z uczuciem wielkiej radości. Odejście lata nie było dla ludu zjawiskiem żałobnym. Lud wiedział, że bezwodny czas odchodzi po to, aby mógł drogą nieskalanej wody, padającej z nieba, znowu powrócić w chwale i płodności. Elohim był poręczycielem tych nieustających powrotów, które nie były cofaniem się, lecz posuwaniem się naprzód w cudownym rytmie czasu, będącego olbrzymią i niepowstrzymaną rzeką zdarzeń, pozostających w wiecznym ruchu. Dla Greka i Rzymianina czas i zdarzenie były odrębnymi pojęciami. Dla Izraela czas i zdarzenie były pojęciem jednym i tym samym. W świadomości Greka i Rzymianina zdarzenie dzieje się w czasie. Dla syna Izraela czas jest falą zdarzeń, które ruchem rytmicznym, nieustannie powracając, płyną przed siebie. Grek i Rzymianin, wracając, cofa się. Syn Izraela, wracając, idzie naprzód. Dlatego Święto Namiotów nie było świętem smutku z powodu końca zjawiska, ale świętem radości z powodu jego nowego początku. „Weźcie sobie – powiedział Jahwe w świętej Księdze Wajikra – pierwszego dnia owoce pięknych drzew, liście palmowe, gałązki drzew i wierzb nadrzecznych. Będziecie się weselić przed Bogiem waszym, Jahwe, przez siedem dni... Przez siedem dni będziecie mieszkać w namiotach. Cały Izrael będzie mieszkał w namiotach, aby pokolenia wasze wiedziały, że kazałem synom Izraela mieszkać w namiotach, gdy wyprowadziłem ich z Micraim. Ja jestem Jahwe, wasz Bóg.” Według nakazu Pańskiego, znacznie uzupełnionego i poszerzonego przez praojców o dziękczynienie

za winobranie, za zbiory owoców, za wodę i o błagalną prośbę o piękne zbiory, o łaskę deszczu i obfitej rosy – lud na kilka dni przed Świętem Namiotów stawiał na płaskich dachach i na dziedzińcach domów, na placach i ulicach, w ogrodach, na wzgórzach i dolinach szałas z wszelakiego rodzaju chrustu, nakryte nieszczelnym dachem z liści palmowych i gałęzi mirtowych, aby wygwieżdżone niebo mogło swobodnie zaglądać do wnętrza i naocznie napawać się radością biesiadujących, i współsmakować z nimi przy spożywaniu doskonałych potraw, przyrządzonych przez zapobiegliwe niewiasty. Wprawdzie nie uczestniczyły one w biesiadach i nie spały pod zielonymi szalasami, bo przywilej ten był udziałem tylko mężczyzn oraz chłopców, którzy wyszli spod matczynej opieki, mimo to nie czuły się pokrzywdzone tym uświęconym przez wieki obyczajem i świadome swej wartości – nie na darmo król Salomon wyśpiewał z godną pochwałą wytwornością hymn na chwałę niewiasty izraelskiej – z pobożną gorliwością przyrządzały najsmakowitsze potrawy w najpiękniejszych naczyniach, wyścielały podłogę szalasów miękkimi kobiercami i poduszkami, ściany ozdabiały barwnymi tkaninami, radując się radością swoich mężów i dzieci.

2

Jerozolima wraz z dziedzińcami świątynnymi, gdzie ustawione były szałas dla kapłanów i lewitów, podobna była dzisiaj do palmowego gaju; gdy przed wschodem gwiazdy wieczornej, w erew jom tow, w wieczór poprzedzający dzień Święta Namiotów, na Dziedzińcu Niewiast w Świątyni Pańskiej zapalono czterolampowe świeczniki – zapalali je młodzieńcy z najdostojniejszych rodów kapłańskich – a równocześnie we wszystkich szalasach rozbłysły światła oliwnych lamp, przetykające migotliwym drzeniem tkaninę z chrustu i liści, całe niebo nad Jerozolimą Hakodesz okryło się zieloną łuną, jak godową szatą z cennego adamaszku.

3

Piętnastego dnia miesiąca tiszri po pochmurnej, deszczowej nocy wstał nad Jerozolimą błękitny poranek.

Lewici zadęli w rogi baranie. Otworzyły się bramy Świątyni. Niezliczone tłumy w odświętnych strojach wypełniły wszystkie dziedzińce. Mężczyźni trzymali w prawej ręce lulaw, wiązanek z gałązek mirtowych, wierzbowych i palmowych – była ona znakiem jesiennej modlitwy o błogosławiony deszcz – a w lewej etrog, owoc cytrusowy, znak obfitych zniw. Dziękowali Panu za łaskę życia, a każdy z nich na

dowód swej obecności w tłumie wiernych wznosił wysoko gałązki mirtu, wierzby i palmy, i owoc cytrusowy, a Elohim patrzył z zadowoleniem na falującą zielen, albowiem kochał piękno, które stworzył.

4

Ku sadzawce Siloah ruszył pochód. Otwierał go wyznaczony przez losowanie w tym dniu kapłan. Kroczył w otoczeniu najstarszych kapłanów i lewitów i trzymał w obu dłoniach złoty dzban, przeznaczony do czerpania wody z cudownej sadzawki. Za nimi szli według ustalonego porządku najprzedniejsi uczeni w Piśmie Świętym, mędrcy i znawcy Prawa, dostojnicy świątyni, nadzorcy skarbu, soli, oliwy, drewna, pieczęci, kluczy i bram, bydła i ptaków ofiarnych, przełożeni piekarzy wypiekających chleby pokładne, piwnic z winem sakralnym, komór z kadzidłem, sagan, dowódca straży świątynnej, za nimi przedstawiciele Sanhedrynu i dostojnych rodów, a na samym końcu bezimienny tłum wiernych. Gdy stanęli nad brzegiem Siloah, kapłan odmówił błogosławieństwo nad wodą, zanurzył złoty dzban w sadzawce, podniósł go na wysokość swej głowy i pokazawszy obecnym, że jest pełny, przycisnął go do piersi i ruszył na czele pochodu w drogę powrotną przez Dolne Miasto do Świątyni; szedł powoli, bardzo ostrożnie, aby nie uronić na ziemię ani jednej kropli wody przeznaczonej dla Elohim. Przy Bramie Wody lewici trzykrotnym dźwiękiem baranich rogów, krótkim, długim i krótkim, powitali powracającą procesję, a kapłan – jego serce mocniej zabiło, gdy sobie uprzytomnił, że jest teraz wyobrażeniem fundamentu dźwigającego ciężar wszystkich wód stworzonych przez Pana – głosem, w którym trwoga przed Jahwe mieszała się z radosną ufnością, zaśpiewał donośnie pieśń ze świętych Zwojów Jesai, a lud wtórował jego śpiewom: – „Oto Bóg jest zbawieniem moim! Będę miał ufność, a nie ulękę się, bo mocą moją i chwałą jest Pan, a On jest zbawieniem. Wy zaś z radością będziecie czerpać wodę ze zdrojów zbawienia”.

Rozpoczęło się ofiarowanie wody i wina. Kapłan, przystąpiwszy do Ołtarza Całopalenia, twarzą zwrócony ku zachodowi, skąd nadciągały ulewne deszcze, wlał wodę ze złotego dzbana do srebrnej misy, a do drugiej wino. Przez otwory znajdujące się na dnie obu mis woda i wino ściekały do podwalin Ołtarza, dwa życiodajne strumienie, zapładniające łono ziemi, wino, napój wyciśnięty z soczystych kiści winogron, będących obrazem całego domu Izraela, i woda, o której mówili mędrcy, że jest tak święta jak pierwszy dzień stworzenia.

Synowie Izraela padli na twarze.

Kapłan od Ołtarza wyciągnął przed siebie dłonie i pobłogosławił ich, a wierni,

czując na sobie ciężar błogosławieństwa, które ich wyróżniało spośród wszystkich ludów ziemi, rozkoszowali się trudnym wybraństwem i gdy podnieśli się z ziemi, z Ołtarza Całopalenia unosiły się już pierwsze dymy ofiarne. Mijały godziny. Było już południe, a kapłani nieprzerwanie składali ofiary i upadali ze znużenia, nie mogąc nadażyć z wykonywaniem sakralnych obowiązków. Wreszcie chór lewitów zaintonował Hallel. Był to znak, że ofiara ma się ku końcowi; słowa psalmów stromym lotem popłynęły do nieba i utworzyły miękki podnózek dla stóp Wiekuistego. Lud ogarnięty żywiołową wdzięcznością potrzasał zamasyście wiązkami, szeleszczącymi teraz jak strumienie wody spadającej z pochmurnego nieba, i wsłuchany w słowa modlitwy, czuł każdą kroplą krwi nadprzyrodzoną osobliwość kręgu życia, śmierci i życia, wciąż zamykającego i wciąż otwierającego się w kształcie czterech pór roku, umocnionych mocą prawicy Pańskiej po wieczny czas. Przy słowach: „O Panie, zbaw! O Panie, daj powodzenie! Błogosławiony, który przychodzi w Imię Pana, błogosławimy wam z Domu Pańskiego” – Izrael po raz drugi potrzasał wiązkami i przywoływał jesienny deszcz, a na zakończenie psalmu, gdy zabrzmiały chóralne pienia: – „Hodi Adonaj ki tow ki leolam hasdej – dziękujemy Panu, albowiem jest dobry i po wieczny czas trwa Jego łaska” – po raz trzeci dziarskim potrząsaniem mirtowych, wierzbowych i palmowych gałęzi z przezorną natarczywością przypominał Panu o ziemi łaknącej wody.

5

Zapadł wieczór.

Na Dziedzińcu Niewiast zebrały się tłumy mężczyzn; kobiety zajęły miejsca pod krążkami, odgrodzonymi od dziedzińca drewnianymi poręczami; ci, którzy nie mogli się na nim pomieścić, szczelnie wypełnili Portyki Salomona, Królewski i Dziedziniec Pogan. Na piętnastu stopniach schodów, prowadzących do Bramy Nikanora, ustawili się śpiewacy świątynni, a poniżej nich muzycy. Uroczystym, surowym, ciemnym dźwiękiem zagrzmiały szofary. Ich potężne granie krążąc nad Jerozolimą, nad brukowanymi ulicami i ciasnymi zaułkami, nad wzgórzami i dolinami, sadzawkami i rynsztokami, pałacami bogaczy i lepiankami biedaków, nad urodzajną ziemią i martwymi cmentarzami ustanawiało niezachwianą równość wszystkich ludzi i rzeczy przed obliczem Głosu Pańskiego, rozbrzmiewającego z baranich rogów, w które pełnymi płucami dęli lewicy z dachów Świątyni Pańskiej, szczęśliwi, że im przypadło w udziale naśladowanie grzmotu ust Jahwe.

6

Na niebie zaświeciły gwiazdy.

Harfiarze zbliżyli dłonie do harf, utkwili wyczekujący wzrok w przodowniku i na dany przez niego znak lekko uderzyli w struny. Przez drgającą tkaninę harfianych tonów przedarły się ciche słowa o brzmieniu niezwykle wyraźnym dzięki nieskalanej dykcji chóru, starającego się za pomocą starannie rzeźbionych dźwięków przypodobać się Panu, uwrażliwionemu na piękno Psalmów, których był natchnieniem, a niekiedy nawet i twórcą, chociaż autorstwo swoje chętnie przypisywał podstawionym przez siebie poetom: „Panie, nie wynosi się moje serce i w oczach moich nie ma pychy – śpiewał chór – nie kuszę się o zrozumienie spraw wyższych, które są dla mnie niedościgłe. Zaprawdę ułagodziłem i unizyłem duszę moją. Jak nakarmione niemowlę na łonie matki, jak nakarmione niemowlę, tak cicha jest dusza moja”.

Ledwo rozplynęły się w powietrzu ostatnie słowa psalmu, a rzesze nie zdołały jeszcze ochłonąć z wrażenia jego wzniosłości, gdy fleciści w radosnym podnieceniu zadęli w podwójne flety, a chór burzą głosów zaintonował psalm ku chwale Pana, ostatni psalm z piętnastu śpiewanych w ten wieczór na piętnastu marmurowych stopniach, prowadzących do Bramy Nikanora: „Błogosławcie Panu, wszyscy słudzy Pana, którzy co noc stoicie w Domu Pana. Wzniescie w Świątyni wasze ręce i błogosławcie Panu. Niechaj z Syjonu błogosławi cię Pan, który stworzył niebo i ziemię”.

– „Który stworzył niebo i ziemię” – powtórzyły wielotysięczne tłumy.

Na środek dziedzińca przez Piękną Bramę weszli w dostojnym pochodzie, z płonącymi pochodniami w rękach, najprzedniejsi uczeni w Piśmie, mędrcy i nauczyciele, w wełnianych tunikach przepasanych jedwabnymi, wzorzystymi pasami, spiętymi klamrami kutymi w srebrze lub miedzi, w białych, niebieskich i szkarłatnych płaszczach sięgających kolan, i ustawili się szerokim kołem. Na ich wzniesionych ku niebu twarzach pełzały blaski pochodni. Jeszcze trwali w bezruchu, ale w żyłach czuli już podniosłe uderzenia krwi, w mięśniach narastający rytm upojenia, a w ciałach taką lekkość, jakby straciły wszelki ciężar i miały się unieść o własnych siłach do stóp Wiekuistego. Zabrzmiały cymbały, harfy i flety. Mędrcy i uczeni wpatrywali się uporczywie w niebo, a po chwili napiętego czekania poddali się dźwiękom muzyki i pod jej takt poczęli wykonywać ruchy z początku powolne, potem coraz raźniejsze i szybsze, lecz zawsze zgodne z dostojnością przynależnym ludziom, którzy się parają odczytywaniem tajemnic Słowa Bożego.

Szerokim kołem, z płonącymi pochodniami w rękach, tańczyli miłośnicy i czciciele Prawa, wielbiciele Pisma, tańczyli objaśniacze przykazań, rozkazów i wyroków Pana, wytrawni znawcy ustaw i przepisów, mężowie opowiadający przypowieści i przepisujący święte Zwoje, wykładowcy beth hamidraszu, tańczyli ku chwale Szechiny i każdym ruchem pochodni, ciała, skurczem twarzy, spojrzeniem oczu, a nawet szeleszczącymi fałdami szat i rozwianymi białymi i błękitnymi frędzlami, przyszytymi do płaszczy, wielbili wiecznego Prawodawcę. Pan z uznaniem podziwiał ich cielesną sprawność, miganie ich nóg, zwinność rąk zręcznie żonglujących pochodniami, które wyrzucali w górę i chwyтали w powietrzu; rozpryskujące się iskry z sykiem sypały się na ziemię. Kochali igry z pochodniami, bo kochali ogień, który ich zbliżał do Boga. Ogniste bicze, przecinające z trzaskiem powietrze, stwarzały w nich złudzenie chwalebnej zabawy z Elohim – Pan chwycił wyrzucane przez nich pochodnie i z kolei zgrabnie je podawał ich wyciągniętym dłoniom – a była to jedyna radosna zabawa z surowym Wiekuistym, na którą sobie pozwalali raz w roku, korzystając z Jego łaskawego nakazu, nakładającego na nich obowiązek beztroskiej wesołości w dniach Święta Namiotów. Tłum z zapartym tchem śledził zachwycenie tańczących mędrców i ani jednym krzykiem lub klaśnięciem w dłonie nie przerywał ich obecności w siódmym niebie, w którym na pewno teraz przebywali dzięki umiejętnej sztuce przenoszenia się za pomocą sakralnych gestów w dziedziny niedostępne dla profanów. I niejeden z nich na pewno pragnął, aby te modlitewne ruchy utrwaliły się w powietrzu i przez długie godziny napawały podziwem dom Izraela; ale niestety rozplywały się one i ginęły, zastępowane natychmiast innym zespołem ruchów, świadczących o mądrym następstwie czasu, działającego według Mądrości Pańskiej i na Jej chwałę i – bądźmy szczerzy – ku utrapieniu synów człowieczych, nie mogących się pogodzić z przymusem przemijania, tym spadkiem odziedziczonym po grzechu pierworodnym. Gdy umilkła muzyka i taneczne koło mężów znieruchomiło w kamiennych pozach, rzesze dały upust podziwowi i czci dla pobożnej i natchnionej zręczności mężów i radośnie krzyżąc, klaszcząc i wymachując rękami, runęły na środek dziedzińca, aby zmieszać się z tymi, którzy dzięki swojej mądrości dostąpili zaszczytu tańczenia przed niewidzialnym obliczem Jahwe.

Z Dziedzińca Pogan, spod Portyków Salomona i Królewskiego zerwał się huragan śpiewów. Tańczyli mężowie, młodzieńcy i chłopcy. Muzycy – teraz już nie lewicy, ale przygodni grajkowie – wybijali skoczne melodie na dziesięciostrunnych cytrach, jęczały przeciągle trójkątne liry, dzwoniły tympany, huczały czynele i przeraźliwie piszczały flety. Niewiasty – nie uczestniczyły one w zabawie z powodu pewnych swawolnych wybryków, które przed kilkoma laty wydarzyły się nocną porą podczas

Święta Namiotów – z zazdrością przyglądały się spoza ogrodzenia śpiewającym i tańczącym mężom i młodzieńcom i wyrażały głośno żal, że z winy kilku ladacznic nie mogą brać udziału w godziwej rozrywce, i dlatego z zadowoleniem powitały pierwsze pianie kogutów, będące ostatecznym hasłem do zaprzestania nocnych uroczystości.

Ludzie, przynaglani nawoływaniem strażników i dźwiękiem rogów, szybko opuszczali dziedzińce i wkrótce Świątynia Pańska opustoszała.

Zamknęły się ciężkie miedziane bramy – każdą z bram z powodu ich ogromnego ciężaru zamykały i otwierały przeznaczone do tego celu oddziały odźwiernych, złożone z kilkudziesięciu lewitów – i tylko z Dziedzińca Niewiast, z wysokich świeczników strzelały ku niebu jasne płomienie i czuwały nad Przybytkiem Pańskim jak straż archaniołów o ognistych obliczach.

8

Jezus po przybyciu do Jerozolimy zamieszkał na przedmieściu Bethesda, u krewnych, z których gościnności wielokrotnie korzystał, a apostołowie znaleźli dla siebie pomieszczenie u swoich powinowatych i znajomych.

W drugi dzień Święta Namiotów, po południu, Rabbi, apostołowie i pobożne niewiasty, Mariam z Magdali, Hana, żona Chuzy, Szoszana i Salome, udali się do Eleazara i jego siostr, Mariamne i Marthy, zamieszkałych w Bethanii na wschodnim stoku Góry Oliwnej, i uraczeni dobrym jadłem i winem spędzili u nich kilka godzin na rozmowie w przestronnym szałasie, zbudowanym na dziedzińcu, a wieczorem udali się do Świątyni, aby nacieszyć oczy widokiem barwnych tłumów i tańczących mędrców, żonglujących pochodniami.

Jezus z nimi nie poszedł. Pożegnał się z apostołami i przyjaciółmi u bram miasta i okreśną drogą, sam, udał się na dziedziniec świątynny, wmieszał się w tłum i przez nikogo nie poznany przystanął w cieniu kolumny, w Krużganku Salomona, i na przekór powszechnej radości przyglądał się z bolesnym współczuciem płomieniom buchającym z czterech świeczników.

9

Lud jerozolimski domyślił się, że Rabbi przebywa w Świętym Mieście. Domyśły te wkrótce zamieniły się w pewność, gdy podczas porannych uroczystości jacyś Galilejczycy dostrzegli Kefasa i synów Zebadii, potrząsających wiązkami przed Ołtarzem Całopalenia. – Gdzie są uczniowie, tam musi być i nauczyciel – szeptali. Apostołowie, widząc zwrócone na siebie spojrzenia, szybko ulotnili się i przepadli

bez śladu w nieprzejrzanym tłumie pielgrzymów. Ich nagłe zniknięcie podrażniło ciekawość ludu. – Gdzie On jest? Gdzie przebywa? Dlaczego się ukrywa? – pytali Judejczycy. – Ukrywa się, bo zwodzi lud – twierdzili jedni. – Nieprawda – szeptali drudzy – Jezua ben Josef nie jest zwodzicielem, lecz Mężem Sprawiedliwym. – Nie ukrywałby się, gdyby był Mężem Sprawiedliwym – odpowiadali przeciwnicy Jezusa. – A król Dawid nie ukrywał się? A Elijahu nie ukrywał się? A Jeremijahu nie ukrywał się? – pytali zwolennicy Jezusa.

Jezus obudził się o świcie – a minęła już połowa dni świątecznych – i zapowiedział przybyłym do Niego apostołom, że dzisiaj jawnie uda się wraz z nimi do Świątyni i nauczać będzie w Krużganku Salomona.

Był pochmurny dzień. Ludzie, ujrzawszy Jezusa modlącego się nad brzegami Siloah, poczęli między sobą szeptać i jeden drugiemu wskazywał ledwo dostrzegalnym ruchem głowy postać galilejskiego Męża z powodu uroczystej chwili czerpania wody starali się opanować ciekawość, nie zaostrzać jej i nie odbiegać myślami od podniosłego obrzędu, ale wysiłki te nie na wiele się zdały, bo ich uwaga tak bardzo skupiła się na osobie Rabbiego, że nawet nie dosłyszeli słów kapłana, zmawiającego błogosławieństwo, ani plusku złotego dzbanka zanurzającego się w sadzawce. Pochłonięci obecnością Jezusa – niezależnie od tego, czy byli Jego zwolennikami, czy przeciwnikami – z jednakowym niepokojem śledzili grę Jego twarzy, usiłując z niej wyczytać tajemnice Człowieka, który – jak sam o sobie twierdził – przyszedł na ten świat po to, aby przynieść miecz i rzucić ogień na ziemię. Przecież wszyscy synowie Izraela marzyli o mieczu skierowanym w serca rzymskich zaborców! A może jednak Jezua ben Josef również myśli o takim mieczu? Ach, gdyby mieli tę pewność! Tak rozważali zwolennicy i przeciwnicy, krocząc zgodnie obok siebie w procesji za kapłanem powracającym do Świątyni Pańskiej ze złotym dzbanem pewnym macierzyńskiej wody.

A w procesji szedł również Jezus i wraz z tłumem wiernych śpiewał pieśń ze świętych Zwojów proroka Jesai: – „Oto Bóg jest zbawieniem moim”.

Zaczął padać deszcz.

Po ostatniej ofierze, złożonej przez kapłanów na Ołtarzu Całopalenia, rzesze zgromadziły się z powodu ulewy pod portykami i z ożywieniem omawiały zdarzenia dnia. W przeciwieństwie do dotychczasowych rozmów i pogawędek, które toczyły się zazwyczaj dokoła uroczystości, ilości złożonych ofiar, śpiewu lewitów i akompaniamentu muzyków, pięknych strojów bogaczy, pychy saduceuszów – przy czym nie omieszkiwano beztrąsko naigrawać się z ludzkich przywar i słabostek – ludzie tym razem rozprawiali o Jezusie i Jego udziale w procesji do sadzawki Siloah. Gdy Rabbi zjawił się w Krużganku Salomona

pośrodku tłumów, szmer powstał wśród obecnych i zmieszał się z pluskiem ulewy. Po chwili zapanowało milczenie i tylko szumiała woda spadająca ze spichlerzy Pańskich, i szumem swoim potakiwała słowom Rabbiego, który przemawiając do rzeszy, mówił do niej o Królestwie Niebieskim, o czujności, o doskonałym ubóstwie, o wyrzeczeniu, o darowaniu win, o miłowaniu nieprzyjaciół, o zgorszeniach, o soli, ogniu i wodzie, prawdziwej modlitwie i prawdziwej wierze, o pokucie, o ciasnych i przestronnych bramach, o świetle i ciemności, a wypowiedzi swoje przeplatał przypowieściami, alegoriami i midraszami, porównaniami i przenośniami, cytatami z Pisma Świętego, przy czym wciąż powoływał się na Zwoje Prawa, Jesai, Jechezkeła, Hosei, Jony, Micheasza, Hagai, na Psalmy, a czynił to tak sprawnie i z taką swadą i mistrzostwem tworzył przesłanki i wyprowadzał z nich wnioski, a wszystko za pomocą niezwykle plastycznych obrazów, że słuchacze, słuchając Go, pytali między sobą: – Jakim sposobem zna On Pismo Święte, skoro się nie uczył? – Tak pytali, a pytali słusznie, bo za uczonego w Izraelu uchodził ten mąż, który bądź ukończył beth hamidrasz w Jerozolimie, bądź pobierał nauki u jakiegoś wybitnego nauczyciela, mędrca powszechnie poważanego dla swojej wiedzy, rozwagi, pobożności i rozumu, wybitnego znawcy Halachy i Hagady, umięjącego rozstrzygać zawile zagadnienia zarówno etyczne i religijne, jak i rozsądzać trudne i poważne spory między ludźmi. Ale na tym nie kończyła się nauka. Obowiązkiem każdego młodzieńca, kształcącego się w Piśmie Świętym, było pilne śledzenie sposobu bycia mistrza, jego uczynków i zasad postępowania z bliźnimi, ubogimi i możnymi, obchodzenia się z żoną i domownikami, ze służbą, a nawet ze zwierzętami, aby przez porównanie teorii z praktyką mógł wyrobić sobie zdanie o świętobliwości, sprawiedliwości i charakterze rabbiego, a potem naśladować go, powoływać się na jego nauki i uczynki, i odnajdywać w nich bodziec do własnego działania. W tym celu młodzieniec powinien przez długie lata żyć w cieniu swojego nauczyciela, okazywać mu bezwzględne posłuszeństwo – szkoła wychowania była zarazem szkołą pokory i posłuszeństwa – być na każde jego zawołanie, spełniać bez szemrania wszystkie jego rozkazy, być jego sługą i wykonawcą jego poleceń. I właśnie to wszystko razem nazywało się w Izraelu kształceniem, nauką. A cóż wiedział lud jerozolimski o szkolnych latach Jezusa? Cóż wiedział lud o Jego nauczycielu? Czy Jezus w ogóle miał jakiegoś nauczyciela? Czy kiedykolwiek wymienił jego imię i mówił o zasobach jego wiedzy? Czy powoływał się w wypowiedziach na mądrość swojego rabbiego? Czy spełniał u jego boku służebne i pokorne obowiązki? Czy cytował jego myśli?

Czy dawał swoim uczniom i słuchaczom przykłady z jego życia? Jezus nie kształcił się w beth hamidraszu w Jerozolimie i nie miał takiego nauczyciela. Dobry

i świątobliwy chazan, który uczył Go czytania Pisma Świętego, nigdy nie odważyłby się współzawodniczyć w swoich umiejętnościach z Hillelem, Gamaliellem lub innym uczonym; więc o skromnym faryzeuszu z Nazarethu, trudniącym się nauczaniem biednych dzieci, lud jerozolimski nic nie wiedział, a gdyby nawet wiedział, na pewno setnie by drwił z tej studni galilejskiej niewiedzy, z której czerpał wiedzę Jezua ben Josef.

Jezus natychmiast zrozumiał, o co chodzi pytającym; i dlatego, słysząc ich słowa, w odpowiedzi powołał się na swojego Nauczyciela i na Jego... umiejętności:

– Nauka moja nie jest moją, lecz Tego, który mnie posłał. Jeżeli ktoś chce pełnić wolę Jego, to pozna, czy ta nauka pochodzi od Elohim, czy też sam od siebie mówię. Kto od samego siebie mówi, ten szuka własnej chwały, a kto szuka chwały Tego, który go posłał, ten jest prawdomówny i nie ma w nim nieprawości. Czy nie Mojżesz dał wam Prawo?

– Słusznie! Mojżesz dał nam Prawo! – zawołał ktoś z tłumu.

– A jednak nikt z was nie przestrzega Prawa! – zawołał Jezus.

– Przestrzegamy!

– Jeżeli przestrzegacie, dlaczego chcecie mnie zabić?

– Kto usiłuje Ciebie zabić? Kto? My chcemy Ciebie zabić? My? Chyba jesteś opętany przez złego ducha, skoro twierdzisz, że chcemy Cię zabić! – wołały podniesione głosy.

A na to Jezus odpowiadając rzekł:

– Jednego tylko cudu dokonałem w Jerozolimie, przy Owczej Sadzawce, a wszyscy byliście zdziwieni. Czy wtedy nie groziliście mi śmiercią, bo uzdrowiłem kalekę w dniu Szabatu? Mojżesz dał ludowi obrzezanie, które Pan ustalił za czasów patriarchów, a wy w Szabat dokonujecie obrzezania, aby nie naruszyć Prawa Mojżeszowego, więc dlaczego oburzacie się na mnie, że w Szabat uzdrowiłem całego człowieka? Nie sądźcie z pozoru, ale wydajcie wyrok sprawiedliwy!

Szmer poszedł po tłumie. Ludzie nie mogli się połapać, po czyjej stronie jest słuszność i jakie powinni zająć stanowisko wobec trudnych do obalenia dowodów przytoczonych przez Rabbiego.

– Rabbi Jezua ben Josef ma słuszność! Chcieli Go zabić! – ktoś krzyknął.

– Tak! Chcieli Go zabić! – zawołał inny głos.

– Nieprawda! Przecież teraz jawnie przemawia i nikt Mu nie grozi! – krzyknął jakiś starzec.

– Czyżby nasi zwierzchnicy naprawdę przekonali się, że Rabbi Jezua ben Josef jest Mesjaszem?! – zahuczał podniesiony głos, w którym niepokój mieszał się z nadzieją, a trwoga z radością.

Zagłuszyła go głośna wrzawa:

- Gdy Mesjasz przyjdzie, nikt nie będzie wiedział, skąd On pochodzi!
- O Rabbim z Nazarethu wszystko wiemy!
- Mesjasz dopóty będzie nieznan, dopóki nie przyjdzie prorok Elijahu i nie namaści Go świętą oliwą, i uroczycie nie obwieści Jego przyjścia!
- Mesjasz urodził się przed powstaniem świata!
- Czy Jezua ben Josef urodził się przed powstaniem świata?!
- Czy urodził się, zanim słońce i ziemia zostały stworzone?!
- Kim więc jest Jezua ben Josef?!
- Kim jest?!
- Chcemy wiedzieć, kim jest!

Wrzaski odbiły się od marmurowych kolumn i stropów krużganku i wzbogacone własnym echem i nowymi krzykami coraz potężniejszym grzmotem przewalały się od końca do końca falującego tłumu.

– Słusznie! – zawołał Rabbi. – Znacie mnie i wiecie, kim jestem! Ja jednak nie przyszedłem sam od siebie, albowiem prawdziwy jest tylko Ten, który mnie posłał, ale wy Go nie znacie! Ja Go znam! – głos Jezusa huczał jak łoskot ognistych kół. – Od Niego jestem! I On mnie posłał!

Podniósł dłoń i grożąc nią, zawołał:

– Krótki tylko czas będę jeszcze z wami, a potem pójdę do Tego, który mnie posłał! Będziecie mnie szukać, ale nie znajdziecie mnie! A tam, gdzie ja potem będę, wy nie będziecie mogli wejść!

To powiedziawszy, gestem rozłożonych dłoni uczynił sobie przejście w tłumie i przeszedł jego środkiem na dziedziniec, a wprawdzie ten i ów z Jego wrogów pomyślał, że łatwo można by Go teraz schwytać, nikt jednak nie odważył się podnieść na Niego ręki, a wielu, słysząc Jego słowa wypowiedziane z mocą, którą znali ze świętych Zwojów, uwierzyło w Niego i, zrzuciwszy z siebie strach, mówiło głośno:

– Czy Mesjasz, gdy przyjdzie, uczyni więcej cudów, niż On uczynił? Ale wątpiący o Jezusie pytali między sobą:

– Dokąd On zamierza pójść? Wszak powiedział, że nie będziemy mogli Go znaleźć.

– Czyżby zamierzał udać się na obczyznę, do synów Izraela rozproszonych wśród Greków?

– A może pójdzie nauczać pogan? Deszcz przestał padać.

Przez szczelinę utworzoną w chmurach przedarły się wąskie strugi światła, które, czerwieniejąc, wypełniły ognistą poświatą brzegi widnokregu – środek nieba

wyglądał teraz jak dno perłowej misy – a potem rozlały się po całej powierzchni nieba i połączywszy się z bladym błękitem, pokryły fioletowym blaskiem powalę rzędniejących chmur i Góry Judejskie, wciąż jeszcze pomarszczone i gniewne, mimo nadciągającej pogody.

Tego samego dnia wieczorem w bibliotece arcykapłana paliły się wszystkie światła. Pod ścianą, na półkach ustawione były gliniane dzbany, zawierające cenne Zwoje Judyty, Jezuy ben Sira, Psalmy Salomonowe, Dzieje Machabejskie, pieczołowicie owinięte w lniane płótna. Nahum objaśnił kopzące knoty. Ustawił fotele według godności tych, którzy mieli na nich usiąść. Rozejrzał się po komnacie. Wszystko stało na swoim miejscu. Był zadowolony. Zaciszna komnata nada mającemu nastąpić spotkaniu poufny, nieurzędowy charakter, a obecność mądrych Zwójów w glinianych dzbanach stworzy nastrój surowej powagi. O to chodziło Kajafie.

Zaszeleściła zasłona. Do komnaty wszedł arcykapłan w otoczeniu kilku kapłanów ze stronnictwa saduceuszów i kilku faryzejskich uczonych. Po wysłuchaniu sprawozdania Nahuma o zdarzeniu w Kruźganku Salomona – sekretarz po złożeniu relacji natychmiast opuścił komnatę – przystąpili do tajnej narady. Zgodni byli w mniemaniu, że galilejski mesith swoimi mowami sieje zamęt w religijnych uczuciach narodu. Kajafa był niezwykle rad z przebiegu posiedzenia, zwłaszcza z jednomyślnego stanowiska obecnych na naradzie faryzeuszów, którzy opowiedzieli się przeciw Rabbimu. Nie należeli wprawdzie do grona najprzedniejszych uczonych, byli jednak poważnymi, prawowitymi faryzeuszami i każdy z nich cieszył się posłuchem i zasłużonym szacunkiem wśród swoich zwolenników w Sanhedrynie, w uczelniach i na zgromadzeniach. Bez zgody faryzeuszów Kajafa nie chciał podejmować żadnego rozstrzygającego działania. Od samego początku swojej walki z samozwańczym prorokiem dostrzegał rosnącą w pewnych kołach faryzejskich niechęć do niego, podsycał ją przez oddanych sobie ludzi, rozniecał, rozżarzał, dobrze bowiem wiedział, że nie powinien niczego przedsiębrać przeciw woli ludu, który ufa nie saduceuszom, lecz faryzeuszom. Kajafa bez ich poparcia byłby pasterzem bez owiec, a w danym razie mógłby nawet narazić się na zarzut, że działa przeciw woli ludu; mizdrzył się więc do nich, schlebiał im i starał się im przypodobać, zawsze jednak w miarę, aby nie narazić się ambitnym saduceuszom, zazdrosnym o swoje godności i wpływy. Można i potężne rody saduceuszów, z których wywodzili się arcykapłani i wysocy dostojnicy świątynni – większość dynastii kapłańskich również należała do stronnictwa saducejskiego – nie cieszyły się sympatią ludu; rościły one sobie prawo do wykonywania władzy duchowej nad Izraelem i uważały się z powodu

arystokratycznego pochodzenia, niezmiernych bogactw, wpływów i stosunków, za warstwę uprzywilejowaną, przeznaczoną do rządzenia narodem; w rzeczywistości nigdy nie były przedstawicielami Jeszuruna, który patrzył z jawną pogardą na zuchwałe i bezwstydną poczynania oligarchów, zawsze pysznych i butnych wobec biedoty. Powszechnie znana była w owych czasach przypowieść o pewnej biednej niewieście, która przyniosła do Świątyni Pańskiej, jako ofiarę, garść jęczmiennej mąki. Kapłan wyśmiał ją i rzekł: – To mam ofiarować Panu? Co tu jest do zjedzenia? – W nocy, we śnie, Elohim zjawił się kapłanowi i rzekł do niego: – Nie odrzucaj ofiary tej niewiasty, niegodziwy kapłanie. Dla mnie garść jej mąki ma tę samą wartość, co jej serce, gdyby je zechciała ofiarować. – Już sam rodowód obu stronnictw świadczył o ich odmiennym charakterze i określał ich środki działania i cele. Saduceusze, których początku szukać należy w przedmachabejskim okresie dziejów Izraela, byli ideowymi potomkami zwolenników ugodowej polityki wobec zaborców i znienawidzonej przez lud hellenizacji kraju, obyczajów i całego dotychczasowego sposobu życia, podczas gdy faryzeusze, wywodzący się od Pobożnych, Chasidim, wiernie i ściśle przestrzegali wiary i obyczajów, byli przeciwnikami hellenizacji życia i gorliwie poparli ród Machabeuszów w ich walce przeciw greckim najeźdźcom. Ruch faryzejski był ruchem ludowym. W przeciwieństwie do saduceuszów uczeni wywodzący się ze stronnictwa faryzejskiego często głosili myśli szlachetne, godne zapamiętania i pochwały, a zwalczając arystokratyczną pychę saduceuszów i ich wynoszenie się ponad lud, wołali i napominali: „Szanujcie synów ubóstwa, albowiem przez nich Nauka Boża będzie błyszczcie”, „Kto drwi z ubogiego, znieważa Elohim”, „Więcej jest wart biedak, który żyje uczciwie, niż bogacz, który chodzi krętymi drogami”, „Kto daje w tajemnicy jałmużnę, jest większy od Mesjasza”. Chcąc jednak oddać sprawiedliwość prawdzie, musimy przywołać na pamięć stanowisko innych uczonych faryzejskich, którzy z odrazą odnosili się do am haareców, nieuczonych, biednych i ciemnych synów ziemi, do biednych spośród najbiedniejszych, i uważając ich za równych zwierzętom, zabraniali nawet synom Izraela żenić się z ich córkami według Prawa zakazującego człowiekowi cielesnego obcowania... ze zwierzętami. Ilekroć więc czytamy lub słyszymy o faryzeuszach, zawsze musimy spytać: Dobrze, ale o jakich faryzeuszach jest mowa? Autor jednego z midraszów dzieli ich na siedem typów, a podział ten jest dowodem, że naród jasno zdawał sobie sprawę ze wszystkich faryzejskich cnót i grzechów. W midraszu tym czytamy: „Jest faryzeusz, który publicznie chępli się wykonywaniem przepisów religijnych. – Jest faryzeusz, który mówi: Pożycz mi pieniędzy, ponieważ uczę się Tory. – Jest faryzeusz, który mówi: Jedno przykazanie wypełnię, a drugiego nie wypełnię, a potem wypełnię inne

przykazania i tym sposobem wymażę grzech popełniony przez niewypełnienie poprzedniego przykazania. – Jest faryzeusz, który mówi: Czy powinienem dla wypełnienia jednego przykazania oddać całą moją majątność? – Jest faryzeusz, który mówi: Popełniłem grzech, zaraz go odkupię dobrym uczynkiem. – Jest faryzeusz, który wypełnia swoje obowiązki z trwogi przed Panem. – Jest faryzeusz, który przykazania Pańskie wypełnia z miłości. Ten faryzeusz jest człowiekiem najszlachetniejszym, bo czyni jak nasz praojciec Abraham, który stłumił w sobie skłonność do zła i zastąpił ją skłonnością do dobra”. Różnice zachodzące między faryzeuszami najlepiej uwydatnia midrasz o Szamaju i Hillelu, twórcach dwóch szkół faryzejskich: „Pewnego dnia przybył do rabiego Szamaja pewien poganin i rzekł: – Pragnę przyjąć wiarę w Jahwe pod warunkiem, że nauka, której mi udzielisz, nie potrwa dłużej, niż potrafię zachować równowagę, stojąc na jednej nodze. – Oburzony rabbi Szamaj, znany z gwałtownego usposobienia, wyrzucił niedoszłego prozelitę za drzwi. Poganin udał się wówczas z tą samą prośbą do łagodnego i spokojnego Hillela, a ten mu odpowiedział: – Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe. – Oto jest cała Nauka Boża. Reszta jest komentarzem”.

I oto jesteśmy z powrotem w pięknej, wysłanej kobiercami komnacie w pałacu Kajafy, który właśnie rozważał w sobie niezwykle pomyślny zbieg okoliczności, stwarzający dogodne pozory – Kajafa był za mądry, aby nie wiedzieć, że pozorów nigdy nie należy lekceważyć – jednomyślności całego narodu w obliczu działania i nauk galilejskiego zwodziciela. Te pozory trzeba wszelkimi sposobami podtrzymać. Nigdy nie wiadomo, jak się potoczą dalsze wypadki. Odpowiedzialność za los Jezusy ben Josef nie może spaść wyłącznie na saducejskiego arcykapłana i na dostojny ród Hananidów i musi być sprawiedliwie podzielona na cały naród. Kajafa chce działać w imię narodu. Do umocnienia tej jednomyślności potrzebni są faryzeusze. Więc dobrze się dzieje, że wielu spośród nich gorliwie i stanowczo sprzeciwia się zwodzicielowi. Będą współnikami w zwycięstwie i – niechaj Elohim uchowa Izrael od wszelkiego zła – współnikami w klęsce. Bo i ona jest możliwa. Wtedy nienawiść ludu – zawsze trzeba się liczyć z nienawiścią głupiego ludu, prostaków, którzy zawierzili czarodziejskim sztuczkom Jezusy ben Josef – będzie rozłożona na saduceuszów i faryzeuszów. Kajafa w przeciwieństwie do swojego teścia – a była to jedyna dzieląca ich różnica – bał się nienawiści ludu. Kajafa wiedział, że Izrael w olbrzymiej większości zaciekle go nienawidzi. A naród rzeczywiście nienawidził go całym sercem, nienawidził go za pychę, za płaszczenie się przed rzymskim zaborcą, za brutalne i podstępne poczynania, za próżność, nieprzystępność, kręctwa, kłamstwa, zarozumiałstwo, za nieprzebieranie w środkach walki, za chciwość władzy, za wyrachowanie. Kohen hagadol słusznie

bał się tej żywiołowej nienawiści, która kilka lat później stała się przyczyną jego upadku. Ale tymczasem daleko było jeszcze do sromotnego końca i kohen hagadol mocno siedział na niezachwianym tronie arcykapłańskim, snuł plany ratowania ludu wybranego – jakże niewdzięcznego! – przed zwodzicielstwem Jezusy ben Josef i z odrazą przypominał sobie piosenki śpiewane przez motłoch, nędzną aramejszczyznę pisane paszkwile, zionące nienawiścią do zasłużonych rodów arcykapłańskich, pełne brudnych, kłamliwych zarzutów, oszczerstw i podejrzeń. Przed niedawnym czasem kazał Nahumowi zapisać jeden z tych robaczywych epigramów. „Domu Boethy – ma jeszcze teraz w uszach przeciągłe, płaczliwe zawodzenie jakiegoś żebraka, śpiewającego tę piosenkę pod Gnojną Bramą – jesteś nieszczęściem moim, nieszczęściem moim są twoje pałki! Domu Hanana, jesteś nieszczęściem moim, nieszczęściem moim jest twój syk! Domu Kanthery, jesteś nieszczęściem moim, nieszczęściem moim są twoje pióra! Domu Ismaela ben Fabi, jesteś nieszczęściem moim, nieszczęściem moim są twoje pięści! Albowiem oni wszyscy są arcykapłanami, ich synowie są skarbnikami, ich zięciowie strażnikami Świątyni, a ich służba napada na nas i okłada nas kijami!” Ród Hanana syczy! Ród Kanthery posługuje się piórami! Kajafa domyślał się, co oznaczają te barwne docinki. Może członkowie rodu Kanthery rzeczywiście pisali donosy, ale z pokolenia jego dostojnego i bogobojnego teścia, Hanana ben Sethi, nikt nie posługiwał się syczącymi oskarżeniami w walce o przysługujące mu przywileje! Nikt! A on, Josef Kajafa, czy choć raz doniósł cokolwiek prokuratorowi przeciw synom Izraela?! Podła potwarz! Poczzerwieniał. Stopą lekko uderzał o podłogę zasłaną syryjskim kobiercem. Opanował się. Stopa znieruchomiała. Tak, najlepiej będzie, jeżeli tę całą robotę – albo jej większą część – odrobiją za saduceuszów faryzeusze, pokorni, cnotliwi, prawowierni faryzeusze, umiłowani ludu, obnoszący się z tefilin na czołach i rękach, uświęceni miłością do Elohim i nienawiścią do Rzymu! Zresztą wszystko rozwija się pomyślnie. Nie saduceusze zaatakowali Jezusę ben Josef. Walczą z nim faryzeusze. Oni pierwsi ruszyli do natarcia. Oni pierwsi podnieśli krzyk przeciw zwodzicielowi. Uśmiechnął się. W jego oczach, pod gęstymi, zrosniętymi brwiami zabłyśła złośliwa i podstępna mądrość. Zwracając się do faryzeuszów – chciał im schlebić i okazać, że przede wszystkim zależy mu na ich zdaniu, a nie na zdaniu saducejskich kapłanów – przymilnie spytał:

- Cóż zatem sądzą moi bracia o słowach i uczynkach Jezusy ben Josef?
- Jezua ben Josef gwałci święto Szabatu.
- Jezua ben Josef podważa nieomylność Prawa.
- Jezua ben Josef podszywa się pod godność Pośłańca Pańskiego.
- Cóż zatem należy uczynić z synem człowieczym, który gwałci święto Szabatu,

podważa nieomyślność Prawa i podszywa się pod godność Posłańca Pańskiego? – spytał Kajafa.

– Przeciwdziałać jego działaniu – padła odpowiedź.

– Cóż więc powinniśmy uczynić?

Po krótkim namyśle rzekł jeden z faryzeuszów:

– Należy go wezwać i przesłuchać.

– Słusznie mówi mój światły brat – odrzekł Kajafa – nie wydaje mi się jednak, by Jezua ben Josef usłuchał wezwania i zjawił się dobrowolnie przed sądem. Otrzymałszy wezwanie, zbiegnie do Galilei lub do krainy pogańskiej – już raz uciekł – do Syrofenicji lub do krainy Golan, i znowu będzie działał z ukrycia. Cóż wtedy pocniemy?

– Więc co radzi uczynić dostojny kohen hagadol? – spytał ostrożnie jeden z faryzeuszów.

– A co radzi uczynić mój światły brat? – Kajafa ważkość tego pytania podkreślił pytającym gestem wyciągniętej dłoni, wskutek czego do czujnych uszu i oczu faryzeusza dotarły dwa te same pytania, jedno wypowiedziane ustami, a drugie dłonią.

Faryzeusze pokiwali głowami, naprzód pytająco, potem medytująco, wreszcie potakująco, a wtedy najstarszy z nich podniósł wysoko brwi, aby swoim oczom nadać wyraz głębokiego zatroskania, i rzekł z mocą:

– Należy go pojmać.

– Należy go pojmać – powtórzyli jego towarzysze.

– Rzekliście – szepnął arcykapłan i klasnął w dłonie. Wszedł Nahum.

Kajafa podniósł się z fotela i rzekł bezdźwięcznym głosem:

– Wydaj rozkaz straży świątynnej, aby pojmała Jezua ben Josef z Nazarethu.

Nahum stłumił w sobie wrażenie, jakie na nim uczynił rozkaz wydany przez arcykapłana, i nałożywszy na twarz maskę lodowatej obojętności wyszedł z komnaty.

Nastał ostatni dzień Święta Namiotów. W dniu tym odbyła się znowu uroczystość czerpania wody, po czym kapłani w procesji, siedmiokrotnie, na chwałę siedmiu świątecznych dni, okrążyli ołtarz, a lud uderzał o ziemię wierzbowymi gałęziami i odzierał je z liści na znak szczęśliwego końca zniw i nastania jesieni.

Jezus przybył do świątyni na Dziedziniec Niewiast i przystanął obok żelaznej bramy zamykającej wejście do skarbcza, a gdy zebrały się dokoła Niego liczne rzesze, przemówił do nich, a przemawiając, nawiązał do rytuału czerpania wody z sadzawki Siloah i zawołał:

– Jeżeli ktoś jest spragniony, a wierzy we mnie, niech przyjdzie do mnie i pije. Jak

mówi Pismo Święte, z ciała mojego wypłyną strumienie wody żywej!

Ponieważ według świętych Zwojów proroków Jechezkela i Joela w czasie mesjańskim wytrysnie źródło wody w Świątyni i popłynie na cały świat, lud upatrujący w zdarzeniach i przedmiotach symbole zjawisk nadprzyrodzonych zadawał sobie teraz pytania, w których zafrasowanie mieszało się z ostrożnością, a ostrożność z niedowierzaniem: „Czyżby Jezua ben Josef uważał się za znak Świątyni Pańskiej? Czy jest możliwe, aby śmiertelne ciało ludzkie mogło symbolizować nieśmiertelne mieszkanie Starowiecznego, który nigdy ani jednym słowem nie dał do zrozumienia swojemu ludowi, że w przemijającym prochu jakiegoś syna człowieczego wyobraział swoją Obecność? Jakim więc prawem Jezua ben Josef powołuje się na Pismo Święte, skoro nigdzie nie ma w nim wzmianki o ciele ludzkim, z którego wypłyną strumienie wody żywej?” Spora garstka faryzejskich zwolenników Rabbiego dopatrzyła się jednak w Jego słowach zapowiedzi przyjścia czasu naznaczonego i, nałożywszy na swój zapał wędzidła przezornego umiaru, wołała, że Rabbi jest dawno oczekiwanym prorokiem; wołania te zostały zagłuszone przez nie mniej głośnie wołania zapaleńców, którzy dając upust swoim pragnieniom i nadziejom, krzyczeli, że Jezua ben Josef jest Mesjaszem.

– Jakże może być Mesjaszem – z oburzeniem zawołał jakiś starzec o zwiędłej, pomarszczonej twarzy – skoro wiadomo, że Mesjasz nie przyjdzie z Galilei?!

– Czy Pismo nie mówi, że Mesjasz przyjdzie z potomstwa Dawidowego, z Bethlehem, z miasta, w którym się urodził król Dawid? – tonem doświadczonego znawcy Pisma Świętego zawtórował starcowi młodzieniec.

Podniosła się ogłuszająca, bezładna wrzawa. Judejczycy, podzieleni na dwa obozy, poczęli wzajemnie oskarżać się o odstępstwo, nieuctwo, obłudę, bezbożność, przy czym coraz częściej po jednej i drugiej stronie wybijało się obelżywe słowo *am haarec*, doprowadzające przeciwników do wybuchów zajadłego gniewu, który po szybkim wyładowaniu zdawał się dogasać, gdy nagle gdzieś znowu, z głębi ciżby, padały obelgi i znowu w sercach ludzi zapalała się porywcza zaciętość, Johanan ben Zebadia stojąc obok Jezusa pomyślał: „Zaprawdę, Jezua ben Josef przyszedł ogień rzucić na ziemię” – i zapisał w swojej pamięci, że z powodu Niego nastąpił rozłam wśród ludu Izraela.

– JA JESTEM ŚWIATŁO świata! – lwi głos Rabbiego runął na tłum, zagłuszył wrzawę, krzyki, łajania, przekleństwa i kłębił się nad nim jak czarna, nabrzmiała piorunami chmura.

– JA JESTEM ŚWIATŁO świata! – wołał Jezus. – Nikt nie zapala światła i nie stawia go w ukryciu ani pod korcem, lecz na świeczniku, aby ci, co wchodzą, ujrzeli jego blask! Oko wasze jest światłem waszego ciała! Jeżeli oko wasze jest czyste, to

całe ciało wasze jest w światłości, jeżeli jednak jest chore, to i ciało wasze jest w ciemnościach! Uważajcie więc, żeby światło, które jest w was, nie stało się ciemnością! Jeżeli zatem całe ciało wasze jest w światłości i żadna jego cząstka nie pozostaje w ciemności, wówczas światło oświeca was swoim blaskiem! JA JESTEM ŚWIATŁO świata!

Przerażenie ogarnęło zarówno apostołów, zwolenników Jezusa, jak i Jego przeciwników. Ich serca zdrętwiały. W spadku po praojcach odziedziczyli niewypowiedzianą trwogę przed słowem „JA” i przed słowem „JESTEM”. W „JA JESTEM” skupiają się wszystkie najświętsze Imiona Pana i wszystkie przykazania, nakazy i zakazy, znajdujące się we wszystkich Zwojach Prawa, Proroków i Psalmów. W „JA JESTEM” ogniskuje się cały Byt Boży. Elohim jest w swoim własnym JESTEM, który nie jest ani w czasie, ani w przestrzeni, lecz w wymiarze niedostępnym ludzkiemu rozumowi, w czasie oczyszczonym z czasu i w przestrzeni oczyszczonej z przestrzeni. – JESTEM, KTÓRY JESTEM – EHJE ASZER EHJE – są to jedyne słowa wypowiedziane w ludzkiej mowie, wyrażające z woli Jahwe Jego osobową pełnię. Więc jakim prawem określa siebie ten mesith słowem, którym określa siebie samoobjawiający się Pan!? – złowieszczo pytali swojego wnętrza Jezusowi przeciwnicy. Dlaczego podszył się pod świadectwo, od którego – gdy je wypowie Pan – góry dymią i trzęsą się podstawy ziemi, cedry padają jak źdźbła trawy, a krzaki płoną na pustyni jak smolne pochodnie? Dlaczego uważa siebie za światło świata!? On jest światłem świata!? On, nazarethański nieuk! Jeszurun często nazywał swoich najlepszych i najmądrzejszych synów światłem Izraela. Światłem Izraela był Mosze Rabenu! Światłem Izraela był Hillel! Światłem Izraela jest Gamaliel! Ale on, Jezua ben Josef, galilejski pyszałek!? Elohim nie ścierpi tego fałszywego proroka! Wyrzuci go ze swoich ust i rozbije jak gliniane naczynie! Zacisnęli zęby i w napięciu czekali na wyrok Pana – na Jego grom! Na ryk ziemi pękającej pod nogami bezbożnika! – ale ponieważ Jezua ben Josef stał nietknięty pod Portykiem Salomona, a karzący młot Jahwe nie spadł na Niego ani ziemia pod Nim nie rozstała się, ci spośród rzeszy, którzy byli już gotowi do ukamienowania Męża, teraz wrócili do pozornej równowagi i sięgnawszy do nauki praojców, nakazujących zachować ostrożność w zbyt szybkim wydawaniu wyroków, nieco stłumili swoje gniewne uniesienie. Nie należy jednak z tego wnioskować, że nastrój wśród przeciwników Jezusa uległ wobec Niego zmianie na lepsze. Właściwie niewiele się w tłumie zmieniło. Przeciwnicy każde Jego słowo łowili wyostrzonym i nieufnym słuchem, zwolennicy – z lęklwym zachwytem, apostołowie (czy wszyscy?) – z głęboką wiarą, że to, co mówi, jest na pewno wyższe i głębsze od tego, co rozumieją.

Wszystko to, cośmy tutaj opowiedzieli o wewnętrznych wrażeniach i przeżyciach

zwolenników i przeciwników Jezusa po Jego samoobjawiającym się wyznaniu, trwało drobny ułamek czasu, prawie niewymierny w stosunku do ilości wrażeń, które poruszyły rzeszę. Był to mały skrawek chwili oddzielający jedno zdanie od drugiego.

– Kto za mną idzie, nie będzie chodził w ciemnościach, lecz będzie miał światło żywota! – zawołał Jezus.

– Ty sam o sobie wydajesz świadectwo! – krzyknął jakiś faryzeusz, a ostrość jego głosu świadczyła, że przeciwnicy, ochłoniwszy z chwilowego bezwładu, gotują się do nowego natarcia.

– Świadectwo twoje nie jest prawdziwe! – krzyknął zaczepnie inny faryzeusz. Jezus odpowiadając rzekł:

– Nawet jeżeli ja sam daję świadectwo, świadectwo moje jest prawdziwe, bo wiem, skąd przyszedłem i dokąd idę. Wy zaś nie wiecie, ani skąd przychodzę, ani dokąd idę!

– Jakżeż mamy wiedzieć, skąd przychodzisz i dokąd idziesz? – odezwał się głos z tłumu. – Powiedz nam, a osądzimy twoją odpowiedź.

– Umiecie sądzić tylko według ciała! – zawołał Jezus.

– A ty według czego sądzisz?

– Ja nikogo nie sądzę, a jeżeli już wydaję sąd, to mój sąd jest prawdziwy, bo nie jestem sam.

– A kto jest z tobą?

– Ja i Ten, który mnie posłał. W Prawie jest napisane, że świadectwo dwóch ludzi jest wiarygodne, więc ja świadczę o sobie, a Ojciec, który mnie posłał, świadczy o mnie.

– A gdzie jest twój ojciec?

– Kim on jest?

– Nie znacie ani mnie, ani mojego Ojca. Gdybyście mnie znali, znalibyście również i mojego Ojca.

– Jeżeli nie chcesz nam powiedzieć, gdzie jest twój ojciec, to przynajmniej powiedz nam, dokąd zmierzasz? – zawołał z wyrzutem jeden z faryzeuszów.

A na to rzekł Jezus:

– Dokąd ja zmierzam, wy pójść nie możecie. Ja odchodzę, a wy będziecie mnie szukać i w grzechach swoich pomrzecie.

Faryzeusze poczęli między sobą złośliwie szeptać: – Czyżby chciał życie sobie odebrać, skoro mówi: „Tam, gdzie ja idę, wy pójść nie możecie”? – Chcieli Go o to spytać i już układali w myślach jadowite pytanie, gdy z drugiego końca dziedzińca poderwała się burza głosów:

- Dlaczego mamy umrzeć w grzechach?!
- Cośmy takiego uczynili, że nam grozisz wiecznym potępieniem?!
- Jakie grzechy popełniliśmy?!

– Wy jesteście z niskości! – zawołał Jezus – a JA JESTEM z wysokości! Wy jesteście z tego świata, a ja nie jestem z tego świata! Tak! Jeżeli nie uwierzycie, że JA JESTEM, pomrzecie w swoich grzechach!

Faryzeusze, usłyszawszy znowu z ust Jezusa samoobjawiające się słowo Jahwe, zachnęli się, ich dusze wypełniły się zgiełkiem, a usta goryczą. Nie panując już ani nad biczem swojego języka, ani nad drzeniem ciała, wybuchnęli gniewem:

- Powiedz wreszcie, kim jesteś!
- Dlaczego nazywasz siebie świętymi słowami?
- Dlaczego?
- Kim jesteś?! Kim jesteś?! Kim jesteś?!

– Po co ja w ogóle do was mówię? – odrzekł spokojnie Jezus. – Wiele mógłbym o was mówić i sądzić. Ten, który mnie posłał, jest wiarygodny, a ja mówię przed obliczem świata to, co usłyszałem od Niego. Gdy wywyższycie Syna Człowieczego, wtedy poznacie, że JA JESTEM i że nic nie czynię sam od siebie, ale mówię to, czego mnie Ojciec nauczył. A Ten, który mnie posłał, jest ze mną i nie pozostawił mnie samego, bo ja zawsze czynię to, co Jemu się podoba.

Rozłam w tłumie pogłębiał się coraz bardziej. Z przyrostem liczby zwolenników Jezusa – chociaż nikt z nich, nawet najbardziej Mu oddanych, nie wierzył, że Mąż uważa się za równego Bogu – którzy pod wrażeniem Jego gwałtownej mowy i bijącego z niej żaru coraz bardziej unizali się przed Nim, rosła równocześnie liczba Jego wrogów, wietrzących w słowach Rabbiego odszczepieństwo urągające rozsądkowi. Ponieważ żaden syn Izraela, będący przy zdrowych zmysłach i w pełni świadomości – tak medytowali wrogowie Jezusa – nie ogłosi się Bogiem (z drugiej strony – tak dalej medytowali – jaki syn Izraela będący przy zdrowych zmysłach uzna w drugim synu Izraela ucieleśnionego Jahwe?) – nie ulega wątpliwości, że Jezua ben Josef z Nazarethu jest opętany przez szatana!

Kefas, który stał niedaleko Jezusa, na stosie kamieni przygotowanych do naprawy bruku, i baczny okiem rozglądał się po tłumie, spostrzegł na drugim końcu dziedzińca oddział strażników świątynnych, niepostrzeżenie wyłaniających się spod sklepienia krużganku. Dowódca ledwo widocznym ruchem dłoni wskazał strażnikom na bramę, po czym trzech z nich ruszyło przed siebie za plecami tłumy i zajęło stanowisko przy Pięknej Bramie. Kefas zrozumiał. Zbladł. Czy ma ostrzec Rabbiego? Apostołów? Jeszcze raz rozejrzał się po ludziach wypełniających dziedziniec, po rozmieszczonych pod murami strażnikach i wzrok utkwiał

w strzeżonych wrotach. Było za późno. Już niczego nie można było przedsięwziąć w obronie Rabbiego.

Tymczasem Jezus, nie zwracając uwagi na niespokojne zachowanie się Kefasa i na strażników – natychmiast spostrzegł ich obecność na dziedzińcu – zwrócił się do tych, którzy w Niego uwierzyli, i tak do nich przemówił:

– Jeżeli wytrwacie w mojej Nauce, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie Prawdę, a Prawda uczyni was wolnymi.

Teraz wszystko potoczyło się zgodnie ze słabą naturą człowieczą: ci, którzy w Jezusa uwierzyli, milczeli ze strachu przed faryzeuszami – wiara i głośne jej wyznanie są zjawiskami nie zawsze idącymi obok siebie w parze, gdyż, jak wiemy, można uwierzyć, dokonać nawet wyboru, ale z tchórzostwa, niekiedy oględnie nazywanego przezornością, nie ujawniać swoich przekonań – natomiast ci, którzy w Jezusa nie uwierzyli, odpowiadali Mu głośno, a Jezus z kolei zbijał ich argumenty, wskutek czego wywiązała się między nimi ostra dyskusja w obecności milczących zwolenników Rabbiego.

Wypowiedź, którą Jezus skierował do swoich stronników, uznali faryzeusze za obelgę rzuconą na cały naród. Zawsze uważali się za ludzi wolnych, poddanych tylko woli Pana, a to władcze poddaństwo było ich wolnością, przypieczętowaną Przymierzem, zawartym między Elohim a Jego przyjacielem, Abrahamem. A tymczasem Jezua ben Josef ośmiela się wolność Izraela uzależniać od wiary w Jego uwodzicielską naukę!

– Jesteśmy potomkami Abrahama – wołali z dumą – i nigdy nie byliśmy poddani w niczyją niewolę. Jakże zatem możesz mówić: „Wolni będziecie”?!
A na to Jezus odpowiadając rzekł:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto grzech popełnia, jest niewolnikiem grzechu. Ale niewolnik jest własnością swojego pana i jego syna, który jest dziedzicem domu. Jeżeli więc Syn was wyzwoli, będziecie rzeczywiście wolni. Wiem dobrze, że jesteście potomstwem Abrahama, a jednak nastajecie na moje życie i nie przyjmujecie mojej Nauki. Głoszę to, co widziałem u mojego Ojca, wy natomiast czynicie to, czego nauczyliście się u waszego ojca!

– Naszym ojcem jest Abraham! To jest nasz ojciec! Od niego pochodzimy! – gromkie krzyki rozległy się po całym dziedzińcu.

– Gdybyście byli dziećmi Abrahama, spełnialibyście czyny Abrahama! Teraz usiłujecie mnie zabić, człowieka, który powiedział wam prawdę usłyszaną od Boga! Tego Abraham nie czynił! Wy spełniacie uczynki waszego ojca, szatana!

– My nie jesteśmy zrodzeni z nierządu! Jednego mamy Ojca! Boga! Boga! Boga! – krzyczeli.

– Gdyby Elohim był waszym ojcem, to i mnie byście miłowali, bo ja od Elohim wyszedłem i przychodzę, i nie sam od siebie przychodzę, ale On mnie posłał. Dlaczego mowy mojej nie rozumiecie?! Bo nie jesteście zdolni słuchać mojej Nauki! Macie szatana za ojca i chcecie postępować według jego pożądliwości! Od początku był on zabójcą i nie wytrwał w prawdzie, bo nie ma w nim prawdy! Gdy on mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa! A ponieważ ja mówię prawdę, nie wierzycie mi! Kto z was udowodni mi grzech? Jeżeli prawdę mówię, dlaczego mi nie wierzycie? Ale pamiętajcie, że jeżeli kto jest z Boga, słucha moich słów, a wy ich dlatego nie słuchacie, bo nie jesteście z Boga! Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżeli kto zachowa moją Naukę, nie zazna śmierci!

Przeraźliwe krzyki targnęły powietrzem:

– Nieczysty!

– Samarytanin!

– Szatan cię opętał! Jezus odpowiedział:

– Nie jestem opętany, ale czczę mojego Ojca, a wy mnie znieważacie. Nie szukam własnej chwały. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że jeżeli kto zachowa moją Naukę, nie zazna śmierci na wieki!

– Nie zazna śmierci na wieki? – zawołali faryzeusze. – Abraham umarł i prorocy umarli, a ty mówisz, że kto zachowa twoją naukę, ten śmierci nie zazna na wieki?!

– Czy ty jesteś większy od praojca Abrahama?!

– I od proroków, którzy pomarli?!

– Za kogo się uważasz?!

– Kim jesteś?!

– Powiedz, kim jesteś?! A Jezus na to:

– Gdybym ja sam siebie uwielbiał, chwała moja byłaby marnością. Ale mnie uwielbia mój Ojciec, o którym mówicie: On jest naszym Elohim. A jednak nie znacie Go! Ja Go znam! Gdybym powiedział, że Go nie znam, byłbym, podobnie jak wy, kłamcą. Ale ja Go znam i słów Jego przestrzegam. Abraham radował się, że ujrzał mój dzień, ujrzał go i radował się.

A na to z głębi tłumu odezwał się drwiący głos:

– Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?

Jezus spojrział w kierunku, skąd doszło Go pytanie, wyprostował się i rzekł matowym, cichym głosem, słyszalnym na całym dziedzińcu, a był to głos idący od czasu przyszłego dokonanego, od samego początku pradziejów, od Słowa rodzącego Światło Pierworodne w nieprzeniknionych ciemnościach chaosu:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: zanim Abraham stał się, JA JESTEM.

Ze środka tłumu buchnęły krzyki oburzenia, jakby moszcz rozsadził skórzaną

łagiew. Kilkudziesięciu faryzeuszów poczęło przedzierać się przez klębiącą się ciżbę ludzką, która cofając się, odsłoniła wolną przestrzeń między Jezusem a napastnikami. Posuwali się ku Rabbiemu jak olbrzymie głązy, ożywione niewidzialną mocą. Szli zapiękli w gniewie, powoli, bardzo powoli, ociężale, ostrożnie, jakby się bali, że jednym niebacznym ruchem mogą spłoszyć ofiarę. Zbliżali się krok po kroku, odziani w gwałt i występki, przekonani, że działają według Prawa, sprawiedliwie, dla swojej zasługi i nagrody i na chwałę Elohim. W pięściach zaciskali przemoc, a między ich zębami zgrzytało przekleństwo. Zbliżali się powoli, powoli, coraz wyraźniejsi w swoich zamiarach i pewniejsi swojej słuszności – wierzyli z zaciętą gorliwością, że są karzącą ręką Pana – zbliżali się beztwarzową zgrają, rojowiskiem przekrwionych oczu i wyciągniętych rąk, szerokim półkolem podobnym do nastawionego potrzasku, w którego żelazny uchwyt miała za chwilę wpaść nieuważnie stąpająca łania. Apostołowie skupili się dokoła Jezusa; zwolennicy Jego, zmiarkowawszy, na co się zanosi, odzyskali odwagę, wyskoczyli z tłumu i klucząc pod murem dziedzińca, przybiegli Rabbiemu z pomocą. Napastnicy, którzy zrzucili już z siebie przesadną ostrożność i ociężałość i gotowali się do skoku, teraz zawahali się i znieruchomieli. Przypominali skaczącego lwa, który zastygł w powietrzu. Co było przyczyną tej zmiany? Dlaczego przystanęli? Co się stało? Trudno jest ustalić kolejność wypadków. Nie wiadomo, czy zawahali się skutkiem postawy obronnej, którą niespodziewanie przyjęli zwolennicy Jezusa, czy może ostry głos komendy dowódcy strażników, wskazującego na Męża: – Uwięzić go, strażnicy! – tak bardzo zaskoczył napastników, że przystanęli i zachwiali się w swoim postanowieniu – przecież rozkaz uwięzienia zwodziciela przez strażników-lewitów na obszarze Świątyni Pańskiej mógł wyjść tylko od samego arcykapłana! – a może po prostu wszystkie te zdarzenia dokonały się równocześnie i każde z nich było zarazem przyczyną i skutkiem.

– Uwięzić go, strażnicy! – krzyknął po raz drugi dowódca.

Strażnicy stali bez ruchu.

– Uwięzić go! – krzyknął po raz trzeci.

Lewici wciąż nie ruszali się z miejsca, jakby nie słyszeli jego rozkazów.

– Bierzcie go! – wrzasnął dowódca i dopadłszy dwóch najbliższych strażników, chwycił ich za ramiona i potrząsając nimi, krzychał: – Na co czekacie?! Bierzcie go!

Jeden z lewitów zatoczył się pod mur, upadł, zerwał się z ziemi i zawołał:

– Rabbi Jeszua ben Josef przemawiał jak żaden człowiek na świecie!

– Jak uwięzić takiego Męża?! – krzyczeli strażnicy. – Nikt tak dotychczas nie przemawiał w Izraelu!

– Dlaczego mamy Go uwięzić?! On jest niewinny! – wołali lewici, pilnujący Bramy

Pięknej, i pobiegli do dowódcy, głośnym wołaniem dając wyraz solidarności z resztą straży świątynnej.

Faryzejscy napastnicy, których cała uwaga skupiła się na dowódcy i strażnikach, zwłaszcza na ich butnych odpowiedziach, jawnie świadczących o buncie oddziału, teraz wśród obelg, gwizdów i przekleństw chwycili za kamienie, aby ostatecznie rozprawić się ze sprawcą tych wszystkich nieszczęść, spadających na naród.

Tymczasem Jezus i apostołowie skorzystali z powszechnego zamieszania i przy czynnej pomocy zwolenników Męża wydostali się na Dziedziniec Niewiast – spostrzegli tutaj rabiego Nikodema, stojącego samotnie pod jedną z kolumn – szybko minęli Krużganek Salomona i wmieszali się w tłum zgromadzony na Dziedzińcu Pogan. Prześladowcy zaniechali pościgu. Nie chcieli wywoływać starcia z żołnierzami rzymskimi, którzy mieli prawo, w razie wybuchu niepokojów na Dziedzińcu Pogan, wkroczyć zbrojnie na jego obszar celem przywrócenia porządku publicznego.

Arcykapłanowi po wysłuchaniu sprawozdania Nahuma – było to sprawozdanie wyczerpujące, w którym sekretarz nie pominął najbliższej drobnostki, arcydzieło opisu dającego, mimo mnóstwa skrętnie nagromadzonych szczegółów, wyrazisty obraz całego zdarzenia – zdawało się, że świat rozpękł się jak gliniany dzban na drobne skorupy, niemożliwe do sklejenia. Mniejsza z tym, co mówił Jezua ben Josef – niech sobie mówi, co chce, bo przecież jego zwodzicielstwo jest całkowicie odsłonięte, niech sobie twierdzi JA JESTEM, bo i to jest jeszcze jeden oczywisty dowód jego szaleństwa – natomiast rozłam wśród synów Izraela i bunt strażników świątynnych, pobożnych lewitów, prawowiernych – prawowiernych! – faryzeuszów, są przerażające, gdyż całkowicie burzą mądrze wymyśloną przez Kejafę zasadę o jedności narodu wobec rodzącego się odszczepieństwa. Ze sprawozdania Nahuma wynikało, że część tłumu zebranego na Dziedzińcu Niewiast opowiedziała się za Jeszua ben Josef, i jest bardzo wątpliwe, czy mógłby się on wymknąć z rąk wzburzonej rzeszy, gdyby nie postawa jego zwolenników, którzy pomogli mu wydostać się z sieci. Pocieszające jest tylko tchórzliwe milczenie am haareców, którzy nie mieli odwagi głośno poprzeć jego wypowiedzi ani odeprzeć zarzutów stawianych mu przez świątłych faryzeuszów. Milczeli ze strachu i – nieuctwa. Dobrze, że się bali. Dobrze, że są nieukami. Ale straż świątynna! Oni, strażnicy Świętego Świętych, mieszkania Jahwe, opowiedzieli się za czarnoksiężnikiem, fałszywym prorokiem! Kajafa poczuł się współwinnym za zniewagę wyrządzoną przez nierozumnych lewitów miejscu świętemu! – „Niech będą zawstydzeni i spustoszeni na wieki, i niechaj się okryją hańbą, i zginą. Wtedy poznają, że Ty, którego imię jest Pan, jesteś jedyny, najwyższy ponad całą ziemią” – wypowiedział

półgłosem słowa z psalmu Asafa.

Do komnaty weszli zaproszeni przez Kajafę dostojnicy świątynni, wysocy przełożeni i nadzorcy mienia świętego, w obecności których miało się odbyć przesłuchanie strażników winnych nieposłuszeństwa. Gdy usiedli – arcykapłan wskazał czcigodnemu rabbiemu Nikodemowi miejsce obok siebie – Nahum wprowadził sprawców bezbożnego buntu. Oblicze Kajafy ożywiło się pogardliwym grymasem. Utkwił karcące spojrzenie w dziesięciu lewitach, stojących na środku komnaty. Zdawało mu się, że patrzą na niego obojętnie, bez strachu i obowiązującej ich uniżoności. Kajafa chciał wzbudzać w swoim otoczeniu strach. Wyobrażał sobie, że strach jest najwyższym objawem szacunku. Chętnie by kazał bez sądu wtrącić do więziennego lochu tych dziesięciu nicponiów wraz z ich nieudolnym dowódcą, postanowił jednak na przekór gniewowi, który go kusił do surowego wymiaru kary, rzecz załatwić raczej łagodnie; nawet bardzo łagodnie; nawet więcej niż bardzo łagodnie. Nie chcąc rzucać lewitów w ramiona wszystko przebaczącego Jezusy ben Josef, utwierdził się w przekonaniu, że lepiej będzie dla sprawy, jeżeli posłuży się teraz bronią Galilejczyka i lewitom – przebaczy. Miało to być przebaczenie chytre i przewidujące. I tak uczynił. Zachowując w spojrzeniu karcącą pogardę, spytał:

– Dlaczego nie pojмалиście Jezusy ben Josef?

Na to odrzekł ten, na którego rzucił się na dziedzińcu dowódca straży:

– Nikt dotychczas nie przemawiał tak jak ten człowiek.

– Jesteście synami Beliala! – krzyknął Kajafa. – Jakie to słowa mówił ten mesith, od których serca wasze tłuszczem zarosły?

– To jest dobry człowiek – odparł jeden ze strażników.

– Czy wam się zdaje, że Ten, który stworzył ucho, nie słyszy? A Ten, który stworzył oko, nie widzi? Jak może bluźnierca być dobrym człowiekiem? Oby słowa wasze nie doszły do uszu Elohim!

– Chorych uzdrawia, szatanów wypędza z opętanych. Czy takie dzieła może czynić bluźnierca?

– Uwierzyliście mu? – spytał arcykapłan.

– Tak – odpowiedzieli.

– Uwierzyliście mu? Wy, lewici, strażnicy Świętego Świętych?! Faryzeusze?! Synowie sprawiedliwych ojców?!

Milczeli.

– Daliście się zwieść zwodzicielowi! – głos arcykapłana nieprzyjemnie chrypiał. Milczeli.

– Czy ktoś ze zwierzchników waszych lub prawych faryzeuszów uwierzył w niego?

– Wielu w niego uwierzyło – szeptem odpowiedział jeden ze strażników.

– Motłoch w niego uwierzył! – Kajafa już nie panował nad swoim głosem. – Motłoch! Motłoch am haareców, którzy niczego nie rozumieją!

Zerwał się z fotela i zawołał:

– Ten motłoch, który nie zna Prawa, niechaj będzie przeklęty! Struchleli. Pociemniało im w oczach. Przerazili się klątwy, równoznacznej ze śmiercią, ze zstąpieniem w ogień szeolu. Kajafa usiadł, zasłonił dłonią oczy i rzekł łagodnie:

– Przekląłem podłą zgrają nieuków. Miejcie się na baczności przed Abadonem, aniołem czeluści, aby wami nie zawładnął.

Z ich piersi wyrwało się westchnienie ulgi.

– Odejdźcie – wycedził.

Wyszli poprzędzani przez Nahuma.

Kajafa podniósł głowę. Przystąpił do narady.

Arcykapłan po krótkim wstępie – wyraził w nim głębokie ubolewanie z powodu bezbożnego nieposłuszeństwa straży świątynnej – zwrócił się do dostojników z wezwaniem, aby wypowiedzieli się, co należy uczynić dla zapobieżenia w przyszłości podobnym wypadkom, których źródłem jest zwodzicielska nauka Jezusy ben Josef, godząca w niepodzielność ludu.

– Słowo odszczepieńca – mówił Kajafa – wschodzi jak chwast i pożera plony Boże, krzewi się bujnie na żyznej ziemi i szatańską mocą wciska się nawet do siedziby Jahwe, do stolicy Najwyższego, a dowodem tego jest bunt lewitów, którzy omamieni nauką nieprawości i kłamstwa, ulegli jej, niepomini ostrzeżeń, że grzesznicy zginą przed Bogiem jak dym rozwiewający się podczas wiatru, jak wosk rozpływający się w ogniu. Niech okryją się wstydem i rumieńcem – wołał Kajafa – którzy czyhają na duszę ludu, niech uciekną zniesławieni, którzy pragną nieszczęścia Jeszuruna! Niechaj Izrael nie kusi i nie drażni Boga Najwyższego, bo stanie się niepotrzebny jak zepsuty łuk, jak krucha łądyga na wicherze, jak puste źdźbło podczas burzy! Cóż więc powinniśmy przedsięwziąć – wołał Kajafa – aby uratować naród przed zwodzicielem? Cóż nam wypada uczynić, aby umilkły jego słowa? Jakim działaniem mamy się posłużyć, aby wniwecz obrócić jego zamiary? – tak wołał Kajafa i jak to było w jego zwyczaju, nie czekając na odpowiedź dostojników świątynnych, podał im własne rozwiązanie trudnej sprawy: – Należy przed obliczem całego ludu potępić wielkim potępieniem Jezusę ben Josef i uroczyście wezwać go do zaprzestania wszelkiego działania, aby lud odwrócił się od niego i nie chodził za nim, a wtedy nikt nie ośmieli się stanąć w jego obronie, a ci, którzy uwierzyli w niego, odpadną od niego i powrócą z bezdrożnej i jałowej pustyni na proste drogi, wytyczone przez Pana.

Tak powiedział i umilkł.

Wtedy faryzeusz rabbi Nikodem, który pilnie przysłuchiwał się wywodom Kajafy, rzekł, zachowując odważną ostrożność:

– Dlaczego żądasz od nas, dostojny panie, abyśmy potępili Rabbiego Jezuę ben Josef, skoro jesteśmy w tej chwili tylko dostojnikami świątynnymi, którzy sprawują nadzór nad Świątynią? Czy jesteśmy sądem? Czy jesteśmy teraz czcigodną Radą Sanhedrynu? A czy niezależnie od tego, czym tutaj jesteśmy, nasze Święte Prawo pozwala potępić człowieka przed jego przesłuchaniem i zbadaniem jego czynów i jego słów? Czy wolno napiętnować człowieka piętnem odszczepieńca i zwodziciela przed dokładnym zapoznaniem się z jego nauką i z zeznaniami świadków?

Kajafa wbił łokcie w poręcz fotela. Znowu jakaś zła siła miesza jego szyki! Znowu jednomyślność rozsypuje się jak drewniany szalas pod naporem wichru! Ta jednomyślność, na której mu tak bardzo zależało! Naprzód rozłam wśród synów Izraela na Dziedzińcu Niewiast, potem bunt straży więziennej, a teraz zastrzeżenia rabbiiego Nikodema!

Bawiąc się sygnetem – nikt by nie przypuszczał, że całe wnętrze arcykapłana drży jak struny harfy, uderzane palcami harfiarza, który zgubił rytm i melodię – spytał opanowanym głosem:

– Co sądzą moi bracia o wywodach czcigodnego rabbiiego Nikodema?

Siedzący naprzeciw Kajafy kapłan dał znak ręką, że pragnie przemówić, a gdy gospodarz skinął przyzwalająco głową, tak rzekł:

– Czy my, tutaj zebrani, nie mamy prawa wydawać wyroków w imię świętych Zwojów Pana i ludu Izraela? Nie mamy prawa. Czy naprzód należy zbadać sprawę, a potem wydać wyrok? Tak należy uczynić. Czcigodny rabbi Nikodem ma słuszość. Jednak czy zawsze ma słuszość ten, który ma słuszość? Każdy spośród nas ma swoje własne zdanie, poparte dowodami, doświadczeniami, wiedzą i znajomością Pisma Świętego, powinien więc głośno wypowiedzieć sprawiedliwy pogląd, bo wyrażając go, nie wydaje wyroku i tylko chwali to, co ma być pochwalone, lub potępia to, co ma być potępione. Chwali od siebie i potępia od siebie. Któż tu mówi o wyroku? Nikt nie mówi o wyroku. Wszyscy wiemy, że Jeszua ben Josef znieważa Szabat, nie przestrzega mycia rąk, i wszyscy słyszeli, co powiedział o sobie: JA JESTEM. Czy nasz brat, rabbi Nikodem, pochwała czy potępia znieważanie Szabatu?

Dostojnicy zerwali się z miejsc, krzycząc:

– Czy nasz brat, rabbi Nikodem, pochwała czy potępia nieprzestrzeganie świętego nakazu o myciu rąk przed spożywaniem darów Bożych?!

– Czy nasz brat, rabbi Nikodem, pochwała syna Izraela, który mówi o sobie: JA JESTEM?

– Jeżeli potępia, niech głośno powie, że potępia!
– Jeżeli pochwała, niech głośno powie, że pochwała!
– My wiemy, że rabbi Nikodem wypełnia przykazania Elohim, niechaj zatem potępi razem z nami to, co powinno być potępione!

– A my nasze wspólne i zgodne potępienie ogłosimy przez wysłanników po całej ziemi judejskiej i galilejskiej!

– A wtedy Jezua ben Josef ulęknie się naszego potępiającego ostrzeżenia i ulęknią się jego uczniowie, i odstąpią go!

– I odstąpią go wszyscy, którzy mieszkają w namiotach bojaźni Bożej!

Kajafa, wodząc palcami po brodzie przyciętej krótko, w kształt rozłożonego wachlarza, zwrócił się do rabiego Nikodema i rzekł:

– Kazałem wczoraj pojmać Jezua ben Josef, aby go przesłuchać. Czcigodny brat widział, jaki był skutek mojego rozkazu. Wielka chmura zawisła nad Izraelem. Wierzę, że brat, podobnie jak my wszyscy, głęboko przejmuję się losem ludu. Niechaj więc brat powie, co jego zdaniem powinniśmy uczynić, aby ochronić zgromadzenie Pańskie przed odszczepieńcem?

Na to Nikodem spytał:

– A jeżeli Jezua ben Josef jest prorokiem?

Arcykapłan usłyszał własne pytanie, które przed rokiem w tej samej komnacie podczas modlitwy zadał Panu, ale nie otrzymał od Niego odpowiedzi. Odsunął od siebie to wspomnienie, jak się odsuwa niesmaczną strawę, i rzekł:

– I ty, rabbi i mędrzec, trzymasz z galilejskim zwodzicielem? Znasz Pismo Święte i wiesz, że z Galilei nie może powstać żaden prorok.

– A jeżeli powstanie? – spytał Nikodem, a pytając zamknął oczy, jakby chciał pod powiekami ukryć to, o co pytał. Podniósł powieki. Westchnął.

– Pokój temu domowi – rzekł i wyszedł. Po jego wyjściu Kajafa podniósł się z fotela.

– Niechaj czcigodni moi bracia wrócą do swoich domów, a Elohim niechaj strzeże ich kroków.

Wstali.

– Czy nie potępimy Jezuy ben Josef, dostojny panie? – spytał kapłan, który pierwszy zabrał głos po Nikodemie.

– Nie – odparł z uśmiechem Kajafa. – Rabbi Nikodem ma słuszość. Wszystko musi się odbyć według Prawa...

Tu urwał.

Na niebie zabłysła gwiazda wieczorna, a z jej ukazaniem skończył się siódmy dzień radosnego Święta Namiotów, obchodzonego przez cały naród u progu jesieni.

Zapisani na ziemi

Apostołowie mówili do Niego: – Rabbi, nie idź do Świątyni Pańskiej, bo czyhają tam na Ciebie Twoi przeciwnicy. – Mówili do niego: – Rabbi, nie przechadzaj się po mieście, bo śledzą Cię wysłannicy arcykapłana. – Mówili do Niego: – Najlepiej będzie, jeżeli powrócimy do Galilei, nad Jam Kinereth. – Jezus nie usłuchał żadnej z tych rad i kilka dni po Święcie Namiotów udał się nocą samotnie na Górę Oliwną, gdzie modlił się w miejscu ustronnym, a o wschodzie słońca przybył do Świątyni, usiadł na macie, na Dziedzińcu Pogan, a dokoła Niego zgromadziła się wielka rzesza i słuchała uważnie Jego nauk. Gdy mówił do nich – właśnie tłumaczył im, że każdy mąż, który z pożądaniem patrzy na niewiastę, już popełnił w swoim sercu cudzołóstwo, a oni słuchali Jego wywodów ze wstydliwym zakłopotaniem – kilku uczonych w Piśmie Świętym i faryzeusze, popychając przed sobą zapłakaną, krzyczącą kobietę, przecisnęło się przez tłum i stanęło przed Jezusem. Mąż o statecznym wyglądem, z wypiekami oburzenia na twarzy, trzymając niewiastę za ramię, gwałtownym szarpnięciem rzucił ją do stóp siedzącego na ziemi Jezusa, a starzec, najstarszy spośród przybyłych, głosem drżącym ze zgorzienia rzekł:

– Rabbi, tę oto niewiastę pochwycono na cudzołóstwie. W świętej Księdze Dewarim napisał Mojżesz: „Jeżeli dziewczica została zaślubiona mężowi, a znalazł ją jakiś inny mężczyzna i spał z nią, oboje wyprowadzeni będą do bramy miasta i kamienowani, aż umrą... „

– Cudzołożnik uciekł – przerwał mu jeden z faryzeuszków. – Nie wiemy, kim jest, i nie znamy jego imienia.

– Co powiesz o tym, Rabbi? – spytał starzec i pytaniem tym zakończył swoje oskarżenie.

Jezus spojrział na leżącą u Jego stóp jawnogrzesznicę. Zasłoniła twarz dłońmi, głową przywarła do ziemi, podciągnęła kolana, a łkanie wstrząsało jej ciałem, które zdawało się maleć, upodabniać do prochu, zanikać. Rabbi podniósł wzrok na surowych i nieprzystępnych oskarżycieli, przekonanych o swej nieskazitelnej cnotce, o której wymownie świadczyła dumna wyniosłość ich postaci. Jezus wiedział, że przyszli na Niego zarzucić sieć. Na pewno szczerze i głęboko oburzeni byli z powodu karygodnego występku grzesznicy, którą przyłapali na cudzołóstwie; kierując się jednak sprytem i podstępem, postanowili skorzystać z pomyślnej okoliczności – może ten zamiar powzięli w ostatniej chwili, gdy wlokąc grzesznicę przez Dziedziniec Pogan przed trybunał Starszych ujrzeni nagle Rabbiego, wygłaszającego przemówienie do tłumu, i usłyszeli Jego słowa o moralnej czystości człowieka – i oddać ją pod sąd Męża obciążonego zarzutem zwalczania

Mojżeszowego prawodawstwa. Była to nie lada sposobność, po raz drugi mogła się nie powtórzyć, zwłaszcza że sidła zostały nader sprytnie nastawione. Jeżeli ją uniewinni – czy może ją uniewinnić po tym, co właśnie mówił o pożądaniu i cudzołóstwie? Oskarżą Go przed wysoką Radą Sanhedrynu o pogwałcenie Prawa, a wówczas będą mieli jeszcze jeden dowód przeciw zwodzicielowi, dowód niezbity, świadczący, że nie przestrzega ustaw Pańskich; jeżeli natomiast wyda wyrok skazujący, przypomną mu Jego własne słowa, które w różnych okolicznościach powtarzał: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni”, albo „Jak sędzić będziecie, tak was osądzą”, i spytają Go, czy godzi się zaprzeczać własnej nauce. I pytać Go będą dalej, pytać Go będą bardzo głośno, tak głośno, aby ich pytania doszły do uszu Jego zwolenników: – Jak możesz, Rabbi, głosić nauki, według których nie działasz? Ty nam zarzucasz, że my nie działamy według Prawa Mojżesza, a czy ty działasz według swoich własnych słów? Zwodzisz lud Izraela naukami, w które sam nie wierzysz. Twierdzisz, że jesteśmy obłudnikami, a czym jesteś ty, który głosisz to, czego nie spełniasz? – Tak rozumowali i zachwycali się w duchu swoją przemyślnością, bo powołując Jezusę ben Josef na sędziego, równocześnie sprawowali nad Nim sąd i wpędzali Go w potrzask, w który nieuchronnie wpadnie, bo każdy wydany przez Niego wyrok ugodzi w Niego samego.

Jezus na pytanie starca nic nie odpowiedział. Pochylił się i począł pisać palcem na ziemi. Dlaczego pisał palcem na ziemi? Dlaczego pisał na ziemi? I co pisał?

Palec jest symbolem prawodawstwa i wyroku Pańskiego. (Mówiąc o palcu Bożym, o zapalczywości, gniewie, obliczu, ustach czy oku Pana, nie mamy zamiaru przypisywać Mu cech ludzkich. Jeden z izraelskich objaśniaczy Ksiąg Objawionych zagadnienie to ujął w następujących słowach: „Jeżeli czytamy, że Elohim jest zapalczywy, słowem tym nie określamy przymiotu Pana, lecz tylko skutki Jego działania na ziemi”.) Znając czujność i nieposkromioną ciekawość synów Izraela, nie wyobrażamy sobie, aby nikt z nich nie starał się odczytać słów zapisanych przez Jezusa na ziemi, a mamy na myśli zarówno tłum, jak i faryzeuszów, i uczonych w Piśmie Świętym, którzy od dwóch lat bacznie śledzili każdy Jego gest i wsłuchiwali się z bystrą i napiętą czujnością w Jego słowa. Czy jest możliwe, aby faryzeusze, widząc sędziego Jezusę ben Josef piszącego palcem na ziemi – oni, którym najmniejszy szczegół z Jego życia i najmniejsze słowo z Jego wypowiedzi nie uchodziły uwagi – teraz obojętnie przyglądali się piszącemu na ziemi Rabbimu i nie zagadnęli Go: – Co piszesz, Rabbi? Tak na pewno by spytali, gdyby widzieli słowa napisane przez Niego palcem na piasku, ale Jezus pisał na ziemi niewidzialnym pismem niewidzialnego Elohim, w myśl ostrzeżenia proroka Jeremijahu, który wołał: „Nadziejo Izraela, Jahwe! Wszyscy, którzy Cię opuszczają, będą zawstydzeni! Ci,

którzy oddalają się od Ciebie, będą zapisani na ziemi, bo opuścili źródło żywej wody!” – a ostrzeżenie to należy rozumieć tak, że imiona zawstydzonych grzeszników będą zapisane na materiale miękkim i lotnym, łatwo poddającym się lekkomyślnym igraszkom wiatru, a potem będą wymazane i przeminą bez śladu jak wszelka marność nad marnościami. Taki zapis dokonywany był ręką Pańską i nikt z ludzi żyjących nie mógł go odczytać, podobnie jak nikt nigdy żywymi oczami nie czytał tajemnych ksiąg życia, śmierci i losu ludzkiego, pisanych przez Elohim pismem świętym i niewidzialnym. Pismo niewidzialnego Boga jest zawsze niewidzialne. Tylko dwa razy widziały je żywe oczy ludzkie: raz były to Kamienne Tablice, własnoręcznie zapisane przez Pana na zionącej ogniem górze, a po raz drugi, gdy Jego karzący palec pisał na ścianie pałacu wyrok na Baalszasara, ale wtedy żaden człowiek poza natchnionym prorokiem Danielem nie umiał wyjaśnić ukrytego sensu słów napisanych ręką Elohim.

Starzec, nie otrzymawszy od Jezusa odpowiedzi, gniewnie powtórzył pytanie:

– Co powiesz o tym, Rabbi?

– Wydaj wyrok! – natarczywie domagał się mąż z wypiekami na twarzy.

– Winna jest czy niewinna? Zgrzeszyła czy nie zgrzeszyła?

– Czy należy ją ukamienować, czy puścić wolno? – naciskali opryskliwie faryzeusze, nieporadnie poskramiając w sobie niecierpliwość.

Jezus podniósł głowę znad ziemi, wyprostował się i, odpowiadając im, rzekł:

– Kto z was jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci na nią kamieniem.

I znów pochylił się, i dalej pisał niewidzialne słowa palcem na piasku.

To, co się teraz stało, było nad wyraz zdumiewające. Wyrok wydany przez Jezusa, a był to przecież wyrok na faryzeuszów, a nie na jawnogrzesznicę, przyjęli oni bez szemrania i szybko ulotnili się jeden po drugim, począwszy od starszych, a skończywszy na młodych – Johanan ben Zebadia opisał w świętym Zwoju nader dokładnie ich ucieczkę – a chociaż płochliwym odejściem dali dowód niejakiej czujności swojego sumienia, jednak to poruszenie ich wnętrza nie było zbyt głębokie, skoro nie okazali jawnej skruchy z powodu podstępnych knowań i nastawionych na Rabbiego sideł; i tak dokonało się to, o czym w swojej groźbie powiedział prorok Jeremijahu: „Ci, którzy oddalili się od źródła wody żywej, od Pana, zawstydzeni zostali przed obliczem Elohim, a zapisani na ziemi z Jego wyroku, policzeni są między przemijających bez śladu, między ziarnka piasku poddane lekkomyślnym igraszkom wiatru, między wszelką marność nad marnościami”.

Rabbi przestał pisać i wyprostowawszy się, zwrócił się do jawnogrzesznicy i spytał:

– Niewiasto, gdzie są twoi oskarżyciele? Zerwała się z ziemi i powiodła wzrokiem

dokoła.

– Nikt ci ę nie potępił?

– Nikt, Panie – rzekła z trwożnym niedowierzaniem. A Jezus podniósł się i rzekł głosem upominającym:

– I ja cię nie potępię. Idź i odtąd już nie grzesz.

Niewiasta z płaczem runęła do nóg Rabbiego, rozsypanymi włosami wymazując niewidzialne imiona grzeszników, które zapisał palcem na ziemi.

Uzdrowienie ślepego od urodzenia

1

Jezus codziennie rano udawał się do Świątyni Pańskiej, a dzisiaj po modlitwie przechadzał się w towarzystwie apostołów po Dolnym Mieście. Był ciepły dzień Szabatu, jeden z tych dni jesiennych, które swoją świeżością i urodą przypominają wczesną porę wiosenną. Ponieważ Elohim odnawia w Szabat niebo i ziemię, są one w tym dniu tak piękne, jakby dopiero przed chwilą zostały stworzone. Zmierzali stromymi, wyszczerbionymi jak starcze zęby schodami ku Bramie Źródlanej, skąd prowadziła droga do lasów oliwnych Geth Szemanim, okalających szmaragdową przepaską Górę Oliwną. Gdy stanęli u stóp schodów, które łączyły się z uliczką prowadzącą do sadzawki Siloah, ujrzeli ślepcę wygrzewającego się na słońcu. Był to kilkunastoletni młodzieniec, który oparty plecami o ścianę domu, nogami wyciągniętymi przed siebie, opędył się łusą gałązką wierzby przed nacierającymi muchami. Usłyszał zbliżające się kroki. Twarz jego, dotychczas obojętna i tępa, skurczyła się, zmarszczyła i przybrała wyraz płaczliwej natarczywości. Odrzucił gałązkę i nie bacząc na muchy, które czarnym, brzęczącym rojem krążyły dokoła jego skołtunionej czupryny, wyciągnął przed siebie ręce. Niezawodnym instynktem wietrzył możliwość otrzymania jałmużny. W porę jednak przypomniał sobie, że dzisiaj jest Szabat, więc żaden syn Izraela nie nosi przy sobie pieniędzy. O, jak chętnie wyrzuciłby ze swoich ust krzykliwą prośbę o wsparcie! Znał świetnie wszystkie najbardziej wymyślne sposoby zwracania na siebie uwagi przechodniów, dzisiaj niestety zupełnie bezużyteczne; zaniechał zatem żebraczego kunsztu i opuścił ręce. Ku swojemu zdumieniu poczuł jednak, że przechodnie przystanęli obok niego. Nieśmiało podniósł dłonie. Poruszał w powietrzu widzącymi palcami – ruchy palców przypominały trzepotanie powiek – i dotknąwszy nimi szaty stojącego obok człowieka, starał się domyślnym dotykem poznać kształt jego postaci i wraz z przybierającą znajomością kształtu domyślić się, kim on jest i jakie są jego zamiary.

Usłyszał nad sobą czyjś głos:

– Rabbi Jeszuo ben Josef, powiedz nam, kto zgrzeszył, on czy rodzice jego, że urodził się ślepy?

A na to odpowiedział człowiek, którego nazwano Rabbim Jeszua ben Josef:

– Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak, aby objawiły się na nim sprawy Boże.

Ślepiec nastawił uszu. Po raz pierwszy usłyszał z ust syna Izraela mniemanie przeciwne mniemaniu ludu, który wierzył, że każda choroba i każde kalectwo człowieka są karą za grzechy jego lub jego rodziców. Zdanie mądrego Rabbiego sprawiło mu radość, gdyż będąc ślepym od urodzenia, w przyływie bolesnych rozważań nad swoim losem, często oskarżał rodziców o popełnienie przestępstw – przecież jako płód nie mógł zgrzeszyć w łonie matki – których owocem było jego kalectwo. „Dobrze, że nie są winni mojego kalectwa. Dobrze, że nie popełnili grzechu. Ale jakie sprawy Boże mają się na mnie objawić? Czym jest kaleki proch przed Panem? Czy Pan w nędznym prochu chce objawić swoją niedocieczoną chwałę?” – pomyślał, a jego palce coraz śmieiej błędziły po fałdach sukni Rabbiego.

To, co usłyszał, było dla niego niezrozumiałe.

– Dopóki jest dzień – powiedział Rabbi – muszę pełnić dzieło Tego, który mnie posłał. Nadejdzie noc i skończy się moje działanie na ziemi.

Ślepiec nie wiedział, czym różni się dzień od nocy, światło od ciemności. Dłonie jego dotykające szaty Rabbiego bezsilnie obsunęły się na ziemię. Wszystko było mu obojętne. Obojętne mu było światło i ciemność, obojętne mu były dni i noce, obojętny był mu świat, którego nie znając, nie był ciekaw.

Tymczasem Jezus pochylił się, splunął na ziemię i uczynił gęstą, błotnistą zacierkę z piasku zmieszanego ze śliną. Na oczach apostołów, otaczających kołem Rabbiego i ślepcą, powtórzyła się tajemnica Stworzenia. Jak opowiada pewien stary i omszały midrasz, Elohim, zamierzając stworzyć człowieka z prochu ziemi, zmieszał ziemię z wodą źródlaną – jedna z wersji tego midraszu twierdzi, że nie z wodą źródlaną, lecz deszczową, co jest dla nas obojętne, bo nie chodzi o rodzaj wody, ale o sposób świętego tworzenia – i jak piekarz mieszający mąkę z wodą i ugniatający ciasto, Pan z błota powstałego z ziemi i wody ulepił człowieka. Jezus tak samo miesił teraz ciasto powstałe z ziemi i śliny, rozczyniał je, zarabiał, ugniatał, a to, co czynił, było obrazowym powtórzeniem aktu stworzenia człowieka, biorącego swój początek ze zjednoczenia ziemi z wodą – zjednoczenie to znalazło swój poetycki wyraz w rozpaczliwym wołaniu qumrańskiego psalmisty, który załamując ręce nad marność człowieka, nazywał go „tworem z gliny zmieszanej z wodą”, „tworem ugniecionym z błota i zlepionym wodą” – z połączenia doczesnej i przemijającej ziemi z ojcowsko-macierzyńską wodą, z wody żywej i nieśmiertelnej, scalonej

z ziemią bezduszną i bezsilną.

Jezus, uczyniwszy błotnistą zacierkę, nałożył ją na oczy niewidomego. Apostołowie z uwagą śledzili każdy ruch ręki Rabbiego i wyraz twarzy niewidomego i spodziewali się, że usłyszą radosny krzyk ulezonego młodzieńca i ujrzą go leżącego u stóp Męża. Ale usłyszeli tylko słowa Jezusa, który rzekł do ślepcy:

– Idź i obmyj się w sadzawce Siloah.

To powiedziawszy, Jezus poszedł schodami ku Górnemu Miastu, a apostołowie szli za Nim i co kilka kroków przystawali, odwracali się, żałując, że nie mogą być świadkami cudu, o którym nie wątpili, że teraz nastąpi. Gdy schody zatoczyły łagodny łuk, a żebrak zniknął z pola ich widzenia, przyspieszyli kroku i zdążyli niechętnie i posłusznie za Jezusem.

Ślepiec podniósł się z ziemi i bezwiednie powtarzając słowa nieznanego Męża: „Idź i obmyj się w sadzawce Siloah”, począł macać przed sobą rękami i natrafiwszy na ścianę domu, włókł się niepewnym krokiem, i nie było w nim żadnych uczuć, żadnych wrażeń, żadnych myśli poza usłyszonym rozkazem. Zatrzymał się. Do jego uszu dotarł cichy szum wody. Ukląkł i wodził palcami po nierównym bruku. Wymacał pierwszy stopień schodów. Pochylił się i dotknął drugiego stopnia, po czym, ostrożnie zsuwając się po stromych schodach, doczołgał się do brzegu sadzawki. Odsapnął. Zanurzył dłoń w wodzie. Była chłodna. Lekko muskał palcami po jej powierzchni, jakby chciał się przekonać, czy woda jest naprawdę wodą, potem począł ją pieścizotliwie głaskać i nie rozumiał, dlaczego mu się wydaje, że przesuwa dłońią po fałdach szaty nieznanego Męża. Ściągnął tunikę do pasa. Umył ręce, zaczerpnął wody i obmył nią oczy, twarz, piersi, szyję i znowu oczy, i wtedy poczuł w sobie ognisty żar, i ujrzał płomienie, których nie umiał nazwać, bo nigdy płomieni nie widział, a teraz właśnie je widział, a widząc je, wciąż nie wiedział, co one znaczą i czym są, więc wpatrywał się w nie, a ponieważ nigdy dotychczas w nic się nie wpatrywał i nie rozumiał, co znaczy wpatrywanie, nie pojmował, czy to, co było przed nim, naprawdę było, czy było może tylko jakimś innym rodzajem słyszenia, dotyku, zapachu. I tak borykając się z nacierającym na niego światłem, od którego nie mógł się uwolnić, bo wpełzało w niego oślepiającą strugą – ta oślepiająca jasność przyprawiała ślepcę o dotkliwy ból – błagał Pana o ratowanie go przed przerażającym żywiołem, rozsadzającym mu czaszkę. I znów zaczerpnął w obie dłonie wody, i obmywał nią twarz i sklezione błotem oczy, i chlustał na nie wodą, chlustał, obmywał je, przecierał, tarł, wycierał i znów chlustał wodą, aby tylko ochłodzić ich bolesną, aż do samego wnętrza sięgającą ognistość i zmyć z nich widzenie tego, co widział, ich odkrywczą, żrąco-jarzającą jasność, bulgocące bełtanie

barw, błyskające bluzganie barw, burzę barw, wirujących, kłujących... Zachwiał się, oparł się plecami o mur i – zawył. Znalazł się w jakimś obcym, dalekim, nie znanym świecie, o którego istnieniu nic dotychczas nie wiedział. Ujrzał coś, czego nie umiał określić. Nie wiedział, co to jest. Zamknął powieki, wyciągnął przed siebie dłonie, począł nimi wokoło macać i dopiero czułkami czujnych palców poznał, że to coś, czego nie umiał określić, było wodą sadzawki. Bał się otworzyć oczy. Ale skusiła go obcość otaczającego go świata. Podniósł powieki. Wszystko, co go otaczało, różniło się od siebie nie tylko innością kształtu, o czym zresztą zawsze wiedziały jego palce, ale także... Tego „także” nie umiał określić słowami, więc poprzestał tylko na stwierdzeniu, że to „także” stanowi nieodłączną cechę każdego kształtu i wyrażone jest za pomocą czegoś, czego on, biedny ślepiec, nigdy dotychczas nie znał. I wtedy zrozumiał, że widzi. Pośpiesznie naciągnął tunikę i z krzykiem runął przed siebie. Biegł schodami pod górę, zdyszany przystanął, zawrócił, biegł w przeciwnym kierunku, nie wiedział, gdzie się znajduje, bo widział, więc raz po raz zamykał oczy, dotykał palcami murów, bruku, schodów, rynsztoków, bram, aby połapać się przy pomocy widzących palców w topografii miasta, znowu otwierał oczy i znowu pędził przed siebie, zataczając się i potykając o kocie łby. Obijał się jak pijany o ściany domów i krzyczał, krzyczał, krzyczał niezrozumiałym bełkotem, a była w nim wielka, wielka radość i z nadmiaru radości nie uświadamiał sobie radości, i z nadmiaru szczęścia nie uświadamiał sobie pełni szczęścia, bo nad radością i szczęściem górował lęk przed Mężem, który dokonał cudownego uzdrowienia, a któż inny mógł być owym Mężem, jeżeli nie wysłannik samego Starowiecznego! I tak radował się, i lękał, i kluczył wśród uliczek – na mieście panował uroczysty, szabatowy spokój, bramy domów i sklepy były zamknięte, stragany puste – i mijał z krzykiem nielicznych przechodniów, którzy przystawali, gromili go ostrym słowem i nawoływali do zachowania ciszy w dniu spoczynku, a widząc, że młodzieniec nie słucha ich napomnień, szli dalej krokiem powolnym, odpowiadającym powadze święta, rozdrażnieni wybrykami am haareca.

Zatrzymał się. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że pędząc uliczkami, szukał swojego Uzdrowiciela. Nie znalazłszy Go, wrócił nad sadzawkę Siloah, nisko skłonił przed nią głowę i wargami przywarł do jej lekko sfalowanej powierzchni.

Ucałował wodę.

Szedł ulicami Dolnego Miasta, zachwycał się słońcem i niebem, rozkoszował się barwną treścią świata, szelestem drzew kołysanych wiatrem – nigdy nie widział

ruchu – przelotem ptaków i poruszającymi się ludźmi. Barw nie umiał określić za pomocą słów. Wprawdzie będąc niewidomym, często słyszał, jak ludzie mówią, że to jest zielone, tamto czerwone, to żółte, a to błękitne, teraz jednak, gdy otrzymał od Uzdrowiciela widzące oczy, nie wiedział, którą barwę należy określić jako czerwoną, którą jako żółtą, a którą jako zieloną i błękitną. Do wieczora włóczył się po mieście. Słońce zaszło. Dokonywająca się na niebie szybka zmiana kolorów wzbudziła w nim z początku lęk, a potem podziw. Nie wiedząc, jak go wyrazić – chciał złożyć Panu gorące dziękczynienie za otrzymaną łaskę – wznosił ręce do nieba i zmawiał Szema Israel, jedyną modlitwę, której nauczył go ojciec; zmówił ją raz, drugi, trzeci, a za każdym razem inaczej, raz z radością, raz z błaganiem, a raz z poufałą pokorą. A Pan na pewno ujrzał radość biednego młodzieńca, bo użył temu wieczorowi pięknej pogody, zapalił wszystkie gwiazdy i kazał księżycowi w całej jego urzekającej dorodności przechadzać się po niebie, i ani jedną chmurą nie zasłonił jego oblicza. Młodzieniec widział niebo po raz pierwszy w życiu i pomyślał, że jest o wiele piękniejsze, niż je sobie wyobrażał. Łatwiej było mu oswoić się z niebem niż z ziemią. Postanowił wrócić do domu. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Zamknął powieki i znowu macając wokoło szedł przed siebie. Pomagał sobie palcami, w których miał więcej doświadczenia niż w oczach, zmuszonych teraz odkrywać to, co już dawno odkryły jego palce. Wreszcie dowlóknął się do nędznej lepianki, w której mieszkał z rodzicami. Wszedł. Ojciec i matka siedzieli na glinianej polepie i spożywali wieczerzę. W kącie izby płonęła lampka oliwna. Wlepił w rodziców zdziwione oczy. Tak wyglądają? Rozejrzał się po izbie. To jest ich izba? Usiadł na ziemi i uśmiechnął się. Matka podsunęła mu placek i cebulę. Odsunął od siebie jedzenie. Ojciec przyglądał mu się bacznie i rzekł:

– Prawdopodobnie naszego syna nakarmił jakiś bogacz, bo nie chce teraz jeść wieczerzy, a mimo to z zadowoleniem się uśmiecha.

– Tak. Otrzymałem obfitą jałmużnę.

– Nasz syn nie mógł otrzymać jałmużny w Szabat, bo w ten dzień żaden prawy syn Izraela nie nosi przy sobie pieniędzy.

– A jednak otrzymałem.

– Jeżeli mojemu synowi ofiarowano pieniądze, nie należało ich przyjąć, bo na pewno pochodzą od bezbożnika, a może nawet – uchowaj Boże – od poganina.

– To nie były pieniądze.

– To dobrze – piskliwym głosem zawyrokowała matka.

– Chleb?

– Więcej niż chleb.

– Ryby?

– Więcej niż ryby.

– Pieczeń jagnięca?

– Więcej niż pieczeń jagnięca.

– Chyba nasz syn ucztował u samego arcykapłana, skoro otrzymał coś smaczniejszego niż pieczeń jagnięcą – jękliwie zawyrokowała matka.

– Nie otrzymałem żadnego jedzenia – odparł młodzieniec.

– Więc cóż otrzymał nasz syn? – z nienasyconą ciekawością spytał ojciec, nawijając na palec kędzior u skroni.

– Oczy – szepnął.

– Oczy? – spytał stary.

– Oczy? Jakie oczy? – spytała niepewnie matka.

– Widzące oczy.

Stary spojrział z zakłopotaniem na żonę:

– O czym mówi nasz syn?

– Skąd mogę wiedzieć, o czym mówi nasz syn? – mruknęła opryskliwie żona.

– Widzę! – krzyknął młodzieniec. Zerwał się z ziemi i na dowód, że widzi, począł biegać po izbie i pokazując palcem dzbany, kubki, miski, maty, piec, chrust, lampkę oliwną, wszystkie te przedmioty nazywał według ich nazw, a potem ustawił dzbany na ziemi w dwa szeregi i przeszedł między nimi, ani jednego nie potrąciwszy nogami. Rodzice osłupieli. Stary poruszał bezzębnymi szczękami i targał palcami brodę, matka przechyliła na bok głowę i podejrzliwie przyglądała się synowi. Wstała, zdjęła ze ściany lampkę oliwną i trzymając ją w trzęsącej się dłoni, podeszła do syna. Jedną ręką chwyciła go za włosy, unieruchamiając mu głowę, drugą podsunęła mu pod same oczy kaganek i krzyknęła:

– Mów, co widzisz?!

– Światło lampki oliwnej, którą matka trzyma w ręce! – szarpnął się i odskoczył ku tyłowi. Stara wrzasnęła:

– Widzi!

– Kto ci to uczynił? – wycedził ojciec przez zaciśnięte gardło.

– Prorok...

– Jaki prorok?

– Zowią Go Rabbim Jeszua ben Josef.

– Kto to jest?

– Nie wiem.

Ojciec podniósł się z ziemi, otworzył skrzynię i wyjął z niej talit i tefilin. Chustę modlitewną narzucił na głowę i ramiona, tefilin nałożył na lewą rękę i czoło, i zwróciwszy się twarzą ku Świątyni Pańskiej, płacząc, modlił się, a głos jego

z każdym słowem potężniał, huczał, grzmiał, aż zamienił się w potężny ryk dziękczynny ku chwale miłosiernego Jahwe, działającego cuda w zgromadzeniu pobożnych. Nie umiając wielbić Pana radością, której nigdy nie zaznał, wielbił Go płaczem, jękiem i skargą, westchnieniem i łzami, tym wszystkim, co było powszednim chlebem jego życia. Wielbił Go głośno, jak mógł najgłośniejszym, a głos podnosił nie tylko ze względu na odległość dzielącą go od Wiekuistego: chciał krzykiem zwabić sąsiadów do izby i pochwalić się przed nimi wielką łaską, jakiej doznał od Pana, aby zazdrościli najbiedniejszemu z biednych, któremu nikt niczego dotychczas nie zazdrościł.

Stało się tak, jak tego pragnął. Sąsiedzi, słysząc jego krzyk, zbiegli się wielką gromadą do izby, a gdy dowiedzieli się o szczęściu, które spłynęło na młodzieńca, z początku nie chcieli dać wiary cudownemu uzdrowieniu, a niektórzy nawet – przypadkowi przechodnie, mieszkańcy tej samej dzielnicy – mówili: – To nie jest ten ślepiec, którego znamy, on jest tylko do niego podobny.

Wkrótce jednak przekonali się o swojej omyłce, gdyż tożsamość młodzieńca stanowczo poświadczali najbliżsi sąsiedzi, którzy znali go od urodzenia jako niewidomego. Wszyscy poczęli zachłannie, na wypródki, wypytywać, jakim sposobem otworzyły się jego oczy.

Młodzieniec rzekł:

– Człowiek, którego nazywają Rabbim Jeszua ben Josef, uczynił błoto z ziemi i śliny i pomazał nim moje oczy, i rzekł do mnie: „Idź do sadzawki Siloah i obmyj się”. Poszedłem więc, obmyłem się i przejrzałem.

Spytali go:

– Gdzie jest ten Mąż?

– Nie wiem – odparł.

– A skąd wiesz, jak się nazywa?

– Słyszałem, jak ktoś mówił do Niego: Rabbi Jeszuo ben Josef...

– Błogosławiony niech będzie Człowiek, który przywraca wzrok ślepym! – zawołał jeden z obecnych.

– Czy wolno synowi Izraela w Szabat ugniatać błoto z piasku i śliny? – odezwał się czyjś głos. Słowa te zabrzmiały jak głos rogów bawolich w dniu Sądu Ostatecznego.

Całą noc nie spał. Siedział przed domem i wpatrywał się w księżyc i gwiazdy. Po raz pierwszy w życiu widział wschód słońca. Świat był piękny. I ludzie byli piękni.

Niektórzy byli trochę mniej piękni, zwłaszcza ci, którzy wczesnym rankiem przybyli do jego domu i rzekli:

- Chodź z nami.
- Dokąd?
- Pójdziemy do Świątyni Pańskiej, do faryzeuszów...
- Czego od niego chcecie? – spytali rodzice.
- Wy też z nami pójdziecie – rzekli.

Poszli. Na przedzie szedł młodzieniec, za nim wysłannicy, a za nimi rodzice, którzy domyślili się, że zanosi się na jakieś przesłuchanie. Postanowili być ostrożni. Najlepiej będzie, jeżeli nie będą za dużo wiedzieć, bo ten, który za dużo wie, jest najbardziej winny. Nie wolno również za mało wiedzieć, bo wtedy łatwo można narazić się na podejrzenie, że się chce ukryć część prawdy. Elohim na pewno nie będzie miał im za złe, jeżeli nie mówiąc kłamstwa, nie powiedzą całej prawdy, której zresztą nie znają, a świadkiem tego jest sam Wiekuisty. Stary drapał się w głowę. Cudowne uzdrowienie, dokonane w Szabat przez nieznanego Męża, zmusza każdego bogobojnego człowieka do zastanowienia się nad bardzo niezrozumiałym działaniem Pana, który właśnie w Szabat – dlaczego właśnie w Szabat? Czy nie mógł sobie wybrać innego dnia dla dokonania błogosławionego dzieła? – kazał Rabbieniu uzdrowić syna. Stary nazwałby takie postępowanie lekkomyślnym, gdyby nie wiedział, że Pan nic nie czyni lekkomyślnie.

Skoro więc chciał uleczyć – tak pocieszał się ojciec – ślepego chłopca właśnie w Szabat i w tym celu wysłał swojego Posłańca, i kazał Mu ulepić błoto z piasku i śliny, to cóż mogą Mu zrobić faryzeusze? Przecież nie oskarżą Boga o pogwałcenie Szabatu? A jeżeli oskarżą, to zobaczą, co Elohim – niech będzie błogosławione Jego Imię – potrafi! Mimo to, niezależnie od tego, co potrafi Elohim, ostrożny człowiek – a stary uważał się za człowieka ostrożnego – powinien mieć się na baczności podczas przesłuchania.

W Portyku Salomona na trzciniowych matach siedziało kilku faryzeuszów. Wysłannicy i młodzieniec nisko pokłonili się znakomitym mężom. Rodzice, korzystając z wielkiego natłoku ciekawych, którzy przybyli, aby przysłuchać się śledztwu, ukryli się w tłumie i niedostrzeżeni przez faryzeuszów, bezpieczni przed ich wzrokiem, z uwagą śledzili przesłuchanie syna.

Faryzeusz o zmiętej, pergaminowej twarzy, który siedział w środku półkola, spytał chłopca:

- Byłeś ślepy?
- Byłem.
- Teraz widzisz?

- Widzę.
- Kto ci wzrok przywrócił?
- Mąż, którego zowią Jezuą ben Josef.
- Kiedy ci to uczynił?
- Wczoraj.
- Jaki dzień był wczoraj?
- Szabat.
- A w jaki sposób przejrzałeś?

– Rabbi uczynił z piasku i śliny zacierkę i położył mi ją na oczach. A potem kazał mi się obmyć w sadzawce Siloah. Obmyłem się i widzę.

A na to spytał faryzeusz o gęstych brwiach, które jak złowrogie chmury zwisały nad jego oczami:

- Co sądzisz o nim? Kim on jest?
- To prorok – odrzekł bez namysłu młodzieniec.
- Prorok? Mąż, który ci to uczynił, nie jest od Elohim, bo nie zachowuje Szabatu.

W Szabat nie wolno robić zacierki...

– Nie jest od Elohim? – przerwał mu jego sąsiad, mąż o puszystej brodzie. – Jeżeli nie jest od Elohim, to nie może dokonywać cudów.

– Słusznie – dorzucił siedzący obok niego zażywny, siwy mąż.

– W jaki sposób człowiek grzeszny może czynić takie znaki? W jaki sposób, pytam?

– A o fałszywych cudotwórcach brat mój nie słyszał? – wyrzucił z siebie mąż o pergaminowej twarzy.

– A dlaczego ma być fałszywym cudotwórcą, skoro uleczył ślepego chłopca?

– Chłopiec nie był ślepy! – ktoś krzyknął.

– Był ślepy! – zażywny faryzeusz mimo tuszy i wieku zwinnie zerwał się z ziemi. – Był ślepy! Od urodzenia!

– Nie był ślepy!

– Byłeś czy nie byłeś ślepy od urodzenia?! – groźnie spytał mąż o gęstych brwiach.

– Byłem ślepy – wyszeptał młodzieniec.

– Kłamiesz!

– Nie kłamię. Rodzice mogą potwierdzić...

– Gdzie są twoi rodzice?! – pergaminowa twarz stała się jeszcze bardziej żółta. – Tu muszą być jego rodzice! Przyszli razem z nim! Niech natychmiast staną przed nami!

Tłum zakłósał się i rozstąpił. Rodzice uzdrowieńca, spoceni i przerażeni, stanęli przed faryzeuszami.

- Czy to jest wasz syn?
- Rzekłeś – odpowiedzieli.
- Od kiedy był niewidomy?
- Od urodzenia.
- W jaki sposób teraz widzi?

Ojciec zawahał się, spojrział błagalnym wzrokiem na pytającego, potem na żonę i zrozumiał, że powinien być teraz bardzo ostrożny. Przyszła mu z pomocą żona.

– Czy my możemy wiedzieć, jak się to stało? Wiemy tylko, że jest naszym synem i że się urodził ślepy. Przedtem nie widział, a teraz widzi.

Ojciec poczuł strach przed Elohim, który widząc ich niewdzięczność, może zapłonąć gniewem, postanowił więc wykrętną prawdą uzupełnić odpowiedź żony. Rzekł z uniżoną pokorą:

– Nie wiemy, rabbi, jak to się stało, że teraz widzi. Nie wiemy także, kto mu otworzył oczy. Nas przy tym nie było. Zapytajcie jego samego. Ma swoje lata, niech mówi za siebie.

A na to rzekł mąż o pergaminowej twarzy, zwracając się do młodzieńca:

– Oddaj chwałę Bogu. Mów prawdę. My wiemy, że Jezua ben Josef jest grzesznikiem. Młodzieniec odparł opryskliwie:

– Czy on jest grzesznikiem, tego nie wiem. Jedno wiem, że byłem niewidomy, a teraz widzę.

– Odpowiedz jeszcze raz, jak otworzył twoje oczy? – naciskał faryzeusz o gęstych brwiach. Młodzieniec odrzekł:

– Już raz powiedziałem, a tyś mnie, rabbi, nie wysłuchał. Po co znowu chcecie słuchać? Czy wy także chcecie zostać jego uczniami?

– Ty bądź jego uczniem!

– My jesteśmy uczniami Mojżesza! – krzyknął ten o gęstych brwiach. – My wiemy, że Elohim przemówił do Mojżesza, ale skąd ten się wziął, tego nie wiemy!

Młodzieniec spojrział na nich hardo i rzekł:

– To naprawdę bardzo dziwne, że nie wiecie, skąd on jest. A przecież otworzył moje oczy. Wiemy, że Elohim nie wysłuchuje grzeszników, natomiast Elohim wysłuchuje każdego, kto jest Jego czcicielem i pełni Jego wolę. Gdyby ten człowiek nie był od Elohim, nie mógłby tego uczynić.

– Cały urodziłeś się w grzechach! – krzyknął mąż o pergaminowej twarzy.

– Ty śmiesz nas pouczać?! – faryzeuszowi o gęstych brwiach krew uderzyła do twarzy. – Precz! Precz! – i wskazał przed siebie wyciągniętym palcem.

Młodzieniec oddalił się. Jeszcze przedtem niepostrzeżenie zniknęli jego rodzice. Ludzie wśród zgiefkliwych rozmów poczęli się rozchodzić. Sędziowie faryzejscy

opuścili Portyk Salomona i przechadzając się wśród ogrodów Górnego Miasta do późnego wieczora wiedli ze sobą zacięty spór: jedni twierdzili, że Jezua ben Josef jest zwodzicielem, drudzy, że nie może być zwodzicielem, ponieważ czyni cudowne znaki.

Kłócili się tak długo, aż nad ich gniewem zaszło słońce.

4

Następnego dnia po południu Jezus przybył na Dziedziniec Pogan, rozwinął matę, usiadł na niej, dokoła Niego usiedli faryzeusze, a On, nawiązując do kalectwa młodzieńca, któremu w Szabat przywrócił wzrok, tak do nich przemówił:

– Przyszedłem na ten świat, aby ci, którzy widzą, przejrżeli, a ci, którzy opacznie widzą, stali się ślepi.

A na to spytali faryzeusze:

– Czy my także jesteśmy ślepi? Jezus odpowiadając im rzekł:

– Gdybyście byli ślepi, nie mielibyście winy. Spytał jeden z nich:

– A dlaczego jesteśmy winni, Rabbi? Jezus rzekł:

– Ponieważ mówicie, że widzicie, przeto pozostajecie w grzechu. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto nie wchodzi przez bramę do owczarni, ale wdziera się do niej inną drogą, jest złodziejem i rozbójnikiem. Kto jednak wchodzi przez bramę, jest pasterzem owiec. Temu odźwierny otwiera, a owce słuchają jego głosu; woła po imieniu swoje owce i wyprowadza je. Gdy wszystkie wypuści, idzie przed nimi, a owce idą za nim, albowiem głos jego znają. Natomiast za obcym nie pójdą. Uciekają przed nim, ponieważ obcych nie znają.

– My twojego głosu nie znamy! – krzyknął jakiś faryzeusz. Jezus podniósł się z maty i zawołał:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Ja jestem brama owiec! Złodzieje i rozbójnicy nie znajdą posłuchu wśród owiec!

Słuchacze zerwali się z ziemi.

– Ja jestem brama! Kto wejdzie przeze mnie, będzie zbawiony! Wejdzie i wyjdzie, i znajdzie pastwisko. Złodziej tylko po to przychodzi, aby kraść, mordować i wytracać! Ja przyszedłem po to, aby owce miały życie w obfitości.

Poczęli krzyczeć:

– Mojżesz nie kradł i nie mordował!

– Prorocy nie byli rozbójnikami!

– Nikogo nie wytracali!

– O kim mówisz?! Wybuchła wielka wrzawa.

Inni wołali:

- Nie o Mojżeszu mów!
- Ani o prorokach!
- Mówi o fałszywych prorokach!
- Mówi o synach obłądy!
- O sercach zatwardziałyach! Ktoś wrzasnął:
- Sam jest fałszywym prorokiem! Odpowiedziały mu gromkie głosy:
- Nieprawda!
- Tak nie mówi fałszywy prorok!

Jakiś starzec rozerwał na piersiach szatę:

- Mesith! Mesith! Mesith! Nie słuchajcie go! Jezus podniósł rękę.

Cisza zaległa dziedziniec.

– Ja jestem dobry pasterz! – głos Rabbiego huczał jak nawałnica łamiąca cedry. – Dobry pasterz daje życie swoje za swoje owce! Najemnik, który nie jest pasterzem i właścicielem owiec, widząc nadchodzącego wilka, porzuca owce i ucieka, a wilk je porywa i rozprasza, ponieważ pasterz jest najemnikiem i nie troszczy się o owce! Ja jestem dobry pasterz! Znam swoje owce i moje owce mnie znają, podobnie jak Ojciec mnie zna, a ja znam Ojca! Życie swoje oddaję za owce. Mam także inne owce, które nie są z tej owczarni, i te muszę przyprowadzić, a one słuchać będą mojego głosu i nastanie jedna owczarnia i jeden pasterz. Dlatego miłuje mnie Ojciec, bo ja życie moje daję, aby je potem znowu odzyskać! Nikt mi go nie zabiera, ale ja je dobrowolnie oddaję! Mam moc je oddać i mam moc znowu je odzyskać! Taki rozkaz otrzymałem od mojego Ojca!

To powiedziawszy, zwinął matę, wsunął ją pod ramię i oddalił się. Poczęli krzyżeć:

- Jest opętany przez szatana!
- Oszalał!
- Biada wam, którzy daliście posłuch jego słowom! Inni wołali:
- Tak nie przemawia opętany!
- Czy szatan może ślepcom wzrok przywracać?!
- Jezua ben Josef jest Mężem Bożym!
- Błogosławiony jest Ten, którego Pan wybrał na chwałę Izraela! Inni zaś wołali:
- Nic nie rozumiemy!
- Dlaczego ma życie oddać, a potem je odzyskać?!
- Mówił, że je dobrowolnie odda!
- Z rozkazu Elohim!
- Co to znaczy?!

Faryzeusze rozdwojeni, rozgorączkowani, opuścili Dziedziniec Pogan i udali się na pusty o tej porze Xystos, gdzie sprzeczali się do późnego wieczora i nacierali na siebie coraz zapalczywiej; z początku walczyli za pomocą cytatów, przykładów, objaśnień, w końcu, gdy gniew wziął górę nad rozsądkiem, poczęli się wzajemnie obrzucać obelgami, lżyli się, łajali i potępiali.

I nikt nikogo nie przekonał.

Radość Jezusa

Po świętach Jezus i apostołowie wędrowali po krainie judejskiej. Z Jerozolimy udali się do Bethanii, położonej na wschodnim stoku Góry Oliwnej, i zatrzymali się u Eleazara, który mieszkał w pięknym domu z dwiema swoimi siostrami – ze starszą, przesadnie zapobiegliwą Martha, wyżywającą się z nadmiernym zapalem w zajęciach gospodarskich, i z młodszą Mariamne, dziewczyną cichą, wrażliwą, która umiłowala samotność i rozmyślania. Te różnice w charakterze obu sióstr wyrażały się w ich odmiennym zachowaniu wobec Rabbiego; Mariamne często siadywała u stóp Jezusa i pochłaniała z uwagą opowiadane przez Niego przypowieści i nauki, podczas gdy Martha krzątała się koło gospodarstwa – był właśnie czas strząsania oliwek, więc roboty było co niemiara – i miała za złe młodszej siostrze, że zamiast pomagać jej w pracy, czas trawi na beczynnym słuchaniu opowiadań Rabbiego. Stało się to powodem surowo-łagodnego napomnienia, którego Jezus udzielił zapobiegliwej gospodyni. Mimo to Mąż czuł się dobrze w domu swojego przyjaciela, który zawsze podejmował Go z serdeczną gościnnością pod swoim dachem, oddając Jemu i apostołom najlepszą izbę i najwygodniejsze posłanie na nocny spoczynek.

Co wieczór odwiedzali Eleazara sąsiedzi, a wśród nich był również jego krewny, Symeon Trędowaty, którego Jezus ongi uleczył ze śmiertelnej choroby; siedząc razem w gościnnej izbie, słuchali przypowieści i nauk Rabbiego.

Pewnego dnia przybyli do Bethanii uczniowie, których Jezus przed Świętem Namiotów rozesłał po miastach, miasteczkach i wsiach Judei. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę wyznaczył im miejsce spotkania w domu Eleazara. Byli w weselnym nastroju. Zdali Jezusowi sprawę ze swojej pracy, a jej nadzwyczajną owocność wyrazili jednym zdaniem: złe moce były im uległe w Imię Jezusy ben Josef. Słowa te wypowiedzieli z uczuciem tryumfu, a głośno wyrażona radość Rabbiego umocniła ich w przekonaniu, że ściśle spełnili Jego wolę i dobrze wywiązali się z obowiązków, według otrzymanych od Niego poleceń: w swej pokornej bezimienności, wyrażonej w umownej liczbie siedemdziesięciu uczniów,

stali się siewcami Dobrej Nowiny i pouczeniem dla apostołów, że nie tylko oni mają prawo szerzenia słowa Bożego w powszechnym zgromadzeniu synów człowieczych.

Jezus szeroko rozłożył ręce i rzekł:

– Dałem wam władzę stąpania po wężach i skorpionach, i po wszelkiej potędze nieprzyjacielskiej, a nic nie będzie mogło wam szkodzić. Jednak nie z tego się radujcie, że duchy zła są wam poddane, ale raczej radujcie się z tego, że imiona wasze zapisane są w niebie.

Siedząc na dziedzińcu – było południe, a od pustyni wiał ciepły wiatr – widzieli swoje imiona zapisane w jednej z czterech ksiąg, które znajdowały się w księgozbiornie niebieskim, umieszczonym w jakimś niezniszczalnym, nieokreślonym i niepoznawalnym miejscu. Zastanawiali się, w której z tych ksiąg zostały zapisane ich imiona, czy w Księdze Życia, czy w Księdze Losu Ludzkiego, czy w Księdze Czynów Ludzkich, a może w Księdze Zamiarów Bożych, zawierającej osobny dział świętych błogosławieństw; o tej ostatniej możliwości świadczyłyby wielbiąco-błogosławiące słowa Jezusy ben Josef, który rozradowawszy się teraz pod działaniem Ducha Świętego, podniósł się z ziemi, wyprostował, zwrócił oczy ku niebu i rzekł w pogodnym uniesieniu:

– Wielbię Cię i dziękuję Ci, Boże, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te sprawy przed mądrymi i uczonymi, a objawiłeś je ludziom prostym. Tak, Ojczy, tak spodobało się Tobie. Ojciec mój przekazał mi wszystko. A nikt nie wie, kim jest Syn, tylko Ojczy, ani kim jest Ojczy, tylko Syn i ten, komu Syn zechce to objawić.

Wzniósł ręce, po czym wyciągnął je przed siebie i pobłogosławił uczniów:

– Błogosławione są oczy, które widzą to, co wy widzicie. Powiadam wam bowiem, że wielu proroków i królów pragnęło widzieć to, co wy widzicie, i słyszeć to, co wy słyszycie, a jednak tego nie widzieli i nie słyszeli.

Wyciągnął przed siebie dłonie.

– Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście strudzeni i uginacie się pod ciężarem, a ja was pokrzepię. Weźcie na siebie moje jarzmo i stańcie się moimi uczniami, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek dla dusz waszych, albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemień jest lekkie.

Gdy Jezus nacieszył się zwycięstwem siedemdziesięciu, a siedemdziesięciu nacieszyło się radością i błogosławieństwem Jezusa, wszyscy razem wraz z apostołami udali się do lasu oliwnego i zgodnie pomagali Eleazarowi i domownikom przy otrząsaniu oliwek; długimi żerdziami lekko uderzali w gałęzie, z których gęstym gradem sypały się czarnookie oliwki na płótna rozścielone u podnóża drzew; i dopiero po ukończonej pracy, w myśl przykazania Rabbiego, że „wart jest pracownik zapłaty swojej”, udali się na posiłek. Tylko Eleazar pozostał

jeszcze na dworze. Od pewnego czasu zapadał na zdrowiu. Nie chcąc niepokoić sióstr i krewnych, nie zwierzał się im ze swoich dolegliwości. Zachłusnął się kaszlem. Skurczony, oparł się o ścianę domu. Wytarł dłonią wargi i ujrzał krew na palcach. Ugięły się pod nim kolana. Mimo to przemógł się i aby nie uchybić obowiązkowi gospodarza, zdobył się na duży wysiłek: pewnym krokiem wszedł do izby, usiadł za stołem i uśmiechnął się do biesiadników.

Odmówiwszy błogosławieństwo nad chlebem, przysunął Jezusowi półmisek z baraniną i kaszą.

Pochwała ubóstwa

1

Nastały jesiennie chłody i deszcze. Jezus i apostołowie po opuszczeniu domu Eleazara, który bezskutecznie starał się ich zatrzymać u siebie przez zimę, ruszyli w drogę do miast i wsi Judei, a Rabbi podczas tej wędrówki – a trwała ona przez kilka tygodni – pouczał Dwunastu o ubóstwie i bogactwie; podobnie jak przedtem w różnych okolicznościach udzielał im nauk o prawdziwej wierze, o poganach, o cierpieniu, o wyrzeczeniu, o posłannictwie wśród ludów ziemi, tak teraz poświęcił ten okres jesienny nauczaniu apostołów o potrzebie anawa, ubóstwa, i o złych skutkach posiadania majątności, a wykład dostosował do zdarzeń dziejących się na szlakach ich wędrówki lub – wyrażając się ściślej – powołał do życia zdarzenia, które posłużyły Mu za dogodną podstawę do wywodów.

A zaczęło się to wszystko od pozornie błahego zdarzenia. Jakiś Judejczyk spośród rzeszy otaczającej Jezusa prosił Go o rozstrzygnięcie sporu majątkowego, który prowadził z bratem; taka prośba nie powinna nas dziwić, albowiem było wówczas w zwyczaju, że skłóceni z sobą przeciwnicy często powoływali powszechnie szanowanych mędrców na polubownych sędziów albo prosili ich o wstawiennictwo u swoich urojonych lub rzeczywistych krzywdzicieli. Wielkie było rozczarowanie proszącego, gdy Jezus udzielił mu odmownej odpowiedzi, odmowa ta była bardzo znamienna, bo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas, aby pobożny Mąż nie przyjął ofiarowanej mu zaszczytnej godności sędziego, która była dowodem zaufania, jakim Go lud obdarza. To, co zebrani usłyszeli teraz z ust Rabbiego, było dla nich nie mniejszym zaskoczeniem niż Jego odmowa, bo oto zwracając się do nich, upominał ich tymi słowami:

– Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo niczyje życie nie zależy od obfitości jego majątku. Nie pokładajcie ufności w krzywdzie ani nie upajajcie się grabieżą. Gdy rośnie majątność, nie umieszczajcie w niej serca!

Zebrani, usłyszawszy te słowa, zgodzili się z ostrzeżeniami Rabbiego przed chciwością – chociaż w głębi duszy niektórzy z nich poczytywali swoją chciwość za usprawiedliwioną samoobronę przed chciwością innych – nie mogli jednak pogodzić się z myślą, że ich życie nie jest zależne od dostatku; wbrew natchnionym słowom króla Salomona, który twierdził w Meszolim, że „więcej jest wart biedak żyjący uczciwie niż bogacz chodzący krętymi drogami”, i zapewnieniom króla Dawida w Psalmach, i proroka Jesai w jego Zwojach, że Jahwe jest Panem ubogich, cierpiących, poniżonych, pogardzanych, łaknących i słabych – bogacze upatrywali w bogactwie błogosławieństwo Boże i nagrodę za pobożność i dobre uczynki, a w ubóstwie karę za popełnione grzechy. Jakże zatem nie mają umieszczać serca w swojej majątności, skoro majątność jest darem Bożym, a wiadomo przecież, że w każdym darze Bożym jest część Boskości! Byliby niewdzięcznikami, gdyby ich serca nie były w ofiarowanych im przez Pana nagrodach!

Wtedy Jezus opowiedział im przypowieść o głupim bogaczu, a mówiąc do rzeszy, mówił zarazem do apostołów. Juda z Kerijoth opuścił głowę i patrząc w ziemię, ujrzał całe swoje nędzne życie i przecierpianą biedę, i obecne ubóstwo, niczym nie różniące się od poprzedniego ubóstwa; i tak patrząc w ziemię, zatrzymał wzrok na swoich wydeptanych sandałach, w których przemierzył za Jezusem szmat drogi w poszukiwaniu Mesjasza, wciąż jeszcze niewidocznego, odległego i coraz bardziej mglistego. Zdusił w sobie szloch i nie odrywał oczu od rozlatujących się sandałów, wytartych podczas bezowocnych i długich wędrówek po Świętej Ziemi. Podniósł głowę i słuchał, a słuchając, próbował napęłnić zboląłą pustkę serca Jezusowymi słowami. A Rabbi, opowiadając im o marności i kruchości ludzkiego żywota, mówił o pewnym właścicielu winnic i pól, który gromadził w kadziach i spichlerzach obfite plony i wyobrażał sobie, że może z nich do syta korzystać i żyć spokojnym i beztroskim życiem przez wiele, wiele lat; tymczasem o nieznannej godzinie Elohim zesłał Anioła Śmierci, który z nędznego ciała wyprowadził duszę pyszałkowego bogacza, majątnego przed obliczem ludzi, ale nie przed Panem. Niechaj apostołowie nie dbają o szaty i o pokarm i poprzestają na małym, na tym tylko, co jest konieczne do życia, i niechaj nie pytają, co będą jedli i pili, bo Pan, który wie, czego potrzebują, nakarmi ich, jak ptaki niebieskie, i odzieje ich, jak odziewa lilie polne, zwłaszcza, że są ważniejsi od ptaków niebieskich i ważniejsi od lilii polnych. Niechaj szukają tylko Królestwa Niebieskiego, a reszta będzie im dana. Każdy dzień ma dość swojej biedy, a dzień jutrzejszy sam o siebie troszczyć się będzie.

Apostołowie z gorliwym zadowoleniem słuchali Rabbiego, tylko Juda z Kerijoth wciąż doznawał uczucia dojmującej pustki. Jezusowe słowa spłonęły w nim jak sucha trawa, pozostawiając po sobie garstkę popiołu i osad żalu do świata i ludzi,

a nawet do samego Elohim, który głuchy na modlitwy byłego sprzedawcy pachnideł każe mu coraz głębiej brnąć w rozczarowaniach, oblepiających jak lepka maź jego świadomość. Juda opuściwszy głowę ku ziemi myślał o swoim ubóstwie, o minionych czasach pełnych nadziei, więc jakże szczęśliwych, i smucił się, że może już nigdy nie będzie mu dane połączyć bogactwa przed Bogiem z bogactwem przed ludźmi.

A rzesza? Ludzie chcieli być bogaci, chcieli mieć domy, krowy, osły, służbę, stroje, winnice i gaje oliwne, chcieli składać hojne ofiary na Świątynię Pańską, wzbudzające podziw u współwyznawców, chcieli zajmować honorowe miejsca w synagodze i podczas wystawnych uczt. Jakżeż więc mogą iść za Mężem, który zakazuje uczniom troszczyć się o chleb codzienny i chwali ubóstwo i niedostatek?

I nikt spośród przygodnych słuchaczy nie poszedł za Rabbim, bo każdy z nich bał się biedy.

2

Idąc, przybyli do miasteczka położonego w dolinie, której stoki pokryte były lasami oliwnymi. Z jakiegoś dziedzińca dolatywał ryk osła i zgrzyt kamiennych żaren, rozgniatających oliwki. Ludzie patrzyli w leniwej zadumie na wzgórze podobne z kształtu do tłustych baranów, skubiących trawę na pastwisku. Wzgórze dziękowały Panu za obfitość rosy, a bogaci właściciele zagród i lasów oliwnych rozmyślali o dobroci Elohim, który stworzył dla dobra bogaczy barany o tłustych ogonach, kamienne żarna i osły i dawał swoim wybranym w nagrodę za pobożność suty dobrobyt i skrzynie pełne srebrników. Apostołowie po raz pierwszy byli w tej okolicy. Z ciekawością przyglądali się ludziom i krajobrazowi. Ugasili u studni pragnienie, napełnili wodą podróżny bukłak i zamierzali ruszyć w dalszą drogę, gdy podeszli do nich mieszkańcy, którzy po strojach i zachowaniu się nieznanymi przybyszów poznali, że są ludźmi statecznymi i godnymi zaufania; powitali ich słowem Bożym, prosili o pozostanie na noc w miasteczku, ofiarowali im gościnę i wypytywali o cel i kierunek drogi. Gdy ku swojemu rozczarowaniu dowiedzieli się, że wędrowcy są uczniami znanego im z opowiadań Jezuy ben Josef z Nazarethu i spieszą za swoim nauczycielem (Kefas wskazał palcem: – O, tam idzie u podnóża góry...), wyrazili, jak tego wymagała gościnność, żal z powodu ich pośpiechu, życzyli im szczęśliwej podróży, a w myślach przezornie dodali: „Jak najdalszej od naszych domów”.

Apostołowie dopędzili Jezusa i uszli spory kawał drogi, gdy usłyszeli za sobą kłapanie oslich kopyt. Zatrzymali się, odwrócili i ujrzeli młodzieńca odzianego

w bogatą tunikę, jadącego na osła, który biegł drobnym truchtem. Młodzieniec pozdrowił apostołów i spytał:

– Który z was jest Rabbim Jeszua ben Josef?

– Oto On – rzekł Kefas, wskazując na Jezusa.

Przybysz zeskoczył z osła, przywiązał go do drzewa, podbiegł do Męża, padł przed Nim na kolana i nie podnosząc głowy, rzekł:

– Panie, dowiedziałem się od moich sąsiadów, że wędrujesz przez naszą ziemię. Błogosławiona niech będzie ziemia, po której kroczą Twoje stopy. Jestem synem czcigodnego rodu, a Elohim dał wielkie bogactwo moim ojcom. Ale czy złotem można kupić szczęście duszy? Żywot wieczny? Doskonałość? Pobierałem nauki w beth hamidraszu w Jerozolimie. Znam Pismo Święte i Halachę, mimo to nie wiem, Rabbi, co powinienem uczynić dobrego, aby osiągnąć żywot wieczny.

Jezus, odpowiadając, rzekł:

– Dlaczego pytasz mnie o to, co dobre? Dobry jest tylko Bóg i On jest źródłem i miarą wszystkiego. Ty natomiast, jeżeli chcesz wejść do żywota wiecznego, powinieneś zachowywać przykazania.

– Które? – spytał młodzieniec. Jezus odpowiedział:

– Znasz przecież Aszeret Hadewarim, w których Pan powiedział:

„Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie dawaj fałszywego świadectwa, nie wyrządzaj krzywdy, czcij ojca swego i matkę swoją”, i znasz świętą Księgę Wajikra, w której zapisane są słowa Pańskie:

„Miłuj bliźniego twego jak siebie samego”. Młodzieniec podniósł głowę i rzekł:

– Rabbi, tego wszystkiego przestrzegam. Powiedz, czego jeszcze mi brak? Jezus odparł:

– Jednego jeszcze ci brak. Jeżeli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. A potem przyjdź i idź za mną.

Młodzieniec, zaskoczony radą Jezusa, podniósł się z ziemi. Chciał jeszcze o coś spytać. Uśmiechnięty wyraz twarzy Rabbiego, zamiast mu dodać odwagi, pozbawił go reszty śmiałości. Stał zmieszany, a gdy wreszcie bezradność ustąpiła z jego łona, natłok skłóconych myśli począł huczeć w jego głowie. Zdawało mu się, że idzie wąską drogą, a po jej obu stronach wyciągają się ku niemu tysiące błagalnych rąk, a on rozdaje wszystko, co posiada, a im więcej rozdaje, tym liczniejsze są żebrzące ręce; rozdał już całe swoje złoto, gaje oliwne i figowe, domy, krowy i owce, rozdał całą swoją majątność, a mimo to przybywają ręce nienasycone, skomlące, błagalne, wzywające, żądające, zaklinające, kołatające; już nic nie ma do rozdania poza swoją duszą i ciałem, poza swoją nędzną nagością i cierpieniem, a mimo to wyrastają dokoła coraz to nowe ręce i żądają od niego, aby rozdał im swoją duszę, ciało, nędzę,

nagość i cierpienie, całego siebie, do ostatniej kropli krwi i potu, do ostatniego oddechu, aby nic dla siebie nie pozostawił, dosłownie nic, aby cały się ofiarował i wyniszczył się dla nich aż do samego dna istnienia. I tak szedł drogą wyciągniętych rąk, i słyszał ich przeraźliwy, zebrząco-rozkazujący krzyk: Wyniszczyć się, wyniszczyć się, wyniszczyć się, a wtedy zdobędziesz doskonałość i żywot wieczny!

Młodzieniec ucałował kraj szaty Jezusa i oddalił się.

Usłyszał za sobą Jego głos;

– Więcej jest błogosławieństwa w dawaniu niż w braniu.

Przerażony obrazem błogosławieństwa, które wydawało mu się męczeńską katuszą, odwiązał osła, dosiadł go i ruszył w powrotną drogę do domu, a im bardziej oddalał się od Jezusa, tym większy czuł w sobie smutek, a im większy czuł w sobie smutek, tym gwałtowniej uderzał piętami w boki zwierzęcia, zmuszając je do szybkiego kroku. Jezus rzekł do apostołów:

– Zaprawdę powiadam wam, bogacz tylko z trudnością wejść może do Królestwa Bożego. A widząc ich zdziwienie, dodał:

– Łatwiej przejdzie powróż przez ucho igielne, niż bogacz dostanie się do Królestwa Bożego. Wówczas powiedział Kefas:

– Opuściliśmy całe nasze mienie i poszliśmy za Tobą, Rabbi. A na to Jezus:

– Każdy, który dla Królestwa Bożego opuścił swój dom, żonę, braci, rodziców i dzieci, otrzyma wielokrotnie więcej na tym świecie, a w przyszłym czasie – żywot wieczny. A w czasie odnowienia, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na tronie chwały, wy wszyscy, którzy poszliście za mną, zasiądziecie na dwunastu tronach i będziecie sędzić dwanaście pokoleń Izraela.

Apostołowie, usłyszawszy te słowa, poczęli pogłębiać w sobie to, co jeszcze nie było w nich pogłębione, zwłaszcza że nigdy nie wiadomo, kiedy nagle w człowieku, nawet najbardziej pokornym – dobrze znali kruchość ludzkiej woli i zawsze żywą moc pokusy i zniechęcenia – może się odezwać pożądlivość złota, zaszczytów i marnej wygody. Stało się dla nich jasne, że ubóstwo, które przedtem wydawało im się tylko jednym z ważnych warunków pójścia za Jezusem, jest uosobieniem błogosławionej cnoty, zasiadającej u stołu Pańskiego, tuż u boku samego Elohim.

A Juda z Kerijoth? Juda przetarł zaczerwienione powieki i pomyślał, że był zawsze biedny, że nigdy nie posiadał domu, łodzi ani sieci, ani rodziny – rodzice odumarli go, gdy był jeszcze dzieckiem – ani braci, ani sióstr. Ogarnęła go duma z powodu ubóstwa, które zawsze było jego udziałem.

Zaszli do jakiegoś miasta i usiedli w bramie miejskiej, a Jezus począł mówić do synów Izraela o Ubóstwie, które przechadza się przed Panem w bogactwie swojego utrapienia i w zbytku swojego niedostatku, a mówiąc, tak do nich wołał:

– Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie je mól i rdza niszczą, gdzie złodzieje się włamują i kradną. Sprzedajcie, co posiadacie, i ofiarujcie z tego jałmużnę. Sprawcie sobie niezniszczalne trzosa, gromadźcie w niebie niewyczerpany skarb, którego złodziej nie skradnie, a mól nie zniszczy. Albowiem gdzie jest wasz skarb, tam jest serce wasze.

Ludzie poczęli szemrać. Jakiś bogacz o podwójnym podbródku i tłustych policzkach odpowiedział drwiącymi docinkami, a tłum bezmyślnie towarzyszył jego kpinom wybuchami głośnego śmiechu.

Jezus podniósł dłoń. Rzesze ucichły. Wówczas położył ręce na kolanach i opowiedział im przypowieść, a oni, słuchając, weszli za Nim do pałacu bogacza odzianego w purpurę i bisior, wesoło i wystawnie uczującego, podczas gdy u bram jego domu leżał żebrak imieniem Eleazar, pokryty wrzodami, głodny i łaknący, samotny, bez opieki i tylko psy przychodziły i lizały jego rany. Potem słuchacze ujrzeli śmierć żebraka, którego Anioł Służebny zaniósł na wysoką górę, na łono Abrahama – może żebrak umarł przez pocałunek Boży, a dusza jego tak lekko odłączyła się od ciała, jakby ktoś żdźbło wyjmował z mleka – i śmierć bogacza, którego Anioł Zagłady strącił do płonącej otchłani, do Ge Hinom; gdy idąc śladem słów Rabbiego zstąpili na dno piekła, usłyszeli jęk bogacza, błagającego Eleazara o kroplę wody, i słowa Abrahama, stróża sprawiedliwości i równowagi, który rzekł do grzesznika: „Pamiętaj, synu, że za życia otrzymałeś dobro, a Eleazar w równej mierze niedolę. Teraz jest przeciwnie. On doznaje pociechy, a ty cierpisz męki. A poza tym między nami a tobą rozciąga się otchłań tak ogromna, że nikt, choćby chciał, nie może stąd do ciebie się przeprawić, ani nikt stamtąd do nas nie może się przedostać”. Wówczas rzekł bogacz do Abrahama: „Proszę cię zatem, ojcze, pošlij Eleazara do mojego rodzinnego domu, mam bowiem jeszcze pięciu braci, i niech ich ostrzeże przed grzesznym życiem, aby nie dostali się do tego miejsca cierpienia”. Lecz Abraham odparł: „Mają Mojżesza i proroków, niechaj więc słuchają ich przykazań”. A na to bogacz: „Nie, ojcze Abrahamie, gdyby ktoś z umarłych przyszedł do nich, to na pewno się nawrócą”. Na to rzekł Abraham: „Jeżeli nie słuchają Mojżesza i proroków, to gdyby nawet ktoś zmartwychwstał, nie uwierzą... „ Tak rzekł Abraham, strażnik sprawiedliwości i równowagi, i słowa jego wypowiedziane ustami Jezusa usłyszeli synowie Izraela, a gdy wraz z błogosławionym Opowiadaczem wrócili na ziemię, po wędrówce w głąb piekielnych kręgów, ogarnął ich lęk przed karą Bożą, czyhającą na nich po śmierci.

Drwiący bogacz niepostrzeżenie się ulotnił. Ponure milczenie zaległo tłum. Ludzie stali bez ruchu i, zdążając tropem Jezusowej przypowieści, starali się w myślach przebadać wszystkie smutne następstwa, wynikające z grzesznego życia bogacza, w którego losach pośmiertnych wnikliwie dostrzegli swój własny los. Wprawdzie wierzyli w zasadę głoszoną przez niektórych uczonych, że „mąż obrzezany nigdy nie zstąpi do piekła”, ale niestety nie mogli na niej w pełni polegać, bo inni uczeni z równą pewnością twierdzili, że praojciec Abraham czuwa u ognistej i ciemnej bramy Ge Hinom i grzesznym i odrzuconym synom Izraela zwraca ku ich wiecznej zagładzie napletki. Którym mędrcom wierzyć? Tym czy tamtym? Ludzie, rozchodząc się do domów, obsypywali się wzajemnie cierpkimi wymówkami z powodu szemrania i drwin, którymi powitali na początku Jezusa, i wymyślali sobie od prostaków i szyderców; wołali: – Wszystkiemu jest winien tłusty bogacz, on nas podjudził, a potem cichaczem uciekł! – I tak wołając, zgodni byli w przeświadczeniu, że powinni spełniać dobre uczynki, aby po najdłuższym życiu nie byli zmuszeni odbierać z rąk gniewnego Abrahama, stojącego groźnie u bram wieczności, znaku pogańskiego plugastwa.

4

Wstąpili do jakiegoś miasta, gdzie pewien bogaty faryzeusz zaprosił Jezusa i apostołów na szabatową ucztę. Nie wiemy, jakimi uczuciami kierował się ów bogacz, zapraszając Jezusa w Szabat do swojego domu na uroczysty posiłek, zwłaszcza że nic nie wskazywało na to, aby stosunek faryzeuszów do Jezusa miał ulec poprawie; może zaproszenie to stanowiło część planu, którego celem było śledzenie Rabbiego, zarzucanie Go podstępными pytaniami, a udzielone odpowiedzi miały może służyć przeciwnikom za jeszcze jeden dowód Jego działania przeciw Prawu. Niezależnie jednak od zamiarów gospodarza należy zaznaczyć, że było to jedno z tych rzadkich spotkań Rabbiego z faryzeuszami, które nie skończyło się dramatycznym starciem i burzliwą wymianą zdań, a ograniczyło się tylko do nauk udzielonych przez Męża uczestnikom biesiady, słuchającym bez sprzeciwu Jego gorzkich upomnień.

Gdy usiedli do stołu, Jezus spostrzegł, że goście skwapliwie wybierali sobie pierwsze miejsca. Odsunął od siebie kubek z winem – przy stole ucichł gwar rozmów, biesiadnicy bowiem zrozumieli, że Jezus pragnie przemówić – i upomniął ich, aby nigdy nie zajmowali miejsc najgodniejszych, ale miejsca ostatnie, bo gospodarz może ich zganić: „Ustąpcie miejsca godniejszym od siebie”, a tym, którzy zajęli miejsca ostatnie, powie: „Przyjaciele, przesiądźcie się wyżej”, albowiem pycha

nie może być wywyższona, a pokora poniżona, dlatego ten, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się uniża, będzie wywyższony według prawa sprawiedliwości i prawa równowagi, a Elohim trzyma w dłoni sprawiedliwą wagę i waży czyny człowiecze, i nie tylko czyny, ale również zamysły czynów. Ten, kto czynił dobro po to, aby otrzymać zapłatę w życiu doczesnym, nie czyni dobra, lecz czyni zło – a wtedy jego dobro jest równe złu – a prawdziwym dobrem jest tylko to dobro, za które nie otrzymuje się na ziemi żadnej zapłaty, a dopiero w dniu zmartwychwstania Sprawiedliwych, w godzinę nieomyślnej Wagi.

Jeden z faryzeuszów, usłyszawszy te słowa, rzekł do Jezusa: – Błogosławiony, kto będzie ucztował w Królestwie Bożym.

Jezus w odpowiedzi wyjaśnił biesiadnikom łagodnym wyjaśnieniem, że Pan wzywa wszystkich ludzi na ucztę do Królestwa Bożego, ale bogacze zatroskani o przyrost swoich majątków, zajęci nabywaniem pól, sadów, lasów, wołów, owiec, godami weselnymi, nie słyszą Jego głosu, dlatego ci wszyscy, którzy są oddani staraniom o dobra doczesne i upatrują w nich jedyny cel istnienia, nie zasiądą przy stołach biesiadnych w Namiocie Pana i nie zakosztują niebieskich potraw, a ich miejsca zajmą ubodzy, żebracy, kaleki, ślepi, chromi, bezdomni, głodni i spragnieni, i oni tylko będą wzywani na ucztę, będą wzywani ze wszystkich ulic, placów, zaułków, lepianek, nor, rowów przydrożnych, i będą tak długo wzywani, aż cały Dom Boży będzie zapełniony, bo w Domu Bożym nie może być miejsc pustych i wszystkie miejsca muszą być zajęte w Imię chwalebnej Pełni, nie uznającej obok siebie jadowitej i kuszącej Pustki.

Faryzeusze siedzieli osowiali i nie mogli pogodzić się z myślą, że pierwszy lepszy żebrak i am haarec może zająć ich miejsce w Królestwie Bożym. Czyżby oni, pobożni bogacze i faryzeusze, popełnili aż tak wielkie, karygodne i niewybacalne grzechy, że Pan w swoim gniewie pozbawi ich szczęścia ucztowania przy stołach Królestwa Bożego? Czy Pan nie dawał im dotychczas licznych dowodów swojej opieki? Przecież wywyższenie, dobrobyt i majątność, które otrzymali od Boga, są znakami błogosławieństwa Pańskiego, sprawiedliwą i godziwą zapłatą za ich bogobojność i prawość. Umacniali się zatem w przekonaniu, że mimo ostrzeżeń Jezusy ben Josef wejdą do Królestwa Bożego i zasiądą w nim na honorowych miejscach, tak wygodnych jak te, które zajmują w synagodze tuż obok Aron Hakodesz. Mimo to pewność ich była prawdopodobnie trochę zachwiana, bo nie odzyskali chęci do jedzenia i picia i nadal siedzieli pogrążeni w mrocznych myślach. A szkoda, bo potrawy były smakowite, a wina wyborne.

Święto Świąteł

Wiał zimny, zachodni wiatr. Zaciął deszcz. Dnie i noce były jak płaczące ze szczęścia oblubienice. Jezus i apostołowie po wędrówce przez judejskie miasteczka przybyli do Jerozolimy w przeddzień święta Chanuki, ustanowionego na pamiątkę Poświęcenia Świątyni Pańskiej i przywrócenia kultu Jahwe na Świętej Górze, po wyzwoleniu kraju spod panowania okrutnego prześladowcy domu Izraela, króla syryjskiego Antiocha IV Epifanesa.

W świąteczny wieczór w domu krewnych Rabbiego przy suto zastawionym stole zebrała się cała rodzina, a najstarszy wiekiem mąż, sędziwy starzec, podszedł do ośmiu stojących w oknie lampek, napełnionych olejem, i wyciągnąwszy nad nimi trzęsące się dłonie zaintonował: – „Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz. Królu świata, który uświęciłeś nas przykazaniami i nakazałeś nam zapalać światło chanukowe. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, Królu świata, który uczyniłeś cuda dla naszych ojców w owych dniach w czasie naszym. Bądź pochwalony, Wiekuisty, Boże nasz, który pozostawiłeś nas przy życiu i zachowałeś nas, i pozwoliłeś nam znowu dożyć tego czasu”. – Wypowiedziawszy błogosławieństwo, podziękował Bogu za wszystkie łaski i cuda, które Pan zesłał i zdziałał dla dobra całego narodu, pochwalił Imię Pańskie i zapalił pierwszą lampkę – codziennie wieczór zapalał jedną lampkę, od strony prawej ku lewej, aż w ostatnim dniu święta osiem lampek płonęło ku chwale Pana – a domownicy i goście radośnie zaśpiewali: – „Niechaj łagodność Pana naszego, Boga, będzie nad nami!”

Zasiedli do świątecznej uczty, która przeciągnęła się do późnej nocy.

Jezus zaraz po wieczerzy niepostrzeżenie wyszedł z komnaty i narzuciwszy na siebie opończę, udał się w kierunku Góry Oliwnej. Deszcz ustał. Wiatr rozpedził chmury. Na granatowym niebie ukazały się gwiazdy, lampki chanukowe zapalone rękami archaniołów, i wraz z lampkami świecącymi w oknach, w drzwiach i na dachach domów i z świecznikami, płonącymi na dziedzińcach świątynnych – nad Przybytkiem różowiła się łuna jak wysadzana rubinami korona – zgodnym chórem światła wielbiły Jahwe Ceabaoth, który przed półtora wiekiem ramieniem Judy Machabeusza zdjął z karku narodu jarzmo syryjskiego tyrana – oby Lilit ze wszystkich jego potomków wysysała krew! – i pozwolił kapłanom poświęcić Świątynię na Morii.

Jezus przeciął drogę prowadzącą do Jerycha i począł piąć się pod górę. Przystanął. Odwrócił się. Po prawej ręce miał Geth Szemanim, po lewej lasy oliwne, obrastające stok górski, a przed sobą, w dole, Jerozolimę, stojącą w ogniu chanukowych światła. Patrząc na miasto, przypomniał sobie oczy wszystkich ślepców, które uleczył

i obdarzył widzeniem; ujrzał dłonie błagalnie wyciągnięte, a potem usłyszał krzyk radości uleczonych kalek, których oczy znowu ujrzały niebo i ziemię, ludzi, zwierzęta i rośliny. Pomyślał, że to miasto, płonące teraz radosnymi światłami tysięcy, tysięcy lampek, jest tak samo ślepe jak oczy ślepców błagających Go o cud uzdrowienia; tak samo jak oni maca w ciemnościach, nie mogąc znaleźć właściwej drogi i potykając się o wystające z bruku kamienie, idzie chwiejne, bezradne; najsmutniejsze jest jednak to, że w przeciwieństwie do tych nieszczęśliwych kalek ślepa córa syjońska jest nieświadoma swego kalectwa i głęboko przekonana o jasnym i przenikliwym widzeniu swoich oczu, ściętych gęstą nocą. Ileż razy kładł dłonie na ślepych oczach tego miasta, na oczach niewidomej oblubienicy, którą ukochał gorącą miłością! Bezskutecznie! Ilekroć chciał ją uleczyć, zaprzeczała swojemu kalectwu, opędzała się wzgardliwie przed Jego wyciągniętymi dłońmi, miotała na Niego obelgi, klątwy i groziła Mu ukamienowaniem.

Jerozolima była teraz jarzącą się, szeroko rozlaną rzeką światła, wpadającą niewidzialnym ujściem w gęstą ciemność, która sięgała od murów miejskich aż po niewidoczny widnokrąg. Jezus, wzruszony pięknnością tego widoku, błądził wzrokiem po murach miasta, po Świątyni, Antonii, po pałacach Hasmoneuszów i Kajafy, po parkach Heroda, po potężnych wieżach, po wzgórzu Golgothy, otoczonej pierścieniem ogrodów. Miasto pokoju i krwi. Miasto Dawida i grzesznych kapłanów. Miasto widzących proroków i ślepych ludzi, którzy nie chcieli dać się uleczyć. Miasto ziemskie, które kiedyś zamieni się w miasto niebieskie, zbudowane z pereł i ze szczerzego złota, a kamieniami węgielnymi jego obronnego muru będą jaspis, szafir, chalcedon, szmaragd, sardonyks, karneol, chryzolit, beryl, topaz, chryzopas, hiacynt, ametyst, dwanaście kamieni, wydobytych przez archaniołów z wysokich gór niebieskich, z kopalni Riohim. Tak będzie kiedyś. A jutro? A jutro o świcie? Ogarnął Go żal. Jutro o świcie przyjdzie do Świątyni i słuchać będzie śpiewu psalmujących lewitów: „Usiądź po mojej prawicy, a ja uczynię Twoich nieprzyjaciół podnóżkiem stóp Twoich”; a potem w Krużganku Salomona wda się w rozmowę z faryzeuszami, którzy Go spytają: „Jak długo jeszcze chcesz nas trzymać w niepewności? Jeżeli jesteś Mesjaszem, powiedz nam to otwarcie”. Cóż im na to odpowie? Że Mu nie wierzą? Że świadczą o Nim dzieła, których dokonuje w Imię Ojca? Że owce Jego słuchają Jego głosu? Że daje im życie wieczne i dlatego nie zgina nigdy i nikt nie wyrwie ich z Jego rąk? Że On i Ojciec są jednością? Już tyle razy im to powtarzał, ale oni Mu nie uwierzyli. I teraz Mu nie uwierzą, i znowu chwycą kamienie, i znowu będą Go chcieli ukamienować, a z dala dobiegnie Go śpiew psalmujących lewitów: „Usiądź po mojej prawicy, a ja uczynię Twoich nieprzyjaciół podnóżkiem stóp Twoich”. Powie im: „Dokonałem przed wami wiele

dobrych dzieł mocą mojego Ojca, powiedzcie więc, z powodu których to dzieł chcecie mnie ukamienować?" A oni odpowiedzą: „Nie chcemy Cię ukamienować z powodu dobrego dzieła, lecz za bluźnierstwa i za to, że będąc człowiekiem, czynisz się Elohim". I znów powoła się na swoje dzieła, i znów powie im, że Ojciec jest w Nim, a On jest w Ojcu, a oni wyciągną ręce, aby Go pojmać i związać, a u stóp Kodesz Hakodeszim śpiewać będzie chór psalmujących lewitów: „Usiądź po mojej prawicy, a ja uczynię Twoich nieprzyjaciół podnóżkiem stóp Twoich”.

Druga straż nocna dobiegała kresu, gdy Jezus zszedł z Góry Oliwnej i udał się do domu krewnych na spoczynek. Po kilku dniach pobytu w Jerozolimie, nie czekając na koniec święta, po burzliwej dyspucie z faryzeuszami, opuścił miasto – wszystko uczynił, aby je uzdrowić, wszystko uczynił, aby poskromić jego występki i kłamstwa, wszystko uczynił dla jego ocalenia z ognistego pieca, ale bezskutecznie! Bezskutecznie! Bezskutecznie! – przepłynął się z apostołami przez Jordan i stanął w krainie Perei, w miejscu, w którym przed trzema laty po raz pierwszy spotkał się ze swoimi przyszłymi uczniami. Wieczorem usiadł nad rzeką. Na niebie stała luna, buchająca z głębi Gór Judejskich, od radosnych świateł Jerozolimy. A może była to luna bijąca od rozpalonej twarzy Jahwe?

Jezus zwiesił głowę.

Kochał to miasto mimo jego ślepoty.

Czy Jezus jest Johananem ben Zecharia?

Herod Antypas, chroniąc się przed nocnym chłodem, owinał się płaszczem i wyszedł na taras pałacu. Jerozolima była jedną wielką mleczną drogą. Wygwieżdzone niebo zstąpiło na ziemię. Tetrarcha pomyślał, że to miasto jest naprawdę piękne. Niestety nie jest ono stolicą jego państwa. Starania o tron jerozolimski spęły na niczym. Stary, nieufny Tyberiusz nie odpowiedział na jego listy, aczkolwiek zawierały ścisłe i wyczerpujące dowody, świadczące o brutalnych rządach prokuratora Judei. Chytry Poncjusz zdołał usprawiedliwić się przed cesarzem z zarzutów stawianych mu przez tetrarchę i oczyścił się z podejrzeń o współpracę z Sejanem. Prawdopodobnie – jak to zazwyczaj w takich razach bywa – wydał Tyberiuszowi imiona kilku zwolenników Sejana i dzięki temu uratował swoją głowę i stanowisko. A może knuł intrygi przeciw tetrarsze brat Herodiady, lekkoduch Filip? Cóż z tego, że wystosował do następcy tronu pismo, w którym ostro ganił rządy prokuratora? Któż zaręczy, czy równocześnie przez innego posłańca nie posłał listu oczerniającego Heroda Antypasa? Ten niecnota Filip do wszystkiego jest zdolny.

Piękna jest Jerozolima. Gdyby został królem Judei, zacząłby przepychem pamięć swojego ojca. Kazałby wybudować pałace, wille, łuki, hipodromy, amfiteatry, fontanny, założyć parki, wybrukować ulice. Złudne marzenia. Jeden z bogów jest mu nieprzychylny. Ale który? Może Jahwe? Może Baal Peor? Może Baal Zebub? Może Mitra? Może Adonis? Tyle jest tych bogów. Nie wiadomo, któremu należy ślubować i którego prosić o łaskę i powodzenie. Jeżeli prosić będzie Boga Izraela, obrazi się Baal Peor, ukorzy się przed Baal Peorem, zagrzmi Baal Zebub, ułagodzi Baal Zebuba, klątwami będzie nań miotał Mitra, błagać będzie Mitrę, gniewem zapala Adonis. Właściwie należałoby wielkie dary ofiarować wszystkim bogom naraz. Ale czy ma pewność, że wśród nich znajduje się ten, który jest naprawdę wszechmocny? A może jest jakiś nadbóg, którego nie zna? Wszystko, co się dotychczas stało, niedobrze się stało. Małżeństwo z Herodiadą wciąż jest cierniem w oku narodu. Chcąc schlebić Jeszurunowi, przybył na Chanukę do Jerozolimy; ten gest nie przyniósł mu żadnych korzyści, tylko umocnił go w przekonaniu, że przepaść między nim a Izraelem coraz bardziej się pogłębia. Nikt go nie witał. Ani Sanhedryn, ani lud. Pyszałek Kajafa nie raczył go odwiedzić. Gdy wjeżdżał do miasta, tłum, zgromadzony po obu stronach drogi, stał ponury i milczący. Nagle ktoś krzyknął: – Coś uczynił z głową Johanana ben Zecharia, morderco?! – Na ten krzyk zerwały się przeraźliwe wołania: – Grzesznik! Kazirodca! Poganin! Bezbożnik! Zabójca! Krew Johanana ben Zecharia niechaj spadnie na ciebie i na dzieci twoje!

Poczuł w kościach dojmujący chłód nocy, jednak nie zszedł z tarasu. Światła miasta wpatrzone w niego jak oczy kobry przykuwały go do miejsca, trzymały na uwięzi, obezwładniały jego wolę. Zadrzał. Czyżby wszystkie jego klęski i niepowodzenia spowodował zza grobu Johanana ben Zecharia? Czyżby jego niewidzialna, mściwa ręka mąciła królewskie zamiary? Czyżby jego usta wołały z szeolu i wyrzucały z siebie przekleństwa, które słyszy cały naród? Od kilku miesięcy znowu nachodziły go koszmarne sny, tym razem nie o obciętych głowach, lecz o jednej szczekającej głowie, tańczącej dokoła jego łoża, wskakującej na łożo, płynącej przez powietrze, wywracającej w powietrzu kozły, objijającej się o ściany, o sprzęty, o okna. Zrywał się nieprzytomny ze strachu. W komnacie panowała cisza. Źle się stało, że uległ prośbie czarnowłosej dziewczki, która uwiodła go tańcem, i kazał stracić Niestrzyżonego. Bóg – który bóg? – jest świadkiem, że nie pragnął śmierci proroka. Naprawdę nie pragnął. Właściwie z dwojga złego już lepiej się stało, że Salome zażądała szczekającej głowy, a nie połowy królestwa, którą jej obiecał w przypływie zmysłowego zaślepienia. Byłby dzisiaj tetrarchą nad kilkoma brudnymi wsiami. Zawsze był lekkomyślnym głupcem, wpatrzonym z pożądlivym zachwytem w biodra tańczących ladacznic. Powinien być wdzięczny mądrej

Herodiadzie za zbawienną radę, której udzieliła swej córce. Ogarnęło go przygnębienie. Krew Johanana ben Zecharia ciąży na jego barkach jak ciężki płaszcz. Tak, Nistrzyżony mści się na nim spoza grobu. Spoza grobu? A może ma słuszość nadworny gwiazdziarz, który twierdzi, że Johanan ben Zecharia wcielił się w Jezue ben Josef? Słyszał o jego cudach i nauce. Opowiadano mu o gniewnych uniesieniach Rabbiego i o jego łagodnym, jagnięcym usposobieniu. Tetrarcha nie wiedział, jak można gniew pogodzić z łagodnością. Mniejsza z tym. Jeżeli gwiazdziarz ma słuszość – a dotychczas nigdy się nie mylił – to Jezua ben Josef, w którym tkwi dusza Johanana ben Zecharia, może okazać się tak samo niebezpieczny jak jego poprzednik, a może nawet i niebezpieczniejszy, bo krzyżujący prorok nie czynił cudów i tylko krzychał wielkim głosem, natomiast Galilejczyk krzyczy wielkim głosem i równocześnie uzdrawia chorych, ślepych, opętanych, trędowatych, więc z równym prawdopodobieństwem może razić swoich wrogów ślepotą, trędem i opętaniem. Byłby zatem podwojonym, potrojonym Johananiem ben Zecharia, władającym większą od niego mocą, która płynie może z Ge Hinom, z czarnych płomieni, z głębi samego szatana lub z wnętrza Elohim, co na jedno wychodzi, bo któż wie, czy w zależności od potrzeb Elohim i szatan nie wcielają się w siebie wzajemnie i nie wyświadczają sobie obopólnie przyjacielsko-wrogich usług? Jedna tylko była pociecha. Wśród mędrców, których miał kilku na dworze, zdania co do duszy wcielonej w Jezue ben Josef były podzielone. Jedni twierdzili, że wstąpił w niego nie Nistrzyżony, lecz jakiś dawno zmarły prorok, inni zaś twierdzili, że sam Elijahu, co wprawdzie też nie byłoby dobrze, bo ten Elijahu nie należał do ludzi łagodnego usposobienia, wyciął w pień nad potokiem Kiszon kapłanów Baala, przeklął króla Achaba i jego żonę Jezabel, a przekleństwo to spełniło się nader dokładnie, bo król Achab zginął ugodzony strzałą nieprzyjacielską, a ciało jego żony psy żarły w dolinie Jezreel. Prorok Elijahu miał tylko jedną przewagę nad Nistrzyżonym, a mianowicie cieszył się niewątpliwie większą niż on łaską Pańską, a dowodem jej była jego lekka śmierć: nie zaszła potrzeba obcięcia mu głowy, bo sam Elohim w sposób bezkrwawy i bezbolesny postarał się o przeniesienie go na ognistym wozie do krainy wiecznego szczęścia. Tetrarcha pomyślał: „Najlepiej będzie, jeżeli osobiście pomówię z Galilejczykiem. Wtedy przewącham, co się święci”.

Wrócił do komnaty, zdjął z siebie płaszcz i klasnął w dłonie.

Wszedł dowódca straży.

Tetrarcha rzekł:

– Mówią, że cudotwórca Jezua ben Josef z Nazarethu jest w Jerozolimie. Czy wiesz coś o tym?

– Jezua ben Josef opuścił Jerozolimę przed kilkoma dniami, panie.
– Gdzie przebywa teraz?
– Ludzie widzieli go u brodu w Bethanii.
– Poszedł z pielgrzymką do grobu Niestrzyżonego – zadrwił tetrarcha. Nieszczery uśmiech pojawił się na jego twarzy i natychmiast znikł, pozostawiając po sobie bolesne zasepienie.
– Bardzo możliwe, panie – odparł dowódca.
– Odejdź.
Dowódca, skłoniwszy się nisko, wyszedł.
Tetrarcha wlepił wybałuszone oczy w głąb komnaty, gdzie niespokojnie pełgał odbłask padający od żarzącego się piecyka, i z trudem wymamrotał:
– Na pewno poszedł do grobu Johanana ben Zecharia, by pokłonić się swojemu poprzedniemu wcieleniu.
Zmrużył powieki i klasnął w dłonie.
– Panie – dowódca straży stanął w progu.
– Przygotuj wszystko do wyjazdu. Zaraz po święcie wrócimy do Macherontu.
– Dobrze, panie.
– Po przybyciu na miejsce wyślesz do Jezuy ben Josef posłańców, którzy zaproszą go w moim imieniu do zamku.
– Dobrze, panie.
Tetrarcha podszedł do dowódcy i nachyliwszy się nad jego uchem, szybko wyszeptał:
– Jeżeli nie zechce przyjść dobrowolnie, niechaj posłańcy siłą doprowadzą go do Macherontu.
– Dobrze, panie... – odrzekł dowódca.
– Zamkniesz go w lochu Johanana ben Zecharia. Resztę sam wykonasz.
– Dobrze, panie.
Dowódca próbował nieznacznie odwrócić głowę, bo czuł na twarzy gorący, przyspieszony oddech tetrarchy.

Tajne poselstwo

Kto powiadomił faryzeusza rabiego Nikodema o zbrodniczych zamiarach tetrarchy? Czy może przyniósł mu tę wiadomość jakiś królewski dworzanin, który otrzymał ją w zaufaniu od dowódcy straży? Dajmy spokój domysłom. Ograniczmy się jedynie do stwierdzenia, że następnego dnia rabbi Nikodem był już w posiadaniu przerażającej wiadomości i postanowił natychmiast działać, rozumie się,

z największą ostrożnością, a przede wszystkim tak, aby jego udział w pokrzyżowaniu planów Heroda Antypasa w żadnym razie nie był ujawniony; zdawał sobie bowiem sprawę, że nie powinien narażać się tetrarsze i arcykapłanowi, który na pewno, gdyby znał zamysły Heroda Antypasa, udzieliłby mu milczącego błogosławieństwa. Należało działać z umiarkowaną odwagą, tajnie i z wielkim pośpiechem, nie przekraczającym granic z góry ustalonej roztropności. Chodziło o znalezienie godnych zaufania ludzi, którzy udaliby się do Bethanii i powiadomili Jezusę ben Josef o grożącym Mu niebezpieczeństwie. Nikodem przebierał w znajomych, przyjaciółach, domownikach – myślał o kimś spośród wiernej służby, komu mógłby powierzyć poselstwo – nikt jednak z nich wszystkich nie wydawał mu się odpowiedni do tego niezwykle trudnego zadania. Ten był uczciwym człowiekiem, ale gadułą, tamten był milczkiem i można mu było zaufać, ale nie grzeszył sprytem, inny był sprytny i obrotny, ale był tchórzem, inny znów miał wszystkie zalety dobrego posłańca, ale niestety nie sprzyjał Galilejczykowi. Czas szybko płynął, a Nikodem, wciąż krążąc po komnacie, nie podejmował żadnego postanowienia. Zaczął więc jeszcze raz rozważać zalety i wady różnych oddanych mu ludzi, nadających się mniej lub bardziej do wypełnienia poufnego poselstwa, i tak błądząc po różnych miejscach i czasach, zapędził się w myślach do owej nocy, gdy po raz pierwszy zetknął się z Jezusą, potem przypomniał sobie mowy Johanana ben Zecharia nad Jordanem i znienacka wyłonił się z jego pamięci pewien mąż, kapłan, mądry faryzeusz, który pod głębokim wrażeniem postaci Niestrzyżonego – Kajafa wysłał go wtedy z dwoma lewitami na pustynię celem przesłuchania Brata Pustynnego – wydał o nim nader pochlebny sąd, tak pochlebny, że oburzony Kajafa, uważając za słuszne tylko to, co potwierdzało jego z góry ustanowiony pogląd, usunął go ze śledczego wywiadu Sanhedrynu. Z kapłanem tym – zwano go Krótkowzrocznym – Nikodem kilkakrotnie się spotykał i po każdej z nim rozmowie umacniał się w przekonaniu, że były sędzia sprzyja Johananowi ben Zecharia i samemu Galilejczykowi. Uchodził za człowieka prawego, pilnie wypełniającego obowiązki kapłańskie, nieprzekupnego, bezstronnego i sprawiedliwego, czego zresztą dał dowód, nie ulegając naciskom arcykapłana podczas przesłuchania Johanana ben Zecharia, aczkolwiek z początku był głęboko przekonany o jego odstępstwie. Od czasu owego zdarzenia Krótkowzroczny stronił od Kajafy, a nawet kilkakrotnie dał głośno wyraz swojej niechęci do arcykapłana i ganił jego środki walki z Jezusą. Nikodem po głębokim namyśle uznał, że Krótkowzroczny jest owym właściwym człowiekiem, którego śmiało, bez obawy o jakieś powikłania, może posłać w poselstwie do Jezusy i – począł natychmiast działać. Po zachodzie słońca kapłan zjawił się w domu Nikodema. Siedzieli naprzeciw siebie i badali się oczami.

Było to badanie życzliwe i raczej można by je określić mianem przyjaznej wymiany spojrzeń, gdyby nie bardzo drobna podejrzliwość, która podczas tego bądź co bądź kłopotliwego zbliżenia nieco zatruwała duszę Nikodema. Na szczęście kapłan dobroduszenie się uśmiechnął i rabbi ujrzał w jego twarzy prawość tak wymowną i szczerą, że zawstydział się swojej podejrzliwości i w kilku krótkich i prostych zdaniach wyjaśnił cel, dla którego prosił do siebie znakomitego gościa o tak późnej porze. Krótkowzroczny zmrużył oczy – nie patrzył teraz na Nikodema, spojrzenie swoje skierował w głąb siebie – i przemierzywszy w błyskawicznym skrócie czasu wszystko, co przeżył od dnia pierwszego zetknięcia się z Johananem ben Zecharia aż do chwili obecnej, wzruszonym głosem wyraził zgodę na udanie się nad Jordan do Bethanii, do Jezuy ben Josef, z wiadomością o grożącym Mu niebezpieczeństwie, przy czym wykazał dużo sprytu i czujności, bo na zapytanie Nikodema, kogo zamierza wziąć ze sobą na drugiego posłańca, powiedział, że będzie nim młody faryzeusz, jeden z owych lewitów ze straży świątynnej, który nie chciał uwięzić Galilejczyka podczas zająć na świątynnym dziedzińcu w Święto Namiotów.

Nikodem był zadowolony. Położył dłoń na ramieniu Krótkowzrocznego i rzekł:

– Niechaj Elohim prowadzi mojego brata bezpieczną drogą. I nie byłby sobą, gdyby nie dodał:

– Niechaj Pan strzeże ust mojego brata. Brat ze mną nie rozmawiał i ja z bratem nie rozmawiałem.

– Nikt z nikim nie rozmawiał – odparł Krótkowzroczny i położył dłoń pod biodro. I wyszedł.

Powiedzcie temu lisowi...

Posłańcy przeprawili się przez bród, zsiadli z osłów i pieszo zdążali w kierunku Jezusa i apostołów.

Gdy się zbliżyli, Krótkowzroczny, on bowiem był jednym z owych dwóch mężów, uderzył dłonią o dłoń na znak, że przychodzi w przyjacielskich zamiarach, skłonił się i rzekł:

– Pokój wam. Odpowiedzieli:

– I wam pokój.

– Chwalcie Pana nad panami – rzekł lewita.

– Bo na wieki łaska Jego – odpowiedział Kefas i przyglądał się bacznie przybyłym. Tego o niebieskich, zmrużonych oczach skądś znał, gdzieś go spotkał, gdzieś go widział, tak samo jak teraz zsiadającego z osła na połowie drogi, a nawet słyszał z jego ust te same słowa pozdrowienia tak samo wypowiedziane, z tym samym

zaśpiewem. Ale gdzie to było i kiedy? W Jerozolimie? W Galilei? Na pustyni? Stuknął się dłonią w czoło. Przecież tego kapłana widział tutaj, prawie w tym samym miejscu! Przed trzema laty przybył do Johanana ben Zecharia w towarzystwie lewitów, aby dowiedzieć się o jego posłannictwie i zamiarach. Czyżby go teraz arcykapłan znowu przysłał na przeszpiegi, tym razem celem przesłuchania Rabbiego?

Krótkowzroczny nisko się pochylił i ucałował skraj szaty Jezusa, który ręką wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Lewita rozłożył matę i kapłan usiadł na niej.

Kefas dobrze znał te bogobojne powitania, te gładkie, układne gesty, pocałunki, składane z udaną uniżonością na skraju szaty, tę łagodność nasyconą bazyliżkowym jadem, i wiedział, że pod tym całym ceremoniałem kryją się niebezpieczne sidła, i wystarczy uczynić jeden nieostrożny krok, wypowiedzieć jedno nierozważne słowo, aby znaleźć się w szczelnie zatrzaśniętej pułapce. Jak ostrzec Rabbiego? Spojrzeniem? Gestem? Ponieważ Jezus patrzył w ziemię, czekając na pierwsze słowa przybysza, Kefas, wbrew przyjętym zwyczajom gościnności i dobrego wychowania, pierwszy zwrócił się do kapłana i przemówił podrażnionym głosem:

– Ja brata mojego już raz widziałem, tutaj, na pustyni, w tym samym miejscu, gdzie teraz siedzimy. Wtedy brat przybył, aby wy badać Johanana ben Zecharia – oby spoczywał w spokoju na łonie praojca Abrahama – a czy teraz brat mój znowu nas odwiedza w nieprzyjaznych zamiarach, które chytrze ukrył w swoim nieprzystępnym sercu? I wtedy, i dzisiaj usta kapłana wypowiedziały wzniosłe słowa o pokoju i pochwały Imię Pana, ale coś innego mówiły usta, a coś innego mówiło wewnątrz mojego brata, a to, co mówiło wewnątrz, przeczyło temu, co mówiły usta.

Krótkowzroczny odpowiadając, rzekł:

– Słusznie powiedział pobożny mąż i dlatego głowę pochylam przed jego mową, ale czy brat mój, Symeon ben Jona, zawsze był taki, jaki jest, i nigdy nie wątpił w swoim sercu, i nie uciekał przed głosem swojego głosu? Dzień wczorajszy może być inny od dnia dzisiejszego, a dzień dzisiejszy od dnia jutrzejszego. To, co było złem, może stać się dobrem, a wtedy dzisiejsze dobro żałuje, że było wczorajszym złem.

To powiedziawszy, zwrócił się do Jezusa i rzekł:

– Błogosławiona ziemia, po której kroczysz, Rabbi. Nie pytaj mnie, kto mnie posyła, bo przysiągłem, że nie wypowiem imienia tego sprawiedliwego męża, którego prawość nie chodzi w parze z odwagą, a najlepszym tego dowodem jest moja tutaj obecność, bo prawdę mówiąc, nie ja, lecz on powinien do Ciebie przybyć.

Skoro jednak on się bał – chcę przez to powiedzieć, że moja trwoga jest nieco mniejsza od trwogi męża prawego – ja przybyłem, aby Ci przynieść wieść ważną dla Ciebie, dla apostołów i czcicieli Twojej nauki. Grozi Ci niebezpieczeństwo, Rabbi.

– Od kogo? – spytał Kefas głosem zawstydzonej ufności, gdyż uwierzył słowom kapłana.

– Uchodź stąd, Panie – rzekł Krótkowzroczny, nie odrywając oczu od Jezusa; słowa te powiedział tak cicho, jakby się bał, że może je podsłuchać wiatr i zanieść do uszu, dla których nie są przeznaczone.

– Przed kim? – spytał Kefas i również zniżył głos, dając tym do zrozumienia kapłanowi, że w pełni podziela jego ostrożność.

Jezus podniósł głowę.

– Herod Antypas chce Cię zabić, Panie.

Dwanaście par rąk podniosło się i zakotłosało w powietrzu, jakby chciało odrzucić wypowiedziane słowa jak najdalej od siebie. Krótkowzroczny, widząc ich trwogę, rzekł:

– Prawdopodobnie spytacie mnie, dlaczego tetrarcha chce zabić Rabbiego. Mąż sprawiedliwy nic mi nie powiedział o powodach gniewu grzesznego cudzołożnika. Niestety, jestem tylko posłańcem złej nowiny i nic więcej nie wiem.

Jezus, siedząc na ziemi, na podwiniętych nogach, spokojnym wzrokiem patrzył przed siebie. Gdyby nie gorzki uśmiech, który błąkał się po twarzy Męża, mogłoby się zdawać, że słowa Krótkowzrocznego przeszły mimo Jego uszu, jakby były niewidzialnym wiatrem lub bezszelestnym cieniem przelatującego ptaka. Z bolesnym, drwiącym pobłażaniem myślał o bezsilnych zamiarach Heroda Antypasa. Inna będzie kolej ostatecznych zdarzeń niż ta, którą umyślił lisi tetrarcha, i inne będzie ich miejsce niż to, które sobie on upatrzył w nędznym sercu. Jeszua ben Josef nie zginie z ręki tetrarchy. Ani z jego woli. Ani z jego wyroku. Ani w czasie przez niego wyznaczonym. Ani w miejscu przez niego wybranym. Tchórzliwy grzesznik wyobraża sobie, że może odmienić Nieodmienione... O, jak mali są wielcy tego świata...

Rabbi wyciągnął dłonie do przybyłych, pochylił je na znak podziękowania za udzielone mu ostrzeżenie i rzekł:

– Powiedzcie temu lisowi, że dzisiaj wypędzam demony i uzdrawiam chorych, i to samo czynić będę jutro, aż wkrótce, w oznaczonym czasie, stanę u kresu. Ale dzisiaj i jutro, i pojutrze niezmiennie odbywać będę moją drogę, bo jest niemożliwością, aby prorok miał umrzeć poza Jerozolimą.

Podniósł się z ziemi i patrząc ku Górom Judejskim wyszeptał z trudem, jakby chciał jeszcze w ostatniej chwili, zanim szept wyjdzie z Jego krtani, unicestwić obraz,

który dźwigał w swoim wnętrzu:

– O, Jerozolimo, Jerozolimo, zabijasz proroków i kamienujesz tych, którzy są do ciebie posłani... Ileż razy zgromadzić chciałem twoje dzieci wokół siebie jak kokosz swe pisklęta pod skrzydłami, a nie chcieliście... Oto teraz wasz dom stanie się pustkowiec... Powiadam wam, że nie ujrzyście mnie, aż nastanie czas, kiedy powiecie: Baruch haba beszem Adonaj – błogosławiony, który idzie w Imię Pana...

Stłumiony szept Rabbiego przejął zgrozą apostołów i posłańców. Spojrzeli ku zachodowi, jakby mieli ujrzeć za górami płomienie i dymy, buchające z pustoszonych domów Świętego Miasta. Czy mają narzucić na siebie wory, głowy posypać popiołem i podnieść krzyk, i wybuchnąć płaczem nad córą Jerozolimską, utrapioną nad wszelkie utrapienie?

Pierwsi ocknęli się kapłan i lewita. Z trudem wykrztusili:

– Pokój wam.

Ruszyli ku Jordanowi, przeprawili się przez bród, a gdy znaleźli się po drugiej stronie rzeki, zdali sobie jasno sprawę, że ich płochliwe pożegnanie miało wszelkie znamiona ucieczki przed prorokiem, który wywołał z głębokości czasu wizję zburzonej Jerozolimy. Zwiększająca się przestrzeń między nimi a Jezusem nie wpłynęła kojąco na ich samopoczucie. Dopiero gdy stanęli na wzgórzu i ujrzeli w dolinie Święte Miasto w złocie jesienno południa, opuściła ich zmora spustoszenia i powoli poczęli odzyskiwać równowagę ducha.

Przystanęli.

Lewita spytał:

– Czy mój czcigodny brat wierzy w prorocstwo Rabbiego? Kapłan odpowiadając, rzekł:

– Nie zawsze umiemy wierzyć w to, w co powinniśmy wierzyć.

Zmrużył oczy, wodził nimi bezradnie po panoramie miasta i wreszcie spytał:

– Gdzie jest Świątynia Pańska?

– Tam – odrzekł lewita i wskazał ją palcem.

Kapłan zwrócił twarz we wskazanym przez lewitę kierunku i rzekł głosem, który raz po raz łamał mu się w gardle:

– Baruch... haba... beszem Adonaj...

Powrót Boga marnotrawnego

Jezus mimo przynagleń apostołów, którzy domagali się, aby natychmiast opuścił wraz z nimi Perekę, pozostał przez noc nad Jordanem. Spędził ją na czuwaniu i rozmyślaniach. Wiedział, że coraz szczelniej zamykają się dokoła Niego oka sieci.

Dłuższe pozostawanie w Jerozolimie, nad brodem w Bethanii, stało się bezcelowe. Kajafa czyhał na Niego w Świątym Mieście, Herod Antypas w Perei. Powinien teraz milczeć, nie działać cudów, nie wygłaszać nauk, aby nie spowodować przedwczesnego działania przeciwnika. Niechaj arcykapłanowi zdaje się, że uląkł się jego gróźb. Trzeba być przezornym i ostrożnym jak wąż. Dokąd zatem teraz pójdzie? Czy ma znowu udać się do pogańskiej Syrofenicji? Do Tyru? Do Sydonu? Może do jakiejś samotni w okolicy Cezarei Filipa? A może do Dekapolu? A może do Batanei, Trachonitis lub może nawet do dalekiego Damaszku? Rozważał każdą z tych możliwości, a przede wszystkim zastanawiał się, czy powinien ten okres przeczekać w całkowitej samotności, czy na oczach śledzących Go faryzeuszów. Jedna i druga myśl nie pozbawiona była słuszności, po zastanowieniu jednak doszedł do przekonania, że żadna z nich nie jest trafna, bo jedynym argumentem, rozstrzygającym o wyborze takiego czy innego miejsca pobytu w tym krótkim, trzymiesięcznym czasie, dzielącym Go od powrotu do Jerozolimy, powinien być tylko uczuciowy związek z krainą, w której się zatrzyma. To pomyślawszy, postanowił udać się do Galilei, która była świadkiem Jego dzieciństwa, wieloletniego czekania i milczenia. Tylko z tej ziemi powinien ruszyć z ostatnią pielgrzymką do Świątę Miasta. Tylko z tej ziemi. Z domu swojego. Z domu czekania. Z domu, do którego się wraca. Zwiesił głowę na piersi. W maleńkim mieście Nazareth ujrzał matkę, która w cierpliwym posłuszeństwie wciąż na Niego czeka i rozprasza swoją samotność myślami o Jego powrocie, a chociaż nie wie, kiedy ten powrót nastąpi, nigdy nie zwątpiła o spotkaniu z Synem, o radosnym powitaniu Go pod dachem ich wspólnego domu. Właściwie ten dom do niej nie należy. Jest własnością jej Pierworodnego, dziedzica biednej majątności, którą pozostawił po sobie w ciesielskim spadku Josef ben Jaakow. Ona tylko stróżuje i czeka. W tym domu wszystko czeka. Czekają ławy i stół, miski i żarna, dzbany i lampy oliwne, czeka podwójnie złożona mata w kącie izby i czeka szczęśliwy płacz matki, gdy wreszcie z dała ujrzy idącego doliną pod górę, z pochyloną głową, Syna jedynego, Syna umiłowanego, Syna, który w świętym samowyniszczającym się marnotrawstwie rozdał swoje serce jawnogrzesznicom, celnikom, prostakom, trędowatym, kalekom, grzesznikom, bezdomnym włóczęgóm i roztrwonił hojną, błogosławioną rozrzutnością swoją krew w dalekich krainach, i był najpokorniejszym sługą sług, niewolnikiem niewolników, a teraz, zmęczony i wyczerpany wieloletnią tułaczką, wraca do domu, do ojcowskiego domu, święty rozrzutnik, chwalebny marnotrawca. Gdzie jest szata dla Niego przygotowana? Gdzie jest pierścień na Jego palec? Gdzie są sandały na Jego nogi? Gdzie są muzycy witający Go u bram? Matka płacze, płacze, płacze. Jezuś słyszy jej płacz, słyszy każdą łzę. „Jeżeli kto przychodzi do mnie, a nie

ma w nienawiści swojego ojca i matki...” Zasłonił oczy dłonią. Ukorzył się przed własnym nakazem i przez siebie ustalonym samowyrzeczeniem, w którym ucieleśnił sens najpiękniejszego przymierza syna z matką, czułość i oddanie bez miary. Pochylił się do nóg matki i przyrzekł jej gorącym przyrzeczeniem, że On, niepojęty, wieczny i nieskończony Trwoniciel, który przed laty odjechał w daleką krainę i roztrwonił bezcenny majątek Chleba i Światła i nieprzebrane bogactwo swojego świętego Ubóstwa, wkrótce do niej powróci – ale jeszcze nie dzisiaj ani jutro, ani pojutrze – i spocznie na podwójnie złożonej macie w kącie izby, w domu swojego ojca.

Otarł dłonią czoło mokre od porannej rosy.

Zapłacony podatek

Po kilku dniach drogi – panowała zmienna pogoda, padały deszcze i świeciło słońce – dotarli do Jam Kinereth, a na jego widok wstąpiły w apostołów spokój i cisza. Gdy za wzgórzami Golan ciemności poczęły rzędnąć, a niebo spłowiło, zbladło, a woda w jeziorze stała się sinoperłowa, stanęli wreszcie w Kfar Nahum, w domu Kefasa.

Mijały dni i tygodnie. Zakwitły pierwsze drzewa migdałowe i wszystko wróżyło zbliżającą się wczesną wiosnę. Przygotowywano się do prac wiosennych na polach i w ogrodach, a wraz z nadciągającą nową porą roku spadały na ludzi nowe radości, troski i utrapienia, według miary ustalonej przez Elohim, obdzielającego jednych nadmiarem smutku, innych nadmiarem wesela, a podział ten był na pewno sprawiedliwy, to znaczy w pojęciu Pana, który wie, co robi, a nie w pojęciu ludzi, którzy niewiele o sobie wiedzą. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Ciepły wiatr baraszkował w sieciach, rozciągniętych na żerdziach, w cyprysach, drzewach oliwnych i figowcach, wypuszczających gęste ulistnienie, przez które z coraz większym trudem przesiewały się promienie słoneczne.

W tym czasie poborcy, ustanowieni przez rady synagogalne, poczęli ściągać od wszystkich wyznawców Jahwe, którzy przekroczyli dwudziesty rok życia, podatek świątynny w wysokości pół szekla na głowę, według nakazu zapisanego ręką Mojżesza w Księdze Szemot:

„... A wzięwszy te pieniądze jako zadośćuczynienie od synów Izraela, obrócisz je na służbę w Namiocie Spotkania, i będą one na pamiątkę synom Izraela przed Jahwe jako ofiara zadośćuczynienia za ich życie”. Ponieważ podatek mógł być wpłacany do skarbcza Świątyni jedynie w szeklach lub w monecie tyryjskiej, w całym kraju, począwszy od piętnastego dnia miesiąca adar, pieniądze ustawiali na ulicach,

placach i w bramach miejskich stoły, przy których dokonywali wymiany greckich i rzymskich pieniędzy z wyrytymi na nich wizerunkami cesarów, bogów i bogiń lub sylwetami postaci ludzkich, na izraelskie lub tyryjskie monety; od dwudziestego piątego tegoż miesiąca, to znaczy na dwadzieścia dni przed świętem Pesach, właściciele kantorów ofiarowywali swoje usługi pobożnym, chociaż spóźnionym płatnikom na Dziedzińcu Pogan w Świątyni Pańskiej.

Tego dnia, w którym w Kfar Nahum rozpoczęło się ściąganie podatku świątynnego, poborcy zatrzymali Kefasa, idącego do przystani rybackiej, i zagadnęli go z przekazem:

- Czy wasz Rabbi nie płaci pół szekla dla Świątyni Pańskiej? Kefas odpowiedział:
- Owszem, płaci.

I poszedł dalej. Po namyśle zawrócił i udał się do domu, aby powiadomić Rabbiego o spotkaniu z poborcami. Gdy wszedł do izby, Jezus, uprzedzając jego słowa, spytał z uśmiechem:

– Jak ci się wydaje, Symeonie ben Jona, od kogo królowie ziemscy pobierają daniny i podatki, od swoich synów czy od poddanych?

Kefas odpowiadając rzekł:

- Od poddanych, Rabbi. A na to Jezus:
- Zatem synowie króla są wolni od płacenia podatku? Kefas pokiwał głową.

Na pewno w skrzynce, którą zawiadywał Juda z Kerijoth, znalazłyby się dwa denary dla Jezusa na zapłacenie podatku świątynnego; ponieważ denar był dziennym wynagrodzeniem za pracę robotnika rolnego, nie wydaje się, by danina płacona raz w roku była zbyt wielkim ciężarem nawet dla biedaków. Rabbi jednak, zamiast sięgnąć do wspólnej kasy, zwracając się do Kefasa, rzekł mową świętych symbolów, w których mieścił się ogrom Tajemnicy, rozsadzający swoją treścią wątlą pojemność człowieczych słów:

– Żebyśmy jednak nie dali tym ludziom powodu do zgorszenia, idź nad jezioro i zarzuć wędkę, i weź pierwszą rybę, którą złowisz, i otwórz jej pyszczek, a znajdziesz w nim statera. Zabierz go i wręcz im ten pieniądz za mnie i za siebie.

Te były słowa Rabbiego o wodzie, rybie i pieniądzu, a w pojęciach tych ukryta była bolesna prawda Jezusowego posłannictwa, wołająca głosem tragicznej ironii: „O, nie! Nie dam powodu do zgorszenia synom Izraela! Dlatego zapłacę świątynny podatek krwawą ofiarą mojego życia! Idź, Kefasie, nad wielką wodę, a znajdziesz daninę mojej śmierci w rybie, w znaku trzydniowego grobu i zmartwychwstania, i wyjmiesz tę daninę z grobu pływającego w wodach zanurzenia i odrodzenia, i ofiarujesz ją Świątyni Pańskiej w Jerozolimie, jako zadośćuczynienie za grzechy synów człowieczych! Tak, jako zadośćuczynienie! Niech się Izrael nie gorszy! Nie

uchylę się od tego podatku! Zapłacę go sobą, moją śmiercią! Uczyn tak, Kefasie, jak ci nakazałem, a wezmę cię na współnika mojej ofiary”.

Kefas, usłyszawszy Jezusowy rozkaz, zrozumiał, że nie jest on rozkazem, który należy wypełnić, lecz zapowiedzią czegoś, co się w przyszłości dokona, więc stał bez ruchu i milcząco przetrwał w sercu tajemnicę gorzkiej ironii Rabbiego.

Nie zamykajmy oczu na ironię Boga. Ona jest również wyrazem Jego nieskończonej Mądrości.

Droga na południe

1

Czas szybko mijał.

Pewnego poranka Rabbi przystanął nad brzegiem jeziora, wyciągnął ręce ku jego wodom, ku Hermonowi, nizinie Genezar i wzgórzom Golan, i ku zachodowi, gdzie leżało miasteczko Nazareth, i pobłogosławił niebo, ziemię i wodę błogosławieństwem pożegnania. Wiatr ustał, nie poruszyły się liście na drzewach, nie zakołysały się zboża, umilkło ptactwo w sitowiu. W niezmaconej ciszy brzmiał tylko szept Jezusa i poruszały się Jego wysoko podniesione dłonie, lekkim drżeniem palców świadczące o wzruszeniu Męża. Ruszył w ostatnią drogę na południe.

2

Gdy przechodzili między Galileą a Samarią, na drodze prowadzącej do jakiegoś miasteczka, usłyszeli z dala głośnie, ostrzegawcze wołanie trędowatych: – Nieczysty! Nieczysty! Nieczysty!

– Ujrzeni przed sobą dziesięć żywych trupów – tak lud nazywał trędowatych – okrytych ropiejącymi wrzodami, gnijącymi ranami, strupami, bąblami, o twarzach zniekształconych chorobą. Chorzy zatrzymali się w słusznej odległości i poczęli wołać lamentującym chórem, wyciągając do Jezusa zżarte trądem ręce:

– Rabbi Jeszuo ben Josef, zmiłuj się nad nami! A na to rzekł Jezus:

– Idźcie i pokażcie się kapłanom.

A miało to znaczyć, że jako oczyszczeni z trądu powinni udać się do kapłanów i według prawa, ustanowionego przez Mojżesza w Księdze Wajikra, złożyć należną ofiarę dziękczynną za łaskę uleczenia. Trędowaci spojrzeli na swoje ropiejące ręce i nogi, i stropieni, bez słowa, poczęli się oddalać. Czyżby Jezua ben Josef z nich zakpił? Popędzani jednak niewidzialną siłą, wbrew rozsądkowi, który im mówił, że nie ma już dla nich ratunku, bo nie znaleźli łaski w oczach wielkiego Cudotwórcy,

skierowali się na południe i idąc bocznymi drogami, wołali nieustannie: – Nieczysty! Nieczysty! Nieczysty! – a Jezusowy rozkaz opływał ich jak orzeźwiający powiew, chłodził ich rany, osuszał ich ropiejące wrzody, wygładzał ich skórę i nadawał właściwy kształt ich zniekształconym twarzom. Gdy uszli kawał drogi, jeden z nich przystanął i spojrzawszy na towarzyszy stwierdził z radosnym przerażeniem, że z ich twarzy zniknęły gnijące wrzody; wówczas wszyscy przystanęli i poczęli wodzić palcami po swoich czystych i gładkich policzkach, piersiach, ramionach, nogach. Wzajemnie oglądali się, dotykali palcami, badali oczami, a gdy wreszcie upewnili się, że ich dłonie i oczy nie kłamią, wybuchnęli płaczem i poczęli tańczyć i śpiewać, i pospiesznym pochodem ruszyli ku Jordanowi, aby pochylić się nad jego wodami i w ich powierzchni ujrzeć własnymi oczami swe gładkie i zdrowe twarze, a idąc już nie wołali: – Nieczysty! – i upajali się milczeniem swoich nie wołających ust.

Tylko jeden z nich, Samarytanin, zamiast udać się do swoich kapłanów w Garizim i złożyć tam ofiarę dziękczynną – będąc trędowatym, żył w przyjaznej zgodzie z trędowatymi synami Izraela, bo złączyła ich wspólna niedola, która dokonała tego, czego ich zdrowi bracia nie chcieli dokonać przed obliczem Jahwe – postanowił wrócić do galilejskiego Rabbiego i zamiast przed samarytańskim kapłanem, złożyć przed Jezusem pokorne dziękczynienie za cud uzdrowienia. Zawrócił więc z drogi, odszukał Rabbiego, upadł przed Nim na twarz i rzekł:

– Niechaj będzie błogosławiona ziemia, po której krocysz, i niechaj będzie błogosławione niebo nad Twoją głową. Niechaj będzie błogosławione Imię Boga w każdym czasie. Uleczyłeś mnie, Rabbi, chociaż jestem Samarytaninem. Prochem jestem przed Tobą, Panie.

A na to spytał Jezus:

– Czyż nie dziesięciu zostało oczyszczonych?

– Dziesięciu, Panie – odrzekł Samarytanin.

– Gdzież jest zatem dziewięciu? Czy nie znalazł się żaden spośród nich, który by wrócił i chwałę oddał Bogu, tylko ten cudzoziemiec? – spytał Jezus.

I poszli dalej.

Gdy opuszczali Samarię, Rabbi przystanął na jej granicy, odwrócił się, wyciągnął ręce ku dalekim górcom Ebal i Garizim, ku studni praojca Jaakowa i dębom More, gdzie Bóg objawił się Abrahamowi, i tę całą ziemię, zamieszkałą przez wrogów Izraela, niebo nad tą ziemią i wody wypływające z tej ziemi, i jej mieszkańców pobłogosławił błogosławieństwem pożegnania, a wysoko podniesione dłonie lekkim drżeniem palców świadczyły o wzruszeniu Męża.

Jezus i apostołowie przebyli Jordan w bród i znaleźli się w krainie Perei. W jakimś miasteczku jeden z faryzeuszów, pragnąc wystawić Rabbiego na próbę – może chciał wywołać Jego gniew przeciw Herodowi Antypasowi i sprawić, aby zapalczywie wypowiedział się o grzesznym małżeństwie tetrarchy – takie zadał Mu pytanie:

– Czy wolno mężowi rozwieść się ze swoją żoną dla jakiegokolwiek przyczyny?
Jezus, odpowiadając pytaniem na pytanie, spytał:

– Co wam nakazał Mojżesz? Faryzeusz odparł:

– Mojżesz zezwolił napisać list rozwodowy, a potem oddalić żonę.

Wówczas Jezus począł tłumaczyć faryzeuszom, że prawo to napisał Mojżesz ze względu na twarde serca ludu. Ale Bóg stworzywszy mężczyznę i niewiastę ustanowił, że ci dwoje są jednością dwojga ciał, a ta jedność jest wartością sakralną, nierozzerwalną, niepodzielną i ostateczną, a odejście męża od żony i żony od męża jest rozerwaniem jedności, jest ćwiartowaniem i uśmiercaniem Boga, jest pokłonem złożonym Pełzającemu, który swoim zjawieniem się w Gan Eden zapoczątkował dzieło podziału i rozkładu. Wszystko, co raz zaznało łaski błogosławionej jedności, nigdy nie może być podzielone.

Ponieważ apostołów ogarnęło przerażenie na myśl, że mąż, biorąc niewiastę za żonę, może nieszczęśliwym zbiegiem zdarzeń narazić się na niebezpieczeństwo bluźnierczego ćwiartowania Pana, co równałoby się śmiertelnemu grzechowi i zstąpieniu do Ge Hinom, po powrocie do domu podzielili się z Jezusem swoimi wątpliwościami i rzekli:

– Jeżeli tak ma się sprawa między mężem a niewiastą, to już lepiej jest wcale się nie żenić.

Jezus w odpowiedzi tłumaczył im, że ci, którzy dla Królestwa Niebieskiego wyrzekli się rodziców, sióstr, braci, domu i pieniędzy, powinni wyrzec się – kto może, niechaj to pojmuje – małżeństwa, potomstwa, ogniska domowego, rodzinnego szczęścia i tym trudnym wyrzeczeniem przypiecztować swoje trudne wybraństwo.

Apostołowie zgodnie potakiwali skinieniem głowy, albowiem zrozumieli, że synowie człowieczy, którzy należą do Boga, już więcej nie należą do siebie.

Gdy przechodzili dolinę El Ghor, Rabbi przystanął, odwrócił się i wyciągnął ręce ku rozpadlinie Jordanu, którą wielokrotnie przemierzał z północy na południe i z południa na północ, ku krainie Obfitych Źródeł, gdzie pojmany był Johanan ben Zecharia, i pobłogosławił niebo, ziemię i wodę błogosławieństwem pożegnania, a wysoko podniesione dłonie lekkim drżeniem palców świadczyły o wzruszeniu Męża.

Jezus opowiada przypowieść o Judzie z Kerijoth, przebiegłym włodarzu

Żar buchał z doliny El Ghor. Miało się ku schyłkowi dnia. Apostołowie marzyli o chłodnej nocy i trawie pokrytej rosą. Ich nogi były brudne od pyłu i obolałe od długiego marszu. Jezus, jak zazwyczaj, szedł na czele pochodu, za Rabbim rozsypaną gromadą ciągnęli apostołowie, a na samym końcu podążał Juda z Kerijoth ze skrzynką w ręce. Skrzynka mu nie ciążyła. Ciężyły mu myśli. Były o wiele cięższe od skrzynki i dokuczliwsze od upału. Nie mógł się uporać z ich natłokiem. Zanim jedną myśl domyślił do końca, już druga nadbiegała z wielką chyżością, a za nią trzecia, a za trzecią czwarta, a za czwartą piąta. Przerażony nieporządkiem swoich myśli, przystanął. Odsapnął. Myśli również przystanęły i również odsapnęły.

Juda zwolnił kroku, już nieomal włókł się, a w ślad za jego powolnymi krokami wlokły się jego myśli. O czym myślał Juda? Juda myślał o wszystkim, to znaczy myślał o sobie. Myślał o swojej ciężkiej doli, o tej, która była, jest i będzie jego udziałem, o tym, że nic się w jego życiu nie zmieniło na lepsze, a raczej wszystko się zmieniło na gorsze. Przed laty dźwigał skrzynkę z pachnidłami, a teraz dźwiga skrzynkę z cudzymi pieniędzmi, dawniej miał spuchnięte nogi od długiego chodzenia, a teraz ma jeszcze bardziej spuchnięte nogi od jeszcze dłuższego chodzenia, dawniej mu się zdawało, że będzie dobrze, a teraz wie, że nigdy lepiej nie będzie. Juda przestał wątpić. Juda już wiedział. Co wiedział Juda? Juda wiedział, że Jezua ben Josef ma coraz mniej zwolenników, a wrogów coraz więcej, że w Jego naukach jest coraz więcej sprzeczności, a coraz mniej zgodności: raz wzywa do przestrzegania Prawa i woła, że nie zmieni w nim nawet najmniejszej litery, a innym razem szarga świętość Szabatu, raz mówi o jedności, a innym razem ogłasza, że przyszedł dzielić rodziny i odrywać dzieci od rodziców, raz twierdzi, że jest łagodnym pasterzem, innym razem, że jest mieczem karzącym, raz każe kochać nieprzyjaciół, a równocześnie potępia faryzeuszów. Z początku Judzie się zdawało, że Mąż jest prorokiem i przyszedł zapowiedzieć przyjście Mesjasza i uczestniczyć w Jego zstąpieniu na ziemię. Potem Mąż twierdził, że Królestwo Boże jest już wśród synów Izraela, ale co z tego – i tu słusność mają faryzeusze! – skoro tego Królestwa Bożego nie widać, a zresztą według wierzeń praojców naprzód ma się zjawić Mesjasz, a dopiero po nim, jako skutek Jego przyjścia, ma zapanować Królestwo Boże na ziemi, więc kto widział, aby naprzód zjawiał się skutek, a dopiero po skutku przyczyna! Jeżeli zatem Jezua ben Josef nie jest prorokiem, to kim jest? Cudotwórcą? A cóż to za cudotwórca, który ucieka przed ukamienowaniem? A mało to razy uciekał? A z Nazarethu nie uciekał? A z dziedzińca świątynnego nie uciekał? Juda z Kerijoth był za sprytny, aby nie wiedzieć, że wędrownik Jezusa do krainy tyryjskiej

i do Cezarei Filipa była zwyczajną ucieczką przed faryzeuszami. Albo teraz ten nagły powrót do Galilei? Poszli tam nie wiadomo po co. Jasne jest, że Mąż uciekł przed Herodem Antypasem. A teraz znowu wracają. Po co wracają? Wciąż kręcą się w kółko. Chodzą krętymi drogami, jakby chcieli zmylić czujność śledzących ich faryzeuszów. Krętymi drogami chodzą tylko synowie zagłady. Po bezdrożach chodzą tylko zwodziciele. Juda podrapał się w głowę. Przystanął. A jeżeli faryzeusze mają słuszość i Jezua ben Josef jest rzeczywiście zwodzicielem? Przełożył skrzynkę z lewej ręki do prawej i wolnym krokiem szedł, odurzony nawątem myśli, które wypełniały jego udreńczoną głowę. Mieszały się one z sobą, przenikały wzajemnie, potem rozdzielały i pełzały jak węże, podrażnione zbliżającym się niebezpieczeństwem; ich oślizgłe cielska przeżyły się, wiły, skręcały, spiętrzały w drgające kłębowisko i kusiły biednego Judę jadowitym sykiem przypuszczeń, domysłów, podejrzeń, a wreszcie coraz bardziej wzmagającej się pewności, że ten, za którym idzie, jest niebezpiecznym kusicielem, kuszącym dwunastu łatwowiernych apostołów. Juda wzdrygnął się. Ujrzał zbliżającą się nieuchronną kłeskę. Więc po co za nim idzie? Na co czeka? Przecież ze skrzynki, zawierającej ich wspólną majątność, już ukradł tę samą ilość pieniędzy – nie! to nie była kradzież! to było mądre działanie roztropnego, zapobiegliwego włodarza wspólnych pieniędzy – jaką ongi rozdał ubogim w Jerozolimie, gdy przed trzema laty poszedł za Jezua. Jezua ben Josef już nic mu nie jest winien. Juda odebrał całą swoją własność. Całą. Do ostatniego denara. Znów przystanął. Odsapnął. Spojrzał ku zachodowi. Słońce zniżało się ku fioletowej linii widnokregu. Przełożył skrzynkę z prawej ręki do lewej. Szedł teraz szybciej, a wraz z szybkością jego kroków myśli jego też przyspieszały kroku. Jezua go zwiódł. Jezua go oszukał. Jezua go skrzywdził. Jezua niczego nie dotrzymał. Jezua stał się przyczyną wszystkich jego nieszczęść i zwątpień. Po co w niego uwierzył? Czy nie lepiej było pozostać wędrownym sprzedawcą pachnidła? Krażyć po ulicach, placach, domach i sprzedawać słoiki z nardem bogobojnym niewiastom i wszetecznicom mrugającym powiekami? I żyć w spokojnym niepokoju, i czekać na Mesjasza podczas długich dni i nocy, i ufnie wypatrywać Jego przyjścia? Więc może powinien rzucić to wszystko i zacząć żyć od nowa? Pytanie było ze wszech miar słuszne i zrozpaczony Juda na pewno postąpiłby rozsądnie, gdyby pożegnał Jezusa i apostołów i powrócił do swojego dawnego życia i zawodu; niestety, w duszy Judy pod stertą rozczarowań, zwiędłych nadziei, sparciałych wyczekiwań pokutowało niewyraźne przeświadczenie o jakimś zadaniu, które ma jeszcze do spełnienia u boku Jezuy ben Josef. Jakie to miało być zadanie? Czego ma dokonać? Tego nie wiedział. Zdawało mu się, że istnieje jeszcze jakaś mocna nić, wiążąca go z Rabbim, której w żaden sposób przeciąć nie może. A może przeciąć nie umie? A może mu

przeciąć nie wolno? Juda szukał po ciemku tej nici, ale nie wiedział, gdzie ona jest. Czyżby to była chciwość? Chęć dalszego okradania Jezusy i apostołów? Sięgania ręką do skrzyni i przenoszenia z niej pieniędzy do sakiewki tkwiącej za pasem? Juda zapalał gniewem przeciw swojej ręce! Juda zapalał gniewem przeciw swojemu złodziejstwu! Juda zapalał gniewem przeciw Rabiemu! Rabbi go zwiódł! Uczynił go złodziejem! Juda nigdy dotychczas nie kradł! Nigdy nie kradł! Juda zarabiał, ale nie kradł. A teraz jest złodziejem! Szedł tak szybko, że mu zabrakło tchu w piersiach. Mimo to nie zwalniał kroku. Rosło w nim poczucie mądrej roztropności, rozwagi i tak wielkiej przezorności, że aż graniczącej z przebiegłością, a może i z przewrotnością; była to przewrotność nader przewidująca, godna pobożnego naśladowania, mogąca służyć przykładem tym wszystkim, którzy nie dbając o swoją przyszłość i nie umiając jej przewidzieć, lekkomyślnie wyrzekli się możliwości zabezpieczenia spokojnych dni na starość. Jeszcze nie porzuci Jezusy. Jeszcze przy Nim zostanie. Potrzęsnał skrzynką. Dochodzący z jej wnętrza brzęk srebrników podniósł go na duchu. Wtem usłyszał w sobie głos, który go spytał: „Czyżby mądra zapobiegliwość była tą jedyną nicią, która cię teraz łączy z Rabbim?” Juda nic nie odpowiedział swojemu wewnętrznemu głosowi, bo udawał, że nie słyszy jego pytania.

Stanęli nad Jabokiem. Słońce uderzyło o linię widnokregu, pękło i czerwonym wrzątkiem rozlało się po niebie. Zmówili modlitwę wieczorną i usiedli pod dębem. Od rzeki nieśmiało ciągnął chłód.

Siedzieli i wypoczywali po skwarzym dniu, a Jezus układał w myślach przypowieść, którą zamierzał opowiedzieć apostołom. Wiemy, że Rabbi czerpał tematy do swoich przypowieści z żywego życia, z własnych i cudzych doświadczeń, z najbliższego i dalszego otoczenia, ze zdarzeń oglądanych własnymi oczami lub ze zdarzeń zasłyszanych; przeobrażał je w sobie, to, co było w nich szczegółowe, uogólniał, to co było nazwane po imieniu, ubezimienniał i według konieczności zmieniał rysy swoich bohaterów, a nawet odmieniał następstwo wypadków, to i owo ujmując i dodając.

Siedząc teraz pod dębem, kształtował w milczeniu opowieść o jednym ze swoich apostołów. Ponieważ przeznaczył ją zarówno dla owego apostoła, jak i reszty apostołów – dla niego osobno i dla nich osobno – a nie chciał ujawnić przed nimi, dla celów sobie tylko wiadomych, szczegółów związanych z przestępstwem jednego z ich towarzyszków, zamazał przezornie pewne okoliczności, inne zaś jaskrawo uwydatnił, co może trochę utrudniło jasne odczytanie myśli przewodniej; dlatego postanowił w zakończeniu w przejrzystym, prostym i jednoznacznym wniosku zamknąć właściwy sens przypowieści.

Położył dłonie na kolanach, a apostołowie zrozumieli, że chce do nich przemówić. Skupili się w sobie, zaostrzyli uwagę i wytężyli słuch. Gdy Rabbi spostrzegł, że są gotowi na przyjęcie Jego słów, pochylił się nieco, podniósł prawą rękę i wykonując nią łagodne ruchy w powietrzu, towarzyszące rytmowi opowieści, tak przemówił do apostołów:

– Był pewien bogaty człowiek, a miał on wólarza – Jezus spojrział na Judę z Kerijoth i dłoń swoją zatrzymał na wysokości jego głowy – którego oskarżono przed nim, że trwoni majątek.

– Jezus musnął spojrzeniem skrzynkę, stojącą na ziemi obok Judy. – Kazał go przywołać i rzekł do niego: (Jezus rzucił na Judę bystre i mimo bystrości nieuchwytnie spojrzenie) „Cóż to słyszę o tobie? Zdaj sprawę z twojego wólarstwa, albowiem nie będziesz go już mógł dłużej sprawować”. Tak powiedział ów bogaty człowiek, a wólarz – Jezus zwrócił głowę ku Judzie z Kerijoth i spokojem swojego spojrzenia wypowiedział to wszystko, czego niepokojem wypowiedzianych słów nie chciał otwarcie wypowiedzieć – pomyślał sobie: „Cóż ja pocznę, skoro mój pan pozbawia mnie wólarstwa? Nie mam sił, żeby kopać, a żebrać się wstydzę. Wiem już, co uczynię, aby mnie ludzie przyjęli do swoich domów, gdy będę usunięty z wólarstwa”. Tak pomyślał i przywołał do siebie dłużników swojego pana, każdego z osobna, i zapytał pierwszego: „Ile jesteś winien mojemu panu?” A na to dłużnik odpowiedział: „Sto beczek oliwy”. A wólarz rzekł mu: „Weź swoje zobowiązanie, siadaj i napisz prędko, że jesteś winien pięćdziesiąt beczek”. Potem zwrócił się do drugiego dłużnika z tym samym zapytaniem: „A ty ile jesteś winien?” Odrzekł mu dłużnik: „Jestem mu winien sto korców pszenicy”. Odrzekł mu wólarz: „Weź swoje zobowiązanie i napisz, że jesteś winien osiemdziesiąt korców”.

Jezus z drwiąco-litościwym uśmiechem pochwalił nieuczciwego wólarza i powiedział:

– Roztropnie sobie postąpił ów wólarz! Bo w ogóle synowie oddani wyłącznie sprawom doczesnym są rozropniejsi od synów światłości. A ja wam powiadam: Podobnie jak przebiegły wólarz – spojrzenie Jezusa jak cień spoczęło na twarzy Judy z Kerijoth – za pomocą skradzionej mamony zabezpieczał swoją przyszłość, tak i wy przezornie czyńcie za pomocą sprawiedliwej mamony waszych uczynków i myśli, i zabezpieczajcie sobie Królestwo Niebieskie, aby po śmierci przyjęto was do wiecznych przybytków. Weźcie sobie przykład z tego wólarza i czyńcie dla Królestwa Niebieskiego to, co on czynił dla królestwa ciemności.

Nie spuszczać wzroku z Judy, ciągnął dalej:

– Kto wierny jest w najdrobniejszej rzeczy, i w większej wierny będzie, a kto nieuczciwy jest w najdrobniejszej rzeczy, ten i w większej nieuczciwy będzie. Jeżeli

nie wykazaliście wierności w zarządzaniu ziemską mamoną, to któż powierzy wam prawdziwe dobro? A jeżeli nie umiecie być wierni w szafowaniu obcymi dobrami, kto wam powierzy dobra, które stanowią waszą własność?

Jezus spod napiętych łuków brwi smagał spojrzeniem jak powrozem pochylone plecy Judy:

– Żaden sługa nie może dwom panom służyć! Albo jednego będzie nienawidził, a drugiego miłował, albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardził! Nie możecie – krzyknął wielkim głosem, potrząsając rękami – równocześnie służyć Bogu i mamonie!

Skończył.

Oparł się plecami o pień dębu, podciągnął kolana i zamknąwszy powieki, siedział bez ruchu.

Apostołowie z zadowoleniem wnikali w treść przypowieści i do późnej nocy, grzejąc się przy ognisku, rozprawiali o przebiegłym włodarzu, o Królestwie Niebieskim, o pożądaniu dobra i pożądaniu zła, o przywiązaniu do Elohim i przywiązaniu do pieniądza. W końcu zmęczeni długą rozmową, ułożyli się do snu i szybko usnęli.

Juda z Kerijoth, który nie uczestniczył w ich rozmowie i leżał opodal na ziemi, teraz nakrył głowę opończą; dygocząc na całym ciele, starał się wysledzić w przypowieści te wszystkie napomknienia, które mogły się do niego odnosić. Czyżby Rabbi go przejrzał? Czyżby wiedział, że kradnie? Czyżby go podpatrzył, gdy wyciągał pieniądze ze wspólnej skrzynki i wkładał je do swojego mieszkania? Nie, nie, to niemożliwe... to niemożliwe... Ale to spojrzenie Jezusy, to spojrzenie wbite w niego jak gwóźdź... Nie, nie, nie... Na pewno mu się przywidziało... na pewno... A jeżeli jednak Jezua ben Josef wie... A jeżeli wszystko wie?

Juda objął głowę rękami i cicho zapłakał nad swoją smutną dolą, bo coraz bardziej nienawidził człowieka, którego chciał kochać.

Wskreszenie Eleazara

Od dwóch tygodni przebywali u brodu Bethabara, gdy nieoczekiwanie zjawił się u nich posłaniec z Bethanii Judejskiej, od Mariamne i Marthy – niewiasty dowiedziały się o pobycie Jezusa w Perei od jakiegoś poganiacza wielbłądów – i przyniósł wiadomość o chorobie Eleazara, przy czym dał do zrozumienia Rabiemu za pomocą wtrąconego zdania, będącego niby objaśnieniem, niby prośbą, że byłoby dobrze, gdyby zechciał pospieszyć z pomocą ciężko choremu bratu, gdyż obie siostry straciły nadzieję uratowania go od śmierci i liczą już tylko na cudowne

działanie wszechmocy Bożej.

Jezus, słysząc to, rzekł:

– To nie jest choroba, na którą Eleazar umrze; ona posłuży ku chwale Bożej, aby Syn Boży był uwielbiony.

To powiedziawszy, odprawił posłańca z powrotem do Bethanii.

Pozostali jeszcze nad Jordanem przez dwa dni, podczas których nic się nie działo. Jezus nikomu się nie udzielał. Apostołowie przechadzali się nad rzeką, prowadzili rozmowy z kupcami, którzy przeprawiali się przez Jordan, i z pasterzami, którzy pędzili owce ku trawiastym dolinom. Trzeciego dnia o świcie Jezus wstał, obudził apostołów i tak do nich powiedział:

– Pójdziemy do mojego przyjaciela, do Bethanii. Zaskoczeni spytali:

– W głąb Judei?

– Między wrogów?

– Którzy co dopiero chcieli Cię ukamienować?

– „Otoczyło mnie stado byków, obstąpiły mnie woły Baszanu i otwierają nade mną swe paszcze jak lew, który porywa ofiarę i ryczy” – Lewi Mataj próbował za pomocą cytatu z psalmu oględnie zwrócić uwagę Jezusa na grożące Mu niebezpieczeństwo.

Jezus wiedział, że nie tylko o Niego się boją; chcąc ich podnieść na duchu, uprzytomnił im, że dopóki są razem z Nim i chodzą w Jego świetle, dopóty nic złego nie może ich spotkać. Odpowiadając im, rzekł do nich:

– Czy dzień nie ma dwunastu godzin? Jeżeli ktoś chodzi za dnia, nie potknie się, ponieważ widzi światło tego świata. Jeżeli jednak ktoś chodzi w nocy, potknie się, ponieważ brak mu światła.

Pochylił głowę ku prawemu barkowi i dodał:

– Eleazar, nasz przyjaciel, śpi. Idę zbudzić go ze snu. Na to rzekł Johanan ben Zebadia:

– Panie, jeżeli śpi, to wyzdrowieje.

Jezus przerzucił przez ramię sakwę podrózną i rzekł:

– Eleazar umarł. Chodźmy do niego.

Zdążali zapadliskiem przesyconym wonią parującej siarki i dopiero gdy znaleźli się w górach Judei, w przestronnej dolinie, powiał na nich ożywczy wiatr od morza. Im głębiej wchodzili w krainę judejską, tym natrętniej wracały do nich zasłyszane w przeszłości wypowiedzi Jezusa, spowite w gęstą ciemność, mniej lub bardziej wyraźne napomknienia o odrzuceniu, cierpieniu, śmierci i zmartwychwstaniu. Oślepieni ich zagadkowością, bali się myśleć o czyhającej na nich przyszłości, przed którą drżeli jak Abel przed Kainem, jak Jaakow przed Esawem, jak Dawid przed

Saulem, i chętnie by w ucieczce szukali przed nią ratunku, gdyby nie przeraźliwa pewność, że gdziekolwiek się ukryją, ona ich dosięgnie, bo po to przyszli na ten świat i po to powołani zostali przez Rabbiego, aby stali się jej całopalną ofiarą. Już dawno pogodzili się ze swoim losem.

Po żmudnej wędrówce, trwającej przez cały dzień – kilka nocnych godzin, które przesпали w gospodzie, nie pokrzepiły ich serc – o świcie następnego dnia ujrzeli Górę Oliwną i białe domy Bethanii. Odmówili modlitwę poranną i podnieśli się nieco na duchu, wkrótce jednak, pod ciężarem powracających wspomnień o przeżyciach w Jerozolimie podczas Święta Namiotów, znowu pogrążyli się w przygnębieniu i udręce.

Usiedli w cieniu figowca.

Mijali ich kupcy, mulnicy popędzający muły i osły na targ, chłopci dźwigający warzywa, robotnicy rolni, a jeden z nich przystanął i spytał ich, dokąd zdążają. Gdy usłyszał, że idą do domu smutku, do Mariamne i Marthy, wyraził żal z powodu śmierci Eleazara, u którego od wielu lat pracował. Westchnąwszy, poszedł dalej.

Czas płynął, a oni wciąż spoczywali pod figowcem i czekali, aż Jezus podniesie się z ziemi i da znak do dalszej drogi. Rabbi leżał z zamkniętymi oczami, z ręką pod głową. Apostołowie, nie chcąc zbędną rozmową mącić Jego spokoju, z niechętną gorliwością odpowiadali na pozdrowienia mijających ich przechodniów i rozdrażnionym spojrzeniem obrzucali pasterzy, spędzających głośnym hukaniem owce z górskiego stoku w dolinę. Gdy tak czuwali ze wzruszającą troskliwością nad Jezusowym spokojem, dobiegło ich donośne wołanie:

– Rabbi Jeszuo ben Josef! Gdzie jesteś?! Rabbi, gdzie jesteś?! Gdzie jesteś?!

Odwrócili się i ujrzeli Marthę, która biegła zdyszana i wyrzucała przed siebie ręce, jakby chciała ich ruchami przydać mocy swojemu wołaniu. Ujrawszy Jezusa, zawołała z ogłędnym wyrzutem:

– Dowiedziałam się od jednego pracownika, że przybyłeś, Rabbi! Gdybyś tu był przedtem, mój brat by nie umarł!

Natychmiast przezornie dodała, łkając:

– Wiem, że Elohim da Ci wszystko, o cokolwiek Go poprosisz. Jezus podniósł się z ziemi i odpowiedział:

– Twój brat zmartwychwstanie.

Niewiasta otarła łzy i patrząc w ziemię, odpowiedziała z rezygnacją:

– Wiem, że zmartwychwstanie w Dniu Ostatecznym. Rabbi wskazał palcem na siebie i rzekł:

– Ja jestem zmartwychwstanie i życie. Kto wierzy we mnie, żyć będzie, chociażby umarł. Każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nigdy nie umrze. Wierzysz w to?

A na to odrzekła niewiasta:

– Tak, Panie, wierzę.

Wypowiedziawszy te słowa, pobiegła z powrotem do miasteczka i znikła w uliczce między domami. Apostołowie pomyśleli: „Człowiek, który wierzy, nie ucieka. Martha już więcej nie wróci”. Temu i owemu zaświtała błoga nadzieja, że może ich obecna wyprawa obejdzie się bez zbędnych powikłań, gdy nagle usłyszeli z dala głośne zawodzenie i ujrzeni biegnących mieszkańców Bethanii, a na ich czele Marthę i Mariamne. Płakali, krzyczeli, strzępami szybko wypowiedanych zdań chwalili pamięć zmarłego, zalety jego serca i umysłu, jego pobożność, jego miłosierdzie, obfitość rozdawanej przez niego jałmużny, jego dobre uczynki, które spełniał przed Panem i ludźmi, przy czym nie omieszkali czynić Panu łagodno-gorzkich wymówek, że najlepsze swoje dzieci zbyt szybko zabiera z tego świata, a w tym trenie wypłakanym ku czci Eleazara wciąż powracał motyw rozpacz z powodu nieodwołalności wyroków Elohim: – Umarł i nie ożyje! – krzyczeli Judejczycy, a ponieważ nigdy nie mieli pewności, czy Pan ich wołania nie weźmie za objaw buntu przeciw świętym wyrokom, dodawali z pochlebczym i niekłamanym przekonaniem: – Ty jednak wiesz, Panie, co czynisz.

Jezus, widząc niewiasty we łzach i błagających Judejczyków, wzruszył się i przejęty ich żałobą, zapytał:

– Gdzieście go położyli? Mariamne odrzekła:

– Panie, proszę, pójdz i zobacz.

Jezus, słysząc tę prośbę, zapłakał nad losem Eleazara, którego błogosławiony spokój miał za chwilę zamącić za pomocą potężnego wstrząsu, odwracającego ustalony porządek życia i śmierci. Judejczycy, współczując Jego płaczowi, szeptali między sobą: – Patrzcie, jak go miłował – a wtórując żalowi osieroconych sióstr, pytali przemądrzale: – Czy On, który przywrócił wzrok ślepemu, nie mógł sprawić, aby Eleazar nie umarł?

Udali się do grobu. Była to jaskinia wykuta w zboczu górskim, do której wejście zamknięte było wielkim głazem. Eleazara pochowano w dniu jego zgonu, po uprzednim umyciu zwłok, namaszczeniu wonnościami, związaniu rąk i nóg lnianymi opaskami – aby uniemożliwić nieboszczykowi powrót do świata żyjących – i owinięciu całego ciała w białe prześcieradło.

Gdy stanęli nad grobem, Jezus rzekł:

– Odwalcie kamień. Martha szepnęła:

– Panie, już cuchnie, od czterech dni leży w grobie. A na to Jezus:

– Czyż nie powiedziałem, że ujrzysz chwałę Bożą, jeżeli uwierzysz?

Kilku co silniejszych mężów podbiegło do jaskini i mocując się z ciężkim głazem,

zatonczyło go na bok. Z głębi grobu tchnęło wilgotnym mrokiem, chłodem i mdłym, stęchłym zapachem rozkładającego się ciała.

Tłum cofnął się.

Rabbi, wzniosłszy oczy do nieba, rzekł:

– Ojcie, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał.

Stał twarzą zwrócony ku wejściu do jaskini. Uchodziła z Niego niewidzialna Moc i poczwórnym wichrem wiała przez dolinę kości, podrywała piszczele, pędziła przed sobą czaszki jak skorupy glinianych dzbanów, wzbijała w powietrze prochy człowiecze jak piasek pustynny, a wtedy zakrzyczały kości i zakrzyczały czaszki, i zakrzyczały prochy: „Panie! Panie Zastępów! Wezwij nas po imieniu! Ożyw nasze imiona! Przywróć je do życia! Otocz nasze szczątki ścięgnami, przyodziej je ciałem, pokryj je skórą i napełń nas duchem, abyśmy ożyły i poznały, że jesteś Panem!” – ale krzyczały bezskutecznie, bo Pan dla jednego tylko człowieka odmienił na mgnienie oka niewzruszony ład, który ustanowił w krainie śmierci od czasu grzechu pierworodnego. Cisza zapanowała w dolinie kości. Tylko donośny głos Pana przyzywał jednego człowieka, przyzywał go po imieniu, i dla dokładności i nieomyślności wymieniał imię jego ojca i imię ojca jego ojca, przyzywał Eleazara, przyzywał jego martwe, rozkładające się imię, obumarłe litery imienia, ich nędzną przemijalność, ich proch, i każdą literę powoływał do życia, pobudzał jej krwiobieg, scalał z resztą liter, łączył, ściśle zesparał jak ogniwo z ogniwo, wprowadzał je w ruch, w przelewanie, w płynność, w rytm, a potem w to imię już scalone i związane w jedną całość tchnął swój oddech i imię poczęło ożywać, i otwarło się na przyjęcie powracającej duszy, która runęła z żarłoczną zachłannością w jego ożywioną imiennosc.

Eleazar poruszył się.

Z Pana, stojącego z wyciągniętym wskazującym palcem przed jaskinią grobową, wciąż uchodziła Moc. Błady, drżący, wpatrywał się w świetlistą ciemność grobu i ruchami dłoni przynaglał do życia obudzone ciało człowiecze, i strzepywał z jego duszy resztki pośmiertnego widzenia, a gdy wyjąłowił ją do szczętu z pozaziemskiego poznania, które na wieczne czasy ma być ukryte przed żyjącymi, podszedł tuż do otworu prowadzącego do jaskini i żywym imieniem wzywając Eleazara do powrotu między żyjących, krzyknął do wnętrza:

– Eleazarze, wstań! Dreszcz wstrząsnął tłumem.

Eleazar nie rozumiał, dlaczego jest przykryty prześcieradłem, dlaczego jego głowa owinięta jest chustą, a jego ręce i nogi obwiązane są opaskami. Rozkaz, który huczał w jego uszach jak łoskot nieprzebranych wód, zmusił go do niezwykle wytężonego działania: zdobywszy się na duży wysiłek – opaski wprawdzie luźno opasywały jego

ręce i nogi, mimo to uniemożliwiały mu swobodne poruszanie się – z trudem podniósł się z kamiennej ławy i stawiając drobne kroki, posuwał się powoli ku światłu, które prześwitywało przez spowijające go rzadkie płótno, chusty i prześcieradło.

Stanął w otworze grobowej jaskini.

Tłum z krzykiem rzucił się do ucieczki.

Jezus musi umrzeć

Wieść o wskrzeszeniu Eleazara obiegła Bethanię, okoliczne wsie i natychmiast dotarła do Jerozolimy. Jezus wprowadzie przed trzema laty przywrócił do życia młodzieńca w Naim i córkę Jaira, ale cudów tych dokonał w dalekiej Galilei, i to w obecności świadków, których wiarygodność mogła być podważona z różnych powodów. Byli to ludzie bądź prości i nieuczeni, bądź też, jak podczas wskrzeszania córki Jaira, rodzice dziewczynki i apostołowie, nieliczni i przez Rabbiego wybrani świadkowie – zresztą Rabbi surowo zabronił mówić o tym cudzie – podczas gdy Eleazara wskrzesił w samym sercu Judei, pod bokiem dostojnego Sanhedrynu, na oczach tłumu faryzeuszów, mężów godnych zaufania, którzy mogli potwierdzić, że zwłoki były już w początkowym rozkładzie, o czym świadczył fetor, wydobywający się z grobu. Oczywiście była choroba Eleazara, oczywiście była jego śmierć i oczywiście był rozkład ciała. Kajafa mógł każdy szczegół natychmiast sprawdzić. Arcykapłan jednak nie miał zamiaru niczego sprawdzać. Czyżby uwierzył w cud? Tak, arcykapłan uwierzył w cud, nie uwierzył natomiast w Jezusa. I przeląkł się tych, którzy w Niego uwierzyli. Uważał, że Rabbi dokonał wskrzeszenia z pomocą Pełzającego, siły nieczystej, tej samej, która była źródłem Jego wszystkich dotychczasowych cudów. Zresztą ważne jest teraz tylko to, że zwodziciel swoim czynem zachwiał ustaloną od kilku wieków równowagę w Izraelu – tak medytował Kajafa – a równowagą tą była nieobecność proroków, ustanowiona przez Jahwe od czasów proroka Meleachi. W obliczu zaboru rzymskiego i okrutnego prokuratora, nie przebierającego w środkach walki z Jeszurunem, zjawienie się proroka w narodzie wybranym, wskrzeszającego zmarłych i przemawiającego w Mocy Pana, stanowiło dla całego Izraela wielkie niebezpieczeństwo. Rzym obawiał się przyjścia proroka, który mógł poderwać cały naród do walki, i z tego samego powodu bał się obecności proroka arcykapłan Kajafa, i bali się bogaci saduceusze, i z tego samego powodu... czekali na proroka faryzeusze i lud. Prorok był sumieniem narodu i jawnym dowodem opieki Pańskiej nad Jeszurunem. Gdy nie było proroka, Izrael czuł się osamotniony. Król? Arcykapłan? Żaden z nich nie miał prawa sprawowania

rządu dusz nad narodem ani nie mógł być przedstawicielem Głosu Boga na ziemi. Święty ten urząd był związany jedynie z natchnioną godnością proroka, na którego zjawienie się czekał cały dom Izraela. Ale czekał na proroka prawdziwego. Faryzeusze pytali: – Czy Jezua ben Josef z Nazarethu jest prawdziwym prorokiem? – Lud pytał: – Czy Jezua ben Josef z Nazarethu jest prawdziwym prorokiem? – Zdania faryzeuszów były podzielone i zdania ludu były podzielone. Jeżeli jest prawdziwym prorokiem, dlaczego walczy z faryzeuszami na słowa, zamiast wezwać cały naród do walki z poganami, z nieczystymi gojim, z czcicielami bałwanów? Ponieważ Jezua ben Josef swoją nauką i działaniem nieustannie tłumaczył Izraelowi, że przyszedł go wyzwolić z niewoli Litery, a nie Rzymu, przychylni Mężowi faryzeusze i lud, wdzięczni przede wszystkim za cudowne uzdrowienia, trwali w trwożnym i biernym oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

Kajafa, otrzymawszy od faryzeuszów i od Nahuma wiadomości o wskrzeszeniu w Bethanii Eleazara – wszyscy twierdzili jednomyślnie, że wielu faryzeuszów uwierzyło w proroczą i cudotwórczą moc Jezuy ben Josef – rozgorączkowany i wzburzony, udał się do swojego teścia, Hanana ben Sethi, nie omieszkawszy uprzednio ułagodzić i uspokoić rozgorączkowania i wzburzenia swojego umysłu i serca, bo pragnął stanąć przed patriarchą rodu w chwale dostojnego umiaru i niewzruszonej powagi. Arcykapłan opowiedział teściowi o cudzie w Bethanii, o zachowaniu się rzeszy i oddźwięku, jaki wywołał cud w narodzie. Hanan wsparł się łokciami o poręcz fotela. Mijały chwile. Pogładził dłonią atlasowy pas, podniósł głowę i nie patrząc na Kajafę, spytał:

– Co zamierza mój zięć uczynić?

Arcykapłan wiedział z wieloletnich doświadczeń, że powinien teraz złożyć starcowi czołobitny hołd i wysłuchać jego rady, która na pewno będzie zgodna z tym, co sam zamierzał przedsięwziąć. Byli przecież wewnętrznymi sobowtórami.

– Uczynię to, co raczy mi doradzić mój dostojny teść – odparł Kajafa, pochyliwszy głowę.

Niepomiernie wielkie było jego zdumienie, gdy zamiast rady, wypowiedzianej wyraźnym szeptem, odważającym niezwykle dokładnie każde słowo, usłyszał odpowiedź, która nigdy dotychczas nie padła z ust Hanana ben Sethi:

– Zbyt ważna jest ta chwila, bym miał sam przesądzać o sprawie. Rozważmy ją wspólnie. Niechaj mój zięć usiądzie.

Usiadł. Szumiało mu w głowie. Zrozumiał, że rozstrzygają się jego losy. Nie rozumiał tylko, dlaczego teraz, w tej komnacie, i to w związku z jakimś zwodzicielem ma podjąć postanowienie, które będzie najważniejsze w jego życiu.

Kto powiedział, że to postanowienie będzie najważniejsze w jego życiu? Kto powiedział, że rozstrzygają się jego losy? Potarł dłonią spoczone czoło. Skąd to niczym nie uzasadnione podniecenie? Hanan przecież powiedział tylko, że sprawa jest ważna – bo jest naprawdę ważna – i dlatego należy wspólnie nad nią się zastanowić. Ani słowa więcej nie powiedział. Powinien poczuć się pochlebiony łaskawością teścia, który ofiarowując mu równouprawnioną wymianę myśli, stawia go tuż obok siebie. Prawdopodobnie przed przyjściem do Hanana nie udało mu się dostatecznie opanować wzburzenia i stąd to dziwne skojarzenie wzruszającej łaskawości starca z rozstrzygającym na całą wieczność – na całą wieczność? Ach, cóż to za obfitość przesadnych określeń! – postanowieniem, które przecież, jak wiemy, zapada w każdej chwili życia, bo każda chwila życia rozstrzyga o całym naszym życiu. Uspokojony, uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem i rzekł:

– Szczęść się, że jest mi dozwolone mój sąd porównać z sądem mojego dostojnego teścia. Starzec, puszczać mimo uszu pochlebstwo Kajafa, odparł znużonym głosem:

– Niechaj mój zięć powie, co zamierza uczynić. Kajafa rzekł:

– Od czasu cudu proroka Eliszy żaden syn Izraela nie wskrzesił człowieka martwego. Czy z tego wynika, że ten, który wskrzesił przed kilkoma dniami człowieka w Bethanii, jest prorokiem? Czy mąż, który nie przestrzega Szabatu i nie myje rąk przed spożyciem posiłku, może być prorokiem? Czy mąż, który odmienia Prawo i nie zezwala na wręczenie listu rozwodowego żonie, może być prorokiem? Więc kim jest mąż, który nie przestrzega Prawa i wskrzesza umarłego?

– Ale wskrzesił. Są świadkowie.

– Wskrzesił i są świadkowie, i są nawet tacy, którzy idą za nim. Więc czy mam udać się do Wysokiej Rady i spytać: Co zamierzacie uczynić z Jezua ben Josef? Czy jest, czy nie jest zwodzicielem?

– Mój zięć powinien spytać, ale inaczej.

– Słusznie – odparł Kajafa. – Nie uczynię zamieszania w domu Izraela. Użyję argumentów, uniemożliwiających jakikolwiek sprzeciw ze strony tych, którzy może w sercu swoim będą potakiwać zwodzicielowi, ale na zewnątrz ze strachu tego nie okażą i dowodom moim nie zaprzeczą. Tym sposobem nie będzie podziału wśród członków Sanhedrynu. To, co powinno być złączone, będzie złączone. Musimy ratować lud Izraela.

– Przed Jezua ben Josef?

Kajafa zwilżył językiem spieczoną wargi:

– Nie. Przed Rzymianami.

– A co będzie ze zwodzicielem?

Arcykapłan wykonał ruch dłońmi, w górę i na dół, w prawo i w lewo, wyrażający

złożenie ofiary mającej przysporzyć narodowi obfitych łask Bożych.

– Złożymy go w ofierze za Jeszuruna – szepnął.

– Niech mój zięć mówi wyraźnie.

– Ten, który wskrzesza umarłych, jest prorokiem i wszyscy muszą w niego uwierzyć. A jeżeli uwierzą, prorok, gdyby nawet już nic więcej nie działał, samym swoim istnieniem musi obalić porządek i ład ustalony na Ziemi Świętej przez Rzymian. A wtedy prokurator – oby wymazane było jego imię spośród żyjących! – uczyni rzeź w Izraelu. Naród powstanie. Poleje się krew. Więc spytamy Sanhedryn pytaniem bezspornym, stwierdzającym i ustalającym, które wyłączy wszelką dyskusję: „Chcecie, aby połała się krew w Izraelu?” – Tak spytamy Wysoką Radę, i któż spośród jej czcigodnych członków ośmieli się odpowiedzieć, że chce, aby połała się krew Jeszuruna? A jeżeli nawet ten i ów wątpić będzie o słuszności naszego słusznego pytania, ani jednym słowem nie sprzeciwi się naszym słowom, bo nikt spośród całej Rady nie weźmie na siebie odpowiedzialności za to, co mogłoby się dzisiaj zdarzyć z powodu proroka w Izraelu.

Umilkł, a potem dodał:

– Izrael czeka na proroka, ale czas dzisiejszy nie jest czasem proroków. Dlatego każdy prorok, który dzisiaj przychodzi, jest prorokiem fałszywym i musi umrzeć.

Hanan, potakując głową, rzekł:

– Ten, który w nie swoim czasie działa i wskrzesza martwych synów człowieczych, powinien umrzeć, aby udowodnić swoją śmiercią, że jest fałszywym prorokiem. Błogosławione są twoje usta, zięciu mój.

Duma rozparła Kajafę, który przez wiele lat upodabniał się do Hanana ben Sethi, a teraz nagle, z woli Elohim, począł przerastać swojego teścia i wstępować w mądrą i zasłużoną patriarchalność, w dostojność Abrahamową, w potężną przyjaźń z Panem. Doznał łaski nieograniczonej władzy i nieomyślności. Stał u szczytu swoich marzeń.

Następnego dnia odbyło się w Hanuth, w pałacu położonym między placem targowym na Xystos a zachodnim krużgankiem Świątyni Pańskiej, posiedzenie Sanhedrynu – rada liczyła siedemdziesięciu członków i dwóch protokolantów – na które przybyli prawie wszyscy.

Prowadzili ożywione rozmowy. Wszystkim znany był powód nagłego zwołania posiedzenia. Panowało duże ożywienie. Wymieniali między sobą wiadomości i spostrzeżenia o cudzie w Bethanii, ale zachowywali ostrożność w wypowiedaniu własnych poglądów o zdarzeniu. Domyślali się stanowiska, jakie zajmie arcykapłan. Starali się wzajemnie wybadać. Trzymali się w ryzach i mimo podniecenia odważali każde wypowiedziane słowo. W fotelach, ustawionych półkolem, usiedli mężowie

z arcykapłańskich rodów Hanana – obok starca siedziało pięciu jego synów, późniejszych arcykapłanów – Boethosa, Fiabiego, Kamitha, potężni saduceusze z kapłańskich dynastii, bogacze, właściciele niezliczonych majątności, ugodowcy płaszczący się przed prokuratorem, dostojnicy Świątyni, strażnicy nad świętymi urządami, a wszyscy oni byli pewni opieki i łaski Pańskiej, która ich nigdy nie opuszczała, bo każdy swój grzech okupywali jałmużną i obfitymi darami, składanymi na Ołtarzu Całopalenia; obok nich siedzieli ich zajadli przeciwnicy, faryzeusze, podzieleni na zwolenników łagodnego Hillela i nieprzejednanego Szamaja, więc jedni umiarkowani, a drudzy fanatyczni czciciele Litery, złączeni z sobą żarliwym umiłowaniem ojczyzny i nienawiścią do Rzymian; obok nich siedzieli uczeni w Piśmie Świętym, wyznający faryzejski światopogląd, którzy dopiero od stu lat zajmowali miejsca w Wysokiej Radzie, a wśród nich rabbi Gamaliel i rabbi Sadok Poszczący, i rabbi Johanan ben Zakaj – nazywano go „ojcem mądrości” – młody uczeń Gamaliela, i rabbi Akabia ben Machallalel, i rabbi Nechonia ben Hakana, i rabbi Nikodem, i rabbi Josef z Ramathajim, i wielu, wielu innych mędrców i uczonych.

Arcykapłan usiadł w fotelu, w środku półkola, a obok niego stanęli dwaj protokolanci z tabliczkami i stylnikami, gotowymi do zapisywania. Kajafa podniósł się ze swojego miejsca i otworzył posiedzenie w Imię Elohim, Pana Jedynego, Boga Abrahama, Jicchaka, i Jaakowa, Boga Izraela, po czym z powrotem usiadłszy począł mówić głosem cichym, zmęczonym. Mówił o prawdziwych i fałszywych prorokach, wymieniał zdarzenia z dalekiej i bliskiej przeszłości, mówił o męczeńskiej drodze Izraela, cofnął się nawet do czasów babilońskich, wywołał z dziejów smutne czasy odszczepieństwa, mówił o jarzmie greckim, o walce Machabeuszów, o odbudowie Świątyni. Teraz głos ściszył, a to, co mówił, podbudowywał za pomocą wykwintnych przenośni, alegorii, porównań, a im dłużej mówił, tym wyraźniejsza stawała się postać Jezuy ben Josef – bo właśnie o Nim mówił – i coraz groźniejsze wydawało się niebezpieczeństwo, na które Mąż galilejski naraża naród swoim działaniem, słowami i cudami. A gdy postać Jezuy ben Josef wyraźnie już wyłoniła się z przenośni i alegorii, Kajafa podniósł głos i nazwał zwodziciela zwodzącego naród, wiatrem, pustym wiatrem, w którym nie ma śladu słowa Pana, i ostrzegł miasta przychylne fałszywemu prorokowi, aby nie były siedliskami kłamstwa, bo będą wraz z fałszywym prorokiem osądzone i skazane. Zawołał słowami proroka Jeremijahu: „Cóż wart jest pusty wiatr, w którym jest tylko pustka?!” – a potem znów wrócił do niewoli babilońskiej i począł długo i szeroko rozwodzić się o Hamanie, o prześladowaniach, których doznawał Izrael, i wszyscy, nie rozumiejąc, rozumieli, kogo ma na myśli, i wtedy Kajafa podniósł nagle głos, jego zrosnięte brwi

zmarszczyły się i w proroczym wzruszeniu przepowiadał zagładę narodu, i jej wizją wzniecał niepokój i strach w sercach słuchaczy, rozpalał ich wyobraźnię, malował przed ich oczami wściekłość gojim – dobrze wiedzieli, kogo ma na myśli – i rzeź, którą na pewno wróg zgotuje Izraelowi na wieść, że zjawił się prorok pragnący odmienić dotychczasowy ład i porządek! Teraz nie zapanował już nad swoimi uczuciami, przestał mówić aluzjami i podkreślając każde słowo kanciastymi ruchami prawej ręki – szybkim jej ruchom towarzyszył błysk pierścienia na wskazującym palcu i swoim olśniewającym iskrzeniem nadawał jego wypowiedzi wagę ostatecznego wyroku – krzyknął:

– Chcecie, aby znowu na wszystkich drogach Galilei i Judei wznosiły się krzyże z przybitymi ciałami synów Izraela?!

I nie czekając na wrażenie, jakie wywołał swoim okrzykiem, wsparł się dłońmi o poręcz fotela, nieco się uniósł, pochylił ku przodowi i zawołał z rozpaczą:

– Cóż mamy począć, skoro ten człowiek dokonuje tylu cudów?! Jeżeli mu się nie sprzeciwimy, wszyscy uwierzą w niego, a wówczas przyjdą gojim i zniszczą Świątynię Pańską i nasz naród!

Wtem przypomniał sobie słowa wypowiedziane kiedyś przez Jezusę ben Josef, powtórzone mu przez niezastąpionego Nahuma, o oku, które człowiek powinien sobie wyłupić, jeżeli go gorszy, i o prawej ręce, którą powinien sobie odciąć, jeżeli jest powodem zgorszenia, albowiem „będzie pożyteczniej dla człowieka, jeżeli zginie jeden z członków jego ciała, niżby całe ciało miało paść pastwą piekielnego ognia”, i mając w uszach te słowa, pochodzące z ust Jezusy ben Josef, zastosował je teraz do Niego samego i z głębokości swego ducha krzyknął:

– Wy nie rozumiecie i nie uświadamiacie sobie, że dla nas jest korzystniej, jeżeli jeden człowiek umrze za naród, niż miałyby zginąć cały naród!!!

Tym zdaniem zakończył przemówienie. I stało się tak, jak przewidział. Wprawdzie niektórzy członkowie Wysokiej Rady spośród faryzeuszów i uczonych w Piśmie Świętym nie wątpili o nadzwyczajnym wybraństwie Jezusy ben Josef, ale postawieni przed przerażającą wizją powstania narodowego i rzezi dokonanej przez Rzymian – sprytny jest ten Kajafa, sprytny, mówił o Hamanie, a miał na myśli prokuratora – nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za to, co mogłoby się dzisiaj zdarzyć z powodu proroka w Izraelu, ulegli przemocy ważkich dowodów arcykapłana i... milczeli. Reszta posłusznie potakiwała.

Arcykapłan zamknął posiedzenie i postanowił w swoim wnętrzu – a wraz z nim to samo postanowienie powzięło wielu saduceuszów i faryzeuszów – wezwać Jezusę ben Josef przed sąd Wysokiej Rady i skazać Go na śmierć. Kajafie przemknęła przez głowę myśl, że to samo należałoby uczynić z Eleazarem, szatańskim i widowym

dowodem zaskakującego cudu wskrzeszenia.

Była chłodna noc. Członkowie Sanhedrynu opuszczali pośpiesznie komnatę obrad. Nie będziemy teraz, o tak późnej porze, po kolei odprowadzać do domu Nikodema czy Josefa z Ramathajim, czy Johanana ben Zakaj, czy Sadoka Poszczącego, i zaglądać z odrażającą ciekawością do ich sumień. Zostawmy ich samych ich własnemu niepokojowi. Zwróćmy tylko naszą uwagę na wielkiego Gamaliela, którego oczekiwał przed gmachem Sanhedrynu jego umiłowany uczeń, Saul z Tarsu. Uczeń odprowadzał mistrza do domu. Rabbi szedł z pochyloną głową. Ostre rysy jego twarzy zaostrzyły się jeszcze bardziej i nadały jej wyraz nieustępliwy, zacięty. Dokoła warg pełgał grymas zniecierpliwienia. Gamaliel podniósł głowę, a Saul spostrzegł, że spojrzenie jego głęboko osadzonych, mądrych oczu ucieka w przestrzeń, jakby nie chciało uczestniczyć w myślach, które się kłębią w duszy starca. Pomyślał, że posiedzenie było prawdopodobnie bardzo burzliwe. Ponieważ od dłuższego czasu bacznie śledził szkodliwą działalność samozwańczego proroka, ciekaw był przebiegu i wyniku obrad Sanhedrynu.

– Co uczynicie ze zwodzicielem? – spytał nieśmiało. Gamaliel zatrzymał się i rzekł karcącym tonem:

– Mylisz się, nie mam żadnej pewności, czy Jezua ben Josef jest zwodzicielem.

Saul zachnął się, żywiąc jednak uwielbienie dla mistrza, poskromił gniew i spokojnie spytał:

– Więc kim jest ten człowiek?

Gamaliel niechętnym spojrzeniem obrzucił ucznia i lekceważącym wzruszeniem ramion dał mu do zrozumienia, że nie zamierza teraz prowadzić rozmowy.

I przyspieszył kroku.

Ucieczka do Efraim

Ktoś z członków Sanhedrynu ostrzegł Jezusa przed groźącym Mu niebezpieczeństwem.

Mąż nie pokazywał się już otwarcie wśród Judejczyków, a nie chcąc, aby naznaczone wypadki dokonały się przed czasem naznaczonym, udał się do miasteczka Efraim, położonego na północ od Jerozolimy, na granicy ziemi żyznej i pustyni, z dala od głównych szlaków karawanowych i podróżnych. Była to ucieczka święta, a jej sensem była ofiara Jezusa, mająca się dokonać w dniu święta Pesach, w ściśle określonym roku i dniu, i o równie ściśle określonej godzinie, w miejscu wybranym i niezmiennym.

Ponieważ jednak Bóg nigdy nie ucieka i nigdy się nie ukrywa, chociaż zawsze jest

szczelnie zakryty w swojej chwalebnej niewidzialności – a często zwracaliśmy uwagę czytelnika na ubóstwo ludzkich sposobów określania Bożego działania i jeszcze niejeden raz będziemy apelować do niego o wyrozumiałość dla nieporadności opowiadacza – śmiało moglibyśmy odwrócić porządek i następstwo zdarzeń i powiedzieć, że to czas ukrył się przed Panem w miasteczku Efraim, a ukrywszy się, posłusznie czekał na znak, aby wyjść z ukrycia, gdyby nie słuszna obawa, że i to określenie jest bardzo nieściśle, gdyż żaden czas nie może uciec przed Panem i ukryć się przed Nim. Dajmy zatem spokój naszym niefortunnym próbom złowienia Boga w sieć ludzkich pojęć i nie wstrzymujmy biegu opowiadania pokusami, z góry skazanymi na niepowodzenie. Jest to jeszcze jedna pycha marności, która wyobraża sobie, że zdoła określić Doskonałość za pomocą śmiesznej magii słów.

W drodze do Jerozolimy

Słońce mocno przygrzewało, minęły późne deszcze, niebo wiosennego miesiąca nisan podobne było do przewiewnego, błękitnego płótna, utkanego własnoręcznie przez aniołów. Jezus i apostołowie opuścili Efraim i zdążając brzegiem pustyni, udali się do Jerycha. Mimo wiosny, bujnej zieleni, cudów Jezusa, który po drodze przywrócił wzrok dwom ślepcom, i pobytu pod gościnnym dachem małego Zakaja, celnika – z tym Zakajem Jezus ongi rozmawiał nad Jordanem, gdy wracał z Góry Kuszenia do Johanana ben Zecharia – apostołów nie opuszczał smutek, który zasłonił im widok na piękno łąk, ogrodów i lasów, i zamykał ich uszy na szum potoków spływających w cienistą dolinę, zamkniętą w matczyńskich ramionach dwóch łańcuchów górskich. Wpatrzeni i wsłuchani w pomruki przyszłości, łudzili się nadzieją, że Jezus jednak nie pójdzie do Jerozolimy, że nie będzie narażał życia, że może wreszcie powrócą do Galilei; nie zastanawiali się teraz nad istotą sporu Jezusa z faryzeuszami; chodziło im przede wszystkim o to, aby Mąż zszedł z oczu wrogom, aby nie narażał się na ich napaści i więcej dbał o swoje osobiste bezpieczeństwo. Rabbi musi żyć! Musi żyć! Musi żyć! – słowa te wplatali we wszystkie swoje modlitwy, wtrącali do wszystkich próśb, z jakimi zwracali się do Elohim, i wzywali Go na świadka swojej trwogi, i błagali, aby odmienił zamiary Jezusy ben Josef, i błagali, aby im odciął drogę do Jerozolimy, aby wielkie morze, nie do przebycia, położył między nimi a miastem, aby zamknął usta faryzeuszów i cofnął ich język jak miecz do pochwy. Ich błagania były daremne, a ich nadzieje okazały się płonne. Rabbi po porannej modlitwie polecił im przygotować się do drogi i wbrew swojemu zwyczajowi ujawnił im jej cel, co ich zupełnie wytrąciło z równowagi: idą na wielkie święto do Jeruszałajim Hakodesz. Czyżby Bóg ścieżki ich wywrócił? Czyżby stał się

lwem, przyczajonym w gąszczu? Czatuującym niedźwiedziem? Czyżby miał zamiar przebić ich nerki zawartością swojego kołczana? Czyżby zamknął przed nimi bramy modlitwy? A przecież mądrość praojców twierdzi, że bramy płaczu są zawsze w niebie otwarte, a oni, modląc się, modlili się zawsze płaczem i jękiem o ocalenie Jezusy! Ponieważ pamiętali zapalczywość, którą Jezus podczas pobytu w tetrarchii Filipa wzbudził we wnętrzu swoim przeciw Kefasowi, zamknęli się w sobie i ani jednym słowem nie zdradzili swoich uczuć; spakowali sakwy, podkasali tuniki i pożegnawszy gościnny dom Zakaja, ruszyli w drogę przez Bethanię – tak brzmiało polecenie Rabbiego – do Jerozolimy. W apostołach i niewiastach, które w słusznym oddaleniu szły za Rabbim, rósł popłoch i wzrastał się z każdym ich krokiem, z każdym ułamkiem czasu, a każdy ich krok i każdy ułamek czasu zbliżał ich nieuchronnie do Jerozolimy, więc między nimi a nią malała przestrzeń i malał czas, i coraz mniej było tej przestrzeni, i coraz mniej było tego czasu, a gdyby nawet przystanęli, to mimo to przestrzeń by się kurczyła i czas bezlitośnie by płynął, bo już nie było sposobu, aby zatrzymać w biegu bliźniacze rodzeństwo: przestrzeń i czas, spiskujące przeciw Mężowi. Tymczasem Jezus, idąc, raz po raz przystawał. Z każdym krokiem i z każdą upływającą drobiną czasu wzrastał się ból w Jego nogach i rękach i promieniując na całe ciało obezwładniał je radosną samowiedzą o tym, że obraz nieuchronnej przyszłości już wkrótce przeobrazi się w żywą rzeczywistość. Widział i przeżywał to swoje cierpienie niezliczoną ilość razy, a im bliżej był celu, tym je dobitniej odczuwał; wprawdzie oswojony był z nim od bezczasu, przeznaczony i przygotowany na jego przyjęcie i wdrożony do jego przyjscia, jednak ilekroć o nim myślał, wątpił, czy potrafi – a wiedział wszechogarniającą wszechwiedzą, że potrafi – umrzeć najbardziej po człowieczemu, tak, aby do ostatniej chwili wszyscy stojący dokoła Niego, oprawcy, świadkowie współczujący i bezlitośni, gapiący się motłoch, mieli świadomość Jego okrutnego, rozdzierającego bólu i Jego cielesnej rozpaczliwej śmierci, i aby do ostatniej chwili nie wiedzieli – a wiedział wszechogarniającą wszechwiedzą, że nie będą wiedzieli – kogo zabili. Więc błagał siebie w nieprzejednanej srogości, by cierpiał całym ciałem, aby każdy mięsień i każdy nerw, i każda tkanka, i wszystkie wnętrzości cierpiały największym ludzkim cierpieniem – a wiedział wszechogarniającą wszechwiedzą, że będzie cierpiał największym ludzkim cierpieniem – aby jęczały ludzkim jękiem z powodu samotności i opuszczenia i drgały śmiertelnymi drgawkami, aż porażone śmiercią ulegną prawu, któremu podlegają z Jego woli.

Zatrzymał się. Gdy podeszli do Niego, wziął Dwunastu na bok i przemówił:

– Oto idziemy do Jerozolimy. Tam spełni się wszystko, co napisali prorocy o Synu Człowieczym. Będzie wydany arcykapłanom i uczonym w Piśmie, którzy skażą Go

na śmierć i wydadzą w ręce pogan. A ci będą z Niego drwić i plwać na Niego, i ubiczują Go, ukrzyżują i zabiją. Ale po trzech dniach zmartwychwstanie.

Tak Jezus po raz trzeci zapowiedział swoją męczeńską śmierć i zmartwychwstanie, a to, co teraz nastąpiło, było niesłychane, wręcz niewiarygodne: apostołowie znowu nic z tej trzeciej zapowiedzi nie zrozumieli, bo widzieli tylko kształt jej słów, ale ich treść była przed nimi szczelnie zakryta – ojcowie twierdzili, że kształt myli i wprowadza w błąd, podczas gdy treść nigdy nie myli i nigdy nie wprowadza w błąd – i słuchając Jezusa, i nie rozumiejąc Go, uspokoili swoje wnętrza i pocieszali się, że mimo nadciągających chmur nie uderzy ani w Niego, ani w nich grom El Szaddaja.

Salome, matka Johanana i Jaakowa, która przyglądała się z dala z bacznością tej scenie i poznała po uciszonych twarzach apostołów, że Jezus powiedział im coś, co prawdopodobnie ułagodziło ich utrapienie, zdobyła się teraz na odwagę i działając w zbyt zapobiegliwej trosce o chwałę swoich ukochanych synów podeszła do Rabbiego, oddała Mu pokłon i rzekła:

– Pragniemy, Rabbi, abyś nam spełnił pewną prośbę. Jezus spytał:

– Cóż chcecie, abym wam uczynił?

A na to Salome odpowiedziała:

– Uczyń, Panie, aby dwaj synowie moi siedzieli w Twoim Królestwie, jeden po Twojej prawicy, a drugi po lewicy.

Jezus, odpowiadając, rzekł:

– Nie wiecie, o co prosicie – tu spojrział na synów Zebadii. – Powiedzcie, czy będziecie umieli pić z kielicha, z którego ja pić będę, lub zanurzyć się w wodzie, w której ja będę zanurzony?

Odpowiedzieli z głębokim przekonaniem:

– Będziemy umieli.

Jezus, smutnie potakując głową, odparł:

– Z kielicha mojego wprawdzie pić będziecie i zanurzycie się w wodzie, w której ja będę zanurzony...

To powiedziawszy, urwał i po chwili dodał:

– ...Nie do mnie należy rozdawanie miejsc po mojej prawicy lub lewicy, ale dostaną się one tym, dla których mój Ojciec je przygotował.

Apostołowie, usłyszawszy słowa Jezusa, gwałtownie obruszyli się na nierozważną prośbę Salome i jej synów. Spojrzeli na nich spode łba. Krew zawrzała w ich żyłach. Ta matka w swojej pysze chciała wynieść swoich synów ponad nich! Tak! Już u stóp Hermonu, gdy Rabbi wybrał Kefasa i synów Zebadii na towarzyszy tajemniczej wyprawy, czuli się pokrzywdzeni i stali przed nimi niby oszukany Esaw przed

podstępny niewiniątkiem Jaakowem. Ale wtedy po namyśle – jak mogli się tak mylić? – utwierdzili się w mniemaniu, że są współnikami ich wybraństwa. Teraz wszystko się wyjaśniło. Zbyt łatwowierni byli pod Górą Troistą! Za synami Zebadii stoi ich matka Salome jak zachłanna Riwkah za chytrym barankiem Jaakowem! Łazi za nimi, łazi i węszy, i śledzi, i podsłuchuje, i tylko rozmyśla o chwale swoich synów, i plany układa, jak ich posadzić w Królestwie Niebieskim po obu stronach Rabbiego! Zaiste, ta chciwa zaszczytów Riwkah żąda od Rabbiego, aby wywyższył Johanana i Jaakową, a resztę apostołów poniżył i uczynił Esawami, sługami jej synów. A usłużne baranki potakują jej! Cóż to takiego działali, że roszczą sobie prawo do wywyższenia?! Dlaczego właśnie oni dwaj mają uczestniczyć u boku Jezusy ben Josef przy stole biesiadnym w Królestwie Niebieskim? Czy zasłużyli na ten zaszczyt? Władzy im się zachciało! Władzy! Ich żrenice miały ogień, na ich podniebieniu była gorycz, a z ich serc krzyczała urażona duma. Stali groźni, zacięci, surowi, urażeni w swoim honorze, który nie pozwalał im uznawać nad sobą żadnego władcy poza Elohim i Jezusą ben Josef.

Jezus uczynił uspokajający ruch dłonią i rzekł:

– Wiecie przecież dobrze, że ci, którzy są władcami nad narodami, rządzą nimi za pomocą ucisku, a wielcy swoją władzą dają się ludziom we znaki. Nie tak będzie między wami.

Przeciwnie, ten, który pragnie wśród was być największy, niechaj będzie waszym sługą, a kto spośród was pragnie być pierwszy, będzie niewolnikiem waszym. Albowiem Syn Człowieczy także nie przyszedł po to, aby Mu służyło, lecz aby sam służył i dał swoje życie na okup za wielu.

To powiedziawszy, ruszył w dalszą drogę, a idąc, nie obejrzał się ani razu za idącymi za Nim apostołami i służebnymi niewiastami.

Namaszczenie w Bethanii

Święto Pesach stało już u progu. Ruch na wszystkich drogach prowadzących do Świętego Miasta wzrastał się z godziny na godzinę. Płynęły rzeki śpiewających tłumów, do portów dobijały statki z pielgrzymami ze wszystkich krajów leżących nad Morzem Śródziemnym, lada chwila oczekiwano przybycia prokuratora z Cezarei Nadmorskiej, który – jak co roku – osobiście miał objąć dowództwo nad rzymską załogą w Antonii, wzmocnioną doborowym żołnierzem. Przybysze gorączkowo szukali pomieszczeń; ci, którzy nie mogli ich znaleźć w mieście, sypiali poza murami, pod gołym niebem; bardziej pomysłowi i przewidujący rozbijali namioty w dolinach. Strażnicy miejscy sprawdzali na straganach i na Dziedzińcu

Pogan ceny towarów, ptaków i zwierząt ofiarnych i karali nieuczciwych sprzedawców i lichwiarzy wysokimi karami. W domach robiono porządki, wyjmowano ze skrzyń nowe naczynia, przeznaczone wyłącznie na Pesach, stare pospiesznie i dokładnie według przepisów religijnych oczyszczano z kwasu, którego, jak wiadomo, nie wolno było używać w okresie świątecznym pod rygorem wyłączenia ze wspólnoty Izraela.

Rabbi z apostołami i pobożnymi niewiastami zatrzymał się w Bethanii, w domu Symeona Trędowatego (nazywano go wciąż „trędowatym” w odróżnieniu od innych Symeonów, zamieszkujących Bethanię). Na wieczere przybyło wielu gości, a wśród nich byli również Eleazar i jego siostry, Martha i Mariamne, i liczni pielgrzymi z okolicznych miasteczek i wsi, którzy udając się na święta do Jerozolimy, nakładali drogi i szli przez Bethanię, aby ujrzeć wskrzeszonego człowieka. Leżeli na łożach przy suto zastawionych stołach – Jezus spoczywał przy stole środkowym, honorowym, a obok Niego zajęli miejsca gospodarz, Symeon Trędowaty i Eleazar – i raczyli się smaczными potrawami, i popijali małymi łykami wino. Przy stołach niewiele mówiono, a większość gości zerkała ukradkiem na Eleazara, który zamknąwszy powieki, z głową wspartą na lewej dłoni, zdawał się krążyć myślami z dala od swojego otoczenia; ospale odwrócił głowę, a wzrok jego spoczął na Jezusie; uśmiechnął się smutnym uśmiechem, w którym wdzięczność mieszała się z bezradną zgodą na wszystko, co się z nim stało. Mąż wskrzeszony nie czynił wrażenia człowieka szczęśliwego. Zresztą trudno wymagać żywiołowej radości od człowieka, który powrócił z tamtego świata i będzie musiał kiedyś, w przyszłości, znowu po raz drugi umrzeć i znowu przeżywać strach i mękę konania. Był ofiarnym dowodem chwały Bożej. Był świadkiem Elohim. Niejeden z gości, patrząc na niego, pomyślał: „Czy może być szczęśliwy człowiek, który będąc już tam, wrócił tutaj?”

Gdy tak w milczeniu ucztowali, zaszeleściła zasłona i z sąsiedniej izby, w której spożywały posiłek niewiasty, wyszła Martha, niosąc na półmisku jarzyny i owoce, a za nią ukazała się Mariamne z alabastrowym słoikiem wonnego olejku nardowego, bardzo drogiego, i zbliżywszy się bez słowa do Jezusa, stanęła przy Nim, rozbiła nad Nim cenne naczynie, wylała olejek na Jego głowę, namaściła nogi Jego i wytarła je swoimi włosami. Silny zapach nardu wypełnił izbę. Gospodarz, apostołowie i goście zerwali się z miejsc i oszołomieni nagłością całego zdarzenia, które rozegrało się w głębokiej ciszy, odurzeni upajająco-przenikliwą wonią olejku, patrzyli z osobliwym zdziwieniem na Jezusa spoczywającego bez ruchu na łożu, na skorupy alabastrowego naczynia leżącego na podłodze i na klęczącą u stóp Rabbiego niewiastę, wciąż jeszcze wycierającą włosami Jego nogi. Juda z Kerijoth załamał ręce nad zgorzeniem, którego był świadkiem. Wzniął w sobie gniew przeciw Jezusowi

i niewieście. Z początku nie chciał dać wiary oczom, a gdy oczy z drobiazgową dokładnością potwierdzały to, co widziały, w Judzie podniósł się bunt i jak piaskowa burza zagrzebał pod sobą ostatnie resztki jego zaufania do Rabbiego. Serce Judy rozpaczliwie krzychało: „Jak długo istnieje Izrael, błogosławiona pierwocina Pańska, nigdy jeszcze niewiasta, słaby twór ukształtowany z mężowskiego zebra, nie wylała oliwy na głowę jakiegokolwiek gościa lub męża Bożego i nie namaściła go oliwą na dowód szacunku – bo to czynił gospodarz domu – ani na wielkie posłannictwo – bo to czynił prorok albo kapłan – a czym jest wylanie oliwy na głowę męża, jeżeli nie świętym namaszczeniem, ukoronowaniem i wyniesieniem nad cały dom albo nad cały naród wybrany? Przecież prorok Szemuel wylał oliwę na głowę Saula, a potem na głowę Dawida, kapłan Sadok i prorok Nathan namaścili na króla syna jego Salomona, a prorok Elijahu z polecenia Jahwe namaścił Eliszę na swojego następcę, a Duch Boży spoczął na głowach mężów namaszczonych, a według wierzeń Jeszuruna Elijahu wyleje w przyszłości oliwę na głowę Mesjasza; nigdy jednak żadna niewiasta, narzędzie pokuszenia, nie namaściła w Izraelu męża Bożego, a to, co teraz widzieli, było nieudolnym, śmiesznym naśladownictwem świętego namaszczenia, grzechem wobec dostojenstwa wyróżnienia i wyniesienia, było nieprawością dla serc taką samą jak żądanie Jezuy ben Josef, skierowane ongi do apostołów i uczniów, aby spożywali Jego ciało i pili Jego krew, a żądać tego może tylko prorok fałszywy, mesith, namaszczony przez niewiastę, uległą Pełzającemu, winowajczynię wszelkiego zła na ziemi!” – tak krzychało serce Judy z Kerijoth i wносиło przed oblicze Pana skargę przeciw Jezusowi, i burzyło się coraz groźniej, zwłaszcza że dawny handlarz pachnideł, znający się świetnie na cenach olejków i maści, nardu, mirry, kasji i balsamu, tych najtańszych i najdroższych, fałszowanych i prawdziwych, uzmysłowił sobie wartość słoika prawdziwego olejku nardowego; spojrzeniem wytrawnego znawcy spojrzał na skorupy rozbitego słoika, ocenił jego pojemność, po zapachu oszacował jego gatunek i po krótkim wahaniu ustalił jego cenę na trzysta denarów, a była to cena odpowiadająca dziesięćmiesięcznemu wynagrodzeniu pracownika rolnego, cena wysoka, bardzo wysoka! (Juda umiał wszystko błyskawicznie i sprawiedliwie obliczyć i w tym celu nie był mu potrzebny żaden stylik; wszystkie liczby miał w głowie, szybko dodawał, odejmował, mnożył i dzielił, a porównując wartość jednych towarów z wartością innych towarów, umiał rzetelnie ocenić przedmiotową wartość każdej rzeczy.) Trzysta denarów! Ilu ubogich można było tą sumą uszczęśliwić, ilu głodnych nakarmić, ilu nagich przyodziać! Judę łączyła głęboka wspólnota z wszelką biedą, bo łączyła go mocna więź z własną biedą, która szeptała mu teraz do ucha, że za trzysta denarów mógłby spokojnie żyć przez cały rok i nie musiałby przez ten czas ciężko pracować, a nawet mógłby kupić

nową tunikę na Szabat; i tak rozczulając się nad swoją biedą, zapomniał o biedzie swoich bliźnich, o głodzie głodnych, o pragnieniu spragnionych, o nagości nagich, i tylko myślał o sobie, i użalał się nad swoją własną niedolą. Dlatego serce Judy ścisnęło się na widok tego bezużytecznie rozbitego alabastrowego słoika nardu i głośno zawołało:

– Dlaczego nie sprzedano tego wonnego olejku za trzysta denarów i nie rozdano ich ubogim?!

Apostołowie, potakując głowami, z jawną niechęcią spojrzeli na Mariamne, klęczącą u stóp Jezusa. Odezwała się w nich przyziemna, rzeczowa znajomość potrzeb życiowych.

– Na cóż takie marnotrawstwo wonnego olejku? – sarkał jeden z apostołów.

– Przecież można było ten olejek sprzedać drożej niż za trzysta denarów! – zrzędził mrukiwie inny.

– A pieniądze rozdać ubogim – szemrał ktoś, wyrzutem tym dając dowód swojej zgody na szemranie Judy z Kerijoth.

Jezus słuchał tych słów ze spuszczoneymi powiekami. Gdy był niemowlęciem, trzech nieznanymi mędrców, pogan, przyniosło Mu z własnej woli w darze trochę złota, kadzidła i mirry. To było bardzo dawno temu. U samego początku Jego ziemskiego życia. A teraz u końca Jego ziemskiej wędrówki ta niewiasta z własnej woli ofiarowała Mu olejek pachnącego nardu i namaściła nim Jego głowę i nogi, i oto apostołowie, ludzie, w których sercach umieścił swoją naukę, szemrają przeciw biednej Mariamne. Taka jest droga Jego ziemskiego życia. Od widzących pogańskich mędrców do ślepych izraelskich apostołów.

Nie podnosząc powiek, rzekł:

– Zostawcie tę niewiastę w spokoju. Dlaczego sprawiacie jej przykrość? Wszak spełniła względem mnie dobry uczynek. Pamiętajcie, że ubogich zawsze macie wśród siebie, lecz mnie nie zawsze mieć będziecie. Ona uczyniła, co mogła. Wylewając wonny olejek, chciała mi oddać ostatnią posługę i w właściwy czas namaściła moje ciało na pogrzeb. Zaprawdę powiadam wam, że wszędzie, na całym świecie, gdziekolwiek będą głosić Dobrą Nowinę, tam na pamiątkę tej niewiasty opowiadać będą to, co uczyniła.

Juda z Kerijoth, słysząc te słowa, pomyślał, a myśląc, pogłębiał w sobie nieufność do Rabbiego: „Czyżby uszy moje przestały słyszeć? Powiedział, że w właściwy czas namaściła jego ciało na pogrzeb, a przecież ciało nieboszczyka namaszcza się po śmierci i nikt w Izraelu nie namaszczał żywego męża na przyszły pogrzeb, więc jakże można namaszczać na pogrzeb człowieka, który żyje i jest razem z nami? A na domiar wszystkiego, siebie wyniósł ponad anawim Jahwe i mimo że nieustannie

powtarzał: Jeżeli chcesz być doskonałym, idź i sprzedaj cały swój majątek, rozdaj go ubogim, a będziesz miał skarb w niebie – teraz każe nam wyrzec się skarbu w niebie i pozwala marnotrawić trzysta denarów po to tylko, aby był za życia namaszczony na pogrzeb, jakby tego namaszczenia nie można było dokonać po śmierci, jak to jest w odwiecznym zwyczaju Izraela”. – Broda Judy z Kerijoth trzęsa się i oczy go paliły, a serce trzepotało w piersiach, i tak zasłuchany w trzepotanie serca, jeszcze bardziej upewniał się w przekonaniu, że Mąż jest posłańcem zesłanym przez złe moce dla zagłady narodu.

Podnieśli się od stołów. Rabbi udał się na spoczynek do przygotowanej dla Niego izby na piętrze. Pochmurni apostołowie i domownicy, którym udzielił się nastrój przygnębienia, ułożyli się do snu w izbach na dole i w sieni na matach, a goście wrócili do domów.

Symeona Trędowatego dręczyła myśl, że pod jego dachem wyrządzono Mężowi dotkliwą przykrość. Kładąc się, powziął postanowienie, że rano w obecności wszystkich domowników złoży Mu czołobitny ukłon, ucałuje brzeg Jego szaty i prosić Go będzie o przebaczenie. Zasypiając, uderzał się pięścią w piersi, coraz słabiej i słabiej, a usnąwszy, wciąż jeszcze przez sen powtarzał słowa pokutnego psalmu: „Zmiłuj się nade mną, Boże, według Twojej łaski” – aż wreszcie usnęły również jego wargi i umilkły, i tylko pozostał na nich błogosławiony smak modlitwy.

O trzeciej straży nocnej Jezus podniósł się z posłania i wyszedł na dziedziniec. Zmówił modlitwę. Spojrzał ku Górze Oliwnej i na stojące nad nią gwiazdy. Piały koguty. Wrócił do wnętrza domu. Ostrożnie stapał między śpiącymi na podłodze ludźmi i pochylał się nad nimi, szukając apostołów. Rozpoznawszy ich w rzedniejącym mroku, każdego z osobna budził lekkim dotknięciem palca. Gdy stanął nad Judą z Kerijoth, zawahał się. Po krótkim namyśle wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu byłego sprzedawcy pachnideł.

Świtało.

Nastał pierwszy dzień tygodnia.

Część IV

Pełnia czasu

Prokurator Judei wyjeżdża do Jerozolimy

Był pierwszy dzień tygodnia. Prokurator zamknął się w komnacie. Był w złym nastroju jak zawsze, gdy nie umiając powziąć postanowienia i rozwiązać drażliwych zagadnień popadał to w jedną, to w drugą ostateczność. Z natury gwałtownego usposobienia – chociaż w opanowaniu upatrywał najwyższą zaletę – nigdy nie mógł zdobyć się na rozwagę i umiar; zamiast odpowiadać w trudnych okolicznościach – wymagających opanowania i gładkich manier, stosownych do wysokiego urzędu – wyniosłą pogardą na oskarżenia synów Izraela, zapalał się gniewem i zachowywał się wobec nich porywczo i wyzywająco, a często nawet brutalnie. Spotkania z mieszkańcami tego kraju wytrącały go z równowagi. Nienawidził ich nie tylko dlatego, że byli mu obcy i wstrętni z powodu wiary i zwyczajów, ale przede wszystkim dla zarozumiałej wyższości, jaką mu na każdym kroku okazywali. Prokurator wiedział, że jest to jedyny naród, podbity przez Rzymian, który uważa ich za barbarzyńców, za nieczystych, równych nieomal zwierzętom. Ta zarozumiałość wyznawców oślej szczęki doprowadzała prokuratora do pasji i była powodem wielu bezsennych nocy, spędzonych na rozmyślaniach nad dobrorem środków, mogących mu ułatwić sprawowanie władzy nad lisim, podstępным, pyszałkowatym, opornym i zadufanym w sobie ludem, trudnym do przeniknięcia, którego tchórzliwa uniżoność była równie niebezpieczna jak jawna odwaga. Drżał o stanowisko, które otrzymał z rąk Sejana. Do Italii nie chciał pod żadnym warunkiem powrócić za życia cesarza. Był rad, że może wypełniać obowiązki prokuratora na dalekiej prowincji, na krańcach imperium, z dala od Rzymu – w stolicy panami życia i śmierci obywateli wciąż byli donosiciele, a nieustanne procesy o obrazę majestatu i wyroki skazujące siały zamęt i strach na dworze i wśród senatorów – i tutaj we względnym spokoju czekać na chwilę, aż szalejący na Capri dostojny samotnik przeniesie się wśród radosnych westchnień kochającego ludu na drugą stronę Styksu. Prokurator otrzymał ongi od cesarza, po kilku niezbyt udanych

wystąpieniach przeciw obrzeżaniom, polecenie, aby nie wystawiał na próbę cierpliwości Judejczyków, unikał starć, nie prowokował religijnych uczuć i złagodził środki administracyjne. Bez sprzeciwu zastosował się do poleceń cesarskich, chociaż wolałby, gdyby Tyberiusz wydał mu rozkaz zaostrenia środków bezpieczeństwa i krwawego tłumienia każdego, nawet najmniejszego, odruchu niechęci i niesforności, z czego na pewno wywiązałyby się sprawniej niż z trudnej sztuki mądrego i ostrożnego żeglowania między własną pobudliwością a namiętnościami pospólstwa. Nie był dyplomatą. Bał się, że Izrael jego oględne gesty poczytywać będzie za słabość charakteru i tchórzostwo. Chorobliwie ambitny – biada temu, kto ośmieliłby się podrażnić jego miłość własną! – wyzbyty talentu rządzenia, siłę swej władzy upatrywał tylko w podległych mu bitnych oddziałach wojskowych, złożonych z Samarytan i Syrofenicjan, zawsze gotowych do dokonania na jego rozkaz krwawej rzezi ludności. Minionego roku, nie chcąc w myśl zaleceń cesarskich drażnić obrzeżanców, przybył do Jerozolimy na jedno z wielkich świąt, nocą, w lektyce, przez nikogo nie zauważony, co potem, niestety, okazało się w skutkach fatalne, gdyż rozzuchwaleni pielgrzymi galilejscy – ta galilejska tłuszcza buntowniczym temperamentem już niejedną raz przysporzyła wiele kłopotu prokuratorom i namiestnikom – dając posłuch plotkom o jego nieobecności w stolicy, poturbowali kilku żołnierzy rzymskich, a rozruchy stały się tak groźne, że musiał osobiście objąć dowództwo nad auxiliaries, i dopiero po dokonaniu rzezi wśród pielgrzymów zdołał przywrócić w mieście porządek. Długo i wyczerpująco tłumaczył się z tego zdarzenia przed cesarzem, który w wysłanym do niego liście wyraził niezadowolenie z powodu zamieszek oraz przekonanie (napisał: „Wydaje mi się, że mogę wyrazić przekonanie” – co brzmiało nader złośliwie), że podobne wypadki zdarzyły się po raz ostatni w judejskiej prowincji, co miało już wyraźny posmak groźby. Niestety Tyberiusz nie wypowiedział swojego zdania o jawnych lub niejawnych sposobach podróży prokuratora i wskutek tego pozostawił go w niepewności, jak powinien na przyszłość działać. I oto od kilku dni prokurator biedził się, jak ma się teraz zachować – skąd mógł wiedzieć, którą z tych taktyk cesarz uważa za dobrą, a którą za złą? – a położenie było tym trudniejsze, gdyż żona jego, Klaudia Prokulla, uparła się, że pojedzie z nim do stolicy. Opowiadała mu o jakichś dręczących ją snach, wreszcie wręcz oświadczyła, że boi się sama zostać w pałacu, w Cezarei Nadmorskiej. Wprawdzie prokurator nie znał treści jej snów i nie rozumiał, czego się boi, ale widząc, że jego perswazje są bezskuteczne, ustąpił i kazał żonie przygotować się do drogi. Uderzył się dłonią w czoło. Czy jest przy zdrowych zmysłach? Po cóż jeszcze zastanawia się nad całą sprawą, skoro ją rozstrzygnął w chwili, gdy przyrzekł Klaudii Prokulli, że mu będzie towarzyszyć

w podróży? Przecież nie będzie nocą włókł się z żoną w lektyce przez góry i narażał jej na bezsenność. Nad czym jeszcze się zastanawia? Po co od godziny krąży po tej komnacie i stara się podjąć decyzję, którą podjął już wczoraj, po rozmowie z żoną? Czyżby przestał logicznie rozumować? Tak, to niepokojący objaw, który świadczy o jego przemęczeniu, rozdrażnieniu, osłabionej woli i lichu wie jeszcze jakich przypadłościach ducha. Powinien pojechać do wód i wypocząć. Wypocząć? A może raczej powinien splunąć na urząd prokuratorski, na obrzezańców, potomków trędowatych, i prosić cesarza o zwolnienie ze stanowiska, które poza poufnymi darami od Kajafy – obfitymi, obfitymi, wręczanymi od wielu lat w równych odstępach czasu – niewiele przynosi korzyści? Pojedzie do swojego majątku, na Sycylię... Brew nad jego lewym okiem podniosła się nieco ku górze, cienkie wargi stały się jeszcze bardziej cienkie, mięsisty nos stał się jeszcze bardziej mięsisty i dostojnego prokuratora Judei obleciał strach przed długą ręką cesarza, która łatwiej może sięgnąć z Capri na Sycylię niż z Capri do Cezarei Nadmorskiej, zwłaszcza że nagła rezygnacja Poncjusza z urzędu na pewno wzbudzi w nieufnym Tyberiuszu podejrzenie, iż dawny stronnik Sejana, mimo okazanych później dowodów oddania i wierności, znowu coś knuje przeciw swojemu władcy. Prokurator coraz powolniej przemierzał komnatę. Rosło w nim wzburzenie ducha przeciw cesarzowi, przeciw żonie, natrętnie bzykającej mu nad uchem o snach, przeciw brudnym Judejczykom, faryzeuszom, piszącym na niego donosy do kapryjskiego rozpustnika; przeklinał pamięć Sejana i własną z nim zażyłość, a w końcu swoją głupotę, wskutek której znalazł się w tak trudnym położeniu. Daleko zaszedł! Bardzo daleko! Czyżby przez całe życie miał przegrywać – wołał w sobie w zapamiętaniu – wciąż przegrywać, przegrywać?! Uczucie własnej bezwartościowości bezwstydnie i natarczywie wżerało się w jego serce, napełniało go niesmakiem, wręcz odrazą do samego siebie, do własnej nieudolności, do niezręcznych pomysłów, w które obfitowało jego życie, do duchowego ubóstwa, którego w pysze i zarozumiałstwie nigdy dotychczas nie dostrzegał. Kim był właściwie? Niczym, nędzną kukłą w rękach niezbadanego losu, zwyczajnym dozorcą więziennym, który z tym samym strachem drży jak galareta przed cesarskim zwierzchnikiem, jak i przed najpodlejszymi więźniami, przed byle donosicielem, przed pierwszym lepszym parszywym kapłanem Izraela!

Przystanął przy oknie i utkwiał znużony wzrok w morzu ciemniejącym u podnóża pałacu. Pożałował, że nigdy dotychczas nie zajmował się filozofią. Może odnalazłby w niej na starość pociechę, spokój i prawdę. A tymczasem w tym ciężkim okresie, który teraz przeżywa, nie wie, gdzie szukać pociechy i prawdy. Prawdy? Czy w ogóle istnieje jakaś prawda? Jakaś prawda poza karierą, pieniędzem i trwogą? Wyrównał fałdy krótkiej chlamidy i wezwał centuriona. Oficer zjawił się

i w służbowej postawie czekał na polecenia. Domyślił się, że chodzi o wyjazd prokuratora do Jerozolimy.

Poncjusz, nie odwracając oczu od lekko falującego morza, rzekł:

– Wczesnym rankiem pojedę z żoną do Jerozolimy. Bez świty. Towarzyszyć mi będzie tylko trzech żołnierzy z oddziału kreteńskich łuczników i chorąży z godłem, ale bez wizerunku cesarskiego. Taka jest wola imperatora.

– Panie – odpowiedział centurion i wyszedł. Prokuratora ogarnął lęk przed wyjazdem do stolicy.

Królewski osiołek

Gdy zbliżyli się do Bethfage, wsi położonej na stoku Góry Oliwnej – szli wielką gromadą, albowiem poza apostołami i kilkudziesięcioma uczniami towarzyszyło Jezusowi wielu mieszkańców Bethanii, świadków wskrzeszenia i chwalców Jego mocy – Rabbi zatrzymał się i zadumał, a wraz z Nim zatrzymali się apostołowie, uczniowie i mieszkańcy. Mąż rozmyślał nad przypowieścią opowiedzianą niegdyś ustami proroka Zecharii o królu, jadącym do Jerozolimy, do córki Syjonu, na ośle, na źrebięciu podjarzemnej oślicy, i tak rozmyślając na środku drogi o starych, sędziwych słowach, przywracał im ich patriarchalną młodość, urzeczywistniał ją, ucieleśniał. I oto pod działaniem Jezusowej medytacji to, co było obrazem, symbolem, gorączkowym snem ludu, pogrążonego w mglistych przecuciach o Pomazańcu, stało się prawdą: we wsi Bethfage, w jednym z domów, przywiązany do wrót cierpliwie czekał popielaty osiołek – potomek Saulowych osłów, zwiastunów królestwa Izraela, powracającego teraz na ziemię w nowej treści i w zmienionym kształcie – u boku swej czcigodnej matki, płowej oślicy, równie jak on cierpliwej, godnej zaufania, nienagannej w chodzie i nad wyraz posłusznej mimo pewnych skłonności do uporów. Tego właśnie osiołka, którego żaden śmiertelny człowiek nie pokalał swoim ciężarem, postanowił Jezus dosiąść i w ten sposób ucieleśniając widzenie Zecharii zmienić jego przypowieść w widomą rzeczywistość. Ocknąwszy się z zadumy, przywołał dwóch apostołów i kazał im udać się do leżącej przed nimi wsi, gdzie ujrzą przywiązaną do wrót oślicę i stojące obok jej źrebię. Poleciał im odwiązać je i przyprowadzić, a gdyby właściciel spytał, jakim prawem zabierają cudzą własność, niechaj go uspokoją i powiedzą, że Rabbi jeszcze dzisiaj zwróci mu osiołka.

Dwaj apostołowie natychmiast usłuchali rozkazu Jezusa i udali się do wsi, chociaż głowy im pękały od sprzecznych myśli: przede wszystkim ta cała wyprawa wydała im się nader zuchwałym przedsięwzięciem, bo naprzód mieli, według rozkazu

Rabbiego, bez zgody właściciela odwiązać osła – niechaj Elohim czuwa nad nimi, mogą przecież narazić się na zarzut kradzieży! – i dopiero potem, gdyby zaszła konieczność, poręczyć jego zwrot. Był to porządek poleceń nieco odwrócony i łatwiej byłoby je wykonać, gdyby naprzód poprosili o osła, a potem, po otrzymaniu zgody, odwiązali go, skoro jednak Mąż z góry ułożył kolejność zdarzeń, postanowili ściśle się jej trzymać. Mieli jeszcze jedną wątpliwość: po co Rabbiewi potrzebny jest teraz osiołek, nieomal już u wrót Jerozolimy? Czyżby czuł się zmęczony tą krótką drogą? Wiedzieli, że był wypoczęty, w drodze są dopiero od godziny, a Mąż był odporny na trudy nawet dalekich podróży, które zawsze odbywał pieszo, a tu nagle, nie wiadomo dlaczego, postanowił ten krótki kęs drogi z Bethfage do Świętego Miasta odbyć na osiołku. Co to wszystko znaczy? Co Jezus zamierza wyrazić za pomocą tego niezwykle złożonego działania? Jak trudno przeniknąć Jego zamiary! Tak rozmyślali, idąc przed siebie, i mimo sprzecznych uczuć, które buzowały w ich sercach, wykonali wszystko, co Jezus rozkazał, i nie było w nich żadnego zdziwienia, gdy po przybyciu do Bethfage ujrzeli dwa osły przywiązane u bramy zaraz w pierwszym domu, położonym tuż przy drodze prowadzącej do wsi. I nawet nie zdumieli się – taka była w nich niezachwiana wiara w prawdę słów Jezusa – gdy gospodarz po odruchowym sprzeciwie i krótkim wahaniu uwierzył im i chętnie się zgodził na wypożyczenie odwiązanego już osła. Czuli się tak, jak gdyby całe zdarzenie odbyło się już dawno poza nimi, a oni teraz tylko ściśle powtarzali to, co było dokonane i spełnione. I nie wiedząc w pełni, co czynią, czynili tak, jakby wiedzieli, co czynią. Albowiem ich niewiedza była ich wiedzą.

Tryumf

Przywiedli do Jezusa osiołka, zarzucili nań płaszcze, po czym Rabbi dosiadł go i wszyscy ruszyli do Jerozolimy drogą pnącą się po stoku Góry Oliwnej. Szli pielgrzymi, mieszkańcy okolicznych wsi, przygodni przechodnie, wędrowni przekupnie i rzemieślnicy, wracający na święto do domu, kalecy i chorzy, i garstka jerozolimskich faryzeuszów, którzy na wieść o cudzie wybrali się do Bethanii, a spotkawszy po drodze Rabbiego, przyłączyli się do tłumów, wielbiących śpiewem i okrzykami Wskrzesiciela umarłych. Spod setek nóg unosiły się tumany kurzu i spowijały ciągnący powoli pochód w gęsty opar, prześwietlony słonecznymi promieniami, wskutek czego zdawało się, że idący ludzie wynurzają się ze śpiewającego obłoku.

Jezus, otoczony gromadką apostołów i uczniów, jechał w milczeniu, poddany rytmicznym ruchom zwierzęcia, stąpającego ze zręczną sprawnością po kamienistej

drodze. Gdy minęli Geth Szemanim – Rabbi lubił to miejsce, gęsto obrośnięte gajami oliwnymi, często spędzał tu długie godziny na rozmyślaniach i modlitwach – ujrzeli zbliżający się od strony miasta tłum, który radując się wskrzeszeniem męża umarłego, dokonany przez Jezusa – od niepamiętnych wieków wskrzeszenie dokonane przez proroka było widowym dowodem łaski i opieki Jahwe nad Izraelem i zapowiedzią wielkich, wstrząsających wydarzeń i zmian – śpiewał pieśń o potomku Dawida, idącym w Imię Pana. Jakżeż nie mieli się radować i jakżeż nie mieli śpiewać pieśni o wielkim królu Dawidzie i jego zbliżającym się synu, skoro Jezua ben Josef cudownym wskrzeszeniem przypomniał im minioną, dumną przeszłość narodu, czas potężnego państwa, pobłogosławionego przez Pana obecnością mądrych władców i natchnionych proroków? Czyżby Pan po długich wiekach znowu zesłał ludowi proroka, głosiciela wolności i stróża domu Izraela? Czyżby nadszedł czas odrodzenia królestwa, zwycięstwa nad pogańskim Rzymem? Czas wielkich wojsk i wielkiej potęgi? Potrzęsali palmowymi liśćmi, symbolami zwycięstwa nad śmiercią – śmiercią wolności była władza Rzymu nad Izraelem – i śpiewali pieśń o potomku Dawida, który zwiastując przyjście królestwa ojców już idzie w Imię Pana i zbliża się, zbliża, zbliża! Ich śpiew stawał się coraz bardziej podniosły, trzepot skrzydlatych palm jeszcze bardziej gorączkowy. Krzycząc i śpiewając na chwałę władcy Izraela, rozścielali płaszcze przed Jezusem, który wskrzeszeniem męża umarłego wskrzesił przed ich oczami wielką przeszłość narodu. Powietrze drżało od gorącego śpiewu, a wraz z rozgrzanym powietrzem drżała skóra na osiołku stąpającym godnie po ubogich płaszcach ludu i drżały gałązki oliwek w Geth Szemanim. Ale w tłumie nie brak było i takich, którzy uczestniczyli w pochodzie dla zwyczajnej ciekawości, dla uroczystego gapiostwa. Poza tym byli również wysłannicy Kajafy, który wpadał w coraz większy popłoch z powodu rosnącej popularności Rabbiego, zwłaszcza że wielu wczorajszych niedowiarków i przeciwników Jezusa pod naciskiem wymownych zdarzeń stało się Jego stronnikami.

Rabbi ze wstrzemięźliwym wzruszeniem przyjmował hołdy ludu. Czy był to Jego prawdziwy tryumf? Często witali Go żarliwą modlitwą. Często głośnym krzykiem wynosili pod niebo Jego chwałę. Czy mogą wiedzieć, kim On jest w rzeczywistości? Czy mogą wiedzieć, że to, co śpiewają, jest wprawdzie prawdą, ale prawdą pomnożoną o jeszcze jedną prawdę, wyższą nad wszystkie prawdy ziemskie i wszystkie prawdy niebieskie? Rabbi liczył na palcach: dziś jest pierwszy dzień tygodnia, jutro drugi, pojutrze trzeci, popojutrze czwarty, a wreszcie piąty, szósty, a potem Szabat i znów w cyklicznym uniesieniu powróci pierwszy dzień tygodnia... Czyż mogą przeczuć – zwolennicy i przeciwnicy – co nastąpi już za kilka dni tak

krótkich i znikomych, że na pewno, gdyby wiedzieli, co się stanie, nie uwierzyliby, aby krótkość i znikomość tego czasu mogły w sobie pomieścić nieskończony bezmiar Obietnicy, wypełniającej sobą cały wszechświat od jego niedościgniętego początku aż do jego niedościgniętego końca?

Jezus i śpiewający tłum – stok górski dość stromo opadał w tym miejscu ku Cedronowi – poczuli ostrożnie zstępować ku leżącej w dole Świątyni i miastu przypominającemu w porannych promieniach słońca przeciągającego się lwa, którego grzywiastą głową było Święte Świętych, a wyprężonym tułowiem był potężny, spiętrzony maszyn pałaców i domów o barwie płowego złota.

Jezus zatrzymał się. Do Jego uszu doszło sarkanie kilku faryzeuszów, jadowym szeptem ze znamiennej przesadą wymieniających między sobą uwagi o olbrzymim powodzeniu Rabbiego, za którym poszedł cały świat, co dalekie było od prawdy, ale bliskie przekonaniu przeczulonego arcykapłana i schlebających mu zwolenników. Wielkie oczy miał strach Kajafy. Jezus, usłyszawszy szemrania, spojrzął w stronę faryzeuszów, a jeden z nich, czując na sobie Jego wzrok, rzekł:

– Rabbi, skarc twoich uczniów z powodu ich radości.

Na to Jezus pochylił się ku przodowi, wyciągnął przed siebie dłoń i wykonując nią ruch, jakby dawał znak niewidzialnemu chórowi do rozpoczęcia śpiewu, odpowiedział mocnym głosem:

– Powiadam wam, gdyby uczniowie moi zamilkli, kamienie wołać będą.

Stali i słuchali, a apostołom zdawało się, że wszystko dokoła zaczyna kamienieć, że skamienieli ludzie i zwierzęta, skamieniały drzewa, rośliny i wszelkie wody, potem skamieniało niebo i powietrze, potem zastygł w kamienną bryłę czas i w granitowy głaz zamieniła się przestrzeń, i wszechświat stał się jednym kamieniem, śpiewającym kamiennoustymi ustami na chwałę Bożą, i spełniło się to, o czym przed chwilą z gorzką przesadą mówili faryzeusze: całe dzieło stworzenia wielbiło Jezusę ben Josef. Apostołów ogarnął zachwyty. Pomyśleli, że niepotrzebnie lękali się jerozolimskiego ludu, który teraz w radosnym nastroju wita Jezusa i z zaufaniem towarzyszy Mu do Świętego Miasta, najpiękniejszego ze wszystkich miast świata! Czy jest możliwe, aby żywe piękno Dawidowego miasta, oprawnego w potężne mury, które są odbiciem murów stolicy Wiekuistego, zawieszanej na wysokościach, mogło być złe i zdradliwe, podstępne i bezbożne, aby zagrażało bezpieczeństwu Rabbiego? Nierozumna była ich trwoga i niepotrzebny był ich niepokój. Kefas i Johanan ben Zebadia, wychodząc z Bethanii, zdjęci lękiem o życie Rabbiego, zmówili się między sobą i pożyczili u Eleazara krótkie miecze w skórzanych jaszczurach, i ukryli je pod tunikami, przytroczywszy pasami do boku. Uwierały ich te miecze, utrudniały chodzenie, ale bez skargi znosili dolegliwości,

wierząc, że broń może się przydać w legowisku wilków i lisów, dla obrony zagrożonego Męża. A teraz, patrząc na miasto pokoju i radujące się tłumy, zawstydzili się wielkim wstydem, a dusze ich spłonęły rumieńcem z powodu nieufności, jaką żywili dla ludu jerozolimskiego. Wprawdzie ci i owi faryzeusze mogą sarkać przeciw Rabiemu, ale lud miłuje Go i w razie niebezpieczeństwa stanie w Jego obronie, jak to uczyniła minionego roku straż świątynna podczas Święta Namiotów, a zresztą nie wszyscy faryzeusze są przeciwni Mężowi! – tak pocieszył Kefas swoją duszę i uspokoił jej drzenie, a dusza jego przestała szeleścić i z ufnością pomyślała o Jerozolimie i jej mieszkańcach.

A Jezus stał i wciąż patrzył na miasto.

Płacz Jezusa

W skwarze, który lał się z nieba na Jerozolimę, na dolinę Cedronu, na groby Podniesionej Dłoni i proroka Zecharii, na góry, lasy i pola – wszystkie barwy straciły swą przyrodzoną różnorodność i pod ognistym działaniem słońca przeobraziły się w płynne złoto o takim natężeniu i blasku, że ludzie, obejmując wzrokiem krajobraz, mrużyli oczy, chcąc je chronić przed jego oślepiającym iskrzeniem. Tylko niebo zachowało nieposzlakowaną błękitną biel, nieco spłowiałą po brzegach.

Jezus patrzył na Jerozolimę. Ileż razy wzruszał się jej wspaniałością! Ileż razy olśniewała Go swoim groźnym, a zarazem wdzięcznym pięknem! Zaprawdę była klejnotem nad klejnotami wśród nieprzebranych skarbów Jahwe! Już w samej swej nazwie zamknęła sens swojego istnienia – zwała się miastem pokoju – i jak wszystko, co korzeniami wyrasta z imion i nazw, tak i to miasto swoimi dziejami często przeczyło swojej nazwie i było wielokrotnie jaskinią niezgody i rozpadu, aniołem upadłym i nierządnym, złotem pokrytym nieczystością, świecznikiem strąconym w kałużę błota, i tak przecząc sobie, w miarowym rytmie wchodzenia na szczyty i schodzenia do czeluści, dojrzywało do swojej nazwy i do swojego przeznaczenia, miasto o zasłoniętych oczach, a jednak nieuchronnie zmierzające do celu, nieświadome czasu swojego, a jednak zbliżające się do dnia spełnienia, miasto kłótni, a jednak wybrana stolica pokoju, o miasto, miasto, miasto sieroce i żałobne – wargi Jezusa poruszały się w gorzkim wzruszeniu – miasto błogosławione i przeklęte, otoczone pierścieniami nieprzyjacielskich obozów, ściśnięte żelaznymi kleszczami, obłązione, druzgotane, niszczone ze wszystkim, co zawiera, z mężczyznami, kobietami, starcami i dziećmi o roztrzaskanych czaszkach, góra osmalonych ogniem kamieni i ochlapanych krwią gruzów, stos ofiarnych prochów! Lament zamarł w gardle Jezusa. Poczuli, jak wzbiera w Nim współczucie dla tego wytrzebionego do

szczętu miasta. Piersi Jego podniosły się raz i drugi. Kurczowo zaciśnięte szczęki z wolna rozluźniły się i w głębi serca poczęły gromadzić się łzy, coraz liczniejsze i liczniejsze. Z serca napłynęły do krtani dławiącym łkaniem. Oczy Jego zwilgotniały, wypełniły się łzami, a w każdej z nich był jęk i krew zarzynanego ludu, i ten jęk ciążył, i ta krew ciążyła, i każda łza pęczniała od nadmiaru jęku i krwi, i była już tylko jękiem i krwią. I powoli poczęły się toczyć po chudych policzkach Jezusa krople łez, a znalazłszy sobie dogodne ujście w dwóch zmarszczkach, opadających ku ustom, spłynęły na wargi, zwilżyły je gryzącą słonością i znikły wśród srebrnych nitek krótko przystrzyżonej brody.

Jezus płakał i płacząc mówił:

– O, gdybyś w tym dniu poznała, Jerozolimo, co służy pokojowi, lecz teraz zakryte jest przed twoimi oczami! Przyjdą na ciebie dni, że twoi nieprzyjaciele otoczą cię wałem i obiegną cię, i ścisną cię zewsząd. Zrównają cię z ziemią, dzieci twoje wytepią w twoich murach i nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu, albowiem nie poznałaś czasu swojego nawiedzenia!

Apostołów, uczniów i tłum ogarnął niepokój. Ich duch osłabł i skurczył się i stali się jak zstępujący do szeolu. Ich twarze, jeszcze przed chwilą weselne i odświętne, teraz sępnęły pod wrażeniem lamentu Jezusa i łez płynących po Jego policzkach. Dlaczego Rabbi nagle poddał się przygnębiającemu smutkowi? Co zaszło w Jego wnętrzu? Skąd wzięła się w Nim tak wielka troska, która kazała Mu płakać nad Jerozolimą podczas radosnych krzyków i śpiewów ku Jego chwale? Ludzie czekali na wyjaśnienie, które by przywróciło radosny nastrój słonecznemu dniu. „Ta przepowiednia jeszcze bardziej rozjątrzy Jego wrogów” – pomyśleli apostołowie. „Fałszywy prorok” – pomyślał Juda z Kerijoth.

Jezus podbudził stopami boki osiołka. Ruszyli po stoku górskim ku dolinie, po moście przerzuconym przez Cedron, i stanęli przed Złotą Bramą. Jezus zsiadł z osiołka i przywiązał go do pala. Zzuł sandały. Wszedł na dziedziniec świątynny.

Oczy miał wciąż jeszcze wilgotne od łez.

Spotkanie na dziedzińcu Pogan

Jezus i apostołowie pomodlili się w Świątyni przed Kodesz Hakodeszim, po czym udali się na Dziedziniec Pogan, gdzie o tej porze roiło się od przekupniów, pieniądze i pielgrzymów, spośród których wyróżniało się kilku synów Izraela, przybyłych z Grecji; przechadzali się w odświętnych strojach i błyszczącą wytwornością okazywali ludowi, że są już gotowi na uroczyste powitanie Pesachu; przyglądali się straganom pełnym towarów potrzebnych do liturgicznych czynności,

pięknym chustom modlitewnym, drogocennym kadzidłom, sproszkowanym balsamom i aloesom, synogarlicom i gołębiom, trzepocącym niecierpliwie w klatkach, jagniętom leżącym na dziedzińcu jak płaty białego śniegu; przystawali, ich wzrok w błogim uniesieniu błędził po murach Świątyni, z zachwytem kiwali głowami nad jej pięknnością, a gdy nacieszyli oczy widokiem mieszkania Bożego, zstępowali z powrotem na ziemię – Świątynia wprawdzie fundamentami tkwiła w ziemi, ale równocześnie jej fundamenty w niepojęty sposób znajdowały się w niebie – i czuli się tak, jakby przez chwilę przebywali u stóp Elohim. Gdy nadmierne uniesienie nieco ostygło, poczęli rozpytywać jednego ze swoich, czarnobrodego przewodnika o roztropnym obliczu, doświadczonego pielgrzyma, który już wielokrotnie przebywał w Jerozolimie, kim są ci i tamci mężowie przechadzający się po dziedzińcu, albowiem w każdym węszyli dostojnika i uczonego, a ilekroć z ust czarnobrodego padały imiona mędrców, pielgrzymi wydawali ciche okrzyki zadowolenia i wzdychali na znak, że imiona te są im dobrze znane z nauk i licznych dyskusji. Nagle dostrzegli mijającą ich gromadkę ludzi. Czarnobrody wyjaśnił, że Rabbi idący na jej czele jest Jezuą ben Josef z Nazarethu, prorokiem i cudotwórcą, którego już raz widział podczas świąt w Jerozolimie. Wśród pielgrzymów na dźwięk Jego imienia zapanowało poruszenie, a ponieważ zapragnęli usłyszeć z ust mądrego Nauczyciela naukę Bożą, która by ich oświeciła i natchnęła bogobojnym duchem, podążyli za Nim, a dwaj z nich, przyśpieszywszy kroku, zatrzymali Filipa z Bethsaidy i Andraja, idących nieco w tyle, i prosili ich, aby nakłonili Jezuę ben Josef do wygłoszenia mowy pouczającej. Jezus zgodził się. Przystanął. Pielgrzymi otoczyli Go kołem. Przyłączyło się do nich kilku przechodniów, a do nich jeszcze kilku i znowu kilku, w niewielkiej odległości zatrzymała się garstka faryzeuszów i wkrótce zgromadziła się spora rzesza, i z zapartym tchem słuchała Rabbiego, który przemówił, a przemawiając mówił o Synu Człowieczym i o żywym ziarnie pszenicznym, padającym w rozoraną ziemię, i tak przemyślnie i wyraziście przyrównywał Syna Człowieczego do ziarna, że natychmiast ujrzeli Go zstępującego w głąb ziemi; było to nie tyle zstępowanie, co raczej powrót Syna do matczynego łona, do Jahwe rodzącego, do Jahwe-Matki, a obraz ten wyobrażający powracającego Syna do matczynego Boga nie był dla nich ani osobliwy, ani też nie wymagał wytrawnych objaśnień, gdyż znali upodobanie Pana do zjawiania się w postaci matki noszącej niemowlę na rękach lub pieszczącej je na kolanach, czego ślady znajdujemy w nad wyraz wzruszających słowach proroka Jesai. Mówił więc o ziarnie, a oni uważnie słuchali. Ziarno, jeżeli nie padnie w ziemię i nie umrze, nie jest ziarnem żywym, jeżeli jednak umrze, staje się obfitym źródłem życia i dzięki temu śmierć zamienia się w życie; niechaj zatem idą za Synem

Człowieczym i niechaj Mu służą, a każdego człowieka idącego za Nim uczci Elohim, Pan nieskończonorodnej śmierci, która jest życiem. Wprawdzie dusza Syna Człowieczego jest teraz strwożona, a może nawet do głębi wstrząśnięta śmiercią, którą dawno umarł, a przecież nie może On powiedzieć Panu, aby Go od tej śmiertelnej godziny ratował – dla tej jednej, jedynej godziny Elohim rozłamał wieczność, jak się łamie chleb, i jej kęs, wyobrażający czas ziemski, ofiarował człowiekowi – bo przecież właśnie dla tej jednej, jedynej godziny przyszedł i dla tej godziny uwielbił Go Jahwe Cebaoth, uwielbił i jeszcze uwielbi, a głos uwielbienia dojdzie do uszu ludu mową anielskich grzmotów na dowód, że Pełzający będzie powołany na sąd i już wkrótce utraci władzę nad światem. Będzie to godzina wywyższenia nad całą ziemią Syna Człowieczego, który wszystkich ludzi pociągnie ku sobie, dzięki czemu będą oni podniesieni i wywyższeni do wysokości Jego podniesienia.

Gdy Jezus skończył mówić, poczęli zasypywać Go pytaniami. Chcieli wiedzieć, dlaczego Syn Człowieczy, jeżeli jest Mesjaszem – z wyvodu Rabbiego wyraźnie wynikało, że utożsamiał Go z Synem Człowieczym – ma być wywyższony, skoro nigdy nie był poniżony i od bezczasu trwa na najwyższych wysokościach u boku Elohim? A jeżeli nie jest Mesjaszem, kim jest właściwie Syn Człowieczy? Pytania te nie były zaprawione wrogością ani złośliwą kpina, płynęły z głębi chwiejnych serc słuchaczy, którzy nie umiając pogodzić wizerunku Mesjasza, jaki nosili w sobie od zarania życia, z wizerunkiem Syna Człowieczego, nakreślonym przez Rabbiego, pragnęli usłyszeć od Niego wytłumaczenie wszystkich związków zachodzących między jednym a drugim pojęciem; niestety Mąż nie tylko nie wyjaśnił im trudnej sprawy, ale swoją opowieścią, pozornie odległą od ich pytań, jeszcze bardziej zaostrzył ich ciekawość i pobudził ich niepokój; była to wprawdzie opowieść prosta, mimo to bardzo zawiała i dlatego jeszcze bardziej utrudniła zrozumienie sedna sprawy, która teraz, po Jezusowym wywodzie o Świetle przebywającym czas krótki wśród ludzi, wydała się słuchaczom niezwykle tajemnicza i ciemna. Mato tego. Jezus do jednej trudności dodał drugą. Mówiąc o Świetle przebywającym wśród ludzi, z naciskiem podkreślił Jego krótkotrwałe działanie czy też krótkotrwałą obecność na ziemi – tego wyraźnie nie określił, w każdym razie działanie Światła zamknął w krótkim okresie czasu, a dowód na to znajdujemy w Jego wezwaniu skierowanym do słuchaczy, aby działali pospiesznie, bo wkrótce zaskoczy ich ciemność – gdyby więc nawet słuchacze w swojej wyobraźni skojarzyli osobę Światła z osobą Mesjasza, to i tak powstałby nowy dylemat, tym razem dylemat czasu, związany z Pomazańcem, który przecież nie może zjawić się na ziemi na czas krótki, skoro ma całkowicie odmienić oblicze ludzi i ziemi i rozpocząć swoim zjawieniem się czas

wiecznej szczęśliwości, a trudno ją sobie wyobrazić bez wiecznej obecności Mesjasza. I jakby jeszcze tych trudności było za mało, Jezus wspomniął o ciemnościach zalegających świat, a równocześnie dodał, że Światłość już zapanowała, i wezwał słuchaczy do udzielenia jej bezgranicznej wiary, i ani jednym słowem nie wytłumaczył, jak mogą ciemności spowijać ziemię, skoro zapanowała na niej Światłość. Rozkładali ręce, drapali się w głowy, w roztargnieniu skręcali i rozkręcali kędziory u skroni i wciąż niczego nie pojmowali. Ani pielgrzymi z dalekiej Grecji, ani przygodni słuchacze, ani faryzeusze, ani apostołowie. Chcieli jeszcze zadać Rabiemu wiele pytań, On jednak ruchem ręki wezwał apostołów do powrotu. Wyszli ze Świątyni przez Złotą Bramę i udali się do Bethanii. Po drodze, gdy mijali Bethfage, Rabbi polecił apostołom udać się do wsi i zwrócić osiołka jego właścicielowi.

Pogłaskał go po grzywie.

Poszedł dalej piechotą.

Miriam szuka Jezusa

Siwiejące włosy Miriam, gładko zaczesane, o błękitnym połysku, splecione w tyle głowy w gruby węzeł, wciąż jeszcze nadawały jej smagłej twarzy dziewczęcy wyraz, chociaż zmarszczki pod oczami świadczyły o głębokich troskach, które były udziałem jej życia. Wiek nie przygarbił jej ramion, a gorzkie łzy – a było tych łez dużo, bardzo dużo, a były tym boleśnieszce, że wylewała je w ukryciu, w czterech ścianach izby, w samotności – nie odebrały jej wargom świeżości, podobnie jak lekko wysunięta broda, świadcząca o silnej i nieugiętej woli, nie pozbawiła jej twarzy łagodności i wdzięku. Tylko w oczach malowało się znużenie, podkreślone smutnym uśmiechem, pełnym cierpliwości, gotowej przyjąć każdy wyrok, który w swojej groźnej łagodności wyda na nią Elohim. Te oczy były tak samo błękitne jak dawniej. I właśnie ta rozbieżność między ich niezmaconym błękitem a znużonym zamyśleniem była tak znamienym rysem tej opanowanej twarzy, że patrząc na nią, odbierało się niezachwiane wrażenie, jakby w duszy niewiasty, mimo jej zewnętrznego spokoju, rozgrywał się dramat, do którego bolesnego końca świadomie się zbliżała.

Szła powoli, trzymając w ręce węzełek. Przybyła dzisiaj do Świętego Miasta w towarzystwie galilejskich krewnych i pielgrzymów. Wprawdzie domyśliła się, że jej Syn jest w Jerozolimie, bojąc się jednak o Jego życie i bezpieczeństwo, z ulgą przyjęłaby wiadomość o Jego nieobecności. Niestety, Jeszua ben Josef, jak ją powiadomili tutejsi krewni, zamieszkali w Bethesda, zjawił się w Jerozolimie dzisiaj

rano w otoczeniu apostołów i uczniów. Powiedziano jej, że witany był z głośną radością przez tłumy mieszkańców i pielgrzymów, co było nie lada pociechą dla Miriam, bo skoro lud wita Jezusę uroczyście i czolobitnie, to Kajafa, Hanan i ich zausznicy, chcąc nie chcąc, muszą się liczyć z wolą ludu i nie mogą przemocą działać przeciw jej Synowi, za którym stoją rzesze. Herod Antypas dopuścił się ongi zbrodni na nieszczęśliwym Johananie ben Zecharia – niech światło Elohim wiecznie świeci nad jego duszą – i natychmiast poczuł na sobie skutki tego czynu, gdyż lud na zawsze odwrócił się od niego. Przecież tego błędu nie powtórzy Kajafa i nie będzie prześladował błogosławionego cudotwórcy, przywracającego do życia zmarłego człowieka. Nie! To niemożliwe! Przypomniawszy sobie cudowne zdarzenie z Eleazarem, poczęła je zgłębiać już nie wiadomo po raz który, i jak wtedy, gdy po raz pierwszy doszła do niej w Nazarecie wieść o wskrzeszeniu – z początku przyjęła ją z pobożną nieufnością, z jaką najbardziej bogobojni i ostrożni ludzie powinni przyjmować wiadomość o cudzie Bożym – tak i teraz wezbrała w niej nieskończona wdzięczność dla Elohim za użyczenie jej Synowi, niczym drugiemu Elijahu, daru przywracania do życia umarłych, co jest chyba największą łaską ze wszystkich, którymi obdarzył Jezusę. Gdy potem potwierdziła się wieść o cudzie wskrzeszenia, niewiastę napełniła skromna duma i krążąc myślami dokoła Jezusy znowu głowiła się nad trudnym zagadnieniem, które natrętnie wracało do niej, ilekroć wielojęzyczne usta przynosiły wieści o dziełach jej Syna: kim jest Jezua? Było dla niej jasne, że nie był drugim Elijahu. Gdy posługiwała się tymi lub innymi porównaniami, czyniła to dlatego, bo starając się określić wielkość Syna, sięgała do przystępnych jej przykładów i obrazów z przeszłości, która zawsze była przy niej obecna i tak bliska, że stanowiła niepodzielną część otaczającego ją życia. Więc kim jest ten Syn, którego poczęła?... Nie, nie, o tym nie chciała myśleć. Nie chciała? Bała się myśleć. Tego, co wtedy w niej zaszło, nie ogarniała myślami. To było... Poczęła żarliwie modlić się w duszy, a podczas gdy błagała Pana o wyrozumiałość dla swego nieumiejętnego myślenia, Elohim z zadowoleniem się uśmiechał, albowiem ukochał takie okoliczności, w których bogobojni człowiek niepokojem swoim przyświadcza i urzeczywistnia to, co On zamierzył. I tak Pan łagodnie, według swoich nieskończonych możliwości, za pomocą niespokojnych pytań, które sama sobie zadawała, przygotowywał Miriam do przyjęcia mającej już wkrótce objawić się wstrząsającej Prawdy.

Szła z Bethesdy przez miasto rojnymi ulicami do Świątyni Pańskiej, gdzie według wiadomości otrzymanych od krewnych powinien teraz znajdować się jej Syn.

W mieście o tej porze dnia panował zwykle ożywiony ruch, tym razem ulicami przewalały się niezliczone tłumy, był to bowiem czas przedświątecznych zakupów

i przygotowań, a kupcy i przechodnie, korzystając z napływu bogatych pielgrzymów, zawsze chętnych do dokonywania potrzebnych i niepotrzebnych zakupów, rozłożyli w sklepach, na straganach i na ziemi najpiękniejsze towary: misterne wyroby złotników, mogących iść śmiało w zawody z egipskimi mistrzami sztuki złotniczej, naczynia gliniane, toczone i wypalane przez doświadczonych galilejskich garncarzy, wełniane sukna gęsto tkane, lniane płótna, adamaszki, jedwabie, barwne sandały, pasy przetykane złotymi nićmi, uroczyste chusty niewieście, mieniające się siedmioma barwami tęczy, i jerychońskie pachnidła w słoikach w kształcie kwiatów; wielu spośród przechodniów raczyło się plackami – nabywali je u licznych sprzedawców – nadziewanymi gorącym siekanym mięsem, zaprawionym czosnkiem, cebulą i pieprzem, ciastkami z miodu i orzechów, chłodzącymi napojami, zwłaszcza orzeźwiająjącym sokiem z granatów; niektórzy pielgrzymi przybyli z dalekich krajów, bardziej ocytani w Piśmie i rozmiłowani w dociekaniach prawdy Bożej, przenosząc strawę ducha nad strawę ciała, świętość Słowa nad rozkosz oczu i żołądka, szli do Dzielnicy Uczonych, jakby oderwanej od świata i oddzielonej od niego murem ciszy – była to dzielnica zamieszкана tylko przez uczonych, w której dla ich wygody i spokoju nie wolno było zakładać warsztatów ani szkół – i tutaj, przechadzając się z dala od zgiełku i wrzasku tłumów, oddychali powietrzem mędrców, pochylonych nad księgami proroków, a wiadomo przecież, że już samo oddychanie takim powietrzem czyni człowieka mędrszym.

Zmęczona Miriam, zewsząd popychana, z trudem przedzierała się przez gąszcz ludzi, osłów i wielbłądów i zdążając w kierunku Świątyni wciąż rozglądała się dokoła w poszukiwaniu Jezuy lub kogoś z Jego najbliższego otoczenia. Ach, gdyby udało się jej spotkać tutaj jakiegoś Jego ucznia, który mógłby zaprowadzić Ją do Syna lub choćby wskazać, gdzie On teraz przebywa! Czuła się zagubiona i samotna. Obce jej były pragnienia tego tłumu, jego radosny nastrój i rozrywki. Obojętnie patrzyła na rozłożone na straganach towary. Szła bezwolnie przed siebie, niesiona ludzką falą, głucha na wszystkie dobiegające ją głosy, zasłuchana we własny niepokój, który drażył jej duszę miarowo i nieustannie. Między nią a tłumem była przepaść. Cóż wiedzą ci ludzie o jej cierpieniu i trwodze? Nikt z tych matek i ojców nie ma syna, przeciw któremu sprzymierzyły się wszystkie siły zła. Dla żadnej z tych matek i dla żadnego z tych ojców twarz arcykapłana Kajafy nie jest nieprzeniknioną ciemnością. Pracują, żyją w rodzinnym gronie, ich synowie nie porzucają domów, a gdy rodzice chorują, dzieci czuwają u ich łoża, a gdy dzieci zmożone niemocą mającą w gorączce, rodzice troskliwie pochylają się nad nimi. Nie wiedzą, czym jest okrutna samotność, gdy nocą łza łzę pociesza i łza łzie odpowiada. Miriam nie jest zazdrosna i nie pożąda niczyjego szczęścia. Na pewno nie oddałaby radości swojego cierpienia

za cudzą bezbolesną radość. Ale czy Jezua nie mógłby być tym, czym jest, nie odchodząc od niej? Czy odejść musiał? Czy musiał ją pozostawić samą? Na łasce krewnych i powinowatych? Na łasce tęsknoty? I z codziennym, rozdzierającym niepokojem wypatrywania, bo może właśnie teraz wraca, więc jakże nie wyjść przed dom i nie wyrzeć na drogi, prowadzące do Nazarethu z północy, południa i wschodu? Westchnęła. Musiał odejść, skoro odszedł. Oby tylko był przy niej w godzinie jej śmierci i położył dłoń na jej czole. Oby tylko czuła w ostatniej chwili życia dotknięcie Jego palców. Oby tylko zamknął jej oczy. Długo jeszcze snułaby melancholijne rozmyślenia, gdyby ich nie przerwał nagły błysk: ktoś idący obok wypowiedział imię jej Syna. Słyszała je wyraźnie. Dwaj mężowie, którzy ją właśnie wymijali, rozprawiali o uroczystym wjeździe Jezuy ben Josef z Nazarethu – tak powiedzieli dosłownie: – To był uroczysty wjazd – a słowa te zabrzmiały w ich ustach jak sprawozdanie z królewskiej uroczystości – i dodali: – Oby Wiekuisty zachował Go po najdłuższe lata w Izraelu! – a Miriam, usłyszawszy te słowa, rozradowała się w Bogu i poczęła w sobie śpiewać psalm ku chwale Pana, i błagała Go, aby jej Syn nie doświadczył złej przygody, a utrapienie nigdy nie zbliżyło się do Niego. To psalmiczne natchnienie miało dla niewiasty zbawienny skutek, bo smutne przygnębienie ustąpiło z jej serca, a ustępując odsłoniło przed nią obraz Rabbiego Jezuy, witanego radosnymi okrzykami przez cały naród Izraela, który wznosił ręce do nieba i dziękował Elohim za zesłanie Męża najpiękniejszego spośród synów człowieczych. Chciała zatrzymać owych dwóch przechodniów, rozprawiających z tak wielką czcią o jej Synu, i spytać o szczegóły uroczystego wjazdu – o, jak dostojnie określili pielgrzymkę jej biednego Jezuy! – i o miejsce Jego pobytu, ale zawstydziała się, albowiem nie było zwyczaju, aby samotnie idąca niewiasta przemawiała do nieznanym mężów, więc tylko spojrzawszy na nich z wdzięcznością, szła dalej w kierunku Świątyni. Inaczej już teraz patrzyła na ludzi. Ten tłum przestał się jej wydawać nieżycliwy, nieprzystępny, groźny. Był częścią tych tłumów, a może nawet i tym samym tłumem, który witał jej Syna i wprowadził Go z czcią i uwielbieniem w mury Świątyni Pańskiej wśród śpiewów i szelestu palmowych liści. Jej niepokoje są urojone. Idąc, dziękowała w myślach ludowi, który stanął po stronie jej Syna i zgotował Mu radosne przyjęcie u progu święta, i na pewno, gdy zajdzie konieczność, osłoni Go przed nienawiścią mężów krwi, Kajafy, Hanana i ich stronników, a Elohim kierować będzie roztropnością, odwagą i siłą mężów broniących jej Syna, który ukochał prawdę, nienawiść ma w nienawiści, dlatego Pan pomazał Go olejkim wesela i wywyższył nad Jego braci. Postanowiła zajrzeć na Dziedziniec Pogan i Mężów, a jeżeli nie znajdzie tam Jezuy, pójdzie do Geth Szemanim, do domu swojej dobrej znajomej Mariam, matki młodzietkiego

Johanana – nie wiadomo, dlaczego rówieśnicy przewali go Markiem – a jeżeli nie zostanie tam Syna, przenocuje u nich i jutro wczesnym rankiem uda się do Bethanii, do Eleazara i jego sióstr, których i tak zamierzała odwiedzić. Uważała, że przecież Eleazar powinien coś wiedzieć o miejscu zamieszkania swojego Wskrzesiciela. A może Jezua zatrzymał się u Eleazara? Żałowała, że nie poszła przede wszystkim do Bethanii. Stamtąd powinna była rozpocząć poszukiwania. Było już popołudnie, gdy stanęła na Dziedzińcu Pogan. Mimo żaru panował tutaj ożywiony ruch, bo nikt z kupców, pieniędzyników i handlarzy nie miał zamiaru wyrzekać się w okresie przedświątecznym zarobków i zażywać w domu leniwego odpoczynku. Prażyli się więc na słońcu i głośnym wołaniem, które jeszcze bardziej potęgowało skwar, wabili do siebie pielgrzymów, ofiarując im – zawsze, jak twierdzili, z własną stratą – wymianę pogańskich pieniędzy na świątynne szekle i sprzedaż jagniąt, owiec, synogarlic, gołębi, cieląt i wonnych proszków do kadzideł. Miriam stanęła na stopniach Portyku Salomona i bacznie śledziła, co się dzieje na dziedzińcu. Jej wzrok ślizgał się po straganach, po stołach pieniędzyników, po gromadach rozprawiających ludzi, po twarzach przechodniów. I nagle... Wyprostowała się. Jej spojrzenie zatrzymało się na rzeszy otaczającej jakiegoś przemawiającego męża. Wyteżyła wzrok. Poznała. Jezua! Zbiegła ze stopni Portyku. W połowie drogi zatrzymała się i resztę odległości, dzielącej ją od Syna, przebyła niespiesznym krokiem, spokojnie i godnie, jak przystało na niewiastę o siwych włosach. Stanęła za plecami słuchaczy i wyteżyła słuch. Była tak wzruszona, że słysząc, nie słyszała, co On mówi. Dotarły do niej pięknie ukształtowane zdania, których sensu nie rozumiała. Były one dla niej szumem drzew, wiatrem wiejącym od morza, najczystszy szelestem. Czuła nieomal na twarzy ich powiew. Nie wiedziała, czy są to słowa groźne, czy łagodne, karcące, czy chwalące. Wiedziała tylko, że są to Jego słowa. Czy ma Go przywołać najukochańszym imieniem? A może powinna zawołać: „Tu jest Twoja matka! Tu jest! Spójrz! Tu jest!”? A może powinna, nie bacząc na obowiązujące zwyczaje, roztrącić otaczający ją tłum i rzucić się Synowi na szyję? Olśniło ją przypomnienie odległego czasu – było to przed dwudziestu laty – gdy po długich poszukiwaniach, po obficie wylanych łzach odnalazła wreszcie dwunastoletniego Jezua w Świątyni Pańskiej. Zdawało się jej w kojącym złudzeniu, że nic się od owych dwudziestu lat nie zmieniło, że czas stoi w miejscu, dobry, współczujący i miłosierny czas, że obok niej jest jej mąż, Josef ben Jaakow – błogosławiona niech będzie jego dusza spoczywająca u stóp Wiekuistego! – i przytrzymuje ją za ramię, a ona, uwolniwszy się od męzowskiej dłoni, biegnie, roztrąca uczonych i zarzuca ręce na szyję ukochanego Syna. Czy znów teraz powtórzy się to samo zdarzenie? Czy znów z ust Jezuy padną dwa krótkie i proste zdania – pamięta je, pamięta, jak dobrze pamięta! – których sens

będzie przed nią znowu ukryty? Zmarszczyła czoło. Taki jest jej los. Stała niezdecydowana. Łzy paliły ją pod powiekami. Przewyciężyła w sobie chwiejność i poczęła powoli cofać się ku Portykowi Salomona, w cień potężnych kolumn. Zawsze była niewiastą cienia i taką powinna pozostać.

I taką pozostała.

Wyszła ze Świątyni i udała się do krewnych, mieszkających na przedmieściu Bethesda.

Bezplodny figowiec

O świcie następnego dnia ruszyli z Bethanii, gdzie spędzili noc, do Jerozolimy. W połowie drogi, opodal Bethfage ciągnęły się piękne gaje figowe, będące obok drzew oliwnych ozdobą tego surowego krajobrazu.

Jezus lubił drzewa. Nie wiadomo, czy to umiłowanie wykształcił w Nim Josef ben Jaakow – a wiemy, jak się radował, gdy dostrzegł w Synu-Nie-Synu miłość do wszelkich drzew – czy też po prostu wyssał je z mlekiem matki, córki Izraela, który zawsze kochał się w drzewach, przypisywał im wiele ludzkich cech charakteru, pragnienie, zazdrość, radość – ileż to razy lud podziwiał klaszczące, śpiewające i skaczące drzewa! – a nawet w swoich dalekich sennych marzeniach upatrywał w drzewie rajskim... człowieka, a Prawo nazywał Drzewem Życia i wierzył, że Elohim, podobnie jak nad ludami, sprawować będzie sąd nad drzewami w dniu równie groźnym i gniewnym jak ten, w którym wyda wyroki na grzechy ludzkie; Pan zazdrosny o uczucia ludu wyrozumiale pobłażał tej miłości, chociaż wyrozumiałość Jego miała granice: zawsze pałał okrutnym gniewem przeciw tym, którzy w drzewach upatrywali ohydę nierządnych bóstw. Wtedy był bezlitosny, zarówno dla ludzi wierzących w drzewa, jak i dla drzew udających bogów. W zasadzie jednak, patrząc na miłość Izraela do drzew, wzruszał wyrozumiale ramionami, a w końcu posłużył się jego uczuciami dla własnych celów i korzyści w sposób wielce przemyślny, godny Jego nieskończonej głębi i mądrości: uczynił z drzew symboliczny, obrazowy język, w którym przemawiał do synów człowieczych, Izrael wiedział więc, że ilekroć Pan mówił o winnicy Pańskiej lub o drzewie migdałowym, miał na myśli lud wybrany, o krzakach ciernistych – grzeszników, o cedrach – wspaniałość królewską, o figach – poszczególnych synów Izraela, synów człowieczych, jednostki, nigdy natomiast nie upatrywał pod tym symbolem ludu swojego jako zamkniętej całości, co wielokrotnie wypowiadał ustami proroków, a między innymi Hosei, któremu kazał dla jasności i ścisłości mowy znaków dokładnie określić różnice, zachodzące między symboliczną wartością

winnicy i owocu figowego: „Jak winne grono na pustyni, tak Izraela znalazłem, jak na pierwszy owoc figowego drzewa, na waszych ojców patrzałem”.

Jezus, ujrawszy gaje figowe, przystanął i bacznie im się przyglądał, po czym podszedł bliżej do jednego z figowców, ostrożnie ujął w palce gałązkę – był głodny, ale wiedział, że nie była to jeszcze pora na dojrzałe figi – i rozchylił drobne listki, między którymi spodziewał się znaleźć zawiązujące się maleńkie owoce, świadczące o urodzajności drzewa. Drzewo było bezpłodne. Cofnął dłoń. Pod zamkniętymi powiekami ujrzał nieurodzajnych synów człowieczych, nikomu nie potrzebnych, przeczących swoim istnieniem tym celom, którym powinni służyć, a nie służyć z powodu swojej bezpłodności. Pan kazał się rozmnażać duchowo i cieleśnie. Wszystko, co jest bezpłodne z ducha i ciała, jest szkodliwe i złe. Wszystko, co nie rodzi, przeczy Panu. Wszystko, co nie rozmnaża się, jest grzeszne. Czym są ci wszyscy fałszywi i zakłamanymi kapłani, jak Kajafa i Hanan, wraz ze swoimi faryzejskimi i saducejskimi współnikami, kapłanami i bogaczami, udającymi pokorę i pobożność, ci wszyscy handlarze kupczący na Dziedzińcu Pogan, jeżeli nie drzewem figowym w pięknej szacie z zielonego listowia, pod którym gnieździ się ugorna pustka? Tak Jezus wołał w sobie w coraz bardziej przybierającym gniewie, a równocześnie rósł w nim okrutny głód i wzmagало się pragnienie nasycenia się człowiekiem, albowiem podobnie jak człowiek jest głodny Boga, tak samo Bóg jest głodny człowieka i pragnie go wielkim pragnieniem, i pożąda go wielkim pożądaniem, i podobnie jak chlebem człowieka jest Bóg, tak chlebem Boga jest człowiek, człowiek owocujący sprawiedliwością, a Elohim karmi się jego sprawiedliwością, pokorą i dobrocią, a biada człowiekowi, który nie karmi sobą Boga i odmawiając Mu siebie, pozostawia Go głodnym i spragnionym, biada Kajafie i biada Hananowi, biada przekupniowi, handlującemu miłością Boga, biada faryzeuszom, saduceuszom i kapłanom, co mówią tak, a myślą nie, i mówiąc nie, myślą tak, biada drzewu bezpłodnemu, i niech będzie przeklęte drzewo bezpłodne imieniem Kajafa i drzewo bezpłodne imieniem Hanan, i drzewo bezpłodne – człowiek obłudny, i drzewo bezpłodne – handlarz wiary, i niechaj na wieki nie rodzi się z niego owoc, i niech będzie przeklęta pustka ugorna i dusza ugorna, na wieki wieków. Amen.

Tak mówił Jezus.

A drzewo uschło.

Inny Jezus

To było wielkie przeżycie. Z początku milczeli, a gdy milczenie stało się nie do

zniesienia, poczeli prowadzić bezładną rozmowę, z początku o figowcu uschniętym, a potem szybko przeszli na tematy obojętne, tak obojętne, że aż zdumiewa, jak mogli teraz, skoro przed chwilą byli świadkami cudu, zabawiać się rozmową nie mającą nic wspólnego z przeklętym drzewem. Ale skrzywdzilibyśmy apostołów, gdybyśmy ich nadmierną gadatliwość uważali za objaw niewrażliwości, oziębłości uczuć lub braku zrozumienia dla cudownej przygody. Przeciwnie. Powiedzieliśmy, że wielkie było przerażenie apostołów. Słusznie. O tym, co widzieli, nie chcieli zbyt wiele i głośno mówić, bo wtedy musieliby podzielić się między sobą nurtującym ich zwątpieniem... Zwątpieniem? O czym zwątpili apostołowie? O obrazie Jezusa, który tworzyli sobie stopniowo, z trudem i bez wielkiego powodzenia przez trzy lata swojej obecności u Jego boku. A ponieważ nikt z nich niczego w sobie nie rozstrzygnął, a równocześnie nie umiał już dłużej pozostać sam na sam ze swoimi dokuczliwymi myślami, chwycili się dziecinnego podstępu i mówiąc o rzeczach obojętnych, starali się, każdy przed sobą samym, zagłuszyć i ukryć trwogę i zwątpienie. Przeżyli głęboki wstrząs. Dotychczas wszystkie cuda, których dokonywał Jezus, były cudami wskrzeszającymi i uzdrawiającymi, radosnymi, przywracały do życia ludzi, ożywiały martwe członki ciała, leczyły, prostowały to, co było krzywe, wzmacniały to, co było słabe, łagodziły, koły bóle, pokrzepiały na duchu, wypędzały Pełzającego, pomnażały chleb i ryby, zamieniały wodę w wino. Byli przekonani, że Rabbi przyszedł na ten świat po to, aby ożywiać wszystko, co jest martwe, i leczyć wszystko, co jest chore, podczas gdy teraz nagle naocznie ujrzeli, że jest nie tylko lekarzem, wskrzesicielem, ale także sędzią uśmiercającym. Rabbi uśmiercił chore drzewo. Objawił się im w zupełnie nowej postaci, w postaci Mocy dającej miłosiernie życie i równocześnie zadającej bezlitośnie śmierć. To był już inny Jezua ben Josef. Zupełnie inny. Nie do poznania. Jakby się na ich oczach odmienił. Jezua nie tylko łagodny, dobry i kochający – nawet gdy popadał w zapalczywość, nie tracił nic ze swojej łagodności i dobroci – ale również groźny wielką grozą i straszliwy wielką straszliwością, wypełniony mocą strącania do szeolu, tą samą, którą posiadał Jahwe! Zakręciło się im w głowach. Gdy patrzyli na usychające drzewo, ogarnął ich lęk przed niszczącą mocą Jezusa. Był to lęk inny od tego, którego dotychczas doznawali. Gdy ich łątał i napominał, gdy im wyrzucał słabość wiary, gdy gniewnie pouczał o obowiązkach i wzywał do ich wykonywania, nigdy nie powstawał przedział między Nim a nimi, bo zawsze mieli poczucie nierozzerwalnych związków łączących uczniów z nauczycielem, wychowanków z wychowawcą. Teraz ujrzeli między Nim a sobą nieprzebytą ścianę, po jednej stronie siebie, po drugiej Wszechmoc nieosiągalną ani wzrokiem, ani słuchem, ani dotykiem. Niewidzialność o niewidzialnej twarzy Jahwe, strącającego w przepaść zagłady. Drżeli. Żadne

cudowne zdarzenie – nawet wskrzeszenie Eleazara – nie uczyniło na nich takiego wrażenia jak cud drzewa uśmierconego. Jezua po raz pierwszy posłużył się dla swoich niedocieczonych celów cudem uśmiercającym. Dotychczas wiedzieli, że dzierży w swoich rękach życie. Przerazili się, że w tych samych rękach dzierży śmierć. Więc mówili, mówili, mówili nieskładnie o wszystkim i o niczym, byleby tylko zagłuszyć w sobie lęk, i radzi byli, że Jezus, znacznie ich wyprzedziwszy, znikł im z oczu. Wiedzieli, że idzie do Świątyni Pańskiej.

Zdążając za Nim przeczuwali, że dzieje uśmierconego figowca jeszcze nie są zamknięte.

Jezus wypędza kupców ze świątyni

Siedem oczu Jahwe czuwało nad budową Świątyni. I siedem oczu Pańskich czuwa nad czystością kapłańską, ale wielu kapłanów odwróciło się od Pana i uczyniło Świątynię jaskinią zła; siedem oczu Jahwe czuwa nad Izraelem i siedem oczu Pańskich czuwa nad jego wybraństwem, ale wielu spośród ludu odwróciło się od nakazów Pana – Jezus, zstępując po stoku Góry Oliwnej ku Złotej Bramie, wrzał coraz większym gniewem – a chociaż Pan nakazami odgraniczył swój lud od zła, wielu popadło w zło i idzie za złem, więc źle się dzieje z tymi, którzy ongi nienawidzili kupiectwa i lichwy, a teraz żarliwie służą własnej nieuczciwości, mamonie niesprawiedliwości, bazarom, kramom i stołom pieniędzy, i upodabniają się martwością i pustką serc do Greków i Rzymian, kupczących w krągankach swoich pogańskich świątyń! Zaprawdę, synowie Izraela, którzy tak postępują, są pustymi figowcami! Wołali prorocy, Amos i Hosea, wołali gardłami zmęczonymi od długiego wołania przeciw kupcom, wyznawcom fałszywej wagi i miary, rozmiłowanym w oszustwie, a głosom ich wtórował głos Jezuy ben Sira: „Trudno jest kupcowi ustrzec się od przestępstw, a handlarz nie będzie wolny od grzechów... Jak kółek, który się wbija między spojone ze sobą kamienie, tak grzech się wdziera między sprzedaż a kupno!“. Głosowi Jezuy ben Sira wtórował głosem żalu wielki rabbi Hillel, wołający: „Nie zmańdrzeje ten, który zbyt wiele zajmuje się handlem!“ A ich głosom wtórował jeszcze jeden głos, głos najważniejszy, pytający w Dniu Sądu: „Czy byłeś uczciwy w kupiectwie?“ I tak od wieków trwał nad ludem ten chór napominający i karcący, jednak na próżno, bo oto lichwą, kramarstwem i zdzierstwem zbrukane są ręce kapłanów i arcykapłanów, i coraz mniej jest wśród nich mężów uczciwych, a coraz więcej mężów nieuczciwych, a przewodzą im saduceusze, Hanan i Kajafa, i Hananidzi, i zwolennicy Hananidów, i ich wspólnicy, i wspólnicy ich wspólników, i ich doradcy i służba, poplecznicy i schlebiacze, obrośli

tluszczem i krzywdą ludzką, bogacze z Wyżłobionej Doliny! Jeden z mędrców powiedział: „Nie będziesz używał Świątyni jako miejsca przejścia”. Czy go usłuchały nieobrzezane uszy saducejskich arcykapłanów? Czy go usłuchały zalepione woskiem uszy kapłanów, pieniędzy i handlarzy, stawiających stoły i kramy na Dziedzińcu Pogan, na progu Świątyni, i czyniących z niej brudne miejsce przejścia – Jezus, zstępując po stoku Góry Oliwnej ku Złotej Bramie, wrzał coraz większym gniewem – a przecież stolica Jahwe, zbudowana na górze Moria, nie jest jakimś domem stojącym obok drogi prowadzącej do celu, ale jest celem samym w sobie, znakiem Bożym, Miejscem, ponad którym nie ma już żadnego miejsca! Puste figowce rosną na dziedzińcu świątynnym! A wśród nich pusty, bezpłodny figowiec Hanana i Kajafa, bardziej obeznanych ze sztuką wyciągania zysków z pielgrzymów i ofiarników niż z umiejętnością pokornych modłów i czynienia prawdziwie bogobojnych uczynków! Niechaj wszędzie nad nimi Dzień Sądu! Powinien stanąć na środku Dziedzińca Pogan i biczem przegonić kupczących Hananidów, saducejskich bogaczy! I cóż z tego, że Kajafa i Hanan rozsierzeni nienawiścią – kroki Jezusa głucho teraz dudniły po drewnianym moście przerzuconym przez dolinę Cedronu – poczują się zagrożeni w swoich majątnościach i z jeszcze większą zajadłością powstaną przeciw Niemu, i jeszcze zaciekłej będą domagać się Jego śmierci! I cóż z tego, że powstanie teraz przeciw Niemu gromada saduceuszów, a ich nienawiść będzie większa od nienawiści faryzeuszów i przewyższy ją gwałtownością i namiętnością! Saducejskiego lisa o sercu z grubego sadła nic tak nie doprowadza do wściekłości jak kość wyrwana z jego żarłocznej paszczy! Zbliża się Pesach. W te dni radosnych przygotowań cały lud Izraela wymiata wszelki kwas ze swoich domów, z izb i komnat, z komór i ze skrzyń, i oczyszcza naczynia albo przygotowuje nowe, świąteczne, zamiast starych, codziennych, bo nawet najmniejsza kruszyna kwasu może zanieczyścić Święto Niekwaszonego Chleba, zbecześcić je i uczynić je drwiną i pośmiewiskiem święta. Dlaczego w te dni oczyszczane są wszystkie miejsca i naczynia, a nie jest oczyszczana Świątynia Pańska? Dlaczego nawet w te dni dziękczynienia ludu przed Panem za wyjście z Micraim, z krokodylej otchłani, saducejski kwas kapłanów zżera Świątynię i pozostawia na niej plamy nieczystej rdzy? Czy nie należy więc w te dni wymieść z Domu Pańskiego kwasu saduceuszów, którzy nie wierząc w nieśmiertelność duszy, będą tej wieczności pozbawieni i uśmierceni będą śmiercią nieodwołalną na całą wieczność? Niechaj w przeddzień święta Pesach dokona się oczyszczenie Izraela z bezpłodnych figowców! Niechaj kwas kapłańskiej obłudy zmyty będzie z murów, dziedzińców i z Przybytku Jahwe! Niechaj będzie odprawiony sąd nad nicością i brudem!

Stanęli na Dziedzińcu Pogan. Dokoła panował ścisk i rwetes. Stragany, ustawione

długim szeregiem, szczelnie przylegały do siebie i zdawało się, jakby sobie ręce podawały we wspólnym i zgodnym zamiarze wyciągania z pielgrzymów obfitych zysków. Porykiwanie cieląt, pobekiwanie owiec i jagniąt, gruchanie gołębi i synogarlic mieszało się z ludzkimi głosami i tak wzajemnie się przenikało, że trudno było się połapać w tym kotłującym mrowisku, który głos od kogo pochodzi: czy ludzie mówią głosami cielęcymi, owczymi i ptasimi, czy może zwierzęta mówią głosem synów człowieczych. Z boku tego rojowiska usadowili się za stołami pieniędzy, kasta wybrana spośród szarego tłumu kupców i handlarzy i wyniesiona nad nich lichwiarską powagą swojego zawodu. Siedzieli przed stosami świątynnych szekli i pogańskich monet, oddzielonych od siebie zbawienną przegrodą – była nią prostopadłe ustawiona deseczka – orężni w styliki i tabliczki powleczone woskiem, zawsze gotowi stoczyć z pielgrzymem zwycięski bój o wysokość ceny szekla i denara; w tym celu stale mieli w zanadru wykrętne argumenty i okoliczności, które zawsze świadczyły na ich korzyść. Na drugim końcu Dziedzińca, pod Portykiem Salomona, siedzieli poborczy podatku świątynnego, którzy w przeciwieństwie do pieniędzy wyróżniali się spokojnym działaniem i godnością, bo byli przecież urzędnikami Jahwe, odpowiedzialnymi za pieniądze płynące do skarbcza Przybytku, i pobożnym gestem ręki – był to gest nad wyraz łagodny, okrągły, ugrzeczniomy i nie było w nim śladu zachłannej drapieżności – odbierali od pielgrzymów po pół szekla i na ich oczach wrzucali go do skarbon stojących na stołach. Nie istniała żadna lista płatników. Było nią sumienie synów Izraela.

Jezus minął poborców i Portyk Salomona i przystanął na środku Dziedzińca Pogan, a za Nim przystanęli apostołowie, którzy nie wiedząc, po co ich tutaj Rabbi przywiódł, wymieniali między sobą zafrasowane spojrzenia i ścisłym szeptem starali się wzajemnie porozumieć – nie było to łatwe, bo tłum nieustannie ich rozdzielał – co powinni uczynić, aby nakłonić Męża do szybkiego opuszczenia tego miejsca brudu, straganów, krzykliwych przekupniów, lichwy i zdzierstwa.

Jezus schylił się, podniósł z ziemi kilka porzuconych przez handlarzy postronków i począł je skręcać. Wykonując tę czynność z niezwykłą dokładnością, misternie splatał pojedyncze powrózki i już splecione wiązał razem w grube węzły, aż wreszcie uczynił z nich gruby bicz o twardych guzach. Gdy podniósł głowę i wyprostował się, był do niepoznaki zmieniony. Z Jego postaci biła rogata Wszechmoc, potępiająca, piętnująca i skazująca. Czoło Jego podobne było do dwóch Kamiennych Tablic, rozdzielonych od siebie zmarszczką jak prostopadłym ciosem błyskawicy, wargi poruszały się jak ziemia wstrząsana podziemnym dreszczem, która lada chwila ma się otworzyć i wyrzucić z siebie nawałnicę kamieni, i tylko

w oczach Jego był spokój, ale groźniejszy od najgroźniejszej burzy, lodowata cisza o niewzruszonej i nieruchomej głębokości. Na widok tej zmienionej twarzy duch apostołów skurczył się i zwątpił. Nie znaczy to, aby dostrzegli rogałą Wszechmoc wyrastającą z Jego granitowego czoła, zapisanego świętym pismem Elohim, wargi wstrząsane podziemnym pomrukiem i lodowatą ciszą oczu. Wszystkie te zjawiska były głęboko ukryte przed oczami apostołów, którzy, jak wiemy z kilkuletnich doświadczeń, nie przekroczyli progu Tajemnicy, a co najwyżej nieświadomie ją przeczuwali, jak to właśnie zdarzyło się teraz, gdy patrząc w Jezusowe oblicze dostrzegli w nim niewyraźny cień Niedostrzegalności. Ale wystarczyło, że go dostrzegli, a już poczuli się nieswojo. Nigdy nie widzieli Rabbiego takim, jakim był teraz. Już po raz drugi w tym dniu byli świadkami Jego inności.

Jezus jeszcze raz dokładnie przyjrzał się pieniążnikom i lichwiarzom, i tłumom handlującym z beztrząsą swobodą na przedprożu Domu Pańskiego, u stóp Kodesz Hakodeszim, i ujrawszy to wszystko niezawodnym okiem Sądu i Ognia, nagle podniósł bicz i pięścią lewej dłoni torując sobie drogę przez ciżbę, runął w środek targowiska, między przekupniów i zwierzęta, i okładał powrozem wszystkich, którzy Mu popadli pod rękę. Krzyki bitych przekupniów i trzask łamanych straganów zmieszały się z rykiem spłoszonych zwierząt. A On szedł jak płonąca burza. Powywracał stoły pieniążników, rozsypał piętrzące się stosy pieniędzy, które z brzękiem potoczyły się po bruku, rozpędził zwierzęta, porozbijał klatki z ofiarnym ptactwem – obłok gołębi i synogarlic z radosnym trzepotem uleciał w powietrze – rzucił się na budy jarmarczne i począł je szarpać, łamać, gruchotać, w świętym szaleństwie ognia spalał bluźnierczą mamonę, złoto i srebro, miedź, cynę i ołów, topił je na bezwartościowy żuzel, na popiół i pył, aż z popiołów i pyłów pozostała nicość, a nawet nicości nie przepuścił, rozrywał ją na drobne części, na krwawe ochłapy, aż z nicości nawet nicość nie pozostała, a wszystko to czynił w nienawiści, która wszechmiłuje, i w gniewie, który leczy i łagodzi, i nienawidząc swoich ofiar, kochał je, i odwracając się od nich, zwracał się ku nim, i odtrącając je, szedł im naprzeciw, i potępiając je, wzywał do opamiętania, bo był sądem i przebaczeniem, mieczem zadającym rany i oliwą wylaną na ranę, zabójczym ciosem i uściskiem miłującym, i tak objawiał się w dwojakich żywiołach, i krzyczał jednodwugłosem Jahwe-Ojca i Jahwe-Syna:

– Dom mój Domem Modlitwy jest nazwany, a wyście go uczynili jaskinią zbójców! To wszystko wynieście stąd i nie czynicie domu mojego Ojca domem kupiectwa! Nie pozwolę, aby ktokolwiek przez Świątynię przenośli sprzęty! Prorok Jesaja powiedział, że ten dom będzie domem wszystkich narodów, a wyście z niego uczynili pieczarę złoczyńców!

Krzycząc, rozdzielał razy na prawo i lewo uderzeniami bicia, a każde uderzenie było jak błysk topora w dłoni drwala i jak dłoń skrzętnej gospodyni, wyrzucającej kwas, brudy i śmiecie ze swojego domu. I tak wytrzebione zostały jałowe figowce, i pozostały po nich tylko jałowe miejsca, świadczące przeciw sobie samym, i tak oczyszczony został z kwasu Dom Pana, a nad pustką i czystością – każda czystość musi być pusta, bo jest miejscem Pana – stał Jezus z biczem ukreconym z powrozów i ciężko oddychając, patrzył zmęczonym wzrokiem na pobojuwisko zasłane rozbitymi stołami i straganami, wśród których uganiały spłoszone cielęta i owce, na pieniądze i przekupniów, leżących na ziemi i porażonych Jego gniewem, na osłupiałych apostołów.

Z trudem podnosili się z ziemi, obmacywali swoje ciała, strzepywali pył z tunik i wzywali imienia Elohim na świadka swojej niewinności i prawości, a ponieważ nie odważyli się obelgami obrzucać Męża, który tak wiele przysporzył im szkód i sińców, w bezradnej nienawiści zgrzytali przeciw Niemu zębami. Kilku podbiegło ze skargą do stojących opodal strażników świątynnych, lewitów, którzy dotychczas nie okazali chęci spieszenia z pomocą kupcom, a teraz bez zbytecznego wzruszenia słuchali ich żalów. Z pozorną obojętnością potraktowali całe zajście znajdujący się na dziedzińcu faryzeusze – między nimi a saduceuszami od wieku położona była nienawiść – którzy znając związki łączące handlarzy z rodami arcykapłańskimi, w rzeczywistości radzi byli, że saducejscy lichwiarze otrzymali zasłużoną karę. Wprawdzie nikt z owych faryzeuszów nie odważyłby się sięgnąć po bicz i wysmagać kupczących współników Hananidów, bo bałby się lisiego starca, jego potężnego zięcia, mającego zawsze dostęp do prokuratora, i kapłanów, z których wielu za pomocą obrotnych pośredników uczestniczyło w zyskach na Dziedzińcu Pogan. Skoro jednak sądu tego dokonał ich wspólny wróg, Jezua ben Josef – ani razu podczas dalszego rozwoju wypadków nie wnieśli przeciw Jezusowi oskarżenia o wypędzenie przekupniów ze Świątyni – ze złośliwą zgodą przyglądali się pobojuwisku, a ich zadowolenie było tym większe, że wiedzieli, iż każdy, który się odważy na wystąpienie przeciw kapłanom, wcześniej lub później padnie ofiarą ich zemsty. Cieszyli się więc z powodu szkód poniesionych przez saduceuszów, a zarazem zacierali z zadowoleniem dłoń w przewidywaniu następstw, które spadną na Galilejczyka.

W przeciwieństwie do pozornie obojętnych faryzeuszów i zgrzytających zębami pieniędzy i przekupniów lud Izraela dawał głośny wyraz radości z pogwałcenia wyzyskiwaczy. Krzyczał, śpiewał i obsypywał Rabbiego pochwałami, wyrażał podziw dla Jego odwagi, wynosił pod niebiosa Jego mądrość i z hojną szczodrobliwością wienczył Go najwyższymi godnościami, przy czym nie omieszkał

Go nazwać księciem, wielkim panem, synem wielkiego ojca, synem Dawida.

Jakiś kapłan zwracając się do Jezusa krzyknął:

– Słyszysz, co oni wołają?!

A inni kapłani, dotknięci do żywego w swoich pobożnych uczuciach, z wielką mocą wyrażali oburzenie:

– Nazywają cię synem Dawida!

– Co ty na to?!

– Zaprzecz!

– Zakaż im tak wołać!

– Napiętnuj te nierozważne dzieci!

– Te głupie niemowlęta!

– Te mleczaiki!

Jezus rozłożył ręce, a gdy umilkli, zawołał:

– Tak jest! Słusznie mówią! Czy nigdy nie słyszeliście, co napisane jest w Psalmach? „O, Panie, Panie nasz, jak niepojęte jest Imię Twoje po wszystkim ziemi! Wspaniałość swoją wyniosłeś nad niebiosy, a przez usta dzieci i niemowląt utwierdziłeś swoją chwałę przed Twoimi wrogami, aby uśmierzyć ludzi przeciwnych i mściwych!”

Powstało wielkie zamieszanie. Rozdział był wyraźny: lud Izraela, który pilnie słuchał Jezusa, wznosił okrzyki w obronie Rabbiego, kapłani zaś, związani z bogaczami wspólnotą pochodzenia i korzyści, ciągnionych z handlu świątynnego, wołali przeciw Mężowi, dając upust żalom z powodu sądu, jaki zgotował przekupniom i pieniądze. Poderwali się, jakby ich ktoś różgami po goleniach wysmagał. Stracili nad sobą panowanie. Potrząsali pięściami, gwizdali, spluwali, parskali lekceważącym śmiechem. Jak to?! Ten mesith, ten galilejski włóczęga, ten fałszywy prorok przypisuje sobie atrybuty Pańskie – ach, tak, to on sam utwierdził swoją chwałę ustami krzyżujących bachorów?! – a pycha jego jest tak wielka, że ośmiela się do nich, kapłanów, potomków Aarona i Sadoka, namaszczonej świętą oliwą, stosować słowa psalmu o ludziach mściwych i przeciwnych i nazywać ich wrogami Elohim! Nie mogąc znieść tej jawnej obelgi, krzyżowali coraz głośniej, a krzyżując, domagali się od niego dowodów, że mu wolno tak działać, jak działa, i tak mówić, jak mówi! Kto mu dał prawo do sprawowania sądu nad ludem na Dziedzińcu Pogan?! Kto mu pozwolił nazywać kapłanów Świątyni Pańskiej, pokorne sługi Pana, Jego wrogami?!

– Daj nam znak, że wolno ci nas oskarżać!

– Daj nam dowód, że możesz sądzić synów człowieczych! Jezus, odpowiadając im, rzekł z wyrozumiałą cierpliwością:

– Gdybyście zburzyli ten Przybytek, ja go w trzech dniach odbuduję. Kapłani zawołali:

– My nie mamy zamiaru zburzyć Świątyni!

– Przed czterdziestu laty zaczęto budować Świątynię Pana, a ty ją chcesz w trzech dniach odbudować?!

– W trzech dniach?!

– W trzech dniach potrafisz odbudować Dom Boży, który budowało tysiące kamieniarzy, cieśli i zdobników?!

Jezus potakiwał głową i tym opanowanym gestem wzbudził w kapłanach jeszcze większe zgorzelenie, natomiast w zdumienie wprowadził lud, który zawsze kochał się w nadzwyczajnych zapowiedziach, a im bardziej były one niezwykle, tym potężniejsze wywierały na nim wrażenie. Jak wiemy, zawsze oczekiwali cudów i nie dziwili się cudom. Jeżeli Samson zwałił na głowy Filistynów olbrzymie bloki kamienne, a chłopięcy Dawid pokonał potężnego siłacza o żelaznych mięśniach, dlaczego cudotwórca Jezua ben Josef nie mógłby z wolą i pomocą Elohim odbudować w trzech dniach Świątyni Pańskiej? Tak myślał lud. A co myśleli apostołowie? Ponieważ swoim sposobem myślenia nie różnili się od ludu, myśleli tak samo jak on, zwłaszcza że już wiele razy byli naoczniymi świadkami nadzwyczajnych cudów Jezusa, nie mieszczących się w granicach ludzkiego, przyziemnego zrozumienia. Natomiast nie dawało im spokoju zagadnienie, co miał na myśli Jezua ben Josef, gdy mówił o Świątyni jako domu modlitwy wszystkich narodów, synów Izraela i gojów, wyznawców Jahwe i nieobrzezańców. Trudno im było jednak teraz zgłębić to Jego odległe widzenie, bo ich serca i umysły całkowicie opanował lęk o los Męża, który nadmierną gwałtownością naraził się arcykapłanom, kapłanom i bogaczom saducejskim. Pomnożyli ilość wrogów o wrogów najniebezpieczniejszych, którzy już niejednego przeciwnika bezlitośnie unieszkodliwili, a dla osiągnięcia celu nie cofnęli się nawet przed użyciem najbardziej niecznych środków walki. Mało to szlachetnych mężów padło ofiarą ich zaciętrzewienia i złości!

O późnym wieczorze wrócili do Bethanii.

Jezus poszedł na przechadzkę w góry – prawdopodobnie pragnął modlić się w samotności – część apostołów wypoczywała na dziedzińcu w domu wskrzeszonego nieboszczyka Eleazara, zaś Jaakow ben Halfi ułożył się na dachu, gdyż chciał być sam ze swoimi myślami, które go kłuły dotkliwie jak komary. Nigdy nie lubił bogaczy, którzy przeminą, o czym nie wątpił, jak trawa i uwiędnię jak kwiat. Jaakow ben Halfi od najmłodszych lat upatrywał w bogaczach, w złotych cielcach, zarosłych sadłem, źródło wielu nieszczęść, jakie spadły na Izraela, i często, jeszcze

przed pójściem za swoim bratem stryjecznym, Jezua ben Josef, wzywał Pana do wykonania nad nimi sądu. Potem, pod wpływem nauk Jezusowych, umocnił się w przekonaniu, że Elohim wybrał ubogich na tym świecie, aby ich uczynić bogatymi w wierze i dziedzicami obiecane go Królestwa. Jaakow, będąc dzisiaj świadkiem wypędzenia przekupniów ze Świątyni i śledząc wzburzenie kapłanów, nagle przejrzał i zrozumiał, że od teraz największe niebezpieczeństwo grozi Rabiemu nie ze strony łatwo zapalnych, kipiących, niecierpliwych i przesadnie drobiazgowych faryzeuszów, ale zimnych, nieczułych, sztywnych i wyrachowanych saduceuszów, ich kapłanów siedzących na skrzyniach wypełnionych po brzegi złotem, srebrem i drogimi kamieniami – a jest zapisane u Jechezkeła, że kapłanom nie wolno niczego dziedziczyć, bo Jahwe jest ich dziedzictwem, i nie wolno im gromadzić majątku, bo ich majątkiem jest Pan – którzy po dniu dzisiejszym na pewno będą Mężowi przygotowywać godzinę śmierci, gdyż uderzył ich po pękających sakwach i ugodził w nich jako w strażników Świątyni, ciągnących z niej niezmiernie zyski. Nazwał ich wrogami Elohim! Tego Mu nie wybaczą. Nigdy! Jaakow życzył kapłanom, aby ich majątność zgniła, aby ich szaty mole pogryzły, aby ich złoto i srebro zardzewiało, a rdza jak ogień pożarła ich ciała, albowiem w swej niechęci do bogaczy całkowicie zgadzał się z prorokiem Cefanią, który w świętym Zwoju wołał: „Narzekajcie, mieszkańcy Wyżłobionej Doliny, bo wytępiony będzie wszelki lud kupców, wygładzeni będą wszyscy odziani w złoto, a czasu owego przeszukam Jerozolimę przy świetle pochodni i nawiedzę mężów, którzy tyją jak na drożdżach... Bliski jest wielki Dzień Jahwe, bliski jest i szybki, głos Jahwe jest okrutny, tam i mocarz będzie utracony. Dzień ów będzie Dniem Gniewu!”

Tymczasem Juda z Kerijoth, leżący pod oliwką na dziedzińcu, głęboko współczuł wypędzonym ze Świątyni kupcom, albowiem sam był kiedyś handlarzem pachnidła.

Jeden człowiek w dwóch postaciach

Tego dnia wieczorem Hanan i Kajafa siedzieli w komnacie na górnym piętrze arcykapłańskiego pałacu i omawiali z głęboką troską wczorajsze i dzisiejsze wypadki, dwa złowróżbne zdarzenia, z których jedno było wyraźnym dowodem rosnącego podziwu ludu dla Jezuy ben Josef, a drugie – jego przybierającej pewności siebie, graniczącej już wręcz z zuchwałością, bo czy można innym słowem określić działanie męża, ośmielającego się biczem splecionym z bydłocych powrozów okładać bogobojnych wyznawców Pana?

Hanan, patrząc łzawiącymi od starości oczami w mrugające knoty lamp oliwnych, szepnął:

– Bogobojnymi wyznawcami Pana oni nie są.

– Wszystko jedno, jak ich określimy – wybuchnął Kajafa. – Są prawowitymi synami Abrahama! Nie zamykajmy oczu na prawdę! Jezua ben Josef obił ich bydlęcymi powrozami, a motłoch sprzyjał mu i głośno oddawał mu chwałę, i radował się z powodu razów, które spadały na plecy współników mojego dostojnego teścia! – Tu krzyknął ze zjadliwym wyrzutem: – Po co mój teść znowu podniósł ceny gołębi ofiarnych?! Aby do reszty zniechęcić lud do naszego rodu?!

Hanan milczał. Sparciała skóra na jego twarzy napięła się i podobna się stała do wężowej łuski. Spomiędzy jego warg wysączył się cichy, ale wyraźny syk:

– Praojciec Abraham – niech pamięć jego będzie błogosławiona – nie był złodziejem. A oni mnie okradają. Ukrywają przede mną wysokość zarobków i bez mojej wiedzy pobierają wyższe ceny od tych, które ustaliłem. Gdy podniosłem cenę za parę gołębi – mój zięć zapomina, z czego żyje i czerpie pieniądze na łapówki dla prokuratora – oni, złoczyńcy, brali o pół złotego denara więcej, a różnicę chowali do swoich sakiewek, nie płacąc mi od niej odsetek.

Podniósł głos i popędliwie zawołał:

– Niechaj mój zięć nie opowiada mi bajek o kupcach, bogobojnych wyznawcach Pana! Znam ich dobrze! Niech ich trąd strawi!

Zapadło milczenie.

Słychać było przyspieszony oddech starca. Spojrzał surowo na Kajafę:

– Niech mój zięć trzyma się tematu i nie miesza soczewicy z miodem. Nie jest ważna mniejsza lub większa cena pary gołębi. Najważniejsze jest to, że mesith godzi w naszą majątność, w nasze prawo sprzedawania zwierząt ofiarnych na Dziedzińcu Pogan, że nazwał nas, kapłanów, wybranych spośród całego ludu, wrogami Elohim! Niechaj mój zięć odpowie na moje pytanie: Czy Jezua ben Josef powiedział, że zburzy Świątynię?

Kajafa, starając się opanować wzburzenie, które w nim wywołała nagana starca, przełknął szybko ślinę, a wraz z nią gorycz urażonej dumy.

– To trudno ustalić.

– Dlaczego?

– Jedni świadkowie twierdzą, że powiedział: „Zburzę tę Świątynię”, a inni: „Jeżeli zburzą tę Świątynię”.

– To nie jest jedno i to samo.

– Tak mi się wydaje – odparł drwiąco.

– „Jeżeli zburzą tę Świątynię”... Kto ma zburzyć Świątynię? Synowie Izraela? Nedorzecznosc! Rzymianie? W kraju jest spokój. Lud nie ma zamiaru wszczynać wojny przeciw Rzymianom. Elohim czuwa nad swoim narodem. Moim zdaniem

rzekł: „Zburzę tę Świątynię”...

Hanan wypowiedział te słowa głosem rozkazującym. Kajafa poczuł się jak sługa, jak posłuszny wykonawca poleceń teścia. Takim tonem on sam rozmawiał z Nahumem. Chcąc w godny sposób zmanifestować wobec starca swoją niezależność, chociaż był tego samego co on zdania, nie skłonił głowy przed jego żądaniem i mruknął oschle i wyniośle:

– Stanie się według słów mojego dostojnego teścia.

Kajafa, idąc dzisiaj do Hanana, spodziewał się, że rozmowa z nim będzie nader trudna, bo starzec, ilekroć czuł się zagrożony w swoim posiadaniu lub gdy tracił pieniądze, lub gdy odkrywał siły wyciągające ręce po jego majątność – a czym innym, jak nie zamachem na jego majątność było wypędzenie przez zwodziciela kramarzy z Dziedzińca Pogan? – stawał się nieznośny dla otoczenia, tracił panowanie nad sobą, w rozdrażnieniu obrażał najbliższych i najbardziej oddanych sprzymierzeńców. Trudno było wówczas cokolwiek uzgodnić ze zgryźliwym starcem, nie znoszącym oporu ani sprzeciwu. Arcykapłan, znając twardy charakter Hanana, postanowił odmierzać podczas rozmowy słowa, tak jak się odmierza krople aptekarskie, i wyobrażał sobie, że teść mimo wszystko, pomny trudnego położenia, w jakim się znaleźli saduceusze i kapłani, trzymać będzie na wodzy swoją wygasającą żywiołowość i rozmawiać z nim będzie dla dobra sprawy jak równy z równym. Ale arcykapłan popełnił błąd. Nie umiał zapanować nad sobą i pozwolił ponieść się gniewowi. Nieogłędnym słowem rozdrażnił Hanana, który w odpowiedzi potraktował go jak służącego, żyjącego z jego łaski. Tak, Kajafa źle uczynił. Niepotrzebnie poszczuł przeciw sobie teścia, przypominając mu podwyżkę cen gołębi, przykrą i wstydliwą sprawę, która była powodem niewybrednych oskarżeń jego wrogów. Po co mu to przypomniał? Sam zawinił brutalną odpowiedzią starca. Jedno jest pewne: starzec mimo podeszłego wieku wciąż nie zamierza uznać nad sobą czyjejkolwiek wyższości; może cenić w swoim zięciu mądrość, dokładność myślenia, rozsądek i sztukę kluczenia wśród niebezpieczeństw i zasadzek, ale nigdy nie odda mu za życia władzy nad rodem i zawsze będzie gotów, jeżeli zajdzie konieczność, skoczyć każdemu do gardła w obronie swojego wysokiego stanowiska. Nie, Kajafa nie uzyska nad nim przewagi. Musi czekać cierpliwie na jego śmierć – jak długo jeszcze może żyć to rozpadające się próchno? – opancerzyć swą wrażliwość i podporządkować ją rozkazom starca, zachłannego na zaszczyty i władzę. Pocieszał się, że wszystko to właściwie nie jest trudne, bo obaj tak są zgodni w charakterach, w sposobach myślenia i działania, że należy tylko zastosować dawną taktykę pokornej współpracy – to jedno nie było łatwe, bo pokora nigdy nie była zaletą charakteru arcykapłana – nie wysuwać się przed Hanana, a wszystko wróci do

dotychczasowej szczęśliwej harmonii. Dla zamazania swej oschłej wyniosłości szybko dorzucił:

– Objaśnienie mojego dostojnego teścia jest mądre i wnikliwe. Zwodziciel groził zburzeniem Świątyni Pańskiej.

Hanan pogładził brodę:

– Wczoraj lud Izraela witał zwodziciela jak udzielnego władcę. Słał płaszcze jak kobierce pod jego nogi i potrząsał liśćmi palmowymi.

Wysunął dolną wargę. Głos jego nieprzyjemnie zaskrzypiał:

– Mnie motłoch nigdy tak nie witał. Nigdy. Uśmiechnął się cierpko:

– Wołali: „Hosanna, Synu Dawida!”

Wzniósł wskazujący palec jak groźny znak ostrzegawczy:

– Syn Dawida... Syn Dawida...

Zgarbił się i poruszył palcem, który wykonywał w powietrzu pionowe, poziome i koliste ruchy, podkreślające, w zależności od wypowiedzianych słów, ich wagę i głębię:

– Mesjasz – to nieszczęście, Mesjasz – to krew i zgliszcza. Ale Mesjasz, wróg kapłanów, to nieszczęście nad nieszczęściami. Zwodziciel wygraża arcykapłanom, kapłanom, rodom kapłańskim, saduceuszom, naszemu posiadaniu i naszym majątkościom, czyli temu wszystkiemu, na czym wspiera się Świątynia. Kto miota klątwy na kapłanów, miota klątwy na Pana Zastępów. Kto obraża namaszczone sługi Pana, obraża Pana. Kto przepędza zwierzęta ofiarne, odmawia Panu ofiar. Kto jest przeciw ofiarom, jest wrogiem Pana. Kto nazywa kapłanów wrogami Elohim, jest wrogiem Świątyni. Kto jest wrogiem Świątyni, ten ją burzy, a kto ją burzy, jest ojcem ciemności i mężem spustoszenia, a zarazem niszczycielem mojego rodu, który jest strażnikiem chwały Pańskiej. Kto pragnie upadku mojego rodu, pragnie zniszczenia Świątyni wraz z jej korzeniami. Trzeba więc jak najszybciej uporać się z Jezua ben Josef, bo podburza przeciw kapłanom am haareców, którzy zawsze byli skorzy do szemrania, a tym razem łatwo mogą dać posłuch jego podżeganiom, gdyż rozruchem wznieconym na Dziedzińcu Pogan pokazał, że można bezkarnie wierzyć przeciw własności kapłańskiej. Niechaj będą przeklęte ręce godzące w kapłaństwo Izraela! Uważam, że zbliża się nieodwołalnie czas śmierci Jezuy ben Josef.

Serce poczęło mocno kołatać w piersiach Kajafy. Hanan skubał brodę, a kończąc swój wywód, tak rzekł:

– Pośpiech jest przywilejem młodości, a ja jestem stary. Umiłowany am haareców powinien być uwięziony po świętach, gdy nadmiar jego zwolenników – a mam na myśli przede wszystkim Galilejczyków – powróci do swoich miejsc zamieszkania, a mieszkańcy Jerozolimy znów zasiądą przy warsztatach i oddadzą się pracy

i codziennym troskom. Pospólstwo, które witało zwodziciela palmami, z równym prawdopodobieństwem może chwycić za miecze i stanąć w jego obronie. Nie wolno nam spowodować ulicznych zamieszek, bo mogą się one obrócić przeciw nam. Powinniśmy działać przemyślnie. Mędrzec, który robi głupstwa, jest głupszy od głupca. Ostrożność jest matką powodzenia, a moja starość jest moim nauczycielem.

Kajafa nigdy nie czuł tak żywiłowo łączących go więzów z Hananem, jak właśnie teraz. Byli jednym człowiekiem w dwóch postaciach i myśleli jedną myślą w dwóch ciałach. Wszystko było wspólne i nie warto było spierać się o autorstwo takich czy innych pomysłów. Czy potrzebny jest taki spór? Po to, aby pysznić się przed Elohim, że to i to wymyślił Kajafa, a to i tamto Hanan? Że Hanan często powtarza jego własne słowa, tylko nieco inaczej ułożone i nieco rozszerzone o kilka nowych pomysłów, a Kajafa wszystkie te myśli, wypowiedziane przez Hanana, przy innej sposobności znowu powtórzy swoimi słowami i znowu je cokolwiek poszerzy? Na jedno wyjdzie. Elohim związał ich z sobą i uczynił ich jednym człowiekiem w dwóch postaciach niczym Mojżesza i Aarona. Pokonał więc w sobie pychę i zachłanność pierwszeństwa i dla dobra Pana i Izraela, z największą pokorą, na jaką było go stać, pochylił się przed teściem i prosił go, aby mu przebaczył, jeżeli na początku rozmowy uraził jego dostojną mądrość i równie dostojną starość, albowiem zawsze żywi dla niego podziw, a nieporozumienie wynikało tylko wskutek niezręcznego doboru słów, a ta niezręczność wypłynęła z gorącości jego ducha, a gorącość ducha z troski o przyszłość Jezuruna. Tu znowu nisko się pokłonił Hananowi i ucałował kraj jego szaty. Był szczęśliwy. Oddając chwałę teściowi, oddawał ją równocześnie sobie samemu.

Od tej pory saducejscy kapłani przejęli z rąk faryzeuszów przodownictwo w walce z Jezusem z Nazarethu, albowiem nienawiść saduceuszów do Jezusa stała się większa od nienawiści faryzejskich gwałtowników.

Prokurator Judei spokojnie usnął

O tej samej porze, gdy Jezus i apostołowie przybyli do Bethanii, a w arcykapłańskiej komnacie radzili Hanan i Kajafa, w pałacu Heroda sekretarz prokuratora składał mu sprawozdanie o ostatnich zdarzeniach w Jerozolimie: o powitaniu Jezuy ben Josef przez ludność stolicy i o burzliwym zajściu na Dziedzińcu Pogan. Poncjusz nie przerywał mu, słuchał go obojętnie, brzuszcem wskazującego palca prawej ręki gładził brwi, a gdy sekretarz skończył mówić, spytał go niedbale, znudzonym głosem:

– Kto to jest Jezua ben Josef?

- Jakiś wędrowny nauczyciel, który wygłasza po miasteczkach i wsiach mowy pouczające. Twierdzą, że jest cudotwórcą, jasnowidzem, że wskrzesza umarłych...
- Wskrzesza umarłych?
- Tak mówią.
- Kogo wskrzesił?
- Rzekomo jakiegoś mieszkańca Bethanii.
- Brednia... Jaką naukę głosi?
- O ich Bogu, o Jahwe...
- Czego chciał od kupców?
- To trudno ustalić. Mówią, że zajście wybuchło z powodu lichwiarskich cen...
- Kłótnia w rodzinie?
- Tak się wydaje.
- Pobił kogoś?
- Tak. Ale bezboleśnie. Smagał ich powrozem.
- Szaleniec?
- Jeden z tych licznych szaleńców, których nie brak w Izraelu.
- Czy straż rzymska rozpędziła zbiegowisko?
- Nie było konieczności rozpędzania siłą ludzi. Zajście trwało bardzo krótko.
- Czy jeszcze coś się przydarzyło?
- Poza tym jednym zdarzeniem w Jerozolimie panuje spokój. Czy mam może kazać śledzić owego nauczyciela?

Prokurator wyjął lekceważąco wargi i spytał:

– Po co?

Po odejściu sekretarza Poncjusz przetarł zmęczone oczy.

„Może w tym roku obejdzie się bez rozruchów” – pomyślał, przeciągnął się, ziewnął, ociężale podniósł się z fotela i udał się do sypialni. Był znudzony i bardzo senny. Rozebrał się, wygodnie wyciągnął się w łożu i dwoma palcami zdusił knot oliwnej lampki stojącej u wezgłowia na stoliku.

Prokurator Judei usnął spokojnie, a wraz z prokuratorem spokojnie usnęła Jerozolima, a wraz z Jerozolimą cała ziemia Izraela.

WEDŁUG jakiego prawa czynisz to, co czynisz?

Nazajutrz – a był to trzeci dzień tygodnia – Jezus i apostołowie przybyli o świcie do Świątyni Pańskiej i po modlitwie jak zwykle usiedli pod Portykiem Salomona, a gdy dokoła nich zebrali się chętni słuchacze. Rabbi wygłosił do nich mowę o Królestwie Bożym i Obietnicy. W szybko rosnącym tłumie znalazło się kilku

faryzeuszów i herodianów, a przede wszystkim wielu przedniejszych kapłanów i saduceuszów, a ich obecność zaniepokoiła apostołów, gdyż nigdy tak licznie nie uczestniczyli oni w spotkaniach z Jezusem. Czyżby saduceusze po zejściu na Dziedzińcu Pogan zamierzali rozpocząć natarcie przeciw Rabbiemu? Jeżeli sprzymierzyli się z faryzeuszami, Jezua ben Josef znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Źle się stało, że Rabbi potrząsał pięścią nad kapłanami. Słuchacze z zapartym tchem słuchali wywodów Jezusa, a gdy skończył mówić, stawiali Mu pytania, na które chętnie odpowiadał, rozszerzał to, co przed chwilą krótko powiedział, i objaśniał to, co przed chwilą objaśnił, dzięki czemu lud coraz lepiej rozumiał Jego myśli. Wówczas jeden z kapłanów, najstarszy wiekiem i doświadczeniem, zwracając się do Jezusa, przemówił:

– Słuchaliśmy w wielkim skupieniu twoich pouczających słów, rabbi, i z równą ciekawością słuchaliśmy twoich odpowiedzi, których udzielałeś ludowi spragnionemu nauki Bożej. A gdy porównaliśmy w naszym wnętrzu to, co powiedziałaś, z tym, co dotychczas działałaś, ogarnął nas niepokój, bo nie umiemy sobie wytłumaczyć, skąd bierzesz tę moc, która napędza zarówno twoje słowa, jak i dzieła.

Tu chrząknął, poprawił się na macie – siedział na podwiniętych nogach – i tak dalej ciągnął:

– Synowie człowieczy, cokolwiek czynią, wszystko pozornie czynią od siebie, ale my wiemy, że każdy z nas, czyniąc dobro lub zło, prawdę lub kłamstwo, szczerłość lub obłudę, czyni według władzy, którą otrzymał od Elohim albo od Pełzającego. A wiadomo, że wprowadzicie Pan Zastępów jest Panem Zastępów i panuje nad wszelkim stworzeniem na niebie i ziemi, mimo to, jak o tym zapisane jest w świętym Zwoju, On sam, Wszechmocny, uległ podstępnemu wyzwaniu Pełzającego i wydał na jego łup Hioba, męża sprawiedliwego. Jeżeli Elohim ma chwile słabości – to znaczy, korzystając ze swojej nieograniczonej Wszechmocy, pozwolił sobie na dość nieumiarkowany zbytek i udzielił sobie wspaniałomyślnie prawa do słabości – tym bardziej przeżywa ją człowiek z krwi i ciała, który czyniąc różne rzeczy, nawet cuda, może je czynić z pokusy Pełzającego. My jednak – uchowaj nas, Elohim, od takich podejrzeń! – nie twierdzimy o tobie, rabbi, że dzieła twoje powstały z wyzwania złych mocy. Jak my o tym możemy wiedzieć? Czy ktoś spośród nas podsłuchał twoje rozmowy z Pełzającym? Nie. Czy ktoś spośród nas podsłuchał twoje rozmowy z Elohim? Nie. Rozkładamy bezradnie ręce i zwracamy się do ciebie z prośbą: Powiedz nam, rabbi, według jakiego prawa czynisz to, co czynisz, i kto udzielił ci tej władzy, abyś czynił to, co czynisz?

Gdy kapłani w przewidywaniu odpowiedzi Jezusa pochyliłi się ku przodowi

i z napięciem czekali, co powie, On nagłym zaskoczeniem pomieszał ich szyki. Odpowiedział pytaniem na pytanie. Był to ulubiony sposób dyskusji synów Izraela, którzy celowali w tej trudnej sztuce wymiany myśli i umiejac świetnie posługiwać się pytaniami, długo wzajemnie osaczali się nimi, aż wreszcie jeden z przeciwników, przyciśnięty do muru, musiał odpowiedzieć jasno i wyraźnie, czyli skapitulować. Zwycięzcą był ten, który umiał tajemnicę do końca zachować dla siebie, Rabbi więc, odpowiadając pytaniem na pytanie, rzekł:

– Ja również spytam was o jedną rzecz. Jeżeli mi odpowiecie, powiem wam, według jakiego prawa czynię to, co czynię, i wyjawię, kto mi udzielił władzy, abym czynił to, co czynię. Powiedzcie zatem – tu pogładził brodę i przez chwilę przytrzymał jej końce w palcach, dając tym gestem do zrozumienia rozmówcom, że pytanie, które im teraz zada, jest ważniejsze od pytania, które oni Jemu zadali – powiedzcie mi zatem, czy zanurzenie moje w świętych wodach Jordanu pod dłońmi Johanana ben Zecharia pochodzi od Elohim czy od ludzi?

Cisza zapanowała wśród kapłanów. Nachylali się ku sobie, szeptem naradzali się, węsząc podstęp w pytaniu Jezusa, wykonywali rękami przezorne, trudne do odczytania ruchy, po namyśle znowu między sobą szeptali, a teraz wymowa ich oczu i rąk stawała się coraz bardziej jasna i nie ulegało już wątpliwości, że są zawiedzeni w pomyślnych przewidywaniach o wyniku rozmowy. Wreszcie nie mogąc uzgodnić między sobą właściwej odpowiedzi, popadli w zakłopotanie, gdyż uzmysłowili sobie, że cokolwiek odpowiedzą, odpowiedź obróci się przeciw nim samym. Jeżeli – medytowali – odpowiemy, że zanurzenie Jezusy ben Josef w świętych wodach Jordanu pod dłońmi Johanana ben Zecharia pochodziło od Elohim, mesith spyta nas: „Dlaczego więc nie daliście Niestrzyżonemu wiary?”. Jeżeli natomiast odrzekniemy: „Od ludzi”, lud, który uważa Johanana ben Zecharia za proroka – tu niechętnie zerknęli na otaczający ich tłum Judejczyków, wpatrzonych w nich z gorączkowym podnieceniem – obrzuci nas plugawymi złorzeczeniami.

Najstarszy z kapłanów, potrząsnąwszy głową, rzekł:

– Nie wiemy, rabbi, skąd pochodzi twoje zanurzenie w świętych wodach Jordanu pod dłońmi Johanana ben Zecharia, ale mimo to wydaje nam się, że dobrze byłoby, gdybyś zechciał odpowiedzieć na nasze pytanie i wyjawić, jakim prawem czynisz to, co czynisz, a wtedy...

Jezus, przerywając mu, powiedział:

– Skoro nie odpowiedzieliście na moje pytanie, to i ja na wasze nie odpowiem.

Lud wybuchnął głośnym śmiechem, gdyż sprzyjając Jezusowi, uradował się z powodu nieudanej chytryści saducejskich kapłanów.

Przypowieść o siedmiu braciach i o jednej żonie

Kapłani nie dali za wygraną. Ośmieszeni przez Jezusa, postanowili odpłacić Mu tą samą monetą, poderwać Jego powagę w oczach ludu i wykazać nieuctwo Rabbiego, uchodzącego wśród am haareców za wielkiego znawcę Pisma. Po krótkiej naradzie, odbytej słumionym szeptem, postanowili, że głos zabierze jeden spośród nich, kapłan o drwiącym uśmiechu i chytrych oczkach, wytrawny opowiadacz rozweselających opowieści, który umiał je tak zgrabnie układać, iż trudno było obalić ich prawdę nawet za pomocą najrozsądniejszej argumentacji. Wysłannicy spodziewali się, że Mąż w odpowiedzi uwikła się w sprzecznościach, z których łatwo będzie można ukuć dowody niezbitcie świadczące o Jego nieuctwie.

Drwiący opowiadacz podniósł się z ziemi, klasnął w dłonie, jakby miał zamiar ruszyć w taniec, i zawołał głośnym głosem, chcąc przekrzyczeć wciąż jeszcze trwający śmiech ludu:

– Cieszę się, że lud Izraela beztroskim śmiechem daje upust radości, która podnosi ducha i serce i odświeża umysł. Zdrowy śmiech jest jak kąpiel oczyszczająca. Śmieję się zatem, ludu, śmieję!

Gdy cisza zaległa Portyk Salomona, drwiący kapłan zwrócił się do Jezusa i tak powiedział:

– Wielkim cieszysz się powodzeniem i szacunkiem u ludu, albowiem zgłębiłeś Pismo, umiesz każde zdanie mądrze i przejrzyście objaśnić, tłumaczysz bez trudu mgliste i zamazane słowa, żadna ciemność nie przesłania twojego spojrzenia, a żadne światło nie oślepia cię. Nie posiadając twoich zdolności – wabił Jezusa piękną mową swoich ust – często nie umiemy wybrnąć z trudnych nauk, zawartych w natchnionych Zwojach mędrców, którzy niejednokrotnie ukrywali mądrość Bożą w tajemniczym środku słów o wielorakich treściach. Prosimy cię, rabbi, abyś zechciał wniknąć w jedną z tych tajemnic i uchylił jej rąbek, abyśmy mogli wstąpić do wnętrza słowa, poznali jego mądrość i pojęli, choć w drobnej części, ukrytą w niej myśl Bożą.

Tu Drwiący założył ręce za pas i kołysząc się całym ciałem, raz gwałtownie, to znów umiarkowanie, wykladał dramatyczną treść swej opowieści i działanie jej bohaterów, uwikłanych w trudne ustawy wieczności. Drwiący mówił:

– Niechaj moja mowa dojdzie do twoich uszu, rabbi. Nasz wielki nauczyciel Mosze napisał w świętym Zwoju: „Jeśliby czyjś brat umarł, mając żonę, a byłby bez dzieci, niechaj brat jego weźmie ją za żonę i wzbudzi potomstwo bratu swojemu”. Tak napisał Mosze Rabenu. Mosze wiedział jedno, a my wiemy drugie. Wprawdzie Mosze wiedział również to, co i my wiemy, ale działał tak, jakby tego nie wiedział,

więc pozostawił nas w drżącej niepewności, która zmusza nas teraz do zastanowienia się, co by było, gdyby drugi mąż owej niewiasty umarł przedwcześnie, nie wzbudzając potomstwa bratu swojemu, a potem gdyby umarł jej trzeci mąż i czwarty, i piąty, i szósty, i siódmy, a każdy z nich schodził bezpotomnie z tego świata. Co się stanie, gdy po nich wszystkich owa niewiasta umrze, a w oznaczonym czasie nastanie dzień zmartwychwstania – tu uśmiechnął się szyderczo, ponieważ, będąc saduceuszem, nie wierzył w zmartwychwstanie – i zmartwychwstaną wszyscy ludzie, i zmartwychwstanie siedmiu zmarłych braci, i zmartwychwstanie owa niewiasta, ich kolejna żona, i wszyscy radować się będą w wieczności z powodu szczęśliwego życia. Ale ich szczęście pośmiertne – znów uśmiechnął się szyderczo – ulegnie nieco zamąceniu, bo nie wiadomo, do kogo z owych siedmiu braci należeć będzie niewiasta w błogosławiony dzień wieczności, skoro za życia była prawowitą żoną każdego z nich według prawa Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, i proroka Mosze, czyli przykazań nadanych przez Pana.

Drwiący przestał się kołysać i skończywszy opowiadanie rozweselającej przypowieści, obrzucił zwycięskim spojrzeniem lud, czekając na jego wdzięczną i głośną pochwałę.

Lud ponuro milczał.

Wtedy Jezus zwrócił się do drwiącego kapłana i począł do niego mówić, a mówiąc do niego, zganiał jego nieznamość pism natchnionych. Jeżeli bowiem z jego przypowieści ma wynikać, że nie ma zmartwychwstania, jest w niezgodzie z Księgami Machabeuszów, gdzie jest wyraźnie mowa o zmartwychwstaniu i o ofierze, która powinna być złożona za umarłych, aby w przyszłym życiu byli uwolnieni od grzechów, bo Pan Zastępów wskrzesi i ożywi wszystkich synów człowieczych, wierzących w Niego i Jego Prawo. Wątpiący niechaj przeczytają wersety o krzaku ognistym, słowa Jahwe wypowiedziane do Mojżesza: „Jam jest Bóg Abrahama, Jicchaka i Jaakowa”, a wtedy zrozumieją, że Pan, określając się mianem Boga trzech patriarchów – równie dobrze mógł siebie określić mianem Boga nieba i ziemi, i wszelkiego stworzenia – chciał przez to powiedzieć, że jest Bogiem ludzi żyjących życiem wiecznym, co oznacza, że On, Wiekuisty i Wszchemocny, nie jest Bogiem umarłych, ale wiecznie żyjących, Panem, dla którego i ku któremu żyją wszyscy synowie człowieczy. Śmierć przemija, życie jest wieczne. Co dotyczy zaś pośmiertnego losu siedmiu mężów i jednej żony, pragnie pouczyć kapłanów, że wprawdzie dzieci tego świata żyją, pracują, żenią się i wychodzą za mąż, płodzą potomstwo, starzeją się i umierają, ale ci wszyscy, którzy czasu podniesionego i czasu zmartwychwstania znajdą się w czasie podniesionym i zmartwychwstaną, ani nie będą się żenić, ani nie będą wychodzić za mąż, ani powtórnie umierać, bo

będąc synami zmartwychwstania, będą zarazem synami Bożymi, a będąc synami Bożymi, równi będą aniołom w jednej naturze, ani w męskiej, ani niewieściej, ale w bezgrzesznej jednorodzajowości, nie naznaczonej zmaganiem i posiadania, bo zdobywszy i posiadłszy Pana, zdobyli i posiadli Wszystko we Wszystkość na całą wieczność.

Lud zdumiał się z powodu mądrości nauki Jezusa, a niektórzy kapłani nisko Mu się pokłonili i powiedzieli:

– Dobrze powiedziałeś, Rabbi.

Dwa najważniejsze przykazania

W tłumie znajdował się pewien pobożny faryzeusz imieniem Jiszael ben Eliza, mąż wielce cnotliwy i uczony badacz Pisma i znawca jego kodeksów prawnych. Faryzeusz ów, przysłuchując się nader uważnie rozmowie Rabbiego z saducejskimi kapłanami, przyznał w duchu słusność odpowiedziom Męża – do owej pory należał do tych, którzy z dużym niedowierzaniem odnosili się do Jego nauk – i uradował się z powodu mądrej odprawy, jakiej udzielił On saduceuszom i drwiącemu kapłanowi. Jezus wzbudził w nim zaufanie, a było ono tym bardziej znamienne, że wywołały je nie cuda rozmnożenia i obfitości, działyane przez Rabbiego, nie cudowne uzdrowienia, nie wskrzeszania umarłych, lecz słowa, zwyczajne słowa, wychodzące z Jego ust. Zastanawiał się, czy słuszne jest uczucie, które wzbudził w swoim sercu ku temu Mężowi, a ponieważ zwykł zawsze dawać niepewności pierwszeństwo przed pewnością, postanowił wystawić Rabbiego na próbę, umocnić się w słusności swojego spostrzeżenia i dopiero wtedy utwierdzić je w sobie. To pomyślawszy, przemówił do Rabbiego tymi słowami:

– O przykazaniach Pańskich moglibyśmy rozprawiać cały dzień i całą noc, i znowu dzień, i znowu noc, i tak w koło, po nieskończone odejścia i powroty dni i nocy, i jeszcze nie zdołalibyśmy wyczerpać tematu. Przykazania są drogami prowadzącymi do Boga i dlatego, aby dojść do Pana, trzeba iść wszystkimi drogami równocześnie, a nie wolno wybierać sobie drogi bardziej wygodnej, natomiast omijać drogi trudne i kamieniste. Niewątpliwie są przykazania ważne i mniej ważne, i najważniejsze, podobnie jak są ścieżki, dróżki, drogi i gościńce, a te mniej ważne są tak samo ważne jak bardziej ważne, a te bardziej ważne są tak samo ważne jak najważniejsze, bo wszystkie razem wskazują kierunek do Elohim. Niestety, wśród tych różnych dróg są wąskie, zarośnięte cierniami, wyboiste, pokryte pniami zwalonych drzew – ludzie te drogi chętnie poczytują za mniej ważne – i są gościńce szerokie, łatwo dostępne, gładkie jak stół, którymi bez kłopotu zdążamy przed siebie

i nazywamy je dla zaspokojenia sumień drogami najważniejszymi. Zważywszy to wszystko, co tu powiedziałem, zadam Ci, Rabbi, pytanie, a Ty mi racz odpowiedzieć – albo nie odpowiedzieć, jeżeli to uznasz za stosowne – które z przykazań w Prawie jest najważniejsze i najpierwsze ze wszystkich; a pytam nie dlatego, abym chciał inne przykazania odrzucić, a spełniać tylko przez Ciebie wskazane, ale po to, abym mógł właśnie z jednaką gorliwością spełniać wszystkie.

To powiedziawszy, uczynił rękami w kierunku Jezusa gest zapraszający do wypowiedzi i czołobitnie czekał na otwarcie Jego ust.

Jezus widział wprawdzie skazy i błędy w wypowiedzi Jiszmaela ben Elisza, ujrzał jednak między ich szczelinami zacność jego duszy, więc tymi słowami odezwał się do niego:

– Pierwszym przykazaniem jest to, które zapisane zostało w świętej Księdze Dewarim: „Szema Israel, Adonaj Elohenu, Adonaj Ehad. Słuchaj Izraelu, Pan jest Bogiem naszym, Pan jest Jeden. Będziesz miłował Wiekuistego, Boga twojego, całym sercem twoim, całą duszą twoją i całą mocą twoją. Niechaj słowa te, które ci dzisiaj przykazuję, będą w sercu twoim i wpajaj je dzieciom swoim, i mów o nich, przebywając w domu swoim, i idąc drogą, i kładąc się, i wstając. Przewiążesz je jako znak na ręce twojej i niechaj będą ozdobną przepaską między oczami twoimi. Napiszesz je na odrzwiach domu twojego i na bramach twoich”. Takie jest największe i pierwsze przykazanie, a drugie, równie największe, zapisane jest w świętej Księdze Wajikra: „Będziesz miłował bliźniego twego jak samego siebie”. Innego większego przykazania nad te nie ma. Na tych dwóch przykazaniach polega całe Prawo i nauka proroków.

Jiszmael ben Elisza utkwiał wzrok w ziemi. Poruszał bezszelestnie wargami i prawdopodobnie powtarzał i utrwał w pamięci Jezusowe wywody. Wyraz jego zamysłonej twarzy był nieprzystępny i zamknięty. Zdawało się, że odgradza się od świata, że chce sam ze sobą pozostać, że chce na osobności, poza zasięgiem patrzących nań oczu, zgłębić myśl Rabbiego, którego słowa, chociaż przestał mówić, wciąż jeszcze pełnią swojego brzmienia dochodziły do uszu faryzeusza. Niezliczoną ilość razy odmawiał te wersety od wczesnego dzieciństwa rano, w południe, wieczór, w różnych okolicznościach życia, w radości i smutku, miał je na całe życie wypisane w pamięci, płynęły one w jego krwi, wraz z nim od dzieciństwa rosły i dojrzewały w jego ciele, niezliczoną ilość razy słyszał je wypowiedziane ustami modlących się współbraci, ale teraz w ustach Jezusa zabrzmiały tonem zupełnie innym, jakby nabrały innego znaczenia, tego właściwego i najpełniejszego, nieogarnionego w swej wielkości i znaczeniu. Jakby odnalazł nowy smak w chlebie, który codziennie spożywał. W tych starych słowach była nowa moc. Nie słyszał ich

nigdy tak wymawianych. Wydawało mu się, że słyszy je po raz pierwszy. Patrząc Jezusowi prosto w oczy, rzekł:

– Dobrze, Rabbi. Prawdziwie powiedziałeś, że Bóg jest jeden, a nie masz innego prócz Niego, że należy Go miłować całym sercem i całą duszą, i całą mocą, że powinniśmy kochać bliźnich jak siebie samych, bo to jest więcej niż wszystkie ofiary i całopalenia. To są dwa najważniejsze przykazania.

Jezus odpowiadając rzekł:

– Wielu jest wezwanych do Królestwa Bożego, ale mało wybranych. Zrozumiałeś mnie, mężu bogobojny. Niedaleko jesteś od Królestwa Bożego.

Saducejscy kapłani, słysząc odpowiedź udzieloną Jiszmaelowi ben Elisza i widząc jego pokorę przed obliczem Jezusy, ze złośliwym zadowoleniem zerkali na faryzeuszów, w których godziły słowa zwodziciela. Radzi byli, że ich Galilejczyk zaczepił. Wprawdzie w jakiś luźny sposób połączyła ich teraz z faryzeuszami nienawiść do odstępcy, niemniej nie mogli oprzeć się jadowitej radości, że Jezus zadał im bolesny cios. A na domiar wszystkiego ten Jiszmael! Ale spletał im figła!

Faryzeusze poderwali się. Jak to? Szema Israel jest najważniejszym przykazaniem?! „Kochaj bliźniego” jest najważniejszym przykazaniem?! A wszystkie inne przykazania?! Czy wszystkie inne przykazania są wiatrem, mgłą, niczym? Cóż się stało z świętym dziełem ojców, z sześciuset trzynastoma nakazami i zakazami, które właśnie w ścisłym związku z Szema Israel i przykazaniem o miłości bliźniego tworzą dom wiary Jezuruna? Kim jest ten człowiek, który wstrząsa równowagą wiary? Czy nie jest godny najsurowszego potępienia?

Dusze faryzeuszów zatrzęśły się i zatrzęśły się ich brody i dłonie, i nogi, a wraz z ich duszami, brodami, dłońmi i nogami zatrzęśł się w posadach cały świat i cały sens jego istnienia. Nie powinni byli tych słów słyszeć! Powinni je zagłuszyć głośnym łajaniem! Powinni je ugasić gwałtownymi sprzeciwami, jak gasi się wodą płonący dom! Czyżby wystarczyło wyznawać tylko dwa przykazania, a już odnalazło się łaskę przed obliczem Elohim? A przecież Pan osobiście czuwał nad sześciuset trzynastoma nakazami i zakazami, które w błogosławionym natchnieniu ustanowili mądrzy ojcowie! Pan hołubi te nakazy i zakazy jak ukochane pisklęta. Pan pieczołowicie opiekuje się każdym nakazem i zakazem jak młodą sadzonką, a każdy nakaz i zakaz jest pod okiem Pana jak skaczący jelonek. Każdy z sześciuset trzynastu nakazów i zakazów jest jak pocałunek Pański, złożony na czole oblubienicy, umiłowanej Mądrości! Tylko zwodziciel nie dostrzega piskląt hołubionych ręką Pana i drzew przez Niego sadzonych i za nic ma Jego pocałunek. A ten Jiszmael ben Elisza, bogobojny faryzeusz, bezcenna perła rozumu, mąż sprawiedliwy, dał się uwieść odstępcy, uległ jego wymowie i złożył mu pokłon. Czy Jiszmael oszalał?

Czyżby Jezua ben Josef opętał go czarami? Czyżby zarzucił sieć na jego rozum, oczy i uszy?

Jednak opanowali się. Nie pozwolili wybuchnąć swojej zapalczywości i tak do niej przemówili: „Uspokój się, szlachetna zapalczywości! Rozpogódź swoje pomarszczone oblicze. Włóż na siebie maskę pobłażliwego uśmiechu i czekaj cierpliwie, dobra zapalczywości. Czekaj”.

Bóg i cesarz

Zataili w sobie zapalczywość, oblicze zakryli uśmiechem, a na porywczosć ust nałożyli wędzidło. Zastanawiali się, co mają uczynić, aby dowiedzieć się, za kogo Jezua siebie uważa. Z opowiadań wielu faryzeuszów znali jego skłonność do udzielania wieloznacznych odpowiedzi. Umiał wyśliznąć się z każdej matni. Jego – jak mawiali – pełzająca mądrość zawsze znajdowała wyjście nawet z najszczelniejszych sideł. Tym razem postanowili otrzymać od niego wyczerpującą odpowiedź. To nie było łatwe. Przede wszystkim należało tak pokierować pytaniami, aby tłum am haareców raz na zawsze wyrobił sobie jasne o nim wyobrażenie. Jeżeli Jezua nie uważa się za Mesjasza, musi to głośno i wszem wobec oświadczyć, aby lud nie upatrywał w nim tego, za którego zwodziciel nie ma zamiaru się uważać. Jeżeli natomiast uważa się za Mesjasza i zamierza stanąć na czele ludu i poprowadzić go do walki przeciw znienawidzonym poganom, nad Jeszurunem zawisła groźba klęski. Pod wodzą fałszywego Mesjasza Izrael nie zwycięży. Padnie jak zboże pod sierpem. Czyżby Elohim uczynił ze zwodziciela różgę, którą zamierza wysmagać Jeszuruna za jego grzechy i winy? Czyżby zbliżał się Dzień Gniewu Pańskiego? Wzdychali i rozmyślali, jak ułożyć pytanie, które by zmusiło zwodziciela do ujawnienia jego zamierzeń i celów. Jak i gdzie znaleźć takie pytanie, które będzie kluczem do jego tajemnicy? W głowie najmłodszego spośród nich zaświtała zbawcza myśl. Bolesnym symbolem niewoli jest podatek, który Izrael płaci cesarzowi. Podatek – to widomy znak udręki całego narodu, jego upokorzenia i hańby. Podatek – to kajdany nałożone na jego ręce. Podatek – to niskie pochylenie głowy przed rzymskim Belialem. Jeżeli zwodziciel uważa się za Mesjasza, musi przede wszystkim wezwać lud do niepłacenia podatków cesarzowi. Od tego wezwania rozpoczynały się powstania przeciw ciemieżcom i dlatego prawdziwy Mesjasz, rozpoczynając swoje zbawcze dzieło, musi rzucić to hasło. Jeżeli zatem zwodziciel uważa się za Zbawiciela narodu, na pewno zażąda od ludu, aby przestał płacić obelżywą daninę zaborczej władzy. Tak myślał najmłodszy spośród faryzeuszów – sam należał do stronnictwa zelotów, nieprzejednanych wrogów

Rzymu – i wodząc dłonią po rzadkiej bródce, która jak świeży powój obrastała jego różowe policzki, pokłonił się nisko przed Mężem i rzekł schlebiająco, a za każdym pochlebstwem zamykał oczy i odchyłał ku tyłowi głowę:

– Jesteś prawdomówny, rabbi, kłamstwa nie ma na twoich ustach, zawsze mówisz sprawiedliwie, drogi Bożej nauczasz, nie oglądasz się na osobę ludzką i za nic masz wysokie godności synów człowieczych. Ale jest Wiekuisty na niebie i na ziemi i jest cesarz rzymski, panujący nad ludami. Ponieważ Wiekuisty jest królem świata i królem Izraela, powiedz nam, czy Jeszurun nie sprzeniewierza się swojemu Bogu i Władcy, płacąc cesarzowi podatki? A ten, który sprzeniewierza się Bogu, czy nie jest bluźniercą? Zatem ten, który płaci podatki rzymskiemu cesarzowi, czy nie jest bluźniercą, wrogiem Elohim? Ja nie mówię tak ani nie mówię nie. Zadaję tylko pytanie, aby otrzymać od ciebie, rabbi, miarodajną odpowiedź, która ułagodzi mój własny niepokój i niepokój wielu synów Izraela, nie umiejących pogodzić miłości dla Wiekuistego – tu zniżył głos – z płaceniem podatków cesarzowi, uważającemu się za pana Ziemi Świętej, majętności Pańskiej. Kto jest zatem właścicielem tej ziemi – teraz mówił już prawie szeptem – Jahwe Cebaoth czy cesarz? Właścicielem jest ten, który pobiera podatek. Czy płacimy Panu dziesięcinę z płodów ziemi? Płacimy. Czy płacimy cesarzowi daninę? Płacimy. Powiedz nam zatem, rabbi, jak ci się zdaje, czy godzi się płacić cesarzowi podatek, czy nie?

Jezus uśmiechnął się. Znał myśli ich myśli. Serce Jego napełniło się gorzkim współczuciem dla tych nieszczęśliwych ludzi, którzy marzą o wolności, a nie wiedzą, czym jest prawdziwa wolność. Widzą ją w niepłaceniu podatków poganom, w powstawaniu przeciw Rzymianom, w krwawej rozprawie z wrogiem, we własnym królu, siedzącym na tronie w Jeruzalajim Hakodesz. Ale czym jest ta wolność w porównaniu z wolnością ducha? Czym jest ich niewola pod władzą rzymską w porównaniu z niewolą ich sumień? Niechaj oddadzą lichej glinie ludzkiej marną mamonę, próchno i pył, byleby nie oddali jej tego, co jest Boskie i wieczne, i należne Bogu.

Jezus odpowiadając kusicielom rzekł:

– Znam dobrze waszą obłudę, przewrotność i chytryść. Dlaczego kusicie mnie, obłudnicy? Przynieście mi i pokażcie rzymską monetę, abym ją zobaczył i odpowiedział na wasze pytanie.

Gdy podali mu denara, zapytał:

– Czyj to wizerunek?

– Cesarza – odparli.

– Jaki to napis?

– Rzymski – odpowiedział z chwiejną pewnością młody faryzeusz. Wtedy Jezus

rzekł:

– Oddajcie więc cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co Boskie. Rozczarowani saduceusze i faryzeusze powstałi z rogoży. Znowu ponieśli klęskę.

Sęp Baranek

Po ich odejściu Jezus przemówił do ludu, a słowo wychodzące od Niego było wołaniem Baranka o sępich szponach i ostrym dziobie, Istoty łączącej w sobie dwie natury – sępią i jagnięcą, drapieżną i miłosierną, skazującą i skazaną, która często na oczach całego Izraela objawiała się zależnie od konieczności bądź pod postacią cichego Baranka, bądź pod postacią gwałtownego Sępa, rozrywającego na drobne strzępy padlinę grzechów. W pośrodku ludu wyszło od Jezusa słowo i przemówiło przeciw tym faryzeuszom i uczonym, którzy zasiadłszy na stolicy Mojżeszowej nie czynią według swoich nauk i wiążąc ciężkie brzemiona składają je na plecy synów człowieczych, a sami, niby uginając się pod ciężarem surowej pobożności, dźwigają ją tylko na pokaz bez żadnego wysiłku. Idźcie i zobaczcie, jak obwieszają się długimi tefilin i cicith, byleby tylko te święte rzemyki i strzępce widoczne były dla oczu przechodniów! Niechaj zatem Izrael wystrzega się uczonych, którzy dla pustki i próżności nakładają na siebie długie szaty i zajmują na ucztach i w synagogach pierwsze miejsca, pokornych pyszałków, miłujących tytuły rabbich i głębokie ukłony składane im na rynkach przez pochlebców. Biada im! Biada! Biada! Tak mówiło słowo wychodzące z ust Jezusa, a mówiąc wołało: – Niech nikt nie nazywa siebie nauczycielem, bo jeden jest tylko Nauczyciel, a wszyscy ludzie są sobie braćmi! Niechaj nikt nikogo nie nazywa ojcem na ziemi, gdyż jeden jest tylko Ojciec w niebie! – tak mówiło słowo wychodzące z ust Jezusa, a mówiąc, coraz wyżej podnosiło głos, aż wreszcie zawołało złorzeczącym krzykiem, od którego zatrzęsły się serca ludu. Był to krzyk Sępa-Baranka, spadającego z łoskotem z wysokich przestrzeni na upatrzone grzechy. Był to krzyk dzioba rozdzierającego cuchnące padło obłudy i przewrotności uczonych w Piśmie, był to krzyk szponów wpijających się w chytrą i kłamliwą pobożność tych, którzy zabrali klucze poznania i zamknęli przed ludźmi Królestwo Niebieskie, sami do niego nie weszli, a pragnącym wejść zabraniają wstępu. Biada im! Biada! Biada! Sępi dziób Baranka zanurzał się jak włócznia w występkach, w zepsuciu, w niegodziwości, w podłości tych, którzy ograbiali wdowy pod pozorem długich modlitw, zmawianych na ich intencje, w zatwardziałości obłudników, którzy nawracają pogan, a potem wpajają w nich zło, wskutek czego są dwakroć winni ognia piekielnego, w przestępstwach głuchych i ślepych przewodników, którzy za pomocą wykrętów i przysięg fałszywych przeczą

prawdzie, i w występkach tych, którzy precedzają komara, a pożerają wielbłąda, którzy składają dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, a zaniedbują to, co jest najważniejsze w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. Biada im! Biada! Biada! Szponami unieruchomił wciąż jeszcze rzucającą się ofiarę i tłukł w nią dziobem coraz mocniej i bezlitośniej, coraz gwałtowniej i zawzięciej, i między jednym ciosem a drugim krzyczał krzykiem, z trudem wydobywającym się ze schrypniętego gardła, przeciw faryzeuszom podobnym grobom pobielanym, które z wierzchu wydają się pięknymi budowlami, a wewnątrz pełne są trupich kości i robaczywego plugastwa, przeciw spadkobiercom siepaczy, którzy z rozkazu odstępcy króla Joasa zamordowali proroka Zecharię na dziedzińcu Świątyni Jahwe, w sam Jom Kippur, w święty Dzień Pojednania, a krwi proroka niezakrzepłej i wciąż burzącej się nie można było zmyć przez dwa wieki, a krew wrzała i kotłowała się na zbezczyszczonych kamieniach Przybytku i kipiąc wyła o pomstę do nieba! Biada im! Biada! Biada!

Taki był krzyk drapieżnego Sępa-Baranka, szponami i dziobem rozdzierającego grzechy człowiecze na bezkształtną, krwawą miazgę.

Mowa o rzeczach ostatecznych

Wypadki wczorajsze i dzisiejsze obfitowały w trudne przeżycia. Wypędzenie przekupniów ze Świątyni i spory z saduceuszami i faryzeuszami nie były dobrą wróżbą, a złorzeczenia, które Jezus przed chwilą ciskał na głowy przeciwników, na pewno jeszcze bardziej zamotały już i bez tego trudne położenie Rabbiego i apostołów. Uparty Kajafa na pewno nie ustąpi, zapiekły w gniewie Hanan rozsierdzi się jeszcze bardziej, saduceusze, kapłani, faryzeusze jeszcze ściślej połączą się z sobą w nienawiści przeciw Jezusowi, który osaczony ze wszystkich stron przez przeciwników działa tak, jakby świadomie zwoływał i gromadził liczne zastępy swoich wrogów i ustawiał ich przeciw sobie w zwarte, bojowe szyki. Radzi byli, gdy Rabbi wreszcie opuścił Portyk Salomona i przez Złotą Bramę wyszedł ze Świątyni. Zmiarkowali, że wracają do Bethanii, do zacisznego domu Eleazara. Odetchnęli z ulgą. Chcieli wypocząć z dala od tłumów. Mieli już dość dyskusji, kłótni, starć.

Idąc wzdłuż zewnętrznych murów świątynnych, obrzucali spojrzeniami olbrzymie kamienne, pięknie ciosane bloki Pańskiego Przybytku i poczuli podziw dla wspaniałości tej budowli. Przypomnieli sobie słowa Jezusa, które wypowiedział wczoraj do swoich przeciwników: „Gdybyście zburzyli ten Przybytek, ja go w trzech dniach odbuduję”. Czy to możliwe? Czy jest możliwe, aby Dom Pański znowu zamienił się w gruzy? Czy jest możliwe, aby go jeden człowiek w trzech dniach

odbudował? Błogosławiony niechaj będzie mąż, który potrafi Świątynię w trzech dniach odbudować, ale przeklęty niech będzie dzień, w którym miałaby ona ulec zagładzie!

Kefas westchnął i rzekł z zachwytem:

– Rabbi, spójrz na te kamienie, jaka to potężna budowla... Jezus nie zatrzymując się odpowiedział:

– Jeżeli wam chodzi o to, co tu widzicie, to wieście, że nadejdą dni, gdy z tego wszystkiego nie pozostanie kamień na kamieniu, że nawet jeden kamień nie pozostanie, którego by nie rozwalono.

Apostołowie przystanęli. Przywarli wytrzeszczonymi oczami do Jezusa, który nie odwrócił się, nie przystanął i szedł pod górę, unosząc z sobą swoje twarde słowa, a pozostawiając apostołom osłupienie i ucisk serca. Widząc, że Rabbi nie odwraca się i nie ma zamiaru wszczynać z nimi rozmowy – o, Elohim, dlaczego głos Rabbiego jest głosem zniszczenia? Dlaczego słowa Jego są słowami zagłady?! – powoli wlekli się za Nim, przytłoczeni ciężarem przepowiedni tak strasznej, że aż niewiarygodnej. Spoglądali ku Świątyni, ku jej potężnemu masywowi, wierzchołkiem swoim sięgającemu nieba, i sycili wzrok jego kamienną potęgą, nad którą czuwa oko Jahwe. Nie zaznali pocieszenia. Juda z Kerijoth przycisnął rękę do serca. Biło zmiennym rytmem, raz ustawało, raz szybko uderzało i znów milkło, i znów zrywało się gwałtownym susem jak spłoszony zając, i tłukło się w piersiach, tłukło się serce dwunastego apostoła, który był już teraz najgłębiej przekonany o mocy Beliala tkwiącej w Jezusie, bo przecież jest niemożliwe, aby prawdziwy Mąż Boży, nieskazitelny wysłannik Pana, przepowiadał upadek Świątyni – dygotał, jakby chciał wytrząsnąć z siebie tę bluźnierczą myśl – i widział na jej miejscu górę dymiących gruzów. Ho! Ho! Judy nikt nie wprowadzi w błąd! Juda czytał w Piśmie, w Zwojach Jeremijahu, o zagładzie Jeruszałajim Hakodesz, ale Jeremijahu w swoich widzeniach powoływał się na przemawiający do niego głos Jahwe i niczego nie mówił od siebie, wszystko mówił od Jahwe i cokolwiek powiedział, natychmiast wypowiedź swoją pieczętował pieczęcią Pana, a Jeszua ben Josef mówi i działa od siebie, nie powołuje się na usta Pana ani na obrażone oblicze Pana, ani na gniew Pana, ani na Jego wyrocznię, a wyroczni swojej nie pieczętuje pieczęcią Pana! Belial! Belial! Belial! Belial, który przybył na ziemię, aby zniszczyć winnicę Izraela! Juda, zgrzytając zębami, położył rękę na głowie na znak rozpacz i smutku.

Stanęli na szczycie Góry Oliwnej. Jezus usiadł na kamieniu, a apostołowie usadowili się pod oliwką, w pewnej od Niego odległości, twarzami zwróceniu ku Świątyni, i zmawiając psalmy pokutne błagali Elohim o miłosierdzie nad Przybytkiem i miastem. Jezus również nie spuszczał wzroku ze Świątyni, a podczas

gdy apostołowie trwali w żałobnym podziwieniu dla jej żywego piękna, dla harmonijnych kształtów i strzelistości Świętego Świętych, dla dachów roziskrzonych promieniami słonecznymi i dla kamieni o barwie złotego miodu, Rabbi pochylony nad dokonaną przyszłością wywoływał z niej obraz pogańskiego wodza pędzącego na czele doborowej jazdy na pomoc wojskom wdzierającym się do Świątyni. Ujrzał obrońców, wycofujących się na wewnętrzne dziedzińce, i zelotów, z furją rzucających się na wroga, i krwawą, i bezlitosną walkę między załogą Przybytku a Rzymianami, docierającymi do samego Kodesz Hakodeszim. Potem ze zgiełku, ścisłu i zamieszania wyłonił się wielooki Anioł Śmierci, żołnierz rzymski, który, nie czekając rozkazu dowódcy, chwycił płonąca głównię i stanawszy na plecach towarzysza miotnął ją przez złote okno na dach zabudowań okalających Przybytek. Płomienie jak spłoszone konie stanęły dęba i runęły przed siebie. Przybytek płonął. Twarz Jezusa zmartwiała. Zbladł. Pograżony w żałości wpatrywał się we wzmagający się pożar, w pękające od żaru kolumny, w zapadające się schody, ochlapane ludzką krwią, czujnym uchem łowił huk obsuwających się kamieni i syk popiołów, podrywanych wiatrem. Pochylił się, zgarbił i zamknął oczy. Gdy je otworzył, spostrzegł obok siebie Kefasa i Andraja, Johanana i Jaakowa, synów Zebadii. Ujrzeni bladość Jego twarzy i drżenie warg. Czyżby się modlił? Dał im znak ręką, aby obok usiedli. Kefas, nie mając odwagi mówić wyraźnie o zagładzie Świętego Miasta i określać jej słowami, od których samego brzmienia krew zastyga w żyłach, a w oczach ciemnieje, zapytał:

– Powiedz nam, Rabbi... kiedy nastąpi to... o czym mówiłeś?

A ponieważ nie wyobrażał sobie, aby zagłada Świątyni nie była zarazem Dniem Jahwe, dodał: – Powiedz, jaki będzie znak końca świata?

Jezus, nie odrywając oczu od Świątyni – promienie słoneczne, odbite od jej dachów, tryskały w górę jak fontanny rozpylające rozżarzone złoto – rytmicznie kołysał się naprzód i w tył, a były to te same ruchy, które wykonują pokutujący żałobnicy nad martwym ciałem bliskiego człowieka, i tak kołysząc się, począł im mówić o Jerozolimie oblężonej przez niezliczone wojska. Gdy zobaczą miasto otoczone przez zastępy pogan, powinni wiedzieć, że zbliża się jego spustoszenie, a ujrzawszy na świętym miejscu ohydę spustoszenia, przepowiedzianą przez proroka Daniela – wciąż patrzył na Świątynię i miasto, jakby nie były stawiane z kamieni, ale ze słów, które lamentującym głosem odczytywał – niech uciekają w góry, albowiem Świątynia i miasto zginą wraz z obrońcami i wodzami, i będzie koniec tego miasta wśród krwawego potopu według Prawa ustanowionego o spustoszeniu, i nastąpi koniec ofiar krwawych i bezkrwawych, i Przybytek runie w obrzydliwość gruzów i popiołów, a wyrok Pański jak ogromny cień krążyć będzie

nad pustką. Kto będzie w owym czasie na dachu, niech nie schodzi do mieszkania po szaty i sprzęty, a kto będzie na roli, niech nie wraca do domu po płaszcz, a ci, którzy będą pracować po wsiach, niech nie udają się do miast, bo to będą dni klęski, według słów Pisma Świętego – tak mówił Jezus i wodził oczami po Świątyni i mieście jak po Zwoju zapisanym wyrokiem Jahwe, i czytając ten wyrok widział pochód strzaskanych kolumn i portyków, rozwalonych bram, pogruchotanych schodów, usypisko dachów zmieszane z usypiskiem fundamentów i góry stygnących popiołów, zstępujących w szeroką i nigdy nienasyconą gardziel szeolu. Głos Jezusa zawodząco falował, łamał się, nacichał i znów wybuchał żarliwym lamentem, współczującą skargą nad zarzynanymi starcami, nad tysiącami wojowników przybijanych do krzyżów, nad brzemiennymi i karmiącymi w owe dni kobietami, uciekającymi w porze zimowej i w Szabat – troską nappełniała Go myśl, że będą uciekały w święty dzień Szabatu – w czas wielkiego ucisku i gniewu nad narodem, pośrodku mężów umierających od miecza.

Czterej apostołowie chętnie by uciekli, aby nie słyszeć przepowiedni Jezusa, skoro jednak prosili Go o wytłumaczenie tajemniczych słów o rozpadających się kamieniach, uważali, że ich ucieczka byłaby sprzeczna z czcią, jaką powinni okazywać swojemu Nauczycielowi. Uczeń, który ucieka przed słowami swojego nauczyciela, jest równy bezbożnikowi. Słuchali więc z bólem przepowiedni Jezusa, a chociaż wzdrgali się przed koniecznością takiego obrotu zdarzeń, z cierpliwym posłuszeństwem poddali się tej wstrząsającej wizji i widzieli córkę Syjonu, zamienioną w cierpiącą pustynię, niewiasty zjadające owoc swojego łona i dziewice deptane nogami pogańskich żołdaków jak grona w winnej tłoczni, i rozproszenie Izraela między wszystkimi ludami świata, a jedyną ulgę sprawiało im zapewnienie Rabbiego, że Elohim ze względu na wybranych skróci dni klęski, aby mogli ocalić się ci, którym pisane jest ocalenie.

A Jezus, ciągnąc dalej, mówił widzącymi ustami o fałszywych mesjaszach, którzy w owym czasie nawiedzać będą lud, zwodzić go kłamliwymi cudami i znakami i nakłaniać do pójścia ich drogami. Niechaj zatem nie wychodzą na pustynię, gdy usłyszą stamtąd wołanie samozwańczego mesjasza, i niech nie wchodzą do domu, w którym przebywa samozwańczy prorok. Syn Człowieczy zjawi się nagle – widzące usta Jezusa podniosły głos i odezwały się głosem wyroczni – zjawi się nagle jak błyskawica, jak burza, ale nie stamtąd, skąd Go się ludzie spodziewają, albowiem nie przyjdzie z zachodu i nie będzie ciągnąć ku wschodowi, jak wszystkie burze nawiedzające ziemię Izraela. Przyleci od strony niespodziewanej i w czasie niespodziewanym, przyleci stamtąd, skąd Go ludzie nie wypatrują, przyleci i zjawi się w stolicy zła, rozkładu i upadku, gdzie nagromadzona będzie wszelka padlina

ludzkich grzechów, przestępstw, bezprawia i zgnilizny, i runie na tę padlinę jak sęp, osądzi ją i wyda wyrok, i według wyroku rozszarpie ją dziobem i szponami. Gdzie jest padlina, tam gromadzą się sępy.

Tak mówił i nie odwracając twarzy od Świątyni napominał ich, aby dawali baczenie na samych siebie, albowiem zanim to wszystko nastąpi, wrogowie targną się na nich, będą ich prześladować, wydadzą w ręce sędziów i dozorców więziennych, ubiczują ich w synagogach i postawią przed namiestnikami i królami. Niech się nie troszczą o to, co mają przed sędziami mówić. Powiedzą to, co im każe Duch Święty, który przez nich przemówi. On, Rabbi, udzieli im ust, a ustom mądrości, żaden z wrogów nie zdoła się oprzeć ich natchnionym ustom ani im się sprzeciwić. Nie oni będą mówić. Wzruszy ich swoim wzruszeniem wstąpi w ich usta, wypełni je swoimi słowami i swoim oddechem, tak że przemówią mądrością Jego ust i wzruszeniem Jego warg, a wszystko, co powiedzą, stanie się ich świadectwem i chlubą.

Tak mówił i nie odwracając twarzy od Świątyni zapowiedział im, że nadejdą dla nich czasy okrutne, gdy rodzice i bracia, krewni i przyjaciele wydadzą ich w ręce splamione krwią, a niektórych spośród nich zabiją. Będą znienawidzeni przez wszystkich dla Jego imienia, mimo to nie zginie najmniejsza częśćka ich żywota, a przez nieugiętość i wytrwałość zdobędą swoje dusze na całą wieczność. Kto wytrwa aż do końca, będzie zbawiony. Zanim przeminie to pokolenie, to wszystko się stanie. Niech idą i niech głoszą Dobrą Nowinę po wszystkiej ziemi, na świadectwo wszystkim ludom.

Gdy to powiedział, umilkł i milczał, po czym zwróciwszy się do apostołów, rzekł: – Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nigdy nie przeminą.

Położywszy dłonie na kolanach, począł im mówić o wojnach narodów przeciw narodom, królestw przeciw królestwom, o krwi przelanej, o gwałtach i okrucieństwach, o wybuchach wstrząsających ziemią, o zarazach, o głodzie uśmiercającym synów człowieczych, o szaleństwie fałszywych proroków, o znaku na niebie. Znakiem tym będzie Niewiasta odziana w słońce, a księżyc będzie pod jej nogami, a na jej głowie wieniec z dwunastu gwiazd, a będzie to w jednej osobie Matka Zbawiciela, małżonka Jahwe i Jerozolima podniesiona, a wszystkie te zjawiska będą początkiem bólów porodowych, zapowiadających powtórne przyjście Syna Człowieczego. A któż zna czas Jego powrotu i nadchodzącego końca? O tym dniu i godzinie nikt nie wie. Ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec, święta brzemiennosć Pana, dźwigająca w sobie Syna. Na pewno stanie się to o godzinie nie strzeżonej i nie spostrzeżonej, ludzie będą jedli i pili, jak jedzą i piją codziennie, będą się żenić i wydawać za mąż, jak codziennie się żenią i wydają za mąż, wstaną do

pracy, jak wstają codziennie, słońce wszędzie, jak wschodzi codziennie, i nagle na tę codzienność runą wielkie wody potopu, i otworzy się brzemienność Pańska, która wyda Syna. Nad nieustannie przybierającymi wodami zgasną słońce, księżyc i gwiazdy. Oblędny strach ogarnie ludzi, którzy zachwieją się wraz z wszystkimi mocami niebieskimi. Syn Człowieczy zbrojny w miecz, wychodzący z Jego ust, zstąpi na ziemię z niewidzialności Elohim wśród grzmotu trąb i rogów bawolich, stanie na górze Syjon i zasiądzie na tronie swojej chwały, a za Nim zastępy wybrańców Bożych z bezimiennym Imieniem Starowiecznego na czołach. Oczy Syna Człowieczego będą jak płomienie buchające z podziemnych czeluści, a głowa Jego w diademie. Odziany w krwawą szatę zwać się będzie DAWAR, SŁOWO, moc wiecznie nieruchoma i nieporuszona, i wiecznie idąca przed siebie w nieskończonym ruchu, Słowoczynność, mówiąca i równocześnie czyniąca to, co mówi. Rozpocznie się sąd nad ludzkością. Przed Synem Bożym zgromadzą się wszystkie narody świata, a On wytyczy między nimi granicę – w myśl tego, co ongi powiedział, że przyszedł na ten świat po to, aby dokonać podziału – i odłączy dobrych od złych na podobieństwo pasterza, odłączającego owce od kozłów. Jednym każe stanąć po swojej prawicy, drugim po lewicy. Tym po prawicy odda w dziedzictwo Królestwo Niebieskie, przygotowane dla nich od stworzenia świata, albowiem wypełnili swoje posłannictwo: gdy Syn Człowieczy łaknął, dali Mu jeść, gdy pragnął, dali Mu pić, gdy był wędrowcem, przyjęli Go do siebie, gdy był nagi, odziali Go, gdy był chory, odwiedzili Go, gdy wtrącono Go do więzienia, przybyli do Niego. Ponieważ nikt z nich nie będzie pamiętał, aby kiedykolwiek gościł u siebie Syna Człowieczego, aby Go odwiedzał, karmił i przyodziewał, objaśni im, że był we wszystkich ludziach biednych i nieszczęśliwych, którym spieszyli z pomocą, z radą, opatrunkiem, chlebem i pociechą, że był we wszelkim ubóstwie i we wszelkiej nędzy, we wszelkim głodzie i wszelkim cierpieniu, a rozdarty w swej niepodzielności między miliony cierpiących synów człowieczych, utożsamiał się z nimi i, niewidzialny i ukryty w ciałach ludzkich, łaknął ich ustami, pocieszał się ich pociechą, chorował ich chorobami, przyodziewał się ich szatami i błogosławił swoim dobroczyńcom, opiekunom, pocieszycielom, On, Moc Starowieczna ukryta w glinie cierpiącej, popękanej i krzyczącej o miłosierdzie. Wydawszy wyrok na ludzi dobrych, zwróci się do złych, stojących po Jego lewicy, potępi ich i przeklnie, albowiem gdy łaknął, nie dali Mu jeść, gdy pragnął, nie dali Mu pić, gdy był wędrowcem, nie przyjęli Go do siebie, gdy był nagi, nie odziali Go, gdy był chory, nie odwiedzili Go, gdy wtrącono Go do więzienia, nie przybyli do Niego. Ponieważ nikt z ludzi stojących po Jego lewicy nie będzie pamiętał, aby kiedykolwiek widział Syna Człowieczego, objaśni im, że był we wszystkich ludziach biednych i nieszczęśliwych, którym nie

spieszyli z pomocą, z radą, opatrunkiem, chlebem i pociechą, których omijali obojętnie, gdy byli głodni, spragnieni, bezdomni, chorzy, i dlatego w Dzień Sądu, On, Moc Starowieczna, odda nieczułych niewdzięczników w ręce Aniołów Zatracenia.

Apostołowie słuchali ze ściśniętym sercem. Jezus spiętrzył przed nimi góry dymiących popiołów, w których nie odróżniali już żalosnych resztek pozostałych po Jeruzolimie od resztek pozostałych po spalonym świecie. W ich rozpaczających duszach obrazy umierającej Jeruzolimy i umierającego świata szczelnie nałożyły się na siebie, utożsały się z sobą. Dzień Ostateczny prześwitywał przez zburzenie Jeruzolimy, a zburzenie Jeruzolimy przez Dzień Ostateczny, aż wreszcie to, co było dalekie, i to, co było bliskie, stało się jednym zdarzeniem, wskutek czego dwa różne zdarzenia utrwaliły się w ich pamięci jako jedno i to samo, co jest zresztą zjawiskiem zupełnie zrozumiałym, bo dla nich, synów Izraela, upadek ich ojczyzny, Kodesz Hakodeszim, Domu Pańskiego, urastał do rozmiarów Sądu Ostatecznego, który Elohim sprawować będzie nad całą ludzkością.

Zapadła noc. Księżyc miał się już ku pełni. Było tak jasno, że rozpoznać można było barwy kwiatów i liści, a nawet ziół ukrytych w trawie. Cisza, lecąc nisko nad ziemią, przezroczystością swoją wypełniała całą przestrzeń od ziemi do nieba.

Jezus zwrócił się do czterech apostołów i począł im mówić o umiejętnej czujności czuwania. Powinni czekać i czuwać, a ich jestestwo musi być w ciągłym pogotowiu, bo nie wiadomo, kiedy Pan się zjawi, o jakiej godzinie rannej lub o jakiej godzinie nocnej. Niechaj czuwają podczas jedzenia i picia, podczas snu i wypoczynku, niechaj każdy kęs chleba i każdy łyk wina, i każda chwila ich snu będą przesycone wytężoną i nieomylną uwagą, albowiem Elohim będzie jak sieć o gęstych okach, i niespodziewanym ruchem sam siebie zarzuci na mieszkańców ziemi, albo będzie jak pan domu, który porą nocną, wróciwszy do siebie, zaskoczy strażników śpiących u bram jego domostwa. Niechaj biodra apostołów będą zawsze przepasane, a zapalone lampki oliwne w ich rękach. Pan niekiedy się spóźnia, to znaczy zawsze i dokładnie przychodzi o właściwej porze, ale według swojego, a nie ludzkiego rachunku. Niechaj zatem będą podobni do owych mądrych panien, które, idąc na spotkanie oblubieńca i oblubienicy, wzięły z sobą kaganki i zapasową oliwę w naczyniach i każdej chwili byty gotowe, skoro tylko oblubieniec się zjawi, wejść razem z nim do komnaty na gody weselne.

Taka była mowa Jezusa o rzeczach ostatecznych, a złota cisza, przelatująca w poświacie dojrzewającego księżyca nad Górą Oliwną, lekko musnęła oliwki i zaszeleściła wśród gałęzi. Onieśmielona, umilkła.

Juda z Kerijoth składa Bogu ofiarę

Jezus ruszył w drogę do Bethanii, a za Nim zdążali apostołowie. Przytłoczeni ciężarem tragicznych myśli, usiłowali odpędzić od siebie obrazy zburzonej Świątyni i zniszczonego miasta. Na próżno. Burzliwymi falami, coraz natarczywiej, napływał przed ich oczy obraz płonącego Przybytku, potop krwi pogrążający w swoich odmętach Święte Miasto, wybuch złych mocy, wrzask żołdactwa gwałcącego Święte Miejsce.

Przybierający księżyc stał wciąż nad nimi i rozpraszał mroki nocne, a im zdawało się, że drwi z ciemności, które zaległy ich łkające serca. Idąc, nie oglądali się za siebie, bo bali się, że zamiast lwich murów Jerozolimy ujrzą w dolinie góry popiołów i gruzów i harfy jak ciała wisielców zawieszane na zwęglonych drzewach.

Juda z Kerijoth przystanął. Drażniła go bierność milczących apostołów, idących posłusznie do Bethanii za Jezua ben Josef, sprawcą ich beznadziejnych widzeń. Jak oni mogą teraz iść za tym, który przywołał przeklęte żywioły na głowy i domy Izraela? Czy nie powinni przystanąć – jak to właśnie w tej chwili uczynił Juda – i tym swoim przystankiem sprzeciwić się woli Jezuy? Czy nie powinni spojrzeć ku Jerozolimie, podnieść dłonie do nieba – jak to właśnie w tej chwili uczynił Juda – i zawołać w swoim wnętrzu: „Panie, litości! Zbaw lud Twój od zwodziciela!”? A oni bezwolnie poszli za nim, posłusznie poddani jego tajemniczym zamiarom, potem na posłaniach w Bethanii będą bezcelowo rozgryzać i przeżuwać myśli swojego Rabbiego, a rano nikt go nie spyta o wyjaśnienie ciemnych obrazów i znowu nieświadomi celów swojej drogi pójdą za nim do Jerozolimy na dalsze jałowe utarczki z kapłanami, faryzeuszami, saduceuszami, i tak dzień po dniu staczać się będą w przepaść, aż runą i upadną na wieczne zatracenie.

Juda był rad, że Jezus i apostołowie wreszcie zniknęli mu z oczu. Usiadł na ziemi. Był sam na sam z Elohim. Uważał, że powinien pomówić z Panem, wyłożyć Mu wszystkie wątpliwości i bóleści i wylać przed nim całą rozpacz. Zmówił psalm: „Ocal mnie od moich nieprzyjaciół, Boże mój”, a gdy poczuł, że bliskość Pana jest przy nim, zasłonił dłońmi oczy i tak do Niego przemówił: – Panie, czekałem dotychczas cierpliwie, czyny moje poskromiłem, aby nie wierzgały, a język mój trzymałem za zagrodą warg, aby go zmusić do posłuszeństwa, i tylko starałem się pomnażać moją czujność, a chociaż pożerała mnie coraz większa troska o Twój dom i przynaglała do szybkiego działania, nie dałem się ponieść płochej i lekkomyślnej podejrzliwości i tylko oczami i uszami śledziłem uważnie każdy krok Galilejczyka, i gromadziłem dowody jego zwodzicielstwa, a gdy wreszcie upewniłem się o złu, które działał, to nawet wtedy z nadmiernej ostrożności niczego nie przedsiębrałem

i wciąż od nowa ważyłem na wadze mojej rozwagi wszystkie jego słowa i czyny. Ale dzisiaj nastąpił czas mojego działania. Jezua ben Josef prorokował fałszywym proroctwem zburzenie Świątyni i miasta. Panie, czy jest możliwe, aby upadł Twój Dom? Aby w proch się zmieniła stolica Twoja i podnózek Twoich nóg? Aby Miejsce Święte, które sobie upodobałeś, stało się łupem pogan? Panie, Jezua ben Josef, z którego ust nie uczyniłeś swojej wyroczni, knuje przeciw Tobie spisek! Jezua ben Josef zamierza wzniecić wielką wojnę synów ciemności przeciw Twojemu ludowi! Jezua ben Josef chce pod górą popiołów pogrzebać Dom Twojej Obecności na Świętej Górze! Panie Zastępów, oskarżam przed Twoim obliczem fałszywego proroka, Jezue ben Josef z Nazarethu, o bluźnierstwo przeciw Tobie, Panie! – surowy głos Judy odbijał się zwielokrotnionym echem od stoków Góry Oliwnej. – A ponieważ ja, Juda ben Symeon z Kerijoth, marny robak, szelest złamanej trzciny i grzesznik bez miary, nie chcę uczestniczyć w dziele zniszczenia i odszczepieństwa ani nie chcę przykładać topora do korzeni Twojej winnicy, ani nie chcę wtórować głosowi bezbożnemu, ani nie chcę rzucać mej duszy na pożarcie synom nocy, zaprowadzę Jezue ben Josef, jak ofiarnik prowadzi owcę na ofiarę całopalenia, do ołtarza w Świątyni Twojej i oddam w ręce kapłanów, a kapłani niechaj przyjmą tę ofiarę z moich rąk i niechaj ją złożą Tobie w ofierze, abyś wymazał grzech mojej ślepoty, abyś zlitował się nad moim błędzeniem i oczyścił duszę moją, i aby dusza moja była oczyszczona od wszelkiej zmazy, i abym wrócił na proste ścieżki i służył Tobie, Panie Zastępów! Niech zatem Jezua ben Josef będzie moją ofiarą przebłagalną, a Ty, Panie, przyjm tę ofiarę z moich rąk i zmyj ze mnie winę, abym był czystszy nad śnieg! – Tak wołał Juda i bił się w piersi, a chociaż czuł dojmujący ból w żebrach, bił się coraz mocniej, aż wyczerpany runął na ziemię, a leżąc, wciąż jeszcze uderzał się w piersi i krzyczał rozpaczliwym głosem: – Przebacz mi, Boże ojców moich, przebacz mi, przebacz grzech i oczyść mnie z bliskości syna nocy, któremu służyłem! – Wyczerpany krzykiem i modlitwą bez tchu leżał na trawie. Błoga niemoc opanowała jego ciało. Chętnie by tak leżał do rana, a potem cały dzień i znowu przez całą noc, a może i przez całą wieczność. Wszystko powiedział Panu, co miał Mu do powiedzenia. Nie ukrył przed Nim ani jednego oddechu swoich ust, ani jednej myśli swojego wnętrza, ani jednego westchnienia swojej piersi. Był przed Panem jak otwarte pole. A teraz, skoro już wszystko ujawnił, zapragnął być znowu niewidoczny, przez nikogo nie dostrzeżony, zapragnął zamknąć się w nędznej niepozorności, maleć w najdrobniejszej małości, szarzeć w lichej szarości, nie należeć do żadnego zgromadzenia, być samotnym, samotnym i tak trwać w szczęśliwym ukryciu po kres wszystkich dni, które mu Elohim zapisał w księdze życia. Czego jeszcze może od niego żądać Prawieczny? Tęsknił za Mesjaszem, wypatrywał Go

dniami i nocami, poszedł za Jezua ben Josef, bo spodziewał się, że go zaprowadzi do Pomazańca, a gdy przejrzał i ujrzał zwodzicielstwo Galilejczyka, ukorzył się przed Panem i wyznał winę. Niechaj więc Prawieczny wleje w niego spokój i pozwoli mu wrócić do dawnego życia, do słoików pełnych pachnideł, do nardu prawdziwego i podrabianego, do kasji drażniąco pachnącej i do lepianki o dziurawym dachu. Z trudem podniósł się z ziemi. Skąd ta bezsilność w jego ciele? Skąd to lenistwo w jego rękach i nogach? Ogarnął go strach przed Belialem, który słabością spętał jego ręce i wlał w nie znużenie. Począł biec w dół, po stoku Góry Oliwnej ku dolinie Cedronu, upadł, podniósł się i znowu biegł zziębnięty, rozdygotany, a chociaż przepocona tunika oblepiała mu piersi i krępowała swobodę ruchów, sadył ogromnymi skokami, coraz szybciej i szybciej, nieprzytomny ze strachu, bo czuł, że go gna gniewna moc Pana, któremu ślubował złożenie prześlągalnej ofiary, a potem, w przystępie leniwego znużenia, uległ pokusie błógiego bezwładu. A niewidzialna ręka wciąż go smagała i przynaglała do coraz większego pośpiechu, różgą chłostała po karku, po plecach, po głowie, więc pędził na oślep, w dół ku dolinie, a potem znów w górę pod murami miasta, z trudem omijał drzewa, które wyrastały przed nim jak rosochate upiory, zaplątał się w jakiś kolczasty krzak, zwałił się na ziemię, ale natychmiast zerwał się i biegł dalej, krzycząc, że wszystko wypełni, co ślubował, byleby tylko ręka Jahwe przestała go okładać razami! Zatrzymał się pod Gnojną Bramą. Była zamknięta. Usiadł pod murem. Chrapliwe rżenie wydobywało się z jego gardła. Serce łomotało mu w piersiach. Oparty plecami o mur, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wyglądał jak podarty łachman, wyrzucony na śmietnik. Zamknął oczy. Oddech stawał się spokojniejszy, serce, które podeszło nieomal pod gardło, wróciło na dawne miejsce i biło równiejszym rytmem. Podciągnął nogi pod siebie. Pogładził zmierzwioną brodę. Ociężałym spojrzeniem ogarnął ciemny masyw Góry Oliwnej i wijący się dokoła niej ledwo widoczny zarys drogi, jego bolesnej drogi, i pomyślał, że niepotrzebnie biegł w szaleńczym pośpiechu, bo przecież powinien wiedzieć, że bramy miejskie są jeszcze zamknięte. Więc po co pędził jak głupi wiatr? Czy ktoś go gonił? Nikt nie gonił. Czy ktoś go popędzał? Nikt nie popędzał. Z własnej i nieprzymuszonej woli postanowił udać się do arcykapłana, aby wypełnić ślubowanie wypowiedziane przed Panem i złożyć w ofierze na ołtarzu oczyszczenia Jezua ben Josef, owcę zabłąkaną, jedną z tych, które odpadły od wspólnoty Izraela i nie znalazły drogi powrotnej do owczarni. Poczuł wielką wdzięczność dla Elohim. Zrozumiał, że powodem jego pośpiechu była niecierpliwość serca – któż go natchnął, jeżeli nie Elohim, ową bogobojną niecierpliwością? – która go gnała do spełnienia przyrzeczenia złożonego przed Panem.

Tymczasem pod Bramą Gnojną zaroilo się od chłopów, kupców, wędrownych kramarzy, wielbłądów, osłów, owiec i kozłów, od pielgrzymów, zdążających tędy z południowych połaci kraju na święta do Jerozolimy. Kupcy prowadzili głośne rozmowy o cenach towarów i zwierząt ofiarnych, chłopci o tegorocznych urodzajach, a wszyscy o zbliżających się świętach i o niezliczonych rzeszach pielgrzymów, ciągnących codziennie tłumnie przez wszystkie bramy miejskie do stolicy, która po prostu – jak twierdzili – pęka już od nadmiaru ludzi. Rozprawiali, kłócili się, potakiwali sobie nawzajem, przekonywali się, wymieniali między sobą adresy zajazdów, podbijali ceny, udzielali sobie wiadomości o kupcach i dostawcach – były to wiadomości prawdziwe lub fałszywe w zależności od tego, czy chcieli lub nie chcieli wprowadzić w błąd handlowych współzawodników – i kłócąc się i potakując, plotkując i podbijając ceny, kłamiąc i mówiąc prawdę, spojierali ku wschodowi, gdzie lada chwila miało wzejść słońce. Gwiazdy zgasły. Piały koguty. I nagle jakby niewidzialne dłonie zdarły z nieba czarną zasłonę. Nastął dzień. Z murów Świątyni Pańskiej zabrzmiało granie bawolich rogów. Rozległ się zgrzyt skobli, zamków i zawiasów. Strażnicy miejscy otworzyli bramę. Tłum – zawsze nieopanowany i popędliwy – runął wśród wrzasków i przekleństw, ryku osłów i ujadania bezdomnych psów w uliczki miasta.

Juda minął sadzawkę Siloah i wstąpił na kamienne schody, prowadzące na stok góry, gdzie w amfiteatralnym półkolu, wśród ogrodów, wznosiły się pałace i wille jerozolimskich dostojników i bogaczy.

Juda z Kerijoth u arcykapłana

1

W pałacu arcykapłana przez całą noc trwała wyteżona praca. Służba robiła przedświąteczne porządki; z komnat, z kuchni, ze spiżarni, z piwnic usuwała wszystko, co mogło być skażone kwasem, czyściła studnię, myła podłogi, stoły, ławy, wyjmowała pesachowe naczynia, czekające przez cały rok w skrzyniach na ten radosny dzień, a ponieważ nikt nie miał pewności, czy kwaszone okruchy w jakiś tajemniczy sposób nie zanieczyściły przeznaczonych na Pesach półmisków, waz, dzbanów, garnków, patelni, dzieży, niecek, dziewczki zlewały je wrzącą wodą, skrobały, szorowały i znów zlewały wodą, aż po dokładnych zmywaniach upewniły się o ich bezwzględnej czystości. Jutro, według odwiecznego zwyczaju, Kajafa z lampką oliwną w ręce przeszuka – z powściągliwą dokładnością – wszystkie zakamarki, zajrzy do wszystkich kątów, przetrząśnie wszystkie schowki, a gdy upewni się, że kwas został usunięty z jego domu, uroczystym zaklęciem – na wszelki

wypadek – wyrzeknie się każdego kwaszonego pyłu, którego gołym okiem nie sposób dostrzec, i uspokojony w sumieniu czekać będzie nadejścia świąt.

Arcykapłan stał na środku komnaty zalanej porannym słońcem. Na powale swawoliły świetlne blaski, odbite od sadzawki na dziedzińcu, skakały po ścianach, tańczyły, kołysały się, unosiły się i opadały, aż wreszcie znużone wibrowaniem wracały na powałę i zastygały w nieruchome plamy. Kajafa z zadowoleniem patrzył na igraszki słonecznego światła i rozkoszował się świeżością poranka. Był rad, że nie ma dzisiaj żadnych spraw w Sanhedrynie. Czas przez trzy przedświąteczne dni będzie płynął bez pośpiechu, leniwie, a arcykapłan radosnym sercem chwalić będzie jego powolność. Po świątach czekają go kłopoty z Jezusą ben Josef, więc musi teraz nabrać sił, aby umysł jego pracował dokładnie, ściśle i ostrożnie. Narzucił na siebie chustę modlitewną i począł nakładać tefilin, a gdy skórzane rzemienie opasały jego lewą rękę i głowę, a pudełko zawierające święte przykazania już szczelnie przylegało do jego czoła, Kajafę wypełniły słowa Pańskie słodką błogością. Miał głębokie i niczym nie zamącone przeświadczenie, że Elohim jest z nim i z całą jego rodziną, że nie odstępuje go ani na krok, strzeże jego myśli i uczynków, że po prostu uczynił sobie z niego narzędzie swojej woli, którą bogobojny mąż z wdzięcznością i dumą urzeczywistnia nieomal każdym swoim oddechem. Więc modląc się kołysał się przed Panem i szybkością ruchów całego ciała wyrażał uwielbienie dla Pana Zastępów, wdzięczność dla Jego dobroci i dla pobłażania, które zawsze okazywał grzechom Kajafy, na szczęście małym i nielicznym, a może nawet tak znikomym, że trudno je uważać za grzechy, a jeżeli je określił tym mianem, uczynił to jedynie dla przypodobania się Panu lubującemu się w uroczystej przesadzie. Modląc się żarliwie – zawsze modlił się żarliwie, ilekroć czuł zgodność myśli Pańskich ze swoimi myślami – zauważył, że Nahum wszedł do komnaty. Sekretarz stał u progu i czekał, a gdy arcykapłan zdjął z siebie chustę modlitewną, sekretarz ośmielił się lekko chrząknąć i rzekł:

– Pokój mojemu dostojnemu panu.

– Pokój tobie – rzekł przyjaznym tonem, odwijając rzemienie z lewego ramienia. – Co cię sprowadza do mnie tak wczesnym rankiem?

Nahum w trzech treściwych zdaniach powiadomił Kajafę o przybyciu Judy ben Symeon z Kerijoth, ucznia i jednego z dwunastu apostołów Jezusy ben Josef. Juda, który czeka na dziedzińcu, prosi o osobistą rozmowę z arcykapłanem. Sekretarz domyśla się z niedomówień i dookolnych wypowiedzi Judy, niejasnych i zagmatwanych, mimo to dających wiele do myślenia, że przynosi on jakąś ważną wiadomość, dlatego wierny sługa pozwala sobie doradzić dostojnemu panu, aby zechciał przychylić się do prośby przybysza i udzielić mu posłuchania.

– Teraz? – spytał z kwaśnym niezadowoleniem arcykapłan.

– Wydaje mi się, że sprawa jest nagląca – odparł Nahum. Kajafa – nigdy nie zmieniał ustalonego przez siebie porządku dnia – zamierzał szorstkim słowem odprawić sekretarza i rozmowę z Judą przełożyć na okres poświęcony, gdy nagle dostrzegł w udzielonej mu przez Nahuma wiadomości pewien drobny, ale niezwykle znamieny szczegół, który go zastanowił, a im dociekliwiej w niego się wgłębiał, tym większe rosło w nim przekonanie, że mimo nieprzepartej pokusy spędzenia dzisiejszego dnia w spokoju i w pogodnym odosobnieniu, powinien przyjąć natręta i z nim pomówić: ten człowiek był pierwszym uczniem z najbliższego otoczenia Jezusy ben Josef, przybył do niego z zamiarem odbycia poufnej rozmowy. To dziwne, bardzo dziwne. Czego chce ten szelijach zwodziciela? Czy przychodzi sam, z własnej woli, czy może przysłał go Galilejczyk? Jeżeli jest jego posłańcem, przyniesie od niego jakieś ważne wiadomości – jakie wiadomości? – jeżeli przybył bez jego wiedzy, to z czym przychodzi? Nie powinien odprawić Judy. Ożywił się. Złote odblaski skakały radośnie po ścianach, łączyły się i rozdzielały, nieruchomiały w przezroczyste kobierce i znów trzpiotliwym susem wskakiwały na powałę.

Kajafa rzekł:

– Pójdziemy do Hanana ben Sethi.

Poszli wewnętrzną sienią, minęli kilka komnat, potem udali się schodami w górę do przeciwległego skrzydła pałacu i stanęli przed starcem. Kajafa zapoznał go z wiadomością o nagłych odwiedzinach ucznia Jezusy ben Josef i prosił o radę, co powinien uczynić.

Łzawiące oczy Hanana zabłysły nad obwisłymi workami policzków.

– Wydaje mi się, że mój zięć powinien bez zwłoki przyjąć u siebie Judę z Kerijoth. Chcę być obecny podczas rozmowy. Należy również wezwać naczelnego dowódcę straży świątynnej, aby mógł uczestniczyć w przesłuchaniu.

Kajafa skinął głową w kierunku Nahuma. Sekretarz wypadł z komnaty, podkasał tunikę i zbiegł po schodach. Na dziedzińcu dosiadł osła i bijąc go piętami po bokach, pojechał do Świątyni Pańskiej.

Hanan ben Sethi, wspierając się na ramieniu zięcia, udał się do jego komnaty.

Hanan, Kajafa i naczelnny dowódca straży świątynnej – był bliskim krewnym starca i dzięki przynależności do rodu Hananidów sprawował wysoki i dobrze płatny urząd sagana – przyglądali się stojącemu przed nimi Judzie z Kerijoth, a ich

badawcze spojrzenia jak psy obwąchiwały jego przygarbioną postać. Tak wygląda szelijach Jeszuy ben Josef? To kanciaste ciało, jakby wystrugane toporem z niekształtnego pniaka, te zmrużone oczy, przykryte do połowy ciężkimi powiekami, te grube, prostackie wargi, brudne nogi, tkwiące w strzępach sandałów, włosy niechlujnie skołtunione nad czołem należą do ucznia męża, który wyobraża sobie, że przy pomocy takich włóczęgów zdoła podbić naród Izraela?

– Co cię do nas sprowadza, Judo ben Symeon z Kerijoth? – spytał uprzejmie Kajafa, starając się nadać głosowi odcień ojcowskiego ciepła.

Ten wabiący ton wzbudził zaufanie Judy do czcigodnych rozmówców i jak dobrze dobrany klucz otworzył na ścieżaj wszystkie zakamarki jego serca. Z wylewną szczerością opowiedział o swoim życiu, o biedzie, o samotności, o czekaniu na Mesjasza, o spotkaniu z Jeszua ben Josef, o trzyletniej wędrówce u jego boku, o jego naukach – wiele mówił o żądaniu Jeszuy, aby spożywali jego ciało i krew – o zwątpieniach i niepokojach, nawiedzających coraz częściej biedną duszę poszukiwacza prawdy, który śledząc pilnie słowa i uczynki rabiego, powoli od niego się oddalał, dostrzegając coraz wyraźniej w jego naukach niebezpieczeństwo dla Izraela, aż wreszcie wczoraj usłyszał z ust zwodziciela...

Urwał.

– Co usłyszał mój brat z ust zwodziciela? – spytał współczująco Kajafa.

– Jeszua ben Josef – cedził Juda, ostrożnie ważąc każde słowo – przepowiedział wczoraj w naszej obecności zburzenie Świątyni Pańskiej i Jerozolimy i mówił tak, jakby w jakiś utajony sposób uczestniczył w tym zniszczeniu, jakby wydał wyrok na święte kamienie, jakby je skazał na zagładę i kierował dłonią Beliala równającego z ziemią namioty Jaakowa. Był to głos Pełzającego! Był to krzyk wroga Jeszuruna! Było to wołanie o wytepienie ludu wybranego! – oczy Judy z Kerijoth rozszerzone przerażeniem wychodziły nieomal z oczodołów. Jego podniesione ręce z rozpaczą szamotały się w powietrzu – Abadon zstąpił na ziemię! Abadon nawiedził łono ludu Bożego! Abadon podpali i zniszczy winnicę Wszechmocnego! Biada uszom, które to słyszały! Biada ustom, które nie sprzeciwiły się bluźnierstwu! Przekleństwo na moją głowę! Przekleństwo! Przekleństwo!

Wyrzuciwszy z siebie rozpaczliwy krzyk, umilkł i stał z otwartymi ustami, z rękami bezsilnie zwisającymi ku ziemi.

– Czy w swojej przepowiedni zwodzieciel powołał się na Pana Zastępów? – sagan zadarł ptasią głowę, osadzoną na cienkiej szyi.

– Nie. Mówił od siebie. Pokiwali znacząco głowami.

Kohen hagadol, wytrawny mistrz w stawianiu pytań – nie na darmo uchodził w beth hamidraszu za niezwykłego szermierza w dyskusjach – przystąpił do

śledztwa. Pytania padały z jego ust jak uderzenia miecza, a każda odpowiedź Judy była dla arcykapłana bodźcem do zadawania jeszcze celniejszych pytań.

- Jest was dwunastu?
- Dwunastu.
- Którym byłeś z rzędu?
- Byłem ostatni. Dwunasty.
- Wierzyłeś mu?
- Tak.
- Kiedy o nim zwątpiłeś?
- Już dawno...
- Czy on o tym wie?
- Nie wiem. Może.
- Czy mówiłeś mu kiedyś o swoich niepokojach?
- Nie. Nigdy.
- Dlaczego nie mówiłeś?
- Bałem się.
- Bałeś się?
- Ja go się bałem.
- Może mówiłeś z uczniami o swoich wątpliwościach?
- Nie.
- Więc na czym opierasz przypuszczenie, że zwodziciel może wie o twoich wątpliwościach?
- On dużo wie...
- Wierzysz w jego moc?
- Wierzę w jego złą moc.
- Czy reszta uczniów wierzy w niego?
- Nie wiedzą, kim on jest.
- Ale wierzą?
- Wierzą, ale nie wiedzą.
- Czy mamy przez to rozumieć, że przeżywają jakieś wątpliwości, niepokoje?
- O... o... tak, na pewno przeżywają niepokoje...
- Jakie niepokoje?
- Każdy człowiek, który idzie za kimś, a nikt o nim nie wie, kim jest, musi przeżywać niepokój.
- Mówiłeś, z nimi o tym?
- Nie.
- Więc skąd wiesz o ich niepokojach?

- Poznałem po ich spojrzeniach... niedomówieniach... pytaniach...
- Komu stawiali pytania?
- Zwodzicielowi.
- A zwodziciel?
- Milczał lub łajał ich...
- A oni?
- Pokorą odpowiadali na jego łajania.
- Czy wiedzą, że tu przyszedłeś?
- Nie. Nie wiedzą.
- Gdy dowiedzą się, że u nas byłeś, twój czyn uznają za dobry czy za zły?
- Są ślepi.
- Ale mogą przejrzeć.
- Mogą.
- Co wtedy uczynią?
- Nie wiem.

Kajafa poprawił się w fotelu.

- Sprawowałeś jakiś urząd w zgromadzeniu uczniów?
- Byłem ich skarbnikiem.
- Skąd mieli pieniądze?
- Wspomagali ich różni ludzie...
- Jacy ludzie?
- Różni... chłopi... rzemieślnicy... od czasu do czasu jakiś bogacz... jakiś uczony...
- Faryzeusze?
- Tak.
- Którzy faryzeusze? Był może wśród nich rabbi Nikodem?
- Tak. Rabbi Nikodem.
- A rabbi Josef z Ramathaim?
- Tak. I on...
- A rabbi Gamaliel?
- Nie. Wspomagało nas kilka niewiast...
- Jakie niewiasty?
- Hana, żona Chuzy, zawiadowcy galilejskich dóbr Heroda Antypasa... Szoszana...

Salome, matka synów starego Zebadii, rybaka...

- Matka Johanana ben Zebadia?
- Tak.
- Dużo mieliście pieniędzy?
- Nie... niewiele... Starczyło na chleb, na ryby...

– Jeżeli uczynili cię skarbnikiem, mieli do ciebie zaufanie.
– Mieli.
– Dałeś dowody uczciwości. Judasz milczał.
– Uważali cię za wiernego ucznia.
– Byłem nim. Aż poznałem swój grzech.
– Czy z tego, co powiedziałeś, wynika, że od czasu, gdy poznałeś swój grzech, zacząłeś ich okradać?

– Tego nie powiedziałem. Jestem człowiekiem uczciwym. Nigdy nikogo nie okradłem.

– Powiedziałeś, że dawno poznałeś swój grzech. Więc dlaczego przyszedłeś do nas dopiero dzisiaj?

– Nie chciałem działać pochopnie. Chciałem upewnić się o słuszności moich podejrzeń.

– Kiedy się upewniłeś?

– Gdy zapowiedział zburzenie Świątyni Pańskiej i Jerozolimy.

Kajafa rozgryzał ziarenko pachnącego pieprzu, ale zmarszczka między zrosniętymi brwiami zdradzała, że czynił to odruchowo, raczej dla uspokojenia napiętych nerwów niż odświeżenia oddechu. Nasunęła mu się pewna myśl, która z początku była jak małe kielik, wkrótce jednak wypuściła pęd, liście, kwiaty i błyskawicznie przeobraziła się w dorodne drzewo o bujnych gałęziach i dojrzałych owocach.

– Niech mój brat powie – wyciągnął ku Judzie dłoń gestem poufnej życzliwości – czy wśród jedenastu jest jeszcze choć jeden, który świadom swoich błędów byłby skłonny do okazania jawnej skruchy przed obliczem Sanhedrynu?

Juda milczał.

– Pomogę bratu. Czy są wśród uczniów ludzie chwiejni?

– Są... Na pewno są...

– Który jest najbardziej chwiejny?

– Theom Bliźniak jest ostrożny, nieufny... Wciąż chciałby sprawdzać... Symeon ben Jona często opacznie tłumaczy sobie jego słowa. Raz go zwodziciel nazwał szatanem...

– A Johanan ben Zebadia? – arcykapłan spytał jakby od niechcienia, jednak widoczne było, że imię to wzbudziło w nim szczególne wzruszenie.

– Johanan ben Zebadia?... Hm... Zależy mu przede wszystkim na honorowym miejscu w Królestwie Niebieskim...

Kajafa szorstko się zaśmiał.

– Zresztą oni wszyscy są małej wiary, o czym Jezua wie... dobrze wie... Karci ich

z tego powodu...

– Przecież brat powiedział, że uczniowie zwodziciela wierzą w niego.

– Tak, ale nie tak, jak on żąda.

– Jakiej wiary żąda od nich?

– Wiary, która góry przenosi.

– A cóż uczniowie na to?

– Któż tak potrafi wierzyć, panie? Czy w ogóle w ten sposób można wierzyć? Czy to jest możliwe? Czy tak kazał wierzyć Elohim? Czy istnieje człowiek, który, słysząc takie żądanie, nie zachwieje się w swoim sercu?

Kajafa spojrział w okno. Niebo było jak lazuruwa misa. Pomyślał, że ten am haarec ma słusność. Teraz należy jeszcze zebrać garść ścisłych wiadomości o codziennym sposobie życia zwodziciela. Drzewo mądrości, które z maleńkiego nasienia wyrosło w duszy arcykapłana, szumiało w nim coraz potężniej, jakby w nie uderzał silny wiatr. Wiedział, że Pan niekiedy dosłownie lub przenośnie – raczej przenośnie – zjawia się w wichrze. Zatrzymał wzrok na Hananie i dowódcy straży świątynnej. Ich twarze pozbawione były tego swoistego cienia zadumy, tak znamiennej dla ludzi, którzy po długiej rozwadze i głębokim przemyśleniu trudnej sprawy wreszcie wyrobili sobie o niej własne zdanie i mają już gotowy plan jej rozwiązania. Niczego się nie domyślali. To dobrze. Zaskoczy ich swoim odkrywczym pomysłem.

– Gdzie mieszkanie? – spytał Judy z udaną niedbałością.

– W Bethanii. Wracamy tam codziennie na noc. Jezua ben Josef zatrzymał się u Eleazara, wskrześnika, reszta nocuje u Symeona Trędowatego.

– Gdzie Jezua ben Josef odprawi ucztę sederową?

– Nie wiem.

– Kiedy będziesz wiedział?

– Prawdopodobnie jutro. Może pojutrze. Jezua ben Josef nigdy nie zasięga naszych rad.

– Czy może wam mówić, co zamierza uczynić po świętach? Jak długo zostanie w Jerozolimie?

– Nigdy nie wiemy, jak długo zostaniemy w jakiejś miejscowości. On nigdy nie wyjawia nam celu swojej drogi i nikt z nas z góry nie może przewidzieć, kiedy i dokąd pójdziemy. Nagle wydaje rozkaz i idzie, a my idziemy za nim. Może opuścić Jerozolimę dzisiaj albo jutro, albo zaraz po świętach. Któż to wie?

Kajafa wysunął dolną wargę i patrząc przed siebie, bawił się sygnetem, obracał go, ściągał i nasadzał na wskazujący palec prawej ręki, po czym rzekł:

– Tak. Wszystko rozumiem. Ale powiedz mi, Judo z Kerijoth, po co tu przyszedłeś?

Oczy Judy przesuwwały się po przeciwległej ścianie, opuściły się na trzech dostojników i zatrzymały na wyciągniętych dłoniach Kajafy, których miękkie i okrągłe ruchy wywołały w nim tkliwe wzruszenie.

– Nie chcę – rzekł – duszy mojej rzucić na żer synowi zatracenia ani wtórować głosowi bezbożnemu. Przejrzałem. Przyszedłem złożyć Jezusę ben Josef jako przebłagalną ofiarę Panu Zastępów i niechaj ona będzie odkupieniem za zatwardziałość mojego serca i za grzechy mojej ślepoty. Wielkim wyrzeczeniem wyrzekam się Jezusę ben Josef.

Kajafa wstał i klasnął w dłonie.

Wszedł Nahum.

– Wyprowadź go – wskazał palcem na Judę. – Niech zaczeka na moje wezwanie. Juda i Nahum wyszli.

Kajafa założył ręce na piersiach i przechadzał się po komnacie, nie zwracając uwagi na teścia i saganę.

3

Chętnie kazałby im teraz wrócić do siebie, Hananowi do prawego skrzydła pałacu, a saganowi do Świątyni Pańskiej, a wtedy zostałby sam i mógłby w milczeniu rozkoszować się swoim planem jak wdzięczną oblubienicą. Niestety, nie mógł ich teraz pożegnać, bo wyglądałoby to na brak szacunku dla ich wieku i dla wysokich godności, które sprawują. Myśl, że musi się z nimi podzielić swoim pomysłem, była nieznośna, była jakby jakimś samoobnażeniem się i ujawnieniem najbardziej osobistych i poufnych wzruszeń. Ten pomysł zaświtał mu wprawdzie przed chwilą, znienacka, ale natychmiast wrósł głęboko w jego jestestwo i stał się częścią duszy i ciała, nietykalnym obszarem jego istnienia. Taki błysk natchnienia nieczęsto się zdarza w życiu. Jest jak gwałtowna i nagła miłość, jak ukochana kobieta, którą pragnie się posiadać wyłącznie dla siebie. A tu trzeba wszystko wyjawic, obnażyć, mało tego, wyjaśnić wszystkie zalety, powaby, ponęty, całe uwodzicielskie piękno cudownego dzieła, które zrodziło się w nim w osobliwym wstrząśnieniu, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie przeżywał. Wzdrygnął się. Zdawało mu się, że jest nierządym mężem, który swoją żoną dzieli się z mężczyznami. A na domiar wszystkiego Hanan ben Sethi przymilnie się uśmiechnął i taki sam uśmiech ukazał się na twarzy saganę, i Kajafa poczuł się jak wstydliva Szoszana, którą z ukrycia podpatrują lubieżni starcy.

– Widzę, że mądra myśl zrodziła się w głowie mojego zięcia – rzekł starzec.

Kajafa zdumiał się nad przewidującą przenikliwością teścia, który mimo

podeszłego wieku w lot oceniał każde położenie i określał je z niezwykłą dokładnością.

– Słusznie powiedział mój dostojny teść. Zrodziła się we mnie pewna myśl, która może rozwiąże trudną sprawę Jezusy ben Josef – odparł Kajafa, próbując skromnym brzmieniem głosu zagłuszyć podnoszącą się w nim pewność siebie, jak wiemy, zawsze ją starannie ukrywał przed Hananem, może nawet staranniej niż przed samym wszechwiedzącym Elohim.

To powiedziawszy, tak dalej mówił:

– Kto do nas przyszedł? Juda ben Symeon z Kerijoth. Przyszedł do nas z wielkim wyrzeczeniem i wyrzekł się syna zatracenia. Kim jest Juda ben Symeon z Kerijoth? Jestem haarecem, nieukiem, prostakiem, nędznym handlarzem pachnideł, ale dla nas jest przede wszystkim jednym z dwunastu najbliższych uczniów zwodziciela, który go wybrał i uczynił swoim uczniem. A teraz ten szelijach i uczeń zjawił się u nas i złożył swojego rabiego w ofierze, i wydał go w nasze ręce, a chociaż nie miał, według naszego mniemania, po co go wydawać, bo niezależnie od tego, czy go wydał, czy nie wydał, my w każdej chwili możemy bezbożnika uwięzić i postawić przed sądem, jednak to, co uczynił, powinniśmy uznać przed obliczem Izraela za wydanie i obwieścić ludowi, że nie my wyciągnęliśmy rękę przeciw Galilejczykowi, ale jego własny uczeń wyparł go się i wydał w ręce Sanhedrynu. Wyparł się go! Wyparł! Wyparł! Musimy powiedzieć ludowi, że uczeń wyparł się swojego nauczyciela, wskazał go i napiętnował, przekreślił w sobie jego naukę i zadał jej kłam! Niechaj lud Izraela dowie się, że wśród bezbożników dokonał się rozłam, przeto nie stanowią oni już więcej niepodzielnej całości, bo całość podzielona, skłócona, rozdarta jest rozproszeniem, rozerwaniem, tohu wabohu! Czyż mamy zatem obawiać się nędznego tłumu, sprzyjającego zwodzicielowi, i tych kilku jego zwolenników, którzy zasiadają w Sanhedrynie, skoro własny uczeń kusiciela wydał go w nasze ręce, wyparł się go, przyszedł do nas i powiedział: „Nie chcę być żerem syna zatracenia”? Po cóż więc czekać mamy z uwięzieniem Jezusy? Przedtem ustaliliśmy, że dla dobra sprawy powinniśmy działać ostrożnie, nie drażnić ludu i uwięzić Jezusę po świętach, gdy tłumy będą opuszczać miasto, teraz jednak, skoro jego uczeń złożył go w oczyszczającej ofierze, dobrze będzie, jeżeli uwięzimy go natychmiast, właśnie na oczach całego ludu – pamiętajcie, że mesith może po świętach uciec i ukryć się w jakiejś odległej krainie! – i dla odstrasżającego przykładu wydamy na niego sprawiedliwy wyrok. Fałszywy prorok zginie z przyczyny własnego ucznia, który miotany wyrzutami sumienia pokajał się przed Bogiem! Cóż za wspaniała nauka dla motłochu i dla uczniów Jezusy, chodzących zagmatwanymi ścieżkami! Uderzymy w pasterza, a rozproszą się owce!

Stanął na środku komnaty i począł wołać przejmującym głosem:

– W przeddzień święta Pesach naród wymiata spośród siebie wszelki kwas! Będzie wymieciony w te dni kwas Jezusy ben Josef i nastanie wielka czystość w namiotach Jaakowa, a cały Jeszurun – cały! cały! cały! – w uroczystej i jednomyślnej zgodzie opowie się przeciw odstępcy!

Wypieki wystąpiły na policzkach arcykapłana. Hanan ben Sethi i sagan nigdy nie widzieli Kajafy w tak wielkim poruszeniu uczuć, skłonni więc byli przypuszczać, że jeżeli nie znajduje się on teraz w bliskości Pana Zastępów, to w każdym razie na jej samym progu.

A arcykapłan wołał:

– Będzie wielka jednomyślność i wielka jedność w Izraelu, zgoda tak wielka, że cały lud przeklinać będzie jednymi ustami i grozić będzie jedną pięścią, i nikt nie opowie się w obronie odstępcy, i nikt łzami nad nim nie zapłacze, i wszyscy synowie Abrahama – wszyscy! wszyscy! wszyscy! – jak jeden mąż, domagać się będą zapłaty krwi za bluźnierstwo przeciw Panu!

Hanan i sagan podnieśli się z foteli, podeszli do Kajafy, objęli go i ucałowali w ramię.

Juda znów stał na środku komnaty, a kohen hagadol tak patrzył na niego, jakby go nie widział. Był handlarz pachnideł, umiejący szybko oceniać swoich nabywców i czytać w ich twarzach, przychwycił owo dziwne spojrzenie arcykapłana i zmiarkował, że stoi tutaj teraz nie w roli szlachetnego współnika i oskarżyciela, przynoszącego w darze bezcenne zeznania, mające ratować zagrożoną czystość wiary, ale unizonego sługi, który lada chwila usłyszy z ust władców stanowczy rozkaz. Nie był już panem swojej woli. Oddał się w ręce kapłanów i musi być ich powolnym narzędziem. Chcąc sprawdzić słuszność tego spostrzeżenia, spojrzawszy ukradkiem na Hanana ben Sethi i sagana i stwierdził, że również i oni patrzą na niego jak na bezkształtną mgłę, jak na postać z powietrza. To nic, za które go mieli, całkowicie mu odpowiadało, gdyż było właściwie dalszym ciągiem ukrytej niewidoczności, będącej jego udziałem w czasie, gdy jeszcze nie wiedział o istnieniu Jezusy ben Josef – ach, jak cudownie kojąca była ta niewidoczność! – dlatego poddał się jej teraz bez sprzeciwu, z uczuciem głębokiego zadowolenia, że znowu jest tym, czym był przed wielu laty, że nie musi już więcej borykać się z trudnymi łamigłówkami u boku fałszywego proroka, że jest wyzwolony od brzemienia jego myśli i nakazów, od strachu przed nieznaną mocą grożącą bez przerwy

niebezpiecznymi dla duszy skutkami, a przede wszystkim, że nie musi już walczyć z sobą i ścierać się z własną bezsilnością.

Kajafa, wciąż patrząc na Judeę, jakby go nie widział, przemówił do niego tymi słowami:

– Jutro, w piątym dniu tygodnia, wskażesz nam, Judo, miejsce, w którym wieczorem tego dnia przebywać będzie Jezua ben Josef, a wtedy o zachodzie słońca zwodziciel będzie uwięziony w ciemnościach nocnych, wprawdzie nie całkowitych, bo księżyc już będzie prawie w pełni, mimo to będą to ciemności nocne. Czy wskażesz nam, Judo, miejsce pobytu zwodziciela?

– Wskażę, panie – Juda miał wrażenie, że głos wychodzący z jego gardła nie jest jego głosem, a głos arcykapłana dźwięczy jakimś ciemnym i obcym tonem, a najbardziej go zaskoczyło współbrzmienie owych dwóch głosów – własnego i Kajafy – które, wprawdzie całkowicie od siebie różne, harmonijnie do siebie przylegały, jakby płynęły z bliźniaczych ust. To pokrewieństwo pochlebiało Judzie i mile łechtало jego miłość własną.

– Zatem będą ciemności nocne – Kajafa ciągnął dalej tym samym głosem – a pod ich osłoną nasze strażę otoczą Jezue ben Josef i uczniów, a wtedy pocałujesz go przed obliczem Elohim i obecnych świadków na świadectwo prawdy, że mówisz i czynisz prawdę według świętych Zwojów Meszalom, głoszących: „CAŁUJE ten, kto mówi słowa prawdziwe”. Taka będzie twoja pieczęć prawdy, znak dla ludu, który powinien wiedzieć, że uczeń fałszywego proroka odrzeka się jego kłamstwa. Czy uczynisz tak, Judo ben Symeon z Kerijoth?

– Uczynię, panie – odparł Juda i pomyślał, że mimo swej służebnej roli, jaką spełnia teraz przed Kajafą, jest mu nieodzowny dla urzeczywistnienia jego celów. Uradowało go to skromne wyróżnienie i równie skromne miejsce, jakie zajął w dalekosiężnych planach arcykapłana, i równocześnie zrozumiał ogrom krzywdy, którą świat wyrządza jemu, biednemu handlarzowi pachnideł, ratującemu dzisiaj Izraela przed wielkim nieszczęściem. Tyle dobrego wyświadczył kapłanom. Tyle dobrego. Powinni mu za to okazać wdzięczność. Kajafa swoich zaufanych hojnie oplaca. Wyznacza im stałe wynagrodzenia i obsypuje podarunkami. A czy Juda nie darzy przywiązaniem kapłanów i Świątyni? Mało dał dowodów swojej wierności? Czy nie przyszedł i nie wyznał wszystkiego w pokorze? Czy nie przyrzekł pomocy w uwięzieniu Jezuy ben Josef? Czy nie przyrzekł, że jutro po zapadnięciu wieczoru wskaże strażom miejsce jego pobytu? I co za to otrzymał? Nic. Odprawiają go z niczym. Juda uzalił się nad sobą, nad swoją niedolą i nieporadnością. Całe życie służył prawdzie i niewiele miał z niej zysku. Nigdy nie umiał upomnieć się o swoje. A teraz znowu pada ofiarą własnej słabości i nieumiejętnego działania. Przecież

kapłani powinni mu coś dać. No, niewiele. Ale coś powinien otrzymać. Juda jest skromny. Nigdy nie był łasy na pieniądze. Zawsze poprzestawał na małym. Obecnie każdy denar jest dla niego bezcennym skarbem. Już nie należy do grona uczniów. Już żyje na własną rękę. Już może za kilka godzin sięgnie do własnego mieszkania i wyciągnie z niego własnego pół denara na kupno chleba, miodu, owoców i sera. A gdzie będzie mieszkać? Musi rozejrzeć się za jakąś tanią izbą. Ile zapłaci za tę izbę? Po świętach pójdzie do dawnych dostawców i kupi u nich towar. Połowę na pewno dostanie na kredyt – dostawcy, którzy go chyba jeszcze pamiętają, znają jego uczciwość – a za połowę będzie musiał zapłacić gotówką. Juda westchnął i przezwyciężając nieśmiałość – nazwał ją w myślach przyrodzonym niedołęstwem – spytał unizonym głosem:

– Czy nic mi nie dacie za pomoc, której wam udzieliłem? Hanan i sagan potakiwali głowami.

Kajafa, gładząc pieszczotliwie koniec brody, odpowiedział:

– Słusznie mówisz. Ponieważ ty nam pomagasz, i my tobie pomożemy. Ponieważ ty nam dajesz, i my tobie damy. Zawrzemy umowę o sprzedaży i kupnie według sprawiedliwej miary – oparł głowę na dłoni. – Dostaniesz zapłatę w srebrnych szeklach, w monecie świątynnej, którą opłacamy kapłanów, urzędników i strażników Domu Pańskiego, abyś wiedział i pamiętał, że poręczycielem naszej umowy jest Elohim – wyciągnął dłoń ku Judzie. – Dostaniesz od nas więcej, niż dostali synowie praojca Jaakowa za sprzedanego w niewolę brata Josefa. Josef nie był królem, więc bracia sprzedali go kupcom ismaelickim za dwadzieścia sztuk srebra, natomiast Jeznę ben Josef wjeżdżającego na ośle w pierwszym dniu tygodnia do Jeruszałajim Hakodesz tłum witał jak króla, potrząsał liśćmi palmowymi, śpiewał psalmy ku jego chwale i rozścielał płaszcze na jego drodze, co jest oczywistym dowodem, że niektórzy synowie Izraela upatrują w nim królewskiego pomazańca. Inna jest cena Jaakowowego syna, pasterza Josefa, a inna Jezny ben Josef z Nazarethu, króla Judejczyków. Nieprawdaż? – I nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: – Nie wiem, czy znasz, Judo z Kerijoth, Pirke Awoth, Przysłowia Ojców, od trzystu lat przekazywane z pokolenia na pokolenie drogą ust i żywego oddechu. W tych Przysłowiach jest powiedziane, że człowiek mający dwadzieścia cztery dobre cechy charakteru może zdobyć dla siebie koronę kapłaństwa, czterdzieści osiem – koronę Prawa, a trzydzieści – koronę królestwa. Taka jest opowieść o trzech koronach. A ponieważ Jezua ben Josef witany był jak król, należy przypuścić, że posiada trzydzieści godnych podziwu cnót, dlatego otrzymasz od nas za każdą jego cnotę jednego srebrnego szekla, co wprawdzie nie jest wiele, ale i nie jest mało, w każdym jednak razie jest to zapłata sprawiedliwa, bo jej wysokość równa się ilości

królewskich zalet, które powinien posiadać Jezuś ben Josef. Poza tym jest to liczba symboliczna – o czym musisz pamiętać – bo trzydzieści lat miał Josef, gdy stanął przed faraonem, i trzydzieści lat miał Dawid, gdy objął władzę nad całym Izraelem, i trzydzieści dni trwała żałoba po śmierci proroka Mosze, jest to więc liczba święta, smutno-radosna, o dwóch obliczach, jasnym i ciemnym, które są znakiem początku i końca, niezwykle ważnym w życiu Jeszuruna. Czy wielką czujesz radość, że jesteś uczestnikiem tej liczby?

– Tak, wielką czuję radość, panie – odpowiedział Juda.

– Po uwięzieniu zwodziciela i spełnieniu wszystkich warunków otrzymasz zapłatę według nakazu proroka Mosze, który w świętej Księdze Wajikra napisał: „Zapłata najemnika nie będzie pozostawać w twoim domu aż do poranka”.

– Rzekłeś, dostojny panie – rzekł Juda, pokłonił się i wyszedł.

Wyszedłszy, przystanął przed pałacem Kajafy. Owionął go wiatr, sennie i ociężale ciągnący od pustyni. U stóp wzgórza jak dżdżownice wiły się uliczki Dolnego Miasta. Koty leniwie wylegiwały się na kamiennych schodach. Z pobliskiego ogrodu doleciało cykanie świerszcza. Spojrzał w niebo. Było południe. Miał do wyboru dwie drogi: albo udać się do Świątyni, gdzie mógł spotkać o tej porze Jezuś ben Josef, albo iść do Bethanii, dokąd zwodziciel na noc powróci. Jedna i druga możliwość była dla Judy bardzo kłopotliwa. Wolałby go już więcej nie widzieć. Ale to było niemożliwe. Musiał go jeszcze zobaczyć, aby zakończyć to, co zaczął. Po namyśle postanowił wrócić do Bethanii i spotkać się z Jezuś dopiero wieczorem lub – co byłoby najlepsze – jutro rano, dzięki czemu zarobiłby jeszcze kilka godzin wolnych od jego obecności, co wydawało się obfitym zyskiem. Zszedł schodami do sadzawki Siloah, a stamtąd przez Bramę Gnojną ruszył doliną Cedronu. Był w pogodnym nastroju. Spełnił obowiązek wobec Elohim. Trzydzieści srebrnych szekli – jak słusznie zauważył arcykapłan – to wprowadzie niewiele pieniędzy, ale zarazem niemało. Powinni dać mu więcej. Nie mogli, bo związani byli symboliczną wymową i wartością liczby. Dobrze się stało, że się nie targował. Wyraził zgodę na to, co mu przyrzekli. Taka układność na pewno zrobiła na Kajafie korzystne wrażenie. Może doceni jego wierność i oddanie i zaofiaruje mu u siebie jakieś dobrze płatne zajęcie. Mogłaby to być służba w pałacu, może służba odźwiernego, a może zaufanego wywiadowcy – Juda dobrze widzi i niezawodnie słyszy, a przede wszystkim nie rzuca się nikomu w oczy, co na pewno jest dużą zaletą każdego wężącego męża – chętnie przyjąłby również stanowisko urzędnika badającego ceny na Dzedzińcu Pogan albo nawet dzierżawcy jakiegoś dochodowego straganu. Tak, tych trzydzieści szekli może się stać początkiem nowego okresu w życiu Judy. Oby to był okres lepszy od poprzedniego! Na pewno będzie lepszy! Trzydzieści szekli równa się stu

dwudziestu denarom. Ponieważ robotnik rolny zarabia jednego denara dziennie, jest to zatem jego czteromiesięczne wynagrodzenie za pracę, o wielkim Hillelu mówią, że utrzymywał się z rodziną za ćwierć denara dziennie. Dziesięć kilo mąki kosztuje jednego denara, a mięso całego wołu pięćdziesiąt denarów. Ochoczy duch wstąpił w wątłe ciało Judy, który szedł rażno pod górę. Serce mu nie dokuczało, a nogi same go niosły.

Zamysły doskonałe

Hanan, przysłuchując się niezwykle sprawnemu przesłuchaniu prowadzonemu przez Kajafę, jego błyskawicznym pytaniom i odpowiedziom, podziwiał lotność umysłu swojego zięcia, jego wyostrzoną spostrzegawczość, przenikliwą bystrość, niezawodny zmysł wnikania w duszę rozmówcy, osaczania go i zaskakiwania; nie myliło go przecucie, gdy przed wieloma laty wybrał na męża dla swojej córki młodego ucznia jerozolimskiego beth hamidraszu. Był dumny z zięcia, bo przecież wychowywał go, szlifował jak bezcenny diament, uczył trudnej sztuki życia, kropla po kropli wsączał w niego umiejętność postępowania z ludźmi, nieupadania pod ciosami losu, dumnego schylania głowy przed władzą i równie dumnego wynoszenia się nad lud, a przede wszystkim wpoił w niego przekonanie o wybraństwie rodu Hananidów, potężnego klanu, złotej korony, która blaskiem oświetla cały dom Izraela. Starzec wiedział, że może teraz spokojnie umrzeć. Nad potęgą rodowej wspólnoty czuwa Kajafa, Podnieśli się z foteli.

– Po uwięzieniu zwodziciela, zanim stanie przed sądem – rzekł Hanan wzruszonym głosem – chciałbym go ujrzeć i pomówić z nim.

– Stanie się według życzenia mojego dostojnego teścia – odparł Kajafa i zwrócił się do dowódcy straży świątynnej: – Niechaj sagan raczy zaczekać w swoim domu na moje polecenia.

Klasnął w dłonie.

Wszedł Nahum.

– Odprowadź czcigodnych mężów. Nikogo teraz do mnie nie wpuszczaj. Chcę być sam. Nie wychodź z pałacu. Wkrótce otrzymasz ode mnie ważne polecenia.

Hanan i sagan poprzedzani przez Nahuma wyszli z komnaty.

Kajafa usiadł w fotelu. Prawą ręką zasłonił oczy. Palce lewej, leżącej luźno na poręczy, poruszały się z początku szybko, a potem coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiały i tylko kciuk wykonywał od czasu do czasu nieznaczny ruch, który świadczył o wewnętrznym napięciu arcykapłana. Wrażenia, które wypełniały Kajafę, działy się w wielowarstwowym czasie, przeszłość splątała się z teraźniejszością,

teraźniejszość jak gąbka nasiąkała przeszłością, zdarzenia przeświecone innymi zdarzeniami łączyły się z sobą, rozdzielały, znów wracały do siebie i znów się rozbiegały w różnych kierunkach, zapalały się i gasły, a wszystko to razem tworzyło gęsty wrzątek, fosforyzującą magmę postrzępionych obrazów i pojęć, aż z tej topieli czasu, ludzi i zdarzeń począł się wyłaniać ład przewidujących, mądrych sądów, ułożonych w spoistą całość, stawianą niezawodną ręką budowniczego. Odjął dłoń od oczu, wstał i przechadzając się po komnacie, zwięźle powtarzał sobie w myślach wyniki rozważań i porządkował je według ważności powziętych postanowień. Jutro Jezua będzie pojmany i uwięziony przez strażników świątynnych, dzięki czemu namioty Jaakowa będą przed zapadnięciem święta Pesach oczyszczone z bezbożnego kwasu, a ponieważ, jak okazały niektóre doświadczenia, nie sposób jest z zaufaniem polegać na straży lewitów, każe Nahumowi – Nahum będzie przy pojmaniu obecny, bo jest jedynym człowiekiem, na którego wierności może w pełni polegać – przydać im strażników Sanhedrynu, z barczystym Malchusem na czele, nabatejskim pacholkiem. Rozprawa odbędzie się w nocy. Wprawdzie prawo zakazuje prowadzenia karnej rozprawy porą nocną, a wyrok skazujący nie może zapaść tego samego dnia i musi być wydany dopiero dnia następnego, aby sędziowie mieli czas zastanowić się nad wszystkimi okolicznościami łagodzącymi, które mogą przemówić na korzyść oskarżonego, mimo to sąd nad zwodzicielem odbędzie się natychmiast w nocy i wyrok będzie natychmiast w nocy wydany, albowiem istnieje ustawa – Kajafa uśmiechnął się z dumą, bo wyłowienie jej z morza przepisów było arcydziełem jego pamięci – ustawa jasno i wyraźnie zezwalająca w obliczu niebezpieczeństwa grożącego czystości wiary w Izraelu na zwołanie sądu nadzwyczajnego w warunkach wymagających szybkiego ferowania wyroków. W takich wypadkach wszystkie ograniczenia prawne tracą swoją moc, rozprawa może się odbyć nocą, a nawet w przeddzień święta, a skazujący wyrok może być wydany w nocy, bez odkładania go do dnia następnego. A czy teraz nie wypełniły się wszystkie warunki potrzebne do zwołania sądu nadzwyczajnego? Czy odstępstwo nie szerzy się w narodzie? Czy Jezua ben Josef nie głosi nauk sprzecznych z Prawem? Czy motłoch nie zgotował fałszywemu prorokowi radosnego przyjęcia, co świadczy, że słowa jego wżerają się jak trąd w duszę ludu? Czy zatem nie zbliża się święty nakaz godziny, Horaath Szaah, gdy należy szybko i doraźnie działać w obronie Izraela, zagrożonego niebezpieczeństwem odszczepieństwa od wiary ojców? Tak. Nastąpiła taka godzina. Wyda Nahumowi polecenie, aby jeszcze dzisiaj rozesłał kilkudziesięciu gońców do siedemdziesięciu członków Sanhedrynu i wezwał ich na jutrzejszy wieczór do pałacu arcykapłańskiego na posiedzenie nadzwyczajnego sądu nad zwodzicielem,

oskarżonym o bluźnierstwo przeciw Panu. Kajafa skrzywił się, jakby rozgryzł gorzki migdał, bo znając Nahuma, nie wątpił, że w tym miejscu pokiwa głową i podniesie brwi, co będzie oznaką, że niezupełnie zgadza się z jego postanowieniem. Arcykapłan powie mu: „Wykonaj to, co ci kazałem. Wiem dobrze, że rozprawa karna powinna się odbyć w Hanuth, ale przecież już niejedną raz przenosiliśmy siedzibę Sanhedrynu. Z Komnaty Głodzonych Kamieni przeprowadziliśmy się z polecenia prokuratora do Hanuth, a teraz z mojego polecenia Sanhedryn obradować będzie w moim pałacu. Ponieważ jesteś człowiekiem grzeszącym zbytnią ciekawością, ujawnię przed tobą, dlaczego to czynię, abyś nie zadręczał się niepotrzebnymi dociekaniem. Chcę, aby Jezua ben Josef osadzony został w lochu pałacowym, skąd najkrótszą drogą doprowadzony będzie przez dziedziniec do komnaty sądowej, i tym sposobem przez cały czas rozprawy będzie pod strażą moich zaufanych ludzi, pod moim baczynym okiem i w bezpośrednim zasięgu mojej ręki”. – Tak powie Nahumowi, a wtedy Nahum spyta: – „A o co będzie oskarżony Jezua ben Josef?” – „Mądry Nahumie – odpowie – Jezua ben Josef będzie oskarżony o zbezczeszczenie Szabatu, a jest to przestępstwo najcięższe z najcięższych i równa się grzechowi bałwochwalstwa lub morderstwa. Prorok Mosze powiedział w świętym Zwoju Szemoth: „...Ktokolwiek by wykonał pracę w dniu Szabatu, winien być ukarany śmiercią”. To oskarżenie, drogi Nahumie, będzie poparte drugim oskarżeniem o zamiar zburzenia Świątyni, co równa się bluźnierstwu, bo bluźni ten, który podnosi rękę na świętość Domu Pańskiego. Wniesiemy zatem dwa oskarżenia, a jedno będzie postawione na drugim, jak mury na fundamentach, a fundamentem będzie gwałt zadany Szabatowi, a murami bluźnierstwo przeciw stolicy Jahwe. Aby to wszystko dobrze przygotować, musisz, Nahumie, mój wierny sługo, znaleźć kilku świadków oskarżających – zeznania jednego świadka, jak ci o tym dobrze wiadomo, nie mogą być podstawą oskarżenia – którzy przez cały czas przestępstwa byli przy zwodzicielu obecni, razem równocześnie go widzieli i razem widzieli jego całe bluźniercze działanie, i równocześnie mogą wzajemnie potwierdzić obecność swoją na miejscu zbrodni. Ponieważ bluźnierca bluźniąc musi nie tylko wypowiedzieć Imię Pana – bo tylko wtedy bluźnierstwo ma wszystkie cechy bluźnierstwa – ale musi być potem ostrzeżony przez świadków, że popełnia bluźnierstwo, i dopiero gdy powtórzy je po raz drugi, staje się ono faktem dokonany, twoim obowiązkiem jest to wszystko świadkom dokładnie wyjaśnić, aby zeznając, wiedzieli, co zeznają. Przesłuchiwać ich będę osobiście. Posiadam, jak wiesz, duże umiejętności w stawianiu łowczych pytań i na pewno dobrze się wywiążę z tego zadania. Gdybyś uważał, Nahumie, że należy tu i tam sypnąć dla przynęty pieniędzmi, sypnij. Ale pamiętaj, że chcę mieć świadków prawych i prawdomównych.”

Tak rozmawiał Kajafa w swoim wnętrzu z wiernym sługą Nahumem. Całe działanie obmyślił i przewidział do najdrobniejszego szczegółu. W jego rozumowaniu nie było żadnych szczelin. Zaprawdę, były to zamysły doskonałe. Klasnął w dłonie. Wszedł Nahum.

– Weź tabliczkę – rzekł ciepłym głosem – i pisz. Podyktuję ci wszystko, co masz uczynić.

Nahum wyjął zza pasa przybory do pisania.

Księżyc przybierający

1

Tego dnia Jezus wyszedł o świcie z Bethanii, jak to codziennie zwykł czynić, i wraz z apostołami udał się do Świątyni Pańskiej. Wiedział, że Juda z Kerioth nie nocował w domu. Wiedział wszystko – ujrzał go biegnącego w ciemnościach nocnych – ale milczał, milczał nawet wtedy, gdy apostołowie, zaniepokojeni nieobecnością swojego towarzysza, głowili się nad jego nagłym zniknięciem. Widzieli go jeszcze podczas powrotnej drogi na Górze Oliwnej.

Czyżby tam pozostał i spędził noc pod gołym niebem? A może powrócił do Jerozolimy? Jeżeli tak, to w jakim celu? Gubili się w różnych domysłach. Wzruszali ramionami. Po krótkiej wymianie zdań dali spokój dalszym dociekaniom. Nie ma go, to go nie ma. Znajdzie się.

Po drodze wstąpili do Geth Szemanim, gdzie Jezus odwiedził wdowę Mariam, właścicielkę tłoczni oliwy, i jej młodziutkiego syna, Johanana, zwanego, jak wiemy, Markiem. Niezwykle zdolny chłopiec pobierał nauki u swojego stryja, Josefa bar Nabuah, lewity, który wielką czcią otaczał Męża i stanął w Jego obronie podczas burzliwych zajęć na dziedzińcu świątynnym w dniu Święta Namiotów. Jezus dowiedział się od Mariam, że Jego matka jest w Jerozolimie i zatrzymała się u krewnych w Bethesda. Usłyszawszy tę wiadomość, posmutniał. Mimo nalegań wdowy nie uczestniczył w posiłku, który przygotowała dla gości. Gdy apostołowie zjedli, pożegnał gościnną gospodynię i jej syna, pobłogosławił dom i jego mieszkańców i udał się w dalszą drogę do Jerozolimy. Wysoko nad niebem, pobielonym na zachodzie kłębam obłoków, które przypominały bujnie kwitnące wiosną korony drzew migdałowych, krążył klucz żurawi i wśród głośniego klangu odpływał na północ, a w ślad za nim zdążało zmęczone spojrzenie Jezusa i długo towarzyszyło odlatującym ptakom, aż rozplynęły się w powietrzu czystym jak źródłana woda. I znów niebo było samotne i bezdźwięczne. Jezus pomyślał, że wkrótce o takim samym cichym, błękitnym popołudniu potykać się będzie

z ciemnościami grobu, który już czeka na Jego ciało. Widział ten grób, który Elohim własnoręcznie wyciosał dla Niego przed pierwszym dniem stworzenia, albowiem zanim jeszcze stworzył niebo i ziemię i zanim Go zrodził, już wykopał dla Niego grób, a ten grób był grobem i był zarazem kolebką, był kolebką-groblem, wyjściem z łona i powrotem do łona, mieszkaniem świętej Obecności, wciąż się otwierającej i zamykającej wśród bolesnych wstrząsów narodzin i śmierci. Na początku Elohim stworzył Jego grób, a dopiero potem stworzył niebo i ziemię, a ziemia była chaosem i bezładem, a ciemność była nad wzburzoną przepaścią, a Duch Boży unosił się nad Jego grobem. I rzekł Bóg: „Niech się stanie Światło”. I wtedy narodziło się Światło, i weszło, i wstało z grobu, i żyło, a było to zmartwychwstanie nowo narodzonego Światła, które nigdy nie umarło i nigdy się nie narodziło, bo zawsze było, jest i będzie. A wszystko to uczynił Duch Święty unoszący się nad własnym łonem, otwierającym i zamykającym się w porodowych boleściach nad kolebką-groblem, nad jaskinią grobową, którą dźwigał w sobie, w matczynym swoim wnętrzu, w okrągłej i brzemiennej, wciąż przybierającej pełni księżycowej, w niepokalanej płodności.

Obejrzał się. Apostołowie szli za Nim. Przystanął. Gdy zbliżyli się, nie patrząc na nich, rzekł cichym głosem:

– Za dwa dni będzie Pesach. A Kefas na to:

– Słusznie, Rabbi.

Jezus, jakby nie słyszał jego zakłopotanej odpowiedzi, dodał:

– Syn Człowieczy będzie wydany na ukrzyżowanie.

To powiedziawszy, sporym krokiem ruszył w kierunku Złotej Bramy. Apostołowie zmartwieli. „Będzie wydany na ukrzyżowanie.” Na ukrzyżowanie? Dlaczego Jezua ben Josef ma umrzeć na krzyżu? Dlaczego ma umrzeć śmiercią najhaniebniejszą, wisielczą, śmiercią złoczyńców, rozbójników, morderców, opryszków, niewolników, buntowników? Przecież nikogo nie zabił, nie oszukał, nie okradł, nie wzniecił żadnego buntu, nikogo do buntu nie nakłaniał. Ogłuszeni zapowiedzią Jezusa, wysmagani Jego okrutną przepowiednią jak różgą, wrosli w ziemię i nie mogąc kroku postąpić naprzód, byli przeraźliwie zdziwieni, że świat istnieje, że drzewa obojętnie szumią, że świerszcze beztrąsko cykają, że niebo jest milczące i kamienne, a góry trwają w nieczułej ospałości. Przecierali oczy, uderzali się po ramionach, po dłoniach, po biodrach, gdyż zdawało im się, że śnią potworny sen, z którego może za chwilę się obudzą. Czekali na radosną jawę, która kłam zada nocnym majakom. Nie, to wszystko było rzeczywistością. Rósł w nich zamęt, który wypełniał ich ciało po końce palców u rąk i nóg, obejmował w posiadanie ich nerki i serce, ich krew i oddech. Krzyż... krzyż... krzyż... – powtarzali nieprzytomnie i widzieli haniebną śmierć na krzyżu, człowieka przybitego do krzyża i kołujące

sępy, które ostrożnie zniżały lot, i psy, które chciwie chleptały krew spływającą po szubienicznym pniu. Wzniesli ręce i wymachując nimi, szli jak gromada szaleńców opędzających się przed napaścią niewidzialnego ptactwa, a były to gesty rozpacz, krzyczącej do nieba o litość nad Rabbim, o zmiłowanie, o zjawienie się Pana, który lwim rykiem przepędzi Jego wrogów. Potem zaczęli wzajemnie się pocieszać. Przypomnieli sobie, że Rabbi już kilkakrotnie mówił o swojej bliskiej śmierci, a jednak żyje – niechaj Elohim czuwa nad Jego życiem! – wędruje po kraju i przemawia, wskrzesił umarłego, prowadzi dysputy z faryzeuszami i saduceuszami, jawnie naucza, bezpiecznie chodzi po mieście, aczkolwiek znowu dał się boleśnie we znaki swoim wrogom. – „Chwalcie Pana, albowiem jest dobry” – mówili słowami psalmu i tak długo powtarzali je w modlitewnym kołowrocie, aż wstąpiła w nich ufność w ocalenie Rabbiego, a wtedy żarliwie przepraszała Pana za zbyt gwałtowność błagania, za rozpaczliwy krzyk ust i za niesforność rąk, aż zmora krzyża poczęła odpływać z pola ich widzenia, była coraz mniejsza... mniejsza... mniejsza... aż zupełnie znikła, jak ten ginący na widnokręgu klucz żurawi, który widzieli na niebie.

Mimo to przezorny Kefas postanowił na wszelki wypadek, po powrocie do Bethanii, naostrzyć swój krótki miecz, który nosił ukryty na biodrze, pod tuniką.

2

Przybyli do Świątyni.

Jezus usiadł w Portyku Salomona na podwójnie złożonej rogoży, a przed Nim usadowili się apostołowie, przygodni słuchacze i garstka kapłanów saducejskich i faryzeuszów. Rabbi dostrzegł wśród nich kilku swoich zaciętych przeciwników, którzy uczestniczyli w niejednej z Nim dyspucie. Przysłał ich Kajafa. Wieczorem złożą mu sprawozdanie. O czym? Powinni arcykapłanowi opowiedzieć – pomyślał Jezus – że ofiara, na którą poluje, wie, co ją czeka. Rozpoczął ten dzień rozmyślaniami o śmierci. Snuć je będzie dalej i odsłoni przed nimi przeszłość, aby ujrzeli, że wszystko wie o sobie i o nich, że wiadome Mu są również dzieje winnicy Pańskiej, która wprawdzie nigdy nie będzie wycięta ani odrzucona – sam Elohim przysiągł jej wieczne trwanie, więc nie może zaprzeczyć samemu sobie – ale będzie odebrana nieuczciwym dzierżawcom, kapłanom przeniwierczym, saduceuszom o sercach z lodu, faryzeuszom obłudnym, mężom kłamstwa i krwi. Ich dziedzictwo przejmą anawim Jahwe, ubodzy Pana, którzy dla miłości Bożej porzucili dom, rodziców, braci i siostry, i poszli za Nim, niewinnym Prześiępcą, ukrzyżowanym Wisielcem. Wrogom opowie o swojej śmierci.

Położył swoim zwyczajem ręce na kolanach i z lekka kołysząc się, począł im opowiadać przypowieść, a oni słuchając ujrzeli pewnego człowieka, ojca rodziny – chociaż ani jednym słowem nie wspomniał o Jego Wszechmocy, natychmiast zmiarkowali, że mówi o Elohim – który zasadził winnicę – nastawili uszu i z zadowoleniem wchłaniali Jego słowa, bo poznali, że mówi o Izraelu, winnicy zasadzonej przez Pana i ogrodzonej przez Pana opiekuńczym murem – a potem wydzierżawiwszy ją winogrodnikom – z niepokojem stwierdzili, że mówiąc te słowa, utkwiał wzrok w saduceuszach i faryzeuszach – odjechał na czas dłuższy. Gdy wrócił, rozkazał sługom swoim, aby odebrali od nich należną mu część zbiorów, ale nieuczciwi dzierżawcy znieważyli posłańców, wielu spośród nich pobili do krwi, a niektórych ukamienowali. Wówczas właściciel winnicy posłał do nich swojego jedynego syna, winogrodnicy jednak wyrzucili go poza winnicę i zamordowali, mówiąc: „Dziedzictwo jego nam się dostanie”. Rabbi, opowiedziawszy tę przypowieść, rozłożył ręce i zawołał:

– Cóż uczyni właściciel winnicy z mordercami swojego syna? Tłum zakotłosał się. Podniosły się głosy:

- Wytraci ich!
- Winnicę wynajmie innym winogrodnikom!
- Nowi dzierżawcy oddawać mu będą owoce! Rozległy się gniewne wołania:
- Kim jest ten syn?!
- Kogo masz na myśli?!
- Dlaczego mówisz, że Pan ma jednego syna, skoro wszyscy jesteśmy Jego synami?!
- Nikogo nie zabiliśmy! – krzyczeli faryzeusze.
- Nie jesteśmy mężami krwi! – krzyczeli saducejscy kapłani. Z tłumu wołano:
- Dajcie mu mówić!
- Dajcie mówić prorokowi!
- Może i jego chcecie ukamienować?! Zaległa cisza.

Jezus podniósł się z rogoży i zwracając się do kapłanów i faryzeuszów rzekł:

– Czy nigdy nie czytaliście Pisma? Cóż więc oznaczają słowa psalmisty: „Kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym. Przez Pana to się stało: cud przed naszymi oczami!”?

Powiedziawszy to, mówił do nich wielkim głosem o Królestwie Niebieskim, zamkniętym przed synami człowieczymi czyniącymi zło, o ludziach ubogich, dziedzicach Obietnicy Pańskiej, i znów powtórzył swój wywód o kamieniu węgielnym, o jego niewzruszonej twardości, o kamieniu niespożyty, niełamliwym, nie kruszącym się, opornym i nieugiętym, o głazie, o skale, o kefa, o który roztrzaska

się każdy, kto o niego się potknie, a na kogo upadnie, tego zmiążdży na proch.

Kefasowi przysłała do głowy gorzka myśl, że spoistość jego jest bardzo krucha. Na nim, na mialkim piasku, chciał Jezua ben Josef zbudować swój Dom. Czyżby Mąż się mylił? Czyżby nie widział jego miękkości miękkiej jak wosk? Czyżby nie poznał się na brakach i niedoskonałościach jego duszy? Na ubóstwie jego serca? Na bojaźliwej przezorności? Siedział pogrążony w zadumie, zwalisty, o szerokich barach. Olbrzym i kamień o twarzy dziecka.

3

Wieczorem wrócili do Bethanii, do domu Eleazara. Martha podała im wieczerzę. Jezus spytał o Judę z Kerijoth.

– Wrócił po południu. Śpi teraz. Czy mam go zbudzić? – spytała.

Jezus nic nie odpowiedział. Wyszedł na dziedziniec i usiadł na progu. Znow kłężył myślami dokoła swojego grobu, w którym spoczywało Jego ciało.

Na niebie stał wielki księżyc. Zbliżał się do pełni.

Człowiek, który niósł dzban wody

Wszystko, co się przydarzyło dzisiaj o świcie, trzynastego dnia miesiąca nisan, było dla apostołów nie lada zaskoczeniem: Rabbi polecił im mianowicie poczynić przygotowania do sederu, do wieczerzy pesachowej, którą zamierzał spożyć nie jutro razem z całym domem Izraela, ale o dzień wcześniej, to znaczy dziś wieczorem. Wiedzieli, że Jezus nic nie czyni bez powodu, jeżeli więc wydał teraz takie polecenie, muszą się za tym kryć niezwykle ważne pobudki. Ale jakie? A poza tym, jak Jezus wyobraża sobie wieczerzę pesachową bez jagnięcia pieczonego na rożnie z drzewa granatowego, na wolnym ogniu? Przecież ubój jagniąt i baranków rozpocznie się w Świątyni Pańskiej dopiero jutro w południe, w świętym dniu Przygotowania! Wiele jeszcze pytań cisnęło im się na wargi, a między innymi i to nader kłopotliwe: co zrobią jutrzejszego wieczoru, gdy cały Izrael uroczyście spożywać będzie pieczone jagnię i zmawiać będzie błogosławieństwo nad czterema kielichami wina? Czy jutro Jezua ben Josef odprawi drugi seder? Czy to jest w ogóle możliwe? Przecież Prawo nie przewiduje drugiego sederu. Jeżeli jednak odprawi ten drugi seder, czy mają święcić dwa sedery? Z kolei wyłania się pytanie, który z nich jest ważny, a który nieważny. Jeżeli dzisiejszy jest nieważny – a wszystko wskazuje na to, że jest nieważny, bo przecież nigdzie, w żadnym Zwoju nie ma o nim mowy – po co go dzisiaj obchodzą? Westchnęli. Uwikłani w sieć tych niejasności, postanowili posłusznie działać według woli Rabbiego, a sposób, w jaki Jego wola się wypełni, tak

czy owak nie leży w granicach ich mocy. Całą ich uwagę pochłonęły teraz zabiegi o szybkie nabycie pożywienia, potrzebnego do odprawienia uczty sederowej. Powinni kupić gorzkie zioła, praśniki, figi, tarte orzechy, winny ocet dla przyrządzenia haroseth – kto go przygotowuje? – i dzban słodkiego wina. Nie mniejszym kłopotem było dla nich wyszukanie w mieście izby, w której mogliby dzisiaj spokojnie spożyć wieczerzę. Według przepisów synowie Izraela mogli odprawiać seder tylko w murach Jerozolimy, a za przekroczenie tego nakazu, czyli za pogwałcenie świętości Święta Praśników, groziła kara chłosty, czterdzieści uderzeń kijem. Wprawdzie na pewno udałoby się im znaleźć odpowiednią izbę – gmina co roku wydawała zakaz pobierania wysokich opłat za wynajmowanie pielgrzymom izb na ucztę świąteczną, a nawet gorąco wzywała stałych mieszkańców do niepobierania żadnych opłat za ten dobry uczynek – trudność jednak polegała na tym, że nie wiedzieli, jak mają wytłumaczyć właścicielowi domu lub mieszkania, dlaczego zamiast jutro, dzisiaj chcą święcić seder, i to bez piezonego jagnięcia! Jezus wybawił ich z tego kłopotu: uczynił to w sposób sobie właściwy, bez wyjaśnień, zatem nieco trudny, wskutek czego polecenie, które im dał, stało się dla nich nowym ogniwem w długim łańcuchu tajemnic już i bez tego rozkazu ciężących nadmiernie ich sercom; zlecił Kefasowi i Johananowi ben Zebadia udać się do Jerozolimy i zapowiedział im, że spotkają po drodze pewnego człowieka dźwigającego dzban wody; niechaj idą za nim, wejdą do domu, do którego on wejdzie, a wtedy pokłonią się gospodarzowi i powiedzą: „Rabbi Jezua ben Josef z Nazarethu pozdrawia cię i mówi do ciebie: Ponieważ chcę dzisiaj w domu twoim świętować Pesach z moimi dwunastoma apostołami, wskaż moim posłańcom izbę, w której spożyję z nimi wieczerzę”. Tak niech powiedzą, a gospodarz wskaże im górny, przestronny wieczernik, gdzie ustawione już będą szerokie ławy wyścielone kobiercami i poduszkami, i stół w kształcie podkowy. Tu będą święcić seder, po czym według zwyczaju pójdą na Górę Oliwną, do gaju w Geth Szemanim, gdzie będą się modlić.

Juda z Kerijoth poślinił palec i począł nań nawijać kędzior u prawej skroni, a uczynił to zgrabnie, wbrew widocznemu roztargnieniu. Gdy Kefas i Johanan ben Zebadia zażądali od niego pieniędzy, sięgnął z rzucającą się w oczy skwapliwością do skrzynki – dotychczas zawsze każdy obowiązek wypłaty wykonywał niechętnie, z ociąganiem się, jakby gwałt sobie zadawał – a jego dłoń poruszała się niezwykle raźnie i tylko wydawało się, że jej palce nie są przytomne czynności, którą wykonywały. Wręczył apostołom pieniądze potrzebne na zakup praśników, fig, jabłek, orzechów, winnego octu i gorzkich ziół. Sam natomiast wziął na siebie kupno wina. Powiedział im, że zaczeka na ich powrót, bo przecież nie wie, dokąd ma zanieść zakupione wino. Udali się do miasta. Jezus pozostał w domu.

Kefas i Johanen ben Zebadia dokonali po drodze zakupów u przygodnych handlarzy, jadących z warzywami i towarami do miasta, przaśniki kupili w piekarni w Bethfage i obciążeni koszykami szli, głośno rozprawiając o celu swojego poselstwa, i starali się wzajemnie przekonać o słuszności poczynionych przez siebie domysłów, z których właściwie żaden nie miał widoków prawdopodobieństwa. W połowie drogi zatrzymali się, odsapnęli i jeszcze raz od początku prześledzili polecenia i zapowiedzi Rabbiego. Uwagę swoją skupili na tajemniczym mężu niosącym dzban wody i uzgodnili nieprawdopodobieństwo takiego ukształtowania się zdarzeń, bo przecież żaden mężczyzna, syn Izraela, nie idzie do źródła po wodę, gdyż pracę tę wykonują tylko niewiasty. Już chcieli dać stanowczy wyraz swoim wątpliwościom, gdy nagle Johanen ben Zebadia podniósł wskazujący palec na wysokość ust, co miało znaczyć, że przysłała mu do głowy jakaś mądra myśl: przypomniał sobie pewien midrasz – słyszał go w dzieciństwie od swojego dziadka – o proroku Elijahu, który jako nosiwoda zjawił się po śmierci na ziemi, aby wykonać rozkaz dany mu przez Elohim. Jeżeli zatem prorok Elijahu poszedł do źródła po wodę i tę wodę dźwigał w bukłaku, dlaczego nie mogą teraz spotkać jakiegoś syna Izraela wracającego od źródła z dzbanem wody? Johanen ben Zebadia podzielił się z Kefasem swoim odkryciem i począł mu z rosnącym ożywieniem tłumaczyć głęboki, ukryty sens tego midraszu, a im dłużej mu tłumaczył, tym jaśniej pojmował myśl Jezusowej zapowiedzi: Prorok Elijahu, zwiastun Mesjasza, dźwiga w bukłaku Wodę Żywą, a oni powinni iść za nim, bo zaprowadzi ich do domu, w którym nastąpi wielkie odsłonięcie Tajemnicy podczas przedwczesnego sederu; wprawdzie ów nosiwoda nie musi być zaraz samym prorokiem Elijahu, woda w jego bukłaku Wodą Żywą, mimo to napotkany mąż będzie niejako znakiem zbliżającego się innego czasu, a woda w jego dzbanie znakiem innej Wody, dlatego powinni się pozbyć błędnego mniemania, jakoby żaden syn Izraela nie nosił wody, bo takie przekonanie jest zniewagą wniebowziętego proroka. Podniesieni na duchu, ochoczo ruszyli do Jerozolimy, a gdy przez Gnojną Bramę wstąpili w jej mury, ujrzeni ku swojej radości Johanana, zwanego Markiem, młodzieńczego syna wdowy Mariam z Geth Szemanim – znali go przecież, znali! – idącego zwawym krokiem, z dzbanem pełnym wody, schodami w kierunku Górnego Miasta. U stoku Syjonu skręcił w bok – z dala ujrzeni wśród gęsiej zieleni pałac arcykapłana Kajafy – minął kilka willi, uczepionych zbocza górskiego, i wszedł do domu swojego stryja, Josefa bar Nabuah, lewity.

Gdy apostołowie stanęli przed gospodarzem, powitali go powitaniem pokoju i przedłożyli prośbę Rabbiego. Josef bar Nabuah chętnie zgodził się na oddanie Jezusowi i uczniom izby w swoim domu na dzisiejszy seder – nie zdziwił się,

potraktował całą sprawę jako samą przez się zrozumiałą i nie wymagającą wyjaśnień, co jeszcze bardziej utwierdziło apostołów w przeświadczeniu o prawdziwości midraszu o nosiwodzie Elijahu – po czym Kefas i Johanan dali jego żonie owoce, orzechy, korzenie, miód i warzywa i poprosili ją w imieniu Rabbiego o przyrządzenie Mu sederu na dzisiejszy wieczór. Niewiasta, jak każda niewiasta, grzesząca zbytnią ciekawością, już zamierzała gradem pytań zasypać apostołów, ale bar Nabuah, stojący za ich plecami, dał znak ręką, aby o nic nie pytała. Umilkła więc w pół słowa, wezwała służebne dziewczęta i z niechętnym zapalem – ach, ile ją jeszcze czeka roboty! – wzięła się do trudnego przyrządzania potraw dla synów Izraela, którzy dla jakichś niezrozumiałych powodów chcą dzisiaj zasiąść do uczt sederowej, jakby nie mogli zaczekać do jutra!

Kefas i Johanan ben Zebadia wrócili do Bethanii, opowiedzieli wszystko Jezusowi i polecili Judzie z Kerijoth zakupić wino i zanieść je do domu Josefa bar Nabuah, lewity, u którego dzisiaj będą ucztować.

Uniosła się wierność moja

Nahum przez całą noc nie spał. Po wczorajszej rozmowie z Kajafą rozesłał kilkudziesięciu gońców do członków Sanhedrynu z wezwaniem na dzisiejsze nadzwyczajne nocne posiedzenie i natychmiast rozpoczął poszukiwanie świadków oskarżenia. Już u samego początku napotkał tak wielkie trudności, że zwątpił – rzadko popadał w taką bezradność – o skuteczności swoich starań, a było to dla niego tym boleśniesz, że doceniając w pełni powagę sprawy, pragnął wywiązać się bez zarzutu z nałożonych nań przez arcykapłana obowiązków i znaleźć nieposzlakowanych świadków, bogobojnych i prawych, którzy z czystym sumieniem mogliby złożyć zeznania przeciw zwodzicielowi. Nahum, znając dobrze ludzi, ilekroć przystępował do jakiegoś działania, z góry przewidywał trudności i brał je zawsze pod uwagę – opory były dla niego bodźcem do wzmożonego wysiłku, a zresztą miał duże zaufanie do swoich organizacyjnych zdolności – mimo to nie spodziewał się, że tym razem starania jego będą szły opornie jak po grudzie. Nie mógł znaleźć świadków na okoliczność zbezczeszczenia przez Jezusę ben Josef Szabatu. A miało to być koronne oskarżenie, niejako samoczynnie pociągające za sobą karę śmierci. Drugie oskarżenie – groźba zburzenia Świątyni – było naciągnięte, nieprawdopodobne, więc łatwe do obalenia, bo przecież każdy zdrowy na umyśle członek Sanhedrynu, usłyszawszy taki zarzut, pójdzie po rozum do głowy i spyta: „Ten człowiek chciał zburzyć Świątynię? Jak może jeden człowiek zburzyć Świątynię? Czy on jest drugim Samsonem?”. Nahum rozpoczął poszukiwania od

Bethesdy, gdzie spodziewał się znaleźć paralytyka, którego Jezus w Szabat uleczył przy Owczej Sadzawce. Próżne były wysiłki sekretarza. Uzdrawiony mąż znikł bez śladu. Sekretarz spytał domowników:

– Mieszka tutaj?

– Mieszka – odpowiedzieli.

– Zawołajcie go.

– Nie ma go w domu.

– Wyszedł?

– Wyszedł.

– Kiedy wróci?

– Skąd możemy wiedzieć, kiedy on wróci?

– Ale przecież wróci do domu?

– Skąd możemy wiedzieć, czy wróci do domu? Może wróci, może nie wróci. Nie jesteśmy jego stróżami – odburknęli.

Więcej nie mógł z nich wydobyć. Jasne było, że nie chcieli powiedzieć prawdy. Mniej więcej taką samą rozmowę odbył z rodzicami ślepego od urodzenia, któremu Jezus przywrócił wzrok w Szabat, w dniu Święta Namiotów. Starzy byli małomówni, odpowiadali półsłówkami, i dopiero gdy ich wręcz spytał, kiedy ich syn wróci do domu, popadli w wylewne gadulstwo i stekiem przekleństw obrzucili syna, który, nie bacząc na ich starość, przed niedawnym czasem pozostawił ich na łasce losu i poszedł w świat za zarobkiem. Nahum wiedział, że kłamią. Chcąc sprawdzić ich zeznania, udał się do sąsiadów, by zasięgnąć języka, ci jednak odpowiedzieli mu opryskliwie, zasłaniając się niewiedzą, brakiem pamięci, a gdy im zagroził karami, jeżeli nie będą mówili prawdy, podnieśli wrzask, albowiem poczuli się urażeni do żywego w swej godności. Nie ulegało wątpliwości, że ujrawszy przybyłego o tak niezwyklej porze sekretarza arcykapłana, nieufni i podejrzliwi z natury, tknięci złym przeczuciem, kłamali, co im tym łatwiej przychodziło, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności cudownie uleczeni naprawdę byli w domu nieobecni albo też w porę się ukryli. Kto może dociec, jak było w rzeczywistości? Potem szukał po zajazdach, w których zwykli zatrzymywać się galilejscy pielgrzymi, świadków cudownych zdarzeń sprzed dwóch i trzech lat, gdy to Jezus zezwolił apostołom rwać w Szabat kłosa pszenicy, a innym razem w Kfar Nahum uleczył w Szabat kilka kalek i chorych, a znowu innym razem dokonał po szabatowym nabożeństwie w synagodze cudu uzdrowienia uschniętej ręki. Szukaj wiatru w polu. Jedni nic nie pamiętali, drudzy nie byli podczas cudu obecni, ten i ów coś wprawdzie wiedział o cudach działanych w Szabat przez Jezusa, ale wiadomości miał z drugiej i trzeciej ręki i nie może przypomnieć sobie imion tych, którzy mu tę wiadomość przynieśli.

I oto po wędrówkach od zajazdu do zajazdu, po wielogodzinnych przesłuchaniach i niezliczonych rozmowach Nahum nie zdołał odszukać ani jednego pełnowartościowego świadka, nie mówiąc już o dwóch świadkach, których wymagało sądownictwo izraelskie dla wydania prawomocnego wyroku. Winę za te niepowodzenia ponosi arcykapłan! To jemu się zachciało w przeciągu kilkunastu godzin urządzić wielką rozprawę sądową o bluźnierstwo, wymagającą długich przygotowań, nader mozolnych poszukiwań i drobiazgowego zbierania dowodów winy! Późnym wieczorem, po długiej bieganinie po mieście, po mozołach, zaprawdę po istnej mordędze – z nóg opadał. Chwilami zdawało mu się, że traci rozeznanie w hierarchii wartości swoich rozmówców, kilkakrotnie nawet dał już za wygraną i postanowił z niczym wrócić do Kajafy i brutalnie mu powiedzieć: „Izrael nie chce mówić przeciw zwodzicielowi!”. Wreszcie zdołał znaleźć kilku mężów-świadków, którzy zgodzili się zeznać przed Sanhedrynem, że zgodnie słyszeli i widzieli, jak Jezua ben Josef z Nazarethu bluźnił Panu, odgrażając się, że zburzy Świątynię. Czy naprawdę słyszeli? Nahum chciał wierzyć, że naprawdę słyszeli. Czy Jezua ben Josef naprawdę odgrażał się, że zburzy Świątynię? Nahum chciał wierzyć, że Jezua ben Josef naprawdę się odgrażał. Czy ta groźba była bluźnierstwem? Nahum chciał wierzyć, że była bluźnierstwem. Miał bowiem głębokie przekonanie o nieskazitelnej wartości świadków, których szczery zapał do mówienia prawdy podsycił kilkoma sakiewkami dobrze wyplawionego srebra. Ale świadków na zbeczeszczenie Szabatu nie znalazł. Pierwsze, najważniejsze oskarżenie przestało istnieć.

Nahum, zdając Kajafie sprawę ze swoich trudów i wysiłków, spodziewał się, że usłyszy z jego ust podziękowanie. Gdy zamiast dowodów wdzięczności nagle zwałił się na niego grad wymówek i nagan, nie zapanował nad wewnętrznym wzburzeniem i na cierpkie wyrzuty arcykapłana odpowiedział gwałtownym wybuchem. Krzyczał, że może zabrać się i odejść, że nie jest niewolnikiem, że jest wolnym człowiekiem, że przez długie lata wiernej służby u boku Kajafy nie doczekał się od niego ani jednej pochwały, że wczoraj i dzisiaj uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby rozprawa przeciw zwodzicielowi nie zakończyła się haniebnym zawstydzeniem arcykapłana, który lekkomyślnie, pospiesznie, bez nieodzownego przemyślenia wszystkich, nawet najmniejszych, szczegółów przystąpił do zwołania sądu w gardłowej sprawie! A gdy wreszcie on, krzywdzony, znieważany Nahum, uczynił wszystko, aby ratować zagrożoną powagę Kajafy, i w przeciągu kilku godzin znalazł świadków oskarżenia na okoliczność groźby zburzenia Świątyni przez Jezue ben Josef, arcykapłan obrzuca go obelgami jak końskimi jabłkami i domaga się, aby udał się z powrotem do miasta i wszelkimi sposobami znalazł mu prawdomównych mężów, świadczących przeciw zwodzicielowi jako gwałcicielowi Szabatu! Skąd ma

wziąć tych ze wszech miar czcigodnych świadków, cieszących się szacunkiem Jeszuruna?! Skąd?! Spod ziemi?! Z powietrza?! Czy arcykapłan nie widzi, że motłoch nie chce zeznawać przeciw zwodzicielowi?! Że lud stoi za nim?! Jeżeli arcykapłan przestał ufać swojemu sekretarzowi, niech sam szuka sobie świadków, proszę, może się udać do zajazdów, w których mieszkają Galilejczycy, niech idzie do Bethesdy i, proszę, niech szuka! Niech szuka! I niech mu nie wymawia, że zamiast wiarygodnych świadków spośród dostojnych i powszechnie szanowanych synów Izraela znalazł tylko kilku łotrzyków i nędznych łajdaków, którzy za pieniądze zgodzili się złożyć fałszywe świadectwo przeciw Nazarethańczykowi! Czy arcykapłanowi się wydaje, że łatwo mu było znaleźć fałszywych świadków?! Taki fałszywy świadek musi być stokroć mądrzejszy od świadka wiarygodnego! I za to wszystko taka niewdzięczność go spotkała!

Przez cały czas wybuchu Nahuma myśli Kajafy biegły spokojnie, bez pośpiechu tropem galopujących wypowiedzi sekretarza. Popęniłby niesprawiedliwość, gdyby mu w wielu szczegółach nie przyznał słuszności. Z drugiej strony na usprawiedliwienie swojego szybkiego działania znalazł wiele argumentów. Niewątpliwym błędem był pośpiech, z jakim postanowił zwołać sąd Sanhedrynu. Ale czy tę błyskawiczną szybkość on nadał całej sprawie? Powodem było wczorajsze zjawienie się Judy z Kerijoth i ono przyspieszyło zwołanie sądu nad zwodzicielem. Przybycie tego domokrażcy stworzyło niespodziewanie tak wiele wspaniałych możliwości, że należało natychmiast z nich skorzystać, zwłaszcza że Jezua ben Josef mógł, według zeznań Judy, lada dzień opuścić Jerozolimę i Judeę i schronić się w jakiejś odległej krainie. Czy wolno było lekkomyślnie przeoczyć taką sposobność, która po raz drugi mogła się już nie powtórzyć? Kajafa, śledzący wypadki wczorajszego dnia, utwierdził się w przekonaniu, że wiążą się one z sobą poza jego wolą i wysiłkiem w tak przejrzyste układy, jakby je kształtowała ręka Elohim, który czuwa nad ukochanym arcykapłanem, ukrył go w cieniu swojej ręki, uczynił go strzałą w swoim kołczanie, wspomaga go – Kajafa prawie cielesnie odczuwał obecność i pośrednictwo Pana – osobiście wmieszał się w sprawę Jezuy ben Josef i wiedzie ją do ze wszech miar sprawiedliwego i mądrego rozwiązania. Mając tę pewność, arcykapłan wprawdzie dostrzegał pewne szczeliny i pęknięcia w swoim planie, polegając jednak na pomocy Elohim, podparty Jego ramieniem, wierzył głęboko, że na przekór wielu przeciwnościom wszystko szczęśliwie się skończy. Dlatego puścił mimo uszu zjadliwe żale sługi i ku jego nieopisanemu zdumieniu poklepał go z tkliwą życzliwością po ramieniu. Zmieszany Nahum, nie wiedząc, jak sobie tłumaczyć to wielkopańskie pobłażanie, z jakim Kajafa potraktował jego karczemny wybuch, schylił się i z niekłamaną czułością i skruczą ucałował skraj

szaty arcykapłana, który otoczył go ramieniem i rzekł:

– Nie sprzecajmy się, wierny Nahumie. Może i nawet lepiej by było działać powoli, ale skoro Elohim – błogosławione niechaj będzie Imię jego po wieczny czas – nakazał pośpiech naszym myślom i czynom, idźmy za tym pośpiechem i starajmy się nadążyć za szybko idącym Panem.

– Niech mi wybaczy mój dostojny pan – szepnął Nahum. – To nie ja się uniosłem. To uniosła się wierność moja.

– Wiem o tym – odrzekł Kajafa. – Elohim przez cały dzień karmi Izraela troską, a pod wieczór zamienia ją w radość.

– A jeżeli nie uda się panu mojemu udowodnić winy zwodzicielowi?

– Hiob powiedział: „Gdybym nawet był niewinny, Pan udowodni nieprawość moją”.

– Jezua ben Josef ma wielu zwolenników w Sanhedrynie...

Kajafa zanurzył dłoń w puszystej jak obłok brodzie i odparł ze złośliwym uśmiechem:

– Zwolennicy jego będą bali się mówić w jego obronie. Więcej miłują swoją chwałę ludzką od swoich przekonań. Zresztą ku twojemu pocieszeniu przypomnę ci, dobry Nahumie, że saduceusze mają większość w Sanhedrynie. Zatem...

Nahum pochylił głowę. Współczując swojemu stroskanemu panu i wiedziony obawą o powodzenie trudnego przedsięwzięcia, rzekł z godnym podziwu samozaparciem:

– Jeszcze raz pójdę na miasto i spróbuję poszukać świadków na okoliczność pogwałcenia Szabatu przez zwodziciela.

Kajafa wzruszył się.

– Idź, wierny Nahumie, idź. Ty wszystko potrafisz – rzekł i czule położył dłoń na ramieniu sekretarza.

W progu komnaty stanął sługa, rosły Nabatejczyk o odstających uszach.

– Czego chcesz, Malchusie? – spytał Kajafa.

– Juda z Kerijoth prosi mojego pana pokornie o posłuchanie. Kajafa zatrzepotał rękami:

– Wprowadź... wprowadź...

Wszystko według umowy

Juda z Kerijoth stał przed arcykapłanem.

Wziąwszy z sobą bukłak, wyszedł z Bethanii do Jerozolimy po wino. Niechętnie podjął się tego zadania, wciąż bowiem zastanawiał się nad niepojętym pomysłem

Jeszuy ben Josef spożycia wieczerzy paschalnej w dniu nie uświęconym w Izraelu żadnym przepisem świątecznym. Co się za tym pomysłem kryje? Do czego zwodziciel zmierza? Dlaczego wywraca świąteczny porządek ustalony przez Prawo? Dlaczego wywraca? Co za prostackie pytanie. Jak można sobie samemu stawiać takie głupie pytania! Wywraca porządek świąteczny, bo wywraca cały porządek Prawa. Wszystko! Więc dlaczego Juda dziwi się, że mesith urządza seder dzisiaj, a nie jutro? Zwodzicielski seder! Seder Pełzającego! Seder złych mocy! Jeżeli mimo tych myśli Juda wyraził chęć pójścia po wino, potrzebne do tego niewydarzonego sederu, miał uzasadniony powód: chciał udać się do Kajafy, więc dla zmylenia czujności Jeszuy i apostołów – a może jednak czegoś się domyślają, spojrzenie męża wydaje mu się od kilku dni szczególnie nieufne! – postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i skwapliwie zaofiarował swoje usługi. Po drodze do pałacu Kajafy wstąpił do winiarni i pozostawił w niej bukłak, umówiwszy się z właścicielem gospody, że niebawem wróci i odbierze wino.

I oto stał teraz przed arcykapłanem, i według zawartej umowy, przypieczętowanej przyrzeczoną i ustaloną zapłatą, zawiadomił go o mającym się odbyć dziś wieczór sederze Jeszuy z udziałem wszystkich apostołów w domu Josefa bar Nabuah, lewity. Po wieczerzy zwodziciel, jak to miał w zwyczaj, ilekroć przebywał w Jerozolimie lub Bethanii, uda się na Górę Oliwną, do Geth Szemanim – ta tłocznia oliwy należy do pewnej wdowy, której swakiem jest Josef bar Nabuah, lewita – i tam w nocy będzie się modlił. Arcykapłan usłyszawszy to zmrużył oczy i spytał:

- Dzisiaj wieczór odprawi seder? Bez jagnięcia?
- Tak. Dzisiaj wieczór. Bez jagnięcia – potwierdził Juda.
- Cóż to będzie za seder?
- Nie wiem.
- Przeciw zwyczajowi i Prawu Izraela? Juda pokiwał głową.
- Odprawi go u Josefa bar Nabuah, lewity?
- Tak.
- Wiedziałem, że lewici sprzyjają zwodzicielowi. Lewici są gniazdem żmij.

Kajafa po raz pierwszy w życiu czegoś nie rozumiał. Dlaczego Jeszua ben Josef na przekór przepisom Prawa zasiądzie dzisiaj do wieczerzy pesachowej? Dlaczego tak się spieszy? Na pewno nie czyni tego bez powodu. Josef bar Nabuah mu sprzyja. Wśród lewitów zwodzicielstwo zapuściło głębokie korzenie, tak głębokie, że nawet Josef bar Nabuah, mąż sprawiedliwy i bogobojny, otworzył serce na przyjęcie bluźnierczej nauki. Będzie musiał z nim pomówić. Ale nie teraz. Nie teraz. Potem, gdy już będzie po wszystkim. O, tak, tak! Potem oni wszyscy będą nieco pokorniejsi i skorsi do wylewnych wyznań! Arcykapłan snuł różne przypuszczenia. Podejrzenia

goniły za podejrzeniami, domysły ściagały domysły. W głowie jego odbywało się wielkie polowanie na wielką niewiadomą, którą chciał doścignąć, schwytać i zmusić do wyznania prawdy. Czyżby zwodziciel chciał jutro uciec ze Świętego Miasta – jak to przypuszczał Juda – i dlatego dziś, z poduszczenia szatana, w niewłaściwy sposób odprawi seder bez spożycia jagnięcia? Ze wszystkich domysłów ten ostatni wydawał mu się najbardziej przekonujący i godny uwagi, i... Jak dobrze się stało, że wszystko to przewidując, postanowił w dniu dzisiejszym uwięzić zwodziciela. Jeszcze jeden dowód świadczący o ręce Pańskiej, która kieruje jego krokami. Wstał z fotela i zwracając się do Nahuma rzekł:

– Będzie tak, jak postanowiłem. Jezua ben Josef Nazarethu zostanie dzisiaj w nocy uwięziony. Zawiadam o tym sagana. Niech trzyma w pogotowiu straż lewitów, tych najbardziej pewnych i oddanych Świątyni. Przypominam ci, że na czele straży Sanhedrynu stanie Malchus Nabatejczyk. Po więzieniu Galilejczyka przyprowadzisz go tutaj i postawisz go w myśl mojego przyrzeczenia przed Hananem ben Sethi. Będziesz obecny podczas przesłuchania u mojego czcigodnego teścia. Potem odbędzie się rozprawa. Wydaj polecenie służbie domowej, aby czuwała przez całą noc na dziedzińcu. Wszystko zrozumiałeś?

– Wszystko zrozumiałem, dostojny panie – odpowiedział Nahum. Kajafa wsunął dłonie za pas i przechadzał się tam i z powrotem po komnacie. Przystanął. Podniósł gęste brwi. Na jego gładkim czole zarysowało się kilka zmarszczek. Poufałe przymierze, które zawarł ze sprzedawcą pachnideł, na pewno było nieco nieprzystojne dla powagi i wysokiego urzędu arcykapłana. Zawarł je dla dobra Izraela. O, jak wiele kłopotliwych dzieł dokonał dla zbawiennej przyszłości tego czupurnego i kłótliwego ludu! Kątem oka spojrzął z niesmakiem na nędznego Judę, odzianego w połataną tunikę, na jego szorstkie, czerwone ręce, na brudne stopy i pomyślał z żalem, że wielki Elohim często dla swoich celów posługuje się ludźmi, z których usług on, robak przed Panem, Josef Kajafa, nigdy by nie skorzystał. Patrząc w ziemię, powiedział suchym głosem, który jak nieprzebyta ściana wznosił się między nim a Judą:

– Ty, Judo z Kerijoth, wyjdiesz w połowie wieczery i udasz się do sagana, aby jego ludziom wskazać miejsce, w którym zwodziciel będzie się modlił. Pamiętaj, że musisz wszystko wykonać ściśle i dokładnie według naszej umowy.

Juda pokłonił się i wyszedł. Gdy znalazł się za murami pałacu, rozejrzył się przezornie dokoła, a gdy nie dostrzegł nic podejrzanego, uspokoił swe serce i ruszył do winiarni. Szedł z pochyloną głową, wciągnąwszy ją między wysoko podniesione ramiona.

Wieczna wieczerza

1

W całej Jerozolimie trwały gorączkowe przygotowania do uczy sederowej, która jutro wieczór miała zapoczątkować błogosławione święto Pesach. W piekarniach, po uprzątnięciu kwasu, przez dzień i noc wypiekano przaśniki, a od wczesnego rana kupowano jagnięta bez skazy i czerwone wino. We wszystkich domach Izraela niewiasty krajały chrzan, sałatę głowiastą i świeże ogórki, mieszały je, soliły i zaprawiały winnym octem, i smakując dosypywały szczyptę zmielonej na proszek gorczycy, aby uczynić potrawę bardziej gorzką, albowiem miała ona symbolizować na pesachowym stole gorycz niewoli w Micraim, w krainie małych bogów, skaczących po drzewach. Potem z równym zapalem brały się do krajania migdałów, wydrelowanych daktyli i kory cynamonowej, ucierały je na miazgę i zalewały winem. Zwano tę potrawę haroseth, a był to przysmak nie lada, rozkosz dla podniebienia, aczkolwiek ten smakołyk miał być podczas wieczerzy obrazem marnej gliny, którą wypalali synowie Izraela dla budowy królewskich pałaców i świątyń ptasich i krokodylich demonów. Oto jak męczeństwo narodu przeobraża się z biegiem wieków w słodki przysmak, mile drażniący podniebienia pokoleń.

Ludzie biegali po mieście, wychodzili z domów z pustymi rękami, wracali obciążeni jak osły, mijali się w pośpiechu, zatrzymywali się tylko na chwilę i zapominając o swoich obowiązkach, lekkomyślnie trawili czas na miłych i długich pogwarkach, witali się, żegnali i zapraszali wzajemnie, wynosząc pod niebiosa potrawy, przygotowywane zapobiegliwymi rękami ich żon i córek, składali sobie życzenia błogosławionego spokoju i znów pędzili przed siebie, i znów się mijali, i znów przystawali w nieustannym obrocie powitań i pożegnań, zapraszań i uniesień nad dobrocią Elohim. Pan przecież wyprowadził synów Izraela z otchłani śmierci i karmił ich na pustyni tłustą manną, smacznymi przepiórkami, ich pragnienie gasił wodą źródlaną, tryskającą z bezpłodnej skały, aż przywiódł ich bezpiecznie do ziemi, którą im obiecał i ofiarował na własność po wielu dość kłopotliwych powikłaniach. Chociaż dzisiaj od owej pamiętnej wędrówki przez pustynię dzieliły ich długie wieki, obfitujące w bolesne doświadczenia, wygnania i prześladowania – droga ich narodu nieustannie wiodła przez ruiny, popioły i zbiorowe ofiary – wszyscy oni od dziecka mieli świadomość głębokiej wspólnoty z praojcami, wychodźcami z Micraim, wspólnoty tak głębokiej, że nieomal utożsamiali się z nimi, wcielali się w nich i wcieliwszy się, byli mimo odległego czasu tymi, którzy wyszli z krainy zmaconego światła i ubóstwionych pawianów, współuczestnikami wędrówki przez Morze Sitowia, rozstępujące się przed nimi pośpiesznie i posłusznie. Więc radowali

się, bo czuli na ustach smak mанны, a na pochylonych czołach blask bijący od gniewu Pana, któremu byli wdzięczni za wszystkie dzieła uczynione dla nich w noc wyjścia.

Niestety, apostołowie nie dzielali, tego radosnego nastroju zbliżającego się święta wolności, albowiem złowróżbne przecucia, trwoga o bezpieczeństwo Jezusa i niemożność wniknięcia w tajemnicę mającej się odbyć nie w swoim czasie wieczerzy świątecznej stłumiły w nich wszelkie porywy i objawy wesela. Szli ku świętu markotni, osowiali, niepewni jutra, chwiejni, jakby wyrzuceni za burtę podniosłych zdarzeń, płynących od wieków w te uroczyste dni niezmiennym biegiem ustalonym przez Prawo, podczas gdy oni z powodów znanych tylko Jezusowi, a dla nich ciemnych i osobliwych, wkraczali teraz w jakieś sprawy nowe, na pewno korzeniami sięgające korzeni czasu, ale któż zdoła dociec tej głębi, w której Młode rodzi się ze Starego, tej cudownej jedności Ojcostwa i Synostwa, z sobą nierozłącznie zawężłonego? Idąc przez dziedziniec domu Josefa bar Nabuah widzieli, jak służba przygotowuje na dzień jutrzejszy różny i węgiel drzewny, więc z zazdrością pomyśleli o jagnięciu, tłustym i chrupkim, które cały dom Izraela będzie jutro nabożnie spożywał. Nic nie działo się w narodzie według jego własnego widzimisie, przelotnego kaprysu, przypadkowych pragnień. Jeżeli tak jest, jak jest, jest to przede wszystkim uzasadnione i umocnione świętością minionego czasu, w którym praojcowie na podstawie rozkazu Jahwe raz na zawsze ustanowili prawa rządzące życiem całej wspólnoty. Jeżeli jest powiedziane, że wieczerza pesachowa ma być spożyta czternastego dnia miesiąca nisan, cały Izrael, wierny Świątyni Pańskiej, w ten wieczór, o ściśle oznaczonej porze, musi ułożyć się przy stołach na ławach wysłanych kobiercami i poduszkami, według szczegółowo i przejrzyście ułożonego porządku – wieczerza ta zowie się po hebrajsku seder, co znaczy porządek – będącego duszą tej podniosłej uroczystości, zbudowanej na ładzie i biorącej swój początek z ładu Bożego, z następstwa zdarzeń przemyślanych przez Pana, z których każde z osobna stanowi szczebel w drabinie wspierającej się o otwarte w ten wieczór niebo. A dziś jest trzynasty dzień miesiąca nisan i nie ma różna, i nie ma ognia pod różnem, i nie będzie chrupiącego jagnięcia... Więc czy będą mogli radośnie śpiewać i aż do zmęczenia klaskać w dłonie?

Josef bar Nabuah, lewita, powitał na dziedzińcu Jezusa i apostołów, ucałował skraj Jego szaty i idąc – szedł na przedzie, nieco z boku, twarzą zwrócony do Rabbiego, i dawał do zrozumienia szeroko rozłożonymi rękami i pokornym pochyleniem głowy, że w tej chwili nie uważa się za gospodarza domu, ale za sługę – zaprowadził gości zewnętrznymi schodami do przestronnej izby położonej na tarasie dachu, otworzył drzwi, odchylił zasłonę i nie zauważony cofnął się, i powrócił do komnat

na parterze.

Rabbi i apostołowie ucałowali mezuzę i weszli do izby, gdzie ujrzeni na środku stoły ustawione w podkowie, nakryte białym płótnem. Niezwykła dokładność i schludność w rozmieszczeniu potraw i kielichów, bukłaka z winem, miednic i dzbanów z wodą do mycia rąk świadczyły, że o to wszystko zadbały ręce żony i córek Josefa bar Nabuah, które, mimo nawału zajęć domowych i kłopotów z niespodziewanymi gośćmi, duże staranie włożyły, jak przystało na pobożne niewiasty, w urządzenie Jezusowej wieczerzy i tą zapobiegliwością wyraziły drobny ułamek swojego podziwu dla Elohim. Różnie można wielbić Pana. Można wielbić Go nawet za pomocą schludnego przyrządzania potraw, dzięki czemu są one kształtem swoistej modlitwy.

Słońce stało już na zachodzie, a teraz skryło się za białą przepaską obłoków i stamtąd rozstrzelonymi promieniami, przypominającymi szeroko rozłożony wachlarz, oświecało górną połąć nieba, i tak ukryte przed oczami synów człowieczych coraz bardziej się zniżało, a gdy znalazło się już bardzo nisko, tuż nad grzebieniem wzgórz, nagle zrzuciło z siebie zasłonę i stanąwszy w grozie i dostojności swej nagiej czerwieni, podobne było do konającego pelikana, który własną krwią karmi niebiosa i ziemię; strumień posoki rozlał się po całym widnokregu i w oka mgnieniu zgaś.

Na wschodzie wzeszła gwiazda wieczorna.

2

Udali się z tarasu do wieczernika. Jaakow ben Halfi i Nathanael ben Tolmaj zapalili lampki oliwne, stojące na stołach, na półkach i w kątach izby. Umyli ręce. Jezus, głowa wspólnoty – był niejako ojcem rodziny świętującej pod jednym dachem – zajął za stołem środkowe, honorowe łoże i wspierając się na lewym łokciu, uniósł się nieco i wskazał Johananowi ben Zebadia miejsce po swojej prawej stronie. Reszta apostołów pośpiesznie układała się na łóżach, a ponieważ każdy z nich chciał się znaleźć jak najbliżej Rabbiego, powstało pewne zamieszanie, z którego skorzystał obrotny Juda z Kerijoth i usadowił się po Jego lewicy. Nieubłagana konieczność pchała go do Jezusa. Nie wyobrażał sobie, aby mógł teraz leżeć na łóżu na drugim końcu stołu – on jeden spośród wszystkich apostołów wiedział, że po raz ostatni spożywa z Jezusem wieczerzę przy jednym stole – i stamtąd, z dala od swej ofiary, śledzić jej ruchy i wyraz jej twarzy. Zapragnął być blisko Rabbiego, z którym – według swojego mniemania – stanowił jedną, niepodzielną całość w myśl zasady głoszącej, że ofiara i ofiarnik związani są z sobą ścisłą więzią. Składanie ofiary jest

wykonywaniem czynności zastępczej, gdyż ofiara umiera za ofiarnika, a umierając, oczyszcza go swoją śmiercią i podnosi ku Panu. Jest to oczyszczenie przez śmierć, najwyższe z najwyższych. Gdy więc jedno życie umiera za drugie życie, jakże może Juda z Kerijoth w ten wieczór śmiertelnego ofiarowania znajdować się z dala od Jezusy ben Josef, którego ofiarował Panu dla swojego oczyszczenia!

Cisza zaległa wieczernik. Nastroj panujący w izbie daleki był od radosnego uniesienia, które powinno być w ten wieczór udziałem biesiadników. Smutne były twarze apostołów czekających ze znużoną cierpliwością na znak rozpoczęcia wieczerzy, smutnie szeleściła zasłona poddająca się bezsilnie ciepłym uderzeniom wiatru – drzwi na taras były na ścieżaj otwarte – smutnie kołysały się płomyki lamp, napełniające izbę zapachem oliwy, zmieszany z zapachem wody miętowej, którą służba Bar Nabuaha skropiła podłogę. Jezus, oparłszy głowę na dłoni, w zamyśleniu patrzył przed siebie. Za chwilę ujawni apostołom w sposób najbardziej jawny tajemnicę ich smutku: ta wieczerza, którą razem spożyją, będzie wielką wieczerzą ukrzyżowanego ciała i przelanej krwi, będzie uczną śmierci! Chociaż sam ją obmyślił i opisał w najdrobniejszych szczegółach i przez długie wieki zmuszał proroków, niekiedy za pomocą środków dość gwałtownych, do prorokowania o niej, teraz poczuł wielką trwogę przed męczeństwem i wstąpieniem w proch śmierci. Ponieważ był wobec siebie równie surowy jak wobec ludzi, tę wszechmocną słabość wyznał i uwiecznił we wstrząsającym psalmie, którego autorstwo przypisał królowi Dawidowi. Apostołowie tyle razy powtarzali ten psalm i niewiele z niego zrozumieli; jakby go zamawiali tylko bezdusznym poruszeniem warg i słuchali tylko pustką uszu. A przecież wystarczyło uważnie się pochylić nad słowem, a wszystko byłoby jasne. Nie byłiby teraz smutni i nie gnębiłoby ich zagadnienie, czy stół, przy którym leżą, jest czy nie jest stołem pesachowym. Ach, jak bardzo się martwią, że nie spożyją jagnięcia pieczonego na wolnym ogniu, na rożnie z drzewa granatowego. Przeciągnął dłonią po czole, skroni i policzkach. Jutro ich smutek i niepewność zamienią się w rozpacz i zwątpienie. A zwątpienie w tchórzostwo. Jeden Johanan ben Zebadia nie stchórzy i dlatego on jeden dozna poznania przyszłości, będzie pobłogosławiony radosnym przerażeniem, które podniesie włosy na jego głowie, a wtedy ujrzy całe dzieje świata, zło pogrążone w ognistym jeziorze, Imię Pana wypisane na czołach sprawiedliwych i nowe niebo rozpięte nad nową ziemią. Tylko on. Nikt inny. Odwrócił się. Wzrok Jego spotkał się ze wzrokiem Judy z Kerijoth. Elohim zapisał zdradę apostoła o trzepoczącym sercu, ale biada człowiekowi, który zdradzi! Wprawdzie lepiej byłoby, gdyby ów mąż w ogóle się nie urodził, ale musiał się urodzić, ponieważ musiał wziąć na siebie ciężar zdrady. Spojrzył smutnie na ucznia z Kerijoth. Dlaczego apostołowie nie weselą się i nie klaszczą w dłonie,

dlaczego nie odtańczą przed obliczem Jahwe tańca wdzięczności za łaskę oczyszczającego męczeństwa, którym odkupi od grzechu i zbawi synów człowieczych? Czy jest coś radośniejszego nad śmierć, która jest bramą życia? Nie wiedzą, kiedy mają się radować, a kiedy płakać, kiedy klaskać w dłonie, a kiedy szaty rozdzierać w rozpacz. Między trzcunami zasłony, którą wiatr rozkołysał, ukazał się księżyc, wciąż przybierający, nabrzmiały, coraz pełniejszy dojrzałością czasu, kolistością coraz bardziej doskonałą się i coraz bardziej zamkniętą w sobie, a zarazem nieskończoną.

Jezus podniósł się z posłania i wyciągnął ręce nad stojącym przed Nim kielichem wina. Apostołowie zerwali się z miejsc. Rabbi wznosił głowę i zamknął oczy, i tak trwając w skupieniu błogosławił pierwszy kielich wina. Każde słowo wypowiadał wyraźnie, wyglądał je nieskalaną wymową, zaokrąglął i czynił kulistą pełnią na podobieństwo przybierającego księżyca, świecącego na niebie, i wtedy dwunastu apostołów bez jednego poczuło się z łaski Elohim częścią czasu doskonałego i na przekór temu jednemu, który wyłamał się z pełni, stanowili całość nie uszczuploną bolesnym ubytkiem.

– Pochwalony bądź, Panie, Boże, Królu świata, który stworzyłeś owoc winogrodu... – Jezus pobłogosławił wino, trzymając wyciągnięte przed siebie dłonie.

– Amen – głośno powiedzieli apostołowie.

Zwilżył wargi winem i podał kielich Johananowi ben Zebadia; ten nieco nadpił i podał go z kolei Kefasowi, i tak kielich wędrował z rąk do rąk, aż znalazł się przed Judą z Kerijoth, który podniósł go do ust i wysączył z trudem – bo już prawie wina w nim nie było – kilka ostatnich pozostałych na dnie kropel. Zawsze był pokrzywdzony, bo zawsze był ostatni. Nawet wtedy, gdy siedział u boku Jezusa. Wiemy jednak, że chwalił sobie tę krzywdę, bo wynosiła go nad innych.

Apostołowie odśpiewali pierwszą część Hallel, a Jezus pobłogosławił ów dzień i czas tego dnia:

– Pochwalony bądź, Panie, Boże nasz, Królu świata, który dałeś swojemu ludowi, Izraelowi, te dni świąteczne ku radości i pamięci. Pochwalony bądź, Panie, który uświęciłeś Izraela i czas. Amen.

– Amen – głośno powiedzieli apostołowie.

Ułożyli się z powrotem na łóżach. Rabbi sięgnął ręką do stojącej przed Nim misy z gorzkimi ziołami, ujął w palce liście sałaty, posypanej sproszkowaną gorczycą, strzepnął z nich winny ocet i począł je powoli spożywać, a żuł tę potrawę dokładnie, z namysłem, jakby chciał wysać z niej całą zawartą w niej gorycz. Apostołowie, idąc za jego przykładem, raczyli się sałatą, ogórkami i chrzanem.

Cisza panowała w wieczerniku. Ale była to cisza pozorna.

W apostołach wrzało. Układając się przy stole, z zazdrością patrzyli na Johanana ben Zebadia, któremu Rabbi wskazał miejsce po swojej prawicy, co ich boleśnie dotknęło – dobrze pamiętali śmieszne starania matki Salome – ale już w żadnym wypadku nie mogli zrozumieć, dlaczego Rabbi milcząco zgodził się na zajęcie przez Judę z Kerijoth miejsca po swojej lewicy. Tak, ten Juda skorzystał z rozgardiaszu, który zapanował w wieczerniku, i beczelnie wepchał się na samo czoło stołu! Dlaczego Rabbi nie zwrócił mu uwagi na niestosowność takiego postępowania? Czyżby zamierzał Judę z Kerijoth uczynić większym od nich wszystkich? Właściwie należałoby ustalić i raz na zawsze głośno stwierdzić, kto spośród nich jest większy, kto mniejszy, aby wiadoma była hierarchia ich wartości i jawne było wyniesienie jednego nad drugiego. Rozpoczął się między nimi spór, z początku prowadzony szeptem, potem szeptem nieco głośniejszym, a gdy głosy podniesione stały się nieco zbyt głośne i gwałtowne, a twarze kłócących się przybrały barwę ognia, a ruchy rąk już nie podkreślały wagi słów, lecz mówiły więcej o tym wszystkim, czego same słowa miotane wzburzeniem nie potrafiły wypowiedzieć, Jezus wmieszał swój spokojny głos do ich kłótni, a oni umilkli i słuchali. Powiedział im, że królowie panują nad ludźmi, a chociaż uciskają poddanych, zwani są przez nich dobroczyńcami, bo każda władcza natura ludzka, im bardziej uciska synów człowieczych, tym natarczywiej żąda od nich pochlebstw, oklasków i oznak zadowolenia. Ale nie tak będzie wśród apostołów, bo kto jest największy wśród nich, musi być jak najmniejszy, i im jest większy, tym pokorniej musi się pomniejszać – więc o co się sprzeczą? O co skaczą sobie do oczu? Dlaczego błyskawice są między ich brwiami? – A ten, który przewodzi, musi być jak sługa, z czego wynika, że przewodząc innym, musi im zarazem, usługiwać, i rozkazując im, musi zarazem pochylać przed nimi głowę. To powiedziawszy wstał z posłania i zrzucił z siebie tunikę. Zanim uczniowie ochłonęli z wrażenia, jakie wywołało odsłonięcie się Rabbiego z szat, ten szybko opasał się prześcieradłem. Stał teraz przed nimi jak niewolnik wystawiony na sprzedaż. Rozkazał im głosem władczo-służebnym zzuć sandały i zapowiedział, że umyje im nogi – symbol siły – a będzie to lekcja pokory, którą da kłótliwym apostołom, samolubnie spierającym się między sobą o zaszczyty i godności, jakie im powinny przypaść w udziale. Ledwo skończył mówić, już ukląkł przed zmieszonym Judą z Kerijoth – z głębi legowiska, w którym spoczywała dusza Judy, wypełzło podejrzliwe przypuszczenie o szaleństwie Rabbiego – i począł myć jego spoczone nogi, pokryte kurzem, oblepiającym ciemną smugą sękaty palce

i szerokie stopy. Myjąc te nogi, współczuł ich opuchliznie, zmęczeniu i słabości, a gdy orzeźwił je wodą i zmył z nich brud, pieczołowicie owinął je w ręcznik, osuszył i nałożył na nie sandały. Juda z Kerijoth jednak ani przez chwilę nie odczuł sprzyjającej mu serdeczności Jezusa i napawał się błogą myślą, że ten zwodziciel, w którym upatrywał Męża Bożego, w szaleństwie swoim upokorzył się przed uczniami i odsłonił przed nimi swoje właściwe oblicze: nędznego sługi i niewolnika, prostaka, am haareca, spełniającego najniższe czynności, który przez lata wiódł ich na pokuszenie, mamił i oszukiwał, okłamywał i usidlał, prowadził ich po fałszywych drogach i ścieżkach, a teraz dzięki niezbadanym zrządzeniom Elohim zdarł z swojej twarzy zasłonę! Na pewno ujawnił się przeciw swej woli! Pan może czynić takie rzeczy!

Jezus szedł od apostoła do apostoła i każdemu z tą samą starannością mył nogi, a oni w bezradnej nieśmiałości cofali z początku stopy, Rabbi jednak upartym słowem zmuszał ich do posłuszeństwa, a wtedy bez szemrania poddawali się woli Męża, z rosnącym zakłopotaniem przyglądając się Jego służebnym zabiegom, które sami spowodowali pieniacką i żalosną pychą. A Jezus mył im nogi, wycierał ręcznikiem i tylko drżące i ledwo widoczne ruchy stóp i palców milczących uczniów świadczyły o ich biernym sprzeciwie. Jeden tylko Kefas spróbował się buntować. Gdy Jezus, zmieniawszy wodę w misce – nawet w tej czynności nie pozwolił się wyręczyć – postawił ją przed Kefasem i pochylił się do jego stóp, rybak zerwał się i zawołał z oburzeniem:

- Rabbi! Ty będziesz myć moje nogi? Jezus odpowiadając rzekł:
- Jeszcze w pełni nie rozumiesz, co teraz czynię. Potem się dowiesz. A na to Kefas:
- Przenigdy nie pozwolę, abyś mył moje nogi! Jezus odrzekł:
- Jeżeli nie umyję twoich nóg, nie będziesz miał udziału ze mną.

Kefas przypomniał sobie bolesne zdarzenie pod Cezareą Filipa, chcąc więc tym razem zapobiec przykrym dla siebie następstwom, wyszeptał ulegle i z wyraźnym pośpiechem:

- Jeżeli tak jest, Panie, umyj nie tylko moje nogi, ale i ręce, i głowę.

Jezus umył więc nogi przesadnie posłusznego Kefasa, a potem umył nogi Johanana ben Zebadia, a gdy umył nogi wszystkich apostołów, wytarł ręce w prześcieradło, zrzucił je, nałożył na siebie tunikę i zajął miejsce za stołem. Mówił do nich o kąpielu oczyszczającej i o tych, którzy wprawdzie zażywają jej, lecz mimo to pozostają brudni. Tu uczynił krótką przerwę w mówieniu, a gdy powrócił do słów, spytał ich, czy zrozumieli sens dokonanej przez Niego czynności oczyszczającej. Tak ich spytał i obrzucił ich spojrzeniem równie pytającym jak pytanie, które im zadał, i nie czekając na odpowiedź, objaśnił, że z tego zdarzenia

muszą brać w przyszłości przykład i nogi swoje – symbol siły – nawzajem sobie obmywać na dowód pokory i uniżenia. Te słowa mówił do apostołów, a oni, postępując powoli, krok po kroku, tropem Jego myśli, poczynali rozumieć wielką mądrość tego, czego dokonał przed ich oczami. Wiedzieli, że mężowie uczestniczący w uczcie pesachowej myją ręce patriarsze rodu na znak hołdu dla ojca i głowy wspólnoty, który w ten wieczór wyjścia z krainy bagnistej śmierci przestał być niewolnikiem faraona i przeobraził się w wolnego człowieka. Od tej pory jest już niezależnym zwierzchnikiem całej rodziny, niejako królem, który rządzi nią w myśl niezależnych i nietykalnych praw. Rabbi zmienił sens tej oczyszczającej czynności, wskutek czego uświęcił nowy rytuał, który częściowo składał się z tego, co było, a częściowo z tego, co będzie: Król i Ojciec biesiadującej wspólnoty, zamiast otrzymać dowody hołdu i oddania od biesiadników, sam poniżył się i złożył im hołd i oddanie. Król stał się sługą synów człowieczych i oddał im się na własność, Rabbi stał się własnością apostołów. Zaskoczeni tym niesłychanym odwróceniem porządku, spojrzeli na Jezusa, który tymczasem, kończąc mowę objaśniającą, obiecał im, że jeżeli działać będą według Jego działania, spłynie na nich błogosławieństwo Pańskie, a wtedy jeść i pić będą z Nim razem w Królestwie Niebieskim, zasiądą na tronach i sądzić będą dwanaście pokoleń Izraela. Sprawując nad nimi sąd, będą równocześnie sługami tych, na których wydadzą wyrok. TAKI jest sens władzy.

To powiedziawszy, palcem wskazał na stojący przed Nim pusty kielich.

4

Nathanael ben Tolmaj napełnił kielich winem, a Jezus odmówił nad nim błogosławieństwo, po czym według zwyczaju najmłodszy z całego grona, Johanan ben Zebadia, zwrócił się do Rabbiego i zadał Mu pytanie: – Ma nisztana halajla haze mikol halejlot? Dlaczego różni się ta noc od wszystkich innych nocy? – a Jezus odpowiadając opowiedział im o wyjściu synów Izraela z Micraim i o cudach Pana, który ich wywiódł z ziemi niewoli do wolności, z krainy śmierci do krainy światła, a gdy im to wszystko opowiedział i wezwał ich do okazania wdzięczności Starowiecznemu, podniósł się z łoża, wyciągnął obie ręce nad leżącymi przed Nim przaśnikami i pobłogosławił je:

– Pochwalony bądź, Panie, Boże nasz. Królu świata, który chleb wyprowadzasz z ziemi. Pochwalony bądź, Panie, Boże nasz. Królu świata, który oświeciłeś nas przez Twoje przykazania i nakazałeś nam spożywać przaśniki. Amen.

Nie przełamał jednak przaśnika. Mijały chwile. Jego twarz pokryła się bledością. Na czole zalśniły krople potu. Apostołowie utkwili wzrok w dłoniach Rabbiego, ale

On nie uczynił żadnego gestu, który by mógł być wstępem do ojcowskiego podziału chleba, i wciąż trzymając wyciągnięte nad nim ręce zmawiał bezgłośnie modlitwę – tak tłumaczyli sobie poruszenia Jego warg, bo czyż mogły one tak bezgłośnie się poruszać z innego powodu niż z obfitości modlitwy? – a im dłużej trwały te tajemnicze ruchy warg, tym większe rosło napięcie w sercach apostołów, którzy ogarnięci oczekiwaniem trwali w nim jak w gęstej mgle. Tymczasem pod sklepieniem Jezusowych dłoni, nieruchomo zawieszonych nad praśnikiem, niewidzialnie uchodził Żywioł Mocy, przenikał w chleb, wcielał się w niego i nasycił go sobą. Z początku trzepotał w chlebie jak przerażony ptak, który nieopatrnie wpadł w sidła, wkrótce jednak oswoił się z ograniczoną okrągłością praśnika, a oswoivszy się, uspokoił się i począł powoli, cał po calu, wypełniać go sobą, całą jego przestrzeń, i przemieniać ją w pełnię, w doskonałe koło, zajmujące ściśle określone miejsce, a zarazem nieokreśloną nieskończoność. Dokonał Wchlebowstąpienia. Stał się Chlebem. Jezus patrząc nad głowami apostołów ku dojrzewającej pełni księżyca, który jasną poświatą świecił między trzciniami kołysanej wiatrem zasłony, rzekł cichym głosem:

– Bierzcie i jedzcie. To jest Ciało moje, które za was będzie wydane. Czyńcie to na moją pamiątkę.

Przełamał praśnik na dwanaście części i każdy kawałek z osobna podawał apostołom – począwszy od Johanana ben Zebadia – którzy po kolei przyjmowali z Jego ręki Chleb, przemieniony w Ciało, i drżąc spożywali Go, wstrząśnięci tym, co czynią. Przyszła kolej na Judę z Kerijoth. Dwunasty apostoł zawahał się. Cofnął wyciągniętą rękę. Ale po chwili w jego oczach, pod ciężkimi powiekami, zapaliła się nienawiść. Jego wnętrze rozpadło się, rozsypało i nie było już w nim nic poza nieprzejrzaną ciemnością i szelestem Pełzającego, a potem nawet i ten szelest zamilkł i ciemność dopaliła się do końca, i zapanowała tylko nicość, a nicość unosiła się nad nicością. Juda wyciągnął dłoń, wziął z ręki Jezusa kawałek praśnika, bez lęku, obojętnie włożył go do ust i rozgryzając martwy kęs – był on w jego ustach lepka papką ciasta – połknął go.

Wypili drugi kielich wina i maczali praśniki w haroseth. Spożywali je ze smutkiem, albowiem każdemu ruchowi ich ust towarzyszyły słowa Jezusa, który przemówił do nich słowami psalmu: „Nawet mąż, z którym zawarłem przymierze pokoju, mąż zaufany, który jadł mój chleb, podniósł na mnie piętę” – a powiedziawszy to, nie omieszkał zaraz dodać z troską, że nie ma na myśli –

uchowaj Boże! – wszystkich apostołów, ale tylko jednego spośród nich. Poprawił się na łożu, oparł na łokciu i rzekł ze współczującym zakłopotaniem, jakby wyznaniem swoim przysparzał cierpienia przede wszystkim temu, o którym wypowiedział te słowa:

– Zaprawdę, powiadam wam, że jeden spośród moich współbiesiadników zdradzi mnie. Uczniowie zerwali się od stołu, wołając w wielkim uniesieniu:

- Jak to?! Jeden spośród nas Cię zdradzi?!
- Dlaczego mamy Cię zdradzić?!
- My Ciebie kochamy, Rabbi!
- Nie nastajemy na Twoje życie!
- Kogo masz na myśli?
- Wyjaw jego imię!
- Napiętnuj go!

Obrzucali się podejrzliwie spojrzeniami, a każdy węszył w drugim tego, którego Jezus napiętnował mianem zdrajcy, a gdy żaden z nich z całą pewnością i z czystym sumieniem nie mógł kogokolwiek z towarzyszy oskarżyć o tak wielką zbrodnię – nie chcieli lekkomyślnym oskarżeniem wyrządzać sobie nawzajem krzywdy – wyciągnęli ręce ku Jezusowi i zawołali jeden przez drugiego, z wyrzutem:

– Czyżbym to ja był, Panie?

Jezus dał im znak ręką, aby ułożyli się z powrotem na łożach. Spoczęli posłusznie przy stołach i wciąż nie mogli ochłonąć z wrażenia. Sięgali rękami do miski z haroseth – najlepiej gasi się rozdrażnienie nadmierną ilością gestów i ruchów – i dalecy od pełnego smakowania słodkiej potrawy, nie spuszczać wzroku z Rabbiego, oczekiwali ujawnienia zdrajcy. Jezus, który przez cały czas wieczerzy nic prawie nie jadł i nie pił, poza sałatą i łykiem błogosławionego wina, wyciągnął teraz rękę do miski, a działo się to w chwili, gdy równocześnie sięgało do niej kilku apostołów, i rzekł:

– Ręka tego, który mnie wyda, jest ze mną przy stole. Kto ze mną umaczał chleb w haroseth, wyda mnie.

Wyciągnięte dłonie raptownie cofnęły się od miski jak od rozpalonego do białości żelaza, które lada chwila wyleje się na nich ognistą strugą i pochłonie ich jak lawa Sody. Wprawdzie mieli czyste sumienie, niemniej skąd mogli wiedzieć z całą pewnością, czy ich niewinność jest naprawdę niewinna, a czystość sumienia jest naprawdę czysta? Już tyle razy działali błędnie, w głębokim przekonaniu, że działają dobrze i słusznie, więc może dopuścili się kiedyś jakiegoś karygodnego czynu, może wypowiedzieli jakieś słowo, jakieś zdanie, które w ich mniemaniu brzmiało nienagannie i bezgrzesznie, a naprawdę było potworną siecią, nieświadomie

nastawioną na Rabbiego? Któż to może wiedzieć? Któż zna tajemnicę słów i czynów splątanych z sobą w trudny do rozsupłania węzeł? Czy każde dobro prowadzi do dobra, a każde zło do zła? Jest dobro, które prowadzi do zła, i jest zło, które prowadzi do dobra. Ileż to razy w życiu doświadczali zła, które potem okazywało się dobrem! A ileż to razy doświadczali dobra, które zamieniało się w zło! O, jak trudno zrozumieć Pana! O, jak trudno rozeznaczyć się w gęstym lesie Bożych wyroków! Cofnąwszy ręce, oglądali je i z niedowierzaniem stwierdzali, że nie ma na nich oparzeń, że są zdrowe i całe, że nie dotknął ich ogień bijący od misy, do której w jakże nieodpowiedniej chwili sięgnęli po jadło.

W Judzie kotłowała się ciemność. Czyżby Jezua ben Josef wiedział o wszystkim, co się w nim dzieje? Czyżby czytał w jego wnętrzu? Czyżby oczy Jego przebijały na wylot każde ciało, każdą myśl i każdy odruch serca? W Judzie nie było już strachu ani popłochu, ani niepokoju. Był tylko gniew, który z początku jak maleńkie iskierki błyskał w jego melancholijnych oczach, potem zapalił się w jego żyłach i nerkach i ogarnął całe jestestwo. Wrzenie to opanowało Judę, a on odbierał wrażenie, że płynie ono skądś z zewnątrz, spoza jego ciała, i wzniecone zostało przez moc, która uczyniła go nie tylko narzędziem swojej woli, ale wchłonęła go w siebie i wcieliła w siebie, i uczyniła sobą. Nie bronił się przed tym wsysaniem w obcą i żarłoczną zachłanność, raczej przeciwnie, poddawał się jej z niewiarygodną rozkoszą, jakby wreszcie po długim, długim dążeniu do celu osiągnął szczyt swojego spełnienia: samounicestwienie.

Cisza panująca w wieczerniku drażniła Judę. Uważał, że powinien teraz wyodrębnić się spośród wszystkich apostołów. Skoro więc oni milczą, jego powinnością jest to milczenie przeciąć, rozerwać, jak się rozrywa niewolniczy łańcuch, wcinający się boleśnie w ręce i w nogi, i jakimś słowem, całkowicie innym od wszystkich słów, którymi mogliby w takim położeniu posłużyć się apostołowie, odważnie okazać samodzielność, oddzielając go bez reszty od całego grona jego towarzyszy. Teraz musi nastąpić podział. Oni, milczący, po jednej stronie, a on, mówiący, po drugiej stronie. Objawi się, odsłoni, ujawni! Niechaj ten zakryty zwodziciel, który przez trzy lata nakładał na swoją twarz różne zasłony, wie, że Juda ben Symeon z Kerijoth jest przyjacielem Elohim, Jego karzącą ręką i Jego niedźwiedzim rykiem, że przyszedł na świat po to w zgarbionej postaci biednego handlarza pachnideł, aby przeciwstawić się paszczęce zła, czyhającego w ukryciu u orzeźwiających źródeł Pańskich! Ale ponieważ równocześnie bał się objawić i ujawnić, przezornie usłuchał głosu wewnętrznego i postanowił przemówić ostrożnie, w sposób pytająco-przeczący, aczkolwiek tak zadane pytanie na pewno osłabi nieco moc jego wypowiedzi. Otworzył usta, zwrócił głowę w stronę Jezusa –

nie za bardzo, unikał bowiem spojrzenia, o którego przenikliwości miał wyrobione zdanie – niezdarnie się uśmiechnął i spytał z nieśmiałą opryskliwością:

– Chyba nie ja, Rabbi?

A na to Jezus odrzekł głosem zapobiegliwego gospodarza, wydającego polecenie słudze:

– Czyń zaraz, co masz czynić.

Ta odpowiedź nie zaspokoila biesiadników. Wciąż nie znając zdrajcy, odgrażali się w duchu, że skoro tylko Rabbi ujawni jego imię, rozprawią się z przeniwiercą, tak jak przystało na zadzierzystych Galilejczyków; i na pewno nie była to pusta przechwałka, bo przecież przypominamy sobie, jak to Synowie Gromu z niechęci do niegościnnych Samarytan chcieli podpalić ich wieś, i chyba mamy jeszcze w pamięci te dwa krótkie miecze, które Kefas i Johanan ben Zebadia ukryli pod tuniką, za pasem. Skorzy do gniewu i bitek zawadiaccy rybacy galilejscy nie zwykli byli puszczać swoich złorzeczeń na wiatr. Skoro jednak Jezus zataił imię zdrajcy, biesiadnicy poprzestali na wewnętrznych gestach. Wprawdzie niektórzy skierowali podejrzliwe spojrzenia na Judę z Kerijoth, ale ponieważ Jezus nie napiętnował go po imieniu, bezsilnie milczeli. Podejrzenia... Podejrzenia... Na podejrzeniach nie można budować oskarżeń. A może są w błędzie? I cóż z tego, że mu Jezus kazał pójść i uczynić to, co miał uczynić? A może Juda, skarbnik wspólnoty, miał kupić na święta pożywienie, może jagnię, może po prostu miał załatwić jakieś sprawunki? Przecież dzisiaj w przeddzień Pesachu do późnej nocy otwarte są wszystkie sklepy, kramy i stragany. A może po prostu kazał mu rozdać na święta jałmużnę ubogim? Nie należy zbyt pochopnie rzucać podejrzeń. Kto zatem spośród nich jest zdrajcą? Kto?

Juda z Kerijoth zerwał się z łoża i wybiegł z izby.

Wszedł w głąb nocy.

6

Nathanael napemnił winem trzeci z kolei kielich. Jezus podniósł się z łoża. Ujął kielich w obie dłonie i wznosił go do góry, po chwili nieco go opuścił i trzymał w prawej ręce na wysokości swojej piersi, po czym postawił go przed sobą i wyciągnął nad nim dłonie. Odmówił błogosławieństwo i nagle przy końcowych słowach: „Dziękujcie Bogu, albowiem świat powstał z Jego dobroci” – na Jego obliczu, na którym spoczywała dotychczas łagodna cisza, nadająca Jego rysom wyraz zachwyty, odmalowało się tak wielkie cierpienie, że uczniowie, przerażeni tą zmianą, bez namaszczenia należnego chwalebnej chwili, wypowiedzieli

przewidziane liturgią: – Amen. Kosmyki potem zlepionych włosów opadły w nieładzie na Jego szeroko otwarte oczy, wpatrzone gorączkowo w nieokreśloność. Pół rozchylone usta i sine żyły na szyi, kurczowo napięte, zdradzały nieludzki ból, a zarazem wysiłek zmierzający do opanowania go, do zduszenia go w sobie, do posłusznego poddania go woli, sprawującej władzę nad umęczonym ciałem wiekuiestej doczesności. I tak stał z dłońmi wzniesionymi nad kielichem wina, a ciało Jego przestawało być ciałem – cielesne i widzialne było tylko dla oczu apostołów – a w miejscu, gdzie powinno się ono znajdować, pojawiła się krew, skrzydlata krew, i krążyła nad żywołem wina, i zniżywszy lot dotknęła skrzydłami jego powierzchni, po czym wstąpiła w święty napój, zanurzyła się w nim i krwawiła, krwawiła, aż wykrwawiła się do ostatniej kropli i napełniła sobą wino, a wtedy wino przestało być winem i przeistoczyło się w krew o smaku krwi i w cierpieniu o smaku cierpienia. Krew zatęskniła za ludzkimi wargami. Chciała, żeby Ją ludzie wypili, aby ugasili Nią pragnienie, aby przyjęli Ją w swoje żyły, nerki, wątrobę, aby nasycili się Jej Boskością, podobnie jak Ona nasyciła się ich człowieczeństwem. Byli sobie nawzajem potrzebni. A stało się to wszystko dlatego, bo na początku była Krew, a Krew była u Elohim, a Elohim był Krwią, a wszystko przez Nią powstało, co powstało, a w Niej było życie, a życie było światłością ludzi, a Krew świeci w ciemnościach i żadne ciemności Jej nie przemogą.

Jezus ujął kielich w obie dłonie, podniósł go wysoko i rzekł cichym szeptem:

– Pijcie z niego wszyscy, albowiem to jest Krew moja Nowego Przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów.

To rzekłszy, podał kielich Johananowi ben Zebadia, który umoczył w nim wargi; a potem kielich krążył z rąk do rąk i z ust do ust – drżąc, pili tę Krew, wstrząśnięci tym, co czynią – a gdy ostatni z biesiadników odjął go od warg, usłyszeli słowa Jezusa, który zapowiedział, że od tej pory nie będzie już więcej pił wina, dopóki nie zasiądzie wraz z nimi przy stole w Królestwie swojego Ojca. Mówiąc to napominał ich, aby zawsze wzajemnie się miłowali, albowiem po miłości, jaką jedni drugim okażą, synowie człowieczy będą ich poznawać jako Jego uczniów.

7

Wieczera życiodajnej śmierci dobiegała końca.

Kefas zwrócił ku Rabbitemu stroskaną twarz i spytał niepewnym głosem:

– Mówiłeś do nas tak, jakbyś chciał nas opuścić. Czy masz zamiar odejść? Dokąd chcesz odejść, Panie?

Na to odparł Jezus:

– Tam, dokąd idę, ty teraz ze mną iść nie możesz. Ale potem pójdziesz. Kefas, uniesiony zapałem, zawołał:

– Dlaczego nie mogę teraz pójść za Tobą, Panie? Duszę za Ciebie położę!

Jezus uspokajającym ruchem ręki zgasił jego zapał i rzekł z gorzką wyrozumiałością:

– Duszę swoją za mnie położysz? Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, Kefasie, że zanim dzisiaj kogut zapieje, ty po trzykroć zaprzesz się mnie i powiesz, że mnie nie znasz. Kefasie, Kefasie, dopiero gdy się nauczysz prawdziwie wierzyć, będziesz utwierdzał braci swoich.

To powiedziawszy, zwrócił się do apostołów i zaczął do nich przemawiać obrazami, i przypomniał im minione zdarzenie, gdy ich posłał na wędrówkę bez trzosa, bez torby i bez sandałów, a mimo to na niczym im nie zbywało. Teraz jednak zbliża się czas wielkich zmagania, więc muszą być na nie przygotowani i dlatego powinni wziąć z sobą torby, trzosi i sandały – w ten sposób starał się im obrazowo wyjaśnić rozmiary trudów i niebezpieczeństw, jakie będą udziałem ich dalszego życia – a w razie potrzeby niechaj sprzedadzą suknie i kupią za nie miecz, a mówiąc o mieczu miał na myśli Pana, który był mieczem Izraela. Obraz ten miał znaczyć, że w razie konieczności obowiązkiem ich jest ogołocić się ze wszystkiego, co posiadają, porzucić wszystko, co jest ich własnością i wygodą, i pozostać tylko z Bogiem, Panem Zastępów, który jest chwalebna i niezawodna broń i ucieczką. Ale nie wszyscy, zdaje się, zrozumieli tę mowę obrazów, bo Kefas i Johanan ben Zebadia uderzyli się dłońmi po bokach i krzyknęli w zgodnej zapalczywości:

– Rabbi! Oto tu są dwa miecze!

Jezus spojrział na nich z ubolewaniem i rzekł:

– Niechaj wam wystarczy to, co powiedziałem.

Po czym, aby im uświadomić odpowiedzialność, jaka na nich spoczywa, dodał, że już wkrótce musi się wypełnić to, co o Nim napisał natchniony przez Elohim prorok Jesaja: „Do przestępców będzie policzony”.

Szmer i zdumienie poszły po biesiadnikach. Szeptali:

– Do przestępców?

– Przecież Rabbi nie jest przestępcą...

– Czyżby mądry i natchniony prorok widział w Nim przestępcę?

– Czy to możliwe? Umilkli zmieszani.

Wypili – wszyscy, z wyjątkiem Jezusa – czwarty, ostatni kielich wina i smutnie

odśpiewali Hallel.

Swąd lamp oliwnych unosił się w izbie. Chcieli zaczerpnąć powietrza i nacieszyć się wilgocią nocnej rosy i zapachami ziół. Jezus jednak nie podniósł się od stołu. Na co jeszcze czeka? Wieczera jest skończona. Czy nie pójdzie teraz do Geth Szemanim, na stok Góry Oliwnej, aby w samotności rozmawiać z Panem? A może gotuje im jeszcze jedną niespodziankę, która nakarmi ich nową udręką? Jakby już mało było w nich smutku i rozdziwienia. Przeżywali gorycz wieczerzy nasyconej zapowiedziami śmierci, bóleści i zdrady. Co jeszcze się stanie? Może teraz wyciągną się po Jezusę ben Josef długie ręce morderców, wciąż niewidzialne, ale zapowiedziane? Kiedy spadną na Jego głowę pierwsze kamienie? I co będzie z nimi, osieroconymi uczniami Rabbiego, który powiedział o sobie, że umrze niesławną śmiercią – złoćyńcy? Czy dwoma mieczami mają Go bronić przed pacholkami Kajafy? O, jak bardzo chcieliby uciec przed przyszłością, która naciera na nich jak podrażniony skorpion! O, jak bardzo chcieliby uciec z tej izby przesyconej trwożą!

Jezus, widząc ich smutek, zwrócił się do nich i spytał:

– Dlaczego trwoży się serce wasze? Niechaj nie trwoży się serce wasze. Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało! Bójcie się tych, którzy zabijają dusze! Powiadam wam, kto otwarcie przed ludźmi przyzna się do mnie, do tego i ja się przyznam przed moim Ojcem w niebiosach i przed Jego aniołami, podnóżkiem nóg Jego, ale kto mnie zaprze się przed ludźmi, tego i ja zaprę się przed moim Ojcem w niebiosach i przed Jego aniołami, podnóżkiem nóg Jego! Dlaczego trwoży się serce wasze? Niechaj nie trwoży się serce wasze. Gdy odejdę, przygotuję wam miejsce w jednym z mieszkań mojego Ojca, a potem znowu przyjdę i wezmę was do siebie, abyście byli razem ze mną. Wiecie przecież, dokąd idę, i znacie drogę moją, więc dlaczego smuci się dusza wasza?

Theom Bliźniak, usłyszawszy te słowa, rzekł:

– Panie, nie wiemy, dokąd idziesz, jakże więc możemy znać Twoją drogę?

Jezus pomyślał, że te słowa przypominają do złudzenia odpowiedzi niektórych faryzeuszów, którzy podczas rozmów i dysput tak samo Mu odpowiadali i tak samo pytali, jak odpowiada i pyta Jego apostoł. Czyżby uczniowie Jego po trzech latach nauczania byli jak porażeni ślepotą faryzeusze?

Odpowiadając rzekł:

– Nie wiecie, dokąd idę? Nie znacie mojej drogi? Przecież ja jestem tą drogą. Każdy, kto idzie do Elohim, musi iść przeze mnie. Gdybyście mnie byli poznali, poznalibyście i Ojca mojego. To powiedziawszy zawołał w uniesieniu:

– Przecież Go znacie! Przecież Go widzicie!

Theom nic nie odpowiedział, a wtedy Filip, wyręczając niedowiarstwo milczącego

Theoma, rzekł:

– Panie, pokaż nam Ojca. Jezus zawołał z wyrzutem:

– Tak długo już jestem z wami, a wciąż mnie nie znacie! I wciąż mi nie wierzycie!

Zatrzymał spojrzenie na Filipie:

– Tak dawno jestem z wami i nie poznałeś mnie, Filipie? Przecież kto mnie widzi, widzi Ojca! Jak możesz mówić: „Pokaż nam Ojca”...? Czy nie wierzysz, Filipie – zawołał – że Ojciec jest we mnie?!

Milczeli.

Z ust Jezusa popłynęła rozziewająca, błagalna skarga:

– Wierście mi, że jestem w Ojcu, a Ojciec jest we mnie! A jeżeli nie potraficie tak wierzyć, uwierście przynajmniej dla samych moich uczynków, które widzieliście!

Ponieważ siedzieli niemi i kamienni, chwycił się innego sposobu i począł ich gorąco zapewniać o opiece, którą nad nimi roztoczy po swojej śmierci:

– Posłuchajcie! – zawołał. – Gdy odejdę, nie zostawię was sierotami, ale przyjdę do was, którzy mnie oglądacie twarzą w twarz! Posłuchajcie! Gdy odejdę, nie zostawię was sierotami, ale pošlę do was Pocieszyciela, który z wami zostanie, Ducha Prawdy, Ducha Świętego, a On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, o czym wam mówiłem, a wówczas powrócą do was wszystkie moje słowa, wszystkie moje nauki i wszystkie moje dzieła i pozostaną w waszej duszy. Zachowajcie to w pamięci i wiedzcie, że może otrzymać przebaczenie ten, kto wyrzeknie słowo przeciw Synowi Człowieczemu, ale kto by bluźnił przeciw Duchowi Świętemu, temu nigdy wybaczone nie będzie! Gdy Mu oddacie chwałę, On w zamian weźmie was pod swoje skrzydła, będzie waszym murem obronnym i tarczą, a gdy wrogowie wasi przywiodą was do synagogi i do sądów, i do zwierzchności, nie troskajcie się, jak lub co odpowiecie na swoją obronę albo co mówić macie, albowiem Duch Święty, Pocieszyciel, nauczy was, co w owej chwili powinniście mówić! Przyjaciele moi! Wyłączą was ze zgromadzenia! Przyjdzie nawet godzina, że każdy, kto was zabije, mniemać będzie, że Panu składa ofiarę! Tak wam uczynią, bo nie poznali ani Ojca, ani mnie! Zaprawdę, płakać i narzekać będziecie, a świat będzie się weselił. Ale wasz smutek zamieni się w radość! Niewiasta cierpi, gdy rodzi, bo nadeszła jej godzina, a gdy porodzi dziecko, nie pamięta już o bólach, albowiem raduje się owocem swojego żywota. Przyjaciele moi! Mówię to wam po to – nie mówiłem tego dotychczas, ponieważ byłem z wami – abyście przypomnieli sobie, gdy nastanie wasz czas i będziecie sami, że mówiłem do was to, co teraz mówię. Dlaczego trwoży się serce wasze? – spytał błagalnie. – Niechaj nie trwoży się serce wasze. Gdybyście mnie naprawdę miłowali, wielka byłaby wasza radość, że idę do Ojca! Cieszcie się! Radujcie się! Klaskajcie w dłonie, że wkrótce nastąpi spełnienie! Dobrze i pożytecznie

będzie dla was, gdy odejdę, albowiem jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel do was nie przyjdzie, ale gdy odejdę, pošę Go wam, a On przyjdzie, pouczy i przekona świat o grzechu i o sprawiedliwości, i o sądzie, już niewiele mogę z wami mówić, albowiem zbliża się władca tego świata, a ja mu posłusznie ulegnę na dowód, że działam według woli mojego Ojca. Dlaczego trwoży się serce wasze? Niechaj nie trwoży się serce wasze. Pokój wam zostawiam, pokój mój wam daję.

Mówił dalej miękkim głosem, tak miękkim, jakby głos nie był strumieniem dźwięków, ale puszystym obłokiem:

– Jak mnie umiłował Ojciec, tak i ja was umiłowalem. Trwajcie w miłości mojej, i na pewno wytrwacie, jeżeli przestrzegać będziecie moich przykazań. Przykazuję wam zatem, abyście się wzajemnie miłowali, jak ja was umiłowalem, albowiem nie ma większej miłości nad tę, gdy człowiek oddaje życie swoje za swoich przyjaciół, a wy jesteście moimi przyjaciółmi. Pamiętajcie jednak, że nie wy mnie wybraliście, ale ja was wybrałem i przeznaczyłem, abyście szli i rodzili owoce i aby owocobranie wasze było urodzajne, piękne i wieczne. Nie trwóźcie się, wybrani moi, jeżeli świat was znienawidzi, i wiedzcie, że pierwej, nim was znienawidził, mnie nakarmił i napoił swoją nienawiścią. Gdybyście byli ze świata i żyli tylko tym światem, świat miłowałby was gorąco i chwalił, i wielbił, ale ponieważ nie należycie do niego – ja was wybrałem spośród wszystkich synów człowieczych! – nienawidzi was gorącą nienawiścią! Ufajcie mi! Zwyciężyłem ten świat! Dlaczego trwoży się serce wasze? Niechaj nie trwoży się serce wasze.

Milczeli.

Spojrzał na nich z bolesnym wyrzutem.

– Czy dotychczas prosiliście Pana w Imię moje? Milczeli.

– Nigdy nie prosiliście. Proście, a otrzymacie. Milczeli.

Czekali.

Jezus wiedział, na co czekali.

Wstał. Apostołowie podnieśli się z miejsc.

– Miałbym wam jeszcze wiele do powiedzenia – rzekł twardym głosem – ale wiem, że gdybym powiedział to, co chcecie ode mnie usłyszeć, nie umielibyście tego znieść.

Urwał. Wysoko podniósł prawą dłoń, wąską, nieomal przezroczystą dłoń o szeroko rozstawionych palcach, i tak zastygła ta dłoń w powietrzu, nieruchoma, i pięciopalcym cieniem zasłaniała Jego twarz.

– Chcecie wiedzieć, kim jestem! Powiem wam, kim jestem! Skamienieli.

– Ja jestem prawdziwa Winnica Pańska, a mój Ojciec jest Winogrodnikiem. Odcina On każdą latorośl, która nie wydaje we mnie owocu, a tę, która wydaje owoc,

oczyszcza, aby porodziła obfity plon. Trwajcie we mnie, a ja trwać będę w was. Jak latorośl sama z siebie nie może wydać gron, jeżeli nie trwa w krzewie winnym, tak i wy uschniecie, jeżeli was we mnie nie będzie! Ja jestem prawdziwa Winnica Pańska, a wy jesteście moimi latoroślami! Jeszcze jedna krótka chwila, a już mnie nie ujrzycie, i jeszcze jedna krótka chwila, a znowu mnie ujrzycie, bo idę do Ojca!

Pięciopalcy cię wzniesionej dłoni Jezusa wciąż padał na Jego twarz.

– Szemracie, smucicie się i chcecie mnie pytać, bo nie rozumiecie tego, co mówię! Ale przyjdzie dzień, w którym was znowu zobaczę, a wtedy rozradują się wasze serca, bo wszystko zrozumiecie i o nic mnie więcej pytać nie będziecie, a radości waszej nikt wam nie odbierze! Mówiłem do was dotychczas przypowieściami. Nadchodzi jednak godzina, gdy już nie w przypowieściach będę do was mówił, lecz wszystko wyraźnie powiem wam o Ojcu.

Dłoń Jezusa powoli opadła, odsłaniając Jego twarz.

– Czekamy na tę godzinę, Rabbi! – zawołał Kefas.

– Gdy przemówisz bez przypowieści... – szepnął Theom Bliźniak.

– Gdy wyraźnie wszystko nam powiesz... – wtórował mu Jaakow ben Halfi.

– Abyśmy wszystko mogli o Tobie wiedzieć... Abyśmy już nie musieli zadawać pytań! – wołali inni.

– Przecież my wierzymy. Rabbi, że przyszedłeś od Elohim! – zawołał Johanan ben Zebadia. Jezus spytał z cierpką pobłażliwością:

– Wierzycie?

Kiwali potakująco głowami. Jezus rzekł:

– Nadchodzi godzina, nie, już nadeszła, gdy się rozproszycie, każdy do swoich, a mnie zostawicie samego – tu zrobił przeczący ruch głową. – Ale nie jestem sam – podniósł wskazujący palec prawej ręki. – Ojciec jest ze mną.

Po tych słowach napełnwszy się duchem modlitwy – ona była jak lew ryczący i jak owca łagodna, jak drapieżnik i miłośnik, którzy leżą zgodnie w jednym legowisku – modlił się o łaskę swojego uwielbienia, chociaż w beczasie został uwielbiony, znał jednak naturę Elohim, lubiącego zawsze od nowa wybierać tego, którego już dawno wybrał, i modlił się za apostołów, za tych dwunastu bez jednego – niestety, bez jednego! – modlił się żarliwą modlitwą Nauczyciela o błogosławieństwo Pańskie dla nich i dla ich następców, i dla następców ich następców, błagał o jedność uczniów i całej wspólnoty ludzkiej i tak błagając o powodzenie i urzeczywistnienie powierzonych im nauk, mówił wargami gorącymi jak węgle ogniste:

Ojcze, nadeszła godzina. Uwielbij Twojego Syna, aby Syn uwielbił Ciebie. Tak jak dałeś Mu władzę nad wszelkim ciałem, niechaj da żywot wieczny wszystkim,

których Ty Mu dałeś. A tym jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, jedynego i prawdziwego Boga, i mnie, Jezusę, którego posłałeś.

Uwielbiłem Cię na ziemi. Dokonałem dzieła, którego mi kazałeś dokonać, a teraz Ty u siebie uwielbij mnie. Ojczy, Tą samą chwałą, którą miałem u Ciebie, zanim świat powstał. Objawiłem Twoje Imię synom człowieczym, których mi dałeś z tego świata. Byli Twoją własnością, a mnie ich dałeś, a oni strzegli słowa Twojego.

Ojczy Święty, zachowaj z Twoim Imieniem tych, których mi dałeś, aby jedno byli, jak Ty jak Ja.

Dopóki byłem z nimi w świecie, zachowywałem w Twoim Imieniu tych, których mi dałeś, i strzegłem ich, i żaden z nich nie zginął prócz syna zatracenia, aby wypełniło się Pismo.

A teraz idę do Ciebie i mówię to przed obliczem synów człowieczych, aby mieli w sobie swoją doskonałą radość.

Ja dałem im Słowo Twoje, a świat ich znienawidził, ponieważ nie są ze świata, jak ja nie jestem ze świata. Nie proszę, abys wziął ich ze świata, lecz abys ich zachował ode złego.

Nie są ze świata, jak i ja nie jestem ze świata. Poświęć ich w Prawdzie, a słowo Twoje jest Prawdą.

Jak mnie posłałeś na świat, tak i ja ich posłałem na świat. Za nich poświęcam samego siebie, aby byli poświęceni Prawdzie.

I nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy przez ich słowo we mnie uwierzą.

Aby wszyscy byli jedno, jak Ty, Ojczy, we mnie, a ja w Tobie, aby i oni w Nas jedno byli, aby świat uwierzył, że mnie posłałeś.

Dałem im chwałę, którą Ty mi dałeś, aby byli jedno, jak my jedno jesteśmy, Ja w nich, a Ty we mnie, aby byli doskonali w jedności po to, aby świat poznał, że Ty mnie posłałeś, a ich umiłowałeś, jak mnie umiłowałeś.

Ojczy, chcę, aby ci, których mi dałeś, byli ze mną tam, gdzie ja jestem, aby oglądali chwałę moją, którą mi dałeś, gdyż umiłowałeś mnie, zanim świat stworzyłeś.

Ojczy sprawiedliwy! Świat Ciebie nie poznał, ale ja Ciebie poznałem.

Objawiłem im Imię Twoje i objawię, aby miłość, którą mnie umiłowałeś, w nich była, a ja, abym był w nich.

Gdy skończył, postąpił kilka kroków. Zatrzymał się na środku izby.

– Chodźmy stąd – rzekł.

Wyszedł.

A oni poszli za Nim.

Noc w Geth Szemanim

1

Oby ta noc już minęła. Oby duchy mroku, chciwe ludzkiego nieszczęścia, zapadły się pod ziemię. Oby wreszcie słońce wzeszło nad górami Moabu i nastał dzień. Bali się tej nocy. Właśnie tej nocy, która od samego zmierzchu karmi ich trudnymi niespodziankami, a co gorsza, krwawymi zapowiedziami, napętniającymi przerażeniem ich nerki i kolana. A do świtu jest jeszcze daleko. Jak powoli ciągnie się ta noc... Jak powoli... Mieli wrażenie, że wszystko, co się tej nocy rozgrywa, ma znamiona jakiejś bliżej nieokreślonej ostateczności. Ta wieczerza była ostatnia i ostatnia była mowa Jezusa, i ostatnie są chwile, które razem z Rabbim spędzają, i ostatnie są gwiazdy, które świecą na siedmioramiennych niebiosach, i ostatni jest księżyc, nigdy nie zasypiający strażnik nocy. Dlaczego ostatni? Czyżby nie było jutra? Ani dni następnych? Czyżby nagle czas zatrzymał się w biegu właśnie u szczytu grozy i nieszczęścia?

Szli dnem Cedronu, brzegiem potoku, a gorące podmuchy chamsinu, który nagle się zerwał, osłoniły mgłą księżyc i skaziły czystość powietrza, podniecały ich udrękę i rozpałały wyobraźnię. Co stanie się z Rabbim? Czy nie powinni Mu wreszcie jasno i otwarcie doradzić ucieczki? Już wiele razy chcieli skłonić Jezus ben Josef do szukania ocalenia w ucieczce i za każdym razem oblatywała ich trwoga przed Jego karcącym spojrzeniem. Przełękali ślinę, i wraz ze śliną uciekały do ich wnętrza słowa, które już mieli na wargach. A może teraz zdobędą się na odwagę i powiedzą Mu – ostrożnie! – że byłoby dobrze, gdyby na przykład schronił się w Bethanii u Eleazara? Albo w Perei? Czy mogą jednak wędrować do Perei w święty dzień Szabatu, który rozpoczyna się jutro wieczór wraz z błogosławionym Pesachem?

A czy Rabbi w ogóle ich wysłucha? Czy nie powiedział, że śmierć Jego będzie ich zbawieniem? Jak śmierć może być zbawieniem?

Jezus zatrzymał się.

Apostołowie przystanęli.

W mlecznej poświacie księżyc, zmaconej pustynnym wiatrem, niespokojnie kołysały się gaje oliwne, a ich srebrny szum jak wodospad spadał ze stoku góry w mrok Cedronu. Zmęczona, spocona noc oddychała z trudem jak niewolnica pod batem nadzorcy. Poświstom wiatru wtórowało wycie jego pustynnego brata, szakala.

Jezus patrzył w ziemię. Podniósł głowę i przywołał do siebie trapiącą Go myśl, zaskoczył ich zniecka twierdzeniem, które było tym bardziej przerażające, że Rabbi wypowiedział je głosem wyroku:

– Wy wszyscy zwątpicie o mnie tej nocy, albowiem napisano: „Uderzę w pasterza

i będą rozproszone owce trzody”.

Ten wyrok spadł na nich jak ciężki młot. Zawstydział ich i ujawniał to, co każdy z nich przed samym sobą skrzętnie ukrywał. Gdy teraz usłyszeli własne myśli, głęboko zagrzebane w świadomości, wewnętrznym krzykiem starali się zagłuszyć srożące się wycie sumienia. Stropiony Kefas, chociaż dobrze pamiętał smutną przepowiednię Jezusa podczas wieczerzy, odpowiadając teraz na Jego oskarżenie, zawołał w przystępie bolesnego podniecenia, z szlachetną przesadą:

– Gdyby nawet wszyscy zwątpili o Tobie, ja nigdy nie zwątpię.

Powiedział to z głębokim przekonaniem, a jego niebieskie, szeroko otwarte oczy, patrzące z ufnością na Rabbiego, potwierdzały jego wyznanie. Rabbi wiedząc, że człowiek jest słabszy od swoich słów, położył dłoń na ramieniu Kefasa i rzekł:

– Zaprawdę, powiadam ci, że jeszcze dzisiaj, tej nocy, zanim kogut dwakroć zapieje, ty się mnie po trzykroć zaprzesz, Kefasie.

To powiedziawszy, poszedł przed siebie. A Kefas, biegnąc za Nim, krzychał:

– Choćbym nawet miał umrzeć z Tobą, na pewno nie zaprę się Ciebie!

A apostołowie krzyczeli:

– Nie zaprzemy się Ciebie!

– Nigdy!

– Nie zwątpimy o Tobie!

– Nawet gdybyśmy mieli umrzeć!

– Umrzemy razem z Tobą!

Biegli za Jezusem i krzyczeli coraz głośniej, obiecywali i zaklinali się, gdyż chcieli wydobyć z Niego choć jedno słowo potwierdzające ich zapewnienia. Rabbi, idąc pod górę, nie przemówił do nich ani razu, jakby ich krzyk nie był krzykiem, a przyrzeczenia przyrzeczeniami.

Stanęli wśród oliwnych drzew w Geth Szemanim. W domu właścicielki majątku, wdowy Mariam, było ciemno. Na pewno wszyscy spali, co zresztą nie miało dla Rabbiego znaczenia, bo nie zamierzał nikogo z domowników budzić i prosić o nocleg.

Stok górski przechodził w tym miejscu w płaską łączkę, nagle urywającą się pod prostopadłą ścianą, podziurawioną jaskiniami, które służyły za składy oliwy wyciskanej w tłoczni, należącej do wdowy. Jezus wskazał palcem na jedną z nich i rzekł do apostołów:

– Siądźcie tutaj, a ja odejdę i będę się modlił. A wy módlcie się również, abyście nie ulegli pokusie.

Zwracając się do Kefasa, Johanana i Jaakowa, synów Zebadii, dodał:

– A wy chodźcie ze mną.

Powtórzyła się scena, która rozegrała się przed rokiem pod troistym Hermonem. Zostali sami i osieroceni – czuli się jak wydziedziczone dzieci – mieli czekać na powrót Rabbiego, który znowu przywilejem wybraństwa obdarzył trzech spośród nich, tych samych co ongi, i uczynił ich świadkami zdarzeń zasłoniętych przed resztą apostołów. I znów nic nie będą wiedzieć, i nawet nie potrafią się domyślić, co się stało, i będzie ich żarła włochata, koźla, Esawowa zazdrość z powodu wyróżnienia, którego dostąpili Kefas i synowie Zebadii, a wyróżnieni będą milczeć uporczywym milczeniem, trzej wyróżnieni już nie wiadomo po raz który, a wśród nich dwaj wyróżnieni, pchający się z poduszczenia matki na pierwsze miejsca w Królestwie Niebieskim. Mniejsza już o wyróżnienie, które stało się udziałem trzech, ale pozostałych najbardziej niepokoiło, że Jezus właśnie teraz, u progu tyłu niebezpieczeństw, które na Niego czyhają, gdy wszystkim po równi przyrzekł Pocieszyciela i wszystkim nakazał jedność i wzajemną miłość, zniemacka przed jednymi odkrywa to, co przed drugimi zakrywa, tworząc przedział między apostołami. Jak to? Jedni będą wiedzieć, czego drudzy nie wiedzą, jedni ujrzą, czego drudzy nie zobaczą? Jakżeż mogą stanowić nierozzerwalną jedność wiedzący i niewiedzący, widzący i niewidzący? Nie wiedzieli w Esawowej włochatej zazdrości, że Jezus tym razem nie wziął z sobą trzech apostołów dla złożenia przed nimi jakiegoś świadectwa lub odsłonięcia jednej ze swoich Tajemnic. Nie wiedzieli, że w przerażających mrokach Geth Szemanim, w czas człowieczej trwogi przed śmiercią, chciał mieć u swojego boku tych samych trzech uczniów, którzy byli świadkami Jego Boskiej chwały w mrokach troistego Hermonu.

2

Wtedy właśnie Johanan, zwany Markiem, syn wdowy Mariam, który w tę noc, rozpaloną wiatrem pustynnym, spał na dachu domu, przykryty mokrym prześcieradłem – przed spaniem zanurzył je w wodzie i narzucił na siebie, aby orzeźwiało go podczas snu – obudzony głosami dochodzącymi z dołu, ostrożnie wychylił się za przymurek dachu i spojrzął na dziedziniec. Ujrzał gromadkę ludzi. Przeląkł się. Był sam. Matka ze służącymi udała się wczoraj do Jerozolimy, na przedświąteczne zakupy. Robotnicy z tłoczni wrócili do swoich rodzin, aby w ich gronie świętować Pesach. Wpatrzył się w mleczy mrok. Czyżby to byli złodzieje? Ale cóż to za niedoświadczeni złodzieje, którzy głośno rozprawiają? Okrył swoją nagość prześcieradłem – było suche, bo pustynny wiatr wessał całą jego wilgoć – na palcach zbiegł ze schodów na dziedziniec i tylną bramą wy dostał się na zewnątrz. Pochylony, klucząc wśród drzew – szum wiatru zagłuszał jego kroki – pogonił za

czterema mężami podążającymi wąską ścieżką, prowadzącą w głąb lasu. Ukrył się za drzewem i poznał w jednym z mężów – Rabbiego Jezuę ben Josef! „Co On tu robi o tak późnej porze? Zapewne przyszedł modlić się z uczniami na swojej umiłowanej górze” – pomyślał Marek, a ponieważ opanowała go chłopięca ciekawość, zgrabnie jak kot, bezszelestnie skradał się, śledząc idących.

Przystanęli.

Marek wyteżył słuch.

Rabbi rzekł:

– Smutna jest dusza moja aż do śmierci. Zostańcie tutaj i czuwajcie ze mną.

To powiedziawszy, oddalił się nieco i padł na ziemię, na twarz, a apostołowie, patrząc na Niego, widzieli, jak nieruchomo leżał na ziemi, i... usnęli, zmożeni smutkiem i zmęczeniem.

Chłopięcy cień odziany w prześcieradło zaczął się wśród oliwnych drzew.

3

Jezus przywarł spoconą twarzą do trawy jak do matczynego ramienia, kurczowo objął rękami ziemię i zrównał się z ziemią; był nieomal prochem, gliną zmieszaną z wodą, umęczonym biednym człowiekiem, czekającym na zbawienie od śmierci. Leżał przytulony do ziemi, nieskończoność wtopiona w skończoność, i, pogrążony w niej żarliwie i całkowicie, krzyczał z jej głębokości do Elohim, a to samo słowo, wychodzące z Jego wołających ust, było błaganiem o ratunek, a zarazem przypieczętowaniem wyroku. Leżał na ziemi i błagał Wszchemocnego – wołał do Niego: Abba, Ojczy mój! – aby oddalił od Niego, jeżeli to jest możliwe, kielich cierpienia, a wołając bił tym wołaniem jak pięścią w niebo, bił, walił, kołatał, jak to czynić kazał modlącym się apostołom, wołał, wołał, wołał, a krwawy pot zalewał Mu oczy i zlepiał kosmyki włosów – zdawało Mu się, że leży między kamieniami tłoczni, wyciskającej z Jego ciała ten krwawy pot – i wciąż wołał, i wołał, i przeżywając trwogę, gorycz, niepokój, ucisk, smutek, troskę, krzywdę, rozpacz i udrękę, drżał i smucił się, i trwożył się przed strasznym cierpieniem, któremu szedł nieuchronnie naprzeciw. I nagle, jak przystało na najędzniejszego sługę, na niewolnika posłusznie spełniającego rozkaz swojego pana, w czołobitnym poddaństwie, bezsilnie poddał się woli Bożej i błagał El Szaddaja, że jeżeli nie może spełnić Jego prośby, niechaj wypełni do końca swoją wolę i nie oglądając się na wolę biednego człowieka, leżącego w pyłe, nakarmi Go obficie męczeństwem.

– Abba! Ojczy mój! – głos Jezusa łamał się w łoskocie wichury – dla Ciebie wszystko jest możliwe! Jeżeli chcesz, jeżeli możliwe jest, oddal ode mnie ten kielich!

Lecz niechaj się stanie nie moja, ale Twoja wola!

Tak wołał Jezus w jednomyślności swej dwumyślnej woli. Podniósł się z ziemi. Ujrzał śpiących uczniów. A prosił ich, żeby czuwali i byli z Nim w tę noc Jego przedśmiertnej trwogi. A oni uciekli, uciekli do snu, uciekli przed krwawym potem Jego człowieczego ciała. A chciał im przecież pokazać, że idzie ku śmierci jak człowiek, jak zwyczajny człowiek! Aby kiedyś w przyszłości zaświadczyli przed światem, że bał się, że bał się, że bał się jak człowiek! Jak człowiek! Jak człowiek! Nie umieli czuwać. Nie umieli. Przez trzy lata udzielał im nauk o czuwaniu. Przez trzy lata karmił ich przypowieściami o czuwaniu. Przez trzy lata wzywał ich do czujności. I cóż pozostało z tych Jego nauk, wezwań i nakazów? Jednej chwili nie umieli czuwać. Jednej chwili. Usnęli, usnęli strażnicy Jego słowa. Usnęli i spali. Oto pomnożył swoją samotność o jeszcze jedną samotność, jakże bolesną: o samotność nauczyciela, który po latach trudnej pracy nad kształtowaniem serc i umysłów uczniów, u kresu ziemskiej wędrówki ujrzał okrutną, bolesną klęskę swoich wychowawczych wysiłków i starań. Nawet tę gorycz musiał w noc swojego człowieczego smutku i trwogi przedśmiertnej wysączyć do ostatniej kropli. Nawet tę gorycz. I wtedy ujrzał to, co zawsze widział: śpiącą ludzkość, od której żądał, aby czuwała o każdej porze dnia i nocy, aby duszą i ciałem w pełni przytomna była Jego cierpieniom, i ona, zamiast czuwać i wchłaniać w siebie Jego boleść i karmić się Jego boleścią, oddziela się od Niego zasłoną snu i nieświadomości i znajduje dla siebie wygodne mieszkanie w marności, w urojeniu, w majakach. Trwać będą synowie człowieczy w gnuśnej, tępej niewiedzy, w przerażającym znieczuleniu – widział to wszystko w czasie przyszłym dokonany, w cudownej równoczesności zdarzeń – uciekać będą do krainy zbrodni, rozpasania i szaleństwa, przekonani, że w tym piekle marności, stworzonym przez siebie, odnajdą sens istnienia. Ale On nie ustąpi. Będzie ich nieustannie budził, gwałtownie wyrzywał z bagnistego snu, rozdzierał ich powieki i nie pozwoli usnąć ich mdłym duszom! Nie pozwoli! Dlatego cierpieć będzie do końca świata i do końca świata pocić się będzie krwawym potem, i do końca, świata budzić ich będzie i potrząsać nimi, jak się potrząsa wiejadłem, aż wyrwie ich z jałowego samounicestwienia, zapisze w księdze życia i uczyni swoją ujawnioną myślą, obrazem swojej krwi, On, Budziciel ociekający krwią, Krzyż krzyczący od wieczności do wieczności! Nie uciekną przed Jego męką! Nigdy!

Dwukrotnie ich budził, a oni po obudzeniu znowu zapadali w grząski sen. Pomyślał z gorzką pobłażliwością: „Ich duch jest bardzo ochoczy, tylko ciała są mdłe”. Za każdym razem oddalał się i tymi samymi słowami się modlił, i przeżywał od nowa tę samą trwogę przed śmiercią. Gdy po raz trzeci odmówiwszy modlitwę krwawego potu podniósł się z ziemi i spojrział w kierunku muru otaczającego

posiadłość wdowy Mariam, zobaczył na stoku górskim, niedaleko jaskini, w której kazał zatrzymać się apostołom, kilkanaście ciemnych postaci idących z pochodniami w milczeniu pod górę. Wiatr ustał. Powietrze ochłodziło się. Rosa drobnymi kroplami poczęła osiadać na trawie. Księżyc przezroczyłą bielą wypełnił ciemności. Jezus stał wyprostowany. Nie było w Nim żadnego zmęczenia. Jego kamienna twarz, opancerzona spokojem, nie zdradzała przebytej tortury duchowej i cielesnej.

Ujrawszy zbliżające się postacie, podszedł do opieszłych świadków swojej modlitwy – świadków? – obudził ich, a gdy stropieni widokiem pochylonego nad nimi Rabbiego zerwali się z ziemi i wycierali dłońmi mokre od rosy twarze, rzekł do nich z surowym wyrzutem:

– Jeszcze śpicie i odpoczywacie? Dość tego. Nadeszła godzina, w której Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników. Pójdźmy. Zbliża się ten, który mnie wyda.

Wskazał ręką na pełzające w dole cienie z pochodniami. Poczęli zstępować ku jaskini, w której czekali apostołowie.

Pojmanie Jezusa

Szli. Szli strażnicy świątynni, uzbrojeni w krótkie pałki, siepacze Sanhedrynu pod dowództwem Malchusa Nabatejczyka, kilku zaufanych kapłanów, Nahum i garstka służących Kajafy. Spieszyli się. Judzie, który tak wiele razy szedł tą drogą, tym razem zdawało się, że idzie nią po raz pierwszy. Dziwne uczucie. Skąd się wzięło? Drzewa te same, kamienie te same, ziemia ta sama i niebo to samo, a wszystko razem tworzyło dzisiaj odmienną i nigdy dotychczas nie spotykaną całość. Juda nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego to, co przedtem znał doskonale, obecnie ma dla niego posmak niesłychanej nadzwyczajności, jakby wywołanej z niebytu za pomocą czarnoksięskiego gestu. Może brało się to stąd, że szedł na czele niecodziennego pochodu, zmierzającego pod górę w nader szczególnym celu, i wskutek tego znalazł się w położeniu całkowicie dla siebie odmiennym, gdyż, jak wiemy, nigdy dotychczas nie szedł na czele, nigdy nikogo nie prowadził, nigdy nie przewodził nikomu i niczemu, nie przeżywał zatem nawet przez drobny ułamek czasu upajających rozkoszy przywódcy. Na czoło pochodu wysunął się mimo woli – na pewno nie dla chęci pustego błyszczenia – szedł szybko, zamyślony, a ponieważ jego myśli były również zamyślane i szybkie, znalazł się nagle przed strażą świątynną, przed Malchusem i Nahumem, i tak idąc na czele zbrojnego oddziału, szedł coraz rażniej i tym swoim rażnym krokiem wyprzedził noc, i wyprzedził gwiazdy i księżyc, wyprzedził wszystko, co ta noc zawiera, i ujrzał się nagle cały

w przyszłości, w krainie spełnionych pragnień, w chwale zbawiciela, który uratował Izraela od wysłannika Abadona. Marzeń tych w żadnym wypadku nie należy uważać za owoc wybujałej zarozumiałości, raczej należy w nich upatrywać dowód pokornego poddania się woli Pana, który wybrał biednego Judę na wykonawcę swoich cudownych wyroków. Niezmierzone są możliwości Bożego wybraństwa. Juda był z siebie rad. Tylko jedna myśl zatruwała jego podniosłe samopoczucie. Gdyby nie ona, uważałby przeżycia tej nocy za najwyższy szczyt swoich uniesień. Cóż robić? We wszystkim, co jest radosne, musi tkwić ziarenko goryczy. Nic nie może być radosne, aby było w pełni radosne. Kolec jest nieodstępnym towarzyszem spełnionych marzeń. Po co Kajafa żądał od niego złożenia pocałunku na policzku Jezusy ben Josef? Po co ten znak wyobrażający pieczęć prawdy? Jakby nie mogło się bez niego obejść. Jakby nie wystarczało zwyczajne wskazanie palcem: Oto ten. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Jezusą ben Josef i ruch palca, którym cudownie uzdrowiony mąż wskazał faryzeuszom swojego uzdrowiciela. Wzdrygnął się. To był początek jego błędnej drogi. Któż by pomyślał, że tym samym gestem, tylko inaczej wyrażonym za pomocą wskazującego i pieczętującego pocałunku – zakończy swoją wędrówkę po krzywych ścieżkach?

Weszli na łączkę. Strażnicy podnieśli wysoko pochodnie. Płomienie trzepotały jak złowione lisy, usiłujące bezskutecznie uwolnić się z sidła łowców. Pod jaskinią ujrzeli gromadkę zbitą dokoła Męża wysokiego wzrostu. Juda spostrzegł, że Jezus jest bardzo spokojny w przeciwieństwie do apostołów. Blask pochodni niezwykle wyraźnie podkreślał ich spojrzenia i ruchy i równocześnie wydobywał z nich na wierzch drżącą bezsilność wobec zbliżającego się tłumu, złożonego z świątynnych i arcykapłańskich strażników i gawiedzi – a byli nią domownicy Kajafy, jego służący, kucharki, niewiasty czeladne, stróże nocni – która, chciwa widowiska, szła za niezwykle orszakiem, a teraz z nie ukrywanym napięciem czekała na dalszy rozwój wypadków.

Juda usłyszał nad sobą gruby głos Malchusa, mówiący do niego z ciemności:

– Który z nich jest Jezusą ben Josef?

– Ten, którego pocałuję. Wtedy go schwytajcie i prowadźcie ostrożnie – szeptem powiedział Juda.

Palcami targał końce brody. Dlaczego powiedział, żeby go prowadzili ostrożnie? Człowiek obchodzi się ostrożnie z bezcenną wartością. Ze złotym kielichem, z naszyjnikiem z drogocennych kamieni, z szatą z adamaszku, z naramiennikiem z kości słoniowej, z diademem wysadzonym perłami, ze świętymi Zwojami. Jezua bez Josef nie był ani złotym kielichem, ani naszyjnikiem z drogocennych kamieni, ani szatą z adamaszku, ani naramiennikiem z kości słoniowej, ani diademem

wysadzonym perłami, ani tym bardziej świętym Zwojem. Więc dlaczego powiedział, żeby się z Jezusą obchodzono ostrożnie? Coraz gwałtowniej targał brodę. Zniecierpliwiony Malchus, szarpnąwszy go za rękaw, pchnął w pełne światło pochodni w kierunku apostołów. Posuwał się przed siebie z biernością kamienia rzuconego ręką sprawnego procarza. Obojętne mu było, czyj rozkaz uruchomił jego zwiotczałe mięśnie. Zdawało mu się, że Jezua ben Josef przyciąga go z taką siłą, że gdyby nawet chciał przystanąć i cofnąć się, nie mógłby tego uczynić. Zmierał przed siebie, ku Rabbie, przyciągany jego mocą, szedł ku niemu z takim samym uporem i nakazem w sercu jak ongi, gdy po długim szukaniu wreszcie go spotkał na dziedzińcu świątynnym. Zbliżył się do Jezusa i rzekł:

– Pokój tobie, Rabbi...

Spojrzeni sobie w oczy tak samo jak za pierwszym razem. „Wreszcie” – pomyślał Jezus.

„Wreszcie” – pomyślał Juda, zamknął oczy i pochylił się ku Rabbie. Poczł zapach jego skóry, zalatującej cierpkimi ziołami. Dotknął wargami Jezusowego policzka, który był zimny jak lód. Tak zimny, że Juda poczuł, jak krew ścina się w jego wargach. Cofnął się. A może nie była to pieczęć prawdy, lecz kłamstwa? Strząsnął z siebie tę myśl, jak znarowiony muł strząsa niewygodnego jeźdźca. Otworzył oczy. Ujrzał boleśnie uśmiechniętą twarz Rabbiego i wyciągnięte dłonie, które z wolna zbliżały się ku niemu, jakby chciały w ojcowskim uścisku zamknąć jego skołatana, nieszczęśliwą głowę. Jezus rzekł:

– Przyjacielu, po co przyszedłeś?

Dlaczego nie zagrzmiął jego głos? Dlaczego nie zaryczały jego usta? Dlaczego nie zapaliły się błyskawice między jego zębami? Dlaczego nie cisnął na niego klątwy? Zamiast gniewu i gwałtowności ujrzał w jego twarzy współczucie lekarza, usiłującego pocieszyć ciężko chorego człowieka. Nazwał go przyjacielem. Nazwał go tak, jak nikt nigdy dotychczas go nie nazwał. Nazwał go pięknym słowem, tym samym, którym Jahwe określił swoje uczucie dla umiłowanego praojca Abrahama. Czy może istnieć czulsze słowo? Łagodniejsze słowo? Serdeczniejsze? O, ileż już lat czekał na to jedno jedyne słowo. Ileż razy szukał go w ludziach, w ich sercach, w ich ustach, w ich spojrzeniu i ani razu go nie znalazł. I teraz usłyszał to słowo z ust człowieka, którego nienawidził. Czy nienawidził? A na domiar wszystkiego ten gest rozłożonych rąk, ten miłosierny gest, pełen troski o los niewiernego ucznia! O, wydrzeć z oczu ten obraz wyciągniętych dłoni i ich łagodnych i czułych ruchów, podkreślających ze straszliwą wyrazistością wyznanie o przyjaźni, wymazać ich przebaczącą wymowę, zniszczyć ją, wypalić! Niech sześcinnie! Niech się rozplynie jak wiatr! Zachwiał się. Ktoś go podtrzymał za ramię. Usłyszał pytający szept:

– Judo ben Symeon, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego?

Judzie pociemniało w oczach. Serce jego zatrzepotało. Skoczyło mu do gardła. Chciał krzyknąć, że tak! Że wydaje go w ręce Sanhedrynu! Bo jest fałszywym prorokiem! Zwodzicielem! Mężem wiodącym lud na pokuszenie! Że musi go wydać, ponieważ żąda tego Elohim! Że on, Juda ben Symeon z Kerijoth, jest Jego narzędziem! Jego głosem! Głosicielem wyroku! Że nie może się oprzeć woli Pana, bo któż mógłby się oprzeć Jego woli?! Że on sam, robak, słoma na wietrze, nie jest winien tego, co czyni! Że mu to kazał uczynić Elohim! Że wybrał go i uczynił mężem krwi! On, El, El Haj, El Szaddaj! On! On! On! Wezbrało w nim wilcze wycie przeciw temu wybraństwu, jakie mu Pan narzucił i – zamarło. Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Silna dłoń odepchnęła go na bok. Zatoczył się pod drzewo. Jezus spytał:

– Kogo szukacie? Malchus odpowiedział:

– Jezusy ben Josef z Nazarethu.

Jezus odrzekł:

– Ja nim jestem.

Malchus cofnął się nieco i badawczo przyglądał się Jezusowi, który zdziwiony zachowaniem się Nabatejczyka, zwrócił się do strażników i powtórzył swoje pytanie:

– Kogo szukacie?

Wówczas Nahum z wrodzoną sumiennością dobrego urzędnika, lubiącego drobiazgowo i dokładnie wykonywać służbowe obowiązki, wysunął się przed Malchusa i odpowiedział, akcentując każde słowo:

– Jezusy ben Josef z Nazarethu. A na to Jezus:

– Powiedziałem wam, że ja nim jestem. Jeżeli więc mnie szukacie, pozwólcie odejść moim towarzyszom.

Apostołowie, którzy tymczasem stanęli półkolem za Jezusem, usłyszawszy te słowa, rozsypali się w nieładzie i cofnęli się w głąb mroku, poza zasięg światła padającego od pochodni, i tylko Kefas – prawą dłoń położył na lewym biodrze, a lewą nieco rozluźnił pas spinający tunikę – nie odstał od boku Rabbiego.

– Związać go! – krzyknął Malchus. Stał na szeroko rozstawionych nogach i prawą ręką uzbrojoną w pałkę wskazywał na Jezusa.

Kilku strażników Sanhedrynu rzuciło się między Jezusa a Kefasa i odepchnąwszy go, chwyciło Rabbiego za ręce, a Malchus błyskawicznym ruchem związał je w przegubach powrozem, przytrzymując jego końce w zaciśniętych dłoniach. Mocny podmuch wiatru zakolysał pochodniami. Kilka z nich zgasło. Kefas poderwał się jak żbik. Skoczył, pięścią obalił strażnika i krzyknął:

– Chyba uderzę mieczem, Panie!

Wyciągnął spod tuniki krótki miecz i runął na Malchusa. Stał błysnęła

w powietrzu. Cios był wymierzony w głowę, ale Malchus, wypuściwszy z rąk koniec powroza, w porę zdołał odskoczyć, jednak spadające nań ostrze zadrasnęło jego skroń, obsunęło się ku dołowi i obcięło napastnikowi małżowinę uszną. Nabatejczyk zwałił się na ziemię. Wył. Krew obfitym strumieniem tryskała z rany, zalewając tunikę. Strażnicy skoczyli na ratunek.

Twarz Jezusa stała się gniewna. Podniósł związane ręce i potrząsając nimi krzyknął:

– Schowaj swój miecz do pochwy! Wszyscy, którzy mieczem walczą, od miecza giną! Czy sądzisz, że nie mógłbym teraz prosić mojego Ojca, a On wystawiłby mi więcej niż dwanaście legionów aniołów?! Czy wypełniłyby się wtedy słowa Pisma Świętego, które mówią o tym, co się musi stać?!

A zwróciwszy się do strażników i kapłanów zawołał:

– Wyszliście jak na zbójcę z mieczami i kijami, aby mnie uwięzić? Siadywałem w Świątyni i nauczałem, ale nie pojmaliście mnie! Wiedźcie, że stało się to dlatego, aby w oznaczonym czasie i miejscu wypełniły się pisma proroków! Teraz przyszła godzina wasza i moc ciemności!

W zamieszaniu i wrzawie niewielu słyszało te słowa. Nahum, pochylony nad jęczącym Malchusem, chustą zdjętą z jego głowy próbował zatamować krew i obandażować ranę, przy czym przekleństwami obrzucał ukrytych w ciemnościach apostołów.

– Kto go zranił?! – ryknął. – Który z tych am haareców ośmielił się podnieść rękę na sługę arcykapłana?!

Gdy mu odpowiedziała martwa cisza, wbił spojrzenie w mrok oliwnego gaju, gdzie między drzewami migotały niewyraźne postacie, i krzyknął do strażników:

– Uwięzić mi tych synów Beliala!

Kilku strażników z podniesionymi pałkami skoczyło w głąb gaju. Przed nimi uciekały spłoszone cienie, które rozbiegły się w kilku kierunkach i wkrótce zniknęły w nocnych ciemnościach, pozostawiając za sobą trzask łamanych gałęzi i szelest drobnych kamyków, obsuwających się po stromej ścieżce. Serca łomotały w piersiach apostołów, strach usiadł na ich karkach, a lotne nogi sadziły przez kamienie, wądoły, płoty i rowy. Część spośród pierzchających uciekała w kierunku Bethfage, a reszta z początku pięła się prostopadle pod górę, a potem dla zmylenia pogoni zatoczyła łuk i na przełaj przez pagórki gnała ku wylotowi doliny, ku Wzgórzom Zgorszenia.

Nahum nie czekał na powrót strażników, którzy ścigali apostołów. Było już późno. Należało się spieszyć. Słudzy arcykapłana pod dowództwem Nahuma otoczyli Jezusa. Za nimi stanęli strażnicy świątynni i kapłani. Na samym końcu w gromadzie gapiów włókł się Juda z Kerijoth, który gorąco pragnął, aby wreszcie

skończyło się jego uczestnictwo w tym nocnym zdarzeniu. Chciał jeszcze tylko otrzymać od kapłanów trzydzieści srebrników. Wtedy skończy się jego udział w sprawie Jezusy ben Josef. Będzie mógł odejść i znowu żyć własnym życiem, sprawiedliwym i spokojnym. Pochód ruszył.

Zstępowali szybko ze wzgórza, a gdy znaleźli się w dolinie Cedronu, przecięli ją i poczęli się piąć po jej przeciwległym stoku, ku Bramie Źródlanej. Jezus wiedział, dokąd Go prowadzą. Wszyscy Go opuścili. Pozostał sam. Opuszczony i samotny trwał w dziele swoich palców i swojego natchnienia, w ciele ludzkim, w sieci własnoręcznie przez siebie utkanej, w którą sam się złowił, i czekał na swojego wroga, na pełzającą Nicość, zachłannie zbliżającą się ku Niemu, ku Drzewu Poznania, będącemu, jak głosi wieść przekazywana z pokolenia w pokolenie – nie drzewem, lecz wiecznie zielonolistnym, owocującym i nietykalnym Człowiekiem, rosnącym w samym środku Gan Eden.

Strażnicy szli w ciszy i skupieniu i ostrożnie – według życzenia Judy z Kerijoth – prowadzili Jezusa, znali bowiem wartość męża, którego uwięzili. Nie należy z tego wnioskować, że wierzyli w jego naukę lub że byli zadowoleni z uczestnictwa w tej ponurej przygodzie. Radzi byłiby jak najszybciej pozbyć się uciążliwego ciężaru i oddać go, całego i zdrowego, w ręce arcykapłana, bo nic przecież nie wiadomo, co się jeszcze może przydarzyć po drodze, zwłaszcza że – jak słusznie przewidywali – ścigającym strażnikom nie udało się pojmać uczniów, którzy mogli wpaść na szaleńczy pomysł odbicia więźnia, a wtedy któż może ręczyć w bitewnym zamieszaniu za życie Galilejczyka? A im samym również może grozić niebezpieczeństwo ze strony zwodziciela, bo przecież odgrażał się, że jeżeli tylko zechce, może poprosić Elohim o pomoc, a wtedy przyśle On zastępy aniołów, które ich zetrą na pył. Elohim? Zastępy aniołów? A jeżeli to nie jest Elohim? A jeżeli są to zastępy aniołów ciemności? Mało to cudów z pomocą Beliala zdziałał galilejski rabbi? Najstraszniejsze byłoby, gdyby rzeczywiście sam Elohim wmieszał się w tę sprawę, a wówczas... Usłyszeli za sobą krzyki. Zatrzymali się. Czyżby stało się to, co przewidywali? Nahum skoczył między tłum.

– Ten chłystek włączy się za nami! Zapewne jest jednym z jego tchórzliwych uczniów! – wołali.

– Kim jesteś?! – krzyknął Nahum i rzucił się na chłopca owiniętego w prześcieradło.

Napadnięty nagłym ruchem strząsnął z siebie przewiewne okrycie i nagi począł uciekać, pozostawiając w rękach zdumionego Nahuma prześcieradło białe jak księżycowa smuga światła.

Trzydzieści srebrników

O późnej, nocnej porze na placu przed pałacem arcykapłana panował niezwykle ruch. W bramie stali służący, którzy wpuszczali do wnętrza przybywających pieszo i na osłach członków Sanhedrynu, badawczo oświetlając ich twarze wysoko podniesionymi latarniami. Strażnicy świątynni i arcykapłańscy wprowadzili Jezusa na otoczony kolumnami dziedziniec pałacu, gdzie roilo się od dostojnych mężów, udających się do komnaty obrad, i od domowej służby Kajafy, kucharzy, dozorców i dozorczyń, kluczników i piwnicznych, którzy tłumnie się zbiegli, aby ujrzeć zwodziciela. Nahum uwijał się szybko i sprężyście. Strażnikom polecił wprowadzić Jezusa do jednej z izb na parterze i czekać na rozkazy, przy czym nie omieszkał dodać, że nie wolno nikogo, pod groźbą chłosty, dopuszczać do więźnia; po czym natychmiast udał się do Kajafy i do Hanana i zdał sprawę z przebiegu uwięzienia. Z niezadowoleniem stwierdził, że kohen hagadol znał już szczegóły pojmania, ale nie śmiał zapytać, od kogo.

Na dworze było chłodno. Służba rozpałała na dziedzińcu ogniska i grzejąc się, rozprawiała o dziwnym mężu, o jego uwięzieniu, o jego nauce i działaniu, i o mającym się odbyć sądzie – większość przewidywała wyrok skazujący – a przede wszystkim o rodzaju i wysokości kary; tu jednak krzyżowały się różne przypuszczenia, trafne i błędne domysły. Jedni uważali, że Jezua ben Josef będzie obłożony klątwą i wyłączony ze wspólnoty Izraela, inni przewidywali tylko karę chłosty, inni natomiast karę śmierci przez ukamienowanie, gdyż Galilejczyk wielokrotnie znieważył święto Szabatu, a poza tym – jak twierdzą naoczni świadkowie – bluźnił Domowi Pańskiemu i groził jego zburzeniem.

Juda z Kerijoth, który tymczasem wszedł na dziedziniec pałacu, wmieszał się między służbę arcykapłana i usiadł przy ognisku. Zasłonił twarz dłońmi i tak odgradzony od światła, starał się opanować podniecenie, które rosło w nim ze wzrastającą siłą. Właściwie dlaczego jest tak bardzo poruszony? Wszystko już się stało, co się miało stać. Miało się stać? Na pewno miało się stać, skoro się stało. Jeżeli zatem miało się stać i stało się, nie ma już więcej powodów do zastanawiania się nad dokonanym zdarzeniem. Ale czy wszystko, co się dokonało, jest naprawdę dokonane? Są takie zdarzenia, które wprawdzie się dokonały, ale potem dokonują się nieustannie dalej, wciąż się dokonują od nowa i nie ma końca ich dokonaniu, bo to dokonanie powtarza się i powtarza przez całą wieczność, bez przerwy, bez chwili wytchnienia, dokonanie to samo i mimo to wciąż nowe, jakby nigdy nie było do końca dokonane, jakby zawsze pozostał w nim jakiś strzępek, nikły strzępek niedokonania, w którym tkwi zarodek dalszego dokonywania. Piekielna machina

wiecznie nie dokonanej przeszłości. Otarł rękawem spocone czoło. Najlepiej będzie, jeżeli zaraz wstanie od ogniska, uda się do Kajafy i zażąda wypłaty należnego mu wynagrodzenia za wykonane polecenie, i tym krokiem zamknie raz na zawsze niezbyt szczęśliwy okres swojego życia u boku fałszywego proroka. Tak powinien uczynić. A po otrzymaniu pieniędzy niechaj opuści pałac, niech zapomni o zwodzicielu i jego uczniach, niech wymaże z pamięci trzyletnią bezowocną wędrówkę po wyboistych drogach Erec Hakodesz i – rozpocznie nowe życie, osiadłe i spokojne. Wstał, wciąż zasłaniając dłońmi zbolące oczy przed blaskiem bijącym od ogniska. Odetchnął, gdy znalazł się w mroku, poza zasięgiem światła.

Udał się do komnaty arcykapłana.

Służący zatrzymał go na progu i spytał:

– Dokąd idziesz?

Juda spojrział na niego z pogardą i rzekł:

– Do dostojnego Josefa Kajafy, arcykapłana.

– Czego chcesz od mojego pana?

– Podaj mu moje imię – odparł z dumą.

– Jak się nazywasz?

– Juda ben Symeon z Kerijoth.

Gdy stanął przed Kajafą, który właśnie prowadził ożywioną rozmowę z trzema kapłanami, zauważył na policzkach arcykapłana gorączkowe wypieki, które jeszcze bardziej przyciemniły jego smagłą cerę. Arcykapłan przerwał wypowiedź w połowie zdania i spojrział na Judę z niezadowoleniem, z jakim się wita natrętnego żebraka, którego twarzy mimo wielokrotnych jego nagabywań nigdy się nie zapamiętało.

– Jestem Juda ben Symeon z Kerijoth – rzekł Juda pokornie, pochyliwszy głowę, a w jego słowach niepewność mieszała się z żalem z powodu niewdzięcznej pamięci arcykapłana.

– Wiem... wiem.... wiem... – odparł z roztargnieniem arcykapłan.

W Judzie obudził się bunt. Jak to? Tak go przyjmuje arcykapłan? Taka jest jego wdzięczność? Zamiast go powitać z otwartymi ramionami i pobłogosławić słowem Bożym, traktuje go jak żebraka, który przyszedł prosić o wsparcie? W Judzie podniósł się róg dumy. Nie przyszedł po cudze! Przyszedł po swoje! Nieważne, czy to, co dostanie, jest dużą czy małą zapłatą, odpowiadającą czy nie odpowiadającą wartości dokonanego dzieła, albowiem najważniejsze jest, że biorąc w myśl umowy trzydzieści srebrników, bierze swoją niezaprzeczoną i niewątpliwą własność. Nikt mu żadnej łaski nie robi! Nie przyszedł po jałmużnę! Przyszedł po swoje! Wyprostował się i rzekł:

– W świętej Księdze Wajikra jest napisane ręką proroka, Mosze: „Nie pozostanie

zapłata najemnika twego u ciebie do rana". Proszę o zapłatę.

– Zaraz dostaniesz – powiedział Kajafa, wezwał skarbnika, który przy trzech świadkach – arcykapłanie i dwóch kapłanach – wypłacił Judzie z Kerijoth trzydzieści srebrników. Handlarzowi pachnideł zdawało się, że skarbnik omylił się w odliczaniu pieniędzy. Sam je więc przeliczył, a gdy stwierdził, że odpowiadają sumie ustalonej umową, wsypał je do sakiewki, którą ściągnął rzemieniem i schował za pasem.

– Pokój temu domowi – rzekł. Nikt mu nie odpowiedział.

Juda splunął w swoim wnętrzu na niewdzięczność możnych, pomyślał natomiast z wdzięcznością o wszechwiedzy Jahwe, który wszystko widząc, widział ich pychę i poniżenie Jego pokornego sługi. Opuścił komnatę.

Szybkim krokiem przeciął dziedziniec i wyszedł na ulicę. Nie wiedział, dokąd ma iść. Nie miał domu. Powinien rozejrzeć się za jakąś izbą, w której mógłby zamieszkać. Ruszył w kierunku Dolnego Miasta. Uderzył się po pasie. Pod palcami wyczuł srebrniki, te, które otrzymał za Jezusę ben Josef, i te, które nagromadził przez ostatni rok, przezornie uszczuplając majątność apostołów. Popadł w radosne wzruszenie. Chcąc je w sobie podtrzymać, przystanął i znów uderzył się po pasie.

Rażnie poszedł schodami w dół.

Był wolnym człowiekiem.

Jezus przed Hananem ben Sethi

Płomienie wysokich lamp oliwnych ustawionych w czterech kątach komnaty sterczały nieruchomo jak kielichy ognistych kwiatów. Równie nieruchome były twarze Hanana i jego pięciu synów, Eleazara, Jonathana, Theofilosa, Matariahu i Hanana Młodsze, którzy siedząc półkolem za plecami starca tworzyli niejako kosztowny, pięcioma bezcennymi perłami wysadzany diadem dokoła jego postaci. Za nimi siedziało kilku saducejskich kapłanów, przyjaciół i współpracowników Hanana, którzy wprawdzie również pochodzili z dostojnych rodów, stanowili jednak w porównaniu z arcykapłańskimi synami, dziedzicami ojcowskiej chwały i majątności, nieco mniej cenną ozdobę jego diadem.

Jezus poprzedzany przez Nahuma wszedł ze związanymi rękami, pod strażą, do komnaty. Po Jego bokach ustawili się strażnicy. Nie odczuwał zmęczenia ciała. Tylko Jego dusza była udręczona z powodu ucieczki apostołów – przewidzianej, ale niemniej bolesnej – którzy porzucili Go i ukryli się w obawie przed groźącym im losem. Był zazdrosny o bezpieczeństwo, które wybrali i przenieśli nad Niego. Tę zazdrość odziedziczył po Elohim, po swoim synowskim Ojcu, który wielokrotnie w słowach obnażonych do samego rdzenia mówił o sobie jako o Bogu nad wyraz

zazdrosnym. Był zazdrosny o ludzi, jeżeli bliźniego kochali więcej niż Jego, i był zazdrosny o ich majątność, jeżeli jej bardziej pragnęli niż Jego. Dlatego żądał od człowieka, aby idąc za Nim, opuścił rodziców, żonę, dzieci, siostry i braci, i całe swoje mienie i należał całkowicie do Niego. Był zachłanny na ludzką miłość i nie chciał się nią z nikim dzielić. Patrzył w ziemię.

– Zdejmijcie mu z rąk powróż – rzekł Hanan.

Strażnicy wykonali rozkaz starca. Jezus, nie podnosząc głowy, rozcierał zsiniałe przeguby w nadgarstkach; zajęty myślami, czynił to odruchowo, jakby nie przykładał zbytnej wagi do bólu, jaki odczuwał w rękach. Hanana drażniło zachowanie więźnia. W jego postawie, chociaż stał z głową pochyloną i opuszczonymi powiekami, nie było nic ze służebnej pokory, jaką każdy am haarec powinien okazać patriarsze czcigodnego rodu, przeciwnie, czynił wrażenie człowieka, w którym ten doniosły fakt – stał przecież przed obliczem męża najpotężniejszego dzisiaj w Izraelu – nie wzbudzał żadnego wzruszenia. Czyżby zwodziciel uważał siebie – medytował Hanan, patrząc na więźnia sennym spojrzeniem, którym zmylił czujność już niejednego przeciwnika – za narzędzie Boże, wyniesione wysoko nad ród człowieczy? Skąd ta rogata duma na jego pochylonym czole? Skąd ta dostojność w jego zamkniętej, nieprzystępnej twarzy? Skąd ta przezroczystość jego palców, palców robotnika rolnego i pasterza, syna jakiegoś nędznego cieśli z Nazarethu? Właściwie jego twarz, mimo surowych rysów, jest nader ujmująca i wzbudza zaufanie. Najbardziej zastanawiającą jej cechą jest bijące z niej ciepło, którego źródła nie umiałbym określić – medytował w dalszym ciągu Hanan, nie spuszczać wzroku z Jezusy ben Josef. – Wiem o nim niewiele, a może nawet bardzo mało. Z tego, co mi opowiadano, wynika, że nigdy nie dyskutował ze swoimi uczniami, jak to zwykli czynić rabbim w beth hamidraszu. Nauczając, oświadczał, a uczniowie słuchali i potakiwali temu wszystkiemu, co mówił, nauczał więc nie jak nauczyciel, ale jak prawodawca. Czyżby mu się zdawało, że jest prawodawcą, nie przymierzając, jak prorok Mosze albo, nie przymierzając, jak sam Elohim? Kim jest ten człowiek? Szaleńcem czy zwodzicielem? Jakie ziarno posiał w swoich uczniach? Obłądu czy odstępstwa? – Spojrzenie Hanana stało się jeszcze baczniejsze: Czy tak wygląda ucłowieczone zło? Czy ta spokojna twarz jest twarzą człowieka opętanego przez Beliala? Pełzający nie jest Bogiem, ale niekiedy udaje Boga. Hanan obwarował się ostrożnością i począł zadawać Jezusowi rzeczowe pytania, dotyczące Jego uczniów – pytał o ich ilość i imiona – gdy jednak nie otrzymał odpowiedzi, począł zmierzać prosto do celu i zagadnął o sens głoszonej przez Niego nauki.

– Jaka jest twoja nauka, rabbi? – spytał. Jezus podniósł głowę i odpowiadając

rzekł:

– Zawsze jawnie mówiłem przed światem. Uczyłem w synagogach i na dziedzińcu świątynnym, gdzie zbierają się wszyscy synowie Izraela. Niczego nie głosiłem po kryjomu.

– Słusznie, rabbi, ponieważ jednak nigdy cię nie słyszałem, pragnę teraz usłyszeć z twoich ust naukę, którą głosisz ludowi.

– Dlaczego mnie o nią pytasz?

– A kogo mam pytać? Jezus podniósł głos:

– Postawiliście mnie przed sąd. Zapytaj tych, którzy słyszeli, o czym im mówiłem.

Hanan niecierpliwie uderzył dłonią w poręcz fotela. Szmer niezadowolenia poszedł po synach i kapłanach.

– Do świadków mnie odsyłasz? – zasyczał starzec. – A sam nie chcesz niczego wyjaśnić?

Jego pomarszczona dłoń o pergaminowej barwie trzęsła się na poręczy.

W Nahumie odezwała się obrażona duma wiernego sługi rodu Hananidów. Widząc podniecenie starca, poczerwieniał, zgarbił się, skoczył ku Jezusowi i wymierzywszy Mu policzek, krzyknął:

– Tak odpowiadasz arcykapłanowi?

Hanan, jego pięciu synów i saducejscy kapłani kiwali głowami, z zadowoleniem potakując ze wszech miar właściwemu zachowaniu się sługi, który wiedział, jak i kiedy należy stanąć w obronie godności rodu i jego sędziwej głowy.

Jezus, który nie drgnął pod uderzeniem Nahumowej dłoni, rzekł z chłodnym spokojem, tonem nauczyciela karcącego niesforne dziecko:

– Jeżeli źle się wyraziłem, udowodnij, że źle. Jeżeli natomiast wyraziłem się dobrze, dlaczego mnie bijesz?

Usłyszawszy tę odpowiedź, synowie Hanana i kapłani zerwali się z foteli – w ich mniemaniu była to odpowiedź zuchwała, urągająca powadze arcykapłańskiego dworu – a strażnicy na wszelki wypadek podnieśli pałki, zawsze gotowi, jak przystało na czujnych stróżów porządku, do bicia ofiary. Starzec pomyślał, że ten Galilejczyk, który na dotkliwą zniewagę, wyrządzoną mu przez Nahuma, odpowiedział tonem napominającym i opanowanym, na pewno jest mężem niebezpiecznym; należy go dla dobra ludu i jego przyszłości obezwładnić, aby nieszczęście nie spadło na Jeszuruna. Ten człowiek wie, czego chce. Działa z zastanowieniem, z namysłem, nie ulega rozdrażnieniu, wzburzonemu porywom, nie unosi się marnym gniewem. Hanan podniósł rękę i rzekł:

– Nałóżcie mu na ręce powróż i odprowadźcie go przed oblicze Wysokiej Rady.

Spojrzenie starca posuwało się w ślad za Jezusem i strażnikami, a gdy wyszli,

zawisło w powietrzu i tak trwało nieruchomo, baczne, starcze oko, groźnie czuwające nad ludem. Radością nappełniła go myśl, że jego synowie i zięć podnieśli dłoń przeciw knującemu mężowi, i tak długo ich ręce grozić i uderzać będą, aż Galilejczyk wraz ze swoimi uczniami i zwolennikami legną w prochu i zamienią się w proch. Spojrzał z czułością i zaufaniem na owoce swoich łądźwi, na dorodnych synów, a ze szczególną miłością na najmłodszego syna, imiennika swojego, Hanana Młodszego, i na pewno nie przypuszczał, że ten najbardziej umiłowany ujrzy żywymi oczami rozpadające się w gruzy Święte Miasto i zginie haniebną śmiercią zdrajcy z rąk dzikich Idumejczyków, a ciało jego nie pogrzebane stanie się pożywieniem sępów i psów.

Wyszli i udali się do komnaty obrad, gdzie tymczasem zbierała się Wysoka Rada.

Pierwsze i drugie zaparcie się Kefasa

Kefas i Johanan ben Zebadia uciekając przed strażnikami biegli obok siebie. Ci, co biegną obok siebie, biegą razem. Ci, co biegą razem, jeżeli nie chcą się rozłączyć, muszą uzgodnić między sobą cel ucieczki. Przystanęli zziębnięci. Łowili z wyostrzoną czujnością każdy szelest. Było cicho. Tak cicho, że usłyszeli pluskanie wody w potoku płynącym dnem Cedronu. Ścigający dali za wygraną i zaprzestali pościgu. Kefas i Johanan ben Zebadia, pochyleni ku ziemi, oddychali głęboko, wydychając z siebie zmęczenie. Podczas ucieczki nie mieli czasu rozmyślać nad swoim postępowaniem. Teraz, gdy nieco odpoczęli, mimo niepokoju, który ich wciąż nie opuszczał – może tylko nieco się zmniejszył, w każdym razie na tyle, że pozwolił im zastanowić się nad położeniem, w jakim się nagle znaleźli – okryli się wstydem z powodu tchórzostwa niegodnego apostołów, zapewniających ongi Rabbiego o przywiązaniu i chęci towarzyszenia Mu nawet w najniebezpieczniejszych okolicznościach. I cóż pozostało z uroczystych oświadczeń i przyrzeczeń? Cóż pozostało z ich dobrej woli? Z ich szlachetnych zamiarów? Wystarczyła jedna napaść strażników na Jezusę ben Josef, a wszyscy apostołowie rozbiegli się jak owce spłoszone burzą. A jeden spośród nich okazał się nawet nikczemnym zdrajcą i wskazał siepaczom miejsce, gdzie Rabbi zwykł się modlić. Byli słabymi ludźmi o sercach z tłuszczu i o jelenich nogach, zdolnych tylko do ucieczki. Gryzły ich wyrzuty sumienia. Muszą coś przedsięwziąć w obronie Męża. Nie wolno im oddać się beczynności i jałowemu rozmyślaniam, które do niczego nie prowadzą. Muszą zdobyć się na odwagę i działać bez zwłoki i bez oglądania się na własne bezpieczeństwo. Dokąd mają się udać? Co mają uczynić, aby się dowiedzieć o losie Rabbiego? Dokąd zaprowadzili Go strażnicy? Jakie są wobec Niego zamiary Kajafy?

Po krótkiej wymianie zdań doszli do jednomyślnego wniosku, że arcykapłan po święcie Pesach postawi Rabbiego przed sądem Sanhedrynu i będzie się domagał wyroku skazującego.

Aby móc coś przedsięwziąć, należało przede wszystkim wejść do miasta. Była noc. Bramy miejskie otwierano dopiero o świcie. Czekali więc, a czekając krążyli pod murami. Minęli wieżę Siloah i Bramę Gnojną – słyszeli wyraźnie miarowe kroki straży nocnych przechadzających się na murach – skręcili ku zachodowi i ujrzeli z dala odbłask pochodni i latarni, na ścieżaj otwartą Bramę Eseńską i ludzi idących pieszo lub jadących na osłach. Ostrożność apostołów stała się jeszcze ostrożniejsza. Gdy rozglądając się nieufnie podeszli bliżej, oczy ich potwierdziły z bliska to, co widziały z daleka, a ponieważ nie rozumieli przyczyny, dla której brama miejska jest otwarta w nocy i dla której jacyś mężowie – ich postawa świadczyła o majątności i dostojństwie – udają się o tak późnej porze do miasta, poradzili się własnego rozsądku, a on im zalecił przewyciężyć obawę i drzenie i prosić strażnika o wytłumaczenie tak niezwykłego zdarzenia. I tak uczynili. Od bramnego dowiedzieli się, że w nocy w pałacu arcykapłana ma odbyć się sąd Sanhedrynu nad jakimś fałszywym prorokiem – ostatnio głośno było o nim w Jerozolimie, mówiono, że kogoś wskrzesił, przecież musieli o tym słyszeć – i dlatego straż miejska otrzymała dzisiaj rozkaz otwarcia Bramy Eseńskiej dla członków Wysokiej Rady, zamieszkałych poza murami miasta. Apostołowie spojrzeli po sobie i korzystając z zamieszania, powstałego przy bramie z powodu kilku kupców syryjskich, którzy wraz z dostojnymi mężami chcieli dostać się do miasta, chyłkiem minęli strażników i zniknęli w ciemnościach nocnych. Pędem biegli pod górę i zatrzymali się dopiero obok domu Bar Nabuaha, w którego izbie wieszali z Jezusem – ach, jak czas szybko biegnie! Jeszcze te same gwiazdy i księżyc stoją nad Jerozolimą! – i tutaj, zaczerpnąwszy tchu, wypoczęli, i nałożywszy na twarze maskę obojętności, udając przypadkowych przechodniów, spokojnymi krokami poczęli się zbliżać do pałacu arcykapłana. Johanan przypomniał sobie, jak właśnie w tym pałacu odwiedzał ongi Kajafę. Czy mógł wtedy przypuszczać, że kilka lat później stanie przed bramą największego wroga swojego Rabbiego i zastanawiać się będzie, jakim sposobem ma wejść na arcykapłański dziedziniec? Zerknął w kierunku bramy. Tak, na progu siedzi ta sama ruda odźwierna Chawa, o twarzy przypominającej lisią paszczkę, i chytrymi oczkami świdruje wchodzących. Znali ją dobrze. Miała niezawodną pamięć. Można było być pewnym, że nawet po latach nie zawiodą jej nieomyślne oczy. Kajafa umiał dobierać sobie służbę. Wiedział, że bystre oczy i czujny słuch są najpierwszymi zaletami dobrych służących. Ale Johanan podczas pojmania Jezusa stał w cieniu i mogła go nie dostrzec. Gorzej jest z Kefasem. Wprawdzie było

zamieszanie, a w zamieszaniu twarz jest do twarzy podobna, zwłaszcza w zmiennym blasku pochodni... Trudno. Trzeba zdobyć się na odwagę. Dał znak Kefasowi, aby zaczekał, i korzystając z dawnych przywilejów, przysługujących mu jako gościowi arcykapłana, podszedł do odźwiernej i rzekł głosem poufałości:

– Pokój tobie, Chawo.

To powiedziawszy, wszedł na dziedziniec, odprowadzony uśmiechniętymi oczami niewiasty. Baczenie rozejrzał się dokoła. Przy ognisku, grzejąc się, siedzieli domownicy, strażnicy i służący Kajafy. Nigdzie nie dostrzegł Rabbiego. Wrócił do bramy i rzekł do Kefasa:

– Wejź, Symeonie ben Jona...

Kefas gładził brodę i wąsy, skubał rzęsy i dłonią pociągał po czole, starając się za pomocą chaotycznych ruchów dłoni zasłonić twarz przed badawczym spojrzeniem lisiej Chawy, która przyglądała mu się z uwagą, albowiem zdawało jej się – stała w Gem Szemanim w tłumie i nie czekając końca widowiska pędem wróciła do pałacu, i pierwsza powiadomiła Kajafę o pojmaniu zwodziciela – że tego kanciastego męża o szerokich barach widziała u boku Galilejczyka.

Zmrużyła oczy i spytała Kefasa:

– Czy ty może należysz do uczniów tego człowieka?

Kefas poczuł mrowienie na całym ciele. Próbował się uśmiechnąć. Zamiast uśmiechu na jego twarzy pojawił się grymas nieszczerzej pewności:

– Nie, nie należę do Jego uczniów...

Poprzedzany przez Johanana ben Zebadia oddalił się, przyspieszając kroku. Usłyszał nad uchem szept towarzysza:

– Niechaj mój brat idzie powoli...

Usiedli na podwiniętych nogach obok ogniska, dokoła którego grzało się kilku służących Kajafy i głośno rozprawiało o obfitych zdarzeniach tej nocy. Kefas, wciąż jeszcze nie mogąc ochłonąć z lęku, którego doznał przy bramie, z trudem starał się zrozumieć sens prowadzonych rozmów. Spojrzał błagalnie jak dziecko na Johanana ben Zebadia, jakby oczekiwał od niego pomocy i obrony, i rzeczywiście przyjaciel nie zawiódł go, gdyż lodowaty spokój młodzieńca – któż by pomyślał, że ten zapaleniec i gwałtownik umie zachować chłodną równowagę ducha! – udzielił się rozdygotanemu wewnątrz rybakowi. Z toczącej się przy ognisku rozmowy dowiedzieli się, że Jezus doprowadzony był najpierw do Hanana ben Setni, a obecnie stoi już przed Wysoką Radą, której posiedzenie przed chwilą rozpoczęło się. Słuchając, dławili w sobie westchnienia. Ich usta pełne były pytań. Roztropnie milczeli, żując nie wymówione słowa jak twardy kęs chleba. Chcieli dowiedzieć się, jak się odbyło przesłuchanie u Hanana. Domyślili się ze strzępów wypowiedzianych

uwag, że Rabbi doznał bolesnej zniewagi od jednego z mężów Kajafy. Johanan ben Zebadia zastanawiał się właśnie nad sposobem wtrącenia się do rozmowy celem wywołania jaśniejszych i pełniejszych wypowiedzi domowników arcykapłana, gdy ujrzał stojącą za plecami Kefasa Chawę. Z podejrzliwym błyskiem w oczach spoglądała na rybaka, który, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, z napięciem przysłuchiwał się pogwarce strażników.

– A jednak wydaje mi się, że należysz do uczniów tego człowieka. Przecież widziałam cię, jak byłeś razem z Jezusą z Nazarethu.

Kefas, zaskoczony, zerwał się i krzyknął:

– Ja byłem z Nim razem? Nie jestem Jego uczniem! Nie znam Go, niewiasto! Nie wiem i nie rozumiem, o czym mówisz!

Wówczas służąca, zwracając się do grzejących się przy ognisku mężów, rzekła:

– Ten jest z ich liczby.

Gdy Kefas powstał z ziemi i począł oddalać się w kierunku bramy, jakaś kobieta, którą mijał, bacznie przyjrzawszy mu się od stóp do głów, przystanęła i zawołała:

– Tak! Poznaję go! Ten był w Geth Szemanim z Jezusą ben Josef.

– Przysięgam ci, niewiasto, że nie znam tego człowieka, przecież... – głos Kefasa załamał się. Znad ogniska odezwały się zadzierzyste wołania:

– Na pewno jesteś jego uczniem!

– Powiedz prawdę!

– Nie zapieraj się!

– No! Gadaj!

– Dlaczego milczysz?

– Jesteś czy nie jesteś jego uczniem?

Kefas rozłożył ręce i rzekł schrypniętym głosem:

– Ludzie, nie jestem... Ktoś ze służących krzyknął:

– Dajcie mu spokój! Przecież przysiągł, że nie zna zwodziciela!

– Słusznie! – zawołał inny. – Odstąpcie od niego! Zapiał kogut.

Przeraźliwe pianie zważyło się na Kefasa jak pożar. Zdawało mu się, że jest gorejącą pochodnią. Chciał rzucić się na ziemię i tarzać się w prochu, aby ugasić skaczące po nim płomienie. A kogut piał, piał, piał, a ogień rósł w Kefasie, obejmował iskrzącymi językami jego ciało, zamieniał je w gorejącą kolumnę, która, strawiona ogniem, rozpadła się, zamieniła się w popiół, a popiół ostygł i stał się nędznym prochem, a proch, chociaż był już tylko prochem, wyzbytym życia, czucia i zmysłów, wciąż słyszał rozpaczliwe pianie koguta piejącego przez całą wieczność, od wieczności do wieczności.

Kefas wrócił do ogniska, albowiem mimo grożącego niebezpieczeństwa nie chciał

opuścić miejsca, w którym przebywał Rabbi.

Jaakow ben Halfi u Miriam

Jaakow ben Halfi, uciekając z Geth Szemanim, biegł w stronę przedmieścia Bethesdy. Podczas pojmania Jezusa, gdy Dwunastu bez jednego rozsypało się na kilka luźnych grup, znalazł się w jednej z nich, w dość znacznej odległości od Rabbiego, co było nieodpartym dowodem przytomności umysłu młodego apostoła, który teraz na widok zbrojnej przewagi strażników z chyżą szybkością uskoczył w cień zarośli i drzew. Widział, jak siepacze wiązali ręce Jezusowi i usłyszał czyjś rozkaz, który sercu jego odebrał resztę odwagi, a nogom nie poskąpił skrzydlatej lotności. Gnał przed siebie, w dolinę, z myślą przedostania się do podmiejskich osiedli, gdzie łatwo by mu było zatrzeć ślady ucieczki wśród krętych i splątanych uliczek, w gęstwinie domów i lepianek. Zdrowy instynkt nie mylił go. Zdołał wydostać się z matni. Sadził przez rowy i głazy długimi susami, a nogi niosły go lekko i zwinnie, aż dopadł pierwszych lepianek i ogrodów i utonął w nich jak kamień w wodzie. Zwalił się na ziemię, na warzywną grzędę, półżywy ze zmęczenia. Wyciągnął przed siebie nogi, a ręce odrzucił ku tyłowi. I tak leżał wypoczywając, i na pewno błogi spokój wypełniłby jego mięśnie, a serce przestałoby kołatać w jego piersiach, gdyby go nagle nie ogarnęło przerażenie, tym razem już nie z powodu ścigających go prześladowców, ale niecnej zdrady, jakiej dopuścił się wobec Rabbiego. Pozostawił bezbronny na łasce strażników arcykapłana! Jak mógł to uczynić? Dlaczego nie okiełzał swojego tchórzostwa? Czyżby jego dusza była w szybkości jego nóg? Zerwał się z ziemi. Było pusto. Po jednej stronie, za mgłą, klęczała Góra Oliwna jak zgrzany wielbłąd, po przeciwnej białawy jak piszczel białe kolumny Owczej Sadzawki. Niedaleko stąd znajdował się dom ich wspólnych krewnych, gdzie Rabbi i Jego matka zwykli zatrzymywać się podczas świąt. Wiedział, że pobożna niewiasta przebywa w Jerozolimie. Na pewno i tym razem skorzystała z gościnności rodziny. Pomyślał, że mimo późnej pory powinien udać się do Miriam i powiadomić ją o pojmaniu Syna. Będzie posłem złej nowiny i swoją nędzną obecnością świadczyć będzie przeciw sobie i przeciw wszystkim apostołom, którzy opuścili Rabbiego. Gryzła go jeszcze jedna troska. Z początku udawał, że nie słyszy jej warknięć, gdy jednak poczuł, jak coraz głębiej wgryza się w jego serce, począł się zastanawiać, czy dobrze robi, że idzie teraz do krewnych Rabbiego – i swoich – i do Miriam, swojej ciotki. Rozwahał wszystkie możliwości, za i przeciw. Przecież współodpowiedzialna za działanie każdego członka rodu jest cała jego rodzina – ojciec, matka, bracia i siostry, stryjowie i wujowie, bracia stryjeczni

i cioteczni – więc może lepiej cicho przycupnąć i nie zwracać na siebie uwagi donosicieli i szpiegów arcykapłana, którzy prawdopodobnie już śledzą dom krewnych Rabbiego. Po co się narażać? Po co lekkomyślnie nadstawiać głowę? Czy potrafi tym pójściem do rodziny odmienić bieg wypadków i wyswobodzić z grzesznych rąk umiłowanego swojego brata, Jezusę ben Josef? Po rozwadze, położywszy na jednej szali wagi własne bezpieczeństwo, a na drugiej kotłowanie swojego wnętrza, nie poszedł za głosem warczenia i wygodnej beczynności, gdyż nie chciał jeszcze bardziej pogłębiać żrącego go smutku.

Zachowując ostrożność, chyłkiem przemykał pod ścianami lepianek, biegł wąskimi uliczkami, przystawał, nadśluchował i znów biegł, aż dotarł do domu krewnych, a upewniwszy się, że nikt go nie śledzi – dokoła było pusto i cicho, tylko z dala przeraźliwie piał kogut – zapukał do bramy, a gdy mu wreszcie odzwierny po długim wypytywaniu, kim jest i czego chce, otworzył, wpadł na dziedziniec i zdyszany głosem prosił chłopca o przywołanie Miriam i pobożnych niewiast. Chłopiec zmiarkowawszy po pośpiechu, z jakim Jaakow ben Halfi wyrzucał z siebie słowa, że stało się coś niezwykłego, skoczył na piętro do gościnnej izby i wywołał na dziedziniec Miriam, Mariamne z Magdali, Szoszanę i Salome, matkę synów Zebadii. Jaakow stłumionym szeptem, aby nie budzić gospodarzy i domowników, opowiedział niewiastom o pojmaniu Jezusy ben Josef, przy czym nie zataił zdrady Judy z Kerijoth, ucieczki swojej i apostołów, i z głęboką skruchą dał wyraz bólowi z powodu niegodnego zachowania się uczniów błogosławionego Męża, któremu ślubowali wierność i oddanie. Niewiasty załamały ręce i wybuchnęły cichym łkaniem – wciąż baczyli, żeby nie zbudzić domowników – i tylko Miriam stała bez ruchu z opuszczonymi rękami; ani jedno słowo nie wysączyło się spomiędzy jej warg, ani jedna łza nie spłynęła po jej śniadych policzkach i ani jeden mięsień nie zadrgał na jej twarzy. Spuściła oczy i pomyślała: „Czy taki koniec zgotował Elohim mojemu Synowi? Czy po to cień Pana zstąpił na mnie i ocienił mnie, aby mój Syn wydany był na łup nieprzyjaciół? Jestem służebnicą Pana, niechaj więc stanie się według Jego woli, ale boleść moja do mnie należy”. Tak pomyślała i spytała:

– Dokąd zaprowadzili Jezusę?

– Nie wiem – odparł Jaakow ben Halfi.

– Chodź, Jaakowie, poszukamy mojego Syna – rzekła i owinęła się chustą.

Za nimi, łkając, podążyły Mariamne z Magdali, Szoszana i Salome, matka synów Zebadii.

Jezus przed sądem Sanhedrynu

1

Kajafa podniósł się z fotela. Wszyscy powstali z miejsc.

– Szema Israel, Adonaj Elohenu, Adonaj Echad! – zaintonował wielkim głosem arcykapłan. – Słuchaj, Izraelu, Pan jest Bogiem naszym. Pan jest jeden! Błogosławione jest Imię Jego, Jego majestat, Jego królestwo po wszystkie wieki!

– Amen! – potwierdzili zebrani.

– Otwieram posiedzenie Sanhedrynu. Niechaj stanie przed nami Jezua ben Josef z Nazarethu! – zawołał arcykapłan.

Usiedli.

Strażnicy wprowadzili Jezusa i zdjęli powrozy z Jego rąk.

Rabbi powiódł wzrokiem po siedzących półkołem mężach, po licznie przybyłych uczniach beth hamidraszu, nauczycielach, chazanach, przepisywaczach Pisma Świętego, po tłumie gości, którzy zajęli miejsca na ławach pod ścianami – sądowym naradom Sanhedrynu mógł się przysłuchiwać każdy syn Izraela, a nawet wolno mu było przemawiać w obronie oskarżonego – ale nie dostrzegł wśród nich ani swoich krewnych, ani nikogo spośród uczniów. Wszyscy Go opuścili. I apostołowie, i cudownie uleczeni chorzy, i rodzina. Dla pełni tej samotności, w chwili do tego wybranej, nawet sam siebie opuści i porzuci, i oddali się od swojego ocalenia, i będzie robakiem pod stopą ciemżycieli, pośmiewiskiem ludzi i wzgardą pospólstwa. Spojrzał na Kajafę z takim spokojem, że arcykapłan, kapłani, saduceusze, faryzeusze, uczeni w Piśmie Świętym, protokolanci, uczniowie beth hamidraszu, wychowankowie rabbich i mędrców, strażnicy Sanhedrynu, goście, słudzy, zauszniczy i donosiciele – zdumieli się, albowiem nie mogli dociec, co oznacza spokój Męża oskarżonego o bluźnierstwo przeciw Jahwe. Kajafa poruszył się gwałtownie w fotelu, jakby chciał strzepnąć z siebie spojrzenie Oskarżonego, założył ręce na piersiach i podniósłszy nieco głowę wzrokiem odszukał woźnych stojących na progu komnaty.

2

Wtedy rabbi Josef z Ramathaim, faryzeusz, właściciel dużego majątku ziemskiego, położonego na zachodnim stoku Gór Judejskich, postanowił przemówić i zabrawszy głos, tak powiedział:

– Wydaje mi się, że zanim dostoyny arcykapłan zawezwie świadków, mających oskarżyć Rabbiego Jezue ben Josef, należy postawić pytanie, na pewno śmiało, może

nawet zbyt śmiało, mimo to nieodzowne dla spokoju sumienia sędziów, którzy będą wyrokować w trudnej i niecodziennej sprawie Męża, przez jednych uważanego za błogosławionego proroka, przez innych za zwodziciela. Wszyscy podziwiamy prawniczą wiedzę dostojnego Josefa Kajafy, który umie rozstrzygnąć wytrawnym umysłem najbardziej zawile zagadnienia, czego dał wielokrotnie dowody, dlatego na pewno wie, że umiar i roztropna powolność powinny towarzyszyć każdej rozprawie sądowej dla jej dobra – sprawiedliwy wyrok jest nagrodą dla sędziów – i dla dobra całego narodu, albowiem jak głosi mądrość praorców, „ilekroć sędzia wydaje sprawiedliwy wyrok, Obecność Boża spoczywa na Izraelu”. Czy mądry umiar i roztropna powolność i tym razem kierowały dostojnym arcykapłanem? Czy okiełzał swój szlachetny gniew, który wprawdzie jest zaletą mężów wykazujących godne pochwały staranie o czystość wiary, ale z drugiej strony, niestety, odbiera im możliwość bezstronnej oceny zdarzeń? Czy należało więc w przeddzień radosnego święta Pesach – radość nasza jest zamącona bolesnym zdarzeniem, a zajęcia sądowe oddalają nas od świątecznej podniosłości ducha! – w pośpiechu i w nadmiernym podnieceniu serca uwięzić Jezusę ben Josef i postawić Go jeszcze tej samej nocy przed nadzwyczajnym sądem Sanhedrynu, działającym według ustawy o Horaath Szaah, o „nakazie godziny”? Z winy tego pośpiechu Najwyższa Rada nie mogła się zjawić tutaj w pełnej liczbie, albowiem zaproszenia nie dotarły w porę do wielu mądrych i zacnych mężów, którzy by swoją obecnością wspierali nasze starania o sprawiedliwy wyrok. Po co był potrzebny pośpiech, po co potrzebna była doraźność, skoro potrzebniejsza była roztropność, idąca u boku powolnego namysłu? Czy po to, aby sąd nadzwyczajny mógł wydać wyrok nie według praw przekazanych nam przez mądrość pokoleń – mądrość pokoleń nałożyła na sędziów ograniczenia, biorące w obronę oskarżonego przed ich gwałtowną gorliwością – ale według surowego uznania sędziów, wolnych od ustaw chroniących oskarżonego, od mądrych i przewidujących przepisów, ustanowionych przez naszych bogobojnych przodków, których głębią nieposzlakowanej prawości i natchnionego rozsądku wszyscy się szcycimy? Wprawdzie ustawa o sądach nadzwyczajnych jest również dziełem ojców, radzili oni jednak korzystać z jej surowego dobrodziejstwa tylko w złą godzinę, w czas dla Izraela groźny, gdy wiara ludu w Wszechmocnego jest zachwiana, a odstępstwo uśmierca dusze człowieka. Czy teraz nastał taki czas? Czy właśnie teraz nastąpiła ta nieubłagana konieczność wprowadzenia w życie ustawy o „nakazie godziny”? Czy lud odstąpił od Elohim? Czy składa ofiary obrzydliwości pogańskiej? Czy przestał płacić daninę Świątyni Pańskiej?! Pytam zatem, dlaczego dostojny arcykapłan postawił Rabbiego Jezusę ben Josef przed nadzwyczajnym sądem Wysokiej Rady, a pytając, czynię to z powodu troski o sprawiedliwość

w Izraelu, o przestrzeganiu ustaw ojców, którzy zwykli mawiać, że „mężowie sprawiedliwi są więksi od aniołów”.

W komnacie wśród mężów powstało poruszenie. Poczuli nachylać się ku sobie, szeptać, już tu i tam podniosły się głośniejsze głosy, ale szepty, szумы, szmery i głosy natychmiast ucichły, bo do uszu zebranych doszły słowa Kajafy, który mówił:

– Czcigodny rabbi Josef z Ramathaim ma słuszość, twierdząc, że mądrość praojców przewidziała możliwość przyścia złej godziny i celem jej odwrócenia od Izraela ustanowiła sądy nadzwyczajne, które bezlitośnie ścigają zwodzicieli i tych, którzy im ulegli. Dlatego mądrość praojców mówi: „Sądowi nie wolno kierować się miłosierdziem”, a potem mówi:

„Strażnikami miasta są jego nauczyciele”; zatem ten, któremu leży na sercu nieskazitelność wiary synów Izraela, musi być ich surowym sędzią, a zarazem również surowym strażnikiem i nauczycielem, bo mądry strażnik pilnuje i poucza, a mądry nauczyciel poucza i pilnuje. Pośpiech moich zamiarów i doraźność moich postanowień nie płynęły z gniewu i popędliwości. Ich źródłem był głęboki namysł i obawa, że zwłoka może się okazać nieszczęściem dla Jeszuruna, a któż by z nas pragnał, aby naród wybrany przez Pana pograżył się w zamęcie i nieładzie? Na pewno nikt spośród szlachetnych mężów Wysokiej Rady! Jeszua ben Josef od trzech lat nauką swoją i czynami nieustannie bezcześci święte ustawy Prawa i praojców, nie święci Szabat, nie przestrzega mycia rąk, nigdy nie okazywał szacunku Świątyni i kapłanom, rozpędził kupców sprzedających zwierzęta przeznaczone na ofiarę – na ofiarę! – dla Wszechmocnego, wzniecił tumult w przedsionkach Pańskich, w synagogach wygłasza przemówienia przeciw uczonym w Piśmie i wielokrotnie świadczył o sobie jako o mężu błogosławionym, zesłanym przez Pana! Nauczając, nigdy nie powoływał się na rozkaz Jahwe, jak to zwykli czynić prorocy. Rozkazywał i mówił we własnym imieniu, starając się tym ze wszech miar godnym potępienia sposobem stworzyć pozory, że jest kimś więcej niż mężem błogosławionym, kimś więcej niż prorokiem, że jest istotą równą Najwyższemu! Czym był jego wjazd do Jeruszałajim Hakodesz, jeżeli nie śmieszną próbą naśladowania uroczystego pochodu Pomazańca Bożego, wkraczającego w tryumfie do stolicy króla Dawida! Mężowie Wysokiej Rady! Kim jest ów mąż, że przemawia jak Elohim? Czy Mosze Rabenu przemawiał jak Elohim? Czy prorok Jesaja przemawiał jak Elohim? Chalila! Złe moce wtargnęły pod namioty Jaakowa! Lew wypadł na nas z pustyni, wilk stepowy pustoszy nasze pola, pantera czai się u progu naszego domu! Belial czyha jak ptasznik na duszę ludu, nastawia sidła i czyni łowy na potomstwo Abrahama! Jeżeli nie połamiemy sideł i nie potargamy sieci, ziemia Izraela rozpęknie się głębokim pęknięciem i rozkruszy się miałkim kruszeniem, wstrząśnie się wstrząsami

i zachwieje się jak pijana, i zadrzy jak namiot pod uderzeniami wichru, a Pan uczyni ją prózną i nagą, albowiem nie wytępiłiśmy tych, którzy przekroczyli Prawo i odmienili ustawy Pańskie, i podeptali Przymierze! Biada szaleńcom, którzy rozmiłowali się w swoim szaleństwie!

Ręce Kajafy trzęsły się jak w gorączce. Ciężko dyszał. Zdawało mu się, że dźwiga na barkach cały ciężar nieba. Bez niczyjej pomocy. Sam. Powoli uspokajały się mięśnie jego twarzy. Począł mówić ostrożnie, powściągliwie, jakby mu z trudem przychodziło dobieranie słów:

– Wiem, że wielu spośród ludu Izraela – nie tylko am haareców! – sprzyja galilejskiemu mężowi. Wiem, że wielu lewitów nieobrzezаныmi uszami słucha jego słów. Wiem, że wielu spośród czcigodnych mężów Sanhedrynu potakuje jego nauce. Wybaczcie, że zakłóciłem wasz czas przedświąteczny. Nie mogłem inaczej uczynić. Czas nagli. Niebezpieczeństwo grozi Świątyni i ludowi. Jezua ben Josef już wielokrotnie ratował się ucieczką przed karzącą ręką Prawa i tym razem mógłby się wymknąć sprawiedliwości i schronić się w dalekich krainach, w Tyrze czy Sydonie, w Cezarei Filipa czy w Dekapolu. Czy mieliśmy i teraz beczynnie przyglądać się jego ucieczce?

Twarz Kajafy rozpogodziła się. Począł mówić płynnie, z tak znamiennej dla niego swadą:

– Jednak błąd popełniają ci czcigodni mężowie Wysokiej Rady, którzy sądzą, że tylko ja i kapłani, saduceusze i trzeźwo myślący faryzeusze, oceniamy surowo działanie oskarżonego! Do was mówię, jawni i ukryci zwolennicy i obrońcy Jezuy ben Josef! Wiedźcie, że sami uczniowie zwodziciela, jego najbliżsi uczniowie, z lękiem patrzą na jego uczynki i z drzeniem słuchają jego słów, a jeden spośród nich, mąż bogobojny i prawy, Juda ben Symeon z Kerijoth, jawnie opowiedział się przeciw bluźnierczym naukom Galilejczyka, stanął przed nami, wyznał swoje grzechy i wydał go w nasze ręce, a prawdę swoich zeznań przyświadczył pocałunkiem prawdy, złożonym na policzku swojego rabiego! Wiedźcie zatem, wy, obrońcy zwodziciela, i niechaj wie cały lud Izraela od Dan do Berszeby, że nie my pierwsi wyciągnęliśmy dzisiaj ręce przeciw bluźniercy, ale pobożna ręka ze zgromadzenia jego dwunastu uczniów wyciągnęła się przeciw niemu i przywiodła go przed nasz sąd! Zaprawdę, na czasie jest święta ustawa o „nakazie godziny”, czcigodni mężowie Wysokiego Sanhedrynu!

- Odstępstwo zawisło nad Izraelem!
- Niechaj odbędzie się sąd według Horaath Szaah!
- Arcykapłan ma słuszość!
- Zwodziciel podniósł pięć przeciw Świątyni Pańskiej!

– Wezwijcie świadków!

– Wezwijcie świadków!

– Wezwijcie świadków!

Ostry głos arcykapłana wznosił się ponad wrzawę, przekrzyczał ją i stłumił:

– Wprowadźcie świadków oskarżających!

3

Weszli dwaj świadkowie – w prawodawstwie izraelskim oskarżenie przed sądem wnosili dwaj świadkowie, którzy spełniali rolę i oskarżycieli, i świadków – i nisko pokłonili się arcykapłanowi.

– Jakie jest twoje imię? – spytał arcykapłan jednego z nich, męża średniego wzrostu, nieco zgarbionego, o pochmurnym spojrzeniu.

– Baruch ben Joas.

– A twoje? – spytał arcykapłan.

– Jeftah ben Ruben – odpowiedział drugi z nich, łysy, o twarzy wyblakłej, jakby miała za chwilę rozpułnąć się w powietrzu.

– Czy rozpoznajecie w oskarżonym mężu sprawcę bluźnierstwa?

Świadkowie spojrzeli na Jezusa.

– Rozpoznaję – odpowiedział Baruch ben Joas.

– Rozpoznaję – odpowiedział Jeftah ben Ruben.

– Czy podczas wypowiedzenia bluźnierstwa przez Jezusę ben Josef byliście na miejscu grzechu?

– Byłem na miejscu grzechu.

– I ja byłem na miejscu grzechu.

– Czy widzieliście się wzajemnie na miejscu grzechu?

– Tak, widzieliśmy się.

– Tak, widzieliśmy się.

– Pamiętajcie – Kajafa podniósł wskazujący palec, na którym iskrzył się złoty sygnet – że nie wolno wam zeznawać według domysłów, przypuszczeń, podejrzeń, posądzeń i plotek zasłyszanych od ludzi postronnych, nawet wiarygodnych. To, co powiecie, będzie przez mężów Wysokiej Rady sprawdzone z drobiazgową dokładnością. Jeżeli waszymi fałszywymi zeznaniami zawinicie śmierć niewinnego człowieka, spadnie na was krew jego i całego jego potomstwa, które by w przyszłości mogło się zrodzić z jego lędźwi. Zrozumieliście?

– Tak – odpowiedzieli.

– Niechaj świadek Jeftah ben Ruben opuści komnatę Wysokiej Rady. Jeftah

wyszedł.

Kajafa lekkim muśnięciem dłoni pogładził brodę i zwróciwszy się do Barucha ben Joas począł mu stawiać pytania, cedząc wyraźnie słowo po słowie:

– W którym siedmioleciu oskarżony Jezua ben Josef popełnił zarzucane mu bluźnierstwo?

– W ostatnim siedmioleciu.

– W którym roku?

– W tym roku.

– W którym miesiącu?

– W miesiącu tebeth.

– W jakim dniu?

– W drugim dniu miesiąca tebeth. To był dzień po ostatnim dniu Święta Świąteł.

– O której godzinie?

– Była godzina szósta. Słońce stało prostopadle nad ziemią.

– W którym miejscu?

– Pod Portykiem Salomona w Świątyni Pańskiej. Kajafa oparł ręce na poręczu fotela.

– Opowiedz, co widziałeś i co słyszałeś.

Baruch ben Joas zgarbił się jeszcze bardziej, uniósł wysoko brwi i mrugał powiekami, co miało oznaczać, że stara się jak najdokładniej odtworzyć w pamięci wypadki i słowa, mówił więc powoli, od czasu do czasu przerywał opowiadanie, a wtedy powieki jego szybciej mrugały, a brwi unosiły się jeszcze wyżej.

– To był dzień po ostatnim dniu Święta Świąteł. Przyniosłem do Świątyni Pańskiej gołębie, aby je sprzedać mojemu odbiorcy na Dziedzińcu Pogan. Bo trzeba dostojnej Radzie wiedzieć, że hoduję gołębie. Jestem gołębiarzem. Człowiek musi z czegoś żyć. A gołębie jak gołębie, dużo z nimi kłopotu, a zarobek mały. Ale – niechaj będzie pochwalony Elohim – nie mogę się skarżyć. Ani ja nie cierpię głodu, ani żona moja nie cierpi głodu, ani dzieci moje nie cierpią głodu. Więc przyszedłem na Dziedziniec Pogan i szukam mojego kupca, a kupca nie ma. Jest jego pomocnik, Dawid. Pytam go: „Dawidzie, dziecko moje, kiedy przyjdzie kupiec?” A on mi odpowiada: „Czy mój pan musi na ciebie cały dzień czekać?” A ja na to: „Czy ja mu każę cały dzień czekać? Ja tylko pytam, kiedy on przyjdzie”. A Dawid na to: „Będzie za godzinę”. Byłem zmęczony. Elohim kazał tego dnia wiać gorącemu wiatrowi. Wprawdzie wszystko, co Pan zsyła, należy przyjmować bez szemrania, ale tym razem Jego wielka hojność była nieco za wielka. Czy mam w taki upał wracać z klatką do domu? Nie. Klatkę z gołębiami zostawiłem u pomocnika i poszedłem do Portyku Salomona, aby wypocząć w cieniu. Rozglądałem się i widzę, jak w niewielkiej odległości ode

mnie siedzi na ziemi kilku synów Izraela, a w środku siedzi Jezua ben Josef i przemawia do nich. Patrząc w bok i widzę Jeftaha ben Ruben. „Pokój tobie, Jeftah – mówię – widzisz?” A na to Jeftah: „Widzę”. A ja na to: „Jeżeli jeden syn Izraela przemawia, a inni synowie Izraela słuchają, to trzeba posłuchać, o czym on mówi i czego oni słuchają. Dlaczego byśmy i my nie mieli posłuchać?” Tak powiedziałem i podszedłem bliżej, a za mną poszedł Jeftah ben Ruben. Stoimy, patrzymy i słuchamy, a Jezua ben Josef – tu wskazał palcem na Jezusa – mówi, a dokoła niego siedzi kilku statecznych mężów o gniewnych twarzach, a im dłużej Jezua ben Josef mówi, tym większy jest w nich gniew. „Dlaczego oni mają gniewne twarze i oczy? – pomyślałem. – Czy jest możliwe, aby dzieci Abrahama słuchały z gniewną twarzą bogobojnej mowy?” Tak myśląc, usiadłem i słuchałem. O, Elohim! Co ja słyszałem! Co ja słyszałem! Lepiej by było, żeby moje uszy nie słyszały tego, co słyszały! Więc mówię do Jezuy ben Josef: „Rabbi, nie mów tak, bo to, co mówisz, jest grzechem i bluźnierstwem”. Ale on nie zwracając uwagi na moje ostrzeżenie mówił dalej, a uszy moje słyszały, co mówił. Spytacie, co słyszały moje uszy? – uczynił krótką przerwę. – Słyszały, jak Jezua ben Josef – tu znów wskazał palcem na Jezusa – tak mówił: „Jeżeli jesteś głodny, możesz w Szabat zrywać kłosa, jeżeli ci zimno, możesz w Szabat rozpaść ogień, jeżeli twój osioł wpadł w Szabat do jamy, możesz go stamtąd wyciągnąć, jeżeli twój przyjaciel jest chory, a mieszka daleko, idź do niego nawet w Szabat i okaż mu pomoc, nawet gdybyś miał uczynić więcej niż dwa tysiące kroków. Pamiętajcie, że człowiek nie jest dla Szabatu, ale Szabat dla człowieka. Mojżesz uczynił wielkie rzeczy, ale ja uczynię większe. Odmienię Prawo, bo mnie Elohim posłał, aby je odmienić i dać wam nowe Prawo, a kto wyznawać będzie moje Prawo i pić je będzie jak wodę, nie zazna nigdy pragnienia. Bo ja jestem woda żywa”. Tak powiedział, a potem dodał: „Ja jestem”. Tak powiedział Jezua ben Josef, a nogi moje ugięły się w kolanach. Oto jest wszystko, co słyszałem, bo potem zatkałem uszy palcami i widziałem tylko czerwone od gniewu twarze mędrców i wielkie wśród nich poruszenie. Arcykapłan zawołał:

– Elohim powiedział w świętym Zwoju Szemoth: „Przeto zachowujcie Szabat, który powinien być dla was świętością. Ktokolwiek by go znieważył, będzie ukarany śmiercią, i każdy, kto by wykonał pracę w tym dniu, będzie wyłączony z mojego ludu”.

Cisza jak gęsta chmura zawisła nad Sanhedrynem i tylko rozlegały się przytłumione stapania służących, objaśniających knoty w oliwnych lampach. Nagle dokoła rabiego Gamaliela, wielkiego faryzeusza, powstał lekki szum, jakby wiatr potrącił koronę wysokiego drzewa. Siedzący obok rabiego mężowie, dotychczas sztywni i kamienni, ożywili się, zakołysali, nachylili się ku sobie i znów powrócili do

nieruchomej postawy, którą starali się pokryć rosnący w nich popłoch. Gamaliel przemówił, a chociaż siedział w fotelu, górował barczystą postacią nad całym zgromadzeniem:

– Mądrość praorców uczy: „Kto czuje konieczność dokonania dobrego uczynku, może przekroczyć nawet przepisy Szabatu”. A potem mówi mądrość praorców: „Niekiedy unieważnienie Prawa jest umocnieniem Prawa”. Wysoki Sanhedryn sprawuje władzę nad duszą Izraela, a czcigodni mężowie, którzy w nim zasiadają, słusznie szcycą się swoim stanowiskiem, powinni więc pamiętać głos mądrości, która powiedziała ustami naszych mędrców: „Dla człowieka z sumieniem władza jest ciężarem, a nie zaszczytem”.

To powiedziawszy zwrócił się do Barucha i spytał:

– Czy Baruch ben Joas zna mężów, do których wówczas przemawiał Rabbi Jezua ben Josef?

– Nie znam.

– Czy poznałby ich na ulicy, gdyby ich spotkał?

– Może tak, może nie. Elohim stworzył tyle ludzi...

– Słusznie. Elohim stworzył niezliczoną ilość ludzi, ale każdemu dał inną twarz, aby ich można było odróżnić i poznać. Czy wielu mężów słuchało mowy Rabbiego Jezuy ben Josef?

– Nie, niewielu.

– Ilu?

– Może pięciu, może sześciu...

– Jaki to był dzień, w którym Baruch ben Joas słyszał przemawiającego Rabbiego?

– Powiedziałem już. To był dzień po ostatnim dniu Święta Świąteł.

– Od kogo dowiedział się Baruch ben Joas, że przemawiający jest Rabbim Jezua ben Josef?

– Od nikogo. Wiedziałem, że to on jest...

– Z tego wynika, że wtedy Baruch ben Joas nie pierwszy raz widział i słyszał przemawiającego Jezue ben Josef. Czy tak?

– Tak... Widziałem go i słyszałem...

– Gdzie widział go Baruch po raz pierwszy?

– Nie pamiętam.

– A gdzie go słyszał po raz pierwszy?

– Po raz pierwszy?

– Tak. Po raz pierwszy.

– Także w Portyku Salomona...

– Ile razy słyszał go Baruch w Portyku Salomona?

– Raz go slyszalem w dniu po ostatnim dniu Święta Świateł...

– To już wiemy. A przedtem?

Baruch uniósl wysoko brwi i odparł po krótkim namyśle:

– W samo Święto Świateł... Tak... W samo święto.

– W którym dniu Święta Świateł?

– Nie pamiętam.

– Czy Rabbi mówił wtedy rzeczy słuszne, nabożne, bogobojne czy bluźniercze?

– On zawsze bluźni.

– O czym wtedy Rabbi mówił?

– O czym?

– Tak. O czym?

– No, mówi ł...

– O czym?

– Mówił o Mosze Rabenu... o przykazaniach... No, bluźnił...

– Proszę mi dokładnie powiedzieć, o czym mówił. Baruch znowu uniósl brwi.

– Nie pamiętam.

– Jak to? Baruch ben Joas dobrze pamięta dzień i godzinę, i treść drugiego przemówienia Rabbiego Jeszuy ben Josef – przecież z taką bezprzykładną dokładnością, godną najwyższej pochwały, przytoczył jego słowa – a nie pamięta, którego dnia po raz pierwszy slyszal bluźnierstwa wypowiedane przez Jeszue ben Josef, ani nie pamięta, o czym on mówił, chociaż te dwa bluźniercze przemówienia oddzielone są od siebie odstępem zaledwie kilku dni? Czym wytłumaczy Baruch ben Joas brak pamięci o pierwszym przemówieniu, a tak dobrą pamięć o drugim przemówieniu?

Baruch ben Joas odrzekł:

– Jedno się gorzej pamięta, drugie się lepiej pamięta.

– Zawsze pamięta się to, co się powinno pamiętać. Nieprawdaż, Baruchu ben Joas? Ktoś krzyknął z głębi komnaty:

– To są podstępne pytania! Inny głos zawołał:

– Zaprawdę, to są pytania sprawiedliwe!

W Kajafie podniosła się zapalczywość z powodu porażki poniesionej na samym początku rozprawy. Ten Nahum! Jest mądry, ostrożny, przebiegły, a nie przygotował tego durnia Barucha na wszystkie możliwości! Powinien się liczyć z tym, że ci i inni faryzeusze będą przemawiać w obronie zwodziciela. Czyżby tej możliwości nie wziął pod uwagę? Z Gamalielom nie ma żartów! Jak on podważył prawdomówność gołębiarza! A nie miał przecież w rękach żadnych rzeczowych dowodów przeciw świadkowi! Nie szkodzi! To dopiero początek! Zresztą

Gamalielowi nie udało się obalić zeznań Barucha. Nie obalił, lecz podważył. A to nie jest jedno i to samo.

Zadośćuczynieniem dla Kajafy za tę chwilową porażkę była wciąż trwająca wrzawa, która dowodnie świadczyła o układzie sił w Wysokiej Radzie. Krzyki umocniły go w przekonaniu, że usiłowania drobnej grupy obrońców zwodziciela – wliczał do nich również garstkę milczących faryzeuszów, którzy z obawy o swoją skórę nie będą chcieli nadstawiać karku i nie przemówią w obronie oskarżonego – są znikome i nie należy z nimi się liczyć. Podniósł rękę. Wrzawa ucichła.

O głos poprosił rabbi Nikodem. Był prawdopodobnie bardzo wzburzony, bo na przekór swojej spokojnej i zrównoważonej naturze mówił szybko i szybko rzucał pytania, a każdemu pytaniu towarzyszył głęboki oddech jego piersi, który przywodził na myśl wysiłek człowieka dźwigającego ciężar przerastający jego wątłe siły.

– Czy Baruch ben Joas na pewno poznaje w Rabbim Jeszue ben Josef, owego męża, który przemawiał pod Portykiem Salomona?

Baruch odpowiedział:

– Tak. Poznaje.

– Niechaj Baruch ben Joas jeszcze raz mu się przyjrzy. Baruch spojrzał na Jezusa i rzekł:

– Tak. To on.

– Którego dnia i miesiąca widział go Baruch ben Joas przemawiającego pod Portykiem Salomona?

– Przecież już powiedziałem. Drugiego dnia miesiąca tebeth. To był dzień po ostatnim dniu Święta Świąteł.

– Jakim sposobem świadek zapamiętał ów dzień?

– I to już powiedziałem. Ale powtórzę. Jeszcze przed świętami postanowiłem pójść drugiego dnia miesiąca tebeth, to znaczy w dzień po ostatnim dniu Święta Świąteł, na Dziedziniec Pogan i sprzedać gołębie...

– O której godzinie świadek widział Jeszue ben Josef w owym dniu w Portyku Salomona? Kajafa wtrącił się:

– Świadek zeznał, o której godzinie go widział. Czyżby czcigodny rabbi nie słyszał jego odpowiedzi?

– Słyszałem, ale pragnę po raz drugi ją usłyszeć. Kajafa, zwracając się do Barucha, rzekł:

– Odpowiedz. Baruch odpowiedział:

– To była godzina szósta. Słońce stało nad głowami... Rabbi Nikodem zerwał się z fotela i zawołał:

– Dostojni mężowie Sanhedrynu! Dwudziestego szóstego dnia miesiąca kislew, w drugim dniu Święta Świąteł, Jezua ben Josef przemawiał w Portyku Salomona, po czym tego samego dnia opuścił Jerozolimę i udał się do Perei, do brodu w Bethanii, gdzie przebywał do trzeciego dnia miesiąca tebeth. Jakże zatem mógł być drugiego dnia miesiąca tebeth w Jerozolimie, w Portyku Salomona, skoro tego samego dnia o tej samej porze widziano go przy brodzie w Bethanii?!

Zerwały się krzyki:

– Dowody!

– Kto go widział?!

– Kto z nim rozmawiał?!

– Podaj jego imię, rabbi!

– Nie ukrywaj jego imienia!

– Daj dowody, że mówisz prawdę!

– Niech przemówi do nas ten, który mówił ze zwodzicielem drugiego dnia miesiąca tebeth przy brodzie w Bethanii!

Nikodem zbladł. Krople potu wystąpiły mu na czole. Bał się je obetrzeć, aby nie zwrócić uwagi mężów na zbytne podniecenie, któremu uległa jego dusza. Nie wiedział, co ma począć. Czy ma ujawnić imię Krótkowzrocznego, który mu zaufał? Czy ma prawo to uczynić? Jeżeli nie ujawni, pograży Rabbiego i siebie. Jeżeli ujawni, Krótkowzroczny rzuci mu w twarz okrutne słowo: Wiarołomca! A co gorsza, jeżeli nawet poda imię Krótkowzrocznego, on w obawie o własne bezpieczeństwo – tylko Elohim wie, co Kajafa jeszcze knuje! – może zaprzeczyć jego świadectwu. Co wtedy się stanie? Powiódł wzrokiem po mężach Sanhedrynu, po siedzących pod ścianami uczniach beth hamidraszu, po ich rabbich, i wzrok zatrzymał na Krótkowzrocznym. Przynaglony strachem, natychmiast odwrócił głowę i spojrzał w przeciwnym kierunku, starając się z niejakim powodzeniem nałożyć na twarz maskę spokoju. Stwierdził w sobie, że zagalopował się za daleko i nie powinien z taką pewnością siebie powoływać się na obecność Jezuy przy brodzie w Bethanii. Co za lekkomyślność! Co za głupota! Po co to uczynił? Po co?

Usłyszał donośny głos:

– Ja jestem rabbi Beniamin ben Dawid, zwany Krótkowzrocznym. Drugiego dnia miesiąca tebeth byłem u Rabbiego Jezuy ben Josef u brodu w Bethanii nad Jordanem.

Rabbi Nikodem spuścił powieki i ciężko oddychał. Usiadł. Usłyszał schrypnięte słowa, wychodzące z ust Kajafy:

– Po co byłeś u niego, rabbi? Nikodem wstrzymał oddech.

– Chciałem z Nim pomówić.

– O czym?

– O Jego nauce.

– Czy nauka Jezusy ben Josef jest szczególnym przedmiotem twojej ciekawości, rabbi? – słowa Kajafy pękały od nagromadzonego w nich gniewu.

Nikodem wtulił głowę między ramiona, jakby chciał ją ukryć przed czymś uderzeniem.

– Cokolwiek się dzieje w Izraelu, jest przedmiotem mojej ciekawości – odrzekł Krótkowzroczny.

Wszystkim się zdawało, że arcykapłan nie zapanuje nad sobą i da gwałtowny upust swojemu oburzeniu. Nie wybuchnął jednak, co na pewno kosztowało go wiele wysiłku, i spytał, jak mógł najspokojniej, i tylko napięte mięśnie twarzy zdradzały podniecenie jego serca:

– Co sądzisz o jego nauce?

Krótkowzroczny odpowiedział bez namysłu, z nieubłaganą swobodą:

– Nie wyrobiłem sobie o niej właściwego zdania.

Z tylnych foteli podniósł się najmłodszy członek Sanhedrynu, Johanan ben Zakkaj, i rzekł:

– Proszę dostojnego arcykapłana o uznanie Barucha ben Joas za świadka niewiarygodnego oraz o nieprzesłuchiwanie Jeftaha ben Ruben na tę samą okoliczność, gdyż wiarygodność zdarzenia musi być potwierdzona przez zgodność dwóch świadków. Ponieważ jeden z nich złożył fałszywe świadectwo, zeznania drugiego świadka nie mają dla nas żadnej wartości.

Nikodem otworzył oczy. Był uratowany.

Lekkie drżenie przebiegło po twarzy arcykapłana. Mięśnie jego policzków jak struny napięły się pod delikatną skórą. Siedzący obok niego Hanan ben Sethi kołysał potakująco głową. Kajafa rzekł oschle:

– Uznaję Barucha ben Joas za świadka niewiarygodnego i polecam wdrożyć przeciw niemu śledztwo o fałszywe zeznania. Wzywam do komnaty obrad dalszych świadków oskarżających.

Jezus przestąpił z nogi na nogę. Był zmęczony.

Rozpoczęło się powolne i żmudne przesłuchiwanie dalszych świadków oskarżających – a było ich wszystkich razem dziesięciu – którzy zeznawali o cudownych uleczeniach, dokonywanych z poduszczenia, jak twierdzili, Pełzającego, o podszywaniu się Jezusa pod miano syna Dawida, o głoszeniu przez

Niego nauk sprzecznych z ustawami Prawa, o gorszących namaszczeniach, o przypowieściach obrażających uczucia bogobojnych synów Izraela, o klątwach rzucanych na głowy faryzeuszów, o niepokojach, jakie wzniecał Galilejczyk na dziedzińcach świątynnych, o zadawaniu się z nieczystymi Samarytanami, o brataniu się z celnikami, i tak niepowstrzymanym potokiem płynęły z ust świadków zarzuty, lecz żadnemu z oskarżających nie udało się, mimo wysiłków saduceuszów, kapłanów, bogaczy i ich faryzejskich zwolenników ukuć przeciw Więźniowi zarzutu bluźnierstwa, mogącego być podstawą do wydania nań wyroku śmierci. A przemawiali przeciw Jezusowi mężowie o tęgich głowach, jak Kajafa, Hanan ben Sethi i Ismael ben Fiabi, i Symeon ben Kamith, i sagan Jonathan, spośród faryzeuszów wychowankowie i zwolennicy szkoły rabbiego Szamaja, nie mówiąc już o pomniejszych, choć równie wytrawnych mówcach i znawcach Prawa. Garstka faryzeuszów sprzyjających Jezusowi zastosowała znamienity, lecz bezpieczny dla siebie sposób obrony: nie wypowiadając się ani za nauką Rabbiego, ani przeciw niej – działali ostrożnie, z życzliwością nader zręcznie ukrytą – zajęli stanowisko czysto prawnicze i usiłowali w imię sprawiedliwości i przepisów ojców, zgodnie z Torą, badać i obalać zeznania świadków oskarżających. I rzeczywiście, świadkowie uginali się pod gradem celnych pytań Gamaliela, Nikodema, Josefa z Ramathaim, Johanana ben Zakkaj, Akabii ben Mahallalel i kilku wtórujących im faryzeuszów i po każdym przesłuchaniu stawali się pastwą ich żelaznej logiki, i odpadali jak bezużyteczne drzazgi pod niemiłosiernymi uderzeniami siekiery. obrońcy Jezusa brali górę nad Jego wrogami, mimo ich przygniatającej liczebnie przewagi. Położenie Kajafy stawało się coraz trudniejsze, wręcz bez wyjścia, zwłaszcza że po długiej i bardzo burzliwej dyskusji, podczas której dochodziło nawet do ostrej wymiany słów między zwalczającymi się stronami, przegrał ostatnią bitwę: o bluźnierstwo przeciw Świątyni. A zdawało się, że właśnie to oskarżenie będzie miało pewne szanse powodzenia. Naprzód stanęli przed Sanhedrynem świadkowie i zeznali: On powiedział: „Mogę zburzyć Świątynię Bożą i w trzy dni ją odbudować” – potem stanęli inni świadkowie i oświadczyli, że słyszeli, jak Jeszua ben Josef wołał: „Ja zburzę tę Świątynię, wzniesioną rękami ludzkimi, i w trzy dni zbuduję inną, która nie będzie dziełem rąk ludzkich”. obrońcy pytali: Jak to? Czy powiedział, że może zburzyć, czy zburzy? Przecież to nie jest jedno i to samo. Czy powiedział, że może Świątynię odbudować w trzy dni własnymi rękami, czy też powiedział, że odbuduje ją własnymi rękami, ale ona nie będzie dziełem rąk ludzkich, co jest samo w sobie oczywistą nedorzecznnością, bo skoro ją odbuduje własnymi rękami, będzie ona dziełem rąk ludzkich, bo ręce Jeszuy ben Josef są rękami ludzkimi, więc wszystko, co one działają, musi być dziełem ludzkim. Czy na podstawie tych jaskrawych

sprzeczności można zbudować akt oskarżenia, skoro jedne zeznania przeczą drugim zeznaniom, a drugie zeznania zawierają wypowiedź niezgodną ze zdrowym rozsądkiem? Z tego wynika, że Jezua ben Josef powiedział coś zupełnie innego, czego świadkowie nie rozumieją i nie umieją powtórzyć w sposób przekonujący i wiarygodny. Czy można zatem oprzeć się na tych zeznaniach i stwierdzić z niezbitą pewnością, że Rabbi targnął się bezbożną ręką na Świątynię Pańską, na Kodesz Hakodeszim, na mieszkanie Jahwe na Świętej Górze?

Cisza zapanowała w komnacie. Mężowie – pomijamy w tej chwili ich przekonania i stanowiska – podzielili się na dwa obozy. Jedni postanowili przywołać na pomoc swoją popędliwość, drudzy natomiast chłodne opanowanie, jedni bowiem mądrość upatrywali w popędliwości, a drudzy w opanowaniu, i jak to zawsze bywa, ilekroć ludzie sięgają do najdroższego skarbu udzielonego im przez Boga, do mądrości, wszyscy uważali, że mają ją w sutym nadmiarze, niezależnie od tego, czy objawia się ona w gwałtownych podskokach myśli, czy w powolnym ich biegu. I nagle wybuchła wrzawa, bo popędliwi nie mogli już dłużej utrzymać na wodzy namiętności, a opanowani – opanowania. Karcące krzyki, skargi, szyderstwa, potępienia, potwarze, oszczerstwa, pochwały, objawy uznania, podziwu, pogroźki, błogosławieństwa, klątwy – wszystko to zlewało się z sobą, kłębiło, kotłowało. Tej wrzawy Kajafa nie słyszał. Zamknął się w sobie. Robił w myślach rachunek strat i zysków. Rachunek był łatwy. Zysków nie miał żadnych. Przegrał kolejno dwie bitwy. Niezgodność zeznań świadków była tak jawna i wymowna, że na podstawie ich oświadczeń Sanhedryn nie może wydać wyroku skazującego. Całe z takim trudem i tak umiejętnie budowane oskarżenie rozpadło się jak szałas stawiany ze zbutwiałych gałęzi. Zawiedli świadkowie, wybrani i pouczeni przez Nahuma. Ale czy z tego wynika, że całą winę za klęskę ponosi tylko Nahum? Nahum zrobił, co mógł. A któż mógł przewidzieć, że kilku faryzeuszów stoczy zaciętą walkę ze świadkami w imię jakiejś mglistej praworządności, jakby chodziło tu tylko o oderwaną od rzeczywistości sprawiedliwość, a nie o los całego ludu Izraela! Powinni wiedzieć, że niekiedy należy sprawiedliwość poświęcić dla ratowania wartości większych niż sprawiedliwość! Zapomnieli o tym w szaleństwie gonitwy za urojoną prawdą! Prawda! Co to jest prawda?! Czy prawdą może być taka wartość, która godzi w święte istnienie narodu? Arcykapłan nie spodziewał się tak zaciętego i zwartego oporu. Czyżby ci nieliczni zwolennicy Jezuy ben Josef mówili się przed posiedzeniem? Czy to jest możliwe? Czy jest możliwe, by całe natarcie było z góry obmyślane? Wnioskując z wypowiedzi faryzeuszów, wydaje się, że nieliczna garstka spośród hillelitów – ale co za głowy! – jest za zwodzicielem, a cała reszta wraz z szamaitami jest przeciw niemu. Kajafa był na siebie wściekły. Obowiązkiem jego

było wszystko przewidzieć i z góry unieszkodliwić nędzną zgraję szczekających pyszałków! Obowiązkiem... obowiązkiem... Ale jak miał to uczynić? Jak? Czy miał zawezwać do siebie tych kilku głupców i ostrzec ich...? Powoli... powoli... Gamaliel ani Nikodem, ani ich stronnicy nie są głupcami... Dobrze, nie są głupcami. Są mędrkami. Zatem jak miał ostrzec mędrków? Co miał im powiedzieć? Żeby milczeli dla dobra ludu? A skąd mógł przewidzieć, że Gamaliel tak przemówi, jak przemówił? Był przekonany, że ostrożny Nikodem ust nie otworzy. O Josefie z Ramathaim i innych znakomitych mężach faryzejskich w ogóle nie pomyślał. Sądził, że w obronie Jezusy przemówią pomniejsi spośród faryzeuszów. Takie płotki jak Krótkowzroczny. Jakies nieopierzone młokosy. W każdym razie nie spodziewał się przemówienia wielkiego Gamaliela. A wystąpienie Nikodema! To był cios! Tak! Przegrał bitwę! Przegrał! Przegrał! Kajafa poczuł się tak, jakby wpadł we własne sidła. Był bezsilny. A ponieważ bezsilność – arcykapłan nie lubił być bezsilny – zawsze poniżała go we własnych oczach, począł siebie usprawiedliwiać, a całą winę za klęskę zwał na Nahuma, i tak długo zwał ją na wiernego sługę, aż sam się z winy oczyścił, a jego uczynił odpowiedzialnym za przygotowanie nieudanej rozprawy. I ze złością patrząc na bladego Nahuma, stojącego pod ścianą, z trudem wykrztusił formułę uznającą niezgodność świadectwa świadków, oskarżających Jezusę ben Josef o zamach na Świątynię Pańską. Jeszcze nie skończył wypowiadać ostatnich słów, gdy z rozpaczliwą wyrazistością uzmysłowił sobie, że nie ma już żadnych nadziei na zwycięstwo, że na pewno teraz podniesie się Nikodem lub Josef z Ramathaim, a może nawet i sam Gamaliel i postawi wniosek o uniewinnienie zwodziciela. A wtedy? Wtedy Jezua ben Josef będzie uniewinniony! Uniewinniony! Uniewinniony! Uniewinniony! Krew uderzyła mu do skroni. Wszelkimi sposobami musi ratować zagrożony lud Izraela! Z zamętu, który ogarnął jego głowę, wyłoniły się obrazy, od których widoku mrok przed jego oczami stawał się jeszcze mroczniejszy. Ujrzał Jezusę ben Josef bezkarnie wygłaszającego mowy na dziedzińcach świątynnych, we wszystkich synagogach w kraju, dokonującego cudownych uzdrowień i wskrzeszeń i wreszcie – obwołującego się Pomazańcem, zesłanym przez Elohim! Izrael chwyci za broń! Wybuchnie powstanie przeciw znienawidzonym Rzymianom, którzy krwawo je stłumią. Ujrzał Świątynię w płomieniach i las krzyżów wzniesionych na wszystkich drogach, prowadzących do Świętego Miasta. Krew krzyczała w jego żyłach: „Chmurzy się gniew Pana nad córą Syjonu! Stracona jest na ziemię wspaniałość Jaakowa! Zniszczone są pastwiska proajców! Połamane są rogi Izraela!” W Kajafie wzbierało przerażenie. W Kajafie wzbierała wściekłość. W Kajafie wzbierała rozpacz. Jezua ben Josef musi być winien! Musi! Musi! Hiobie! Hiobie! Miałeś słusność! „Gdybym nawet był

niewinny, Elohim udowodni mi moją nieprawość!” O, daj mi, Panie, tę mądrość, daj Twojemu niegodnemu słudze!... Daj!...” Pod zamkniętymi powiekami ujrzał przeraźliwą jasność. Przecież we wszystkich zeznaniach świadków, niezależnie od tego, jak były sformułowane, powtarzał się nieustannie jeden obraz: nowej Świątyni zbudowanej przez zwodziciela! Odnowiona Świątynia jest znakiem czasów mesjańskich! Czyżby ten człowiek uważał się naprawdę za Mesjasza?! Powoli, z trudem podniósł się z fotela i ku zdumieniu wszystkich mężów Sanhedrynu podbiegł – kroki jego jak grzmot dudniły po mozaikowej posadzce – do stojącego na środku komnaty Więźnia i...

5

Kajafa, stanąwszy naprzeciw Jezusa, całym ciałem pochylił się ku Niemu i nie odrywając oczu od Jego oczu, zapytał:

– Czy ani jednym słowem nie odpowiesz, Jeszuo ben Josef, co znaczą te zarzuty, jakie ci czynią?

Jezus milczał.

– Milczysz? – spytał Kajafa. Jezus milczał.

– Nic nie masz do powiedzenia? Nic? Jezus milczał.

Kajafa cofnął się o krok, podniósł obie ręce – a były w tym geście i rozpaczliwe błaganie, i groźba – i zawołał głosem tak potężnym, jakby to nie był głos ludzki, ale łoskot skrzydeł aniołów zagłady, unoszących się nad Doliną Kości:

– Zaprzysięgam cię na Boga Żywego, abys nam powiedział, czy ty jesteś Mesjasz, Syn Boga błogosławionego?!

Zbliżała się Pełnia Czasu. Jezus powinien teraz ujawnić Nieujawnione, to wszystko, co przed czasem dokonało się na obszarach pustki i bezładu, gdy Pan, unoszący się nad wzburzonymi wodami, porodził ze swojego macierzyńskiego łona, z krwawiącej jaskini Światło Pierworodne, Syna swojego, a chociaż ten Syn był Nim samym, nazwał to swoje Synostwo, w odróżnieniu od swojego Ojcostwa, Synem Człowieczym, gdyż już wtedy tęsknił za wcieleniem i pragnął zostać Człowiekiem, więc w nazwie nadanej swojemu Synostwu tę tęsknotę w sposób dobitny wyraził, upamiętnił i przypieczętował.

Zbliżała się Pełnia Czasu. Powinien teraz powiedzieć to, czego nie powiedział ani swojej matce, ani apostołom, ani cudownie przez siebie uleczonym kalekom i chorym, ani Eleazarowi, którego wskrzesił z martwych. O, ileż razy pragnął im to ujawnić i zawsze cofał się, odwlekał tę chwilę, odsuwał ją w przyszłość dalszą i bliższą, wciąż czekając na czas właściwy i naznaczony.

Zbliżała się Pełnia Czasu. Powie im teraz, że przyszedł od Wiekuistego, na obłokach niebieskich – wciąż nie mógł się wyzbyć skłonności do obrazowego sposobu mówienia – i otrzymał od Niego na własność ludy, a granice świata na swoją posiadłość. Zdruzgotuje je żelazną laską i skruszy je jak gliniane naczynie, i uczyni je podnóżkiem swoich nóg. Będzie najwyższym spośród najwyższych, królem i kapłanem w jednej osobie, On, powstały jak rosa przed jutrzeńką! Dane Mu są władza i chwała, i królestwo, a wszystkie narody, plemiona i języki będą Mu służyć, a panowanie Jego będzie wieczne i nigdy nie przeminie ani nie ulegnie zagładzie.

Na wypukłym czole Jezusa, jak na wierzchołku wysokiego drzewa w porę zachodu słońca, pełgał czerwono-złoty blask, bijący od oliwnych lamp. Mówił powoli, gdyż z nadludzkim wysiłkiem przełamywał w sobie wewnętrzny opór, który był tak silny, że wciąż jeszcze wstrzymywał Go od złożenia zeznania. Rzekł, ociągając się:

– Choćbym wam powiedział, nie uwierzycie, a choćbym spytał was, jakim prawem mnie sądzicie, nie odpowiecie.

Kajafa nieustępliwie napierał:

– Powiedz nam, czy ty jesteś Mesjasz, Syn Boga błogosławionego?

Jezus otworzył usta, rozkrzyżował ręce i jakby chciał zrzucić z siebie gniotący Go od bezczasu ciężar słów, a wraz z nim i człowiecze ciało, w którym teraz tkwił jak w rozpalonym do białości piecu, rzekł z wyraźną, nieomal radosną ulgą:

– Atha amartha. Powiedziałeś. Niebawem ujrzycie Syna Człowieczego siedzącego po prawicy Mocy Bożej i przychodzącego na obłokach nieba.

Cisza.

Zrozumieli.

Ten syn cieśli z Nazarethu, ten wędrowny kaznodzieja, ten włóczęga bratający się z celnikami i nierządnicami uważa się za Mesjasza, za Syna Człowieczego ze świętych widzeń proroka Daniela, za Syna Bożego, za Pierworodnego Jahwe, zrodzonego przed czasem, jak to Pan objawił i zapowiedział w Psalmach! On, królem-kapłanem według porządku Melchisedeka, wyższy od wszystkich arcykapłanów i kapłanów, wyższy od Aarona! On, nędzny zwodziciel, natchniony przez Pełzającego, wyższy od Josefa Kajafy! On, galilejski am haarec, panem i władcą Świątyni! Właścicielem dziesięcin świątynnych! Biada jego ręce wyciągniętej przeciw kapłaństwu! Biada samozwańczemu królowi! Biada fałszywemu synowi Jahwe! Biada bluźniercy, człowiekowi z krwi i ciała, który mianuje się równym Bogu! Biada! Biada! Biada! Huragan przeszedł przez komnatę. Zerwali się z miejsc. Huk wywracanych foteli i ław, spluwania i gwizdy mieszały się z jękiem starców

lamentujących nad widomą obrazą Pana, a wszyscy krzyčili wielkim krzykiem, którym chcieli zagłuszyć słowa zwodziciela, wciąż jeszcze trwające w ich uszach, a potem palcami wytrząsali bluźnierstwo z uszu i zatykali je palcami, bo bali się, że mogą jeszcze usłyszeć coś, od czego ich piersi przestaną oddychać, a serca uderzać. Połączeni szaleństwem gniewnego żywiołu, kołem otoczyli Jezusa i Kajafę, wyrzucali ku górze ręce, bili się w piersi, jakby czuli się współodpowiedzialni za bluźnierstwa, które słyszeli, obejmowali dłońmi głowy i kołysząc się, i płacząc, rozpaczali nad zgubą wiszącą nad Jeszurunem. Bali się porywczosci Pana i Jego zapalczywego działania. Bali się zbiorowej odpowiedzialności przed obliczem Jahwe, bo znali zamiłowanie Pana do wymierzania kary całemu narodowi za zbrodnię drobnej garstki zatwardziałyich grzeszników. W tym sensie czuli się współodpowiedzialni i współwinni za grzechy jednostki. Więc zapewniali Pana donośnym głosem, że będą Jego tarczą i obroną, że osłonią Go przed bezbożnikiem, że nie pozwolą, aby ręka męża upadku sięgała po tron Dawida. Błagali zazdrosnego Pana o wyrozumiałość i cierpliwość, o łagodność i miłosierdzie dla grzesznego narodu, który pozwolił spośród siebie wyrósć chwastom ciernistym, wołali, aby nie karał całego ludu za odstępstwo wielu, aby nie wysuszył ziemi ani nie wstrząsnął górami, aby nie wylał swojego rozgoryczenia na niewinnych winowajców – a oni przecież wszyscy są niewinnymi winowajcami! – aby ich majątności nie wydał na łup wroga, ich żon i córek na pohańbienie, a ich domów nie splugawił spustoszeniem!

Gamaliel, Nikodem, Josef z Ramathaim i inni faryzeusze, którzy bronili Jezusa, milcząc, bezradnie stali na środku komnaty, a chociaż nie wymieniali między sobą słów, jednocześnie i zgodnie zdali sobie sprawę z tragicznego obrotu sprawy: Jezua ben Josef swoim trudnym do zrozumienia oświadczeniem całkowicie się pogрузzył i nie ma już takiej siły ludzkiej, która by zdołała ugasić namiętność mężów i przywieść ich do chłodnego opamiętania. Nic tu już nie pomoże powoływanie się na prawo, według którego nie wolno karać oskarżonego na podstawie jego własnych zeznań, żadne nawoływanie do rozsądku nie odniesie skutku ani żadne tłumaczenie, że Jezua nie popełnił bluźnierstwa, bo mówiąc to, co powiedział, nie wymienił Imienia Pana, a przecież nie ma bluźnierstwa, jeżeli bluźnierca nie wypowie świętego Imienia w Jego pełnym brzmieniu. Stało się coś, czego nie można odwrócić, stłumić rozwagą, coś, co zepchnęło na dalszy plan wszystkie ustawy, przepisy, kodeksy, nawet samo Prawo. Śmiertelnie została ugodzona wyobraźnia Izraela. Tak nie może objawić się Mesjasz! Tak nie może objawić się urzeczywistniona nadzieja wybranego ludu! Taki nie może być Syn Jahwe! Jezuy ben Josef nie uda się już uratować. Wszystko stracone. Któż zdoła powstrzymać potop oburzenia? Któż zdoła okiełzać gniew ludzi, których widzenie przyszłości zostało boleśnie zranione? Jezua

ben Josef złożył wyznanie tak wstrząsające – czekał na nie od niepamiętnych czasów cały Izrael, cały Izrael czekał na te słowa, które teraz padły z ust Rabbiego! – że trudno je objąć myślą ludzką, nawet najbardziej wytrawnym rozumem, nawet najbardziej śmiałym natchnieniem. Gamaliel nie mogąc dać sobie rady z wątpliwościami, które go gryzły, zastanawiał się, co by o tym wszystkim powiedział jego mądry dziadek, rabbi Hillel, gdyby tu był obecny – oby Elohim wiecznym błogosławieństwem obdarzył jego duszę! Kochał go. Jakże go kochał! Kochał go więcej – niż własnych rodziców – ale niestety, łagodny i wyrozumiały dziadek wypoczywał w zaświatach po trudach życia, a jego następcą, korona i światło Jeszuruna, w biednej bezsilności stał pod ścianą w zgromadzeniu krzyczących i błąkał się jak zbłąkany wędrowiec po bezdrożach coraz bardziej niezrozumiałych wypadków. Dlaczego nie zjawili się na rozprawie uczniowie Jeszuy ben Josef? Powinni tu przyjść, stanąć przed Sanhedrynem – według ustawy ojców każdy syn Izraela ma prawo zjawić się w sądzie i przemówić na korzyść oskarżonego! – i zeznać w obronie swojego nauczyciela! Dlaczego tego nie uczynili? Bali się? Czego? Bali się bronić nauczyciela, którego należy, według przykazania, kochać więcej niż ojca? Cóż to za uczniowie, którzy uciekli, pozostawiając Rabbiego na pastwę wrogów? Czyżby stchórzyli? Tchórze uczniami Mesjasza? Mali, bojaźliwi ludzie o sercach płochliwych ptaków – uczniami Pomazańca Bożego? A czy mądrość ojców nie twierdzi, że obrazem nauczyciela są jego uczniowie? Czy jest możliwe, aby Syn Człowieczy, Pierworodny Jahwe, otaczał się gromadą małodusznych uczniów? Gamalielowi pociemniało w oczach. Oparł się o ścianę. Gęsta chmura zasłoniła mu pole widzenia. Co było za chmurą? Nie wiedział. Potarł ręką twarz. Nie ma tu już nic więcej do szukania. Jest niepotrzebny. Szepnął do stojącego obok Nikodema:

– Niech się dzieje wola Adonaj. Sanhedryn, który wydaje wyrok śmierci nawet raz na siedem lat, jest Sanhedrynem zagłady.

I wyszedł.

Za nim wyszli Nikodem, Josef z Ramathaim i kilku faryzeuszów.

6

Kajafa odniósł zwycięstwo. Tryumfował. Był panem położenia. Nie miał potrzeby na kogokolwiek się oglądać czy z kimkolwiek się liczyć. Postanowił więc dokonać zwyczajowego aktu i przypieczętować nim winę Jeszuy ben Josef. Serce jego biło z gorączkową niecierpliwością. Policzki płonęły. Całe życie i wszystkie dostatki oddałby za tę jedną chwilę, którą teraz przeżywał. To, o czym marzył od dzieciństwa, stało się radosnym dokonaniem. Był ramieniem Jahwe i tarczą Izraela.

Wreszcie zrozumieją dzieci Abrahama, kim jest i jakie jest jego prawdziwe oblicze, dlaczego przekupił prokuratora, dlaczego pochylał przed nim głowę, dlaczego został arcykapłanem, dlaczego z takim wielkim nakładem pracy stworzył zastęp szpiegów i donosicieli, dlaczego przez tyle lat z samozaparciem znosił upokarzające zwierzchnictwo teścia, dlaczego spędzał bezsenne noce na żarliwych modlitwach, dlaczego wciąż dźwigał, mimo okrutnego zmęczenia, święte brzemie władzy na swoich barkach. Czy ma teraz powiedzieć tym mężom, że wielokrotnie zamierzał rzucić z siebie arcykapłańskie posłannictwo, ale Elohim za każdym razem przemawiał do niego niczym do drugiego proroka Jeremijahu i uczynił go murem spiżowym i warownym przeciw niewdzięcznemu ludowi, tej nierządnicy, która rękami zwodziciela chciała złamać jarzmo Pańskie i rozerwać błogosławione powrozy?! Na pewno działał niekiedy zbyt pochopnie, na pewno nie przebierał w środkach walki, posługiwał się nawet kłamstwem, podstępem i fałszywym świadectwem! Wszystko to czynił dla obrony Pana i dla Jego chwały! Czy ma o tym powiedzieć tej zgrai podłych zazdrośników?! Nic im nie powie! Spełnił obowiązek wobec El Szaddaja, a El Szaddaj wynagrodził hojnie swojego sługę za wierność. Błogosławiony niech będzie Bóg Izraela, że uczynił go swoim karzącym ramieniem. Moc Pana wstąpiła w Josefa Kajafę i zawołał:

– Mężowie Izraela! Niechaj zapanuje wśród was cisza! Woźni krzyknęli:

– Słuchajcie głosu arcykapłana! Cisza! Cisza! Cisza! Wrzawa ucichła.

Kajafa, patrząc Jezusowi prosto w oczy, podniósł obie dłonie, przyłożył je do szyi, do wykroju tuniki, i nagłym ruchem na znak żałoby i bólu rozdarł fałdzistą szatę aż do pasa, opasującego potrójnym zwojem jego biodra, i krzyknął głosem, od którego zadrżały mury pałacu:

– Zbłąźnił!

Krzyknęli rozpaczliwie:

– Zbłąźnił!!!

I zatkali uszy.

A gdy palce od uszu odjęli, usłyszeli słowa arcykapłana, który ściskając kurczowo w zaciśniętych dłoniach brzegi rozdartej tuniki wołał:

– Słyszeliście bluźnierstwo! Na co potrzeba nam jeszcze świadków?! Wszyscy jesteśmy świadkami! Co sądzicie, mężowie Izraela?

Krzyczeli:

– Zasłużył na śmierć!

– Należy mu się śmierć!

– Winien jest śmierci!

– Winien jest śmierci!

– Winien jest śmierci!

– Ukamienować!

– Ukamienować!

– Winien jest śmierci!

Grzmot ust arcykapłana zagłuszył wrzawę:

– Baruh Haszem! Niechaj będzie pochwalone Imię Pana! Jezua ben Josef z Nazarethu winien jest śmierci!

Stało się.

Kajafa usiadł.

Mężowie Sanhedrynu zaczęli powracać na swoje miejsca, a niektórzy spośród nich, ci najbardziej zaciekli i zagorzali saduceusze, faryzeusze ze szkoły rabbiego Szamaja, wychowankowie Hananidów wraz ze sługami Kajafy, zgrzytali zębami, a gdy ślepa wściekłość wzięła w nich górę nad resztkami rozsądku, otoczyli Jezusa ciasnym pierścieniem – barczyści siepacze arcykapłana, bohaterowie ulicznych piosenek, dobrze znali krwawą robotę, bo już niejedną raz rozprawiali się z nieposłuszną judejską biedotą – i pluli Mu w twarz, zakrywali Mu oczy i krzyczeli: – Prorokuj, proroku, kto cię uderzył! – bili Go po głowie, piersiach, plecach, okładali Go pięściami, kopali, wreszcie odstąpili od swojej ofiary i ciężko dysząc, i wycierając rękawami mokre od własnych plwocin brody, z zadowoleniem przyglądali się skopanemu i oplutemu Mężowi, który śmiał twierdzić o sobie, że jest Synem Bożym! Dobrze mu się stało! Każdy ich cios był dowodem, że Pomazańcem nie jest! Niechaj teraz twierdzi ten strzęp posiniaczonego ciała, że Pan uczynił go swoim umiłowanym wybrańcem!

Jezus z trudem podniósł się z ziemi. Usiłował się wyprostować. Dotknął podbitego oka. Wytarł twarz. Spojrzał na palce. Pozostały na nich krople tężejącej krwi, która ciekła z Jego nosa. Odgarnął zlepione potem włosy i pomyślał, że na to wszystko, co się stało, czekał od bezczasu, że wreszcie zaczyna się miłosierne cierpienie, tak bardzo upokarzające, a zarazem tak bardzo radosne. Wreszcie nie miał postawy ani urody, wreszcie nie miał postaci nadobnej, wreszcie był wzgardzony, opuszczony przez ludzi, oplwany, sam, sam jeden, w samotności najbardziej samotnej, strzęp ciała, mąż, przed którym odwraca się twarz i którego ma się za nic. Był szczęśliwy. Był tak szczęśliwy, że nawet nie czuł uciskającego Go powroza, który Mu strażnicy nałożyli na rękę.

Wyprowadzili Go z komnaty.

Zeszli schodami na dziedziniec.

Świtało.

Mężowie Sanhedrynu czekali w milczącym napięciu na głos arcykapłana, który siedział zgarbiony, głowę opierając na ręce. Mimo odniesionego zwycięstwa nie opuszczała go troska, która jak kornik toczący drzewo coraz głębiej wżerała się w jego serce. Tak, Sanhedryn uznał winę Jezuy. Sanhedryn... Sanhedryn... Czy cały Sanhedryn? Gamaliel, Nikodem, Josef z Ramathaim wraz z garstką faryzeuszów nie tylko wyrazili odmienne przekonania – gdyby nie oni, nikt by nie ośmielił się obalić wiarygodności świadków i Jezua zostałyby bez trudu, na podstawie ich zeznań, skazany na samym początku rozprawy – ale w rozstrzygającej chwili opuścili komnatę obrad, uszczuplając swoją nieobecnością już i z nimi niepełny skład Wysokiej Rady. Kajafa nieznacznie, z wyraźnym smutkiem poruszał głową. Zawsze, ilekroć rozważał sprawę Jezuy, chodziło mu o jednomyślność ludu, o jednomyślność kapłanów, o jednomyślność Sanhedrynu, o ducha zgody, aby cały Izrael wiedział, że nikt spośród rozsądnych i pobożnych mężów nie opowiedział się za galilejskim włóczęgą. Tę walkę przegrał. Chyba sam szatan przed chwilą kazał mu się weselić z powodu odniesionego zwycięstwa. Kto powiedział, że to jest zwycięstwo? Czy taki jest szczyt jego życia? Czy na ten właśnie dzień czekał przez całe życie? Czy tak ma wyglądać urzeczywistnienie jego marzeń? Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Od dłuższego czasu ponosił same klęski. Naprzód sprzeciw Nikodema, potem bunt lewitów, teraz, zbyt pośpiesznie działając, zwołał Sanhedryn i nie umiał przygotować oskarżenia tak, jak powinien je przygotować. Szybko tkana tkanina łatwo pęka. I pękła. Tych dziur nie zdoła załatać. Josef z Ramalhaim, Gamaliel, Nikodem, Krótkowzroczny i ich sprzymierzeńcy obalili konieczność zwołania sądu nadzwyczajnego i wykazali kłamliwość zeznań świadków. Tak, gdyby nie jego wystąpienie – sam Elohim przemówił jego ustami! – zwodziciel byłby uniewinniony. Wrzask kilkudziesięciu saduceuszów, kapłanów i faryzeuszów, stwierdzających, że Jezua ben Josef jest winien śmierci, nie zagłuszy oburzenia zwolenników zwodziciela, jeżeli Sanhedryn skaże go na śmierć na podstawie jego własnych zeznań. To jest niezgodne z Prawem. A poza tym zwodziciel bluźniąc, nie wypowiedział Imienia Pańskiego. Nie wypowiedział. Kajafa był zbyt dobrym znawcą Prawa, by nie wiedzieć, że popełnił bezprawie. Co powie na to wszystko lud? Po ludzie pójdzie wieść, że Sanhedryn, chociaż uznał winę Jezuy, podzielony jest w swoich sądach o jego winie. Będą plotkować i bająć o rozłamie w Sanhedrynie! O głosach podzielonych! O świadkach fałszywych! O świadkach odrzuconych! Będą krzyzczeć, że wina Jezuy nie została stwierdzona na podstawie zeznań świadków

oskarżających, ale własnych zeznań oskarżonego! Będą pytali: „Czy wolno skazać oskarżonego na podstawie jego własnych zeznań? Czy bluźniąc, wypowiedział pełne Imię Pana Zastępów? Jeżeli nie, to jakim prawem Sanhedryn wydał na niego wyrok śmierci? A czy po bluźnierstwie arcykapłan ostrzegł go, że popełnił bluźnierstwo, i czy po tym ostrzeżeniu bluźnierca powtórzył po raz drugi swoje bluźnierstwo? Jeżeli nie, to jakim prawem Sanhedryn skazał Galilejczyka na śmierć? Czy tak wolno sądzić? Czy tak wolno sądzić nawet w sądzie zwołanym według Horaath Szaah?” A potem padnie z ust ludu najgroźniejsze pytanie: „Cóż to takiego zeznał przed Sanhedrynem Jezua ben Josef, że mężowie Wysokiej Rady skazali go na śmierć? Że jest Mesjaszem? Synem Bożym? Czy to jest bluźnierstwo?” Kajafa wiedział, że fałszywy mesjasz Jezua ben Josef jest niebezpieczeństwem i nieszczęściem Izraela, ale to, co fałszywy mesjasz powiedział o sobie, trudno uznać według Prawa za bluźnierstwo. Tak, rozdarł szatę i krzyczał: „Zbluźnił!”, czy mógł jednak inaczej zapobiec nieszczęściu, które Jezua gotuje Izraelowi? Tak, to był mądry gest, który podzielał jak grom na całe zgromadzenie Sanhedrynu – a o to mu przecież chodziło – czy był to jednak gest uzasadniony Prawem? Unieszkodliwił tym gestem Gamaliela, Nikodema i innych sprzyjających zwodzicielowi mężów, rozjuszył przeciw niemu saduceuszów, kapłanów, faryzeuszów, mimo to ten gest był pustym gestem i niczym więcej. Z mrocznych rozmyślań wyrwały Kajafę gromkie okrzyki:

- Przystąpmy do głosowania!
- Poddaj pod głosowanie wnioski o karę śmierci!
- Głosujmy!
- Niech będzie skazany na ukamienowanie!
- Na ukamienowanie!
- Na ukamienowanie!

Hanan ben Sethi pochylił się ku Kajafie i rzekł:

- Na co czeka mój dostojny zięć?

Najmłodszy syn Hanana, Hanan Młodszy, zawołał:

– Niechaj dostojny arcykapłan zarządzi głosowanie! Protokolanci spojrzeli na Kajafę.

Kajafa zakrył twarz dłońmi i pomyślał z rozpaczą: „Wyrok wyrokiem, ale jest jeszcze coś, czego nie przewidziałem, a co jest gorsze od bezprawnego wyroku: Jak ja z tym wyrokiem pójdę do prokuratora? Jak ja, arcykapłan Świątyni Pańskiej, strażnik wiary Izraela, będę żądał od nędznego poganina potwierdzenia wyroku wydanego przez Sanhedryn w obronie Jahwe? Czy kiedykolwiek zdarzyło się w dziejach Izraela, aby poganin, barbarzyńca, pieczętował wyrok o bluźnierstwo przeciw Panu Zastępów? Nieobrzezaniec? Wyznawca kamiennych bogów, którzy nie mają

w ustach oddechu? Wyznawca ohydy? Śmietników? Nicości? O, Elohim, jak ja mogłem tego nie przewidzieć! O, Elohim, jak ja mogłem o tym, zapomnieć! O, Elohim, dlaczego poraziłeś moją pamięć gromem, a moje myśli paralizem?!”

Mężowie krzyczeli:

- Jezua ben Josef winien jest śmierci!
- Ukamienować go!
- Ukamienować go!
- Błuznierca powinien umrzeć!
- Niechaj arcykapłan zarządzi głosowanie!
- Na co arcykapłan czeka?

Kajafa zerwał się. Rzeczywiście uderzył w niego grom. Ale to nie był grom porażający. To był grom cudownego olśnienia. W głowie jego zrodziła się myśl – błogosławiona i natchniona – która tygrysim skokiem runęła na ofiarę.

– Mężowie Izraela! – krzyknął. – Jezua ben Josef winien jest śmierci, ale...

Umilkł.

Sanhedryn zamarł w oczekiwaniu.

Kajafa, obracając powoli sygnet na palcu, rzekł nieomal obojętnym głosem:

– Otwieram ranne posiedzenie Sanhedrynu i zarządzam tajność obrad.

Trzecie zaparcie się Kefasa

Przez czas trwania rozprawy sądowej Kefas i Johanan ben Zebadia nie opuszczali dziedzińca, gdyż wciąż mieli nadzieję, że będą mogli czegoś się dowiedzieć o przebiegu obrad. Ich wysiłki okazały się płonne. Nikt spośród sędziów i przysłuchujących się rozprawie mężów i młodzieńców nie wyszedł z komnaty. Siedzieli więc w cieniu portyku na dziedzińcu, w miejscu najmniej widocznym, rzucali ostrożne spojrzenia na pierwsze piętro, gdzie toczyły się obrady, i z biciem serca śledzili ruch przy drzwiach, gdzie mógł zjawić się jakiś sługa sądowy z dobrą lub złą wieścią. Nie mieli dobrych przeczuć. Znajac sposób działania Kajafy, nie wyobrażali sobie, aby z drapieżnych pazurów pozwolił sobie wyrwać ofiarę, na którą długo i z uporem polował. Mimo to nie opuszczała ich błoga nadzieja – obaj nie chcieli się do niej głośno przyznać – że Rabbi, który chodził po jeziorze, wskrzeszał umarłych, wzrok przywracał ślepym, a zdrowie trędowatym, dokona teraz cudu, gromami rozpędzi Sanhedryn – dopuszczali nawet radosną możliwość trzęsienia ziemi i deszczu siarczanego, spadającego z nieba – i stanie na dziedzińcu w szacie białej jak śnieg, promieniującej osłepiającym blaskiem, jak wtedy, na Troistej Górze... Już byli gotowi uśmiechnąć się do tego radosnego obrazu, gdy wtem ujrzeli

wyłaniających się z mroku Gamaliela, Nikodema, Josefa z Ramathaim i kilku mężów, którzy nie odpowiadając na pozdrowienia służby, zasępieni i pochmurni, szli w milczeniu ku bramie. Kefas i Johanan, zapomniawszy o grożącym im niebezpieczeństwie, zerwali się i pobiegli za mężami. Gdy znaleźli się na środku dziedzińca, przystanęli, gdyż poczuli na sobie spojrzenia sług i strażników, grzejących się przy ognisku. Johanan spokojnym krokiem wrócił do krużganka, w opiekuńczy mrok, Kefas natomiast, który biegnąc za Gamalielom i jego towarzyszami znacznie wyprzedził Johannana, przystanął w pełnym świetle pochodni i ogniska. Wtem z bocznego skrzydła pałacu wyszło kilku strażników, którzy przyjrzeni się bacznie Kefasowi, a jeden z nich – a był to krewny Malchusa, któremu rybak obciął ucho – zawołał:

– Ty! Czy ja ciebie nie widziałem razem z twoim rabbim w Geth Szemanim? Na to Kefas odpowiedział:

– Nie mogłeś widzieć, bo mnie tam nie było. A drugi krzyknął:

– Nie kłam! Na pewno z nim byłeś! Przecież jesteś Galilejczykiem! Kefas zdrętwiał.

– Człowieku – zawołał. – Nie wiem, o czym mówisz! Podeszli do Kefasa.

– Ale my wiemy, co mówimy – rzekł jeden z drabów o grubych wargach. – Na pewno jesteś jednym z jego uczniów!

A drugi, krępy młodzik zawtórował swojemu towarzyszowi warczącym głosem:

– My mówimy, co wiemy! Jesteś Galilejczykiem! Twoja mowa cię zdradza. Przeczyć umiesz, ale wymowy nie potrafisz zmienić.

A na to Kefas położył rękę pod biodro i zawołał:

– Przysięgam, że nie znam tego człowieka, o którym mówisz! Przysięgam! Klnę się, że mówię prawdę!

I tak przysięgając i zaklinając się, i zapewniając strażników o swojej niewinności, głośnym wołaniem i wymowną gestykulacją rąk starał się ich przekonać, że nie zna Jezusy ben Josef, i już przygotowywał w głowie dalsze dowody swojej niewinności, gdy rozległo się pianie koguta, który przeraźliwym wrzaskiem wypełnił cały widnokrąg, ziemię pogrążoną w mroku i niebo szarzące na wschodzie. Kefas umilkł. Jego półotwarte usta jeszcze się poruszały, jeszcze wychodziły z nich jakieś nieskładne dźwięki. Szklanym spojrzeniem wodził po twarzach sług i strażników, po ognisku, po rozjaśniającym się szybko niebie. Chętnie by zatkał uszy, aby uwolnić się od koguciego piania, bał się jednak, że gestem tym zdradzi przed strażnikami związku łączące go z piekielnym wrzaskiem, który szarpał i rozdzierał jego wnętrze. Spojrzał ku krużgankowi szukając Johannana ben Zebadia, i – spostrzegł Rabbiego idącego pod strażą przez dziedziniec. Cofnął się. Chciał krzyknąć. Zamiast głosu

wyrwał się z jego gardła chrypiący bełkot. Wpatrzył się w posiniaczoną twarz Męża – ich spojrzenia spotkały się przez ułamek chwili – w Jego obrzękłe wargi i zakrwawioną brodę. Wrósł w ziemię. Zmartwiały. Z trudem pokonując drętwość i opór ciężkiego jak głaz ciała, odwrócił się i pobiegł przez dziedziniec – słyszał za sobą śmiech strażników i sług – minął bramę i począł uciekać w głąb pustej ulicy.

Zatrzymał się. Wtedy łzy napłynęły mu do oczu, wypełniły je po brzegi, zasłoniły mu widzenie całego świata i Symeon ben Jona, skała niegodna i krucha, zapłakał rozdierającym płaczem.

Ranne posiedzenie Sanhedrynu

Podczas gdy w lochu piwnicznym, znajdującym się pod pałacem arcykapłana, strażnicy wśród śmiechów i naigrawań znęcali się nad Jezusem, Kajafa, otwierając ranne posiedzenie Sanhedrynu, zarządził tajność obrad i polecił opuścić komnatę i piętro wszystkim nie należącym do Wysokiej Rady: nauczycielom i uczniom beth hamidraszu, wychowankom rabbich i mędrców, gościom, protokolantom, sługom i strażnikom. Na dole, na schodach prowadzących na dziedziniec, stanęło na straży dwóch, najbardziej zaufanych ludzi sagana, a na górze przy kotarze oddzielającej komnatę od korytarza czuwał sam Nahum, człowiek o stu oczach i stu uszach.

– Otwieram tajne posiedzenie Wysokiej Rady – zaczął przemówienie Kajafa – i zaprzysięgam was na najświętsze Imię Pana Zastępów, że cokolwiek tutaj powiemy, nie będzie przez was nikomu ujawnione ani za pomocą słów, głośno wypowiedzianych lub napisanych stylikiem lub innym narzędziem pisarskim, ani za pomocą gry waszych twarzy, ani za pomocą gestów waszych rąk, a jeżeli ktokolwiek z was mimo zaprzysiężenia opowiadać będzie o tym, co tutaj teraz powiemy, niechaj będzie na wieki wieków przeklęty, on i jego synowie, i synowie jego synów. Powiedzcie każdy z osobna „amen”.

– Amen – odpowiedzieli, a trwało to dłuższą chwilę, bo spełniając żądanie arcykapłana, każdy z nich z osobna, po kolei, pieczętował słowem „amen” wierność przysiędze.

Kajafa, zapewniwszy sobie milczenie członków Sanhedrynu – dobrze znał ich trwogę przed klątwą – przemówił tymi słowami:

– Dostojni mężowie, nikt z was nie pamięta, aby kiedykolwiek Sanhedryn rozpatrywał oskarżenie o bluźnierstwo przeciw Bogu Najwyższemu, a nawet ojcowie naszych ojców nie przekazali nam wspomnienia o podobnym zdarzeniu. Jeżeli o tym mówię, czynię to dlatego, aby wyjaśnić czcigodnym mężom – może nie wszyscy spośród was są obeznani z trudnymi przepisami narzuconymi nam przez

władzę rzymską – dalszy bieg postępowania prawnego. Otóż po głosowaniu i wydaniu wyroku będziemy zmuszeni udać się do prokuratora i prosić go o zatwierdzenie werdyktu skazującego Jezusę ben Josef na śmierć przez ukamienowanie za bluźnierstwo przeciw Elohim, przeciw chwale Pana, albowiem bez zgody Poncjusza nie wolno nam wykonać żadnej uchwały sądowej w sprawie gardłowej, nawet jeżeli dotyczy ona naszej świętej wiary. Zatem po głosowaniu i wydaniu wyroku – niechaj uszy czcigodnych mężów będą szeroko otwarte, a trzeźwy rozsądek towarzyszy ich słuchaniu! – pójdziemy do pretorium, postawimy skazanego przed prokuratorem i tak do niego powiemy: „Tego zwodziciela uznaliśmy winnym kary śmierci, kary surowej i najwyższej, bo bluźnił przeciw naszemu Bogu, uważa się za równego Jahwe Cebaoth, twierdzi, że jest Synem Człowieczym, Synem Boga, równym Bogu, królem wywyższonym nad Świątynię i kapłanów. Potwierdź nasz wyrok, bo chcemy go wykonać według naszego prawa przez ukamienowanie”. Ponieważ tak powinniśmy powiedzieć, zastanówmy się nad trudnym zagadnieniem, czy mądrze będzie, jeżeli tak powiemy. Zapytajmy więc teraz samych siebie, czy stanąwszy przed prokuratorem mamy mu powiedzieć, że uznaliśmy Jezusę ben Josef winnym śmierci z powodu bluźnierstwa przeciw Jahwe. Co wie prokurator o Jahwe Cebaoth? Co wie prokurator o Bogu żywym? Czy wie, kim jest Pan? Czy wie, kim jest Syn Człowieczy? Czy kiedykolwiek czytał święte Zwoje proroka Daniela? Zecharii? Zwoje Psalmów? Czy zna nakazy i zakazy naszych ojców? Czy mamy zatem udać się do poganina, do wroga Izraela, do nieczystego wyznawcy kamieni – ten poganin całą wiedzę o naszej wierze czerpał z brudnych pism szczekającego szakala, Apiona!

– i prosić go o potwierdzenie wyroku, który wydaliśmy w obronie naszej wiary, w obronie Boga Jedyneego, Boga Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, El Szaddaja? Jeszcze dotychczas nie było w naszych dziejach wypadku, aby nieczysty mąż był tarczą Jahwe, i nikt w dziejach naszych nie słyszał, aby poganin wydawał wyrok w obronie czystości wiary Jeszuruna! Co powie na to lud?! Czy nie zawoła na nas: „Zdrajcy!”? A czy my sami, czcigodni mężowie, nie domagaliśmy się od Rzymu, aby nie mieszał się do naszej wiary, do życia świątynnego, do naszych nabożeństw, ofiar i obrzędów? Czy nie prosiliśmy cesarza, by zapewnił samodzielność Świątyni i zabronił prokuratorom przemawiania we wszystkich sprawach dotyczących nauki o naszym Bogu? A teraz mamy przyjść do prokuratora i powiedzieć mu: „Mieszaj się w sprawy naszej wiary! Potwierdź nasz wyrok, który jest zgodny z Pismem Świętym! Z Psalmami! Ze Zwojami proroka Daniela! Z nauką naszych praocjów! Ze Słowem Bożym! Ze Słowem Jahwe!” Czy tak mamy powiedzieć do wyznawcy nieczystości? Czy tak mamy powiedzieć, czcigodni mężowie?

Umilkł. Z zadowoleniem ujrzał wstydlive zakłopotanie na twarzach całego zgromadzenia.

Odezwały się głosy:

– Zaprawdę, trudna to sprawa!

– Co powinniśmy uczynić?

– Jak mamy postąpić? Kajafa odpowiadając, rzekł:

– Czy Jezua ben Josef nie powiedział, że jest Mesjaszem? Powiedział, że jest Mesjaszem. Mesjasz jest królem Izraela, królem Jerozolimy. A czy jedynym władcą naszym nie jest cesarz Tyberiusz, imperator Rzymu? Kto zatem przywłaszcza sobie tytuł królewski w Imperium Rzymskim, musi być sądzony według Lex Iulia, przewidującego karę śmierci przez ukrzyżowanie za obrazę majestatu cesarskiego – Kajafa mówił teraz szeptem, ale wyraźnie słyszalnym w całej komnacie. – Pójdziemy zatem do prokuratora i powiemy: „Ten się mianuje królem Jerozolimy, królem Judei, i buntuje lud Izraela przeciw cesarzowi. Ty jesteś prokuratorem Judei i rządzisz w imieniu cesarza, a ten odmienia jego nieodwołalną wolę, wszczyna niepokoje w kraju i czyni się królem Judei. Czy prokurator Judei może pobłażać przestępcy, który się uważa za władcę Judei? My jesteśmy prawomyślnymi poddanymi cesarza. Osądź Jezuję ben Josef według prawa rzymskiego”. Tak powiemy, a prokurator – niech spróbuje go uwolnić!

Jeszcze bardziej zniżył głos:

– Wątpię, czy dawny zwolennik Sejana uwolni od winy i kary galilejskiego buntownika, który przywłaszczał sobie tytuł królewski!

Z ostatnich foteli odezwał się głos:

– Co będzie z wyrokiem Sanhedrynu? Przecież musimy wydać wyrok... Kajafa odpowiedział:

– Musimy wydać wyrok? Wyrok? Jaki wyrok? Czy było głosowanie? Nie było żadnego głosowania, nie było żadnego wyroku. Było tylko przesłuchanie, podczas którego Sanhedryn stwierdził, że Jezua ben Josef winien jest śmierci, ponieważ podaje się za króla Judei. Czy my możemy wydać wyrok w obronie majestatu cesarza? Nie. Z tego wniossek, że powinien być sądzony przez trybunał rzymski według zasady *crimen laese maiestatis*, wskutek czego umrze przez ukrzyżowanie, a nie przez ukamienowanie, śmiercią haniebną, na krzyżu, śmiercią niewolnika, śmiercią pogańską z rąk pogan, i stanie się z nim tak, jak napisane jest w świętym zwoju Dewarim: „Przeklęty od Boga jest ten, który wisi na drzewie”. I ta śmierć pogańska fałszywego mesjasza będzie ostrzeżeniem dla całego Izraela.

Kajafa skończył, a mężowie Sanhedrynu wyrazili podziw dla jego mądrości i w zapale ducha wynosili pod niebo przemyślność męża, umiającego przewidywać

w proroczej dalekowzroczności każdą trudność, której oni dostrzec nie umieli. Kiwali głowami na zgodę i wymieniali między sobą wymowne spojrzenia, którymi dawali wyraz zaufania dla wybrańca Bożego, wiernego stróża Świątyni. Na głowę arcykapłana spadł złoty deszcz pochwał, a podziały one odświeżająco na jego ducha jak zapach mięty i przeniosły go w wysokie przestrzenie, do zbrojowni niebieskich, gdzie Pan przechowywał swoją niezawodną broń, spośród której wybierał w zależności od tego, co zamierzał przedsięwziąć, najcelniejsze łuki i najhartowniejsze miecze. Tam ujrzał siebie w postaci miecza spoczywającego w dłoni Jahwe. W kilku słowach, z umiarkowaną serdecznością podziękował Sanhedrynowi za wyrażenie, jak to pochwlebco określił, mądrej zgody i zamknął posiedzenie. Zatrzymał przy sobie Hanana ben Sethi, byłych arcykapłanów, sagana, przedstawicieli możnych rodów, kilku kapłanów, kilku faryzeuszów – zauważył ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu, że przedniejsi hillelici, a nawet szamaici niepostrzeżenie ulotnili się z komnaty, co było oczywistym dowodem, że nie chcą iść do prokuratora i oskarżać syna Izraela o spisek przeciw Rzymowi i mimo wszystko niezastąpionego Nahuma i udał się z nimi do biblioteki, i tak przemówił do swojego sekretarza:

– Sadzę, że teraz lepiej i zręczniejsz spieszysz się niż poprzednim razem. Nie czas na porachunki. Jest już ranek. Trzeba się śpieszyć. Zbliży się błogosławiony Pesach. Słuchaj uważnie, Nahumie, co do ciebie mówię, a wy, czcigodni mężowie, z równą uwagą słuchajcie, co mówię do Nahuma. Wyślesz natychmiast do prokuratora posłańca-szybkobiegacza z wiadomością, że ja i przedstawiciele Wysokiej Rady zjawimy się w pretorium i oskarżać będziemy Jeszucę ben Josef, przestępcę. Zwołaj całą służbę domową, strażników, urzędników, mężów zaufanych, a gdy Galilejczyk pod strażą prowadzony będzie do pretorium, niechaj oni wszyscy wielkim tłumem ruszą za nim, a ty idź na ich czele i gromadź dokoła siebie przechodniów, których po drodze napotkasz. Obojętnie kogo. Kto się nadarzy. Niech będą wielkie tłumy! Olbrzymie tłumy! Morze tłumów! Niech pomstują przeciw zwodzicielowi! Weź z sobą kilku kapłanów. Krzyczcie, a tłumy niech powtarzają wasze krzyki. Rozgrzejcie ich gorącość. Rozpalcie ich serca. Niech ich wściekłość będzie jak wściekłość zranionego lwa. Niech ich twarze, krzyki, ruchy rąk i spojrzenia ich oczu będą jak pochodnie gorejące. Gdy staniecie na placu przed pretorium, my – tu wskazał ręką obecnych – będziemy tam na was czekać, a wy wołajcie przed naszym obliczem i przed obliczem prokuratora: „Śmierć temu, kto się mianuje królem Judei! On podburza nasz lud! Zabrania płacić podatki cesarzowi!” I znów rozgrzej gorącość tłumów. Rozpal ich serca. Niech to nie będą krzyki! Niech to będzie wielki pożar! Idź...

Nahum wybiegł.

Kajafa klasnął w dłonie.

Wszedł służący.

– Przygotuj natychmiast lektyki dla mnie i dla czcigodnych mężów.

Gdy służący w pośpiechu oddalił się, Kajafa, arcykapłani, kapłani, faryzeusze i przedstawiciele możnych rodów udali się na dziedziniec. Arcykapłan, schodząc po marmurowych schodach, pomyślał: „Tłumy... wielkie tłumy... morze tłumów... cały Izrael...” Ale natychmiast przypomniał sobie słowa Mojżesza, własnoręcznie zapisane przez niego w świętym Zwoju Szemoth: „Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści i nie dołożysz ręki, aby z niesprawiedliwymi ludźmi świadczyć na korzyść bezprawia. Nie łącz się z wielkim tłumem, aby wyrządzić zło”. Zmarszczył brwi i podniósłszy głowę do nieba wyszeptał w swoim wnętrzu: „To dla Pana, nie dla mnie, Mojżeszu, nasz nauczycielu”. I, nie czekając na odpowiedź proroka, wsiadł do lektyki.

Jezus przed sądem prokuratora

1

Muchy natrętnie siadały na posiniaczonej twarzy Jezusa, na Jego mokrym czole i zlepionej krwią brodzie. Mrużąc spuchniętą powiekę, starał się bezskutecznie uwolnić zaczerwienione oko od nadmiaru łzawienia. Mieszkańcy okolicznych domów, zwabieni krzykami tłumu i idących na jego czele Nahuma i kapłanów, wychodzili na ulicę i przyglądali się niecodziennemu pochodowi, zmierzającemu w kierunku pretorium. Niepomierne zdziwieni widowiskiem – cóż takiego popełnił ten człowiek, że sądzić go będą u progu święta Pesach? – wzdychali, współczując ofiarom bezbożnika, inni obojętnie wzruszali ramionami, a jeszcze inni zdjęci ciekawością biegli za tłumem – a tłum coraz bardziej rósł, bo przyłączali się do niego idący o świcie na targ przekupnie, tragarze, domokrażcy i nieodstępni gapie i żebracy – aby się czegoś dowiedzieć o pochodzeniu i przestępstwach więźnia, który przecież musi być nie byle jakim zbrodniarzem, skoro prowadzi go w powroczach uzbrojona w pałki straż Sanhedrynu! Wielu uległo rozczarowaniu, bo mimo okrzyków Nahuma i kapłanów nie mogli dociec, na czym polega przestępstwo Jezusy ben Josef. Niektórym imię to nie było obce. Słyszeli o galilejskim rabbim, który w cudowny sposób leczył chorych i kaleki, a nawet wskrzesił człowieka umarłego. Widząc teraz owego cudotwórcę, obitego i pokrwawionego, nie mogli skojarzyć sobie jego ze wszech miar nędznego i pożałowania godnego wyglądu z błogosławionym dobroczyńcą ludzi. Patrzyli na jego posiniaczoną twarz i chwiejne

kroki i z niedowierzaniem kiwali głowami. A może to nie on? Pochód wszedł w wąskie uliczki Górnego Miasta, gdzie mimo wczesnej pory było rojno i tłoczno. Strażnicy z trudem torowali drogę pochodowi w natłoku kupców i kupujących, straganów, osłów, wielbłądów i owiec, ulicznych cukierników, piekarzyków dźwigających kosze z praśnymi plackami, garncarzy i farbiarzy, pielgrzymów włączających się po mieście. Tłum dokoła Jezusa falował, przystawał, na przemian gęstniał i rzedniał, ludzie przynaglani przygotowaniami przedświątecznymi, zaspokoiwszy chwilową ciekawość, rozchodzili się, każdy do swoich zajęć, większość z nich ciągnęła do Świątyni Pańskiej, gdzie od wczesnego świtu dokonywano uboju jagniąt przeznaczonych na stół sederowy, i tylko gawiedź łasa widowiska nieodstępnie towarzyszyła pochodowi i podniecona okrzykami Nahuma, kapłanów i służby Kajafy zgodnie im wtórowała, drwiąc i naśmiewając się z więźnia. Złorzeczyli mu, nie wiedząc, za co mu złorzeczą, przeklinali go, nie wiedząc, za co go przeklinają, wołali przeciw niemu, ponieważ inni przeciw niemu wołali.

Jezus szedł powoli, z trudem, w coraz bardziej przybierającym upale, który zmieszany ze swądem przypalonego mięsa, z wonią skwierczącej oliwy, czosnku, korzennych przypraw, ludzkiego i zwierzęcego potu unosił się jak gęsta zawiesina nad wąską uliczką. Bolał Go policzek, bolała rozcięta warga, bolało Go łzawiące oko, a dłonie mocno związane powrozem ścierpły i zsiniały. Czuł na sobie setki oczu, a były wśród nich spojrzenia zdumione, pogardliwe, przychylne, przeszywające na wylot, obojętne, nienawistne, współczujące, bezlitosne, miłosierne, przerażone i drwiące, przygasłe i starcze, żarliwe i zimne, jasne i pochmurne, uwielbiające i odrzucające, a wśród nich było czyjeś spojrzenie, inne od wszystkich innych spojrzeń, błękitniejsze od błękitu, łagodniejsze od łagodności, a zarazem wypełnione bezgraniczną boleścią. Dobrze Mu było z tym spojrzeniem, które, spoczywało na Nim, albowiem mimo swej rozpaczliwej wymowy kładło się na Nim jak chłodny cień figowca i spływało jak kojący balsam na Jego opuchniętą twarz, na spoczone czoło, na przeciętą wargę, na zlepioną krwią brodę, na związane dłonie, brało Go w posiadanie i zanurzało w sobie jak w uzdrawiającej kąpieli. Znikało poczucie okrutnej samotności. Już, już, podnosił głowę, aby ciepłym spojrzeniem podziękować tym błękitnym oczom za ich matczyne strażowanie, gdy nagle drgnął i pochylił się, jakby pragnął ukryć się przed wzrokiem Miriam. Gdy po chwili wyprostował się, Jego twarz była kamienna, ścięta nieprzystępną powagą, odrzucająca wszelką pomoc. Nie chciał zrzec się najmniejszej drobinę ze swojej samotności. Chciał być samotny do ostatecznych granic samotności, albowiem w godzinę męki samotność Jego na równi z Jego męką były warunkiem oczyszczenia człowieka z grzechu. Nie wolno Mu było korzystać z niczyjego oparcia, które w jakikolwiek sposób mogłoby

ulżyć Jego udreć, pomniejszyć ją, ułagodzić, ukoić. Zaprawdę, było to zaskakujące, nieomal drwiące zjawisko! Trwając wiecznie w samotności i jedyności, zawsze uważał za konieczne wyjść poza ich nienaruszalny i zaklęty krąg i dlatego tęsknił za swoim ucieleśnieniem, On, sam jeden i niepodzielny, tęsknił za wielością, więc pragnął być obficie rozdzielany między ludzi, a teraz, gdy wreszcie nasycił się swoim cielesnym istnieniem i rozdał się ludziom, warunkiem ich podniesienia uczynił swój powrót do samotności i jedyności, do tego zaklętego kręgu, z którego ongi wyruszył na świętą Przygodę. I tak wyniszczając się i ogołacając, pustosząc się i ścierając na proch, zmierzał do swojego ostatecznego celu.

A Miriam, stojąc w tłumie, patrzyła przez łzy za oddalającym się Synem, który nie chciał jej dostrzec.

2

Gdy Jezus, strażnicy, Nahum, kapłani i ciągnący za nimi motłoch znaleźli się na placu przed pałacem króla Heroda Wielkiego, gdzie urzędował prokurator, Kajafa otoczony świtą znajdował się już na miejscu. Plac był przestronny, wykładany gładkimi kamiennymi płytami – był to lithostrotos, Judejczycy nazywali go po hebrajsku gabatha – z widocznymi na nich rysunkami gier, wyrytymi przez rzymskich żołnierzy, którzy tutaj podczas służby, dla skrócenia dłużącego się czasu, grali w „króla” i warcaby. Kajafa badawczym wzrokiem obrzucił zbliżający się pochód i stwierdził, że ciągnący za więźniem tłum jest wprawdzie wcale liczny, głośny i napastliwy, ale nie tak liczny, jak tego pragnął. Zaprawdę, trudno było spędzić o świcie olbrzymie tłumy na gabatha, skoro tego dnia cały naród Izraela czyni ostatnie przygotowania do święta, rozpoczynającego się dzisiaj wieczorem. A zajęć jest bez liku! Zabijanie jagniąt w Świątyni, gromadzenie zapasów żywności, wypiek przaśników, post pierworodnych synów, witanie krewnych i znajomych przybywających do Świętego Miasta! Jak można wśród tych wszystkich zajęć i obowiązków, w nastroju pobożnej radości i wytężonej pracy – w ten dzień wielu jeszcze pracowało do południa przy warsztatach, na okolicznych polach, w ogrodach i sadach – spędzić niezliczone tłumy na plac przed pretorium! Niewątpliwie nie wszystko dzieje się po jego myśli. Niewątpliwie wiele ogni w zgrabnie ukutym przez niego łańcuchu raz po raz rwie się i pęka. Pierwotnie zdawało mu się, że więząc Jeszue ben Josef w przeddzień Pesachu i stawiając go przed Poncjuszem, w czasie gdy setki tysięcy pielgrzymów wypełniło szczelnie Jerozolimę, nada niesłychany rozgłos całemu zdarzeniu, które miało być w swoich subtelnych założeniach odstraszeniem ludu od zwodzicielstwa i od sprzeciwiania się

kapłaństwu, co właściwie jest jednym i tym samym grzechem, bo każdy, kto sprzeciwia się kapłaństwu, jest zwodzicielem. Ukuta przez niego broń obróciła się przeciw niemu. Nie przewidział okoliczności wynikających z świątecznego, uroczystego nastroju ludu oraz z trudności biorących swój początek w pośpiechu – ten błąd uzmysłowił sobie dopiero podczas posiedzenia Sanhedrynu – jaki nadał całej sprawie. Tak, ten pośpiech mści się. W nim tkwi źródło jego wszystkich trudności i niepowodzeń. Gdyby nie chęć szybkiego, natychmiastowego działania, która opanowała go, gdy dowiedział się o zdradzie tego przeklętego Judy z Kerijoth, wszystko potoczyłoby się znacznie korzystniej. Tak... tak... – pocieszał się już nie wiadomo po raz który – przecież Jezua ben Josef mógł uciec z Jerozolimy. Musi teraz wszelkimi sposobami powiązać pęknięte ogniwa łańcucha i doprowadzić walkę z Jezua ben Josef do pomyślnego zakończenia. Ufał swojemu rozsądkowi, chytrkości, wiedzy prawniczej, umiejętności logicznego przekonywania, a poza tym miał w zanadrzu niezawodną broń, która zmusi prokuratora do poddania się: zastraszenie. Znów spojrzął na tłum. Jest spory, chociaż nie jest nieprzejrany. Zresztą ilu ludzi może pomieścić ten plac przed pretorium? Pół tysiąca? Tysiąc? Tak czy owak, gdyby był nawet wypełniony po brzegi, byłby to tylko znikomy ułamek całego ludu Izraela. Ostatecznie nie chodzi o ilość. Tłum jak tłum. Zawsze ma jedną twarz. Niezależnie, czy jest to tłum mały, czy wielki. Nikt nie odróżni twarzy od twarzy. Nie chodzi o twarz. Najważniejsze jest, aby tłum miał jedno usta, aby krzychał zgodnymi okrzykami, aby uniósł się zgodnym gniewem, aby szalał zgodnym oburzeniem. W tym wypadku ilością tłumy jest jego zgodność. I arcykapłan ujrzał w podniosłym zachwyceniu cały lud Izraela, zgromadzony na placu przed pretorium, a w tłumie tym byli również wszyscy synowie Izraela zamieszkali za granicami Ziemi Świętej, ci z Aleksandrii, Aten, Cylicji, Cypru, Rodos, Efezu i z dalekiego Rzymu, i oni wszyscy jak jeden mąż krzycheli jednymi, zgodnymi i szeroko otwartymi ustami: „Ukrzyżuj!” Kajafa z taką lubością pograżył się w wytworze swojej wyobraźni, że uwierzył w to, czego nie widział, chociaż równocześnie nie wątpił o urojonym charakterze zjawiska, które przeżywał z niezwykłą mocą.

Gdy pochód przystanął, arcykapłan w otoczeniu byłych arcykapłanów, kapłanów, wybranych saduceuszów i faryzeuszów, i przedstawicieli możnych rodów wysunął się na jego czoło i wszyscy razem powoli zbliżyli się do marmurowych schodów, prowadzących do pałacu Heroda, gdzie przywitał ich dowódca straży pałacowej:

– Witaj, dostojny arcykapłanie. Witajcie, czcigodni kapłani.

– Pokój temu domowi – rzekł arcykapłan. – Ja i przedstawiciele ludu Izraela przybyliśmy do dostojnego prokuratora Judei, aby wnieść skargę przeciw mężowi,

który się zowie Jeshua ben Josef.

– Prokurator Judei, uprzedzony przez twojego gońca, dostojny arcykapłanie, czeka na ciebie i przedstawiciele ludu w komnacie przyjęć.

– Powiedz twojemu panu, dowódco, że ja i przedstawiciele ludu nic możemy przyjąć tego zaproszenia, gdyż wiara nasza zabrania nam wchodzić u progu uroczystego święta Pesach pod dach domu zamieszkałego przez innowierców, dlatego prosimy prokuratora Judei, aby zechciał wyjść na schody pałacu i tutaj wysłuchać naszej skargi.

– Słowa twoje przekażę prokuratorowi Judei, szlachetny arcykapłanie – odrzekł dowódca i wrócił do pałacu.

Od pustyni ciągnęły podmuchy chamsinu. Fale gorącego wiatru zalewały miasto. Na widnokręgu góry Moabu pokryły się żółtą mgłą. Powietrze gęstą mazią spływało na ludzi, burzyło ich krew i podniecało ich serca.

Juda z Kerijoth, który stał w tłumie, naciągnął na czoło płócienne nakrycie głowy. Gdyśmy się z nim rozstali przed pałacem Kajafy, miał rozpocząć nowe życie. Był – tak sądził – człowiekiem wolnym. Zamierzał udać się do Dolnego Miasta, aby znaleźć dla siebie izbę. Po drodze przystanął i prawdopodobnie radość z odzyskanej wolności, która nim przed chwilą owładnęła, poczęła odpływać, bo bez zastanowienia wrócił do pałacu arcykapłana. Po co wrócił do pałacu? Po co wszedł do komnaty rozpraw? Coś go ciągnęło do Jeshuy ben Josef. Ofiarnik nie mógł rozstać się ze swoją ofiarą. Słyszał zeznania świadków, oświadczenie Rabbiego, widział rozdarcie szat arcykapłańskich, widział znęcanie się nad Więźniem. Potem powłókł się za motłochem idącym do pretorium. Chciał uciec. Nie mógł.

3

Prokurator, założywszy ręce na piersiach, przechadzał się po krużganku pałacowym. Okrągła fontanna bijąca na dziedzińcu chłodziła rozpalone powietrze szerokim wachlarzem wody o pawich barwach. Poncjusz niewiele spał tej nocy. Żona wciąż go budziła i w sposób niesłychanie zagmatwany opowiadała mu swoje sny, i próbowała na gorąco tłumaczyć ich znaczenie. Niewiele zrozumiał z niewieściej paplaniny. Zresztą w sny nie wierzył. Uważał je na równi z bogami i z całym światem nadprzyrodzonym za urojenia ciemnych głów, co zresztą nie przeszkadzało mu wierzyć w boskie pochodzenie Augusta i julijskiej dynastii i dawać temu publicznie czołobitny wyraz. Nie odnajdywał w tym żadnej sprzeczności. Olimp nieśmiertelnych bogów jest pusty. Ale nie jest pusty Palatyn cesarów. Prawdziwi bogowie są zawsze śmiertelni.

Zwyczajem urzędników imperium wstał o świcie. W rozdrażnionym, cierpkim nastroju zasiadł na lithostrotos, na krześle kurulnym, celem osądzenia dwóch opryszków – nie chcąc przeciążyć się pracą, rozprawę przeciw mordercy, rozbójnikowi i hulace imieniem Har Abba przesunął na po świętach – i po krótkiej naradzie sądowej, bez szczególnych dochodzeń, skazał ich na karę śmierci przez ukrzyżowanie. Wyrok miał być wykonany w południe. Właśnie opuszczał lithostrotos, gdy przybył posłaniec od Kajafy z wiadomością o buntowniku – zwie się Jezua ben Josef – którego starszyzna jerozolimska oskarża o jakieś zbrodnie i domaga się usilnie od prokuratora natychmiastowego osądzenia i ukarania złooczyńcy. Poncjusz był rozdrażniony. Pustynny wiatr przyprawił go od samego rana o ból głowy i mdłości, świadczące mimo silnej budowy prokuratora o jego nadmiernej wrażliwości, którą zresztą lubił się głośno chełpić. Chętnie by posłał tych Judejczyków wraz z ich arcykapłanem, kapłanami i pyskatą zgrają uczonych do wszystkich piekieł. Czego od niego chcą? Co znowu knują ci podstępni obrzezańcy? Kogo mu tu przyprowadzą? O, jak nie lubił z tymi ludźmi rozprawiać! Ich sposób myślenia był mu tak obcy i obmierzły, że nawet gdy mówili mądrze, słusznie, przekonywająco, wzbudzali w nim żywiołowy opór i niechęć. Trudno. Musi ich przyjąć. Skoro żądają sądu, musi sprawować sąd. To jego obowiązek. Jest prokuratorem. I oto teraz, czekając na jerozolimskich dostojników, przechadzał się w cienistym kruzganku i starał się sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach słyszał imię Jezuy ben Josef. Na pewno słyszał. Przez ogród szli dowódca straży i sekretarz. Przystanął.

– Już są? – spytał.

– Tak jest, panie – odpowiedział dowódca straży.

– Wprowadź ich do komnaty przyjęć – rzekł do sekretarza.

– Panie – odpowiedział sekretarz – Judejczycy nie chcą wejść do pretorium, albowiem wiara zabrania im wchodzić przed świętem pod dach domu innowierców.

– Rozumiem. Jesteśmy nieczyści. Jeżeli nie chcą wejść, to po co do mnie przyszli? Odpraw ich. Niech przyjdą...

Prokurator przypomniał sobie ostrzeżenie cesarskie, aby unikał zatargów z Judejczykami, szanował ich zwyczaje i nie mieszał się do ich obrzędów, więc nie dokończywszy zdania dodał z pogardliwą niechęcią:

– Dobrze, wyjdę do nich. Wezwij dwóch asesorów i doradcę prawnego – podniósł dłoń. – Posłuchaj... Kim jest właściwie ten oskarżony? Nazywa się Jezua ben Josef. Wydaje mi się, że imię to już kiedyś słyszałem. Przypomnij mi.

– Przed kilkoma dniami powiadomiłem cię, panie, o uroczystym wjeździe pewnego męża do Jerozolimy i o wypadkach, które spowodował na Dziedzińcu

Pogan. Tym mężem jest właśnie Jezua ben Josef. To jest wędrowny nauczyciel. Twierdzą, że jest cudotwórcą, jasnowidzem, zaklinaczem chorób. Rzekomo kogoś wskrzesił w Bethanii. Potem tłum zgotował mu uroczyste powitanie pod murami Jerozolimy. Potem napadł na kupców na Dziazińcu Po...

– Tak... Tak... – przerwał mu prokurator – przypominam sobie... Poprawił pas na biodrach.

– Co jeszcze wiesz o tym nauczycielu?

– Nic nie wiem, panie.

– O jego nauce?

– Niestety...

– Czego kapłani chcą od niego?

– Nie wiem, panie.

Zasępił się. Brew nad jego prawym okiem nieco się podniosła. Poczęła w nim wzbierać złość na ciemnych kapłanów, którzy przychodzą w jakiejś tajemniczej sprawie, a on o niej nic z góry nie wie. Jego grube, mięsiste policzki nadeły się, jak gdyby miały za chwilę pęknąć. Nierówne czoło zmarszczyło się. Kątem oczu podejrzliwie spojrzął na sekretarza i dowódcę straży. Czyżby zawiódł jego wywiad? Potarł zbolące skronie.

4

W ogrodach królewskich chamsin trzepotał palmami. Poncjusz odziany w togę z purpurowym szlakiem w otoczeniu sześciu liktorów cum fascibus et securibus, asesorów, doradcy prawnego i sekretarza zatrzymał się na tarasie w cieniu wachlarzy ze strusich piór na wysokich bambusowych tykach, którymi rytmicznie i powoli poruszali nad jego głową syryjscy niewolnicy. W odległości kilku kroków od prokuratora stali półkolem Kajafa i jerozolimscy dostojnicy, po przeciwnej zaś stronie Jezus pod strażą. Poncjusz zmrużył oczy i z wyraźną obojętnością przyjrzał się więźniowi, a nie znalazłszy w nim nic, co by mogło wzbudzić jego ciekawość poza widocznymi śladami pobicia, które nie zrobiły na nim wrażenia, zwrócił się do Kajafy – wszyscy zauważyli, że prokurator naprzód spojrzął na więźnia, a dopiero potem na Kajafę, co Judejczycy natychmiast uznali za świadomą zniewagę arcykapłańskiej godności – i powitał go w języku greckim, tonem poufałej wyższości:

– Witaj, arcykapłanie, w moich progach.

– Pokój tobie i temu domowi – odpowiedział po grecku Kajafa.

– Cóż sprowadza do mnie dostojnego arcykapłana o tak niezwyklej porze, w dniu nastania uroczystego święta Pesach? – spytał uśmiechając się złośliwie.

– Sprawa, która jest ważna zarówno dla ciebie, panie, jak i dla nas – natarł z miejsca arcykapłan.

Prokurator warknął:

– Dla mnie?

I pomyślał: „Ten Judejczyk jest bezczelny, czyni mnie współnikiem swoich matactw”. Kajafa, jakby czytał myśli prokuratora, rzekł z naciskiem:

– Na pewno więcej spraw nas łączy, niż dzieli.

I nie chcąc wprowadzać Poncjusza w zakłopotanie – ten nieczysty poganin na pewno zrozumiał przymówkę do łapówek, które według umowy w równych odstępach czasu od wielu lat uczciwie mu wypłacał – pospiesznie dorzucił:

– Przyszliśmy, panie, wniesć oskarżenie. Poncjusz rzekł niedbale:

– Przeciw komu?

– Przeciw temu człowiekowi – wskazał palcem na Jezusa – imieniem Jezua ben Josef.

– Żądacie sądu nad nim?

– Żądamy sądu nad nim – rzekł podniesionym głosem Kajafa. Spośród świty arcykapłana podniosły się wołania:

– Osądź go!

– Sprawuj nad nim sąd!

– Wydaj wyrok!

Słońce coraz bardziej prażyło. Skwar bił z nieba i z kamieni. Pot ściekał po twarzy Jezusa. Stał bez nakrycia głowy, które Mu zdarli strażnicy Kajafy w lochu więziennym. Poncjusz przyglądał się Jezusowi, kłął w myślach arcykapłana, naród Izraela, jego barbarzyńskie obyczaje i równie barbarzyńskie święta, z powodu których musi teraz, zamiast siedzieć w chłodnej komnacie w Cezarei Nadmorskiej, smażyć się na słońcu w brudnej Jerozolimie i sprawować sąd nad jakimś zaklinaczem chorób! Czego oni od niego chcą? Przyjrzał mu się jeszcze raz i doszedł do wniosku, że ten człowiek nie wygląda wcale na zbrodniarza. Ma smutny, łagodny, zboląły wyraz twarzy. Poncjusz nie był człowiekiem współczującym. Jeżeli z kimś współczuł, to tylko z samym sobą. Patrząc więc na Jezusa, wciąż myślał o swoim bólu głowy i o nieznośnym wietrze wiejącym chyba z samego piekła, i postanowił całą rzecz pospiesznie załatwić, to znaczy bez długich ceregieli wydać wyrok – wszystko jedno, skazujący czy uniewinniający – byleby móc jak najszybciej pozbyć się Kajafy, Judejczyków i więźnia i powrócić do komnat, gdzie czeka na niego wino lodem chłodzone, cień i kąpiel.

– O co oskarżacie tego człowieka? – spytał, zwracając się do Kajafy i jego świty. Kajafa odpowiedział:

– Ten człowiek jest Złoczyńcą. Jeden z arcykapłanów zawołał:
– Dlatego przyprowadziliśmy go tutaj! Hanan ben Sethi skwapliwie dorzucił:
– Gdyby nie był winien, na pewno byśmy go tobie nie wydali! Poncjusz poczerwieniał:

– Jeżeli stwierdziliście jego winę, po co stawiacie go przede mną? Weźcie go i osądźcie według waszego Prawa. Od czego macie Sanhedryn?

A na to Kajafa:

– Jakże mamy go sądzić według naszego Prawa, skoro ono nie przewiduje kary za przestępstwo, które popełnił!

Poncjusz odrzekł:

– Jaką zbrodnię popełnił Jezua ben Josef?

Arcykapłan założył ręce za pas i patrząc w ziemię powoli mówił:

– Jezua ben Josef podburza lud przeciw Rzymowi.

To powiedziawszy, podniósł głowę i nie spuszczał wzroku z prokuratora, który zaskoczony milczał.

– Podburza naród Izraela przeciw Rzymowi – powtórzył Kajafa. – Wzywa lud do niepłacenia podatków cesarzowi i twierdzi, że jest królem Judei, Mesjaszem.

Sine żyły zarysowały się na skroniach Poncjusza.

– Mów jaśniej, arcykapłanie – odpowiedział. – Kto to jest mesjasz?

– Niektórzy ciemni i nedorzecznie myślący synowie Izraela wierzą w przyjście męża zesłanego przez Elohim, w Mesjasza, który zapanuje nad światem i wyzwoli naród.

– Zapanuje nad światem?

– Tak.

– Cesarz Tyberiusz panuje nad światem.

– Słusznie. My o tym wiemy, panie.

– Wyzwoli naród?

– Tak.

– Od kogo wyzwoli?

– Od Rzymian.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego król Judei?

– Mesjasz i król to jest jedno i to samo pojęcie.

– Jak to jedno i to samo pojęcie?

– Mesjasz ma być królem.

– Królem Judei?

– Królem Judei i świata, prokuratorze, Judei – te słowa wypowiedział Kajafa bardzo powoli i wyraźnie, jak to miał w zwyczaju czynić, ilekroć chciał podkreślić

wagę swojej wypowiedzi i myśl ukrytą między słowami.

Prokurator zrozumiał:

– Czy uważasz, że Jezua ben Josef jest wrogiem cesarza i Rzymu? Że jest po prostu zelotą? Symeon ben Kamith wtrącił:

– Nie wiemy, czy jest zelotą, ale mówi i czyni jak zelota. Eleazar ben Hanan stanął obok Kajafy i rzekł:

– Przed laty, za czasów prokuratora Koponiusza, pewien buntownik, Galilejczyk imieniem Juda, poprzednik i zwiastun zelotów, który podniósł broń przeciw Rzymianom, głosił, że jest rzeczą niegodną płacić Rzymianom podatki i uważać cesarza za pana i władcę Izraela.

Kajafa spytał pytaniem ostrym jak ostrze miecza:

– A cóż innego głosi Jezua ben Josef?

– Oskarżacie zatem Jezue ben Josef o zbrodnię obrazy majestatu? – spytał prokurator.

– Osądź go, panie, według Lex Iulia Maiestatis – rzekł Kajafa. – Ten, który działa przeciw Rzymowi i jego bezpieczeństwu i mianuje się królem Judei, winien jest zbrodni obrazy majestatu! Niechaj prokurator Judei wyda sprawiedliwy wyrok na samozwańczego króla Judei!

Zdumienie Poncjusza nie miało granic. Czyżby ten nędzarz – znów spojrzął bacznie na Jezusa – ten obity i splugawiony człowiek uważał się za króla Judei wyznaczonego przez ich boga? Za opatrnościowego męża, ośmielającego się wzywać lud do powstania przeciw imperatorowi Rzymu? Czy to jest możliwe? Przecież ci obrzezańcy kpią z niego! Za ich oskarżeniem kryją się na pewno jakieś inne pobudki! Ale jakie? Szybkim, bystrym spojrzeniem ogarnął świtę Kajafy i natychmiast spostrzegł ku swojemu wzrastającemu niepokojowi, że nie ma w niej dostojników faryzejskich, tych fanatycznych, nieprzejednanych wrogów Rzymu, tak dobrze mu znanych z licznych rozmów, narad, sporów i poselstw, które nieustannie przybywały do niego, do Cezarei Nadmorskiej, ze skargami i z oskarżeniami przeciw administracji rzymskiej. Świta składała się wyłącznie z saducejskich arcykapłanów i kapłanów, z kilku bogaczy jerozolimskich, należących również do obozu saduceuszów, i jeszcze z jakichś kilku mężów, których nie znał ani z twarzy, ani z imienia. Czyżby to byli jacyś faryzeusze? Jeżeli tak, to chyba pośledni i mało znaczący. Z tego jasno by wynikało, że Kajafa może ma słuszność. Ten człowiek może naprawdę jest buntownikiem, a pośrednim tego dowodem – niemniej bardzo wymownym – jest nieobecność przednich faryzeuszów wśród oskarżycieli! Obraz sytuacji stawał się coraz bardziej wyrazisty. Na pewno nikt z poważanych przez lud uczonych faryzejskich nie przyszedłby do prokuratora oskarżyć syna Izraela

o obrazę majestatu cesarskiego i nikt z nich nie wydałby go w ręce władz rzymskich, nawet gdyby ten człowiek był buntownikiem nawołującym do niepłacenia podatków cesarzowi. Znał ich za dobrze, żeby nie wiedzieć, że ci fanatyczni zwolennicy tradycji i chwały Izraela nie są zdolni do lojalnej współpracy z Rzymem. Jeszcze raz obrzucił tłum i świtę Kajafy bystrym spojrzeniem, przerzucał je z twarzy na twarz, wpatrywał się ze szczególną uwagą w pojedyncze postacie, te stojące na przedzie i te stojące w tyle, oceniał ich strój i wygląd, i doszedł do wniosku, że ani w świcie, ani w tłumie nie ma czołowych i znakomitych faryzeuszów... „Gdzie jest Gamaliel? Gdzie jest Johanan ben Zakkaj? – szukał w myślach trudnych do zapamiętania imion faryzejskich uczonych i przywódców. – Gdzie jest Nachonia? Gdzie jest Nikodem? Gdzie jest Josef z Ramathaim? Ale na Herkulesa! Czy Jezua ben Josef wygląda na buntownika?! Czy tak wygląda przywódca powstańców? Jeżeli zatem jest niewinny, po co go fałszywie oskarżają? Dlaczego zawzięli się na niego? Oskarżają go sami kapłani... Tak, sami kapłani... Sami saduceusze... – wodził oczami po świcie. – Cała reszta jest tylko na okrasę... – Jeszcze raz i jeszcze raz sprawdzał oczami. – Czy byłby to spór między kapłanami a Jezua ben Josef? Między Świątynią a przeciwnikiem Świątyni? A może... a może... może saduceusze nastawili na mnie pułapkę, a przynętą ma być ten żebrak? A jeżeli tak jest, co chcą przez to osiągnąć? Co to właściwie wszystko znaczy?” Tak myśląc, zapomniał o chłodnym winie, lodzie, cieniu i kąpieli, a na przekór upałowi ból w jego skroniach minął, a mózg coraz sprawniej pracował. Wprawdzie saduceusze zawsze współpracowali z każdym prokuratorem – medytował – ale ich obecna gorliwość w tropieniu wrogów cesarza i natrętne podkreślanie, że stoją na straży jego majestatu, wydają się nieco podejrzane. Wiedział, że są płazami płaszczącymi się tchórzliwie przed Rzymem, ale nigdy ich nie podejrzewał aż o tak wielką miłość dla imperatora. Timeo Danaos et dona ferentes. Należy być ostrożnym. Chcą go prawdopodobnie użyć za narzędzie dla swoich ukrytych celów. Jakich celów? Najlepiej będzie, jeżeli oskarżonego przesłucha na osobności, w cztery oczy. Na pewno wycisnie z niego jakieś zeznania. Musi wycisnąć. Wybada go, wysonduje, wysledzi sposób jego rozumowania, weźmie go w krzyżowy ogień pytań, aż wreszcie dokopie się prawdy. Ten Jezua ben Josef nie wydaje się sprytny ani chytry. Nie takich badał.

– Przesłucham Jezua ben Josef w komnacie. Niechaj moja straż wprowadzi go do pałacu – to powiedziawszy, odwrócił się i w towarzystwie członków sądu wszedł do pretorium, poprzedzany przez sześciu liktorów. Gdy minął perystyl, przystanął, albowiem zniemacka uprzytomnił sobie dziwne zachowanie się tłumy przyglądającego się w milczeniu sądowej rozprawie. „Cóż to za dziwny tłum – pomyślał – który ma czas w przedświąteczny dzień próżniaczo wystawać przed

pretorium?” Po kilku krokach znów przystanął i znów zadał sobie w myślach pytanie: „Dlaczego tego rzekomego wroga cesarza postawili przed sądem na kilka godzin przed świętem?”

Wpełzła w niego jak polip wieloramienna podejrzliwość.

5

Popił łyk wody. Wytarł ręcznikiem kark i szyję. Usiadł w fotelu i rozkoszował się chłodem komnaty i nieobecnością Judejczyków. Szczęście, że wpadł mu do głowy pomysł przesłuchania więźnia na osobności, bo w przypiływie wzbierającego gniewu już, już był gotów wydać rozkaz oćwiczenia różgami arcykapłana, którego śniada twarz i wytworne ruchy wzbudzały w nim zawsze nieokiełzany gniew zmieszany z pogardą. Aczkolwiek oba te uczucia starał się zataić ze względu na pieniądze, płynące z arcykapłańskiej szkatuły do jego bezdennego mieszka, mimo to nie zawsze mu się udawało utrzymać w ryzach nadmierną wybuchowość, gdyż tę nieumiejętność odziedziczył – ku swojemu skrytemu ubolewaniu – po plebejskich przodkach. Mógł wreszcie w spokoju i w cieniu, poza zasięgiem świdrujących go oczu judejskich dostojników i motłochu, zastanowić się nad wniesioną przez nich skargą przeciw zaklinaczowi chorób. Zarzuty wydały mu się śmieszne, wręcz niedorzeczne. Począł podejrzewać Kajafę – dopatrywał się w jego oczach podobieństwa do oczu kobry – o posiadanie magicznego daru oddziaływania na rozmówców, co jeszcze bardziej wzmogło w nim uczucie nienawiści do węzowego plemienia, gdyż jak każdy prostak, ułatwiający sobie myślenie i ocenę zjawisk, zawsze – bezkrytycznie uogólniał każdą wartość, właściwości jednostki przypisując całemu ogółowi. Uspokoił się. Był to jednak spokój połowiczny, a nawet tylko chwilowy, bo gdy nie udało mu się dotrzeć do intencji Kajafy i rozsypać splątanego węzła jego matactw, śmieszność oskarżenia i jego ukryta i niewiadoma celowość stworzyły w umyśle prokuratora labirynt, z którego nie umiał znaleźć wyjścia. Błąkał się po omacku, od domysłu do domysłu, i popadał w coraz to nowe i niedorzeczne podejrzenia. Klasnięciem przywołał sekretarza i kazał mu wprowadzić więźnia.

Między skrzydłami rozchylonej zasłony stanął Rabbi.

– Znasz język grecki? – spytał prokurator. Jezus skinął potakująco głową.

– Zbliź się.

Jezus bez słowa postąpił kilka kroków.

Prokurator miał teraz możliwość przyjrzeć się z bliska oskarżonemu. Stwierdził, że gdyby nie ślady pobicia na twarzy i głowie – dlaczego podbite i opuchnięte oko nadaje twarzy wyraz żalosno-śmieszny? – można by go określić jako męża o nader

ciekawej powierzchowności. Ten człowiek nie był prostakiem. Łagodnie wykrojone usta odbiegały swoją delikatnością od surowych, ostrych rysów twarzy. Był wprawdzie silnie zbudowany, ale cała jego postać czyniła wrażenie, jakby była rzeźbiona w kruchym materiale. Zresztą człowiek ten wyglądem nie różniłby się – prokurator uważał się za dobrego dostrzegacza – od swoich rodaków, gdyby nie dziwny spokój, który bił od niego, gdyby nie niezwykle opanowanie, które cechowało jego każdy gest i każdy krok. Nie krzyczał, nie jęczał, nie wykonywał gwałtownych ruchów rękami, nie rzucił mu się do nóg, nie przysięgał na swojego boga, że jest niewinny, nie błagał o litość i łaskę. Prokurator odchylił w tył głowę i spod półprzymkniętych powiek uważnie śledził zachowanie się więźnia. Pomyślał: „Dziwny wyznawca ośle szczęki”.

– Podejdź bliżej – rzekł i przywołał go ruchem wskazującego palca. Jezus znów postąpił kilka kroków.

– Kto cię obił? Jezus milczał.

– Gdzie cię obili? Jezus milczał.

– Kajafa ma z tobą jakieś porachunki? Nieprawdaż? Jezus milczał.

– A może mówiłeś przeciw Świątyni i kapłanom? Jezus milczał.

– Powiedz, coś uczynił? – głos prokuratora zabrzmiał porywczo. Jezus milczał.

Prokurator całym ciałem pochylił się ku przodowi. Dłonie oparł na kolanach. Kąty jego warg obsunęły się ku dołowi. Mięsiste policzki nabrzmiały jak gąbki nasycone wodą.

– Mów! – krzyknął. – Czy ty jesteś królem Judei?! Jezus, odpowiadając, rzekł cichym głosem:

– Czy sam od siebie to mówisz, czy też mówisz według tego, co ci inni o mnie powiedzieli?

– Ja mam mówić od siebie?! Czy ja jestem Judejczykiem?! Słyszałeś, co o tobie mówili! Twoi arcykapłani wydali mi ciebie! Mów, co uczyniłeś! – krzyknął.

Jezus odpowiedział:

– Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby Królestwo moje było z tego świata, słudzy moi walczyliby, abym nie był wydany Judejczykom – wykonał przeczący ruch głową. – Królestwo moje nie jest stąd...

– Stąd czy nie stąd, to mnie nic nie obchodzi! Chcę wiedzieć, czy jesteś królem?! – wrzasnął, a wdzięczna mowa grecka była w jego ustach jak szczekanie psa.

Jezus spojrział w bok, zamyślił się, po czym podniósł głowę i szepnął:

– Tak, jestem królem... Na to urodziłem się i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha głosu mego...

Poncjusz pomyślał: „Jeszcze jeden obłąkaniec, któremu się zdaje, że znalazł

prawdę”.

Uśmiechnął się szyderczo, podniósł się z fotela, lekkim muśnięciem dłoni wyrównał fałdy tuniki i powiedział z niedbałym lekceważeniem:

– Prawda... prawda... Co to jest prawda? Klasnął w dłonie.

Rzekł do wchodzącego sekretarza:

– Każ go wyprowadzić na lithostrotos.

Gdy wyszli, prokurator przechadzając się po komnacie starał się pospiesznie uporządkować myśli, które leżały w jego mózgu bezładnie zwalone na kupę: drogocenne, wymieszane z bezwartościowymi, słuszne z nieuzasadnionymi, oczywiste z urojonymi. „Król... król... jaki król? Królestwo jego nie jest z tego świata. Więc z którego świata? Z tamtego, którego nie ma? Może sobie być do woli królem tamtego świata. To mi nie tylko nie przeszkadza, ale jest nawet po mojej myśli. Właściwie ma słuszność. Gdyby był zelotą, zamierzającym wzniecić bunt przeciw Rzymowi i ogłosić się królem – a byli tacy szaleńcy, byli – banda sprzyjających mu opryszków na pewno stanęłaby w jego obronie i starała się odbić go z rąk kapłanów. Kapłani nic nie mówili o jego zwolennikach. Ani słowa nie pisnęli. Znamienny szczegół, znamienny. Cóż to więc za buntownik, który nie stoi na czele bandy buntowników? Buntownik bez buntowników? Sam jeden? Będę musiał o to spytać kapłanów. Zdrowy rozsądek nakazuje mi nie prowadzić jałowych sporów z saduceuszami, od których nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Współpracują ze mną. Co myślą, to myślą, ale na zewnątrz zachowują się spokojnie i ugodowo. Z faryzeuszami są pokłóceni i nic nie wskazuje na to, by zadzierzgnęła się między nimi jakaś współpraca, mogąca zagrażać Rzymowi. Saduceusze nie chwycą za broń. Bogacze nie walczą. Właściwie powinienem im okazać wdzięczność i tego pomyłonego poszukiwacza prawdy posłać na krzyż. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że historia z królem jest ich wymysłem, płaszczem, szczerze okrywającym jakieś powody, których nie umiem dociec. Po co mam ich dociekać? Cóż mnie obchodzą spory między obrzezańcami? Niechaj się wodzą za łby, jeżeli im to sprawia przyjemność. Ale zdrowy rozsądek nakazuje mi również – zdrowy rozsądek ma tę wadę, że zawsze przypomina o istnieniu drugiego końca kija – rozważyć inną możliwość, nie mniej prawdopodobną. Jaką mam pewność, że kapłani, żądając kary śmierci dla Jezusy ben Josef, nie chcą mnie wciągnąć w pułapkę? Czy mogę ufać Kajafie, Hananowi ben Sethi, rodom Fiabiego, Boethosa, Kamitha, tym wyleniałym lisom, zawsze gotowym sprzymierzyć się z każdym, kto im przyniesie pożytek, i pod pozorami uległości i służalstwa zadać cios w plecy znienawidzonemu wrogowi? Na pewno mnie nie kochają. Łączy nas tylko interes. Wprawdzie interes mocniejszy jest od miłości, ale i on niekiedy kończy się, i to

najczęściej znienacka, z zaskakującą szybkością. A skąd mam pewność, że za saduceuszami nie kryją się faryzeusze? Jedni i drudzy są synami Izraela. Może skumali się za moimi plecami i teraz wspólnie spiskują przeciwko mnie? A może wspólnie uzgodnili, że dobrze byłoby, gdyby cesarz odwołał mnie ze stanowiska prokuratora, i w tym celu teraz czyhają na jakiś mój błąd? Mało to razy faryzeusze pisali na mnie skargi i donosy do cesarza? Mało to razy żądali mojego odwołania? Wydam wyrok śmierci na Jezusę ben Josef, a ta chytra hołota oskarży mnie przed Tyberiuszem o okrucieństwo i gwałt. Należy działać ostrożnie i według słusznej zasady: spiesz się powoli. Przekora jest mądrą bronią. Kapłani krzyczą: Jezua ben Josef jest winny! A ja im na to odpowiem: Ja w nim żadnej winy nie znajduję. Zobaczymy, co z tego wyniknie...”

Wyszedł na lithostrotos.

Powitało go okrutne słońce i lodowate milczenie oskarżycieli i tłumu. Niebo było popielate, a powietrze ciężkie jak kamień. Wiatr ustał. Kajafa i kapłani, podnieceni długim wystawianiem na słońcu, niecierpliwie czekali na wyrok prokuratora, który, stojąc w cieniu strusich wachlarzy, z nie ukrywaną przyjemnością przyglądał się rozdrażnionym twarzom Judejczyków. Prawdopodobnie chęć rozkoszowania się ich zmęczeniem zadecydowała, że ze zjadliwym półuśmiechem na wargach zwlekał z wypowiedzią. Mimo przyjemności, jaką mu sprawiał widok skwierczących na słońcu i patrzących nań spođe łba wrogów, nie chciał przeciągać struny i, udając zakłopotanie i troskę, rzekł do Kajafy:

– Chciałbym ci zadać jedno pytanie, dostojny mężu.

– Słucham, prokuratorze Judei...

– W życiu moim wielokrotnie przesłuchiwałem buntowników i wielu z nich skazałem na śmierć. Z doświadczenia wiem, że za jednym buntownikiem stoi zawsze wielu buntowników, a za dowódcą buntu zgają buntowników. Bo przecież jest nie do pomyślenia, aby jeden mąż chciał wzniecić powstanie przeciw cesarzowi albo sam jeden zamierzał walczyć o wolność swojego kraju. Gdyby się zdarzył taki wypadek, musielibyśmy męża owego nazwać obłąkańcem. Zgadzasz się z moim rozumowaniem, arcykapłanie?

– Zgadzam się...

– Czy Jezua ben Josef ma zwolenników wśród ludu Izraela? Czy stoi na czele jakiegoś spisku.

– Jezua ben Josef ma wielu zwolenników... Ma uczniów...

– Czy znasz ich imiona?

– Znam...

– Gdzie oni są? Dlaczego nie kazałeś ich uwięzić?

- Rozbiegli się... Uciekli...
- Rozbiegli się?... Uciekli?...
- Tak.
- Stchórzyli?
- Tak.

Poncjusz zachnął się, rzekł ostro:

- W człowieku, którego oskarżacie, nie znajduję żadnej winy.

Zaniemówili. Nie spodziewali się takiej odpowiedzi. Zmieszani, nie wiedzieli, jak mają się zachować. Zbili się w zwarty krąg i tylko żarzące się spojrzenia, którymi obrzucali prokuratora, świadczyły o rosnącej w nich gwałtowności, wciąż jeszcze hamowanej rozsądkiem i lękiem. Stali naprzeciw dzikiego poganina, który w razie konieczności nie cofnie się – byli tego pewni – przed wydaniem rozkazu straży przybocznej rozpędzenia ich siłą, a nawet zmasakrowania mieczami ich i tłumu. Mieli do wyboru albo cofnąć się i zaniechać dalszego nacisku, albo nadstawić głowę i żądać od prokuratora wyroku skazującego, i w tym celu posłużyć się nawet w ostateczności – groźbą. Wezbrała w nich nienawiść do tego rzymskiego prostaka nędznego pochodzenia, plebejusza i parweniusza, ośmielającego się sprzeciwiać woli synów Izraela i krzyżować ich plany, od których urzeczywistnienia zależy duchowe zdrowie Jezuruna! Zagłuszyli rozsądek i pozwolili krzyczeć swojej krwi. Tu i tam odezwały się oderwane głosy, a do tych jeszcze niepewnych i powściągliwych przyłączyły się głosy śmielsze, do tych jeszcze śmielsze, wówczas głosy niepewne i powściągliwe przeobraziły się w groźne wołania i wszystkie razem, splecione z sobą w jeden potężny żywioł grzmiący, jęczący i chrypiący, zawirowały, rozszalały się i runęły na lithostrotos jak powietrzna trąba. Wołali, że Jezua ben Josef wznieca niepokój w domu Izraela, że buntuje ludzi, że wygłasza mowy przeciw cesarzowi, że zakazuje płacić podatki, że przywłaszcza sobie godność królewską, że uważa się za króla Judei, wobec czego – pytali – kto rządzi Judeą, wędrowny nauczyciel czy prokurator Pontius Pilatus?! A gdy wyczerpali cały zapas oskarżeń, od nowa rozpoczynali ich wyliczanie w zmienionym porządku, a każde z nich inaczej akcentowali niż poprzednio i innym zespołem gestów podkreślali ich doniosłość, tak że zdawało się, iż wyciągają z zanadru coraz to nowe skargi i dowody, niezliczoną ilość skarg i dowodów w nieskończoną ilość rosnącą.

Wreszcie umilkli. Wówczas prokurator, stwierdziwszy z zadowoleniem, że Kajafa i jego stronnicy mimo gwałtownego wystąpienia nie wytoczyli przeciw więźniowi nowych oskarżeń ani nie wnieśli nowych szczegółów do sprawy – wciąż węszył podstęp w ich nadmiernej miłości do Rzymu i cesarza – postanowił nie ustępować i w dalszym ciągu trwać przy swoim pierwotnym stanowisku. Zwrócił się do Jezusa

i spytał:

- Czy słyszysz, o jak wiele rzeczy cię oskarżają? Jezus milczał.
- Nic nie odpowiesz? Jezus milczał.
- Dziwne jest twoje milczenie.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Jezus milczy. Dlaczego się nie broni? Czy nie wie, co mu grozi? Czy nie wie, że czyha na niego okrutna śmierć na krzyżu? Zachowuje się tak, jakby oskarżenia, wrzaski i nienawiść kapłanów w ogóle nie docierały do jego uszu. Poncjusz nigdy w życiu nie zetknął się z podobnym zjawiskiem. Ponieważ nie umiał go określić, nie umiał go również wyjaśnić, wciąż więc krążył w ciemnościach, zmierzał do urojonego celu, cofał się, zapędzał się w ślepią uliczkę, a właściwie dreptał w miejscu, bo trudno powiedzieć o człowieku, który nieustannie wraca do swojego punktu wyjścia, że krąży, zmierza, zapędza się i cofa. Co kryje się za milczeniem tego przedziwnego więźnia? Czy nie potrafi wydobyć z niego żadnych zeznań poza kilkoma ogólnikowymi wypowiedziami, które niczego nie wyjaśniają, a są tylko bredzeniem rozpalonej głowy? Musi, musi wszelkimi sposobami dowiedzieć się, czego właściwie od niego chce przekłete, jadowite plemię Hananidów, bo jeżeli nie uda się tego ustalić, nie będzie mógł wydać wyroku. Jak może powziąć jakiegokolwiek postanowienie, skoro nie ma pewności, czy wyrok, który wyda, nie uderzy w niego samego z podwójną siłą?

Zwracając się do Kajafy, powtórzył z nie ukrywaną złością i uporem:

- Żadnej winy w tym człowieku nie widzę.

Sądził, że swoim nieustępliwym stanowiskiem zmusi Kajafę do otwartej wypowiedzi, choćby półotwartej, z której mógłby wyłuskać odrobinę prawdy. Pomylił się. Kajafa zaperzył się i krzyknął:

– Ty, panie, nie widzisz w tym człowieku winy, a on swoją nauką podburza lud całej Judei, począwszy od Galilei aż po Jerozolimę!

Prokurator nastawił ucha:

- Co powiedziałaś, arcykapłanie? Począwszy od Galilei?... Kapłani zawołali:
- On jest Galilejczykiem!
- Z Galilei pochodzi!
- Z Nazarethu!
- Z Nazarethu nigdy nic dobrego nie wyszło!
- Galilea jest ziemią buntowników!
- Przekłęci Galilejczycy wciąż wzniecają bunty!
- Podpalacze! Mordercy! Uzurpatorzy! Fałszywi prorocy!

Z głębi wnętrza prokuratora poderwały się zbawienne myśli jak stado wodnego ptactwa, wypłoszonego z sitowia świstem kamienia wypuszczonego z procy:

„Ponieważ jest Galilejczykiem, powinien go sądzić tetrarcha Herod Antypas, który przebywa w Jerozolimie, dokąd przybył przed kilkoma dniami z Macherontu na święta. Wprawdzie nie posiada on prawa sądenia w Judei, ale otrzyma ode mnie indult, zezwalający mu na sprawowanie sądu nad tym człowiekiem. Ileż razy ten wieprz pisał donosy do cesarza, oskarżające mnie o okrucieństwo! Niech teraz ta bryła tłuszczu, udająca władcę, sama sędzi swojego rodaka! Jeżeli uważa go za niewinnego, niech go uniewinni i narazi się Kajafie i kapłanom! Jeżeli uzna go winnym, niech go skaże na śmierć na własną odpowiedzialność!”

Zwracając się do Kajafy, rzekł:

– Ponieważ Jezua ben Josef jest Galilejczykiem, przekazuję go sądowi Heroda Antypasa, tetrarchy Galilei i Perei. Niechaj strażnicy odprowadzą więźnia do pałacu tetrarchy. Żegnaj, arcykapłanie.

Prokurator poprzedzany przez liktorów opuścił lithostrotos.

Jezus przed herodem Antypasem

1

Poncjusz pospiesznie podyktował sekretarzowi list do tetrarchy. Opisał sprawę Jezuy ben Josef, szczegółowo wyłożył oskarżenia Kajafy i kapłanów, określił swoje stanowisko – napisał: „Nigdy nie ośmieliłbym się wchodzić w zakres twoich wysokich uprawnień, dostojny tetrarcho” – i prosił Heroda Antypasa o wydanie wyroku na więźnia. Do listu napisanego w tonie niezwykle uprzejmym dołączył indult, w którym nie omieszkał umieścić kilku ciepłych słów, schlebiających tetrarsze, jego wspaniałomyślności i poczuciu prawa. Sekretarz dosiadł konia i pocwałował do pałacu Hasmoneuszów. Drogi miał niewiele, albowiem rezydencja znajdowała się opodal pałacu Heroda, między dwoma mostami nad piękną doliną Tyropeon. W komnacie przyjęć zastał już Kajafę z kapłanami i więźnia. Zażądał od dowódcy straży, aby go natychmiast zgłosił tetrarsze, któremu przywiózł pismo od prokuratora Judei. W ręce trzymał zwinięty w rulon papirus, obwiązany taśmą, na której kołysała się czerwona jak krew pieczęć z wizerunkiem cesarskiego orła.

2

Nie do wiary! Taka ponura historia zdarzyła się Herodowi Antypasowi po raz pierwszy w życiu! Wprawdzie często nachodziły go przerażające sny, różne przeczucia, lęki, od czasu do czasu popadał w leniwe odrętwienie, graniczące z cielesnym bezwładem, ale nigdy dotychczas nie miał widzenia na jawie! Gdy

siedział rano w kąpieli i rozkoszował się jej orzeźwiająjącym działaniem, nagle w jasnym świetle porannego słońca ujrzał swoją odciętą od tułowia głowę, płynącą ku niemu przez powietrze z głębi korytarza wychodzącego na ogród. Głowa kołysała się tanecznymi ruchami, lekko i beztrzesko, i tak kolebiąc się w zmiennym rytmie – kilka razy nawet zawisła nieruchomo w powietrzu, jakby nabierała tchu do dalszych chybotań – zbliżała się ku tetrarsze, który szczękając zębami był bliski omdlenia. Usiadła jak oswojony ptak na brzegu marmurowej piscyny. Tetrarcha i jego głowa patrzyli na siebie zdumieni, a chociaż głowa zachowywała się spokojnie i wyrozumiale, tetrarcha coraz silniej dygotał na całym ciele. Patrzył i nie wierzył: ta głowa była jego głową, a jednak nie była jego głową, gdyż była pięknie rzeźbioną w złocie koroną królewską, wysadzaną kosztownymi kamieniami i perłami, tak misternie ułożonymi, że tworzyły zarys jego oblicza. Była to więc korona królewska o jego obliczu, królewska korona, która powinna mu przypaść w udziale, lecz wskutek działania nieprzychylnych losów stawała się coraz mniej osiągalna. A teraz była tak blisko. Siedziała na brzegu piscyny. Tetrarcha przetaił oczy, raz, drugi i trzeci, a gdy się przekonał, że zjawisko nie jest złudzeniem zaćmionego umysłu, pokonał strach i wyciągnął rękę po niesamowity twór. Wtedy głowa, ochryple kracząc, w popłochu poderwała się, zakołowała nad rozpaczliwie krzyżącym tetrarchą i rozplynęła się w powietrzu. Przybiegli dworzanie i wyciągnęli z wody półprzytomnego władcę, orzeźwili go solami, położyli na kamiennej ławie, natarli oliwą i balsamem, wymasowali i owinęli w lniane prześcieradło. Przetrawiał widzenie. Zrozumiał, co ono oznacza. Nigdy nie będzie królem. Nigdy nie zasiądzie na tronie swojego ojca w Jerozolimie. Bezowocne są wszystkie jego starania, nadzieje, marzenia. Tron pozostanie pusty. Któż wie, kto kiedyś na nim zasiądzie? Nie ma syna. Nie będzie miał wnuków. Wezbrał w nim gorzki żal do Herodiady, do kapłanów, arcykapłanów, saduceuszów i faryzeuszów, do całego ludu Izraela, a przede wszystkim do niewdzięcznego Elohim, zamykającego uszy na jego prośby, mimo niezliczonych byków, które mu hojną ręką składał w ofierze. Taki był koniec jego snów o obciętych głowach.

3

Rozmyślenia jego nad przeraźliwym krakaniem odlatującej głowy przerwało zjawienie się dowódcy straży, który zawiadomił go o przybyciu Kajafy i Hanana ben Sethi z kilkunastoma kapłanami, saduceuszami i faryzeuszami, z jakimś więźniem pod strażą oraz sekretarzem prokuratora. Tetrarcha byłby w innych okolicznościach radośnie zdumiony niespodziewanymi odwiedzinami tak wielu znakomitych

mężów. Od czasu gdy wystosował do cesarza skargę na Poncjusza – chodziło o bezprawne wywieszenie przez prokuratora rzymskich tarcz z wizerunkiem cesarza w pałacu Heroda podczas święta Pesach – nie utrzymywał z prokuratorem stosunków. Tetrarsze było obojętne, czy owe tarcze z wizerunkami cesarza wiszą w pałacu Heroda, czy gdziekolwiek indziej, czy wiszą w Pesach, czy wiszą w dniu powszednie, skoro, jednak lud Izraela uważał wywieszanie tarcz za bluźnierstwo przeciw Jahwe, Herod Antypas potakiwał ludowi, bo chciał się wkupić w jego łaskę. Nie utrzymywał również żadnych stosunków z Josefem Kajafą i Hananem ben Sethi, którzy go gwałtownie zwalczali z powodu małżeństwa z Herodiadą – był to chyba jedyny wypadek, w którym zgadzali się saduceusze z faryzeuszami – i przy każdej nadarzającej się sposobności okazywali mu pogardę i jawne lekceważenie. Teraz przybity ponurym widzeniem, bez większego wrażenia przyjął wiadomość o przybyciu swoich wrogów. Ociężale zwłókł się z ławy. Kazał się przyodziać w codzienną szatę tetrarchy. Na wskazujący palec nałożył sygnet, pamiątkę po ojcu. Wezwał do siebie kilku wysoko urodzonych dworzan i wyższych wojskowych i w ich otoczeniu udał się do komnaty przyjąć.

4

Przywitanie z przybyłymi gośćmi było oschłe. Tetrarcha usiadł w fotelu, przyjął list z rąk sekretarza i odprawił go bez słowa. Ledwo spojrzał na Kajafę i kapłanów. Natomiast całą uwagę skupił na więźniu. Więc to jest Jezua ben Josef, cudotwórca i jasnowidz? Wygląda jak obszarpaniec. Obili go. Kto go obił? Nigdy go sobie tak nie wyobrażał. O, Johanan ben Zecharia, ten miał postawę! Na wspomnienie Niestrzyżonego zrobiło mu się słabo koło serca, bo przypomniał sobie obciętą głowę-koronę z krakaniem unoszącą się w powietrzu. Właściwie był rad, a nawet bardzo był rad, że wreszcie ujrzał Rabbiego. Tyle razy pragnął z nim mówić. Poprzedniego roku w przyływie nadmiernych lęków chciał go schwytać i uśmiercić. Potem, gdy lęki minęły, rozważną argumentacją wybił sobie z głowy ten szaleńczy pomysł. Mało miał kłopotów z powodu śmierci Niestrzyżonego? Któż wie, który z bogów upomniałby się o przelaną krew tajemniczego cudotwórcy? I znów wywołałby przeciw sobie złe moce i gorszą od złych mocy nienawiść ludu, który jest przecież zawsze nieobliczalny w swoich uczuciach. Dlatego porzucił zamiar zabicia Jezuy ben Josef. Dobrze się stało. Pomówi z nim. Tak, pomówi. Bardzo chciałby się czegoś dowiedzieć o swojej przyszłości, zwłaszcza teraz, gdy jakaś nieznana moc odebrała mu nadzieję wstąpienia na królewski tron Jerozolimy. A nuż Rabbi ujawni mu jego przyszłość, odstąpi rąbek zbliżającego się czasu, rozwieje mgły zakrywające daleki

widnokrąg i pokaże to, co go czeka, wszystko jedno, czy to będzie dobre, czy złe, czy to będzie niesława, czy chwała, czy to będzie ciemność, czy światło. A jeżeli nie zechce odsłonić przyszłości i nie zechce objawić zbliżających się zdarzeń, niechaj przynajmniej tutaj przed nim na oczach dworzan, dostojników i kapłanów zdołała radosny cud i niechaj tym cudem rozweseli zasepione serce tetrarchy! Niech uczyni jakąś niezwykłą osobliwość, aby tetrarcha mógł rozpogodzić smutek swojej duszy, niech dokona zabawnej przemiany węża w laskę i laski w węża – ktoś już kiedyś dokonał takiego cudu, ale kto? – niech uczyni z wody wino – przecież już raz uczynił taki cud dla rozweselenia weselników! – aby nieco wytchnęło i podskoczyło biedne, skołatane, znudzone wnętrze władcy, który tonie w żalu i westchnieniach i nie widzi przed sobą żadnego celu poza godnym litości sprawowaniem władzy nad dwiema nędznymi krainami, nad łachmanami dawnej potęgi ojca. Sięgnął po list. Trzeba go wreszcie przeczytać, aby się dowiedzieć, po co ci ludzie do niego przybyli. Wylewna uprzejmość Poncjusza, bijąca już z pierwszego zdania, wydała się bardzo podejrzana. Skąd bierze się taki wytworny ton w liście tego gruboskórnego parobka? Czytał dalej z rosnącą uwagą, a im dłużej czytał, tym większe było jego zdumienie. Prokurator łaskawie odsyła mu Jezusę ben Josef dla wydania wyroku. Sąd? Wyrok? Jaki sąd? Jaki wyrok? O co jest oskarżony Jezus ben Josef? Nie chciał wierzyć swoim oczom. Jeszcze raz uważnie przeczytał list, a czytając, rzucał spojrzenia na Jezusa, jakby w Jego postaci chciał odnaleźć potwierdzenie tego, co czyta. Co? Jezus uważa się za króla Judei? Wnętrze tetrarchy zatrzęsło się od śmiechu. Prokurator i arcykapłani chyba opili się mocnym winem! Czyżby zmówili się, by go ośmieszyć? W tym jest jakaś intryga. Na pewno. Ale jaka? Ale czyja? Arcykapłanów czy Rzymian? Czy jednych i drugich razem? Niezależnie od tego, kto jest twórcą tej intrygi, trzeba ją błyskawicznie unicestwić. Nie wyda żadnego wyroku. Nic go ta cała sprawa nie obchodzi. Porozmawia z Jezusą ben Josef i poprosi Go o przepowiednię i dokonanie jakiegoś cudu. Widowiska pragnie, nie sądu. Pobawi się jeszcze z kapłanami. Tej przyjemności sobie nie odmówi. Weźmie odwet na pyszałkowatym arcykapłanie za pogardę okazywaną mu przez wiele lat, zdraśnie jego godność osobistą i doprowadzi go do wybuchu wściekłości. Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, napawał się widokiem stojącego przed nim Kajafy, ponurych kapłanów i zbitych z tropu saduceuszów i faryzeuszów, i tak przyglądając się swoim przeciwnikom, których złośliwy los sprowadził do jego pałacu i kazał im pokornie czekać na jego pierwsze słowo, umacniał się w przekonaniu, że w sporze o Jezusę ben Josef – na pewno powstał jakiś spór o Rabbiego między prokuratorem a kapłanami, a widać to jasno z pewnych wyrażeń Poncjusza, chociaż ani słowa wyraźnie o samym zatargu nie pisze! – powinien zachować bierną bezstronność, a najlepiej ją wyrazić za pomocą

niewydania wyroku. Tak będzie najlepiej. Czy najlepiej? Są dwie możliwości: wyrok lub niewyrok. Wyrok oznacza, że opowiada się wyraźnie po jednej lub drugiej stronie. Niewyrok, że opowiada się przeciw obu stronom. Czy przeciw obu stronom? Której ze stron zależy na wyroku? Znał dobrze działalność Jezusy, wiele mu opowiadano o jego wjeździe do Jerozolimy i przepędzeniu przekupniów z Dziedzińca Pogan. Jeżeli komuś zależy na skazującym wyroku, to na pewno Kajafie i kapłanom, a z tego wynikałoby, że to właśnie oni przywlekli Rabbiego do pretorium. Prawdopodobnie z jakichś tylko prokuratorowi znanych powodów nie chce on sprawować sądu nad Jezusą. Spryciarz podrzuca mu ofiarę, bo nie chce mieszać się – z jakich powodów? z jakich powodów? – do zatargu między synami Izraela! Należy działać bardzo ostrożnie. W każdym razie nie powinien narażać się Poncjuszowi. W jakim celu miałyby to czynić? By stanąć po stronie kapłanów? A czy kapłani stali kiedykolwiek po jego stronie? Najlepiej będzie, jeżeli skorzysta z trzeciej możliwości – tylko głupcy uważają, że nie istnieje trzecia możliwość! – i nie obarczając się wydawaniem wyroku, opowie się po stronie prokuratora, i okaże mu, na złość kapłanom, sprzyjającą życzliwość. Zmądrzał. Nie może ze wszystkimi walczyć. Nie stać go na spory z ludem Izraela, z kapłanami, z prokuratorem. Kapłani nie dadzą się przebłagać, albowiem nie oddalił od siebie Herodiady. Z tego magicznego trójkąta wrogów musi wyłuskać jednego sprzymierzeńca. Okaże przyjazne oblicze prokuratorowi. Zmądrzał. Dość najadł się strachu z powodu błędu, jaki popełnił, ścinając Johanana ben Zecharia! Ma już dość snów o obciętych głowach! Ma już dość nie przespanych nocy, podczas których leżąc w potach, szczękał zębami, a dreszcze wstrząsały jego ciałem! Cóż mu z tego przyjdzie, gdy poprze Kajafę? Ileż to razy ten zadufany głupiec, namaszczony świętą oliwą, okazywał mu lekceważenie! Ilekroć władca Galilei i Perei przyjeżdżał do Jerozolimy na święta, nigdy go nie witał i nie oddawał mu należnego szacunku! Ilekroć składał ofiary na Świątynię, nigdy nie wyraził mu podziękowania i zadowolenia! A czy ktokolwiek z kapłanów poparł jego starania o odzyskanie tronu ojcowskiego? A czy oni wszyscy nie miotali klątw na jego głowę z powodu małżeństwa z Herodiadą? A teraz taki podły płaz ma czelność zjawić się w pałacu i dla jakichś swoich ciemnych celów domagać się od tetrarchy, aby sprawował sąd nad Jezusą ben Josef! Nie! Niech Belial i wszystkie moce piekielne porwą prokuratora, saduceuszów, kapłanów i faryzeuszów! Wyroku nie wyda! Nie wyda! Nie! Nie będzie narzędziem w rękach swoich wrogów! Nie chcieli mieć królem Judei Heroda Antypasa, niech mają króla Judei Jezusę ben Josef!

Z trudem wykrztusił:

– Cóż sprowadza do mnie dostojnego arcykapłana?

W odpowiedzi na to pytanie kilkanaście gardeł poczęło równocześnie wyrzucać z siebie oskarżenia przeciw więźniowi, a ponieważ oskarżyciele chcieli dać szybki upust ognistym temperamentom, utrzymanym do tej pory na wodzy z powodu wstrzemięźliwego zachowania się tetrarchy – właściwie nawet ich nie przywitał – ich zarzuty wypowiedane były w sposób nazbyt chaotyczny i wskutek tego dochodziły do uszu Heroda Antypasa w kształtach tak spaczonych, że gdyby nie list prokuratora, nie mógłby nawet domyślić się, o co chodzi Kajafie i jego zausznikom. Puścił więc mimo uszu ich skargi, wyzwania, donosy, potwarze, oszczerstwa i udając, że wszystko rozumie, kiwał głową i coraz bardziej uświadamiał sobie, iż Kajafa prowadzi jakąś obłudną grę o wielką stawkę. Oczywistym dowodem przemawiającym za słusnością tej tezy była gwałtowność, z jaką podniecony kohen hagadol starał się udowodnić, że tetrarcha Galilei powinien wydać wyrok skazujący na Jezusę ben Josef. Herod Antypas pozwolił im do syta się wykrzyczeć, a gdy ucichła rozhukana wymowność oskarżycieli, zwrócił się do Jezusa i łagodnym, nader uprzejmym głosem począł Mu zadawać różne pytania dotyczące Jego nauk, działania i uwięzienia, a nie otrzymawszy od Niego odpowiedzi, począł z kolei cierpliwie zagadywać Go o cuda, o których wiele słyszał, i o dar przewidywania przyszłości, o czym również wiele mu opowiadano. Jezus wciąż milczał.

Wówczas tetrarcha krążąc dokoła tego samego tematu – czuł ze złośliwą radością, jak w Kajafie gotuje się niecierpliwe wzburzenie – dawał Jezusowi do zrozumienia, że chętnie ujrzałby naocznie jakiś cud przez Niego działany i usłyszał z Jego ust wyrocznie odsłaniającą przyszłość, a życzenie to wypowiedział niezwykle wytwornie, z dobrodusznym umiarkowaniem, bez cienia natarczywości, wręcz prosząco, gdyż bał się niezgrabnym słowem zrazić sobie Rabbiego; słyszał bowiem, że jest niekiedy skłonny do wybuchów, wprawdzie nie tak zapalczywych jak wybuchy Niestrzyżonego, mimo to groźnych, a przede wszystkim przywodzących na myśl skojarzenia, od których skóra cierpie na ciełe.

Ale Jezus milczał. Cóż miał odpowiedzieć zabójcy Pustynnego Brata? Cóż miał odpowiedzieć zwyrodniałemu synowi zwyrodniałego ojca? Cóż miał odpowiedzieć człowiekowi, który nie wierzył w Boga, a bał się bogów? Milczał.

W tetrarsze wzbierała złość przeciw Rabbiemu, który mimo jego uprzejmych próśb nie raczył go zaszczyścić odpowiedzią. Milczał! Milczał! Tetrarcha wiedział, co to milczenie oznacza. Ono jest jeszcze jednym dowodem nieprzepartego wstrętu, jaki czuje ten syn Izraela do władcy, który zbudował wielkie miasto na ziemi nieczystej, do małżonka Herodiady, do zabójcy Niestrzyżonego! Uważa tetrarchę za męża krwi, niegodnego odpowiedzi, za brudnego szakala, za pomiot bagnistych podziemi! A co najśmieszniejsze, ten włóczęga stojący przed nim z powrozem na rękach twierdzi, że

jest królem Judei, królem Jerozolimy, czyli tym, czym on, Herod Antypas, pragnął być i czym już nigdy nie zostanie! Co za potworna drwina historii! Przeklętej historii! Dwaj królowie Judei! Król Herod Antypas i król Jezua ben Josef! Mięsiste policzki tetrarchy skurczyły się, usta rozszerzyły, nozdrza rozdęły, oczy stały się jak dwie wąskie szczeliny i władca dwóch krain wybuchnął przeraźliwym śmiechem, rżał, parskął, skowyczał, krztusił się, chwycił się za boki, całe jego ciało wstrząsane drgawkami dygotało jak tłusta studzienina, a w duszy jego grzmiał rechocący głos: „Nie chcieli mnie na króla, więc mają króla w podartych sandałach, nędzarza, galilejskiego włóczęgę! Mają wreszcie swojego króla Judei!” Nagle śmiech zniknął, a jego twarz przybrała zawzięty wyraz. Zerwał się z fotela i ryknął:

– Dworzanie! Odziejcie tego przybłędę w białą szatę króla Izraela! W szatę Dawida i Salomona! To jest ich król! – tu wskazał wyciągniętym palcem na Kajafę i jego świtę. – Ich król! Ich król! Odeślijcie go do prokuratora i powiedzcie mu, że ja w tym człowieku nie widzę żadnej winy!

I wybiegł z komnaty.

Prokurator rozmawia z tłumem

1

Umyślny posłaniec powiadomił prokuratora o stanowisku tetrarchy i o powrocie do pretorium więźnia wraz z jego oskarżycielami. Poncjusz był zadowolony z odpowiedzi Heroda Antypasa. Wprawdzie wieprz z pochwały godną ostrożnością nie wydał wyroku – trudno zresztą tę ceremonię w pałacu Hasmoneuszów, o której powiadomił go natychmiast jeden z jego szpiegów, obecny na posłuchaniu, określić mianem sądu – ale przyszedł prokuratorowi z pomocą i nie znalazłszy w oskarżonym winy, oświadczenie swoje wyraził głośno przed dworzanami i Kajafą, i jego poplecznikami. Był za to wdzięczny tetrarsze. Z jego strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wrócił do komnaty i nie kwapił się do wyjścia na lithostrotos. Ma czas. Nie lubi się śpieszyć. Judejczykom może zależy na pośpiechu, ale on nie jest Judejczykiem i nie jego święto przypada – na dzisiejszy wieczór. Niech czekają. Jeżeli nie mają czasu czekać, niech poproszą go o odłożenie rozprawy na po świętach. Nie zgłosi sprzeciwu. Przystanął na progu perystylu i przyglądał się pryskającym kroplom wodotrysku. „Dopóki nie dowiem się przyczyny – medytowałem – dla której Kajafa z taką zawziętością oskarża Jezua ben Josef, nie wydam żadnego wyroku. Ani uniewinniającego, ani skazującego. W tych warunkach nie wezmę na siebie odpowiedzialności za jakikolwiek wyrok. Trudno mi uwierzyć w rzymski patriotyzm saducejskich kapłanów. Będę grał na zwłokę. W każdym razie tak długo

będę obstawał przy niewinności więźnia, aż Hananidzi stracą cierpliwość i zdejmą maski z twarzy. W położeniu, w którym się znajduję, jest jeszcze jedna luka. Brak mi rozeznania o stanowisku tłumu. Nic nie wiem o tłumie. Tłum patrzy, słucha i milczy. Jak go wy badać? Jak wciągnąć go do sądowej gry i jak zmusić do mówienia? Stoją i milczą. Czy jest wśród nich większość zwolenników, czy przeciwników Jezuy ben Josef? Jak przyjmą wyrok uniewinniający? Jak przyjmą wyrok skazujący? Skoro Kajafa wplątał mnie w swoje intrygi i wysiła się, aby uczynić mnie ślepym wykonawcą swoich zamiarów, popełniłbym niewybaczalny błąd, gdybym nie dowiedział się, co motłoch myśli o więźniu. Wprawdzie motłoch jest tylko wiadrem pełnym pomyj, które w każdej chwili mogą kazać wylać do kanału, mimo to nie wolno mi teraz zlekceważyć tego ogniwa. Zresztą nie lekceważąc go, postępuję po myśli cesarza, który wielokrotnie ostrzegał, abym nie czynił nic takiego, co by mogło wzbudzać niezadowolenie Izraela. Będę więc wzorowym urzędnikiem – uśmiechnął się cynicznie – i spytam tych barbarzyńców o ich zdanie. Jak mam to uczynić? Jak? – prokurator z namysłem gładził gładko wygolony podbródek. – Właściwie mógłbym skorzystać z prawa zwyczajowego, które zezwala mi na wypuszczenie na wolność w przeddzień święta Pesach jeszcze nie osądzanego więźnia, i ułaskawić Jezus ben Josef. To prawo przysługuje mi i nikt mnie nie może powstrzymać od natychmiastowego wprowadzenia go w życie. Czy jednak dobrze będzie, jeżeli na własną rękę zastosuję to prawo do Jezuy ben Josef? Muszę się ubezpieczyć – Poncjusz wysunął dolną wargę i niespokojnie szczyptał ją palcami. – A jeżeli... jeżeli... – jego palce znieruchomiały. – A co by było, gdybym dla wybadania tłumu pozostawił mu wolny wybór szczęśliwca, który ma być ułaskawiony? Siedzi teraz w więzieniu i czeka na rozprawę sądową niebezpieczny rzezimieszek Bar Abba, ulubieniec podmiejskich mętów i bohater wielu zbójceckich napadów, którego władze, zanim go uwięziły, poszukiwały od dłuższego czasu. Ludność odetchnęła z ulgą po schwytaniu złoczyńcy. Spytam zatem Judejczyków, kogo mam ułaskawić: jego czy Galilejczyka. Tak! To dobry pomysł! Moim zdaniem, jeżeli są bezstronni, powinni się domagać osądzenia Bar Abby, który jest postrachem jerozolimskich przedmieść i okolicy. Wówczas będzie to dla mnie dowodem, że tłum jest przeciw Kajafie i kapłanom. Jeżeli natomiast tłum opowie się za uwolnieniem Bar Abby – o czym wątpię – a za skazaniem Jezuy ben Josef, będzie to wymownym ostrzeżeniem przed grożącym mi niebezpieczeństwem ze strony motłochu sprzyjającego kapłanom. Tak czy owak, tłum odsłoni swoje oblicze.”

Opuścił głowę i brzuścem wskazującego palca pogładził brew nad prawym okiem.

Wezwał urzędników i liktorów. Wychodząc do Judejczyków przed pałac,

przypomniawszy sobie grę navis aut caput, w którą za młodu bawił się ze swoimi rówieśnikami. I teraz rzucił monetę. Na którą stronę upadnie? Na „okręt” czy na „głowę”?

2

Ognisty wiatr wciąż szamotał się z drzewami w pałacowym ogrodzie. Jezus jak przez gęstą zasłonę widział tłum, kapłanów, rzymskich urzędników. Żar palił Jego głowę. Czuł przenikliwy, ostry, kłujący ucisk w krzyżach. Od chwili uwięzienia ani razu nie usiadł. Stał i szedł, stał i szedł, stał i szedł. Stał przed Hananem, stał przed Sanhedrynem, stał w lochu więziennym, katowany przez służbę arcykapłana, stał na lithostrotos podczas pierwszego przesłuchania przez prokuratora, stał przed Herodem Antypasem, a teraz znowu stoi na słaniających się nogach, pokrytych siecią sinych i nabrzmiętych żył. Paliło Go pragnienie. Starał się zwilżyć językiem spękane wargi. W ustach Jego nie było ani kropli śliny. Tylko broda była mokra od słonego potu, który ściekając po twarzy był przynętą dla much. Modlił się. Błagał Elohim, aby pomnożył do ostatecznych granic Jego umiejętność cierpienia i samoofiary, aby ogień, boleść i ponizenie, którymi się opasał, oczyściły synów człowieczych z grzechu, aby był niepokalanym kozłem odkupienia, świętą odwrotnością Azazela, konającego na pustyni pod ciężarem zbrodni całego świata. Stojąc w nieubłaganym skwarze dnia jak w ognistym krzaku, wstępował w najgłębszą głębinę ognia, w samo źródło nieugaszanej wieczności – zresztą nigdy jej nie opuszczał, bo zawsze w niej był, jak i będzie – i płonął coraz większym płomieniem, i płonąc, spalał się, a im więcej się spalał, tym więcej płonął, i im mniej Go było, tym było Go więcej, i im głębiej spadał, tym wyżej się wznosił, i tak odziany w ognisty krzak, w cierniowy krzak, płonął w urodzajnej niemożności spalania się do końca, albowiem nawet upragniony koniec, już z dala widoczny, był tylko jednym z ogniw płonącej nieskończoności. Gdzie jest ten koniec? Kiedy wreszcie udowodnią Mu winę? Jak długo jeszcze czekać będzie na skazujący wyrok, który zapadł przed czasem i przestrzenią? Ocknął się. Usłyszał nad sobą głos prokuratora, mówiącego do Kajafy i kapłanów:

– Postawiliście przede mną tego człowieka jako burzyciela ludu, ale ja, badając go, nie znalazłem w nim żadnej winy. A i tetrarcha Herod Antypas, do którego odesłałem go, żadnej w nim winy nie znalazł. On nie zasługuje na śmierć.

Kajafa poczerwieniał.

Prokurator przeniósł wzrok na tłum.

Zmęczone spojrzenie Rabbiego powlokło się za spojrzeniem prokuratora

i spoczęło na ludziach zalegających plac.

Prokurator podniósł dłoń.

Tłum zafalował, zakłębił się i natychmiast opadł i znieruchomiał.

Poncjuszowi trudno było dociec, co się dzieje pod jego wygładzoną powierzchnią, twarz tłumu była bez wyrazu. Przypominała pusty dzban, którego przydatność i celowość będzie można dopiero wówczas określić, gdy wypełni się jakąś określoną treścią. Pustka tej twarzy była przerażająca.

– Ludu Izraela! Według panującego u was zwyczaju – prokurator mówił dźwięcznym głosem, starając się już samym jego brzmieniem, niezależnie od treści wypowiedzianych słów, stworzyć życzliwy nastrój między sobą a słuchaczami – przysługuje mi prawo w przeddzień uroczystego święta Pesach wypuścić na wolność jednego więźnia, co też co roku zwykłem czynić ku waszemu zadowoleniu. Szanując ów zwyczaj, skłonny jestem również dzisiaj ułaskawić jednego z więźniów, chcąc jednak zastosować się do waszej woli, pozostawię wam wolność wyboru i ufam, że uczynicie z niej dobry użytek i wskażecie tego męża, który zasłużył na moją łaskę. Słuchajcie, synowie Izraela! Wybierzcie między Bar Abbą, opryskiem, znanym wam z licznych napadów i zabójstw, a Jezusą ben Josef, wędrownym nauczycielem, moim zdaniem, człowiekiem niewinnym, którego niektórzy spośród was zowią Mesjaszem.

Zdawało się, że słowa prokuratora padły w próżnię i nie wywołały w tłumie wrażenia. Ludzie ospali, leniwi, zmęczeni lepkiem upałem, gapili się na prokuratora, na Kajafę, na Jezusa, nie wiedząc, czy i co mają odpowiedzieć, a w wielu z nich, zmęczonych długim czekaniem i rozczarowanych – przybyli, aby być świadkami zdarzeń, które do tej pory były mało podniecające – mowa Rzymianina nie wzbudziła żadnego odzewu, po prostu nie dotarła do ich świadomości. Czułość i rażność zachowali jedynie wmieszani w motłoch zauszniczy i słudzy Kajafy, karni i posłuszni wykonawcy jego rozkazów, którzy czekali tylko na umówiony znak i na rzucone hasło, aby je donośnym krzykiem narzucić tłumowi, a potem wspólnym, chóralnym wrzaskiem przekazać prokuratorowi swój sprzeciw jako zgodny wyraz woli jerozolimskiego ludu. W tłumie mignęły rozpalone twarze Nahuma i jego pomocników. Dokoła nich zakołysali się ludzie, a ich koliste kołysanie, coraz szersze i dalsze, przypominało kręgi rozchodzące się po wodzie poruszonej uderzeniem kamienia, aż wreszcie zasięgiem swoich falujących zmarszczek objęło całą ciżbę, która znienacka poczęła się burzyć i kłębić.

– Wypuść Bar Abbę! – ktoś krzyknął.

– Strać Jezusę ben Josef! – krzyknęło kilkanaście głosów. Podniosła się fala rąk, a wraz z nią podniosły się grzmiące okrzyki, które jak mętne piana rozlały się po

całym tłumie:

– Strać Jezusę ben Josef!

– Chcemy, abyś wypuścił Bar Abbę!

Prokurator zbladł. Jakby nie słyszał tych głosów, zawołał:

– Którego z dwóch chcecie, abym wam wypuścił?!

– Bar Abbę! Bar Abbę! Bar Abbę! – imię to ustokrotnione przez wrzeszczący tłum świsnęło w powietrzu jak strzały wypuszczone z łuków.

Poncjusz pomyślał: „Czyżby w tym tłumie nie było ani jednego zwolennika więźnia? Ani jednego?” Stracił pewność siebie i chcąc zyskać na czasie, potrzebnym dla oceny coraz bardziej wikłającego się położenia, spytał donośnym głosem:

– Cóż chcecie zatem, abym uczynił z Jezusą ben Josef? Motłoch zaryczał:

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Prokurator cofnął się o krok. Zrozumiał, że przegrywa grę o Jezusa. Jeszcze próbował go ratować. Zawołał, podkreślając wbrew zwyczajowi, każde słowo gwałtownym ruchem ręki:

– Cóż on złego uczynił?!

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Wyprostował się i tłumiąc wzbierający niepokój zawołał;

– Nie znalazłem w nim nic godnego śmierci!

Cisza jak błyskawica przeleciała przez tłum, który na chwilę oniemiał, potem skłębił się, zwałniał i lunął ulewą wrzasków:

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Poncjusz zrozumiał. Ten plugawy motłoch jest motłochem Kajafy. Ten plugawy motłoch, który najprawdopodobniej arcykapłan kazał spędzić na plac i nadział swoimi ludźmi, jest jeszcze jednym narzędziem w rękach przewrotnego saduceusza! Motłoch jest narzędziem obrzezańca, podobnie jak jego narzędziem jest on, prokurator Judei! Poncjusz bezwiednie nienawidził tłumy, a każde wielkie zbiorowisko ludzkie uważał za wyzwanie do przeciwstawienia mu się siłą. Czy ma wydać rozkaz straży przybocznej, aby obnażyła miecze i zmasakrowała wyjąca hołotę?! I rozniosła na strzepy Kajafę z jego nikkczemnymi kapłanami i bogaczami? Na Zeusa! Gdzie są zwolennicy Jezusy ben Josef?! Czyżby ich nie było w tłumie? Przecież rzekomo miał uczniów! Uzdrowieńców, których niby uleczył! Umarlaków, których rzekomo wskrzeszał! Gdzie są te wskrzeszone umarlaki? Gdzie są oni wszyscy?! Gdzie są?! Gdzie oni są?! Gdzie się podziali?! A może ich w ogóle nie miał? Na pewno ich nie miał, bo gdyby istnieli, ktoś przecież spośród nich przemówiłby w jego obronie! – Zagryzł wargi. – Cóż go właściwie to wszystko obchodzi? Po co o niego walczy? Nie! Nie! Nie! Nie walczy o niego, ale walczy

o siebie! Te wrzaski są pułapką – czuje to, czuje nieomal dotykalnie – którą ten gad Kajafa na niego nastawił! Nie! Nie ustąpi! Nie ustąpi, dopóki nie dowie się, dokąd on zmierza!

Wyciągnął przed siebie rękę i krzyknął:

– A ja jednak nie znajduję w nim winy!

W odpowiedzi usłyszał z głębi tłumu ostry głos, pełen wyrzutu i groźby:

– Ty w nim winy nie znajdujesz, chociaż on się podaje za Syna Bożego!

Prokurator, usłyszawszy te słowa, jakby wrósł w ziemię i tylko rozbieganymi oczami bezskutecznie szukał w tłumie miejsca, skąd odezwał się głos niewidzialnego oskarżyciela. Nie wyłowił go wzrokiem. Stwierdził natomiast, że twarze arcykapłanów i ich świty były jak zaciśnięte pięści. Skinął na liktorów. Stanęli po obu jego bokach i podnieśli na wysokość swoich głów fasces i tkwiące w nich topory.

Poncjusz rzekł oschle, tonem urzędnika wypełniającego ze znudzoną wyniosłością powinność służbową:

– Ułaskawiam Bar Abbę. Wrócił do wnętrza pałacu.

Służba pospiesznie ustawiła na lithostrotos drewniane podwyższenie i wniosła krzesło kurulne.

Wyrok

1

Kazał sobie podać sok wyciśnięty z granatów. Żony swojej, która chciała z nim mówić – nie przyjął. Często w porze najbardziej nieodpowiedniej do zwierzeń zjawiała się w jego komnacie i spowiadała się przed nim ze swoich snów, co na pewno i tym razem zamierzała uczynić. Ze względu na jej wrażliwość, która nieraz objawiała się w nagłych wybuchach płaczu, pobłażał jej niezrównoważonym wybrykom, teraz jednak chciał mieć całkowity spokój, potrzebny do powzięcia ważnego postanowienia. Po trzygodzinnej rozprawie nie udało mu się wysledzić istotnych zamiarów Kajafy, a najbardziej niepokojący w tym wszystkim jest wzmagający się nacisk saduceuszów, którzy coraz wyraźniej dają mu do zrozumienia, że nie stoi na straży nietykalności majestatu cesarza. Okrzyk, który padł z tłumu: „On się podaje za Syna Bożego!”, brzmiał jak ostrzeżenie, jak groźba, jak zapowiedź donosu. Poncjusz wie, co ten okrzyk oznacza. Synem bożym, divi filius, był tylko August, który wielokrotnie w różnych oświadczeniach, w sposób bardziej lub mniej jasny, podkreślał boski charakter swojego pochodzenia i julijskiej dynastii, zatem splendor tej boskości spływał również na Tyberiusza, który wprawdzie nie życzył sobie oddawania mu czci należnej bogom, nigdy jednak nie

zaprzeczył nadprzyrodzonemu pochodzeniu rodu i przybranego ojca. Zresztą należy odróżnić niechęć cesarza do odbierania czci boskiej od nie ulegającego wątpliwości jego boskiego pochodzenia. Te dwie rzeczy nie wyłączały się wzajemnie. Krótko mówiąc, według powszechnie przyjętej wiary boski August był synem bożym i obowiązkiem każdego wiernego urzędnika rzymskiego, oddanego cesarzowi i jego rodowi – a za takiego wiernego sługę Poncjusz zawsze się uważał, nie licząc nader krótkiego i niezbyt fortunnego okresu, w którym sprzyjał Sejanowi – było głośne wyznanie tego niezbitego faktu i surowe ściganie każdego śmiałka przywłaszczającego sobie ten nadprzyrodzony tytuł. Głos z tłumu krzyknął, że Jezua ben Josef uważa się za syna bożego. Ten okrzyk wstrząsnął prokuratorem, bo godził w niego osobiście, w jego stanowisko, w jego przyszłość, w jego istnienie. Przecież pod żadnym warunkiem nie wolno mu tworzyć pozorów przed chorobliwie podejrzliwym Tyberiuszem, że pobłąza na obszarze Judei komuś, kto swoim boskim pochodzeniem uważa się za równego jego ojczymowi, twórcy dynastii, cesarzowi Augustowi. Czyżby ten galilejski szaleniec żądał dla siebie czci boskiej? Czyżby odmawiał boskiego pochodzenia dynastii cesarskiej? Oburzenie ogarnęło Poncjusza. Chociaż, jak wiemy, w bogów nie wierzył, mimo to kipiał gniewem, że jakiś barbarzyńca ośmiela się przeczyć boskiemu pochodzeniu władcy imperium rzymskiego, a te dwa zwalczające się przeciwieństwa łączyły się w jego mózgu w zgodną całość, tym zgodniejszą, że siłą poruszającą jego niezwykle złożone wzruszenia była trwoga – jedno z najbardziej magicznych pojęć! – o własną przyszłość, a to uczucie skłonne jest zawsze do karkołomnych i nedorzecznych skojarzeń. Jezua ben Josef uważa się za syna bożego! Tego oskarżenia Poncjusz nie mógł pozostawić bez odpowiedzi. Z chwilą gdy ten zarzut został wypowiedziany przy świadkach, rozprawa wkraczała na nową drogę, a sam prokurator poczuł się osobiście obarczony odpowiedzialnością już nie przed swoim sumieniem – taka odpowiedzialność byłaby fraszką – ale przed samym cesarzem za wszystkie następstwa spowodowane błędnie wydanym wyrokiem. Drobnym błędem, a cały ten zbieg nagromadzonych okoliczności, intryg i podstępów można przypłacić gemońskimi schodami! Prokurator nie miał zamiaru umierać w obronie jakiegoś Galilejczyka, którego los był mu zupełnie obojętny. Prokurator chciał żyć, piąć się po drabinie urzędniczej, zbierać zaszczyty i majątek i sprawować władzę nad ludźmi, tak, sprawować władzę, bo ona tworzyła jego osobowość, a bez niej byłby niczym. Śmieciem. Droga ta była pełna niebezpieczeństw, wybojów, nagłych zakrętów i niespodziewanych przeszkód. Trzeba je było usuwać sprytem, podstępem, rozsądkiem, a w razie potrzeby gwałtem i okrucieństwem. Życie prokuratora tak się dotychczas układało, że wielokrotnie zmuszony był stosować gwałt i okrucieństwo,

środki najczęściej niezgodne ze zdrowym rozsądkiem. Porobił więc w życiu mnóstwo błędów, a ponieważ zdawał sobie z nich sprawę, bał się podejmowania szybkich postanowień, bo nigdy nie wiedział, które z nich prowadzi do rozlewu krwi. Przed każdym działaniem, jakie miał podjąć, starał się obliczać na chłodno wszystkie jego skutki, dobierać środki, rozważać widoki powodzenia i niepowodzenia, po to – o, drwino! – by potem nagle dać się ponieść bezrozzumnemu zaślepieniu i uczynić nieodwracalne głupstwo. Nie! Teraz nie zrobi błędu! Na pewno nie zrobi! Nie da się wciągnąć kapłanom w zasadzkę, ale również nie będzie obstawać przy uniewinnieniu Jezusy ben Josef. Jeżeli spostrzeże, że saduceusze upierają się przy swoim i grożą mu w dalszym ciągu skargą do cesarza, przestanie dociekać przyczyny ich intryg, pójdzie na ustępstwo i rzuci im na łup Galilejczyka. Niech go sobie wezmą. Gdyby natomiast okazało się po ukrzyżowaniu, że chcą z jego wyroku ukuć przeciw niemu broń, biada im! Wszystkie poprzednie rzezie, które sprawił Judejczykom – znów odezwała się w nim nieobliczalna zajadłość – będą dziecinną zabawką w porównaniu z tym, co im zgotuje! Ale... Jeszcze zaczeka. Zobaczy, jak mocno Judejczycy napną cięciwę. A może się cofną? Kazał wezwać do siebie Jeszue ben Josef.

2

Odprawił strażników. Pozostał sam z Jezusem. – Jest późno – rzekł. – Wasze święto się zbliża. Jezus milczał.

Prokurator rozsunał zasłonę oddzielającą komnatę od perystylu, a ponieważ do wnętrza wtargnął gorący powiew, natychmiast ją zapuścił i pomyślał o przebiegłej celowości ludzkich odruchów. Odchylił bowiem kotarę tylko po to, aby naprędce zaimprovizowaną krzątaniną zyskać na czasie, potrzebnym mu do zgrabnego ułożenia pytania, na które Galilejczyk musiałby mu udzielić jasnej i wyczerpującej odpowiedzi. Pytanie powinno być zaskakujące i powinno więziem, jeśli posiada wyobraźnię, do głębi wstrząsnąć. Ten człowiek, mimo bolesnych przeżyć, otrzymanych ciosów i wiszącej nad nim groźby śmierci, jest niezwykle spokojny. Jakby jego ciało i dusza były z nieczułego kamienia. Jakby wszystko, co się działo dokoła niego, dotykało tylko jego powierzchni, obojętnej na wszelkie wzruszenia. W tym spokoju należy uczynić, za pomocą jednego mocnego uderzenia, rozległy wyłom, przez który będzie można zajrzeć do wnętrza więźnia. Usiadł w fotelu. Nie patrząc na Jezusa, spytał:

– Skąd jesteś?

Powoli zwrócił twarz ku Jezusowi i czekał na Jego odpowiedź.

Rabbi milczał i tylko wykonał ledwo widoczny ruch rękami, a ponieważ związane były powrozem, ich wymowa była nieczytelna.

Rzymianin, nie wiedząc, jak ma sobie tłumaczyć ten gest, zagadnął Jezusa łagodnym głosem:

– Nie chcesz ze mną mówić? Jezus milczał.

Prokurator cedził słowo po słowie:

– Grozi ci śmierć na krzyżu. Jezus milczał.

Prokurator wpił w niego badawcze spojrzenie:

– Czy wiesz, co to jest śmierć na krzyżu? Jezus milczał.

Głos prokuratora przeszedł w szept:

– Czy widziałeś kiedyś człowieka ukrzyżowanego? Jezus milczał.

Prokurator zmrużył oczy i powiedział głosem doświadczonego znawcy śmierci:

– To jest straszna śmierć. Jezus milczał.

Prokurator pomyślał: „Ten człowiek nie posiada wyobraźni”, ale mimo to jeszcze nie dał za wygraną:

– Posłuchaj... Chyba wiesz, że mam władzę wypuścić cię na wolność... Jezus milczał.

– Ale mam również władzę ukrzyżować cię... Jezus potrząsnął przecząco głową:

– Nie miałbyś żadnej nade mną władzy, gdyby ona nie była dana z góry.

– Z góry? Kogo masz na myśli? Cesarza?

– Większy grzech ma ten, który wydał mnie w twoje ręce.

– Kajafa?

Jezus milczał.

– Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Jezus milczał.

– Nic?

Jezus patrzył przed siebie.

Prokurator nie umiał dociec, co kryje się poza tym spojrzeniem, w każdym razie niezależnie od tego, co wyrażało – smutek, spokój, oczekiwanie, cierpienie lub pogodzenie się z losem – było jasne, że wzrok tego człowieka raczej zasłania, niż odsłania, właściwe wzruszenia, wypełniające jego nieprzeniknioną duszę. To samo działo się z jego słowami. Poza nimi – wypowiadał je z niemałym oporem, a miały one charakter stanowczych i chłodnych oświadczeń – kryją się inne słowa, nabrzmiałe ogniem i wichrem. Czy w tych nie wypowiedzianych słowach czai się owa prawda, o której mówił? Prawda? Jaka prawda? Co to jest prawda? Zdał sobie jasno sprawę, że w duszy więźnia nie zdoła uczynić wyłomu. Niczego z niego nie wydobydzie. Ten człowiek po prostu nie chce mówić.

Klasnął w dłonie.

– Wyprowadźcie go – rzekł do strażników, gdy stanęli w progu.

Wyszli.

Zasłona zafalowała, wydeła się i opadła.

Zbliża się rozstrzygnięcie. Jeszcze raz wystawi kapłanów na próbę, a potem wyda wyrok – przechadzał się w zamyśleniu po komnacie. – Ten człowiek zachowuje się tak, jakby pragnął śmierci. Swoim milczeniem sam siebie pogrąża. To nie do wiary. Zdumiewające. Nie broni się. Nie odpiera zarzutów. Zauważył to już na samym początku rozprawy. Sądził wówczas, że podczas dalszych przesłuchań, gdy niebezpieczeństwo wyroku śmierci stanie się coraz wyraźniejsze, oskarżony wreszcie zacznie się bronić, ujawni grę kapłanów, ich matactwa, oszustwa i kłamstwa, odsłoni ich zamiary, powody nienawiści, że pokusi się o podważenie tej kunsztownie zbudowanej piramidy oskarżeń. Więzień jednak wypowiedział zaledwie kilka mglistych zdań, a żadne z nich nie miało odciążającej wartości. Milczeniem wykopał sobie grób, a jego wprowadził w labirynt domysłów i podejrzeń. Domysły... Podejżenia... A może jego podejrzliwość jest nieuzasadniona? A może jednak źródłem sporu są jakieś religijne czy też osobiste porachunki między arcykapłanem a Jezusą ben Josef? Więc dlaczego on tego nie ujawnił? Może naprawdę Kajafa nie knuje spisku przeciw prokuratorowi, tylko stara się unieszkodliwić jakiegoś niewygodnego mu wędrownego nauczyciela, który naraził się czymś Świątyni i kapłanom? Jeżeli tak, to dlaczego nie postawili Jezusy ben Josef przed sądem Sanhedrynu i nie skazali go na śmierć przez ukamienowanie? Dlaczego tego nie zrobili? A może ten Jezua nie jest lepszy od Kajafy, może jeden wart drugiego, ot, dwaj przeciwnicy pokłóceni ze sobą z nie znanych mu powodów, rozdzieleni jakimś sporem rodzinnym, dwaj nienawidzący się nawzajem synowie Izraela, jeden syn Izraela godzący w drugiego syna Izraela, kamień uderzający o kamień, żelazo uderzające o żelazo, i stąd ten przeraźliwy huk, albowiem wiadomo, że największy huk powstaje wtedy, gdy bijące o siebie przedmioty zdziałane są z tego samego tworzywa. Któż wie, co kryje się pod milczeniem upartego milczka, prawdopodobnie podstępnego jak wszyscy jego rodacy! Prokurator jest zmęczony. Ma już dość tego dziwaka, o którym jeszcze wczoraj nic nie wiedział – jakiś zamknięty w sobie, niemniej kłótlivy gwałtownik, rozwalający stragany na Dziedzińcu Pogan! – ma już dość rozprawy, widoku obrzezańców, bezskutecznych domysłów, do niczego nie prowadzących roztrząsań. Czas skończyć rozprawę.

Wyszedł do perystylu. Fontanna rozpylała wodny pył. Spojrzał w niebo. Słońce stało już wysoko. Góry Moabu były ledwo widoczne w burzy piaskowej, szalejącej na pustyni.

Na lithostrotos zastał wszystkich i wszystko na właściwych miejscach: tłum u stóp schodów, na podium ustawione było krzesło kurulne, po bokach podium stali liktorzy, obok doradca prawny, sekretarz i asesorzy, naprzeciw po prawej oskarżony pod strażą, po lewej oskarżyciele. Prokurator usiadł na krzesle kurulnym. Dwóch niewolników pochyliło nad nim rozłożyste wachlarze. Zwracając się do oskarżycieli rzekł:

– Jeszcze raz rozważyłem oskarżenie, przesłuchałem Jezusę ben Josef, wniknąłem sine ira et studio w wasze i jego zeznania i po głębokim namyśle jeszcze raz powtarzam, z pełnym przekonaniem, że to, co mówię, jest słuszne i sprawiedliwe: Ten człowiek jest niewinny. Prosilicie, abym ułaskawił Bar Abbę. Przychyliłem się do waszej prośby, chociaż moim zdaniem Bar Abba powinien zawisnąć na krzyżu, a Jezua ben Josef powinien być wypuszczony na wolność. Co zawinił oskarżony? Twierdzicie, że uważa się za króla Judei. Ten człowiek zeznał przede mną, że królestwo jego nie jest z tego świata. Więc pytam was, cóż to za król, którego panowanie rozciąga się tylko na świat pozagrobowy? Nie jestem Judejczykiem. Nie znam tajemnic waszej wiary. Powiedzcie mi, czy wasz mesjasz ma być królem żywych, czy umarłych? Jeżeli żywych, jakże mam skazać Jezusę ben Josef na karę śmierci, skoro on uważa się za króla umarłych, a jeżeli jest królem umarłych, nie mam prawa go sądzić, bo jestem prokuratorem rzymskim i sprawuję władzę nad Judeą, nad krainą ludzi żywych, a nie nad krainą umarłych! Powiedzcie zatem wyraźnie, kim ma być wasz mesjasz!

Z tłumy padły okrzyki:

- Jakże ma być królem umarłych, skoro podburza lud Izraela!
- A Izrael jest narodem ludzi żywych!
- Nie jesteśmy ludem otchłani!
- Czy król, który nie jest królem z tego świata, zabrania płacić podatki cesarzowi?!
- Jezua ben Josef buntuje żywych, a nie umarłych!
- Twierdzi, że jest królem Judei!
- Buntownika chcesz wypuścić na wolność?!

Kajafa postąpił kilka kroków i potrząsając pięściami krzyknął:

- Jeżeli go wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarza!

Poncjusz uniósł się nieco na krzesle i wbił drapieżne spojrzenie w arcykapłana. Zrozumiał! To była groźba! Straszna groźba! Cesarz Tyberiusz nadał mu ongi na wniosek Sejana, gdy ten był u szczytu łask i sławy – tytuł amicus caesaris. Dawny zauszniak Sejana jest fałszywym przyjacielem cesarza! Jego zamaskowanym wrogiem!

Prokurator zbladł. Jeszcze nie ochłonął z pierwszego wrażenia, gdy Kajafa wymierzył mu drugi cios, nie mniej bolesny i groźny:

– Ktokolwiek czyni się królem, ten sprzeciwia się cesarzowi!

Brwi prokuratora zjeżyły się, a cienkie, zaciśnięte wargi stały się nieomal niewidoczne. W Rzymie szaleją procesy przeciw dawnym zwolennikom Sejana. Spadają głowy senatorów, urzędników, patrycjuszów. Wystarczy drobne podejrzenie, cień podejrzenia, wystarczy westchnienie przy wypowiedaniu imienia tego czy owego skazańca, a sądy rzymskie z rozkazu obłąkanego Tyberiusza posłusznie i gorliwie zaciskają palce dokoła gardła ofiary. Prokurator wie, że kto sprzeciwia się cesarzowi, musi zginąć! A ta hałastra judejska do wszystkiego jest zdolna! Prokurator opuścił powieki i ujrzał arcykapłana dyktującego sekretarzowi pismo do cesarza, pełne hołdów, pochlebstw uwędzonych w kadzidle, a przede wszystkim pełne fałszywych świadectw i dowodów, w które cesarz uwierzy, musi uwierzyć, bo chce wierzyć we wszystkie obelgi spadające na niego, bo na ich podobieństwo kształtuje swój zwyrodniały charakter. Judejczycy napiszą! Na pewno napiszą! Kto stanie w jego obronie? Kto?! Musi się ratować! Sam! Nie ma w Rzymie żadnego oparcia! Na nikogo już liczyć nie może!

Nieprzytomny ze strachu stracił bystrość umysłu i poczuł się tak jak w ową fatalną noc, gdy otrzymał wiadomość o haniebnej śmierci Sejana. Doznał skurczu myśli. Zamiast odparować celnym argumentem donosicielską groźbę Kajafy, z trudem zdobył się tylko na prowokacyjny okrzyk, który podziałał na jego przeciwników jak strumień oliwy wylany na płonące ognisko. W bezsilnym gniewie wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby słowa zaprawione pogardą:

– Oto wasz król! Tłum ryknął:

– Precz z nim! Precz z nim! Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Wargi prokuratora rozchyliły się, odsłaniając dwa rzędy małych, ostrych zębów. Zawołał drwiąco:

– Króla waszego mam ukrzyżować?!

Oczy Kajafy rozszerzyły się, rysy jego sępiej twarzy zastygły w nienawistnej zawziętości, podszedł do samego trybunału i, stojąc twarzą w twarz z prokuratorem, cisnął w niego słowami, o których wiedział, że ugodzą tego tchórza w samo serce:

– My nie mamy króla, tylko cesarza!

To powiedziawszy, wrócił spokojnie do kapłanów. Założył ręce za pas i czekał, a tłum chóralnym krzykiem potwierdził:

– Cesarza mamy, a nie króla!

Pewność siebie opuściła prokuratora. Zdobył się tylko na jedną odpowiedź, wyrażoną za pomocą potakującego ruchu głowy. Potakiwał cesarzowi, potakiwał

Kajafie, potakiwał kapłanom, potakiwał tłumowi, potakiwał sobie, potakiwał mądrym słowom, które usłyszał z ust arcykapłana, potakiwał niezwykle wyraźnie, z iście przykładną gorliwością i lojalnością wiernego sługi imperium, potakiwał jasno i niedwuznacznie, niezbitnie i dobitnie, aby wszyscy widzieli i mogli dać świadectwo prawdzie, że on, prokurator Judei, Pontius Pilatus, całkowicie zgadza się z Kajafą, że rzeczywiście Judejczycy nie mają; i nigdy mieć nie będą żadnego króla, tylko cesarza Tyberiusza, imperatora rzymskiego, więc kiwał potakująco głową, kiwał potakująco, i dałby wiele, bardzo wiele ze swojej majątności, gdyby cesarz mógł być świadkiem tej sceny i naocznie widzieć, jak jego nieposzlakowanej wierności urzędnik potakuje Kajafie wołającemu, że Judejczycy mają tylko cesarza, cesarza, cesarza!

Skurcz myśli ustąpił. Prokurator odetchnął z ulgą. Znowu począł jasno myśleć. Powziął postanowienie. Nie będzie się dłużej opierał żądaniu kapłanów.

Uzna Jezus ben Josef za burzyciela ludu, zbuntowanego przeciw cesarzowi. Jezua ben Josef musi umrzeć. Sprawa jest postanowiona i zamknięta. Jednego syna Izraela mniej. Niewielka strata. Należy szybko rozprawę kończyć i wrócić do chłodnej, cienistej komnaty. Rozprawę kończyć? Słusznie. Ale przedtem, zanim wyda wyrok skazujący, naocznie okaże tym trędowatym potomkom niewolników swój żywiołowy wstręt do ich religii! Do ich osłej szczęki! Do ich ryczącego boga! Uczyni to... Uczyni... Poncjusz gorączkowo szukał w myślach jakiegoś sposobu, za pomocą którego mógłby bezkarnie – nie narażając się przy tym na zarzut bezprawnego działania – obrazić ich uczucia i zwyczaj – ich wiary, wyśmiać ich odrażającą pobożność, zadrwić z ich bezmyślnych nakazów, wyszydzić je i spotwarzyć, rozwścieczyć ten motłoch i równocześnie przekornie wyrazić mu swoje zdanie o niewinności Jezusy ben Josef. Znając ich nakaz obowiązkowego umywania rąk na znak oczyszczenia, postanowił posłużyć się tym zwyczajem dla swoich drwiących celów, zakasał rękawy i przywoławszy służącego kazał sobie podać, ku wielkiemu zdumieniu rzymskich i judejskich mężów, dzban z wodą i polewać nią ręce. Woda ściekała po dłoniach Poncjusza, a on mył je, mył niezwykle starannie i każdym ruchem dłoni z pogardliwym uśmiechem podrzeźniał z małpią zręcznością rytuał umywania rąk, i mył je w zapiekłej nienawiści do Izraela, a tę nienawiść wyrażał bez słów, tylko udanym wzruszeniem, które odegrał z niewątpliwym talentem aktorskim, a posunął się nawet tak daleko w naśladowczej dokładności, że nie skorzystał z ręcznika podanego mu przez służącego, lecz podniósłszy ręce – według izraelskich przepisów – czekał, aż same obeschną. Gdy je osuszył gorący powiew chamsinu, zwrócił się do Kajafy, jego świty i pospólstwa i rzekł uśmiechając się przekornie:

– Nie jestem winien krwi tego niewinnego...

Po czym ręką wykonał w powietrzu niedbały, przeczący ruch i zawołał:

– Wasza to sprawa!

Tłum przestał być tłumem. Zamienił się w ognisty gejzer. Wyrzucał z siebie przekleństwa, łajania, lżenia, groźby, wyzwiska, obelgi, syki, gwizdy i zawodzący lament. Niemożnością było odróżnić poszczególne słowa. Stopione z sobą, wymieszane i zbite razem, spadały jak grudy twardego błota na prokuratora, który siedząc nieruchomo na krześle kurulnym sycił się wrzaskiem jak najpiękniejszą muzyką, gdyż znalazł w tym rozpaczliwym chaosie klątw i złorzeczeń zadośćuczynienie za poniesioną klęskę. Szczególne zadowolenie sprawiły mu jakieś powtarzające się wrzaski, które wybijały się ponad tłum, a chociaż nie rozumiał ich znaczenia – nie znał języka aramejskiego – ich ciemne, napastliwe, a zarazem złowieszcze i tragiczne brzmienie zaskoczyło go swoją podniosłą żarliwością. Gdy słowa te powtórzyli w gwałtownym uniesieniu Kajafa i kapłani, zwrócił się do stojącego obok sekretarza i spytał go szeptem:

– Co oni krzyczą?

Sekretarz pochylił się nad prokuratorem i rzekł:

– Oni krzyczą: „Krew jego na nas i na syny nasze...”

To powiedziawszy, trwał w pochylonej postawie, czekając na rozkazy, gdyż zdawało mu się, że cierpliwość jego pana dobiega końca. Prokurator jednak wykonał lekceważący ruch prawą ręką, lewą zaś wyciągnął w kierunku liktorów, którzy na ten znak podnieśli wysoko różgi z toporami.

Tłum zamilkł.

Śmiertelna cisza zaległa plac.

Gorący podmuch wiatru zakołysał wachlarzami.

Prokurator wyprostował się, oparł obie ręce na poręczach kurulnego krzesła i rzekł donośnym głosem:

– Skazuję Jezusę ben Josef z Nazarethu na karę śmierci. Ibis in cruce. Zwrócił się do sekretarza:

– Równocześnie zostanie wykonany wyrok na dwóch zbrodniarzach, skazanych na śmierć. Na krzyżu Jezusy ben Josef ma być umieszczony napis... Zapisz...

Sekretarz wyciągnął z zanadru woskową tabliczkę.

Poncjusz powiódł ręką po czole.

– Napis umieszczony będzie w trzech językach, w łatyńskim, greckim i hebrajskim, i zawierać będzie w myśl prawa motywy wyroku, i brzmieć będzie następująco:

„IESU NACARENUS REX IUDAEORUM”, „IESOU o NAZARAIOS o BASILEUS

ton IOUDAION” ... Przetłumacz to na język hebrajski...

Kajafa wtrącił się:

– Ten człowiek, panie, nie jest królem Judejczyków. Dlatego napis powinien brzmieć: „Jezua hen Josef z Nazarethu, który powiedział o sobie, że jest królem Judejczyków...”.

Poncjusz ruchem głowy przynaglił sekretarza:

– Przetłumacz napis w brzmieniu, które ci podałem. Sekretarz, mówiąc, zapisywał.

– „Jeszu Hanocri melech hajehudim...” Kajafa jeszcze nie dał za wygraną:

– Pragnę z naciskiem zaznaczyć, że napis ten nie zawiera właściwej sentencji wyroku... A na to Poncjusz:

– Co napisałem, to napisałem. Zarządzam w myśl prawa rzymskiego ubiczowanie Jezusy ben Josef.

Wówczas na czoło oskarżycieli wysunął się były arcykapłan, Symeon ben Kamith, i powiedział głosem wielkiej troski:

– Według Prawa Izraela zwłoki skazańca nie mogą wisieć na drzewie przez noc, ale muszą być tego samego dnia pochowane, jest bowiem w Piśmie Świętym powiedziane: „Nie zaneczyścisz ziemi swojej, danej ci przez twój Boga, Jahwe”. Dzisiaj wieczór rozpoczyna się błogosławione święto Pesach...

– Cóż z tego?

– Jeżeli do zachodu słońca skazańcy nie umrą, każ im połamać golenie, aby umarli i natychmiast byli pogrzebani – wyjaśnił Symeon ben Kamith.

Prokurator skinął głową:

– Dobrze, wydam rozkaz centurionowi.

To powiedziawszy, podniósł się z krzesła kurulnego i opuścił lithostrotos poprzedzany przez sześciu liktorów cum fascibus et securibus, a za nim wyszli sekretarz, asesory, niewolnicy z wachlarzami na wysokich tykach, a na końcu Jezus pod strażą żołnierzy. Szedł blady, odprowadzany gorączkowymi spojrzeniami Kajafy, kapłanów i zimną ciekawością pospólstwa.

Po drugiej stronie placu, pod murem okalającym ogrody Heroda, siedziała na podwiniętych nogach niewiasta i, zapatrzona przed siebie szklanymi, wypełzłymi od łez oczami, nie odrywała spojrzenia od bramy pretorium, za którą zniknął Jezus. Obok stał młodzieniec o dziewczęcych rysach twarzy. Jego westchnienia były cięższe od piasku morskiego, a jego dusza była jak żałobny wór.

Złowrogą ciszę, wiszącą nad placem, zmącił łoskot kroków jakiegoś człowieka, który wybiegłszy z tłumu pędził w kierunku Świątyni.

Śmierć Judy z Kerijoth

Biegł krętymi uliczkami, tępo rozglądając się dokoła, i w obłądnym pomieszaniu krzyczał w swoim wnętrzu: Moja twarz napełniona jest hańbą! Jestem pagórkciem bezużytecznych cierni! Jestem marną plewą! Moim oddechem jest rozpacz! Niech przeklęty będzie pagórek bezużytecznych cierni! Niech przeklęta będzie marna plewa! Niech przeklęty będzie mój oddech! Co się ze mną dzieje? Dokąd biegnę? – ciężko sapał, a jego zdyszane usta otwierały się i zamykały jak skrzela złowionej ryby. – Jezua ben Josef stał w kole psów i wilków i na pewno byłby wypuszczony z paszczy okrutników i naśmiewców, gdyby sam nie zeznał, że jest Mesjaszem, Synem Elohim. Synem Człowieczym, siedzącym po prawicy Mocy. Czy jest możliwe, aby fałszywy Mesjasz chciał dobrowolnie umrzeć za swoje fałszywe wybraństwo? A czy jest możliwe, aby fałszywy Mesjasz umiał umrzeć za swoje kłamstwo? Przecież nikt nie umiera za kłamstwo, wiedząc, że jest kłamstwem! Któż by zeznał, że jest Mesjaszem i dobrowolnie poszedł na śmierć, gdyby nie wiedział, że jest naprawdę Pomazańcem Elohim? Więc wydałem w ręce kapłanów Człowieka wyższego od człowieka, a ręce kapłanów wydały Go w ręce prokuratora, a usta mężów krwi coś innego mówiły przeciw Niemu w Wielkiej Radzie, a coś innego mówiły do prokuratora na gabatha! Dlaczego mówiły coś innego? Co się ze mną dzieje? Dokąd biegnę? – Biegł coraz wolniej i z trudem łokciami torował sobie drogę w gęstniejącym tłumie ciągnącym do Świątyni. – Wierzyłem, że jest korzeniem zła, przepaścią nieprawości, mężem zatracenia. A On nie uląkł się śmierci i nie odwołał swoich słów, aby ratować życie swoje. A On się nie bronił i niczego nie odwołał. Wszystko zeznał i wszystko potwierdził potwierdzeniem swoich słów, które wypowiedział przed całym Sanhedrynem, i potwierdzeniem pięści, które Nań spadały i potwierdzeniem płwocin, które Jego twarz oszpeciły, i potwierdzeniem pałek, które Go biły po plecach, a każdy z tych ciosów przeczył mojemu oskarżeniu i mojemu podejrzeniu, i mojej niewierze! A ja teraz biegnę i nie wiem, dokąd biegnę, i wiem tylko, że chcę uciec od Jego śmierci, że nie chcę jej widzieć, że chcę być od niej daleko, bardzo daleko, i uciekam, uciekam! Przed czym ja uciekam? Czy uciekam przed krzyżem, do którego Go przybiją, czy uciekam przed grzechem, do którego jestem przybity, czy uciekam przed Jego oczami, które mnie ścigają, czy uciekam przed moją podłością, która biegnie za mną jak wściekły pies? Nie wiem... Nie wiem... Niech uderzy we mnie Anioł Pana, w moje ciemne i śliskie, i pełzające ścieżki! Płaczcie, moje oczy, płaczcie, moje ręce, płaczcie, moje nogi, płaczcie moje wnętrzności, płaczcie moje kości! Wydałem Człowieka wyższego od człowieka! – tu Juda z Kerijoth przystanął, otarł pot z czoła i ślinę z rozpalonych warg i znów szedł

dalej, i krzyczał w sobie: O, Elohim! Srebrniki, które noszę w moim mieszkku, są zapłątą krwi! Te srebrniki ciążą mi, bo są cięższe od kamieni, od wszystkich gór świata, od fundamentów ziemi! Dusza moja zamknięta jest w ich srebrnej kolistości i w ich brzęczącym ciężarze, który umiłowalem grzeszną miłością, bo umieściłem w nim serce moje i duszę moją! – tak wołał i utrzymywał się w przekonaniu, że chcąc wyswobodzić się z nadmiaru grzechów, powinien według ducha sprawiedliwego kupiectwa, którym zawsze kierował się w życiu, wyrzec się samego siebie. – Panie! – krzyczał. – Oddam pieniądze, aby uwolnić się od przepaści, którą się stałem! Panie! Ja chcę unieważnić umowę! Juda z Kerijoth unieważnia umowę! Unieważnia! Unieważnia! Unieważnia!

Biegł i wymachiwał brzęczącą sakiewką, przepychał się przez mrowiący się tłum, a ludzie przystawali zdumieni zachowaniem się człowieka o przekrwionych oczach, zlanego potem, z trudem trzymającego się na nogach. Przystawał, opierał się o mur i dalej biegł, i znów przystawał, i znów podrywał się, jakby się bał, że nie zdąży na czas, na oznaczone miejsce. Im bliżej był Świątyni, tym większy stawał się tłok. Wszystkie ulice przepełnione były ludźmi i jagniętami. Rzeka mężów, przyodziających w różnobarwne stroje, i zwierząt białych jak śnieg płynęła olbrzymim, spienionym, szumiącym rozlewiskiem do Domu Pana, gdzie ofiarnicy ustawiali się w kilka rzędów przy Ołtarzu Całopalenia i własnoręcznie, pod nadzorem kapłanów, dokonywali świętego uboju jagniąt, przeznaczonych na sederowe stoły. Panował wzorowy porządek. Lewicy pełniący straż sprawnie kierowali ruchem ofiarników. W uroczystej ciszy, pogłębionej pobożnym bekiem jagniąt, węszących niedocieczonym przecuciem obecność Jahwe, błyskały noże ofiarników, krew ofiar wraz z ich niewinnym życiem ściekała do zgrabnie podstawionych mis, które podawane z ręki do ręki wędrowały na Ołtarz Całopalenia, gdzie były opróżniane z zawartości i natychmiast wracały do rąk kapłanów, aby po chwili odbyć tę samą drogę na niesyty krwi ołtarz Pana Zastępów.

Juda półżywy ze zmęczenia dowlóknął się wreszcie na Dziedziniec Kapłanów. Ludzie podejrzliwie przyglądali się niezwykłemu ofiarnikowi o skurczonej, zwiotczalej twarzy, który bez jagnięcia, pobrzękując podniesioną sakiewką szedł jak w lunatycznym śnie. Dzwonił, dzwonił sakiewką, a ludzie rozstępowali się przed nim, a on kroczył między dwiema ścianami tłumu i potrząsał sakiewką, drugą zaś rękę wyciągnął przed siebie i macał jak ślepiec w powietrzu. Gdy stanął przed kapłanami, rozkrzyżował ręce i nie zważając na posokę z zabitych jagniąt obficie spływającą na dziedziniec, runął na ziemię, i podniósłszy dłonie, umazane krwią, krzyknął:

– Z głębokości wołam do was, kapłani! Żałuję! Zgrzeszyłem, wydając krew

niewinną!

Ludzie myśleli, że oszalał, a kapłani nie rozumieli, czego od nich chce. Ani miejsce, ani chwila nie były stosowne do wyznawania grzechów. Nadzwyczajność tej spowiedzi powiększały towarzyszące jej okoliczności, albowiem ten nie znany nikomu grzesznik, mówiąc o swojej winie i krwi niewinnej, którą przelał, czy też o niewinnym człowieku, którego wydał w ręce oprawców – jego wzburzona mowa pozwalała z równym prawdopodobieństwem przypuszczać jedną i drugą możliwość – klęczał w krwi niewinnych jagniąt i gestykulował rękami splamionymi posoką, wskutek czego wyznanie jego nabierało cech niezwykłego świadectwa. Ponieważ kapłani zajęci nadzorowaniem uboju nie mogli przerwać swoich zajęć, zadawali mu między jednym a drugim błyskiem noża nieskładne pytania:

– Czyją krew niewinną wydałeś, nieszczęsny człowieku?

– Kim jesteś? Jak się nazywasz?

– Nazywam się Juda ben Symeon z Kerijoth. Wydałem Rabbiego Jezusę ben Josef z Nazarethu w ręce dostojnego arcykapłana Kajafy...

Wzrok siwego kapłana jak błyskawica zawisnął nad Judą. Jagnię żałośnie beczało. Kapłani i lewici spojrzeli po sobie.

Juda podniósł w górę sakiewkę, zabrzączał nią i rzekł:

– Chcę unieważnić sprzedaż. Chcę zwrócić zapłatę, którą otrzymałem od arcykapłana za wydanie Rabbiego Jezusy ben Josef... Weźcie je...

Ofiarnik sprawnie przyłożył nóż do gardła jagnięcia. Ciemna krew z sykiem trysnęła do misy.

– Co nam z tego? – rzekł oschle siwy kapłan.

– Nic nam do tego! – dorzucił drugi kapłan.

– Twoja to rzecz! – krzyknął inny, podając misę pełną spienionej krwi stojącemu obok lewicie.

Juda podniósł się z ziemi. Zgarbiony, włączył się między tłumami, okrążył Ołtarz Całopalenia, zbliżył się do Świętego Świętych i stanąwszy przed niewidzialnością Pana, rozwiązał sakiewkę, odwrócił ją dnem do góry i wytrząsnął z niej wszystkie srebrniki, które z brzękiem wysypały się na ziemię; jedne potoczyły się ruchem kolistym, jakby chciały wstydliwie umknąć i znaleźć bezpieczne schronienie między szczelinami gładko ciosanych kamieni, inne podskakiwały i dygotały, zanim rozpląszczone legły u nóg Judy, który wciąż potrząsał mieszkami, nie mając pewności, czy między jego skórzanymi, sparciałymi fałdami nie ukrył się podstępnie jakiś pieniądz. Gdy wreszcie przekonał się, że sakiewka jest pusta, że opróżnił ją ze wszystkich swoich grzechów, ze wszystkich ciemności, z całej marności swojego istnienia, odrzucił ją jak wąż zleniałą skórę i objąwszy rękami głowę począł

rozpaczliwie przywoływać z przeszłości wszystkie nauki Jezusa, wszystkie Jego wskazania i rady, wszystkie Jego spojrzenia, ruchy głowy i rąk, wszystkie uśmiechy, gniewy, napomnienia i milczenia, z zapamiętaniem smagał nimi jak różgą swoją duszę, która jak bity pies skuczła, czołgała się w prochu ziemi, błagając Elohim, ukrytego w świętej Pustce, za dwiema gęstymi zasłonami, aby wejrzał na jego podłość, zbrodnię i upadek i nie zatracił go, nie wtrącał w nicość i nie oddawał pod wieczną władzę Beliala. Wołał i żebrał, i tłukł się w piersi, i wył w świętą Pustkę:

– Zgrzeszyłem, Panie, wydając krew niewinną! – a zgrzytająca zębami nieskończoność Elohim odpowiedziała mu szelestem zasłony, a od tego szelestu ścierpła skóra na Judzie i poczuł się tak, jakby niewidzialna siła zdzieliła go siedmiokrotnie po plecach, a potem oddaliła się i odeszła. Juda nie miał tu już niczego do szukania. Ogarnęła go bezbrzeżna samotność. A co gorsza. Pan, oddalając się, zatarł za sobą ślady, wskutek czego upadły apostoł, znalazłszy się w całkowitym opuszczeniu, na jałowym pustkowiu, nie wiedział, gdzie ma szukać Elohim, którego przemyślność w ukrywaniu się dobrze była mu znana. Chcąc Go przebłagać, musiał Go znaleźć. Ale gdzie? Żaden błagalny głos, żadne modlitwy, żadne lamenty wypowiedane rozpaczliwym krzykiem, żadna skrucha i żaden żal nie przywołały z powrotem głuchego Pana, który uciekłszy od Judy, zamknął uszy i oczy, i całą swoją wszechwiedzę, i nic nie chce wiedzieć o podłym grzeszniku, który wydał niewinnego Człowieka, wyższego od człowieka.

Juda wyszedł ze Świątyni, ociężałe włókł się przez Dolne Miasto i z każdym krokiem rosło w nim pragnienie odszukania i przebłagania Pana. Dojrzało w nim przekonanie, że musi powziąć rozstrzygające postanowienie jeszcze przed śmiercią Jezusy ben Josef – ujrzał rozpięte na krzyżu, drgające w śmiertelnych drgawkach ciało Rabbiego i na ten widok począł wyrzucać z siebie skłębione, bełkocące jęki – i wtedy znienacka naszła go przerażająca świadomość, że powinien dla ocalenia swojej przeklętej duszy własną śmiercią ubiec śmierć błogosławionego Męża i zanim On stanie przed Panem, stanąć samemu przed Jego obliczem i powiedzieć Mu: „Panie, przyszedłem przed Synem Twoim, gdyż pragnę tym gorliwym pośpiechem, ofiarą mojego marnego życia, zmyć hańbę mojej twarzy”. Tak! Jedynym sposobem na odnalezienie ukrytego Pana jest śmierć! Pójdzie śladami Jezusy ben Josef i umrze na drzewie, i dobrowolną, męczeńską śmiercią zbawi siebie od wiecznego zatracenia, i naśladowując w marnym pomniejszeniu wielką ofiarę Rabbiego, odnajdzie miłosierdzie Pana, który widząc w nieszczęśniku żal i pragnienie obmycia się z grzechów wyjdzie z ukrycia i przebaczy mu, i będzie znowu dla niego mocną warownią i skałą. Szedł przez Dolne Miasto i dolinę Tyropeon w kierunku Gnojnjej Bramy. Gdy znalazł się za murami miasta – okolica była w tym miejscu pusta

i dzika – ogarnął go lęk przed śmiercią. Jak gromada głodnych wilków obskoczyły go wyjące zmory, niepokoje, trwogi. Pan odszedł od niego i więcej nie ma już dla Judy ratunku. Jest potępiony w niebie i na ziemi, na wysokościach i na nizinach, przeklęty jest na całą wieczność i nie istnieje taka ofiara, którą by mógł odkupić zbrodnię, zwłaszcza że ofiarą tą nie może być jego podłe życie, niewarte nawet czerepów rozbitego dzbanka. Cóż Bogu z jego życia? Jakby Mu składał w ofierze podartą tunikę lub parę dziurawych sandałów. Rozejrzył się dokoła. Stał na ziemi przeklętej, w dolinie Ge Hinom, wśród śmieci i nieczystości, gdzie ongi za króla Manasesa bluźniercze dłonie zbudowały ołtarz dla krwawego Molocha. Pokryty wrzodami pies, przytrzymując łapami padlinę, wyszarpywał z niej kość i pożądliwie ją ogryzał. Kilka sępów poderwało się znad śmietniska. Juda wzdrygnął się. Chciał się cofnąć, ale czyjaś wola, nie podlegająca jego woli, pchała go przed siebie, w głąb tych nieczystości, kału, rozkładającego się ścierwa kotów i szczurów, pogruchootanych naczyń, gnijących skór zwierzęcych, butwiejących belek, zardzewiałego żelastwa, w chmurę much i komarów, rozwścieczonych upałem i krążących z bzykaniem nad królestwem ohydy. Zamroczony obrzydliwością tego miejsca, gdzie nagromadziły się wszelkie plugastwa i nieczystości – nie na darmo w wyobrażeniach ludu znajdowała się tutaj brama do piekielnej otchłani – zmierzał do uschniętego figowca o rosochatych gałęziach, sterczącego w samym środku potępionej doliny. Brnąc po kolana w gnijących odpadkach, dotarł do celu wędrówki. Przystanął. Słońce stało prostopadle na niebie. Z trudem wdrapał się na drzewo, odpiął płócienny pas, jeden jego koniec przymocował do gałęzi, drugi związał w pętlę i narzucił ją na szyję. Całym ciężarem ciała gwałtownie odepchnął się od pnia i zawisnął w powietrzu. Zacharczał. Nogi zadygotały i zakołysały się. Głowa opadła na piersi. Podmuch chamsinu poderwał tumany kurzu i pędząc je przed sobą runął na figowiec i potężnie nim wstrząsnął.

Gałąź złamała się, a martwe ciało Judy runęło między żelastwo i szczyrby glinianych naczyń. Z pękniętego brzucha wypęzło węzowisko jelit. Pies podniósł łeb, wciągnął w nozdrza wiatr i kołując, z pyskiem przy ziemi, nieufnie zbliżał się do zwłok.

Ale dusza Judy była już obojętna na los swojej cielesnej powłoki, albowiem idąc przez wielką samotność, szukała Elohim, który ukrył się i zaszył w niedościgłym czasie.

Ubiczowanie

Strażnik zaprowadził Jezusa przez kręte korytarze na wewnętrzny dziedziniec

pretorium, otoczony czworobokiem budynków, w których mieściły się koszary oddziału wojskowego, pilnującego bezpieczeństwa pałacu, i oddawszy więźnia w ręce centuriona, przekazał mu rozkaz prokuratora. Centurion, rosyjczyk – ponieważ legia rzymska nie podlegała dowództwu prokuratora, pod jego rozkazami znajdowały się tylko kohorty złożone z Syrotenicjan i Samarytan, zaciętych wrogów Izraela – okiem doświadczonego oprawcy obrzucił Jezusa i ocenił Jego cielesną wytrzymałość, a egzamin ten prawdopodobnie nie wypadł pomyślnie dla więźnia, bo oficer parsknąwszy lekceważąco wargami zawołał bez zbytniego zapału:

– Nuże! Chłopcy! Macie tu jeszcze jednego syna Izraela! Żołnierze wysypali się z koszar.

– Uubiczujemy go – rzekł centurion – to Jezua ben Josef z Nazarethu.

– Król Judei? – spytał jeden z nich. Żołnierze ryknęli śmiechem.

– Zbawca narodu wybranego!

– Już cię oporzędzimy, synu Dawida!

– Potomku Makabeuszów!

– Dobrze ci skórę wygarbujemy!

Przyglądali Mu się z zadowoleniem, gdyż zmiarkowali, że będą mogli na tym skazańcu nie tylko do syta popoľgować swojej nienawiści do ludu Izraela, ale również dzięki nader śmiesznym okolicznościom, towarzyszącym Jego uwięzieniu – ta garstka nieszczęścia uważa siebie za króla Judei! – zabawić się Jego kosztem, a przecież taka sposobność nie zdarzała się codziennie w ich jednostajnym i nudnym życiu. Byli radzi i wesoło podochoceni z powodu gratki, która im wpadła w ręce. Nie przystąpili jednak natychmiast do działania, bo pragnęli naprzód rozsmakować się w oczekującej ich rozrywce, i w tym celu licytowali się w hałaśliwym i brutalnym wyliczaniu znamienych cech postaci i ubioru Jezusa, nie omieszkając przy tym wyrażać swojego zdania o sińcach na Jego twarzy i o rozciętej wardze. Z udanym więc zdziwieniem stwierdzali – a każde takie stwierdzenie było natychmiast kwitowane huraganowym śmiechem, będącym równocześnie wyrazem wesołości, jak i uznania dla konceptów żartownisia – że król Judei nie ma niestety zbyt królewskiego wyglądu, że jego szaty są nieco za skromne, sandały dziurawe – nigdy dotychczas nie widzieli króla w dziurawych sandałach! – a poza tym podbite oko i rozcięta warga świadczą o jakiejś niezwykle burzliwej przygodzie, w którą niefortunnie wdał się władca Jerozolimy. Jakiś drab podszedł do Jezusa i patrząc z bliska na Jego posiniaczoną twarz, wyraził zdanie, że ciosy były zadawane niewprawną ręką, że były właściwie niecelne i że prawdopodobnie potrafi – wypowiedział te słowa z udaną powagą i dumą wytrawnego oprawcy, co znów wzbudziło żywiołową wesołość zachłystujących się od śmiechu towarzyszy –

naprawić nieumiejętność nie znanego mu partacza.

– Dość tego! – huknął centurion. – Rozbierzcie króla!

Kilku samarytańskich i syrofenickich żołnierzy rzuciło się na Jezusa, ściągnęli z Niego tunikę, jeden z nich krzyknął zapobiegliwie: – Nie rozdierajcie tuniki! Jest całodziana! – spodnie okrycie i sandały, po czym przywiązali Go powrozami za przeguby rąk do niskiego drewnianego pala, tak że Skazaniec stał wpółzgięty, z łukowato pochylonymi plecami. Po Jego bokach przyczało się dwóch żołnierzy, trzymających w rękach bicz w kształcie krótkich pałek o kilku rzemieniach, zakończonych ołowianymi kulkami i ostrymi haczykami. Dokoła stanęli auxiliaries, rozgorączkowani i podnieceni zbliżającym się widowiskiem. Centurion dał znak ręką. Na plecy Jezusa posypały się uderzenia, rozdawane to z prawej, to z lewej strony przez dwóch żołnierzy. Z początku ciosy padały w dłuższych, choć ściśle odmierzanych odstępach, wkrótce jednak ręce siepaczy nabrały właściwego rozmachu, smagnięcia stawały się coraz gęstsze i mocniejsze, i na plecy, barki i łydki skazańca lunął istny grad ciosów, tak szybkich, że nie tylko nie można było dostrzec ich rytmicznej kolejności, ale zdawało się, że to nie dwa bicz spadają w miarowym następstwie, lecz dziesięć biczów równocześnie wali jak morderczy akord w słaniające się ciało Jezusa. W siepaczach rosła zawziętość. Chociaż nędzarz nie jęczał, nie krzyczał, nie skomlał o litość ani nie przeklinał Boga, ludzi i swojego losu – wrzaski zawsze pobudzały ich do biczowania z podwójną zawziętością – żołnierze czuli do tego Człowieka nieustannie wzmagającą się nieposkromioną nienawiść, biorącą początek w przeświadczeniu, że katują w swojej ofierze nie jakiegoś obojętnego im Galilejczyka, jeszcze jednego zbrodniarza skazanego na śmierć, ale znienawidzone wybraństwo Izraela, pychę całego narodu, jego odrażającą odrębność, która od niepamiętnych wieków wzbudzała w nich i ich praojcach wstręt do tych ludzi, wywyższających się z mglistych, tajemniczych i niedocieczonych powodów nad wszystkie ludy świata. Oto leży u ich nóg ucieleśnienie całego Izraela, jego zarozumiałość i rzekoma wyższość, jego pewność siebie i wyniosłość, jego przewrotna pycha i lekceważenie dla wszystkiego i wszystkich, co łbem nie wali o kamienne progi Świątyni! Król Judei! Król ich pychy! Król ich wybraństwa! Król ich pogardy! Więc smagali tę wodę rozlaną, ten worek kości i ścięgien, a bicz spadały na garstkę nędzy udającej króla, spadały coraz szybciej, coraz szybciej, coraz szybciej, a każde uderzenie było szybsze od towarzyszącego mu świstu, a każdy świst przynaglał do jeszcze szybszych i mocniejszych uderzeń, a każde mocne uderzenie wzbudzało nieopisaną radość żołnierskiej widowni, która hukaniem, klaskaniem, wyciem i tupaniem nagradzała owocny trud siepaczy, a zarazem podjudzała ich do jeszcze większego wysiłku.

- Bijcie króla Jerozolimy!
- Mocniej! Mocniej!
- Walcie syna Dawida!
- Proroka!

Wrzeszczeli coraz głośniej, a ich twarze były czerwone od podniecenia, a dłonie drętwiały od hucznego klaskania.

Plecy i nogi Jezusa po pierwszych uderzeniach pokryły się długimi smugami, które przecinając się w różnych kierunkach, utworzyły na Jego ciele gęstą sieć pręg, z początku sinych, potem nasycających się gęstym fioletem, wreszcie krwawą wybroczyną. Krew ściekała z żelaznych haczyków i ołowianych kulek, które za każdym uderzeniem wżerały się w ciało, rozrywały je i rozszarpywały, a rzemienie wciąż wznosiły się w górę i opadały w krwawą miazgę, milczącą, bezsilną, przywiązaną rękami do słupa. Ale ten Człowiek, ten strzęp ludzkiego mięsa, ochlapany posoką, rozorany głębokimi bruzdami, nie kurczył się i nie malał pod ciosami biczów – siepacze, wykonując wielokrotnie karę biczowania, widzieli, jak skazańcy dla uniknięcia uderzeń podstępnie zwijali się w kłębek, aby pomniejszyć powierzchnię ciała do możliwie najmniejszych rozmiarów – i leżał nieruchomo na brzuchu, w półwiszącej postawie, wyciągnięty jak struna, odsłoniony w całej swej grozie, z nastawionymi na uderzenia plecami, i ani jednym ruchem zadrażnionego ciała nie dał do poznania, że chce je uchronić przed cierpieniem. Jakby wyzywał okrucieństwo siepaczy! Jakby wyzywał uderzenia ich biczów! Więc smagali Go, smagali, ile tylko mieli siły w twardych, zrogowaciałych rękach, a On, leżąc w kałuży krwi na kamiennych płytach dziedzińca, dziękował Panu, że Go uczynił ofiarą nowego Dnia Odkupienia, świętym i niepokalanym Kozłem, który już nie symbolicznie, lecz w krwawej dosłowności wziął na siebie z własnej woli ciężar grzechów całej ludzkości, a teraz objuczony nimi, ugina się pod ich ciężarem i okładany biczami biegnie na bezpłodną pustynię, prześladowany wrzaskiem i uderzeniami popędzających Go prześladowców. Wybrany, błogosławiony i wszechmiłujący Kozioł Ofiarny pędzi przed siebie, dźwigając na swoim pokrwawionym grzbiecie brzemię ciemności, zbrodni i brudu całego czasu, winy pokoleń, przepaście i upadki człowiecze i coraz bardziej zbliża się ogromnymi susami ku pustyni, do uświęconego okręgu śmierci; upada z cierpienia, z ran, upływu krwi, pragnienia, głodu; podrywa się i pędzi dalej w grzmocie biczów, spadających na Jego plecy, podcinających Mu nogi, wpijających się w boki, a im bliżej jest celu, tym większa jest radość Jego umęczenia, chociaż wie, że na tej bolesnej drodze nikomu nie wolno stanąć w Jego obronie, bo taki jest nakaz Obietnicy i taka jest nieubłagana świętość Boskiego i Przeczystego Kozła, Elohim-

Kozła, Pana ubiczowanego i oczyszczającego! – Dosyć! Wystarczy! – krzyknął centurion. Bicze znieruchomiały w powietrzu i powoli opadły.

Jezus podniósł powieki, a spojrzenie Jego krwią zalanych oczu, zaskoczone obecnością oprawców, spoczęło na nich ze współczującym zdumieniem.

Król Judei

Odwiązali Jezusa od słupa i starali się podźwignąć Go z ziemi. Leciał im przez ręce. Chlusnęli na Niego wodą z wiadra i posadzili na zydlu. Cicho jęknął. Chciał się podnieść. Żołnierz uderzeniem pięścią w piersi zmusił Go do siedzenia. A właśnie ta postawa z powodu nadbitych lędźwi przyprawiała Go o nieznośny ból. Zdawało Mu się, że traci przytomność. Zacisnął zęby. Starał się nie wykonywać najmniejszego ruchu. Woda ściekająca ze zmasakrowanego ciała utworzyła pod zydlu rdzawą kałużę. Zamknął oczy i zwiesił bezsilnie ręce. Paliły Go rozorane plecy. Jakby je żywym ogniem przypiekano. Słyszał śmiechy, naigrawania, drwiny. Jeden z samarytańskich żołnierzy opowiadał o jakimś zdarzeniu, którego był świadkiem podczas pobytu w Aleksandrii. Widział na jednym z placów szaleńca, którego gawiedź przebrała za króla, na głowę nałożyła mu wiklinowy kosz, na barki płócienną szmatę, do ręki wetknęła trzcinę-berło i wśród wesołości tłumów biła przed nim głębokie pokłony. Opowiadający umilkł. Po dziedzińcu szeleściły urywane szepty, które przeszły w stłumiony chichot, potem rozległy się półgłosem wypowiedane słowa, odgłos szybko biegnących nóg i Jezus poczuł – w tej chwili otworzył oczy – jak czyjeś ręce narzucają na Niego starą, brudną, postrzępioną czerwoną chlamidę liktora, do ręki wkładają Mu trzcinę i – nagle potworny ból przeszył Jego czaszkę: stojący za Nim siepacz wcisnął Mu znienacka na głowę, od tyłu, zawój uwity z gałęzi ciernistego krzaka, którego długie kolce jak nacierające skorpiony wpiły się w kark, w skronie, w ciemię, w czoło. Jeden kolec rozorał brew nad prawym okiem i uszkodził powiekę. Strumyki krwi sączyły się po karku, czole, zalewały oczy, policzki i wsiąkając w brodę, zastygały i zlepiały ją w grube, skołtunione kosmyki.

Była to żołnierska niewybredna zabawa, w której samarytańscy i syrofeniccy auxiliaries wypowiadali swoje uczucia o oplutym i obitym Izraelu, pokornym i upokorzonym, zrównanym z ziemią, unicestwionym. Wreszcie ujrzeli na własne oczy trędowatego Jeszuruna, w chwale jego poniżenia, w błazeńskim stroju żebraczego króla, i radowali serca jego śmiesznym widokiem, jego tronem skleconym z kilku sękatych patyków, jego berłem będącym spróchniałą trzciną, jego czerwonym płaszczem, zżartym przez mole, jego diademem uwitym z kolców.

– Bądź pozdrowiony, królu judejski! – wyli szyderczo i klękali przed Jezusem.

Na dziedzińcu zjawiał się sekretarz prokuratora, który już czekał przed pałacem w otoczeniu liktorów, aby osobiście stwierdzić, według obowiązującego prawa, dokonany akt biczowania. Urzędnik natychmiast zrozumiał, co zaszło. Już gotował się do udzielenia ostrej nagany centurionowi i żołnierzom, którzy mimo wyraźnego rozkazu, że skazańca należy tylko ubiczować, poigrali z nim z nazbyt wesołą brutalnością. Po namyśle postanowił nie łajać ich z powodu śmiesznego zresztą i pomysłowego wybryku, gdyż błazeńskie przebranie Jezusa może posłużyć prokuratorowi dla celu, który mu przed chwilą wyjawiał. Dlatego gdy żołnierze, nieco stropieni nagłym zjawieniem się sekretarza, poczęli szybko zdejmować czerwoną chlamidę ze skazańca, zatrzymał ich gestem ręki i kazał wyprowadzić go przed pretorium w szatach – tu łaskawie się uśmiechnął – udzielnego monarchy.

Wyszli.

Jezus szedł powoli, z trudem. Piekły Go krwawiące rany na plecach, czuł dotkliwy ból w kości nosowej – czyżby ją złamali? – bolały Go ramiona, boki, golenie. Unieruchomioną kolcami głowę rozsadzało wewnętrzne kołatanie, które naciskało na skronie, uszy, oczy, czoło, potylicę, jakby chciało rozłupać czaszkę i uwolnić się z niebezpiecznej pułapki. Mimo to szedł bez pomocy żołnierzy, którzy z prostackim uznaniem kiwali głowami nad cielesną wytrzymałością Męża i nie mogli nadziwić się Jego odporności i niepożytej sile. Patrzyli na Niego z trwożnym niedowierzaniem i z buńczuczną nieśmiałością.

Wyszli na lithostrotos. Po obrzękłej twarzy Jezusa, spod ciernistej korony, sączyły się strugi krwi. Z jego barku obsunęła się chlamida, odsłaniając czerwone pręgi na ciele. Stał wyprostowany, z zamkniętymi oczami, opierając się obiema rękami na trzcinie. Prokurator z odrazą odwrócił głowę. Kciukiem prawej ręki, którą odchylił nieco ku tyłowi, wskazał na Jezusa i rzekł mocnym głosem, aby go równie dobrze słyszeli kapłani, jak i pospólstwo, stojące na placu:

– Oto... człowiek...

Tymi dwoma słowami, oddzielonymi od siebie krótkim i wymownym odstępem, uroczyście dawał świadectwo przed obliczem obecnych przed pretorium Judejczyków oraz cesarza, przebywającego na dalekiej wyspie Capri – niechaj donośny głos prokuratora dotrze przez morza i lądy do skalistej stolicy cesarza, do Villa Jovis! – że on, Pontius Pilatus, prokurator Judei, widzi w tym nędznym synu Izraela, odzianym w błazeńskie szaty, tylko człowieka, zwyczajnego, marnego i przemijającego człowieka, a nie syna bożego, męża boskiego pochodzenia, bo ta wysoka godność przysługuje na wieki wieków tylko członkom julijskiej dynastii, sprawującej władzę nad rzymskim imperium.

Motłoch ryczał:

– Na krzyż! Na krzyż!

Prokurator skrzywił się. Skinął na sekretarza i wydał mu rozkazy: Jezua ben Josef ma być odziany w swoje szaty, ciernie należy zdjąć z Jego głowy, bo będą przeszkadzały podczas wykonywania wyroku. Wyrok będzie wykonany na wzgórzu Golgotha. Oddział wykonawców składać się będzie z centuriona, z czterech żołnierzy i pomocnika. To powiedziawszy, zamknął posiedzenie trybunału, podniósł się z krzesła kurulnego i nie skinąwszy nawet ręką w stronę kapłanów, poprzedzany przez liktorów, wszedł do wnętrza pałacu.

– Wyzwoleniec! Prostack! – rzucił półgłosem Kajafa.

Droga na Golgothę

Upał stawał się nie do zniesienia. Kamienie na lithostrotos zionęły żarem jak ruszta piekarskiego pieca. Ludzie, zmagając się z tumanami pustynnego wichru, pochylali głowy, zasłaniali usta, mrużyli oczy, mimo to ostre drobiny piasku wżerały się pod powieki i zgrzytały między zębami. Centurion, opasy Syrofenicjanin, z blizną na policzku, dosiadł konia, który wierzgał, prychał, toczył pianę z pyska i rzucał się, jakby go ktoś zacinał po pęcinach batem. Centurion ściągnął lejce, ścisnął konia kolanami i z trudem osadził go w miejscu. Podniósł hełm, wytarł czoło i strzepnął pot z mokrej dłoni. Żołnierze zawiesili Jezusowi na szyi titulus, tabliczkę z trójjęzycznym napisem: „Jezua ben Josef, król Judejczyków”, i nałożyli Mu na ramiona poprzeczne drzewce krzyża, wyciosane z oliwnego pnia, zalatującego zapachem świeżo przeciętych słołów. Jezus pod ciężarem zgarbił się i zachwiał.

– Nie poniesie... Ledwo dyszy... – rzekł jeden z żołnierzy.

– Poniesie – zawyrokował drugi. – Ma niedaleko.

Za Jezusem stanęli dwaj przestępcy, krzepcy i muskularni chłopcy – jeden uśmiechał się szyderczo i raz po raz spluwał, jakby tym sposobem chciał okazać pogardę dla ludzi i świata, drugi zaś, młodszy, o kościstej twarzy i ponurym, zamysłonym wyrazie oczu, tępo patrzył w ziemię – i bez zbytniego wysiłku i pośpiechu dźwignęli na ramiona ciężkie brzemie belek. Żołnierze zbrojni w włócznie i krótkie miecze ustawili się po obu stronach skazańców, a obok przystanął młody Fenicjanin, pomocnik z drabiną i wiklinowym koszem. Centurion dał znak ręką. Ruszyli. Spora gromada włóczągów, gapiów i niedorostków, łasych krwawego i barwnego widowiska, pobiegła za pochodem wraz z tłumem służby Kajafy. Podczas gdy arcykapłan, Hanan, kapłani i przedstawiciele możnych rodów szybko udali się do domów, by uczestniczyć w ostatnich przygotowaniach

świętecznych – przedtem przystanęli jeszcze przez chwilę na schodach pretorium, odprowadzając wzrokiem idący na Golgotę pochód, jakby się chcieli upewnić, czy na pewno zmierza we właściwym kierunku – kilku kapłanów w słusznej odległości towarzyszyło pochodowi na miejsce stracenia, aby zdać potem Kajafie sprawozdanie o wykonaniu wyroku. Gdy pochód minął Górne Miasto i piał się w stronę murów miejskich, przyłączyła się do niego liczna gromadka mężów i niewiast jerozolimskich i galilejskich, ukrytych i jawnych zwolenników Jezusa – tylko apostołowie nie mieli odwagi wyjść z ukrycia – a wśród nich Mariam, żona Haltiego, i Salome, żona Zebadii, oraz Mariamne z Magdali. Na samym końcu szła Miriam, matka bolesna o kamiennym obliczu, o suchych, szeroko rozwartych oczach, podobnych do dwóch wyschniętych sadzawek. Towarzyszył jej Johanan ben Zebadia. Jego szara twarz nie miała nic z młodzieńczej świeżości. Bezkrwiste wargi odmawiały modlitwę. Na gładkim czole między brwiami żłobiła sobie drogę głęboka bruzda. Pierwsza zmarszczka.

Jezus zgarbiony dyszał ciężko. Z trudem włókł się pod górę. Belka wpijała się w Jego ramię, wżerała się w obojczyk, ocierała skórę do krwi i za każdym ruchem Skazańca przybierała na wadze, obezwładniała Jego okaleczone nogi, płucem odbierała resztkę powietrza. Przystanął. Chcąc zmniejszyć ciężar belki próbował ją nieco przesunąć ku dołowi. Omdlałe ręce nie sprostały tej nader złożonej czynności, odmówiły posłuszeństwa i Jezus, straciwszy równowagę, runął na ziemię. Belka, wypadając z Jego rąk, przygniotła Mu ramię. Pierś przeszył ostry, piekący ból, jakby w nią ktoś włócznią ugodził. Z potłuczonych kolan sączyła się krew. Leżał ze skurczonymi nogami, z twarzą przywartą do ziemi, z rozkrzyżowanymi rękami, strzęp rozpląszonego ciała. Świszczący oddech wydobywał się z Jego ust. Palce bezbronne przebierały w piasku. Przerażliwy łoskot krwi w skroniach i uszach powoli nacichał. W całym ciele rozlewał się spokój jak dobroczynna oliwa. Zdawało Mu się, że leży w trawie nad Jam Kinereth – usłyszał szum fal – i wypoczywa po zmudnej wędrówce. Nic Go nie bolało. Zupełnie nic. Dobrze było leżeć po skwaronym dniu i wypoczywać w chłodzie wieczornego powiewu, ciągnącego od Hermom! Ktoś szarpnął Go za ramię. Poruszył się. Dotkliwy ból w ubiczowanych plecach i w pokłutym cierniami karku przywrócił Mu świadomość bezlitosnej rzeczywistości. Próbował się podnieść. Oparł się na rękach i ukląkł.

Dwie pary rąk chwyciło Go pod pachy i uniosło ku górze. Stanął. Poczuł na ramieniu ciężar belki. Zachwiał się. Pot zmieszany z krwią zalewał Mu oczy, szyję, spuchnięte wargi, spalony żarem kark.

Centurion poganiał:

– Szybciej! Szybciej!

Wlókł się krok za krokiem, z pochyloną głową, borykał się z ciężarem patibulum, które kołysało się na Jego barku jak ramiona ogromnej wagi, a za każdym jego przechylem – tak, tak, to nie było drzewce krzyża, ale ramię wagi, sprawiedliwej wagi! – Jezus zataczał się, przystawał i znów szedł kilka kroków, wciąż mocując się z brzemieniem i chwiejną równowagą belki, i z bólem przyprawiającym Go niemal o omdlenie. Gdy przechodzili przez Bramę Ogrodów, potknął się o wystający z bruku kamień i upadł. Nie mógł się dźwignąć. Podniósł głowę i ujrzał zamazane zarysy wzgórza pokrytego zielenią, drzewa, jakichś ludzi, i usłyszał z dala dochodzący gniewny głos centuriona:

– Ty! Zatrzymaj się!

– Czego chcesz ode mnie, panie?

– Weź belkę i ponieś za tego skazańca!

– Czasu nie mam, panie. Wracam z pracy, jestem zmęczony. Święto się zbliża. Muszę jeszcze jagnię zanieść do Świątyni Pańskiej.

– Nic mnie nie obchodzi twoje święto! Zdążysz! Słyszałeś rozkaz?!

– Panie...

– Szybko! – wrzasnął centurion. Powietrze przeciął świst bicia.

Jezus poczuł w boku silne kopnięcie żołnierskiego buta. Podniósł się. Przed sobą ujrzał barczyste plecy, kędzierzawą głowę i spoczywającą na szerokim ramieniu belkę krzyża. Był wdzięczny temu nie znanemu człowiekowi i zarazem miał do niego żal, że Go wyręczył w dźwiganiu morderczego ciężaru. Powinien go dźwigać sam, sam, tylko sam, na szczyt wzgórza, na szczyt wzgó...

Posuwał się z trudem. Przecięli drogę opasującą Golgothę i wspinali się szeroką ścieżką wśród wyciosanych w skale starych i nowych grobów. Były one własnością jerozolimskich bogaczy, którzy za życia przygotowywali sobie tutaj miejsca wiecznego spoczynku z pięknym widokiem na Jeruzalajim Hakodesz. Płaczące niewiasty, które dotychczas szły na końcu pochodu, przyspieszały kroku, a chociaż płakały cicho, bardzo cicho, gdyż przestrzegały Prawa zabraniającego głośnego zawodzenia nad skazanym na śmierć przestępcą, Jezus usłyszał ich stłumione łkanie. Spojrzał w bok, ku Świętemu Miastu, ku okalającym je murem, ku Świątyni Pańskiej, roziskrzonej w słońcu, ku pałacom i domom i, wciąż mając, w uszach przejmujące westchnienia niewiast, wzruszył się ich losem, gdyż ujrzał rękę Jahwe nad płonącym miastem, braci swoich leżących z rozplatanymi piersiami na ociekających krwią dziedzińcach świątynnych, głodne niewiasty pożerające chciwie płód swojego łona i dzieci o głowach roztrzaskanych o mury Świątyni. Ogarnęło Go cierpienie większe od cierpienia Jego ubiczowanego ciała, czoła pokłutego kolcami, ramion startych do żywego mięsa, i poczuł gorycz, nieopisaną gorycz, większą od goryczy Jego języka,

i smutek większy od smutku Jego duszy, i niepokój większy od niepokoju Jego serca, i pnąc się pod górę, i z trudem łapiąc powietrze w poodbijane płuca On, proch i zgorszenie przed obliczem synów człowieczych, zwrócił głowę ku nieszczęsnym płaczkom, nieświadomym losu Izraela, i rzekł:

– O, córki jerozolimskie, nie płaczcie, nie płaczcie nade mną... ale płaczcie raczej nad sobą i nad swoimi dziećmi... Albowiem nadejdą dni, gdy mówić będziecie: „Szczęśliwe są nieplodne niewiasty i te, które nie rodziły i nie karmiły...” Wówczas wołać będziecie do gór: „Zwalcie się na nas!” I do pagórków: „Przykryjcie nas!” O, córki jerozolimskie... je żeli tak się stanie z drzewem figowym i niewinnym... cóż stanie się z drzewem uschłym i grzesznym?!

Stanęli na szczycie wzgórza.

Pośrodku wznosiły się trzy wbite w ziemię pale.

Ukrzyżowanie i śmierć Jezusa

1

Centurion zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Chłop i dwaj skazańcy zrzucili belki na ziemię. Fenicjanin oparł drabinę o jeden z pali i wyjął z kosza gwoździe, obcęgi, młoty, siekiere, chusty biodrowe i powrozy.

Z tłumu wysunęły się dwie niewiasty jerozolimskie, należące do pobożnego zgromadzenia, opiekującego się więźniami i skazanymi na śmierć, i pokłoniwszy się centurionowi wyraziły pokorną prośbę, aby pozwolił podać skazańcom według świętej Księgi Meszolim – w Księdze tej jest napisane: „Daj mocny napój skazańcom” – wino zmieszane z mirrą, miłosierny i ulgę przynoszący napój, który oszalał i znieczula ciało człowiecze. Gdy centurion skinął głową na znak przyzwolenia, niewiasty nieśmiało zbliżyły się do Jezusa i podały Mu kubek balsamicznego trunku. Twarz Rabbiego pokrył cień zakłopotania. Ujął kubek w obie ręce, przyłożył go do ust i, nie umoczywszy w nim warg, nagłym ruchem wręczył go stojącym obok towarzyszom śmierci. Centurion i żołnierze zaśmiali się. Pomruk zdziwienia przeszedł przez tłum, który nie rozumiał, dlaczego Jezus nie wypił znieczulającego napoju.

Żołnierze przystąpili do pracy.

Ponieważ ludzie tłoczyli się i rozpychali, a nieustannie przyłączali się do nich liczni przechodnie, idący przez Via Romana okalającą wzgórze – zwabieni niecodziennym zdarzeniem, nie mogli odmówić sobie przyjemności zatrzymania się i przeżycia mocnych wrażeń – żołnierze zepchnęli ich na bok, na odległość, która pozwalała widzom na dokładne oglądanie egzekucji, a zarazem umożliwiała

wykonawcom wyroku swobodne poruszanie się po miejscu stracenia.

Fenicjanin ujął w obie dłonie zwój długich powrozów. Czekał. Centurion przenikliwym spojrzeniem wpatrywał się w skazańców, w Jezusa, w jednego i drugiego złoczyńcę, po czym w odwrotnej kolejności przenosił wzrok z jednego złoczyńcy na drugiego i znowu na Jezusa, i... nie oderwał od Niego oczu. Wskazał Go palcem i rzekł:

– Zaczynjcie od niego...

Żołnierze podbiegli do Rabbiego, zdjęli zawieszoną na Jego szyi tabliczkę, błyskawicznie obnażyli Go z szat, zżuli sandały, a biodra opasali chustą. Kazali Mu się położyć na ziemi. Leżącemu szeroko rozkrzyżowali ramiona i podłożyli pod nie patibulum, poprzeczną belkę krzyża. Fenicjanin skoczył, koniec belki i rozpląszczoną na niej prawą dłoń z garstką zwróconą na zewnątrz ściągnął powrozem, i całe ramię szczelnie przywiązał do drzewa. To samo uczynił z lewą ręką Jezusa, a resztę powroza, potrzebnego dla późniejszych czynności, pozostawił luźno wiszącą. Teraz sięgnął po drugi powróż, umieścił go pod pachami Rabbiego i zawiązał od tyłu w ruchomą pętlę. Podał żołnierzom młoty i gwoździe. Rozległy się głuche, tępe uderzenia. Straszny ból wstrząsnął ciałem Skazańca. Zadrżały mięśnie nadmiernie rozciągniętych ramion i klatki piersiowej, która podniosła się i natychmiast opadła. Głowa przywarła do belki. Wargi rozszerzyły się i odsłoniły dwa rzędy kurczowo zaciśniętych zębów, spoza których wysączył się ledwo dostłyszalny, z nadludzkim wysiłkiem stłumiony jęk. Na szyi wystąpiły sine, nabrzmiące żyły. Wąskie strugi krwi popłynęły z przebitych nadgarstków.

Centurion krzyknął:

– Na środkowy krzyż!

Dwaj żołnierze dźwignęli z ziemi patibulum wraz z Rabbim. Przypominali rzeźników wlokących za rogi baranka przeznaczonego na ubój. Fenicjanin chwycił koniec pętli umieszczonej pod pachami Jezusa i zgrabnie, z niezwykłą szybkością, wdrapał się po drabinie na środkowy pał. Znalazłszy się na jego szczycie, wsunął powróż w gładko wyżłobione łożysko i począł powoli i ostrożnie wciągać w górę belkę z przybitą do niej Ofiarą, podczas gdy dwaj żołnierze podtrzymywali rękami bezwładnie zwisające ciało. Gdy Rabbi zawisnął na przewidzianej wysokości, Fenicjanin silnym pchnięciem wklinował poprzeczną belkę w głębokie wycięcie w słupie, ściśle dopasowane do jej grubości, i wyciągnął powróż spod pach Skazańca. Pał i poprzeczna belka utworzyły kształt krzyża.

Dalsza praca szybko i sprawnie postępowała naprzód. Po zharmonizowanych ruchach żołnierzy i fenickiego pomocnika i błyskawicznym następstwie czynności – nie należy zapominać, że to właśnie Fenicjanie byli wynalazcami ukrzyżowania –

łatwo było poznać, że są niezwykle biegli w katowskim rzemiośle. Wysoki Trak powrozem zwisającym z lewej dłoni Jezusa przywiązał Go do pala, od piersi po stopy, unieruchamiając w ten sposób tułów i nogi, lewą nogę zgiął nieco w kolanie, wskutek czego łatwo umieścił stopę na stopie. Pomocnik w miejscu przecięcia pala i belki gwoździem umocnił wiązanie i przybił nad głową Skazańca tabliczkę z trójjęzycznym napisem. Zeskoczył na ziemię. Wytarł spocone czoło. Odsapnął. Ruchem głowy wskazał żołnierzom leżący na ziemi gwoźdź i młot. Gładko ociosaną deseczkę przyłożył do Jezusowych stóp, szczelnie przylegających do siebie. Jeden z żołnierzy przytrzymał gwoźdź, a drugi bił w głowicę silnymi uderzeniami młota. Ostrze przebiło listwę, lewą stopę, potem prawą i utknęło głęboko w drzewie krzyża. Krew trysnęła na dłonie oprawców. Wytarli je szmatami i jak robotnicy po wykonaniu ciężkiej pracy z zadowoleniem spojrzeli na przybitą do krzyża Ofiarę. Fenicjanin przeciął powrozy opasujące ramiona, tułów i nogi. Jezus zawisł na gwoździach. Pozostał na łasce napiętych do ostateczności mięśni i ścięgien.

Potem żołnierze ukrzyżowali dwóch złoczyńców. Mieli nie lada robotę, bo skazańcy, chłopcy o potężnej budowie, klnąc i złorzecząc, rzucali się, zrywali powrozy, kopali, gryźli i dopiero pod ciosami pięści, zmordowani i zbici, półprzytomni, ulegli przemocy. Zmęczeni żołnierze i centurion, który pomagał w kielzaniu szalejących obrzezańców, zdjęli hełmy i usiedli na ziemi. Pili chciwie poskę.

2

Ogień kłębi się pod czaszką, usta są jak spalona pustynia, piersi pękają z braku powietrza, w gardle dławi pragnienie. Ciało unosi się i całym ciężarem opiera bądź na gwoździu w stopach, bądź na sedile, na drewnianej, zwodniczej podpórce – umieszczonej na wysokości dolnego kręgu krzyżowego – a potem opada i znów się podnosi, i znów opada, dzięki czemu stygnąca krew żywej krąży w żyłach, a piersi przez chwilę lżej oddychają. Tylko przez chwilę. I znów rozpoczyna się to falowanie zamierającego ciała, raz w górę, raz na dół, raz w górę, raz na dół. Ale podczas gdy gwoźdź w przebitych stopach urasta do rozmiarów błogosławionego podnóżka, podpierającego wiszące ciało, rozpostarte szeroko ramiona uniemożliwiają oddychanie i przy lada poruszeniu powodują okrutny ból w przebitych nadgarstkach, który wwierca się w mózg, przeszywa stos pacierzowy, szarpie trzewiami. Byle nie drgnąć! Byle wisieć w doskonałym znieruchomieniu! Byle znaleźć jakiś punkt obojętnej równowagi między rozciągniętymi ramionami, zdradziecką podpórką a gwoździem tkwiącym w stopach! Byle wrosnąć w krzyż

i stanowić z nim jedną niepodzielną całość! Czuje w gardle dławiący ucisk. Z otwartych ust wydobywają się strzępy świszczącego oddechu. Dusi się. Próbuje się wyprężyć. Spod gwoździa w stopach sączy się kilka kropel krwi. Piersi unoszą się, pod napiętą skórą zarysowuje się wypukłe sklepienie żeber. Wciąga powietrze. Odetchnął i wyczerpany ulgą, która ogarnia Go miłosierną drętwością, opuszcza głowę na piersi. Znow widzi rogatego, umęczonego Elohim, swoją bezlitosną, wszechmiłującą i samowyniszczającą się Tożsamość, która włożywszy na siebie winy i grzechy wszystkich synów człowieczych, ich przestępstwa i zbrodnie, nieprawość i ciemność, bezwstyd i nieczystość, biegnie w podskokach na pustynię do ziemi jałowej, aby sobie samej złożyć ofiarę z samej siebie i w ten sposób uwolnić człowieka od przekleństwa, oczyścić go, podnieść i uświęcić. Modli się za ludźmi, których grzechy na sobie dźwiga. Modli się za swoich wrogów, za Kajafę, Hanana, Hananidów, Judę z Kerijoth, za Heroda Antypasa, za rzymskiego prokuratora, za faryzeuszów, saduceuszów, sanhedrytów, fałszywych kapłanów, którzy wydali Go w ręce oprawców, za sługę, który Go uderzył w policzek, za żołnierzy, którzy Go ubiczowali, za żołnierzy, którzy Go ukrzyżowali, za motłoch, który wołał przeciw Niemu, za synów Izraela i za wszystkie ludy ziemi, za tych, którzy są, którzy ongi byli i którzy kiedyś będą, za tych, którzy dzisiaj nie wiedzą, co czynią, i za tych, którzy w przyszłości nie będą wiedzieli, co uczynili, za faryzeuszów, saduceuszów, sanhedrytów wszystkich czasów i wszystkich narodów i plemion. Za wszystkich. Za wszystkich.

Podnosi głowę – ludzie ośmieleni zmęczeniem żołnierzy, popijających poskę i posilających się suszonymi daktylami, zbliżyli się do krzyża – i widzi ciemne rozlewisko bez kształtu i treści. Mrugając powiekami, sklejonymi potem i krwią, zdołał na tyle strząsnąć z nich dokuczliwe zamglenie, że odróżnia postacie i twarze. Widzi matkę swoją i stojącego obok niej Johanana ben Zebadia, galilejskie i jerozolimskie niewiasty, i wodząc wzrokiem po garstce kapłanów, saduceuszów, faryzeuszów i uczonych, śledzących z uwagą Jego męczeńskie bojowanie ze śmiercią, błaga swoje Synowskie Ojcostwo, Pana o twarzą Ojca i Syna, aby przebaczył winę ludziom ślepym i głuchym, żyjącym w zamroczeniu i niewiedzy, w zamaconych wyobrażeniach o obiecany raj, utraconym w dniu nieszczęsnej przygody z Drzewem. Przygotowani na powrót Drzewa-Człowieka, gdy wreszcie żywymi oczami widzą przed sobą wysnione Drzewo, na przekór prawspomnieniom nie poznają Go i czynią z Niego znak hańby i przekleństwa, szubienicę. Unosi się nieco, opierając ciężar ciała na gwoździu w stopach – ból w przebitych nadgarstkach promieniuje teraz na całą klatkę piersiową – i z trudem oddycha. Język jest suchy jak wiór. Na spuchniętych wargach tworzy się skorupa z potu, zmieszanego z krwią.

Zdrętwiały język, spieczone wargi i zaschnięte gardło nie mogą ukształtować dźwięku. Usta wypełnione gęstą mazią słów bezgłośnie otwierają się i zamykają. Wreszcie zdołał przełknąć odrobinę śliny, lepkiej i słonej, i wtedy, nie odrywając oczu od swoich nieprzyjaciół, szepce cichym, błagalnym głosem:

– Abba, odpuść im, albowiem nie wiedzą, co czynią...

Głowa opadła na piersi.

3

Żołnierze poruszyli się. Przeciągali się i ziewali.

Dowódca przeszedł wzdłuż krzyżów, przed każdym przystawał i przyglądał się skazańcom. Wrócił do żołnierzy. Spojrzał w niebo.

– Wiszą już chyba godzinę.

– Tak, centurionie.

– Ten w środku ledwo oddycha. Tamci dwaj to twarde ryby.

– Będą wisieć przez noc – rzekł jeden z żołnierzy.

– Albo i dłużej.

– Nie – wtrącił centurion – dobijemy ich przed zachodem słońca. Taki jest rozkaz prokuratora. Przeklęty upał. Macie jeszcze trochę poski?

– Mamy, centurionie.

Podali mu dzban. Chciwie pociągnął kilka łyków. Odstawiając naczynie, wskazał głową na leżące na ziemi szaty Jezusa i rzekł:

– Podzielcie się. Sprzedacie je na amulety.

– Słyszałem, że Judejczycy bardzo cenią gwoździe po ukrzyżowanych, bo przynoszą szczęście i chronią przed chorobami.

– Tak. Taki gwóźdź wolno im nosić przy sobie nawet w Szabat.

– Ho... ho... – zawołali z podziwem – nawet w Szabat!

Gruby, przysadzisty żołnierz przyniósł suknie Jezusa i rozkładając je, po kolei ze znawstwem oceniał ich jakość jak zawodowy handlarz starzyzną, po czym sprawiedliwie podzielili się spodnim odzieniem, płaszczem, sandałami i pasem, a o całodzianą wełnianą tunikę, jedyną, która miała jakąś wartość, rzucali kostki. Wygrał ją przysadzisty żołnierz.

Burza piaskowa przybierała na sile. Rozpalone niebo zionęło płomieniami i było jak odwrócony do góry dnem kocioł, z którego wylewały się na ziemię strumienie kipiącego ołowiu. Wiatr zawył, podniósł w górę płachtę piachu i cisnął nią o ziemię. Jeszcze przez chwilę wił się jak gad rozgnieciony stopą olbrzyma, zanim ucichł, ustępując miejsca następnemu podmuchowi, który z jeszcze większą siłą chłostał

ludzi, drzewa i zarośla.

Żołnierze usiedli na ziemi i patrzyli z nie ukrywaną złością na nieruchome i wciąż jeszcze krótkie cienie padające od krzyżów.

4

Wysoko na niebie pojawia się sęp. Obniża lot, krąży nad wzgórzem, odlatuje i znika w oślepiającym błękiecie. Na Via Romana ujadają psy.

Jezus zamyka oczy. Głowa Jego pęka od bólu i żaru. Wdechy i wydechy stają się coraz uciążliwsze. Drętwienie ramion przenosi się do płuc, z płuc do nasady tchawicy, która zwęża się, zwęża... Powieki jak dwie napięte zasłony z trudem powstrzymują napór oczu, wychodzących z oczodołów. Dusi się. Znow próbuje oprzeć się na błogosławionym gwoździu, tkwiącym w stopach. Oddycha głęboko. Słyszy dalekie wołania. Niech wołają. Niech Pan nie zamknie wołających ust ani nie stawia przed nimi swojej straży. Niech wołają, jak długo mają wołać, bo ich wołanie jest częścią Jego udręki. Obietnica musi się wypełnić we wszystkich szczegółach. Te usta wołały, zanim jeszcze były ustami, wołały z ksiąg, zanim jeszcze księgi były księgami, wołały z głębi zapisów, kształtujących się z mgławic i mlecznych dróg, z zawrotnych przepaści zawieszonych nad przepaściami, z harmonijnej prawidłowości, zanim jeszcze była prawidłowością. Ich wołania bolały Go wtedy, gdy wychodziły z praust, z praksiąg i z prazapisów, i bolą Go teraz tą samą boleścią, gdy wyrzucają je usta stojących pod krzyżem nienawistników:

– Ty, co rozwalasz Świątynię Pańską i w trzy dni ją odbudowujesz, zstąp z krzyża i ratuj samego siebie!

– Innych ocaliłeś, a siebie samego ocalić nie umiesz?!

– Ocal się, jeżeli jesteś Mesjaszem!

– Mesjasz!

– Król judejski!

– Zstąp z krzyża, abyśmy widzieli i uwierzyli!

– Zaufałeś Bogu, niechaj zatem Bóg cię uwolni, jeżeli cię miłuje!

– Przecież mówiłeś, że jesteś Synem Bożym!

– Ocal samego siebie, królu Judejczyków!

Z wysokości lewego krzyża słyszy chrapliwy, urywany głos, który przyłączył się do chóru szyderców:

– Jeżeli jesteś Mesjaszem... wybaw siebie... i nas... Na co czekasz? A z wysokości prawego krzyża odpowiada żalosny jęk:

– Tę samą karę... ponosisz... Elohim się nie boisz... Cierpimy zasłużenie... a Ten jest

niewinny... Jeszuo...

Jezus usłyszał swoje imię. Mocując się z coraz bardziej wzmagającym się wyczerpaniem, podnosi powieki i wyteża słuch.

– Jeszuo... ben Josef... przypomnij sobie o mnie... gdy wejdiesz do Królestwa Bożego...

Ten łotr jest teraz jedynym człowiekiem na ziemi, który głośno żebrze u Niego o łaskę. Nikt Go o nic nie prosi. Czy można o coś prosić nędzarza konającego na haniebnym krzyżu? Spomiędzy Jego tężejących warg sączą się słowa, przyrzeczenie, a zarazem dowód wdzięczności za ten jedyny głos głośno wołający do Niego z wysokości krzyża, z wywyższonego sąsiedztwa:

– Będiesz ze mną... w raj... dzisiaj... Spogląda w niebo. Słońce stoi już za Jego plecami.

5

Nie może oddychać. Rzęzi. Pomyślał, że nastał już czas pożegnania. Odszukał wzrokiem matkę. Stoi tam, gdzie przedtem, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Otwiera usta i wzywa ją tym samym słowem, którym ongi zwrócił się do niej w Kanie Galilejskiej, w godzinie swojego pierwszego cudu, gdy była źródłem początku, rodzącym i pomnażającym cielesny i duchowy ład świata. Nie chce jej pozostawić samotnej. Po Jego śmierci rodzina w obawie przed prześladowaniami ze strony Hananidów i kapłanów będzie na pewno zmuszona wyprzeć się matki Przekłętego i Powieszonoego i pozostawi ją na łasce losu. Zresztą większość krewnych okazywała Mu zawsze jawną niechęć. Dlatego postanowił powierzyć ją opiece umiłowanego ucznia, który kiedyś w przyszłości uwielbi ją w swoim groźnym i pochmurnym widzeniu i wyniesie ją, słoneczno-księżycową małżonkę Jahwe, nad wszelką zmienność i płynność, oblecze ją w słońce, w znak Abrahamowych, Jicchakowych i Jaakowowych pasterzy, koczujących i wybranych, a płodny i nieustannie odnawiający się księżyc uczyni jej podnóżkiem, a głowę ozdobi dwunastogwiazdowym wieńcem, a ona, oblubienica wód, trwać będzie nad wszelkimi wodami, które na jej prośbę ocienił swoimi rękami i przemienił w wino, w owoc szczytu Izraela. Wina nie mają, Synu... Wina nie mają, Synu... Wina nie mają, Synu...

Wyszeptał:

– Niewiasto...

Miriam odejmuje dłonie od twarzy i patrzy ze zgrozą na Syna. Jezus oczami wskazuje na Johanana ben Zebadia:

– To syn twój...

Nie odrywając oczu od ucznia, z wysiłkiem wykonuje ruch głową w kierunku Miriam:

– To matka twoja...

Wyje wichura. Olbrzymia piaskowa kurzawa skręca się w powietrzu, wiruje, podrywa się i uderza w szczyt wzgórza. Szarpie szatami, gałęziami, zaroślami, skłębia się w drzewach, wali o krzyże, zrywa z głów płócienne okrycia i, dzierżąc je silnie w kurczowo zaciśniętym pysku, wali nimi zaciekle o ziemię. Ludzie nakrywają płaszczami głowy, zaciskają oczy i usta, chronią się za wykroty skalne. Znienacka zalega cisza. W głębi zamglonego widnokregu, wypełnionego ognistym pyłem, rozlega się dalekie, wściekłe ujadanie, które zbliża się, zbliża... Dmą ostre, urywane porywy wichru, krótkie, długie, krótkie, długie, i skowycząc rzucają się na przerażoną ziemię, z której podnoszą się płowe chmury kurzu, powłóczyście i pękate, przezroczyście i gęste, i powoli płyną ku niebu, przypominającemu teraz zetlały, rozsypujący się łachman. Ściemnia się. Słońce, pokryte mętym bielmem, nasycając się żółto-purpurowym blaskiem, rozlewa się ropiejącą kałużą po zwęglonym niebie.

Niektórzy spośród czekających na wzgórzu, zatrwożeni niezwykłością zjawiska – takiej burzy piaskowej najstarsi nie pamiętali – oślepieni piachem, z pochylonymi głowami, zakrywając połami płaszczy oczy i usta przed podmuchami wichru, szybko zbiegli ze wzgórza. Mieli już dość krwawego widowiska i skowyczącego żywiołu. Na co będą czekać? Bóg wie, kiedy ten zwodziciel skona na krzyżu. Uważali, że uczynią rozsądnie, jeżeli jak najszybciej znajdą się w szczelnie i ciasno zabudowanym mieście, gdzie szaleństwo wichru, stłumione murami i domami, jest mniej dokuczliwe. Spieszyli się. Już za kilka godzin lewicy zadną w szofary w Świątyni i rozpocznie się Pesach. Biegli szybko, coraz szybciej, w mroku wciąż przybierającej burzy, a za każdym krokiem rosło ich przerażenie, bo zrozumieli, że Jahwe o twarzy z wichru i ognia rozpętał nad nimi żywioły, dając upust swojemu gniewowi z powodu karygodnej opieszałości niewdzięczników, którzy, zamiast troszczyć się o uroczyste oblicze święta, przez kilka cennych godzin dawali upust bezmyślnej rozrywce.

6

Ciała trzech nagich skazańców smagane wichrem błyszczą przeraźliwą bielą w rozżarzonego mroku dnia.

Jezus dusi się. Piaskowa burza i sztywniejące mięśnie zapierają Mu dech w krtani. Wycieńczony do ostateczności nie ma już sił opierać ciężaru ciała na przybitych stopach. Wszystkie Jego mięśnie i ścięgna ogarnia bezwład. Zaprzestał nierównej

walki ze wzmagającym się wyczerpaniem, a chociaż jeszcze od czasu do czasu próbuje wyprostować zwiotczałe nogi, czyni to odruchowo, bez udziału woli, która wymęczona wielogodzinną walką poddaje się posłusznie prawu zbliżającego się konania. Jest sam na sam z Aniołem Śmierci. Opuuszczony przez wszystkich, opuścił teraz samego siebie – wreszcie przyszła ta chwila, której tak bardzo się lękał! – oddalił się od siebie, skazał się na ostateczną samotność i zamknął ją w rozpaczliwym pytaniu psalmisty. Pokonując opór już odrętwiałego karku, podnosi głowę ku niebu, otwiera usta i mówi:

– Eli, Eli, lama azawtani?... Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Ponieważ nie ma już sił, aby głośno zmówić cały psalm, zmawia go w swoim wnętrzu ustami bezmownymi i w każdym słowie przeżywa jeszcze raz całe swoje ziemskie życie – wewnętrznym słowom towarzyszą gesty wewnętrzne – i wyznaje, że jest mieszkańcem prochu, robakiem, wzgardą pospólstwa i pośmiewiskiem ludzi, którzy wykrzywiają wargi i potrzęsają nad Nim głowami, i drwiąc, polecają Go opiece obojętnej Obecności, otaczają Go coraz ciasniejszym kołem – zaprawdę, stado nacierających byków, rozjuszone woły Baszanu, wściekłe psy, lwy ryczące! – a On jest jak woda rozlana na ziemi, kości Jego są jak zręby rozpadającego się domu, serce stopniało jak wosk, siły rozpękły się jak gliniane dzbany, a wyschnięty język przylgnął do podniebienia! Przebili Jego ręce i nogi, i patrzą na Niego, i gapią się, i dzielą się Jego sukniami i o suknie Jego rzucają los! Eli, Eli, lama azawtani?

Stoją w dziennych ciemnościach na wzgórzu – oprócz Miriam, Johanana ben Zebadia, niewiast i kilku zwolenników Jezusa pozostała garstka saduceuszów, faryzeuszów oraz kapłanów, którzy mieli, jak wiemy, z polecenia Kajafy stwierdzić zgon zwodziciela – i nie odrywają oczu od dogorywającej Ofiary. Nienawistnicy, usłyszawszy dochodzące do nich z wysokości krzyża słowa dobrze im znanego psalmu, korzystając z dźwiękowo do siebie podobnych imion Boga, El, i proroka Elijahu, ukuli z tego podobieństwa nader – ich zdaniem – dowcipną grę słów i poczęli drwiąco wołać:

- Wzywa proroka Elijahu, swojego zwiastuna!
- Wzywa jego pomocy!
- Zobaczymy, czy Elijahu się zjawi!
- Czy mu pomoże!

Tak wołali, albowiem prorok Elijahu, wykonawca różnych obowiązków i służebnych zadań, był również wykonawcą szczególnej posługi, owego niezwykle trudnego posłannictwa, które mu przypadło w udziale podczas składania przez Abrahama ofiary z jego jedyne go syna. Otóż gdy związany Jicchak leżał na ołtarzu, a wdzięczny głos Pana pochwalił przerażonego ojca za wzruszające posłuszeństwo,

Elijahu był tym posłańcem – jak głosi pradawny midrasz – który z rozkazu Pana pospiesznie sprowadził baranka, uwikłał go rogami w zaroślach i podsunął Abrahamowi jako zastępczą ofiarę za syna. I to właśnie zdarzenie przypomniało się szydercom, gdy stojąc na wzgórzu w poświęconym ognistej burzy, w drwiącym oczekiwaniu czekali na zjawienie się Elijahu, który z rozkazu Pana Jezus ben Josef zdejmie z krzyża i przybije do niego przyprowadzonego przez siebie baranka. Naigrawali się więc i kpili, i niedbale udawali oczekiwanie i niecierpliwość, i krzyżąc: – Zobaczmy, czy mu pomoże! – nie wiedzieli, że przed wiekami, na górze Moria, uwikłany rogami w zaroślach Baranek nie był zwyczajnym barankiem, ale świętym znakiem Elohim, który sam siebie niezawodnymi rękami proroka Elijahu podsunął pod wzniesiony nóż patriarchy. Już wtedy Pan tęsknił za własną śmiercią.

7

Twarz sinieje. Suche, szeroko otwarte oczy zachodzą martwym szkliwem. Tułów wygina się łukowato i całym swoim brzemieniem zawisa na rozpostartych ramionach. Kolana martwieją, a wtedy bezwładne nogi nieco się rozwierają, a stopy wykonują ledwo widoczny ruch na osi gwoźdźca, spod którego sączy się kropla krwi. I krzepnie.

– Pragnę – szepcze.

Jeszcze słyszy jakieś głosy, wciąż mówiące o proroku Elijahu, rozkazy, krzątanie, stąpanie i czuje na wargach smak octu zmieszanego z wodą. Przywiera ustami do mokrej gąbki i chciwie ją ssie. Idzie ku Niemu Światło, utkane z najdoskonalszych i najczystszych dźwięków, zrodzonych z łagodnych drgań nieskończoności i bezczasu, i otacza Go ze wszystkich stron, i promieniuje siedmiobarwną harmonią chórów, harf, cytr, bębnow, fletów i cymbałów, i przepala Go swoją niewidzialnością, cierpieniem radośniejszym od najdoskonalszej radości, przepala Go i wciąga, i wchłania, a On wstępując w nie, wstępuje w siebie, we własny nieprzebrany Bezmiar, w swoją radosno-cierpiącą Obecność, w oślepiający kryształ Mądrości, w sam środek skrzyżowania wszystkich promieni, w złoto-mleczną Pełnię, w Dawar, w SŁOWO, którym zawsze był, jest i będzie, i którego nigdy nie opuszczał, chociaż teraz do niego powraca.

Wypełniwszy do końca swoje człowieczeństwo, szepcze:

– Wykonało się...

Zbiera w sobie resztkę dogasających sił i woła wielkim głosem:

– Abba, w ręce Twoje oddaję ducha mego! Skonał.

– Skonał! – krzyknęli.

Miriam podbiegła do krzyża i objęła ramionami skrwawione stopy Syna. Centurion i żołnierze zerwali się z ziemi, lecz zanim zdążyli powstrzymać nieśmiało zbliżający się tłum, rozległ się daleki łoskot podobny do grzmotu. Poczuli pod nogami niespokojne drżenie, potem falowanie, z początku łagodne, pieszczotliwe, jakby znaleźli się w łodzi na lekko rozkołysanym jeziorze i nagle gwałtowne dygotanie wstrząsnęło górą, która chwiała się i trzęsła i, jak płaczka pogrążona w żałobnym szale, tarzała się w prochu, wydzierała sobie włosy z głowy – wichura wyrzucała w górę zmierzwiłe kosmyki zarośli i gałęzi – i pazurami rozdrapując swoje policzki, wyła rozdzierającym płaczem pękających skał.

Wszystko ucichło.

Pod krzyżem stała matka...

W tej samej chwili wewnętrzna zasłona wisząca przed Kodesz Hakodeszim w Świątyni Pańskiej, oddzielająca miejsce Elohim, Świętą Pustkę, od reszty Przybytku, rozdarła się od góry do dołu. Była to barwna i bogata zasłona, szeroka i fałdzista, tkana z hiacyntu, bisioru, karmazynu i purpury, wyobrażająca cztery żywioły, cały wszechświat i niebiosy, przetykana złotem, perłami i najszlachetniejszymi kamieniami, zaprawdę suknia godna Jahwe Cebaoth, który rozpaczając teraz nad zgonem Syna, rozdarł ją rytualnym gestem na znak żałoby, jak to było w zwyczaju synów Izraela lamentujących nad zwłokami swoich najbliższych. Ponieważ szata w pojęciach ludu nie była tylko zewnętrznym okryciem, ale stanowiła niejako nierozdzielną jedność z ludzkim ciałem – każda nagość była hańbiącą i nieprzyzwoitą – rozrywanie szaty na znak żałoby było równoznaczne z samoofiara, rozrywaniem własnego ciała na połowy. Tak rozerwał swoje ciało praojciec Jaakow na widok skrwawionego płaszczka Josefa, tak uczynił król Dawid, gdy dowiedział się o bohaterskiej śmierci na polu bitwy Saula i Jonatana, tak uczynił Eliza, bolejąc nad odejściem proroka Elijahu, i tak czynili od zamierzchłych czasów wszyscy synowie Izraela, i tak uczynił Pan, Wiekuisty, Bóg Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, nad martwym ciałem swojego umiłowanego Syna.

Czy dobrze słyszałem, Rabbi?

Ludzie podnieśli się z ziemi i, wstrząśnięci śmiercią Jezusa i towarzyszącymi jej zjawiskami, bili się w piersi, i bili się w piersi faryzeusze i saduceusze, i kapłani, wysłannicy Kajafy, bili się w piersi, bo wiedzieli z doświadczenia praojców, że ilekroć ziemia się trzęsie i pękają skały, bliska jest obecność lwiego Pana, który nigdy nie wstrząsa podstawami ładu dla błahych powodów. Zrozumieli, że znajdują się w okręgu świętym, zakazanym, który zhańbili skalanymi stopami i znieważyli zmasą swoich grzechów, a ponieważ nikt z nieczystych nie może bezkarnie przekroczyć granicy świętości, w której przebywa Moc Pana, w popłochu i w obłędnym strachu uciekali z wybranej góry. Gdy wreszcie znaleźli się w pałacu arcykapłańskim i półprzytomni z wrażenia na wyprzódki opowiadali o śmierci Jezusy ben Josef i o niepojętym zdarzeniu Kajafie, Hananowi i przedniejszym mężom, nikt ze słuchających nie dawał im wiary, bo w mieście poza wiejącym chamsinem, który spowodował chwilowe zamroczenie widoczności, nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło, nie odczuto żadnego trzęsienia ziemi ani nie słyszano huku pękających kamieni – o rozdartej wewnętrznej zasłonie w Świątyni nic jeszcze wiedzieć nie mogli – z czego należy wnioskować, jak to złośliwie wyjaśnił jeden z saducejskich kapłanów, że trzęsła się tylko... Golgotha. Powiedziawszy to, nie przypuszczał, jak bardzo trafił w sedno zjawiska: rzeczywiście drżała w swoich podstawach tylko góra Golgotha, której granice były granicami nienaruszalnej świętości, podobnie jak ongi drżała jej rodzona siostra, góra Synaj, podczas gdy reszta okolicy, gęsto pokryta czekającym ludem spoczywała w niewzruszonym spokoju.

Na Golgocie pozostali tylko najbliżsi Jezusa – Miriam ramionami obejmująca stopy Syna, Johanan ben Zebadia i płaczące niewiasty, wśród nich Salome, Mariamne z Magdali, Mariam, matka Jaakowa, oraz centurion i żołnierze, którzy nie mniej od innych przerażeni trzęsieniem ziemi, skłonni byli przyznać, że Ukrzyżowany był Mężem Sprawiedliwym, a może nawet Synem Bożym – dodawali w zabobonnym strachu – skoro tyle niezwykłych zjawisk towarzyszyło Jego śmierci.

Wichura ustała. Rozwidniło się. Sine niebo poczęło błękitnieć, powietrze nasyciło się krystaliczną czystością, na widnokręgu zarysowały się góry Moabu, tylko słońce zmęczone całodziennym wysiłkiem świeciło wprawdzie jasnym, ale już nie oślepiającym światłem. Ciągnął świeży powiew, zwiastun pokrzepiającego wytchnienia. W zaroślach odezwało się ćwierkanie wróbli.

W ciszy, która zapanowała na wzgórzu, rozległo się stąpanie i Johanan ben Zebadia poczuł na ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni. Odwrócił się i ujrzał Josefa

z Ramathaim, faryzeusza, tego samego, który podczas sądu nad Jezusem przemówił w obronie znieważonego Prawa. Josef utkwiał wzrok w Ukrzyżowanym i wyszeptał:

– Baruch szem kewod malchuto leolam waed... Niechaj będzie błogosławione chwalebne imię Jego Królestwa zawsze i na wieki... Johanen ben Zebadia nie wierzył własnym uszom.

Centurion spojrział na słońce i rzekł do żołnierzy:

– Trzeba kończyć. Tamtych dobijcie. Połamcie im golenie. Jeszuy ben Josef nie ruszajcie. Nie żyje.

– Powinniśmy stwierdzić zgon, centurionie – powiedział Fenicjanin. Dowódca zamyślił się i rzekł:

– Przebijcie mu bok.

Żołnierz o atletycznej budowie ciała podszedł do krzyża, odsunął Miriam, podniósł włócznię i silnym pchnięciem wbił ją głęboko w prawy bok Jezusa. Miriam krzyknęła. Z rany wyciekł strumień ciemnej krwi, zmieszanej z żółtym, wodnistym płynem.

– Stwierdzam śmierć – rzekł centurion.

Przeraźliwy jęk wyrwał się równocześnie z dwóch gardeł. Złoczyńcom połamano golenie.

– Stwierdzam śmierć – oświadczył centurion i dosiadł konia. Jeden z żołnierzy pozostał na straży, reszta oddziału z dowódcą wróciła do pretorium. Miriam usiadła pod krzyżem i kołysząc się, przez łzy zmawiała modlitwę. Johanen ben Zebadia, ośmielony wypowiedzianym w jego obecności błogosławieństwem, chcąc usłyszeć potwierdzenie tego, co usłyszał, rzekł z bijącym sercem do Josefa z Ramathaim:

– Rabbi...

Josef zwrócił do niego pomarszczoną, zdjętą smutkiem twarz.

– Rabbi... – powtórzył Johanen i odciągnął go nieco na bok. Spytał szeptem:

– Czy dobrze słyszałem, rabbi? Josef skinął potakująco głową.

– Imię Jego pochwaliłeś? Josef znowu skinął głową.

– Rabbi...

Spod gęstych brwi patrzyły na Johanana zamglone oczy faryzeusza.

– Pomóż nam... – rzekł głosem, w którym brzmiała rozpacz.

– Cóż ja wam pomóc mogę?

Johanen rzekł:

– Wnet przyjdą mężowie ze zgromadzenia pogrzebników i pochowają zwłoki. Czy pozwolimy wrzucić ciało Jeszuy ben Josef do wspólnego grobu?

– Nie, mój synu.

– Jeżeli przyznajesz mi słuszność, panie, powiedz, jaka jest twoja rada.

– Rodzina ma prawo prosić prokuratora o wydanie zwłok.

– Czy niewiasty mają pójść do niego? Matka? Jej siostra?

– Mężowie powinni pójść, a nie niewiasty.

– Braci nie miał. Z braci stryjecznych żaden tu nie przyszedł. Boją się. Chyba ja pójdę. Ale czy mnie dopuszczą przed oblicze prokuratora? Nie jestem krewnym Jezusy ben Josef. Cóż ja znaczę? A poza tym...

– A poza tym?

– Nie mamy grobu... – głos Johanana załamał się. Josef z Ramathaim od dłuższego czasu śledził z rosnącym podziwem działanie Jezusa, od zaufanych ludzi dowiadywał się o Jego naukach, wniknął w nie i rozważył, i zrozumiał, że Rabbi jest mężem zesłanym przez Jahwe i przeznaczonym do urzeczywistnienia i umocnienia Królestwa Bożego, i gdyby nie lęk przed Kajafą, Hananidami, saduceuszami i faryzeuszami, byłby na pewno głośno wyznał swoje myśli, podobnie jak by to uczynił rabbi Nikodem i jak by to uczynili ci spośród faryzeuszów, którzy życzliwym okiem spoglądali na Galilejczyka. I podobnie jak Nikodem, nie był tchórzem, ale nadmierna przezorność i wrodzony brak owej szczypty żarliwości, która zmusza człowieka do podjęcia śmiałych postanowień, pętała swobodę jego jawnej wypowiedzi. Zresztą Josef z Ramathaim był samotnikiem, człowiekiem małomównym, zamkniętym w sobie, nie lubiącym się udzielać. Pochłonięty nauką nad tajemnicą spraw ostatecznych, pogrążony w lekturze Ksiąg Henocha i Daniela, żył spokojnie i bez trosk – Pan błogosławił go wielką majątnością – z dala od środowisk uczonych, matactw politycznych i towarzyskich intryg, i właśnie dla tych cech charakteru, dla wstrzemięźliwego sposobu życia, dla mądrości i bogactw, które posiadał, cieszył się wielkim szacunkiem wśród ludu. Podczas sądowego posiedzenia z wrodzonym samoopanowaniem wygłosił ostrożną mowę w obronie Prawa. Widząc przygniatającą większość zwolenników Kajafy, bezradny, opuścił posiedzenie Sanhedrynu, nie chcąc w nim dłużej uczestniczyć. Ponieważ przemówienie jego miało charakter zasadniczy, ogólny i bardzo spokojny, nie ściągnął na siebie tym wystąpieniem podejrzania o jakieś żarliwe sprzyjanie nauce Jezusy ben Josef. Wyszedł z tej opresji obronną ręką. Obecnie stał wobec trudniejszego wyboru, gdyż pójście do prokuratora w imieniu rodziny Rabbiego z prośbą o wydanie Jego zwłok ma już charakter osobistego zobowiązania i jawnego oświadczenia, a w każdym razie odkrywa duchowe związki łączące go z Jezusą ben Josef, zwłaszcza że szybkie pochowanie zwłok przed zapadającym świętem Pesach i Szabatem tylko wtedy byłoby możliwe, gdyby odstąpił na ten cel własny grobowiec, który przed niedawnym czasem, w obliczu zbliżającej się starości, kazał wykuć dla siebie w skale na Golgocie, w niedalekiej odległości od miejsca stracenia.

Zatem prośba złożona prokuratorowi i oddanie własnego grobowca byłyby oczywistymi dowodami upodobania, jakie żywi do nauki i osoby ukrzyżowanego Męża. Rabbi Josef z Ramathaim chciał spokojnie żyć i spokojnie umrzeć. Ale rabbi Josef uzmysłowił sobie, że nie będzie mógł spokojnie dożyć swoich lat, których liczbę wyznaczył mu Elohim, ani tym bardziej nie będzie mógł spokojnie umrzeć, jeżeli nie wypełni obowiązku, tak, obowiązku wobec Tego, który dla swojej świętości zginął z rąk ojców kłamstwa i pasterzy grzechu. Koścista, pomarszczona twarz o ostrych rysach i orlim nosie rozpromieniła się i – natychmiast zgasła. Josef z Ramathaim spochmurniał, bo pożałował lekkomyślnie ujawnionej radości swojego serca, i rzekł suchym głosem, i tylko przerwy między słowami świadczyły o wzruszeniu faryzeusza:

– Sam pójde do prokuratora i będę go prosił o wydanie ciała... Pochowacie Go w moim grobowcu... Niechaj ten grobowiec będzie miejscem wiecznego spoczynku Męża Bożego... Czekaj tu na mnie, mój synu.

Odszedł. Johanen ben Zebadia widział go schodzącego ze wzgórza, a potem odjeżdżającego na osle drogą prowadzącą do Bramy Ogrodów. Za nim podążał jego sługa. Johanen usiadł na ziemi twarzą zwrócony do krzyża. Do tej pory udało mu się utrzymać na wodzy wrażliwość serca i oczu i wytrwać u boku Miriam jako jej nieugięta podpora. Teraz rozluźniły się jego kości i otworzyły się bramy jego łąz, i kołyszac się jak kruche źdźbło na wietrze, zaniósł się rozdzierającym płaczem.

Pogrzeb

Sporo czasu upłynęło, zanim Josef z Ramathaim wrócił na Golgothę. Nie wrócił sam. Przyszli z nim dwaj słudzy – nieśli mary, lniane prześcieradło tkane z cienkich nitek, chustę, opaski, drabiny, obcęgi, powrozy – oraz rabbi Nikodem, również z dwoma sługami, z których jeden dźwigał sto funtów aloesu i mirry, utartej na proszek, a drugi dwa pojemne bukłaki z wodą. Przybył również urzędnik pretorium i powiadomił żołnierza pełniącego straż o udzielonym przez prokuratora zezwoleniu na zdjęcie z krzyża ciała Jezusy ben Josef i pochowanie Go według zwyczajów domu Izraela. Johanen ben Zebadia, usłyszawszy te słowa, pochylił się i ucałował kraj szaty Josefa z Ramathaim.

Nikodem podszedł do krzyża i wzrok utkwiał w przebitych stopach Jezusa, na których zastygły krople krwi. Nie śmiał podnieść głowy i spojrzeć w Jego martwą twarz. Cóż zdziałał dla ratunku Rabbiego? Niczego nie zdziałał. Ukrył głowę w piasku jak pustynny struś! Pod osłoną nocy odwiedził Jezusę ben Josef, bo bał się wstąpić w próg Jego domu w pełnym świetle dnia! Bronił Go z ukrycia, zasłaniając

się swoim wysłannikiem jak tarczą, a gdy wreszcie przemówił w obronie Niewinnego, mówił półsłówkami, niedomówieniami, pytaniami! Cóż z tego, że obalił zeznania fałszywych świadków? Czy miał odwagę krzyknąć przed całym Sanhedrynem: „Jesteście mężami krwi! Ja wierzę w prawdę Jezusy ben Josef!”? Czy miał odwagę krzyknąć: „Jeżeli Jego zasądzicie, zasądzcie i mnie!”? Tak rozmyślał pod krzyżem rabbi Nikodem i patrzył na przebite stopy Jezusy ben Josef, albowiem nie mógł spojrzeć w Jego martwą twarz.

– Spieszmy się – przynaglił Josef z Ramathaim.

Przystąpili do zdjęcia ciała. Słudzy Josefa i Nikodema przystawili do krzyża drabiny, wspięli się po nich i po krótkim mocowaniu z oporem głęboko wbitych gwoździ wyciągnęli je z nadgarstków – pracowali nad wyraz ostrożnie i z powolną szybkością – ciało przywiązali powrozami do słupa, a wtedy inni słudzy usunęli gwoździe ze stóp i objęli ramionami nogi Rabbiego. Wówczas rozluźnili powrozy i ciało powoli zsunęło się po słupie. Złożyli je na ziemi. Siedząca u stóp krzyża Miriam ujęła głowę Syna w obie ręce i przytuliła ją do łona. Zamknęła powieki Jezusa i zanosła się wielkim lamentem, a wtórowały jej niewiasty i wtórowali Johanan ben Zebadia, Josef z Ramathaim, Nikodem i słudzy Josefa, i słudzy Nikodema.

– Spieszmy się – wyszeptał Josef z Ramathaim – wnet wszędzie gwiazda wieczorna i nastanie święto.

Miriam, płacząc i zawodząc, wciąż tuliła do piersi głowę Jezusa, okrywała ją pocałunkami i niechętnym ruchem dłoni opędzała się przed stropionymi sługami, i dopiero po cierpliwych prośbach mężów i niewiast pozwoliła się oderwać od Syna.

Słudzy podjęli ciało z ziemi, ułożyli je na marach, unieśli i poczęli schodzić w dół, ku widocznym z dala skałom.

Wzgórze Golgothy, zakończone spłaszczonym wierzchołkiem, opadało łagodnie ku wąskiej i płytkiej dolinie, której zachodnie stoki porośnięte drzewami i krzewami pięły się tarasami ku górze. Tutaj w skałach wykute były groby jerozolimskich bogaczy i dostojników i tutaj przezorny i przewidujący Josef z Ramathaim przygotował dla siebie grobowiec, w którym nikt dotychczas nie był pochowany. Składał się on z dwóch pomieszczeń, z przedsionka i właściwego grobowca; na prawo od wejścia do drugiego pomieszczenia, w głębi, znajdowała się wyciosana w skale kamienna ława, na której spocząć miały zwłoki. Niskie wejście zamykał ciężki, okrągły głaz w kształcie żarna, który przetaczano po koleinie wykutej w skalistym progu.

Stanęli u stóp grobowca, zdjęli ciało z mar i złożyli je na ziemi.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Już niewiele pozostało czasu. Słudzy szybko,

mimo to dokładnie, umyli gąbkami ciało z krwi i pyłu, namaścili je wonnym olejkiem, ułożyli na prześcieradle, nogi związali opaskami, głowę owinęli chustą – pozostawili twarz odsłoniętą – i całą zawartość zakupionych przez Nikodema słoików, zawierających sproszkowany aloes i mirrę, wysypali na szeroko rozpostarte śmiertelne płótno. Miriam uklękła i zwyczajem osieroconych matek izraelskich, żegnających dzieci na wieczny spoczynek, złożyła ostatni pocałunek na ustach Syna. Słudzy zasłonili Jego twarz chustą, a ciało szczelnie owinęli w prześcieradło. Żałobnicy stanęli półkołem. Z niemałym trudem – służącym pomagali Josef z Ramathaim i Nikodem, i Johanan ben Zebadia – odsunięto głaz zamykający wejście do grobowca. Zapanowała cisza. Tylko powiew szeleścił w cyprysach. Zmęczone słońce po trudach bolesnego dnia coraz bardziej obniżało się ku szmaragdowej linii widnokręgu. Żałobnicy spojrzeli po sobie. Kto odmówi modlitwę za zmarłego? Powinien ją odmówić według świętych przepisów najstarszy syn zmarłego albo – jeżeli nie miał syna – najstarszy brat, a jeżeli nie miał brata, jakikolwiek mąż z bliższej lub dalszej rodziny. Nikt z męskich krewnych Jezusa nie był na pogrzebie. Nie było Jaakowa ben Halfi, nie było Eleazara z Bethanii, nie było nikogo z przebywających teraz w Jerozolimie braci stryjecznych, ciotecznych, stryjów i wujów. Johanan ben Zebadia pomyślał: „Jeszua ben Josef uczynił mnie z wyboru swojego, z wysokości krzyża, synem Miriam, jestem zatem z Jego błogosławionego ustanowienia bratem Jego i mogę mniemać, że ciało moje jest pokrewne Jego ciału, kości moje Jego kościom, a krew moja Jego krwi, więc mam prawo i obowiązek zmówić kadisz za mojego starszego Brata, Jeszue ben Josef. To pomyślawszy, zbliżył się do mar, podniósł do nieba oczy i wyciągnąwszy przed siebie ręce, modlił się:

– Niechaj będzie Imię Pana wywyższone i uświęcone w świecie, który stworzył według swojej woli...

Tak modlił się, a jego modlitewne błaganie z każdym słowem potężniało, a słowa chwaliły Elohim i błagały Go o rychłe nadejście Królestwa Niebieskiego i o pokój na ziemi, i krążąc nad martwym ciałem Rabbiego, błogosławiły spokój Jego duszy i spokój Jego ciała, i spokój Jego grobu, w którym ono spocznie, i kamienny grób na Górze, w siedzibie Macierzyństwa – El Szaddaj, Bóg Mocy twórczej i Gór rodzących, był Bogiem Życiodajności i Brzemienności – i do tego właśnie Macierzyństwa, załączka i kolebki Wszechrzeczy, Jeszua ben Josef teraz wraca przez jaskinię wyciosaną w skalistej Górze, będącej brzemiennym łonem Wszchemocnego.

Żałobnicy wnieśli ciało do wnętrza grobowca i złożyli je na kamiennej ławie. Niestety, nie starczyło aloesu i mirry na posypanie ławy i podłogi. Wyszli. Czterech służących z pomocą Josefa z Ramathaim i Nikodema, i Johanaana ben Zebadia zatoczyło przed wejście olbrzymi głaz. Grób był zamknięty.

W tej chwili na niebie zabłysła gwiazda wieczorna. Z murów Świątyni rozległy się dźwięki szofarów, a dwie siostry, Szabat i Pesach, podały sobie ręce w radosnym przymierzu. Słońce zgasło.

W milczeniu wracali do domów. Gdy weszli przez Bramę Ogrodów do miasta – puste ulice zalegała głęboka cisza i tylko roznosił się dokoła głuchy stukot ich sandałów – spoza dachów Jerozolimy wzeszedł ogromny księżyc. Ciemności zrzędyły, a niebo rozjaśniło się.

Cień padający od Świątyni Pańskiej szeroką smugą położył się na jasno oświetlonych domach Jeszuruna, gdzie ojcowie rodzin przy obficie zastawionych stołach odmawiali błogosławieństwo nad pierwszym kielichem wina i podnosili go do ust w pobożnym uniesieniu. Już wnet najmłodsze dziecko wstanie od biesiadnego stołu, podejdzie do głowy rodziny i spyta wzruszonym głosem, w którym zabrzmie echo gorzkich czasów, przeżywanych przez synów Izraela w niewoli, w Micraim, w kraju bogów o zwierzęcych głowach:

– Ma nisztana halajla hazeh? Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy?

Pełnia księżycowa

Noc była jak dzień.

Księżyc w pełni stał nad Golgotą. Elohim zamknął jego żywot w kręgu dojrzewania, dojrzałości, zanikania i nieobecności, podczas której ciemne niebo zamienia się w szczelnie zamknięty trzydniowy księżycowy grób. Był to ład i porządek zmian wiecznie się powtarzających w niezmiennej kolejności, dzięki czemu złoty przewodnik karawan nieustannie się rodził i nieustannie umierał, i mimo to był zawsze tym samym przewodnikiem o nieprzebranej obfitości życia i śmierci, nie będącej właściwie śmiercią, ale niewyczerpaną w swej płodności rzeką zmartwychwstających narodzin, i dlatego prorok Moszez błogosławiąc pokolenie Josefa, pobłogosławił je obfitością księżyca, a Jezua ben Sira upatrywał w księżycowej pełni źródło urodzajnego natchnienia, a niezawodna mądrość ludu przypisywała księżycowi nawet niejaki podobieństwo – a może nawet pokrewieństwo – z wywyższonym na palu i uzdrawiającym Wężem, którego Pan suto wyposażył właściwościami uzdrawiającymi i przywilejem wieczności.

Wężowa, mleczna poświata spływała na Świątynię Pańską, na pałace, domy i ogrody, na puste trzy krzyże i na olbrzymi kamień, zamykający wejście do jaskini, i zagarniała pod swoje panowanie wspólnotę ludzką, zwiastując jej w tę noc księżycowego zwiastowania szczęśliwą możliwość powtórnych narodzin. Pełnia pęczniała, rosła, pomnażała się i poczęła się spełniać w doskonałym spełnieniu,

obietanym przez Elohim.

Nastała Pełnia Czasu.

Rozpacz apostołów

Johanen ben Zebadia zaprowadził Miriam i towarzyszące jej niewiasty do Bar Nabuaha, u którego od czasu Ostatniej Wieczerzy potajemnie przebywali apostołowie, co zresztą dobrze świadczy o gościnności i odwadze gospodarza, zwłaszcza jeżeli zważymy, że jego dom położony był w bliskim sąsiedztwie pałacu Kajafy. Johanen umieścił niewiasty tymczasowo na dole, w izbie dziecięcej, do czasu, aż żona Bar Nabuaha po uczcie sederowej, w której właśnie uczestniczyła, wyznaczy im osobne pomieszczenie w jednej z gościnnych komnat. Podał im wino, praśniki, po czym westchnąwszy, z ciężkim sercem udał się na piętro, gdzie w wieczerniku spodziewał się zastać apostołów, jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej niektórych spośród nich. Drzwi były zamknięte. Krzyknął:

– Otwórzcie! To ja, Johanen ben Zebadia, wasz brat!

Usłyszał szelest odsuwanej zasłony i zgrzyt skobla. Drzwi się otworzyły. Wszedł do izby i pozdrowił ich pozdrowieniem pokoju. Milczeli. Siedzieli po ciemku, na ziemi. Ponieważ księżyc jasno świecił, ujrzał ich zmęczone twarze i przerażenie w oczach. Nie było wśród nich Theoma Bliźniaka.

– Zamknij drzwi – szepnął czyjś głos.

Zamknął drzwi, zasunął skobel i zaciągnął zasłonę. Usiadł. Współczuł z nimi. Nie zamierzał im czynić wyrzutów, bo nie miał do tego prawa, tym bardziej że sam czuł się winny. Cóż zrobił dla Jezuy ben Josef? Nic. Tchórzliwie czekał na dziedzińcu pałacu arcykapłana, a mógł bez trudu wejść do komnaty obrad i bronić Rabbiego, tchórzliwie krył się w tłumie na placu przed pretorium, a mógł krzyknąć, że Rabbi jest niewinny, poszedł wprawdzie na Golgothę, ale... żyje i nie umarł. A powinien umrzeć wraz z Mężem, bo przecież oświadczył w pyszałkowatym zarozumiałstwie, że potrafi wypić kielich, z którego On pić będzie. Co pozostało z tych uroczystych przyrzeczeń? Popiół. Chciał zasiąść w Królestwie Bożym po prawicy Jezuy, a nie miał odwagi krzyknąć: „Mężowie krwi! Ja wierzę w tego Człowieka! Ukrzyżujcie mnie razem z Nim!” Usiadł na podwiniętych nogach i pogrzyżył się w ciężkim utrapieniu, jakie na nich spadło. Ocknął się. Przecież musi im wszystko opowiedzieć, czyli jeszcze raz przeżyć całą mękę patrzenia na śmierć Rabbiego. Czy już przez całe życie, do końca swoich dni będzie tę śmierć przeżywał? Tak, widok Rabbiego przybitego do hańbiącego krzyża już nigdy go nie opuści, nie opuści go widok zanikających ruchów Umierającego i zarys Jego siniejącego ciała, coraz bardziej

upodobniającego się do spopiłonego nieba; przez najpiękniejsze krajobrazy, które będzie widział, przez wszystkie dzieła, które będzie czynił, przez każdy czas, w którym będzie żył, przez wszystkie wschody i zachody słońca, przez łoskot wielkich wód i szum wysokich lasów, przez wszystkie sny i wszelką jawę przebijając będą Jego zakrwawiona twarz, purpurowe wybroczyny na plecach, zacieki na piersiach, rany w dłoniach i stopach i przebity bok, i to całe męczeństwo zabierze z sobą aż przed oblicze Elohim! Jak można przez całe życie żyć z wizerunkiem tego strasznego cierpienia w oczach! Bezowocnego cierpienia! Ze znakiem klęski! Rozczarowania! Nie spełnionych snów! Zrozumiał nieobecność apostołów przed pretorium i na wzgórzu Trupiej Czaszki. Może nie z podłego tchórzostwa uciekli, lecz po prostu nie mieli odwagi spojrzeć na własną klęskę, ucieleśnioną w martwym ciele Rabbiego, wiszącego na krzyżu. Czy jest wielkim grzechem nie chcieć spojrzeć na zawiedzione nadzieje i klęskę własnego życia?

Opowiedział im dzieje dnia. Mówił przy szczelnie zamkniętych drzwiach, a słowa jego kłębiły się w mroku i mimo ciemności, zalegających izbę, stawały się coraz bardziej widzialne i z wyrazistą widzialnością wnikwały do mózgów i serc apostołów, i powtarzały się w nich tą drugą, jeszcze bardziej widzialną i dotykającą widzialnością, której żadna moc ludzka nie zdoła zatrzeć lub wymazać, dzięki czemu obraz Ukrzyżowanego głęboko wrył się w ich pamięć i uczynił z nimi to samo co z Johananiem ben Zebadia: stał się nieodłącznym widzeniem całego ich przyszłego życia. Nie zadawali pytań. O co mieli pytać ludzie, których wiara rozproszyła się jak plewa na wietrze? O co mieli pytać ludzie, którzy poza drogą rozpacz nie widzieli przed sobą żadnych dróg? O co mieli pytać ludzie, którzy pozostali bez przyszłości, bezsilni i bezradni wobec doznanej klęski? Czyżby dom swój zbudowali na lotnym piasku? Czyżby to, co wydawało im się skałą, było tylko spękaną gliną, która skruszała i rozpadła się na drobne grudki? Zwątpili o Rabbim i zwątpili o sobie. Beznadziejna pustka wyła w nich jak szakał. Nie rozumieli, po co Elohim ułożył tę piękną opowieść o Mężu, którego zmiądzzył gorzej niż Hioba. Czy po to, aby żyli teraz w bezdennej pustce? I znów jak ich ojcowie i ojcowie ich ojców zadawali sobie pytania, dlaczego Pan doświadcza niewinnych, a winnych wywyższa, dlaczego cierpi sprawiedliwy, a raduje się grzesznik, dlaczego sprawiedliwemu dzieje się, jakby był łotrem, a łotrowi, jakby był mężem sprawiedliwym, dlaczego szybcy nie dochodzą celu, a odważni nie odnoszą zwycięstw? Pokolenia mijają i pokolenia przychodzą, a ziemia jest wiecznie ta sama.

– Czyż nie lepiej byłoby nam umrzeć z Jezusą ben Josef niż trwać w przepaści, z której nie ma wyjścia? – szepnął głos w ciemnościach.

– Nie umarliśmy, ponieważ kochamy życie więcej niż Rabbiego – odpowiedział

inny głos.

– Więc cóż uczynimy teraz?

Johanen ben Zebadia poznał głos Kefasa. Rozłożył ręce i rzekł głosem rozpaczliwym:

– Nie wiem.

Pesachowa wieczerza Kajafy

Uhanana ben Sethi seder miał się ku końcowi. Rodzina zgromadzona przy biesiadnym stole – arcykapłan Kajafa z żoną i dziećmi, wszyscy synowie dostojnego starca z żonami i dziećmi – odśpiewała ostatnie wersety Hallel, a wtedy wnukowie zaintonowali radosne pieśni, a rodzice w takt skocznej melodii poruszali głowami i klaskali w dłonie, a ich twarze, rozplomienione winem i smacznymi potrawami, odbijały w sobie sytość ich ciał i wesołość ich dusz. Tylko Kajafa nie dzielił radości biesiadników. W jego żyłach podniosła się krew i – żądała, aby mocą swojego urzędu, otrzymanego od Pana, przeciwdziałał szalbierstwu bezbożników, którzy są gotowi posłużyć się każdym kłamstwem, byleby tylko móc ugodzić Jeszuruna w serce. Niezliczone głosy Bóg wołał w nim i domagał się od jego zmysłów wzmożonej czujności i natychmiastowych postanowień. Elohim wiał przez niego porywistym wiatrem. Kajafa poznał, że jest to Ruah Hakodesz, Duch Święty, natchnienie tych, których Pan umiłował. Leżący na sąsiednim łożu Hanan ben Sethi uniósł się nieco, wsparł na łokciu i spytał:

– Dlaczego mój czcigodny zięć nie śpiewa?

Kajafa usiadł obok teścia na adamaszkowym posłaniu, wyścielanym miękkimi poduszkami, i rzekł przyciszonym głosem, aby go biesiadnicy nie słyszeli, co było zresztą przesadną ostrożnością, gdyż wszyscy pochłonięci byli śpiewem i zabawą:

– Nie przewidziałem jednej możliwości...

– Nie można przewidzieć wszystkich możliwości. O jakiej możliwości mój zięć mówi?

– Zwodziciel kiedyś powiedział...

– Mój zięć wciąż o nim myśli?

– Tak, myślę.

– Po co mój czcigodny zięć rozmyślaniami o nieczystych siłach mać radość Pesachu?

– Niepokoję się...

– O co? ?

– Zwodziciel kiedyś powiedział, że po trzech dniach zmartwychwstanie. Hanan chichotliwie spytał:

– Cóż z tego, że powiedział? Mało rzeczy Zwodziciel mówił? Przecież nie zmartwychwstanie. Niechaj mój zięć więcej o nim nie myśli. Był i nie ma go. Żył i umarł. Powieszony został na drzewie i stał się przekleństwem. Nikt nie zmartwychwstaje.

– Jest jedna możliwość, o której zapomnieliśmy.

– Jaka?

– Ponieważ mówił, że w trzecim dniu zmartwychwstanie, może się zdarzyć, że uczniowie jego przyjdą do grobu, otworzą go, wykradną ciało i powiedzą ludowi: „Jeszua ben Josef zmartwychwstał”. Co wtedy uczynimy?

– Po co mieliby to czynić? Czy po to, aby po raz drugi ściągnąć na siebie gniew Elohim? Wydaje mi się, że mój zięć jest przesadny w obawach i niepotrzebnie obciąża serce przewidywaniem wszystkich możliwych utrapień. Skoro jednak są one przyczyną jego niepokoju, można przecież przeciwdziałać nieprawdopodobnym – moim zdaniem – zamierzeniom uczniów zwodziciela.

– Może mój dostojny teść ma słuszność, może ja mam słuszność. Ponieważ obie słuszności biorą swój początek w jednym źródle, a jest nim troska o czystość Jeszuruna, śmiało można rzec, że niczym one od siebie się nie różnią i są jedną i tą samą słusnością o dwóch twarzach. Jutro wieczór po Szabacie udam się do prokuratora i poproszę, aby postawił straż przed grobem i pozwolił nam położyć na nim pieczęcie.

– Dobrze. Niechaj mój zięć uczyni, jak powiedział. A teraz rozpogódź oblicze, synu, wyrzuć z siebie troskę i posłuchaj, jak pięknie śpiewają moi wnukowie, którzy są światłem moich oczu i koroną mojej starości. Klaszcz, Josefie, klaszcz, albowiem w ten wieczór również Elohim klaszcze w niebiosach i raduje się radością swojego ludu.

To powiedziawszy, począł klaskać w takt melodii, a kohen hagadol klaskał również, ale jego klaskanie nie było rytmiczne i dźwięczne, bo rozterka uwiła sobie gniazdo w jego sercu.

Pesachowa wieczerza wielkiego Gamaliela

Faryzeusz Gamaliel jeszcze na miesiąc przed świętami zaprosił do swojego domu umiłowanego ucznia, Saula z Tarsu, siostrę jego i jej męża, Jechezkela ben Abraham, a chociaż wczorajsze wypadki, toczące się jak lawina kamieni, odebrały mu chęć radosnego świętowania i zgasiły w nim pogodny nastrój, mimo to nie odwołał zaproszenia, gdyż uważał słowność i gościnność za obrządek nieomal sakralny, a powitanie gościa pod własnym dachem za równoznaczne z powitaniem Elohim.

Nie sprzeniewierzył się zatem zasadom, obowiązującym każdego pobożnego wyznawcę Pana, i mimo troski przymusił serce do smutnej pogody, a usta do powściągliwej wymowności.

Po zmówieniu ostatnich części Hallel domownicy i goście wysłuchali śpiewu wnuków Gamaliela, a gdy rozbawione dzieci udały się – niechętnie – na spoczynek pod opieką piastunki, starsi poczęli prowadzić rozmowy, z początku w miarę błahe i w miarę poważne, przeskakiwali z tematu na temat i powoli, z nieuchronną, choć nieświadomą konsekwencją, zmierzali ku bolesnemu zdarzeniu minionego dnia, do ukrzyżowania Jezusy ben Josef. Gamaliel, który przez cały czas nie przestawał rozmyślać o śmierci Rabbiego i brał nikły udział w rozmowie, usłyszawszy, jak Jechezkel ben Abraham zadzierzystymi słowami natarł na swojego swaka Saula i czynił mu wyrzuty z powodu jego nienawiści do Galilejczyka, z baczną uwagą nastawił ucha.

– Mówiłem mojemu swakowi – ciągnął Jechezkel – że niezależnie od tego, za kogo uważał się Galilejczyk, za Syna Bożego, Syna Człowieczego czy nawet za Mesjasza, nie powinien przeciw niemu dyszeć nienawiścią, bo ten człowiek czynił dobro...

– I Panu bluźnił! – krzyknął Saul. Grdyka latała mu pod napiętą skórą szyi. Wyciągnięte ręce o szeroko rozcapierzonych palcach jak dwa jastrzębie zawisły nad stołem.

– Nie udowodniono mu żadnego bluźnierstwa! – zawołał rabbi Jechezkel.

– Czynił się równy Panu!

– To są puste domysły!

– Są świadkowie!

– Widzieliśmy tych świadków!

– Mówię o tych, którzy się bali zeznawać!

– Słusznie! Bali się Boga!

– Bali się Abadona, w którego imieniu zwodziciel dokonywał cudów! Jechezkel ryknął:

– Bóg ci rozum odebrał, Saulu! Dlaczego znęcasz się nad zmarłym Mężem, który zawsze sprawiedliwie mówił i działał?!

Saul zerwał się. Jego chuda, niepozorna postać pochyliła się ku przodowi. Krzyknął:

– Już więcej mówić i działać nie będzie!

– Żyją jego uczniowie...

– I na nich znajdzie się rada! Ukamienowanie! Ja pierwszy podniosę kamień!

– W Meszalim jest napisane: „Kamień spada na tego, który go toczy”. Gamaliel lekko uderzył dłonią w stół.

Wszyscy utkwili wzrok w gospodarzu, który we współzyciu z otoczeniem był zawsze serdeczny i przystępny i nigdy nie narzucał rozmówcom swojego zdania. Z natury łagodny – tę cechę charakteru odziedziczył po dziadku – opowiadał się zawsze za mądrością złotego środka, umiarkowania i wyrozumiałości. Niektórzy bali się jego wypowiedzi, gdyż niełatwo było oprzeć się naciskowi jego niecodziennej osobowości, która zmuszała ludzi do zastanowienia się nad własnym sposobem życia i do odbycia rachunku sumienia, do czego nie wszyscy byli zdolni lub chętni.

– Saulu... – rzekł głosem smutku.

– Słucham cię, rabbi – odpowiedział Saul, drżąc z rozdrażnienia.

– Nienawiść zaślepia mojego umiłowanego ucznia, a zaślepienie jego jest trucizną dla mojego serca. Uczniów Jezusy ben Josef chcesz kamienować, Saulu? Saulu, Saulu, na krwi chcesz budować dobro? Już od dłuższego czasu z niepokojem śledzę twoje kroki i myśli i niekiedy mi się wydaje, że jesteś uczniem nie moim, ale rabbiego Szamaja. Czy po to umiłowalem cię, Saulu, abyś siał zło i zło zbierał? Posłuchaj... Posłuchaj... Opowiem ci midrasz, który słyszałem z ust mędrców mądrzejszych ode mnie, a ci slyszeeli go z ust mędrców mądrzejszych od siebie: Elohim, stworzywszy Mesjasza, zawarł z Nim przerażające Przymierze i tak do Niego przemówił: „Pokolenia, które przyjdą, zgotują Ci żalosną dolę. Będiesz dla nich jak owca prowadzona do rzeźni. Czy przyjmujesz swoje przeznaczenie?” – A na to odpowiedział Mesjasz: „Niechaj cały Izrael będzie przeze mnie zbawiony, niechaj przeze mnie zbawieni będą wszyscy żyjący ludzie, niechaj zbawieni będą wszyscy umarli, niechaj będą zbawieni nawet ci, którzy przychodzą martwo na świat, niechaj będą zbawieni wszyscy nie narodzeni, których stworzyłeś w Twoich myślach. Z radością przyjmuję los, który mi zgotowałeś, Panie”. I Pan zawarł z Mesjaszem przerażające Przymierze. Słyszałeś, Saulu? „Pokolenia, które przyjdą, zgotują Ci żalosną dolę. Będiesz dla nich jak owca prowadzona do rzeźni.” Słyszałeś Saulu? Czy dobrze slyszałeś, Saulu? A teraz ty mnie spytasz: – Czy ty, rabbi, uważasz Jezusę ben Josef za Mesjasza? – A na to ja ci tak odpowiem: Nie twierdę, że Jezua ben Josef jest Mesjaszem. Nie twierdę, że Jezua ben Josef nie jest Mesjaszem. Przemawiam tylko do twojej roztropności i proszę cię, abyś dobrze rozważył, co zamierzasz uczynić przeciw uczniom Jezusy ben Josef. Był niedawno w Izraelu pewien mąż, który zgromadziwszy dokoła siebie mnóstwo ludzi twierdził o sobie, że jest wybranym Pańskim, a gdy go zabito, ci, co mu zawierzyli, zostali rozproszeni i unicestwieni. Po nim, w czasie spisu ludności, wystąpił inny mąż i pociągnął za sobą wielu synów Izraela, a gdy i on nędznie zginął, wszyscy jego zwolennicy poszli w rozsypkę. To samo dotyczy Jezusy ben Josef. Powiadam ci: Odstąp od Niego i od Jego uczniów i zaniechaj ich, bo jeżeli działanie Galilejczyka jest działaniem ludzkim,

wniwecz się obróci, a jeżeli jest kłamstwem i oszustwem, minie jak mija mgła, jak mija wiatr, ale jeżeli pochodzi od Elohim, nie zdołasz zniszczyć Jego nauki i Jego ludzi i w końcu może się okazać, że walczysz z samym Bogiem! A wtedy biada ci, Saulu! Saulu, zastanów się...

Tak mówił wielki i mądry faryzeusz, rabbi Gamaliel, chodzący w bojaźni przed Panem, i czekał na odpowiedź ucznia. Uczeń milczał, albowiem trwając uparcie przy swoim zdaniu, nie chciał przeczącym słowem drażnić starca, którego kochał.

Strażnicy i pieczęcie

Znowu przyszedli ci przekłeci Judejczycy. Dlaczego go znów nagabują? Czego chcą? Czego chcą o tak późnej porze? O późnej porze? Według ich wykrętnej rachuby czasu każdy wieczór jest początkiem następnego dnia. Dla nich wieczór jest porankiem – pomyślał złośliwie. Skoro przybyli natychmiast po Szabacie, zapewne mają jakąś pilną sprawę. Niech wejdą... Niech wejdą... Gdy stanęli w komnacie i wyjawili cel przybycia – osłupiał. Poszaleli? Wina nażłopali się przez święta i bredzą. Bakchus im zmysły pomieszał? Jezuza ben Josef zapowiedział za życia, że w trzecim dniu zmartwychwstanie? Zmartwychwstanie? Przecież on wie i oni wiedzą, że nikt po śmierci nie zmartwychwstaje, więc o co im chodzi?

– Tak – odpowiedzieli – my wiemy, że nie ma zmartwychwstania, ale uczniowie Jezusy o tym nie wiedzą i wierzą w zmartwychwstanie, zatem wszystko uczynią, co jest w ich ludzkiej mocy, aby ich nauczyciel zmartwychwstał.

Prokurator przetaił oczy. Nie wiedział, czy ma ich uważać za głupców, czy za ciężko chorych na umyśle.

Spytał:

– Jak to? Co uczynią uczniowie, aby ukrzyżowany i pochowany w grobie człowiek zmartwychwstał.

Kajafa odpowiedział:

– Prosta sprawa. Wykradną potajemnie ciało. A na to prokurator:

– W jakim celu mieliby to uczynić? Do czego jest im to potrzebne?

– Aby pospólstwo uwierzyło, że Jezuza zmartwychwstał.

– A jeżeli uwierzy, to co?

Kajafa uśmiechnął się resztą wymuszonego uśmiechu i rzekł:

– Zmartwychwstały król judejski jest niebezpieczniejszy od żywego. Przecież to jasne. Nieprawdaż?

Poncjusz odparł:

– Nie rozumiem. A na to Kajafa:

– Zaprawdę, to niełatwo zrozumieć.

Tak powiedziawszy pomyślał, że ten barbarzyńca, gdyby nawet przyjął wiarę w Jahwe, niczego na rozumie nie zyska. Był barbarzyńcą i pozostanie barbarzyńcą.

Cierpliwość prokuratora wyczerpała się. Spytał szybko i oschle:

– Właściwie czego ode mnie chcecie?

Gdy dowiedział się, że proszą o postawienie straży przed grobem i pozwolenie na opieczętowanie kamienia zamykającego do niego wejście, zgodził się bez oporu i rad był, że za chwilę opuszczą pałac, że może wreszcie tą strażą i pieczęcią raz na zawsze zamknie krótkie dzieje jakiegoś szaleńca, który uważał się za króla Judei.

Odeszli.

Wzięli kilku strażników z oddziału pomocniczego, postawili ich przed grobem i położyli na kamieniu pieczęcie.

Księżyc stał nad Golgotą.

Zmartwychwstanie

Panowała niezmacona cisza. Olbrzymi niewidzialny Cień przesunął się po wierzchołku Golgothy, ocienił macierzyńską skałę i długą, fioletową smugą spoczął na niej, jak ongi na zamkniętych powiekach młodzietkiej Miriam.

Oblicze Jego jaśniało jak błyskawica

Siedzieli na ziemi, twarzami zwróceni ku jaskini, i zastanawiali się, kiedy zostaną zluzowani. Zmęczeni byli całonocnym czuwaniem. Czas im się dłużył. W pośpiechu zapomnieli wziąć z sobą kostki do gry. Właśnie jeden z nich sięgał do sakwy po suszone daktyle, gdy usłyszeli potężny huk, dochodzący nie wiadomo skąd. Z nieba? Spod ziemi? Od strony pustyni? Od strony Jerozolimy? Nad słuchiwali czujnym uchem doświadczonych żołnierzy, którzy umieli ustalać pochodzenie i charakter wszelkich łoskotów, wybuchów, trzasków, grzmotów i świstów – nabyli tego doświadczenia podczas wypraw wojennych – a nawet bez trudu odróżniali szelest gałęzi poruszonej wiatrem od szelestu tej samej gałęzi nieopatrznie potrąconej przez skradającego się wroga. Zjawisko nie powtórzyło się, uspokoili się więc i podzieliwszy się daktylami, spożywali je w błogiej nadziei, że o świcie, który według ich obliczeń powinien już wkrótce wzejść, nastąpi upragniona przez nich zmiana straży.

I wtedy poruszyła się ziemia.

Lwi ryk wstrząsnął powietrzem. Skały podskoczyły jak młode jagnięta, przerażone zbliżaniem się drapieńcy, a były to skoki ogniste, wykonane

w przerażającej samowiedzy o bliskiej i zionącej grozą Obecności Pańskiej, i zarazem były one radosne, wielbiące i taneczne, przypominające ekstatyczne płąsy króla Dawida przed Arką Przymierza. Góra płąsała w zapamiętałym uniesieniu, płąsały przerażone skały i płąsała dygocąca ziemia, a góra skakała jak cieleń, a ziemia skakała jak młody bawół, a grzmiący głos Pana grzmiał z najgłębszej głębi i hukiem przynaglał górę do coraz żarliwszych płasów.

Nieprzytomni ze strachu strażnicy, leżąc na ziemi, która tymczasem uspokoiła się i spoczywała bez ruchu jak wyczerpany tancerz, ujrzeli światło oślepiającej błyskawicy, sięgającej od nieba do progu grobowej jaskini. Opowiadając potem Kajafie i jerozolimskim kapłanom dzieje tej nocy, uparcie twierdzili, że błyskawica miała kształt człowieka odzianego w białą jak śnieg szatę, co zresztą było całkowicie obojętne dla synów Izraela, dla których mimo ich skłonności do obrazowego myślenia ważna była tylko treść zjawiska – o czym mieliśmy już możność wielokrotnie się przekonać – a nie jego kształt. Zatem nie rozstrzygając trudnego dylematu, jaki kształt miała błyskawica, pragniemy jedynie stwierdzić na podstawie opowiadania strażników, że Moc objawiona w błyskawicy odwaliła kamień grobowy, a odwalwszy go – podobny był teraz do powalonego olbrzyma – usiadła na nim i, odziana w błyskawicowe światło jak w płaszcz o oślepiającej bieli, siedziała niema i strażująca u stóp otwartego Grobu.

W przeźrocystym powietrzu trzepotały przebudzone cienie, przybyłe z odległego czasu, tęskniące za ostatecznymi narodzinami, głosy nigdy nie przemijające, cienie i głosy pustynnych praojców koczowniczego plemienia, które wyszło przed wiekami z chaldejskiego Ur – któż mógł wiedzieć, że to wyjście było początkiem największych wydarzeń w dziejach ludzkości – a wychodząc na wielką wędrówkę, brało ze sobą w swej pamięci, jak w ogromnych jukach, wspomnienia o przodkach, i tak obciążone ciężarem Boga, cieni i głosów szło przed siebie aż do Ziemi Obiecanej, i ani razu nie zapomniało o swoich przodkach, a przodkowie nie zapomnieli o swoich potomkach, i wciąż byli przy nich obecni, i wciąż swoją obecnością przypominali żywym, że czekają jedni i drudzy – żywi i umarli – na ucieśnienie przyrzeczenia danego im przez Jahwe. Pamięć Izraela jest jak łańcuch, którym przykuty jest do niezniszczalnej wspólnoty umarłych, napełniających głębinowy nurt jego trwania oddechem nieskończoności, tym wizerunkiem następstwa i porządku czasu, wywodzącego się od Jahwe, Ojca rodu i wiecznego jego Przodka. Więc trzepotały przebudzone cienie, szumiały w zaroślach, wśród drzew, wśród kamieni wstrząśniętych poruszeniem ziemi, i wstępowały w sny potomków, w ich majaczenia zaprószone wspomnieniami, leżące głęboko pod warstwami urodzajnej nieświadomości, i trzepotem, szumem i szelestem dawały im

znać o wielkiej Pustce wykutej w skale – Izrael wiedział co oznacza Święta Pustka, bo puste było miejsce Elohim w Kodesz Hakodeszim – i tak trzepocząc, szumiąc i szeleszcząc, płonęły w snach Jeszuruna cienie czuwające, wierne Panu i swojemu czuwaniu.

Wytrzymałość ludzkiej wrażliwości ma swoje granice. Zimne ciarki przebiegły po plecach strażników, którzy szczękając zębami uciekli.

Świtało. Księżyc zgasł. Zza gór Moabu jak złote źrebię wyskoczyło słońce i rozpoczęło rączy bieg po niebie. Rosa, która w nocy pokryła ziemię, szybko parowała w przybierającym skwarze dnia.

Jezus ukazuje się swojej Matce

Gdy Miriam, która już drugą noc spędziła z niewiastami na modlitwach – siedziały na ziemi, zawodziły, śpiewały żałobne kinoth – oparła się plecami o ścianę i zmęczona usnęła, Mariamne z Magdali, Hana, Mariam, matka Jaakowa, i Salome, matka synów Zebadii, wyszły na palcach z izby i udały się pustymi ulicami, jeszcze pograżonymi w jasnych ciemnościach księżycowej nocy, do Bramy Ogrodów, aby natychmiast, po jej otwarciu – a było już do świtu niedaleko – pójść na Golgotę i uświęcić grób Jezusy ben Josef wonnościami zakupionymi wczoraj wieczorem u znajomego sprzedawcy balsamu. Miriam ocknęła się. W kącie izby dopalała się oliwna lampka, której płomyk był teraz ledwo widoczny w jasnych płomieniach świtu. Niewiasta rozejrzała się po izbie. Poszły. Poszły do grobu. Nie zbudziły jej. Jak długo spała? Chciała z nimi iść. A one poszły same. Prawdopodobnie chciały, żeby nieco wypoczęła. Ale właściwie po co chce iść do grobu? Ten grób dźwiga w sobie, pod sercem. Jak ongi dźwigała Jezusę w swoim macierzyńskim łonie, tak samo teraz dźwiga w sobie Jego grób. W łonie. Pod sercem. O, jak ciężkie jest to żałobne brzemie! Z Jego śmiercią dobiegło końca jej życie. Nie ma już czego szukać na tym świecie. Tak... tak... wiedziała, że ją bardzo kochał, ale poszedł w świat, cały oddany Elohim. Ojca więcej kochał niż ją... Tak powinno być... Tak powinno być... Słowa te powtarzała wciąż od wielu, wielu lat i za każdym powtórzeniem przynosiły jej wielką ulgę. A teraz Syn nie żyje. Czy nie mogła umrzeć przed Nim? Na pewno była do czegoś potrzebna, skoro Pan kazał jej żyć i przeżyć śmierć Syna. Może życiem w cieniu miała świadczyć o prawdziwości cienistego Zwiastowania? Może jej obecność potrzebna była pod krzyżem? Może Pan chciał, aby martwa głowa Jezusy spoczęła na jej łonie? Dobrze jest tak, jak jest. Wszystko spełniła, co Pan jej kazał spełnić. Była posłusznym narzędziem Jego woli, chociaż nie wszystko po dzień dzisiejszy jest dalej zrozumiałe i jasne. Niech się dzieje według Jego słowa. O, jak

ciężki jest ten grób, który w sobie dźwiga! Czy to jest naprawdę grób? Czy to jest naprawdę grób? Czy to brzemię jest naprawdę martwym ciałem jej Syna? Jej niebieskie, głęboko osadzone oczy pod czarnymi łukami brwi zabłyśły łagodnym światłem, jak wtedy, gdy będąc nazarethańską dziewczyną w domu rodziców ujrzała w sobie postać nieznanego Męża idącego ku niej z głębi półmroczonej izby.

Upadła na twarz, objęła rękami Jego nogi i spytała:

– To Ty? Mój Synu najukochańszy?

Usłyszała odpowiedź.

Milczała, bo nie mogła z siebie wydobyć głosu.

Pusty grób

Było już jasno, gdy niewiasty, smucąc się i rozpamiętując męczeńską śmierć Rabbiego, zdążyły pod górę, aby uczcić Jego grób i po raz ostatni uwielbić doczesne szczątki Człowieka, u którego boku przez trzy lata kształtowały swoje dusze i spełniały z oddaniem i wiernością służebne posługi. Udając się do grobu, miały pierwotnie zamiar prosić kilku apostołów, aby im towarzyszyli w żałobnej drodze i usunęli kamień zamykający wejście do jaskini, ale bystra Salome po namyśle wytłumaczyła niewiastom, że nie powinny wystawiać na próbę mężów, w których duch osłabł, a przezorność wzięła górę nad odwagą. Czy miały prosić po to, aby im odmówili? Po co ich narażać na jeszcze większy upadek ducha? Ci, którzy w obawie o własne bezpieczeństwo uciekli i ukryli się, na pewno nadal przeżywają ten sam lęk, a ich nogi są wciąż gotowe do dalszego pierzchania. Zaniechały więc zamiaru i poszły same, i idąc kłopotowały się, wiedziały bowiem, że same nie zdołają przetoczyć olbrzymiego głazu, chociaż przyzwyczajone do prac gospodarskich niejedną dźwigały ciężar, obracały żarna, nosiły kosze z owocami i ugniatały bosymi stopami winną latorośl. Usunięcie grobowego kamienia było ponad ich siły. Stały na szczycie Golgothy. Słońce zalało Jerozolimę potopem jarzącego się światła. Trzy krzyże z oliwnego drzewa, które jeszcze wczoraj były narzędziami okrutnej męki, w słonecznym blasku dnia traciły swój groźny wyraz i przypominały trzy ptaki o szeroko rozpiętych skrzydłach, gotujących się do dalekiego odlotu. Na dole miasto wrzało rojnym życiem. Przez Via Romana ciągnęły karawany wielbłądów, objuczone towarami, ryczały osły, szli handlarze, rzemieślnicy. Życie toczyło się swoim zwykłym, codziennym biegiem. Niewiasty, westchnąwszy nad tą gorzką i nieczułą codziennością i zgiełkiem ludzkiego życia, płynącego obojętnie utartą drogą wokół męczeńskiej góry, zeszyły w dolinę i pięły się po jej przeciwnym zboczach, rozglądając się wokoło w poszukiwaniu ludzi, którzy by pomogli im usunąć głaz

sprzed jaskini. Było pusto i cicho. Przystanęły. Mimo wielu słuszych zastrzeżeń postąpiły nierozważnie, nie prosząc apostołów o pomoc. Cóż mają teraz uczynić? Zawrócić? Czekać? Mariamne z Magdali spojrzała ku stokowi, przyłożyła dłoń do czoła, aby osłonić oczy przed promieniami słonecznymi i, wskazując wyciągniętym palcem na grób, krzyknęła:

– Ktoś odwalił kamień! Niewiasty spojrzały i krzyknęły:

– Odwalono kamień!

Stały obezwładnione przerażającym odkryciem, po czym pobiegły ku grobowi i zadyszane, półżywe ze zmęczenia, stanęły przed ciemnym wejściem, obok którego leżał głaz wewnętrzną stroną zwrócony ku górze, z czego należałoby wnioskować, że jakaś ogromna moc wysadziła go z koleiny i cisnęła o ziemię. Z grobu zionęło chłodem i ciemnością. Pochyliły głowy, zajrzały do środka i ostrożnie, na palcach, jakby się bały, że nieostrożnymi ruchami mogą spowodować rumor i obudzić Rabbiego, weszły do przedsionka, i ciasno do siebie przytulone, utkwiliły spojrzenia szeroko wytrzeszczonych oczu w mroku wypełniającym wnętrze grobowca. Był pusty. Zdusiły w sobie krzyk. Patrzyły na kamienną ławę, na porzucone opaski, chustę, prześcieradło, na ściany, na podłogę i znów na kamienną ławę.

– Grób jest pusty – szepnęła Mariamne z Magdali.

– Nie ma Go – szepnęła Salome.

– Co się stało z Jego ciałem? – rzeczowe pytanie Hany podziałało na nie wstrząsająco.

– Kto je zabrał? – dorzuciła Mariam, matka Jaakowa, i tym pytaniem, które wypływało z pytania Hany jak rzeka ze źródła, wprowadziła zamęt do duszy swojej i reszty niewiast.

– Tak, ktoś je zabrał – zawyrokowała Mariamne z Magdali i... zmrużyła oczy.

W drżące ze strachu niewiasty uderzył jaskrawy blask, bijący znad kamiennej ławy, płomień o olśniewającej bieli i nadzwyczajnej mocy, jeden z tych płomieni, który pali się i nigdy się nie spala, i jest zarazem płomieniem i głosem, płonącym i mówiącym.

Niewiasty padły na twarze i usłyszały Głos, który mówił:

– Nie bójcie się. Wiem, że szukacie Jezuy z Nazarethu, Ukrzyżowanego. Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma Go tutaj.

Niewiasty, mimo zapewnień Głosu, że nie powinny Go się bać, zdjęte przewidującym strachem, poderwały się z ziemi i uciekły, i biegnąc zboczem w dół, blade i nieprzytomne, zatrzymały się dopiero na dnie doliny i tutaj w bezpiecznej odległości od grobu poczęły zastanawiać się nad pochodzeniem, treścią i znaczeniem zasłyszanych słów. W zgodnej jednomyślności stwierdziły, że był to Głos widzący

i natchniony, a ponieważ ton jego był mocny i nader dźwięczny, utwierdziły się w przekonaniu o jego młodzieńczej naturze i nazwały go po prostu młodzieńcem. Ale najważniejsze jest to, co powiedział. A powiedział rzecz niesłychaną! Niewiarygodną! Wykraczającą poza wszelką ludzką świadomość! Poza wszelkie wyobrażenie! Powiedział, że Rabbi żyje! Żyje! Co znaczy, że Rabbi żyje? Jak może żyć człowiek, który został ukrzyżowany i umarł – na ich oczach – na krzyżu! Stały osłupiałe, odurzone widzeniem, olśnione i zarazem wąpiące o prawdziwości tego, co widziały, i im dłużej zastanawiały się nad nadzwyczajnością zjawiska, tym silniej uzmysławiały sobie jego nieprawdopodobieństwo i upewniały się w przekonaniu o omyłności swoich oczu i uszu, które widziały i słyszały to, czego nie było i co nie zostało powiedziane. A jednak widziały i słyszały, i potwierdzały to zgodnym świadectwem swoich ust. Powiedział, że Rabbi żyje! Jeżeli żyje, dlaczego się ukrywa? Im więcej stawiały sobie pytań, tym mniej odnajdywały odpowiedzi. Każda ich pewność pełna była wątpliwości, a każda wątpliwość wypierana była przez pewność. Zagubione w chaosie roztrząsań i zmiennych sądów, doszły do przekonania, że jedynym niewątpliwym faktem jest pusty grób. Tę wiadomość postanowiły przekazać apostołom i zataić przed nimi widzenie tajemniczego młodzieńca i wypowiedziane przez niego słowa. Mąż jest mężem. Niewiasta jest tylko niewiastą. Świadectwo niewiasty nie jest świadectwem pełnowartościowym, dlatego nie może ona zeznawać i świadczyć przed sądem. Niech mężowie pójdą do grobu i wszystko sprawdzą, i zaświadczą niezawodnym sprawdzeniem i niezbitym zaświadczeniem synów praojca Adama. Skoro Pan stworzył kruchość niewiasty, a moc położył w mężach, niechaj oni utwierdzają prawdę. Elohim wiedział, co robi.

I tak postanowiwszy, szybko udały się do domu Josefa bar Nabuah, lewity.

Kefas i Johanan ben Zebadia u grobu

Niewiasty przystanąły na tarasie dachu, Mariamne z Magdali zapukała do drzwi i zawołała:

– Otwórzcie!

Zaskrzypiał skobel. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Jehudy ben Halfi.

– Czy jest Kefas?

– Jest – odpowiedział Jehuda.

– Niech wyjdzie na taras – rzekła Mariamne z Magdali – a wy wyjdźcie z nim razem. Tu nikt was nie dostrzeże.

– Czy coś się stało?

– Tak.

– Co?

– Opowiem wam. Wyjdźcie.

Wyszli i usiedli na glinianej polepie tarasu. Naprzeciw, w słusznej odległości, zgodnie ze zwyczajem, usiadły niewiasty. Ponieważ nie wiedziały, od czego zacząć opowiadanie, zapanowało głucho, pełne wyczekiwania milczenie, niezręczne i kłopotliwe, bo mężowie nie chcieli przynaglać kobiet, aby nie narazić się na zarzut ciekawości, co byłoby sprzeczne z godnością synów Adama. Ale gdy Mariamne z Magdali zanosła się płaczem i nie mogła się uspokoić, Kefas nadał swojemu głosowi ton ojcowskiej troski i spytał:

– Co się stało, niewiasto? ‘ Mariamne otarła policzki i rzekła:

– Zabrano Rabbiego z grobu...

Apostołowie podnieśli się z ziemi, nie odrywając wzroku od niewiast jak od zmyślonych przez sen widziadeł.

– Co mówisz, niewiasto?’ – krzyknął Kefas. – Skąd wiesz o tym?

– Byliśmy u grobu.

– I co?! – krzyknął Kefas, potrząsając rękami.

– Grób jest pusty...

– Pusty? – powtórzyli apostołowie.

– Tak, pusty – potwierdziły niewiasty.

– Po co tam poszłyście? – spytał Johanen ben Zebadia.

– Chciałyśmy uczcić grób wonnościami – odrzekła jego matka, Salome, na dowód czego wyciągnęła z zanadru słoik balsamu.

– I co było dalej? – naciskał Kefas.

– Gdyśmy przyszły na miejsce – wyjaśniła Mariamne z Magdali – grób był pusty, ciała nie było, na kamiennej ławie leżało śmiertelne prześcieradło...

– I opaski – dodała Hana.

– I chusta – uzupełniła Mariam, matka Jaakowa.

– Więc co się stało z ciałem? – zawołał Kefas.

– Nie wiemy – odpowiedziały.

– Kto je zabrał? Po co? W jakim celu? – pytali apostołowie, oszołomieni nieprawdopodobną wiadomością.

– To jest niemożliwe! – krzyknął Nathanael ben Tolmaj.

– Niewiasty bredzą! – Filip spode łba patrzył na Mariamne z Magdali. Wołali jeden przez drugiego:

– Po co słuchamy niewieścich zmyśleń i majaczeń?!

– To nie jest godne statecznych uszu synów Izraela!

– Wstyďte się, mężowie, przykładać wagę do świadectwa kobiet!

- Mądrość ojców głosi, że każda niewiasta coś opuszcza, coś dodaje, coś zmienia!
- Nie słuchajmy ich wołania!
- Nie słuchajmy!

Wtedy Mariamne z Magdali, odpowiadając im, rzekła:

- Idźcie i sami sprawdźcie...

To powiedziawszy, z płaczem podniosła się z ziemi, a za nią podniosły się Salome i Hana, i Mariam, i zalewając się łzami zeszyły schodami na dziedziniec, a stamtąd udały się do niewieściej izby.

Płacz niewiast, zamiast wzruszyć apostołów, umocnił w nich przekonanie, że słusznie uczynili nie dając wiary ich opowieści. Wymieniali między sobą niepoehlebne zdania o niewieściej wyobraźni, na której niczego budować nie można, a ponieważ uważali, że godność mężów nie może narażać się na śmieszność, postanowili nie sprawdzać niewiarygodności zjawisk niewiarygodnych i powrócili do izby. Na tarasie pozostali tylko Symeon ben Jona i Johanan ben Zebadia, którzy patrząc ku północy, w kierunku niewidocznej stąd Golgothy, ukrytej za wysokimi murami i wieżami pałacu Heroda, ważyli w myślach tę samą myśl i wypowiedzieli ją równocześnie tymi samymi słowami:

- Pójdziemy i sprawdzimy. I poszli.

Gdy stanęli na zboczu doliny i z dala ujrzeli odwalony kamień i czerniejące w słonecznym blasku wejście do grobu, zaskoczeni niezwykłością tego widoku, potwierdzającego opowieść niewiast, pędem puścili się pod górę. Johanan ben Zebadia sadził jak młody jelen i znacznie wyprzedził Kefasa, który starszy wiekiem, sapiąc, starał się bez powodzenia dogonić towarzysza, widząc jednak, że wysiłek jego jest daremny, zwolnił kroku i zgarbiony powoli wspinał się, i od czasu do czasu przystawał dla zaczerpnięcia tchu. Tymczasem Johanan stanął przed wejściem do grobu i zastanawiał się, czy ma wejść do środka, czy poczekać na przyjaciela. Niecierpliwość serca kazała mu zajrzeć do wnętrza. Pochylił głowę, a gdy oczy jego pełne jeszcze słonecznego światła oswoiły się z ciemnością, ujrzął w głębi leżące na ziemi lniane opaski. Serce tłukło mu się w piersiach. Cofnął się. Obok niego stał Kefas, który bez namysłu, nie zatrzymując się w przedsionku, wszedł do grobowca. Grób rzeczywiście był pusty. Na ziemi, pokrytej rozsypanym aloesem i mirrą, leżały opaski, na kamiennej ławie płótno, a obok oddzielnie zwinięta chusta, którą okryta była głowa Rabbiego. Wyglądało to wszystko tak, jakby Jezus wstał z ławy, zrzucił z siebie śmiertelne odzienie i oddalił się. Ale jak? Którędy? Dokąd? podnieśli z ziemi opaski, pochylili się nad kamienną ławą i brali do rąk chustę i płótno, odwracali je na obie strony, oglądali dokładnie – znaleźli na nich rdzawe wybroczyny, a w fałdach śmiertelnego płótna resztki sproszkowanej wonności –

i nic nie rozumiejąc, zdumieni przerażającą pustką, opuścili jaskinię i wyszli na światło dzienne. Schodząc z góry, z początku nic do siebie nie mówili i dopiero gdy milczenie poczęło im ciążyć, Kefas głośno przemówił, a jego rozsądne wywody tak bardzo przekonały Johanana, że nie uważał nawet za potrzebne ich potwierdzać własnymi spostrzeżeniami. Kefas idąc mówił:

– Żaden, choćby największy, grzesznik w Izraelu nie ośmieliłby się targnąć z jakichkolwiek powodów i dla jakichkolwiek celów na spokój duszy nawet swojego największego wroga. Cały dom Izraela wie, że ciało jest mieszkaniem duszy, a jej spokój zależy po śmierci ciała od spokoju ciała, więc biada temu, kto narusza spokój ciała, bo naruszając spokój ciała, narusza spokój duszy, a kto narusza spokój duszy należącej do Jahwe, ten drażni Jahwe i jest wrogiem Jahwe, bo podnosi rękę przeciw własności Pańskiej i przeciw całemu porządkowi ustalonemu przez Pana, który jest Panem porządku i ładu. Dlatego szlachetny król Dawid pochował ciało swojego wroga Saula i dlatego nawet bluźnierca Herod Antypas w obawie przed zemstą Elohim wydał ciało Niestrzyżonego jego uczniom, aby je pochowali, i dlatego martwe ciało bezbożnej królowej Jezebel, składającej ofiary obcym bogom, rzucił zazdrosny Pan na pożarcie psom na polach Jezreel, aby unicestwić jej duszę na całą wieczność. Nikt, Johananie ben Zebadia, nikt nigdy w całym Izraelu nie ośmieliłby się otwierać grobu i wykradać ciała, bo oddanie ostatniej posługi martwemu ciału i spokój martwego ciała są świętym nakazem Pana. A teraz, pomyśl, Johananie ben Zebadia, gdyby nawet znalazł się w Izraelu taki bluźnierca, który wykradłby ciało Rabbiego dla jakichkolwiek powodów i dla jakichkolwiek celów – w istnienie takiego grzesznika ja nie wierzę, ale przypuśćmy, że taki grzesznik istnieje, chociaż istnieć nie może – po cóż by zdzierał z martwego ciała płótno śmiertelne, chustę i opaski – Dlaczego? Po co? Jaki miałby w tym cel, Synu Gromu? Tak mówił Kefas, zatrzymał się i rzekł:

– Więc gdzie jest ciało Rabbiego?

Johananie ben Zebadia, który przez cały czas potakiwał głową, również zatrzymał się i powtórzył za Kefasem:

– Więc gdzie jest ciało Rabbiego?

Ponieważ na to pytanie nie umieli udzielić sobie odpowiedzi, szli dalej głęboko strapieni nieudolnością swoich dociekań. Ich myśli otaczała nieprzebyta ciemność. W Bramie Ogrodów spotkali Mariamne z Magdali. Przystanęli.

– Słusznie mówiłaś, niewiasto – rzekł Kefas. Mariamne milczała.

– Dokąd idziesz? – spytał Johananie ben Zebadia.

– Na Golgothę – odpowiedziała Mariamne.

Nie dotykaj mnie, Mariamne...

Wprawdzie Mariamne z Magdali powiedziała Kefasowi i Johananowi ben Zebadia, że idzie na Golgotę, i rzeczywiście szła na Golgotę, szła jednak wbrew ich przypuszczeniom nie do grobowca, lecz na poszukiwanie ciała Rabbiego – słowa świetlistego młodzieńca wydały się jej tak nieprawdopodobne, że zważyła o rzeczywistości widzenia – które według jej domysłów ktoś nocą wyniósł z jaskini i pochował, w jakimś ustronnym miejscu. Po co to uczynił? – to pytanie, podobnie jak Kefas i Johanan, stawiała sobie również Mariamne i również jak oni nie znajdowała na nie rzeczowej odpowiedzi, ale podczas gdy dwom apostołom nawet nie zaświtała w głowie myśl wszczęcia poszukiwań, dzielna niewiasta – dzielna niewiasta, jak pisał król Salomon, cenniejsza jest od pereł – postanowiła natychmiast działać, a nie wiedząc, jak jej zamiar ocenią apostołowie, nikogo nie wtajemniczyła w swój plan i, wymknąwszy się cichaczem z domu, poszła na Wzgórze Trupiej Czaszki. Gdy stanęła na szczycie, stwierdziła, że nigdzie nie ma żywej duszy. Poczęła przeszukiwać jaskinie u podnóża doliny, zaglądała za złomy skalne, do jam i rozpadlin, zapuściła się między gęste zarośla, kluczyła po zarośniętych ścieżkach, zajrzała do kilku rozległych pieczar; zmęczona błędzeniem i kołowaniem po bezdrożach i wertepach, dowlokła się do grobu Rabbiego i usiadła na odwalonym głazie. Po krótkim wypoczynku postanowiła wrócić do domu, zrozumiała bowiem niedorzeczność swoich usiłowań, z góry skazanych na niepowodzenie, gdyż przeszukanie po kolei wszystkich jaskiń przerastało możliwości jednego człowieka. Wstała, pochyliła się i zajrzała do grobu. Ciemna pustka i okrutna nieobecność Jezusowego ciała znów ją poruszyły do głębi. Wraz ze zniknięciem doczesnych szczątków Rabbiego wymazane zostało całe dotychczasowe życie apostołów, niewiast i jej, a przyszłość ich wszystkich zawisła w jałowej próżni, w bezkresnym i doszczętnym nieistnieniu. Płacząc, odwróciła się i ujrzała stojącego przed nią nie znanego męża, który rzekł:

– Niewiasto, dlaczego płaczesz? Kogo szukasz?

Mariamne przyjrzała się pytającemu. Był szczupły, silnie zbudowany, wysokiego wzrostu, o czarnych oczach pod prostymi brwiami. Kąty warg nieco podniesione ku górze nadawały jego twarzy wyraz łagodnego uśmiechu i cierpliwego spokoju. W krótkiej rozwidlonej brodzie srebrzyły się siwe nitki. Odziany był w tunikę opasaną lnianym pasem, na nogach miał mocno podniszczone sandały, co świadczyło, że odbywał długie piesze wędrówki. Zdawało jej się, że jest ogrodnikiem, może pracownikiem rolnym, może winogrodnikiem, w każdym razie skojarzyła sobie jego postać z kimś, którego życie związane jest z pracą na roli,

w ogrodzie, w winnicy, a było to skojarzenie nad wyraz zastanawiające i właściwie niczym nie umotywowane, gdyż zewnętrzny wygląd nieznanego, zwłaszcza jego delikatne ręce, nie potwierdzały słuszności tych spostrzeżeń. Zresztą trudno było teraz wymagać od Mariamne ścisłości, albowiem mimo ostrej wyrazistości rysów i stroju męża cała jego postać była nieco zamglona, co prawdopodobnie brało się stąd, że stał w oślepiającym świetle słonecznym, które jak wszystko, co jest w nadmiarze, rozrzutnością raczej zaciemnia, niż rozjaśnia możliwości ludzkiego widzenia. Był na pewno synem Izraela, o czym świadczyły rysy twarzy, mowa i akcent, a przede wszystkim chwasty u tuniki, równocześnie jednak zdumiewało jego zachowanie, bo przecież żaden potomek Abrahama nie nawiązałby rozmowy z przypadkowo spotkaną niewiastą, niezależnie od tego, czy ją znał, czy jej nie znał. Mariamne była pewna, że go nigdy w życiu nie widziała ani też nie spotkała nikogo, kto byłby do niego podobny. Była w nim jakaś niepowtarzalna jedyność. Pomyślała, że może właśnie jest tym, który ukrył ciało Rabbiego – nie wiadomo, skąd się w niej wzięła ta myśl – i natychmiast uzmysłowiła sobie niedorzeczność takiego przypuszczenia. Było za późno. Słowa były szybsze od myśli. Zanim rozsądek nakazał jej powściągliwość w mówieniu, wargi przemówiły:

– Panie – powiedziała – w tym grobie pochowany był Jezua ben Josef z Nazarethu. Dzisiaj znaleźliśmy Jego grób pusty. Jeżeli ty przeniosłeś Rabbiego, powiedz, gdzie Go położyłeś, a ja Go zabiorę.

A na to rzekł ogrodnik:

– Mariamne!

Na dźwięk swojego imienia w ustach nieznanego niewiasta spojrzała na niego wzrokiem nieufnym i natychmiast podejrzliwa nieufność przeobraziła się w przerażenie. Zasłoniła rękami oczy. Nie wątpiła, że to, co widzi, jest urojeniem spragnionych oczu. Wyobraziła sobie, że gdy je odsłoni, niesamowite zjawisko, ośmielające się naśladować swoim głosem i wyglądem Jezua ben Josef, zapadnie się w otchłań szeolu. Oderwała dłonie od twarzy. Przed nią stał Rabbi z ciała, krwi i kości, ten sam, za którym od trzech lat, od chwili, gdy ją uleczył, szła krok za krokiem, ten sam, którego słyszała wygłaszającego nauki, ten sam, którego widziała łagodnego i gniewnego, grożącego i przebaczącego. Krzyknęła:

– Rabboni!

Powolnym krokiem, ostrożnie zbliżała się do Jezusa, wpatrzona w Jego oblicze, i widziała, że jest człowiekiem, żywym człowiekiem, widziała coraz pewniej i nieomylniej, i mimo to nie mogła oprzeć się pokusie sprawdzenia tego, co widzi. Wyciągnęła rękę i wyszeptwała przytwierdzając:

– To Ty jesteś, Rabboni... Wierzę, że jesteś w swoim własnym ciele, żywy

i zdrowy, chociaż nie rozumiem, jak to się mogło stać, że Ty, umarły męczeńską śmiercią na krzyżu, stoisz przede mną cielesny i żywy, jakbyś nigdy nie umarł.

Tak szeptała i z wyciągniętymi rękami zbliżała się do Jezusa, chcąc Go dotknąć dotykającym potwierdzeniem, albowiem nieporna była niedotykalności odsłoniętego Poznania, świętej niedotykalności, przestrzeganej przez Pana z tak wielką i niezawodną dokładnością, że już w Gan Eden nie tylko zabronił spożywać człowiekowi owoców z Drzewa Poznania, ale zabronił go również dotykać – powiedział wyraźnie: „Nie wolno wam go dotykać, abyście nie pomarli”

– i z tych samych powodów ostrzegł Mojżesza, aby podczas zawarcia Przymierza na Synaju żaden syn Izraela nie odważył się nawet dotknąć podnóża góry, bo ten, kto dotknie góry uświęconej Świętą Niedotykalnością, ukarany będzie śmiercią, i z tych samych powodów bezlitośnie nawet pokarał śmiercią pobożnego i gorliwego Uzę, gdy ten, chcąc podeprzeć chwiejącą się Arkę Przymierza, ciągnioną przez znarowione woły, nieopatrznie dotknął jej rękami. Skąd mogła wiedzieć biedna Mariamne z Magdali, że rozmawia teraz z Bogiem, odsłoniętym w Ciele wiecznym i niezniszczalnym, cielesnym cielesnością ducha, będącym równocześnie ciałem i duchem, połączeniem sił niebezpiecznych, które mogą swą Mocą w oka mgnieniu spalić na popiół człowieka lekkomyślnie dotykającego ostatecznego Poznania? Mariamne więc, nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, już zamierzała palcami dotknąć szaty Jezusa, gdy nagle usłyszała ognisty Głos, płynący z głębi głosu:

– Nie dotykaj mnie, Mariamne...

Szybko cofnęła dłoń. Chciała Go jeszcze o coś spytać, ale i słowa – w porę cofnęła do swojego wnętrza, bo nagle pojęła, że dotyk słów może być równie groźny jak dotyk wyciągniętej dłoni.

Jezus, nie rozpraszając niewiedzy niewiasty ani nie wtajemniczając jej w tajemnicę Niedotykalności, dał jej do zrozumienia w kilku niezwykle oszczędnych i nader znamienych dla Jego sposobu mówienia słowach, że gdy wstąpi do Ojca swego – co już wkrótce się stanie – który jest ich Ojcem, i do Boga swojego, który jest ich Bogiem, zjawiać się będzie ludziom nie w odsłoniętym Ciele Ducha – tu położył zbawienną ciemność na domyślności niewiasty – lecz w Postaci niegroźnej dla ich życia. To powiedziawszy, kazał jej wrócić do apostołów i oznajmić im, aby udali się do Galilei, gdzie Go zobaczą, postanowił bowiem nad jeziorem Kinereth, w Domu Wody, powtórzyć świętym powtórzeniem cud wielkiego połowu ryb, znak połowu ludzi, i w miejscu swoich prac, przed obliczem otchłani wodnej, po której chodził i której śmiercionośny żywioł okiełzał, udzielić uczniom ostatnich nauk i ostatnich poleceń.

„Odwrócił się i począł się oddalać, zstąpił na dno doliny, potem piał się zboczem

pod górę, minął, nie zatrzymując się, trzy krzyże i zniknął za zachodnim garbem wzgórza, jak znika zachodzące słońce. „Dokąd poszedł?” – pomyślała Mariamne. Czuła w głowie zamęt. Widziała żywego Rabbiego. Stał obok niej w żywym ciele, mówił i rozkazywał. Jego żywe ciało, Jego żywe słowa i żywe rozkazy są dowodem, że zmartwychwstał, że rzeczywiście żyje. Co znaczy, że zmartwychwstał? Co znaczy, że żyje? Co znaczy, że żyje człowiek umarły? Co znaczy, że żyje człowiek, który umarł na jej oczach na krzyżu? Czego dowodem jest Jego zmartwychwstanie? Lęk tłumił rosnącą w niej radość. Poczęła zastanawiać się, jakim sposobem Rabbi zmartwychwstał. Przecież powiedział, że wkrótce wstąpi do swojego Ojca. Żywy wstąpi do Ojca? Jak może żywy człowiek wstąpić do Elohim? Mariamne z Magdali nic nie rozumiała. Szła przed siebie jak we śnie, powtarzając półgłosem oderwane słowa o śmierci, zmartwychwstaniu i życiu, i znów o życiu, zmartwychwstaniu i śmierci, a pojęcia te kłębiły się pod jej czaszką, łączyły się z sobą i rozpadały, umacniały się, potwierdzały wzajemnie i uzupełniały, a potem każde z osobna przerażało swoją nadzwyczajnością, a potem znów stopione razem w niepojętą całość świadczyły o sobie niezaprzeczalną prawdą. Jest żywy! Żywy! Żywy! – krzyczało wewnątrz niewiasty. – Jest żywy! Żywy! Żywy! – krzyczały jej usta. Przystanęła. Jak to wszystko opowie apostołom? Przecież jej nie uwierzą. Szła powoli, rozważając trudności, które napotka podczas opowiadania opornym i wątpiącym apostołom o spotkaniu z Rabbim, i nie rozumiała, dlaczego On uczynił posłańcem swoich poleceń bezbroną i słabą niewiastę, której świadectwo nie ma żadnej wartości. Po kolei odrzucała różne przypuszczenia, inne zachowywała w pamięci, potem spośród zachowanych odrzucała mniej prawdopodobne, aż wreszcie z wielkiej ilości domysłów pozostał jeden domysł, który wydał się jej najbardziej przekonujący: Rabbi uczynił niewiarygodną niewiastę swoim posłańcem, aby podnieść ją z poniżenia, a wartość jej świadectwa zrównać z wartością prawych mężów Izraela. Twarz Mariamne z Magdali rozjaśniła się, a radość wstąpiła w serce. Rabbi jest żywy żywą cielesnością! Nie ma samotności ani rozpacz! Jest wielka nadzieja! Chwalcie Pana pod sklepieniem Jego Mocy! Chwalcie Go w niezmiernych dziełach Jego! Chwalcie Go w pełni Jego wielkości! Śpiewajcie Panu nową pieśń, Jego chwałę w zgromadzeniu pobożnych! Niechaj Izrael raduje się swoim Stwórcą, a synowie Syjonu niech się weselą swoim Królem!

Szła przez rojne miasto, śpiewała i płała, a przechodnie przystawali i litowali się nad szaleństwem nieszczęśliwej dziewczyny, albowiem nie wiedzieli, że jest ona najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Mariamne z Magdali przynosi apostołom dobrą wieść

Apostołowie i uczniowie wiedzieli już o pustym grobie od Kefasa i Johanana ben Zebadia i siedząc teraz w wieczerniku, zmęczeni nurtującymi ich wątpliwościami, pograżyli się w płonej bierności, albowiem wiadomość o zniknięciu Jezusowego ciała jeszcze bardziej pogmatwała ich myśli. Wyniki, do których doszli, były nad wyraz żalosne: żył błogosławiony Mąż Boży, Jezua ben Josef, siewca dobrego słowa, cudotwórca, lekarz dusz i ciał, którego Elohim z niewiadomych powodów opuścił, o czym sam Rabbi dał głośne świadectwo z wysokości krzyża, a źli ludzie – Jaakow ben Halfi z uporem twierdził, że byli to bogacze o zatłuszczonych sercach i kapłani o zbutwiałych sumieniach – wydali Go na śmierć ludziom równie złym jak oni, a ci Go ukrzyżowali, a potem niewiadome ręce pohańbiły grób, wykradły ciało i ciała nie ma, a Elohim położył ciemność nad ich ścieżkami, jak drzewo z ziemi wyrwał ich nadzieję i zapisał ich w poczet mężów rozpaczających. Stanęli przed kamiennym murem, którego nie umieli przebić. Ich ociężała bezsilność osiągnęła swój szczyt. Poddali się prawom marnej bezcelowości, która drapieżnymi mackami zagarnęła ich w posiadanie. Ich życie stało się martwym mrokiem bez twarzy. Gdy więc Mariamne z Magdali zniemacka wpadła do izby, wołając w gorącym uniesieniu: – Rabbi żyje! Widziałam Go! Widziałam żywego w żywym ciele! Mówiłam z Nim! – jej żywiołowy wybuch radości przyjęli apostołowie bez wrażenia i uznali go jednomyślnie za objaw wzruszającej i wybujałej skłonności do obrazowania, tym kłopotliwszego dla otoczenia, że niesprawdzalnego. Mariamne stała jak wryta, widząc niewzruszoną postawę apostołów, odpowiadających jawnym niedowierzaniem na radosną wieść o żyjącym Rabbim i o poselstwie, które jej zlecił. Nie pomogły uroczyste zapewnienia i przysięgi, że wszystko, co mówi, jest prawdą wyzbytą wszelkiej nieścistości, że Rabbi nie jest duchem, widmem, cieniem, ale żywym człowiekiem, że powtarza dosłownie Jego polecenie, niczego nie dodając i niczego nie ujmując, że opisuje z bezbłędną dokładnością Jego zachowanie, Jego ubiór, ruchy Jego rąk i ruchy Jego głowy. Wreszcie wyjawiała niedowiarkom, że o świcie ona i niewiasty, które przybyły z nią do otwartego i pustego grobu, ujrzały siedzący na kamiennej ławie świetlisty Głos, który je spytał pytaniem oznajmującym: – Żyjącego szukacie wśród umarłych? – ale ponieważ nie były pewne, czy zjawisko jest rzeczywiste, postanowiły zataić przed apostołami tajemnicze widzenie. Teraz jednak, gdy jest pewna swoich oczu, uszu i ust – widziała Rabbiego tak, jak ich teraz widzi, słyszała Go tak, jak ich teraz słyszy, mówiła z Nim tak, jak z nimi teraz mówi! – przekazuje im jedno i drugie zdarzenie i prosi ich, aby dali wiarę prawdzie, którą im wyjawiała. Apostołowie w odpowiedzi wyrazili swoje zdania, jedni zdawkowe, inni

lekceważące, a Theom Bliźniak wręcz powiedział, że uważa opowiadanie niewiasty za szaleńcze urojenie. Najogłędniej i z niejaką chwiejnością mówili Kefas i Johanan ben Zebadia. Wszyscy natomiast razem oświadczyli z bolesną pewnością, że niezachwianą prawdą jest tylko pusty grób, a pusty grób nie jest żadnym dowodem cielesnej obecności żywego Jezuy ben Josef wśród ludzi żyjących prawdziwym życiem. To powiedziawszy, zaczęli zastanawiać się, co mają z sobą obecnie począć, czy mają rozbiec się po kraju, ukryć się i trwać w ukryciu do czasu, aż minie nienawiść Kajafy, kapłanów, saduceuszów, faryzeuszów i głucho będzie o Rabbim i o nich, czy może powinni powrócić do domów, do rodzin, do rodziców, do żon i dzieci i rozpocząć pracę w swoich zawodach, które porzucili dla Jezuy. Wszyscy uważali, że czekanie bez celu w Jerozolimie pełnej wrogich kapłanów, na pewno knujących w tajemnicy spisek przeciw apostołom i uczniom błogosławionego Męża, jest lekkomyślną nedorzecznnością. Wymieniali zdania, określali swoje stanowiska, omawiali położenie i możliwości na przyszłość, krzyżowały się oceny w miarę bystre i sprawne z nad wyraz niezręcznymi i nieporadnymi, a wszystkich ogarnęło kłótlive i smutne ożywienie, tak znamienne dla ludzi pozbawionych nagle przyszłości i zastanawiających się nad sposobami jej odbudowy. Wreszcie przemówił Halfi z Emaus, a przemawiając tak mówił:

– Cóż po mnie tutaj wśród was, skoro Jezua ben Josef umarł i nie ma Go, a wraz z Nim umarła nadzieja naszego ludu? Myśmy się spodziewali, że Rabbi będzie jak cyprys wiecznie zielony, że będzie Goelem, Odkupicielem Izraela. I coż pozostało z naszej nadziei? Pusty grób... Nic tutaj po mnie wśród was... Wracam do Emaus, do mojego domu. Pokój wam i temu gościnnemu domowi.

To powiedziawszy, zarzucił na plecy sakwę podróżną, przestąpił próg izby, ucałował mezuzę przybitą do drzwi i wyszedł, a za nim wyszedł jego towarzysz i razem opuścili miasto, kierując się przez Góry Judejskie na zachód.

Theom Bliźniak ujął rękami głowę i szeptał słowa ze świętej Księgi Hioba, ich brata w rozpacz i poniżeniu: „Jak skała obsuwająca się ze swojego miejsca, jak kamień wydrażony wodą, która podmywa ziemię, tak zabijasz nadzieję człowieka, obalasz go na wieczność... „

Mariamne – przez cały czas uważnie słuchała wywodów apostołów i uczniów zatroskanych o swą przyszłość – usiadła na ziemi, na podwiniętych nogach, poczęła się kołysać i śpiewnym głosem zmawiała żałobne kinoth o osaczonych synach Izraela, których Pan napełnił jadem i piołunem, opasał murem rozpacz, pomieszał ich ścieżki, głazami zagroził drogi i noc im dał za mieszkanie jak umarłym. Śpiewając i kołysząc się, rozdrapywała paznokciami złane łzami policzki, wyrывała włosy z głowy i wyrzucała je za siebie, a jej lament rósł, potężniał, huczał,

pogrzebowy lament o niewiernych mężach, których serca są chore, oczy zaćmione, a wnętrzości strawione ogniem niedowiarstwa.

Apostołowie współczując bolejącej niewieście pytali:

– Za kogo ona zmawia kinoth?

– Przed chwilą była pełna radości, a teraz czyni pokutę?

– Na pewno rozpacza nad śmiercią Rabbiego...

– Nieprawda! – krzyknęła Mariamne. – Nieprawda! Rabbi żyje! Żyje! Żyje! Nie nad Nim płaczę, bo jakże płakać mam nad żyjącym! – pochyliła się i zgarnawszy w dłoń pył z glinianej polepy posypywała nim głowę i nacierała pokrwawione policzki. – Nad wami płaczę! Nad waszą śmiercią płaczę! Boście wyzionęli ostatni oddech i jesteście podobni do leniwych cieni, snujących się po szeolu! Płaczę nad śmiercią waszych serc, nad śmiercią waszych oczu i uszu, nad śmiercią waszej przeszłości, nad śmiercią waszej wierności, nad śmiercią waszych słów i przysiąg, i przyrzeczeń! Jitgadal, wejilkadasz szeme raba!

Poderwali się z ziemi i zlni potem stali podobni do martwych słupów soli. Nikt z mężów Izraela nie słyszał za swojego życia zmawianej za niego modlitwy pogrzebowej, a na domiar złego przez niewiaстę! Zatkali palcami uszy. Mimo to z obłoku glinianego pyłu wzbijanego rękami zawodzącej niewiasty wdzierał się do ich serc jej rozpaczliwy jęk:

– Nad wami płaczę... Nad waszą śmiercią płaczę...

Przekupiona straż

Jacyś ludzie przybyli do Xystos i przynieśli wiadomość o pustym grobie. Równocześnie o tym wydarzeniu dowiedzieli się kupcy i pieniądze na Dziedzińcu Pogan, a potem kapłani i uczeni, a przez nich wieść dotarła do Nahuma, a przez Nahuma do Kajafy. Ludzie tłumnie ruszyli na wzgórze Golgothy, aby naocznie stwierdzić prawdziwość zasłyszanej wieści. Nikt nie chciał w nią z początku uwierzyć, a gdy wreszcie stwierdzili, że grób Jezuy ben Josef jest rzeczywiście pusty, podobnie jak apostołowie i uczniowie nie umieli sobie tego zdarzenia wytłumaczyć i posługując się tymi samymi przesłankami co oni – nikt nigdy w Izraelu nie wykradał i nie wyrzucał umarłych z miejsca ich spoczynku! – dręczeni zagadką, wracali do domów i szukali w pamięci podobnych opowiadań o pustych grobach, zdarzeń poręczonych powagą proroków, które by mogły ich naprowadzić na właściwy trop.

Sprawozdanie, złożone Kajafie przez Nahuma, zbiegło się równocześnie ze zjawieniem się strażników, którzy drżąc o swoją skórę – opuścili przecież posterunek

bez zezwolenia władzy – nie powrócili do pretorium, przez pewien czas włóczyli się po mieście i uzgodniwszy między sobą plan działania, postanowili przede wszystkim udać się do arcykapłana i prosić go o wstawiennictwo u prokuratora. Stanąwszy przed Kajafą i kapłanami opowiedzieli szczegółowo, niczego nie ukrywając, przebieg całego zdarzenia i położyli w sprawozdaniu szczególny nacisk na trzęsieniu ziemi, poprzedzającym otwarcie grobu – tu Kajafa, przerywając im, krzyknął: – Szaleńcy! Opoje! W mieście nie było żadnego trzęsienia ziemi! Już po raz drugi słyszę o tym nedorzecznym urojeniu! – i na płonącej błyskawicy – twierdzili uparcie, że miała kształt męża – która odwaliła głaz i na nim usiadła. Kajafa i kapłani wzięli w krzyżowy ogień pytań strażników, którzy badani z osobna, a potem konfrontowani z sobą, odtworzyli dzieje nieszczęsnej dla nich nocy od wieczora aż do haniebnej ucieczki. Kajafa z naciskiem wspominał o ich podłym tchórzostwie, nakazał im opuścić komnatę i czekać na dziedzińcu. Wezwał dwóch zaufanych kapłanów, którzy do ostatniej chwili śledzili z ukrycia pogrzebowe zabiegi na Golgocie, i upewniwszy się, że ciało zwodziciela zostało pochowane w jaskini, a wejście do niej zamknięte głazem, odbył z doradcami szybką i owocną naradę, ukoronowaną przyjęciem jego wniosku unicestwiającego najgorszą możliwość. Złe przeczucia Kajafy spełniły się. Apostołowie skorzystają ze sposobnej okoliczności i rozpowszechnią wśród Jeszuruna kłamliwą wieść o zmartwychwstaniu Jezusy ben Josef. Chcąc wszelkimi sposobami temu przeciwdziałać, poddał kapłanom pomysł przekupienia strażników, którzy w razie potrzeby stwierdzą, że w nocy przy grobie zasnęli, a wtedy przyszli uczniowie uwodziciela i wykradli ciało. Wprawdzie ten podstęp nie był podstępem doskonałym, jak to natychmiast zauważył jeden z kapłanów, bo strażnicy śpiąc nie mogli wiedzieć o dokonanej przez apostołów kradzieży ciała, gdyż człowiek śpiący nie może wiedzieć, co się dzieje na jawie, ale z drugiej strony – jak to słusznie stwierdzili inni kapłani – wyobraźnia ludu odrzuci każdą plotkę o rzekomym zmartwychwstaniu, która nie będzie poparta zjawiskami nadprzyrodzonymi. Cała więc rzecz w tym, aby strażnicy nie rozpowszechniali wieści o trzęsieniu ziemi i ognistej błyskawicy w kształcie męża, a na pewno rozpowszechniać nie będą, bo otrzymają za wszystko sowitą nagrodę i zapewnienie, że prokurator, gdyby im groziła kara za samowolne opuszczenie posterunku, zostanie przez Kajafę ułagodzony. Milczeć zatem będą dla własnej korzyści i własnego bezpieczeństwa.

Kapłani odeszli.

Kohen hagadol kazał Nahumowi wezwać strażników do komnaty.

Jezus ukazuje się Kefasowi

I Kefas usiadł w cieniu morwy na dziedzińcu – a było już popołudnie i słońce mocno przygrzewało – i pograżył się w gorzkiej samotności. Przebywając w jednej izbie z dziesięcioma apostołami, czuł się tak, jakby zamknięty był w więziennej piwnicy z dziesięcioma współwinowajcami, oskarżonymi o ten sam występki, co zresztą odpowiadało prawdzie i na pewno nie byłoby powodem jego szczególnej niechęci do braci w grzechu, gdyby nie okoliczność, że wszyscy razem, on i oni, wytworzyli w sobie i dokoła siebie nastrój beznadziejnego otepienia, który przekraczał wytrzymałość najbardziej odpornej natury. Wolał być sam. Usiadł więc pod morwą i rozpamiętywał słowa Mariamne z Magdali. Miała słusność. Są ludźmi umarłymi, gliną, którą Pan, wyjąwszy z niej duszę i swój oddech, wyrzucił na śmietnik między odpadki i zgniliznę. Czy są temu winni? A jeżeli są winni, na czym polega ich wina? Czy sprzeniewierzyli się myśli Jezusy ben Josef? Czy zaparli się Jego nauki? Nie bronili Go, opuścili, jeden Go zdradził, jeden Go się zaparł, a wszyscy uciekli. Ale czy sam Elohim nie opuścił Jezusy? Dlaczego Go opuścił? Dlaczego nie otwarło się niebo i z warowni Pańskiej nie wyszły zastępy niebieskie i nie poraziły Jego nieprzyjaciół? Pan pognębił swojego Męża, Pan pognębił Jego uczniów, więc jakże mają nie rozpaczać i nie załamywać rąk? Czy zatem jest ich winą, że Pan z niewiadomych powodów dotknął ich wielkim nieszczęściem? Kefas przeląkł się swoich pytających myśli. Nie umiał ich powściągnąć. Wyrzucał więc z siebie coraz to nowe pytające myśli i pytał, dlaczego nie umarł w żywocie swojej matki, dlaczego nie zginął, zanim wyszedł z jej łona, dlaczego położono go na kolanach ojca i dlaczego ssał matczyne piersi. Czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby teraz przebywał w mrokach szeolu, gdzie ludzie zmęczeni znajdują spoczynek, gdzie nie ma rozczarowań, rozpaczy, goryczy, zwodniczego czekania?!

Ujrzał na ziemi cień człowieka. Podniósł oczy. Przed nim stał mąż rosłej postawy o smagłej twarzy i czarnych oczach; spod płótna, okrywającego głowę, wymykały się bujne, przysypane lekką siwizną kosmyki włosów, które zwyczajem dostojnych synów Izraela opadały na ramiona. Mąż, zbliżywszy się do drzewa, przyglądał się jego pniu, gałęziom i owocom. Kefas go nie znał. Nigdy dotychczas nie widział go w domu Bar Nabuaha. Domyślił się po jego zachowaniu, że jest prawdopodobnie ogrodnikiem, gdyż z bacznością, tak znamieną dla znawców drzew, przyglądał się owocującej morwie, jakby wzrokiem chciał ocenić jej wiek i urodzajność.

– Piękna morwa... – rzekł Kefas. Mąż skinął głową.

– Stare drzewo. Mocno tkwi korzeniami w ziemi. Przeszło wiele burz. Silniejsze jest od człowieka – dodał ze smutkiem i podniósł się z ziemi.

Mąż zbliżył się do Kefasa i stojąc tak blisko niego, że apostoł czuł na twarzy oddech jego ust, rzekł cichym głosem:

– Gdybyś miał wiarę, nawet tak małą jak ziarenko gorczycy, mógłbyś rzec do tej morwy: „Wyrwij się z korzeniami i zasadź się w morzu”, a ona na pewno byłaby posłuszna twojej woli, Kefasie!

Strach zjeżył Kefasowi włosy na głowie. Odskoczył i krzyknął:

– Panie!

– To ja jestem, Symeonie ben Jona.

Apostoł upadł na twarz. Poczuł się jak złowiona ryba, która przebita ościeniem nie może wyswobodzić się z kolca, jeszcze drży, dygoce, wreszcie daje za wygraną i nieruchomiejąc czeka na spełnienie swojego losu. Leżąc pokonany i bezsilny jak spustoszone pole, jak zrąbany cedr, błagał Pana, aby nie pałał przeciw niemu gniewem, aby stał jego tchórzostwo, zaprzaństwo i trwozę i wrzucił w głębokości morskie wszystkie jego grzechy, aby uczynił go kamieniem na podobieństwo imienia, które brzmi teraz w jego uszach jak drwina.

Jezus pochylił się nad leżącym i rzekł:

– Trzykrotnie do was mówiłem: „Syn Człowieczy będzie wydany ludziom, którzy Go skażą na śmierć, zelżą i oplwają, i ubiczują, i ukrzyżują, i zabijają, ale potem dnia trzeciego zmartwychwstanie”. Tak mówiłem. Pamiętasz?

– Panie, zgrzeszyłem, albowiem zabiłem pamięć moją. Teraz przywróciłeś ją do życia, więc wszystko pamiętam – odpowiedział Kefas.

– Wstań.

Kefas podniósł się i patrzył w twarz Jezusa, którego cielesną bliskość nieomal dotykalnie odczuwał. Wbił bystre i przenikliwe spojrzenie w Jego przebite nadgarstki i ujrzał pod cienką skórą błękitny splot żył, przerzucił wzrok na obnażoną szyję i dostrzegł lekkie drganie grdyki, przetykającej ślinę. Stał przed żywym Rabbim. Radość śpiewała w Kefasie. Był namiotem podniesionym po wielkiej burzy, w którym Pan zamieszkał.

Jezus powiedział:

– Pójdiesz do uczniów moich i oznajmisz im, aby udali się wraz z tobą do Galilei, a tam mnie zobaczą. Tobie, Kefasie, nakazuję, abyś wypasał lud mój laską twoją, trzodę mojego dziedzictwa, siedemdziesiąt narodów mieszkających pod słońcem i księżycem od Asyrii po Micraim, od Micraim po Jawan, od Jawanu po Romeę, od Romy po Tyr, od Tyru po Wielką Rzekę, wszystkie ludy mieszkające od morza do morza, od góry do góry. Wypasać będziesz owce moje. W młodości sam opasywałeś swoje biodra i chodziłeś według swojej woli. Na starość wyciągniesz swoje ręce, a ja cię opaszę i powiodę tam, dokąd ty iść nie zechcesz, i pójdiesz tam, dokąd ja zechcę,

abyś poszedł. To, co ci teraz mówię, powtórzę trzykrotnie, trzykrotnie powtórzę w Galilei, w Domu Wody, przed obliczem wszystkich uczniów na wieczne świadectwo, że uczyniłem cię pasterzem mojej trzody! Kefasie!

– Jestem, Panie...

– Dana mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Pójdziecie i nauczać będziecie wszystkie ludy, zanurzając je w wodzie w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i ucząc je wszystkiego, co wam przekazałem. A oto jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata. To, co ci teraz mówię, powtórzę trzykrotnie, trzykrotnie powtórzę w Galilei, w Domu Wody, przed obliczem wszystkich uczniów na wieczne świadectwo prawdy, którą wam daję.

To powiedziawszy, począł mu tłumaczyć, aby nie lękał się trudu, który nań czeka w przyszłości. Wszystkiemu podoła. Wszystkie przeciwności zmoże. Duch Święty przyjdzie do nich – a będzie to się działo w Hag Szewuoth, w dniu święta Pierwocin i ognistego Synaju – nagle gwałtowny wicher wstrząśnie domem i z łoskotem zwali się na apostołów siedzących w wieczerniku, będzie ich smagać po twarzach, po rękach, po piersiach, wtargnie do ich ust, uszu, nozdrzy i wypełni sobą ich jestestwo, zedrze z ich oczu zasłonę, natchnie ich mądrością i odwagą, wargom udzieli daru przekonywającej wymowy, uszom przywileju słyszenia głosów niesłyszalnych, a będzie to wicher niezliczonousty, Duch Święty, wyrzucający z drapieżnego dzioba strumienie wielojęzycznego ognia. Jak ongi Głos Pański obwieszczający na Synaju Dziesięcioro Przykazań podzielił się i rozszczylił na siedemdziesiąt języków i w siedemdziesięciu językach obwieścił Prawo siedemdziesięciu narodom, to znaczy wszystkim ludom ziemi, tak teraz wstąpi w apostołów i na apostołów w kształcie ognistych języków, a wtedy apostołowie zaczną mówić, a mowa ich podzieli się i rozszczyli na siedemdziesiąt języków, a chociaż wielość tych języków będzie niezaprzeczone, również niezaprzeczone będzie jedność mowy, którą przemówią do zgromadzenia. Będzie to mowa wielkiej wspólnoty, jedności, pokory i mądrości, siedemdziesięciojęzyczna, jedna, niepodzielna i dla wszystkich zrozumiała mowa Pełni Czasu. Taką mową przemówią do ludów ziemi.

Jezus oddalił się i znikł.

Kefas pobiegł do apostołów.

Droga do Emaus

Cisza przeświecona kurzawą słonecznych promieni stała nad Górami Judejskimi. Spoza zakrętów drogi biegnącej zygzakami otwierały się dalekie widoki na równinę Szefeli i Saronu, pokrytą gęstymi lasami sykomor i gajami oliwnymi, ogrodami

i sadami, wśród których gdzieniegdzie białą wieś podobną do srebrnych jezior, otoczonych pierścieniami bujnej zieleni. Powietrze było tak czyste, że gdy Halfi z Emaus i jego towarzysz Baruch znaleźli się na wierzchołku pagórka i mrużąc oczy spojrzeli ku zachodowi, dostrzegli na widnokręgu iskrzącą się smugę morza. Radowali oczy pięknem domowego krajobrazu, którego spokój działał na nich kojąco, więc poddali mu się z synowskim oddaniem i szli dalej w kierunku Emaus, zadowoleni, że wreszcie opuścili Jerozolimę, gniazdo krwi i występku, i że coraz bardziej oddalają się od okrutnych zdarzeń. Ale prawdopodobnie mimo otaczającej ich ciszy i spokoju gór, lasów i widocznych w dole gajów i ogrodów cisza ich dusz nie była pełna i doskonała, bo Halfi, wzdychając, zaczął mówić o ukrzyżowanym Rabbim i pustym grobie, pusty grób porównał do pustki serc apostołów i uczniów, a Baruch, snując dalej to podobieństwo, doszedł do wniosku, że oni wszyscy – apostołowie i uczniowie osieroceni przez Jezusę ben Josef – są pustymi jaskiniami, ograbionymi nawet z ostatnich szczątków złudzeń. Halfi zgodził się z wywodami towarzysza, wyraził jednak mniemanie, że mimo to może zbyt pochopnie i lekkomyślnie, a przede wszystkim zbyt pośpiesznie opuścili Jerozolimę. Należało jeszcze poczekać. Takie nagie pożegnanie z przeszłością przypomina raczej płochliwą ucieczkę niż mądrze powzięte postanowienie. Przystanął. Uczynił siebie odpowiedzialnym za ten nierozważny pośpiech. Jak mogli jednym bezmyślnym odruchem zaprzeczyć wszystkim uczuciom, które żywili dla zmarłego Męża? Ucieczka z Jerozolimy była ucieczką przed Jezusą! Baruch, który również przystanął, był innego zdania. Wprawdzie przyznał, że ich wyjście z Jerozolimy miało wszystkie znamiona ucieczki, mimo to nie uciekli przed przeszłością, bo nie można uciec przed sobą, a każda przeszłość jest częścią człowieka, ani też nie zaprzeczyli swoim uczuciom, bo w dalszym ciągu tą samą miłością kochają Jezusę ben Josef, niezależnie od tego, jak potoczyły się Jego losy. Uciekli przed czymś zupełnie innym. A tą innością, przed którą uciekli, były ich wyobrażenia o Rabbim, który był prorokiem wielkiej mocy i tylko prorokiem, i niczym więcej, a oni, sami o tym nie wiedząc, przypisywali Mu przeznaczenie wyższe od proroka, przeznaczenie wyższe od Sługi Jahwe, od Kodesz Jahwe, a może nawet od Mesjasza, a gdy się okazało, że nie był ani Sługą Jahwe, ani Kodesz Jahwe, ani Mesjaszem, załamali się i stali się jak pusty grób. Oto przed czym uciekli: przed swoim błędnym wyobrażeniem o Rabbim... I tak idąc, rozprawiali i spierali się, uzgadniali swoje sądy i spostrzeżenia i znów się sprzecali, a ziemia pachniała odurzającym zapachem ziół, a ptaki śpiewały, miarowe przyipywy wiatru ciągnęły górą i kołysały wierzchołkami drzew, a w powietrzu wciąż panowała cisza, a była ona tak głęboka, że nie mąciły jej nawet podniecone głosy wędrowców. Rozmowa nie dała żadnych rzeczowych wyników. Szli ze

zwieszonymi głowami i nawet nie zauważyli, że wyminął ich jakiś mąż, który nagle przystanął, pozdrowił ich pozdrowieniem pokoju i spytał:

– Cóż to za rozmowy prowadzicie z sobą w drodze? Zatrzymali się i smutnie spojrzeli na pytającego:

– Idziesz z Jerozolimy i nie wiesz, co się tam stało? – spytał Baruch. A Halfi dodał z uprzejmą drwiną:

– Jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach wydarzyło.

Nieznajomy mąż, nie zniechęcony ich niezbyt grzeczną odpowiedzią, spytał:

– A cóż takiego się stało? Halfi odpowiedział:

– Czy nie wiesz, co się stało z Jezua ben Josef z Nazarethu, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie przed obliczem Elohim i całego ludu Izraela? Arcykapłani i nasi starsi wydali Go na śmierć, a poganie Go ukrzyżowali.

Baruch rzekł:

– A myśmy się spodziewali, że On będzie Odkupicielem Izraela...

Halfi przerwał mu:

– Przecież wiesz tak dobrze jak my, przechodniu, ile cierpień i udręki doświadcza Jeszurun. Mój ojciec opowiadał mi – oby dusza jego znalazła łaskę przed Panem! – że za dni jego młodości poganie spalili nasze rodzinne miasteczko Emaus, do którego teraz wracamy. Wszędzie tu znajdziesz ślady okrucieństwa synów Beliala. I znikąd nadziei! Znikąd! Wierzyliśmy, że Jezua ben Josef wyzwoli nas z pogańskiej niewoli. A On tymczasem umarł przed trzema dniami i osierocił nas, i uczynił nas samotnymi w rozpacz. A ponieważ każde nieszczęście lubi rósć jak ciasto w dzieży, niektóre z naszych niewiast przeraziły nas, bo były dzisiaj rano u Jego grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i wprawiły nas w zdumienie opowiadaniem o widzeniu anioła, który zapewnił je, że On żyje. Któż uwierzy niewiastom? Wprawdzie dwaj apostołowie, którzy poszli do grobu, stwierdzili, że jaskinia jest naprawdę pusta, ale ani anioła, ani Jezuy ben Josef nie widzieli...

– Nie widzieli... – potwierdził Baruch.

Wtedy nieznajomy odpowiadając im nazwał ich ludźmi nierozumnymi – spojrzeli na niego niechętnie, urażeni jego karcącym tonem – o sercach nie umiejących uwierzyć w to, co mówili prorocy, albowiem Pismo Święte czytali nieumiejętnie, błędząc tylko oczami po powierzchni słów jak ślepiec, który dotykając palcami nigdy nie widzianej rzeczy, pragnie po jej kształcie rozpoznać jej przeznaczenie. Gdyby wstąpili ufnie w głąb ognistego pieca, którym jest każde spotkanie Boga z człowiekiem, ujrzeliby to wszystko, co powinni byli ujrzeć, a powinni byli ujrzeć olbrzymie schody ułożone ze słów Mojżesza, Tehilin, proroków Jesai, Jony, Daniela

i Zecharii, pnące się coraz wyżej i wyżej na wysoką górę, na sam jej wierzchołek, będący środkiem wszechświata i jak każdy środek podnóżkiem El Szaddaja, Boga najwyższych gór. Gdyby uczynili to, co teraz mówi, ujrzeliby Mesjasza o cierpiącym obliczu, obarczonego ich nieprawościami i grzechami, zdruzgotanego i podeptanego przez Boga, chłostanego i przebitego przez ludzi, wzgardzonego przez wszystkich, Męża boleści bez blasku, owcę prowadzoną na rzeź. Wtedy pochyleni nad świętymi Zwojami poznaliby, że słowa, które one zawierają, mają oczy i usta Pomazańca, Jego czoło, skronie, policzki i włosy, i że razem stanowią Jego oblicze, będące Wszechczasem i Wszechmiejszem, pooranym cierniami, zlanym potem i krwawymi wybroczynami...

Uczniowie gotowi byli z początku hardo odeprzeć twierdzenia nieznanego, jakoby nie umieli czytać świętych Zwojów – był to zarzut, ich zdaniem, krzywdzący i godził boleśnie w ich dumę wiernych synów Izraela, którego znak mieli wypisany na swoim ciele – zabrakło im jednak odwagi, by przeciwstawić się jego myślom, a gdy przestał mówić, nie mieli już potrzeby odpowiadać, bo ich duma zwiotczała, a ich twardy i wysoko podniesiony kark bardzo się pochylił. Spojrzeli z podziwem na nieznanego. Ten przechodzień jest na pewno wielkim rabbim, uczonym, mędrce. Warto z nim jeszcze pomówić, spytać o wiele rzeczy, dowiedzieć się, co sądzi o świadectwie niewiast, może im wyjaśni sens pustego grobu? Może znał Jezusę ben Josef? Może był na Golgocie podczas ukrzyżowania? Może słyszał jęk opuszczenia, który wyszedł z ust umierającego Męża? Wszystko, co im powiedział o Mesjaszu, było w jakiś przedziwny sposób wyrazistym wizerunkiem Jezusy ben Josef i nie ulegało wątpliwości, że mówiąc o Pomazańcu Bożym, Jego miał na myśli, aczkolwiek ani jednym słowem nie wspomniał o tożsamości tych dwóch Postaci. Czyżby sądził, że Jezua ben Josef jest Mesjaszem, tym samym, o którym pisali Jesaja i król Dawid, prorok Daniel i prorok Zecharia? Bali się podążać szlakiem nagle obudzonych skojarzeń, które jak ciężkie kamienie z łoskotem uderzyły o dno ich wnętrza. Tak, należy z owym przechodniem pomówić, spytać o wiele rzeczy, a poza tym wy badać, kim jest i dokąd idzie, bo każdego człowieka określa cel, do którego dąży. Szli obok siebie w milczeniu. Gdy z dala ukazały się białe domki Emaus, nieznaną mąż dał przygodnym towarzyszom do zrozumienia, że zamierza iść dalej, oni jednak poczęli go z początku namawiać, a potem przymuszać z ręcznymi, a nawet natrętnymi prośbami, aby zatrzymał się przez noc w miasteczku. Przechodzień uległ ich namowom. Weszli do domu Halfiego. Stara matka uradowana powrotem syna, włóczącego się od wielu miesięcy po odległych krainach za jakimś galilejskim rabbim, którego nauk słuchał, z płaczem powitała swojego pierworodnego i głośnym jękiem dziękowała Panu za doznaną łaskę. Gorączkowo

krzątała się po domu i przygotowując wieczerzę, z nieudolnie ukrywaną nieufnością zerkąca w stronę Barucha, syna sąsiadów, o którym wiedziała, że również od dłuższego czasu przebywał w towarzystwie owego rabiego. Nie rozumiała, dlaczego syn sąsiadów – uważała go za ladaco, włóczykija i złego ducha Halfiego – zamiast biec natychmiast do nieszczęśliwych rodziców, z utęsknieniem czekających od roku jego powrotu, teraz siedzi w jej domu i nie kwapi się do ojca, matki, braci i sióstr. Postawiła na stole miskę soczewicy zmieszanej z cienko krajaną cebulą, podała kilka suszonych ryb, wino i chleb. Nie chcąc uchybić dobrym zwyczajom, wyszła natychmiast z izby, pozostawiając syna i Barucha samym sobie. Przyjaciele porozumieli się spojrzeniami i przygotowywali się do rozpoczęcia rozmowy, i jak przystało na mężów dobrze obeznanych z prawami nienagannej gościnności, postanowili zaczekać, aż mąż spożyje wieczerzę, a dopiero potem przystąpić do roztrząsania gnębiących ich wątpliwości. Halfi jako gospodarz domu powinien przełamać chleb i odmówić nad nim błogosławieństwo, chcąc jednak okazać przybyszowi szacunek, podsunął mu placek unizonym gestem i rzekł:

– Niechaj mój czcigodny gość pobłogosławi chleb.

Przybysz podziękował za ten objaw uprzedzającej grzeczności, ujął chleb w obie dłonie i unióśł je nieco ku górze, a jego usta wyszeptaly:

– Błogosławiony bądź, Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który wyprowadzasz chleb z ziemi...

Wypowiedziawszy błogosławieństwo, począł przełamywać chleb – Halfiego i Barucha uderzył jego surowy wyraz twarzy – a łamał go z takim wysiłkiem, samozaparciem się i samoofirowaniem, jakby łamał samego siebie, jakby dzielił samego siebie, chociaż siedział przed nimi niepodzielny i jeden, a gdy zdawało się, że ta okruszyna, którą trzymał w palcach, jest już tak niepodzielna, że nikt nie zdoła jej rozbić na mniejsze części, rozpląnął się w powietrzu i znikł. Uczniowie krzyknęli. Zerwali się od stołu. Poznali, że to był Jezua ben Josef w cielesnej i niepojętej postaci. Wypadli przed dom i bez namysłu pobiegli przed siebie, drogą prowadzącą do Jerozolimy. Matka Halfiego, stojąc na dziedzińcu i załamując dłonie nad marnotrawnym synem, wołała za nim:

– Halfi! Dziecko moje! Wróć! Wróć! Dokąd biegniesz?! Usłyszała oddalające się wołanie syna:

– Zaraz wrócę, matko! Zaraz wrócę!

To „zaraz” było jedną z owych wzruszających nieścistości, a miało oznaczać współczucie syna dla biednej i opuszczonej matki i wywodziło się z dobroci i szlachetności serca, i mogło być w każdej chwili za pomocą drobnej poprawki – „nigdy”, zamiast „zaraz” – sprowadzone do rozmiarów nieskazitelnej prawdy.

Lepiej, że jej matka nie знаła, bo nie znając jej – a o to przecież chodziło Halfiemu – pozostała z nadzieją szybkiego powrotu lekkomyślnego syna. Wróciła do izby. Na stole leżał przełamany chleb. Jedzenie było nie tknięte. „Dlaczego nie zjedli chleba, ryb, soczewicy z cienko krajaną cebulą?” – pomyślała. Spożyła przełamane kawałki chleba, a nawet okruchy zgarnęła na dłoń i wsypała je do ust – Elohim nie pozwala marnować darów, które daje człowiekowi – i zapłakała nad swoją niedolą: – Wrócił i znów odszedł – szeptała do siebie przez łzy. – Po co wrócił i po co odszedł? Aby moje serce jeszcze bardziej rozkrwawić? Aby powiększyć moją boleść? Był zawsze dobrym synem... To ten Baruch wszystkiemu winien. Tylko Baruch. Zły Baruch. To on go namówił do nowej ucieczki. Tylko on... Bo któż inny?

Tak zawodziła, albowiem postaci Rabbiego, mimo Jego cielesnej obecności, nie widziała, gdyż jej oczy były na uwięzi.

Jezus ukazuje się uczniom

Zdążyli tuż przed zamknięciem bram miejskich wrócić do Jerozolimy. Zapadł wieczór. Zza murów Świątyni z trudem wzeszedł księżyc i wisiał nad miastem jak ciężkie, dojrzałe grono winnej latorośli. Gdy znaleźli się w domu Bar Nabuaha, lewity, gospodarz już u progu przywitał ich radosną wiadomością:

– Jezua ben Josef żyje!

– Wiemy o tym! – zawołali i wpadli na dziedziniec. Wbiegli na dach po wyszczerbionych schodach, przez chwilę głęboko oddychali, aby zadyszonym płucem przysporzyć trochę powietrza, i zapukali do drzwi. Zazgrzytał skobel. Weszli do izby oświetlonej dwiema lampkami oliwnymi. Apostołowie siedzieli na ziemi.

– Widzieliśmy żywego Jeszue ben Josef! – krzyknął Halfi.

– Myśmy z Nim razem szli! Mówili! Siedzieli przy jednym stole! – krzyknął Baruch.

– Widzieliśmy, jak łamał chleb! – Halfi rozkrzyżował ręce. – Słuchajcie, bracia! Jezua ben Josef jest Mesjaszem! Zapowiedzianym przez święte Zwoje! Mesjaszem umęczonym przez ludzi!

– Niech będą błogosławione wasze oczy i uszy! – zawołał Kefas. – Niech będzie błogosławiony Bóg Abrahama, Jicchaka i Jaakowa, Pan Izraela! Ja także widziałem żywego Rabbiego, a świadectwo moje złożyłem przed obliczem dziesięciu apostołów!

Powstało wielkie zamieszanie. Wszyscy naraz mówili, krzyczeli, pytali. Kefas opowiadał Halfiemu o swoim spotkaniu z Rabbim na dziedzińcu – co miał

przemilczeć, przemilczał – Baruch opowiadał apostołom o spotkaniu z Rabbim na drodze do Emaus i o świętej przygodzie w domu Halfiego, a ponieważ apostołowie wyrażali swój zachwyt dla dzieła Pańskiego za pomocą burzy okrzyków, zapytań i uwag, zdawało się, że wiecznik lada chwila pęknie od nagromadzonych w nim ludzkich wzruszeń i gwałtowności. Mimo powszechnej radości nie wszyscy byli jednego zdania o charakterze objawień. Apostołowie twierdzili, że Jezua ben Josef zmartwychwstał duchem, więc to, co widzieli Kefas, dwaj uczniowie, Mariamne z Magdali i inne niewiasty – okazało się, że w tym samym czasie Rabbi ukazał się również innym pobożnym niewiastom – było duchem Jezuy, natomiast Jego ciało wziął Elohim cudownym sposobem do nieba, przy czym powoływali się bądź na historię porwania Elijahu na ognistym wozie do nieba, bądź na midrasz o śmierci Mojżesza, którego ciało Pan, osobiście dźwigając na plecach, zaniósł do miejsca nieodgadnionego. To przypuszczenie napotkało sprzeciw Kefasa, Halfiego i Barucha, którzy uporczywie twierdzili, że widzieli Rabbiego w żywym ciele.

Inni krzykali:

- Wierzymy, że to był żywy Rabbi, ale nie wierzymy, że był w żywym ciele!
- Duch jest duchem, a ciało jest ciałem!
- Rabbi zmartwychwstał, ciało zabrał Elohim, a duch wam się objawił!

Wybuchł zażarty spór. Kefas i dwaj uczniowie niestety nie obronili swojego stanowiska, bo nie umieli jasno i przekonywająco wytłumaczyć, na czym opierają pewność o cielesnym zmartwychwstaniu Jezusa. Theom Bliźniak, który zawsze wypowiadał sądy niezwykle ostrożnie i na każde zjawisko patrzył z niedowierzaniem, dopóki nie zbadał go od środka, od zewnątrz i ze wszystkich stron, i nie przemyślał wyczerpująco każdego szczegółu razem i z osobna – nie wiedział, że wiara jest trudniejsza od myślenia – zwracając się do Kefasa, Halfiego i Barucha, spytał:

– Czyście dotknęli ciała Rabbiego? A na to Kefas:

– Przecież słyszałeś, Theomie, że nie pozwolił się dotknąć Mariamne z Magdali, więc jak miałem dotykać Jego ręki, Jego nóg, Jego szat? Bałem się... Ale oddech Jego ust czułem na moich policzkach... Widziałem poruszenia Jego grdyki...

– Nas nie obchodzi, czy się bałeś, czy się nie bałeś. Chcemy wiedzieć, czy stwierdziłeś i jak stwierdziłeś Jego cielesną obecność. Więc powiedz nam, na czym opierasz swoje twierdzenie?

Oni swoje, a Kefas swoje:

– A ja wam mówię, że nie był duchem, ale był w żywym ciele. A na to Theom Bliźniak:

– Powiedz mi, Symeonie ben Jona, jak ciało może zmartwychwstać? Kefas

zamyślił się i rzekł:

– Może.

Theom nie ustępował:

– Ale jak?

Kefas uśmiechnął się i odpowiedział:

– Elohim wszystko może. Theom pogładził brodę:

– Tak. O tym nigdy nie wątpię.

I wyszedł z izby na dziedziniec, aby uspokoić niepokój serca. Zamknęli za nim drzwi i zasuwę i siedzieli na ziemi stropieni i milczący, i biedzili się nad trudnym zagadnieniem, czy Jezus zmartwychwstał ciałem czy poza ciałem. – Właściwie o co się sprzecząją? Jeżeli w ciele – to dobrze. Jeżeli poza ciałem – też dobrze. Najważniejsze jest to, że zmartwychwstał. Po krótkiej rozprawie doszli do wniosku, że jednak zmartwychwstanie ciałem i poza ciałem nie jest jednym i tym samym. Bo jeżeli...

Ujrzeni Jezusa stojącego na środku izby.

– Pokój wam – rzekł i usiadł na ziemi, na rogoży. Patrzyli na Niego szklanymi oczami. Bali się poruszyć. Bali się krzyczeć. Bali się mówić. Bali się oddychać. Bali się ruchem głowy lub ręki zwrócić na siebie Jego uwagę. Każdy z nich, gdyby mógł, chętnie by przestał być sobą, byleby nie wpaść Mu w oczy i nie stać się przedmiotem Jego szczególnej uwagi. Woleli być teraz zgromadzeniem ludzi bez twarzy, zwartą całością, z której nie sposób wyłowić poszczególnego człowieka, wielością, w której mogliby się ukryć przed grożącym niebezpieczeństwem. Pierwszym odruchem była myśl o ucieczce. Uciec, uciec, uciec! Którędy? Dokąd? Drzwi są zamknięte. A czy w ogóle można uciec przed Rabbim? Jak nigdy dotychczas mieli pełną świadomość, że są Jego więźniami i że każda droga, którą by uciekli, zaprowadzi ich nieuchronnie do Niego, a każda próba wydobycia się z tej błogosławionej matni jeszcze gwałtowniej ich rzuci w jej otwarte ramiona.

Jezus, widząc ich przerażenie, rzekł:

– Nie bójcie się. Dlaczego się lękacie? Dlaczego wątpliwości powstają w waszych sercach? Oglądajcie moje ręce i stopy. To ja jestem.

Ich oczy spojrzwały na przebite nadgarstki Jezusa. Ich oczy spojrzwały na przebite stopy Jezusa. Ich oczy spoczęły na obliczu Jezusa. Na Jego całodzianej tunice – czy to ta sama, którą miał na sobie w dniu ukrzyżowania? – na Jego sandałach o wytartych podeszwach – czy to te same, które miał na nogach w dniu ukrzyżowania? – i znów błędnymi po Jego nadgarstkach i stopach.

Byli coraz bardziej przekonani o cielesnej prawdzie tego, co widzą, ale nie na tyle, by mogli uwierzyć w nią bez zastrzeżeń, ufnie, w pełni. A może jednak widzą ducha

Rabbiego, a nie Jego samego w Jego żywym ciele?

Wtedy Jezus powiedział:

– Dotknijcie mnie i przekonajcie się. Duch nie ma ciała i kości, a moje ciało, jak widzicie, jest z żywego ciała, a moje kości są z żywych kości.

I wyciągnął do nich ręce.

Nikt z nich nie śmiał ich dotknąć, albowiem mieli w pamięci opowiadanie Mariamne z Magdali – przecież wyraźnie ją ostrzegł: „Nie dotykaj mnie, Mariamne” – i domyślili się, że to bolesnodrwiące wezwanie, skierowane teraz do nich, ludzi opornych i nieufnych, jest wystawieniem ich na próbę pokusy, i niechaj Pan zlituje się nad tymi, którzy w swojej głupocie dopatrzą się w tym doświadczającym przyzwoleniu zachęty do sprawdzania Jego cielesnej obecności. Ponieważ przypomnieli sobie, że Elohim dla wypróbowania pokus ludzkich często doświadczają człowieka – w swoim niewprawnym języku nazywali to wodzeniem na pokuszenie – poczęli w myślach zmawiać „Ojciec nasz” i błagali Pana, aby ich nie poddawał próbom i zbawił od złego.

Jezus, widząc, jak w ich wnętrzach raz po raz podnoszą się trwoga i niedowierzanie, spytał ich:

– Czy macie coś do jedzenia?

Położyli przed Nim pieczoną rybę i plaster miodu, a On podniósł rybę, przełamał ją i jadł, i żuł, a resztę wraz z półmiskiem odsunął od siebie, potem odgryzł kawałek plastra pszczelego, a pozostałą część położył na drugiej misie, a apostołowie, śledząc z nieubłaganą uwagą i bystrością ruchy Jego rąk, warg, żuchw i grdyki, wyraźnie widzieli, że jadł, że Mu smakowała ryba i smakowała lepka, słodka patoka. Nasyciwszy się, podsunął im miski zapraszającym ruchem dłoni i rzekł:

– Posilcie się...

Spojrzeli po sobie. Mają jeść rybę i miód poświęcone dotknięciem Jego dłoni i zębów? Mają spożywać strawę znaczoną pieczęciami wieczności? Śladami tchnienia Pańskiego? Wyciągnięta ręka Jezusa zastygła w zapraszającym geście, a im dłużej ociągali się i im większe było ich wahanie, tym wyraźniejsza stawała się wymowa tego gestu, coraz mniej gościnnego i zapraszającego, a coraz bardziej rozkazującego i tak nieubłaganego w swoim żądaniu, jak nieubłagana była ich bystrość, za pomocą której śledzili ruchy Jezusowych rąk, warg, żuchw i grdyki.

Wreszcie przemogli lęk i ulegli rozkazowi Jezusa. Jedli resztki ryby i plaster miodu, które Jezus pozostawił, jedli ze złością i z ulgą, i zarazem ze wstydem, bo spożywali dowody Jego cielesnej obecności i swojego niedowiarstwa, i dociekliwości, która ich wciąż jeszcze nie opuszczała, bo nawet teraz, gdy podnosili do ust plaster miodu, uważnie przyglądali się odcisniętym w nim śladom zębów Rabbiego.

Spożywając te resztki, oczyszczali nimi jak ognistym węglem swoje wargi ze słów niedowierzających i zatwardziałych, zwodniczych i bezmyślnych, a wargi ich żarzyły się, płonęły i buchały ogniem, aż wreszcie oczyszczone z wszelkich wątpliwości zaśpiewały pieśń cherubów, pełniących straż na Arce Przymierza: „Święty, Święty, Święty Jahwe Zastępów, cała ziemia pełna jest Jego chwały”.

Jezus usłyszawszy tę pieśń, wyciągnął ręce przed siebie i rzekł mocnym głosem:

– Pokój wam. Jak Ojciec mnie posłał, tak i ja was posyłam. Tym, którym odpuscicie grzechy, grzechy będą odpuszczone, a tym, którym zatrzymacie, są zatrzymane. Weźmijcie Ducha Świętego.

Poculi na sobie gwałtowny podmuch wicheru, jakby tysiące skrzydlatych żywołów poderwało się do lotu.

Rabbi podniósł się i wyszedł przez zamknięte drzwi.

Jezus ukazuje się niedowiarkowi

Apostołowie i Halfi z Emaus, i Baruch starali się przekonać Theoma Bliźniaka o prawdziwości objawień żywego Rabbiego. Ich starania nie odniosły skutku. Opisywali szczegółowo wygląd Jezusa, w co był odziany, jak się zachowywał, co jadł, co mówił, jak mówił, i tłumaczyli mu, że na własne oczy widzieli Jego rany na nadgarstkach i stopach. Bezskutecznie. Na wszystko odpowiadał tymi słowami: „Nie uwierzę, jeżeli nie ujrę własnymi oczami śladu gwoździ i nie włożę mojej dłoni do Jego boku”. Apostołowie, skoro zawiodły wszystkie próby przekonania Theoma Niedowiarka – tak go odtąd zaczęli nazywać – dali spokój dalszym nagabywaniom, zwłaszcza że sami przecież, aż do ukazania się Rabbiego w wieczerniku, grzeszyli tym samym niedowiarstwem i też jak on byli gotowi w dążeniu do prawdy dotknąć Jezusowych ran. Naprzód nie wierzyli w pusty grób, gdy uwierzyli w pusty grób, nie wierzyli w ukazanie się Jezusa Mariamne z Magdali, gdy po ukazaniu się Jezusy Kefasowi i uczniom z Emaus wreszcie uwierzyli w Jego obecność na ziemi, w żaden sposób nie mogli się pogodzić z nieprawdopodobną myślą, że ukrzyżowany Mesjasz zjawia się w żywym ciele. Dopiero gdy przed ośmioma dniami zjawił się ich radośnie przerażonym oczom i spożył z nimi wieczerzę – uwierzyli. Tę wiarę zdobywali opornie, z trudem. Nie ulegli nagłemu olśnieniu. Przeciwwstawiali się jej, nieomal bronili się przed nią i właściwie wszystko robili, aby – nie uwierzyć. Aż przyjęli ją pod naciskiem niezaprzeczonych zdarzeń. Czy mają więc prawo żądać od Theoma, aby bez zastrzeżeń zawierzył ich oczom i uszom, skoro oni sami do czasu nie chcieli zawierzyć oczom i uszom Mariamne z Magdali i pobożnych niewiast?

Theom, aby mógł uwierzyć, musiał widzieć i usłyszeć. Theom wiedział, że

trudność polega na tym, że Elohim od czasu do czasu według swojej woli, dla wypróbowania człowieka – ach, i znowu to przerażające wodzenie na próbę, to Abrahamowe doświadczanie człowieka! – milczy lub udziela niezbyt wyraźnych odpowiedzi, a wtedy biedna glina ludzka skazana jest na dokonywanie wyboru według własnego wycucia, a jeżeli to wycucie zawodzi – bo i to się może zdarzyć – nie pozostaje jej nic innego jak pokornie prosić Boga o złożenie jasnego oświadczenia. Elohim jest najbliższym krewnym Izraela i nadrzędną Stroną zawartego Układu. Jest Ojcem wybranego ludu. Jest Ojcem każdego rodu. Theom miał prawo spytać Ojca, wiecznego i nieskończonego Patriarchy, Głowy wielkiej wspólnoty, dlaczego widomie nie potwierdza tego, co powinien był widomie potwierdzić. Ale Theom wiedział jeszcze więcej. Wiedział, że w szczególnych wypadkach przysługuje mu nawet prawo czołobitnie zawezwać Wiekuistego na sąd. Wprawdzie doświadczenia Hioba, męża pokrytego wrzodami i siedzącego na kupie gnoju, wskazują na to, że nawet najpokorniejsze prawowanie się z Panem jest bezowocne, bo kończy się zawsze przegraną powoda – Hiob też stawiał Panu pytania i żądał od Niego odpowiedzi – ale z drugiej strony każdy mąż sprawiedliwy był świadom, że przegrywając z Bogiem, w jakiś nieokreślony sposób wygrywa, czego znowu mamy dowód w stokrotnie wynagrodzonym Hiobie. Theom, mąż sprawiedliwy, chciał widzieć i usłyszeć, aby uwierzyć, więc zaryzykował i oświadczył, że dopóki Głowa wielkiej wspólnoty wyraźnie nie wyjawi mu prawdy, dopóty, on, marny niedowiarek, proch, nie uwierzy. I czekał. Czekał długich osiem dni. Aż w ósmym dniu Pan zgotował mu groźną niespodziankę.

Gdy apostołowie, a wśród nich Theom Niedowiarek, siedzieli po zachodzie słońca w wieczniku i zmawiali modlitwę wieczorną, do izby wszedł przez zamknięte drzwi Jezus i stanąwszy pośrodku nich rzekł:

– Pokój wam.

– Pokój Tobie – odpowiedzieli apostołowie, a chociaż wystarczyło jedno spotkanie sprzed ośmiu dni, aby mogli oswoić się z myślą o żywym Jezusie, znów owładnęło ich przerażenie, tym większe, że nie usłyszeli z Jego ust wezwania: „Nie bójcie się”, które tak kojąco podziałało na nich podczas poprzedniego spotkania ze zmartwychwstałym Mężem. Ponieważ prawie na nich nie spojrzął, ostudzili swój niepokój, zwłaszcza że Jezus, odszukawszy wzrokiem Theoma, podszedł do niego na odległość wyciągniętej ręki, z czego należało wnioskować, że tym razem niedowiarek dostąpi łaski wyróżnienia. Theom na pewno to samo wyczytał w oczach i brwiach nacierającego nań Rabbiego, bo natychmiast cofnął się. Jezus postąpił krok naprzód. Odległość między nimi nie zwiększyła się ani nie zmniejszyła nawet o cal. Theom poczuł zawrót głowy. Cofnął się jeszcze o krok i oparł plecami o ścianę.

Gdyby mógł, wstąpiłby w kamienny mur, zapadłby się pod ziemię, rozplynał w powietrzu. Żadna z tych możliwości nie nastąpiła i słaniający się na nogach apostoł wciąż stał przed obliczem – żywym! – Jezusa na odległość Jego wyciągniętej ręki i patrzył w Jego oczy – żywe! – i widział Jego ściągnięte brwi i usta, otwierające się powoli usta, przypominające szczelinę w pochmurnym niebie, z której lada chwila padnie uderzenie gromu. Nie zdzierzył tej mocy bijącej od Jezusa. Zamknął oczy i wtedy usłyszał nad sobą jahwiczny ryk Pana rozkazującego:

– Włóż tutaj swój palec i zobacz moje dłonie i stopy! Podnieś także rękę swoją i włóż ją do mojego boku – tu odsłonił tunikę – i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym, Theomie Bliźniaku!

Theom nic już nie widział. Nie widział przebitych dłoni Jezusa ani Jego przebitych stóp, ani Jego przebitego boku. Nawet samego Jezusa nie widział. Widział natomiast Jego głos, rozkazujący, ogromny, lwi głos wypełniający sobą cały wszechświat, głos Pana wstrząsającego podstawami ziemi, pędzącego przed sobą bezkresne wody i obalającego góry. Theom zrozumiał: albo dotknie ciała Bezczasu, ran Pańskich i umrze, albo nie sprawdzając uwierzy w cielesnego Jezusa i żyć będzie przez całą wieczność. Rzekł do Jezusa:

– Pan mój i Bóg mój.

Jezus, odpowiadając, spytał go:

– Uwierzyłeś dlatego, bo mnie ujrzałeś, Theomie? A gdy nie otrzymał odpowiedzi, rzekł:

– Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

Theom stał wciąż oparty o ścianę. Nie było w nim już żadnego zdumienia, gdy Jezus wyszedł przez zamknięte drzwi wieczernika, a wstrząs, który przeżył, był tak wielki, że nie odważył się poruszyć z miejsca, chociaż apostołowie natychmiast po wyjściu Zmartwychwstałego wybuchnęli żywiołową radością.

Od tej pory Theom już więcej nie wiódł na pokuszenie Obecności Pańskiej.

W Galilei

Wszystko stało się według nakazów i zapowiedzi, których Jezus udzielił Kefasowi. Apostołowie udali się do Galilei – znów oddychali jak za dawnych czasów powietrzem nasyconym zapachem ryb, suszących się sieci i sitowia – a Rabbi objawił się im o świcie letniego dnia, nad brzegami jeziora Kinereth, w Domu Wody. Tutaj powtórzył cud obfitego połowu ryb na pamiątkę dawnego połowu i wszystkich okoliczności towarzyszących temu zdarzeniu, spożył z uczniami posiłek i po trzykrotnym zapytaniu, otrzymawszy od Kefasa trzykrotne uroczyste zapewnienie,

że Go miłuje, trzykrotnie mu rozkazał: – Paś baranki moje – i tym trzykrotnym nakazem uczynił człowieka o kamiennym imieniu pasterzem owiec wypasających się na wszystkich górach i we wszystkich dolinach. Potem na jednym ze wzgórz Galilei polecił apostołom w imię władzy, którą posiada na niebie i na ziemi, iść w świat i nauczać wszystkie narody, i zanurzać je w wodzie w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

To powiedziawszy, kazał im udać się do Jerozolimy i poczekać na Niego w cieniu oliwek na stoku Góry Oliwnej.

Wniebowstąpienie

Było południe.

Natychmiast po przybyciu do Jerozolimy, mimo zmęczenia długą drogą, udali się wraz z Miriam na stok Góry Oliwnej, usiedli na ziemi i czekali na przybycie Jezusa. Gdy ich żegnał nad jeziorem Kinereth i polecił im udać się do Jerozolimy, głos Jego brzmiał rzewnie i łatwo można było w nim wyczytać zapowiedź jakiegoś niezwyklego zdarzenia. Przewidujący Johanan ben Zebadia zabrał z sobą Miriam do Świętego Miasta.

Podczas gdy jedni wypatrywali Jezusa z północy, drudzy ze wschodu, a inni od południa, znienacka zjawił się wśród apostołów, ale nie przyszedł do nich żadną z tych dróg, właściwie nie przyszedł żadną drogą, co wzbudziło w nich pokrzepiające podejrzenie, że od wyjścia z Galilei stale był z nimi i tylko dla ich oczu był niewidoczny. Przywitali Go już bez trwogi. Tak się przyzwyczaili do Jego nagłych objawień i przywykli do Jego nie zapowiadanych odwiedzin, że gdy przez kilka godzin był przy nich nieobecny, niecierpliwie Go wyglądali dla miłości, którą Go kochali, i dla własnej wygody, do czego się z niejakim wstydem przyznawali w pokorze zakłopotanego ducha. Nie istnieje całkowite szczęście. Obudziła się w nich obawa przed samotnością, która ich ogarnie, gdy Jezus pewnego dnia pożegna się z nimi i odejdzie, i więcej się nie zjawi. Wprawdzie przyrzekł uroczystym przyrzeczeniem, że będzie z nimi aż do końca świata, mimo to przewidywali trudności czekające na nich po odejściu Jezusa, który na pewno trwać będzie przy nich, ale będzie to trwanie zmuszające ich do czujności, a wiadomo, czym jest prawdziwa czujność: nieprzerwanym czuwaniem we dnie i nocy, bez zmrużenia powiek, bez wypoczynku. Kto tak potrafi czuwać? Niektórzy z nich już raz dali dowód nieumiejętności czuwania. Będą skazani na samodzielność myślenia, działania i na nieustanne dokonywanie wyboru, na odgadywanie myśli Jezusa, Jego rozkazów, na odczytywanie Jego znaków, Jego niedomówień – pamiętali, jak ich

kiedys rozesłał po Galilei i jak marne były owoce ich samotnej pracy! – a przede wszystkim staną wobec konieczności rozróżniania Jego głosu od głosu własnych życzeń i od podszeptu Pełzającego, który rozmiłował się w naśladowaniu głosu Pana, a tę sztukę doprowadził do przerażającej doskonałości.

Jezus wyraził chęć spożycia wspólnego posiłku. Usiedli na ziemi i jedli chleb, suszone ryby, cebulę i ser, a gdy zaspokoili głód, rozmawiali z Rabbim, a im dłużej rozmawiali, tym większa stawała się ich pewność, że jest to spotkanie pożegnalne, a wnioskowali to z Jego wypowiedzi, podobnych do wypowiedzi stroskanego ojca rodziny, który wybierając się w daleką podróż pragnie najbliższym pozostawić rady, wskazania, polecenia i spostrzeżenia, te najważniejsze spośród najważniejszych i najmądrzejsze spośród najmądrzejszych. Potem dla pogłębienia ich otuchy wskazał na wersety w świętych Księgach, odnoszące się do Jego męczeństwa i zmartwychwstania, wezwał ich na świadków tych zdarzeń i polecił, aby w Jego imieniu głosili wszystkim ludom ziemi, zaczynając od Jerozolimy, pokutę i odpuszczenie grzechów. W tym celu dla urzeczywistnienia ich posłannictwa wkrótce ześle na nich Obietnicę obiecaną przez Ojca: zanurzy ich w Duchu Świętym, tak jak Johanana ben Zecharia, Jego Pustynny Brat, zanurzał synów człowieczych w wodach Jordanu. Niechaj zatem pozostaną w Jeruzalajim Hakodesz, aż zstąpi na nich ognista i drapieżna Moc Ducha Świętego, a wtedy uzbrojeni Jego mocą pójdą w świat i świadcząc się świadectwem świętych Ksiąg głosić będą Dobrą Nowinę wszystkim ludziom, zamieszkującym ziemię. Obiecał im powtórnie, że będzie z nimi aż do końca świata. Gdy słowa te przeniknęły do wnętrza apostołów i znalazły w nich wygodne dla siebie mieszkanie, ujrzeli w sobie Jeszuc Mesjasza-oblubieńca w otoczeniu świętych Ksiąg, które pobrzękując naszymi naszyjnikami, nakrapianymi srebrem, kolczykami i naramiennikami, ujęły się za ręce i zaśpiewały radosną pieśń. Rozpoczął się taniec świętych Ksiąg dokoła królewskiego Pomazańca. Tańczyły i śpiewały święte Księgi, piękne jak księżyc, promieniste jak słońce, groźne jak wojsko zbrojne, córki błogosławione, Księgi Początku, Wyjścia, Kapłanów, Liczb i Prawa, Psalmów i Proroków, w zachwyceniu śpiewały i tańczyły na chwałę umiłowanego Oblubieńca, jasnego i miedzianego, który góruje nad dziesięcioma tysiącami mężów, a Jego głowa jest jak szczerze złoto, a włosy Jego są czarne jak kruki, Jego oczy są jak turkawki u strumienia, wykapanie w mleku i wypoczywające nad brzegiem źródła.

Jezus podniósł się z ziemi i ruszył w kierunku Bethanii, a apostołowie i Miriam szli za Nim. Chcieli Go jeszcze spytać o wiele spraw zaprzęających ich serca i umysły, chcieli zasięgnąć u Niego jeszcze wielu rad, pouczeń i wskazówek, chcieli dowiedzieć się czegoś o własnej przyszłości, ale ponieważ wydawało im się –

i słusznie – że powinni teraz w tak wielkiej i niepojętej chwili zachować umiar w stawianiu pytań, poczęli w nich w pośpiechu przebierać i odrzuciwszy wszystkie, pozostawili tylko jedno jedyne, niezwykle dla nich – dla synów tej ziemi, którą umiłowali gorącą miłością – ważne i jakże często sen spędzające z ich powiek. Było to ostatnie pytanie, jakie zadali na ziemi odchodzącemu Mesjaszowi. Gdy stanęli na szczycie Góry Oliwnej, spytali Jezusa:

– Panie, czy w tym czasie przywrócisz królestwo Izraela? Jezus odrzekł:

– Nie wasza sprawa znać czas i chwilę, które Ojciec ustalił swoją władzą, ale gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i całej Judei, i w Samarii, aż po krańce ziemi.

Nie chciał im wyjawić czasu przywrócenia królestwa Izraela, podobnie jak przedtem nie chciał im wyjawić czasu swojego powtórnego przyjścia na ziemię, a ponieważ przyjście jednego i drugiego czasu uzależnił od wyroków swojego Ojcowskiego Synostwa – a o powtórnym Jego przyjściu nigdy nie wątpili – uradowali się z powodu Jego odpowiedzi, którą przyjęli jako radosną zapowiedź. Odetchnęli z ulgą.

Była cisza. Wiał zachodni powiew. Góra Oliwna trzepotała srebrnym szelestem oliwnych gajów.

Jezus podniósł ręce, wyciągnął je nad głowami apostołów i Miriam i pobłogosławił ich wszystkich razem i z osobna. Symeona ben Jona pobłogosławił błogosławieństwem kamienia, Johanana i Jaakowa, synów Zebadii, błogosławieństwem gromu, Jaakowa ben Halfi błogosławieństwem Jerozolimy, Jehudę ben Halfi błogosławieństwem ostatniej pomocy, Filipa z Bethsaidy błogosławieństwem obfitego chleba, Nathanaela ben Tolmaj błogosławieństwem figowego drzewa, Theoma Niedowiarka błogosławieństwem wiary, Andraja ben Jona błogosławieństwem pierwszego powołania, Symeona Gorliwca błogosławieństwem żarliwości, Lewiego Mataja błogosławieństwem rylca piszącego, a Miriam, matkę swoją, błogosławieństwem Cienia, i pobłogosławiwszy ich wszystkich razem i z osobna, począł się z wolna oddalać.

Stali, uporczywie wpatrując się w znikające Miejsce, gdzie przed chwilą stał, i usłyszeli obok siebie podniesione głosy, zapowiadające powrót Jezusa na ziemię drogą niedocieczoną. Zapamiętali tę zapowiedź – trudno im było ustalić, z czyich wyszła ust, ale na pewno były to usta natchnione i wiarygodne, i dlatego nazwali je ustami anielskimi – albowiem domyślili się, że jest ona przeznaczona dla tych, którzy po nich przyjdą, dla późnych potomków wiary. A Jezus powoli w nich się oddalał, wznosił się wysoko, wysoko, coraz wyżej, a to oddalanie się z Miejsca było równoczesnym pozostawianiem w Miejscu, a odchodzenie było powrotem, a chociaż

był już daleko, był coraz bliżej, a im był dalej, tym był bliżej, a im bardziej stawał się niewidzialny, tym więcej był cielesny i obecny, i wreszcie, wreszcie poczuli, że mogą dotknąć Jego dłoni, Jego nóg, Jego ran bez obawy o śmiertelne porażenie. I tak oddalając się, wstępował we własne Istnienie, w Byt niewidzialny i nieskończony, którym jest On sam. Jeszcze raz spojrzeli na puste Miejsce, już o bardzo niewyraźnych zarysach Pana, jeszcze raz badawczym spojrzeniem ogarnęli całą przestrzeń, a gdy stwierdzili Jego całkowitą i niewątpliwą niewidzialność, powrócili do Jerozolimy i udali się do Świątyni Pańskiej, gdzie wraz z Miriam i pobożnymi niewiastami dziękowali Elohim i błogosławili Elohim, który wzbudził w Izraelu dla zbawienia świata Mesjasza, Pierworodnego spośród umarłych, Jezusa z Nazarethu.

Późnym popołudniem wyszli ze Świątyni. O tej samej porze pewien podeszły wiekiem faryzeusz, wracając do domu po przechadzce w dolinie Cedronu, spostrzegł z dala gromadkę nie znanych mu mężów i niewiast, idących w kierunku Górnego Miasta. Gdy ich mijał, usłyszał, jak gorączkowo rozprawiają o jakimś cudownym zdarzeniu, którego byli świadkami. Faryzeusz zatrzymał się i spytał:

– O czym tak żywo rozprawiają moi bracia?

– O Mesjaszu, panie – odpowiedział jeden z nich.

– Módlcie się, aby przyszedł – rzekł starzec.

– Już przyszedł! – zawołał młodzieniec o dziewczęcej twarzy.

– Przyszedł? – głos starca zadrżał.

– Jezua z Nazarethu jest Mesjaszem! Czy nic o Nim nie słyście, czcigodny panie? – zawołali.

Starzec wzruszył niedowierzająco ramionami i wspierając się na lasce, szedł powoli pod górę, do swojego domu bielejącego na stoku wzgórza wśród ciemnych cyprysów, drzew miłych Panu. Tak, słyście o Mężu z Nazarethu. Słyście o Jego mądrości i dobroci, o naukach i cudach, o Jego męczeńskiej śmierci i o zmartwychwstaniu. Nie mógł dopatrzeć się winy w Oskarżonym. Uważał za czyn haniebny wydanie syna Izraela w ręce pogańskich oprawców. Ale Jezua ben Josef Mesjaszem? Jezua ben Josef Synem Bożym? Jezua ben Josef zmartwychwstał?

Starzec westchnął. Przystanął. Usiadł na przydrożnym głazie. Zamyślił się.

A był on praojcem tego, który tę opowieść o Jezusie z Nazarethu napisał.

31 grudnia 1972

Słowniczek terminów hebrajskich

Abadon – według wierzeń żydowskich najgłębsza część piekła, uosobiona w postaci Anioła Otchłani.

Abijam – Abiasz.

Adar – dwunasty miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu lutego do nowiu marca.

Am haarec – dosłownie: lud ziemi. Prostak, nieuk, nie przestrzegający przepisów Tory.

Anawim Jahwe – Ubodzy Pana.

Andraj – Andrzej. Św. Andrzej Apostoł.

Aron Hakodesz – Święta Arka w synagodze, zawierająca Zwoje Pisma Świętego.

Aszeret Hadewarim – Dziesięcioro Przykazań.

Aw – piąty miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu lipca do nowiu sierpnia.

Badchan – wesołek na godach weselnych, pełniący często obowiązki starosty weselnego.

Bachurim – chłopcy.

Bar micwe – dosłownie: syn obowiązku. Tak się nazywa w Izraelu trzynastoletni młodzieniec, który podczas uroczystości konfirmacji nabywa prawa pełnoletniego wyznawcy Jahwe.

Baruch Haszem – Pochwalone niech będzie Imię (Pana).

Batlanim – dosłownie: ubodzy próżniacy. Ponieważ w nabożeństwie żydowskim musiało uczestniczyć co najmniej dziesięciu mężczyzn, zarząd synagogi opłacał dziesięciu ubogich (asara batlanim), którzy codziennie rano i wieczór obowiązani byli zjawiać się w domu modlitwy, a ich obecność umożliwiała regularne odprawianie modłów.

Beer majim hajim – studnia wody żywej.

Bemidbar – Na pustyni. Hebrajska nazwa Księgi Liczb.

Bereszit – „Na początku”. Pierwsze słowa Księgi Rodzaju, od których pochodzi hebrajska nazwa Księgi.

Beth hakneseth – dom modlitwy, synagoga.

Beth hamidrasz – szkoła wyższa, akademia.

Beth hasefer – szkoła początkowa.

Bimah – podwyższenie, ustawione na środku synagogi. Na bimah odczytywali Izraelici wersety Pisma Świętego i wygłaszali mowy objaśniające (kazania).

Bracha – błogosławieństwo.

Cedakah – sprawiedliwość, dobry uczynek.

Chalila! – okrzyk: Niechaj to będzie od nas dalekie! Uchowaj Boże!

Chamsin – gorący wiatr od pustyni.

Chanuka – Święto Świąteł.

Chazan – sługa synagogałny, często pełniący również obowiązki nauczyciela w szkole początkowej.

Chochma – mądrość.

Chote beegel – wielki grzech, popełniony wobec Boga, na przykład modlitwa do złotego cielca.

Dewarim – „W te słowa”. Pierwsze słowa Księgi Powtórzonego Prawa, od których pochodzi hebrajska nazwa Księgi.

El – Bóg.

El Elion – Bóg Najwyższy.

El Haj – Bóg Żywy.

El Olam – Bóg Świata.

El Szaddaj – Bóg Wszechmocny.

Eleazar – Łazarz.

Elijahu – Eliasz.

Elisza – Elizeusz, prorok.

Eliszeba – Elżbieta.

Elohe Haszamajim – Bóg Niebios.

Erec Hakodesz – Ziemia Święta.

Erew jom tow – wieczór poprzedzający dzień świąteczny.

Gan Eden – dosłownie: ogród rajski. Raj.

Ge Hinom – dosłownie: Dolina Hinoma. Gehenna.

Geth Szemanim – tłocznia oliwy. Gethsemani.

Golan – hebrajska nazwa gór Gaulanitis.

Hag Hasukot – Święto Namiotów.

Hagada – zbiór opowiadań historycznych, anegdot i przypowieści, za pomocą których uczeni w sposób przystępny nauczali naród Izraela.

Haisza – niewiasta.

Halacha – Tradycja Starszych, zbiór przepisów rytualnych. Halachę wykładali uczeni w wyższych uczelniach.

Halfi – Alfeusz (po grecku: Klopas, Kleofas).

Hallel Hagadol – Wielki Psalm (Ps 113-#118), śpiewany przez lewitów podczas nabożeństwa w Świątyni Pańskiej.

Hana – Anna.

Hanan ben Sethi – Hanan syn Setiego. Annasz, arcykapłan.

Hanuth – miejsce posiedzeń Sanhedrynu.

Hosea – Ozeasz, prorok.

Jaakow – Jakub.

Jaakow ben Halfi – Jakub syn Alfeusza. Św. Jakub Młodszy, Apostoł, krewny Jezusa.

Jaakow ben Zebadia – Jakub syn Zebedeusza. Św. Jakub Starszy, Apostoł.

Jam Hamelach – Morze Soli. Morze Martwe.

Jam Kinereth – hebrajska nazwa Jeziora Galilejskiego (Jeziora Genezaret), używana w Starym Testamencie.

Jecer hara – zła skłonność.

Jecer tow – dobra skłonność.

Jechezkel – Ezechiel, prorok.

Jehojakim – Joachim.

Jehuda ben Halfi – Juda syn Alfeusza, brat Jakuba Młodszeo. Św. Juda Tadeusz, Apostoł, krewny Jezusa.

Jeremijahu – Jeremiasz.

Jerusalajim Hakodesz – Święta Jerozolima.

Jesaja – Izajasz.

Jeszua ben Sira – Jezus syn Syracha.

Jeszurun – Sprawiedliwy, Pobożny. Honorowa nazwa Izraela.

Jicchak – Izaak.

Jiszmael – Ismael syn Abrahama i Hagar.

Johanen ben Zebadia – Jan syn Zebedeusza. Św. Jan Apostoł i Ewangelista.

Johanen ben Zecharia – Jan syn Zachariasza. Św. Jan Chrzciciel.

Jom Kippur – Dzień Pojednania.

Jona – Prorok Jonasz.

Josef bar Nabuah – Józef syn Nabuaha. Barnaba.

Josef ben Jaakow – Józef syn Jakuba. Św. Józef, cieśla.

Kadisz – uroczysta modlitwa pochwalna. Z biegiem wieków stała się modlitwą za zmarłych.

Kfar Nahum – dosłownie: Wieś Nahuma. Kafarnaum.

Kidusz – błogosławieństwo zmawiane nad kielichem wina podczas uczyty szabatowej lub świątecznej.

Kinoth – Treny.

Kislew – dziewiąty miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu listopada do nowiu grudnia.

Kittim – nazwa oznaczająca zewnętrznych wrogów Izraela. Według Millar

Murrowsa („More Light on the Dead Sea scrolls”, 1958) nie należy utożsamiać Kittim z Rzymianami.

Kodesz Hakodeszim – Święte Świętych.

Kodesz Israel – Święty Izraela. Bóg.

Kodesz Jahwe – Bóg.

Kohelet – Eklezjastes. Kohen – kapłan.

Kohen hagadol – arcykapłan.

Lewi Mataj – Lewi Mateusz. Św. Mateusz, Apostoł i Ewangelista.

Maasim rajim – złe uczynki.

Maftir – mąż, którego w dowód szacunku dla jego wiedzy i mądrości zapraszano do wygłoszenia, na zakończenie nabożeństwa w synagodze, mowy objaśniającej (kazania).

Makom Hakodesz – Miejsce Święte, uświęcone Obecnością Boga.

Malach Hamowet – Anioł Śmierci.

Malach Jahwe – Anioł Pana.

Malchut Haszamajim – Królestwo Niebieskie.

Maleachi – Malachiasz, prorok.

Marcheszwan – ósmy miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu października do nowiu listopada.

Mariamne (aram.) – jedna z pochodnych form imienia Miriam. Maria.

Maszal – przypowieść.

Mechaszef – czarodziej, uprawiający magię.

Melachim – Księgi Królewskie.

Melech Haszamajim – Król Niebios.

Merom – hebrajska nazwa jeziora Hule.

Mesith – zwodziciel.

Meszalim – hebrajska nazwa Księgi Przypowieści.

Mezusa – pudełeczko przytwierdzone do drzwi. Zawiera przykazania Boże, wypisane na kawałku pergaminu.

Micha – Micheasz, prorok.

Micraim – Egipt.

Midbar – pustynia.

Midrasz – opowiadanie, które, nawiązując do wypadku historycznego, w sposób obrazowy i budujący wyjaśnia słowa Pisma Świętego.

Mikwa – kąpiel rytualna, oczyszczająca.

Miriam – Maria.

Miszpacha – rodzina.

Mohel – mężczyzna dokonujący rytualnego aktu obrzezania.

Mosze Rabenu – Mojżesz, nasz nauczyciel.

Nabi – prorok.

Nathanael ben Tolmaj – Św. Bartłomiej, Apostoł.

Nazir – Nazyrejczyk. Mąż, który złożył uroczysty ślub, że przez całe życie lub przez pewien okres czasu nie będzie obcinał włosów i zachowa wstrzemięźliwość od napojów alkoholowych.

Nigun – melodia.

Nisan – pierwszy miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu marca do nowiu kwietnia.

Niszmat kol haj – początek hymnu śpiewanego w synagogach podczas szabatowego nabożeństwa. Hymn ten napisał według tradycji żydowskiej Saul z Tarsu (Św. Paweł Apostoł). Por. „Das judische Jahr, judische Religion, gestern und heute” von Rabbiner dr Manfred Swarsensky, Berlin 1935, s. 54.

Or – światło.

Pesach – Pascha.

Riwkah – Rebeka, żona Izaaka, matka Jakuba i Ezawa.

Rosz hakneseth – przewodniczący synagogi.

Rosz Haszana – Nowy Rok.

Ruach Hakodesz – Duch Święty. Sagan – dowódca straży świątynnej.

Saraj – Sara, żona Abrahama.

Siwan – trzeci miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu maja do nowiu czerwca.

Sukot – Święto Namiotów.

Symeon ben Jona – Szymon syn Jony. Św. Piotr Apostoł.

Szacharit – modlitwa wieczorna.

Szamasz – sługa synagogałny.

Szechina – Obecność Boża w narodzie Izraela.

Szelijach – posłaniec – apostoł.

Szelomo – Salomon.

Szema – najświętsza modlitwa w liturgii żydowskiej, zaczynająca się od słów „Szema Israel” („Słuchaj, Izraelu, Pan jest twoim Bogiem, Pan jest jeden”).

Szemone Esre – Osiemnaście Błogosławieństw. Modlitwa zprawiana podczas każdego nabożeństwa w synagodze.

Szemot – Imiona. „Weeleh szemot... „ – „Te są imiona...”. Pierwsze słowa Księgi Wyjścia, od których pochodzi hebrajska nazwa Księgi.

Szeol – kraina umarłych.

Szir Haszirim – Pieśń nad Pieśniami.

Szofar – róg barani. Dźwiękiem baranich rogów zwoływano lud na nabożeństwa w uroczyste święta lub w razie wybuchu wojny.

Szoszana – Zuzanna.

Szwat – jedenasty miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu stycznia do nowiu lutego.

Talit – chusta modlitewna.

Talitha kum (aram.), właściwie: talita kumi – „Córko, wstań”.

Tebeth – dziesiąty miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu grudnia do nowiu stycznia.

Tehilim – Psalmy.

Theom – Tomasz, św. Tomasz Apostoł.

Tiszri – siódmy miesiąc w kalendarzu żydowskim, odpowiadający okresowi od nowiu września do nowiu października.

Tohu wabohu – próżnia, nicłość, chaos.

Tora – Prawo. W Nowym Testamencie Tora (Prawo) oznacza cały Stary Testament.

Wajikra – „I zawołał”. Pierwsze słowa Księgi Kapłańskiej, od których pochodzi hebrajska nazwa Księgi.

Zecharia – Zachariasz.